



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

SLAV
5193
77

Harvard College Library



FROM THE FUND OF

CHARLES MINOT

Class of 1896

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Druk Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 248.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1902.—Tom IV.

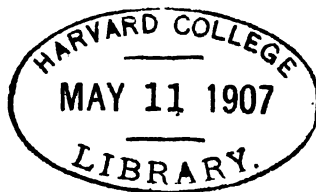


WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście Nr. 5.

1902.

~~11~~
~~1012~~
SLAV
5198
77



Minot fund

Дозволено Цензурою.
Варшава, 17 Сентября 1902 года.

AD ASTRA.

DWUGŁOS

przez ELIZĘ ORZESZKOWĄ i JULIUSZA ROMSKIEGO.

„Są dwie melancholie na świecie;
jedna jest z mocy, druga ze słabości;
pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich,
druga kamieniem ludzi topiących się.”
(Słowacki).

I

W P U S Z C Z Y.

Na zachodzie, daleko, za przestrzeniami lasu, których wzrok orli nawet przemierzyć-by nie mógł, z za miedzianych lub krwistych purpur zorzy wieczornej, rozplywa się po błękitach morze bladego ognia i do lasu wlewać się poczyną, jak miód blado-żółty do szmaragdowej czary. W poświęcie tej, z rozpylonych niby pierścieni ślubnych powstałej, pęka i kruszy się ściskający przedmioty cement leśnych zmroków, a od dna do podniebnej wyżyny wszystko rozstępuje się, wyodrębnia, otwiera na oścież głębie tajemnicze i dale niezmierne, w których, jak w czarnoksiężskim pałacu zaklęta królewna, życie oddycha na łożu, usłanem z zadumy i ciszy.

Zadumy, cisze, zmroki wieczorne, ciemności nocne ścielą tu całuny uspienia i smutku; mgły snują żałobne przedziwa! mróz ze szronu i lodu wykuwa szklane trumny i z grozą gromów, z wirem wichrów

przetarzają się burze zimowe i letnie, a zaklęta królowna żyje—i nie przerywa się nigdy, choć niekiedy przycicha lub słabnie, bicie jej nieśmiertelnego serca. Nie znikają też nigdy ze stropu jej pałacu, choć niekiedy za chmury się kryją, słońce i gwiazdy, a gdy w rumieńcach jutrzni, albo w ogniach zorzy wschodzą nad światem pogodne wieczory i ranki, wzbija się od niej tysiąc głosów, tysiąc woni, tysiąc ech i po tajemniczych głębiach, po niezmierzonych dalach jej komnat, tysiącem strumieni rozplywa się czar piękności.

Za gęstwinami i drogami, za polanami i łąkami, za strumieniami i rzekami, stoi B ó r-L a d a, klejnot puszczy najdrogocenniejszy, odwieczne dziedzictwo olbrzymek. Ze wszystkiego wokół najstarożytniejsze, żyją tu same jedne sosny, potężnie broniąc państwa swego od najścia plemion innych. Jak przystoi olbrzymkom, nie zbiegają się w tłumy, lecz znacznymi odległościami rozłączone, korony rozłożyste wznoszą w podchmurne wyżyny na pniach prostych i gładkich, jakby je w kształty kolumn utoczyły dłuta mistrzów-architektów. W siwych koronkach porostów, lub rdzawo-czerwone od przejmującej miążs ich żywicy, kolumny te występując jedne z za drugich, zdając się w nieśmiertelnej gonitwie dążyć w nieskończoność bezprzestanną, budują i krzyżują labirynty portyków, z dachami rzeźbionemi we wzory iglaste, z podłozami wysłanemi puchem mchów i wrzosów. Czasem, na podłozach, rojem iskier rozsypują się korony drobnych kwiatów, lecz słabe to życie na wodzy trzymają olbrzymki, wielkimi hausty wypijające soki z ulubionej swej gleby piaszczystej, w ciszach głębokich i w woniach octowych, które u ich podnóży biją z łańcuchów gór mrówczych. Cicho i czysto. Po ślizgiej powierzchni opadłego igliwia mrówcze ludy same jedne chodzą drogami przez plemię ich ubijanemi od wieków i gdzie-niegdzie, u stóp kolumn, wznoszących pod niebo hymn wzrostu i siły, dawno pomarłe bajraki rozciągają strugi kwiecistego próchna. Cicho. Ptaki nie mają tu jagód, pszczoły wody, a motyle kwiatów. Nie nie lata, nie śpiewa, nie świegoce. Dzieciół tylko miarowo kędyś stuka pisklę krogulcze ostrym poświstem ozywa się na wierzchach i w dali zadzwieczyły krótkie, urywane dzwonki. Co zadzwoniło? To jelenie zaszczeakały. Biegną; z głuchym tententem i suchym trzaskiem rozgniatanych szyszek nadbiegają, po przezroczystych portykach przewijają się rudą smugą ciał potężnych a lekkich, które zalotnie kołyszącym się krokiem omijają kolumny, królewskimi rogami na tych luźnych przestrzeniach zaledwie potrącając opuszczające się z gałęzi włochate brody mchów drzewnych. Nagle, górą poleciały, w gałęziach zaszumiały wielkie skrzydła ptasie. Orzeł to był, czy jastrząb, albo krogulec? Jelenie stanęły, w długi sznur wyciągnięte, podnio-

sły głowy wysoko, rogi pokładły na grzbietach i wszystkimi parami oczu wpatrzyły się w azur wysokiego dachu. W oczach tych bojaźń jest i z nieskończoną słodyczą niema prośba. Tak nieruchomością posągową tknięte, w błękitne plamy nieba zapatrzone, we wzroku i słuchu całe, stoją pod spływającym na nie miedzianym blaskiem zorzy, aż zrywają się znowu i z szybkością myśli, czy strzały, mkną dalej, dalej, tam, kędy czyni się ciemniej, gęściej, kędy z ziem chłodnych i tłustych, truflami i torfem pachnących, nadchodzi ku państwu olbrzymek silny, młody, wojnę z zagładą niosący—**J e ł o s m y c z**.

J e ł o s m y c z, to czysty, żadną przymieszką obcą nie skalany, ród świerków. Świerki idą. Tłum postaci wyniosłych i zgrabnych idzie na podbój ziemi i jej żywiących soków. Z ostremi iglicami gotyckich wież na głowach, w płaszczach rycerskich, z których naokół padają długie cienie, spieszą w bój z rodem prastarym, który ziemię tę zwłokami swemi utuczył i na dalekie morza rozsyłał heroldów jej sławy w postaci niezłomnych masztów. Dwa rody spotykają się z sobą, zwierają się, walczą. Widać jak na kolumny sosen opadają ze stron wszystkich gęsto tkane płaszcze świerkowe, do stóp ich ścieląc cienie, dyszące wilgotną zgubą. Liściaste podszycia, natarczywie tłocząc się, wojskiem ciurów wspomagają szeregi zaborcze; coraz też częściej i gęściej iglice gotyckie strzelają ku niebu, a dokoła olbrzymek staje się coraz ciasniej, ciemniej:— grzyby pachną, dymna woń torfu napęlnia szczeliny, przenika pory gęstwiny, czuć jakiś tryumf, tuż obok konanie, aż u zwężonych granic starożytnego państwa, zwyciężki **J e ł o s m y c z** rozpościerać poczyną ściśliwą, ciemną, iglastymi wieżycami zjeżoną, liściastymi frankami zawieszoną — **S m u g ę C z a r n ą**.

C z a r n a S m u g a, to uroczysko pełne postrachów i dziwów. Są tam u góry mosty napowietrzne, które wichry budują z ciał rycerzy złamanych i konające czoła opuszczających na łona towarzyszy; są pod świerkowemi płaszczami nawy niskie, bezkreśne, milczące i mroczne, jak potajemne kościoły; są wśród wywrotów, które z ziemi wydarte korzenie wyciągają w powietrze nakształt nóg przeolbrzymich pajaków, trupy prastare, których nagie żebra bieleją, jak skielety przedpotopowych potworów; są nory dziwne, ciemności i tchliny pełne, pomiędzy łapami świerków, które na rozstawionych, zda się, nogach wielkoludów, tułowia drzew wysoko nad ziemią podnoszą. W czarnych ciemnościach nor tych szeleszczą gniazda robacze i ostrożnie wyglądają z nich żółte głowy kun i łasic, gdy wyżej w gęstwinach igliwia pomykają we dnie wiewiórki rude, a nocami świecą

zielone oczy i do łupieżczych poskoków zwijają się kocie ciała ry-siów. Wichry goniące się po przestworzach i burze gromami huczące dna Smugi Czarnej nie sięgają. Ulewa, kędyś wysoko hełmy gotyckie siekająca, po rycerskich płaszczach spływa rzadką rosą, i w ziemię wsiąkając, dobywa z niej zapach pleśni. Tu czasem orzeł-imperator zajrzy w ciemne rozdoły, załopoce potężnymi skrzydły i strąciwszy z drzew trochę gałęzi, z dumnym szumem odpłynie w górę. Tu czasem w głębokościach najciemniejszych, toczą się niestale, grobowe mruczenia zubrów, wzbierając i milknąc, chrapiąc i rwąc się, do grzmotu, który-by gamy swej we wnętrznościach ziemi próbował, podobne.

Podziemne to jest, ponure i roztaczające szerokie kręgi grozy. Niewiedzieć w jakiej twierdzy, obwarowanej ścianami rumowisk, zjeżonej nagimi żebrami skieletów, klótnia wybuchła i wszczęły się łoskoty, łomoty, stuki, które echa przewlekłe po lesie roznoszą. Słychać stękania drzew, potrącanych przez ciała ogromne, trzeszczenie walących się łomów, suchy łoskot zwierających się rogów, tententy racie, które w walce zacieklej wyrzucają z pod siebie bryły ziemi. Postrach idzie lasem. Cokolwiek wokół żyje przypada do trawy, do liści, do gniazda, do legowiska, do nory; pełza, kurczy się, zwija kręgi, albo pierścienie, pożąda ukrycia się, zniknięcia. Aż nagle milknie wszystko. Wśród ciszy zakłętej, którą powszechna trwoga las napęłniła, stary zubr zwyciężony rogatą głowę wychyla z gęstwiny i ciężki, ciemny tułów przesuwa po przezroczystych kolumnadach Boru-Lady. Od gęstej grzywy, która falą wełnistą wzdyma się mu na grzbiecie, i długiej brody, opuszczającej ku ziemi kądziel starganą, powiało ckliwym zapachem piżma. Zwyciężony, zadumany, ponury, opuścił rodzinne stado, aby odtąd pustelniczą swą starość melancholijnie i groźnie obnosić pośród światel i cieni, gróz i piękności, dzikich postrachów i słodkich pieszczot tej puszczy. Chodzić on będzie po szmaragdowych drogach, które wśród scian niebosiężnych w dalekich dalach otwierają się na błękity, lub na chmury niebios, i po ścieżkach swawolnych, które tysiącem skrętów biegną ku srebrnym biegom strumieni. Pójdzie on tam, kędy na olchach łąk wilgotnych wieszają się białe opary i trwożnymi błyski migocą ogniska pastusze; kędy na różowych marglach, na bogatych we wszelki liść Hrudach, gibkie graby tysiącem ramion owijają wyniosłe wiązy; kędy z podnóżami zatopionymi w szklawie wód, czarnych jak smoła, dęby pod samo niebo ciskają odwieczne swe wzrosty. Na zawsze uciszony, słuchać on będzie w klonowych gajach, jak drzewa drżeniem liści, a ptaki śpiewnym chórałem witają radośne poranki, i na zawsze samotny, ścigać

wzrokiem z za grubej kolumny chyże sarny, stadami mknące ku wieczornym leżom. Spoczynek znajdzie tam, kędy z wiecznie zielonych wąwozów, jak z czar malachitowych, ogromna i gorzka wybucha woń trawy, noszącej imię jego, albo tam, kędy błotne Nikary, na przestrzeniach dla oka niezmiernych, rozstawiają wojska trzciny w kołpakach aksamitnych.

Na ogromnem mokrzadlu Wielkiego Nikaru, w nurtach brodów, posiadały łosie i głowy tylko, konchowatemi rogami oskrzydłone, nad mętne powierzchnie podnosząc, nakształt samotnych bożków, gryzą rozmarynem pachnące bahony. Wiatry, na tych gładkich przestrzeniach, jak bieguny na stepach, hasają po niwach ajerów, irysów, grzybieni, przeciągle gwiżdżąc w oczerety, — czajki krzyczą, bąk huczy, czapla przelatuje i dokoła głów łosich zerza łuny różane ściele po stojących wodach.

.

Drobna na wielkim obrazie przyrody, ciemna i cicha wśród jej blasków i głosów, młoda kobieta stanęła w gaju osin, które kaskadami drżących liści szeleściły pośród milczących sosen. Suknia jej ciemną plamę kładła na rdzawość leśnego olbrzyma, lecz twarz w rumianej smudze zachodu jaśniała młodością promienną, jak w lipcowe upały jaśnieje wśród cieni leśnych słoneczna korona arniki. Wiosna jej minęła, fiolety uwiędły i na trawy zroszone deszczami, zryte gromami, opadły wątłe płatki anemon; lecz lato życia tak czyste i silne, jak oddechy tej puszczy, z którą bez przestanku żyła, wyrzeźbiło ją w harmonię kształtów i linii, właściwą wszystkim rzeczom skończonym w sobie, czystym i silnym.

Szafir żrenic jej, które teraz ku srebrzącym się kaskadom liści wznosiła, pogłębiły ostrza uderzeń serdecznych i blask ich uczyniły więcej podobnym do gorejącej łuny zachodu, niż do radosnych światel jutrenki. Od wzniesionej ku górze jej głowy spływał jedwabnym ciężarem węzeł włosów z barwą dojrzałej pszenicy, a palce splecione wyprzedły wieki uprawy pokoleń, fizycznej i duchowej.

W metalicznym szmerze osinowego gaju, w ślizgających się dokoła smugach rubinowego światła, ruchem zadumy czy modlitwy spłotła ręce i zatopila się w myślach.

— „Stwórco i Władzco wszystkiego, co oddycha, co oddycha
 usty oblanemi rosą szczęścia i tuż obok wargami ran, sączącemi krew
 bólu, jad krzywdy, znój walki, żalobę strat niepowetowanych;—Po-
 tego i Myśli najwyższa, która na niezmierzonej karcie wszechprze-
 strzeni kreślisz niezliczone drogi i wikłasz je w zagadkę, z utopio-
 nym na dnie, Tobie jednemu znanym, kluczem przeznaczenia; przed
 Twoją kornie pochylam swą wolę i ku Twym gwiazdom wytrwale
 wzbijam serce jak wiotki powój wici swe skłania do stóp, a od stóp
 wspina ku szczytowi leśnego olbrzyma...

„Tyś to podjął mię z pospolitego mrowiska i w ręku swych wznosił
 wysoko, wyżej, aż mi w źrenice spłynęły blaski twoich gwiazd —
 i zarazem Tyś promienie źrenic tych zgiał ku ziemi, wyostrzył
 w przenikliwość, wyciągnął w dalekowiedztwo i ujrzeć im dał mary,
 przeciągające przez świat z garbami nieszczęść i zbrodni, jak z górami,
 zasłaniającemi gwiazdy. Idą w dymach mętnych lub krwawych
 i stopy zwierzęce stawiają na gniazdach, na różach, na perłach, na śnie-
 gach niewinności, purpurach królewskich ukochań. Słyszę pękanie
 czaszek ukoronowanych, rzężenie piersi bohaterskich, westchnienia
 róż konających, chrzęsty gruchotanych pereł...

„Od kolebki brałam w siebie tę baśń nad baśniami, która tra-
 giczną prawdą ciecie u podnóży tej puszczy, aż zmieszała się ona
 z krwią moją, zabarwiła opony mózgowe, uczucia w sercu wyprężyła
 jak struny na harfie... a baśń nieskończoną i prawda jej tragiczną jest,
 o Paniel

„W tę niezmierną kartę, z której czytać mię nauczyłeś, zapatrzona,
 nie oglądałam się, nie zapobiegałam, nie widziałam, jak lata mło-
 dości nakształt fal wartkich u stóp mi płynęły, znikwały, zanim wię-
 cierz swe zarzucić w nie zdołałam, jak własne perły moje w konsze
 serca roztopiały się we lzy, zanim zdołałam wykuć z nich sobie pan-
 cerz i dyadem.

Ranek przeminął, południe nadeszło, przemija...

„Wieczór już Paniel Oto leśni ptacy,
 Skłaniają skrzydła ku gwiazdom w polocie...”

Wszyscy moi odeszli...

„Gniazdo me spadło strącone od gromu... I jak orzeł, który gdy
 płynie wierzchem puszczy, drobni ptacy odfruwają z gromadnym

szczebiotem; jak trawa tak wybuchała, że unikają jej nízkie loty motyle; jak obłok, który nad świerkami stojąc, srebrnem okiem wpatruje się w leśną ciemnicę, gdy inne w swobodzie po błękitach promiennych igrają, tak jestem sama...

„Oto pół twoich umilkli śpiewacy,
Oto dzień cały przetrwałam już w pracy!“

„Dla czego, Panie?

„Są na drogach tej puszczy brzozy płaczące, w których cieniu błogi spoczynek znajdują zmęczeni wędrowce; są na krzakach maliny, z których piją spragnione ptaki; jest na drzewach patoka miodna, ciekąca po korach, przepojonych goryczą garbnika.

„Są na ziemi ręce, które robaczki zagrożone zdeptaniem przenoszą na miejsca bezpieczne i latorośle od pni oderwane przywracają próchnicy, ze zwłok ich przodków powstałej. Są serca, które wtórują wszystkim szumom, echem, trzaskom i hukom tej puszczy, bijąc w jej łonie, jak własne jej serce...

„Czy dla tego?

„Wysłuchuję się w serce swoje i mówi mi ono: tak! tak! Przez serca ty, Panie, do ludzi przemawiasz!

„Mam wiele mogił, do których chodzę w odwiedzin, i jedną najdroższą, w której na stepach dalekich brat mój śni o niebie, nad puszczaą tą zawieszonem.

„Stara piastunka moja, gdy śmierć zamykała kochane jej oczy, rękę mą ściskając, szeptała: „Samą zostaniesz, samiutką jedną w tych wielkich pokojach...”

„Nie było dla mnie ogniska...”

„Bo raz tylko... ale ty wiesz o tem, który jesteś w sercu mojem... raz tylko rękę wyciągnęłam po szczęście. Odeszło...

„Kwiaty pojęły majowe...

„Lecz przed Twą wolą kornie pochylam mą wolę i ku Twym gwiazdom wytrwale wzbijam serce, jak wiotki powój wici swe skłania do stóp, a od stóp wspina ku szczytowi leśnego olbrzyma...”

Gdy tak myślała, coś w oddali poczęło z cicha muskać mchy i paprocie. To łani biała biegła tak lekko, że od jej stąpań niekiedy tylko zachwiała się gibka latorośl osiki, lub szerokim wachlarzem powiała paproć-orlica. Biegła wprost ku niej, na czombrach kwitnących stanęła, zatopila w niej czarne, przenikliwe oczy.

Wtedy też poświata blado złota, która pyłem jasności eterycznej napełniała i przeświecała las, poczęła mącić się i gęstnieć. Linie zacierały się, kolory gasły, kształty, wzajem na siebie następując, przechodziły w stan tych widzeń fantastycznych, które szeregiem metamorfoz przeciągają po tle usypiających powiek. Natomiast w tem, co dla wzroku stawało się już tylko chaosem i fantazmagoryą, o inne zmysły uderzyły dwa napowietrzne chóry: woni i dźwięków. Miody i smoły zapachniały, na spotkanie ich od mrówczych wzgórz wypłynął ostry ocet, z żubrowych siedlisk powiały cklive piźma, zmieszane z goryczą dzikich gorczyc i ajerów, aż ziemia wionęła dymnym zapachem torfowisk, smakiem grzybnym i razowym, wilgocią gliny, pyłem piasków, próchen i moze tych żwirów, które na głębo- kich spodach pozostawiło przed wiekami uciekające stąd morze. A w przepotętnem odetchnięciu ziemi ozwał się chór dźwięków z początkiem nieznanym i końcem przepadającym w otchłaniach oddaleń. Niewiedzieć gdzie, niewiedzieć co mówiło, szemrało, pomykało, prze- latywało... Jakieś poskrzypy i pomruki, trwożliwe szelesty, klet- koty oddalone, turkoty głuche, mętne i wnet mdlejące wołania, westchnienia przewlekane przez echa, wszystko mglisto szkicowa- ne zaledwie, z przyczyną niewiadomą i konaniem towarzyszącem po- częciu...

Wtem, wyraźnie, jasno, przeciągle, popłynęły zapadającym w noc lasem srebrne brzmienia dzwonu.

Kto i gdzie dzwoni?

Czy w głębi Sarniego Skoku tak głośno rozszczękały się jele- nie? Czy na Zamczysku zagrały ogary, których widma towarzyszą tam nocami widmowym myśliwstwom królewskim?

Nie: był to kościelny dzwon, lecz nie nad takim kościołem dzwo- niący, który wznosi się na powierzchni ziemi. Rozbrzmiewał od Mogił, uroczyńska, w którym pod ziemią i lasem, ze świątyniami, pałacami, ulicami swemi, całe, żywe, z żywą ludnością, stoi miasto, niegdyś w ziemię zapadłe. Pradawno to było; las niebosięzny nad niem wy-

rósł, lecz ono żyje i codzień o zmierzchu wysyła nad ziemię głos kościelnego dzwonu, aby oznajmiał ziemi, że żyje.

Wyraźne, jasne, przewlekłe są brzmienia dzwonu, przez które miasto pogrzebane wysyła na świat swoją pieśń tragiczną. Czy skarży się albo o ratunek woła? Czy wysyła poselstwo rozkazów, upomnień i proroctw?

Na kwitnących cząbrach, z ręką wspartą o gibką szyję łani, kobieta słucha dzwonu, rozlegającego się w leśnej pomroce, a gdy nad uciszonymi wierzchołkami osin złotem okiem wybłyskuje pierwsza gwiazda, wznosi ku niej twarz wśród zmroku białą i usta jej poruszają się szeptem błagań, zwierzeń, czy przyrzeczeń.

Jeszcze przez chwilę, w odaleniach wielkich, rubinowe iskry zorzy błędzą i migocą, lecz wkrótce gasną. Wdzięczna postać białej łani, w krepy zmroku spowijana, niknąć poczyną i—znika.

Dzwon na uroczysku mogiły rozbrzmiewa coraz ciszej, wolniej, słabiej i—milknie.

Nad uciszoną i ciemną puszczą wschodzą wysokie gwiazdy i złotymi oczyma wpatrują się w morze jej nieruchomych, milczących szczytów...

.

Od Wielkiego Nikaru, brzegiem puszczy, bystro w głębokiem łożysku płynie Lsna, a tam, gdzie Królewski Most zawieszona nad nią klamrę długą i zgrabną nad rozległymi polami i łąkami, dwór Krasowiecki stoi w odwiecznej, ciężkiej, ciemnej gęstwinie swych ogrodów. Szemrzącym szlakiem rzeki rozdzielony z puszczą, wydaje się on w dal odrzuconym końcowym akordem wielkiej pieśni.

Gęste sploty powojów owijały filary głębokiego ganku. W pokoju obszernym i niskim lampa płonęła nad stołem spiętrzonym książkami, dziennikami, wiąziami kwiatów, niemi jedwabów i smugi obfito tego światła wysyłała na ganek przez drzwi wysokie i wąskie, przez wąskie i nisko osadzone okna. Szły stamtąd oddechy samotności, spokoju, pracy. Rezeda i róże pachniały. Rozlegały się dźwięki pięknej muzyki fortepianowej. Ktoś w głębi domu umiejętnie i pięknie grał.

Seweryna Zdrojowska siedziała w smudze obfitego światła i pogodnym wrokiem spoglądała w wielką płataninę roślinną, która od brzegu do brzegu okrywała rozległy dziedziniec.

Z kruży natury napila się mocnych czarów piękna, przy legendowych brzmieniach dzwonu oko w oko patrzyła na gwiazdy, z chóru leśnych woni wzięła w siebie kroplę słodczy miodnej i trochę tego pyłu, którym z głębokich spodów wieją zwiry rodzinne, aż w serce jej, przedtem żalosne i roztęsknione, spłynęła czarna perła szczęścia. Czarna, bo blasków tęczyowych, których-by nie owijały żałobne krepy—nie znała.

Pogodnie, prawie wesoło patrzyła na drobne światła, mrugające wśród gęstej zieleni dziedzińca. Były to okna, oświetlone blaskiem płonących za niemi ognisk rodzinnych. Przychodziły stamtąd, tłumione oddaleniem, urywki rozmów, wybuchy śmiechów, świegoty głosów dziecinnych. Głosy dobrze jej znane i dusze znane. Splot losów ludzkich, drobnych, pokornych, licznych, którego nici spoczywały w jej dłoniach.

W głębi wielkiego domu ktoś grał ciągle umiejętnie i pięknie. Seweryna uśmiechnęła się do obrazu młodej artystki, która tam, w wielkim niskim pokoju, opowiadała muzycznymi tonami o duszy swej, zasmuconej przedwcześnie i ciężko. O czem to biedne, wdzięczne dziecko myśli, gdy z tak głębokiem uczuciem wykonywa utwór genialnego mistrza? Czy o porzuconej w stronach dalekich mogile ukochanej matki? Czy o krótkich, a dziwnych dziejach swego zakochanego i zawiedzionego serca.

Zwiedzione sztucznem światłem, opływającym filary ganku, dwa kwiaty powoju rozwinęły kielichy i z osrebrzonej zieleni patrzyły parą szeroko rozwartych, ciemno modrych oczu.

Seweryna uśmiechnęła się do tych oczu, w milczeniu na nią patrzących.

Obejmował ją czar kwiatów, muzyki i gwiazdzistego wieczoru. Rezeda i róże pachniały. Modrzewie, jak czarne kolumny, wzbijały się nad liściastą gęstwinę sumaków i akacyi, za którą światelka mieszkań ludzkich gasły i głosy ludzkie milkły.

We wnętrzu domu umilkła też muzyka, a w wysokich i wązkich drzwiach ganku ukazała się postać pełna wdzięku. Światło lampy oblewało wysmukłą kibić dziewczęcą i przesrebrało płowe włosy, nie ukazując w pełni rysów twarzy, białej, jak narcyz. Zbliżyła się ku Sewerynie z zamkniętym listem w ręku.

— Od Idalii—rzekła zcicha.

Z rozdartego papieru wypadła twarda kartka, na którą Seweryna nie zdołała rzucić okiem, bo spostrzegła ją Henryka i z miękkich, pieszczotliwych ust jej, wydarł się okrzyk. Uczucie przestachu, zdziwienia, radości niespodzianej i przejmującego bólu zabrzmiało w tym okrzyku. Ręce jej, trzymające wizerunek młodego mężczyzny, drżały i nisko nad nim pochylała zarumienione czoło, aż powolnym ruchem osunęła się do kolan towarzyszki i, twarz kryjąc w jej sukni, cicho załkała. Płacz wstrząsał szczupłymi liniami jej pleców, a ręce, białe jak narcyzy, rozpaczonym ruchem opasywały złoto włosów.

Więc tak! więc zawsze! Nie pocieszyła się, ani zapomniała.

Idalia Olska, ta płocha kobieta, z sercem tkliwym i usty wielomównymi, miała oddawna zwyczaj przesyłania tu z szerokiego świata, po którym, jak motyl bujała, wieści, opowieści, wizerunków. Przysłała teraz ten i ugodziła nim w serce tej dziewczyny, jak grotem, który, pograżając się w ranę, ból jej odnawia i zaostrza. Rozkochanej i opuszczonej ciężko jej było żyć; nie mogła zapomnieć, nie mogła zrozumieć...

Seweryna, znająca dobrze te dwoistości natur ludzkich, które częstokroć w uplot nierozwikłany łączą ludzką wspaniałość i marność, nie rozumiała również. Kto to był? Kim, jakim był? Jakie pobudki, wahania, burze, rządzić nim mogły, gdy wszystkimi urokami światowca i tą wykwintnością słów i uczuć, która w uczonym odsłania poełę, podbijał serce, umysł, zmysły tego pięknego dziecka, a potem odjechał, nie wrócił, umilkł, zniknął? Jaką była ta dusza tak potężna i zarazem tak licha? Potężna być musiała, skoro talentem i trudem we wczesnej młodości podbijała już światy wiedzy i sławy; licha być musiała, skoro po drodze swej siała lzy. Siew łez przerażał oczy jej, nawykłe do samotnego wpatrywania się w ideały, siejące rosę pociech.

Wiedziała o nim wiele, a przecież nie rozumiała... Suchy wiatr kosmopolityzmu odniósł ojca jego w kraje dalekie. Tam wzrósł i w tamtejszej mowie zasłynął myślą niezwykłą, silną i śmiałą. Nie słuchał nigdy szumu zbóż na niwach rodzinnych, ani rozbrzmiewających po leśnych głębinach dzwonów legendowych. Był latoroślą od rodzinnego pnia oderwaną, wspaniale wyrastającą na niwie obcej i nie zdawał się oglądać za niczem, ani wiązać się niczem, co nie było potęgą, blaskiem, sławą, radością życia.

W rozległym labiryncie drzew, dom otaczających i gniazd ludzkich pełnym, pogasły światła, pomilkły głosy, zapanował sen. U okna

otwartego na modrzewie i akacye, przy lampie, którą oblatywały drobne motyle nocne, Seweryna wpatrywała się w wizerunek człowieka, o którym nie mogła przestać myśleć. Myśl o nim krzesłała w niej gorącą iskrę niewiadomego pochodzenia. Brwi jej ściągnęły się do skupionej uwagi, a na ustach zawisł uśmiech niedowierzający. Z doskonale wykonanego wizerunku patrzyły na nią oczy mądre i chłodne, a wśród delikatnie zarysowanego owalu twarzy, cienkie wargi zdawały się drgać uśmiechem ironicznym; lecz na kształtnem czole, okrytem blaskiem myśli, leżała śród brwi zmarszczka bolesna i rzucała na twarz całą rys zamkniętego w dumnym milczeniu cierpienia. Z młodzieńczej tej twarzy były: mądrość, duma, ironia i nie było w niej szczęścia, ani dobroci. W zamian, z za jej chłodu i dumy przeglądało coś z tych wiecznych tęskności, które zalewają spody dusz marzycielskich, i coś z tych gniewów, które je przepalają, gdy świat zjawisk, ani świat myśli, ani świat uczuć, rojeniom i pragnieniom ich zadość uczynić nie mogą.

Ręce z wizerunkiem na kolana opuszczając, pomyślała, że... nic dziwnego.

Nic dziwnego, że dziecko to pokochało tego pięknego, mądrego człowieka, i że zapomnieć o nim nie mogło.

Wiedziała, jakim ciepłem serdecznem i jaką delikatnością starań Tadeusz Rodowski otaczał Henrykę wówczas, gdy na dalekim południu śmierć przybliżała się do ukochanej jej matki. Wiedziała, że w jakiś wieczór letni, nad brzegiem południowego jeziora, w ogromnym szumie wodospadu, ogarnął ich płomień momentu takiego, o jakim zapomnieć zawsze nie łatwo, czasem niepodobna. Osieroconym i zranionym ptakiem Henryka pod dach jej zleciała, pozostawiając za sobą mogiłę matki i nadzieję szczęścia. Zginęła jej też, w dalekiej podróży, rzecz nieprzeplacona: wiara w prawdziwość i trwałość uczuć ludzkich. I ani cisza jej domu, ani ciepło jej serca, ani przyroda, ani sztuka, nie mogły dotąd ukoić serca, w którym z krótkiego kochania sączyły się nieustannie łyzy bólu i srozsze od nich uśmiechy zwątpienia. Serce to było zbyt młode, ze strażami zbyt słabo jeszcze umocowanemi, aby zwycięsko zwalczać mogło ponure czynniki życia.

Przywykła na widok cierpień ludzkich do zapytywania u serca, rozumu, sumienia: co czynić? Seweryna myślała długo, aż u okna otwartego na modrzewie i akacye, w świetle lampy, którą oblatywały motyle nocne, stanęła z powziętym w myśli zamiarem. Wiedziała już

co uczyni. Spróbuje naprawić to, co pękło w rękę może kaprysu albo przypadku.

W zamiarze swym widziała jasno to marzycielstwo nieśmiertelne, które ją samą wytrąciło z kolei powszednich i losy jej uczyniło niepodobnemi do innych. Daremnie płynęły po niem gorzkie wody życia; trwało, jak trwać musi ręką Boga naciągnięta w duszy ludzkiej struna. Trwało i, wiecznie czepiając się blasków górnych, zrywało się do walki z ciemnymi marami świata. Własne jej szczęście pękło w niem, jak zdeptana perła, a górne blaski umykały z dłoni. Wątpła z niej prządka, z kądzieli ideału snująca nie złotą, którą wciąż nożycami nieubłaganymi przecina Parka, siedząca na nieskruszonej skale rzeczywistości...

Tak myślała i nagle ogarnęło ją zdziwienie. Nawykła do pilnego rozpatrywania się w pobudkach zamiarów swych i czynów, odkryła wśród tych, które w tej chwili nią rządziły, jedną, niespodziewaną i tak niejasną, że zaledwie rozpoznać ją mogła. Jakkolwiek gorącem było współczucie jej dla cierpiącej, blizkiej i drogiej istoty, lecz łączyła się z niem głucha chęć spojrzenia w głąb duszy niezwyklej i tajemniczej, głuche pragnienie wyrwania się z koła codzienności ku blaskom i płomieniom rzeczy odległych, niezwykłych. Człowiek, którego wizerunek trzymała w rękę, stawał przed wyobraźnią jej w postaci zagadki, zdawał się być upostaciowaniem samej jednej tylko, niestrudzonej, dumnej, zimnej myśli; a przecież oko przenikliwe wychytywać w nim mogło, również jak myśl nieubłagane i dumne, cierpienie. Dla woli i świadomości tajemnie, pomimo świadomości, pomimo woli, na ustach jej pąsowych, jak dojrziała jagoda kaliny, drgały pytania: kim jesteś? Skąd uderza źródło twego bólu? Dla czego lekceważąco czy lekkomyślnie upuszczasz z rąk róże, strząsaszasz z serca krople napojów rajskich?

Jak ze snu obudzona, podniosła schmurzone czoło. Czyliż człowiek nigdy nie może do ostatka samego siebie od siebie odtrącić? Czyż te nawet dusze, które najgoręcej oddane są gwiazdom, wzdychać jeszcze muszą ku prochom drobnym i marnym? Czyż zawsze złoto uczuć musi zawierać w sobie przymieszkę lichego metalu?

Ciemność i cisza napełniały wielkie pokoje domu. W takich ciemnościach czepiają się po ścianach cmy pomarłych nadziei i pod sufitami łopoczą nietoperze zwątpień; na takich ciśnionych kołyszą się, jak na całunach, melancholie bezdenne i marzenia tęskne...

W pobliżu Lsna szemrała kryształowo; w oddali Bór Lada toczył posępną gamę szumu. I szły od niewidzialnej w ciemnościach puszczy westchnienia przeciągłe, wołania niewyraźne, szelesty, szmery, coś, jakby lekkie po mchach stąpania lani, — coś, jakby konające w odległościach echowych brzmienia dzwonu...

II.

Białowieża — Krasowce.

Wspólna krewna nasza, pani Idalia Olska, wyjaśni panu przy sposobności stopień zachodzącego pomiędzy nami pokrewieństwa, a jeżeli i potem jeszcze to przemówienie moje wyda się dziwnem, to niech Pan pomyśli, że popełniła je kobieta dzika. Idalia opowie Panu, w jaki sposób, przed laty dziesięciu, towarzystwo w salonach jej zgromadzone obdarzyło mię przydomkiem: dzika. Taką pozostałam na zawsze. Zawsze mieszkam w Puszczy i na świat patrzę z pod kąta — puszczonego.

Od paru już lat z zajęciem ścigam wzrokiem tę świetną drogę, którą Pan idzie ku wielkiej zapewne przyszłości. Mam trochę nadziei, że mię Pan o przyczynę tego zajęcia nie zapyta, lecz jest to tylko nadzieja. Mieszkańcem odległej stolicy będąc, może Pan nie spostrzegał nigdy, jak drzewa lasu gałęziami splatają się ze sobą, i jak kłosy na zagonie spójną falą oddają pokłon słońcu. Co do mnie, często i z podziwem myślę o tych magnesach, któremi natura pociąga ku sobie planety jednego systemu, drzewa jednego lasu, kłosy jednego pola i dzieci jednego rodu. Ja i Pan jesteśmy dziećmi jednego rodu; stąd chęci moje — i prawo — podziękowania za liść wawrzynu, który Pan rzuca na jego ciernistą niwę. Tak wczesne podboje wśród narodu nie tylko obcego, lecz wrogiego, są tryumfem, który dzielimy z Panem, choćby Pan o tem nie myślał i o to nie dbał.

Wiem od Idalii, że miesiące, wolne od prac naukowych, przepędza Pan zwykle w Alpach, nad jeziorami południowemi, nad brzegami

rozmaitych mórz. Czy nigdy nie przyszła Panu myśl spędzenia ich na wsi polskiej? Czy wiedza i młoda sława wystarczają jeszcze do czynienia widnokręgów Pana zajmującymi i ciepłymi? Bo słyszałam, że niekiedy blaski ich doświadczają, zaćmień i że bywają na świecie takie śniegi, których one roztopić nie mogą.

Czy Pan nigdy jeszcze nie widział zaćmienia swoich słońc, ani uczuł tych szronów, które wśród dróg kwiecistych zagnała oblatując duszę?

Inne jeszcze pytania cisną mi się do myśli, bo przecież na żadnym płótnie malarskiem niema tylu barw, ani w żadnej melodii muzycznej tylu tonów, ile w człowieku, wyrzeźbionym przez naszą przesubtelniejszą cywilizację, zawierać się musi zawikłań psychicznych. Ale — czy podejmie Pan koniec tej nici, którą przez daleką przestrzeń ku panu zarzucam? Wszakżeśmy na jednym globie — dwa różne wcale duchy.

Więc już tylko poproszę, aby Pan przyjął od rodaczki i krewnej pozdrowienie najżyczliwsze, z którym przysyłam trochę leśnych woni naszych, trochę szmeru Lsny, kroplę z mgieł, budujących tu na łąkach pałace czarnoksiężskie i promyk ze świecących nad mną gwiazd.

III.

Szwajcarya — Interlaken.

Nie tylko odpowiadam Pani jako krewny, który szczerze cieszy się z nawiązania węzłów rodzinnych, przez okoliczności i czas rozluźnionych, — lecz podjął-bym z gotowością wielką, ową rzuconą mi przez daleką przestrzeń girlandę z woni, mgieł i szmerów puszczy białowieskiej, podjął-bym ją nawet z pośpiechem, gdyby nie obawa, że połączyła mnie ona z pustelnią krasowiecką tylko przez omyłkę, wskutek informacji błędnych. Mam w podejrzeniu wspólną krewniaczkę naszą, panią Idalię, zawsze bardzo na mnie łaskawą, że przesadnymi

opowiadania, zapewne pochwałami, których mi nigdy nie szczędzi, w błąd Panią wprowadziła. Ona-to chyba, potrafiwszy wmówić w siebie, że dokonywam jakichś podbojów, że już czoło moje opasuje aureola wielkości, usiłuje innych o tem przekonać.

Z pięknem pozdrowieniem swem, za które wielce obowiązany jestem, zwróciła się Pani do zwyczajnego śmiertelnika, który tem tylko różni się od przeciętnych szeregowców życiowych, że, w braku przymiotów potrzebnych do walczenia na arenach innych, stał się molęm książkowym, zgłębiającym problematy tak niezmiernie żywotne, jak psychologia ameby, albo kwestya: czy przodkom naszym trylobitowej postaci, w epokach sylurskich, dogadzała więcej woda słodka, czy słona? Dla tak mało zajmującego szeregowca szkoda woni bijących z litewskich lasów, pereł mgły zbieranych na łąkach, szmerów strumieni etc. W ten sposób obdarzony, możeby już dziś nie potrafił należycie skorzystać z tych darów rozwiewnych, jak asceta, któremu-by ręka nieopatrna rzuciła przez okno celi wiązkę purpurowych róż.

Jestem istotą wcale nieciekawą; do roli tryumfatora, który-by rzucał promień sławy na niwę swego rodu, bardzo mi daleko. O uczoności swojej wiem to jedno, że nic nie wiem, a rozgłos imienia swego odgadywać mi pozwala tylko wzrastający zastęp współpracowników tak szlachetnych, że serca ich uderzyły-by nieklamana radością, gdybym się w sposób jakikolwiek potknął na tym gościńcu, który — jak wieść niesie — wiedzie ludzkość do poznania prawdy. Słońca moje, o które Pani zapytuje, nie świecą wcale, albo przynajmniej chwieją się płomykiem niestałym, tak jak ja sam nie jestem na horyzoncie wiedzy pochodnią, lecz chyba lampką, której drobne pobłyski ustawicznie chwieją się i roztopiają — w ciemnicy.

Oprócz darów powyżej wymienionych ofiarować mi Pani raczyła promyk z gwiazd, które nad głowę Pani jaśnieją. Wszakże to metafora? I pozwalam sobie wyznać, że znajduję ją piękną. Wyobrażam sobie, że idzie w niej o tak zwane ideały, czyli błyszczące cacka, bardzo pożądane, a nawet konieczne do rozjaśniania puszczy, gdy przed niespokojnym duchem człowieka pootwiera ona swe perspektywy mroczne, ogromne, monotonne i bezładne.

Nie doświadczyłem nigdy, jakimi głosami pustkowie bez nadziei i bez granic przemawia do człowieka; jednak pojmuję, że w takim kole zamknięty duch, aby nie zatracić samego siebie, sam sobie musi budować rusztowania podniebne i, zawiesiwszy je kolorowymi lampkami, krzepić się albo bawić się ich jasnością. Pojmuję też, że

z tak wielkiej odległości umiejętność wydawać się może jednym z najpotężniejszych ognisk w systemie słońce, ku którym zwracają się źrenice, spragnione ideału. I to właśnie przejmuje mię trwoga. Lękam się, aby przy bliższym zetknięciu się ze mną, jako, bądź co bądź, przedstawicielem nauki, nie tylko dumny Faros wiedzy nie zmałał, i nie pobił w oczach Pani, lecz aby jej własne gwiazdy, czyli te piękne lampki, palące się bezpiecznie i spokojnie nad starożytną jej siedzibą, nie zbladły i jedna po drugiej nie zagasły, pozostawiając na tle ciemnicy ogólnej otwory, z wyglądającą przez nie wiekiustą i niczem nie nasyconą próżnią.

Więc jeżeli Pani wyciągnęła do mnie rękę z celem i chęcią zbliżenia się do tego słońca, którego jestem kapłanem, to, dla uchronienia Pani od zawodu, ostrzegam, że zbliżka oglądana twarz tego bżyszczka jest więcej martwą, aniżeli żywą, że na tem słońcu są plamy, i że to słońce nie grzeje. Zdarzyć-by się mogło, że zamiast znalezienia pożądaných zachwyków, znalazła-by się Pani wobec szyderczych pytańników i bezlitosnych negacyi. Zdarzyć-by się mogło, że przy tem dziwnem słońcu stało-by się Pani zimno, że opustoszał-by świat ideałów Pani i wymknęły-by się z rąk przedmioty dotychczasowych ukochań i wierzeń. A szkoda było-by tych błyszczących cacek, z pewnością bardzo w życiu pożądaných, a czasem nawet koniecznych. Przykro-by mi też było, gdybym to ja właśnie miał roztoczyć przed Panią podwoje tego Sezamu, który tak wiele bierze, a tak mało daje.

Jeżeli zaś łaskawe zajęcie się mną jest natury więcej osobistej, o czem skromność każe mi powątpiewać, w takim razie pozwoli mi pani pedaną dłoń uścisnąć i poprosić o względy życziwe na przyszłość. Jesteśmy spokrewnieni ze sobą przez matki, ale, jak Pani może wiadomo, matka moja nie żyje już oddawna. A ponieważ od niemowlęctwa prawie jestem mieszkańcem Wiednia, więc nie dziw, że stosunki rodzinne, a zwłaszcza parentela mojej matki, tak się w umyśle moim zatarły, że obecnie zapytać musiałem o stopień łączącego nas pokrewieństwa. Nie należąc do najbliższych, dalekim nie jest. Że Pani chciała przypomnieć sobie o tem, szczerze dziękuję.

Głos Pani nie zastał mię w Wiedniu, gdyż natychmiast po ukończeniu prac dorocznych, uciekliśmy z zakurzonego miasta pod stopy przeczystej Jungfrau. Mówię w liczbie mnogiej, ponieważ wkrótce po mnie przybył tu ojciec mój, a także pani Idalia zatrzymała się nad Aarem, w drodze do Biaritz. Przedstawia się więc wcale dobra sposobność do małego familijnego zjazdu. Dla względów rodzinnych powinna pani na kilka tygodni wyrzec się puszczy i odwiedzić tu panią Idalię.

Przyszło-by to Pani tem łatwiej, że byłby jednocześnie hołd złożony pięknej przyrodzie, którą pani zapewne kocha, chociaż jej bezpośrednio, tak jak ja, nie służy. Przyroda bezwątpienia wszędzie jest piękną; o takich wszakże pięknościach i czarach, w jakie tutaj się strói, ani marzyć chyba na waszej północy. Natężenie barw i światła bywa tu niekiedy wprost bajeczne. Jest tutaj tyle słonecznego światła i ciepła, że pomimo sąsiedztwa lodowców dni letnie przybierają pozór strefy południowej. Panuje tu przedewszystkiem nadmiar światła i słońca. Jestem czcicielem światła i kosmicznego słońca. Dla tego też nie jeżdżę nigdy tam do was na północ, bo po niebie *waszem* przepływa więcej chłodnych łez, niżeli upalnych promieni — a moje życie jest krótkie.

Bawię tu już od tygodnia i codzień podziwiam widok roztaczający się z naszych balkonów, jak coraz nowe czarnoksiężstwo.

Codzień od strony lodowców Rodanu wzlatuje na niebo słońce; niby ognisty ptak, gorejący złotem, szybuje olśniewającą smugą przez firmament i za Tuńskim jeziorem znika w pożarach szkarłatu i krwi. A lecąc, świeci szafirowym wodom i srebrnym prądom Aaru, puszystym łąkom i lasom, olbrzymiej falandze Alp śnieżnych, które oskrzydlażą nas mroźnym pierścieniem i wreszcie nam, którzyśmy taborem stubarwnym rozłożyli się w dolinie i mrówczym rojem zalegli okoliczne góry.

Oto są widnokreśli widne i ciepłe, które nie doświadczają zaćmień. W ogólnym tryumfie światła giną tu krajobrazowe szczegóły, podobnie jak w duszy turysty giną wszystkie zaćmienia i plamy, pozostawione przez życie.

Na tym błogosławionym gruncie, na tle przepysznej dekoracji alpejskich jezior, kaskad, wiecznych śniegów, pragnął-bym powitać mieszkankę pustelni białowieskiej i oprowadzić ją po krainie, gdzie, mimo grzmiących w upadkach lawin, bezpieczniej mieszkać, niż w uśpionych samotniach puszczy, i gdzie, pomimo spiętrzonych wokół lodowców, istnieją drogi pewniejsze, niż na zawrotnych szlakach ducha.

IV.

Krasowce.

Pilno mi obawy pana uspokoić i zarazem sprostować linie obrazu, który w umyśle pana odmalowała przestrzeń daleka.

Dzikości naszej bardzo dosłownie brać nie należy. Książki, dzienniki, w najrozmaitszych postaciach wieści z szerokiego świata — otrzymujemy i oddawna już bałwochwalcami nie jesteśmy. Ponieważ otrzymujemy książki i dzienniki, więc z nich, nie z ust Idalii, daleko więcej [miłych, aniżeli w tym wypadku kompetentnych, wzięliśmy miarę rozgłosu, który zdobyło sobie w świecie imię Pana. Ponieważ nie jesteśmy bałwochwalcami, więc nie uderzamy czołem z oczyma zamkniętymi przed bożyszczem żadnem, choćby niem była wysoko czczona przez nas nauka. Jest w nas niejaka moc, przez którą nie dajemy bożyszczom jakimkolwiek gasić naszych gwiazd, a jednym ze źródeł tej mocy są najpewniej te łzy, o których pan mówi, że jest ich na niebie naszym daleko więcej, niżeli promieni. To prawda; lecz niemniej wydaje mi się prawdziwem, że łzy nie zawsze bywają chłodne.

Owszem. Znajduje się w nich często wiele ognia i soli; a sól, to podobno znakomity oddziaływacz przeciwko anemii i tylko w skałach formacyi ogniowej w obfitości znacznej znajduje się granit, rzecz, jak wiadomo, do skruszenia trudna.

Zanim powiem, co wiem o bożyszczu, którego fatalnych wpływów lęka się pan dla moich gwiazd, opowiedzieć muszę o pewnym zwyczaju, na pozór dziwnym, który panował pośród naszych dalekich przodków.

Oto, wedle świadectw wiarogodnych, starożytni Litwini, wnet po przyjsciu na świat niemowlęcia, zwilżali mu usta kroplą soku, wyciśniętego z piołunu. Zwyczaj ten miał na celu przyzwyczajanie dzieci ziemi od pierwszych świtów życia do ziemskich goryczy. Przeminał oddawna, lecz tak wiecznie działalnemi są spadki, brane

przez pokolenia od pokoleń, że dziś jeszcze posiadamy w stopniu rzadkim możność połykania soku piołunowego bez trucia się nim i odgadywania każdej jego kropli, gdziekolwiek się znajduje. Kropla piołunowego soku przesączyła się przez zdanie Pana o słońcu nauki. Mówi Pan, że oblicze jego jest więcej martwe, aniżeli żywe, że ono nie grzeje, i że są na niem plamy. Wiem, dla czego takim bywa ono niekiedy.

Zdarzyło się raz, że gdy pewien pustelnik i mędrzec wielki opuszczał pustynię, kwiat myśli swej, na pustyni dojrzalej, w rękę dla ludzi niosąc, słońce (to kosmiczne) zaszło mu drogę i blask ogromny w twarz mu cisnęło, aby poznał, jak jest dumne i szczęśliwe. A on uśmiechnął się i rzekł: „O wspaniałe ciało niebieskie! Cóżby się uczyniło z twoją dumą, z twojem szczęściem, gdybyś postradało tych, którym przyświecasz?”

Zdaje mi się, że tak być musi z mieszkańcami wszystkich światów i ze światłem wszystkich słońc, które wówczas tylko szczęśliwymi być mogą, gdy jaśnieją nad czemś i dla kogoś!

Bo czyż jest na ziemi jakakolwiek droga ludzka bez piasków suchych, po których błądzą mirażę zwodnicze, bez głuchych oniemień, wśród których straszą Sfinksy, blade od wiekuistych dumań nad zagadkami, wiekuiście nieodgadnionemi? Niema na ziemi takiej drogi ludzkiej, jak na niebie duszy niema światła takiego, które-by, oświecając pustkę duszy, było zarazem ciepłem.

Aby pośród mirażu zwodniczych i Sfinksów bladych nie omdleć i nie zwiędnąć, kwiat myśli potrzebuje wody z tego źródła, któremu mądry pustelnik przypisał szczęście słońca. Potrzebuje on kielich swój rozwijać i koronę rozwierać dla kogoś, dla czegoś kochanego. Nauka, pani marmurowa, na wozie żelaznym jadąca, wtedy krainy przebywane ogrzewa i użyźnia, gdy przed nią ze złotemi włosy, rzucconemi ku celom podniebnym, płynie płomienna gwiazda miłości. Wtedy marmurowa pani krainy przebywane ogrzewa, sama rozgrzana tchnieniem gwiazdy, która ogień nieci i ogniem świat przepływa.

Trzeba wiedzieć dlaczego bada się psychologię ameby i że to jest takie malutkie ogniwo niezmierne długiego łańcucha, na którym ziemia i to, co na niej, powoli, powoli, wznosi się coraz wyżej. Bez tego łatwo przy badaniach nad amebami, tak jak i przy każdej robocie innej, dostać bolesnego skurczu serca, od którego skurczą się także mózg i ręce, albo zakrztusić się suchym piaskiem pustyni srożej

i śmiertelniej, niż w epoce sylurskiej, jakikolwiek mięczak krztusił się wodą słoną, czy słodką.

Tyle o piołunowej kropli, która z ręki Pana spłynęła na ideał nauki i—na ideały wogóle. Wiem, że słowa moje,—jak żadne zresztą słowa, wywabić jej z duszy Pana nie mogą, ale chcę, aby Pan wiedział, że, odgadując ją, byłam wzruszona, że oczy moje spoczęły na niej z życzliwym i współczującym smutkiem. Bo mniejsza o pochodzenie gorzkiej kroplic! Gdy w czyjej duszy jest, dusza ta staje się droższą i szanowniejszą dla człowieka, który ją również, choćby skądinąd wziętą, czuje i dźwiga w swojej.

A teraz, kilka słów o klimatach.

Nie mogę obronić się chęci zapytania: w jakiej odległości {od bieguna północnego umieszcza Pan Krasowce? Bo jednak, najpowszechniej, ludzie tu umierają z przyczyn wcale innych, niż zmarznięcie, a bieg Lsny nie jest mniej rączy, ani prądy jej nie są mniej srebrne od biegu i prądów Aaru. Co do słońca, to było ono znane Litwinom już za czasów królowej Kruminy, która pierwsza ziemię tutejszą zasiała ziarnami różnych zbóż. Działo się to niezmiernie dawno, a wówczas już słońce jeździło po tutejszem niebie wozem, zaprzężonym w trzy rumaki, z których jeden był srebrny, drugi złoty, trzeci brylantowy. Na usługach swoich miało też dwie niebieskie dziewice, z których jedną była jutrzienka, czyli Auszra, a drugą gwiazda wieczorna, czyli Wakarine, służebnice wielce czynne i gorliwe, jak się to z dwóch stróf, zapisanych w pamięci ludu, okazuje."

Strofa pierwsza opiewa dziewczynę, która w dniu nadchodzącym spodziewa się powrotu kochanka-wojaka. Niecierpliwa i usnąć nie mogąca, wychodzi na próg numy z wołaniem: „Auszro! Auszro! wnijdź na ziemię wypędź z nocy dzień!“ Ale Auszra, brzeg różowego czoła nad ziemię wychylając, odpowiada: „Nie mam czasu; muszę wpierw ogień dla słońca rozniecić!“

W drugiej strofie, przeciwnie, siwy dziad, któremu dnie w trzykroć wydłużała nuda starości, ku zachodowi wyciąga ręce z wołaniem:

„Wakarine! Wakarine! wynijdź nad ziemię i wypędź z dnia noc!“ Ale Wakarine, złotym puklem włosów nad ziemią pobłyskując, odpowiada: „Nie mam czasu; muszę wpierw słońcu łoże uślać!“

Jasnem jest tedy, że Litwini w czasach bardzo starożytnych posiadali już słońce, i to możne, bogate, z zaprzęgiem brylantowym, ze

służbą nie byle jaką. Posiadają je i teraz, pewno, że świecące i gorzące na sposób inny, niż się to dzieje nad Alpami, lecz czyliż nie jest ono dość potężnem i niewyczerpanem, aby w każdą czynność swoją wlewać równie, chociaż i różne, wdzięki i rozkosze?

Z braku słońca ludzie biedy nie miewają, bo ono dobre, wszechwidome, wszędzie jest, wszystkim przyświeca, złotą pieszczotą otula nawet śniegową chatę Eskimosa i jasnym promieniem, jak dobroczynnym palcem, wskazuje Grenladczykowi płynącą ku jego brzegom ławę fok. Lecz bieda w tem, że istnieją w przestworzach smoki, które ze słonecznego jądra wyzerają blask i ciepło, a jednym z najżarłoczniejszych z pośród nich jest smutek, który, ilekroć zasiądzie w oczach ludzkich, tak chciwie wchłania w siebie blaski słoneczne, że one do oczu tych dojść nie mogą. Wielkie złote słońce świeci na niebie, lecz oczom, które zasiadł smutek, ciemno. Jest to zresztą jeden tylko z mnóstwa nieprzyjaciół, których posiada ciało niebieskie. Znali już ich starożytni Litwini, dawali im nazwę Majtaszanów i do walki z nimi wysyłali swoje olbrzymy. Tradycijną u nas stała się walka ze smokami, wyzerającemi ze słońca blask i ciepło. Czy nie uczuł Pan nigdy w żyłach swoich tej kropli krwi przodków, która uzbrajała ich przeciwko Majtaszanom?

Za zaproszenie pod stopy Jungfrau dziękuję, jako za objaw uczuć życzliwych, ale w tej chwili Krasowiec opuścić nie mogę. Położenie właścicielki dużego kawałka ziemi tutaj nie jest wcale synekurą, lecz owszem, sprowadza zajęć i obowiązków mnóstwo. Teraz tu pora żniw. Muszę koniecznie wiedzieć, ile zboża wydadzą pola krasowieckie choćby dla tego, aby nie omylić się w wyliczaniu wagi dział, które będę mogła wystawić przeciw Majtaszanom.

Jednak zajęcia różne pozostawiają mi dość czasu na przechadzki. Dziś z raną, bardzo wczesnie, byłam w lesie i widziałam Ausrę, gdy różową wstęgą podszywała lipy, które spokojnie w sinym świetle stały, z jasnymi wieńcami jemioly na ciemnych czołach. U stóp jednej z lip podjęłam coś błyszczącego. Był to liść świeżo z gałęzi upadły, gęsto osypany kroplami rosy. Każda kropla błyszczła, jak brylant, a liść pachniał kwiatem lipowym i mokrym mchem. Z drobnej tej rzeczy biła taka świeżość i świetność, jakby nie wiatr tylko co strącił ją z drzewa, lecz Anioł skrzydłem porannem zwiął z raju.

Może się mylę, lecz nieraz myślałam, że subtelność drobnych tworów natury więcej jeszcze niż przepych olbrzymich odsłania zdumiewającą niezliczonosć i delikatność nici, któremi zasnutę są krosna

Arcymistrza-Stwórcy. Zresztą, aby wszędzie i we wszystkim uczuwać cuda natury, trzeba, tak jak Boga, mieć ją w sercu.

Upały panują tu silne. Codzień od strony niezmiernych mokrzadeł Nikaru słońce wyjeżdża na niebo złotemi i brylantowemi końmi, pędzi olśniewającą smugą przez firmament, a pędząc świeci gotyckim wieżom świerków, przezrocznym kolumnadom sosen, lipom stojącym w jasnych wiankach jemioly, jeleniom pojącym się u srebrnych prądów Lsny, Gwoźny, Narewki, Jelonki i—polom, jak wzrokiem zarzucić, rozległym, których złote przestworza okrywają roje istot nizko nad ziemią schylonych, stałą sierpów błyskających, oblaných znojem pracy... Nie mogę opuścić Krasowiec.

Jednak pragnę brać duchem udział w zjeździe rodziunym. Niech Pan przypomni mi pamięci ojca swego, który w porze mego dzieciństwa bywał czasem w Krasowcach gościem mego ojca, a Idalię serdecznie ode mnie pozdrowi. Z Panem zaś — do blizkiego rozmawiania! Proszę, aby dalekiem nie było. Bardzo chętnie mówić będę panu o tutejszem słońcu i nawzajem słuchać o—tamtejszem, a jeżeli pan tę chęć moją podzieli, może w tej skromnej girlandzie, którą ku Panu zarzuciłam, rozkwitnie dla nas jaki trójliść dobrej wróżby.

Pamiętnik generała Jana Weyssenhoffa.¹⁾

ROZDZIAŁ V.

1809—1810. — Ślub Jana Weyssenhoffa z Teklą Otwinowską. — Kampania r. 1809. — Pułk 12-ty przyciąga z Torunia pod Warszawę. — Narada generałów o planie kampanii. — Poniatowski skłania się do zdania Dąbrowskiego. — Pułk 12-ty pod rozkazami Sokolnickiego, a prowadzony przez Weyssenhoffa, stacza 26 kwietnia pomyślną bitwę pod Grochowem. — Wzięcie przez Sokolnickiego okopu i mostu pod Górą 3 maja. — Wzięcie Sandomierza 17 maja. — Śmierć Marcelego Lubomirskiego. — Obrona Sandomierza 16 czerwca. — Weyssenhoff, ranny na murach miasta, leczy się w Lublinie, wraca do pułku w lipcu. — Kapitulacja Krakowa i podstępne wydanie miasta przez Austryaków Rosyanom. — Wejście wojsk polskich do Krakowa 15-go lipca. — Spotkanie Weyssenhoffa z żoną. — Rzut oka na całą kampanię. — Przyjazd króla saskiego do Krakowa w maju 1810 roku.

W ciągu tej zimy (1808—9) jeździłem niekiedy do Warszawy. Tam, wprowadzony przez przyjaciela mego, p. Aleksandra Linowskiego, do domu p. Otfinowskiego, Krakowiaka, kolegi brata mego Józefa w poselstwie na sejm czteroletni, poznałem córkę jego, pannę Teklę, a że była znakomitego wychowania i piękna, przywiązałem się do niej. Prosiłem o jej rękę listownie, gdyż ojciec był odjechał dla interesów do Krakowa, zostawiając córkę w Warszawie w towarzystwie państwa Leśniewskich i Izydorów Krasińskich. Otrzymawszy zezwolenie ojca (matka jej już nie żyła), przyspieszyliśmy akt ślub-

¹⁾ Patrz zeszyt lipcowy, str. 1; sierpniowy, str. 300.

ny ¹⁾. Świadcami byli: brat mój, marszałek Sołtan, generał Hauke, Tadeusz Tyszkiewicz, Izidor Krasiński i wspomniany Aleksander Linowski.

Nie długo wszakże używałem szczęśliwych chwil, gdyż w parę tygodni przyszła wiadomość z Galicyi o zgonie ojca: było to w miesiącu lutym. W końcu zatem tego miesiąca musiała żona moja jechać do Krakowa, dokąd ją wzywały w nieładzie zostawione interesy znacznego majątku. Z niewypowiedzianym smutkiem rozstawałem się z młodą żoną, tembardziej, że zachmurzony horyzont polityczny zapowiadał nowe burze i groził nawet przerwaniem komunikacji z Krakowem. Po tem bolesnem rozstaniu się pośpieszyłem do pułku swojego do Torunia, gdzie przybycia mego niespokojnie wyglądano.

Mówiono już o niespokojności od granic austriackich, alie nagle odebraliśmy wiadomość o wypowiedzeniu wojny i razem o wkroczeniu w nasze granice mocnego korpusu nieprzyjacielskiego pod dowództwem arcyksięcia Ferdynanda. Lubo wszystko było groźne dla nas: i siły nieprzyjacielskie, pięć razy większe niż wszystkie, jakieśmy mu oponować mogli, i ubóstwo skarbu naszego, i trudność zastąpienia ubytków,—ta nowina nie zrobiła jednak w wojsku niekorzystnego wrażenia: chcieliśmy się spróbować z Austryakami, których wprawdzie dość mało ceniliśmy. Postęp nieprzyjaciela ku naszej stolicy był tak nagły, że kiedy książę Józef, wódz naczelny, zbierał co mógł wojska naszego pod Raszynem dla dania odporu zbliżającemu się nieprzyjacielowi, wtenczas dopiero doszedł nas rozkaz, aby jak najprędzej ciągnąć pod Warszawę, po prawym brzegu Wisły. Pułk był już zupełnie przygotowany; natychmiast zatem po odebraniu rozkazu kazałem uderzyć w bębny, urządziłem pułk i pożegnałem miasto. Major Darewski został z połową radą gospodarczą w Toruniu dla myślenia o dalszych potrzebach pułku.

Maszerując dzień i noc, pułk 12-ty przebył Płock i już zbliżał do Wyszogrodu, kiedy spotkał pierwszego gońca, donoszącego o wczorajszej bitwie pod Raszynem. Stary pułkownik Parys zdawał się być przestraszony i tak w bitwie, jak w następstwach onej samej tylko widział klęski. Rychło potem nadbiegł drugi gońiec, major Chłapowski, który nam rzecz opisał tak, jak w rzeczy samej było. Bitwa pod Raszynem była najchlubniejsza dla naszego wodza i wojska: 7,000 naszych opierało się 40,000 nieprzyjaciela, który prócz przewagi liczby miał potężną artylerję. Walka nierównymi siłami przez dzień

¹⁾ Odbył się w styczniu 1809 r.

cały tak była niestanowczą, że arcyksiążę Ferdynad nie wzbraniał się podpisać konwencji, której całą pomyślność kampanii winni byliśmy. Książę Józef dowiódł w ciągu tego traktowania i przezorności wodza, i charakteru tęgiego człowieka. Zwyciężał trudności wnoszone przez wodza nieprzyjacielskiego jakimś zaufaniem w swojej broni i udawaną gotowością do mierzenia się orężem pod stolicą, chociaż wiedział, że nie podoła; przez zawziętą walkę wczorajszą wojsko było nieco zdemoralizowane i rozprzęgnięte. Swojej przeto jedynie energii winien był tę szczęśliwą konwencję, mocą której całe wojsko miało swobodę cofnięcia się za prawy brzeg Wisły i czas do wywiezienia wszelkich wojennych zapasów, do zabezpieczenia sobie przedmieścia Pragi. Nadto nieprzyjaciel zobowiązał się szanować to przedmieście, nie niepokoić go od Warszawy, ani wyładowaniem wojska, ani działaniem z wysokich brzegów warszawskich. Po dokonaniu tej umowy wojsko nasze cofnęło się do Modlina.

Smutny przykład nieoświeconej burzliwości pospólstwa warszawskiego! Poduszczone przez kilka przewróconych głów, które się zawsze znajdują w krytycznych chwilach, pospólstwo warszawskie zaczęło wołać na zdradę i najchlubniejszą konwencję, tę, która kraj zbawiła, a wojsko okryła sławą, wykrzykiwać przedajnością, przychylnością ku sprawie austriackiej,—tak, że wódz naczelny, wyprawivszy wojsko za most, sam musiał prawie potajemnie i bocznemi uliczkami uchodzić z pomiędzy tego zwierzęcego wrzasku. Lecz najszkodliwsza w tem była, że ta opinia zaraziła i szeregi wojska i pomiędzy prostymi żołnierzami dały się gdzieindziej słyszeć powtarzania opinii szynkowych patryotów.

Przybywszy do Modlina, wszystko się dało powoli organizować. Z tego punktu trzeba już było coś stanowczego przedsięwziąć; od tego postanowienia zawisła nasza przyszłość. Wódz naczelny zwołał radę, do której należeli wyżsi generałowie i szef głównego sztabu. Zdania się dwoiły: szefa sztabu, generała Fiszera, było, aby się cofać ku Gdańskowi, ponieważ uważał wszelki opór tak przeważnym siłom za zgubny. Za nim powtarzali niektórzy to samo, a szczególnie podszef sztabu, pułkownik Rautenstrauch. Generał Dąbrowski zaś wnosił, że trzeba działać na prawym brzegu Wisły, postępując zawsze ku Galicyi. Generał artylerji, Pelletier, silnie to zdanie popierał: Napoleon z wielką armią działał stanowczo nad Dunajem, a my, nie opuszczając kraju, zachowujemy prawa nasze, wyjść możemy ze sławą, a tymczasem robimy bardzo korzystną dywersję dla wielkiej armii; zneutralizować, jeżeli nie zniszczyć 40,000 wyborowego wojska nieprzyjacielskiego, było niemałą usługą oddaną cesarzowi. Z tej strony sława i korzyść, z tamtej upokorzenie i strata. Takie było

zдание Dąbrowskiego; nadto rozwinął on plan działania, wskutek którego, przypuszczając pomyślne wykonanie, z największą wyszlibyśmy chwałą, w razie zaś niepowodzenia zostawały nam liczne sposoby ujęcia zupełnej klęski. Trzeba i to wziąć w uwagę, że Rosya nie tylko nie była przeciwko nam, ale nawet stosownie do ostatniego traktatu winna była dać pomocy 40,000 wojska. Jakkolwiek później ta pomoc okazała się nam bardziej nieprzyjazną, niż pożyteczną, moglibyśmy przynajmniej z tej strony być w początkach spokojni.

Księżę Józef, radząc się szlachetnego charakteru i męstwa swojego, stanął przy zdaniu Dąbrowskiego.

Właśnie wtenczas przybyłem ze swoim pułkiem do obozu pod Modlinem. Postawa wojenna, czystość i nowe umundurowanie dwóch batalionów mego pułku i jakieś rycerskie zaufanie już w oblężeniu Gdańska ostrzelanego żołnierza wywarły widoczny wpływ na całe zebrane wojsko, które nowo przybyłym z radością się przypatrywało. Około 4-ej po południu księżę po mnie przysłał i tak mi mówił:

— „Odebraliśmy wiadomość, że nieprzyjaciel, przebywszy Wislę powyżej Warszawy, przystępuje do Pragi, skąd umowa nie wzbrania jej atakować. Tyś się już mierzył, pułkowniku, z Prusakami i Rosyanami, ale Austryaków jeszcze nie znasz, masz teraz pole dowieść im waleczności pułku swojego. Generał Sokolnicki was poprowadzi. Idź i bądź wzorem dla wojska“.

Wróciłem do pułku i rozkazawszy być w gotowości, rozdać ostre ładunki, broń opatrzyć etc., sam udałem się do generała Sokolnickiego. Niepodobna było wyjść nie zachęconym od tego generała: duch przedsiębiorczy, wiadomości obszerne, wprawa wielka w konsultowaniu ludzi, map, a nadewszystko wypogodzone jakieś zaufanie i gorąca chęć działania, — podnosiły zapał i energię podkomendnych.

— „Idźmy zaraz — rzekł do mnie, objaśniwszy swój zamiar, — pułk 2-gi i dwie sztuki armat będą z nami“.

Trzyfuntowe armatki pod dowództwem kapitana Adama Solta, jaką mogły, oddały nam usługę, ale trudno było działać, skoro się baterie sześciofuntowe nieprzyjacielskie odkryły. Ruszywszy z obozu wieczorem, maszerowaliśmy noc całą, a przybywszy przededniem¹⁾ na brzeg ostatniego lasku ku Pradze, stanęliśmy w nim w największ-

¹⁾ 26 kwietnia.

szej cichości, oczekując dnia i wiadomości z Pragi, z którą komunika-cya była jeszcze wolna. Skoro słońce weszło, ruszyliśmy naprzód: pułk 12 w ściśniętych kolumnach, batalionami, a pułk ułanów podzielony szwadronami na skrzydłach. W tym porządku postępując minęliśmy Pragę, nie spotkawszy nieprzyjaciela. Podstąpiwszy dopiero pod wzgórkę piaszczystą (gdzie dziś żelazny pomnik drogowy), ujrzelśmy piechotę nieprzyjacielską rozsypaną po wzgórzach. Tu już rzecz zaczęła być ważną. Maszerując zawsze naprzód, posłałem adjutanta pierwszego batalionu, porucznika Ludwika Dönnhoffa, do gen. Sokolnickiego z zapytaniem, co mam robić, czy tylko maszerować i przekonać się o sile nieprzyjaciela, czy zaś poprostu nacierać. Adjutant przyniósł: „Nacierać”! — To było łatwiejsze. Kazałem zatem podwoić kroku i w tym samym porządku postępować. Zbliżywszy się zaś tak do nieprzyjaciela, że jego ogień zaczął już sięgać naszych szeregów, zatrzymałem kolumny, a dla okazania więcej zimnej krwi i wrażenia porządku, wywołałem podoficerów wytycznych, kazałem adjutantem doskonale ich wyrównać, potem, zwinąwszy pierwszy batalion, zakomenderowałem:

— „W ramię broń” i — „naprzód, krok podwójny!”

Przekonany, że tylko gwałtownem działaniem można było jakąś korzyść odnieść, nie czekałem na rozwinięcie batalionu 2-go, ale posłałem rozkaz szefowi batalionu, Oskierce, aby starał się dogonić jak najśpieszniej i postępować w linii na lewem skrzydle 1-go batalionu. Kompaniom wołyżerskim kazałem rozsypać się po skrzydłach pułku i najgwałtowniejszy, jak można, robić ogień. Wołyżerowie nasi wówczas byli bardzo biegli w strzelaniu, bośmy tylko potrzebnych rzeczy uczyli i w mustrach żołnierzy do boju wprawiali. — Wskutek tych naszych ruchów, piechota nieprzyjacielska, lubo znacznie liczniejsza, zaczęła ustępować. Wtem ukazał się z lasu po prawej ręce batalion nieprzyjacielski, który, biegnąc naprzód, wymijał nasze prawe skrzydło i groził tyłom. Osądziwszy, że tylko w zuchwałości zbawienie, nie wstrzymałem marszu, ale rozkazałem kapitanowi Białkowskiemu z kompanią grenadyerską 1-go batalionu rzucić się na na skrzydło nieprzyjaciela. Ten ruch miał najpomyślniejszy skutek: batalion, przerażony napadem naszych bernic, zaczął natychmiast w nieładzie wracać do lasu, a kompania grenadyerów, uprzątnąwszy nieprzyjaciela, wróciła do swego sztyku.

Pułk śpiesznym krokiem postępował za cofającym się nieprzyjacielem, aż pod Grochowem rozwinęła się austriacka bateria z 6 armat na samej drodze i zaczęła do nas ognia dawać na mały strzał, bez

przeszkody. Kule czyniły nam straty, a szczególnie jedna, trafiwszy między doboszów maszerujących na czele, zabiła trzech i nieco uciszyła bębny. Zawołałem wtedy.

— „Dalej wiała tej baterii nie trzeba wypuścić!”

Znowu bębny odezwały się głośniejsze, żołnierze poszerzyli kroku, alenienprzyjacieli, mimo piechoty osłaniającej, zwinął baterię i śpiesznie cofać się zaczął. W tym porządku pędziliśmy, jedni goniąc, drudzy ustępując ku Wawrowi. Bateria, zajmawszy jeszcze raz dobrą pozycję, stanęła i działać zaczęła, ale widząc, że nas nie zatrzymuje, cofała się dalej. Aż przybyliśmy pod sam Wawer. Za nim nieprzyjacieli zdawał się więcej ufać w swoim położeniu: bateria się rozwinęła, a dla osłonięcia onej podstąpiło kilka szwadronów huzarów (Kayserhusaren).—To był moment krytyczny: dwa bataliony bez żadnej pomocy oprócz dwóch kompanii wołyżerów pułku 8-go, przestrzeń milowa z tyłu otwartego pola, nieprzyjacieli z armatami i dobrą jazdą, nasz pułk ułanów strasznie miękki, niezabezpieczający piechoty,—oto konsyderacje, które mnie trapiły. Lecz trwając przy swoim zdaniu, że w walce z mocniejszym nieprzyjacielem, bez żadnego zabezpieczenia, jedna tylko zuchwałość zbawić może, będąc już blisko baterii i huzarów, zakomenderowałem:

— „Za broń! na bagnety!”—i rozkazałem doboszom bić krok do nacierania (pas de charge).

Ta zmiana takie zrobiła na nieprzyjacieli wrażenie, że i bateria, i jazda zaczęły w nieładzie umykać w tył, gdzie je las wkrótce zasłonił i naszej pogoni koniec położył. Piechota nieprzyjacielska rozsypała się po lesie pojedynczo; przekonaliśmy się o tem, słysząc przez całą noc strzały ręcznej broni we wszystkie strony po lesie.

Kiedy się wszystko uspokoiło o zachodzie słońca, kazałem zwinąć bataliony w kolumnę i, wystawiwszy strażę ku lasowi, spocząć pułkowi z bronią w rękę. Strata nasza nie była znaczna. Najboleśniejszą dla mnie była strata porucznika Murzynowskiego. Już bataliony były zwinęte, oficerowie już rozmawiali o gorącej walce, kiedy przysła z lasu jakaś stracona kula i ugodziła Murzynowskiego w kolano tak szkodliwie, że we dwadzieścia cztery godziny umarł z tej rany. Korzyść nasza była: poległych wielu nieprzyjaciół i sto kilkadziesiąt niewolnika, między innymi kilku oficerów, a szczególnie rotmistrz od ułanów, Jakób Rzewuski, z Hrubieszowskiego, który był ranny i wzięty. — Gdyby nasza jazda walczyła tak odważnie, jak piechota, jest wielkie podobieństwo, że

i mnóstwo niewolnika, i działa nieprzyjacielskie rąk by naszych nie uszły ¹⁾).

Ledwo gwar w pułku uciszać się zaczął, przybiegł adjutant generała Sokolnickiego z pochwałami dla wojska i razem z poleceniem, aby się pułk cofnął pod Pragę. Ja, osądziwszy, że gdy się cofnie dla spoczynku lub bezpieczeństwa pod Pragę, a w tem mały patrol nieprzyjacielski zwiedzi pobożowisko, zajdzie niepewność otrzymanego placu, której przy pierwszym zwłaszcza zwycięstwie trzeba było starannie unikać,—duch wojska zawisł od tego. Posłałem więc odwrotnie do generała z temi uwagami i z prośbą, aby mi pozwolono zostać noc całą za Wawrem, gdzie stanąłem. Zezwolił na to generał i noc całą najspokojniej przebyliśmy. Ze wschodem słońca przyszedł rozkaz, aby pułk zmęczony i głodny cofnął się aż do Nieporęta, gdzie i spokojność i żywność znajdzie. Inne tymczasem wojsko zajęło miejsce pod Wawrem. Spoczawszy 24 godzin w Nieporęcie, pułk 12-ty ruszył podług rozkazu ku Okuniewowi, a stamtąd, połączywszy się z pułkiem 6-ym piechoty pułkownika Sierawskiego, jako awangarda wojska, komenderowana zawsze przez generała Sokolnickiego—ruszył ku Karczewowi.

Wiadomość odebrana w sztabie głównym, że pod Górą Kalwaryą Austriacy robią most i sypią przedmościa na prawym brzegu była powodem tego ruchu. Przebywszy Karczew, maszerowaliśmy do wsi Ostrowca na wysokim brzegu nad powiślem, o ćwierćmili od rzeki położonej, prosto prawie naprzeciwko Góry Kalwaryi. Słońce już zniżało się ku zachodowi, kiedyśmy stanęli w tej wsi. Wysokie krzaki nie dały widzieć, co robi nieprzyjaciel nad Wisłą, do której, oprócz odległości, dostęp był nadzwyczaj trudny: krzaki gęste, błoto i woda, dróżki żadnej.

Przysłany od księcia generał Pelletier, dowodzący artylerją, rozpatrzywszy się w położeniu i w trudnościach, mino bardzo przedsiębiorczego charakteru, był zdania, aby dziś nic nie przedsiębrać, a przez noc powziąć dokładniejsze wiadomości. Generał Sokolnicki stał spokojnie nad kartą i oczekiwał na gospodarzy tej wsi, po których był posłał. Wiadomość od nich zasiągnięta bardzo bliska pewności była, że nieprzyjaciel usypał i już prawie ukończył na naszej stronie wielki okop, z wyniesieniem w środku drugiego (réduit), że już cały pułk piechoty się w nim znajduje z kilku działami, pod za-

¹⁾ Porównaj opisy tej bitwy pod Grochowem u Skałbka (Dzieje Królestwa Warszawskiego.—T. II, s. 32) i u Renara Sołtyka (Relation . . . etc de 1809.—str. 179—184).

stłoną tego okopu robi most na Wiśle i już kilka tylko tratw ma do dokończenia. Generał Sokolnicki, zważywszy to wszystko, wziął dwóch ochotczych chłopów na przewodników, a odpawiwszy resztę, zawołał nas pułkowników i wobec generała Pelletier mówił do nas:

— „To jest chwila stanowcza: nieprzyjaciół, tak zabezpieczając sobie przeprawę, zamyśla zapewne przejść z całą siłą na tę stronę, a wtenczas niepodobieństwo odporu odrzuca nas w tył i innej drogi nam nie zostawia, jak cofanie się do Gdańska. W tym wypadku wszystko stracone, a imię nasze zginie bez chwały. Dziś w nocy musimy wziąć ten okop, most zniszczyć, albo wszyscy poledz“.

I nie rozbierając dalej, dał rozkaz, aby natychmiast ufundowany był batalion z 6 kompanii grenadyerskich, t. j. pułku 6-go, 12-go i 8-go, który się z nami tu złączył. Szefowi batalionu Blumerowi dał dowództwo tego batalionu. Drugi kazał ufundować z kompanii woltyżerskich tych pułków, a dowództwo powierzył podpułkownikowi Majaczewskiemu. Batalion grenadyerów otrzymał rozkaz maszerowania prosto przed siebie, przez wyż wspomniane krzaki i wody, Woltyżery zaś, podszedłszy w górę Wisły ćwierć mili, miały maszerować ku okopowi brzegiem onej, dróżką wygodniejszą. Przydał obu dowódzcom przewodników z zaleceniem Majaczewskiemu, aby, ponieważ on, według wszelkiego podobieństwa, prędzej przyjdzie na miejsce, wstrzymał atak, aż grenadyerzy go rozpoczną. Z tyłu za grenadyerami postępowało kilka kompanii piechoty dla pomocy w razie potrzeby; reszta wojska stała pod bronią na miejscu, w Ostrowcu.

Łatwo sobie wystawić, że wobec trudności pochodu grenadyerów, woltyżery przybyły wcześniej przed okop. Podpułkownik Majaczewski, postrzegłszy, że nieprzyjaciół już był ostrzeżony, zrozumiał, że oczekiwać na grenadyerów nie czas i rzucił się gwałtownie na okop. Ale nieprzyjaciół, nie mając dywersyi z drugiej strony, całą siłą mu się stawił i z wielką stratą naszych odparł ten atak. Wtem grenadyery zaczęły się wydobywać z krzaków i pod samym okopem spokojnie formować się. Skoro większa część batalionu była uformowana, szef Blumer przystąpił tak żwawo do okopu, że po krótkiej walce opanował fosy. Nieprzyjaciół, rozżalony pierwszym atakiem i już mniej śmiały w obronie, dał grenadyerom wdrapać się na wał.

Wtem i woltyżery ponowiły atak, bój stał się powszechny, krwi nie oszczędzano. Trwało to aż do wielkiego dnia, kiedy nasze wyborowe wojsko ujrzało się panem okopu, dział i reszty pułku nieprzyjacielskiego. Kazano natychmiast podstąpić dwóm kompaniom, które szły w asekuracyi, i zaraz kopać rów naprzeciwko mostu, który już był bliskim ukończenia. Nieprzyjaciół, postrzegłszy swoje straty

z drugiego brzegu, usiłował dokończyć mostu, ale nasze kompanie, zakopane nad brzegiem, tak dzielnym ogniem razily wojsko i rzemieślników postępujących po moście, że nakoniec, widząc niepodobieństwo, nieprzyjaciół odstał swego przedsięwzięcia. Grenadyery i woltyzery wracały już do obozu, prowadząc jeńców: pułkownika Czerwinkę ze 40 oficerami i resztę pułku wallońskiego, Latour-Baillet. Myśmy ponieśli wielką stratę w wojsku i obadwaj dowódcy byli ranni: podpułkownik Majaczewski miał aż 5 kul w sobie, a szef Blumer jedną, ale niebezpieczną.

Tymczasem arcyksiążę Ferdynand, uwiadomiony w Warszawie o rozpoczętej walce, pędził do Góry z całą artyleryą i przybył o 10 rano—i tak już zapóźno. Sądząc jednak, że ze swojego wysokiego brzegu zdoła wypędzić naszą straż z okopu, rozpoczął straszliwy ogień wszystkich dział, lecz okop już był ewakuowany, a dwom kompaniom, które głęboki rów ukrywał, nie szkodzić nie mogło. Po przeszło dwugodzinnem nadaremnie traceniu amunicji, rozkazał resztę mostu zniszczyć i wrócił do Warszawy z artyleryą, którą przyprowadził ¹⁾.

Generał Sokolnicki wysłał podoficera, który mu się nawinał, dla pospiechu, z ustnym raportem do księcia Józefa o tak pomyślnym wypadku. Rzecz była uważana za tak trudną, prawie niepodobną, że temu raportowi wierzyć nie chciano. Sam generał Pelletier przybiegł konno dla sprawdzenia tego: z zadziwieniem znalazł potwierdzenie wszystkiego, spotkał jeńców i działa już ruszające do głównej kwatery. Co za tryumf! Generał Pelletier nie tał, że był przeciwny zdaniu Sokolnickiego, że upatrywał niepodobieństwo wykonaniu tak hazardownego przedsięwzięcia. Ale gdy się rozpatrzono, że kilkanaście godzin opóźnienia uczyniło-by może daremnemi usiłowania całego naszego wojska, gdy się okazało, że to zwycięstwo otworzyło nam cały prawy brzeg Wisły i drogę do Galicyi, wszyscy oddali sprawiedliwość przezorności i odwadze generała Sokolnickiego. Pomyślność całej kampanii zawisła od tej chwili. Książę wódz naczelny przybył sam do Ostrowca, aby wodzowi i wojsku oświadczyć swoje zadowolenie.

Zabezpieczone Wisłą prawe nasze skrzydło, otwarte obszerne pole przed nami—zmieniło plan działań. Część wojska była posłana ku Zamościowi, a po wzięciu tej twierdzy, generał Roźniecki miał polecenie wtargnięcia z całą jazdą do Galicyi. Wszystko to skutecznie zostało, jak później zobaczymy. Generał Sokolnicki zaś, wzmoc-

¹⁾ Działo się 3 maja 1809.

niony 3-im pułkiem piechoty i pułk 3-ci ułanów zastąpiony pułkiem 6-ym Dziewanowskiego — otrzymali rozkaz postępowania w górę wzdłuż Wisły. Tak wkrótce przez Puławę (gdzie nas księżna Czar-toryska czekała z uczcą), przybyliśmy do R.....owa (?). Tam ge-nerał Sokolnicki, zwoławszy swoim zwyczajem wszystko, co tylko gadać umiało, wprawnie rozpoznając prawdę od bajek, dowiedział się, że w Sandomierzu był garnizon 3,000 piechoty i nieco jazdy z kil-kudzieściami działami różnego kalibru; że piechota była po większej części złożona z nowego żołnierza, że miasto było otoczone okopami etc. Odważnym pomysłem postanowił tu przejść Wisłę i wziąć Sando-mierz.

W tych okolicznościach dowódca 2-go batalionu pułku 12-go, Oskierka został posłany na dowódcę pułku 5-go piechoty, niegdyś ks. Michała Radziwiłła, a ks. Marcei Lubomirski został mi przysła-ny w to miejsce na dowódcę batalionu.

Generał Sokolnicki nie wahał się w swoich projektach i natych-miast rozkazał spędzić ile się dało statków różnej natury. Ku wie-czorowi dnia następnego wojsko zaczęło się przeprawiać. Wołtyże-ry pułku 12-go najpierwsze wylądowały na lewy brzeg; wsiałem na pierwszy statek ze swoimi wołtyżerami. Kilkunastu huzarów nie-przyjacielskich flankierujących nad brzegiem ogień wołtyżerów za-raz spędził;— reszta dywizji spokojnie się przeprawiła, a urządzone wojsko ruszyło ku Sandomierzowi bez żadnej przeszkody. Na czele jechał bryczką żyd z Kazimierza, który ofiarował się być przewodni-kiem pod samo miasto (nazwiska jego nie wiem). O zachodzie słoń-ca ¹⁾, stanęliśmy pod Sandomierzem. Miasto to jest opasane wąwoza-mi i bardzo trudnego dostępu. Nikt z nas nie znał tej okolicy. Więk-sza nieco droga prowadziła ze środka nas do miasta, ale ta spuszczała się kręto pomiędzy wąwozy, tak iż rozpoznać jej niepodobna było. Generał kazał najprzód rzucić kilka granatów do miasta, a gdy się zmierzchno, dał rozkaz, aby jedna kompania grenadyerska pułku 12-go zwiedziła tak daleko, jak można będzie, tę drogę. Marcei Lu-bomirski żądał być dowódcą tej wyprawy; nie odmówiłem mu, ceniąc tak szlachetny zapał. Dwie kompanie środkowe postępowaly w pew-nem oddaleniu za grenadyerską dla wsparcia w potrzebie. Przybyw-szy pod samą bramę, którą osłaniał mały okopek pomiędzy wąwozami, niewstrzymany Lubomirski wskoczył na okop i w tym momencie w piersi ugodzony kulą, został na miejscu. Nieprzyjaciel zaczął sy-pać gęstym ogniem z murów i z okopu. Grenadyery, nie widząc nic

¹⁾ 17 maja.

przed sobą, noc ciemna bowiem już zapadła, nie mogąc zboczyć z drogi otoczonej przepaściami, wrócili do obozu, unosząc ciało swego dowódcy.

Gdyby znajome było położenie, Sandomierz mógł być zaraz wzięty, ale lepiej się stało, gdyż dopiełniliśmy tego z większą korzyścią i bez rozlewu krwi¹⁾. W godzinę po nieprzewidzianej ułarcze przybył od nieprzyjaciela kapitan od inżynierów, Męciszewski, który fortyfikował Sandomierz, z propozycją kapitulacji. (M. wszedł później do naszego wojska, postąpił na pułkownika, a w czasie rewolucyi 1831 r. zginął obok generała Hauke). Kondycye generała Sokolnickiego były, aby wszyscy Polacy, w wojsku będący, byli zostawieni w mieście, oraz działa większego kalibru, zapasy i magazyny w całości, i aby miasto było ewakuowane natychmiast. Austriacy byli tak przerażeni, że na wszystko przystali. Ze wschodem słońca weszliśmy do miasta, a nieprzyjaciel nie miał ani czasu, ani sposobu wprowadzenia nawet tych dział, które mu kapitulacya akordowała. Wszystko zostało przy nas: żywność, amunicya, wiele zapasów wojskowych, tysiąc Polaków z wojska.

Pomyślność ta była wszakże przyćmiona załem całego wojska po stracie Lubomirskiego. Młody ten człowiek, starannego wychowania, szlachetnych zasad i gorącego przywiązania do kraju, dał poznać w pierwszym kroku, czego się towarzysze po nim spodziewać mogli. Łzy powszechnie towarzyszyły mu do grobu.

Po opanowaniu Sandomierza generał Sokolnicki urządził służbę i dopełnił potrzeb. Szef batalionu, Bontemps²⁾, komendant artylerji, miał sobie powierzone wydoskonalenie fortyfikacyi, a wojsko winien był zaopatrzyć w amunicyę: materyałów znalazł aż nadto. Co do pierwszego, szedł drogą najniewłaściwszą, jak zobaczymy, — o drugim zaś wcale nie myślał. Te dwa błędy wielką zrządziły różnicę w dalszym ciągu kampauii. — Wódz naczelny był zdania, aby, zabrawszy wszystko z Sandomierza, wojsko Sokolnickiego wróciło na prawy

¹⁾ Weyssenhoff nie wspomina o pomyślnych działaniach pułkownika Sierawskiego i generała Roźnieckiego, którego atak na most skłonił załogę do kapitulacyi.

²⁾ Szef batalionu artylerji, później pułkownik, a za organizacyi Królestwa — generał brygady, dyrektor materyi artylerji. Następnie miał ten sam stopień i przeznaczenie w służbie rosyjskiej. Zginął przez zerwanie jaszczyka w próbie ognia Pexame (?).

(Przypisek autora).

brzeg Wisły i połączyło się z resztą, — w przekonaniu, że to miasto nie mogło być bronione przeciw całej sile nieprzyjaciela, panującego na lewym brzegu Wisły. Ale generał Sokolnicki, nie chcąc odstąpić swego tryumfu, tak usilnie prosił o pozostanie w Sandomierzu, że książę zezwolił.

Okolo tego czasu Zamość był wzięty¹⁾. Pułk 2-gi piechoty pod dowództwem pułkownika Stasia Potockiego szczególnie się tam odznaczył. Generał Rożniecki wybierał się już do Galicji.

Wadą generała Sokolnickiego była namiętność pisania kwiecistych raportów — i tu się niemi bawił, a mniej dozorował utwierdzenia naszego niebezpiecznego stanowiska. P. Bontemps rozszerzył nierozważnie linię obrońców, tem osłabił wszystkie punkta i obronę utrudnił. Więcej zaś zawinił, zaniedbując zupełnie konfekcyę amunicyi: żołnierze tylko patrontasze mieli opatrzone, a kiesony próżne. Opieszałość ta pozbawiła nas najświetniejszego tryumfu tej kampanii i przyczyniła się do przedłużenia onej.

Wódz naczelny był na prawym brzegu Wisły pod Warszawą, my zaś trzymaliśmy Sandomierz z niepojętem zaślepieniem: moc nieprzyjacielska groziła nam, a my żadnej pomocy ani cofnięcia się mieć nie mogliśmy, gdyż Wisła bez mostu przedzielała nas od reszty wojska. — Stało się, jak przewidziano: generał Schauroth podstąpił pod miasto z 11,000 wojska i mocną artyleryą. Siła nasza składała się trzech pułków piechoty, to jest 3-go Żółtowskiego, 6-go Sierawskiego i 12-go mojego i z pułku jazdy Dziewanowskiego. Pułki piechoty liczyły ledwie po 1,000 ludzi, a pułk jazdy około 400 koni. Armat mieliśmy dosyć, ale nieczynność pana Bontemps zostawiła większą ich część bez użytku. — Z wież Sandomierza obserwowaliśmy nieprzyjaciela, który swoją siłę ukrywał za górami i w lasach, przednie stráže zaś jego rozciągały się na polach w bliskości miasta. Częste utarczki, mniej więcej pomyślne, zmusiły nieprzyjaciela do cofnięcia straży aż o milę. Nie wątpiliśmy jednak, że ta siła nieprzyjacielska była przeznaczona na powetowanie klęsk i odebranie nam miasta.

15 czerwca ujrzelśmy ku wieczorowi znaczną ilość dział ustawiających się na przedmieściu zrujnowanem na drugiej stronie rzeki, naprzeciw miasta. Wojsko wodza naczelnego było tymczasem zatrudnione zmyślonym atakiem przez znaczne siły nieprzyjacielskie, które wraz ze wspomnianą artyleryą przepawiły się przez Wisłę powyżej Nowego Miasta. — Wojska rosyjskie, niby nasze auksyliarne, pod dowództwem generał-lejtnanta Suworowa stały w bliskości

1) W nocy z 19 na 20 maja przez gen. Pelletier.

księcia i książę rachował na ich pomoc, a przynajmniej na okazanie większego frontu przemożnemu nieprzyjacielowi. Ale na żądanie księcia, aby Suworow zbliżył się do naszego lewego skrzydła, przeszkody jakieś i zmyślane przyczyny nie dozwoliły Rossyanom odpowiedzieć temu oczekiwaniu. Bez żadnej klęski obeszło się przecież, ale Sandomierz był atakowany bez dywersyi. Artylerya, która już się usadowiła w przedmieściu, jak wyżej powiedziano, stosowała się do dyspozycji generała Schaurrotha i w milczeniu oczekiwała sygnału. Generał Schaurroth zbliżył się z całą siłą ku miastu i około 9-ej wieczorem ¹⁾ przysłał groźny bilet do generała Sokolnickiego, wzywający do poddania miasta i garnizonu, zapowiadający szturm i wszystkie nieszczęścia stąd wyniknąć mogące. Generał austriacki, Schaurroth, był ten sam, którego oddział spędziliśmy pod Grochowem, i któremu wzięliśmy okop pod Górą. Gen. Sokolnicki odpisał mu natychmiast następujący bilet:

„Mon général! Vous m'avez déjà fourni l'occasion de prouver, que les troupes, que j'ai l'honneur de commander, savent attaquer les postes fortifiés; Vous voulez bien maintenant m'en fournir une pour prouver, qu'elles savent tout aussi bien les défendre. J'accepte le défi et je vous attends“.

Odprawiwszy tak, generał zwołał natychmiast dowódców pułków, udzielił im tę wiadomość, rozkazał, aby się udali na swoje miejsca i urządzili wszystko stosownie do wcześniej wydanych instrukcyi. Rozbiegli się natychmiast do swoich pułków. Pułkownik Żółtowski miał sobie powierzoną obronę bramy Lubelskiej i ościennych pozycyi; pułkownik Sierawski—bramy Krakowskiej i lewego frontu, a ja—głównego frontu od kościoła św. Pawła aż do klasztoru (?) przytykającego do prawego frontu, bronionego przez pułk 3-ci. Ta niezmiernie rozciągała linia w najniekorzystniejszym położeniu i nadto osłabiona dodatkami poczynionemi przez pana Bontemps, nie pozwoliła mi rachować na moc okopów; cała nadzieja spoczywała w doświadczeniu i waleczności pułku mojego. Część pułku była ustawiona pod murami miasta za okopem niby obronnym, ledwo po pas zasłaniającym żołnierza; druga część była rozesłana po oddzielnych stanowiskach, wysuniętych zbyt odlegle naprzód i równie słabo fortyfikowanych.

Około 10-ej zaczął nieprzyjaciel okropny ogień tak z frontu, jak z za Wisły. Granaty zapaliły drewniane po większej części miasto w pięciu miejscach; wołanie mieszkańców, krzyk przeraźliwy żydów,

¹⁾ 16 czerwca.

zebranych w bożnicy,—czyliły chwilę straszną. Ogień trwał blisko dwóch godzin, skuteczny, bo miał obszerny przedmiot, poczem ucichł, co było znakiem, że ma się rozpocząć szturm. Tu dowódcy pułków obiegali swoje stanowiska, zachęcając żołnierzy do mężnego stawienia się. Ja, wydawszy we wszystkich stanowiskach potrzebne dyspozycje, udałem się do najoddalszego posterunku na cmentarzu kościółka św. Pawła. Ten posterunek, wysunięty kilkaset sążni przed mury miasta i panujący całemu położeniu, zdawał się najważniejszym i zapewne na usiłowania nieprzyjaciela najbardziej wystawionym. Broniły go dwie kompanie pułku 12-go pod dowództwem dzielnego podpułkownika Białkowskiego, jedno działo sześciofuntowe i granatnik polowy. Słabać to była załoga, ale wskutek rozwlekłej linii bojowej wzmocnić jej nie było czem. Skoro tam przybyłem następujące poczyniłem dyspozycje. Noc była spokojna, ale nadzwyczaj ciemna; do oświecenia trochę pola przed sobą były przygotowane wielkie stosy drzewa przekładane materyałami palnemi,—po bokach i opodal od obwodu cmentarza. Wybrałem zaufanego podoficera i dałem mu kilku żołnierzy z rozkazem, aby z nich ustawił łańcuch przed posterunkiem i słuował, gdyż nic widać nie było. Skoro te wedety usłyszą tentent postępującego nieprzyjaciela, wnet miały bez wołania zmykać do kompanii, a stosy palne miały być zapalone przez ludzi na to umyślnie przeznaczonych. Miało się to stać bez hałasu i, o ile możliwości, niepostrzeżenie od atakującego.—Wszystko było uskutecznione, jak rozkazano, a wkrótce zbiegająca się straż do cmentarza, stosy zapalające się i raport podoficera „już idą!” — kazały być gotowymi na groźny moment. Żołnierzom swoim w największej cichości rozkazałem skryć się za murkiem i nie powstać, aż; zawołam. Niedługo kolumny nieprzyjacielskie, postępując spiesznym krokiem i w porządku, weszły w sferę już oświeconego pola. Czatowałem za murkiem, a przypuściwszy kolumny na kroków czterdzieści, ufny dobremu strzelaniu żołnierzy, dałem półgłosem komendę:

— „Teraz się podnieść spokojnie—dowolny ogień!”

Wojsko rozpoczęło zabójczy ogień: żadna kula nie chybiała; nieprzyjaciel, przerażony, zachwiał się, a oficerowie zaczęli już wołać:

— „Avance, avance!”

Wówczas podniósłszy kapelusz, zawołałem:

— „Dobrze mierzyć! Już kolumny nie postąpią naprzód, bo krzyczą.”

W rzeczy samej, usławszy trupem pole przed cmentarzem, cofnęły się i nastąpił moment ciszy. Później strzelcy pozakradani w pa-

rowach, które otaczały cmentarz, zaczęli szkodzić nam, mało będąc wystawieni na nasz ogień. To trwało z godzinę, poczem postrzegliśmy, że kolumna nieprzyjacielska ciągnie po naszej lewej przez rzadki sadek przytykający do stanowiska naszego, dążąc do zajęcia nam tyłów i uderzenia od strony miasta. Wtem kolumny frontu znów ruszyły. Położenie nasze było krytyczne: droga od miasta do cmentarza szła wąwozem, a cmentarz od tej komunikacji był zamknięty drewnianą bramką z cienkich i nawpół zgniłych tarcic. Nieprzyjacieli, podszedłszy cicho, mógł wyłamać tę bramę ręką nawet i wcisnąć się do cmentarza. Osądziwszy, że lepiej walczyć, widząc nieprzyjaciela, kazałem bramkę otworzyć, ostatnią swoją rezerwę z 30 ludzi podzieliłem na dwoje: jedną połowę postawiłem wprost bramki o kilka kroków, a drugą z boku pod prostym kątem do pierwszej, z poleceniem, aby, gdy nieprzyjacieli będzie się wciskał w otwór, naprzeciw stojący oddział dał ognia plutonem, a gdyby to nie powstrzymało, wtenczas boczny oddział miał się rzucić z bagnetem. Wykonanie tej dyspozycji poleciłem z zaufaniem podpułkownikowi Białkowskiemu i nie byłem zawiedziony. Jak przewidziałem, Austriacy, zaszedłszy z tyłu prosto biegli na bramkę, która ich tembardziej wabiła, że była otwarta. Ogień oświecający zdaleka nie pozwalał dokładnie rozeznawać, a oficerowie austriaccy, chcąc ułatwić sobie przystęp, przed samą bramką zaczęli wołać:

— „Cicho, cicho! to wołyżery pułku 6-go!”

Pan Białkowski, nie dowierzając tym głosem, przypatrywał się z największą bacznością, a dostrzegłszy, że to nieprzyjaciel, w momencie, kiedy ten już wchodził w bramkę, zawołał głośno:

— „A pał-że do tych k...! to nie nasi!”

Wystrzał oddziału był tak skuteczny, że oficerowie i żołnierze idący na czele padli wszyscy, a reszta zmieszana ratowała się ucieczką.

Kiedy się to działo, ja, atakowany od frontu na nowo, pomyśliłem odpierałem nieprzyjaciela, a chcąc, aby dział 6-funtowe kartaczami strzeliło do kolumny, wbiegłem na platformę, zawołałem na artylerzystów, którzy mimo mojego rozkazu mieli już działo nabite kulą. Nieukontentowany tem, porwałem kanoniera za kołnierz, wciągnąłem na platformę w celu dania ognia, choć mniej skutecznego, kulą. Wtem kanonier, kulą w piersi ugodzony, upadł mi pod nogi na stos ładunków armatnich dla pośpiechu przy dziale ułożonych. Lont gorejący, który trzymał w ręku, zapalił ładunki. Wybuch był tak silny, że mnie rzucił o kilka kroków w tył, spaliwszy mi mundur na węgiel, a twarz i oczy do żywego oparzywszy. Nie przeszkadzało mi to być czynnym, gdyż bóle i zaćmienie oczu przyszły dopiero

w kilka godzin później. Kanonier był zabity, ja miałem przeszczerzony kapelusz ¹⁾).

Oddział zaniechał nieprzyjaciela ataku i tylko w wąwozach ukryte strzelcy jego szkodliwym ogniem nam dokuczali. Już się też i dzień wielki zrobił i słońce weszło. Nie widzieliśmy nieprzyjaciela ani przed, ani za nami: wszystko się uciszyło, oprócz wyż wspomnianych strzelców. Generał Sokolnicki przysłał nam wówczas w pomoc kompanię grenadyerską batalionu 2-go, pułku 12-go, dowodzoną przez swego kapitana, Jana Płońskiego, a ponieważ już nam nie była potrzebna, wysłałem ją, aby bagnetem strzelców nieprzyjacielskich z wąwozu wypłoszyła. Uskutecznił to kapitan dokładnie: bez wystrzału zabrał prawie wszystkich w liczbie dwustu kilkudziesięciu i przyprowadził do cmentarza.

Tak się ten szczęśliwy dzień w tym punkcie zakończył. Nie cała linia pułku 12-go była równie szczęśliwa: zbytecznie rozległa, rozproszonemi oddziałami broniona, była w środku przełamana. Szef batalionu Morawski i około 100 żołnierzy dostało się w niewolę nieprzyjacielowi, ale miasto zostało obronione; nieprzyjaciel cofnął się o milę w tył. Tryumf ten był tem większy, że wszystkie korzyści były po stronie atakującego: przemożność sił, ilość dział, znajomość położenia i słabość okopów. Atak był i tem ułatwiony, że plan onego był ułożony przez kapitana Męciszewskiego, który sam to miasto fortyfikował. Aczkolwiek bądź przymuszeni byliśmy dobrowolnie ustąpić z Sandomierza, obrona ta może być policzona między najpiękniejsze fakta militarne. Opieszałości p. Bontemps winniśmy byli tę przeciwność. Po skończonym ataku, gdy wszystkie pułki zużyły swoją amunicję, pokazało się, że p. Bontemps nie miał ani jednego ładunku gotowego, że znajdujące się w magazynie ładunki po Austryakach nie mieściły się w naszym kalibrze. Przerabiać je wtenczas było za późno. Nieprzyjaciel zapowiadał ponownie szturm dnia następującego. Mimo najmężniejszej dyspozycji garnizonu, generał Sokolnicki, zważywszy, że cała piechota nie miała ładunków (o czem nieprzyjaciel był zapewne uwiadomiony przez gęste komunikacje, które się natychmiast między nim a miastem ustanowiły), że wszyscy trzej dowódcy pułków byli ranni, że na artylerję pod dowództwem p. Bontemps nie mogliśmy rachować,—zmuszony był do wejścia w układy. Stała się następująca konwencja: wojsko polskie wyjdzie z miasta, za-

¹⁾ Por. R. Sołtyk (Relation ... etc.), str. 288—289, oraz Rys kampanii 1809 r. (Poznań 1869)—str. 70—71 i rozkaz dzienny ks. Józefa 18 (?) czerwca 1809 r.

bierając wszystkie działa i wozy; wszyscy Polacy wcieleni z wojska austriackiego w nasze szeregi pozostaną przy nas; wojsko maszerujące w dół Wisły nie mogło być atakowane aż się przeprawi przez rzekę; jeńcy będą wymienieni na równą liczbę (mieliśmy ich przeszło 600). Ta konwencja była dosłownie wypełniona. W zamian za naszych oficerów i stu żołnierzy oddaliśmy wszystkich Niemców, Węgrów, Wałachów etc. Tym sposobem szef batalionu Morawski w liczbie oficerów był nam wrócony.

Miałem tak mocno skaleczoną twarz i głowę, że musiałem być osobno transportowany do miejsca, gdzie by mnie spokojnie mogli leczyć. Na żądanie generała Sokolnickiego, dowódca austriacki dał mi dla bezpieczeństwa eskortę z huzarów. Ci z największymi względami przeprowadzili mnie do Józefowa, gdzie przepędziłem trzy dni. Cierpienia wzmagały się, głowa spuchła niebezpiecznie i 48 godzin miałem obawę o wzrok. Na drugi dzień po przybyciu moim do Józefowa przysłała księżna marszałkowa Czartoryska, z Puław, karetę, chcąc abym tam był przewieziony i staranniej leczony, ale cierpienia moje, brak wzroku i słuch przytępiony nie dały mi skorzystać z tak powabnej propozycji. Zawieziono mnie do Lublina; pani Umieniecka ofiarowała mi u siebie mieszkanie, a starania o chorym w domu jej były takie, że w domu rodzicielskim nie doznał-bym więcej pieczołowitości. Po kilku tygodniach leczenia, jeszcze z plastrami na nosie i uszach, pojechałem do Puław dla złożenia dzięków księżnej, i następnie połączyłem się ze swoim pułkiem.

Tymczasem już na wielkim teatrze los wojny się decydował. Napoleon gotował się do bitwy pod Wagram. Austriacy ścigali tam wszystkie swoje siły, arcyksiążę Ferdynand otrzymał także rozkaz opuszczenia Polski; wojska jego, dobrze podniszczone, ciągnęły śpiesznie na Kraków do Czech. Nasz wódz naczelny postępował żywo za nimi, ale dopiero w Krakowie dogonił ich aryergardę. Ja dopadłem swego pułku w Kielcach, gdzie od kolegów i wodza naczelnego uprzejmie byłem witany. Tam książę uformował brygadę przyboczną w nagrodę prac i czynów kompanii. Pułkownik Staś Potocki ze swoim pułkiem 2-im (który wziął Zamość), i ja z moim 12-ym, złożyliśmy tę brygadę, która do końca głównej kwatery nie odstąpiła.

Przybywszy do Krakowa, znaleźliśmy tam, jak powiedziałem, tylną straż nieprzyjacielską. Generał Roźniecki otrzymał rozkaz atakowania i wzięcia Krakowa. Za zbliżeniem się jego, generał austriacki ofiarował kapitulację, Kraków był oddany, a wszyscy ranni poleceni ludzkości wodza polskiego. Umowa stanęła wieczorem oko-

ło godziny 9-ej¹⁾. Ponieważ wojsko nasze było tylko o dwie mile od miasta i żadna trudność przewidzieć się nie dała, generał Roźniecki przestał na obustronnem podpisaniu umowy, nie zajął żadnej bramy, ani sobie zabezpieczył niczem posiadania miasta.

Wojsko polskie, będąc tak blisko, nazajutrz rano miało wejść do Krakowa. Przed nocą zbliżyliśmy się aż do Michałowic, o małą milę od miasta. Stała przed nami sławna stolica; opanować ją, wrócić ją ojczyźnie—była myśl tak radosna, że nie myśląc ani o spoczynku, ani o pożywieniu, wszystko się tylko czyściło, ubierało, aby świetnie uczcić tę drogą sercom chwilę. Oficerowie i żołnierze wybiegali na wzgórza, aby dostrzedz jaką wieżę lub jakie światło tego tak dawno utraconego grodu. Skoro słońce się pokazało, ruszyło całe wojsko w największej paradzie ku miastu; serca wszystkie były z radości. Ale ledwieśmy uszli ćwierć mili, uczucie to zamieniło się w nienawiść i chęć zemsty. Raport przysłany z miasta doniósł księciu, że w nocy Rosyanie miasto zajęli. Tu pokazała się zła wiara i nikczemność Austryaków: nie mogąc obronić miasta, wódz austriacki, podpisawszy kapitulację z nami, sprowadził przez noc wojska rosyjskie, spieszenie wiezione z Tarnowa furami i pocztą,—i tym wydał miasto, zapewne w nadziei dochowania go sobie, przy pokoju powszechnym. Nasz książę, przerażony tą wiadomością, przypisał winę generałowi Roźnieckiemu i zapowiedział mu, że Kraków musi być natychmiast przez naszych zajęty. Do wzięcia, ile potrzeba, wojska, upoważnił książę generała. Trudne to było polecenie, gdyż z Rosyanami bić się nie można było, a do wyparcia ich innego sposobu nie upatrzył. Z tem wszystkim generał Roźniecki, wziąwszy dwa pułki ułanów i kazawszy 2-mu pułkowi piechoty jaknajżywiej pośpieszać za sobą, z kapitulacją w ręku, kłusem ruszył do miasta. Bramy onego już były osadzone przez wojsko rosyjskie, lecz ułany szły tak zdecydowanym kłusem, że się warty pousuwały. Tak wpadł generał na rynek, a rozkazawszy pułkom biedz ciągle kłusem, w pośród zadziwionych Rosyan, do mostu na Podgórzu, sam się zatrzymał, widząc ich piechotę na rynku i 12 dział z lontami zapalonymi, a na ich czele gen. Sieversa, który zapytał, jakim prawem wkroczył do miasta przezeń zajętego.—Gen. Roźniecki, pokazując mu akt kapitulacji wczorajszej, odpowiedział:

— „Oto jest moje prawo; wiecie tak dobrze jak i my, aleście się porozumieli z nieprzyjacielem“.

¹⁾ 14 lipca.

Wtem piechota nadciągnęła i podobnie, mimo niejakiego oporu wart, siłą weszła do miasta. Włodzimierz Potocki i pułkownik Krukowiecki, widząc główny hauptwach zajęty przez Rosyan, którzy stali pod bronią jakby gotowi do boju, rozkazali kompanii grenadyerskiej maszerować rotami przez prawo, zająć w tył tej warty między nią i domem, uformować front i stać spokojnie, zajmwszy izbę oficerską i żołnierską. Ten fortel udał się pomyślnie, gdyż kompania rosyjska, nie mogąc zostać tyłem do naszej o trzy kroki, po niejaki namyśle zmuszona była ustąpić, zostawiając naszym grenadyerom posiadanie głównego hauptwachu, co, stosownie do obyczaju wojkowego, stanowi o posiadaniu miasta. Tymczasem brygada jazdy przebiegła most, a za Podgórzem podzieliwszy się, jeden pułk rzucił się na lewo i zajął Wieliczkę i Bochnię, a drugi na prawo—Gdów. — Już też i reszta wojska nadciągnęła i wódz naczelny, mimo zaprzeczeń warty, wkroczył do miasta; część wojska zajęła korzystne położenie na około.—Wyrzuty naszego wodza czynione generałowi Sieversowi, a bardziej wszystkie ulice zapelnione naszą piechotą, strwożyły Rosyan, którzy po 24 godzinnem targowaniu się, ustąpili narreszcie z działami i wojskiem za Wisłę, zostawiając tylko, dla przyzwoitości, mały oddziałek piechoty w mieście, a i ten, za przybyciem generał-lejtnanta, Suworowa, wyszedł i połączył się ze swoimi.—Wojsko nasze, obrażone podstępem, wrzało całe, ale konsyderacye polityczne kazały stłumić ten zapal.—Tak zostaliśmy spokojnie w mieście i za miastem, a wódz nasz zajęty był tylko planami dalszego działania w kierunku za uchodzącym nieprzyjacielem.

Teraz wracam do opowiadania o sobie. Gdy wojsko przybyło pod Kraków, pułk 12-ty otrzymał rozkaz zajęcia stanowiska pod przedmieściem Wesołe. Generał Zajączek komenderował całem skrzydłem. Całe wojsko około miasta, w szyku bojowym, oczekiwało niecierpliwie rezultatu wkroczenia naszych. Gdy wkrótce przyszły wiadomości zaspakajające, pułk 12-ty spoczywał na swoim stanowisku pod bronią. Wtem postrzegłem powóz z miasta idący ku stanowisku; poznałem zdaleka lokaja i biegłem do powozu. W powozie była moja żona w towarzystwie krewnego swego, Ludwika Morsztyna ¹⁾, przyjaciela mego i kompana podróży po Francyi, Włoszech i Szwajcaryi.—Spotkanie to z niedawno pojętą żoną było rozrzewniające; żona, widząc mnie z obwiązaną głową, potrzebowała czasu, aby się przekonać, że już żadnych szkodliwych skutków z tego obawiać się nie należało. Morsztyn, od lat ośmiu niewidziany—wszystko to by-

¹⁾ Matka Tekli Weyssenhoffówny, była Morsztynówna.

ło nadzwyczajnych wzruszeń powodem. Na prośbę moją, generał Zajęczek akordował mi urlop, aż do wieczora. Wsiadłem więc do powoza i w tem najmilszym towarzystwie pierwszy raz wjechałem do Krakowa i oglądałem mury tej dawnej naszej stolicy.

Kiedyśmy kilka dni stali spokojnie, kiedy Lwów, Przemyśl i cała Galicya była zajęta przez naszą jazdę i nowoformujące się wojska, pewnego ranka huk dział nas obudził, a rozkaz dzienny ogłosił zwycięstwo Napoleona, bitwę pod Wagram ¹⁾, i zawieszenie broni z Austryą.—Podczas rokowań pokojowych w Schönbrunn, radość nasza była powszechną, bośmy nie wątpili, że zdobyta przez nas Galicya zostanie nam powrócona, pomnoży nasze siły i zasoby. Niestety—rachowaliśmy bez gospodarza. Wkrótce nadesłane punkta pokoju uwiadomiły nas, że całą wschodnią Galicyę wracamy Austryakom, wyjąwszy województwa Podlaskie i Lubelskie. Żup nawet solnych w Wieliczce i Bochni ustąpić musieliśmy, zachowując tylko połowę korzyści z eksploatacyi Wieliczkowskiej, wróconej wszakże pod administracyę austryacką. Mówią, że cyrkuł i twierdza Zamościa były-by także oddane Austryakom, gdyby właściciel, ordynat Zamoyski, nakładem kilkudziesięciu tysięcy dukatów nie odwrócił tego układu. Książe Talleyrand, który brał, gdzie się zdarzyło, miał nie wzgardzić i tym darem.

Długośmy sobie powiedzieć nie śmieli, ale nakoniec wyznaliśmy, że mimo naszych bohaterskich poświęceń dla „wielkiej sprawy“ (tak zwano wówczas sprawę francuską), mimo dowodów wierności i męstwa, mimo dojrzałości narodu do rządu monarchiczno-reprezentacyjnego, Napoleon nie myślał o przywróceniu Polski. Dogodniej mu było tylko mieć ku północy lud walczący, żyjący nadziejami i wszystko im poświęcający,—jako silną dywersyę w każdym razie,—ale nie naród ukonstytuowany i niepodległy.—Tę dyspozycyę już był zdradził pokój Tylżycki, wskutek którego utraciliśmy Wisłę od Torunia do morza, Grudziądz, Gdańsk, obwód Białostocki etc., co wszystko zdobyte w ciągu wojny, na rzecz Polski zostawione być powinno. Następnie kampania 1812 wykazała jeszcze jaśniej prawdę tej opinii.

Województwo Krakowskie, już połączone z Polską, otrzymało administracyę i kodeks francuski, który w reszcie kraju był od niejakięgo czasu zaprowadzony. Wódz naczelny z wojskiem bawił w Krakowie aż do października, poczem wymaszerował do Warszawy, zostawiając tutaj tylko pułk 12-y, nowo-uformowany pułk 15-ty Miaszkowskięgo i pułk 3-ci ułanów Łączyńskiego. Komendę tego wojska

¹⁾ 5 i 6 lipca.

otrzymał generał Biegański. Nie tailem, że m zazdrościł pułkom wracającym do Warszawy. Pułk mój pod jej oczyma rozpoczął zwycięstwa kampanii i niezawodnie z oklaskiem miasta byłby witany. Tego tryumfu miłości własnej żałowałem tak dla pułku, jak i dla siebie samego, są to rozkosze bowiem stanu wojskowego, dla których się biedy i niebezpieczeństwa znosi.—Obok wielkich zwycięstw i działań na wielką skalę wojsk francuskich nad Dunajem, małe nasze zwycięstwa ze szczupłemi siłami i wypędzenie tak przeważnie silniejszych nieprzyjaciela,—zrobiły jednak wielkie wrażenie między marszałkami francuskimi. Wódz nasz, książę Józef, odbierał listy od marszałków, winszujące mu, a od Napoleona szablę honorową i wielką wstęgę orderu legii honorowej. Przytem pewną ilość tego orderu mniejszych klas przysłano dla różnych stopni. Otrzymałem wówczas krzyż kawalerski legii honorowej ¹⁾. Nadto król saski, a nasz książę warszawski, nadesłał krzyże polskie „Virtuti militari” dla wszystkich, którzy się odznaczyli. Rozdanie tych krzyży w Krakowie było uroczyste. Na polu między miastem i Wisłą odbyła się ta ceremonia wobec mnóstwa obywateli. Całe wojsko wystąpiło w paradzie, a wódz naczelny rozdawał nagrody wojskowym, podanym przez dowódców i rady pułkowe. Następnie przemawiał do każdego pułku. Ten obchód, a po nim wesole uczty zakończyły kampanię 1809 r.

Jednomyślność wszystkich stanów w czasie tej wojny była najzaszczytniejszym dowodem charakteru narodowego. Obywatele ze wszech stron dążyli do obozu z wiadomościami nam potrzebnymi, wystawiając się na największe niebezpieczeństwa. Potrzeby wojska były skwapliwie zaopatrywane bez wzywań i nakazów. Nie wiem, czy wiele takich epok powszechnej harmonii znajdzie się do cytowania w dziejach naszych. Z Warszawy damy uwiadamiały umówionymi kolorami ubioru o tem, co się dzieje, pułkownika Hornowskiego, dowódcę Pragi, po postąpieniu wojska w górę Wisły pozbawionego wszelkiej komunikacyi. Świetna ta kampania, którą cały kraj dzielił, nie miała przecież dotąd pisarza, który-by ją bezstronnie opisał. Mnie doszedł tylko mały poszyt gen. Rautenstracha, który ją przyćmił, ile mógł, a nie mając nic o sobie do powiedzenia, ujmował tym, którzy się odznaczyli. Ja nie przedsięwziąłem opisywać tu ogólne działanie kraju i wojska, pamiętnik mój był mi przedmiotem, wzmiankowałem przeto tylko o tem, co mnie osobiście tyczyło, lub co sam osądziłem, nie wspominając w szczegółach o wielu ważnych czynach, jako to: wzięcie twierdzy Zamościa, opanowanie Galicyi, działanie gen. Zajączka

¹⁾ P. annex №.

ne lewym brzegu Wisły, po usunięciu się nieprzyjaciela z Warszawy, uformowanie przez gen. Dąbrowskiego 12,000 nowego wojska w Poznaniu. Prowincya ta nie pierwszy raz posłużyć mogła za przykład niezrównanych poświęceń i czynności patriotycznej. Ileż to czynów indywidualnych bohaterskich w milczeniu utonęło, takich np., jak onego podoficera od jazdy w Galicyi, który przebrany wcisnął się do obozu austriackiego i wykradł z obozu generała dowodzącego. W tym powszechnym zapale wiele było czynów, zasługujących na przejście do potomności, bo niepodobna było dokonać rzeczy tak trudnej bez nadzwyczajnych wysiłków.

Po odejściu z Krakowa wodza naczelnego z wojskiem, pozostałe tam pułki zajęły się uregulowaniem swojej rachunkowości i wydoskonaleniem w ćwiczeniach i służbie. Nie dałem się w tem uprzedzić nikomu, zajmując się przytem interesami majątkowymi żony. Ojciec jej, przedawszy przed zgonem ostatnią wieś, którą posiadał w Galicyi, zostawił tylko kapitały, wynoszące około 700,000 złp. w rękę kilku Galicyan.

.

NOTA WYDAWCY.—Opuszczamy tu przydługie narzekania na niesumienność dłużników, na sądy cyrkułu Myślenieckiego i Tarnowskiego i na redukcję walorów austriackich w r. 1810, z których to powodów znaczny majątek Tekli Weysssenhoffowej stopniał do jednej trzeciej swojej wartości.

Dawne i już prawie zapomniane widowisko czekało Kraków w maju r. 1810: zapowiedziano przybycie króla saskiego, a naszego księcia panującego. Lubo ten panujący ani królem naszym, ani Polakiem nie był, wielkie to przecież i radosne wrażenie zrobiło na mieszkańcach. Znane cnoty i powaga tego monarchy, przez Napoleona nam nadanego, usposobiły serca polskie do przyjęcia go z oznakami radości. Książę, wódz nasz, przybył wcześniej z całym sztabem i wielu generałami dla przygotowania. Kiedy król zbliżał się do miasta, wojsko całe wystąpiło w paradzie, a na rynku czekał piękny batalion, z kompanii grenadyerskiej złożony, pod mojem dowództwem. Wszystkie stany, cały Kraków wyszedł za miasto naprzeciw króla.

Zachwycający był widok, zwłaszcza, że najpiękniejsze słońce go oświecało. Skromność ekwipażu, mała liczba służby i lokaj za królewską karetą na walizie siedzący—przypominały dawne zwyczaje niemieckie, oszczędne rządy domowe. Wszystko miało postać prywatnej rodziny, podróżującej z rachubą. Krótkie rozmowy króla ze znakomitszymi osobami w ciągu kilkudniowego pobytu, treści dość obojętnej, oglądanie grodu, w którym przodkowie jego panowali, bez najmniejszego zajęcia,—dowodziło, że książę ten sądził się obcym naszej sprawie, że niechętnie przyjął narzucone rządy kraju, niepewny o przyszłość. Może też jego starodawne niemieckie zwyczaje nie miały nic wspólnego, ani z charakterem naszym, ani z naszymi obyczajami?—Po odjeździe księcia do Warszawy opinia powszechna wołała się osadzić na tem ostatniem mniemaniu.

KRAJ LAT DZIECINNYCH.

Stałem w Nowogrodku w cichy, pogodny wieczór lipcowy. Bez przewodnika, sam, z tłumem cisnących się myśli, rychło znalazłem się wśród ruin zamczyska, oświeconych czerwienią zachodzącego słońca. „Zamek na barkach nowogrodzkiej góry“, dziś nawet, w ubóstwie dwóch tylko rozpadających się baszt, przejmujące sprawia wrażenie. Widok stąd rozległy i przepiękny. Oko mknie na krańce widnokręgu, ocienionego borem nieprzejrzanym, nurza się w zieleni bujnej, która jak morze, rozlewa się u stóp wałów zamczyska; zieleń chłonie w siebie domostwa pobliskie, na prawo i na lewo, a z splątanej gęstwiny wierchołków drzewnych wynurzają się ruiny farnego kościoła i dachy zczerniałe ubogich mieszczan. Powoli, z tego zalewu zieleni, wydobywa się cichy, cmentarny urok przeszłości. Baszty zamczyska skarżą się ranami czerwonymi cegieł nadwyręzonych, jamami w potężnych murach, które czas pokruszył; dach fary prześwieca, jak rzeszoto, a pochylona u szczytu jego ozdoba zdaje się upatrywać na ziemi miejsca w trawie dla bliższego już upadku. Ruina powszechna przejmuje na wskroś duszę. Z zadumy budzi smętny, przenikliwy, przeciągły ton pieśni wieśniaczej, dolatującej tu na wyżyny wałów z rozległych pól okolicznych.

Słuchałem piosnek. Nieraz kmić stuletni
Trącając kości żelazem oraczem
Staął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych; lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni.

Ja słuchałem zdala,
Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Te ruiny, ten widok czarowny dziś, zachwycający przed stu laty, przemawiały do wrażliwej duszy chłopięcej, która zapełniała pustkowia i gruzy czarodziejską fantazją:

Z gruzów powstają kolumny i stropy...
I widać zamków otwarte podwoje
Korony książąt, wojowników zbroje...
Marzyłem cudnie —

Całe tło „Grażyny“, cały nastrój rycerski „Wallenroda“, jest tutaj na tem wzgórzu zamkowym, w tych potężnych basztach, dumnych w swem wielkiem sieroctwie; te ruiny wołały już do dziecka wielkim głosem przeszłości, wciskały się w duszę wrażliwą na piękno, czekały na rozkwit sił geniusza—a te echa przeciągłych i jękliwych pieśni wiejskich, co dziś tu, jak niegdyś, z łąk i pól dochodzą, rozmarzały wcześniej ucznia szkoły dominikańskiej.

I.

Dziś jeszcze Nowogródek raczej do wsi dużej, rozrzuconej w ogrodach, niż do miasteczka podobny; przed stu laty dzieciństwo tutaj było zaiste „sielskie“—w porównaniu z dobą dzisiejszą było też „anielskie“. Pełną oddychał wówczas piersią Nowogródek. Sejmiki tu odprawiane, zjazdy ziemiańskie, sądowe, jarmarczne, gwarem i życiem napełniały miasteczko; na rynku ciżba drobnej, zaściankowej szlachty w strojach charakterystycznych.

Kościół przy kościele, klasztor przy klasztorze (Bazylianie, Bonifratrzy, Dominikanie, Jezuici, Franciszkanie, Bazylianki i Dominikanki) ze szkołami, szkołkami, przytułkami. Palestra z całym bogactwem prowincjonalnych typów, po których i tradycja już zaginęła—kwestarze rubaszni, karczmy charakterystyczne z rojną i wrzaskliwą rzeszą żydowską...

W dni powszednie ciszę Nowogródka przerywała chyba tylko szkolna młodzież. Tuż przy kościele dominikańskim (dziś parafial-

nym, jedynym)¹⁾, mieściła się szkoła powiatowa kierowana przez wyznawców reguły św. Dominika. Ani śladu dziś tej szkoły. Tylko chodnik biegnący teraz środkiem ulicy wskazuje dokąd szły niegdyś mury szkoły powiatowej. Na dole były klasy, na górze wcale zasobna biblioteka (rozproszona po r. 1863); w środku, gdzie dziś ogród przy plebanii, był dziedziniec szkolny. Boczne i tylne skrzydła budynku wypełniały cele księży. Dziś jeszcze ta część gmachu dochowała się w pierwotnym kształcie i stanowi mieszkanie dla proboszcza.

Sygnaturka nad dachem gimnazjalnym zwoływała uczniów na lekcye trwające od 9-ej do 2-ej.—Mundurki szkolne były szafirowo-granatowe, przypominające umundurowanie ułanów wileńskiego pułku, lampasy podwójne, czapki zwykłe. Każda klasa miała swoją chorągiew, była też muzyka własna studencka²⁾.

Dom Mikołaja Mickiewicza był w innej stronie miasteczka. Dziś na tem miejscu stoi dworek p. Dąbrowskiego, nie podobny całkiem do starego domu, w którym się wychowywał Adam Mickiewicz. Kto chce mieć pojęcie, jak wyglądał dom Mickiewiczów, niech obejrzy w Nowogrodku domy drewniane, o starym miejscowym stylu, z charakterystycznym ganeczkiem o czterech kolumnach drewnianych. Naprzykład domy Wakulskiego (Bryczkowskiego), Gnoińskiego (obecnie hr. Grabowskiego) i innych. Podmurowania takiego, jakie ma dom p. Dąbrowskiego, wystawiony na miejsce starego z gruntu na nowo, nie było w starym dworku Mickiewiczów, który stał w yżej niż dzisiejszy budynek. Tylko grusza w ogrodzie za domem (nadpalona w czasie pożaru Nowogrodka, ale jeszcze zielenią okryta), stoi jakby na piedestale z murawy; to dziwne na pozór wzniesienie pokazuje wyżynę, na której wznosił się dawny dom Mickiewiczów. Ta grusza jest dziś ostatnim żywym świadkiem dzieciństwa Adama Mickiewicza. Warto by ją otoczyć przynajmniej żywopłotem.

Z tego to domku bliżej było do ruin zamkowych niż do szkoły dominikańskiej. Ruiny wcześniej od szkół zaczęły go uczyć: *lapides*

¹⁾ Farny kościół nie był nigdy ani przez władzę świecką, ani przez duchowną zamknięty; niedbalstwo i opieszałość własna zrujnowały ten zabytek dawnych czasów. Wnętrze kościoła wygląda dziś, jak po napadzie Tatarów.

²⁾ Szczegółów tych i innych o dawnym Nowogrodku udzielił mi zacny staruszek, p. Leonard Trojański, który z nadzwyczajną czerstwością i pamięcią wyborną, przy 88-u latach życia, opowiada doskonale czasy swego dzieciństwa. Chodził on jeszcze do szkoły dominikańskiej.

clamabant. Przeszłość wrastała dzień za dniem do chłopięcych zabaw, spletała się z niemi...

„Tum z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek,
Po gniazda ptasze w tamten biegaliśmy lasek,
Po błoniach z studentami graliśmy w zająca.
Tam do gaju chodziłem w wieczór lub przede dniem.
By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem,
Albo oglądać Jana zwycięstwo pod Wiedniem.
Wnet zwolywam współuczniów, szykuję pod lasem!

.

Szkoła dominikańska dawała sporo wiedzy, urozmaiconej, praktycznie do potrzeb życia zastosowanej. Nie zapominajmy, że nie była to szkoła luzem idąca, że rozwijała się pod mądrą opieką kuratora wileńskiego; że dawała drukowane roczne „popisy“, że wizytatorowie z ramienia Uniwersytetu Wileńskiego wysyłani, notowali ściśle postępy nauczycieli i zaniedbania, że ogólny pęd ku naukom był wtedy znaczny, żywotny, bujny, najpiękniejsze rokujący nadzieje—a zrozumiemy, że Adam Mickiewicz wywoził stąd w 17 roku życia doskonale podstawy do nauki uniwersyteckiej w Wilnie.

II.

Wywoził podstawy umysłowe; gorzej było z materyalnem uposażeniem młodzieńczego abiturienta. Znane to rzeczy, znane powody, dla których Adam Mickiewicz szuka opieki u dziekana wydziału matematyczno-przyrodniczego, Księdza Mickiewicza. Nie było dla niego innego sposobu ukończenia uniwersytetu, jak zapisanie się w poczet stypendystów Seminarium Nauczycielskiego, z obowiązkiem odwdzięczenia się Uniwersytetowi Wileńskiemu służbą nauczycielską w gimnazyach. Pisze zatem Adam Mickiewicz pierwsze w swem życiu zobowiązanie publiczne, składa następującą, tu po raz pierwszy ogłoszoną deklaracją, i podpisuje ją z ogromnym rozmachem, z fantazją godną ucznia pierwszego roku uniwersyteckiego:

Niżej na podpisaniu wyrażony, przyymniąc dobrowolnie stan akademicki, to jest stan publicznego nauczycielstwa, poddaię się wszystkim ustawom i rozporządzeniom temu stanowi przepisany, z zaręczeniem: iż gdy w przeciągu pierwszego roku bawienia się mego w Seminarium nauczycielskiem, przy Imperatorskim Wileńskim Uniwersytecie, w rzeczonym stanie utrzymanym, a w dalszych latach w przepisanych naukach doskonalonym zostanę, urząd nauczycielski, w miarę lat w Seminarium przepędzonych, licząc za jeden rok pobytu dwa lata służby, z powinności, gdzie i kiedy Uniwersytet postanowi, sprawować będę. Dalsze zaś lata dobrowolnego uczenia, (lubo od mojej woli) co do trwania w stanie nauczycielskim, zależeć będą, gdy jednak z tego stanu oddalić się zechcę, wprzód Uniwersytet o tém uwiadomię. W przypadku uchybienia któregokolwiek z przepisanych obowiązków, nieposłuszeństwa i wszelkiego przeciwko karności, poddaię się sądowi Uniwersytetu. Takowe zaręczenie własnoręcznym podpisem utwierdzam.

W Wilnie roku 1815 Miesiąca Października 1. dnia.

Adam Mickiewicz.

Tem zobowiązaniem rozpoczynają się lata pracy, lata filareckie.

Wiadomo dziś szczegółowo, czem były te lata dla Mickiewicza i jego druhów.

Przecież żywego, barwnego tła uniwersyteckich, wileńskich czasów, nie mamy jeszcze, bo mieć nie mogliśmy¹⁾. Odtworzy je ktoś, gdy staną się ogólnie przystępnymi materyały pierwszorzędne, autentyczne do dziejów Uniwersytetu Wileńskiego i kuratoryi księcia Adama Czartoryskiego. Rozwinie się wspaniała karta zasług cywilizacyjnych Wilna i Krzemieńca, a z pośólkłych ksiąg statystycznych, z protokołów posiedzeń Wydziałowych, Rady Uniwersytetu, raportów Wizytatorów i dyrektorów szkół powiatowych wstanie z martwych dawne, bujne, własne umysłowe życie, oryginalne, bogate i w różnorodnych swych objawach niezmiernie ciekawe.

Jedyną na razie wiedzeni ciekawością, a ograniczeni krótkim czasem przebijaliśmy się przez setki woluminów i aktów, szukając

¹⁾ Pełne zasługi, trzytomowe dzieło Józefa Bielińskiego „Uniwersytet Wileński” nie mogło wyczerpać przedmiotu dla braku wielu najważniejszych źródeł, o czem pisze sam autor w tomie I, na str. 4—6.

przedewszystkiem lat uniwersyteckich Adama Mickiewicza, a potem nauczycielstwa jego w Kownie.

Z różnych opowiadań wiadomo, że Mickiewicz nie należał do najpilniejszych słuchaczy: „sam sobie był profesorem“ pisał potem Domeyko. Są jednak dowody urzędowe, że czasu w seminarjum nauczycielskiem nie tracił. Studya szły z początku drogą wskazaną przez Ks. Mickiewicza, dziekana wydziału przyrodniczego.

W spisie urzędowym z r. 1816 czytamy:

Mickiewicz Adam, K. N.

Słuchał kursów przez lat: 1

Zdawał examen z F. Ch. Al. (Fizyki, chemii, Algebry)

Otrzymał stopień: czerwca 27-go.

aff.	neg.
6	3

Znaczy to, że przy głosowaniu na stopień kandydata trzy noty były ujemne, zwyciężone sześciu dodatniami.—„*Rapport Ogólny*“ z r. 1816 zawiera listę uczniów, którym w r. 1816 po odbyciu ścisłych egzaminów przyznane są w Imperatorskim Uniwersytecie Wileńskim stopnie uczone. Wymienieni tu są: Czeczot Jan, Jeżowski Józef, Kaczkowski Karol, Karpowicz Abdon, Mickiewicz Adam, Mickiewicz Stefan, Przeclawski Józef i Zan Tomasz.

Przyszły twórca „Dziadów“ zaczyna zatem „urzędowo“ od fizyki, chemii i algebry. Co prawda, studyował równocześnie milsze sercu przedmioty. „Szczególna wiadomość o uczniach seminarjum nauczycielskiego, będących w r. szkolnym 1815—1816“ zawiera przy nazwisku Adama Mickiewicza w rubryce: Jakich słucha nauk?—następujący wykaz: „Literatury Starożytne—Polska—Historja powszechna“. Od r. 1816 w spisie alfabetycznym znajduje się przy nazwisku Mickiewicza wzmianka, że jest na Oddziale Literatury.—W czwartym roku studyów Uniwersyteckich (1818—1819), Mickiewicz składa i półroczne egzamina, wymagane od stypendysty seminarjum nauczycielskiego, i magistruje się, a przynajmniej część egzaminów magisterskich składa. Ciekawe pod tym względem wskazówki daje nam, nieznana dotychczasowym biografom poety: „Xięga Zdań Professorów Imperatorskiego Uniwersytetu Wileńskiego o postępie uczniów Seminarjum Nauczycielskiego z roku 1818 i 1819“. Czytamy tam:

XV. Logika.

Mickiewicz Adam. Postępek z 1-go półrocza: *znakomity*.
z 2-go półrocza: —

Adnotacya: Examinu 2-go nie zdawał dla tego, że się podał do stopnia magistra.

XVII. Literatura Grecka.

Mickiewicz Adam. (Ręką Grodka, nie władającego, jak wiadomo, zbyt poprawnie językiem polskim, zapisano) „Nie dał Examen(!) dla przyczyni niżej wymien(ionej).

XVIII. Literatura Łacińska.

Mickiewicz Adam. „Nie dał Examen, albowiem na stopień magistra został examinowany“

XIX. Literatura Rosyjska.

Mickiewicz Adam. z 1-go półrocza: рѣдко ходилъ
z 2-go półrocza: рѣдко ходилъ.

XX. Literatura Polska.

Mickiewicz Adam. Z 1-go półrocza postępек: *wielki*.
Z 2-go półrocza niezdawał examinu, bo został magistrem.

(notę „wielki“ wśród wszystkich współegzaminowanych tylko Mickiewiczowi dał L. Borowski).

XXI. Język Niemiecki.

Mickiewicz Adam. 1-e półrocze: *dobry, dobry*. Egzaminu nie zdawał, bo magistrował się.

XXII. Język Angielski.

Mickiewicz Adam. 1-e półrocze: *znakomity*.
2-e półrocze: *znakomity*.

Egzamina ustne na stopień magistra złożył Mickiewicz w końcu maja i z początkiem czerwca 1819 r. (szczegóły podaje IV tom Korespondencji A. M.); pozostawała do skreślenia rozprawa magisterska, na temat: *De criticae usu atque praestantia*. Czasu wiele nie było, skoro już we wrześniu t. r. miał ukończony uczeń Uniwersytetu objąć stanowisko nauczyciela szkoły Kowieńskiej. Spędzać lato w murach

miejskich dla pisania rozprawy — rzecz przykra; gdyby tak na wsi pracować można? Malewski, druh serdeczny, był przecie czas jakiś podbibliotekarzem w bogatej bibliotece hr. Adama Chreptowicza w Szczorsach, niedaleko Nowogródka. Nęciła tam i wiejska cisza i biblioteka bogata. Mickiewicz jedzie w pierwszej połowie lipca roku 1819 do Szczors, opatrzonego listem polecającym do hrabiego Adama Chreptowicza. List ten z autografu, odszukanego w Szczorsach podaję:

Jaśnie Wielmożny Mei
Dobrodzieju!

Znajoma uczynność JWPana dla pracujących w naukowym zawodzie, i osobiście doznawane łaski ośmielaią mnie do zanieśienia nowej prośby. Oddawca tego listu, towarzysz mój szkolny i przyszły nauczyciel JP. Adam Mickiewicz, ma z polecenia Fakultetu Litteratury dla otrzymania uczonego stopnia wygotować w przeciągu wakacyynym rozprawę. W tym celu chciałby przejrzeć Xiążnicę Szczorsowską, i ieśliby znalazł co do swej rzeczy przydatnego uprasza o krótkie pożyczenie, a choćby to mu się i nie powiodło, zawsze poznanie Opiekuna Edukacyi Krajowéy, pod którego dozorem w rodzinnem mieście Nowogródku pracować może będzie, i zwiedzenie zamóżnéy Biblioteki bez korzyści dla niego byđz nie może. Przyymiy więc JWPan śmiałą prośbę ucznia za uczniem, i moje wyznanie dozgonnéy wdzięczności i uszanowania, z któremi zostaię.

JWWMPana
Dobrodzieja
sługą
Nayniższym
Fr. Malewski.

D. 10 Lipca 1819
Wilno.

Czy Mickiewicz znalazł w Bibliotece Szczorsowskiej potrzebne do rozprawy dzieła, nie wiemy, bo rozprawy samej nie mamy. To

pewna, że w Szczorsach był, że po studyach w pięknej auli bibliotecznej zachwycać się musiał wspaniałym parkiem tamtejszym, a w pobliskim, wązkim tu jeszcze Niemnie kąpieli nieraz użył. Ale bliskość Nowogródka nie dała zapewne długo w Szczorsach zabawić, wakacje były nie długie, a serce ciągnęło do swoich, do Zaosia...

Zaosie uważane jest za miejsce urodzenia poety. Nie brak jednak argumentów, przemawiających za Nowogródkiem. Wiadomo, że na szali dowodów *za* i *przeciw* zaważył głównie list Aleksandra Mickiewicza do Franciszka Mickiewicza z r. 1860, gdzie młodszy brat objaśniał starszemu, z jakiego powodu z całego rodzeństwa jeden jedyny Adam nie urodził się w Nowogródku, lecz w Zaosiu. Szczegóły drobiazgowo, przytoczone tam przez Aleksandra M., zdawały się wykluczać wszelką możliwość pomyłki. Cóż z tego, kiedy niedawno ogłoszony list tegoż Aleksandra do A. E. Odyńca (z końca 1858 r.), zaprzeczył twierdzeniu, co do Zaosia w tych kategoriycznych słowach: „A d a m r o d z i ł s i ę w N o w o g r ó d k u, l e c z t e n d o m s t a n ą ł w o ś m l a t p o j e g o u r o d z e n i u i o n m i e s z k a ł w n i m t y l k o l a t k i l k a”¹⁾. — Gdy tak Aleksander M. co innego twierdzi w liście do brata, a co innego w liście do Odyńca i tym sposobem zostawia znowu otwarte pole przypuszczeniom, zestawię tutaj kilka szczegółów, które zdają się przeważać szalę na korzyść Nowogródka.

Faktem jest, że Zaosie należało wówczas do parafii w Stwołowiczach i że dzieci, urodzone w Zaosiu chrzczone bywały w Stwołowiczach. Dochowana księga tamtejszej parafii liczne zawiera na to dowody. Przytoczę tylko jeden: Terajewiczom, spokrewnionym z Mickiewiczami rodzi się dziecko w Zaosiu; trzymają je do chrztu w Stwołowiczach 25-go kwietnia 1801 r. Mikołaj Mickiewicz, (ojciec Adama) z Agatą Majewską. — Gdyby się Adam Mickiewicz urodził był w Zaosiu, zwykłym obyczajem był-by powinien być ochrzczonym w Stwołowiczach. Zważmy, że chrzest odbył się w zimie, bardzo ostrej, jak wiadomo, i że do Stwołowicz wiorst kilka, do Nowogródka zaś z Zaosia co najmniej *pięć godzin* drogi i to nie najlepszej, po leśnych ostępach i wybojach w lutym!

Charakterystycznym jest następnie fakt, że w urzędowych zapiskach uniwersytetu Wileńskiego, w rubryce daty i miejsca urodzenia Adama Mickiewicza, nigdzie nie jest wymienione Zaosie; co

¹⁾ Księga Pamiątkowa. Tom 1. Warszawa, str. 26.

prawda, nie jest też wymieniony Nowogródek. Zapisano tylko ogólnikowo: „parafia nowogrodzkiej“. Może kiedyś znajdzie się szczegół pozwalający na rozstrzygnięcie kwestyi spornej. To pewna, że dla poety równie drogie było Zaosie, jak Nowogródek dla wspomnień dziecinnych i chłopięcych.

Z czasem Zaosie stało się może milsze, bo bliższe Tuhanowicz!

Po miłych wakacyach, z początkiem września 1819 roku musiał młodziutki nauczyciel rozpocząć w Kownie „obuczanie łbów żmudzkich.“ Ciężka to była sprawa dla geniuszu poety, co właśnie rwał się ku słońcu, ku przestworzom i „nad poziomy wylatywał...“ A tu szara czekała, codzienna, nużąca w klasie robota — otoczenie prozaiczne...

Ale hasła filareckie nie były ed święta i na święta tylko — zapowiadały właśnie codzienną, mrówczą, społeczną pracę. I Mickiewicz zaprzął się do nauczycielskiej taczki. Że pracował pilnie i dzielnie, póki sił fizycznych starczyło, o tem świadczą urzędowe o nim „opisy służbowe“; mniej było dotychczas wiadomości o stosunku młodziutkiego nauczyciela do uczniów.

Jakże miło wyczytać w sprawozdaniu urzędowem wizytatora okręgu wileńskiego uboczną przynajmniej pochwałę. Gdy już Mickiewicz w Kownie nie było, gdy dla słabego zdrowia na urlopie w Wilnie przebywał,znaczono na jego miejsce do Kowna niejakiego Mikołaja Kozłowskiego. O tym nauczycielu literatury i historii pisze wizytator:

„JPan Mikołaj Kozłowski przyjechał do szkoły i wszelką znalazł gotowość w wypracowanych gorliwie i umiejętnie seksternach przez poprzednika swojego, Adama Mickiewicza, żadney swoiey litery nie dał, niepracował.. u uczniów miłości niema, owszem wszyscy, porównując go z poprzednikiem, pragną naygoręcey zmiany“. Chłopięce „łby żmudzkie“ poznały się jednak na wartości nauczyciela, Adama Mickiewicza.

III.

W opisie służbowym („formularnym spisku“) stanu nauczycielskiego w Kownie z roku 1821 pod nazwiskiem Adama Mickiewicza w rubryce: „Czy żonaty? Ile dzieci?“, zanotowano: „żonaty, dzieci nie mają“. Czy mimowolna to pomyłka urzędnika w przepisywaniu z brulionu, czy błędna informacja — jakkolwiek bądź notatka ta na ironią zakrawa. Gustaw — żonaty!

Lata nauczycielskie zbiegły się z najboleśniejszym w życiu jego zawodem sercowym. Dzieje tej smutnej, beznadziejnej miłości znane są na pozór do najdrobniejszych szczegółów, a przecież jakże mało, jak niedokładnie znaną nam jest sama heroina. Ileż najsprzeczniejszych sądów krąży o Maryli! Czy kochała szczerze? Jak mogła, kochając poetę, oddać rękę innemu? A potem? Życie panięskie po ślubie przez lat kilka czy nie dowodziło miłości wielkiej dla Mickiewicza? Więc pocóż ślub, niemiły sercu? Ileż na pozór zawilości i jaki twardy do zgryzienia orzech psychologiczny! Sądzę, że, aby zrozumieć tę miłość, trzeba na chwilę zapomnieć o dzisiejszym sposobie kochania się i flirtów, a przenieść się duszą w one odległe lata i ówczesne społeczeństwo. Czasy to były niedobre. W nowogrodzkich stronach łamał się stary rzeczy porządek z nowym, nieokreślonym jeszcze i luźnym, a zwłaszcza rozluźniającym obyczaje. W zaściankach drobna szlachta wiodła dawny, prosty tryb życia — ale po dworach większych panowało życie bez myśli i bez troski ani o to, co przeszło, ani o to, co przyjść mogło. Licznie i gęsto rozkwaterowane wojska wносиły swój sposób życia. Panny lgnęły do pięknych mundurów oficerskich; uwodzenia i uwożenia z domów obywatelskich, kończące się koniecznym ślubem, nie należały do rzeczy wyjątkowych, a kto chce mieć pojęcie o tem, jak się to praktykowało, ten niech odczyta nudną, źle napisaną, ale obyczajowo wierną „Powieść z czasu mego, czyli Przygody Litewskie“ (Poznań, 1858), która właśnie Nowogrodzki powiat i czasy 1812 roku opisuje. Żyjący świadkowie, ci, co mogą dzieciństwem swem zasięgnąć lat owych, lub im najbliższych, potwierdzają w zupełności, że tak właśnie było. Ton panował u góry kosmopolityczny, francuszczyzna panoszyła się, poczucie obowiązków społecznych zamierało, a po wytężeniu 1812 roku prostracya i bezmyślne życie nad stan krzewiło się spokojnie. Na takim tle odbijała dziwnie uroczo Maryla Wereszczakówna; jej zapal dla wszyst-

kiego, co swojskie, jej inne, całkiem poważne, pojmowanie życia i wykształcenie niepospolite sprawiały, że wśród najświetniejszego zebrania, ona, nie pociągająca wdziękiem urody niewieściej, przykuwała do siebie czarem ujmującej rozmowy. Zetknięcie się tak bogatej duszy z filaretami, a zwłaszcza z ich przewodcą, Zanem, tylko na dobre wyjść mogło Maryli. Z natury skłonna była nie do czczych, sentymentalnych rojeń (o co ją, niestety, dziś tak często posądżają), ale do działania. A że młodzież uniwersytecka wileńska garnęła się do szerszej pracy, że taki Czeczot np. żył tylko nadzieją uspołecznienia ludu białoruskiego i widział w tem od lat chłopięcych niemal cel życia—więc nic dziwnego, że filareci zjednali rychło Marylę dla swych idei, że po niej spodziewali się jak najzbawienniejszego wpływu na te warstwy, do których sami dotrzeć nie mogli. Na tem tle wspólnych ideałów zawiązał się rychło przepiękny stosunek dwojga dusz promienistych i promieniejących. Maryla widziała zrazu w młodym studencie Uniwersytetu natchnionego piewcę hasel T. Zana, on w niej sojusznicę sprawy. Tak to rozumieli starsi, tak bracia Maryli, tak jej narzeczony. A młodzi po niewczasie opatrzyli się, że są jakby dla siebie stworzeni:

Postawą sobie bliscy, jednostajni wiekiem,
Ten sam powab we wszystkim, to samo niechcenie,
Też same w myślach składnie i w czuciach płomienie.

Zupełne zaufanie do własnych sił i zasobów moralnych pozwalało przedłużać z roku na rok ten łańcuch, który się „rozciągał”, ale „nie pękał”. Maryla mogła się ludzić, że oboje, wyrzekłszy się szczęścia ziemskiego, poświęcą się całkiem sprawie, droższej nad „szczęście w domu”. Było to złudzeniem duszy młodej, złudzeniem szlachetnem. Nie było złudzeniem jej przecucie. Przeczula ona skarby tego wielkiego serca, które miało za miliony ukochać, i powiedziała sobie, że serca tego zabierać nie ma prawa. Gustaw narzeka:

Słyszałem od niej słówek pięknobrzmiących wiele,
Ojczyzna i nauki, — sława, przyjaciele!

Gustaw mógł zapewniać, że teraz „ten groch całkiem od ściany odpada” — ale przyszedł czas, kiedy Konrad ironii Gustawowej za-

przeczył, zamarzył o „tryumfie Milcyada” i „objął w ramiona wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia...”.

Już Gustaw, w spokojniejszej chwili, składał hołd prawdzie:

I jakież są jej grzechy?
 Czyli mię słówkiem dwuznacznem podwiodła?
 Czy wabiącemi łowiła uśmiechy?
 Albo kłamliwe układała lice?
 I gdzież są jej przysięgi? Jakie obietnice?
 Miałem-że od niej choć przez sen nadzieję?
 Nie! nie! sam urojone żywiłem mamidła,
 Sam przyprowadziłem jady, od których szaleję!

A Konrad ukorzy się z czasem przed wielką ofiarą Maryli, oceni to, że się wyrzekła szczęścia w domu i napisze do wspólnego powiernika, Domeyki, z Poznania 1832 roku: „Nie będziemy już nigdy widzieć się z sobą. Ale powiedz jej, że ona zawsze ma w sercu mojem miejsce, z którego nikt jej nigdy nie usunął i gdzie jej nikt nie zastąpi:

Do obojga stosują się te wspaniałe wiersze:

Młodości! Jakże wielkie twe ofiary!
 Jam miłość, szczęście, jam niebo za młodu
 Umiał poświęcić...

Czem był dla Maryli Adam, ledwo się domyślać można z kilku jej listów, ostrożnych, w obawie przejęcia pisanych, gdzie rzadko tylko wielkie uczucie słówkiem małym się zdradzi. Ale jest fakt, na pozór błahy, a tak rzewny! W późnych swych latach miała pani Marya Puttkamerowa przy sobie siostrzenicę rodzoną, córkę brata swego, Józefa Wereszczaki, dzisiejszą panią Cywińską. Jej to opowiadała nieraz staruszka o filareckich czasach; razu pewnego, porwana wspomnieniami młodości, wydobyła Maryla z ukrycia i pokazała siostrzenicy białą, muślinową, dawną swą sukienkę... Chowała ją jak relikwię: w niej ostatni raz widziała Adama Mickiewicza, gdy opuszczał na zawsze Litwę! ¹⁾.

¹⁾ Pani Cywińska, dziś przeszło siedmdziesięcioletnia, pełna energii, właścicielka Siohdy, niedaleko Tuhanowicz, opowiedziała mi jeszcze jeden

Dziś jeszcze, po latach tylu, ta wielka miłość szlachetna, czysta, wzniosła, takim jest owiana urokiem, tak silnie promienieje, że do Tuchanowicz śpieszą starzy i młodzi, by odetchnąć na chwilę tamtą atmosferą i przeżyć górną bodaj chwilę. I nikt nie doznaje zawodu:

Jej pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice:
Tu po raz pierwszy boskie obaczyłem lice,
Tu mnie pierwszej rozmowy uczciła wyrazem,
Tutaj na wzgórku Russa czytaliśmy razem,
Altankę jej pod temi uwiązałem chłody,
Z tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody,
Z tych źródeł, stojąc przy mnie, wywabiła wędka
Srebrnopiórego karpia, pstrąga z krasną cętką...

Tuhanowicki dwór, gościnny po staremu, i oficyna, gdzie mieszkali w lecie Zan, Czeczot i Mickiewicz, znane są z albumów i widoków, świeżo wydanych. Ale czego żadna fototypia nie odtworzy, to prześlicznego parku, który po prawej stronie dworu się rozciąga. Stuletnie dęby, wiekowe lipy panują tu młodszym brzozom, grabom i akacyom. Nie jedno się zmieniło w tym parku; od kilkudziesięciu lat niema już owej „długiej ulicy“, w której Maryla znikła „na kształt błyskawicy“. Ścięto „ulicę“ w nieobecności właściciela, źle zrozumiałwszy jego polecenie. Inna powstała, w innem miejscu „ulica“. Olbrzymie kobierce łąk o bujnych trawach, ujęte są wzgórzami, które wydają się wyższe, bo starodrzewem porośłe. Charakterystyczną cechą olbrzymiego ogrodu są właśnie te wzgórza, malowniczo rozrzucone. Na jednym z nich para kochanków „Nową Heloizę“ czytała. W noc księżycową, przy współ-

fakt, usłyszany od swej ciotki. Maryla skomponowała walcę i odegrała go Mickiewiczowi. Zachwycony poeta pyta: komu będzie ten walc poświęcony? w lubej nadziei, że on dostanie tę cenną pamiątkę. Ale Maryla, przekomarzając się, mówi, że walc ten jest dla pana Tomasza. „Tak? Dla Tomasza?“ — wola błdy ze wzruszenia poeta, i zanim Maryla się spostrzegła, wy dobył z kieszeni scyzoryk i zaczął w największej passyi wbijać sobie ostrze w pierś. Wyrwała Maryla nożyk z rąk Mickiewicza, zabrała i schowała na pamiątkę. Autograf walca, skomponowanego przez Marylę, z dopiskiem własnoręcznym poety, pomieściła w podobiznie „*Księga Pamiątkowa na uczczenie setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza*“, tom pierwszy, str. 32.

działaniu mgły i srebrzystego blasku miesiąca, park cały wyglądał jak marzenie:

Cała ziemia kroplistą polyskała rosą.
Doliny mgła odziewa...
Spojrzę, na dół, na szpaler, patrz, tam przy altanie
Ujrzałem ją niespodzianie.
Suknią między ciemnymi bielejąca drzewy,
Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie.

Słynna altana, bardzo bliska dworu, z widokiem na okno pokoju Maryli, była wówczas zapewne bardziej widna ze wzgórza w parku, mniejsza na pozór, skromniejsza. „Altanką” zwie ją gdzieindziej poeta. Była jego „szczęścia kolebką i grobem”. Tu poznał, tu pożegnał. Dwanaście lip tworzyło okrąg szczupły, zaledwie dostateczny na pomieszczenie ławki. Zacziszcie tu i błogo. Z uszanowaniem zbliżamy się do tej altany, pamiętnej w dziejach poezji polskiej. Czas, co tyle ruin potworzył, uszanował to miejsce, uczcił je i ozdobił. La już ośmdziesiąt przepłynęło nad temi lipami. Rozrosły się one, niekrępowane niczem, swobodne; jedne przegięły się aż ku ziemi, inne wysoko wystrzeliły smukłemi gałęziami, hen ku niebu, tworząc z całości jakby kolosalny bukiet lip. Najwspanialszy to pomnik, jaki przyroda litewska położyła tu, na grobowcu wielkiej miłości. Olbrzymie mauzoleum zieleni. Bukiet lip wonny, kwitnący, ożywiony przytłumionym brzękiem pszczół, rojnie szemrzących w pracy. Miód stąd chyba najśłodszy na tej ziemi...

IV.

Tuhanowicze nie tworzą w Nowogródzkiem bynajmniej wyjątku pod względem piękności przyrody. Całe Nowogródzkie pełne jest uroczych krajobrazów. Ziemia to pagórków leśnych, ziemia łąk zielonych, o takim bogactwie i różnaitości widoków, że nawet oko, znarowione zagranicznemi, osławionemi z nadzwyczajności miejscami, znajdzie tu czem wzrok popieścić i zachwycić. Domejko jeszcze w czterdzieści lat po wyjeździe z Litwy miał w sercu i oku te stro-

ny, i świetnie je scharakteryzował w liście do Bohdana Zaleskiego: „Ledwo wyjedziesz z Nowogródka ku Koreliczom, Szczorsom i Mirowi, otwierają się we wszystkich kierunkach wzgórze i zwolna podnoszące się i zniżające pola, przyozdobione miejscami w dębowe i brzoźowe gaje. Co kilka mil schodzisz na szerokie, zielone łąki, wygony, sianozęcia, po których środkiem, jak okiem zajrzysz, wiją się srebrzyste rzeki i ruczaje, a po brzegach ciągną się długie wsi i zaścianki, sznury naszych nieoszacowanych pereł. Od każdej wsi spuszczają się ku sianozęciom warzywne ogrody sielskie, wiśniowe mi drzewami ocienione, a nad wsią górują uprawne poletki, żółte, płowe, zielone, zmieniające barwę według pory roku. Opodal ujrzysz kościółek na wzgórzu, karczmę, wiatrak i dwór szlachecki z lipowym szpalerem i topolami wysadzaną drogą”. — Odrębność krajobrazów jest zdumiewająca. Na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst coraz to inny charakter widoków. Na północo-wschód od Nowogródka, w pobliżkiej Horodziłowce i Horodecznej, p. Zygmunta Kiersnowskiego, mamy falisty krajobraz, jakby żywcem wyjęty z kantonu Wodejskiego, lub Fryburskiego. Wązka, lecz bystra rzeczulka wiję się tu wężowato wśród pięknych zarośli i na wiorstowej długości daje rację bytu aż pięciu młynom! Jakże inaczej wygląda krajobraz na południowy wschód od Nowogródka w kierunku Świtezi. Lasy tu przed stu laty panowały niemal wyłącznie, „pełne zwierza bory”, drogi wązkie, niełatwe na wiosnę i w jesieni do przebycia, widoki, godne Ruysdaela, pełne niespodzianek zachwycających, jak cicha, przezrocza Świteż, lub parowów, umajonych zielenią, ożywionych stawami, jak w Sinieżycach. Cała droga z Zaosia i Tuhanowicz do Nowogródka, którą Mickiewicz od dzieciństwa i w młodości tylekroć przebył, jest przesłiczna, zwłaszcza między Tuhanowiczami a Siohdą (Worończa, Rajce). Student nowogródzki bywał zapewne często z kolegą, Nikodemem Kiersnowskim, w pobliżkiej Horodecznej na majówkach, w Zielone Świątki. Z rodziną Kiersnowskich wiązały Mickiewiczów blizkie stosunki. Najstarszego syna Mikołaja Mickiewicza, Franciszka, trzymał do chrztu łowczy nowogrodzki, Waleryan Kiersnowski, z Imię panią Rozalią Orzeszkową.

Mimowoli a ustawicznie szuka po tych okolicach wzrok nasz tła do „Pana Tadeusza”. Z poznanych miejscowości najwięcej, acz niezupełnie, przypada do opisu poety, dwór w Cząbrowie p. Juliana Karpowicza. Cząbrów, niedaleko Świtezi, należał przed stu laty do Użłowskich. U nich to przebywała jako panna respektowa, Barbara Majewska, i stąd, z Cząbrowa, wyszła za mąż za Mikołaja Mickiewicza. Aniela Użłowska trzyma też do chrztu Adama Mickiewicza. Nie można wątpić, że gdy dziecko podrosło, nieraz odwiedzało tu

z rodzicami swemi matkę chrzestną. Dla matki poety Cząbrow był jakby domem rodzinnym. Dwór w Cząbrowie był może pierwszym z większych dworów wiejskich, zapamiętanych przez dziecko, które w Zaosiu i okolicy tamtejszej skromniejsze tylko widywało zabudowania. Dwór w Cząbrowie leży właśnie wśród pól, malowanych zbożem rozmaitem, na pagórku niewielkim,

Dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany,
Świeciły się z daleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Tópoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi
I stodołę miał wielką...

Dziś to o tyle zmienione, że topole wycięto przed dworem, a front ganku nieco podwyższono. Nie myślę się zresztą upierać przy tem przypuszczeniu, że Cząbrow był *jedynie* podstawą topografii Soplicowa; owszem, z góry zaznaczam, że inne szczegóły mogły być wzięte to z Tuchanowicz, to z Horodziłówki, ale w Cząbrowie najwięcej przypomniało mi się Soplicowo. Mickiewicz, który wedle własnej definicyi, „nie tworzył prawie nic, lecz przypominał”, gdy na bruku paryskim przeniósł się duszą utęsknioną „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych”, nie wytrwał przy jednej jakiejś miejscowości. Zwiedzał w pamięci swej nadzwyczajnej jedną okolicę po drugiej, aż z tej pielgrzymki duchowej utworzył najwspanialszą syntezę nowogrodzkiego krajobrazu. Las w nim panuje, jak panował w rzeczywistości. Już młodzian rozkochał się w olbrzymach puszczy, w rówiennikach litewskich wielkich kniaziów, w drzewach Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa, co mu wśród ciszy ostępu świadczyły o zamierzchłych wiekach. Do nich, jak do druhów, tęsknił poeta:

Drzewa moje ojczystel jeśli niebo zdarzy
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,
Czyli was znajdzie jeszcze? Czy dotąd żyjecie?

„Błahy strzelec” tu nie zwierzyny, a dumań szukał samotnych, podpatrzył życie lasu i przeniósł urok jego, zapach i kolory do kart nieśmiertelnego arcydzieła.

Nad ludźmi z „Pana Tadeusza” przeszła niszcząca fala zdarzeń i zmiotła ich z powierzchni. Ludne, rojne przed stu laty zaścianki i okolice, bądź znikły, bądź też zubożały, zdrobniały i blizkie są zaniku. Przecież nie zagięły jeszcze do szczytu. Po mowie, po głosie, po jasnym czole i bystrym wzroku, poznasz potomka Mazurów, co przed czterystu laty karczowali tu lasy i szerzyli niekrwawe zdobycze pługą polskiego. Dziś strzechy ich pochyliły się, ściany zczerniały, wszystko zgnębione ubóstwem:

Wszystko nadzwyczaj stare, zguile; domu dachy
Świeciły się jak gdyby od zielonej blachy
Od mchu i trawy, która buja jak na łące.
Po strzechach gumien, niby ogrody wiszące
Różnych roślin, pokrzywa i krokos czerwony,
Żółta dziewanna...

I tu natura dotrwała dłużej od ludzi...

A już jeśli gdzie, to tutaj, zdawało się, przetrwają po wieki stosunki, które wydały największego naszego poetę. Kraj był jakby w sobie zamknięty, nieprzebytym borem, jak wałem, objęty, chroniący miłośnię ludzi od wpływów niedobrych. Sieć gęsta wspólnych zasad, upodobań, tradycji, tysiącnymi splotami wiązała tę drobną rzeszę ze sobą i tworzyła z niej jakby żywą, wzorzystą tkaninę...

Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Jak świat jest boży, tak on był nasz własny!
Jakże tam wszystko do nas należało!
Jak każdy kątek ziemi był znajomy
Aż po granicę, po sąsiadów domy...

Stąd szły soki żywotne, któremi żył nietylko wielki poeta, ale wielki obywatel. Z tej drobnej rzeszy zaściankowej wyszedłszy, on się po sam koniec życia czuł wygnańcem, bo mu wszędzie było tam gorzej, „im dalej od Nowogródzkiego powiatu”, im dalej od zaścianków. U szczytu sławy i natchnienia, o nic Boga nie prosił, tylko o to, by mu z wędrówki pozwolił wrócić

I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli
I służyć w jeździe, która wojuje szaraki,
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki;

Nie znać innych, prócz kosy i sierpa rynsztunków,
I innych gazet, oprócz domowych rachunków!..

Dziś życzenie takie okrzyczano-by jako — filisterskie, ale kto
sięgnie na samo dno tych pragnień, kto dotrze do źródła tej gorzkiej
tęsknoty, ten zrozumie, dlaczego nad wszystkie zagraniczne ponęty
on stawiał wyżej kraj lat dziecinnych, kraj, nie zmieniony wypadków
strumieniem; dlaczego nad laury Kapitolu droższy mu był

Wianek rękami wieśniaczki usnuty
Z modrych bławatków i zielonej ruty...

JÓZEF KALLENBACH.

Wychodztwo polskie w Niemczech.

I.

Ogólny pogląd na rozwój i charakter wychodźstwa.

Kolonie polskie w Niemczech są produktem przeważnie ostatnich dziesięcioleci dziewiętnastego stulecia. Spis ludności, uskuteczniiony w 1861 roku, nie wykazuje np. w Westfalii ani jednego Polaka, prowincye nadreńskie i Brandenburgia (z Berlinem) podług tejże statystyki, liczyły po 16 Polaków.

Są to cyfry naturalnie niezgodne z ówczesnym stanem rzeczy, dowodzą one jednak, że w żadnej miejscowości w wymienionych powyżej prowincjach nie istniały osady polskie w tych rozmiarach, aby wydawały się godnymi wyszczególnienia.

Około 1865 roku landraci pruscy w urzędowych opisach powiatów: Gnieźnieńskiego, Wyrzyskiego, Inowrocławskiego i innych, nie zauważyli jeszcze emigracyjnych skłonności wśród miejscowej ludności. Jedynie żydzi emigrowali do Ameryki.

Tymczasem wkrótce potem, bo już w roku 1872, obwody Bydgoski i Kwidzyński pod względem wychodźstwa stanęły na pierwszym miejscu w całych Prusach. Od roku 1872—77 wyemigrowało z Prus Wschodnich i Zachodnich 44,681, z Poznańskiego 21,525, ze Śląska 12,146.

Z biegiem czasu cyfry te znacznie się podniosły.

Główny żywioł, z pomiędzy którego rekrutują się wychodźcy, stanowią przeważnie robotnicy miejscy, komornicy i chałupnicy. Chłop, na gospodarstwie osiadły, rzadko opuszcza strony rodzinne. Emigrujący zabierają z sobą zazwyczaj 100—200 mrk. Są to pienia-

dze zaoszczędzone; spostrzeżono, że emigruje przeważnie chłop inteligentny, pracowity, trzeźwy i oszczędny.

Emigrację z prowincyi polskich do Prus można przyczynowo powiązać z szybkim wzrostem miast pruskich, przed innemi zaś ze wzrostem Berlina.

Potężny wzrost Berlina po wojnie francuskiej uczynił główny punkt atrakcyjny z przegradzającej się na stolicę zjednoczonych Niemiec stolicy Prus. Już w roku 1875 widzimy w Berlinie około 35,000 mieszkańców, którzy wyemigrowali z prowincyi polskich.

Pomiędzy 1875 a 1880 rokiem wychodztwo z prowincyi polskich do Berlina szybko wzrasta. Równocześnie fale ruchu emigracyjnego zaczynają wyrzucać tysiące wychodźców w dalekiej Westfalii i w prowincyach nadreńskich, w Hanowerze i Hessyi.

Następny spis ludności (z roku 1885) w pełni wykazał doniosłość tego ruchu na Zachód. W samym Berlinie znalazło się 244,500 mieszkańców, przybyłych z czterech prowincyi wschodnich monarchii pruskiej. Co najmniej połowy tych emigrantów dostarczyła ludność polska.

Liczba emigrantów polskich w Niemczech stale wzrasta. W r. 1890 wykazuje spis urzędowy, sporządzony z wyraźną tendencją zmniejszania istotnych liczb ludności polskiej, przeszło sto pięć tysięcy Polaków, a mianowicie:

W prowincyi brandenburskiej (z Berlinem)	29,199
„ saskiej	22,506
„ szlezwig.-holsztyńskiej. . .	4,243
„ hanowerskiej	5,813
„ westfalskiej	25,536
„ nadreńskiej	6,103
„ pomorskiej	10,488

Tenże spis ludności z roku 1890 wykazuje, że najwięcej Polaków przebywało w poniższych kilku okręgach regencyjnych:

(Obwody):	Frankfurt nad Odrą . . .	5,240
	Merseburg	10,852
	Monastyr (Münster) . . .	5,709
	Arnsberg	19,480
	Dysseldorf	4,835

Ekonomiczną genezę wychodztwa polskiego w głąb Niemiec scharakteryzować można w kilku zdaniach. Wzrost przemysłu nie-

mieckiego absorbuje coraz więcej ludność niemiecką do pracy w fabrykach itd. Wzrastający militarizm również odrywa setki tysięcy ludzi od pługów, lub warsztatu. Intensywniejszy dziś, w porównaniu z dawniejszymi czasami, system gospodarstwa rolnego w Niemczech wymaga coraz więcej rąk do pracy. Wszystkie te okoliczności powodują, iż zapotrzebowanie robotnika w Niemczech od lat trzydziestu stale wzrasta. Skala zarobków jest wysoka, poziom życia wyższy, niż w prowincjach polskich, należących do państwa niemieckiego; z tych więc prowincji płynie do Niemiec nieprzerwaną falą robotnicza ludność polska.

Potrzeba jej zarówno w przemyśle, jak w rolnictwie: odpowiednio też do tego dwojakiego pola działalności, wychodztwo polskie do Niemiec przedstawia kilka odrębnych typów. Pierwszym jest typ robotnika, stale mieszkającego w Niemczech, zatrudnionego w przemyśle; drugim — typ rzemieślnika (przeważnie w wielkich miastach), a dalej — robotnika rolnego sezonowego.

Aby na przykładzie wykazać działanie tych ekonomicznych czynników na jednostkę, przytaczam poniżej oryginalny list pewnego wychodźcy z Westfalii, który na moje życzenie opisał koleje swego życia. Wybieram ten list z pomiędzy kilkudziesięciu innych podobnych dlatego, iż uważać go można niejako za typowy zarys przebiegu życia naszych wychodźców:

„Sierota, bo rodzice mnie odumarli, gdy nawet roku jeszcze nie miał, zaznałem dużo niedoli między obcymi ludźmi. Jako 10—12 letni chłopak, nie sypiałem w lecie więcej ponad 3—4 godziny na dobę, poza szkołą obowiązkową w Prusach zmuszony będąc pracować na siebie. W 14-ym roku opuściłem szkołę i wywędrowałem w obce strony, mianowicie na folwark w Saksonii. Pracowałem od 1-go kwietnia do 1-go lipca za jedną markę 15 fen. na dobę, na folwarku, potem od lipca do listopada w cukrowni, gdzie zarabiał 1 m. 50 fen. na dobę. Potem pojechałem dalej do Saksonii, do Klostermansfeld, do tamtejszych kopalń. Pracując tam 8 godzin na dobę, zarabiałem 2 m. dziennie, miałem więc możność pracowania nad swoim wykształceniem. Tam po czteroletniej pracy doszedłem do zarobku 2 m. 50 fen. Ponieważ słyszałem, że na Pomorzu dostać można było wtedy ładny zarobek przy budowie kolei, udałem się do Rostock. Ale nie udało mi się tam znaleźć zatrudnienia, więc, mając starszego brata w Westfalii, udałem się tam do kopalń, i od razu dostałem miejsce jako uczeń. Było to w roku 1890. W tymże roku utraciłem brata, który zginął, zabity w kopalni oberwaniem się głazów.

„Pozostałem więc sam jeden na świecie. Zarobek miałem dobry, bo przy 8 godzinach pracy na dobę płacili wtedy 6 m. 50 fen. Wtedy

to wszedłem do towarzystwa polskiego i tam rozpoznałem obowiązki Polaka na obczyźnie. Ile było w bibliotece książek polskich, tyle ich przeczytałem i rozmyślałem dużo o tem, jak my, Polacy, wśród Niemców powinniśmy zachować swoją narodowość. Byłbym tam długo pozostał, gdyby nie straszny wypadek w kopalni: w r. 1891 zapaliły się gazy w naszej kopalni i 56 ludzi od razu straciło życie. Straciłem chęć do górnictwa i powróciłem do wioski rodzinnej w Poznańskim. Potem odsłużyłem wojskowość i ożeniłem się. Z żoną wyjechałem do Turynii, gdzie znalazłem pracę przy budowie kolei. Ale zarabiałem tylko 3 m. na dobę. Na zimę powróciłem do rodzinnej wioski. Następnej wiosny wyruszyłem do Westfalii i znalazłem zajęcie przy budowie elektrycznej kolei. Tam zacząłem zrazu pracować po 3 m. 30 fen.; ale wkrótce inżynier kierujący zwrócił na mnie uwagę i dał mi stałe miejsce w firmie, budującej koleje elektryczne. Wkrótce zostałem przełożonym innych robotników i powierzono mi kierownictwo robót. Zarabiam na dobę 5 m. 30 fen., i rodzinę, złożoną z żony i 3-ga dzieci mogę dobrze utrzymać. Mam nadzieję, że gdy się w naszym kraju przemysł trochę ożywi, to nasza firma wysle mnie dla budowy kolei w nasze strony i nie tracę nadziei, że dokończę wychowania moich dzieci w kraju rodzinnym“.

List powyższy nazwałem typowym z powodu, że łatwo w nim doszukać się niemal wszystkich typów wychodźcy. Autor listu, dziś zaliczający się do stałej ludności polskiej w Westfalii, pracuje w przemyśle, ale przechodził on i fazę pracy sezonowej przy roli, pracował jako robotnik rolny w Saksonii przez lato, a na zimę wracał do kraju. Koleje życia tego człowieka wskazują, że omawiając sprawę wychodźstwa (stałego) do Niemiec, nie można pominąć i wychodźstwa sezonowego, (t. zw. obieżysasów) ponieważ w praktyce nader często nie można przeprowadzić tak dokładnie przedziału pomiędzy dwoma temi rodzajami wychodźstwa, jakkolwiek przedział między niemi w teorii łatwy jest do przeprowadzenia.

Zajmując się w toku niniejszej pracy szczegółowo polską ludnością, stale zamieszkałą w Niemczech, nie możemy pominąć i wychodźstwa sezonowego, czyli t. zw. obieżysasów.

II.

Wychodztwo sezonowe i stałe.

Robotników sezonowych, którzy udają się z Księstwa lub Królestwa Polskiego do Niemiec, aby w okolicach, gdzie przeważnie kwitnie uprawa buraków, bawić dla zarobku przez cały czas kampanii buraczanej, nazywają obieżysasami.

Późną jesienią obieżysasi wracają do kraju, lecz znaczny ich zastęp zostaje na stałe na obczyźnie.

Wzrost tego rodzaju wychodztwa datuje się od czasu silnego rozwoju uprawy buraczanej w zachodnich prowincjach Prus: Hanoweru, Brunświku, Saksonii i Meklemburga.

Nazwa „obieżysasów” pochodzi stąd, że pierwotnie sezonowy ruch robotniczy ograniczał się do zaopatrywania jedynie Saksonii w robotników rolnych. Po dziś dzień jeszcze lud mówi „iść na Saksy” dla oznaczenia zarabkowania w głębi Niemiec. Ruch ten zwolna się rozszerzył, aż wreszcie objął nietylko Saksonię, ale i Hanower, Meklemburg, Marchię Brandenburską, Pomorze, Anhalt, Ks. Oldenburskie, Brunświk. Obecnie znajdujemy obieżysasów w lecie już nie tylko w Westfalii obok górników Polaków, stale tam zamieszkających, ale nawet i w Bawarii; w okolicach np. Ratysborzy trafiają się całe wędrownie kompanie robocze.

Wędrówki obieżysasów wnoszą wielce anormalny element do położenia ekonomicznego. Około św. Michała lub Nowego Roku, każdy z właścicieli ziemskich w Poznańskim mógłby nająć setki robotników rolnych, gdyby ich mógł zatrudnić; ale jeśli, chcąc postąpić przeczornie i zapewnić sobie siły robocze na lato, w zimie zawrze kontrakt roczny z robotnikami, to mało jest takich robotników, którzy-by, bez względu na kontrakt, nie opuścili swego chlebowdawcy z nadejściem wiosny. Jeśli zaś ten chlebowdawca obstaje przy prawach swego kontraktu, to robotnicy naumyślnie starają się być krnąbrni, stają się próżniakami i nieponiami, aby zmusić pracodawcę do oddalenia ich. Rolnicy zaś pozostają bez robotników, albo muszą sprowadzać sobie również sezonowych robotników z Galicyi i Królestwa, walcząc z nieprzeliczonemi trudnościami policyjnymi. Jak dalece nienormalnym jest ten cały ruch wychodzczy „obieżysasów”, świadczy stwier-

dzony wielokrotnie fakt, że niektórzy właściciele dóbr — Niemcy (w głębi Niemiec), mają wśród „obieźysasów“ swoje niejako stałe kompanie robotnicze, złożone z jednych i tych samych ludzi, którzy rok rocznie na wiosnę przychodzą do roboty, a w jesieni powracają do rodzinnych wiosek.

Właściciele dóbr, którzy używają w ten sposób zawsze tych samych robotników, obchodzą się naturalnie bez pomocy agentów i stręczycieli, a w razie potrzeby zebrania większej liczby robotników, polecają znajomym już robotnikom lub robotnicom zaangażowanie nowych. Inni znów właściciele, aby uniknąć styczności z pośrednikami, wysyłają swych urzędników gospodarczych w Poznańskie celem angażowania robotników. System ten rozpowszechniony jest w Brunświku i Hanowerze, w innych zaś prowincjach robotników dostarcza agent całemi partjami. Specyalne biura stręczców pośredniczą w zawarciu kontraktu pomiędzy kompaniami obieźysasów a pracodawcą — Niemcem. Biura te utrzymują swoich naganiaczy, którzy werbują lud w prowincjach polskich. Wielcy agenci, trudniący się dostawą robotników z Księstwa dla rolników niemieckich, tworzą pomiędzy sobą okręgi, i żaden z nich nie zapuszcza się do okręgu swego kolegi. W werbowaniu robotników posługują się oni zazwyczaj dawniejszymi wychodzcami. Gdy grunt już przez zaufane osoby agenta dostatecznie przygotowany, przybywa sam pośrednik w celu spisania z ludźmi kontraktu. Scena ta odbywa się w gospodzie przy sutym traktamencie. Zwyczajowe punkta kontraktu o liczbie godzin roboczych, długości dnia roboczego, myciu, o zachowaniu się robotnika względem pana, bywają przyjmowane w milczeniu.

Lecz jest to tylko cisza przed burzą, bo ledwo agent rozpoczął odczytywać ustęp, w którym wyrażoną jest wysokość płacy, burza się zrywa: „Za taką płacę nie pójdziemy na robotę. Tam i tam płacili dwa razy tyle. Wolę leżeć w domu, niż dla takiej marnizny tłuc się po świecie. Przy takiej płacy nikt na życie nawet nie zarobi“.

Takie głosy podnoszą się zewsząd. Agent spokojnie czeka, aż pierwsze oburzenie minie, i wtedy rozwija swą zręczność. Przypomina, że sam był niegdyś robotnikiem, że wie, co to znaczy pracować przy lichej płacy na marny kawałek chleba, z drugiej jednak strony umie też ocenić, że przy płacy przez niego ofiarowanej może każdy dobrze obstać. Przemową tą zyskuje agent ucho słuchaczy.

Nic tak nie wpływa przekonywająco na lud, jak zapewnienie, że było się w takim samym położeniu, jak słuchający ludek. Agent, spostrzegłszy, że przemowa nie mija bez skutku, zwraca się do robotnika lub robotnicy, znanych jako ludzie rozważni. Oni mają powiedzieć, jakie przy proponowanej przez agenta płacy mieli zarobki, czy to

przy obróbce buraka, czy to przy koszeniu zboża, czy przy wybieraniu okopowizn.

„Niechaj powiedzą, ile ta robota, oddana na akord, im przynosiła“.

„Ale, wołają inni, może ziemia będzie piaszczysta, może jaki sap, w którym po kolana się zapada, a może ona pod wpływem suszy w opokę się zamienił“ Takie i tym podobne uwagi padają z ust robotników. Teraz agenta rzeczą wystawić stosunki wsi lub okolicy, dla której zbiera robotnika, w jaknajlepszym świetle. Jeżeli wśród zgromadzonych znajdzie się choćby jeden znający okolicę i jeżeli warunki robocze tej okolicy są jakie takie, agent wygrał. Zwraca się więc agent do robotnika, znającego okolicę, przez agenta zachwalaną, (ów robotnik znalazł się może wypadkiem wśród zgromadzonych, ale często bywa umyślnie sprowadzony), i zapytuje się, czy nie mówił prawdy, zachwalając ową wieś i okolicę.

„Niechaj powiedzą, gdzie mieli takie wysokie zarobki?“ mówi.

Krzykacze chwalą się oczywiście bajecznymi zarobkami, ale wołują tylko niedowierzanie wśród swoich, — i wtedy agent odnosi tryumf zupełny. Skoro tylko jeden zdecydował się na podpisanie kontraktu i inni idą za jego przykładem.

Wielu drobnych agentów wyszło z szeregu obieźysasów. Pracowali oni dawniej w wioskach w Saksonii, stali się „przewodnikami“, a poznawszy stosunki, zajmują się łowieniem robotnika, przyczem zarabiają niemało grosza. Agienci, którzy mają własne biura, zarabiają na werbunku robotnika tysiące talarów. Znajdują się pomiędzy nimi tacy, którzy oszukują albo robotnika, albo chlebodawcę. Często się też zdarza, że agienci ludkowi polskiemu, nie rozumiejącemu po niemiecku, przyobiecują wyższe płace, niż w kontrakcie wyrażono. Ludziom mało doświadczonego pokazują arkusze z urzędowymi stemplami, aby wzbudzić w nich przekonanie, że władze gwarantują za wypłatę myta itp.

Ulubionym argumentem agentów obieźysasów jest wskazywanie chłopakom i dziewczkom na dostatek, w jaki opływają obieźysasi. „A cóż, odzywa się agent, nie pójdziesz na wiosnę do Saksonii? Nie chcesz się ubrać w takie suknie, jak sobie przywiozła Kaska lub Maryna? Nie chcesz się trochę po świecie rozejrzeć?“

Do miejscowości, które już kiedyś dostarczyły agentom wychodzców, zazwyczaj nie udaje się on sam, lecz przez miejscowe, obeznane z pracą w Saksonii dziewczki, namawia do podpisywania kontraktów.

Główny agent otrzymuje zazwyczaj 3 mrk. od głowy, z czego swym subagentom, recte „naganiaczom“, płaci 1 mrk.

Zazwyczaj pierwszego kwietnia rozpoczyna się wędrówka na Zachód. Olbrzymie wozy, obładowane tłumoczkami, podążają do najbliższego dworca kolejowego. Tu czeka agent, kupuje bilety czwartej klasy i pilnie strzeże swej gromadki, aby ją w całości odstawić do koszar w Saksonii lub w Hanowerze.

Koszta transportu, skierowanego zazwyczaj na Lipsk, Drezno, lub Hala - Berlin, opłaca sprowadzający właściciel ziemski lub też godzi się z agentem, z góry obliczając kosztą dostawy na 10 — 14-tu marek od głowy. Koszta te zostają potem potrącone z zarobku wędrowców.

Jak w 9-tem dziesięcioleciu w. z. koleje przepełnione były emigrantami, dążącymi do Bremy i Hamburga, aby stamtąd wyjechać do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, tak teraz na wiosnę wywożą koleje na Zachód tysiące robotników z Wielkiego Księstwa Poznańskiego, z Górnego Śląska, Prus Zachodnich itd. Kto w wiosennej porze odbywa podróż koleją po polskich dzielnicach, spotyka nie raz na dworcu tłumy wychodźców, czekających długie godziny na pociągi. Poczekalnie nie mogą pomieścić tych tłumów, czekają one na peronach i kurytarzach dworca, na przejściach i placach przeddworcowych. Zdaje się, że początkowo wychodźstwo bawi tych ludzi. Wyszedłszy z cichych wiosek, spotykają rzeczy dotąd nie widziane, spotykają znajomych i krewnych, rozgadują się z sobą o doli i niedoli.

Przodownicy, agenci lub mężowie zaufania wielkich agentów prowadzą partye swoje od stacyi wyjazdu aż do stacyi pobytu. Na stacyach czekają drabiniaste wozy, które przewożą ludzi do wsi, do której się zgodzili. Następuje na razie dzień spoczynku. Początkowo ludźk roboczy nie bardzo zadowolony barakami, w których go mieszczą. W niektórych wsiach jeszcze dziś bardzo niewygodne dla wychodźców jest pomieszczenie. Obecnie pobudowano w wielu wsiach koszary dla wychodźców, osobno dla mężczyzn, osobno dla kobiet, ale nie wszędzie.

Obieźsasi z Królestwa jadą zazwyczaj przez Kohlfurt i Zgorzelice (Görlitz w Saksonii). W sezonie widzieć można np. w Zgorzelicach codziennie prawie przejeżdżające partye po 50 osób. Wędrówka dochodzi do największych rozmiarów po Wielkiej Nocy. W Zgorzelicach napatrzeć się można obieźsasów do syta, zazwyczaj bowiem mają długie postoje. Przyjeżdżają oni zwykle pociągiem o 6-ej po południu i muszą czekać aż do 8-ej dnia następnego, bo w innych, nocnych pociągach czwarta klasa nie chodzi. Kto zaś w sobo-

tę przyjedzie, czekać musi do poniedziałku, bo w Saksonii w niedzielę czwarta klasa nie kursuje. Powszecnie się skarżą, że na dworcach, na stacyach krzyżowych, niema odpowiedniego pomieszczenia. Tak np. w Kohlfurcie całe setki nieraz muszą na chłodzie po kilka godzin czekać na peronie.

Zarobek obieżysasów jest stosunkowo dość znaczny, jeśli się go porówna ze skalą zarobkową w kraju.

Dzień roboczy trwa od 5-ej rano do 7-ej wieczorem, z półgodzienną przerwą na śniadanie, godziną na obiad i półgodzienną na podwieczorek. W razie potrzeby przedłużenia godzin pracy, dodatkowa płaca wynosi 10—15 fen. od godziny dla mężczyzny, a 9—10 dla kobiet. Zwykła zaś płaca wynosi 1.50 mk. u mężczyzn, a jedną markę u kobiet, prócz wolnego mieszkania i tygodniowo 10—20 funtów kartofli. W czasie żniw płaca podnosi się do 2 mk. dziennie.

Jeden z korespondentów moich z Saksonii, obliczając rezultat pieniężny tych 30 tygodni ciężkiej pracy, pisze, że dziewczyna zarabia 200—300 mk., mężczyzna 300—360 mk. Odrzuciwszy od tego kosztą podróży, kasy zabezpieczenia, straty odzieży — pozostaje w każdym razie kilkadziesiąt marek, zaoszczędzonych jednak, w pełnym tego słowa znaczeniu, na jedzeniu. Oszczędności te zmniejszają się zwykle o tyle, że po niektórych dominiach są sklepiki, wydające „na książkę” towar; tu gruby procent spływa do kieszeni przedsiębiorcy.

W specjalnych koszarach dla obieżysasów znajdujemy zazwyczaj oddzielne pomieszczenia dla kobiet, a oddzielne dla mężczyzn, przedzielone kuchnią lub spiżarnią i mieszkaniem dozorczy.

W Saksonii zazwyczaj są łóżka żelazne, w Hanowerze i Brunswiku drewniane, w niektórych koszarach poustawiane jedno nad drugim, w kilka pięter, jak w okrętowych kajutach.

Lecz są miejscowości, gdzie wogóle łózek niema, a całe posłanie stanowi słoma na poddaszach. Rozdzielenie płci istnieje tylko w teorji... Dozorca sam zazwyczaj jest pierwszym, który tego punktu przepisów nie przestrzega. W większości wypadków dozorca utrzymuje sklepik i naturalnie zmusza robotników do kupowania towarów; w niektórych dominiach są sklepiki z towarami, należące do właściciela dóbr.

Nadużycia, popełniane na obieżysasach, są często wręcz niesłychane. Trzeba pamiętać, że z chwilą gdy robotnik wynajęty podpisał agentowi kontrakt na imię właściciela majątku, staje się on już niejako na cały sezon letni niewolnikiem. Otóż okazuje się często, że agent zwiódł go nieprawdziwemi obietnicami. Skala zarobkowa jest niższa od umówionej, jedzenie gorsze, mieszkanie w lepiankach, kartofle zgniłe, rządca bije. Te wszystkie nadużycia uchodzą zupełnie

bezkarnie, bo robotnik wędrowny praw swych nie zna i dochodzić ich nie umie. Jeśli ucieknie, pozostawiając nawet pewną kwotę zarobku, jako vadium, to go żandarmi przyprowadzą skutego w łańcuchach na podwórko dziedzica, którego jest niewolnikiem. Prawo nigdy nie staje po jego stronie, zwłaszcza jeśli to „obcokrajowiec“ z Królestwa Polskiego lub z Galicyi.

Często się też zdarza, że niesumienni agenci, tylko w celu wydłuzenia od robotników grosza i prowizyi, oraz dochodów nieprawych w podróży, wysyłają całe kompanie do nieistniejących wcale miejscowości. O takim wypadku donosił mi jeden z korespondentów moich z Westfalii. Píše mi on mianowicie: (list datowany w porze letniej).

„Chodzą sobie jacyś chłopci w kozuchach i długich butach po ulicach Paderbornu, a tu termometr wskazuje 22 stopnie R., więc Niemcy spoglądają na nich jak na mieszkańców Marsa. Idę za nimi i pytam:

„A skąd to ludkowie?“ A oni na to niemal w płacz: „O Jezusińku najmiłszy!“ Opowiedzieli mi całą historję swego błędzenia. Jakiś agent „psiołkrew“ z Wrocławia przybył do wioski pod Krakowem i obiecywał złote góry. Spisali kontrakt, dali mu zadatek i wyjechali. On ich podwiózł do Berlina, a potem im wskazał adres nieistniejącego wcale właściciela dóbr, a sam zniknął. Ponieważ nikt z nich już grosza nie miał przy duszy, pieszko zatem przybyli do Paderbornu i pieszko zapewne zamierzali wędrować do kraju — przez pół Europy.“

Dola dziewcząt polskich, których rok rocznie kilkanaście tysięcy opuszcza kraj rodzinny, udając się do Niemiec, godną jest pożałowania. Trudno zebrać jakiegokolwiek materyały statystyczne do tej kwestyi, jednak to pewna, że większość ich nie wraca i zupełnie się marnuje, w upodleniu i szpitalach kończąc życie.

Do jednej kategorii należą proste dziewczęta wiejskie, które udają się z partjami obieźysasów na sezonową robotę letnią.

Są między niemi często takie, które przez dwa lub trzy lata chodząc „na sachsy“, skrzętnie zbierają grosz każdy, i uciulawszy kilkaset marek, oraz trochę przedmiotów potrzebnych do gospodarstwa, wydają się dzięki temu „wianu“ za mąż w kraju. Te, dzięki swej silnej woli, niezbitce dążącej do tego jednego tylko wytkniętego celu unikają szczęśliwie wszelkich niebezpieczeństw, zagrażających samotnej dziewczynie na obczyźnie. Ale większa część dziewcząt, idących na „sachsy“ albo wychodzi za mąż za Niemców na obczyźnie i do kraju już nie wraca, albo, jeśli wraca, to po to, aby w zimie pozostawić w rodzinnej chacie na opiece matki swój przychówek i z najbliższą wiosną ruszyć w świat.

Są dziewczyny, które przez kilka lat rok rocznie przywożą ze sobą do kraju powiększenie rodziny, a o ile wreszcie nie utoną gdzieś w morzu niemieckiem, szerzą w kraju demoralizację, obciążają zapomogami gminy i powiększają szeregi proletaryatu.

Oprócz dziewcząt, które wychodzą na obczyznę z obiezysasami, są jeszcze dwa rodzaje emigrujących: robotnice fabryczne i służące.

W przemysłowym okręgu nadreńskim i w fabrykach saskich, potrzeba do przędzalni i warsztatów tkackich dziewcząt polskich, które agienci, stręczący zatrudnienie, werbują po kilkadziesiąt naraz do każdej fabryki. Zarobek dziewcząt polskich w fabrykach na Zachodzie Niemiec jest wogóle bardzo lichy, w Nadreńskich prowincjach, zarówno jak i w Saksonii. Warunki pobytu niedogodne.

Agienci, dostarczając fabrykom dziewcząt, nakłaniają swe klientki do zawarcia kontraktu rocznego, który jest bardzo uciążliwy.

Fabryki mają powszechnie swe domy mieszkalne koszarowe dla tych dziewcząt. Domy te są zazwyczaj osławionem miejscem w całej dzielnicy, służąc jako punkt zborny dla hultai wszelkiego rodzaju.

Wprawdzie o 10-ej wieczorem dom zamykają, ale dziewczęta dostają łatwo urlop do 12-ej, a często i na całą noc, i z tego skwapliwie korzystają. Jeśli się która spóźni i przyjdzie po zamknięciu bramy, musi całą noc spędzić w mieście. Wyniki tego łatwe do przewidzenia.

Korespondent z pewnej fabryki nadreńskiej, opisując taki dom mieszkalny dla dziewcząt polskich, donosi, że w ciasnych izbach sypia ich po 10 i więcej, a pożywienie gotuje się w kotłach, jak dla żołnierzy. Pożywienie ma być niewystarczające. Los dziewcząt polskich pracujących w fabrykach saskich i nadreńskich, wogóle nie jest godzien zazdrości.

W innej fabryce, która zatrudnia przeszło 100 dziewcząt polskich, zaprowadzono regulamin klasztorny. Dziewczyny mieszkają w osobnym domu. Za utrzymanie płacą na tydzień 4 mk. Nie jest to wiele, ale gdy się zważy, że zarobek cały wynosi 9—12 mk., a z tego odciąga się jeszcze składka na kasę chorych i przymusowe zabezpieczenie, to pozostaje zaledwie 5—7 mk. zarobku.

Praca trwa od 6-ej rano do 7-ej wieczorem, z przerwą półgodzinną na śniadanie, półtorej godziny na obiad i kwadrans na podwieczorek.

Dziewczęta te, mając stały zarobek w ręku, nie myślą o powrocie do kraju, tembardziej, że olśniewa je samodzielność, jakiej używać mogą w całej pełni na obczyźnie. Dopiero przerwa w możliwości zarobkowania, wywołana poważnym stanem, zwraca myśli i serca ich w rodzinne strony. Niektóre wracają do kraju, złamane i odarte

z ostatniego grosza, inne po ciężkich przejściach, nauczone smutnem doświadczeniem, dążą tylko do tego, aby się wydać za mąż, naturalnie za Niemca, inne zaś, a tych jest procent bardzo znaczny, sprzykrzywszy sobie pracę w fabryce, zachęczone faworyzowaniem i „poparciem” mężczyzn, szukają lżejszego zarobku i zostają kelnerkami. Skąd tylko krok jeden do jeszcze... lżejszego zarobku, do którego przejście ułatwia im policya, lub szpital.

Wymieniliśmy powyżej trzeci rodzaj emigracyi dziewcząt: służące. Zapotrzebowanie służących i pokojówek jest wszędzie w Niemczech, zwłaszcza w większych miastach, ogromne. W Berlinie, Wrocławiu, Lipsku, Dreźnie, tysiącami bawią na służbie służące śląskie, Niemki. Ale i tych jest za mało. Sięgnąć trzeba więc w Poznańskie. To też we wszystkich tych większych, jak i mniejszych miastach, napotkać można służące kucharki i pokojówki Polki. Są to zazwyczaj dziewczyny oszczędne i pracowite, które po kilku lub kilkunastu latach wracają do kraju z zaoszczędzonym kapitalikiem. Prawdziwą dla nich plagą są oszuści, pod pretekstem małżeństwa wyłudzający uciulany kapitalik. Polki są pod tym względem bardzo łatwowierne i często padają ofiarą tych oszustw.

Nie są nam znane biura, które-by większemi partjami sprowadzały służące z Polski. Jednym z najczęstszych powodów udawania się na obczyznę w charakterze służących jest u dziewcząt polskich z Poznańskiego sieroctwo, brak oparcia u rodziny, zawód miłosny, zniechęcający młodą dziewczynę do odsunięcia się od znajomych, a równolegle z tem odraza do pracy w fabryce lub na roli, jako do „gorszej”.

Położenie służących ma to do siebie, że nie daje żadnych widoków polepszenia bytu w przyszłości, żadnego „awansu”. Robotnica fabryczna, pracująca z początku jako „podawaczka”, spodziewać się może, że przy pracy i inteligencji będzie z czasem „dozorczynią” towarzyszek; służąca nie ma takich widoków i dla tego też właśnie najczęściej inteligentne i bardziej rozwinięte dziewczyny, w nadziei poprawienia losu, o ile zewnętrzne ich warunki temu odpowiadają, dają się porwać złudzeniu zrobienia karyery i zostają bufetowymi w kawiarniach, kelnerkami, sprzedawczkami kwiatów, modelkami lub nawet chórzystkami.

Inne, wykoleiwszy się raz, od razu zaczynają od tego, na czem ich towarzyszeki, przeszedłszy szkołę kelnerstwa, sprzedaży kwiatów i t. d., kończą.

Jak zaznaczyliśmy powyżej, istnieje pewien punkt wspólny w życiu dziewczyn-obieźysasek, robotnic fabrycznych i służących, a mianowicie: jeśli nie wszystkie, to przynajmniej 90% z nich okupuje swój pobyt na obczyźnie nielegalnem macierzyństwem. Jakkolwiek

dziwnem się to wydawać może, sądzimy, że nie tylko same okoliczności, wyrrywające dziewczynę z pod opieki rodziny, a stawiające ją samą pośród obcych, wywołują niepożądany ten objaw, ale że nadto przyczynia się do tego w znacznej mierze opieka, jaką prawodawstwo niemieckie otacza takie dziewczyny w stosunku do ich krzywdzicieli. Najprostsza nawet dziewczyna wie obecnie, że sąd opiekuńczy, broniąc interesów jej i jej dziecka, zmusi mężczyznę do zapłacenia jej odszkodowania za stracony czas pracy, za koszty poniesione, a nadto do płacenia miesięcznych alimentów na dziecko. Oprócz tego zaprowadzone w całych Niemczech kasy chorych, do których należą wszyscy zarobkujący pracą fizyczną, zapewniają w podobnych razach dziewczynom pomoc materyalną i opiekę. Wyrabia to w nich z jednej strony przekonanie, że podobne przejścia są wprawdzie przykre, ale uchodzić mogą bezkarnie, i że społeczeństwo nie ściga tak mściwą dłońią tych wykroczeń jak w kraju; a z drugiej strony przejmując dziewczęta poczuciem wdzięczności dla tego obcego społeczeństwa. Pamiętam rozmowę, którą prowadziłem z pewną robotnicą fabryczną w Dreźnie o tych rzeczach.

„Co mi tam powrót do kraju! rzekła, tu gdy mi się przytrafi „nie-szczęście“, to jeszcze mi lepiej i wygodniej, i nie napracuję się. Jest opieka nad nami! A w kraju, to co? Wszyscy pomstują, a nikt nie pomoże. Mnie się tu podoba!“

Oto są szczegóły, nieco wprawdzie drastyczne, ale wiernie oddające położenie naszych dziewcząt na wychodztwie.

Oprócz wychodztwa sezonowego, które, zabierając prowincjom polskim prostego robotnika rolnego, osadza pewną część wychodzców w Niemczech na stałe, w niemiejszych rozmiarach istnieje odływ ludności polskiej, opuszczającej kraj, w zamiarze stałego pobytu w głębi Niemiec. Są to albo wieśniacy (prawie wszyscy wychodźcy polscy w Westfalii pochodzą ze wsi, z miast pochodzi najwyżej 5%), albo drobni rzemieślnicy z miast. Pierwsi osiedlają się na stałe w śródlowiskach wielkiego przemysłu i pracują albo w kopalniach, albo w fabrykach wszelkiego rodzaju, drudzy osiadają w większych miastach; podział ten, rzecz prosta, w praktyce nie jest tak dokładny: pewien procent rzemieślników, nie mogąc się utrzymać z rzemiosła na obczyźnie, przechodzi do szeregu robotników fabrycznych, a z drugiej strony i pochodzących ze wsi fabrycznych robotników znaleźć można w każdym wielkim mieście.

Rzecz prosta, że wychodztwo, dokonywujące się w tak znacznych rozmiarach, jak wychodztwo polskie do Niemiec, otwiera szerokie pole działalności dla agentów i pośredników.

Widzieliśmy już ich działalność przy obieżysasach. Mniej jest znane, że rozwijają oni swą działalność i na polu werbowania robotników fabrycznych. Fabrykanci niemieccy (wiadomo mi to o fabrykantach z prowincyi nadreńskich) wysyłają w razie potrzeby agentów w Poznańskie lub na Śląsk po żywy „towar”. Polacy agenci podejmują się tego zadania za tańsze pieniądze, a osiągają lepsze wyniki. Biorą dziennie 7—10 mk., lub zwrot kosztów podróży oraz 3 mk. za głowę. Agenci Polacy są mianowicie czynni w sprowadzaniu dziewcząt polskich. W razie potrzeby uciekają się do podstępu i złote góry obiecują na miejscu pracy. Wabią najczęściej obietnicami większych niż istotne zarobków, lub też uciekają się do innych sposobów, jeśli trafiają na naiwne dziewczęta.

Tak np., pewien agent zapowiadał dziewczynom, że będą mieszkały w domu, otoczonym pięknym ogrodem, gdzie rosną pomarańcze, które im będzie wolno zrywać, itd. Okazało się, że zawiózł je do fabryki w Lennep. Koszary fabryczne dla robotnic stoją istotnie w ogrodzie, ale i ten ogród, i dom nieco inaczej się przedstawiają, niż agent opowiadał, a pomarańczę wogóle ani śladu.

Pomiędzy wychodźcami sezonowymi jest dość znaczny procent przychodniów z Królestwa Polskiego. Ci naturalnie w jeszcze większej mierze padają ofiarą zręcznych oszustw, lub wskutek niezajomości języka niemieckiego i praw obowiązujących, sami się narażają na przykrość i straty.

W życiu wychodźstwa „stałego” agenci nie odgrywają tak znacznej roli. Jakkolwiek emigracya stała jest bez porównania liczniejsza od sezonowej, to wszakże na ogół biorąc, dokonywa się ona nie partyami, lecz pojedynczo.

Dopływem ludności polskiej do miast niemieckich kieruje z jednej strony chwilowy ekonomiczny stan w kraju, a z drugiej — chwilowa konjunktura w Niemczech.

Tak więc całokształt wychodźstwa polskiego w Niemczech przedstawia się nam następująco:

Ogólnem tłem jest sezonowy dopływ i odpływ robotników rolnych. Istnieje, aczkolwiek w mniejszych rozmiarach, takiż sezonowy ruch i robotników pracujących po miastach. Na tle tego ruchu, który pozostawia po sobie corocznie jakby pewien osad, widzimy cały szereg stale istniejących większych i mniejszych kolonii przemysłowo-fabrycznych, a niezależnie od tego znaczne liczby ludności polskiej, mieszkającej po wielkich miastach.

O ile całe Prusy, od wschodnich swych granic aż po Ren, są terenem mniej więcej równomiernie rozścielającego się ruchu obieżysasów, o tyle znów tworzenie się stałych osad wykazuje znaczną niejed-

nolitość formacyi. Widzimy w Westfalii i Nadrenii, na małej przestrzeni stosunkowo, olbrzymią liczbę ludności polskiej, stale osiadłej, w Saksonii i prowincyi saskiej widzimy na znacznej przestrzeni rozsiane grupy kolonii polskich, a wreszcie zupełnie niezależnie od tego, kolonie polskie po wielkich miastach.

Odpowiednio też do tego przy rozpatrywaniu szczegółowem podzielimy wychodztwo stałe na kilka grup odrębnych, kierując się przytem zarówno ich lokalną odrębnością, jako też i odrębnością ich ogólnego charakteru.

III.

Podział wychodztwa.

Omawiając najogólniejsze sprawy wychodztwa polskiego w Niemczech, mogliśmy się obyć bez podziału istniejących w Niemczech kolonii polskich na grupy. Zamierzając jednak omówić niektóre sprawy ze stanowiska lokalnego danych kolonii polskich, i chcąc przedstawić ich charakter na gruncie lokalnych warunków, musimy całe wychodztwo podzielić terytorjalnie na grupy i wykazać właściwości każdej grupy. Podług podziału, jaki się nam nasunął i jakiego się trzymamy, wychodztwo polskie w Niemczech przedstawia trzy wielkie grupy kolonii polskich, różniące się nawzajem swym charakterem zarobkowym, sposobem osiedlenia i napięciem oporu przeciw germanizacyi.

Grupy te to:

Westfalia i prowincya nadreńska — grupa *pierwsza*.

Saksonia, prowincya saska Prus, Brunświk, Anhalt, Hanower, Meklemburg, Oldenburg i położone między temi krajami części Prus, grupa *druga*.

Wielkie miasta — grupa *trzecia*.

Podział to naturalnie dowolny, jakkolwiek opiera się on na położeniu rzeczy. Nie ulega wątpliwości, że nie można było Westfalii z Nadrenią i wielkich miast omawiać jako jedną całość, i pod tym względem podział na odrębne grupy wynika sam z siebie. Natomiast grupa druga przedstawia właściwie konglomerat, złożony z pomniejszych grup, różniących się pomiędzy sobą daleko więcej, niż np. dwa powiaty westfalskie, lub dwa „wielkie miasta“. Należało-by, właści-

wie mówiąc, rozbić tę grupę co najmniej już na trzy grupy, z których pierwsza (rolniczo-przemysłowo-fabryczne wychodztwo) obejmowała-by Saksonię i część prowincyi saskiej; druga grupa (wychodztwo fabryczno - przemysłowo - górnicze) objęła-by część prowincyi saskiej Anhalt; a wreszcie trzecia (rolnicze wychodztwo) objęła-by część Pomorza, Brunświk, Hanower, Oldenburg i Meklemburg.

Tego bardzo zapuszczającego się w detale podziału zaniechaliśmy, po pierwsze z powodu, że w razie zatrzymania go każda z tych grup wykazywała-by 40—60 tysięcy Polaków, podczas gdy Westfalia wykazuje ich 180, a wielkie miasta tyleż, powtóre zaś dla tego, że wobec znacznie słabszego poczucia narodowego wśród wychodzców w tych prowincjach, i wskutek mniejszej ich liczby, zebrany materiał statystyczny, i tak nie przedstawiając się zbyt obficie, a będąc jeszcze rozbity na trzy mniejsze grupy, nie mógł-by nam dać w liczbach przeciętnych obrazu istotnego stanu rzeczy, lecz zależne od wypadku liczby. Tam, gdzie jak np. w Saksonii, mamy niespełna 10 towarzystw polskich, trudno-by przypisywać jakąś realną wartość liczbom przeciętnym: okazało-by się np., że gdy na każde ze 170 towarzystw przypada 77.3 książek, to w Saksonii przypada ich 50. Wnioski z tego porównania wyprowadzane nie miały-by wartości, ponieważ ktoś, choćby po przeczytaniu niniejszego opisu, posławszy któremukolwiek z towarzystw w Saksonii ze 400 książek, radykalnie zmieniłby liczbę przeciętną.

Dla tego więc zatrzymaliśmy podział na Westfalię i Nadreńską prowincję, dalej Saksonię, Anhalt, Hanower, Brunświk, Oldenburg, Meklemburg i odnośne części Prus, a wreszcie wielkie miasta.

Zestawienie, sporządzone na podstawie kwestyonaryusza, w zupełności podział ten popiera i uzasadnia.

Uważając towarzystwa polskie w każdej z wymienionych grup niejako za barometr, wskazujący stan ekonomiczny, etyczny, narodowy i intelektualny wśród wychodzców, możemy za pomocą statystyki towarzystw oświecić do pewnego stopnia stan rzeczy w tych trzech grupach.

A więc co do Westfalii. Liczba towarzystw polskich w Westfalii wynosi, pomimo niewielkiego obszaru, przeszło połowę ogólnej liczby towarzystw polskich w Niemczech. Przeciętna liczba członków każdego o wiele przewyższa przeciętną liczbę członków w innych prowincjach. Przeszło 50% członków po raz pierwszy zapoznało się z gazetami polskimi w towarzystwach; przeciętna liczba gazet wynosi na towarzystwo 417, a książek 77.3.

Zupełnie inaczej przedstawiają się odnośne liczby dla grupy drugiej — mieszanej. Przeciętna liczba członków wynosi zaledwie

ćwierć tego, co w Westfalii. Z gazetami zapoznało się nie 50%, lecz 35%. Towarzystw jest 4 razy mniej, niż w Westfalii. Liczba gazet wynosi 4.5 na towarzystwo. Liczba książek w przeciętnej bibliotece odpowiada liczbie Westfalii. Wszystko to wskazuje na słabszą inteligencję wśród wychodźców i na mniejsze rozbudzenie świadomości narodowej. Jeśli dla Westfalii na podstawie dość ścisłego oszacowania można przypuścić, że z męskiej ludności polskiej 10%, t. j. co dziesiąty Polak należy do towarzystwa Polskiego, to w grupie drugiej można liczyć co najwyżej 5%, t. j. co 20-go.

Grupa „wielkich miast” obejmuje miasta: Berlin z przyległościami (w wielkim promieniu), Hamburg, Bremę, Wrocław i Drezno.

W miastach tych napotykamy w wielkiej liczbie wychodźczy żywioł miejski: drobnych rzemieślników, kupców i t. d. Stosunkowy udział Księstwa w tem wychodźstwie jest wyższy ponad przeciętny ogólny. Liczba towarzystw jest znaczna, nie odpowiada jednakże liczbie osiadłych w tych wielkich miastach Polaków: rozstrzelenie po całej przestrzeni wielkiego miasta utrudnia funkcję towarzystw. Procent należących do towarzystw wychodźców jest mniejszy, niż w Westfalii, lecz większy, niż w grupie drugiej. Szacować go można na 15%. Towarzystwa dają dowód inteligencji i oświaty. Tu bywają odczyty „prawdziwe”, wygłaszane przez prelegentów. Z gazetami zapoznaje się stosunkowo niewielki procent (20%), ale dlatego, że członkowie już przed wstąpieniem (pochodząc przeważnie z miast) czytali gazety polskie. Posiedzenia po większej części co tydzień, a nie co dwa, jak w pierwszej i drugiej grupie. W bibliotekach też więcej książek: przeciętna ich liczba wynosi 105.

Liczba gazet wynosi przeciętnie 5.5 na towarzystwo.

Zestawienie powyższe, zdaje się, w zupełności motywuje podział na trzy grupy.

IV.

Westfalia i nadreńskie prowincje.

Praca górników w kopalniach należy do najniebezpieczniejszych i najuciążliwszych, jakich się człowiek wogóle podejmuje.

Całodzienna praca w oświetlonych zaledwie mdłym światłem lampki górniczej podziemnych przewodach, wśród pyłu, padającego

na płuca, w najniewygodniejszej, a koniecznej przy pracy postawie, ułatwia zarodkom rozmaitych cierpień usadowienie się w organizmie choćby najzdrowszym.

A obok tego niebezpieczeństwa, któremu ulega każdy niemal górnik, jak to się przekonać można z niezwykle wysokiej cyfry śmiertelności, czyha na życie górnika śmierć, zaczajona w podziemnych przejściach i rozpadlinach ziemnych — i z błyskawiczną szybkością kładzie kres najsilniejszemu, najzasobniejszemu w żywotne siły organizmowi. Są to wybuchy gazów palnych, niestety, tak częste w kopalniach węgla pomimo wszelkich ostrożności, że uważa się już katastrofy, z tego powodu wynikłe, za śmierć przeznaczoną górnikowi, jak śmierć w odmętach wodnych żeglarzowi.

W nadreńskich kopalniach węgla niebezpieczeństwo, zagrażające życiu górnika z powodu eksplozyi gazów, jest stosunkowo większe, niż gdzieindziej, a to wskutek geologicznej formacyi pokładów węgla, posiadających niezliczone szczeliny i jaskinie, wypełnione eksplodującym i trującym gazem. Górnik, który na swej drodze napotyka taką szczelinę i swym kilofem toruje drogę wyjścia gazom na powierzchnię ziemi, staje się w jednej chwili ofiarą niszczących wszystko z elementarną siłą płomieni, jeśli który z jego towarzyszków, choćby w oddalonym znajdując się punkcie, przez nieostrożność, nieuwagę lub zbytki otworzył latarkę i ułatwił zetknięcie się gazów z płomieniem.

Dla robotników, pracujących w oddalonych lub zbyt zawiłych kruzgankach podziemnych — niema wówczas ratunku. Bywają eksplozye tak silne, że niszczą całą wewnętrzną konstrukcyę kopalni, wyracając podpierające sklepienia słupy, na zawsze odcinając od świata całe partie robotnicze, skazując je na śmierć z uduszenia trującymi gazami.

Lecz, nie tylko nieostrożne obchodzenie się z lampami górniczymi, ale i prosta, niepodlegająca kontroli ludzkiej, iskra naboju rozsadzającego, za pomocą którego muszą torować sobie drogę górnicy i rozsadzać kamień, wywołuje eksplozyę, jeśli poza ścianą, którą nabój miał rozsadzić, kryły się gazy i jeśli dosięgły iskry wcześniej, nim zgasła.

A ponieważ rozsadzanie warstw kamienia i niektórych gatunków węgla za pomocą naboju jest jednym z niezbędnych warunków pracy górników, a więc i ta nagła śmierć wyziera na nich z za każdej, pozornie jednolitej, obojętnej i spokojnej ściany kopalni.

Zbytecznem jest wspominać tu o innych niebezpieczeństwach, wynikających z technicznego urządzenia kopalni, jak np. częste niebezpieczeństwa, wynikające z oberwania się wind, za pomocą których spu

szczają się górnicy całemi partjami w głąb kopalni. Złe zrozumienie sygnału przez stojącego na powierzchni u windy urzędnika, a winda unosi się z kopalni w górę za prędko, zanim wszyscy usiedli—i miażdży między sobą a ścianą nieszczęśliwego górnika, który właśnie wsiadał.

I do tej-to pracy niezdrowej, z niebezpieczeństwem utraty życia połączonej, napływają tysiące ludzi! Zaiste muszą to być niezwykle głęboko w rdzeń życia ekonomicznego i społecznego obydwóch społeczeństw sięgające przyczyny, które ludność, oddaną od wieków rolnictwu, nietylko przenoszą w obce, odległe strony, ale nadto przerabiają w podziemne krety, igrające z niebezpieczeństwami swego niezwykłego zawodu!

Rozwój emigracyi do Westfalii i osiedlenie się wychodźców w zwartych koloniach w nadreńskim okręgu przemysłowym związane jest ściśle z rozwojem górniczego przemysłu w tych okolicach.

Przemysłowy okrąg westfalsko-nadreński może się pochwalić tak wysoką skalą zarobkową w stosunku do krótkości szczyt, jak żadna inna okolica przemysłowa w całych Niemczech.

Te więc dogodne warunki zarobkowe stanowiły pierwszy punkt atrakcyjny dla wychodźstwa polskiego. Drugą, nie mniej ważną przyczyną szybkiego i masowego osiedlania się Polaków w tych stronach był niezmiernie szybki wzrost przemysłu.

W roku 1870—71 ilość węgla, wydobytego w kopalniach nadreńsko-westfalskich, wynosiła 12 milionów tonn. Od tego czasu produkcja wzrastać zaczęła niezmiernie szybko. W roku 1880 wynosiła 22 miliony, w roku 1890—35 milionów, aż wreszcie w r. 1899 doszła do kolosalnej liczby 54½ miliona tonn.

Obok tego z równą szybkością wzrastały inne gałęzie przemysłu, jak wyrób żelaza i stali, fabrykacja koksu i połączone z nią gałęzie przemysłu, fabrykacja cegieł i t. d.

W roku 1870 przerobiono 341 tysięcy tonn koksu, w roku zaś 1899 przerobiono przeszło 8 milionów tonn. Cyfry powyższe, ilustrując szybki wzrost przemysłu, najlepszem są wytlómaczeniem osiadania robotniczych kolonii polskich.

Miejscowa ludność niemiecka nie była w możności dostarczyć dość sił roboczych, a to tembardziej, że przemysł żelazny i stalowy równocześnie prawie rozwinął się i w pogranicznym pasie, w okolicy Remscheid i Solingen, Hagen i Barmen. Nawet i dalej położone okolice, jak okolice Kolonii, Dysseldorfu lub Hamm—nie mogły dostarczyć robotników z powodu wysoko rozwiniętego własnego przemysłu.

Trzeba więc było zapożyczyć sił do pracy w tych prowincjach, gdzie ich było dużo i gdzie wobec odmiennych warunków ekonomicz-

nych skala zarobkowa była daleko niższa. Prowincjami temi mogły być tylko: Księstwo Poznańskie, Prusy Zachodnie, a po części i Wschodnie i Śląsk.

Wśród górników westfalskich i nadreńskich spotyka się często przybyszów ze Styryi, Tyrolu, Karyntyi i Piemontu, których nazywają krótko Włochami. Są też Słoweńcy, Węgrzy i Czesi. Nazywają ich „Austryakami“. Są to przeważnie robotnicy, już obeznani z zawodem górnika. Polski zaś emigrant, z wyjątkiem nielicznych może górnoślązaków, którzy, mając kopalnie w swej prowincyi, znają się nieraz na górnictwie, przychodzi prosto od pługa i naturalnie zajmuje najniższy stopień w hierarchii górniczej — stopień podawacza („Schlepper“, — „śleper“, jak mówią tamtejsi górnicy polscy), którego obowiązkiem jest pchanie wózka, naładowanego węglem wydobytym przez właściwego górnika — hajera (Hauer).

Początki osadnictwa polskiego w Westfalii nie sięgają odległych czasów. Około 1875 roku jeszcze nie było miejscowości zaludnionych tak obficie Polakami, aby się okazała potrzeba i możność zawiązywania towarzystw. Wychodźcy nie przybywali partjami, lecz pojedynczo, a rozstrzeleni na znacznej przestrzeni, niezmiernie łatwo się wynaradawiali. Małżeństwa z Niemkami były na porządku dziennym.

Kopalnia węgla w Körl (Courl), sprowadziła pierwsza całą partję górników polskich i rozpoczęła w ten sposób regularne posilkowanie się nimi.

Jako jedno z pierwszych powstało w Dortmundzie towarzystwo „Jedność“. Było to 1876 r. Później w Bochum założono towarzystwo katolicko-polskie pod opieką św. Barbary.

Powoli zaczęły się zawiązywać tu i owdzie towarzystwa, w miarę napływu coraz to nowych wychodźców z kraju.

Od r. 1890 zaczęła napływać ze zdwojoną siłą fala wychodźców. Znajdowali prawie wszyscy zatrudnienie w górnictwie.

W r. 1890 powstało pismo polskie p. t. „Wiarus polski“. Zachęcając do zawiązywania towarzystw, udzielając rad i wskazówek „Wiarus polski“ w Bochum przyczynił się do utrzymania narodowości w wychodźcach; niemniej sama ich coraz wzrastająca liczba musiała się przyczynić do utrzymania pierwiastków narodowości, wyniesionych z kraju rodzinnego.

Obecnie wychodźcy polscy w Westfalii, pomimo stosunkowo niższego poziomu oświaty, nie wynaradawiają się tak szybko, jak rozsiani w wielkich miastach niemieckich. Przyczyną tego jest większa gęstość zaludnienia polskiego, większa zbitość poszczególnych kolonii.

Centralny urząd górniczy sporządził statystykę górników w r. 1893 i 1897. Porównanie liczb, dotyczących Polaków w obudwu tych latach, oczywiście dostarczyło-by materiału do ciekawych spostrzeżeń, gdyby statystyka z r. 1893 a z 1897 była sporządzona według jednolitych schematów. Jednak tak nie było.

W r. 1893 spisano „górników, których językiem ojczystym był język polski,” w r. 1897 spisano zaś takich „poddanych niemieckich, którzy władali polskim językiem”.

Jest to wielka różnica. Po pierwsze: do statystyki w roku 1893 wliczono w ten sposób i wychodzców z Królestwa lub Galicyi, których liczby z r. 1897 nie uwzględniają.

Powtóre: liczbę Polaków w statystyce z r. 1893 zapewne tendencyjnie zmniejszono, uważając za Niemców tych, którzy dobrze mówili po niemiecku.

Przy porównaniu tych liczb należy tę okoliczność uwzględnić.

	1893	1897
	Górnicy z językiem polskim ojczystym	Górnicy poddani niemieccy mówiący po polsku
Okręg górniczy		
Recklinghausen.	2,616	5,054
Ost - Dortmund.	279	905
West - Dortmund	772	2,256
Süd - Dortmund	190	447
Witten.	675	1,060
Hattingen.	202	407
Süd - Bochum	1,008	2,158
Nord - Bochum.	649	1,719
Herne	2,589	5,113
Gelsenkirchen	3,767	6,963
Wattenscheid	1,669	3,179
Ost Essen.	1,202	1,783
West Essen	1,731	3,168
Süd Essen	87	172
Werden	21	18
Oberhausen	462	959
Ogółem	17,919	34,361

Jak widzimy, liczba prawie się podwoiła. Nie świadczy to jednak, żeby w ciągu tych czterech lat istotnie podwoiła się liczba górników Polaków. Liczba z roku 1893 wydaje się nam tendencyjnie za niską dla powyżej przytoczonych powodów, podczas gdy liczba z roku 1897 zbliża się do prawdy. Wiemy nadto, że z Królestwa pracowało we wszystkich wymienionych okręgach w r. 1897 — 268 emigrantów. Z Galicyi liczba niewiadoma. Wiemy jednak ze statystyki towarzystw, jak nieznaczný udział w westfalskiem wychodźstwie biorą Polacy w Galicyi. Nadto mamy też liczbę wykazującą, ilu obcych poddanych (oprócz Polaków z Królestwa) pracowało w r. 1897 w okręgu. Było ich zaledwie 4,265—Włochów, Belgijczyków, Holendrów, Czechów, Niemców z Austrii i Polaków z Galicyi. Wszystkich razem było w r. 1897—35 tysięcy Polaków (z Księstwa, Śląska i Prus, z Królestwa i Galicyi) zatrudnionych w okręgu górniczym dortmundzkim.

Za rok 1898 (miesiąc lipiec) mamy dla tegoż okręgu górniczego statystykę, opartą, co prawda, nie na języku, lecz na miejscu urodzenia górników. Było:

Z Górnego Śląska	5,087
Z Księstwa Poznańskiego .	18,004
Z Zachodnich Prus	6,638
Z Wschodnich Prus	20,169
Razem	49,898

Potrąciwszy z tej liczby 10 tysięcy na przybyszów ze Wschodnich Prus, jako prowincyi w połowie niemieckiej, otrzymamy liczbę około 40 tysięcy, jako przypuszczalną liczbę Polaków-górników w r. 1898 w okręgu dortmundzkim. Liczba ta wobec faktu stałego wzrastania wychodźstwa polskiego w Westfalii, może być uznana za dość ścisłą, zważywszy, że na innej podstawie oparta statystyka z r. 1897 (z grudnia) wykazywała 34,000.

Przyrost 6,000 z górą w półroczu letniem wydaje się zupełnie odpowiadającym rzeczywistości.

Na tej samej podstawie (pochodzenie) opiera się statystyka górników okręgu dortmundzkiego z d. 31 grudnia 1899 r.

Wykazuje ona urodzonych:

Na Górnym Śląsku	6,285
W Księstwie Poznańskim . .	24,667
W Prusach Zachodnich . . .	7,897
W Prusach Wschodnich . . .	30,238
Razem	<u>69,087</u>

Potrąciwszy znowu połowę emigracyi z Prus Wschodnich, jako nie polską, otrzymamy liczbę 54 tysiące. Przyrost przez półtora roku, to jest od lipca 1898 do końca grudnia 1899, wynosił-by zatem 14 tysięcy.

Dla sprawdzenia tej liczby, możemy zestawzić statystykę z 1897 r. (podług języka) ze statystyką z r. 1899 (podług miejsca urodzenia), a przekonamy się, że w poszczególnych okręgach pomiędzy wzrostem tych liczb i ich wzajemnym stosunkiem w każdej miejscowości, zachodzi łączność, która wskazuje, że operujemy w obudwu razach istotnie liczbami, oznaczającymi ludność polską...

	1898	1899
Okręg górniczy.	Górnicy mowiący po polsku	Górnicy ze Śląska, Poznania, Prus Zachodnich i półn. z Prus Wschodnich
Recklinghausen	5,054	7,534
Ost - Dortmund. . . .	905	2,866
West - Dortmund	2,256	3,586
Süd - Dortmund	447	1,584
Witten.	1,060	1,269
Hattingen	407	997
Süd - Bochum	2,158	2,413
Nord - Bochum.	1,719	2,569
Herne	5,113	6,776
Gelsenkirchen	5,963	6,515
Wattenscheid	3,179	3,920
Ost - Essen	1,783	3,718
West - Essen	3,168	5,532
Süd - Essen	172	1,105
Werden	18	93
Oberhausen	969	3,355

Powyższe zestawienie szczegółowe potwierdza, że z końcem roku 1899 liczba Polaków-górników w kopalniach nadreńskich wynosiła przeszło 54,000. Gdybyśmy przyrost roku 1900 najniżej taksować chcieli, zawsze musimy liczyć przynajmniej 8,000, a to tembardziej, że zapotrzebowanie węgla znacznie wzrosło w tym roku. Z końcem roku było-by zatem 62,000 górników Polaków.

Ponieważ liczba wychodzców, pracujących w innych gałęziach przemysłu, mianowicie w przemyśle żelaznym, nie da się oznaczyć inaczej, jak w przybliżeniu, idąc więc za własnymi spostrzeżeniami, oznaczamy liczbę tych pracujących w innych branżach przemysłu wychodzców na 29 procent liczby górników. (Statystycy niemieccy szacują ją tylko na 5%). Ogółem zatem liczba jednych i drugich wynosi 74,000.

Ale to jest liczba dotycząca jedynie robotników polskich, a nie ich rodzin.

Prawda, że bardzo znaczny procent wychodzców żyje w stanie wolnym—choć zwyczaj przebywania z rodzinami coraz bardziej obecnie się szerzy,—ale przeciętna rodzina polska liczy więcej głów niż niemiecka.

Ze statystyki ludności z r. 1890 wynika, że w małżeństwach polskich rodzi się przeciętnie 5.24 dzieci, a w mieszanych tylko 3.32; w czysto niemieckich zaś jeszcze mniej. Sądzymy jednak, że przypuszczenie statystyków niemieckich, iż każdy z tych zarobkujących na siebie wychodzców ma rodzinę, składającą się przeciętnie z 2.06 głów, okazuje się za wysokiem: można przypuścić raczej, że liczba 1.5 jest zbliżona do rzeczywistości.

Ogółem więc liczba górników i pracujących w innych gałęziach przemysłu wychodzców polskich, wraz z ich żonami i dziećmi, wynosiła-by 180,000 głów.

Jeśli odliczymy 5,000 na rodziny mieszane, jako stracone dla polskości, to liczba powyższa zredukuje się do 180,000. Jest to najmniejsza cyfra oznaczająca liczebny stan wychodztwa polskiego w Westfalii i prowincjach nadreńskich. Badania, ogłoszone na podstawie bardzo skrupulatnej statystyki przez Związek wszechniemiecki, podają liczbę Polaków w tych prowincjach na początku 1899 roku, a więc bez uwzględnienia przyrostu w ożywionym roku 1900 — na 200,000.

Przypuszczając więc, że tylko 180,000 Polaków liczyć można jako takich, w pewnym zakresie uwzględniamy już i postępującą z każdym rokiem germanizację.

Powiaty, należące do okręgu górniczego dortmundzkiego, w których w znaczniejszej liczbie mieszkają Polacy (przeważnie górnicy z rodzinami) są następujące:

Dortmund	40,000	Polaków
Recklinhausen . .	32,500	"
Bochum.	30,000	"
Essen	30,000	"
Gelsenkirchen . .	20,500	"
Mülheim	5,000	"
Ruhrort	3,250	"
Hattingen.	3,000	"
Hörde	3,000	"
Ham.	2,500	"
Hagen	250	"

Liczby powyższe oparte są na statystyce urzędu górniczego. Wynoszą one 170,000 czyli o 10,000 mniej, niż powinniśmy otrzymać. Dla sprawdzenia myłki służy dla niektórych miejscowości urzędowy spis ludności.

Mając ogłoszony materyał statystyczny, wykazujący liczbę osiadłych Polaków w procentach do ludności tubylczej za rok 1890, możemy na podstawie spisu ludności z 1895 r. oznaczyć przypuszczalną liczbę Polaków przebywających w danych miejscowościach. Za podstawę przyjmujemy przytem, że wzrost liczby ludności polskiej skutkiem dopływu nowych wychodzców równoważył się z naturalnym przyrostem ludności niemieckiej (choć faktycznie dopływ ludności polskiej był stosunkowo większy od naturalnego przyrostu ludności).

Otrzymamy otóż, mianowicie dla powiatu Gelsenkirchen, liczbę odmienną od naszej—bo aż 30,000 Polaków (zamiast naszych 25½ tysięcy).

Omyłka więc, którą popełniliśmy przy poprzednim wyliczeniu—jak można przypuszczać—dotyczyła powiatu Gelsenkirchen.

Nie chcąc z jednej ostateczności wpadać w drugą, obieramy drogę pośrednią, ustanawiając ostatecznie dla powiatu Gelsenkirchen liczbę ludności polskiej na 27,000.

Ze statystyki z r. 1898, przytoczonej poprzednio, wynika, że największej liczby wychodzców dostarcza Księstwo Poznańskie (około 40% ogółu wychodzców), potem idą Prusy wschodnie (25%), Prusy za-

chodnie z Warmią (15%), wreszcie Śląsk Górny (12½%). Stosunek ten o ile się zmienił od tego czasu, to uległ zmianie w kierunku jeszcze większego obciążenia Księstwa Poznańskiego. Z Prus Wschodnich emigracya w ostatnich 2—3 latach też znacznie wzrosła. Natomiast Prusy Zachodnie od 1 lipca 1898 do 31 grudnia 1899 wysłały tylko około tysiąca ludzi, a Śląsk nie wiele co więcej, co zapewne tłumaczy się rozwojem górnictwa na Śląsku, jako też zapotrzebowaniem robotnika śląskiego do bliższych okręgów górniczo-przemysłowych w Saksonii.

Statystyka pruska pozwala nam nieco głębiej jeszcze zajrzeć do tajników ruchu wychodźczego. Możemy się przekonać, jakie powiaty w poszczególnych prowincjach dostarczyły ruchowi emigracyjnemu najwięcej ludzi.

W Poznańskim są to powiaty: Kościański, Gostyński, Kroto-
szyński, Ostrowski.

W Prusach Zachodnich i Wschodnich: Warmia i Kaszuby, oraz powiaty mazurskie: Sensburg, Ortelsburg, Johannsburg, Mindenburg.

Na Górnym Śląsku powiaty: Pszczyński, Raciborski, Rybnicki.

Dla porównania nadmienić winniśmy, że podług urzędowych zestawień, liczba wychodźców z Austrii (z Galicyą), z Włoch, z Holandyi i z Belgii wynosiła zaledwie ósmą część wychodźstwa polskiego, mianowicie 4,287 ludzi w r. 1893, a 6,604 w 1898.

Z prowincyi polskich emigrują naturalnie przeważnie ludzie młodzi, w wieku od lat 17 do 28.

Podczas, gdy młodzież, przyjeżdżając na obczyznę, osiedla się zazwyczaj na czas dłuższy, jeśli nie na zawsze, starsi wychodźcy przybywają na pewien z góry określony szereg lat, z powziętym zamiarem zebrania pewnej kwoty pieniędzy i powrotu do rodziny, którą pozostawili w kraju.

Jeżeli dawniej były częstsze przykłady przyjazdu samotnego ojca rodziny pozostałej w kraju, to obecnie, wobec zwiększenia się emigracyi i wobec szerzenia się wśród ludu emigrującego świadomości warunków bytu w prowincyi, do której się udają, liczba emigrujących z całemi rodzinami wychodźców wzrasta.

Wskazywało-by to coraz częstszy zamiar zupełnego przesiedlenia się do Niemiec, bez myśli powrotu do kraju.

Spostrzeżenia nasze własne dają nam prawo przypuszczać, że w tych 180,000 Polaków westfalskich mamy do czynienia przynajmniej w połowie z emigrantami, których pobyt w Westfalii datuje się

dopiero od lat pięciu. Wskazywało-by to na fakt, że wychodźcy z epoki dawniejszej, niż ubiegłe pięć lat, częściowo powrócili do kraju, lub przenieśli się gdzieindziej. Obecnie jednak daje się między wychodźcami zauważyć skłonność do stałego osiedlania się w Westfalli.

Przypatrzmy się teraz miejscowości, którą w tak znacznej liczbie zaludnili wychodźcy polscy.

DR KAZIMIERZ RAKOWSKI.

KS. GRACYAN PIOTROWSKI I JEGO „SATYR“.¹⁾

(PRZYSZYNEK DO HISTORII SATYRY POLSKIEJ XVIII WIEKU).

III.

Z Warszawy przenieśmy się teraz na prowincję, bo i tę wcale szczegółowo opisał Piotrowski w swych satyrach. Zaścianki prowincjonalne nie lubiły Warszawy, poczytując ją za gniazdo bezbożności, głupstw nowomodnych, kających obyczaj ojczysty; ciekawem świadectwem tej niechęci (która była wzajemna) jest satyra Piotrowskiego, napisana prozą, w postaci listu Imię pana Szczyrzeckiego do Imię pana Monitora. Bawił pan Szczyrzecki przez czas dłuższy w Warszawie, za co po powrocie na wieś ciągle musiał znosić od sąsiadów przyćinki: „Na każde pytanie moje najrzetelniejsze po odpowiedź odsyłało mię do Warszawy, wszystkie moje uwagi, słowa i adresa zaraz były Warszawą zakrzyknione; zgoła nie słyszałem nic, tylko: Co innego to w Warszawie, co innego u nas; to warszawski akcent, warszawski zwyczaj, moda, warszawski komplement, sentiment etc. etc... Już i kazanie, nauki apostołskie, pasterskie, niewinnie do mnie stosowali, ...i, co tylko w Piśmie być może imion ohydnych, fatalnych, niesławnych osób, były te wszystkie maskami dla mnie“. Chętnie się prowincya, że od obyczaju ojców nie odstąpiła, że, na przykład, małżeństwo w jednym pojeździe po staroświecku sobie jeździ, „w jednym stoi apartamencie, przeciwko modnym ustawom warszawskim, i razem, pożegnawszy gości, do spoczynku zabiera się“; że do obiadu podają o wpół do dwunastej, a do kolacyi o wpół do siódmej, „gwałcąc

¹⁾ Patrz zeszyt wrześniowy, str. 503.

poważne i arcy miłe warszawskie zwyczaje, gdzie obiady o godzinie pół do czwartej poczynają się, a kolacye po północy trwają, i dopiero o ósmej z rana z kompanii rozjeżdżają się do domu na spoczynek, a po pierwszej z południa, albo przed samą drugą w święta i niedziele mszy szukają po kościołach warszawskich i częstokroć przez niedyskrecyę i nieregularność duchowieństwa, śpieszącego się do obiadu i kończącego o dwunastej nabożeństwo, musi być kościelne prawo przestąpione" (1770, 44).

Prowincya miała po części słuszną; wprawdzie, jak mówi Krasicki, „jad się szerzył, a źródło biorąc od stolicy, groził dalszą zarazą” — zaściankom; obłuda, która „niegdyś w stolicach tylko przemieszkiwała, przeniosła się potym do miast znaczniejszych, teraz ją i na wsi znajdzie” (*Monitor*, 1766, 59); rosły i po wsiach wymagania, wzmagaly się zbytki i marnotrawstwo, życie nad stan: ale, bądź co bądź, zepsucie obyczajów było na prowincyi bez porównania mniejsze, aniżeli w Warszawie. Za to oświatą i polorem górowała Warszawa, a na prowincyi po dawnemu królował sarmatyzm, z którego śmieli się mieszkańcy stolicy. Oto Warszawiak pewien jedzie na wieś do znajomych; proszą go na obiad, siada do stołu, głodny, jak wilk, ale wnet — na widok brudnych półmisek, serwet, łyżek i nożów — „obrzydliwość zajęła miejsce chęci do jedzenia”, zwłaszcza gdy zobaczył, jak biesiadnicy „widelcami, któremi sobie dopiero zęby wykałali, tychże do rozbierania używali”; chciało mu się pić, ale i wino obrzydził mu gospodarz, który „resztę z oplukanych wąsów zostawiwszy, dolewa mi kielicha i oddaje”; miał ochotę na tort, aliści kawaler pięknie ubrany „porywa się ze stołka i, cokolwiek zwróciwszy się od stołu, z pośpiechem nos utrze palcami i temż pokrajanego tortu udziela mi kawałek na talerz, a oddawszy mi, serwetą usta dociera”. Tak opisuje ucztę wiejską *Monitor* (1765, 54). Na niechlujstwo szlachty skarżył się już Rej w „Zwierzynku”, nadto szczegółowo opisując nogi, włosy, „wielkie paznokty”, pościel, ubranie „chłopa plugawego” oraz jego gospodarstwo zaniedbane. I Piotrowski osobną wymierzył satyrę przeciwko „leniwemu w interesach cudzych i swoich, wielkiego niechlujka około siebie”, w której ośmiesza próżniactwo szlachcica, sprawującego urząd grodzkiego starosty; jak Rej w epigramatach na urzędników karci ich opieszałość, tak i Piotrowski wyrzuca staroście niesumiennność w spełnianiu obowiązków i drwi z panegiryków, które dedykują mu interesanci:

Listy jeszcze z pieczęcią nietkniętą widziałem
Od przyjaciół u ciebie, a w kantorku całym

Same memoryały, punkta i umowy
 Z rzemieślnikami na most, ogród i dwór nowy,
 Na karczmy i browary, na młyny i trzysta
 Innych, które bez skutku aż do Antychrysta
 Doczekają. O dziwny *Słonecznik duchowny!*
Wóz do nieba kowany i Trybunał główny
Sędzię żywych, zmarłych! Do nieba drabina
O stu szczeblach cnót świętych, hołd wiary, danina
Miłości: książki, tobie ściśle poufałe,
 Które ci uczyniły serce tak wspaniałe.

(8, 81 — 92).

Charakterystykę rozlazłości i ospałości pana starosty wziął Piotrowski z Guillemina, lecz większość szczegółów w obrazie zaniedbanego gospodarstwa oraz niechlujstwo szlachcica — nie z książek, tylko z własnej obserwacji:

Kindybał nieforemny, opadłe wąsiska,
 Kontusz leży, jak płachta, pas brzucha nie ściska,
 Wargi i brwi obwisłe, gęba otworzona,
 Tak, żeby mógł niedoperz wlecieć albo wrona;
 Krok, jak kłaczy tatarskiej, śmiech głośny, tabaki
 Pełno po piersiach; ręce, jakby marmur jaki,
 Od ucierania nosa błyszczą się, a włosy,
 Nie wiem, z jakiej przyczyny, strzelają w niebiosy.

(8, 105 — 112).

Gospodarstwo upada; pacholek ciągnie wino, sekretarz „goli grosiki“, kucharz kradnie mięso i masło i „swą tuczy, jako krowę, żonę“, po kątach pajęczyna, pluskwy niszczą obicie, szczury bębnią capstrzyki, a mysz jamę smoczą w serze robi i w chlebie i t. d. (8, 115 — 134). Takim samym niechlujem jest inny szlachcic, łakomca, obrzydliwy liczykrupa, skąpiec, niedbający o honor i wygodę: suknia wytarta — z czarnej bura, kamizelka łatana, „trzewiki jeden nowszy, drugi bardziej stary, bardziej na żyda, niżli generała nogę“ (13, 70 — 74), halsztuk nie prany od roku, „peruka z gniadej kobyły włosa“ (13, 125 — 129).

A oto jeszcze inny skąpiec:

Znałem ja urzędnika, co jeździł na szkapie
 Od brony, ledwie co mu zębów nie wykłapie
 Swym chodem; cały ubiór na nim z pół talara
 Nie wart więcej, szablina oblaźła i stara
 Na powrozkach od cukru dyndała przy pasie.
 Gdzie chrzciny, stypa, odpust, on tam telepa się
 I ciśnie nie proszony. W domu stara baba
 I przekrzta, młody chłopak, straż niewielka, słaba,
 Plucha ostatni, gnojek: poduszki pod głowę
 Nie miał, a po gorzałce rzepę zgryzł surowę;
 To konfitury były, obiad i wieczerza:
 Woda brzydka -- pragnienie, głód — rzepa uśmierza
 Chyba że się na obiad kędy zawlókł cudzy,
 Tam żarł za siebie i, co nie dojedli drudzy,
 W kieszeniska skórzane tłoczył, jako w juki,
 Naśladować posępne w tym narowie kruki.
 Miał on na prowizyach, miał dwie wsi w arendzie
 I, co tylko łakomy dziad skąd wydobędzie,
 Szarawarki łokciowe uszył i tam wpychał
 Złoto ważne, a przekrzta z babą z głodu zdychał.
 Wtym, gdy się na jarmarku skąpicc mój zagości,
 Przyszedł do głowy przekrzcie jegomości:
 Wylupał biuro stare, zabrał szarawary
 I, wziąwszy za pas nogi, nie chciał czekać kary.
 Przyjeżdża stary, zdobycz chce przyłożyć, ali
 Nie masz naszych nogawic, cośmy napychali.
 Bierze babę w obroty, potrąci raz kijem,
 Jużci po niej. Na szkapę, nie wierząc niczyjem
 Obietnicom, sam wsiedzie, kilka mil pogoni,
 Utrząsł się (bogdaj nie znał nikt takowych koni,
 Jakiemi skąpi jeżdżą!) i w drodze umiera.

(13, 211 — 242).

Lecz niechlujstwo i skapstwo, trafiające się na prowincyi, to sporadyczny jedynie objaw sarmatyzmu; jego regułą, objawem powszechnym, jest ciemnota, którą Piotrowski poczytuje za jedną z najgorszych plag społeczeństwa. „Sarmata nie zna geografii, położenia świata, rządów, ni obyczajów, ni praw narodowych, ni reguł przy stojności, sentymentów zdrowych“ (18, 249 — 251). W całym blasku swej ciemnoty jaśnieje Sarmata w trzeciej, najlepszej ze wszystkich

pod każdym względem, satyrze— „Na chwałę próżnego dawnego gustu nauk, potępiającego lepszy gust i oświecenie wieku terażniejszego”; tej-to satyrze zawdzięcza Naruszewicz pomysł do świetnej rozmowy głupiego szlachcica z księgarzem w „Chudym literacie” ¹⁾.

Opowiada autor, że siedział sobie kiedyś w bibliotece Załuskich nad swym ukochanym Modrzewskim, „aż wchodzi słuszny wąsacz z pacholiki dwoma; czapka jeździ rogata po uszach, rękoma się je, wąsy swe muszcze”, ogląda szafę z historykami i spostrzega Herodota:

„A to co? Herod takie pisał księgi?”. Czola
 Podnieść nie śmiem, zginałem... On wzruszy ramiona:
 „Po hebrajsku musi być pewnie ułożona,
 „O Męce Pańskiej może; wąsate litery,
 „Kręte figle, nie znać tu naszej manieri:
 „Judkiem trąci, musi tu być kłamstwa do licha”.
 Książkę przewraca, sam się do siebie uśmiecha.

(3, 24 — 30).

Autor tłumaczy mu, że to nie Herod, lecz Herodot, Grek sławny, ale szlachcic oświadcza, że takiego trupa, łajdaka czytać nie warto. Pokazuje się, że od czasów Opalińskiego, który kaznodziej kazał powoływać się na Pindarusa historyka, na Horacego, autora „Eneidy”, albo na Demostenesa, „poetę sławnego rzymskiego”, — nie postąpiła wśród szlachty znajomość literatury starożytnej. I w *Monitorze* (1766, 104) czytamy o pewnym krytyku, „który Ezopa uczynił autorem alkoranu”, a Doświadczyński opowiada o pewnym mędrku, który dowodził, że „Jadźwingowie byli jedno, co Aryanie, lub Janseniści terażniejsi”. Ale wróćmy do biblioteki:

Więc mu Komineusza dodaje: „To świeży
 Autor”; — potym Tuana: „Ci są — rzekę — cali
 „Światłem dla nas, bo blizkie wieki opisali...”
 — „Polaczył oni byli? szlachta? sąż nazwiska
 „Ich w herbarzu? przydomki?”...

(3, 48 — 52).

¹⁾ Satyra Piotrowskiego ukazała się po raz pierwszy w „*Monitorze*”, 1770; satyra Naruszewicza — w „*Zabawach przyjemnych i pożytecznych*”, 1772.

„...w którym województwie, gdzie ich posesyja?
 „W małżeństwo komu dana, proszę, córka czyja?
 „Kto ich rodzi? którzy są ich krewni? Czy byli
 „Oni kiedy posłami? w trybunale czyli
 „Sądzili? gdzie ich dobra?..

(3, 59 — 63).

„Alboż to mają szlachtę zaś fracuskie kraje!
 „W głowie wam się przewraca teraz, ludzie młodzi,
 „To języków uczenie aż nadto wam szkodzi,
 „Nie znacie swojej matki-wolności i prawa;
 „Poparlować, poszprachać — mądrość się wam zdawa“.

(3, 74 — 78).

O Modrzewskim szlachcic nawet nie słyszał: może to palestrant jaki? a może ksiądz?—to jeszcze gorzej, „bo gdzie tylko bies wniesie w politykę plesza, tam się z gruntu poburzy wszystko i pomiesza“ (3, 179—180); daleko lepiej—mówi dalej szlachcic—czytać „Okulskiego herbarz złoty“, „ale, ale, nie masz tu kalendarzów, oddawna pisanych o myśliwstwie?“...

„Ta wszystka *insritia* z szkół idzie“ — biadał jeszcze Opaliński. Tak samo mniema i Piotrowski: w usta szlachcica długą wkłada przemowę, która jest wyborną satyrą na dawne szkoły—przed reformą Konarskiego, — a zarazem doskonałą ilustracją ciemnoty społeczeństwa, które na reformę patrzyło wrogo, nie mogąc się z nią oswoić, i przez długi jeszcze czas tęskniło do Alwara, kalefaktora i innych dobrodziejstw szkoły jezuickiej. Ani Krasicki, ani Naruszewicz nie dotykali w swych satyrach spraw szkolnych, tem cenniejszą więc jest satyra Piotrowskiego.

Oto co mówi szlachcic:

Oj! szkoły terazniejsze na sądzie oddadzą
 Rachunek, bo odjęły właśnie szlachcie władzę.
 Pamiętam, podbijają bębenka; jak kołek,
 Musi być o swym chlebie sam chudy pacholek,
 Nie może się pożywić w szkołach już przy panu.
 Konstrukeyi nie zna człek niższego stanu.

(3, 79 — 84).

Słowa to bardzo znamienne: szlachcic pije tutaj wyraźnie do *Collegium nobilium*, które, mając na celu przekształcenie społeczeństwa, wychowywało tych przedewszystkiem, co na społeczeństwo wpływ wywierać mogli, a zatem „panięta“, nie dopuszczając szlachty podejrzaney ani dzieci nieprawego pochodzenia; protestuje więc szlachcic Piotrowskiego—w imię równości szlacheckiej—przeciwko arystokratycznemu charakterowi szkoły Konarskiego, przeciwko pierwszeństwu, które mieli w umieszczaniu dzieci w collegium rodziny senatorskie; aby zaś być w swym proteście konsekwentnym, mówi to, w co sam nie wierzy, wpada mianowicie w fałszywy, nieszczerzy sentymentalizm i ujmuje się nawet za „chudymi pachółkami“, on, który z pewnością nie poczytywał ich za ludzi; ale cóż, nie mógł szlachcic darować Konarskiemu, który postanowił, że dla utrzymania domowego porządku i przyzwoitej między ludźmi subordynacyi wszyscy konwiktorowie przestawać powinni na usłudze lokajów, od konwiktu utrzymywanych, nie zaś własnych służących, na których z trudnością zezwalano. Więc szydło wyłazło z worka... W dalszym ciągu krytykuje szlachcic nowy, znacznie rozszerzony, uzupełniony, pomiędzy innymi, historią i geografiją, filozofiją (ale nie scholastyczną) i naukami przyrodniczymi, program nauk w szkołach pijarskich i unosi się nad dawnym systemem, nad bezmyślną nauką gramatyki oraz nad słynną „emulacją“, którą pierwotne szkoły pijarskie od Jezuitów przejęły, a którą późniejsze usunęły. I znów słowa szlachcica, mocno zresztą osobistem Piotrowskiego szyderstwem zaprawione, a po części nawet sparodyowane, są bardzo znamienne i obrazowo ośmieszają sobotnie emulacye pomiędzy *pars romana* a *pars graeca*:

Przedtymeśmy o *verbum videor* kilka dni
 Kłócili się; było to przystojniej i ładniej,
 Niżli co teraz żółte i czerwone karty
 Pokazują o świecie, kaduka nie warty!
 Żał się, Boże, pieniędzy! Jeżdżą po papierze,
 Prawią trzy po trzy czasem, aż złość człeka bierze.
 Od potopu wywodzą, przed stworzeniem świata,
 Historyje, każdy rad po powietrzu lata,
 A nie wie, co, nieborak, dzieje się na ziemi.
 Bogdajecie przepadli z naukami swemi!
 Anglik pobił Francuza, a Francuz Hiszpana,
 Ta Szwajcarom kraina, Turkom odebrana:

Jest to jedno, co prawie, iż Cerber przy piekle
 Szczeka, skacze, odgania, kąsa dusze wściekle.
 Albo iune podobne starożytne baśnie
 Wywodzić — jest to trawić czas najdroższy właśnie.
 To to przedtym dowcipnie, żywiej, pracowicie
 Szły szkoły, pewnie nie tak, jak teraz widzicie,
 Gdy *Verbum cum Nomine* cały zapust wojnę
 Toczyło, ba i czwartki postne niespokojne;
Per tempora, per casus praliśmy się w pyski,
 Kto nie mógł na łacińskie dostarczyć przygryzki;
 Lokucyje w szaleństwo przyprowadziły *paritem*.
 Teraz rozdziałów kilka z książek właśnie żartem
 Przetłumaczy i zbędzie całą pracę w szkole.
 Oj! nie w takim czlek bywał przed laty rosół!
 Za jedną lokucyją od kołka do kołka
 Kolej wszystkich obesła; nie brano już stołka
Ex medio; stał rumak do *secundy hory*,
 Szalały nieboraki same dyrektory.
 Kiedy plac się otwierał na nasze gonitwy
 Sobotnie, dowcipki tam były jako brzytwy;
 Każdy z nas, jako na śmierć, gotował się na to,
 Seksterny oprawione bywały bogato,
 A po sto lokucyi na nich pakowano,
 A każda *gut*, złoto tam było, a nie siano...
 Pomnę ja jeszcze jedną: Wróbel: dziw, dziw, dziwi,
 Tak, tak kwaczą kaczory, będziem nieszczęśliwi,
 Trzy pstre sroki zbiegły się, *per discolor*, bieda!
 Kwik, ryk, kap, kap, od oka i grosza ci nie da.
Quae est differentia inter derideri?
 Kiedy będzie dzisiejsze *in plurali heri*?
 Cała wtenczas przegrała Ateńczyków strona,
 A druga za trzy sobót nie była skończona.
 Zkąd węz, to węz, hucz szumnie; hoc, hoc! chociaż biada,
 Choćbyś mur głową przebił, fortel ci nie nada.
 A z łacińskiego znowu: *cervo ne porta si?*
Coelum, cancer, hoc coquis, quia tu, hałasy
 Poczyniwszy, zostawił w trzech złotych u żyda,
 Choć połowa polskiego i to się nie przyda.
 To, to grunt, to, to było wyborne ćwiczenie.
 Uczyliśmy się wszyscy natenczas szalenie,
 Drżała skóra na czleku, skoro kto na środek
 Wyzywał, nie chciał nigdy być żaden wyrodek.

Teraz tej emulacyi nie znać, jako błogo,
De videor nie widać dwóchset u nikogo
 Propozycyi albo czterdziestu arkuszy
 Samej dependencyi, jak te moje uszy
 Nasłuchały się przedtym, napatrzyły oczy.
 Jakże ma *studiosus* w szkole być ochoczy?
 Kto chce chwycić, to chyba przez sen co uchwyci,
 Przedtym eksplikacyi wszyscy byli syci.
 Po Retoryce student, zabawiwszy dwa dni
 W kancelaryi, już mu poszło wszystko snadniej,
 Pojął wnet każdy ekstrakt, pozew jeden, drugi,
 Mógł napisać manifest, chociażby i długi...
 Teraz wszystko krakają z Cyclerona źródła,
 Że popsuta *in actis* łacina i podła,
 Brzydzą się nią. Bodaj ich nieszczęście zabiło!
 Błuznią tylko, co słuchać prawnemu nie miło,
 Sami nic nie umieją. Prawo grunt, to dawa
 Fortuny: setny panem wielkim został z prawa.

Bierze więc szlachcic w obronę palestrę, do której, jak daw-
 niej, tak i w wieku XVIII, cisnęła się młodź szlachecka, a że — jak
 mówi Kitowicz — „ten zawód jest zyskowny i poważany, wiele chu-
 dych pacholków, aplikując się szczerze do niego, przychodziło do
 znacznych substancyi i wysokich honorów“; oto dlaczego woła szlach-
 ciec: „Prawo — grunt“; dla niego szkoła na to jest tylko potrzebna,
 aby, pomazawszy sobie głowę łaciną, pójść na dwa dni do kancelaryi
 grodzkiej, lub palestry trybunalskiej, a potem panem wielkim zo-
 stać z prawa“. Ta zaś łacina w kancelaryach jest taka, że woła
 o pomstę do cieniów Zamoyskiego i Batorego; ośmiesza ją Piotrow-
 ski w satyrze „Na życie prózne przy kancelaryi i na szkaradną łaci-
 nę“, w której taki przytacza manifest głupiego „jura“, napisany po
 rocznej zabawie w palestrze:

Magnificus Burgrabius cum vaderet solus
Per Lutosos Jezioros, ostendit se dolus
Stando in ponticulis, vulgo ławki, ecce
Equos juvenes vidit, vulgo Młode żrebce,
In lancis, quos furavit Rorylas in ante
Infumato Korzonek, adhuc vere stante

*Exotico Mliiti inscribendo opus
 Rapinae. Qui Borylas est subditus Chlopus
 Pincernidis Parnassi, infamatus autem
 Korzonek Magnifici Burgrabii; gwałtem
 Seu per violentiam prius per milites
 Eosdem absducendo. Quapropter, ne lites
 Occurrant, querulatur atque sollemniter
 Manifestatur Dnica Lactare circiter etc. etc.*
 (24. 65 — 78).

W tejże satyrze charakteryzuje autor palestrantów, jako ludzi bez czci i wiary, jako rozpustników, a nadewszystko jako ludzi bez wykształcenia, którzy w palestrze zapomnieli tego nawet, czego się w szkołach nauczyli, bo nie czytują ani „historyi, ni kronik, ni pisma, ni granic państw, zwyczajów, uchwał” (24, 139 — 140), poprzestając na „Meluzynie i Senniku, kalendarzu z herbarzem” (24, 149). Uzupełnia tę charakterystykę palestranta, w ogólnych zarysach z charakterystyką w „Przypadkach Doświadczyńskiego” zupełnie zgodna satyra „Na wykrętacza, prawem sekującego niewinnych i przez ten sposób fortuny nabywającego niesłusznie”. Występuje tutaj postać, wprost z życia wzięta, — palestrant, gaduła nieznośny, zarozumialec wstrętny, żarłok nienasycony (na cudzy koszt naturalnie), ale przede wszystkim szachraj i krętacz, umiejący „wykręcać przysięgi, testamenta odmieniać, wymyślać papiery” (11, 18 — 19), interpretować prawo tak, że, „gdyby sam z grobu prawodawca zmartwychwstał, nie miał-by sposobu zrozumieć go” (11, 25 — 27); w środkach „pan jur” nie przebiera — każdy dobry, byle coś w kieszeń wpadło:

.. . . . gdym raz poczuł skromne
 Mało co brząkające (mówił on) me kieski,
 Co tu robić? Wertuję prawo aż do deski,
 Suszę łeb. Ale darmo solenne ukłony
 Czynię wdówkom, w tę wmawiam powagę Junony,
 Tę nazywam Palladą, tę Dyana śliczną,
 Cnót, przymiotów wyrażam litaniją liczną;
 Każda z wdziękiem przyjmuje, przymila się, ale
 Wszystkie czynią na różne czasów szkody żale,
 Wszystkie dają odprawę, że nie mają chęci
 Stać się memi żonami: serce ich nie nęci.

Od wdówek pojechałem do klasztorów, czyli
 Prowizyjki-by sobie przecież nie życzyli,
 Jeśli-by kapitałik mieli na gotową
 Ewikejają: „Mam właśnie ożenić się z wdową
 „Bogata, — powiadam im, — kupuję starostwo,
 „Corocznie punktualnie zapłacę, ubóstwo
 „Prócz tego wesprę wasze, z mojej własnej woli,
 „I mogę wam fundować, jeśli Bóg pozwoli,
 „Co pamiętnego przecie”. Oni stylem gładkim
 I ślubnym zbywają mię swoim niedostatkiem.
 Dobrze przecież, że dobry obiedzik się zjadło.
 Poznały popy mądre, że zjadł piesek sadło.
 Nakoniec pizus, nie masz z czego żyć, do licha,
 Aż mi w głowę powoli myśl wkrada się cicha,
 Że w tym a w tym miasteczku żydzi są bogaci:
 Dam im pozwy, że u was każdy w święta traci
 Rozum, zdrowie katolik; nie dość, że przodkowie
 Wasi Chrystusa Pana zgubili, łotrowie,
 Zdrajcy, niezbożni, i wy jeszcze lud gubicie
 Chrześcijański. Napiszę mój pozew obficie,
 Pohnę do nich. Żydzi zdechli: wiedzą, że jur wielki,
 Musiał-by im szynk upaść, w beczkach do kropelki
 Powysychać, gdybym im zabiegł ostrym prawem
 Do zbycia trunków w święta. Wielmożnym, łaskawym
 Zowią mię, kłaniają się. Ja z niemi w targ, ali
 Dostaję sta czerwieńców; w tygodniu najdalej
 Okupują się żydki: spuszcza ich, kwitując
 I, żeby ostrożnemi byli, perswaduję.

(11, 126 — 164).

Tu dopiero poznałem—dodaje od siebie autor do tych słów palestranta — co to prawo umie. Przeciwno takiemu właśnie utylitar-nemu, a niegodziwemu pogładowi na naukę prawa, jako na środek nabywania fortuny jedynie, protestuje Piotrowski w satyrze „Na młodego, seżkiej lub depntackiej funkcji napierającego się, bez oświecenia przyzwoitego”, w której, zachęcając młodzieńca do poważniejszych studyów prawniczych, dowodzi mu, że „bez mądrości tak jest sąd, jak ciało bez duszy” (17, 91), i przy sposobności przy-tacza dwa przykłady z sądownictwa, bez wątpienia nie z palca wy-ssane, lecz na opłakanej rzeczywistości oparte:

Bolał częstokroć słuchać uczciwego uszy,
 Co mówią o dekretach nieforemnych, kędy
 Flaszka, złoto i głupstwa straszne piszą błędy:
 Wieluńska niegdyś rada dekret tak pisała:
 „A żeś ty, Katarzyno, sama się przyznała
 „Do grzechu, chociaż opak wyznają świadkowie,
 „Żeś niewinna, utracić za to musisz zdrowie
 „I dać życie katowi, bo każdy człek lepiej
 „Wie o sobie“. — O sądy, o sędziowie ślepił
 Drugi dekret w Wąsoszu: „A żeś ty zmęczony,
 „Żyć nie możesz, Tomaszu; choć ustoją strony
 „W dokumentach i niemasz na ciebie przysięgi,
 „Byśmy później w ratuszu nie mieli mitręgi,
 „Dla folgi skazuję cię tylko na miecz kata“. —
 O wyrok! O straszna dusz niewinnych strata!
 Lecz nietylko prostaków zebranych w ratuszu
 Gmin tak błądzi w sądzeniu. Tam kto animuszu
 Zuchwalszego, kto lepiej pociągnął ze dzbana,
 Tego też więcej waży głos i kreska dana.
 Ale to gorsza jeszcze, że szlachetne dusze
 Izb sądowych podobne przerobią ratusze.
 Kiedy w głowie, jak w pustej stodole się roi,
 Kto co rzeknie bez braku, obcy, czyli swoi,
 Idzie się za innemi; niezna się nic prawa,
 Stąd dekret, jak kukielka, za grosz się być zdawa.

(17, 92 — 116).

Ta charakterystyka palestry i sądów miejskich jest, na nie-
 szczęście, z prawdą zupełnie zgodna. Skargi na nadmierną surowość
 sądów miejskich, zwłaszcza po małych miasteczkach, na wymuszanie
 zeznań za pomocą tortur, były głośnie i powszechne. „Okrucieństwo
 u nas nie ma granic, — mówi Wybicki w Listach patrio-
 tycznych, — najmniejsze miasteczko, bractwo pijaków, stek nie-
 wiadomców i dzikiej zabobonności wyznawcy, przywłaszczają sobie
 prawo ludzkie rozporządzać życiem i tego często szubienicy być god-
 nym sądzą, który tyle ukradł, za coby mu śmiertelny można kupić
 stryczek. To jest uprzywilejowany rozbój. Aprobujemy te miaste-
 czek przecie prawa z racyi, że im są nieroztropnie nadane. Wszakże
 szalonemu miecz jego własny odbiera zwierzchność, jak prędko użyć
 go przyzwolicie nie umie i na własne, lub cudze obraca życie“. Nadu-

zywanie kary śmierci było jednym z motywów konstytucji litewskiej z roku 1776, która odebrała prawo magdeburskie wielu miasteczkom ¹⁾).

Jeszcze częściej biadano nad nieuctwem i krętactwem palestrantów, nad głupotą i nieuczciwością sędziów; *Monitor* niejednokrotnie mówi o tym przedmiocie (na przykład 1765, 6; 1765, 8; 1766, 52; 1769, 103: „wybiegi subtelne i sztuczne wykręty prawników, którzy częstokroć swą biegłość i obrót na niegodziwych praktykach zasadzają”; 1771, 55 i t. d.), Naruszewicz skarży się, że „sędzia nie zna prawa wcale, chociaż jasnie wielmożnym bywa w trybunale”, a Krasicki w „Klaskach” powiada:

„Cóż to jest za jegomość?”. — To sławny jurysta.
 „Czy nie z tych, co to z pewnych wybiegów korzysta,
 „Co to kradną z pandektów?”. — On nic z nich nie kradnie.
 „Dlaczego?” — Bo ich nie zna: bierze, co napadnie,
 Ale bierze po prostu. Krzyczy poza kraty;
 Najsławniejszy on w sądzie na prejudykaty,
 Na biało sto, na czarno gotów dwoje.

.

Ten nic prawa nie umiał, a chciał go się uczyć,
 Więc, aby skarb nauki dla siebie wydostał,
 Znalazł sposób. — „A jaki?” — Oto sędzią został...

Nie gardziła i poezya dramatyczna satyrą na palestrę. W komedyi Krasickiego „Pieniacz” występuje palestrant Kondemnacki v. Figlacki, a w wydanej bezimiennie komedyi „Sądy u wójta” (1780) obok przewrotnego patrona Grypsiewicza ukazuje się wójt Magdeburga, w którym pochopność do skazywania na szubienicę walczy o lepsze z bezdenną głupotą.

Najgłówniejszą przyczyną oplakanego stanu palestry był, rzecz naturalna, brak szkół prawdziwych; Wybicki sam przyznaje, że w kraju niczego się nie nauczył, że dopiero pod wpływem profesora lejdejskiego, Pestela, rozszerzył się jego widnokrąg umysłowy. Nie dziw więc, że tacy adwokaci, jak Adam Mędrzecki, Franciszek Barss Grabowski, należeli do wyjątków,—ogół patronów był ciemny ²⁾).

¹⁾ K o r z o n : „Wewnętrzne dzieje Polski”, wydanie drugie; IV, 6.

²⁾ Tamże, 10.

Lecz zły stan szkół polskich przed reformą Konarskiego i brak szkół zawodowych to nie jedyna przyczyna ciemnoty społeczeństwa XVIII wieku. Obok edukacji szkolnej istniała jeszcze domowa, która, wobec początkowej nieufności szlachty względem reformatörów, stała się coraz to częstszą ¹⁾, a pociągała za sobą oplakane skutki, bo odbywała się w duchu najbardziej zacofanego sarmatyzmu. Piotrowski w satyrze „Na grubiaństwo, pochodzące z domowej edukacji“, wręcz powiada, że edukacją domową i jej skutki gubią Polskę gorzej, niżli miecze, niżli nieprzyjacielskie ognie i najazdy. Nie on jeden był tego zdania, nie on też jeden gorzko narzekał na wychowanie domowe, na rozpieszczanie dziecka i na pozwalanie mu na wszystko. Współcześnie Bohomolec w komedyi: „Ojciec nieroztropny“ (1772), starał się przestrzedz rodziców przed zbytniem rozpieszczaniem dzieci, pokazując im na scenie synka Benedysia, którego charakter dobrowolnie wypaczył nieroztropny ojciec. Wcześniej jeszcze *Monitor*, wyprzedzając opis wychowania Mikołaja Doświadczyńskiego, tak charakteryzuje polską edukację domową: „Najpierwsza rzecz, którą dziecię, dźwięk słów rozeznać zaczyna, słyzy, wznawia w nim myśl jakowąś zwierzchności i przełożństwa; ledwo wie, że żyje, już wiedzieć zaczyna, że pan, że jegomość dobrodziej, że wszystko do usług jego, że się bez niego obejść nie można, dogadzać mu we wszystkim trzeba, że wszystkich wdziękami i przymiotami przechodzi, że dom wesprze, rodziców pocieszy, ojczyznę zbawi. Nieroztropną miłością zaślepieni rodzice zgadywają już przyszłe jego wielkie dzieła, przewielebny ojciec definitör dobroczynnego fundatora wielbi, imię panna ciotka prorokuje, stara jejmość sny rozpowiada, dom cały tym tylko żywiołem żyje. Staje się jedynowładnym tyranem sług rodzicielskich, i uporne jego wrzaski są wyrokami kary; lub nadgrody. Po tym wszystkim, rzecz naturalna, iż dziecko, widząc się być celem podziwiania otaczających go osób, coraz większej o sobie opinii nabiera i za najpierwszego się we wszystkim kładzie. Drugi defekt wychowania—zbytnie pieszczoty. Dziecko słabe, — nie potrzeba męczyć; bojaźliwe, — nie naglić, żeby prezencji nie straciło; pamięci zbytnio nie obciążać, żeby nie było tępe; nie wiele dawać czytać, żeby nie straciło wzroku; ...dziecię zaś, jak się tylko dorozumie, iż zastraszenie słabością wolnego od nauk uczynić może, będzie tego fortelu zażywać często i tak skutecznie, iż, przyzwyczajone zawsze swego dokonać, w dalszym życia przeciągu na najmniejszy cień odporu wzruszy się zapalczywie, a na wzór gwałtownych potoków

¹⁾ Por.: Łukasiewicz, II, 158.

wszystkie woli swojej obstarujące tamy znieść, przełamać i zniszczyć będzie chciał koniecznie" (1765, 11, por. 1770, 26 i t. d.). Podobnie zapatruje się na wychowanie domowe i Piotrowski. W satyrze: „Na młodego, upłatanego w życiu rozpustnym“, Aleksy wszystkie swoje nieszczęścia przypisuje pobłażaniu matki, a w satyrze: „Na grubiaństwo“ taki mamy obraz rozpieszczonego dzieciaka:

. Chłopiec byle za co
 Płakał, kwilił się, kłamał, kłął, całe ladaco,
 Choć pannę dworską zelżył, uderzył, co siły
 Miał, godnego po gębie, — „mój Jasiuśko miły“,
 Pogrożono na nosie — i już ci po karze.
 Strzelał bąki, a potem z Kupidyńkiem w parze
 Już naciągał cięciwko, coraz żywiej z boku
 Gębusię krzywił, starym podrzeźniał, mars w oku:
 „Dobry żołnierz Jaś będzie, ma rezon po temu!“...
 A tak bohaterowi, Jasiowi małemu,
 Było wolno wojować. Trafił się raz pewny
 Młody zakonnik gościem, domu tego krewny,
 Uczciwy i rozumny. Więc matka Jasiowi,
 Szacując tego księdza, szeptem w ucho powie:
 „Będzieszże takim księdzem?“. On się wnet posunie
 I odpowie z rezonem: „Wolę żyć w fortunie
 „Mojej panem; niech ten pies, bo też równie bury,
 „Do zakonnej prosi się, kiedy chce, klauzury:
 „Będzie mu bardzo pięknie w tym księżym habicie“.
 Na to ociec: „Idźże mi precz z oczu, złe dziecię!
 „Kto to tego nauczył?“. A matka przeprasza
 Za śmiałość: „Wybacz, księże, to jedyna nasza
 „Pociecha, żal go skarać; tak chłopiec dość słaby,
 „Chociaż ma wolność w domu i słodkie powaby,
 „Cóż dopiero, gdyby się jemu naprzykrzono:
 „Prędzejbyśmy go trupem zobaczyli pono“,
 (18, 77 — 102).

Takie wychowanie musiało boleśnie razić Piotrowskiego, który, wychowany w zasadach Konarskiego, dobrze rozumiał, że rozpieszczanie dzieci rodzi samowolę, egoizm i prywatę, nieoglądanie się na nic i na nikogo; z takich dzieci, mówi satyryk, wyrastają tyrani, z których „dopiero się składa sąd, trybunał, poselstwo i publiczna

rada" (18, 119 — 120), idą więc rządy państwa na pastwę prywaty i swawoli, która, psuje wszystko i jednym zamachem całą ojczyznę gubi z poczętych rad gmachem" (18, 131 — 132); swawola to parodia wolności (18, 135 nast.), prywatą uniemożliwia zgodę i jedność (18, 261 nast.), a obie razem w prostej linii do *liberum veto* prowadzą (18, 149). Tak więc grzechy polityczne mają swe źródło w wychowaniu!

Nie dosyć na tem. Jest inny jeszcze grzech wychowania, z pojęciem o samowoli i fałszywej wolności ściśle związany, a mianowicie wpajanie w młode umysły „o równości zuchwałej opinii" (18, 38), to jest owego przewrotnego poglądu, będącego parodią pojęcia równości, że, skoro jeden szlachcic drugiemu szlachcicowi równy, to ten drugi nie ma prawa ani rozkazywać pierwszemu, ani żądać od niego posłuszeństwa:

Ty dziś rządzą, ja jutro. Równość nie zna pana!
Niech zginie razem wszystko, niech będzie przegrana,
Ja się nie dam równemu trzymać na powodziel
(18, 269 — 271).

Oto rozumowanie sarmackie! A skutek?

. sam król, senator, acz letni,
Minister, sędzia — będzie spotwarzon najszeptniej.
Czemu? Bo równość — na tym wolności żrzenica!
Zda się być w grubiaństwie każdego szlachcica,
By każdego znieważył, zelżył, gdy się zdarzy.
(18, 49 — 53).

Dla uplastycznienia opłakanych skutków sparodyowanego pojęcia o równości szlacheckiej przytacza Piotrowski obraz sejmiku:

Byłem ja, lat ośm temu, na jednym sejmiku
W Wielkiej Polsce, gdzie oprócz szkaradnego krzyku
Nic zgola nie słyszałem; a co mi sprawiło
Podziwienie i o czym wspominać nie miło,
Pijanych wielu przyszło do Boskiej świątnicy,
Tak postępując, jakoby na Koziej ulicy.
Co który z urzędników, z rozumniejszych panów,
Co wyrzekł, — „Ejże! stul pysk, ozór swój zastanów,

„Widzisz, jaki mi mędrekl!” — krzyczał szlachcic z kąta,
 A insi, którym gorycz żydowska zaprzęta
 Głowy słabe, do szabel zaraz się rzucali,
 Na wszystko po pijanu odważni, zuchwali...
 Co większa, gdy stawiono marszałka przy stole
 Młodego, lecz grzecznego, jeden: „Nie pozwolę!”.
 Krzyczał szlachcic. A gdy ten za honor marszałka
 Dzięki czyni, ów pijak, co go już gorzałka
 Na pół spaliła, co raz skradając się blisko,
 Utnie go z tyłu w gębę. Piękne widowisko!
 „A masz tu sprawę (mówiąc), smarkaczu, hultaju!
 Otóż masz! Ów kawaler, już to z obyczaju,
 Już z rozumu, istnienia i kształtnej wymowy
 Arcygodny i zacny!.. Otóż marszałkowy
 Honor w Polsce wspaniał!... Zdumiały młodzieniec
 Nie wiedział sam, co począć; zajął się rumieniec
 W niewinnej, w godnej jego poważania twarzy,
 Ogień się tylko w oczach smutnej pomsty żarzy.
 Tymczasem stąd i owąd obskoczyły bronie,
 Procesyja za kościół, sejmik pelźnie, płonie.
 (18, 167 — 194).

Że w tym opisie niema przesady, że tak w rzeczywistości było, poświadcza choćby Matuszewicz, który w „Pamiętnikach” tak opisuje sejmik w Brześciu: „Wojewoda brzeski deklarował podać do łaski sejmikowej Fleminga, podskarbiego. Poszli potem na sejmik do kościoła do Augustyanów, a tak wojewoda zagaiwszy podał do łaski Fleminga i zaraz mu krzesła ustąpił. Fleming, jako jest szybki, usiadł na krześle, a wtem Piotr Paszkowski, pułkownik przedniej straży, na niego nie pozwolił. Fleming chciał *ultro* dziękować. Paszkowski się tem bardziej oponował, a przy nim szlachta prawie wszystka okrzyknęła, nie pozwalając na marszałkowstwo Flemingowi. Zmieszał się tem Fleming, począł się rzucać, gniewać, a szlachta tem zwawiej na niego hałasowała... Nareszcie Fleming, podniósłszy laskę, uderzył w stół, tylko te słowa powiedział: „żegnaj”, a szlachta mu odpowiedziała: „nie żegnaj, boś nie witał”. Wtem Fleming począł się z furją ciskać na pułkownika Paszkowskiego, a wtem Piotr Tołoczko, krzyknąwszy: „a pókiż tak będziesz szlachtę traktował?”, porwał się do szabli. Zaraz się wszystka szlachta porwała do szabel: Bystry i Kropiński pierwsi uciekli, a za nimi sunął się do ucieczki Fleming. Wtem, jak szlachta na ławach przy stoliku stali i do szabel się po-

rwali, ława się z niemi wywróciła. Fleming, do zakrystyi uciekając, chciał przez szlachtę leżącą na ziemi przeskoczyć, padł. Leżącego go tedy chłopiec mały, od lat czternastu, Tymotensz Laskowski, syn nieboszczyka regenta grodzkiego, kilka razy tępą szabliną po plecach skropił, a tymczasem Franc, jego hajduk, porwał Fleminga pod pachę, podniósł, i tak Fleming do jakiejś celi uciekł... Wojewoda brzeski sejmik, jako niedostały, pożegnał" (II, 40 — 41). Nawet Matuszewicz, mimo że sam człowiek bez czci i wiary, nazywa to zajście „tragedyą”; otóż takie tragedye przypisuje Piotrowski słusznie wychowaniu sarmackiemu, jak to widać ze słów jego:

*To lustr edukacji, to równość nabita
W głowę z młodu, to Jasia dzielność znakomita,
W którą się wprawiał z dziecka w oczach ojca, matki,
Obojga głupich, takie wydaje niestatki.*

(18, 195 — 198).

Rozumiał satyryk, że fałszywa zasada równości wyklucza szacunek dla władzy, a cóż dopiero posłuszeństwo i subordynację, którą — jak opiewa ustawa *collegium nobilium* — „rząd całego narodu ludzkiego stoi,... do niej więc społeczności ludzkiej zachowania z młodego wieku najbardziej się przyzwyczajać potrzeba”. W myśl tych-to zasad zachęca Piotrowski młodzież do posłuszeństwa; głosiła naprzykład ustawa, że w wojsku „dla posłuszeństwa wszelkie wygody sakryfikować, największe niewygody ponosić, głód i niezdolne prace cierpieć, fortuny, wolność i życie stracić, w moment naznaczony by najhazardowniejsze rozkazy wypełnić muszą i nigdy się z niczego ekskuzować nie mogą”: Piotrowski pisze (przy pomocy Guillemina) satyrę, „zamykającą rady młodemu, do obozu wybierającemu się”, która jest niczem innem, tylko szczegółowem rozwinięciem tych właśnie zasad posłuszeństwa i subordynacji: „Hetmana trzeba słuchać, jak twego życia, śmierci pana, bo nikczemny ten żołnierz, co tylko panować chciał-by, a nigdy życia swego azardować” (19, 49 — 52). „Komendant ma być słuchan z duszy wiernie, szczerze” (19, 55 — 56). Wszystko-by poszło na wiatr z hańbą wojska srogą, gdyby każdy swoim się rządził, jak chciał, zdaniem i sejmikował” (16, 76 — 78).

. wszystko złe wynika
Z tej niekarności. Mówi niejeden: „Ja prawa

*Żadnego się nie boję: równa mi buława,
Równa szarża najwyższa, bo służę z hetmanem
Ojczyźnie, a nikogo nie uznaję panem.*

(19, 151 — 154).

Dlatego też „tryb wojska u nas“ jest „nikczemny“ (19, 11—12). A tak złe wychowanie dźwiga na sobie, zdaniem Piotrowskiego, brzemień odpowiedzialności za anarchię, która strąca państwo w przepaść. Ale i to jeszcze nie wszystko.

Owa równość, którą szlachcic już za młodości nasyca, jest tylko szlachecka; pozwala ona wprowadzić „na złe towarzyszenie z podlegszymi osobami“ (satyra 20), a więc na szukanie towarzystwa hulaków i wydrwigroszów, którzy, jak pijawki, ssą szlachcica i wciągają go do rozpusty (20, 45), albo junaków na jarmarkach brodzkich (20, 101 nast.), ale nie pozwala na przestawanie z osobami „podłego“ urodzenia, którzy na chleb zarabiają pracą zawodową, bo ta hańbi szlachcica; prędzej magnat pozna się na wartości takich ludzi, aniżeli szanujący swój klejnot zwyczajny szlachcic:

*Tę maksymę uroi sobie za prawidło,
Że sami gminni ludzie, którzy są, jak bydło,
Pracować mają; do nich kunszt, wolne sztuki
Należą, szlachta mogą być szczerze nieuki:
Honor i sława onych — w herbowym klejnocie,
W genealogii dawnej, lecz nie w czoła pocie,
Nie w obrotach codziennych i porządnej pracy.
Jakaż z nich korzyść potym krajowi i jacy
Obywatele będą?...*

(18, 29 — 37).

*. . . rzemieślnik, kupiec, malarz zawołany,
Złotnik, przedni architekt, choć pomiędzy pany
Większymi uczczon będzie, którzy znają rzeczy,
Potrzebne i przystojne krajom, wnet skałeczy,
Znieważy imię jego domator, z pogardą
Iglę, pędzel wyśmieje, łokieć, skórę twardą,
Jakoby to rzemiosła znaki i postaci
Były cechą, dla której człowiek honor traci.*

(18, 41 — 48).

I znów jest Piotrowski w takim przedstawieniu rzeczy w zgodzie z prawdą; wiadomo, jakim okiem patrzyła szlachta na mieszczaństwo, — a kiedy Bohomolec dowodził w „Małżeństwie z kalendara” (1767), że „mieszczanie lud uczciwy, którzy też nie są wprawdzie szlachta, ale też nie są chłopci”, kiedy ośmieszał Staruszkiewicza, który w żaden sposób nie mógł skombinować, że można, nie będąc szlachcicem, nie być chłopem, — ściągnął na siebie tak wielkie oburzenie, że w drugim wydaniu komedyi (1775) musiał się usprawiedliwiać z zarzutu spotwarzenia szlachty. Tak więc Piotrowski, występując w obronie mieszczaństwa, przejął się temi zasadami demokratycznymi, które starali się krzawić w ciemnym narodzie jego przodownicy; zresztą obrona to przygodna jedynie, — stosunek szlachty do mieszczaństwa nie stanowi przedmiotu osobnej satyry. Bez porównania obszerniej i silniej wystąpił w obronie ludu wiejskiego, czego wymagała po prostu sama już tradycja zarówno satyry polskiej, od Reja i Bielskiego przez Opalińskiego i Potockiego do Bohomolca i jego *Monitora* oraz komedyi „Pan dobry”, jak literatury politycznej i kaznodziejskiej od Modrzewskiego i Orzechowskiego przez Skargę, Birkowskiego i Starowolskiego do Antoniego Szyrmy, Kurzenieckiego i Leszczyńskiego. Pomimo to wszystko, pomimo, że głosy, nawołujące do poprawienia losu „plebejuszów”, rozbrzmiewały coraz to częściej, jeszcze w roku 1789 musiał ks. Pilchowski w broszurze: „Odpowiedź na pytanie, izali nieczułość w wyższych wiekach ku poddanym tak była opanowała serca Polaków, iż uczeni nawet nią zarażeni zostali”, zbijać za pomocą całego szeregu cytat fałszywe mniemanie, jakoby dawniejsi autorowie o sprawie włościańskiej milczeli, jakoby Skarga nawet, ten „najżywszy czasów swoich gromca, powstawał często na wieku swego wady, a o ciemnieniu nie wspominał poddanych”. Wiedział więc Piotrowski, co robi, kiedy w satyrze: „Na rządzców i na starszeństwo zmyślonej cnoty, a w rzeczy samej pogorszycielów i uciemnionych opiekunów”, ostro wystąpił przeciwko przewrotnej nauce, jakoby chłop z innej gliny ulepił Pan Bóg, niż szlachcica; a przemówił z takim oburzeniem, jak w żadnej zresztą satyrze; przytoczywszy bajkę o chytrym kocie, który, udając świętego mnicha, dusił myszy, zwraca się do panów z następującą apostrofą:

Do was to mowa cała, w srogości nieczuli
Panowie, pod których rząd lud się nędzny tuli,

Z równości i z natury praw będąc wyzwuty.
 Opieki chce, nie kary, nie srogiej pokuty.
 Krew ich ssiecie, życie krwawym onych potem...
 (21, 107 — 111).

. Świętości wabikiem
 Religii i prawa, gdy chciwość pewnikiem
 I obrzydłe łakomstwo was skrycie poddyma,
 Naksztalt wilków zjadłemi na owce oczyma,
 W powierzchownej uczciwych godnych wielce panów
 (Tu się, rozumie, nieco, języku, zastanów!)
 W posturze cichych jagniąt, ol jakież, okrutni
 Neronowie, czynicie przy wesołej lutni,
 Spustoszenia, morderstwa! Nie wiem, co was zwiodło,
 Że o duszach trzymacie po pogańsku, podło!
 (21, 117 — 126).

Bledną na to, truchleje! A przecież to przyzna
 Każdy, że żywi nasza tych pogan ojczyzna...
 Panowie absolutni są Pitagoryste
 Obrzydliwi; wszak sprawy ich są oczywiste:
 Więcej psa legawego taksują, niż człeka;
 Setny na ich usługach staje się kaleka,
 Spada z sił; jakaż o nim pamięć, przebóg, będzie,
 Gdy zgrzybiały, zgłodniały, pod płotem usiedzie.
 (21, 143 — 150).

I duchowieństwa nie oszczędził autor, pomimo, że ono za jego
 czasów miało i tak „wiele prazniku“ — od libertynów, jak za czasów
 Górnickiego od protestantów; owszem, łatwiej-by wybaczył ucisk lu-
 du świeckim panom, aniżeli duchownym:

. O mój Boże, jacy
 Z tych panów są tyran! Wybaczam stanowi
 Świeckiemu, bo ci w piśmie i w naukach nowi,
 Nie bywali: lecz przeco stan duchowny święty
 Tak obrzydłe za prawa przyjmuje wykrety,
 Pracowanie nad ludem przywłaszczając równe
 Z pogany, wyznaczając prace niewymowne,
 Podatki, uciążenia, jakie rozum gani?
 (21, 186 — 173).

. Te stworzenia dzikie nieroztropnie,
 Nieludzko, po tyrańsku, ślepo i zuchwale,
 Bez względu ku swej duszy, religii, chwale,
 Żyją i gorszą innych, społeczeństwa związki
 Targają, depcą święte stanu obowiązki
 I zwierzchności ustawy. Jeden zbiór korzyści
 Doczesnej ich prawidłem... Łakomi, nieczyści
 W swych zamysłach, pod zwierzchną opieki zasłoną,
 Klientom wyrządzają krzywdę nieskończoną.
 O Boże! takież to są Twoje namiestniki,
 Twojej mocy zastępcy. Szlochania i krzyki
 Zażalonego ludu wołają o kary
 Do nieba, bo srogości panów żadnej miary
 Znać nie chcą...

(21, 186 — 199).

Ten śmiały zarzut, uczyniony duchowieństwu, na tem większe zasługuje uznanie, że Piotrowski sam był księdzem i że, jako ksiądz, niejednokrotnie w kazaniach i satyrach bronił duchownych przeciwko mędrkom i libertynom. Bronił ich, jako księży, przedstawicieli Kościoła, ale karcił, jako ludzi, walcząc nie szyderstwem, jak Krasicki, ale oburzeniem i żalością.

Jak fałszywe pojęcie o równości szlacheckiej, tak i brak miłosierdzia dla ludu wiejskiego przypisuje Piotrowski złemu wychowaniu (21, 183), które nietylko nie ćwiczy rozsądku, ale i uczuć szlachetnych nie budzi; niewątpliwie zgadzał się z Opalińskim: „Jako ma być nie potym dobry, kto z dziecinstwa przywyknie złego i nałogów niecnotliwych nabędzie“. A jak, zdaniem Opalińskiego, „Bóg Polski za nic nie karze więcej, jak za pośdanych srogą opresją“, tak samo, według Piotrowskiego,

Grzech ten o pomstę woła co żywo w niebiosy,
 Zań podobno fatalne nas dziś gnębią ciosy...

(21, 151 — 152).

Z poszczególnych objawów ucisku ludu włościańskiego z największem oburzeniem zwraca się Piotrowski — znów podobnie, jak Opaliński — przeciwko nadmiernym robociznom i rozpajaniu chłopów,

których sami panowie, jak mówi jeszcze w roku 1777 Wybicki, do pijaństwa przymuszali, „kalkulując z tej przeciwko naturze i chrześcijaństwu wady intraty swoje, wszakże, a najszczególniej gdzie żydzi arendy mają, umieszcza mu się w kontrakt, wiele która wieś konieczne wódki i piwa wypić musi, tak dalece, iż gdyby żarłocstwa tego dopełnić nie mogła, płacić wszelako musi nałożone na się quantum likworów“. Piotrowski poświęca temu przedmiotowi całą satyrę: „Na pijaństwo, a zwłaszcza obrzydliwym trunkiem gorzałki“, w której opowiada, że na własne oczy widział kiedyś, jak cbłop ducha po pijanemu oddał:

. Kryminału
Tego ciężkość i tego na zgubę zapalu
Panom się przyznać może, niżli żydom. Bardziej
Ci są tyrani na lud nieużyty, twardzi;
Pędzą ich na pańszczyznę od święta do święta,
Jak bydło: drze i niszczy cheiwość ich przekłeta.
Cóż jeszcze wymyślają? Oto, by rozchodu
Mieć pewność na złe trunki, pędzone ze smrodu,
Z przegniłych zbóż i stęchłych, na chłopów rozrzucą
Garce piwa, gorzałki; niech się, jak chcą smuć,
Niech się klną, mizeryją, ciągną do kwartnika
Ostatniego! Gdy panu intrata wynika
Prędką, pewną, nie szkoda zgubić z ciałem, z duszą
Lud mizerny, bo płacić, grzeszyć razem muszą.
Otóż to rząd ojcowski, otóż święte prawa
Polskie — dziwne wymyślać, jak się komu zdawa,
Podatki, czynsze, sepy, stróże i pańszczyzny
Uciążliwe stanowić, by mieć profit żyzny,
Lud nędzny łupić z skóry i wyciskać z prasy!
O złości, o srogości! O niegodne czasy
Wspominania potomnych! Czyliż się co wściekle
Więcej może wynaleźć? Chyba w samym piekle!
Na zniszczenie i zgubę mizernego luda
Rozkazać pić, a zmyślać, że gorzałka cuda
I czary z ludźmi czyni, narzucać i gwałtem
Przymuszać do pijaństwa, — z jakim to się kształtem
Prawa natury zgodzi? Możeż Bóg swe biczu
Uchylić za ten ucisk, zdzierstwo niewolnicze?
Wszak te grzechy wołają o pomstę w niebiosy
I na naród ściągają nieuchronne ciosy,

Pod którymi dziś słusznie Polska się uagina
Do upadku...

(12, 17 — 48),

Boją się Polacy *absolutum dominium*, jak ognia, „skarżą się i gorszą, gdy modnie napisze co polityk na monarchy stronę“, a sami wywierają tyranie nad ludem wiejskim... (12, 49 — 66).

Na karb sarmatyzmu, „grubiaństwa, pochodzącego z domowej zlej edukacji“, składa wreszcie Piotrowski i „junactwo“ (18, 199 — 200), polegające na ciągłym szukaniu burd i awantur, na zbyt wielkiej pochopności do pojedynków, która płynęła z wygórowanego, lub zupełnie fałszywego pojęcia o honorze, albo też po prostu z zarozumiałości i zazdrości (18, 201 — 238). Oprócz typu takiego junaka, który swe junactwo sarmackie wydoskonalił zresztą pod wpływem cudzoziemszczyzny (18, 2—88), kreśli jeszcze Piotrowski sylwetkę junaka-tchórza, potomka plautowskiego żołnierza-samochwała, w osobnej satyrze: „Na chwałczę z dzieł rycerskich fałszywych, zmyślonego junaka bez karności i trybu żołnierza“, w której zarazem napomyka o „nikczemnym trybie wojska u nas“, mianowicie o niekarności i rozbojach, jakich w czasie wojny dopuszczają się żołnierze po wsiach; oto ów junak, rodzony brat Albertusa,

Wyśliźnie się za lasy, za kończyste góry,
O, dopieroż tryumfyl Barany, kokoszy
Nieszczęśliwe, pewnie was ten junak rozproszył
„Znoś żyto, ściel pod konia, zsypuj owies goły:
„My piersiami bronimy, my nieprzyjacioły
„Od wiary i wolności odpieramy, przeto
„Dawaj, co masz w węzełkach, nieszczęsna kobieto;
„Ostatni grosz rolniku pracowity, żydzie
„Niewierny, szafuj prędzej, niż chorągiew przyjdzie“.

(5, 73 — 81).

Te są w satyrach Piotrowskiego główne „sarmatyzmu dziwa, które gruba domowa, w szlachcie nieszczęśliwa, czyni edukacya“ (18, 199 — 201).

IV.

Powyższy rozbiór treści satyr Piotrowskiego ten przedewszystkiem pozwala wyprowadzić wniosek, że ich zakres jest wcale obszerny; wprawdzie nie dają one całkowitego obrazu ani cudzoziemszczyzny ani sarmatyzmu, z jednej bowiem strony brak, naprzykład, satyry na karcjarstwo, na które wyrzekają Naruszewicz i Krasicki, z drugiej—na zabobonność ciemnych Sarmatów, na ich wiarę w prognostyki, wróżby i t. p., którą tak często ośmieszał Bohomolec w *Monitorze*, albo Krasicki w powieściach. Pominięcie tego objawu ciemnoty razi nas tem więcej, że był on przecie bezpośrednim skutkiem złej edukacji domowej, którą najsłuszniej poczytuje Piotrowski za główną przyczynę sarmatyzmu. Ale pochodzi to może stąd jedynie, że autor dzieła swego nie skończył, jak to widać z przedmowy, w której mamy obietnicę, że ukaże się tomik drugi, o ile na pierwszy krytyka zwróci uwagę: „Wolno będzie uczonemu krytykowi przydać na końcu książeczki mojej swoje o mnie zdanie,— albo satyrę na satyrę, albo satyry na nikczemność samego autora. Ucieszył-bym się z serca z mej książki powiększenia, a może i szacunku. Wnet-by się stała powabniejszą i ciekawszą z tego przydatku. A ja zaostrzyłbym na drugi tomik lepiej pióro i sposobność natężył, gdybym był upewniony i nauczony”. Otóż nikt go nie upewnił, i nie nauczył, jego satyry przeszły niepostrzeżenie, w literaturze współczesnej zupełnie o nich głucho, i autor na drugi tomik pióra nie zaostrzył, co się zresztą nietylko doznana obojętnością tłumaczy, ale prawdopodobnie tem nadewszystko, że w roku 1778 ukazały się satyry Krasickiego. Wtedy-to zapewne spostrzegł Piotrowski, że obawa jego, wyrażona w przedmowie, nie była płonna: „O tę łaskę proszę czytelnika z gruntu serca: niechaj mię przy wielkich i duchem wieszczym napuszonych nie kładzie rymopisach, bo nietylko zdrobnieję, ale zniknę”. Prośba nie mogła być wysłuchana: porównanie nasuwało się samo przez się, bo tematy były pokrewne, a wynik porównania nie mógł być wątpliwy. Kto przeczytał „Marnotrawstwo”, ten z pewnością nie chciał nawet słyszeć o satyrze „Na zbytki”, a kto przeczytał „Życie dworskie”, ten z uśmiechem politowania spoglądał na „Dworaków bez gruntu cnoty”. Spostrzegł to zapewne i sam autor; Naruszewicz już od roku 1771 ogłaszał w „Zabawach” swoje satyry, — Piotrowski widział, że drobniej, ale pocieszał się

myślą, że jeszcze nie „niknie“, miał nawet odwagę dołączyć do swych satyr „Chudego literata“, na co tem łatwiej mógł się ośmielić, że szlachcic Naruszewicza, rozmawiający z księgarzem przy ulicy Farskiej, jest tylko poprawną edycją jego własnego szlachcica, co w Bibliotece Załuskich nie odróżnił Heroda od Herodota; ale kiedy biskup warmiński puścił swe satyry na widok publiczny, poznał odrazu Piotrowski, że zniknął; miał już może kilka satyr gotowych, ale nie ogłaszał ich drukiem, bo obawiał się, że „zamiast ucieszenia, albo pożytku sprawienia, co jest powinnością wierszopisa, uczyni poruszenie w kim obrzydliwości, ile kiedy go obok kłaść i porównywać poczną z temi, co na honor trwałego metalu i nieprzeżytego zasłużyli wspomnienia nieśmiertelność.“ Wówczas dopiero poznał, że satyryk, który „za prawdy samej pójdzie powodem“, nie „sprawi się w swojej powinności“, jeżeli nie pójdzie nadto za powodem artyzmu,—a tego właśnie brak jego satyrom zupełnie. Mniejsza nawet o nieprzebieganie w wyrażeniach, o rubasznosc sarmacką: ten grzech obciąża jeszcze i Naruszewicza; ważniejszą wadą jest wiersz lichy, naginanie do rymu nie tylko ortografii, ale i form gramatycznych, dorabianie wierszy bez znaczenia i treści, a nadewszystko właściwa literaturze czasów saskich rozwlekłość. I Naruszewicz bywa niekiedy rozwlekły, i on się czasem powtarza, a jednak umie się zdobyć na tak wspaniałe w swej precyzji wiersze, jak: „Wszystkich chwalim, iż dobrzy, i świeccy, i księża, jednak ginie bez skarbu rządu i oręża“, albo jeszcze: „Bo w Polsce złota wolność pewnych reguł strzeże: chłopu na pał, panu nic, szlachcica na wieże“, w dwudziestu pięciu satyrach Piotrowskiego nic podobnego nie znajdziemy. Nie dosyć na tem. Miał Piotrowski najniefortunniejsze pojęcie o zadaniu satyryka: „jest to właśnie namiestniczy urząd kaznodziei“, ten to pogląd sprawił, że w niektórych satyrach, jak: „Na młodego, upłatanego w życiu rozpustnym“, „Na krnąbrnego, w naukach nie profitującego młodzieńca“, „Na małżeństwo dziecinne bez rządu i starania“, „Rady młodemu, do obozu wybierającemu się“, „Na złe towarzyszenie z podlejszemi osobami“, „Na dworaków bez gruntu cnoty“, właściwa satyra niknie, a na pierwszy plan wybija się kazanie, nudne, zazwyczaj i rozwlekłe. Wprawdzie i tym satyrom usiłuje autor nadać formę nie zwykłych kazań, lecz opowiadań; jego ulubionym pomysłem mianowicie, który zapożyczył nie tyle od Horacego, ile od Guillemina, jest spotkanie i rozmowa ze znajomym, ale ani akcji, ani dyalogu żywszego opowiadania te nie posiadają: forma epicka służy jedynie za ramy do kazania, spotkanie ze znajomym—za pozór do moralizacji, rozumnej, ale suchej i nudnej. Nie umie także Piotrowski wyrazić poetycznie swych uczuć; jest w jego satyrach oburzenie, zgro-

za i groźba, jest żal i współczucie, jest miłość religii i gorące przywiązanie do kraju; ale te wszystkie i inne uczucia nie mają, z nielicznymi wyjątkami, należytej siły wyrazu. Lepiej już, a przynajmniej z większą nieco siłą, przemawia ironia, ale ironia, pozbawiona subtelności, a i w sarkazm nie przechodząca nigdy, spokrewniona raczej z humorystyczną parodią, jak w przytoczonej przemowie szlachcica, zachwalającej dawny tryb nauczania, albo w manifestie, napisanym barbarzyńską łaciną przez ciemnego palestranta.

Oprócz humoru, niewykwintnego wprawdzie, ale szczerego, posiada Piotrowski pewien talent epicki: niektóre postaci jego satyr, jak zwłaszcza szlachcic-nienuk, gospodarz-niechluj, palestrant-oszust nie są pozbawione plastyki, a takie opisy, jak sejmiku, zaniedbanego gospodarstwa, lub pijaństwa w Lublinie (12, 75—94), to udatne obrazy rodzajowe, skreślone realistycznie, drobiazgowo, nie bez życia i werwy. Zresztą głównym źródłem plastyki Piotrowskiego jest nie żywsza wyobraźnia, ani zmysł artystyczny, ani, tem bardziej, świadoma robota artystyczna, lecz jedynie zmysł obserwacyjny, zdolność postrzegania drobnych nawet szczegółów, jaką miał, na przykład, Rej. To też pod względem bogactwa szczegółów przewyższa Piotrowski i Naruszewicza, i Krasickiego. I to właśnie sprawia, że jego satyry, jako ciekawe świadectwo obyczajów współczesnych, scharakteryzowanych bardzo szczegółowo, mają niezaprzeczoną wartość. Ani jeden z naszych satyryków XVIII wieku nie nakreślił tak szczegółowo postaci „polityka“, palestranta, nauczyciela-cudzoziemca, niechluj, a co najważniejsza, ani jeden nie scharakteryzował tak szczegółowo i zgodnie z prawdą wychowania sarmackiego, nie mówiąc już o sprawach mniejszej wagi (na przykład o plotkarstwie gazetarzy, o skazanej łacinie palestry, o bezmyślnych wyrokach sądowych), na które satyrycy nie zwracali uwagi, przynajmniej we właściwych satyrach poetyckich, pozostawiając to wszystko publicystom i komedyo-pisarzom. Tak więc rozszerzył Piotrowski zakres satyry polskiej, pomnożył jej treść, wzbogacił galerię typów satyrycznych XVIII wieku. Wreszcie i to jeszcze z uznaniem podnieść należy, że Piotrowski nie tylko był obserwatorem objawów życia swego społeczeństwa, lecz i zastanawiał się nad przyczynami, sprowadzając wszystko do jednego mianownika: jak Konarski, reformator polityczny, usiłował wpoić w społeczeństwo przekonanie, że „nie najdziemy ani razem na wszystkie (niedole), ani na żadne z nich osobnego lekarstwa póty. póki tego nie ulecymy jednego, z którego wszystkie insze, ile ich jest, śmiertelne pochodzą choroby“, to jest, jeśli nie ulecymy sejmu, tak — jeżeli godzi się porównywać pigmejczyków z gigantami — Piotrowski, moralista i satyryk, tłumaczył zarówno wolnomyślność i upadek obyczajów,

jak ciemnotę, wychowaniem cudzoziemskim i sarmackiem, chociaż nie był bezwzględny przeciwnikiem ani jednego, ani drugiego: w pierwszym cenił naukę i prawdziwą oświatę, nienawidził demoralizacyi i pozorów nauki w drugim—kochał dawną prostotę obyczajów i dawną religijność, nienawidził sarmatyzmu: satyry jego powstały pod wpływem tej zdrowej i rozumnej reformy szkolnej, której dokonał Konarski, są nawet częściowem odbiciem jego zasad pedagogicznych.

Oto są względy, które zapewniają Piotrowskiemu stanowisko w dziejach literatury. Stwierdzić je i określić, wydobyć ostatniego „Satyra” polskiego z niezasłużonej niepamięci,—było zadaniem pracy powyższej.

IGN. CHRZANOWSKI.

DRAMAT I OPERA.

I.

„Uderza to w *Krzyżakach*, iż ludzie są tam prawie ciągle w drodze i na koniu. Przeciągają dwory książęce, przeciągają orszaki panów i rycerzy; przeciągają pojedynkiem, samowtór, samotrzeć, kupą; na wschód, na zachód. Jakaś gwałtowna żądza i potrzeba ruchu, jakiś instynktowne parcie naprzód, przed siebie, ku jutru, jakiś pośpiech w wybieganiu naprzeciw czasom i zdarzeniom, tkwi w ludzkich duszach, jak bodzący oścień”.

Czy liczył się z tym rysem, głęboko przez Maryę Konopnicką zaobserwowanym, autor scenicznej przeróbki „*Krzyżaków*”? Zapewne — o ile-by ten ruch miał się wyrażać ciąglem przenoszeniem akcji z miejsca na miejsce; — ani trochę — jeżelibyśmy zechcieli w nim znaleźć „głęboki i często sam sobie nieświadomiony podkład ówczesnej duszy ludzkiej”, a choćby tylko „szereg przepysznych obrazów, ukazujących się w opowieści coraz to innego momentu i w świetle tak różnolitem, jak różnolita jest ta Psyche ludzka, przez której pryzmat na obrazy owe patrzymy”.

Obrazy wprowadzicie się; jest ich w przeróbce aż ośm, przewlekających przedstawienie do północy prawie; zdaje się jednak, że sam autor przeróbki był-by w niemałym kłopotcie, gdyby go zapytano, przez jaki pryzmat psychiczny patrzył na wykrawane z książki ilustracje?

Bo inaczej nazwać nie można tych kilkunastu scen, gdzie rysunek i barwę daje tylko dekorator i kostiumer, gdzie nawet aktor nie ma ani czasu, ani miejsca do otworzenia przed nami „na oścież całego wnętrza kraju, jego kultury, obyczaju, pojęć, uczuć, — jego zewnętrznego i wewnętrznego życia”. Wszystko więc redukuje się do „widowiska”, w którym literaturze najskromniejszą wyznaczono rolę, a dzieło Sienkiewicza jest materiałem dla inscenizatora do wywoły-

wania teatralnych efektów. Nie pierwszy to raz i nie sam tylko Sienkiewicz dostarcza takiego materiału fabrykantom *des pièces à spectacle*, dobrze świadomym gustów współczesnej publiczności. Faktem jest bowiem, ujawniającym się wszędzie coraz wyraźniej, że to, co Goethe uważał za najpierwotniejszy etap w rozwoju teatru — „widowisko” — stało się dzisiaj jakby ostatnią jego fazą, poprzedzającą może przełom, dotąd jeszcze mgłami przyszłości zasnutą.

I co w tym fakcie najwięcej zastanawia, to idea, z której się wyłonił, natchniona przez Wagnera a zdrowa w swej treści idea meiningeńska. Pamiętamy wszyscy, jak zrewolucjonizował do gruntu poetykę nowożytną sceny ideał księcia meiningeńskiego; jak szeroko rozległo się hasło, pod którym w całej Europie teatry dźwigały się z zastoju, wydierały się z cieśni szablonu; pamiętamy, jak w dobie, kiedy nastrój nie był jeszcze w sztuce ani w literaturze sekciarską formułą, przykuwano widza do sceny *Stimmungem*, osiąganym artystycznym kojarzeniem materialnych szczegółów sceneryi; ale pamiętamy też głosy, przestrzegające już wtedy przed nadużyciem wrażeń, wywoływanych temi zewnętrznymi czynnikami. Jakoż widocznie w pięknym kwiecie wylęgał się od sanego początku robak, choć nie dostrzegał go, czy też nie chciał wówczas dostrzegać roznamiętniony do idei meiningeńskiej Chronegk, wystawiając naprzykład dla reżyserskich efektów takie upiory romantyzmu, jak: „Matka rodu Dobratyńskich”, lub, przytępiając świadomie, czy też bezwiednie zmysł krytyczny publiczności wonnemi narkotykami ze świec zatrutych, od których umierają na scenie Karol IX i Małgorzata de Valois w ordynarnym melodramacie Lindnera. I dokonała się w ciągu lat kilkunastu zupełna ewolucya meiningeńskich ideałów: literatura zesła na plany dalsze, a „widowisko” do tego stopnia wystąpiło na pierwsze, że publiczność w trzech czwartych Europy traci zmysł perspektywy artystycznej i jednakowo na nią działa „wystawa” opery Wagnera, dramatu kostiumowego i... operetki.

Trzeba przyznać, że publiczność warszawska należy jeszcze do owej jednej czwartej, w której się te wrażenia jako tako różniczkują. Jak długo potrwa to „jeszcze” i czy z obawy spóźnienia nie przescigniemy w tym kierunku Europy — nie myślę w tej chwili przesądzać; poprzestanę tylko na zaznaczeniu, że tego gatunkowania wrażeń doznał na sobie i Sienkiewicz, a raczej ci, co go do sceny „przystosowują”. Przeróbka „Quo vadis” przemknęła się u nas przed obojętną prawie publicznością, gdy „Hajduczek”, jako fragment z „Pana Wołodyjowskiego” długo ściągał widzów do teatru Rozmaitości; w parafrazie z rzymskich motywów „widowisko” nie pokryło zupełnego braku literatury; w „Hajduczku” natomiast widz sam sobie do-

rabiał literaturę, patrząc na widowisko. Nie o piękną zatem dekoracyę chodziło ani o kostium bogaty, ale o ziemię, którą dekoracya przedstawia, o ludzi, których kostium przystraja.

I to nam tłumaczy obecne powodzenie w teatrze Letnim przeróbki „Krzyżaków”. Złudzenia co do wartości literackiej i artystycznej tych ośmiu odsłon nikt nie ma; tylko każdy odbiera wrażenie, jakby mu ktoś obracał przed oczyma karty obrazkowego wydania książki, na pamięć umianej. Temu obrazkowi brak szczerzego sielankowego nastroju, — ale to spotkanie Zbyszka i Danusi; tamten chybiomy w perspektywicznym ustosunkowaniu tłumu do dwojga bohaterów, — ale to scena z „nałęczką” na rynku Krakowskim; inny nie dociągnięty do tragizmu sytuacji, — ale to Jurand w homerycznej walce ze swymi prześladowcami. I tak dalej mnożą się owe *ale*, które, wbrew zwykłym krytycznym zastrzeżeniom, mają znaczenie dodatnie, zamiast ujemnego, i wszystkie przemawiają za „widowiskiem”, podnosząc w niem nastrój urokiem narodowych motywów.

Jaka ma być wobec takiego nastroju rola krytyki?

Sądzę, że bardzo prosta: oddać sprawiedliwość publiczności, która tak wysoko ceni swego wielkiego pisarza, że śpieszy wszędzie, gdzie spotkać może ślady jego twórczości, a jednocześnie zwrócić uwagę tych, którzy tę jego twórczość usiłują nagiąć do innych form na swoim warsztacie rzemieślniczym, że nie dość jest zagrać na strunie, łatwo wywołującej oddźwięk — trzeba grać, o ile się da, artystycznie.

Jak trudno być w tej robocie wirtuozem — o tem wszyscy wiedzą. Organizm dzieła powieściowego rodzi się i rozwija w warunkach, których bezkarnie zmienić nie można, a przeniesiony z rozległych przestworów epickich w ciasnotę kulis, ciężko oddycha w tej dusznej atmosferze i z braku miejsca do rozmachu, zapada w bezwład. Ale z drugiej strony przychodzi mu w pomoc żywa siła aktorska, która, jeżeli nie duszę tchnąć w dzieło, to przynajmniej zmartwiałą ustrój jego jako tako zgalwanizować może. Idzie więc o to, żeby z zasadniczych rysów każdej powieściowej postaci nakreślić dla aktora perspektywiczny skrót jej psychologii, choćby nawet w tym skrócie zdrobnieć miała sama figura i wystąpić na scenę w rozmiarach redukcji. Zdawało-by się, że w tym kierunku aktor powinien-by lepiej, niż kto inny, wywiązać się z zadania; otóż p. Walewski, przerabiając „Krzyżaków”, pod jednym tylko względem wykazał temperament aktorski: powybierał najefektowniejsze sytuacje teatralne i pewny, że każdego aktora sama sytuacya opromieni aureolą bohaterstwa, nie stworzył nawet tak zwanych w zakulisowym języku „wdzięcznych ról”.

Nie mówimy o Danusi. „Co tam takie ptaszątko myśli, — pisze o niej Konopnicka, — co czuje, skąd nam wiedzieć? Ma to jakieś swoje radości, jakieś smutki, ale ta duszyczka, mało co sama sobie świadoma, tak nam jest pokazana, jak wątły płomyk, zatłony po to tylko, żeby prześwieślał sobą zewnętrzny kształt wiotki i powierzchowną, delikatną barwę”. Zjawisko więc tak nikle, że je tylko oczyma duszy oglądać można, rozwiać się musi poza dziedziną wyobraźni, nawet wtedy, gdy je w realne kształty przyobleka z całą odtwórczą siłą artysty, talent tej miary, jak pani Trapszo-Krywultowej. Ale Zbyszko, ale Maćko z Bogdańca, ale Jurand ze Spychowa? Ci żyją przecie na stronicach powieści całą pełnią epickiego życia, które kipi z nich barwą w obrazach, krzepnie spiżem w posągach, i powinno było, spłynąwszy w żyły bohaterów scenicznych, wydobyć z nich coś więcej, prócz kolorowych efektów ubioru i migotliwych gestów kinematografu. Tymczasem przypatrzmy się tym figurom na scenie.

Jeżeli która z nich, to Zbyszko jest pełnym młodzieńczej krewkości okazem owych ludzi, w których tkwi „gwałtowna żądza i potrzeba ruchu, jakieś instynktowne parcie naprzód, przed siebie”. Przypuścimy, że warunki sceny ruch ten skrępować musiały i że zostały w duszy rycerzyka jedyny oścień, popychający go na różne światy strony „naprzeciw czasom i zdarzeniom” — miłość; to i tak, Zbyszko, jako kochanek, przedstawia nam się na scenie zgoła innym, niż w „Krzyżakach”, Zbyszkiem.

Dwie kategorie kochanków spotykamy u Sienkiewicza: jedna obejmuje rycerzy lub awanturników miłości, zdolnych dla jedynie ubóstwianej kobiety oddać, jak Skrzetuski, wszystko, prócz ojczyzny, albo poświęcić, jak Kmicic, wszystko, prócz siebie; druga ogarnia typy zakochanych, których miłość uszczęśliwia zwykle, — jak na przykład sentyment Pana Wołodyjowskiego — „tę trzecią” i do niej należy Zbyszko. Materiału w nim na kochanka-bohatera, wpatrzonego w miłość-ideał, niema; jest natomiast materiał na człowieka, pociągającego nas właśnie ludzkimi motywami uczucia. Jakiż to urok bije od tej młodości, nawoływanej w jedną stronę głosem krwi, do realnego, tętniącego życiem, kochania, w drugą stronę dalekimi echemi bezcielesnej, prawie nadzmysłowej adoracyi! Jaki wdzięk mają te wszystkie sceny, stawiające Zbyszka między rzeczywistością z obliczem Jagienki, a wizją, w postaci Danusi! I tego właśnie wdzięku, tego uroku pozbawił Zbyszka p. Walewski, wykreślając mu z życia Jagienkę, a wzamian nie zostawiając prawie nic. Zamknięto przed nim arenę czynów, zacieśniono mu dziedzinę uczucia; z rycerza i z kochanka pozostało rozkwilone pacholę, za co nie

pana Sliwickiego trzeba winić, który, grając, kocha w tym tonie, na jaki go nastrojono, tylko tego, kto stroił.

Maćka z Bogdańca trudno też w teatrze poznać. Mądry aż do chytrłości władyka, dopełniający oręzną treść swego długiego żywota zamaszystą filozofią rodowych instynktów, wystąpił przed nami jako starzec bezradny, jęczący z fizycznego cierpienia, które uznane snąc zostało przez p. Walewskiego za najważniejszy moment psychologiczny w charakterze Zbyszkowego stryjca. Gdy dodamy, że p. Bednarczyk zataił w grze bezbarwnej tę resztkę humoru, jaka w przeróbce scenicznej przypadkiem ocalała, wypadnie nam tylko żałować Sienkiewicza, który miał-by wszelkie prawo powiedzieć: *traduttore — traditore*.

A Jurand! Jakże mu daleko do „Cyda polskiego“! Jak w nim mało tego „rycerza śmierci“, co to, „stojąc pod jej urokiem, wpatrzony w nią nigdy nienasyconemi oczyma, ją jedną uznał za panią i kolor jej nosi, kolor zabitego szczęścia; tę jedną ma hetmankę i rozkazy od niej bierze, a ona mu płaci żołąd nasycenia zemsty, żołąd zatył“. Cytnąc tu znowu słowa Konopnickiej, cisnące się z konieczności pod pióro na miejscu, gdzie zostały wypowiedziane z taką potęgą charakterystyki, nie chcę bynajmniej stawiać inscenizatorowi „Krzyżaków“ niewykonalnych pretensyi. Olbrzymi Jurand, wyolbrzymiony jeszcze przez genialną komentatorkę, która najplastyczniej wydobyla duszę z dzieła Sienkiewicza, — nie zmieścił-by się na scenie. Musi zejść ze swego posagowego piedestału, musi skurczyć się w swoich nadnaturalnych kształtach; idzie tylko o to, żeby publiczność nie widziała, jak go „przerabiacz“ i reżyser męczą na madejowem łożu „adaptacyi“ — a widzą to właśnie wszyscy. Widzą Juranda z duszą rozszczepioną na dwie połowy, z których pierwsza została za kulisami, a druga nie tłumaczy się bez pierwszej; widzą dąb, strzaskany piorunem, nie domyślając się, jak wysoko i daleko rozciągał przed burzą pod groźnem niebem konary; widzą ślepca, zapatrzzonego w głębie swego sumienia, nie odgadując błysków, które, odebrawszy mu oczy, olśniły go wnętrzem objawieniem; widzą nadludzki akt przebaczenia, nie znając ludzkich dróg, którądy szła Jurandowa krzywda, zanim ta „czara zapieczonej krwi, która się duszą jego zwała, przechyliwszy się na stronę męki, odsłoniła nowy dla niej horyzont zaświata“; — widzą, słowem, Juranda po porwaniu Danusi, a nikt go nie znał przed porwaniem, kiedy był jeszcze „w sojuszu ze śmiercią“. Pan Leszczyński starał się wypełnić tę lukę w fizyognomii mocarza ze Spychowa doskonałą maską. Ale im plastyczniejsza maska, im heroiczujsze kontury, tem głębsza przepaść między pozorem a istotą, tem zgrzytliwszy rozdźwięk między groźbą a czynem,

tem mizerniej przedstawia się w nieudolnym układzie scenicznym, jedyny moment, kiedy Jurand mógł się wydać epickim bohaterem: wielka scena w Szczytnie.

Jest to zresztą cecha całej przeróbki, że w niej zgoła odwrócono stosunek tła do akcji, która się na niem odgrywa: dzieje są tam przyborem scenicznym do sielanki dwojga dzieci. Rozumiem taką sielankę w „Hajduczku“, gdzie amory Pana Wołodyjowskiego dały się samoistnie oddzielić od osnowy historycznych wypadków. Ale zrobić strasznych rycerzów zakonu figurantami w miłosnej idylli, która jest w powieści nikłym kwiatkiem, na krwawej wyrosłym niwie; krzyże na płaszczach teutońskich traktować, jak szczegóły dekoracyi, tragizm starcia dwóch światów przygłuszyć nutą eglogi—to eksperyment, dający doprawdy do myślenia, właśnie dla tego, że się udał.

Powiodł się, jak już zaznaczyłem, z pobudek, łatwo zrozumiałych. Nie mniej jednak warto nad tem pomyśleć: jak utwory tego rodzaju mogą wpływać na publiczność, nawykającą do szukania w dramacie historycznym „widowiska“, choćby kosztem literatury, i na piszących, którzy dochodzą do przekonania, że tym właśnie kosztem najłatwiej zdobyć poklask publiczności?

II.

„Zbyszko i Danusia“, to jedyny i oryginalny dorobek w okresie, oddzielającym niniejsze uwagi od poprzedniego naszego i zutu oka na dramat i operę w teatrach warszawskich. Poza tą przeróbką, oprócz kilku podrzędnych wznowień, wypełniały repertuar... obietnice, przed których spełnieniem, zapowiadaniem na jesienny sezon, widzieliśmy dwie francuskie sztuki—obie pana Brieux: „Córki pana Dupont“ i „Czerwona toge“.

Pana Brieux poznaliśmy najprzód jako autora „Ucieczki“, która w swoim czasie cieszyła się u nas powodzeniem, następnie jako twórcę „Blanchetty“, która dość prędko znikła z afisza. W jednej i w drugiej widzieliśmy, że pałaszowe cięcia satyry, skierowane tam przeciw nauce, tu przeciwko oświacie ludowej, trafiały nietylko w fałszywą, lecz i wprawdziwą naukę, uderzały nietylko w ujemności, ale i w dobrodziejstwa oświaty ludowej. Satyryk, tnąc na prawo i na lewo, machając często w próżnię, ogarnia ryczałtową krytyką win-

nych, nieświadomych, niezręcznych, takich nawet, których jedyną zbrodnią było, że nie mieli powodzenia. Otóż tę zamaszystość, wyniesioną z „teatru niezależnego“, gdzie p. Brioux pierwsze stawiał kroki, zachował młody dramaturg i później; znać ją w „Maszynie wyborczej“ (*l'Engrenage*), znać i w „Córkach pana Dupont“. A jakkowiec z utworów wychowawca szkoły Antoine'a, wychodzi sztydło znieprawionej w „teatrze niezależnym“ tendencyjności; jakkowiec p. Brioux lubi wysnuwać z tezy sztukę, po dawnemu „dobrze zrobioną“, jakkowiec jednocześnie z pesymistycznym zakończeniem „Córek pana Dupont“, przyczepił był, ku wielkiemu zgorszeniu „najmłodszych“, optymistyczny epilog do swej pierworodnej „Blanchetty“, — to jednak nigdy nie można przewidzieć, kiedy zrobi skok w tył pod hasłem: *on revient toujours...* Taki wsteczny zwrot ku najradykałniejszemu tradycyom teatru niezależnego, uderza widza w dramacie znieprawionej do szpiku kości rodziny mieszczańskiej, w sztuce, która nie jest sztuką, lecz galerią charakterów, z rozwiązaniem, które nie jest rozwiązaniem, ale rozpaczliwem wyznaniem niemocy. Dramat stoi na miejscu, nie posuwa się ani na krok. Z trzech córek pana Dupont dewotka pozostanie dewotką bez wiary; nierządnicą będzie dalej nierządnicą bez miłości; nieszczęśliwa w małżeństwie, nie przestanie być nieszczęśliwą w małżeństwie, nienawidząc swego męża i obiecując sobie oszukać go przy sposobności. Próby, na jakie los je skazał, mogą się nigdy nie skończyć; konkluzya nie postawiona, ale wyraźna — absolutne potępienie w czambuł całego społeczeństwa.

Co w utalentowanym niewątpliwie pisarzu zwycięży: czy indywidualność energiczna, żywotna, natura wojująca, której sama przyjemność walki przynosi ulgę, pogodę; czy też posępne i rozkładowe smutki grupy dekadenckiej, która go zachęca do zniechęcenia, — to dzisiaj przewidzieć się nie da. Jedno nie ulega wątpliwości, że ani pesymizm, ani optymizm, nie wyleczył dotąd p. Brioux z pewnej, charakteryzującej zbiega z „wolnej sceny“, egzaltacyi w traktowaniu podejmowanej tezy.

Widać ją w wielu rysach sztuki, noszącej tytuł „Czerwonej togi“. Czerwona toga radcy — to cel marzeń pewnego prokuratora rzechypospolitej; nie zdołał jej dotąd przyodziąć, ale ją w wyobraźni czuje na ciele, niby palącą koszulę Dejaniry, i w gorączce awansu miewa krwawe, oskarżycielskie hallucynacye, których ofiarą o mało nie padł niewinny człowiek. O sądownictwo więc chodzi tym razem i przeciw niemu skierował p. Brioux raniące do żywego ostrze swej satyry.

Czy sztuka jest tylko, jak chce pewien odłam fancuskiej krytyki, odgłosem przeczytanych artykułów, które w ciągu trzech lat, poprzedzających jej ukazanie się na scenie, stawały ustawicznie pod

pręgierz reprezentantów władz sądowych? Nie zdaje mi się. Obserwacya, sięgając głębiej, doprowadza do wniosku, że „coś się psuje w państwie sprawiedliwości“, a choć się psuje z przyczyn nie nowych, to jednak te powody działają coraz częściej, silniej i bardziej rozkładowo. Kto mógł o tem wątpić, tego chyba przekonały wyniki wywiadów, podjętych przez paryskiego „Figara“, w chwili wrzenia sprawy Humbertów, ankiety imponującej powagą głosów, które, w dobie, gdy przebrzmiał już rozgłos sztuki p. Brioux, z obywatelską szczerością wypowiadały surowe zdania o dotkliwych niedomaganiach sądownictwa francuskiego. Dziś, kiedy „karyera“ sądowa drogą awansu, więcej niż kiedykolwiek zależy we Francyi od rządu, dusza sędziego francuskiego, znajdującego się w gorszych, niż dawniej, warunkach materyalnych, i czującego na każdym kroku swoją zawisłość już nie od jakiejś stałej idei rządowej, ale od coraz innego człowieka, który coraz inne wciela widzimisię administracyjne, ta biedna dusza obrońcy prawa nie wie, gdzie i kiedy właściwie ma stanąć na straży tego prawa. Przy obecnym ustroju głosowania powszechnego, deputowany potrzebuje swego wyborcy; minister potrzebuje deputowanego, prokurator jeneralny potrzebuje ministra, a sędzia potrzebuje prokuratora jeneralnego. Jak wygląda sprawiedliwość, zaplątana w sieci tych wzajemnych zależności, pokazuje nam p. Brioux w „Czerwonej todze“.

Rzecz dzieje się w Mauléon, małej mieścinie u podnóża Pyrenejów. U prokuratora rzeczypospolitej, p. Vagret'a, zgromadzony jest kwiat miejscowego sądownictwa. Z rozmów tych panów dowiadujemy się, że w hierarchii sądowej spodziewany jest „ruch“ — ruch zaś, to awans, który w Mauléon idzie każdemu jak po grudzie. A dlaczego awans jest taki trudny w Mauléon? — bo oddawna nie było tam porządnej zbrodni, bo jeżeli nawet kto stanie przed sądem kryminalnym, to go zaraz sędziowie przysięgli uniewinnią. Przekłète dzienniki natrząsają się też z Mauléonu, który, oczywiście, źle jest w administracyi notowany. Trzeba-by jakiejs pięknej zbrodni, jakiegoś ładnego wyroku, wtedy dopiero sędziowie mogli-by spodziewać się awansu, wtedy może p. Vagret dostał-by czerwoną togę, którą pani Vagret naprzód już sprawiła mężowi.

Otóż właśnie taka zbrodnia została popełnioną — zabito ośmiesięciokilkoletniego starca. Radość stąd wielka w Mauléonie; cóż, kiedy mordercy nieudało się dotąd znaleźć! Nie dość przecie mieć zabitego; bez zabójcy obejść się niepodobna. Wtedy-to jeden z gości prokuratora, młody sędzia Mouzon, podejmuje się, jeżeli mu będzie powierzone śledztwo, „dostarczyć“ w ciągu trzech dni żadanego zbrodniarza. Rzeczy układają się doskonale; sędzia, przeznaczony do pro-

wadzenia śledztwa zachorował i zwrócił akta. Vagrét więc oddaje sprawę Mouzonowi.

W drugim akcie znajdujemy się w gabinecie Mouzona. Młody sędzia wrócił właśnie z Bordeaux, dokąd był jeździł „ostrzydzić sobie włosy”. Podróż trochę go znużyła; nie wchodzimy jednak zbyt ciekawie w powody tego zmęczenia, zwłaszcza że Mouzon zabiera się raźnie do roboty. Trzeba przecie znaleźć zabójcę starca, a Mouzon przekonany jest, że zbrodni dopuścił się chłop baskijski, trzymany już pod kluczem. Prawda, że Etchépare na pierwszy rzut oka podejrzanie wygląda. Żonaty jest, kocha żonę i dzieci, ale znają wszyscy jego gwałtowność i wiadomo, że kilkakrotnie był skazany za okaleczenie towarzyszków pijatki. Interesa jego w złym też są stanie; pożyczł niedawno kilkaset franków od lichwiarza, a co najważniejsza, płacił zabitemu starcowi rentę dożywotnią. Mouzon odgadł pewną naiwność w gwałtowności Etchépary, i przekonany jest, że podstępami pytaniami potrafi go uwikłać. Walka sędziego z niesłusznie oskarżonym jest więc treścią drugiego aktu, silne na widzach wywierającego wrażenie. Mimo jednak wszelkie fortele sędziego, Etchépare nie chce przyznać się do zbrodni niepopołnionej. Wtedy Mouzon decyduje się na naoczną konfrontację małżonków; ale przedtem bada Joannę Etchépare, która stanowczo stwierdza niewinność męża, oświadczając, że w nocy, kiedy dokonano morderstwa, Etchépare nie wychodził z domu. Nie zwracając uwagi na jej zeznania, Mouzon przerywa niespodzianie świadkowi:

— Joanno Etchépare, — mówi do niej, — kiedy przed laty byłaś w służbie w Paryżu, zostałaś kochanką syna swoich chleboborców i uciekłaś z tym młodzieńcem, który okradł, bez twojej zresztą wiedzy, kasę swego ojca. Skazano cię wówczas na miesiąc więzienia za przechowywanie skradzionych pieniędzy.

Joanna skamieniała. Zdawało jej się, że o tej sprawie nikt nie wie; zaklina więc Mouzona, żeby ją zataił przed zazdrosnym mężem, który-by jej nigdy nie przebaczał tego pierwszego i jedyne go błędu. Sędzia nie ma nic przeciw tej dyskrety, byle-by żona skłoniła męża do przyznania się do zbrodni. I nieszczęśliwa próbuje — na próżno. Etchépare odpycha oskarżenie i na życie swych dzieci klnie się, że nie jest zbrodniarzem. Spostrzegłszy podejście sędziego, Joanna obrzuca go obelgami i dostaje się za to do więzienia, jako współwinna.

Trzeci akt odsłania nam tajemnice wycieczki Mouzona do Bordeaux, która nieciekawe po sobie zostawiła ślady. Wesoły sędzia obiadował tam w towarzystwie przyjaciół i przyjaciółek. Podchmieleł, narobił hałasu, znieważał policję, co pociągnęło za sobą spisanie protokołu u komisarza, raport do prokuratora i żądanie tego do-

stojnika, wystosowane do Mouzona, żeby podał się do dymisji. Mouzon ani myśli ustąpić. Jeżeli jest winny, niech się rozpocznie śledztwo, — będzie skandal, a na skandalu najgorzej wyjdzie korporacja sądowicza. Wyrachowanie było snąć dobre, skoro wywołało interwencyę do prokuratora deputowanego Mondoubleau, któremu Mouzon przyrzekł był w drugim akcie, wydobyć z kłopotu wpływowego wyborcę, uwikłanego w zatarg ze sprawiedliwością. Ręka rękę myje — więc Mouzona, ze względu na „przekłętą prasę“, przeniosą gdziein-dziej, ale z awansem; wraz z nominacyą na radcę dostanie mu się owa „czerwona toga“, którą pani Vagret *anticipando* mężowi przygotowała. Ten tymczasem, o niczem nie wiedząc, pracuje na nią gorliwie. Z talentem, którego mu wszyscy winszują, żąda Vagret głowy Etchépara, i dopiero gdy skończył oskarżać, budzą mu się w sumieniu wątpliwości co do winy oskarżonego.

— Więc dla czegoż z taką passyą wysyłałeś go pod gilotynę? — pyta prokuratora żona, której zwierzył się ze swych skrupułów.

— Zawrócono mi głowę frazesami o pomszczeniu rodziny, społeczeństwa. Wbrew memu zwyczajowi replikowałem obrońcy, a od tej chwili, zapomniawszy o oskarżonym, zapędziłem się tylko w walkę z adwokatem, w turniej oratorski.

I poruszony do głębi tą omyłką, biegnie spełnić „obowiązek uczciwego człowieka“, ujawnić swoje wątpliwości i żądać uniewinnienia oskarżonych.

Po tym akcie, nie mniej wstrząsającym od poprzedniego, sztuka wydaje się skończoną — i jest nią w istocie jako teza. Ale p. Brieux chciał wrażenie spotęgować motywem melodramatycznym, który dziwi i razi trochę niepotrzebnym rozdzwiekiem. Dawna winą Joanny ujawniona została w toku sprawy i uderzyła jak piorun w Etchépara. Człowiek prosty, z jednej sztuki, nie może przebaczyć żonie. Nieszczęśliwa pada mu do nóg — ale chłop baskijski jest niewzruszony. Popłynął do Ameryki ze swoją matką i z dwojgiem dzieci — żony znać nie chce. To postanowienie przyprawia Joannę o obłąd. Nieprzytomna zwraca się do Mouzona:

— Pan, który tyle złego narobiłeś, pan, który, zastawiwszy u stóp rusztowania swoje sidła na dwoje niewinnych ludzi, zburzyłeś im potem szczęście rodzinne, jak teraz naprawisz tę krzywdę?

A gdy Mouzon szydzi z tego zapytania i szorstko odzywa się do wzburzonej kobiety, Joanna porywa ze stołu sędziowskiego złożony tam niegdyś jako *corpus delicti* sztylet, i topi go w piersi Mouzona.

Tak wygląda „Czerwona toga“.

Uległość wpływom politycznym; zaciętość względem oskarżonych i przeciw świadkom odwodowym, perfidya w wydobywaniu

z obwinionego zeznań obciążających, władza sędziego faktycznie nieograniczona i bez odpowiedzialności, spaczenie sumień sędziowskich, wytworzone nałogami zawodowymi — wszystko to przedstawił p. Brioux w scenach dosadnych, niekiedy grubo trochę traktowanych, ale przenikniętych energią głębokiego przekonania o słuszności przeprowadzonej w nich tezy. To przekonanie jest siłą rozpędową dramatu i unosi go ponad jałowe dyskusye o prawie obywatelstwa tezy w literaturze dramatycznej. Dla czego ma być złą sztuka z tezą, jeżeli teza jest dobra, zwłaszcza, gdy dobrą tezę, z życia wydartą i życiem drgającą rzuci na scenę talent? Czyż istotnie trzeba, jak dowodził niedawno jeden z krytyków, czekać z wprowadzeniem do teatru idei, dopóki nie przeniknie do duszy, nie przetworzy się tam na uczucie, i dopóki uczucie nie wzmoże się do potęgi namiętności? Czy nie dość, jeżeli idea stanie się namiętnością w autorze dramatu, jak nią była naprzykład teza równouprawnienia obu płci u Dumasa młodszego? Czy sprężynami dramatu mają być koniecznie same, dojrzałe już namiętności, i czy nie można przedstawić w nim brzasku uczuć, zrodzonych z idei, z interesów, z praw, z sytuacji społecznych? „Czerwona toga” p. Brioux jest dramatyczną odpowiedzią na te pytania, a życie dodaje do niej we Francyi coraz nowe komentarze.

Przy wystawianiu sztuk p. Brioux na scenie warszawskiej, niejednakowo autorowi służy szczęście; zwłaszcza w dwóch ostatnich utworach ta zmienność artystycznego poziomu uwydatniła się uderzająco. Satyra „Córki pana Dupont” obsadzona źle, nie nastrojona do kamertonu „ostatniego krzyku” *paryżanizmu*, nie rozpędzona w rytmach gry do tempa współczesnego życia francuskiej burżuazji, padła po prostu z winy aktorów; natomiast „Czerwona toga”, niezależnie od tezy, zajmującej dla szerokiej publiczności nawet poza sferą paryskich stotunków, interesowała grą artystów, którzy głównych podjęli się ról. Panu Nowickiemu i pannie Barszczewskiej nie przeszkodziły nawet unoszące się nad publicznością w tej samej widowni wspomnienia świetnej gry Lotty Witt i Jerzego Reimersa z Wiednia; owszem, zdawało-by się, że dla naszych artystów te wspomnienia były bodźcem do tem gorliwszej pracy, widocznej w każdym szczególe żywej plastyki, którą drgają postacie Piotra i Joanny Etchepare. Wprawdzie gorączka pierwszego przedstawienia zakłóca zwykle spokój artystycznej syntezy, układającej te szczegóły w jednolity rysunek; wprawdzie pan Nowicki w akcie śledztwa wypadał chwila mi w dykcji z tonu, a w gestykulacji z linii ruchów haskijskiego chłopca; a panna Barszczewska nieobliczalnymi rozpędami zacierała czasem bezwiednie odcienia umiejętnie obmyślanego stopniowania efektów; ale oboje w scenach między mężem i żoną powracali do rów-

nowagi, którą utrzymywała szczerość uczucia, odzywającego się prawdziwie dramatycznymi akcentami. Pan Wolski, jako sędzia śledczy, scharakteryzował figurę Mouzona rysami sceptycznej oschłości. Może nie wyziera z niej dostatecznie ostry typ paryskiego, bezwzględnego karyerowicza, ale postać żyje i psychologią swoją zacieśnia węzeł akcji w dramacie. Ta trójca bohaterów znajduje się w dobrym na ogół otoczeniu, z pośród którego, niestety, p. Rapacki wyróżnia się najmniej korzystnie. W ważnej roli prokuratora Vagreta, mającej poniekąd znaczenie okoliczności łagodzących w procesie, wytoczonym sądownictwu francuskiemu, rozumny ten zwykle artysta nie wpadł na ton właściwy, i opowiadanie o reakcji, doznanej przy wygłaszaniu oskarżenia, rozdał do jałowej deklamacji, mozolnie podtrzymywanej przez suflera. Nawet poufna rozmowa z żoną, adresowana była do publiczności, która ze zdziwieniem słuchała patosu tam, gdzie spodziewała się usłyszeć ciche zwierzenia człowieka, trapionego wątpliwościami sumienia. Nie tracimy nadziei, że z utrwaleniem się roli w pamięci artysty, — ustali się również zasadniczy nastrój roli, oczyszczający tezę p. Brioux z zarzutu jednostronności.

III.

Na pograniczu dwóch sezonów, wakacyjnego i jesiennego, opera polska otworzyła w teatrze wielkim kampanię dramatu muzycznego. Warunki tej inauguracji nie są dla niej dogodne, bo opera miejscowa znajduje się sama na przełomie reformacyjnym, z nieutrwalonym jeszcze pod sobą gruntem, na którym rozpoczyna się dla niej dopiero doba pewnego z włoską operą równouprawnienia, zapoczątkowanego przez dyrekcję z najlepszą niewątpliwie wolą, w przypuszczeniu, bardzo zresztą naturalnem, że dobre jej chęci znajdą poparcie w polskiej publiczności. Z powodu właśnie tego przypuszczenia nazwałem warunki otwarcia sezonu niedogodnymi, połowa bowiem września nie gromadzi jeszcze w Warszawie całej publiczności, rozstrzygającej o finansowem powodzeniu operowych przedstawień, a finanse będą dla dyrekcji z natury rzeczy jedynym probierzem praktyczności zapoczątkowanej reformy. Otóż koniec zimowego sezonu mógł pod tym względem sceptycznie usposobić zarząd teatralny; ani „Livia Quintilla“ Noskowskiego, ani „Manru“ Paderewskiego, nie dały takich kasowych wyników, jakie powinna była przynieść zarówno artystyczna war-

tość obu dzieł, jak rachuba na psychologię polskiej publiczności; wszak była taka chwila, kiedy wypadło przypominać tej publiczności, że losy opery polskiej w swoich wyłącznie trzyma rękach. Miejmy nadzieję, że przypomnienia odniosły swój skutek, ale obecnie skutek ten może się jeszcze nie ujawnić z braku zwykłego kontyngensu słuchaczy, zapóźnionych dotąd w miejscowościach leczniczych i na różnych letnich wycieczkach. A tymczasem kto wie, czy nie jest *periculum in mora*, i czy wykazy dochodów nie zdecydują ostatecznie o przyszłości tutejszej opery. Sytuacja więc jest poważna, o czym zechcą zapewne pamiętać obecni w Warszawie za siebie i za nieobecnych, dopóki tamci nie dokompletują zwartego audytoryum, popierającego rozwój miejscowej opery na tutejszej scenie. Zdaje mi się, że ten rozwój mógł-by odbywać się zupełnie spokojnie i prawidłowo, gdyby publiczność zdawała sobie dokładnie sprawę ze stanu rzeczy, wytworzonego przez zamierzoną reformę.

Dwa są momenty w sprawie miejscowej opery.—repertuar i śpiewacy; tak co do jednego, jak co do drugiego, niema podstawy do stawiania wygórowanych wymagań. Oryginalnych oper posiadamy niewiele, te zaś, które zdobyły sobie zaszczytne miejsce w literaturze muzycznej, weszły do repertuaru. Na afiszu zmieniają się nazwiska Moniuszki, Noskowskiego, Żeleńskiego; Paderewski stanął w pierwszym rzędzie młodszych kompozytorów, na których jednak czekać jeszcze wypadnie; tymczasem coś grać trzeba, a tego *czegoś* dostarczyć może tylko obcy repertuar. Idzie więc o to, jaki ma być ten repertuar; chcąc zaś na to pytanie odpowiedzieć, należy się przede wszystkim obliczyć z siłami wykonawczemi. W przeszłym roku na czele tych sił stały dwie wybitne śpiewaczki: panie Kruszelnicka i Korolewiczówna. Udział jednak pierwszej, przy jej wszech europejskich aspiracjach, będzie zapewne w rozwoju opery miejscowej tylko przygodnym; druga przestała do jej składu należeć, z niewiadomych nam powodów. Czy obie można zastąpić; czy wogóle są na to jakie dane, żeby do personelu miejscowej „stałej“ opery weszli znakomici artyści z wielką reputacją? Sądzę, że taki komplet opery polskiej należy do złudzeń, które w praktycznym interesie jej trwałości jaknajprędzej rozwiązać należy. Jesteśmy za biedni na to, żeby okragły rok słuchać Kochańskiej i braci Reszków, a poza nimi, choćbyśmy jeszcze wymienili nazwiska Bolskiej, lub Pinkertówny, nie egzystują po prostu śpiewacy polscy, z których dało-by się złożyć kompletną operę polską, stojącą na wysokości naszych pretensyi do wielkiego stylu. Wobec tego faktu, nieprzyjemnego może, lecz niezbitego, repertuar opery miejscowej zależeć musi od środków rozporządzalnych,

i oczywiście, wytwarzać się będzie pod hasłem meiningeńskim „dobrej całości, osiąganey średniemi siłami“.

Takie hasło może być poniekąd cnotą z potrzeby, lecz nie jest bynajmniej koniecznem „złem“, skoro w wielu teatrach zagranicznych utrzymuje operę na bardzo poważnym poziomie. Należy się tylko porozumieć co do znaczenia definicyi „średnie siły“—i tu, w warszawskich stosunkach, dla dobra sceny, potrzebne są ustępstwa tak ze strony dyrekcyi, która nie może odrazu wymagać zbyt wielkiej abnegacyi od publiczności, zepsutej systematem meteorów zagranicznych, jak ze strony tej publiczności, która znów powinna pogodzić się z myślą, że nie stać ją na gwiazdy pierwszej wielkości. Na kompromisie nie ucierpi artyzm—ten znajdzie zawsze swój wyraz w harmonii zbiorowych usiłowań; stracić może tylko wirtuozowstwo, które częściej służy osobistym celom, aniżeli ideałom prawdziwej sztuki...

Jakaż tedy istnieje w tej chwili podstawa do takiego kompromisu? Inauguracyjne przedstawienie „Fra Diavola“ pozwala wnosić, że słuchaczom ustępstwa zbyt trudno przychodzić nie będą, byleby im teatr chciał odwzajemniać i nie produkował na scenie „młodych sił“, które są może „młode“, ale „siłami“ być nie mogą. Z tem zastrzeżeniem, udatne wykonanie opery Aubera przyjemne na ogół zostawia wrażenie,—a ten jeden wyraz „przyjemne“, jest, według mego zdania, argumentem, odpowiadającym na inne zastrzeżenie, które, w formie pytania, krążyło po sali: czy warto powracać do tak „przestarzałego“ repertuaru?

Pytający należeli zapewne do tych, co wymagają dziś od teatru wszystkiego, prócz przyjemności, prócz tego, co właśnie Auber ze zdumiewającą hojnością dostarczał współczesnym swoim słuchaczom. Być może, iż ta charakterystyczna cecha jego twórczości obniża go wobec dzisiejszej krytyki, celebrującej w wagnerowskich pontyfikaliach; nie rozumiem jednak, dla czego Auber nie miałby znaleźć miejsca w repertuarze dla słuchaczów, którzy w teatrze między innymi wrażeniami i przyjemności także szukają. Rzecz prosta, że repertuar żyć tem wyłącznie nie może; ale mu wolno odezwać od czasu do czasu pieśnią, a choćby piosenką, której nawet Nietzsche, sławiący szal Bachiczny jako duszę muzyki, wyznacza w jej filozofii niepoślednią rolę. Prawda, że z operą komiczną dzieje się po trochu to samo, co z sędziwą matką rodu, która, wszystko oddawszy potomstwu, wygląda dziś, jak gdyby sama nigdy nic nie miała, kiedy jednocześnie dzieci zwyrodniałe, operetka i „nadsceniczny“ kuplet, roztrwoniwszy całą schedę, do matki za to roszczą pretensyę. Jest jednak coś w tej staruszce, co o dawnem jej bogactwie przypomina — jest zwłaszcza w operze komicznej Aubera. Takiej obfitości motywów lekkich, uroczych, dowcip-

kiemi zasobami ładnych nut tenorowych, mimo nadużycia otwartych tonów i pewnego upodobania w jaskrawych efektach, wykazał bardzo obiecujący materiał głosowy i niewątpliwą intuicję artystyczną, zwłaszcza w serenadzie drugiego aktu, wykonanej lekko i z poczuciem delikatniejszych odcieni. Odpowiednie studia pod dobrym kierunkiem, przy wrodzonej w młodym aspirancie muzykalności, mogą w nim wykształcić wybitnego śpiewaka. Jako Zerlina, sympatycznie przedstawia się pani Bogucka. Nikły to sopranik, ale miły i starannie w dobrej szkole poprowadzony; że zaś i osoba korzystnymi zewnętrznymi warunkami dobrze usposabia widza, więc i słuchacz zadowolony jest z tej ładnej córki oberżysty z Terracino, nawet wtedy, gdy w znanej scenie rozbierania w akcie drugim, wydaje mu się lekliwą. Akcentuję wyrażenie „wydaje się”, — bo p. Bogucka w traktowaniu tej sceny, składa tylko dowody taktu, rozgraniczającego ściśle operę od operetki, a nadwątlonego w widzach, rozebranych od szeregu lat wobec operetki, która jest negliżem nocnym opery komicznej. Może ta dystygowana powściągliwość młodej śpiewaczki wpłynęła także na śpiew i grę p. Dylińskiego; dawny filar operetki utrzymał się, jako zabawny Anelik, w granicach estetycznego humoru i miał w tym nastroju inteligentną towarzyszkę w pani Veroli, przystosowującej się do całości nawet pod względem języka: zdolna ta artystka, śpiewająca dotąd po włosku, nauczyła się partyi Pamelii po polsku. Wystawiono „Fra Diavola” starannie, z wyjątkiem może naiwnej sceny schwytania bohatera tytułowego, według przestarzałego ułożonej scenariusza. Już chciałem zwrócić na to uwagę p. Floryańskiego; ale kiedy przypomniałem sobie mistrza krzyżackiego w „Zbyszku i Danusi”, wędrującego brózdą przez żyto i niewidzącego zaczajonych o dwa kroki w zbożu rycerzy, — pomyślałem sobie, jeżeli w inscenizowanym na nowo przez „głównego reżysera” dramacie odezwała się, po meiningeńskiej reformie, operetka, — to z jakiegoż tytułu rościć pretensję do reżyserii opery za to, że we „Fra Diavolu”, liczącym przeszło siedemdziesiąt lat, zostawiła sceneryę z przed meiningeńskiej reformy?

Zresztą p. Floryański ma sposobność wykazania swej reżyserkiej pomysłowości w projektowaniu wystawieniu „Dragonów” Villars’a Maillarta. Po tem wznowieniu, które dla wielu będzie zupełną nowością, przyjdzie może kolej na utwory ze współczesnego repertuaru — a tych nie zbraknie w literaturze muzycznej młodych Niemiec, młodych Włoch i młodej Francyi, zwłaszcza że, jak widzieliśmy, w kompletującym się personelu polskiej opery, ponad średnie siły wybijają się artyści niepośledniej wartości, a opera, mająca

w swoim składzie dwóch tenorów (pp. Floryański i Drzewiecki), dwóch barytonów (pp. Grąbczewski i Górski), trzech basistów (pp. Didur, Kawalski i Dyliński), siedm sopranistek i mezzosopranów (panie: Ruszkowska, Frenklówna, Szczepkowska, Kaftalówna, Chotkowska, Bogucka i Bąkowska), może podźwignąć ważniejsze od komicznego repertuaru zadanie, i nawet w granicach Auberowskiego repertuaru sięgnąć po takie naprzykład dzieła, jak „Niema z Portici“.

IV.

„Niema z Portici“?—zapewne; tylko skąd wziąć Fenellę? czy jest u nas artystka, która-by w tem arcydziele Aubera stanęła na wysokości „mimodramatu“, splecionego tak nierozzerwalnie z lirycznym podkładem opery?

Pytanie może wydać się dziwnem tam, gdzie istnieje okazały personel baletowy i szkoła, przygotowująca mu rok rocznie nowy materiał. A jednak ten i ów postawi je niewątpliwie wobec ukazania się na naszej scenie niespodzianki w postaci pani Cecchetti, balleriny, która się tak poważnie w czasie i przestrzeni przedstawia, że niezrozumiałym staje się przy niej rygor, usuwający ze składu naszego baletu, na podstawie metryki, miejscowe tancerki. Trudno przypuścić, żeby powodem tej siurpryzy był specjalny charakter pantominy „Ręka“, - bo jeżeli coś w niej jest specjalnego, to chyba to, że rozślawiła ją po całym świecie nie tancerka właśnie, ale artystka dramatyczna; a gdyby nawet u nas wyjątkowo baletnicze zdolności, i to konieczne włoskie, miały być do tego mimodramatu niezbędne, — to i wtedy panna Cerri, młoda, utalentowana tancerka, jest chyba pożądaną na scenie, której służy już od lat paru, aniżeli w widowni, gdzie przypatrywała się ciekawie swojej dojrzałej współzawodniczce.

Nie wspomniał-bym o tem drobnem, obojętnem zresztą dla czytelników „Biblioteki“ zdarzeniu ze sfer zakulisowych raczej, niż artystycznych, gdyby nie owa pantomina, w której jest może coś więcej, prócz jednoaktowego baletu. Przedewszystkiem okoliczność właśnie, że to nie tyle balet, ile *mimodram* z przygodnym tylko udziałem tańca — usprawiedliwia wzmiankę o „Ręce“ w uwagach, zatytułowanych „Dramat i opera“. Kto wie, czy nie jest to w zakresie choreografii próba podążenia w ślady najnowszej muzyki i stworzenia baletu bez tańca, na wzór opery bez melodyi? Bądź co bądź, *mimodram*

jako modne dziś widowisko ma swoją stronę interesującą ze względu na odbytą w nim, głównie na francuskim gruncie, ciekawą ewolucję.

Urodzony w XVIII wieku, w walce ówczesnej Komedyi francuskiej i Akademii muzycznej z podrzędnymi teatrami, którym dekrety policyjne odjęły prawo używania na scenie słowa, zostawiając im jedynie swobodę mimiki, *mimodram* przechodził rozmaite koleje, i zdawało się, że nareszcie ugrzęźnie w cyrku, kiedy ostatni, dekadenski zwrot w literaturze podniósł go niespodzianie do godności sztuki. Dzięki dyskredytowi, w jaki chwilowo popadło słowo za to, że po prostu wypowiada to, co jest jego treścią, wziął nad niem przewagę dźwięk i gest, jako wyrażające w czasie i w przestrzeni głębie, słowu niby niełostępne. I pantomina stała się mową bez słów, której tragiczną, lub komiczną siłę potęguje akcentami swemi muzyka, a widowisko, na tych oparte czynnikach, rozmaite przybierało formy. Na białym, prześwieconym elektrycznością ekranie, perspektywiczne rzuty gestykulujących aktorów dawały złudzenie pantominy; to znów w „teatrze cieniów lirycznych” (!) malowano dekoracje na szklanej płycie „odsyłacza” (*projecteur*) Molteniego, na tem zaś tle rysowały się w pozach i ruchach postacie aktorów, grających w „kamerze świetlnej” sztuki symboliczne. Dziwną ironią losu z ojczyzny symbolów przyszła reakcja, uosobiona w kobiecie, która odrazu nastroiła *mimodram* na ton realistycznego modernizmu, i ludźmi, zamiast cieniów, scenę zapełniła. Pani Karolina Wiehe, Dunka z Kopenhagi, śpiewa i jest najpierwszą *divą* operetkową w krajach Skandynawskich; pani Karolina Wiehe mówi i jest doskonałą aktorką w komedyi salonowej; pani Karolina Wiehe tańczy, — ale ponieważ jest ładną, więc, przybywszy do Paryża, była tego zdania, że wymowa jej osoby skuteczniej przekona Francuzów od słowa, śpiewu, tańca. I zamknęła nsta, a przemówiła mimiką, z towarzyszeniem ilustracji orkiestrowej, skomponowanej w stylu Wagnerowskim przez p. Henryka Béreny, męża artystki. Paryż szalał za *mimodramem* i „Ręka” była przez długi czas najważniejszym wypadkiem teatralnym, może dla tego, że Ibsen, sam Ibsen nazwał ją „psychologią w akcji”. Po najdłuższem życiu dopiero, kiedy już zmarszczywszy się stężała, ujrzelśmy ją w Warszawie.

Akcya *mimodramu* odbywa się w sypialni tancerki, w chwili, kiedy ballerina wraca z teatru. Przed jej wejściem wdarł się był do jej pokoju rabuś, i spłoszony, ukrył się za firanką. Gdy tancerka, rozbierając się przed zwierciadłem przypomina sobie tańce z próbownego właśnie baletu, spostrzega w lustrze rękę, wysuniętą z za kotary, poza którą przyczał się złoczyńca. Gest przerażenia, trwoga ro-

snąca w grze niemej (drzwi zamknięte są na klucz, leżący na stoliku przy kotarze); wreszcie skradanie się w symulowanym tańcu do tego stolika i zdobycie klucza, który tancerka rzuca przez okno odprawionemu przed chwilą przyjacielowi, — oto motywa mimiczne, pomagające się w gestykulacji czegoś więcej, prócz konwencyonalnych baletowych ruchów. Pani Wiehe jest w grze skończoną artystką; pani Cecchetti jest zwyczajną baletniczką; tam jest talent—tu szablon. Zapewne dla tego pani Wiehe znalazła się w Paryżu, a pani Cecchetti w Warszawie; ale zapewne też dla tego „*mimodram*“ nie zrewolucjonizuje w Warszawie sztuki dramatycznej.

WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

ROZMAITOŚCI.

DYARYUSZE SEJMÓW KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

Konstytucya Księstwa Warszawskiego obejmuje tylko podstawowe przepisy o sejmie głównym. Dopiero późniejszy dekret z dnia 9 stycznia 1809 roku (Dz. pr. Ks. W., t. I, str. 141) miał szczegółowo organizację sejmku nakreślić.

Zanim dekret ten światło dzienne ujrzał, był kilkakrotnie przetwarzany przez radę stanu, czy ministrów, oraz przez samego króla, przy którego boku znajdował się wówczas w charakterze ministra sekretarz stanu, Stanisław Breza. Pierwszy projekt organizacji sejmów wygotował z polecenia rady ministrów Julian Niemcewicz, który go w dniu 3 sierpnia 1808 roku złożył. Drugi, opracowany w listopadzie 1808 roku, wyszedł z pod pióra Morawskiego. Rada stanu w dniu 14 grudnia 1808 roku, na podstawie obu tych projektów, ułożyła trzeci i przesała go monarsze. W dniu 24 grudnia 1808 roku król zażądał zmian, które rada stanu, przesyłając ostateczny swój projekt w dniu 30 grudnia 1808 roku, w znacznej części uwzględniła. Nareszcie w dniu 9 stycznia 1809 roku, jak nadmieniono, dekret znalazł się w Dzienniku praw.

Zarówno projekty, jak i sam dekret, ustanowiły urząd sekretarza sejmku. Gdy wszakże Morawski wybór „kandydata do pióra” powierzyć pragnął posłom i deputowanym, którym zalecał, aby „w takowym wyborze” na „klasę uczonych” uwagę zwracali, — dekret książęcy w artykule 3 stanowi, że sekretarza sejmowego mianuje marszałek sejmowy z grona posłów, lub deputowanych. Projekty, a wślad za nimi sam dekret, włożyły na sekretarza sejmku prowadzenie dyaryusza, nadto dekret wyraźnie orzeka, że sekretarz jest naczelnikiem kancelaryi sejmowej, odpowiedzialnym za rzetelność aktów izby poselskiej, zaświadcza podpis marszałka na uchwałach, jest mu pomocą przy zbieraniu kresek, pod jego dyрекcyą prowadzony będzie dyaryusz sejmowy. Jeśli wszakże organizacja sejmowa zobowiązywała sekretarza do prowadzenia dyaryusza, to stanowczo nie orzekła, czy dyaryusz ma być drukowany. W epoce nieco późniejszej od Księstwa nie było-by to kwestyą. Zdawało-by się, że

sekretarz miał prawo dziennik posiedzeń ogłaszać publicznie. Lecz wówczas rzeczy się miały trochę inaczej. Parlament istniał wprawdzie, lecz go się obawiano. Szeregi przepisów cytowanego przez nas dekretu wskazują, że sfery rządzące, jak z mora, trapiło wspomnienie dawnych sejmów, że obawiano się zbyt długiego ich trwania, że członków sejmów jak urzędników traktowano, którym nawet w czasie między jednym sejmem a drugim, bez pozwolenia króla, nie wolno było za granicę wyjeżdżać (§ 10). Nie dziw też, że po zamknięciu pierwszego sejmów z roku 1809, w umyśle sekretarza sejmów, posła Zwierchowskiego, zrodziła się wątpliwość, czy dyaryusz może być drukowany? Co prawda, czekał on dość długo, zanim zabrał się do rozwiązania wywołanej przez siebie kwestyi. Dopiero bowiem w dniu 3 stycznia 1811 roku przesłał do króla do Dreżna następujące pytanie:

Najjaśniejszy Królu, Panie Miłościwy!

Upraszać najpokorniej Waszej Królewskiej Mości Pana Miłościwego o rozwiązanie następującej wątpliwości: czyli dziennik sejmowy, przezemnie, jako sekretarza sejmów, w roku 1809 odbytego, spisany, ma być drukowanym, lub nie -- jestem przymuszony.

Pobudki do tej najpokorniejszej prośby stąd wynikają: Ustawa konstytucyjna Księstwa Warszawskiego, przez Najjaśniejszego Napoleona Cesarza Francuzów, Króla włoskiego, protektora konfederacyi reńskiej potwierdzona, nic wcale nie obejmuje o Dzienniku sejmowym, zaś wkrótce po niej nastąpiona konstytucya hiszpańska w art. 81 przepisuje, iż zbieranie i drukiem ogłaszanie czynności sejmowych za czyn buntowniczy ma być uważane. Wprawdzie art. 80 rzeczony konstytucyi nie przypuszcza, aby posiedzenia, czyli sesye sejmowe, były publiczne, z tem wszyskciem sposób głosowania jest jeden, jak u nas, to jest sekretny. A chociaż Księstwo Warszawskie sama tylko ustawa konstytucyjna z dnia 22 m-ca lipca roku 1807 potwierdzona wiązać zdaje się, pomnąc jednak, iż sam Najjaśniejszy Cesarz i Król jest twórcą, nie mogłem nie przełożyć mego postrzeżenia byłemu marszałkowi odbytego sejmów, wojewodzie senatorowi Ostrowskiemu, jako też ministrom Waszej Królewskiej Mości Pana miłościwego: sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, którzy, gdy za rzecz konieczną uznali, aby to moje postrzeżenie Waszej Królewskiej Mości Panu miłościwemu przedstawionem zostało, zatem dopełniam tego i najlaskawszej oczekuję odpowiedzi. I to najpokorniej przełożyć winien jestem, że, nie wiedząc o ustawie konstytucyjnej dla Hiszpanii, a chociaż już to zwyczaj przez sekretarzy sejmów polskich używany, już też dopełniając art. 3 dekretu Waszej Królewskiej Mości Pana miłościwego dnia 9 m-ca stycznia 1809 roku, również jak art. 34 tegoż dekretu, zaraz w cza-

sie sejmu czynność każdodzienną z zachowaną, ile być mogło, dokładnością opisałem, lecz z podaniem do druku wstrzymałem się, najprzód dla niemożności zebrania wszystkich głosów, następnie nastały wojny, teraz zaś dla postrzeżenia wyżej wymienionego, o którego najlaskawsze rozwiązanie najpokorniejszą składam prośbę Waszej Królewskiej Mości Pana miłościwego wierny poddany

Zwierchowski.

Otrzymawszy tak wymotywowane podanie, Fryderyk August, przy dekreście z dnia 19 stycznia 1811 roku, przesłał je do opinii radzie stanu i żądał odpowiedzi, „czyli Dziennik sejmowy przez niego (to jest Zwierchowskiego), jako sekretarza sejmu w roku 1809 odbytego, spisany, ma być drukowanym, lub nie?”.

Rada ministrów roztrząsała tę kwestyę na posiedzeniu w dniu 29 stycznia 1811 roku, i taką zakomunikowała do Dreżna opinię:

Rada ministrów w skutku dekretu z dnia 19 miesiąca i roku bieżących, zalecającego danie opinii na bezpośrednie przełożenie urodzonego Zwierchowskiego, w którym zasięga najwyższych rozkazów: czyli Dziennik sejmu, roku 1809 odbytego, ma być drukowanym, lub nie, sądzi się obowiązującą przełożyć Najjaśniejszemu Panu, iż podobne ogłoszenie, nie przynosząc krajowi żadnej korzyści, mogło-by się stać w przyszłości mniej przyzwoitym śladem niektórych uchybień form, których, mianowicie w początkach ich zaprowadzenia, ciężko jest ustrzedz się w tak licznych, jak jest sejmowe, zgromadzeniu. Powodowana tą uwagą nie może rada, jak stosowną do niej, w posłuszeństwie woli Najjaśniejszego Pana oświadczyć opinię, to jest niewydawania drukiem sejmowych dzienników.

Działo się w Warszawie na sesyi dnia 29 stycznia 1811 roku.

S. Potocki, prezes.

Sekretarz rady ministrów

Stanisław Grabowski.

Trudno dociec, czy tylko pobudki, przytoczone przez radę ministrów, były istotnym powodem takiej opinii. Przypuszczać można, że za kulisami było jeszcze coś innego.

Oto już na sejmie 1809 roku odezwały się krytyki, o ile w granicach konstytucyi były one możliwe—ujawniające różne braki w administracyi państwa.

Józef Godlewski, późniejszy autor wydanych w roku 1811 „Głosów posła maryampolskiego, na sejmie roku 1811 mianych”, był, dzi-

siejszemi mówiąc wyrazami, już w roku 1809 jednym z przywódców opozycji. Ogłosił nawet drukiem swój głos „dnia 22 marca 1809 roku na sesji sejmowej miany“, w którym powstawał przeciwko projektowi powiększenia podymnego i nakreślił wygotowany przez siebie projekt budżetu.

Możliwem jest tedy, że nie chciano, by ogół publicznie dowiedział się o wadach i ułomnościach panującego systemu. Wiedział on i bez tego, lecz czynna władza nie chciała mu w tem dopomódz i stwierdzić niejako to, co, jej zdaniem, pod korcem trzymać należało.

Lecz jakkolwiekby opinia rady ministrów musiała zrobić swoje. Dekret zakazał drukowania dyarusza.

Oto jego treść:

Wypis z protokołu sekretaryatu stanu.

W pałacu naszym w Dreźnie 7-go miesiąca
tego roku 1811.

F r y d e r y k A u g u s t

z Bożej łaski Król Saski, Książę Warszawski
etc. etc.

Na uczynione nam przełożenie rady naszej ministrów pod dniem 29 miesiąca przeszłego względem bezpośredniego podania U-go Zwierzchowskiego pod dniem 3-cim miesiąca stycznia roku bieżącego z zapytaniem: czyli dziennik sejmowy, przez niego, jako sekretarza sejmu roku 1809 odbytego, spisany, ma być drukowanym, lub nie, upoważniamy niniejszem ministra naszego spraw wewnętrznych do dania odpowiedzi U-mu Zwierzchowskiemu, iż pomieniony dziennik sejmowy do druku podawany być nie ma. Dopelnienie niniejszej naszej woli ministrowi spraw wewnętrznych Księstwa Naszego Warszawskiego zalecamy.

F r y d . A u g u s t .

Przez króla, minister sekretarz stanu

S t a n i s ł a w B r e z a .

Pomijając dziwny zapewne ze stanowiska prawa państwowego fakt, że w kwestyi drukowania sprawozdań sejmowych nie sam parlament, lecz monarcha decydował, — znajdujemy w dekrete tym odpowiedź, dlaczego nie wydrukowano dyaryuszów sejmowych z roku 1809 i 1811.

Według informacyi, otrzymanych przez nas od prof. Askenazego, dyaryusz sejmu z roku 1809 zachowany został w rękopisie w Bibliotece Ossolińskich. Podobnie, jak nam łaskawie pan Rembowski zakomunikował, manuskrypt, pod tytułem: „Dyaryusz sejmu Księstwa Warszawskiego w Warszawie 8—23 grudnia 1811 roku pod łaską JWSoltyka odprawionego“, posiada Biblioteka Główna w Warszawie.

Zakaz z roku 1811 nie dotyczył widocznie sejmu z roku 1812, na którym ogłoszono Konfederacyę Generalną Królestwa Polskiego. Dyaryusz tegoż sejmu, wydany w roku 1812, składa się z 64 stron. Prócz tego istnieje po francusku: „Bulletin de la diète séance du 26 junii 1812, № 1. Impr. du Gouvernement 1812.

HENRYK KONIC.

PIŚMIENNICTWO.

Klemens Kołaczkowski, generał. Wspomnienia. „Księga V od końca lipca do 22 listopada 1831 r.

Księga V zamyka pamiętniczą księgę Kołaczkowskiego, a podejmuje opowieść historyczną w chwili, gdy kwatera naczelnego wodza, Skrzyneckiego, znajdowała się w Czerwonej Niwie. Wojska nieprzyjacielskie przebywały niedaleko, ale armia polska nie uczyniła żadnego poruszenia, ażeby zmusić przeciwnika do spotkania. Odbywają się za to częste rady wojenne, na których zwykle naczelny wódz zapytuje: czy ma atakować nieprzyjaciela, ale ponieważ sam jest takim atakowi przeciwny, więc zawsze tysiąc powodów znajdzie, aby bitwę przyjąć dopiero pod Warszawą. Różnica zdań generałów sprawia tymczasem najgorszy skutek w szeregach polskich. Powstaje najgwałtowniejsze rozdrażnienie w umysłach młodych oficerów, którzy najokropniejsze miotają na naczelnego wodza obelgi, tak, że z trudnością przychodzi powstrzymać zapaleńców naczelnikom dywizyi.

Dnia 10 sierpnia, Skrzynecki przez swych poufnych odbiera wiadomość z Warszawy, że deputacya z grona rządu i obydwu izb udaje się do głównej kwatery dla egzaminowania powodów nieczynności naczelnego wodza i odebrania mu komendy, gdyby tego uznała potrzebę. Wiadomość ta rozchodzi się szybko w obozie i niesłychane wzburzenie sprawia w szeregach. Nieprzychylni naczelnemu wodzowi korzystają z tego usposobienia, ażeby przeprowadzić swoje zamiary, oficerowie z różnych pułków gromadzą się na podwórzu przed główną kwaterą i hałaśliwie radzą o sprawie zmiany naczelnego wodza. Generał Skrzynecki, zamiast powagą swoją uspokoić wzburzone umysły, udaje się do obozu generała Ramoriny i stanawszy przed pułkiem 5 piechoty, zbiera oficerów w kółko, tłumaczy się im ze swoich zamiarów, odpowiada na zarzuty. Scena ta nieprzyzwoita od-

wraca jeszcze bardziej od niego umysły rozsądniejszych oficerów. W chwili, gdy jest zajęty swoją obroną, adjutant daje mu znać o przybyciu deputacyi, udaje się więc do Bolimowskiej wsi na jej spotkanie. Generał Skrzynecki zapytuje na wstępie deputację nie-co ironicznie: czy przybyła, aby mu pomódz pobić nieprzyjaciela? Być może! odparł ks. Czartoryski, jeżeli tylko naczelny wódz skłonny jest do wydania bitwy. Stodoła znajdująca się w pobliżu obroną została na miejsce posiedzeń, a Skrzynecki oświadczył z góry, iż się woli narodowego zgromadzenia z pokorą poddaje. Ta deklaracja łagodzi umysły uprzedzone przeciwko niemu. Zapytuje go ks. Czartoryski, dla czego tak uporczywie unika bitwy, której naród i wojsko tak silnie się domaga. Generał Skrzynecki, nie wchodząc w strategiczne powody swej nieczynności, odpowiedział, że wystawił-by całą sprawę na niebezpieczeństwo, gdyby szukał bitwy pod Bolimowem, że lepiej zaczekać i zyskać na czasie. Wreszcie gotów jest zdutniejszemu odstąpić dowództwa i pod nim służyć, nie opuszczając wojska, lecz w żadnym razie nie pójdzie przeciwko swemu przekonaniu.

Deputacya postanowiła poradzić się opinii wojskowej. Do odpowiedzi na ułożony kwestyonaryusz powołano generałów wszelkiego stopnia, pułkowników, znaczną liczbę wyższych oficerów, a nawet niektórych młodszych. Tym sposobem paręset głosów wysłuchano. Okazało się iż prawie wszyscy zgodzili się na to, że naczelny wódz zaufanie armii utracił. Jedni byli za Krukowieckim, drudzy za Prądzyńskim, a niewielka liczba głosów za Dembińskim. Skrzynecki z wielką godnością przyjął oświadczenie deputacyi i postanowił gotowość swoją służyć narodowej sprawie w podrzędnym nawet stopniu. D. 11 sierpnia zebrała się deputacya sejmowa na radę wojenną, której zdania zasięgnąć pragnęła co się tycze wyboru naczelnego wodza. Gdy się zdania rozstrzeliły, deputacya mianowała tymczasowo Dembińskiego naczelnym wodzem, przydawszy mu Łubieńskiego za szefa sztabu, a Prądzyńskiego za kwatermistrza głównego. Kołaczkowski powrócił wtedy do dawnej swej komendy inżynierskiej, a zdanie swe oświadczył na radzie za Krukowieckim, albowiem, jak utrzymuje, był najzdutniejszym wistocie, skoro Skrzynecki ustępował komendy. Dnia 12 sierpnia Dembiński przybył z Warszawy, Skrzynecki przedstawił go wojsku, jako następcę swego. Wrażenie, jakie surowa i ponura postać nowego wodza na wojsku zrobiła, nie było najprzyjemniejsze. Przytem nie znaleziono nic w jego działalności wojskowej, co-by go czyniło godnym tak wysokiego stanowiska. Wojsko przyjęło też Dembińskiego milczeniem, co zmieszało i skłoniło go do zapewnień, że i on ceni wysoko zasługi Skrzyneckiego i w je-

go ślady wstąpić zamierza. Niezręczne to przemówienie odstręczyło od niego do reszty niechętne umysły.

Dia 15 sierpnia przybył do Serok Barzykowski, członek rządu, i Morawski, minister wojny, by z polecenia rządu i komisji sejmowej ofiarować generałowi Prądzyńskiemu naczelne dowództwo. Prądzyński nie był zarozumiały i nie wyobrażał sobie, aby jego siły wystarczały na poratowanie tak osławionej i zwichrzonej sprawy. Silniejszej ręki potrzebował kraj, aby wzburzone umysły uspokoić. W odpowiedzi na propozycję rzekł też do Barzykowskiego: zdolnym się czuję dowodzić wojskiem posłusznem, choćby 100,000-em, aniżeli 1,000-em żołnierzy niekarnych. W rzeczy samej powiada Kołaczkowski, generał Prądzyński, prócz obszernej znajomości wojskowych, wrodzonego męstwa i zdrowego zapatrywania się na wypadki, nie posiadał żadnych przymiotów wodza. Pominąwszy, powierzchowność wcale nie wojskową, był on ciężki na ciele, zdrowia słabego, a przy tem wszystkiem wyobraźnią wybujałą obdarzony, która go w życiu na bezdroża wyprowadziła. Każda przeciwność razila go, łatwo poddawał się zwątpieniu, a co gorsza, nie umiał rozkazywać. Należało mu się też w wojsku drugie miejsce, ale komu pierwsze? Z boleścią wyznać muszę, powiada Kołaczkowski, że w liczbie małej powołanych, generał Skrzynecki, pomimo tylu błędów, przez swój charakter zasługiwał na nie bardziej, aniżeli Krukowiecki, a przynajmniej byłby godniejszym sposobem zamknął historię naszej rewolucyi.

Kołaczkowski opisał szczegółowo stan fortyfikacyi miasta Warszawy i wytknął przyczyny dla czego ukończenie ich uległo opóźnieniu. Nagłe pojawienie się wojsk rosyjskich nie pozwoliło na wykopanie wilczych dołów, przed całym frontem od pola. Zdążono tylko obydwa czoła bastyonu lewego opatrzyć niemi. Z tem wszystkiem Wola mogła się dzielnie bronić, byle-by tylko uzbrojona była dostatecznie i garnizonem opowiednym, a wspartą została w chwili stanowczej ruchami armii. Szaniec ten byłby zatrzymał przeciwnika przez 48 godzin i obrócił rzeczy zupełnie inaczej. Kilka dni przed bitwą grochowską, rząd, naglony przez Antoniego Ostrowskiego, rozkazał gubernatorowi miasta Warszawy przysposobić mieszkańców do dzielnej obrony niezwłocznem urządzeniem barykad i szańców wewnętrznych. Kołaczkowski w użyteczność barykad dla obrony Warszawy nie wierzył. Warszawa bowiem nie podobna w uicem Paryżowi ani Brukselli. Ulice są w niej wogólności szerokie, złożone z domów po większej części niskich. Większość domów jest drewnia-

nych, pokrytych gontami a nawet słomą; nic zatem łatwiejszego, jak zapalić granatami lub racami kongrewskimi zbiór takich domów. Wiadoma zaś z doświadczenia gwałtowność takich pożarów, zwłaszcza podniecanych pociskami palnemi. Kołaczkowski też, na którego zdano obronę Warszawy, nie robił sobie żadnych iluzji co do skuteczności barykad, których się domagano od niego, i wołał wszelkie środki obrócić na fortyfikacje zewnętrzne. Lecz gdy pomiarkował, że rzecz ta nabieraznaczena sprawy publicznej i zajmuje izby sejmowe, rząd i ludność, musiał poświęcić własne przekonanie i rozkaz wydał majorowi Wilsonowi, aby mu stosowny projekt przedstawił. Wilson obmyślił odpowiedniej konstrukcyi skrzynie dla urządzenia barykad, ale nie zrobił wprzód żadnego doświadczenia, czy wytrzymają własne wystrzały. Później się okazało, że wystrzały w kilku razach rozsadały strzelnicę z owych skrzyń skonstruowaną.

Co się tyczy garnizonów, te złożono z rozmaitych zakładów piechoty, obozujących w barakach pod Powązkami, z resztek korpusu Dembińskiego i z kilku trzecich batalionów, należących do młodych pułków. Oddziały te wszystkie składały się z żołnierzy źle wyćwiczonych i nienajlepiej uzbrojonych. Taka zbieranina nagle postawiona przeciw dwustu dział nieprzyjacielskich, nie oswojona z ogniem, miała bronić szzańców! Dział w okopach obsługiwał batalion rezerwowym artylerji, nieźle wyćwiczony i dowodzony przez młodych i pełnych najlepszych chęci oficerów. Armia nasza, pisze Kołaczkowski, była jeszcze dość liczna, jazda dość dobrze montowana, artylerja dobrze zaprzężona, lecz duch tej armii już nie był ten sam, co pod Grochowem, albo gdy szła na gwardyę. Po tylu niepowodzeniach, nie dziw, że znacznie podupadł. Przyczyniły się do tego najbardziej Bolimowskie kółka, nieprzyzwoite wystąpienie delegacyi sejmowej wobec Skrzyneckiego, zmiany częste wódzów naczelnych, a nade wszystko poduszczanie klubów i sceny krwawe brukowe z dnia 15-go sierpnia.

O Krukowieckim pisze Kołaczkowski, że oddawna znany był w armii z burzliwego charakteru. Intrygant, oszczerca cudzej sławy, pogardliwy dla podwładnych, niezdolny w stosunkach z kolegami, częste miewał zajścia z oficerami, a wskutku tego częste pojedynki. Kilku z jego ręki zginęło, strzelał bowiem doskonale. W Modlinie natrafił jednak na swego mistrza, szefa batalionu z pułku piechoty, Daine'a, który, wyzwany przez Krukowieckiego, postrzelił go niebezpiecznie w brzuch, z której to rany długo się nie mógł wyleczyć. W kampanii 1812 r. w wigilię bitwy pod Smoleńskiem, Krukowiecki już dał smutny przykład niesubordynacyi. W r. 1812, służąc pod Dą-

browskim, dawał Krukowiecki dowódcy swemu częstą sposobność do uskarżania się na jego niesforność, burzliwość i niesubordynację. Pod Lipskiem opuścił Krukowiecki z brygadą swoją Dąbrowskiego i przybył na prawe skrzydło, aby się księciu Józefowi zameldować. Nie czas go było odsyłać wśród wrzącej bitwy, owszem mile przyjęty przez księcia Józefa, który znał Krukowieckiego z austriackiej służby i żył w niezgodzie z Dąbrowskim, zajął miejsce w liniach bojowych naszej jazdy i resztę dnia razem z nią walczył. Po bitwie lipskiej odmówił Krukowiecki posłuszeństwa Sokolnickiemu, mówiąc: dosyć tych bojów, wszystko od dawna stracone i trzeba nam myśleć o zachowaniu tych szczątków walecznego wojska. Pod żelazną ręką w. ks. Konstantego nagiąć się umiał, ale w czasie pierwszej dyktatury Chłopickiego zaraz odezwały się w nim dawne jego narowy. Wkrótce też starli się ci dwaj namiętni ludzie. Chłopicki w gniewie na Krukowieckiego, paraliżem rażony, ledwie odzyskał zdrowie, stąd oburzenie wielkie w wojsku i w ludzie warszawskim przeciwko Krukowieckiemu. Gdy Chłopicki po złożeniu dyktatury, po raz drugi, wyszedł śmiało na ulicę, Krukowiecki zapaleńców podburzał przeciw niemu i twierdził, że trzeba Chłopickiego aresztować. Powołany na pole bitwy grochowskie, Krukowiecki, nie uznał Chłopickiego, a Radziwiłłowi oświadczył, że z miejsca ruszyć się nie może, ponieważ ma pewną wiadomość, że nieprzyjaciół pokazuje się od Jabłonny. Dywizja Krukowieckiego nie brała też żadnego udziału w grochowskiej bitwie, a jeżeli ta niepomyślnie wypadła dla polskiego wojska, Krukowieckiemu stąd największa należy się wina.

Z drugiej strony przyznać trzeba, że na stanowisku gubernatora miasta Warszawy rozwinął Krukowiecki dużą czynność i energię swego charakteru. Zamiast anarchii panującej w mieście jakby czarodziejską różdżką nastąpił porządek wzorowy. Umilkł zgiełk na ulicach, Honoratka odroczyła swoje schadzki, dziennikarze zaczęli się w swoich pismach miarkować, kluby zaprzestały swoich namiętnych pogroźek. W krótko zniknęła z bruku warszawskiego cała zgraja oficerów bez służby, gości kawiarni i miejsc publicznych. Krukowiecki ich wszystkich wypłoszył do pułków. Zakłady pod jego okiem widocznie rosły. Codzień oddziały dobrze umundurowane i uzbrojone, po odbytej inspekcji przez gubernatora, wychodziły do swoich korpusów. Nic nie uszło baczności Krukowieckiego: szpitale, magazyny żywności, okopy, policja, dzienniki, tajne schadzki, przedmiotem były jego uwagi. Żelazny ten człowiek nie spał, ani we dnie, ani w nocy, wszędzie był, wszędzie zarządzał, wszystko słyszał, wszystko widział. Ta część życia Krukowieckiego niezawodnie jest najpię-

kniejszą; czemuż tak wielkie przysługi, oddane wojsku i stolicy, przysługi później niepochamowana ambicja, zazdrość i inne niegodziwe namiętności.

Dnia 16 sierpnia Barzykowski, Morawski i Olizar, powtórnie wyjechali do głównej kwatery do Ołtarzewa i na nowo Prądyński starali się skłonić do przyjęcia naczelnego dowództwa. Prądyński przyjął warunkowo, jeżeli się Krukowiecki na to zgodzi. Krukowiecki, pragnący zostać wyłącznie gubernatorem, przyrzekł poparcie Prądyńskiemu i w ten sposób kwestya zdawała się być załatwioną. Tymczasem nazajutrz, gdy Prądyński udał się do Dembińskiego, aby odebrać od niego komendę, usłyszał w wyniosłym tonie z jego ust, iż czuje w sobie siłę i ma środki po temu, ażeby przeprowadzić swoje zamiary i że dobro publiczne wystawił-by na niebezpieczeństwo, gdyby drugiemu miał odstępować komendę. Krukowiecki, obecny przy tej rozmowie, zaczął dawać wymijające odpowiedzi, tak, że Prądyńskiemu wypadało ustąpić, jeżeli nie chciał powiększyć anarchii i dawać powodu do wojny domowej. Nareszcie dnia 19 sierpnia Krukowiecki, jako prezes rządu, zamianował Małachowskiego naczelnym wodzem.

Małachowski odbył kampanię w 1792 i 94 roku i należał do najlepszych oficerów artylerji. Z Jabłonowskim wysłany został na St. Domingo i szczęśliwie nie uległ żółtej febrze. Roku 1806 razem z Dąbrowskim stanął na ziemi ojczystej i bił się pod Eylau i pod Friedlandem. Kampanię 1809 roku odbył pod ks. Poniatowskim, a 1812 r. pod Dąbrowskim. Pułk jego pierwszy piechoty odznaczał się w całej armii doborem ludzi, porządkiem i wymustrowaniem. W bitwie Borysowskiej 1812 roku, pułk ten, walcząc z przemagającą siłą, pomimo usiłowań dowódcy, bolesne poniósł straty. Dostały się w ręce nieprzyjaciela orzeł pułkowy, dwa działa i kilkaset niewolnika. Widziałem, pisze Kołaczkowski, szczątki pułku z Małachowskim na czele, w czasie bitwy Berezyńskiej, potykające się z równem męstwem i wytrwałością, jak w najświetniejszych czasach. Małachowski w bitwie pod Ostrołęką dowodził dywizją wyborową piechoty i tu, jak wszędzie, odznaczał się osobistą odwagą i nadzwyczajną zimną krwią. Przyjaciel i ojciec żołnierza, podzielał wszystkie jego trudy, pieszko na czele kolumny wszystkie odbywał marsze, wchodził w potrzeby, zajmował się wszystkimi szczegółami z wytrwałością i sumiennością, godną największego uwielbienia. Lecz wiek podeszły (miał 70 lat), przytępił władze umysłowe, wielkie ruchy wojska przechodziły sferę jego wyobraźni. Przywykły całe życie do ślepego posłuszeństwa, nie posiadał Małachowski żadnych przymiotów dowódcy wielkiej armii. Z nie-

szczęśliwego tego wyboru wiele złego wypłynęło później w czasie obrony Warszawy.

Wyprawę Ramoryny opisał Kołaczkowski podług memoryału Prądzyńskiego, ale w obronie Warszawy asystował osobiście, uwagi więc jego posiadają znaczną wartość. Z zachowania się żołnierza polskiego w owym dwudniowym boju nie zawsze Kołaczkowski jest zadowolony. Co się zaś tyczy naczelnej komendy, to konstatuje jej brak zupełny, gdyż obecność Małachowskiego lub Krukowieckiego przysparzała jedynie odmetu i powikłania. Zdziałania pojedynczych generałów Kołaczkowski również nie jest zadowolony. Umiński dał się wyprowadzić w pole fałszywym atakiem, a Bem spóźnił się z rezerwą artylerji, czem ułatwił zdobycie pierwszej linii fortyfikacyjnej, a w szczególności Woli. Po opuszczeniu Warszawy Małachowski podał się do dymisji, a prezes rządu zwołał wszystkich dowódców w celu przedsięwzięcia nowego wyboru. Wybrano Umińskiego. Piechota była bardzo źle dla niego usposobiona. W rzeczy samej Umiński często znieważał oficerów za uchybienia w służbie. Nawet komendantów pułków i dywizji potrafił przycinkami nieprzyzwoitemi narazić sobie. W obozie jego wieszano z bezprzykładną lekomyślnością. Przemilczano-by może nawet podobne akta surowości przesadzonej, gdyby za nim przemawiały inne zdolności, a nade wszystko nmysł przedsiębiorczy. Lecz i tej reputacji nie miał już Umiński w wojsku, od czasu, jak odmówił komendy na Litwę. W innych potrzebach dostrzeżono, że ochrania się w ogniu. To wszystko, połączone z reputacją namiętnego gracza i niesłychanie gwałtownego człowieka, odwróciło od niego tych wszystkich, którzy gwałtownymi środkami nie spodziewali się uratować zachwianej tyłu błędami sprawy.

Dwóch innych współzawodników weszło w szranki z Umińskim, a byli to generałowie Rybiński i Bem. Pierwszy posiadał w wysokim stopniu szacunek i przychyłność armii, a osobliwie piechoty, w której dotąd chwalebnie służył. Postępowanie Rybińskiego w czasie całej wojny wolne było od wszelkiej osobistej ambicji. Służył pod rozkazami generała Chrzanowskiego, chociaż odeń młodszego, nie okazując żadnego z tego powodu nieukontentowania. Lubo nie miał okazji rozwinąć dotąd wielkich talentów wojskowych, jednakowoż pod rozkazami innych generałów okazał wiele zimnej krwi i rozwagi w prowadzeniu swojej dywizji. Co się tyczy Bema, ten niewątpliwie należał do najzdolniejszych i najodważniejszych oficerów artylerji. Energią swoją i śmiałością pomysłów byłby może podparł upadającą sprawę, gdyby wrodzona popędliwość i brak doświadczenia nie stały

na przeszkodzie. Te dwie wady byłyby go niezawodnie porwały do działań nieobrachowanych i przechodzących nasze siły. Bem był raczej paladynem czasów rycerskich, aniżeli generałem nowoczesnym i niejedną byłby przegrał bitwę, zanim-by się dowodzić nauczył. Na krótki czas też wybrany został na naczelnego dowódcę generał Rybiński.

Pamiętniki generała Kołaczkowskiego posiadają dla historyi wojny z 1831 roku pierwszorzędne znaczenie. Wytrawny sąd, wykształcony umysł, wysokie poczucie obowiązku, prawe serce, nie dające się wywieść na manowce osobistemi ambicjami, wszystko to przyczyniło się do podniesienia wartości pamiętników Kołaczkowskiego. Z tem wszystkiem w owych wspomnieniach widać, że autor pisał je pod świeżem wrażeniem chwili i że doznane klęski i rozczarowania wpływały na spokój i przedmiotowość zdania niejednokrotnie. Zwłaszcza w ocenianiu generałów wojsk polskich spotykamy u Kołaczkowskiego pewną zmienność opinii i cierpką niedyskretność w opowiadaniach o ich życiu prywatnem. O Dembińskim i Bemie wydał wprawdzie Kołaczkowski sąd, który się po roku 1848 zupełnie sprawdził i powtórzony został niemal dosłownie w dziele Rüstowa o węgierskiej kampanii. Odsądzenie jednak od buławy Prądyńskiego, a uznanie Skrzyneckiego i Krukowieckiego za najodpowiedniejszych do powyższego stanowiska, wydaje się nieprawdopodobnem i wprost sprzecznem z tem, co autor wyraził na innych miejscach. Charakterystyka Prądyńskiego tylko też pozornie za trafną uważana być może, albowiem pozostawia na uboczu faktu bezsporne z kampanii 1831 r. Prądyński pod Iganiami dowiódł, że nie tylko strategikiem, ale i wybornym wodzem, umiejącym rozkazywać, być potrafił. Dla czego Kołaczkowski, zapominając o Iganiach, o planie wyprawy na prawy brzeg Wisły, o tylu zbawiennych radach, któremi gardził stale Skrzynecki, uznał tego ostatniego za zdolnego do buławy, tego pojąć istotnie nie łatwo. Dla czego jednak Krukowiecki, którego zawód był jedną niesubordynacją, miał być pożyteczniejszym od Prądyńskiego, tego już wprost pojąć niepodobna. — W ostatnim tomie pamiętników spotykamy bogactwo szczegółów, odnoszących się do ufortyfikowania Warszawy i do postępu uzbrojeń w całym kraju. Obliczenia sił obu stron wojujących w przeddzień szturmowania Warszawy są również bardzo staranne. Jednem słowem, pamiętnik Kołaczkowskiego od pierwszej do ostatniej księgi jest bardzo ciekawym i pouczającym.

A. R.

Julian Adolf Święcicki: „Historya literatury powszechnej”. Warszawa, bez daty wydania (tomy I — IV).

Historya literatury powszechnej długo, jak wreszcie wszystko u nas, kazała na się czekać. Pojawiały się podręczniki tłómaczone, ale po książce Szujskiego „o literaturach narodów niechrześcijańskich”, o dziele, samoistnie opracowanym, nie było słyhać aż do pojawienia się znanej edycji Lewentalowskiej („Biblioteka najcenniejszych utworów”), która, rozpoczęta przed dwudziestu latami, przerwała się przed ukończeniem, lubo tam działały siły zbiorowe.

Teraz dzieło podobne podjął jeden człowiek i wykonywa je, jak na nasze stosunki i nałogi, z pośpiechem zadziwiającym. W ciągu roku ukazały się cztery tomy, każdy przeszło o czterystu stronicach, opracowane według jednakowego planu i proporcji, co dowodzi, że nie jest to robota dorywcza, z dnia na dzień, ale praca, wcześniej obmyślana i przygotowywana dojrzałe. Tomy te zawierają dzieje sześciu literatur: babilońsko-asyryjskiej, egipskiej, chińskiej, japońskiej, arabskiej, indyjskiej. Jak widzimy, autor rozpoczął od Wschodu, czyli od kolebki cywilizacji ludzkiej, zatem i literatury. Ale i Wschód jeszcze nie wyczerpany: pozostaje literatura hebrajska, perska, i o fenickiej wypadnie coś pomówić. Jeżeli więc skala taką samą pozostanie, jak dotąd, ileż to jeszcze tomów ma autor przed sobą, ażeby uzupełnić to, co zapowiada tytuł: *historya literatury p o w s z e c h n e j*? Pytanie to nasuwa się każdemu, kto choć pobieżnie przypatrzy się dziełu. Zaprawdę, na jednego człowieka zadanie to nielada: zazdrościć można autorowi sił, odwagi i przedsiębiorczości.

Albowiem nie jest to dzieło, które można pisać wprost z głowy, jak system filozoficzny lub powieść psychologiczną. Historya: a więc opisywać potrzeba fakta, a chcąc opisywać, należy je dobrze poznać, poznawszy, uporządkować według pewnego systematu. To też samo poznanie faktów, z którymi autor uparać się musiał, nim wziął pióro do ręki, mogło mu całe życie wyczerpać, jeśli mamy sądzić według zamieszczonego przezeń rejestru źródeł, stanowiącego poważny odłam bibliografii przedmiotu w różnych językach. W każdym razie, to wymienienie źródeł stanowi miarę odpowiedzialności autora za wartość pracy wobec czytelników: to, jakby ktoś, stawiający swą kandydaturę na nauczyciela, wskazywał: patrzcie, jaką ja odbywałem szkołę. A teraz zachodzi drugie pytanie, na które odpowiedź już

do nas należy, — jak on z tej szkoły skorzystał: jego dzieło, to egzamin.

Tylko któż tu może przyjąć sprawę egzaminatora? Krytyk, ażeby odpowiedział godnie powołaniu, powinien wykazać się z wiedzy, przynajmniej równej krytykowanemu. Może są u nas tacy w przedmiocie dziejów literatury powszechnej, a jak tu, wyłącznie wschodniej, ale ja, co do tej zwłaszcza literatury, kompetencyi nie posiadam, znając przedmiot tylko z drugiej ręki; dlatego poprzestać muszę na stanowisku obserwatora i sprawozdawcy.

Historya p. Święcickiego, jak z góry tytuł uprzedza, opracowaną jest oryginalnie. To pewna: lecz oryginalność tę rozumieć można w znaczeniu ściślejszem, albo mniej ściśle. Autorzy do dzieła, w donioślejszem zwłaszcza znaczeniu, zwykli dodawać wstęp, w którym zaznaczają swoje osobiste stanowisko tak względem przedmiotu, jak i co do prac swoich w tym przedmiocie poprzedników, oraz stosunku swego do źródeł. P. Święcicki tego nie uczynił; bez żadnego omówienia miejsca swego wśród rzeszy piszących przystąpił do samej rzeczy odrazu, i tym sposobem stanowisko swe zupełnie przed oczyma widzów zasłonił, do domysłu im pozostawiając. Ponieważ zaś przegląd poszczególnych literatur odbywa się u niego monograficznie, przeto należało-by jego każdą monografię porównać ze wszystkimi w tymże przedmiocie poprzedniami, ażeby należycie ocenić, w czym i jak daleko zachodzi jego oryginalność. Gdyby autor zapowiedział we wstępie, że monografię każdą opiera wprost na tekstach, choćby tłómaczonych dosłownie, a jeszcze lepiej, na pierwowzorach, i sam wyszukiwał dla nich tła dziejowego, bez względu na źródła pierwszorzeczne, była-by to oryginalność w znaczeniu najściślejszem; ale ponieważ tego nie uczynił, przeto stosunek jego pracy do rzeczy samej i do źródeł pozostaje dla nas tajemnicą dopóty, dopóki dzieła jego nie porównamy ze źródłami, co względem każdej monografii wymagałoby kilku przynajmniej miesięcy pracy.

Było-by nam zapewne bardzo przyjemnie, gdyby ktoś, badający literaturę Wschodu, zwłaszcza starożytnego, znalazł w dziele naszego autora jakąś nowość, jakieś sprostowanie, lub pogłębienie sądu, nowe oświecenie przedmiotu, albo, co większa, samoistne odkrycie nieznanego faktu. Może tam i znajdują się rysy podobne, ale nasza wina, że nie wiemy, a z żadnej wskazówki autora domyślać się nie możemy, czy ktoś, czytający podobnej treści dzieła w językach innych, ma powód zajrzenia i do książek p. Święcickiego, ażeby znaleźć jakiś przyczynek do znajomości przedmiotu, której już nabył skąd-

inąd, tak jak na przykład Anglik, pomimo wszystkiego, co mógł czytać w języku własnym o literaturze swego kraju, jeszcze i może więcej dowiaduje się o niej z historii literatury angielskiej Taine'a, albo analogicznie Francuz z Brandesa. Nasza wina—powiadamy—bo naszym było-by obowiązkiem tę rzecz sprawdzić, zaraz, na tem właśnie miejscu; a nie czyniąc tego, pozostawiamy rzecz w zawieszeniu. Niechaj uczyni to, co do literatury asyryjsko-babilońskiej Radliński, co do indyjskiej Krasnosielski, co do innych nie wiem kto: my podjęliśmy się rzeczy nierównie skromniejszej.

O czem jednak możemy mówić śmieiej, to o samej metodzie pracy. Jest ona czysto monograficzną, czyli, literatura każdego narodu ma swój osobny dział, swoją—że się tak wyrażę—osobną szufladkę, w której spoczywa, nie troszcząc się o inną. Wygodna to wprawdzie metoda, ale, ze względu na bieg powszechnej myśli ludzkiej, przeważnie w dziejach literatury reprezentowanej, czy dostateczna? Gdyby ktoś, układający kurs politycznej historii powszechnej, trzymał się takiej zasady, wyczerpując dzieje państw w osobnych monografiach, czy stworzył-by syntetyczny obraz dziejów ludzkości? Zapewne, że nie. Jeżeli więc innej drogi do tego celu szukamy przy kreśleniu historii politycznej, to czyż podobny postulat nie stosuje się równem prawem i do historii umysłowości, czyli tak zwanej historii literatury powszechnej, to jest całkowitego obrazu rozwijającej się myśli wszechludzkiej, o ile pomniki dostarczą właściwych barw? Każda dobra monografia dla historyka jest nieocenioną, bo mu dostarcza gotowych szczegółów, które on spożytkowywa dla historii ogólnej. Każda wreszcie monografia jest zbiorem innych monografii, drugiego, trzeciego i czwartego stopnia, stanowiących materiał dla historii właściwej; ale ta, jako obraz artystyczny, z mechanicznego ich zestawienia składać się nie może. Wprawdzie, z samej natury przedmiotu niemożliwą jest rzeczą, ażeby obraz ten posiadał wszystkie przymioty malarskie i zarazem rzeźbiarskie, ale autor-artysta, poza badaczem, dąży przynajmniej do nadania tych dziełu swemu przymiotów, ma je w zasadzie, w myśli, w kierunku.

Jeżeli zatrzymujemy się nad pracą umysłową jakiejś gromady ludzkiej, umieszczonej na pewnej przestrzeni ziemi, w pewnej epoce czasu, to przecież możemy sobie wyobrazić, że w tymże samym czasie, na innej przestrzeni, odbywa się coś podobnego. Jakież to ciekawy i zajmujący był-by dla nas widok, gdybyśmy, wyniesieni na dostateczny nadzior, te, na różnych przestrzeniach odbywane czynności, mogli ogarniać jednym rzutem oka, jednocześnie, à-vol-d'oiseau, tak, jak stanąwszy na górze, obejmujemy jednocześnie wzrokiem łąki i la-

sy, wąwozy i strumyki, stada i siedziby ludzkie, rozmaitość w jedności.

Takiego widoku, w przybliżeniu, dostarcza nam historyk-artysta, rozumie się, w granicach, sztuce jego dozwolonych. Nie możemy, oczywiście, wymagać od niego, ażeby nas po polach swoich dziejów oprowadzał synchronistycznie z dnia na dzień, ani z roku na rok, ani co lat dziesięć; ani on nie ma sposobu przemawiać do nas jednocześnie dziesięciu fonografami; ale czyni, co może. Dzieli swe opowiadanie na pewne racjonalne okresy, i w tych okresach wyczerpuje wszystko, co się współcześnie w jego przedmiocie dzieje. Otóż, w ten sposób daje on nam wrażenie moralne i estetyczne, zbliżone do wrażenia z panoramycznego widoku z góry; intelektualny zaś pożytek wzmacnia się czynnikiem niezmiernie ważnym: traktowanie takie udziela nam miary porównawczej, różnice i podobieństwa między szczegółami, występującymi jednocześnie, spostrzegamy jak na dłoni, wyprawdzamy stąd wnioski, służące do sprawiedliwszego ocenienia wartości objawów umysłowych, stosownie do ich pierwszeństwa i siły zarodczej (*idée - mère*).

Jedno małe objaśnienie. Autor w rozdziale 9 i 10-tym tomu IV, kreśli — daj mu, Boże, zdrowie — wybornie, chociaż nader treściwie, systematy filozoficzne Indyi wschodnich, i między innemi charakteryzuje księgę „*Nyaya*“, przypisywaną indyjskiemu autorowi, Gotamie. Nie wspomina wszakże, iż księga ta wywołała w Rzeczypospolitej uczonych europejskich awanturę, która omal nie zde tronizowała Arystotelesa. Po odkryciu, opublikowaną ona została w roku 1828, a wtedy uczony angielski, William Jones, takie upatryzył w niej podobieństwo do arystotelesowego „*Organonu*“, że go podał wprost za plagiat „*Nyayi*“, tem więcej, iż księga ta zdaje się wyprzedzać co do czasu wiekopomne dzieło mistrza ze Stagiry. Szło o rzecz niemałej wagi, bo o pierwszeństwo w odkryciu syllogizmu, czyli o całą metodę rozumowania dedukcyjnego. Polemikę przeciął dopiero Barthélemy de Saint-Hilaire, który w tomie III-cim „*Mém. de l'Acad. des sciences mor. et polit.*“, wykazał jak na dłoni zupełną niezależność jednej księgi od drugiej. Ale czegoż to dowodzi? Oto, że, mimo odległości nie do przebycia, ludzkość u stóp Himalaj, zarówno jak na stokach Pindu, prawie równocześnie, lub nierównocześnie, wskutek snadź jednakich pobudek ducha, drogą poprzednich prac umysłowych przyszła do potrzeby objawienia: w jaki sposób myśl nasza rozumuje prawidłowo, ażeby otrzymać jakiś niezbity, w tym, lub owym kierunku, wynik z prawd, poprzednio poznanych. I jakież to piękne zadanie historyka, nie traktować tych objawień oddzielnie, w szeregu innych

faktów, zaćmiewających możność porównania, ale zestawiać je po-
spólnie. na różnych punktach ziemi, ażeby ten ruch umysłowy, ta ro-
bota cyklopów w kuźni duchowej, ukazywała się nam możliwie jed-
nocześnie.

Jest to sposób traktowania historyczny, wymagający odmiennej
metody, planu i właściwego artyzmu, a mający i tę dogodność, że
ułatwia doraźne ocenienie, o ile i jaki uznać możemy wpływ intelek-
tualny jednej społeczności na drugą. Ale można też z pożytkiem ob-
rabiać rzecz monograficznie, według pojedynczych narodów, nieza-
leżnie od współczesności objawów gdzieindziej, tak, jak to właśnie
czyni p. Święcicki, skąd każda jego książka stanowi całość, zamknię-
tą w sobie, i może być czytana niezależnie sama dla siebie. Dla tego
też pracę jego nazwali-byśmy nie historią powszechną, ale szeregiem
historycznych monografii, których opracowanie odbywa się, dotąd
przynajmniej, według jednolitego planu, stanowiącego, już bez wzglę-
du na źródła, osobistą własność autora. Ponieważ plan ten jest, jak
powiadamy, jednolitym, nie mamy powodu poszukiwać go w każdej
osobno książce, ale dość będzie wskazać go w jednej, ażeby dać czy-
telnikowi o nim przybliżone wyobrażenie.

Bierzemy zatem jedną z najciekawszych, historię literatury
babilońsko-asyryjskiej, ciekawą mianowicie dla tego, że literatura ta,
będąc jedną z najstarszych w porządku czasu, jest zarazem najmłod-
szą w porządku obrobienia, najmniej znaną wpośród mas, specjalnie
niewtajemniczonych. Każdy pilniejszy gimnazista zda nam do pew-
nego stopnia sprawę z dziejów literatury greckiej i rzymskiej, nie
mówiąc o nowoczesnych; ale literatura egipska, chińska, a tembar-
dziej asyryjsko - babilońska, to sfinks nawet dla wielu posiadających
stopnie naukowe; cóż dopiero mówić o ogóle, dla którego praca p.
Święcickiego jest przeznaczoną.

I nic dziwnego. Dopieroż w połowie tylko co upłynionego wie-
ku, i to dzięki wykopaliskom, czynionym przez zagorzałych archeo-
logów w Azji Środkowej, zdołano przystąpić do rozpoznawania ję-
zyka narodów, składających ludność monarchii asyryjsko-babiloń-
skiej. Autor w wykładzie swym idzie krok w krok za postępem od-
kryć w tym kierunku, poczynawszy jeszcze od XVII wieku, ukazując
nam zadziwiającą wytrwałość podróżników, benedyktyński móżoł
filologów, uwieńczony nareszcie najpomysłniejszym skutkiem, bo oto
ta masa znaczków na cegielkach i kamieniach, na pierwszy rzut oka
przedstawiająca powierzchnię przypadkowo i bezmyślnie upstrzoną
kreskami klinowatemi, zaczęła nabierać życia, myśli, poszeptywać,

i ostatecznie, na zakłęcie gieniuszów, powstała żywa i jasna, jak człowiek, zbudzony z wiekowego letargu. Uczeni, drogą cierpliwych a przeczornych indukcji, doszli do odcyfrowania znaczków, które, dzięki trafnym kombinacyom, okazały się alfabetem, zastosowanym do trzech języków, wśród których znajdował się i asyryjski. Od alfabetu do gramatyki krok tylko: i otóż tryumf nauki, która rozdarła nieprzebitą zasłonę dwudziestu kilku wieków i z głębin ziemi wykradła jej tajemnice, dotyczące ogromnego odłamu ludzkości. Kto-by to przed pół wiekiem jeszcze pomyślał, że będzie mógł się porozumiewać z przeszłością w języku Assurbannipala, którego nawet imię doszło do nas przekręcone (Sardanapal).

Kiedy czytamy o tych cudach nauki, choćby w streszczeniu p. Święcickiego, jakież przykre zdejmuję nas uczucie, że pośród bohaterów takiej wyprawy w krainę nieznanego, nie spotykamy nikogo z nas. Tembardziej niema nadziei nadal. Teraz zwłaszcza tak się obawiamy, tak nas wreszcie przestrzegają nasi własni mentorowie z prasy, ażeby młodzieniec nasz nie nauczył się, broń Boże, czego po łacinie i po grecku, że niema podobieństwa, ażebyśmy kiedykolwiek wzięli udział w sławie nowych odkryć.

Dziwimy się też, że p. Święcicki o tych wszystkich odkryciach materiału historycznego i językowego, jak tu, tak i przy literaturze egipskiej, rozprawia szeroko i z jakimś utajonym zapalem, jakby chciał kogoś zadziwić, zachęcić. Patrz! — zdaje się mówić — umarło, a ożyło: cześć wskrzesicielom! Bo nie dosyć, że nas wprowadza w samo ognisko tej wskrzeszającej roboty, ale, wypowiedziawszy jej dzieje, podaje zarazem *in extenso* główne jej rezultaty: aflabet klinowy oraz zasady gramatyki asyryjskiej, i to samo czeka nas przy innych literaturach starego Wschodu. To już zbytek ofiarności. Ktoś mógłby odezwać się: Miałeś mówić o literaturze, to mów o literaturze; pocóż ty się jeszcze wdajesz w lingwistykę? Mógł-by ktoś tak powiedzieć, tylko nie ja. I rozumiem myśl p. Święcickiego. Chodzi mu zapewne nietylko o całokształt umysłu rasy, do którego, jako czynnik, wchodzi i natura mowy, ale i o ułatwienie oświaty. Myśmy się dotąd nie zdobyli na gramatykę porównawczą, a lubo prof. Adam Kryński — za co niech mu będą serdeczne dzięki — opisuje wszystkie języki i narzecza w „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej“, idzie to jednak powoli i długo zapewne jeszcze będziemy czekać, nim się z tego zródlą dowiemy czegoś na przykład o języku Zend. P. Święcicki zatem, bez względu na plan konstrukcyjny, przysługę wyświadcza, dając nam poznać, obok literatury, zarazem języka jej naturę, zwłaszcza jeśli to jest język, którego nie można nauczyć się w szkołach.

Tembardziej, iż język służy za wskazówkę rasy: skoro zatem odkryte skarby graficzne okazały w następstwie, że język asyryjski należy do rodziny semickiej, toć i słuszną przypuszczać, iż Asyryjczycy należeli do tej samej rasy, co Żydzi, Arabowie i Fenicyanie, razem z całą gromadą drobniejszych grup, często wspominanych w Biblii.

Lecz drugim, niezmiernie ważnym czynnikiem w literaturze, zwłaszcza w literaturach starożytnych, jest religia narodu: ona-to służy za natchnienie, za przewodnictwo, za zarzewie pomysłów literackich, według niej poeci i myśliciele układają i rozwiązują kwestye społeczne, moralne, sytuacyjne. W Grecyi naprzykład, mit jest jądrem całego życia wewnętrznego narodu, ogniem, wygrzewającym i oświecającym każdą kompozycyę literacką, do najpóźniejszych czasów, od hymnu do komedyi. A czemu są dawne księgi innych narodów: Biblia, Wedy, Zendawesta, ba, nawet Edda i Nibelungi, jeśli nie poematami całkowicie lub na poły religijnymi, które świadczą, jak dalece ogół społeczny czuje, myśli i rozumuje kategorjami swej religii. Religia i w wiekach średnich stanowi jeszcze główny podkład zajęć piśmienniczych i kompozycji literackich wśród nowej formacji świata umysłowego, dowodem Dante; nie zrywa z nią i Odrodzenie, jak widzimy z Tassa, a w części i Camoensa; i dopiero, rzec można, od czasów Reformacyi literatura, ostatni, wielki hołd złożony żywiłowi religijnemu w „Raju utraconym” Milтона, zaczyna się powoli sekularyzować, kończąc na buncie, ateizmie. O tym zapładniającym wpływie pierwiastku religijnego w literaturach starożytnych wie dobrze p. Świecicki, i dla tego daje wyczerpujący wykład religii narodu, a gdzie dopiszą zabytki, to i rys obyczajów i zwyczajów, ażeby czytelnika oswoić z pojęciami i obrazami, jakie go czekają przy wykładzie literatury właściwej. W pomoc przychodzi tu i historia polityczna kraju i jego topografia, słowem, wszystkie okoliczności, jakie warunkami etnologicznymi determinować mogą objawy twórczości i wogóle ruchu umysłowego. Jest to zasada, ogólnie przez autora przyjęta we wszystkich jego sześciu dotychczasowych monografiach, stosownie do okoliczności mniej, albo więcej stosowana, i prawdopodobnie przestrzegana będzie nadal.

Z samą literaturą właściwą, odnoszącą się do Asyryi i Babilonii, krótko sprawić się można, gdyż, pomimo długiego trwania monarchii, zabytków piśmiennych ziemia oddała niewiele, a o jakiejś klasyfikacyi literackiej nie może być i mowy. Poematów właściwych jest tylko dwa, i to nie w całości: jeden opiewający stworzenie świata, drugi zajmujący się potopem powszechnym. Otóż i sposobność do po-

równania z podobną treścią w „Gienezie“ biblijnej. Dzięki sporym wyjątkom, jakie autor podaje w tłumaczeniu polskiem, czytelnik może i sam uczynić to porównanie, a zwłaszcza ocenić różnicę charakteru i wartości poetycznej obu produkcji, z których jedna powstaje pod wpływem politeizmu, druga monoteizmu.

Oprócz dwóch tych eposów, poprzedzonych przykładami z poezji bezpośrednio religijnej plemion, podciągniętych pod monarchię asyryjsko-babilońską, zostają tylko napisy, tudzież urywki dokumentów, dotyczących stosunków prawno - społecznych. Nie wchodzi to w ramy literatury, w znaczeniu swoistem, ale jakżeż te wszystkie szczegóły otwierają nam oczy na ten świat zamierzchły, znany nam przedtem zaledwie z zewnętrznego profilu, na jego prawdziwą historię, psychologię, obyczaje: z takich-to dopiero szczegółów, w miarę większego ich nagromadzenia, można odbudowywać wewnętrzne dzieje narodu, który sam za siebie mówić już nie może, tak jak na podstawie pozostałych fundamentów, kilku złamanych kolumn, wytrąconych gżemsów, odbudowywamy całość rozwalonych dzieł architektonicznych; z takich szczegółów możemy układać poematy danej epoki, nie konwencyonalne, ale typowe, tak co do zasadniczego charakteru ludzi, jako i barwy życiowej.

Ileż to bowiem, poddane właściwej analizie, mogą powiedzieć, wyrwane z piewszej lepszej tablicy, takie naprzykład ustępy: „Gdy żona niewierna powie mężowi: nie jesteś małżonkiem moim, — będzie wrzuconą do rzeki. Gdy mąż rzeknie do żony: nie jesteś żoną moją, — zapłaci pół maneh srebra“. Z jednej strony topiel, jako kara, z drugiej grzywny tylko. Albo, co niemal jeszcze charakterystyczniejsze: „Gdy pan zabija niewolnika, kraje go na kawałki, krzywdzi jego dzieci, wypędza z kraju, lub kaleczy, tego ręka powinna codziennie, aż do wynagrodzenia krzywdy, dawać po pół miary zboża (komu?)“. Była więc opieka prawna nad niewolnikami w kodeksie kryminalnym na jakie piętnaście wieków przed Chrystusem w dolinie Eufratu, fakt, godny porównania ze stanem tak zwanych poddanych (blizko - znacznik niewolnika) w piętnaście wieków po Chrystusie naprzykład nad Wisłą. Inny jeszcze wyjątek, godny uwagi: „W świątyni Samara i w świątyni Sina ogłoszone zostało postanowienie: brat z bratem kochać się powinni; brat z bratem nie powinni się kłócić i spierać; gdy idzie o majątek, brat względem brata powinien być wielkoduszny, nie zaś chcieć sam wszystko zagarnąć“.

Z tych kilku okruchów, na los szczęścia wybranych, widzimy, że ciekawe są te tabliczki gliniane, w których poprzednicy nasi spo-

wiadają się ze swych usposobień i z wartości duszy ludzkiej, z form jej uzewnętrznień, dających możność określenia chyżości i miary postępu drogi, odbytej po dziś dzień w różnych kierunkach umysłowych, etycznych i politycznych. Zapuszczanie się w te odległe dzieje, zamknięte same w sobie jak popioły w urnie, zapewne, mostu nie zbuduje, chyba dla połączenia z przeszłością teraźniejszości, która także wkrótce przeszłością będzie; roli nie uprawi, nędzy nie wypleni; ale spełni tylko starą dewizę grecko-rzymską: *homo sum, et nil humani a me alienum puto*“.

W tej też tylko myśli podjął swe dzieło p. Święcicki, pracowicie zestawiając rozmaite *humana*. Wygrzebawszy, co się dało, z pomników piśmiennych na rzecz Asyro-Babilonii, nie poprzestaje on na tem, ale podaje jeszcze wielkie zabytki sztuki plastycznej, objaśniając ją obrazkami fotograficznymi; kreśli nawet kilka rysów właściwej nauki, dających niejaki wyobrażenie jej stanu. Tym sposobem monografia ta, o 195 stronicach, przedstawiająca treści pomników piśmiennych, dająca zarys religii, obyczajów, prawodawstwa cywilnego i kryminalnego, oraz nauki i sztuki, nie jest już prostą historią literatury, ale raczej szkicem cywilizacji asyro-babilońskiej. Ze względu na rozmiar, niepodobna żądać, aby to był obraz wykonczony, wyłączający niejako potrzebę obszerniejszych informacji, ale proporcye w szkicu tym są należycie utrzymane i punkty wytyczne dostatecznie uwydatnione.

Zabrakło mi tam jednego wyjaśnienia, a przynajmniej dążności ku bliższemu wyjaśnieniu. Autor, stanąwszy u początku dziejów, przychodzi już w tej Mezopotamii, czy jak tam nazwać olbrzymią krainę między Eufratem a Tygrem, do pewnych pokładów cywilizacyjnych, które w jego wykładzie mieszają się razem, tak, jak zapewne było i w życiu: Asyrya, Babilonia, Akkad, Simur, Chaldeja, zbite w czambuł tak pod względem politycznym, jako i intelektualnym. Mniejsza o politykę, z którą dzieło p. Święcickiego w luźnym zostaje związku, ale sprawa umysłowości wymagała-by ściślejszych rozróżnień nad te, które mogą zadowolić laika. W obrazie ruchu umysłowego koniecznością jest wyznaczenie, co komu z prawa się należy, tak, jak to już wskazaniem jest w inicyatorskiem dziele Rawlisgona z roku 1862 — 1867 „*The five great Monarchies...*“, które głównie zainteresowało oświeconszą publiczność do dziejów starożytności Wschodu. Jeżeli pewien odłam Semitów założył państwa ze stolicami Niniwą i Babilonem, to zastał on już w międzyrzeczu starszą cywilizację gotową Akkadów, pochodzenia turańskiego. Gdzież więc są jej idee, jej ślady kulturalne, w etyce i całej twórczości? Co wzięli od nich pod względem kulturalnym semici, co wyrobili sami, potężniejąc we-

wnątrz i zewnątrz? Rozdział ten, odmierzający każdemu jego własność, nie jest dostatecznie uwzględnionym. Albo i Chaldea? Czy to nazwa etno- czy geograficzna? Prawie upowszechnionem jest mniemanie, że Chaldea stanowiła odrębną jednostkę polityczną, na co nie ma żadnego dowodu, a samo powstanie jej, początek, okrywa mgła legiendy. Przebić tej mgły dziś jeszcze niepodobna; to tylko pewna, że kamień węgielny kolonii tej nad Tygrem położyć musieli także Semici, jak świadczy używany przez nich język aramejski, ale różni od Hebrajczyków i Asyryjczyków. Niezaprzeczenie też oni stanowili najbardziej myślącą ludność w całym państwie asyro-babilońskim, przez co tem ścisłej umysłową ich działalność wyodrębnić należy, tembardziej, iż ci czarnoksiężnicy, astrologowie i astronomowie, na czele których stoi Berozos, piszący po grecku, stanowią, ile pouczają pewne wskazówki, raczej rodzaj swoistego stowarzyszenia, niż ciało polityczne, a mieszanie nazwy ich z Babilończykami przez Biblię niczego nie dowodzi. W dalekiej i zamierchłej perspektywie brak tego *suum cuique* uchodzi niepostrzeżenie, i można bez wyróżnienia znamiennych cech podciągnąć całą produkcję pod jeden tytuł literatury asyryjsko-babilońskiej; czemuż znowu, po upływie czasów, kiedy ślady kultury dzisiejszej zagina i trzeba je będzie wydobywać z pod ziemi, nie ma kto z cząstkowo wyrywanych szczątków ułożyć kursu literatury austro-węgierskiej?

Uwaga ta dotyczy wyłącznie w pracy p. Święcickiego historii literatury asyryjsko-babilońskiej, innych monografiach ona osiągnąć nie może, ponieważ tam mamy do czynienia z państwami jednolitemi, a właściwie z narodami. Plan wykładu, powtarzający się wszędzie, uważam za doskonały, daje on nawet więcej, niż obiecuje, ważniejsze momenty rozwoju i celniejsze objawy twórczości odcina on wybornie od drugorzędnych i kładzie rękę na rzeczy najważniejsze, a słów daremnie nie traci. Wykład jest potoczysty, jakby obmyślany na zajęcia ogółu, prelekcyjny; a szczęśliwy pomysł podawania wyjątków w przekładzie już to wierszem rymowym, już białym, lub prozą, ożywia i ozdabia wykład.

Tej wielkiej pracy powinszować można autorowi. Pisarz zdolny, rzadko się dotąd odzywał, i dobrze uczynił, nie rozpraszając się na drobiazgi, ale skupiając siły na rzecz pomnikową. Czeką go teraz ciężkie przejście: literatura hebrajska. Daj mu, Boże, aby szczęśliwie przepłynął między Scyllą tradycji a Charybdą nauki, i pomyślnie rozpoczęte dzieło doprowadził do końca.

KAZIMIERZ KASZŃWSKI.

Jerzy Żuławski: „Benedykt Spinoza“. Człowiek i dzieło. Dwa tomy w ósemce, stron w obu tomach 189. Warszawa. Wydawnictwo „Poradnika dla czytających książki“. 1902.

Główną treść tej książki stanowi streszczenie systemu filozoficznego Spinozy, czyli, co na jedno wychodzi, streszczenie jego „Etyki“. Streszczenie to jednak poprzedzają rozdziały: „Pochodzenie i życie Spinozy“ (str. 1 — 25), „Charakter Spinozy“ (str. 26 — 36), „Dzieła Spinozy“ (str. 37 — 57), „Stan pojęć filozoficznych przed Spinozą“ (str. 58—72) i „Metoda i system Spinozy“ (str. 73—85). „Etykę“ samą streszcza autor nie w tym porządku, w jakim jest napisana, lecz, dla większej systematyczności i dydaktyczności wykładu, dzieli ją podług pojęć zasadniczych. Widzimy więc tu rozdziały: „Bóg“ (str. 86—100), „Świat“ (str. 101 — 113), „Człowiek“ (str. 113 — 129), „Nauka o afektach“ (str. 130—147), „Właściwa etyka“ (str. 148 — 169). Uzupełnienie swoje znajduje streszczenie „Etyki“ w rozdziale: „Teorie polityczne Spinozy“ (str. 170 — 179), a rzecz całą kończy rozdział: „Wpływ i znaczenie Spinozy“ (str. 180 — 189).

W tych ramach zamierzył autor streścić doktrynę i scharakteryzować autora. Zadanie, zwłaszcza gdy się ma do czynienia z takim olbrzymem, jak Spinoza, nielada, a ramki o wiele za szczupłe. Ucierpiała też na tej szczupłości rzecz niemało, i ostatecznie wielki bohater myśli nie stanął przed nieobeznany z dziejami filozofii czytelnikiem w promiennym blasku, w którym stanąć był powinien. Doktrynę Spinozy przedstawił p. Żuławski pobieżnie, ale, z wyjątkiem kilku drobnych uchybień, dość dokładnie. Jednak streszczenie, choćby jeszcze od tego dokładniejsze, tu nie wystarcza. Jeżeli czytelnik ma poznać osobę duchową mistrza, to trzeba nie pożałować bodaj kilkunastu stron druku na wytłomaczenie, czym jest w jego systemie ów „porządek geometryczny“ (*ordo geometricus*), bo to była idea, acz błędna, wszakże tak niezmiernie wielka, że nią właśnie mierzy się w znacznej części wielkość Spinozy. Trzeba również poświęcić jakoweś miejsce i na wyłożenie genezy historycznej i logicznej jego monizmu. Ostatecznie moniści bywali przed Spinozą i po Spinozie, i sam fakt, że Spinoza był monistą, nie wystarcza do zrozumienia i oceny tej postaci. Surową wielkość jego pomysłu monistycznego można właściwie ocenić dopiero wtedy, gdy się widzi, że był najbardziej ze

wszystkich, jakie były, heroiczną próbą rozwiązania śmiertelnego dla całego racjonalizmu i wogóle dla wszelkiej metafizyki tak zwanego „problemu poznania“, zagadnienia o związku przyczynowym pomiędzy podmiotem a przedmiotami, pomiędzy wyobrażeniami a rzeczami w sobie, pomiędzy światem immanentnym a światem transcendentnym. To był wielki moment dramatyczny metafizyki nowożytnej, tu zadzierzgnął się tragiczny węzeł, tu nastąpiło fatalne powikłanie, którego wynikiem była Kanta „Krytyka czystego rozumu“, ta istna katastrofa tragiczna metafizyki. Wywołany przez fatalną nierozwiązalność tego problemu monizm Spinozy był olbrzymim wysiłkiem ku ocaleniu chwiejącej się już w posadach metafizyki, wysiłkiem, na który mógł się zdobyć tylko umysł tak heroiczny, jak jego. Dokonane w wiekach XVI i XVII wielkie zdobycze nauki czyniły już w twierdzy metafizyki racjonalistycznej coraz szersze i coraz głębsze szczeliny, i już zarysowywało się oblicze surowej konieczności, która wyznaczyć miała wiecznie żywiącemu tytaniczne zamysły rozumowi ludzkiemu nieprzebyte dla niego granice, która mu miała wykazać, że jedynym dla niego możliwym poznaniem jest poznanie zjawisk i stosunków, pomiędzy nimi zachodzących. A człowiek nie chciał rzec się swego stanowiska dumnego półboga. Najradykalniejszym sposobem panowania nad światem jest rozumienie świata. Człowiek nie chciał zrezygnować z domniemanej potęgi swego rozumu. Przez zdobywającą coraz większe pole naukę coraz ciaśniej opasywany obręczą, bronił się uporczywie, nie chciał oddać ognia, wydartego bogom, nie zrzekał się dziedzictwa Prometeusza.

Na najbardziej zagrożonym wyłomie, przez który ostatecznie potem wdarła się do jego królewskiego zamku szturmująca fala, stanął taki bohater myśli, jak Spinoza. Słusznie zaznacza w rozdziale końcowym swojej książki p. Żuławski, że po nim nie było już ani jednego metafizyka, który-by, jawnie, lub skrycie, od niego się nie zapożyczał. Należało jeszcze dodać, że tem, co od niego zapożyczano, była zawsze ta idea monistyczna, która, wobec ujawnionej już niemożliwości sprzęgnięcia przyczynowego świata wewnętrznego z zewnętrznym, była istotnie dla wszelkiej metafizyki jedynym punktem wyjścia. Należało wykazać różnicę pomiędzy fantastycznymi monizmami marzycieli filozoficznych wieku XVI z Giordano Bruno na czele, a tym surowo, ściśle pomyślanym systemem prawdziwie teoretycznym, który stał się jedyną możliwą podstawą twórczości metafizycznej.

Należało to zrobić, jeżeli chodziło (a chyba powinno było chodzić) o wykazanie czytelnikom wielkości i piękności, że tak powiem,

osobistej Spinozy, tej, która mu była właściwą, jako osobnikowi, bez względu na jego stanowisko i rolę w historii myśli ludzkiej. Ale i to jego stanowisko, i tę rolę należało uwzględnić, i to nie w taki sposób, że się wspomniało przy końcu książki, iż niektóre poglądy psychologiczne i przyrodnicze Spinozy do dziś dnia utrzymały się w nauce, ale w taki, aby wykazać ten rzeczywisty postęp w nauce, którego sprawcą był Spinoza, nie tylko przez swoje trafne pomysły, ale też, jak to się zwykle z wielkimi ludźmi dzieje, przez swoje błędy.

Widzę sam, że recenzja moja jest krytyką nie tego, co jest w książce p. Żuławskiego, ale tego, czego w niej niema. Jednak trudno, aby było inaczej, skoro, jak mi się zdaje, właśnie te braki odejmują książce jej celowość. Wobec tego, że jest już (co prawda, nietęgi) przekład polski samej „Etyki“, jej streszczenie mogło-by o tyle tylko mieć istotną rację bytu, o ile było-by zaopatrzone w prawdziwą, wyczerpującą charakterystykę wielkiego myśliciela, o ile treść jego doktryny przedstawiało-by w ciągłości ewolucyi historycznej. Nie można powiedzieć, aby tendencja do charakterystyki i do zajęcia stanowiska historycznego była zupełnie obcą pracy p. Żuławskiego, ale z tem wszystkim autor załatwia się bardzo pobieżnie. Mówiąc otwarcie, cała praca robi wrażenie wykonanej pośpiesznie i nie dbale.

Teraz jeszcze kilka szczegółów: na str. 61 powiada autor: „Bacon... zatrzęsał... podwalinami dogmatyzmu, występując w dziele swem „Novum organon“ przeciw całej średniowiecznej, scholastycznej filozofii“. Otóż „Novum organon“ jest tytułem tylko drugiej części dzieła Bacona, które całe zatytułowane jest: „Instauratio magna“, i którego część pierwsza („De dignitate et augmentis scientiarum“) w niemniejszym od „Novum organon“ stopniu „zatrzęsała podwalinami dogmatyzmu“.

Na str. 71 czytamy: „Z dwóch kartezjańskich pierwiastków jedni przyjmują myśl i na jej podstawie materyalne zjawiska tłómaczą, drudzy... Pierwszy szereg otwiera Leibniz, a należą do niego myśliciele tej miary, co Berkeley, Hume, Kant, Fichte, Schelling i Hegel“. Zaliczenie Hume'a i Kanta do tych, co zjawiska materyalne tłómaczą na podstawie myśli, jest ze strony p. Żuławskiego objawem nader swobodnego traktowania historii filozofii. Hume nie tylko nie tłómaczył zjawisk materyalnych na podstawie myśli, ale właśnie wprost przeciwnie, dowodził (zarówno w „Treatise on human nature“, jak przedewszystkiem w „Enquiry concerning human understanding“) niemożliwość takiego tłómaczenia, bo zresztą nie mógł inaczej, sko-

ro kwestyonował prawowitość pojęcia przyczynowości; rzeczywistość zewnętrzną (a więc i zjawiska materialne) uważał za tak dalece niezawisłą od myśli, że uznawał za możliwe wypadki niestosowania się tej rzeczywistości do prawa przyczynowości. Kant zaś tłumaczył zjawiska materialne nie na podstawie myśli, lecz na podstawie form apriorycznych intuicji (czasu i przestrzeni) oraz poznania (kategorii), co zgola nie na jedno wychodzi.

Na str. 75 p. Żuławski podaje twierdzenia: „7 jest większe od 5” oraz „suma kątów w trójkącie równa się dwóm prostym” za „pewniki”. Jest to błąd bardzo gruby: pierwsze z tych twierdzeń jest nie pewnikiem, lecz innym wyrazem określenia, drugie zaś — nie pewnikiem, lecz teorematem, którego prawdziwość musi być dowiedziona.

Na str. 112 p. Żuławski, usiłując odeprzeć postawiony Spinozie przez Schopenhauera zarzut, że pomieszał on pojęcia podstawy (racyi) i przyczyny, zaznacza, że nie mogło być inaczej, gdyż było to wynikiem nieuchronnym jego doktryny o tożsamości idei rzeczy i rzeczy samej. To nie jest żadna obrona: jeżeli twierdzenie fałszywe lub niedokładne wynika konsekwentnie z jakiejś doktryny, to nie znaczy, aby było ono prawdziwem i dokładnem, tylko że doktryna prowadzi konsekwentnie do fałszu. Racja i przyczyna — to różne rzeczy i nie przestaną być różnemi, choćby ich tożsamość najkonsekwentniej wynikała z najpiękniejszej konstrukcji metafizycznej.

Na str. 119 — 120 p. Żuławski wyklada pogląd Spinozy na poznanie świata zewnętrznego i, zgodnie z prawdą historyczną, powiada, że, według Spinozy, „poznanie nasze jakiejś rzeczy nie jest bynajmniej jej obrazem, lub czemś w tym rodzaju, w umyśle naszym zawartem, lecz rzeczą samą, o ile, wyrażona przez boski atrybut myślenia, jako idea w świecie istnieje”. Następnie wyjaśnia (również zgodnie z prawdą historyczną), że niedokładność naszego poznania rzeczy zewnętrznych stąd (według Spinozy) pochodzi, iż „rzecz każda, działająca na nasze zmysły, nigdy sama, lecz zawsze wspólnie z naszym ciałem staje się przyczyną zmian w naszym mózgu”, lecz zaraz potem konkluduje nad wszelkie spodziewanie: „Wielka prawda, do której niemiecki filozof, Kant, po dwóch niemal wiekach dopiero doszedł, tkwi już cała niejako w załączku w doktrynie Spinozy”.

Tego już, doprawdy, za wiele: Spinoza powiada, że poznanie pewnej rzeczy jest w zasadzie identyczne z samą tą rzeczą, Kant — że wyobrażenie rzeczy nie ma z rzeczą tą najmniejszego podobieństwa; Spinoza — że poznanie rzeczy nie jest jej obrazem w mózgu, lecz nią samą, Kant — że jest ono abstrakcją od wyobrażeń, które, znowuż sa-

me, dają nam poznać tylko sposób, w jaki rzeczy oddziałują na naszą zmysłowość; Spinoza — że subiektywność naszego poznania zmysłowego pochodzi wyłącznie stąd, że rzecz oddziałująca na nas nie sama, lecz w połączeniu z naszym ciałem, Kant — że pochodzi z apriorycznych form poznania, które nam wszelki dostęp do rzeczy, takiej, jaką jest sama w sobie, bezwzględnie zagradzają; Spinoza — że niewyrównane (inadaequata) poznanie zmysłowe, za pomocą łatwego usunięcia znanych nam co do treści i co do źródła niedokładności, z łatwością zmienia się na wyrównane (adaequata), Kant — że nie znamy i nie możemy znać ani jednej cechy rzeczy w sobie, i że możemy je myśleć tylko jako „coś“ tak dalece obcego naszym formom poznania, że nie stosują się do nich ani czas, ani przestrzeń, ani kategorie. I wobec tych biegunowych przeciwstawności, p. Żuławski ogłasza, że teoria poznania Kanta „tkwi już cała niejako w załączku w doktrynie Spinozy“. To jakby ktoś powiedział, że twierdzenie: „Bóg jest“, tkwi niejako w załączku w twierdzeniu: „Niema Boga“.

Dodam tu nawiasem, że „Etyka“ wyszła z druku w roku 1677, a „Krytyka czystego rozumu“ w 1781; czyli w lat 104 później, że więc słowa, jakoby Kant do tej „wielkiej prawdy“ doszedł „niemal po dwóch wiekach“, są wyłącznie frazesem.

Tyle co do szczegółów. Język naogół poprawny, tylko zamiast „braki“, p. Żuławski często powiada z rosyjska „niedostatki“. Wykład przystępny, jasny, uporządkowany celowo i systematycznie. Korekta nad wszelką miarę niedbała.

Ci, którzy czytali tegoż autora „Prolegomena“, tę piękną książkę, pełną prawdziwego bogactwa samodzielnej myśli, mieli prawo oczekiwać od niego nie takiej, jak ta, którą mamy przed sobą, monografii Spinozy.

MARYAN MASSONIUS.

Wł. St. Reymont: Przed świtem — Pewnego dnia. — Sprawiedliwie. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1902, 8-o, str. 253.

Nie wszystkie z części składowych wymienionego powyżej tomu utworów powieściowych posiadają jednakową wartość i doniosłość społeczną i literacką. W „Przed świtem“ autor opisuje w sposób przejmujący śmierć młodego sceptyka w szpitalu i siostrę miłosierdzia, czuwającą nad jego łóżem. Drugi z kolei utwór, p. t. „Pewne-

go dnia" jest jeszcze jednym epizodem z życia przemysłowego Łodzi, w które tak obfitowała „Ziemia obiecana”. Obie nowele nie znamionują zwrotu w twórczości autora „Fermentów” i o rozwoju jego talentu, bezsprzecznie niepospolitego, nie świadczą.

Inaczej rzecz się ma z najdłuższym z zamieszczonych w niniejszym tomie utworów, „Sprawiedliwie”.

W swoim czasie, kiedy ukazała się w druku „Ziemia obiecana”, powieść ta spotkała się z surową względnie oceną na łamach „Biblioteki Warszawskiej”. Sprawozdawca nie przeoczył i nie zaprzeczył wielkiego talentu i olbrzymiego daru spostrzegawczego Reymonta, ale zaznaczył, że młody powieściopisarz nie umie dać sobie rady z nawalem materiału postrzeżonego, nie potrafi obrać sobie punktu widzenia, chce wszystko, co wie i co widział, wtłoczyć w ramy powieści i stawia czytelnika wobec labiryntu oddzielnych scen i epizodów, luźnie spojenych; w taki sposób powieść traci na czystości architektonicznej i wyrasta w jakiś potworny *magazine of literature*.

Zarzut ten, powtórzony mniej więcej przez całą krytykę, autor wziął widocznie do serca; a „Sprawiedliwie” świadczy, że talent jego zapanował w zupełności nad chaosem wrażeń, skupił się i zmężniał.

Przyjrzyjmyż się budowie powieści.

Zaczyna się od przepięknego opisu nocy przedwiosennej, marcowej, pełnej „deszczów, zimna i wichrów”. „Lasy stały pokurczone i odrętwiałe, przemokłe do szpiku; chwilami wstrząsał nienidreszcz lodowaty, bo się trzęsły febrycznie i, jakby trwożą ogarnięte, rozwijały gałęzie, otrząsały się z wody, szumiały ponuro, zaczynały sieć ciemności i oszalałe bólem marznięcia, wyły dziką pieśń katowanych bezlitośnie. Chwilami polatywał mokry śnieg i jakby przyciszał wszystko i mroził, że lasy milkły i opuszczały się bezwładnie i cichły—tylko wskrós mroków, wskrós puszczy, wskrós tych pni potężnych, oniemiałych nagle, włókł się jakiś cichy a bolesny jęk, lub zrywał się ostry, przerażający krzyk marznącego ptaka i suchy trzask spadającego po gałęziach ciała. To znów przechodził wiatr milczkiem czołgał się w ciemnościach, rzucił się z furją na lasy, wilgotnemi kłami wżerał się w głębie; topił śniegi, obrywał gałązki, łamał gęste podszycia i z wyciem tryumfu tarzał się po polanach i miotał borom, jakby kępą trzcin wiotkich—a wtedy z głębin nocy, z tych przerażających pustek przestrzeni wyczołgiwały się ogromne brudne chmury, podobne do rozwichrzonych a przegniłych stogów siana, a padały na lasy, czepiały się wyniosłości, okręcały podartemi strzępami drzewa, dusiły je w ohydny uścisku i mżyły zimnym, nieustannym deszczem, przenikającym nawet kamienie.”

Tego rodzaju potężny opis nie jest bynajmniej nowością u Reymonta; spotykaliśmy podobne u niego już i dawniej. Ale nigdy jeszcze u autora „Ziemi obiecanej” opis nie był tak wybornie dostrojony do całości opowiadania.

W taką noc straszliwą w karczmie przyłękckiej znajduje chwilowe schronienie Jasiek Winciorek, który ucieka z więzienia do wsi rodzinnej, do matki, do narzeczonej. Spadło na niego nieszczęście: rządce widłami „dziobnął”, bo mu Nastkę do stodoły ciągnął, no i wzięli go na trzy lata; dwa już odsiedział, ale dłużej nie wytrzymał, tęsknota go ogarnęła i przy pierwszej sposobności umknął. Na drugi dzień Jasiek, wyczerpany, w ucieczce raniony od kuli karabinowej, dowlóknął się do progu matczynej chałupy.

I tu zaczyna się dramat, na którego czoło wysuwa się nie tyle Jasiek, ile jego matka, stara, nieszczęśliwa kobieta, która już niegdyś męża w tragiczny sposób straciła, a teraz syna ukrywa przed pogonią, przed sądem, przed sprawiedliwością! Biedna, mniema, że prawo i sprawiedliwość to jedno. To prawdziwa walka, o silnem napięciu dramatycznem, walka z podejrzliwością chłopską, chciwością, pobudzoną nagrodą, którą rządca za ujęcie Jaska wyznaczył, wszystkimi złemi instynktami, które rozpasaly się w duszach chłopów przyłękckich.

Wszystkiego się nieszczęsna pozbędzie, byleby syna jedynaka ocalić, gość odarstwo, ziemię ukochaną sprzeda, kraj porzucić gotowa i do Brazylii wywędrować, tam sprawiedliwość Jaska nie dosięgnie. Wszystko już było przygotowane do odjazdu, gdy wtem cała obława sąsiadów chwyta Jaska, jak dzikie zwierzę. Ale w nim budzi się dawno tajona żądza zemsty—wrywa się raz jeszcze i podpala jedną z chat swoich prześladowców. Po chwili cała wieś stoi w płomieniach. Ale teraz sprawiedliwie dosięga go kara: pijani wściekłością i żalem chłopci—wtrącają go w ogień... A matka, widząc śmierć jego okropną, pada bez życia...

Taki jest wątek powieści.

Około niego grupuje się szereg scen i postaci, z których żadna wszakże nie odskakuje, nie oddala się od głównego motywu. Opowiadanie, ujęte w ramy dwu pełnych grozy opisów—burzy wiosennej w nocy i pożaru—nie zawiera w sobie nic, coby nie dostrajało się do przebiegu odtwarzanej akcji, było drugorzędne i zbyteczne. Nigdy jeszcze Reymont w dłuższych utworach nie osiągnął tak wysokiego stopnia zestroju artystycznego. Na tło żywiołowych potęg natury: burzy wichru wiosennego i burzy ognia, autor rzucił również żywiołowe przejawy duszy chłopskiej i potęgi prawa. I niema nic, coby nie potęgowało wrażenia grozy: nawet humorystycznie wykonane postacie

dostojników wioskowych, sołtysa, przejętego powagą swego urzędu, i wójta, najniższego służki pana pisarza i pani pisarzowej; nawet słiczny obrazek sielankowy, Jaska i Nastki w ogródku, w wonny i promienny poranek majowy... Jak rozdzierająca ciemnię błyskawica czyni mroki jeszcze straszniejszymi, tak te przebłyski humoru i szczęścia chwilowego zwiększają jeszcze uczucie strachu wobec grożącej katastrofy.

Postaci epizodycznych bardzo tu niewiele, i to tylko takie, które są niezbędne dla urozmaicenia i dalszego rozwoju akcji. Wyróżniają się z pośród nich przedstawiciele proletariatu wiejskiego, zwłaszcza doskonale figury pary żebraków, baby i dziada, który ciągle prawi przysłowia w rodzaju: „jak se człek w brzucho co włoży, to mu i w piekle niezgorzej” lub: „dobry dziad mieć powinien: kij z jeżem, głęboką torbę i długi pacierz”, lub: „trzech rzeczy potrzeba, żeby jadło poszło na zdrowie: gorzałka, sól i chleb” itd. Wyborna jest również sylwetka żyda-waciarza.

I to jest nader charakterystyczne: podczas, gdy wszyscy zamożni gospodarze okazują Jaskowi niechęć i gotowi go oddać w ręce sprawiedliwości, ci bezdomni nędzarze, którzy wiedzą, co to jest nie mieć dachu nad głową i głodem przymierać, okazują mu współczucie, śpieszą mu z radą i pomocą. Jest to rys niezmiernie typowy i zręcznie przez autora podchwycony.

Wogóle Reymont zna duszę chłopską doskonale, nie idealizuje, ale i nie przeczernia i daje wizerunek żywy, jędrny i zgodny z rzeczywistością.

H. GALLE.

„Z nad brzegów Narwi”. Jednodniówka. Na dochód Łomżyńskiego Tow. Dobroczynności. Warszawa 1902.

Grono ludzi dobrej woli, pragnąc zasilić ubogą kasę Towarzystwa dobroczynności w Łomży, podjęło i urzeczywistniło myśl wydania na ten cel „Jednodniówki”, na którą, podobnie, jak na „Pamiętnik kielecki” złożyły się pióra „rodowitych lub przybranych dzieci ziemi łomżyńskiej.” Wyjątek stanowi w tym względzie garść aforyzmów, ofiarowanych wydawnictwu przez Elizę Orzeszkową.

Skromnie, ale starannie wydaną książkę otwiera praca Zygmunta Głogera: „Wesele Babuni”. Jest to piękny i ujmujący obraz ob-

rzędu zaślubin oraz uczty i zabawy weselnej w tej formie, w jakiej odbywały się one w początkach wieku ubiegłego w zamożnych domach ziemiańskich. Opowiadanie to spisał autor w wieku młodzieńczym z ust babki swojej, Agnieszki z Dobrzyńskich Wojnowej, a obecnie, odnalazłszy zagubiony zeszyt, opis ten do wiadomości publicznej podał. Jest to niewątpliwy przyczynek do historii dawnych zwyczajów polskich, których szczątki dziś ledwie w chatach włościańskich napotkać można.

Obok tej rzeczy Glogera na wyróżnienie w „Jednodniówce” zasługują: rzewne opowiadanie Trzaski p. t. „Sokół”; urywek z pamiętników Anny ze Skarzyńskich kasztelanowej Czarneckiej, opisujący pobyt na emigracyi w Dubnie księcia de Berry i jego miłość ku pięknej pannie Annie, autorce pamiętnika, również w księciu na zabój rozkochanej, wreszcie urywek z dłuższego opowiadania Estei pod tytułem „Babuunia” i notatki p. Grzegorza Worobjewa, współpracownika komisji sztuki Akademii Umiejętności w Krakowie „O ruinach zamku biskupiego i o kościele parafialnym w Broku” (w pow. Ostrowskim, gub. Łomżyńskiej).

Poza tem „Jednodniówka” Łomżyńska obejmuje jeszcze szereg utworów poetyckich, które, lubo większej wartości literackiej nie posiadają, to jednak są dowodem chętniej ofiarności ze strony osób, zaproszonych do współudziału w wydawnictwie.

Z. D.

KRONIKA MIESIĘCZNA

Ostatniemi czasy pilną uwagę naszej opinii publicznej zwróciło na siebie dziwne zjawisko, znane pod nazwą „syonizmu.“ Nie jest to zjawisko nowe; owszem, powstało ono i rozwijało się stopniowo od lat przeszło dziesięciu. Ale dotychczas ta sprawa dla nas miała znaczenie dość mętne, niejasne, i nosiła charakter jakby całkiem egzotyczny. W najświeższej dopiero dobie ruch ten przybrał postać wyraźniejszą, jaśniej się skryształizował, i, co główna, przeniósł się z zagranicy wprost do własnego naszego środowiska społecznego, a tem samem bezpośrednio zaczyna dawać się nam we znaki. Masowy zjazd syonistyczny, odbyty w miesiącu ubiegłym w Mińsku gubernialnym, podsunął nam niejako pod same oczy sprawę syonizmu i zmusza do liczenia się z nią na seryo. Prasa nasza codzienna, trafnie powodowana w tym wypadku ciężącym na niej obowiązkiem czuwania nad dobrem i spokojem publicznym, uderzyła prawie jednogłośnie na alarm; a poruszona przez nią z obojętności opinia naszego ogółu poważnie zajęła się tą nową dla siebie sprawą, która, sposobem wcale niepożądanym, dorzucić może jedno jeszcze zarzewie do tylu rozmaitych trosk i zagadnień, jakich zaiste i dotychczas nie brakowało społeczeństwu naszemu. Mamy do rozwiązania najtrudniejsze i najdrażliwsze zadania ekonomiczne i społeczne, mieliśmy wśród nich dotychczas dosyć na samej tylko kwestyi żydowskiej *tout court*, — obecnie w dodatku przychodzi świeża kwestya „syonistyczna.“

Syonizm pierwotnie oznaczał agitację, stawiającą sobie rzekomo za cel zebranie rozproszonego ludu żydowskiego i sprowadzenie go do „Syonu“, do Palestyny, dla przywrócenia tam jakoby biblijnego państwa żydowskiego z przed dwóch tysiącleci. W tej pierwotnej fantastycznej formie przed laty kilkunastu rzucone było hasło na wiatr przez pewnego ambitnego i zdolnego dziennikarza, żyda

wiedeńskiego, niejakiego p. Herzla, współpracownika wiedeńskiej „*Neue Freie Presse*.” Jako korespondent tego pisma w Paryżu, połączył się on tam z kilku ruchliwymi współwyznawcami, jak np. z głośnym pisarzem, dr. Nordauem, i zyskał przystęp do tamiecznych możnych sfer finansowych żydowskich, w szczególności do baronów Hirscha i Rothschilda paryskiego. Założywszy następnie w Wiedniu wielki organ agitacyjny w języku niemieckim, „*De Welt*”, tutaj już odtąd ześrodkował Herzl ruch syonistyczny. Zarazem też we wszystkich niemal krajach, gdzie przebywają żydzi, a zwłaszcza w Galicji, Królestwie Polskiem i prowincjach północno i południowo-zachodnich, rozwinięta została silna agitacja. Powstało mnóstwo pism syonistycznych w języku hebrajskim i żargonie, a także w języku polskim i rosyjskim; podjęto również na wielką skalę popularne i nadzwyczaj tanie wydawnictwa hebrajskie i żargonowe dla szerzenia pojęć syonistyczno-narodowych wśród ludności żydowskiej i stworzono w bardzo krótkim czasie całą nader obfitą i poczytną literaturę broszurową i książkową w tym kierunku, rozchodzącą się wśród ciemnych mas żydowskich w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Pootwierano liczne księgarnie syonistyczne, a nawet specjalne przedsiębiorstwa handlowe, sprowadzające czysto „narodowe” produkty syońskie, t. j. palestyńskie (np. przedsiębiorstwo „Karmel”, prosperujące w Warszawie i wielu miastach prowincjonalnych). Założono synagogi syonistyczne (mnóstwo takich istnieje już w Królestwie, a niedawno, jak doniosły pisma, znów jedna otwarta została w Warszawie), gdzie za pośrednictwem pewnych rytualnych form nabożeństwa oraz w kazaniach żargonowych co sobota i co święto izraelskie upowszechnianą bywa idea odrębności syonistycznej pośród pobożnych. Stworzono w Londynie wielki bank kolonizacyjny z milionowym kapitałem; zarządzono zbieranie składek na żydowski „skarb narodowy”; nałożono na ludność żydowską stały roczny „podatek narodowy”, obliczony szczególnie na ubogie warstwy, pod archeologiczną nazwą biblijnego podatku, t. zw. „szekela” (t. j. około jednego szylinga, czyli 50 kop.). Założono mnóstwo stowarzyszeń syonistycznych po wszystkich miastach i miasteczkach, zwłaszcza w Galicji, Królestwie Polskiem i guberniach zachodnich, liczące się już dzisiaj na tysiące, a których uczestnicy liczą się na setki tysięcy. Zwolywano doroczne powszechne kongresy syonistyczne; sześć już podobnych kongresów odbyło się dotychczas za granicą: w Bazylei i Londynie. Otóż właśnie na ostatnim takim zjeździe, uznawszy widocznie sprawę za dostatecznie już dojrzałą, postanowiono przenieść ją na grunt właściwy i uchwalono zwołanie kongresu lokalnego, już

w obrębie państwa rosyjskiego, gdzie przebywa *gros* ludności żydowskiej. W ten-to mianowicie sposób doszedł do skutku najświeższy zjazd miński, który doczekał się tak ożywionego omówienia w prasie naszej i dał nam bezpośrednią pobudkę do uwag niniejszych.

Równocześnie dokonała się nader znacząca zmiana w wewnętrznej, duchowej istocie syonizmu, w samych hasłach przewodnich tego szczególniejszego zjawiska. Dopóki ruch syonistyczny był tylko zabawką, narzędziem kilku ambitnych niemiecko-żydowskich agitatorów - literatów, mógł on zadawałniać się pierwotnem, fantastycznym hasłem tak zwanego „zachodniego“ czyli „dyplomatycznego“ syonizmu: rozprawiano o kupnie Palestyny od rządu tureckiego, upominano się o interwencję mocarstw, apelowano do parlamentu angielskiego, składano adresy na konferencji pokojowej w Hadze, wystarano się o audyencję p. Herzla u sułtana, jednym słowem robiono z tego wszystkiego jakiś sport dość śmieszny, i w każdym razie dla nas zupełnie nieciekawym. Ale w miarę, jak ruch syonistyczny ogarniał szersze i liczniejsze warstwy, zwłaszcza żydów „wschodnich“, t. j. polskich i rosyjskich, w miarę jak ten ruch zaczął wcielać się w realne formy czynnej i ofiarnej agitacji masowej,—rzeczy przybrać musiały i istotnie przybrały całkiem inną postać, a mianowicie sama idea syonizmu musiała się zmodyfikować w kierunku realnym i przeistoczyć się w kształty bardziej namacalne i praktyczne. Stało się to pod bezpośrednim wpływem owych właśnie syonistów „wschodnich“, którzy bądź na miejscu u siebie, t. j. pośród nas, w kraju tutejszym i w obrębie t. zw. kresów osiedlenia, zaczęli wytwarzać takie nowe hasła przewodnie, lepiej nadające się do praktycznego, codziennego użytku i zastosowania od mglistych frazesów i petycyi do sułtana,—bądź też wprost z temi swemi hasłami stawili się masowo na kongresach zagranicznych w Bazylei i Londynie. Obecnie, jak się zdaje, wynik ścierania się tych dwóch prądów, pierwotnego i najnowszego, nie ulega żadnej wątpliwości. „Zachodni“ czy też „dyplomatyczny“ syonizm został ostatecznie wyparty z przewodniego miejsca; zastępuje go i coraz głośniej rej wodzi górujący dziś syonizm „wschodni“, czyli „kulturalny“, a właściwie naprawdę *polityczny*. Ta nowa nauka dzisiejszych „wschodnich“ mistrzów syonizmu poprostu tak się przedstawia: Idea przeniesienia wszystkich żydów do Syonu, do Palestyny, do „ziemi obiecanej“, jest to mrzonka, albo co najwyżej ideał niepodobny do urzeczywistnienia w dającym się przewidzieć czasie. Ale jest to nader dogodna formułka i dzielny bodziec dla poruszenia, zespolenia i jaknajdoskonalszego wyodrębnienia ludu żydowskiego, dla uczynienia z niego, **nie tam** gdzieś dopiero w wymarzonej Palestynie, lecz zaraz tutaj na

miejsu, pośrodku społeczeństw europejskich, gdzie ta ludność dziś przebywa, jaknajbardziej zwartej, zamkniętej w sobie i *uświadomionej* masy narodowej. W tym celu, pod nader dogodnem, przemawiającem do wyobraźni ciemnych tłumów zbiedzonego żydostwa, mesyanicznem a utopijnem hasłem powrotu do Syonu, do „ziemi obiecanej“, należy podejmować niezwłocznie, zaraz na miejscu, na „ziemi wygnania“, zarówno pośród mas, jako też pośród inteligencji izraelskiej, realną i energiczną akcyę narodowościową, a mianowicie podwójną, ściśle równoległą i dopełniającą się akcyę, pozytywną i negatywną: pierwszą, zmierzającą do rozbudzenia w całej pełni, do rozrządzenia i rozpalenia zamarłej świadomości narodowej żydowskiej; drugą, zmierzającą do obrócenia tej świadomości przeciw wszelkim pochłaniającym, asymilacyjnym, wpływom otaczającej społeczności tuziemczej, chrześcijańskiej, krajowej. Innemi słowy, jest to najskrajniejszy, najwyłączniejszy, bo wyrastający z czystej doktryny, nie z gleby, nie z ziemi, nie z miejscowych, krajowych tradycyi dziejowych i obywatelskich, owszem, w pełnej sprzeczności z temi tradycjami, *nacyonalizm żydowski*.

Nowe to zupełnie zjawisko, nie znające przykładu w dziejach ludności żydowskiej, przedewszystkiem oczywiście odbić się musi na społeczeństwie naszym, gdzie rozsiadła się główna masa tej ludności. To też nasza opinia publiczna nie może żadną miarą pozostać obojętną na ruch tak poważny, rozwijający się, na widoczną naszą niekorzyść, we własnym domu naszym. W rzeczy samej, jak rzekliśmy, prasa polska z rzadką jednomyslnością wyniosła tę sprawę na porządek dzienny dyskusyi publicznej. Krakowski „Czas“ i lwowskie „Słowo Polskie“, warszawskie „Słowo“ i „Gazeta Polska“, organa najrozmaitszych odcieni, równocześnie przystąpiły do poważnego omówienia kwestyi syonizmu, i, co najbardziej może godna uwagi, doszły w tym przedmiocie do identycznych niemal wniosków. Ta jednomyslność inicjatywy i jednozgodność sądu stanowi nader znamiennej skazówkę, że kwestya, o którą tu idzie, jest w wysokim stopniu aktualną i że społeczeństwo nasze należycie zdaje sobie z niej sprawę.

Pośrodku obfitej dyskusyi politycznej, podniesionej tak bardzo w porę nad zjawiskiem tak aktualnem, tak ważnem, a z natury swojej tak mało dla nas przystępnem, na szpaltach całej prawie prasy polskiej, wyróżnia się doświadczonej i wytrawny głos „Czasu“ krakowskiego, w seryi artykułów p. t. „Syoniści w Galicyi“ („Czas“ z 19 września r. b. i następne). Biorąc za punkt wyjścia specjalne

stosunki galicyjskie, poważny organ krakowski ujął sprawę całą z szerszego stanowiska i rzucił szereg uwag ogólniejszych, nader zastanawiających i wiele dających do myślenia. „W kwestyi żydowskiej — pisze „Czas“ — z dawien dawna rozpowszechniło się u nas hasło: „nie tykać.“ Właściwie rozprawiają o niej głośno jedynie antysemita; ale rozprawiają jednostronnie i nie kuszą się wcale o postawienie jakiegokolwiek programu. Sama nienawiść za program stać nie może; poza tem zaś antysemita dotąd nie mieli nic do powiedzenia. Inne stronnictwa bądź z indolencyi, bądź w przeświadczeniu, że kwestya żydowska nie da się wogóle rozwiązać, starannie schodzą jej z drogi... O ile grzechem była ta indolencya już dawniej, o tyle wręcz niepojętą staje się ona wobec powstania i rozrastania się stronnictwa syjonistycznego. Wobec ciemnych i politycznie biernych mas żydowskich niejednen fatalista pomyślał sobie: „tych mas nie ucywilizując; są one dla nas wręcz niedostępnymi, wystarczy więc baczyć, by pod względem ekonomicznym nie czyniły szkody, pod względem politycznym zaś nie łączyły się z naszymi wrogami.“ Ale syjoniści to nie ciemne masy; ich przywódcy, to ludzie wykształceni i świadomi celu, a celem tym jest na razie zorganizowanie żydów w narodowo-polityczne stronnictwo; w społeczeństwo, różne nie już tylko religią i obyczajem, ale przede wszystkim posiadające własny narodowy kierunek, a więc nie dające się nagiąć do naszych narodowych celów“. Następnie „Czas“ nader gruntownie, z widoczną dokładną znajomością rzeczy, wykazuje i wyszczególnia rozkładowe rezultaty dotychczasowej działalności syjonistycznej specjalnie na gruncie galicyjskim, w najrozmaitszych dziedzinach miejscowego życia umysłowego, społecznego, politycznego, w szkole, piśmiennictwie, assocyacjach, ciałach wyborczych itd.

Te wyłączenia „Czasu“, będące dla nas poniekąd odkryciami, są niewątpliwie z wielu względów interesujące i zasługują na najpilniejszą uwagę. Ale sądziłibyśmy, że punkt zasadniczy i praktycznie najważniejszy, bo dotyczący palącej kwestyi: jak zaradzić złemu, — nie został z pożądaną jasnością uwydatniony w powyższych wywodach dziennika krakowskiego. „Czas“ z naciskiem mówi o dotychczasowej „indolencyi“ naszej w kwestyi żydowskiej wogóle, a syjonistycznej w szczególności, i nawet, nie bez słuszności zapewne, nazywa ją „grzechem“ — (jakkolwiek zresztą dodać-by należało, że dużo także na to złożyło się całkiem niezależnych od naszej woli i możliwości czynników postronnych): z użytego jednak tutaj niedość jasnego zwrotu niejednen czytelnik mógł-by wyprowadzić mniemanie, jakoby ów „grzech“ obarczał wyłącznie sumienie społeczeństwa rdzennie

polskiego, chrześcijańskiego. Nie możemy zaś przypuścić, aby taką była myśl „Czasu“, gdyż była-by to myśl niesprawiedliwa i błędna. Dalecy wprawdzie jesteśmy od tego, żeby zrzucić z siebie powinną odpowiedzialność za jakąkolwiek, choćby najopłakańszą, sprawę publiczną, za jakąkolwiek, choćby najdotkliwszą, nieomogę krajową; przeciwnie, wszystkie, czy to dodatnie, czy ujemne objawy życia społecznego w tym kraju zbyt żywo nas obchodzą, zbyt ściśle są związane z własną naszą ewolucją dziejową, abyśmy nie mieli poczuwać się, w mniejszym lub większym stopniu, do pewnej poczytalności moralnej za to, co się dzieje w naszym domu. Tak samo też gotowiliśmy poczuwać się, w granicach słuszności, do pewnej odpowiedzialności za niepomysłny obrót sprawy żydowsko-syoińskiej w kraju naszym. Ale zarazem musimy stwierdzić jaknajpowaźniej tę najoczywistszą i w oczy bijącą prawdę, iż główna odpowiedzialność w tym wypadku spada przede wszystkim na społeczeństwo żydowskie, a mianowicie na oświeconych jego przewodników, na kierujący niem odłam postępowy, z którym jedynie sami mieć możemy styczność bezpośrednią. Stwierdzamy tę prawdę, leżącą jak na dłoni, a zarazem stawiamy ten poważny zarzut najwybitniejszej warstwie naszych współobywateli—żydów, z całą rozwałą i bezstronnością, nie powodowani żadnem uprzedzeniem rasowem ani wyznaniowem. Piszemy się w zasadzie na wszelkie zastrzeżenia „Czasu“ przeciw zawodowemu antysemityzmowi, który uważamy za przeciwny zarówno duchowi wzniosłej nauki Chrystusowej, jakoteż za przeciwny istotnemu interesowi kraju. Ale sądzimy, że nasi żydzi oświeceni, nazbyt drażliwi, jak wiadomo, na wszelkie, najsluszniejsze nawet, zarzuty, i nazbyt pochopni do zapisywania wszelakich podobnych zarzutów na karb „antysemityzmu“, powinni we właściwej porze usłyszeć od nas słowa prawdy, wypominające im własną ich odpowiedzialność wobec ich współwyznawców i wobec kraju i powołujące ich na seryo do ciążących na nich, a jak się zdaje nie wszędzie w dostatecznej mierze wypełnianych przez nich obowiązków.

Owóz właśnie do wypowiedzenia takiego m e m e n t o nie bar dziej nie uprawnia nas, jak niniejsza, tak niespodziewanie i raptownie wybujała sprawa syonizmu. Od lat dziesięciu, jak rzekliśmy, propaguje się ruch syonistyczny, poczęty za granicą. O kogo jednak tam szło na owych robotach w Wiedniu, Bazylei, czy Londynie? Nie o żydów szwajcarskich, bo ich niema, ani o angielskich lub austriackich, bo ich jest mało, ale przede wszystkim — o naszych żydów polskich. Mamy w obrębie „kresów osiedlenia“ przeszło 4 miliony żydów; mamy ich w Królestwie Polskiem milion parękroć; w Galicyi

milion; w jednej Warszawie do ćwierci miliona; w jednej Łodzi około stu tysięcy. A więc naprawdę, tam hen, gdzieś w dalekiej Szwajcarii czy Anglii, idąc za duchowym przewodem ojca syonizmu a wychowanka i współpracownika polakożerczego dziennika wiedeńskiego, od pierwszej chwili radzono w gruncie rzeczy przedewszystkiem o żydach naszych. *De te fabula narratur*, mogli sobie od pierwszej chwili powiedzieć nasi oświeceni i rządzący w swoich gminach wyznaniowych żydzi warszawscy, łódzcy albo krakowscy i lwowscy. A tem samem mogli i powinni byli sobie powiedzieć oddawna, że na nich mianowicie leży obowiązek energicznego przeciwdziałania ruchowi, zainicjowanemu przez samozwańców zagranicznych, a tak niezmiernie szkodliwemu zarówno dla ogółu społeczeństwa naszego, jakoteż zwłaszcza dla naszych mas żydowskich, na których losie przedewszystkiem odbić się on musi najbezpośredniejszym i najujemniejszym sposobem w swoich nieuniknionych skutkach lokalnych. O takie skutki mogli nie dbać rozmaici ambitni „dyplomaci” — agitatorowie zagraniczni, w rodzaju Herzłów, Nordanów i Kompanii, ale obowiązani są dbać odpowiedzialni przewodnicy gmin żydowskich w kraju tutejszym. Gdyż oczywiście, w tem wszystkim idzie nie o co innego, jak tylko o to, aby miliony żydostwa naszego, martwą dotychczas masę, uczynić odtąd wrogą siłą dynamiczną, która-by, bardziej i wyłącznie odrębna, niż kiedykolwiek, wblijała się ostrym klinem w żywe ciało społeczeństwa naszego. „Wśród wszystkich prac i robót — słusznie pisze w tej sprawie warszawska „Gazeta Polska“ (z d. 17 września r. b.) — myśl syonistyczna wyteęza się przedewszystkiem na to, aby rozrywać związki moralne, jakie ludność żydowską mogły łączyć z krajem. Żyd musi przedewszystkiem zobojętnieć dla wszystkiego, co go otacza, .. dusza jego musi się wyzwolić ze wszystkich węzłów lokalnych, .. a jeszcze lepiej, kiedy dusza ta zacznie wprost nienawidzić wszystkiego, co ją otacza... Jeśli dotąd żyd był dla chrześcijanina, przy którym zamieszkał, tylko współzawodnikiem ekonomicznym, to teraz syonizm każe mu być otwartym wrogiem wszystkiego, co krajowe. Proszę sobie wyobrazić wielkie rzesze takich wrogów, podniecające swój specjalny patryotyzm, .. proszę sobie wyobrazić, że do szeregu takich patryotów przechodzą tłumy ludzi, mających w posiadaniu znaczną część majątku krajowego, domy, wsie, banki, fabryki, $\frac{2}{3}$ kredytu, $\frac{2}{3}$ handlu i $\frac{1}{3}$ przemysłu! Zorganizowana taka falanga, zmierzająca jawnie do celów zupełnie obcych interesom kraju, musiała-by wytworzyć stałe ognisko prowokacyi i nadać wspólnemu pożyciu z ludnością chrześcijańską cechy zgoła nowe”. To pewna, że na takiej ewolucyi nie wyszedł-by dobrze kraj. Ale to także co najmniej równie pewna,

że wyszli-by na niej źle sami żydzi. „Jakby wyglądało żydowstwo—zapytuje słusznie „Gazeta Polska“—gdyby, pod wrażeniem prowokacyi syonistycznych, Maćki, szlachcice i mieszczeni, przerwały swoje stosunki z Moškami? Tego-bym się bał, będąc żydem trzeźwym i rozsądnym. I temu też starał-bym się zapobiegać, ostrzegając swój lud, że dla urojonego szczęścia za górami nie powinien poświęcać tutaj swego bytu, że niepowinien nienawidzić tego kraju, w którym mieszka, ale najgoręcej dbać o jego dobrobyt i o życzliwość mieszkańców, bo ten dobrobyt i ta życzliwość to są jedyne realne warunki dobrobytu i spokoju dla żydów“.

Otóż powstaje z konieczności pytanie: co owi „trzeźwi i rozsądni“ żydzi nasi, owi „ojcowie narodu żydowskiego“, jak nazywa ich „Gazeta“, to jest oświeceni, zamożni a zasymilowani z krajem tutejszym kierownicy wielkich gmin żydowskich krajowych, zrobili i robią dla przeciwdziałania rozwojowi syonizmu, a natomiast dla szerzenia i ugruntowania jedynie zdrowych pojęć prawdziwie obywatelskich pośród milionowych rzeszy współwyznawców swoich? Na to kardynalne pytanie wszystkie organa prasy naszej, zajmujące się ostatnimi czasy tym przedmiotem, dały jednomyślnie odpowiedź: „mało, albo nie“. Co więcej, w tych organach, jak się zdaje, dobrze poinformowanych, wyczytaliśmy niektóre rewelacye, będące dla nas zupełną niespodzianką, a skąd zdawało-by się wynikać, że w postępowych a rządzących w swoim kole wyznaniowem, sferach inteligentnych żydów naszych ustalił się bardzo wyraźny prąd oportunistyczny w stosunku do wzmagającej się co dnia na siłach agitacyi syonistycznej. Tak naprzykład „Kurier warszawski“ i „Słowo“ zaznajomyły nas z nader znamienitym artykułem wstępnym tutejszego „Izraelity“, wydawanego w języku polskim, oficjalnego niejako organu tutejszego postępowego Zarządu gminy starozakonnych, omawiający miński zjazd syonistyczny. W tym artykule, podpisanym przez osobę podwójnie „oficyalną“, bo przez redaktora „Izraelity“, a zarazem sekretarza gminy starozakonnych w Warszawie, obecny zjazd „syonistów rosyjskich“ w Mińsku był historycznie zestawiony z „generalnymi synodami czterech ziem, Wielkopolski, Małopolski, Podolia i Wołynia“, na jakie za czasów b. Rzeczypospolitej zwykli byli zbierać się delegaci gmin żydowskich w Polsce. W podobnym anachronistycznym, i pod każdym względem wysoce niestosownem zestawieniu zupełnie pominięta została ta okoliczność, że nie istnieją już obecnie żadne instytucye polityczne b. Rzeczypospolitej, które jedynie w pewnym stopniu uprawniały tamte „synody“, i że absolutnie w tym wypadku nie może być mowy o żadnych „historycznych“, choć-

by najodleglejszych analogiach. Następnie zaś, co główna, „Izraelita“, odżegnywając się od „zachodniej“, a więc najmniej dla nas ciekawej formy syonizmu „dyplomatycznego“, pośrednio przyznaje rację bytu właśnie najaktualniejszej i najmniejbezpieczniejszej formie syonizmu „wschodniego“, to jest *quasi* — „kulturalnego“, a naprawdę politycznego. Innemi słowy, — jak surowo, lecz zasadnie, stwierdza „Słowo“ z tego powodu, — „Izraelita“ zaledwo zdobywa się na artykuł, który, *lâchons le mot*, lawiruje naokoło syonistów i nie śmie zacząć i należycie napiętnować ich szkodliwej działalności, przestrzegać przed fatalnemi jej dla żydów skutkami“. Wiadomo zresztą skądinał i wielokrotnie poruszane było w naszej prasie codziennej, że do stałych współpracowników, czy też nawet współredaktorów tego pisma należy jeden z głównych u nas krzewicieli i przedstawicieli wojującego syonizmu, główny „poseł“ i „mówca“ Warszawy na „synodzie“ mińskim, wydawca najpoczytniejszego dziennika hebrajskiego, wychodzącego w Warszawie, liczącego kilkadziesiąt tysięcy (*sic!*) prenumeratorów i wnoszącego codziennie między szerokie warstwy żydowskie miasta naszego i prowincyi czysto syonistyczną strawę duchową. Podobna taktyka musi wydawać się nam tem dziwniejszą, jeżeli uwzględnimy, że „Izraelitę“ uważać musimy nietylko za oficjalny organ zarządu tutejszej gminy starozakonnych, lecz za jedyny organ żydów postępowych w Królestwie, a nawet żydów polskich wogóle. W rzeczy samej, inne pisma żydowskie, ukazujące się w języku polskim w Galicyi, jak „Przyszłość“, „Wschód“, znajdują się tam w ręku najzaciętszej młodzieży syonistycznej, wzorowane są zresztą, nawet z tytułu, na wydawanych w języku rosyjskim przez żydów litewskich pismach „Buduszcznost“, „Woschod“ i t. p., i miotają nieustannie ze swego stanowiska ekskluzywnego jad najzacieklejszej nauki syonistycznej, połączonej z najcięższemi obelgami pod adresem społeczeństwa polskiego, hodując systematycznie wzajemną nienawiść społeczną.

Z powołanego artykułu „Słowa“ dowiadujemy się zresztą innych jeszcze rzeczy, niemniej zastanawiających. „W Warszawie, w izraelickiej gminie postępowej, zastępca głównego rabina jest syonistą, a gmina w jedną sobotę słucha przemowy antysyonistycznej pierwszego rabina, w drugą natomiast syonistycznej. W Łodzi rabin najliczniejszej gminy jest syonistą, a syonizm szerzy się tam ogromnie w tem ważnem środowisku. Nieinaczej się dzieje w innych punktach, a będzie zapewne coraz gorzej“. To też ludziom, należącym do starszego pokolenia,

którzy mają jeszcze w pamięci i dobrze znali takich kierowników i reprezentantów warszawskiej gminy starozakónnych, jak Matyas Rosen, rabini Majzels i Kramsztyk, prof. Jakób Natanson i in., po prostu trudno było-by uwierzyć faktom podobnym, gdyby wiadomość o nich nie pochodziła z tak poważnego źródła. Tymczasem jednak zostają one potwierdzone najdosłowniej przez jednobrzmiące informacye „Gazety Polskiej“, „Czasu“ i t. d., a nie spotkały się dotychczas z żadnem rzeczowem zaprzeczeniem ze strony kompetentnych sfer żydowskich, zatem zdają się odpowiadać istotnemu stanowi rzeczy. Owóż, wobec podobnego stanu rzeczy, nie mając sami żadnej absolutnie możności bezpośredniego oddziaływania na nasz ogół żydowski, zamknięty dla nas na siedm pieczęci przez odrębności wyznaniowe, językowe, obyczajowe, musimy zwrócić się do naturalnych przewodników tego ogółu, do współobywateli naszych, żydów oświeconych i poczuwających się do prawdziwej solidarności ze społeczeństwem naszym, i zapytać ich nareszcie: jak oni właściwie pojmują, i, co główna, jak wykonywają poważne obowiązki, ciążące na nich względem własnychich współwyznawców, z punktu widzenia żywotnych interesów krajowych? Musimy pod ich adresem powtórzyć zapytanie „Słowa“: „Cóż inteligentni żydzi, których do naszego zaliczamy społeczeństwa i którym społeczeństwo polskie niejednokrotnie wybitne i ważne powierza stanowiska, czynią w interesie oświecania mas żydowskich w duchu uspołecznienia ich?“. Cóż właściwie, wobec tak żartkiej, energicznej, wszechstronnej, a tak niepokojąco rozrastającej się akcji syonistycznej, czynią ci naturalni, zdawało-by się, przeciwnicy syonizmu, bo naturalni reprezentanci ducha postępowego, oraz interesu i pojęć krajowych wśród żydów, w dziedzinie obyczajowej, religijnej, wychowawczej, wydawniczej, i wogóle w kierunku przyspieszenia jedynie zdrowej ewolucji ciemnych milionów żydostwa naszego w duchu porozumienia się i możliwego zespolenia z krajem i społeczeństwem naszym? Żudzić się nie należy: od odpowiedzi na te pytania zasadnicze, arcyważne i aktualne, w znacznym stopniu zależeć będzie cały dalszy obrót, jaki weźmie sprawa żydowska wogóle w środowisku społecznem polskiem.

Od dnia 21 sierpnia społeczeństwo polskie z silnie napiętą uwagą śledziło przebieg sprawy o Morskie Oko. Z niepokojem wyglądano końca rozpraw i wyroku, który miał orzec o przynależności spornego terytorium. Dziś należy to już do przeszłości. Wyrok zapadł, stał się prawomocnym i znany jest powszechnie. Sporne terytorium prawie w całości przyznane zostało Galicyi, a spór graniczny polsko-węgierski ukończony został raz na zawsze.

Sprawa ta ma swoją historję, której przedstawiać na tem miejscu nie możemy, raz, że wymagałoby to zbyt wiele miejsca, powtóre, że rozwój jej genetyczny w zarysach przynajmniej znany jest czytelnikom naszym. Pomijamy więc wszystko to, co poprzedziło zjazd do Gracu sądu polubownego, pomijamy także sprawozdanie z posiedzeń tego sądu. Pragniemy tylko podkreślić charakter sporu, który ma dla nas znaczenie większe, niżby to się na pozór zdawać mogło.

Ze stanowiska szerszego spór o niewielki szmat bezużytecznej ziemi, o trochę skał i trochę wody na trudno dostępnych wyżynach, wydawać się może dziwnym, a zaciętość, z jaką społeczeństwo polskie dopominało się o utrzymanie tego skrawka przy Galicyi — nie umotywowaną. Tak jednak mogli na sprawę patrzeć obcy. Dla nas nieco inaczej rzecz się przedstawiała. Społeczeństwu szło o zasadę nienaruszalności terytorium z dawien dawna polskiego i zasada ta stała po procesie twardo. Jest to też największy tryumf w całej sprawie, tryumf, jaki odnieśliśmy na forum międzynarodowem, broniąc swoich praw historycznych *posiadania*.

Głównemu rzecznikowi tych praw przed sądem rozjemczym, prof. d-owi Oswaldowi Balzerowi, który tyle pracy, sił i czasu, a nade wszystko tyle specjalnej wiedzy swojej i tyle uczucia obywatelskiego złożył w ofierze krajowi, przygotowując świetnie motywowaną obronę — należy się hołd i wdzięczność szczerą. Arbitrom austryackim: JE. Mniszkowi Tchórznickiemu i radcy Kornowi — uznanie za ich wysoką sumienność.

Ministryum oświaty rozesłało z początkiem roku szkolnego do kuratorów okręgów naukowych okólnik w niezmiernej wagi sprawie. Okólnik ten dotyczy uregulowania zajęć szkolnych oraz rozszerzenia zakresu ćwiczeń fizycznych w szkole średniej.

Według zawartych tam wskazówek, w celu zapobieżenia nadmiernemu znużeniu młodzieży szkolnej, rady pedagogiczne szkół średnich męskich i żeńskich, przedewszystkiem mają w tygodniach, gdzie niema żadnego święta, dawać uczniom jeden dzień rekreacyjny dla zwiedzania muzeów i t. p. rozrywek poważniejszych, stosownie do pory roku i warunków miejscowych. Takich dni rekreacyjnych ma być siedm w roku.

Następnie z uwagi na wpływ życia szkolnego na zdrowie ucznia i wynikającą ztąd potrzebę zasięgania opinii lekarza szkolnego, okólnik zaleca, aby lekarz, wzywany dotąd tylko na żądanie przewodniczącego rady pedagogicznej, na przyszłość brał udział we wszystkich posiedzeniach rady pedagogicznej z prawem głosu w każdej sprawie, wchodzącej w zakres jego kompetencji. Jest to ogromny krok naprzód w dziedzinie higieny zajęć i życia szkolnego.

W dalszym ciągu okólnik wypowiada się w sprawie rozkładu godzin, przerw międzygodzinnych, przygotowywania zadanych lekcji, dostarczania uczniom gorącego posiłku na śniadanie etc., t. j. w zakresie postulatów dawno już przez opinię publiczną szkole stawianych.

Na bliższą uwagę zasługują zalecenia ministerjum w kierunku rozszerzenia programu ćwiczeń fizycznych w szkole średniej.

Zasadniczym celem tych ćwiczeń — czytamy w okólniku — jest utrzymanie dostatecznego zapasu energii systemu nerwowego i mięśniowego, rozwój wytrzymałości, wyrobienie kształtności, lekkości i estetyki wszystkich ruchów, wreszcie zwinność, rozgarnięcie i rozumna pewność siebie. Rozwojowi tych właściwości najskuteczniej sprzyjają: gra ruchliwa w młodszych latach niektóre ćwiczenia gimnastyki wojskowej, dla młodzieży starszej zaś — ćwiczenia na przyrządach z zachowaniem wszelkiej ostrożności. Ćwiczenia te, za zezwoleniem lekarza, mogą być uprawiane i przez uczniów klas niższych. Odbywać się one powinny, tak, jak i gry — pod umiejętnem kierownictwem, o ile można na świeżem powietrzu, a w razie niepogody w odpowiednio urządzonych pomieszczeniach, nigdy zaś w ciasnych i zakurzonych klasach lub korytarzach, gdyż w ostatnim przypadku — zamiast pożytku — wyrządzają tylko szkodę zdrowiu i, jako takie, powinny być bezwarunkowo wykluczone z godzin szkolnych. Ćwiczenia odbywać się nadto powinny w środku dnia szkolnego i trwać pół godziny, nie należy zaś wyznaczać na nie godzin przed lekcjami lub po lekcjach, jak to najczęściej bywało dotąd.

Prócz powyższych, zaleca się jako zdrowe ćwiczenia fizyczne: ślizgawkę, pływanie i wiosłowanie, rower, fechtunek, pracę ręczną, tańce, śpiewy i muzykę. Co do wiosłowania, należy przyznać mło-

dzień do ostrożności i zobowiązać rodziców do baczenia nad tą rozrywką. Używania roweru pozwala się tylko za wiedzą lekarza, a fechtunku—jedynie dla klas wyższych. Przy pracy ręcznej lekarz szkolny powinien przestrzegać wszystkich warunków higienicznych. Władza szkolna powinna się starać o przyciąganie do lekcji tańców wszystkich uczniów klas niższych, a do śpiewu i muzyki każdego, kto posiada jakie takie uzdolnienie. W latach mutacyi głosu należy lekcji śpiewu zabronić.

Związane z powyższem wydatki mają być pokryte bądź z opłat uczniów, bądź ze specjalnych środków szkolnych, bądź wreszcie z ofiar dobrowolnych, o które władza szkolna może się starać u społeczeństwa miejscowego.

Wszystko, co powiedziano w okólniku o ćwiczeniach fizycznych, dotyczy oczywiście tylko dzieci zupełnie zdrowych. O udziale w nich jednostek słabowitych decyduje lekarz. Wogóle ćwiczenia te nie powinny mieć charakteru przymusowych, powinny zaś liczyć się z indywidualnością osobnika, oraz stanowić istotną rozrywkę, aby bawić, zajmować, nie nużyć i nie nudzać.

Od lekarzów szkolnych wymaga okólnik specjalnej wiedzy higienicznej i jako ważniejsze obowiązki zaleca im: dokonywanie stałych oględzin lekarskich wszystkich uczniów (a nowo wstępujących bezwarunkowo), nieustanne czuwanie nad stanem ich zdrowia, prowadzenie list sanitarnych każdego ucznia i opracowywanie rocznych sprawozdań o stanie zdrowotnym szkoły, dla przedstawienia ich kuratorowi okręgu naukowego. Szczególną troskliwość i energię wydatnić należy w wypadkach chorób zaraźliwych, usuwając wszelką styczność chorych osobników z klasą i na każdym kroku wściepiając w młodzieższkolną zasady ostrożności i dbałości o swoje zdrowie. Dla chorób oczu i zębów mogą być wzywani specjaliści za osobnem wynagrodzeniem.

Ostatni punkt okólnika omawia higienę lokalów szkolnych, które u nas zwłaszcza tak wiele pozostawiają do życzenia.

Wskazaliśmy tu tylko na głównejsze momenty tej odezwy urzędowej, która przed szkołą otwiera, rzecz można, nową erę. Hygiena święci tu swoje tryumfy i, o ile wskazówki i napomknienia, zawarte w okólniku, znajdą rozumnych i dobrych wykonawców, oddanych sprawie lekarzy i nauczycieli, to spodziewać się wolno poważnych z tej reformy wyników.

Przepisy nowe dotyczą jednak tylko szkoły średniej. Życiem fizykiem młodzieży uniwersyteckiej ministerium oświaty już się nie zajmuje. Zdawało-by się, że z chwilą otrzymania świadectwa dojrzałości, obowiązek ten ustaje. Tak jednak nie jest i zrozumiały to do-

brze i oddawna społeczeństwa inne: angielskie, niemieckie, francuskie i włoskie, które popierają ćwiczenia fizyczne wśród młodzieży wyższych zakładów naukowych i ułatwiają tej młodzieży zakładanie sportowych towarzystw. U nas przeciwnie, stowarzyszenia istniejące dla młodzieży uniwersyteckiej nie są dostępne, a własnych stowarzyszeń zakładać jej nie wolno. W jakiż więc sposób ma się rozwijać tyle chwalone wioślarstwo, fechtunek i cały szereg, t. zw. przez Anglików, „zabaw męskich“, którym poświęcają się ludzie dorośli narówni z młodzieżą? Siła mięśni i nerwów nie tylko wymaga doprowadzenia do pewnego stopnia rozwoju, ale wymaga także dalszego ćwiczenia, celem utrzymania raz nabytej sprawności, inaczej musi nastąpić przełom i powolne gnuśnienie. Młodzieniec, zaprawiony do ćwiczeń fizycznych w szkole średniej, powinien więc uprawiać je w ciągu dalszym w czasie pobytu w uniwersytecie, aby i w późniejszym życiu ich nie zaniechał. Dla tego też koniecznem uzupełnieniem obecnych zarządzeń wydaje nam się uposażenie i szkół wyższych z funduszu, przeznaczonego na sale gimnastyczne, tudzież na miejsca do gier i zabaw na wolnem powietrzu. Pożądaniem było-by również zezwolenie młodzieży na zapisywanie się do towarzystw sportowych, a pożytek będzie z tego obustronny, bo, korzystając z urządzeń klubowych, młodzież przysporzy klubom sportowym życia i ochoty, których brak dzisiaj niejednemu stowarzyszeniu.

Sądzimy, że reforma w tym kierunku jest równie pilną i doniosłą, jak zaprowadzenie ćwiczeń fizycznych w szkole średniej, na której bynajmniej wychowanie się nie kończy.

Poruszyliśmy w poprzednim zeszycie sprawę tandety wydawnictw religijnych. Obecnie pragniemy pomówić o tandecie *podręczników szkolnych*, opierając się na fachowem zdaniu w tym przedmiocie prof. Floryana Łagowskiego. Mamy właśnie przed sobą jego artykuł, zamieszczony w tej kwestyi w „Przeglądzie pedagogicznym.“

Powołując się na przeszłość i charakteryzując główne kierunki reform szkolnych za czasów Konarskiego i komisji edukacyjnej, przechodzi prof. Łagowski w dalszym ciągu swego artykułu do potrzeb czasów dzisiejszych. Z porównania przeszłości z teraźniejszością, zdaniem jego, wynika, że podobnie teraz, jak dawniej, szuka się środków zapobieżenia złemu i nie spotyka się sposobów innych nad te, jakich dawniej używano. I dzisiaj—nie tylko u nas, ale prawie wszędzie słyszy się: trzeba zachęcać zdolnych ludzi, aby się peda-

gogii poświęcali; trzeba starać się o dobre podręczniki, trzeba jak najlepsze metody oznaczyć. Różnica polega atoli na tem, że kiedy w przeszłości ogarniał ludzi zapał, była usilność i wytrwałość, dzisiaj widzi się opieszałość, brak silnej woli do czynu, a w wielu razach spotyka się z niejasnością pojęć, z bałamuctwem i gawędziarstwem ludzi, mających pretensye do wyrokowania o rzeczach, na których nie znają się w istocie, a których studyować się im nie chce.

Weźmy chociażby samą tylko sprawę dobrych podręczników szkolnych. Komarski pisywał je sam, lub ktoś wybrany pod jego kierunkiem. Komisya edukacyjna utworzyła specjalne „Towarzystwo dla ksiąg elementarnych.“ Nie docenia się zwykle poświęcenia członków tego Towarzystwa, bo i na czele jego i w gronie jego znajdowali się ludzie, początkowo nieobeznani z fachem, ale przez poczucie obowiązku i ważności jego—porzucający inne prace, do których zamiłowanie ich ciągnęło, i z zapałem studyjący te nowe zadania, jakie potrzeba kraju na nich wkładała. Widzimy też w gronie tego Towarzystwa nietylko pedagogów z zawodu, ale i dygnitarzy państwa, duchownych i świeckich, uczonych, jak np. Ignacy Potocki, Kołłątaj, Hołowczyc, Piramowicz, Sierakowski, Kopeczyński i inni. Zadaniem ich było wywoływać pożądane prace, a potem rozpatrywać i wybrane wydawać. Komisya skreśliła ogólny plan takich podręczników, oparty na najnowszych wynikach pedagogiki i wezwwała ludzi, pracujących na tem polu tak w kraju, jak za granicą, wyznaczając znaczne, jak na owe czasy, wynagrodzenia. Książki takie, nadsyłane na konkurs, mogły być pisane w języku polskim, łacińskim lub francuskim. Książka pisana w języku obcym, tłumaczona była na polski pod kierunkiem komisji. Autor połowę książki miał poświęcić na wykład danego przedmiotu, połowę na wykład jego metodyki. Plon Towarzystwa był dość obfity i zdobyto od cudzoziemców Condillac'a i Lhuillier'a znakomite na owe czasy podręczniki („Logikę“ pierwszego, „Arytmetykę“ i „Geometrię“ drugiego). Ułożono przy udziale sił miejscowych „Elementarz dla szkół parafialnych narodowych“, który mógł współzawodniczyć z najlepszymi elementarzami w Europie, ułożono wspólnie „Wypisy z autorów łacińskich“, Kopeczyński napisał „Gramatykę polską i jej metodykę“, Kajetan Skrzetuski dał podręcznik do historii powszechnej, Wincenty Skrzetuski wyłożył „Zasady prawa politycznego polskiego“, Popławski „Naukę moralną“, Koźmiński „Słownik łacińsko-polski“, Piramowicz „Naukę poezji“ i t. d.

Były oczywiście i luki, zwłaszcza w dziedzinie nauk przyrodniczych, ale były przynajmniej starania o ich zapewnienie, były gorące zabiegi, dobra wola i chęć obywatelskiego służenia sprawie.

A dzisiaj co?

Co chwila, mówi autor artykułu, czyta się o nowym podręczniku, wydany przez taką firmę, napisany przez takiego pana, a szczególnie przez taką panią. Tylko—ile pomiędzy nimi jest takich, których pojawienie się można-by umotywować czem innem, jak tylko tem, że niema dobrych; ile jest takich, które względna nawet krytykę wytrzymać zdołają? Odpowiedź na te pytania wypadnie bardzo smutna, ale przyczyny tego smutnego zjawiska są bardzo naturalne, a wydawcy i piszący przedewszystkiem liczyć się z niemi powinni.

Oto—trzeba najprzód uwierzyć, że napisanie dobrego podręcznika szkolnego jest rzeczą bardzo trudną, że nie tylko trzeba do tego znać jak najdokładniej przedmiot naukowy, o którym się pisze, ale—trzeba mieć w swoim rodzaju talent: to odczucie umysłu dzieci, młodzieży w danym momencie czy stopniu rozwoju, tę konsekwencyę niezwykłą w stopniowaniu trudności, tę jasność w wykładzie—przymioty, któremi tylko wybrani się odznaczają. Doświadczenie wykazuje, że i bardzo uczeni, i na innym polu zdolni, utalentowani—dobrych podręczników pisać nie umieją.

Aby zapobiedz rozpowszechnianiu się lichych książek, podręczników, pisanych na zamówienie wydawcy i przez tego ostatniego przyjmowanych bezkrytycznie, aby rozwieleniowaniu się tandety w tym kierunku na targu księgarskim postawić tamę, należało-by, zdaniem prof. Łagowskiego, ustanowić jakąś naukową, fachową kontrolę nad wydawnictwami tego rodzaju, zanim ukażą się one w druku. Kontroli mogła-by się podjąć redakcyja „Przeglądu pedagogicznego“, jako najważniejszego organu w dziedzinie wychowawczej.

Trudno jednak wymagać od redakcyi, aby jakiegokolwiek formalne w tym względzie przyjęła na siebie zobowiązanie. Czytanie rękopisów wogóle, to praca bardzo zmudna, a cóż dopiero ocenianie ich krytyczne ze stanowiska wartości naukowej? Na to potrzeba już środków. Prof. Łagowski proponuje więc autorom, którzy-by rękopisy swoje do oceny przedstawili, składanie ofiar na rzecz świeżo zawiązanej kasy nauczycielskiej. Nie sądzimy jednak, aby to było wystarczające, bo trudno od ludzi i tak pracą obarczonych, żądać bezinteresownego odczytywania prawdziwie nieraz hieroglificznych elaboratów cudzych.

Zdaje nam się, że było-by o wiele racjonalniej, gdyby całą tą sprawą zajęła się Kasa nauczycielska, powołując w swem łonie do bytu specjalną komisję wydawniczą, złożoną z ludzi fachowo wykształconych. W tym wypadku koszt, wynikający z kontroli i oceny, ponosiła-by instytucya zbiorowa, a zatem nie były-by one tak dotkliwe dla jednostek, nadto zaś w pewnej mierze mogło-by to także ochronić

autorów przed wyzyskiem księgarzy, komisya taka bowiem kwalifikując książkę do druku, mogła-by zarazem traktować z wydawcą o warunkach jej wydania, gdy obecnie targ odbywa się w cztery oczy i autor, przyciśnięty do muru, ustępuje coraz bardziej, wydawca zaś, rzecz naturalna, pragnie wydatek swój ograniczyć do minimum i więcej mu chodzi o to, aby kupić tanio, niż o to, aby wydać pracę, istotną posiadającą wartość.

To samo, co prof. Łagowski mówi o podręcznikach szkolnych — z pewną odmianą można zastosować także do licznych u nas wydawnictw popularno-naukowych. I tutaj decyduje taniość roboty, a stąd rozmaite streszczenia, kompilacje, wykłady itd., dokonywane są przez ludzi zupełnie do tego niepowołanych. Tłómaczenia z języków obcych uskuteczniają naprzykład osoby znające tylko język, a nie znające wcale przedmiotu, którego dana praca dotyczy. Oczywiście cały szereg pojęć i mnóstwo wyrażen ścisłych zostaje tu oddane w sposób fałszywy, ze szkodą dla czytelników, ślepo ufających drukowanemu słowu. Niestety jednak, w tej dziedzinie nie można ustanowić nawet takiej kontroli, jaką prof. Łagowski proponuje dla podręczników szkolnych. A czas wypowiedzieć walkę tandecie we wszelkich jej formach i postaciach.

Politechnika warszawska wkrótce pozyskać ma nowy wydział. Będzie nim wydział górniczy.

Według informacyi urzędowych wydział ten posiadać ma cztery kursy, na których wykładane będą następujące przedmioty: wyższa matematyka, chemia, fizyka, elektrotechnika, krytalografia, petrografia, geologia, nauka o miejscach bogatych w kruszcze, metalografia, paleontologia, botanika, zoologia, niższa geodozja, sztuka markszajderska, mechanika teoretyczna, stosowana, metalurgiczna i budowlana, architektura, górnictwo, metalurgia, analiza metalurgiczna, technologia metalów, geometrya wykreślna, kreślenie, rysunki, ekonomia polityczna, statystyka górnicza, leśnictwo, meteorologia, koleje, prawo górnicze, rachunkowość, gospodarstwo i administracya górnicza, higiena i pomoc w nieszczęśliwych wypadkach. Wykłady przedmiotów tych połączone będą z ćwiczeniami, opracowywaniem projektów i zajęciami praktycznemi. Zajęcia te odbywać się mają w urządzeniach naukowych pomocniczych, z których utworzone będą: laboratorium górniczo-mechaniczne, laboratorium i gabinet górnictwa, gabinet markszajderski, laboratoria: metalurgiczne, elek-

tro-metalurgiczne i dla analiz metalurgicznych, gabinet metalurgiczno-petrograficzny, gabinet i laboratorium paleontologo-geologiczne, wreszcie—gabinet metalograficzny.

Do wykładów powyższych utworzonych będzie 5 katedr zwyczajnych i 4 nadzwyczajne, a mianowicie: dla matematyki 1, dla chemii 1, dla geologii 2, dla mechaniki stosowanej 1, mechaniki metalurgicznej 1, dla ekonomii politycznej 1, dla górnictwa 1 i dla metalurgii 1.

Minister skarbu otrzymał prawo mianowania profesorów z pośród osób, wykładających w wyższych zakładach naukowych lub też tych, które zdobyły rozgłos na polu danej specjalności. Dyrektor politechniki zaś mianować będzie kierowników gabinetów z pośród wychowalców wyższych zakładów naukowych rosyjskich, tudzież zamianuje mechanika dla gabinetu fizycznego.

Kończący wydział górniczy w politechnice warszawskiej otrzymywać będą stopień inżyniera górniczego z prawem zarządzania kopalniami, szybami i t. p. przedsięwzięciami górniczymi, dokonywania studyów i poszukiwań pokładów kruszczowych, zarządzania fabrykami, budowy gmachów kopalnianych i fabrycznych i wogóle robót budowlanych z zakresu tej gałęzi przemysłu.

Z chwilą otwarcia wydziału górniczego etat politechniki warszawskiej powiększy się o 8-ch profesorów zwyczajnych, 4-ch nadzwyczajnych, dziekana, sekretarza, 4-ch starszych i 4-ch młodszych laborantów, 2-ch kierowników gabinetów z prawami VIII klasy i 1,200 rubli pensyi, mechanika gabinetu fizycznego z pensją 1,000 rubli.

Na pensye dla osób zajmujących posady wymienione rozkazano wyasygnować sumę 30,000 rb. rocznie, a oprócz tego 1,200 na stypendystów, 3,000 rb. na laboratorium chemiczne i technologiczne, 2,000 rb. na wycieczki letnie, 500 na podróże naukowe, 1,000 na bibliotekę, 2,000 na pisma i druki, 500 na kancelaryę, 10,000 na ogrzewanie i wodociągi, 2,000 na służbę niższą, 1,500 na pozostałe wydatki, oraz 14,500 na utrzymanie gabinetów, laboratoryów i praktyczne zajęcia geologiczne.

Na ukończenie budowy i urządzenia politechniki warszawskiej rozkazano nadto wyasygnować: w r. 1902 — 400,000 rb., w r. 1903 — 420,000 rubli, w r. 1904 — 39,000 rb., w r. 1905 — 56,000 rb. i w r. 1906 — 25,000 rubli, na utrzymanie zaś wydziału górniczego: w r. 1903 — 12,300 rb.; w r. 1904 — 31,850 rb.; w r. 1905 — 46,775; w r. 1906 — 71,275 rb. i zaczynając od 1907 po 93,350 rb. Niezależnie od tego na przygotowanie kompletu profesorów przeznaczają się na r. 1903 i 1904 po 7,200 rb. rocznie.

Powstanie tego nowego wydziału niewątpliwie odbije się w przyszłości dodatnio na rozwoju naszego przemysłu górniczego i na szerszej eksploatacji bogactw mineralnych kraju, które dotychczas częściowo zaledwie są nam znane.

Przygotowanie zastępu sił technicznych, wykształconych na miejscu i już w okresie studyów przy pomocy projektowanych wycieczek naukowych zapoznających się z warunkami pracy w tej dziedzinie, popchnąć winno przedewszystkiem naprzód sprawę dokładnego zbadania kraju pod względem mineralogicznym i otworzyć nowe źródła produkcyi, bądź w okolicach nieznanych jeszcze, bądź w miejscowościach, o których na podstawie wskazówek historycznych wnosić można, że zawierają bogactwa kruszcowe. Do takich miejscowości należy naprzykład Miedziana góra w Kieleckiem i dawna Olkuska kopalnia srebra. Poza tem wydział górniczy politechniki warszawskiej pozwala wnosić, że powoli krajowe siły wyprą zagranicznych przybyszów z Zagłębia Dąbrowskiego i innych środowisk naszego przemysłu górniczego. A czas już na to wielki.

Niejednokrotnie już pisaliśmy na tem miejscu o smutnem położeniu Warszawy, która posiada za mało parków i przestrzeni zadrzewionych, aby dostarczyć mogła zieleni i powietrza mieszkańcom swoim, zamkniętym w ciasnocie i zaduchu ulic szarych, jednostajnych, wązkich i nie posiadających przewiewu, ani od strony rzeki, ani od pól zamiejskich. Nawet placów obszerniejszych w Warszawie niema, a ludność jej tymczasem wzrasta szybko i zbliżając się ku okrągłej cyfrze miliona, woła coraz głośniej o przestrzeń, o miejsce do spacerów i wypoczynku po pracy. Jest wprawdzie Saska Kępa, ale połączenie jej z Warszawą i właściwe urządzenie, odpowiadające wymaganiom nowożytnym—to jeszcze muzyka przyszłości, zależna nie tyle od nowego mostu, ile od ostatecznego i rzeczywistego uregulowania koryta Wisły. Tymczasem—potrzeba jest pilna i zadośćuczynienia jej nie można odkładać na lata całe. Trzeba myśleć już dzisiaj o stworzeniu parków zamiejskich, które-by powoli pierścieniem okoliły miasto.

Z ogrodów w obrębie Warszawy skwitować musimy. Na to już niema rady.

Pozostają nam tylko bliższe i dalsze okolice, dające się w tym celu zużytkować i tu jednak spieszyć się trzeba i nie opuścić żadnej ku temu sposobności, aby zawczasu ziemię potrzebną nabyć i nie cze-

kać, aż ją spekulacja wyśrubuje do maximum. Taką sposobność ma Warszawa obecnie i jeśli z niej nie skorzysta — popełni błąd nie do darowania.

Oto, jak się dowiadujemy, właściciel Wierzbna za rogatką belwederską zaproponował magistratowi nabycie 107 mórg ziemi z tej posiadłości. Bliskość Warszawy i położenie tej miejscowości czynią z niej doskonały teren pod rozległy park spacerowy — taki właśnie, jakiego brak dotkliwie odczuwamy. Przy odpowiednim połączeniu tramwajowem mogło-by się Wierzbno stać prawdziwą ucieczką mieszkańców Warszawy, zwłaszcza w świąteczne dni letnie. Założony tam park, przecięty drogami szosowymi do jazdy kołowej, zadrzewiony umiejętnie, opatrzonej w restaurację, posiadający boiska do zabaw dla dzieci, do gry w krokieta i w lawn-tennisa, a w dodatku rozrzucony na przestrzeni z górą trzech włók ziemi — niewątpliwie byłby z czasem najulubieńszem miejscem wycieczek poobiednich całej Warszawy, tam skierowała-by się tłumna fala spacerowiczów, zalegająca obecnie chodniki w Alejach Ujazdowskich, tam węzem pociągnął-by korowód powozów i dorożek. Powoli droga ku parkowi (a musiała-by nią być szeroka, wysadzona drzewami aleja) — zamieniła-by się w ulicę, zabudowaną pięknymi willami, których w Warszawie niema już dzisiaj gdzie budować, bo nawet z Alei Ujazdowskiej wypierają je powoli domy dochodowe. A jest w Warszawie dosyć ludzi zamożnych, którzy-by chętnie podmiejskie wznosili sobie siedziby, przestronniejsze od wynajmowanych za drogie pieniądze mieszkań, otoczone ogródkami, tonące w zieleni i kwiatach. Jest także cały zastęp ludzi pracujących, których z śródmieściem wiąże tylko zajęcie kilkogodzinne, a którzy poza tem bardzo chętnie mieszkali-by gdzieś dalej, czy to budując własne domki, czy wynajmując je za niedrogie pieniądze. Potrzeba im tylko zapewnić tanią, wygodną i punktualną komunikację, potrzeba im dać warunki możliwej egzystencji, która, nie zrywając ciągłego a niezbędnego czucia z miastem, ciągnęła-by ich jednocześnie ku sobie urokiem większej swobody, trzeba im, jednym słowem, ofiarować to, co Berlin i Paryż oddawna już ofiarowały swoim sferom urzędniczym.

Wtedy łatwo i szybko powstanie dzielnica nowa, taka właśnie, jakiej w Warszawie brak, a jaka ze wszechmiar była-by dla niej, jako dla wielkiego miasta, pożądana; wtedy powstanie przedmieście — nieodstręczające od siebie brudem i niechlujstwem nędzy, którą przytula, ale wesołe, jasne i zdrowe, położone w dodatku w bliskości parku, który w niejednej rodzinie średniozamożnej zastąpi doskonale wyjazd na letnie mieszkanie, połączony dziś z coraz większymi trudnościami, bo coraz kosztowniejszy.

Z tych względów sądzimy, że miasto niepowinno się wahać z nabyciem proponowanego mu obszaru, zwłaszcza, że leży on w stronie, ku której Warszawę prze naturalna siła jej rozwoju i gdzie na przestrzemi kilku wiorst jeszcze nie będą jej krępowały rygory forteczne. Koszt nabycia tej ziemi będzie niewątpliwie znaczny, ale w przyszłości w pewnej mierze pokryć go może dochód z rozprzedaży placów, wykrojonych pod wille, a zresztą, idzie tu o przyszłość miasta, i to jest najważniejszy wzgląd, który skłonić powinien magistrat do poważnego traktowania złożonej mu oferty.

P. E. M. w „Gazecie Polskiej” poruszył przed niedawnym czasem sprawę uczczenia pamięci ś. p. Adolfa Dygasińskiego. W odpowiedzi na to wezwanie, pp. Antoni Sygietyński i Stanisław Mieczynski wyjaśnili publicznie, że garstka przyjaciół zmarłego pisarza pomyślała już o tem, że mianowicie: wniesiono już do właściwej władzy podanie o uzyskanie pozwolenia na zbieranie składek celem postawienia nagrobka na Powązkach, że—postanowiono wydać w jednym tomie wybór nowel Dygasińskiego, a zyski ewentualne stąd osiągnięte przeznaczyć na korzyść pozostałej po nim córki, że zamierzony jest również druk wyboru artykułów i rozpraw treści pedagogicznej, wreszcie, że opracowane i ogłoszone będzie również studyum osobne o Dygasińskim.

Co do „stypendyum przy kasie literackiej”, do utworzenia którego p. E. M. nawoływał, to pp. Sygietyński Mieczynski uznają to za rzecz tej instytucji.

Nie wiemy, czy kasa literacka posiada wogóle prawo na erygowanie takich stypendyów, to pewna jednak, że myśl w zasadzie jest dobra i na bliższą zasługuje uwagę, o ile bowiem młodzież kształcąca się w rozmaitych zawodach korzysta z nielicznych, ale, bądź co bądź, istniejących funduszków publicznych, o tyle młodzież, poświęcająca się literaturze, wyjątkowo tylko otrzymuje zasilki na podróże naukowe i studia specjalne za granicą. Pięknie było-by więc początek koniecznej akcji w kierunku wzmożenia środków, przeznaczonych na pomoc naukową młodym literatom, związać z nazwiskiem tak zasłużonego na polu piśmiennictwa autora, jak ś. p. Dygasiński. Nie wątpimy, że gdyby projekt takiego stypendyum dojrzał — społeczeństwo chętnie pośpieszyło-by z datkami na ten cel, była-by to bowiem najwłaściwsza forma uczczenia pamięci zasłużonego pisarza i dobrego

człowieka. Komitet kasy literackiej powinien więc wypowiedzieć się w tym względzie i zawiadomić ogół o tem, czy tworzenie stypendyów przy tej instytucji jest możliwe.

Dnia 23 sierpnia r. b. zmarł w Warszawie ś. p. Sokrates Starynkiewicz, były prezydent miasta, człowiek niezwykle zasłużony na stanowisku, które zajmował, inicjator wielu pożytecznych przedsięwzięć, światły i sumienny kierownik spraw, jego pieczy powierzonych, działacz, któremu Warszawa w niejednym względzie swój rozwój dziśszy zawdzięcza.

Imię jego było też bardzo popularne w społeczeństwie naszym, a hołd, jaki społeczeństwo to złożyło pamięci zmarłego, biorąc liczny udział w jego pogrzebie, świadczy wymownie o wysokim stopniu uznania i szacunku powszechnego, jakim się cieszył.

Ś. p. Starynkiewicz objął urząd prezydenta miasta Warszawy w roku 1875 za generał-gubernatora Kotzebuego, opuścił go zaś po latach 16, to jest dopiero w roku 1892 za generał - gubernatora Hurki.

Jest to krótki stosunkowo okres czasu, jeżeli wziąć pod uwagę liczne dokonane w nim dzieła. W okresie tym Warszawa pozyskała przedewszystkiem kanalizację i wodociągi, te dwa kardynalne urządzenia, bez których wielkie miasto istnieć nie może, a które stały się punktem wyjścia dla wszystkich projektów późniejszych, mających na celu uzdrowotnienie miasta. Obok kanalizacji postawić należy komunikację tramwajową, która w tym samym mniej więcej czasie zaprowadzona została.

Starynkiewiczowi również zawdzięcza Warszawa bruki i chodniki ulepszone, pomysł budowy centralnych hal targowych, rozszerzenie granic terytoryalnych przez przyłączenie przedmieść prawego brzegu Wisły. Za jego zarządu miastem rozszerzono ulicę Trębacką, przedłużono ulicę Miodową, utworzono dwie nowe ulice: Hortensyę i Foksał, dziś jedną z najpiękniejszych, zaprowadzono telefony, wzmocniono oświetlenie gazowe. Jego staraniom zawdzięczać także należy wyjednanie funduszu na wykończenie kościoła Wszystkich Świętych i na odnowienie kościołów: św. Jana i św. Anny, zawiązanie komitetu do naprawy posągu króla Zygmunta III na placu Zamkowym. Z jego inicjatywy zarządzony został spis jednodniowy ludności w roku 1882 i spis sanitarny w r. 1891, regulacja Wisły pod

Warszawą, utworzenie komitetu plantacyjnego i uporządkowanie ogrodów i parków.

Nie wyliczamy tu rzeczy drobniejszych, nie podnosimy ciąglej, ustawicznej myśli o wszystkim, co dotyczyło miasta i jego interesów. Długi, podany tu spis rzeczy i przedsięwzięć wielkich maluje nam już dostatecznie zasługi byłego prezydenta.

Był on na tem stanowisku bez zarzutu, a jak obowiązki swoje pojmował i w jakim duchu wypełniać je pragnął, o tem świadczą najlepiej jego własne słowa, wypowiedziane w r. 1892 do radnych magistratu przy pożegnaniu w dniu 20 września.

— Wiadomo wam, panowie — mówił ś. p. Starynkiewicz — że będąc w służbie pracowałem wiele, niejednokrotnie aż do wyczerpania sił. Wiadomo wam też, że obowiązki służbowe bywają niekiedy ciężkie i wymagające ofiar. Dlatego dziś, gdy przy schyłku życia mego otrzymałem uwolnienie ze służby, moglibyście przez współczucie dla mnie winszować mi tego spoczynku, gdyby nie było wam wiadomem, że służba dawała mi dużo szczęścia. Dla każdego, bez wątpienia, służba posiada swoje przyjemne strony, już jako pole do działania, już to jako zadośćuczynienie ambicyi, wreszcie jako istotne zwiększenie środków do życia. Nasza wszakże służba magistracka ma jeszcze jedną pociągającą stronę, dla której zapomina się o wszystkich przykrościach, gdyż w niej ważną rolę gra serce. Głównym celem naszej służby jest zapewnienie mieszkańcom miasta jak największej ilości wygod i pożytków, to jest pożytków takiego rodzaju, które niewątpliwie odpowiadają powszechnemu życzeniu. Przy spełnianiu podobnych obowiązków służby należy wnikać w myśl społeczeństwa, pomagać prawidłowemu wytworzeniu się opinii publicznej w sprawach gospodarki miejskiej, a poza tem potrzeba już tylko sumienności i konsekwencji w działaniu, ażeby wyrobiły się pomiędzy urzędnikami, a społeczeństwem dobre, jakoby rodzinne stosunki, przy których o przykrościach i ofiarach nie może być mowy. Wówczas współpracownicy w służbie, złączeni między sobą nie tylko swemi regulaminami, nie tylko ogólnym celem, ale i wspólnem dla wszystkich uczuciem, stają się jeden względem drugiego sercem pokrewnymi ludźmi. Dla tego bolesnem dla mnie jest rozstanie z wami, równie jak i z miastem. Miałem nadzieję umrzeć na dotychczasowem stanowisku, lecz zbrakło mi sił...

Ś. p. Starynkiewicz czynił tak, jak mówił. Nie polegał nigdy wyłącznie na sobie, nie korzystał z przysługującej mu kompetencji i władzy, kiedy szło o sprawy mające szersze znaczenie, ale starał się wówczas „pomagać prawidłowemu wytworzeniu opinii publicznej” i w tym celu zasięgał rady ogółu, czy to tworząc komitety oby-

watelskie, czy za pomocą prasy wyświetlając niektóre sprawy miejskie.

W takich razach chętnie brał pióro do ręki i pisał: „O sposobach zmniejszenia wydatków na utrzymanie policji w Warszawie;” „O kościele Wszystkich Świętych na Grzybowie;” „O bulwarze nad Wisłą;” „W sprawie zaprowiantowania Warszawy;” „W sprawie braku wody” itd.

Artykuły te zamieszczał w „Kurjerze Warszawskim”, a nie miały one charakteru komunikatów, ale były gruntownem, obiektywnem przedstawieniem rzeczy, rozważonej głęboko i oświetlonej wszechstronnie.

Takim był b. prezydent m. Warszawy, ś. p. Sokrates Starynkiewicz. Nie dziw, że zyskał sobie sympatyę ludności miasta, bo z nią razem to miasto ukochał i nad jego rozwojem pracował. Człowiek szlachetny i rozumny łączył się w nim z wzorowym i biegłym administratorem.

Cześć jego pamięci!

Dnia 23 września r. b. zmarł w Wiesbadenie ś. p. Franciszek Salezy Lewental, jeden z najruchliwszych i najwięcej zasłużonych wydawców polskich.

Urodzony w r. 1839 w Warszawie, działalność swoją rozpoczął ś. p. Lewental, przed laty mniej więcej czterdziestu, obejmując słynną w Warszawie drukarnię po J. Glücksbergu. Rzutki, energiczny, sumienny, a nadewszystko obeznany gruntownie z ruchem literackim, młody naówczas wydawca w krótkim stosunkowo czasie zdołał pchnąć firmę na tory poważnego rozwoju.

Przedsięwzięciom jego towarzyszyło uznanie, bo były pożyteczne, powodzenie — bo liczyły się z potrzebami i możliwością ogółu. A były to przedsięwzięcia rozmaite — od skromnych przedruków poczynając, aż do wydawnictw na wielką obliczonych skalę.

Nie będziemy tu wyliczali wszystkiego, wskażemy tylko na najważniejsze momenty w pracy wydawniczej zmarłego. I tak przede wszystkim powołał Lewental do bytu tygodnik obrazkowy „Kłosa,” który wychodził od 1865 do 1890, a skupiając w sobie najlepsze siły literackie, krzewił zarazem piękno plastyczne, przy pomocy rozwijającego się wówczas pomyślnie w kraju drzeworytnictwa. Kierunek tego pisma spoczywał od 1875 aż do końca w wytrawnych rękach Adama Pługa (Ant. Pietkiewicza), a roczniki jego mają dziś niepoślednią wartość biblio-

graficzną. Obok „Kłosów w okresie od r. 1871 do 1900, wydawał Lewental, „Tygodnik romansów i powieści“ (pod kierunkiem Kazimierza Kaszewskiego); od r. 1874 do 1901 „Bibliotekę najcelniejszych utworów literatury europejskiej“ (pod kierunkiem Piotra Chmielowskiego); w latach 1881—2 „Świt,“ pismo dla kobiet (pod kierunkiem Maryi Konopnickiej); od r. 1887 wreszcie zmarły był współwłaścicielem „Kuryera Warszawskiego“.

Nadto ś. p. Lewental wydał zbiorowe dzieła Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Józefa Kremera, Krasickiego, cały szereg powieści Kraszewskiego, tanie wydanie dzieł Elizy Orzeszkowej i Bałuckiego, wielkie „Album Jana Matejki“ i mnóstwo utworów ilustrowanych powieściowych i poetyckich. Wszystko to stanowi poważną zasługę na polu rozbudzenia czytelnictwa.

Jako obywatel zaznaczył ś. p. Lewental nieraz rozumienie interesów i potrzeb kraju; jako człowiek bogaty, spieszył chętnie z pomocą materyalną tam, gdzie jej było potrzeba.

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. — Dnia 10 lipca 1902 roku odbyło się posiedzenie *Komisji historii sztuki* pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego.

Przewodniczący podniósł najprzód konieczną potrzebę podjęcia wydawnictwa sztuki ludowej, uwzględniającego nie tylko ozdobnictwo, ale przede wszystkim tak ważne, a tak mało dotychczas zbadane budownictwo ludowe — i w tym celu zaproponował wybór osobnej komisji, która-by w porozumieniu z komisją antropologiczną opracowała program wspomnianej publikacji. W toku dyskusji zaznaczyli p. Lepszy i prof. Bieńkowski, że komisja antropologiczna przystąpiła już do podobnego wydawnictwa — mającego obejmując jednak tylko ornamentykę i ubiory ludowe, z pominięciem natomiast architektury ludowej, o której wspomniał przewodniczący.

Po wyjaśnieniu ze strony przewodniczącego, że wniosek jego zmierza właśnie do oparcia całego wydawnictwa na szerszych podstawach, wybrało do projektowanej przez wnioskodawcę komisji: pp. Lepszego i Puszcza.

Prof. dr Jerzy hr. M y c i e l s k i — streścił następnie rozprawę swą pod tytułem: „Mistrz Rembrandta i jego nieznaną obraz w Polsce”. Naukowe badania nad nauczycielami malarstwa wielkich artystów znajdują się dziś w pełnym rozwoju, a w nich gra również ważną rolę osobistość Piotra Lastmana (1583—1633), u którego w roku 1624 bawił na nauce w Amsterdamie ośmastoletni Rembrandt. Bode, a za nim Emil Michel, Bredius, de Rosener, poświęcili mu wyczerpujące studia, z których, w ciągu lat ostatnich, padło całkiem nowe światło na twórczość tego „italianisty”, rodem z Amsterdamu, który, po czteroletnich studiach w Rzymie, oparty tam o wzory Elsheimera i Carravaggia, wrócił w roku 1607 do Hollandyi, i aż do śmierci w roku 1633 tworzył tam bardzo przez współczesnych podziwiane obrazy religijne i mitologiczne. Najważniejsze jego utwory, datowane od roku 1609 do 1629, znaj-

dają się w muzeach Brunszwiku, Augsburga, Stockholmu, Hagi, Amsterdamu i Haarlemu, oraz w zbiorach prywatnych senatora Siemionowa w Petersburgu i br. Moltke w Kopenhadze. Każdy z tych obrazów nosi na sobie cechy charakterystyczne twórczości malarza, ale każdy też ma na sobie znaczne wady, jak przeładowanie akcesoryami, brak harmonii w krzykliwym kolorystyce, przepełnienie postaciami. Jednym z najgłośniejszych obrazów Lastmana, który w połowie wieku XVII malował do słynnego zbioru burmistrza, Jana Sixa, przyjaciela Rembrandta por. 1640, a który stamtąd następnie zupełnie zaginął, była „Ofiara w Lystrze“. Najsłynniejszy poeta Hollandyi wieku XVII, Justus Vondel (1587 — 1679), napisał długi wiersz pochwalny na to wyjątkowe dzieło sztuki, mały poemat, który znajduje się do dziś dnia w archiwum rodzinnem Sixów w Amsterdamie. Otóż głośny ten utwór Lastmana odnalazł referent w Polsce: należy on do znakomitych zbiorów hr. Henryka Steckiego w Romanowie na Wołyniu, a darowany został pod sam koniec XVIII wieku przez cesarza Pawła senatorowi Ilińskiemu wraz z całą bogatą kolekcją dzieł sztuki po Katarzynie II i od wieku już przeszło należy do romanowskiej galeryi. Referent, opisawszy następnie obraz i podawszy jego treść, zaczerpniętą z Dziejów Apostolskich, mianowicie z podróży świętego Pawła i Barnaby po Azji Mniejszej, którym pogańscy mieszkańcy Lystry ofiary jak bogom składać chcieli, a który-to temat już Rafael w jednym ze swych kartonów do watykańskich arazzów tak wspaniale był wyzyskał, przedstawił sam oryginał tego niezwykłego dzieła sztuki. Nosi ono włoski podpis artysty i datę roku 1614, i jest stanowczo najlepszym ze znanych dotąd utworów Lastmana. Odnalezienie tego obrazu wypełnia znaczną lukę w całej twórczości Lastmana, i jest stąd ważnym faktem dla badań nad sztuką Hollandyi wieku XVII.

Z kolei mówił p. C e r c h a o udziale mistrza Serwacego przy wykonaniu kraty kaplicy Zygmuntowskiej, ilustrując rzecz szeregiem odlewów gipsowych z płaskorzeźb tego zabytku. — Zdaniem referenta, starannie wykonane nielle w części górnej kraty są kompozycją autora rysunku kraty, malarza Sebalda, mniej piękne zaś płaskorzeźby stylobatów, zebrane z różnych, między nimi i Vischerowskich matryc, dziełem Serwacego, który był tylko majstrem-bronzownikiem i „wykonawcą pomysłów malarza“. Referent przedstawił następnie odlew gipsowy z medalionu, znajdującego się na grobowcu Anny Jagiellonki, a wyobrażającego świętą Annę Samotrzecią, oraz okazał rysunek odkrytego przez siebie na pomniku Zebrzydowskiego w Katedrze wawelskiej, znaku kamieniarskiego, którego zestawienie z identycznym gmerkiem na kamieniu, umieszczonym niegdyś w szczycie kopuły kaplicy Potockich, budowanej w roku 1575 przez Jana Michałowicza z Urzędowa, pozwala grobowiec Zebrzydowskiego przypisać temu samemu rzeźbiarzowi. Przewodniczący zauważył, że zdeterminowanie grobowca Zebrzydowskiego jest zasługą p. Juliana Pagaczewskiego, który, nie znając znaku, poprzednio

już na podstawie analizy porównawczej doszedł do tego samego rezultatu. Wobec tego, znak, odnaleziony przez p. Cerehę, jest tylko potwierdzeniem trafnych wniosków p. Pagaczewskiego.

W dyskusyi nad komunikatem p. Cerehy, p. Pagaczewski streścił pokrótce rezultaty swych badań nad wyjaśnieniem artystycznej działalności tego rzeźbiarza i architekty. Za punkt wyjścia obrał referent grobowiec biskupa Izbińskiego w katedrze poznańskiej, jako dzieło najpewniejsze, stwierdzone napisem, następnie zaś grobowiec biskupa Padniewskiego w katedrze krakowskiej. Na podstawie analizy porównawczej, za utwór Michałowicza uważa p. Pagaczewski grobowiec biskupa Zebrzydowskiego wraz z groteskową dekoracją ścian kaplicy, której fragmenty odkryto w ostatnich czasach — po prawej stronie od wejścia. Z pod dłuta Michałowicza wyszedł bez wątpienia grobowiec Uchańskiego w Kollegiacie Łowickiej. Zdaniem referenta do prac tego samego rzeźbiarza zaliczyć należy również portal jednego z domów przy ulicy Kanonicznej w Krakowie.

W dalszym ciągu przedstawił p. Świeykowski szereg wytworów wykonanych fotograficznych zdjęć z kościoła OO. Kamedułów na Bielanach (pod Krakowem) i ze znajdujących się w nim niektórych pomników, oraz odczytał komunikat o „Inicyale miniaturowym, przechowanym w krakowskim Muzeum narodowym, — p. Muczkowski zaś przedstawił fotografię i opis rzeźby: „Pieta“, z kaplicy Matki Boskiej Bolesnej w kościele świętej Barbary w Krakowie, pochodzący, zdaniem referenta, z pierwszych lat XVI wieku.

Przewodniczący streścił wreszcie dwa komunikaty, nadesłane przez p. Hieronima Łopacińskiego z Lublina. Pierwszy rzuca wiele światła na działalność mało dotychczas znanego nadwornego malarza Stanisława Augusta — Mateusza Tokarskiego, piastującego zarazem, jak się z komunikatu dowiadujemy, od 1 stycznia 1795 roku godność dyrektora pałacu Łazienkowskiego. Drugi komunikat, ilustrowany kilku fotografiami i rysunkiem, jest przyczynkiem do historii fabryk porcelany w Tomaszowie i w Lubartowie. Na czele ostatniej stał jeden z braci Mozerów z fabryki koreckiej, która była w ten sposób — jak to przewodniczący podniósł — niejako kontynuacją, podobnie jak wyrobu pasów polskich, odnosić nie można do całego szeregu fabrykantów, lecz tylko do kilku, z miejsca na miejsce przenoszących swe warsztaty.

Odnosnie do malarza Tokarskiego, profesor dr Jerzy hr. Mycielski zaznaczył, że w zbiorach willanowskich, oraz hr. Adamowej Potockiej w Krakowie znajdują się dwa portrety pędzla Tokarskiego, które należałoby publikować.

— *Wydział Historyczno-Filozoficzny* odbył posiedzenie dnia 14 lipca 1902 roku, na którym Prof. Wł. Czerkawski przedstawił swoją

pracę pod tytułem: „Badania nad ilością Polaków i ich ugrupowaniem w krajach zagranicznych“.

Najważniejszą podstawę ugrupowania społecznego. w dzisiejszych czasach stanowi narodowość. Nie wchodząc w spory, toczące się o definicję jej pojęcia, wypada zaznaczyć, że o przynależności narodowej stanowi w ostatniej linii subiektywizm jednostki, to znaczy jej wola i świadomość. Wszystkie kryteria przyjęte dla narodowości, jak język, pochodzenie, rasa, kultura i t. d., mają znacznie cech zewnętrznych, jako też czynników, które wpływają na indywidualne zapatrywania, w żadnym jednak razie nie posiadają dość siły, ażeby zawsze i wszędzie zdecydowały stanowczo o zaliczeniu jednostki do pewnego narodu.

Nowożytna statystyka zajęła się stwierdzeniem siły liczebnej różnych narodowości, lecz z natury rzeczy musiała się oprzeć na powyższych cechach zewnętrznych, hipotetycznych, dlatego daje rezultaty tylko prawdopodobne, a co gorsza: nader nierównomierne. Na podstawie czynników, przyjętych w statystyce, może się wyrobić z łatwością świadomość narodowa, jednakże w wielu wypadkach, a mianowicie w razie odosobnienia jednostek, czynniki te są za słabe, ażeby wytworzyć, lub podtrzymać narodową łączność. Wskutek tego dostajemy w takim razie oznaczenie liczby osób, używających pewnego języka, lub historycznie pochodzących od pewnego szczepu, nie znamy jednak istotnej siły danego narodu. Nie jest wykluczony również wypadek odwrotny, w którym przy braku zwykłych narodowościowych znamion, idea narodowa utrzymuje się mimo tego żywo, tak, że zwyczajna statystyka narodowa zalicza do narodu niekiedy za wiele, niekiedy znowu za mało osób. Klasycznym tego przykładem może być Francja i naród francuski. Z jednej strony mamy Belgijczyków i Kanadyjczyków, używających wyłącznie francuskiego języka, a uważających się za naród odrębny, z drugiej znowu Alzacczyków, lub Bretończyków, Francuzów z przekonania, umiających jednak nie wiele, lub wcale nie mówiących po francusku.

Ze stanowiska narodowego jednak nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tam, gdzie spostrzegamy statystyczne kryteria narodu, tam są dane po temu, ażeby utrzymać, lub wytworzyć przeświadczenie narodowej jednolitości. Same przez się nie mają one czasami do tego dość siły, w takim przeto razie należy je wzmoć akcją, która-by utrwałała, lub budziła łączność i wspólność jednostek, posiadających wszystkie cechy narodowościowe, prócz indywidualnego przeświadczenia.

Myśl ta coraz bardziej przyświeca postępowaniu państw nowożytnych, opartych o narodową solidarność. Statystyka narodowościowa wskazuje, gdzie pracę należy rozpocząć, dalsza dopiero akcja tworzy z tych rozbitych, choć pokrewnych indywidualiów narodowe grupy.

Z naszego punktu widzenia zadanie to jest tem mozolniejsze i donioślejsze, z trzech różnych powodów. Statystyka Polaków jest nader trudną do

opracowania, gdyż bardzo często dają do sztucznego umniejszania ich liczby, powtórę, nie mamy prawie żadnych organów publicznych, które by pracowały nad naszą narodowością, w końcu nasza emigracja składa się z jednostek, u których poczucie narodowe nie jest rozbudzone zbyt silnie, a więc łatwo może zaginać zupełnie. Innymi słowy nie mamy prawdziwej statystyki Polaków, i o ile inicjatywa społeczna nie zastąpi tu akcyi państwowej, musimy się liczyć z niebezpieczeństwem wynaradawiania poważniej od innych grup narodowościowych. Przykładem może być jeden z powiatów galicyjskich, mianowicie Przemyślański, w którym na 16,084 rzym. kat., było 12,406 Polaków.

Z drugiej znowu strony można podnieść u nas pewne czynniki narodowo korzystne, a mianowicie jedność religijną, tendencję do skupiania się za granicą i pragnienie powrotu u największej liczby emigrantów. Tak główne siły Polaków za granicą koncentrują się w Saksonii około Drezna i Chemnitz, w Westfalii i nad Renem w okręgu Bochum-Duisburg-Essen, w Stanach Zjednoczonych w okolicy Chicago, Pittsburgha i Milwaukee, w Brazylii w Paranie, w Anglii w Londynie.

Wiadomą jest rzeczą, że za granicą, szczególnie w Niemczech i Ameryce, dają się dostrzegać następujące braki pomiędzy emigracją polską, bardzo niekorzystnie wpływające na nasz narodowy stan posiadania.

1) Brak jednostek wyżej wykształconych, wskutek czego stosunkowo szybko postępuje wynarodowienie.

2) Brak wpływu na sprawy publiczne, dzięki czemu upada jedna z głównych sprężyn narodowych: narodowa miłość własna.

3) W bardzo wielu stronach zupełny brak własnej organizacji religijnej, narodowej i społecznej.

4) Brak dostatecznego oparcia się o główne siły narodu w kraju macierzystym.

Ażeby temu zaradzić, a raczej, ażeby móc określić praktyczną pomoc, niezbędną jest rzeczą opracowanie dokładnej statystyki narodowej polskiej. U nas pole to jest zupełnie zaniedbane, tak, że nawet o stosunkach różnych dzielnic polskich, nie wyłączając Galicyi, mamy co do siły narodowej zupełnie mylne wyobrażenie. Statystyka ta, na podstawie źródeł urzędowych, krytycznie opracowanych, a gdzie one nie wystarczają, na gruncie samoistnych badań winna objąć:

1) Ilość Polaków i dokładne ich rozmieszczenie terytoryalne.

2) Stan ich ekonomiczny i zawodowy.

3) Ich organizacją społeczną i religijną.

4) Ich czynniki kulturalne, a więc szkoły i prasę.

5) Ich wpływ polityczny szczególnie na bieg spraw publicznych.

Tego rodzaju praca, która winna posiadać charakter wyłącznie naukowy, może być przeprowadzoną jedynie przy współudziale poważnej instytu-

cyi naukowej, gdyż z jednej strony przechodzi ona siły jednostek, z drugiej, zaś materiały urzędowe w wielu wypadkach są niewystarczające, tak, że niezbędną jest ankieta w formie zbierania odpowiedzi na postawione w odpowiednich formularzach pytania, a rzecz taka może się udać tylko o tyle, o ile prowadzi się ją pod egidą wielkiego ciała naukowego.

Wszelka statystyka Polaków, na podstawie obecnie znanych danych, musi być niedokładną i hipotetyczną tylko. Ten przeto jedynie charakter mają cyfry, podane poniżej. Odnoszą się one do Polaków wraz z Litwinami, a doprowadzone są, przy zastosowaniu normalnego wzrostu ludności do roku 1900. Według tego Polaków i Litwinów bez żydów, było z końcem roku 1900 w Europie 19,518,079, w Azji 93,268, w Ameryce — o ile nie nastąpiło tam zbyt szybkie wynarodowienie — około 1,500,000 — ogółem przeto 21,111,347. Do tego należy doliczyć w Galicyi i Królestwie Polskiem 1,827,677 żydów. W Europie jest Polaków i Litwinów bez żydów: w Królestwie Polskiem 7,650,678, w Rosyi Europejskiej 4,705,457, w cesarstwie niemieckiem 3,600,800, w Przedlitawii 3,699,940, w innych państwach europejskich 54,474. Dla porównania można dodać, iż Małorosyan w tym samym czasie było około 23,408,999, Białorusinów 5,975,701.

Sekretarz przedstawił następnie pracę p. Z. Gargas'a, pod tytułem: „*Polityka statystyczna*“, tudzież pracę p. Stanisława Zakrzewskiego, pod tytułem: „*Opactwo św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie w latach 977 — 1002*“.

— NOWE KSIĄŻKI. — Stanisław Koźmian: O działaniach i dziełach Bismarcka. W Krakowie; czcionkami drukarni „Czasu“, 1802. Nakładem autora.

Jest to pierwszy tom wydawnictwa, które ma objąć prace i pisma głośnego publicysty, rozproszone w dziennikach i pismach publicznych. W czterech tomach mają się zawierać następujące utwory: 1) O działaniach i dziełach Bismarcka. 2) Pisma polityczne. 3) Podróże i polityka. 4) Teatr.

Wydany obecnie tom obejmuje historię działań Bismarcka, poczynwszy od pogromu Austrii w roku 1866, aż do upadku wszechwładnego kanclerza. Końcowy rozdział, pod tytułem: „Bismarck po zgonie“, zawiera najznakomitszą charakterystykę Bismarcka, jaka kiedykolwiek się ukazała, i należy do najlepszych wogóle studyów Stanisława Koźmiana.

— Juliana Klaczki; Pisma polskie w układzie i z objaśnieniami Ferdynanda Hoesicka. Warszawa, 1902. Ciekawa bardzo i zajmująco ułożona książka, w której wydawca zamieścił najcenniejsze wyjątki z mało znanych, na emigracyi drukowanych, studyów estetyczno-literackich Klaczki. P. Hoesick zadał sobie trud niemały, lecz wdzięczny, odszukania najwcześniejszych młodzieńczych utworów Klaczki. Znajdują się tu one w pierwszym rozdziale p. t.: Pierwiosunki poetyckie.

Do najważniejszych rozdziałów książki zaliczamy studium o Korespondencyi Mickiewicza, artykuły z „Wiadomości polskich“, wreszcie uwagi Klaczki o Sienkiewiczu (Ogniem i mieczem, Potop). Pan Hoesick bardzo zgrabnie przeplata wyjątki z cennych studyów Klaczki ustępami biograficznymi, co dodaje uroku i wartości pięknie i starannie wydanej książce, którą zdobi fototypia nieznanego dotychczas medalu Klaczki z roku 1861. Medal ten jest młodzieńczym utworem ś. p. Ludwika hr. Krasińskiego i znajduje się obecnie w zbiorach Biblioteki hr. Krasińskich.

— Kwartalnik Teologiczny, czasopismo, poświęcone wiedzy katolickiej, wydawane przez ks. A. Szaniawskiego. Rocznik I. Zeszyt pierwszy i drugi. Warszawa, ul. Foksal, № 16. — 1902.

Pojawienie się nowego czasopisma, którego zadaniem jest skupiać działalność naukową kapłanów, jest objawem bardzo dodatnim i pociesającym. Treść dwu pierwszych zeszytów jest obfita i urozmaicona, a wśród współpracowników znajdujemy znane i poważane w świecie naukowym nazwiska: profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego, ks. d-ra Knapińskiego, ks. d-ra Gabryla, księży: Antoniego Szaniawskiego, Władysława Sześcińskiego, A. Brykczyńskiego, S. Stuczniaka i wielu innych. Dział: „Krytyka i Bibliografia“ podaje treściwe uwagi o nowościach z zakresu teologii i historii kościelnej, i bibliografią czasopism polskich i obcych (bardzo szczegółową). Papier i druk są wyborne, a prawdziwą ozdobę stanowią nagłówki i zakończenia artykułów. Są to ozdobne reprodukcje zabytków sztuki chrześcijańskiej (katakumby, muzeum Lateranu i t. p.). Już sam ten dobór ilustracji świadczy o niepospolitem znawstwie przedmiotu.

W tytule czasopisma dziwi nas niezbyt szczęśliwie dobrane określenie: „poświęcone wiedzy katolickiej“. Wiedza jest jedna; niema przecie fizyki katolickiej, lub chemii protestanckiej. Jeżeli zależało na uwydatnieniu charakteru wyznaniowego czasopisma, to może stosowniejszym był-by tytuł: „Kwartalnik katolicki“, lub: „Kwartalnik Teologii Katolickiej“. Uwagę tę podyktowała nam szczerza życzliwość dla nowopowstającego organu pracy naukowej.

— Ukazał się drugi tom dzieła: „Polska w czasie trzech rozbiorów“ J. I. Kraszewskiego, obejmująca lata 1788 — 1791, z 97 ilustracjami (stron 414). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

BIBLIOGRAFIA.

F I L O Z O F I A.

D. Mercier: Psychologia. Przekład Antoniego Krasnowolskiego. Nakładem „Przeglądu Filozoficznego”. Warszawa. Druk J. Sikorskiego, Wawrecka 14. 1901. Z portretem D. Merciere’a i dwiema tablicami, stron 742 + XIX.

Przegląd Filozoficzny. Rok V. Zeszyt III. Warszawa, 1902, stron 253 — 367. Treść: Prof. dr M. Straszewski: Obecny przełom w teorii poznania. Dr W. Rubczyński: Niewydany list Mikołaja z Kuzy z roku 1463. E. Abramowski: Dusza i ciało. Dr Wł. M. Kozłowski: Prawdliwość stawiania się. Autoreferaty: H. Struvego, St. Brzozowskiego, St. Schneidera, J. Żuławskiego.

NAUKI PRZYRODNICZE. — ROLNICTWO.

Dr A. W. Buckiewicz: Geo-hygienu powiatu Ciechanowskiego, gubernii Płockiej. Topografia, Geologia, Geognozja i Hygienu, jako przyczynek do badania zdrowotności okolic wiejskich. Nakładem autora. Warszawa, 1902. Druk B. A. Bukaty, Wspólna 48.

G. F. Chambers: Opowiadanie o gwiazdach. Część pierwsza i druga, stron 212+2 k. nl. Warszawa, 1902. Wydawnictwo „Poradnika dla czytających książki”.

Die Ein — und Ausfuhr von Holz und Holzwaren in den wichtigsten Staaten sammt den einschlägigen Zolltarifen. Zur Vorbereitung der künftigen Handelsverträge zusammengestellt von der Handels — und Gewerbekammer in Krakau. Preis 3 Kronen. Wien, 1902. Verlag der Centralstelle. (W. Braumüller & Sohn).

Pogadanki rolnicze. Zbiór wykładów popularnych, wygłoszonych w Sekcyi rolnej. Tom VII. Uszlachetnianie roślin gospodarskich. Warszawa. Nakładem „Gazety Rolniczej”, 1902, str. 84 i 10 tablic.

Dr A. Sempołowski: Kania i jej tępienie. Warszawa. Nakładem „Gazety Rolniczej”. 1902, stron 35.

HISTORYA. — ARCHEOLOGIA.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział Historyczno-Filozoficzny. Serya druga. Tom XVIII. Z trzema mapami w tekście. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. 1902, stron 375. Treść: S. Zakrzewski; Ze studyów nad bullą z roku 1136. K. Potkański; Opactwo na łęczyckim grodzie. W. Kętrzyński; Co wiedzą o Słowianach pierwsi ich dziejopisarze: Prokopiusz i Jordanes? S. Kętrzyński; O palliuszu biskupów polskich XI wieku, Tenże: O zaginionym żywocie świętego Wojciecha. W. Kętrzyński; Swewowie a Szwabowie.

Szlakiem legionów. Z pamiętników Dezyderego Chłapowskiego. Z portretem. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1903. (Wojna w 1807 roku. Kampania hiszpańska w 1808 roku. Wojna austriacka w 1809 roku. — Zima przed wojną 1812 roku. — Wojna 1812 roku. — Wojna saska 1813 roku).

Dr Zygmunt Celichowski. Jana Dantyszka poemat: *De nostrorum temporum calamitatibus silva*. Z portretem Dantyszka i medalem, wybitym na cześć jego w roku 1529. Poznań. Nakładem Biblioteki Kórnickiej. 1902, stron 32.

S. J. Czarnowski: Jaskinia górna w okopach na lewym brzegu Prądnika. Sprawozdanie z badań w roku 1898/9, Odbitka, stron 22.

Stanisław Koźmian: O działaniach i dziełach Bismarcka. W Krakowie. Czcionkami drukarni „Czasu“, str. 535 + 2 k k. nl.

Oczередные вопросы в Карстиве Польском. Eтиуды и изслѣдованія под редакцією W. Spasowicza i E. Pilca. Wtoroje izdanije. Tom I. S. Pietierburg. 1902, stron 251. Cena 1 rub. M. M. Stasiulewicz, Was. Ostr., 5 l., 28.

LITERATURA. — PEDAGOGIA. — BIOGRAFIA.

Amor i Psyche w poezyi starofrancuskiej. I. „Partenopeus de Blois“. Poemat z XII wieku. Streszczenie, rozbiór i objaśnienie przez Maksymiliana Kawczyńskiego. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. 1902. (Osobne odbicie z tomu XXXIV Rozpraw Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności). Stron 162.

Juliana Kłaczki: Pisma polskie w układzie i z objaśnieniami Ferdynanda Hoësicka. Warszawa. Nakładem księgarni Ferdynanda Hoësicka. 1902, stron 305 + 1 nl. Fac-simile medalu J. Kłaczki z roku 1861.

C. Bogucka i C. Niewiadomska: Książka do czytania z ćwiczeniami gramatycznymi dla dzieci od lat 8 — 10. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1903, stron 303 (karton).

S. Posner: Władysław Andrychiewicz (1848—1902). Wspomnienie pozgonne. Warszawa, Jan Fiszer. 1902, stron 34.

POEZYJE. — POWIEŚCI.

El.: (Kaz. Laskowski). Z chłopskiej piersi. Śpiewki. Serya trzecia. Warszawa. Księgarnia A. G. Dubowskiego, 1902. Stron 72. Cena 20 kop.

Antoni Fogazzaro: Mały światek nowożytny. Przekład z włoskiego J. Korzeniowskiej. Część I i II, stron 150 i 152. „Bibliot. Dz. Wyb.“. № 245 i 246.

Hajota: Ostatnia butelka. (Z cyklu „Z dalekich lądów“. Powieść. Część I, stron 160. „Bibl. Dz. Wybor.“, № 247.

Irjał: Cienie. Odbito w Krakowie w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1903. Gebethner i S-ka. Stron 74.

Bronisława Ostrowska (Edma Mierz.): Opale. Jan Fiszer. Warszawa, stron 96. Portret autorki, reprodukcya rzeźby Stanisława K. Ostrowskiego. Okładka Edw. Trojanowskiego.

Marya Rączyńska: Dzienniczek Hanusi Tynieckiej. Powieść dla dorastającej młodzieży. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903.

Marya Rodziewiczówna: Wrzós. Powieść. Warszawa. W drukarni synów St. Niemiry. Plac Warecki 4, 1903, str. 392.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: Anioł śmierci. Romans. Dwa tomy w jednym. Wydanie trzecie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 190, str. 415.

PISMA ZBIOROWE.

Kwartalnik Teologiczny. Czasopismo, poświęcone wiedzy katolickiej, wydawane przez ks. A. Szaniawskiego. Rocznik I. Zeszyt I i II. Warszawa, ulica Foksal, № 16. 1902, stron CIV+128+64. *Treść zeszytów I i II-go:* 1. Jego. wiatobl. Leona XIII Papieża „List apostolski” w przekładzie ks. A. Szaniawskiego. Ks. dr Knapiński: D-ra Netelera teoria o kanonie biblijnym Starego Testamentu. Ks. dr Franc. Gabryl: O nieskończoności. Ks. S. Ch.: Medycy kapituły Włocławskiej. Ks. Wł. Szczesniak: Chrystyanizm u Słowian Nadłabskich. Ks. A. Szaniawski: Ἀδελφὴ τῶν δώδεκα Ἀποστόλων. Ks. N.: Tło historyczne dla Ewangelii. J. Piotrowski: Nowe odkrycia na Forum Romanum, 8, Maria Antiqua. Ks. A. Brykezyński: Kronika Zgromadzenia Panien Bernardynek w Przasnyszu. J. Wabner: Nauki klasyczne w świetle chrześcijaństwa. Ks. L. Jaroński: O godności stanu kapłańskiego i wpływających stąd obowiązkach kapłana. Ks. Winc. Bogacki: O wymowie i kaznodziejstwie. Ks. Rud. Filipowski: Jubileusze w XIX stuleciu. Ks. S. Stuczeń: Kilka przyczynków do historii klasztoru *Ordinis Praemonstratensium* w Krzyżanowicach. Ks. W. Rozwadowski: Ku czci Baranka, który gładzi grzechy świata. Krytyka i Bibliografia. Wychodzi cztery razy na rok w odstępach trzechmiesięcznych. Dla prenumeratorów „Przeglądu Katolickiego” roczna prenumerata „Kwartalnika Teologicznego” wynosi rubli 3. Bez „Przeglądu Katolickiego” rocznie rub. 5. Pojedynczy zeszyt rub. 2 kop, 60 bez przesyłki pocztowej.

Kwartalnik Historyczny. Organ Towarzystwa Historycznego pod redakcją Aleksandra Semkowicza. Rocznik XVI, zeszyt 2. We Lwowie. 1902. Główny skład w Warszawie w księgarni E. Wondęgo i S-ki. Str. 169—380. *Treść zeszytu:* Najdawniejszy znany obecnie polski akt książęcy z roku 1081—1086, przez Tadeusza Wojciechowskiego. Biskupstwa łacińskie w Moldawii w wieku XIV i XV, przez d-ra Władysława Abrahama. Rokosz lwowski z roku 1537, przez Antoniego Prochaskę, II. O pochodzeniu Słowian. (Kilka uwag z powodu książek prof. Niederlego pod tytułem: „O pochodzeniu Słowian” i pierwszego tomu „Starożytności słowiańskich” tegoż autora), przez Karola Potkańskiego. Miscellanea: Z dziejów sprawy żydowskiej za Księstwa Warszawskiego, przez Wacława Tokarza. Recenzje i Sprawozdania. Przegląd literatury historyi powszechnej. (Historia starożytna) przez W. Jankowskiego. Kronika przez Eug. Barwińskiego. Bibliografia historii polskiej przez Eug. Barwińskiego.

Przegląd Polski rozwoju przemysłu fabrycznego, handlu i rolnictwa pod kierunkiem Z. Pietkiewicza. № 5. Sierpień, 1902. Redakcja: Włodzimierska 16. Administracja: Warecka 14 w Księgarni Polskiej. stron 42 + 37 + 12. *Treść:* Kapitały obce w przemyśle polskim przez Z.

Pietkiewicza. Typy zawodowe przez L. Krzywickiego. Dziesięć lat rozwoju ekonomicznego przez M. Szarotę. Kapitalizm współczesny przez H. Landau - Gumplewicz. Opieka lekarska nad rzemieślnikami przez R. Sandeckiego. Z rynku międzynarodowego przez J. B. Marchlewskiego. Kronika. Kasa pożyczkowo-handlowa w Kofskowoli, podał Kazim. Król.

Pamiętnik literacki: Czasopismo kwartalne, poświęcone historii i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Towarzystwo Literackie imienia Adama Mickiewicza, pod redakcją W. Bruchnalskiego, B. Gubrynowicza i Edw. Porębowicza. Rocznik I. Zeszyt III. We Lwowie. 1902. Składy główne: Gubrynowicz i Schmidt we Lwowie.—E. Wende i S-ka w Warszawie. *Treść zeszytu*: H. Struve: Przedmiot i metoda historii literatury polskiej. A. Potocki: Sejmiki literackie w dobie romantyzmu. J. Kallenbach: Nieznane utwory francuskie Z. Krasieńskiego (dokończenie). Notatki. Materyały. Recenzje. Bibliografia. Str. 373 — 527. (Prenumerata roczna rub. 6).

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

ADAM hr. KRASIŃSKI.

Głos krytyki O „ŚPIEWNIKU RELIGIJNYM” ks. Fl. Czyżewskiego „Biblioteka dzieł chrześcijańskich” pisze:

„Ks. Czyżewski pierwszy w społeczeństwie naszym dał ogółowi katolickiemu popularny, krytyczny, taki śpiewnik religijny, jaki niewątpliwie się przyczyni do ożywienia i wzrostu naszej wspaniałej pieśni religijnej, coraz mniej, niestety, dzisiaj znanej i kochanej...”, „dowiódł, że zna, rozumie i kocha pieśń, i to pieśń prawdziwie naszą, tradycyjną, starą, co w sobie zawiera siłę i moc i namaszczenie wiary”... Śpiewnik, pomimo paru wątpliwości, „przedstawia prawdziwy skarb religijnych melodii i takie sercom i duszom naszych katolików-rodaków wrócić mogą głębokość wiary i pobożność ojców naszych...”.

Taki sąd o „Śpiewniku” wydała krytyka literacka „Biblioteki”, która w kwestyach tak ważnych, jak wydawnictwa religijne, musi być w wymaganiach swych specjalnie ścisła i bezwzględna. Wymownym jest tu programowy artykuł ks. Antoniego Szlagowskiego, w tymże zeszycie, — artykuł, powtarzany następnie i komentowany przez całą prasę. Poruszamy go dla zaznaczenia stanowiska „Biblioteki” w ogóle i opinii względem pieśni religijnej w szczególności.

W artykule tym postawiona pod pręgierz: „Tandeta w piśmiennictwie pobożnem. Przy całej swej „pocziwości” przez swą nieudolność „dyskredytuje ona Kościół, jego wiedzę i literaturę w oczach jego wrogów”. Zamiast prawdziwej oświaty religijnej, będącej pierwszą potrzebą na drodze życia, szerzy obskurantyzm, odurza i oślepia swem ekliwem a czczem wielomówstwem, lub rozwija jałową egzaltację obok oschłości serca. Zamiast utwierdzać nadewszystko zasadę zasad, zasadę miłości, zamiast rozwijać naukę o celu stworzenia, „abyśmy Boga znali, kochali, Jemu wiernie służyli...”, zamiast uświadamiać, że znajomość Boga, ludziom dostępna, zasadza się przede wszystkim na znaniu Jego woli, że miłość Boga, to jej umiłowanie, „służba Boża”, to jej pełnienie, a ta wola Jego jest, abyśmy się społecznie miłowali, byśmy trwali w wierności wierze, gdyż „nie inszą jest wiara, która zbawia, jedno ta, która przez miłość dobrze działa” — jak mówił Paweł św., — słyszymy nieraz rzeczy, gdzie „dziwactwo formy i gruba nieznanomość prawd wiary walczą z sobą o lepsze...”.

W artykule ks. Szlagowskiego szeroko są omówione pieśni. We wspólnej modlitwie, zanoszonej w hymnach — „jednoczymy się — „ut unum sint” — stapiamy wszystkie nasze uczucia w jedną, zgodną, wielką całość, jednoczymy się z Bogiem i bliźnimi, polecamy Opatrzności i Opiece Bożej jednym głosem nas, nasze rodziny, nasze troski, nasze prace, nasze ciernie i krzyże. — Dziś brak ludzi takich, „by mogli stworzyć, wyśpiewać za miliony pieśń potężną, która-by poruszyła miliony do głębi i pozostała w narzędzie na zawsze...” . Pieśń taką „odziedziczyliśmy po przeszłości”.

Tę właśnie spuściznę przeszłości zawiera „Śpiewnik religijny” — ku porzuceniu serca.

Zarówno fachowy „Śpiew kościelny”, jak i cała prasa religijna i świecka poświęciła temu wydawnictwu krótsze, lub dłuższe artykuły, oceniając doniosłość tej małej książeczki, a wyrażając mniej lub więcej gorąco to samo, co wypowiada w końcowym ustępie o „Śpiewniku ks. Czyżewskiego” „Biblioteka:

„Życzymy, aby ten popularny, źródłowy, pewny, tani, typograficznie starannie wydany „Śpiewnik” rozszedł się wszędzie i do wszystkich”.

W żadnym domu nie powinno braknąć „Śpiewnika” w tylu egzemplarzach, ilu jest członków rodziny i domowników.

LUDWIK GÓRSKI.

„Iustum ac tenacem propositi virum“.
(*Horacy*).

Kraj nasz i społeczeństwo spogląda dziś z uczuciem wielkiej i serdecznej czci ku mężowi, którego lata długie jedną pracą i jedną myślą były—służenia temu krajowi. Wiekowy, a nie stary, jak te drzewa, ostałe w lasach, pamiętające czas odległy, jest mąż ten pomiędzy nami szanownym i patrzącym, by praca synów trudu ojców nie odbiegła.

Sześćdziesiąt lat w kraju i dla kraju oddanych—oto lista służby publicznej czcigodnego prezesa, Ludwika Górskiego.

Nie jest zamiarem moim ani mnie przystoi kreślić żywota tego dzieje, tem mniej oceniać zasługi. Tych, którzy lata dłuższe przeżyli, patrząc na czyny i dzieląc podejmowane trudy, prawem i obowiązkiem mówić o mężu, którego dziś wszyscy w łącznem czcimy przywiązaniu. Pragnę jedynie przypomnieć myśli i słowa, które najszanowniejszy nasz Obywatel od początku swej działalności wcielać w życie usiłował i jako zasady uznał przewodnie, wytknięte na żywot cały.

Ludwik Górski — to przekonanie, że w każdej okoliczności, w każdym położeniu, jest pole do wyłożenia sił w pracy. To kardynalnym obowiązkiem uznał i nie dopuścił nigdy, by zniechęcenie opanowało ducha.

Ludwik Górski, — to przeświadczenie głębokie, że, by pracą krajowi pożytecznie służyć, niedosyć wiedzy, lecz trzeba przywiązania umysłu i zrośnięcia woli do spraw, społeczeństwo obchodzących, prawdziwego poznania u podstawy przyrodzonych nam i ziemi

naszej właściwości. Z dwóch tych prawd złożył swoje obywatelskie *Credo*, a obydwie podporządkował trzeciej i wyższej: ażeby we wszystkim, cobądź przedsięwzięcie, mieć bojaźń Bożą i miłość bliźniego za początek.

I dlatego tak całe życie, jak i praca tego Męża, pełną jest wielkiej moralnej siły, i dlatego mamy dla tej siwizny taki szacunek i takie umiłowanie. Bo niema, zaprawdę, piękniejszej chwały wśród ludzi, jak długi żywot, opromieniony dobrem.

Gdy jako młody człowiek rozejrzał się wokoło, widział kraj przynębiony po ciężkich przejściach wojennych, a ludność rolniczą, przeważną tego kraju ostoję, w położeniu, pełnem trudu i niepewności.

Emigracya po roku 1830 pochłonięła ogromne zasoby umysłowe i wyczerpała prawie wszystko, co polską myślą było. Wszystko to żyło i rozwijało się poza granicami, w domu zalegała zubożająca cisza. Jednym z pierwszych, którzy w społeczeństwie poczęli nieciętuchę i ochotę do pracy, był Ludwik Górski. Nazwisko jego znajdujemy w szeregu pierwszych założycieli Roczników Gospodarstwa krajowego, współ z nazwiskami Goltzów, Grabińskich, Stawiskich i Andrzeja Zamoyskiego.

W tych-to Rocznikach Górski rozpoczyna swoją obywatelską działalność, i rozpoznawszy warunki, w których żyło społeczeństwo, i wielkie zadania rolniczej własności, zdaje sobie przedewszystkiem sprawę z konieczności przeobrażenia ziemiańskiego gospodarstwa, przejścia z panującej pańszczyzny ku stopniowemu oczynszowaniu, a wreszcie zupełnej gospodarczej niezależności włościan.

Ludność włościańska, uwolniona od osobistego poddaństwa w czasach Księstwa Warszawskiego dekretem z roku 1807, pod względem własności rolnej była jeszcze zupełnie przywiązana do pańskich gruntów, przeważnie z powinnością odbywania pracy przymusowej, była na łasce i nielascie właścicieli. Jeżeli ci nie postąpili tak z włościanami, jak w owych czasach zdarzało się w Anglii, a nie rzadko przed zniesieniem pańszczyzny i w Niemczech, jeżeli wyjątkiem u nas było zupełne rugowanie chłopów z jego siedziby, to dlatego, jak nam powiada czcigodny autor, „że, pomimo innych zasługownych obwinień, obywatele ziemscy mieli głębsze, niż dziś wielu mnie-

ma, poczucie związku swojego z ludem wiejskim. Rugowanie włościan, wcielanie ich gruntów do folwarków było zawsze uważane za czyn nieszlachetny, wziętości nie dający¹⁾.

Nie wyzyskiwał właściciel ziemski przewagi aż tak daleko i do ostatecznych nie posuwał się gwałtów, było atoli źle, i źle nietylko dla włościanina, ale zarówno dla ziemian. Gospodarstwo folwarczne, konieczne w rozwoju ogólno-ekonomicznym, nie mogło należycie powstać tam, gdzie z dawien panujące pomieszanie gruntów, gdzie różne używalności, a nadewszystko niechętna pańszczyźniana robota, stały na zawadzie zaprowadzeniu porządku. Ludzie oświeceni i miłością społecznego dobra przejęci, widzieli wprawdzie konieczność nieubłaganą reform, ale niewielu z nich rozeznawało jasno wszelkie reform tych modły, a u najwykształceńszych zaćmiewał poglądy obyczaj obcy, szukanie wzorów z warunków życia wprost odmiennych, teoretyczne zapatrywania, dalekie od rzeczywistości, w której żyć było trzeba. Górski nie zapoznawał korzyści, jakie w znajomości przedsięwziętych za granicą prac dla spraw krajowych zdobyć można, i w pierwszych już rozprawach swych, drukowanych w *Rocznikach Gospodarstwa krajowego*, naprzykład w *Rzucie oka na teraźniejszy i przyszły stan gorzelni pod względem ich wpływu na rolnictwo*, rozpatruje z żywym zajęciem osiągnięte na tem polu ulepszenia, — ale nigdy nie jest bezwzględny naśladowcą, nigdy nie żąda, aby bezwzględnie czerpać od obcych i zastosowywać żywcem ich urządzenia. Przeciwnie. Pisząc o tej epoce po latach przeszło czterdziestu, powiada, żeśmy się wówczas z rozczarowań w nowe przerzucali rozczarowania, i dodaje, że właściwością naszego umysłu jest najodleglejsze wzory za najlepsze uważać²⁾. Pojmując od początku, że naśladownictwo nieopatrzne dobrych owoców nie przyniesie, brał z literatury zagranicznej to jedynie, co do przeszczepienia na nasz grunt za możliwe uznał, brał pod sąd trzeźwy, krytyczny, swojskich warunków świadomy, przedewszystkiem jednak starał się wysnuć program ulepszenia gospodarstw z tej znajomości naszej gleby i naszego położenia.

¹⁾ „Niwa“, rok 1880, str. 174.

²⁾ „Niwa“ z roku 1882, 15 czerwca.

Zrastał się z potrzebami tej ziemi, o której mówi, „że potu naszego pragnie, i że nim tylko ocaloną być może“ ¹⁾).

Absolutny w jednym i w tym absolutyzmie wytrwały, od zara-
nia prac swoich wpajał słowem gorącym przekonanie, że trud jest obo-
wiązką i konieczną drogą, którą iść musi społeczeństwo i każdy iść
musi, pod grozą utraty stanowiska w życiu, pod groźbą zmarnienia.
„Wiek nasz“,—woła gnuśnym,—„to wiek pracowity, w którym drze-
mać wygodnie żadnemu człowiekowi nie wolno, a ubogiemu nie moż-
na, bo cały zastęp pracowników świata uprzedzi go i wyręczy; ale za-
razem, jak ów mocarz ewangeliczny, odejmie wszelką moc
jego i korzyści jego rozda. Nie dosyć nawet chcieć, trze-
ba nadto umieć pracować i owoców pracy na zabezpieczenie losu uży-
wać. Nie jesteśmy już zamkniętym, w sobie zasklepionym krajem, ale
jesteśmy ogniwem wielkiego społecznego ciała, które solidarność
członków, one składających, w ten sposób rozumie, że każde opróż-
nione miejsce zarobku i pracy zajmuje — biada tym, którzy je zając
dozwolą, bo odepchnięci i odrzuceni będą...“ ²⁾).

Słowa te pisał w swych „Uwagach“, wydanych w roku 1860,
przed ukazem, a jakież one prawdziwe zawsze, i jak dzisiejsze to
ostrzeżenie, które do nich dodaje: „u bram naszych stoi germanizm
czujny, pracowity, wytrwały, chętny do nauki, a nadewszystko
oszczędny. Wyparowawszy dawniej słowiańską ludność z nad Elby
i Odry, coraz więcej siedzib naszych wykupuje i swoją zalewa je lud-
nością...“ ³⁾).

Żąda pracy—i pracy raz jeszcze, umiejętnej i dzielnej. Żąda jej
w swych *Uwagach*..., wyszłych przed uwłaszczeniem włościan, jak
i w trzynaście lat później napisanych: *Naszych błędach w gospodarstwie
folwarcznem*, jak wreszcie w swej doskonałej książce o *Znaczeniu
większej własności ziemskiej*, prawdziwym kodeksie ziemianina obywa-
tela, mówiąc już do nas doświadczeniem i powagą siedmdziesięciolet-

¹⁾ „Znaczenie większej własności ziemskiej“, Warszawa, 1886, przed-
mowa.

²⁾ „Uwagi nad obecnym stanem robotników wiejskich w Królestwie
Polskiem“. Warszawa, 1860.

³⁾ Tamże, str. 64.

niego żywota. Pracę tę przecie zawsze nie inaczej, jak w szlache-
nym i chrześcijańskim duchu pojmuję. W stosunkach między silniej-
szym a słabszym patrzy wspólnego zysku, a nigdy jednostronnego
wyzysku. Ponad najbliższą korzyścią szuka łączni wyższej, w myśli
jego czuwa zawsze poczucie sprawiedliwości.

„Chłop nasz dzisiejszy — to postać poważna“, — mówi w swym
*Poglądzie na stan i ekonomiczne potrzeby drobnej własności ziemskiej*¹⁾.

To p o w a ż a n i e cechuje wszystkie sądy Ludwika Górskiego
o stanowisku ziemianina wobec włościan.

W *Uwagach nad obecnym stanem robotników wiejskich* (z 1860 ro-
ku), w których-to czcigodny autor stara się przedstawić nieuniknioną
konieczność wyjścia z pańszczyźnianego systemu i wskazać drogę ku
rozumnej, na wzajemnej korzyści opartej, umowie, z naciskiem i nie-
jednokrotnie podnosi obowiązek poszanowania w pracowniku — czło-
wieka. Wzrost bogactwa wszędzie i zawsze osiągnąć się jedynie mo-
że wytężeniem sił i zdolności w pewnym kierunku; lecz naturalnem,
że w tym wyścigu pracy, zabiegów, przemysłu, silniejsi i zdolniejsi
dobiegają do mety, słabsi, omdlewając, upadają w pół drogi. „Takie
jest konieczne“ — powiada — „prawo biegu“, — a natychmiast dodaje: —
„i był-by ów cel postępu, tym biegiem osiągnięty, nie błogosławień-
stwa, ale potępienia godnym, gdyby złoty rydwan, unoszący szczęśli-
wych i możnych, nie wracał się podejmować upadłych i słabych“²⁾.

Zwracając się do młodego wówczas pokolenia naszych ojców,
przemawia do serca i sumienia, by wobec podległych im robotników
kierowali się poczuciem zacnem, by ta służba, „pospolicie c z e ł a d -
k ą zwana, stawała się siłą obyczaju rozszerzoną rodziną“. Wskazu-
je im na ważność społecznego ich stanowiska, iżby nie uważali włas-
ności, jaką nabyli, jako jedynie używaniu nieograniczonemu zosta-
wionej rzeczy, nie za „martwy kapitał, równający się takiej a takiej
sumie pieniędzy“, ale chce, by widzieli w niej „źródło i przyczynę
społecznego powołania, które im się w udziale dostało“, i chce, aby
pamiętali, iż są przedstawicielami wśród społeczeństwa na ziemi ich

¹⁾ „Niwa“, 15 marca 1889 roku.

²⁾ „Uwagi nad obecnym stanem robotników wiejskich w Królestwie
Polskiem“. Warszawa, 1850, str. 5.

rozsiadłego, najwyższego wykształcenia, a tem samem „wszystkich żywiołów prawa i obowiązku, moralności i honoru — wiary i obyczaju” ¹⁾).

A nie tylko miłość bliźniego w stosunku ze słabszymi, ani jedynie względność wobec zależnych czynić chce przykazaniem, ale żąda poszanowania tego bliźniego i wymaga szacunku dla praw, jakie się słusznie człowiekowi należą.

Ścisłe przestrzeganie niedzielnego spoczynku, uszanowanie zasad wiary, „będącej podstawą naszego bytu, a tak głęboko w sercach ludu naszego zakorzenionej”, a za czem idzie „uszanowanie praw osobistych człowieka we wszystkich, łączących go z nami, stosunkach, a zatem najściślejsza sprawiedliwość, która, według słów Pisma świętego, pierwszą jest nawet od miłosierdzia” ²⁾. Oto wytyczne zasady, które przez pół wieku przeszło, przy swej obywatelskiej działalności powtarza, i do których wypełnienia nawołuje. Twierdził i twierdzi, że żadna szczodrość, żadne ojcowskie postępowanie, żadne miłosierdzie nie jest w stanie zastąpić „owego uznania i ścisłego uszanowania prawa, człowiekowi najbiedniejszemu przysługującego, które go we własnych jego oczach podnosi i uzacnia”. Tem najprawdziwszem zrozumieniem miłości bliźniego, bo zrównaniem go ze sobą w poważaniu praw i uznaniu godności ludzkiej, daje sobie Ludwik Górki świadectwo szlachetnego rozumu. By w latach, gdy pańszczyzna wielmożną jeszcze była w kraju, tak sądzić i tak pisać, trzeba było być głęboko przesiąkniętym ideą sprawiedliwości. By mówić, że lud nasz wiejski, jakkolwiek mało oświecony, ma uczucie przysługującego mu prawa głębsze i trafniejsze, niż powszechnie sądzimy ³⁾, trzeba było lud ten znać do gruntu, i żyć się z nim, i być mu serdecznie blizkim. Górski, od młodu garnąc się do ziemi rodzinnej, czerpał z niej miłość i zrozumienie. Nie dyskusyą zdobywał wiedzę, ale życiem, stąd taki zawsze prosty, przejrzysty i prawdziwy w swych sądach.

¹⁾ „Uwagi nad obecnym stanem robotników wiejskich w Królestwie Polskiem”. Warszawa, 1850, str. 59.

²⁾ Tamże, str. 61.

³⁾ Tamże, str. 62.

Widzi rzeczy, bada je gruntownie, a dopiero świadomy rzeczywistości, porównuje z pojęciami, urobionemi przez innych. Tak w cytowanym już parokrotnie dziełku zaleca badać stan robotników i rodzin ich w różnych okolicach kraju, a za wskazówkę cytuje dzieła Le Play'a, którego metoda najbardziej przekonaniom jego odpowiada. Ale autor *Uwag* — to nie uczeń, ani naśladowca bierny francuskiego wzoru, to raczej Le Play'owi przyjaciel i pokrewny. Sobą jest zawsze, jest zawsze rozumnym, nie rozumującym jedynie.

Mógł też, przygotowany tak dzielnie, zająć wybitne miejsce w Towarzystwie Rolniczem, dla którego ustawę napisał. W Rocznikach Gospodarstwa krajowego liczne swe prace zamieszczał, pisząc najczęściej o ochronach, szkołach i szpitalach wiejskich, których wówczas bardzo wiele powstawało. Całem swem działaniem w piśmie i słowie wypowiadał najgłębsze przekonanie, że system pańszczyźniany do przeżytych czasów należy. Widział w nim skazany na zagładę i zapomnienie porządek, „przeszkodę i zaporę do wszystkiego postępu“, i porównywał do owego dębu odwiecznego, ale już spróchniałego który „wabi nas jeszcze resztkami swej zieloności, chociaż głęboko zapuszczonemi korzeniami lepszą uprawę roli, na której rośnie, niepodobną czyni“ ¹⁾.

Dlatego woła, że ustanie pańszczyzny nieuniknioną jest koniecznością, „że tylko opieszałość i nieprzezorność mogą nas odwieść od wykonania tej zmiany i zakryć przed oczyma naszymi skutki, jakie z niewykonalności onej przez nas samych nastąpią“ ²⁾. „Nie czekajmy“, — wzywa, — aż lada wichra dęb ten wywróci, upadkiem potłucze nasze zasiewy i umarłe korzenie w roli pozostawi... ale sami, póki jesteśmy panami, dęb spróchniały, pod którego cieniem spoczywać nie możemy, z korzeniami wywracajmy!“ ³⁾.

Nie danem było ojcom naszym wykonać tej rady złotej. Przygotowywali się z wolą dobrą i usilną, by ziszczyć pragnienia najrozu-
mniejszych — ale się nie ostali chwili płomiennej, i nieszczęśli, niepo-

¹⁾ Str. 71.

²⁾ Tamże.

³⁾ Tamże.

miarkowani, serdeczni, rzucili się w uludną, a wraz rozpaczliwą nadzieję. Zawieść ich musiała i zawiodła. Mąż stanu, daleko patrzący, lecz nie wazący usposobienia i właściwej społeczeństwu natury tą miarą, jaką ważył plany urządzeń krajowych, nie potrafił ująć w swe dłonie męzne, ni stworzyć absolutnej większości, która-by poszła za jego przewodem. Budowę przedsięwziął rozległą, a cegły nie sposobił, i tej, którą miał budować, na wytrzymałość nie próbował. Aleksander Wielopolski tragicznie w myślach rozumnych i samotności swej potężnej nie liczył się z przyrodzeniem innych, i przeliczyć się musiał.

Wicher przyszedł i przewrócił spróchniałe drzewa, i przewrócił inne stojące. I znów po burzy nie zostało wielu, którzy-by przypomnieli prace i obowiązki niezmiennie. Wracali ziemianie do roli z uczuciem ciężkiem i odwagą było zaiste mówić im o odwadze. Ludwik Górski potrafił mówić temi słowy i nie przestał być sobą, ale się jeszcze większej i górliwszej oddał pracy. Jeżeli na zarzut, jaki Kraszewski podniósł w *Chorobach wieku*, że za wiele agronomii, a zbyt mało serca w ziemiaństwie — Górski jeszcze w 1857 roku w *Rocznikach* odpowiedział: raczej więcej serca i więcej agronomii — to teraz tak w działalności swej czynnej, jak pismiennej, zasady te żywym czyni przykładem.

Głęboko wyrozumiały, kładzie na pierwszej stronie swej pracy o naszych błędach w gospodarstwie folwarcznem motto: *Errare humanum est*, — głęboko przekonany o konieczności poprawy, pisze, że rąk opuszczać się nie godzi: „bo Darwinowska walka o byt ze swoim tragicznym przedstawia się następstwem. Przeciwnie, wejść w siebie, błędy popełnione rozpoznać, na przyszłość onych unikać, jest pierwszym warunkiem wymagań chwili obecnej“. I dodaje: „*il n'y a plus une faute à commettre*“ — powiedział chylącemu się do upadku Cesarstwu doświadczony mąż stanu, któremu Francya podźwignięcie swe zawdzięcza, — słowa te do naszego gospodarskiego położenia zastosować-by można ¹⁾.

¹⁾ „Nasze błędy...“, Warszawa, 1874, str. 6.

To *Sursum corda*, spokojne a tak dobre, wypowiadał w chwili, niezmiernie dla gospodarstwa krajowego trudnej. Warunki po Uka-
zie z roku 1864 przekształciły się prawie zupełnie, podatki wzrosły,
czynsze i propinacye ustały, system uprawy roli musiał przechodzić
na ściśle folwarczny i stawać się coraz to wyraźniej intensywnym,
z drugiej zaś strony pozostała z dawnych stosunków nieulożona spra-
wa serwitutowa, ciężkiem brzemieniem obarczająca gospodarstwa,
nieustannem stawać się musiała utrapieniem. Szlachcic posesyonat,
osiadły od wieku i przywykły do myśli powolnej, systemu uprawy
z dawien dawna stosowanego i robocizny włościańskiej, nie mógł się
w tych warunkach ostać przy ziemi. Tracił ją i szedł do miasta, lub
w świat, szukając nowych dróg. Został, kto potrafił, czy to zasobem
kapitału, czy umiejętnem zastosowaniem się do rzeczywistości sil-
niejszy — inaczej pokierować swą pracą.

Tak było, atoli wskazać na drogi nowe i, dodając otuchy, uczyć,
jak mają uczynić ci, którzy pragną siebie i przyszłość swą na roli
ocalić—istotna tylko dzielność i głęboka mogła obowiązkowość. Lud-
wik Górski pisze *Nasze błędy w gospodarstwie folwarcznem* (rok 1878),
i rozwija jasno zasady, których stosowanie zapewnić zdoła poprawę
tak ciężkiej doli ziemiańskiej. A jak zawsze, tak i tu, nie szuka środ-
ków teoretycznie jeno dobrych, ani nagłych, ale pragnie dla osią-
gnięcia praktycznego rezultatu to zalecać, co nie przechodzi możliwości,
wiedząc, „że w rolnictwie droga trwałego postępu stopniową jest
i powolną“, i uważając przeskakiwanie do ulepszeń najświeższych
z pominięciem wielu innych przygotowawczych za jeden z najwięk-
szych błędów, jakie gospodarz popełnić może ¹⁾.

Uprawa roli, utrzymanie inwentarza żywego, umiejętne stoso-
wanie nawozów — oto dział rolniczych wskazówek, błędom rolniczym
odpowiadających. Ze znajomością prawdziwą, opartą na doświadcze-
niu, porównie jak na wiedzy — przechodzi autor kolejno ważne te
działy, i sądzi, co złem być uważa, przypominając czytelnikowi, że
szczerłość sądu o sobie zbawienniejszą jest od pobłażliwości. Błędy
ekonomiczne, druga część książki, to troski o sprawy takie, jak sza-

¹⁾ „Nasze błędy w gospodarstwie folwarcznem“, str. 8.

chownice w polach, służebności, które unieruchomiły dobra w tak straszny sposób i z taką szkodą dla właściciela, parcelacya i stosunek kapitału do ziemi.

W każdej z tych spraw przynosi słowo Ludwika Górskiego światłą, rozumną radę. Przewidując wzrost wartości lasów i wiedząc, że bez uporządkowania serwitutów nigdy majątki nie przyjdą do rzeczywistego ładu, wypowiada wręcz, że lepiej, by właściciele stracili jeszcze część mienia, i by nawet z ofiarą, przewyższającą wartość służebności, zawierali układy, niżby stan, „który najgorliwsze nieraz usiłowania paraliżuje“, miał trwać dalej na lata. Parcelacyę na rzecz wyłącznie drobnej własności uważa za szkodliwą dla kraju, gdyż nie widzi w niej podniesienia uprawy roli, ale jej zubożenie raczej i upadek cywilizacyjny. Prawdziwą siłą rolniczego przemysłu i postępu uznaje kilkusetmorgową własność ¹⁾. Co do kapitału wreszcie, przemawia za nakładami, rozważnie czynionemi i, rozróżniając wyraźnie nakłady te od od obrotowych funduszów, radzi jak najlepiej długo- i krótkoterminowe zobowiązania podejmować, i jak fundusze umieszczać należy. W trzeciej części swej pracy przechodzi z kolei do błędów zarządu. Tu omawia kierunek, jaki właściciel dać winien całemu gospodarstwu, stosunki służbowe i administracyjne. Powtarza słowa Andrzeja Zamoyskiego, że „gospodarz główne swe staranie obrócić powinien na to, aby mu na roli rosły dwa kłosa, gdzie dotąd rósł tylko jeden“, i podnosi przymioty wytrwałego i czujnego właściciela majątku, a troskliwy zawsze o wyższą zasadę, każe w stosunkach z podwładnymi, które stosunkami wzajemnej pomocy nazywa ²⁾, dbać nie mniej o los robotnika, jak o los własny. I wypowiada zdanie, że, nie przestrzegając tego, możemy dojść do nieszczęścia emigracyi, która jest bezrobociem rolnem, a która stoi u wrót naszych i grozić nam poczyna. Pisze to zaś w roku 1873, kiedy podobna obawa wydawać się mogła płonąną zupełnie i zwodniczą, a powróci do myśli tej w dwadzieścia prawie lat później, w artykule o emigracyi, napisanym do „Niwy“, gdy gorączka wychodźstwa do Brazylii ogarnęła szerokie masy włościańskie (w 1891 roku).

¹⁾ „Nasze błędy w gospodarstwie folwarcznem“, str. 63.

²⁾ Tamże, str. 85.

Nie przeżyły się myśli, wypowiedziane w *Naszych błędach*, jak nie zmieniło wiele położenie rolnictwa. Nie przeto jedynie. Są w myślach tych dalekonośne bardziej i niezmiennie w każdej dobie, a wypowiedziane z niezwykłym poczuciem prawdy. Gdy autor mówi nam, że „w równowadze materyalnego i moralnego porządku leży pełność przymiotów dobrego zarządu, i że przymioty te, promieniając dokoła, udzielają się wszystkim, którzy udział w nim biorą i stają się dźwignią prawdziwego społecznego postępu ¹⁾), gdy, odzywając się do ziemian, powiada: „niech pomni gospodarz, że cnoty jego domowego pożycia stają się powoli cnotami tych gniazd rodzinnych, które go otaczają“ ²⁾); nie rady na chwilę obecną, ale wiecześnie żywe daje nauczanie. Takimi słowami kieruje, takimi krzepi, a sam rośnie w duchu i czyni myśli swoje ważące i plenne. Z tego, „co go boli“, wyrasta, dając nam serdeczne czyny, i pociąga ku nim, ale ku sobie zarazem wszystkich, którzy na tej niwie pragnęli trudzić się wspólnie i nie odchodzić od pracy. Dlatego słuchać można słów jego z uczuciem przywiązania, nietylko z uwagą.

Głos Ludwika Górskiego stawał się powagi pełnym i szanowności. Mówił nam zaś w sprawach ziemiańskiego bytu i w trudnych, a ważnych zadaniach. W „Bibliotece Warszawskiej“ zabierał głos kilkakrotnie. Wymieniamy prace o *Używalnościach w Zachodniej Europie* (1869) i o *Służebnościach w ogólności* (1876), obydwie wskazujące konieczność oswobodzenia ziemi od ciężarów serwitutowych i obydwie należące do najlepszych tego rodzaju studyów krytycznych.

Największą atoli myśli obywatelskiej skarbnicą, najistotniejszym wyrazem dobrej i rozumnej woli są artykuły jego, drukowane w „Niwie“ i zebrane następnie pod tytułem: *Znaczenie większej własności i obowiązki większych właścicieli ziemskich w Królestwie Polskiem* (1886), oraz podobny szereg artykułów, objętych wspólną nazwą: *Pogląd na stan i ekonomiczne potrzeby drobnej własności ziemskiej* ³⁾.

Przemawia do nas siedmdziesięcioletni człowiek, który ma prawo mówić o swem długim i owocnem życiu to, co w swej książce wy-

¹⁾ „Nasze błędy w gospodarstwie folwarcznem“, std. 96.

²⁾ Tamże, str. 89.

³⁾ „Niwa“. 1989 i 1891.

pisał na czele: *Otiositas inimica animae*. Karty tej książki, prawdziwego kodeksu obywatelskiego obowiązku, tchną wszędzie silną i szczerą miłością pospolitego dobra i prawością intencji. Z serdeczną troską mówią nam, byśmy nie zapoznali celu życia, czyniąc je płonnem używaniem. Kto nie chce podjąć pracy, a w użyciu i wygodzie widzi szczęście, temu nie być obywatelem kraju. Niewykonanie obowiązków, z natury rzeczy i położenia wynikających, grzechem jest przeciw Bogu i społeczeństwu. Ten, kto kraj kocha, wytrwać na swem stanowisku może i zdola, i w tem wytrwaniu jest droga wyższego i moralnego postępu. Tak do nas mówi Górski i przykładem tę drogę wskazuje. Nie był i nie jest jednym z tych, którzy odwrócili się od trudu, ani z tych, którzy w zniechęceniu i z żalem do swego losu pracują — o których powiedział, że jak górnicy w kopalniach pchają przed sobą posępnie ciężką taczkę wielu przeciwnościami utrudnionego zawodu, ale jej ozdobić kwiatem wyższej myśli i wyższego celu nie umieją ¹⁾. Przeciwnie. Przyczyny zniechęcenia zna, gdyż je badał i poznał, i wie, że są głosy, wyrzucające ziemianom ich niedolę, głosy, które powtarzają: nie umieliście radzić ni sobie, ni krajowi, słusznie zatem upadliście, odstąpcie teraz miejsca radniejszym i rozumniejszym ²⁾. Przeto widział, jak rodziły się troski, ale dla uległości zwątpieniu nie masz przystani w myśli tej dzielnej i niewczasującej. Sędziwy pracownik wie, „że czas jest wielkim lekarzem, a cierpliwość wielką siłą społeczną, skoro jej towarzyszy praca, w obranym kierunku wytrwale podejmowana“ ³⁾. Nie szuka więc tłumaczenia dla nieradnych smutków, ale wyteża wolę, by podnieść i utrwalić, co budowaniem być winno, by nas wszystkich ożywić myślą, że „chociażbyśmy wszystkich przeszkód usunąć nie potrafili, złagodzimy, lub zobojętnimy niektóre, i znośniejszemi uczynimy warunki wiejskiego życia, następcom zaś naszym przekazemy do zbierania owoce podjętego trudu. I czynną, nie bierną, ma być ta wytrwałość, inaczej kisać będzie w nas niewykształcone, co najlepsze w piersi naszej się rodzi. Kt6-

1) Str. 53: Znaczenie i t. d.

2) Tamże, str. 36.

3) Str. 5 l. c.

rzy tylko ubolewać potrafią, nie przyczynią się do lepszej przyszłości, nie ich znojem rola rodzajną się czyni. Inne są cnoty powołane, by owocowały. Na czele ich stawia samodzielność i wyrozumiałość. Brak pierwszej, to brak silnej woli i silnych przekonań, to — mówi Ludwik Górski — nasza dziedziczna wada, z której nam leczyć się trzeba, przyczyna klęsk przeszłości i źródło niemocy. „Za jej-to sprawą nie we własnych siłach szukaliśmy dawniej ratunku, ona też była przyczyną chwiejności naszej, gdy z upoważnienia Monarchy znakomity mąż i gorący patriota rozwijał szereg zbawiennych dla kraju reform“ ¹⁾. Samodzielność zatem kształcić i rozwijać, oto przede wszystkim zadanie, godne myśli obywatelskiej. Drugą cnotą, nie mniej wierną, jest wyrozumiałość, o której pięknie powiada autor, iż sam ten wyraz dowodzi, że w duszy narodu leży głęboka jego znaczenia świadomość ²⁾. Wyrozumiałość więc przede wszystkim wobec mniej rozwiniętej braci włościańskiej. Gdzież jest lud wiejski, który-by zachował w okolicznościach podobnych, jak dzisiejsze, większą od naszego łagodność w postępowaniu dla pozyskania tego wszystkiego, co mu wygłoszone obietnice zapewniać się zdawały, — pyta Górski, — i sądzi słusznie, że rezultatem tego zastanowienia się winien być w szlachetnych duszach szczerzy zwrot do usiłowań, mających na celu zawiązanie stosunków ufności i sąsiedzkiej przyjaźni.

W tych zasadach, w tym duchu cała książka napisana. Mamy w niej wykład wyborny, czem się obywatel i jak zajmować winien, jak dbać o swoje i krajowe dobro. Praca w roli, umiejętne zastosowanie kapitału, dalej, praca społeczna ziemianina w najbliższym zakresie, znajduje tu kierownicze wskazówki, wypowiedziane z rozumną znajomością. Górski pragnie, by właściciel od niczego, co w związku z otaczającym go światem, nie odsuwał się ani zniechęcał, by, czy w gminie, czy w sądzie, w sąsiedzkiem wspomaganii, czy w szerszej organizacji Towarzystwa Kredytowego, wszędzie pole do zasługi i do czynu znajdował. „Nie trzymać się na boku w egoistycznym indyferentyźmie, lub z uczuciem nieprzychylnym, bo obrażonej wyższo-

¹⁾ Str. 52 l. c.

²⁾ Str. 35 l. c.

ści, ale wyzyskać korzyści, jakie położenie mu daje dla wspólnego dobra — oto zadanie myślącego człowieka". „Postępowanie bierne, przez niektórych tytułem wytrwałości w zasadach okraszane, nietylko niczego nie stwarza, ale nawet nic nie obroni" — powiada słusznie i cytując zdanie włoskiego męża stanu, zdanie, głęboko rozumne i prawdziwe, „że wytrwałością nie jest robić i powtarzać zawsze to samo, ale robić różne rzeczy, okolicznościami wskazane, zawsze w jednym celu" ¹⁾.

Jeżeli zaś weźmiemy z książki, ile słów dobrych wypowiedział autor o stosunku właściciela do podległych mu w pracy, do włościan, robotników, oficyalistów, znajdziemy nieocenione rady i przykazania serdeczne.

Sprawiedliwość przedewszystkiem głoszący, jak w swych *Uwagach*, przed dwudziestu pięciu laty pisanych, jak w *Naszych błędach* podnosi wymownie znaczenie moralnego wpływu na lud i każe lud ten szanować. Nie w bezprawiu rozwijają się charaktery, ani w nieładzie hartują. Serwitut prowadzi do bezprawia, jest więc szkodliwym nie dla majątku jedynie, również dla włościanina. Rozrzucenie działek rolnych nieład utrwała, parcelacya jest zrzeczeniem się zajmowanego przez większą własność stanowiska nie na rzecz świadomej sobie i pracowitej demokracji rolniczej ²⁾, ale na rzecz niewykształconego dotąd gminu, jedno więc i drugie złem jest, z którem walczyć należy. Większa własność w kraju naszym ma jeszcze znaczenie siły społecznej i znamienitej, jeżeli rządzić się potrafi zasadą pieczy moralnej nad ekonomicznie słabymi. Włościanin nasz, nie tak zapobiegliwy, jak na Zachodzie, jest przecie pod innemi względami pełen zalet, rzadkie przymioty posłuszeństwa, pojętności i przychylności posiada w wyższym stopniu od niemieckiego sąsiada. Jest mądry, mniej twardą, gliną podatniejszą, w której rzeźbić można i z której da się tworzyć ludzi. Ład w gospodarstwie, sprawiedliwa karność, rzetelność w zapłacie, sumiennosc w postępowaniu, oto środki, jakie winien stosować zawsze właściciel większy, a szerzyć będzie

¹⁾ Str. 151 l. c.

²⁾ Str. 51 l. c.

wokoło siebie prawdziwą cywilizację. Zwraca zatem kolejno autor uwagę ziemian na położenie ludności roboczej, na stan mieszkań dla służby, czas trwania pracy, święcenie niedzieli, pomoc lekarską w chorobie, a wreszcie podnosi głos w sprawie najważniejszej, mówiąc o zabezpieczeniu pracownika na starość. I śmiało podejmuje tę sprawę, nazywając ją nieuniknioną, i odwracać się od niej nie chce, ale sądzi roztropnością przewidującą i wzywa do obmyślenia środków, które-by przyszłej szkodzić choć w części zapobiedz były w stanie.

Dobra to książka i zacna. Dźwięk srebrny, a hart spiżowy — agronomia i serce — znajomość wielka i prawdziwa dzisiejszego obywatela, a taka miłość tej ziemi, której się w służbę oddało. Gdy się tę książkę zamyka ma się wrażenie długiej przyjaznej rozmowy dla pokrzepienia ducha. Zda się, jakoby się swego Prezesa słuchało, gdy zmarszczywszy czoło mówi z gorącym przekonaniem, a oczy z pod brwi silnych patrzą, tak życzliwie i pięknie. I zda się, że mówi zapalając się nagle, jak młody, i ręką podkreślając słowa, — o rzeczach, które wszyscy kochamy, że nas jak ojciec strofuje nieraz, ale strofuje miłośnię. A czyż to nie on sam, ten tak czystej woli mąż, ten szlachcic Polski, o którym rzekł, „że winien mieć zasady jasne, jak słońce, co pracę jego opromienia — gruntowne, jak ziemia, którą uprawia — głębokie, jak duch ludu, który go otacza“ ¹⁾.

Takim poznajemy go w *Znaczeniu większej własności* i takim jest również w *Poglądzie na stan i ekonomiczne potrzeby własności drobnej* ²⁾. Rozwija przed nami przebieg dziejów ostatniego stulecia w dziedzinie życia włościan i oświeśla dzieje te, które prawie całe pamięta. Szlachetny optymizm i społeczne powołanie ziemiaństwa kierują słowy czcigodnego autora, a celem jego podnoszenie sił w rozwoju ku lepszemu. Nigdzie zwyczajowej nie rozrywa zasady, przeciwnie, uszlachetnić ją i podnosić chce, właściwości szanując, walcząc przeciw niezaradności. Boleje nad tem, że nie była przeznaczoną krajowi droga powolna, ale bezpieczna postępu za pomocą reform

¹⁾ L. c., str. 190.

²⁾ „Niwa,” 1889.

... głęboko przekonany, że nie tyle zła wola i ciemność, nie natura społecznego układu, — pracowała około siania... ukrytej zawiści. — Z tego założenia wychodząc, uznaje... 1864 za dobrodziejstwo społeczne, twierdząc, że w znacznym stopniu usuwa podnieętą zazdrość w społeczeństwie, które tym sposobem przejść-by powinno do upragnionej, a tak potrzebnej równowagi.

Nie waha się przecie odkryć bolesnych stron, ani zboczeń wyradzających się z usposobienia włościanina, w którym raz rozbudzone silnie pragnienie własności, nie zaspokojone wszędzie, związało się z przekonaniem, że dosyć wyczekiwać, a darmo się kiedyś własność nową dostanie. Stąd miasto zapobiegliwego dążenia ku zdobyciu większej niezależności — zdawanie się na urojone nadzieje — wiara w rozsiewane obietnice, że bez pracy dojść można do kołaczy.

Gdy uludne wieści o brazylijskiej szczęśliwości poczęły nęcić lud nasz do tłumnego wychodźstwa, Ludwik Górski podniósł głos raz jeszcze, by wykazać przyczynę tego ruchu masowego i przeprowadzić rozsądną granicę między zarzutami tych, którzy lud oskarżali o bezmyślność—a sądem, który winił większą własność za wszystko złe nadchodzące ¹⁾.

Na pytanie, czy ludności włościańskiej jest tak źle w kraju, że szukać musi odmiany aż na najodleglejszym krańcu świata, czy ją głód i nędza pcha niewstrzymanie do rozpaczego kroku, czy też jeno uludne żywioł nadzieje—odpowiada bez wahania—że raczej ta druga pobudka.

Odpowiedź tę swoją uzasadnia, ale stwierdzając, że prąd ów emigracyjny gorączką był nagłą, która ogarnęła niezahartowany organizm, nie mniej stanowczo zwraca się do ziemian i o troskliwe uwzględnienie potrzeb ludu woła.

Jeżeli służba folwarczna nas opuszcza, być może, iż czyni to z nieoświecenia, ale my przecież możemy taką otoczyć ją pieczę, że tego nie uczyni i uczynić nie zamyśli. I znów nawiązuje do głoszonych

¹⁾ „Niwa“, 1891.

zawsze przez siebie prawd moralnych—żądając łączności we wspólnej korzyści losu robotników z losem pracodawców.

.

Ziemiańsinem szlachcicem jest Ludwik Górski. Aby go wskroś poznać i zrozumieć, trzeba czerpać z naszej narodowej tradycyi szlacheckiej, z nią się zrosnąć, w niej żyć. Syn generała byłych wojsk Polskich, od śmierci ojca w roku 1837 opiekun nieletniego rodzeństwa, na roli w rodzinnej Woli Pękoszewskiej, a od pół wieku w majątku żony, Sterdyni,—wziął od młodości tej tradycyi bierzmowanie i wprost idzie od owych posesyonatów, zrosłych z przeszłością ziemi, którą dzierżyli i której służyli zarazem.

Mamy przed sobą przedrukowaną przed rokiem w Poznaniu broszurę Górskiego z roku 1853 „O konserwatorstwie w Polsce”. W niej to w najistotniejszej może treści wypowiedział, czego pragnie i w co wierzy, i w niej te słowa pisze:

„Jest jeszcze w naszej budowie społecznej—w tej licznej szlachcie osiadłej na ziemi—z nią zrosniętej, uczucie swego prawa mającej, coś tak silnego i opatrzniego, że póki szlachta polska tę ziemię posiadać będzie, a przeszłości się swojej tradycyi nie zaprze—póty będziemy sobą”¹⁾.

I we wszystkich pracach swych słowem i piórem stwierdza to samo powiedzenie. Mówiąc o średniej własności, sądzi, że jest ona tą samą, która była siedzibą i uposażeniem owego zastępu obywatelstwa ziemskiego, co od końca ośmnastego stulecia do bardzo blizkich nam czasów stanowił główną moralną siłę narodu, że ludzie, którzy na horyzoncie narodowego życia w tym okresie czasu, poświęceniem, nauką i talentem Narodowi przyświecali, byli z małym wyjąt-

¹⁾ Str. 12.

kiem na wiejskich zagonach, szlacheckich dworach i dworkach urodzeni¹⁾).

I dziś jeszcze, pomimo uszczuplenia majątków i zmian, jakie poczyniły czasy—widzi Ludwik Górski w szlacheckim zastępie — następców dawnych tego kraju przewodników, reprezentantów tradycyi narodowej, religijnych zasad i tego stopnia cywilizacyi, do jakiej kraj nasz doszedł, w jakiej się znajduje—a w ziemi główną podstawę materialnego bytu narodu i pole jego ulubionej pracy²⁾).

Tych, którzy ziemską własność u nas lekceważą, pyta, czy kto dawną Polskę, bez dworów szlacheckich, bez gospodarstw folwarcznych—bez wioski obok nich stojącej zrozumieć potrafi. A odpowiedź daje, w której się wypowiada cały szczerzy i wierzący.—„Z długiego pasma dziejów wytworzyliśmy wewnątrz nas jedną może rzecz silną, co dotąd przetrwała, s z l a c h t ę, mieszkającą na wsi, dla której folwark jest polem codziennej pracy, dwór szlachecki ogniskiem rodzinnego życia, a sprawa publiczna najważniejszem umysłu zajęciem,—czyli wytworzyliśmy to, co w sposób lepiej odpowiadający rozszerzonym pojęciom dzisiaj o b y w a t e l s t w e m z i e m s k i e m nazywamy. Dużośmy z dziedzictwa jego stracili, to prawda, częścią bez winy, ale wiele także z własnej winy. Budowa ta jednak społeczna i narodowa zarazem takie głębokie miała fundamenta i tak grube mury, że to, co zostało, jest jeszcze poważnym, silniejszym nad nowe pałace, kantory i fabryki, gmachem³⁾).

Po słowach tych poznać rodowód moralny czcigodnego autora i widzieć można, jak związany on ogniem przekazanych pojęć z tem, cośmy mieli w kraju dawną podstawową siłą.

Tak—Ludwik Górski szlachcicem jest z powołania i z rodu. Z pnia wyrasta, gdzie stały dęby tysiącletnie. Ale jak sam powiedział, żeśmy wytworzyli pojęcie szersze, typ nowy o b y w a t e l s t w a, tak życiem przykład daje, czym jest ta nazwa i jakie jej przeznaczenie.

¹⁾ „Znaczenie większej własności“, str. 14.

²⁾ L. c. str. 62.

³⁾ L. c., str. 185.

Poczęło się „obywatelstwo“ ze szlachty, jak „citoyen“ z miastowego wieszdomu początek. Jedno i drugie nowem jest, zdobyczą nowych czasów. Jedno i drugie by powstało, trzeba było rozkuć więzy stanowych uprzedzeń, ludzi do ludzi przybliżyć. Ludzkie są bardziej pojęcia te od przeszłych i przebrzmiałych, więcej w nich myśli o bliżnim i serca więcej, a mniej stali i jedwabnych szat, które wspaniale patrzą na nas z portretów. Ale nasze „obywatelskie“ pojęcie ma tę wyższość nad „citoyen“ francuskim, że nie rozpoczynało od żądania praw, lecz od poczucia obowiązków. Rodowód szlachetniejszy, o ile wyższą pobudką służenia słabszym od hasła zdobywania na silniejszych. Dla tego i ludzie, którzy od stu lat dawali słowu temu ciało i spełniali czynem, by się pustem nie stawało, niezwykli byli zasługami i cnotą. W obywatelskości tkwi wiele cnoty, trzeba umieć „rozdawać się braci“, a nie nie stracić, nie umniejszyć się, nie poniżyć. Trzeba nauczyć się wiele, a nie zapominać niczego. Dla tego błędem było-by nazwać szlachetczynę i obywatelskość jednym mianem; i to, że jedno z drugiego wyrosło, nie jest dowodem jedności, ale rozwoju z przyrodzonych warunków, jak zaszczepiony owoc dobry rozwija się na drzewku. Obywatelskość to nie zamknięty krąg uprzedzeń stanowych. Przejmuje ona i garnie ku sobie wszystkich, którym drogie dobro pospolite. Jest pojemną, szeroką zasadą, a przecie nie zrywa z przeszłością. Jest konserwatywną, a postępek w sobie żywi, ma niewruszone korzenie, a wzrost ciągle i życie, które wiosnę kocha.

Ludwik Górski jest jednym z naszych najprawdziwszych obywateli. Wiedział, że z postępek czasu—z pomnożeniem ludności mnożą się i rozszerzają potrzeby społeczne, i że naród, który tych potrzeb nie widzi i obowiązków stąd wypływających nie dopełnia, traci siłę i powołanie swoje ¹⁾. Konserwatyzm jego pojmował od najwcześniejszej doby, jakie zadania nowe przynosi życie. We wszystkich pismach swoich daje dowody, że się nie odwraca od potrzeb rozrosłych, ani zamyka przed nowymi czasami. Ufać potędze tradycji—pisze w r. 1853.—w ten sposób, aby co jest postępek lub zmianą w wyobrażeniach

¹⁾ „O konserwatorstwie“.

wieku odrzucać, ganić usiłowania zmierzające do utrzymania nas na wysokości europejskiej cywilizacji—jest to brać przesąd za prawdę, ciemnotę za tradycję, oczekiwać nagrody bez zasługi, jest to stawiać się w położeniu człowieka napadniętego, któremu gdy oręż wytrącono, zamiast za inną broń chwytać, gołą ręką macha i wywija w przekonaniu, że się obronić zdoła; jest to zarazem błąd i śmieszność ¹⁾. W *Błędach naszych* mówi o konieczności wysiłku wobec Darwinowskiej walki o byt²⁾, w *Znaczeniu większej własności* podnosi kilkakrotnie niezbedność poznania rolniczego przemysłu, wiedzy rolniczej, wymagającej „przemysłowości, tej gimnastyki umysłowej, umiejącej trafnie obliczyć środki działania“ ³⁾—i wie—że „złe czy dobre wszędzie się łamią dawne urządzenia i dawne spojenia, że świat pracuje nad wytworzeniem nowych—a podstawą tej ciężkiej roboty jest dążenie do równego udziału wszystkich w korzyściach i nabytkach powszechnej cywilizacji ⁴⁾.

Umysłem i wolą jest w najlepszym znaczeniu tego słowa postępowym, garnąć chce bowiem wszystkich ku pomyślności: i pracownika pot swój oddającego ziemi, i właściciela, który ze swego dziedzictwa liczbę zdać winien. Każe właścicielowi temu nie tylko „umieć kierować, umieć wymagać i umieć rozpoznawać“ ⁵⁾, ale przede wszystkim i wszędzie każe mu patrzeć na obowiązki innej natury, nadionosłość cywilizacyjnego znaczenia, i mówi mu, że miłość dobra, prawdy i postępu znajduje wdzięczne pole pod strzechą szlacheckiego dworu—że służba publiczna była zawsze polem ziemiańskiej działalności—że jest ona probierzem dojrzałości społeczeństwa ⁶⁾, — że w połączeniu interesów i potrzeb posiadających i pracujących leży warunek jedności i harmonii społecznej⁷⁾.

¹⁾ „O konserwatorstwie“, str. 18.

²⁾ Str. 6.

³⁾ Str. 17.

⁴⁾ Str. 55.

⁵⁾ Ibid., str. 69.

⁶⁾ Ibid., str. 156—158.

⁷⁾ Ibid., str. 159.

Życiem swem świadczył tym słowom i świadczy nieustannie. Gdy zamiary, podjęte przez generację ludzi z przed 1860, runęły, począł na nowo służyć sprawie publicznej i służy jej do dziś dnia, niosąc brzemień obowiązków z równą odwagą, jak swe lata sędziwe. A służba jego jest taka, jakiej nam potrzeba, jakiej sam pragnie byśmy się oddawali, „czynna, pracowita, przeciwnościami się nie zrażająca, z każdej okoliczności dla dobra kraju korzystać się starająca, gorąca w sercu, a przytem spokojna, bo wierzy i ufa w Boga“¹⁾.

Nie będę tu tych trudów i tych zasług wyliczać. Nie mnie ich sądzić, ani oceniać. Znamy je wszyscy, wiemy o nich — a czcigodny Prezes Górski nie pragnie rozgłosu i sam lubi wspominać słowa Pisma: „położę straż ustom moim, a drzwi osadzone wargom moim“.

Mogą mu świadczyć i kościoły nasze, i ta kolumna z królem, krzyż w dłoni dzierżącym, i Sterdyńscy wieśniacy, i ziemianie, radzący o wspólnych sprawach, i siostry miłosierdzia, i rzesze biednych. Tam, gdzie sam czuwał, i tam, gdzie małżonka jego, szlachetna i godna życia tego towarzysza, myślą swą ożywiała instytucje rozliczne, nie tylko wdzięczność budziła się, ale rosło życie i rozwijało się i krzewiło na przyszłość.

„Biblioteka Warszawska“ jest mu też zobowiązana za to, że o niej myślał, że się nią opiekował i do dziś do grona najbliższych przyjaciół należy, i za to jeszcze, że mu nasza umysłowość drogą jest, jak drogie wszystko, co pożytek niesie społeczeństwu. Gdyż on je całe kocha niepodzielnie. Wziął co najlepsze z tradycji i życiem czyni wokół siebie, a zachęca i zagrzewa ku trudzeniu się wspólnemu, przekonany, „że w każdym zawodzie i położeniu Opatrzność wskazuje obowiązki nie tylko osobiste i rodzinne, ale społeczne i narodowe“²⁾.

Głęboko religijny i przywiązany do Wiary, fundament Chrześcijaństwa pod wszelkiem położył budowaniem.

Tej podstawy bronił i tradycję na niej przedewszystkiem oparł niewzruszenie. Jak ów ziemianin, którego wizerunek nam daje, w przedmiotach religijnych trzyma się nauki Kościoła, w kwestyach

¹⁾ „O konserwatorstwie“, str. 19.

²⁾ „Znaczenie większej własności“, str. 189

społecznych jest rozważnie postępowym, w kwestyach politycznych narodowo-zachowawczym ¹⁾).

I dobrze, że takim jest, że ziemię przedewszystkiem ukochał i że tej ziemi tradycję najlepszą nam przekazał. Wie on, że narody samem rolnictwem nie stoją, że „wszystkie prace i zawody naukowe, przemysłowe, urzędnicze, artystyczne, razem wzięte, o życiu stanowią i do niego się przyczyniają“; ale czyż myli się, twierdząc, „że posiadanie ziemi jest najpierwszym życia naszego warunkiem, że narodu, który-by miał miasta, fabryki, szkoły, uniwersytety i muzea, ale własnej ziemi w swych rękach nie posiadał, nie masz na świecie“ ²⁾).

Dobrze, że takim jest, rodzimym, własnym, nieprzybraunym. Gdybyśmy nie mieli takich, nie szła-by i nie rozwijała się tradycja z przyrodzonych naszych zasobów, ta tradycja, która, by żywą być, musi ku sobie coraz nowe siły garnąć, nowe obejmować pokolenia. Młodość Ludwika Górskiego pamięta oddźwięki wojen, wiek męski, dną pracę krajową. Nam on przynosi wspomnienie Towarzystwa Rolniczego, którego czyny ocenić umie sprawiedliwie, o którym mówi, że przekazało pamięć, jakiej odrzucać nie wolno. Co wolno i czego trzeba, to wyswobodzić pamięć tę ze wszelkich dorywczych sądów, a szukać jeno myśli trwałej, w której niema zwiędnięcia. Co przykazaniem być winno, to szukać nie zewnętrznych cech, ale tej głębokiej, najistotniejszej, której gwoździe ludzie przyznają się do wspólności żywej i dłonie sobie podają.

Gdy w poczuciu potęgi wspaniałem, ale szalonym, gdy w żądzy wybuchu Faust Duchowi Ziemi rozkazuje, by mu objawił treść życia, słyszy odpowiedź, która dumę rozumów ludzkich kruszy—słyszy słowa: „Tyś równy temu, kogoś pojął w duchu“.

Myśl blaski błyskawicy nagłej nieść może, myśl przenikliwa wdziera się w nieznane i niedostępne do niedawna krainy, nie starczy przecież wytężenie rozumów, by życie rozwijać i krzepić. Duch żywie, jak roślina, i rozwija się, jak nasienie, które ziemia przyjęła rodząjną. Nie mędrce poczęły go, ale on mędrce i ludzi powoływa.

¹⁾ Tamże, str. 190.

²⁾ Ibid., str. 113.

Kto nie pojął tej tajemniczej przyrodzonej prawdy i myślą nie powiązał się ze swą duchową macierzą, ten, chociaż i niezwykłym rozumem zabłysnął, nie będzie głębiej, nie będzie silniej, nie będzie serdeczniej blizkim powołaniu życia.

By wzrostem ducha sięgać coraz dalej, szerzej, trzeba zespolić się serdecznie z owym najwyższym żywiołem, z tem, co pokolenia łączą, tem, co brata ludzi, tem, co ich zwięzią duchową jest i najbliższą łącznią cielesną zarazem—z ich przyrodzeniem. Jak w ożywczem i rodzajnem polu plewią się kłosa, tak plenną niwa żywiąca społeczeństwo. To, co nam danem i podanem, co przeszłość całych pokoleń w pracy nagromadzonej przynosi, i to, co trud dzisiejszy stworzył, wszystko, co w krainie naszej rosło nam, abyśmy poznali i widzieli, i przyszli, jako pracownicy nowi, cały ten skarb życia naszym jest, a myśmy z niego wszyscy, — z niego bratnie ku lepszemu dążenia, z niego żywot. I ta tradycja to wielkie i niezamkniętej treści słowo.

Nie kończy się na żadnej chwili—ona trwa i dzień dzisiejszy podaje ją dniowi jutrzejszemu. Jak słońca promień żywa, jak bieg rzeki daleka, jak wiosen ruń niewyczerpana. Dla mocy swej, dla życia swego wieczysta, jest ona Anteuszową potęgą, gdy się z nią łączy myśl żadna postępu i powołuje ludzi.—Gdyż postępu, który zapoznaje przyrodzenie, nie masz między żywymi potęgami, a jeno w nieplodności i martwocie.

Ludzkość podaniem swoim nieśmiertelna do Bożych źródeł sięga i myśl Bożą przechowuje w swem łonie,—społeczeństwa i narody przechowują powołanie swoje i swoje myśli głębokie, a odwieczne te i wiecznie młode pierwiastki są owym Duchem ziemi, którego mądrość Fausta nie pojmuje, Duchem ziemi, żywym porównie dziejami jej synów, jak potęgą gór, ciszą jej lasów, przezroczem jezior i słońcem w zbożach na polu.

I wszystko, co z tem łączne i wspólne, nie zamiera. Dla tego ta miłość i to smętne pragnienie złożone w duszy każdego, który pożąda prawdy, dla tego Faust tęsknić musi za źródłem żywota, a my z nim wszyscy tęsknimy.

Kto zaś nie umie tęsknić, ni miłować, ten sobie służy źle i w pysze poczyną osamotnienie swoje, jak je począł pierwszy Odstępca.

Ku tej nieszczęsnej doli osamotnionych i wystudzonych idą koleją dzisiejszych wierzeń rozumowanych i szeroko głoszących o sobie, a które miłości nie mają i miedzią brzękającą są według słów Apostoła. Poczęte z woli, a nie z dobrej woli, rozbujają i bez żadnej pokory ducha, stają się używaniem jedynie i jedynie egoizmem i zamierzają w żądry wyczerpującej się, w skamienieniu serc.

Ci, którzy drogą tą poszli, a uczciwość względem siebie zachowali, zamyślają się i słyszą dzwony.

Tym, jako Faustowi, powrócić i zmartwychwstać dano, i ci wiedzą, że mądrości poczęcie w miłości, żeśmy w nieprzejrzanem Stworzeniu zrosli z odwieczną Myślą, a nie wyrzuceni poza dziedzictwo, nie z własnej łaski i słabości własnej — ale z tego, co nam kochać trzeba i z tego, co nas boli.

Szczęśliwe społeczeństwa, w których ludzi dobrej a niezmiennej woli nie braknie. Szczycić się mogą, które ludzi takich wydają, które obfitość owocu dobrego zachowały, które mają sól ziemi. Dano im w tym zasobie obywatelskiego ducha największe i najprawdziwsze bogactwo.

Mąż, któremu dziś dań uczuć naszych złożyć przychodzimy, nosi lata, których wiek i podziwienia, i szacunku godzien. O takich długich i tak spełnionych mówić będą lata—Ludwika Górskiego.

Będą mówić nie dla rozciągnięcia ich pasma jedynie, lecz dla ich powagi.

I o nim mówić będą słowami Marka Aureliusza: że potęgą człowieka olbrzymią jest, bo może być posłusznym obowiązкови i znosić nieszczęście.

I powiedzą, że posiadał cnotę Roztropności, cnotę wielką, trudną, trudniejszą od Rozumu. A nadewszystko powiedzą, że miłował.

Taki żywot wzorem nam daje a myśmy winni piękność żywota tego, jasność tej myśli pokochać. Myśmy powinni snuć dalszy wątek jej—i troszczyć się, by nią ogarnąć całe społeczeństwo.

Jeżeli w przeszłości, jak mówi Aleksander Rembowski w ocenie książki Górskiego¹⁾, wytworzyliśmy jedynie dzielną szlachetę — to przeto właśnie *Res publica mole propria ruit* i dla tego w przyszłości należy powołać więcej dzielnych czynników do społecznego trudu.

Ale, by to możliwem stawało się i rosło w rzeczywistość, trzeba obywateli, którzy pojmą tak życie swe i trud ofiarny, jak je pojął Ludwik Górski.—Trzeba takich, którzy dalej rozwiną myśl tę, uczynią zasadą, prawem — i będą solą tej ziemi. Coraz to szersze kręgi myśl obywatelska zatoczyć winna, aby nie było, którym nie dano być obywatelami, tę bowiem chwałę zdobyć każdemu dostępnem być musi, kto być potrafi człowiekiem, dobrej woli.

Wiemy Czcigodny Panie, że pochwał, ani obchodów nie lubisz. Dziś przecie pozwolisz, byśmy przyszli do Ciebie i byśmy na uboczu nie stali, którzy Ci mówić pragniemy—jakiś nam drogi. Nam, ludziom młodego pokolenia, niech wolno będzie serdeczne zanieść Ci uszanowanie i dziękować Ci za to, czem dla nas jesteś.

ADAM KRASIŃSKI.

¹⁾ „O znaczeniu większej własności ziemskiej“, ocena w „Gazecie Polskiej“, 1885.

Pamiętnik generała Jana Weyssenhoffa.¹⁾

ROZDZIAŁ IV.

Rok 1811—1812. — Wymarsz pułku 12-go z Krakowa do Warszawy w maju 1811. — Pożegnanie pułku przez Kraków. — Roboty około fortyfikacji Modlina. — Kampania 1812. — Weyssenhoff opuszcza pułk 12-ty i zostaje szefem sztabu generała Zajęczka. — Pobieżne wzmianki o początku kampanii aż do bitwy pod Smoleńskiem. — Dwa zdarzenia przy rozdawaniu krzyżów legii honorowej. — Bitwa pod Borodinem. — Weyssenhoff ranny w tej bitwie. — Wejście do Moskwy. — Bitwa pod Czurykowem. — Weyssenhoff dostaje stopień oficera legii honorowej. — Bitwa pod Woronowem. — Klęski odwrotu. — Przeprawa przez Berezynę. — Przybycie do Wilna. — Podróż z Wilna do Warszawy.

Zimą z r. 1810 na 1811 przepędziliśmy podobnie do poprzedniej, z tą różnicą, że w ciągu tej zaczęto szeptać o nieprzyjaznych stosunkach między Francją a Rosją. Przygotowałem pułk mój do wszystkiego, co nastąpić mogło: codzienne musztry w przykre dni zimowe, powtarzane marsze z zupełnym pakunkiem i amunicją po dwie i trzy mile od miasta, przez śniegi, błota i złe drogi,—nic nie było omieszkane, aby przygotować pułk do trudnej na północ wyprawy. Ku wiosnie coraz wzmagaly się wieści o rychło nastąpić mogącej wojnie.

W maju 1811 odebrał cały garnizon krakowski rozkaz maszerowania do Warszawy. Naprzód wyszedł pułk 3-ci ułanów, potem pułk 15-ty piechoty, nakoniec ruszył mój pułk 12-ty. Pożegnanie pułku było rzewne. Nie chciałem pozwolić na żadne uczty w momencie wymarszu, gdyż to rodzi zazwyczaj nieporządek. Więc po dorywczem śniadaniu u prefekta Stanisława Wodzickiego, na które pozwoliłem oficerom odchodzić od frontu kolejno tylko po jednym z kompanii, ruszył pułk w drogę. Wszystkie władze, obywatele i mieszczanie, mężczyźni i kobiety—odprowadzili nas piechotą. Kie-

¹⁾ Patrz zeszyty: lipcowy, str. 1;—sierpniowy, str. 300;—październikowy, str. 24.

dy pułk uszedł już dobre pół mili, kiedy prosiłem prefekta, pieszo idącego, ażeby się nie trudził, ujrzałem na wzgórzach pod Promuikiem przygotowane śniadanie dla całego pułku. Tu nie mogłem odmówić, zniewolony tylu dowodami miłości i chęci obywateli, których kochałem i ceniłem wysoko. Stanął więc pułk, a złożywszy broń w koźły, rozszedł się do śniadania. Prefekt Wodzicki, podniosłszy puhar, przedniem winem nalany, wzniósł życzenia pomyślności zbrojnych współbraci; chór niezliczony ozwał się powtarzając życzenia. Wzajemne dzięki i wynurzania się skończyły się na łzach, gdy przyszedł moment rozstania: lubo nikt z nas nie sądził, może wszakże jakieś uczucie mówiło, że ostatni raz żegnamy ten drogi nasz Kraków.

Zdawszy komendę gros-majorowi Morawskiemu, sam wróciłem do miasta. W towarzystwie obywatelstwa znalazłszy się sam jeden wojskowy, ze smutkiem spoglądałem na wszystko, co otaczało: główna warta już była zajęta przez złożoną naprędce straż municypalną; staruszek Wolf, pierwszy bankier krakowski, komenderował nią; zwiedzając hauptwach, znalazłem w izbie oficerskiej, zamiast drewnianych prostych mebli, stoły mahoniowe i miękkie sofy—nie było już służby.—Po kilku dniach ułożywszy interesa, a nadewszystko boleśnie pożegnawszy żonę, dogoniłem pułk swój pod Kielcami.

Przybywszy do Warszawy, stanął pułk na placu Saskim, a po odbytych przeglądzie przez wodza naczelnego, został umieszczony w koszarach, niegdyś gwardyi królewskiej, dziś Aleksandrowskimi zwanych. Niedługo tam pozostał, gdyż we trzy dni odebrałem rozkaz maszerowania do Modlina. Pod Modlinem stanął pułk obozem koło Nowodworu; kazano mu budować sobie baraki, dostarczywszy mu żerdzi i trzciny. Na początku czerwca, w dni ciepłe i piękne, było to łatwe i przyjemne. Znaleźliśmy już tam kocującą po różnych stronach twierdzy większą część naszych pułków piechoty. Wkrótce nakazano pułkom dawać do robót około fortyfikacyi po 200 ludzi. Póki trwało ciepło, wszystko to było znośne, a przynajmniej nie zgubne dla wojska, ale roboty przeciągnęły się aż do grudnia, żołnierze w wodzie kopać musieli, często lód przebijając, ażeby dalej pracować—i tak zmoczeni, przeziębli, wracali późno do swoich barak ze trzciny, mając słomę tylko na posłanie i lekki płaszcz na pokrycie. Takie życie musiało spowodować choroby, a szczególnie deklarował się szkorbut tak powszechnie, że mało oficerów uszło tej zarazy. Kilkanaście tysięcy wieśniaków, spędzonych ze wszystkich województw, pracowało z żołnierzami, a że ci biedni mieli jeszcze mniej wygód i porządku, choroby bardziej między nimi grasowały. Śmiertelność zaczęła być zagrażającą. Pułkownicy, przerażeni ubytkiem w pułkach, wysłali mnie

i Krukowieckiego do Warszawy, abyśmy przełożyli klęski nasze księciu, naczelnemu wodzowi, i prosili o oszczędzanie reszty pułków przez uwolnienie żołnierza przynajmniej od prac zbyt rannych i zbyt późnym wieczorem. Książę uznał słuszność tego zażalenia, lecz, że to się działo z wyraźnego rozkazu Napoleona, trudno było zaradzić. Nadewszystko generał Fiszer, zachęcony przez Bignona, ministra wówczas przy Księstwie Warszawskim, a raczej komisarza cesarskiego, utrzymywał z uporem, że to jest jedyny sposób zobowiązania cesarza, że twierdza Modlin bardziej potrzebna do dalszych jego zamiarów, niż nasze 50,000 wojska; nie spełniać woli cesarza było to wystawiać się na jego niechęć i szkodzić naszej sprawie. Nie pomny na honor naszych zastępów, powtarzał rozumowania Bignona i przez to stawiał wodza naczelnego w trudnem położeniu. Później dało się widzieć, że i tu Napoleon chciał mieć Polskę narzędziem, ale nigdy nie myślał o jej niepodległości. Skarb nasz, wycieńczony przez nadzwyczajne wydatki, spodziewał się zasiłków od Francyi, ponieważ dla niej się wyczerpał. Kiedy roboty około Modlina miały już ustawać dla niedostatku funduszków, przysłano wprawdzie z Francyi 3 miliony złp., ale piemoncką monetą, która we Francyi nie miała kursu, a w polowie wartości musiała być wydawana u nas. I w tem dała się uczuć dobra chęć Francuzów dla nas. Nie chciała wiedzieć Francya, że kampanie 1806 i 1808, pobyt wojsk francuskich w naszym kraju, formowanie wojsk, posyłanie do Hiszpanii dywizyi piechoty, kampania 1809 i nakoniec uzbrajanie się na nową wojnę—mogły się skutecznicić tylko przez heroiczne poświęcenie Księstwa naszego, przez wyrzucenie się ze wszystkiego jego gorliwych mieszkańców.

Lecz wróćmy do ucisku obecnego. Nic nie otrzymaliśmy z naszego poselstwa; generał Fiszer zarzucił nam złą chęć, na co odpowiedziawszy przyzwocie, wróciliśmy do obozu. Roboty około twierdzy szły aż do grudnia, poczem wycieńczone pułki rozeszły się na kwatery zimowe. Pułk 12-ty stanął w Warszawie w koszarach gwardyi litewskiej niegdyś i przepędził resztę zimy na leczeniu swoich chorych, którzy nigdy do zupełnego zdrowia nie przyszli.—Ku wiosnie przyszedł rozkaz kompletowania pułków; nakazano rekruta. Pułk 12-ty potrzebował 900, dano mu 700; stąd wnosić można, w jakim stanie pułk się znajdował w porze, kiedy przygotowania do wojny stały się jawnemi. Chcąc, ile można, usposobić nowego żołnierza do boju, kazałem przez całą wiosnę samych tylko ogniów uczyć. Dobre strzelanie było celem wszystkich ćwiczeń; o postawie i marszu porządnym nie było czasu pomyśleć, tylko dorywczo. Nakoniec w maju 1812 r. otrzymaliśmy rozkaz do zebrania dywizyi.

Wojsko polskie podzielono na trzy dywizye, złożone każda z 4-ch pułków piechoty, jednego pułku jazdy i licznej artyleryi. Każda dywizya zostawiła w kraju jeden pułk piechoty dla załóg w twierdzeniach i służby wewnętrznej. Po potrąceniu tego, wstąpiły dywizye do swych obozów, po 10 do 11 tysięcy głów, licząc w to sztaby i pociągi. (Do ogółu dodać należy liczną rezerwę jazdy, artyleryi, parków etc. pod dowództwem generała Roźnieckiego). Numera dywizyi były podwójne: jedne między sobą, drugie w ogromie całej armii Napoleona, i tak: 1-sza, dowództwa generała Zajęczka, miała № 16-ty w armii; 2-ga, dowództwa gen. Dąbrowskiego—№ 17; 3-cia pod imieniem księcia Poniatowskiego, naczelnego wodza—№ 18 i była dowodzona przez gen. Kniaziewicza.

W czasie kiedy dywizye zbierały się, przypadek zrzucił, że pułkownik Kosecki, szef sztabu gen. Zajęczka, złamał nogę i generał, mając prawo wybrać sobie jego zastępcę, podał mnie na swojego szefa sztabu. Lubo nie bardzo chętnie, zgodziłem się jednak na opuszczenie pułku, którego byłem od początku organizatorem i dowódcą. Myśl rozstania łagodziła jednak myśl, że odnowiony w znacznej części pułk nie posiadał już tego zaufania, z którym przedtem stawiał czoło nieprzyjacielowi. Nadto ze stanowiskiem szefa sztabu okres mój działania rozszerzył się i sposobił mnie stopniowo do obowiązków generalstwa. Zdanie pułku następcy, pułkownikowi Wierzbickiemu, nie zabrało więcej, jak dzień jeden: dawne porządki utrzymano w dowództwie i administracji onego.—Pożegnałem dawny swój pułk nie bez wzruszenia i udałem się do Radzymina, miejsca przeznaczonego na zbór dywizyi gen. Zajęczka. Oprócz przykrości opuszczania wychowanego przeze mnie pułku miałem jeszcze zmartwienie z nieukontentowania księcia naczelnego wodza, że opuszczałem dowództwo pułku w tak krytycznej chwili. Po zebraniu się dywizyi na dzień przeznaczony, użyto parę tygodni czasu do uporządkowania i organizowania służby.

Wkrótce rozpoczęły się ogólne ruchy naprzód: wszystkie dywizye maszerowały ku Augustowowi. Dywizya 16-ta gen. Zajęczka przysłała oko 19 czerwca do Dobrego lasu, między a Stawiskami w Augustowskiem. Tu staliśmy, aż do 22-go, niewiadomo dla czego tak długo; wynikło z tego, że potem śpiesznie bez żywności maszerować musieliśmy. 4 lub 5 mil, a czasem bez dystrybucyi—niszczyły nasze wojsko, zanim nieprzyjaciela widziało. Nadto dywizya jazdy generała Deloge, maszerując najnieregularniej z liczną artylerją i bagażami, co moment przerzynała naszą piechotę i po kilka godzin zatrzymywała. — 1-go lipca marsz do Grodna, gdzie nasza

przednia straż już wówczas stanęła. Tu się ściągnęło całe prawe skrzydło armii pod dowództwem Hieronima Bonaparte, króla westfalskiego. Korpus westfalski odznaczył się zaraz niesłychanym rabunkiem, jak później nikczemnem tchórzowstwem. Król stał w Grodnie na koszczie miasta, bardzo uciążliwym, a ponieważ tak mu się podobało, staliśmy tu dni pięć, które później zabijającym marszem nagrodzić usiłował. Ale wszystko zniszczył, a nie dokazał tego, aby stosownie do myśli cesarza, Bagration był odcięty. Uchybienie to strategiczne stało się pod Smoleńskiem, gdzie się cała armia połączyła, powodem gorzkich wymówek Napoleona, lecz całe nieukontentowanie spadło na najniewinniejszych dowódców korpusów, a królowi Hieronimowi odjęto komendę.

Kiedyśmy się zbliżyli do Bobrujska, dywizya 17-ta generała Dąbrowskiego została w tem mieście dla strzeżenia Berezyny i tyłów armii, gdyż już miano wiadomość, że stanął pokój Rosyi z Portą, i że wskutku tego część wojsk rosyjskich pod Czyczagowem i Tormassowem ciągnęła od Bessarabii na Litwę.

Bitwa pod Smoleńskiem jest tak szczegółowo opisana przez wielu, a przez Ségura,³ między innymi, że o niej powiem tylko kilka słów. Napoleon żądał bitwy, gdyż w tem tylko spoczywała nadzieja pomyślności i końca wojny, której przedłużenie smutny koniec wszystkim zapowiadało. Lubo wojsko było zniszczone, zmniejszone i zniechęcone, zwycięstwo jednak było pewne przez samą wyższość geniuszu wodza, talentów i doświadczenia generałów i męstwa żołnierza. Żądaliśmy przeto wszyscy bitwy, ale przezorny nieprzyjaciel unikał jej zręcznie. Tu w Smoleńsku zdawał się stawić czoło, bo mu obmurowane miasto (dawna twierdza) i Dniepr podawały sposobność bitwy, bez narażenia się na wielką klęskę; postanowił zatem bronić tej pozycji. Armia nasza zbliżała się powoli ku murom, spędzając zewsząd przednie straże. Nareszcie Napoleon, rozpoznawszy położenie, rozkazał atak ze wszech stron. My trzymaliśmy prawe skrzydło całej armii. Mając przed sobą przedmieście prowadzące do mostu, weszliśmy pierwsi do miasta, co straszliwie rozgniewało Davoustą, pod którego dowództwem był wówczas nasz korpus. Miłość własna jego była bardzo obrażona, że nie Francuzi wybili bramę. — Jakkolwiekby, opanowaliśmy miasto puste i mosty na Dnieprze, chociaż nieco popsute. Rosyanie cofnęli się za rzekę. Korzyści z tej bitwy ograniczyły się tylko na opanowaniu mocnej pozycji, ale ani ludzi, ani spodziewanych magazynów nie zastaliśmy w mieście, wszystko było wypróżnione, gdyż nieprzyjaciel był panem mostów aż do nocy. Straty nasze były ogromne. My, Polacy, straciliśmy 83 oficerów róż-

nego stopnia. Między innymi polegli: generał brygady, Michał Grabowski, dowódca pułku 3-go piechoty, Zakrzewski etc., etc. Między rannymi gen. Zajączek, kilku pułkowników. Koń pod generałem Zajączkiem był trafiony pięcioma kulami i tyle tylko zachował siły, aby jeźdźca swojego odwieźć do ambulansu: skoro zdjęto generała, koń padł i skończył. Spoczynek dnia następnego na pobojożywie był smutny: nie doliczyliśmy się wielu towarzyszy; sztab generała Zajączka stracił młodego człowieka rzadkich przymiotów i wielkich nadziei, Jana Dębińskiego, członka jednej z najszanowniejszych rodzin krakowskich.

Napoleon, zadowolony działaniem wojska polskiego, przybył sam do naszego obozu i, rozpytując o najmniejsze szczegóły, hojnie rozdawał krzyże wszystkim stopniom, a chąc wiedzieć, jak się kto sprawował w tej bitwie, zapytywał wodza, księcia Józefa, o generałów, tych o pułkowników, pułkowników o sztabs-oficerów i tak następnie, a stosownie do danej opinii rozdawał nagrody. Wśród tej czynności były dwa zdarzenia godne pamięci. Adjutant (nazwiska nie pamiętam) batalionu pierwszego pułku 16-go piechoty, widząc, że pomimo pochlebnego przedstawienia przez swego pułkownika, księcia Konstantego Czartoryskiego, cesarz go minął, nic mu nie dawszy, zbliżył się do niego i rzekł:

— „J'ai fait mon devoir comme les autres; Votre Majesté a récompensé tous ceux, qui ont mérité une mention favorable et à moi Elle n'a rien accordé“.

Cesarz mu na to:

— „Tu es jeune, tu auras encore le temps de mériter toutes les récompenses“—i powiedziawszy to dalej postępował. Kiedy adjutant postrzegł, że cesarz mija już lewe skrzydło batalionu, zastąpił mu raz jeszcze drogę i ponowił swoją prośbę z naleganiem. Cesarz mu odpowiedział, jak pierwszej, ale żywiej i z niejakim zdziwieniem. Zmartwiony adjutant postępował za cesarzem, a gdy już cesarz zupełnie pułk mijał, poskoczył, zatrzymał go prawie za połę munduru, mówiąc z uniesieniem:

— „Tous mes collègues se glorifient des récompenses dont V. M. les a honorés: moi seul je suis condamné au silence; j'ai pourtant été partout où le devoir m'appelait toujours à la tête là, où il fallait agir et affronter le danger—et je suis oublié; l'on dira, que je n'étais pas de cette bataille, ou que je me suis mal conduit, que je suis un lâche voilà ce qu'on dira!“

Cesarz, stanąwszy przed nim, wpatrywał się i mierzył go oczyma, a po niejakim milczeniu wziął go za jedną faworytę i rzekł:

— „Allons—voilà un bravel“—a zwróciwszy się do świty: „légion d'honneur accordée“.

Drugie zdarzenie było następujące. — Cesarz, otrzymawszy od pułkownika zaszczytne świadectwo dla jednej ze środkowych kompanii pewnego pułku, rozkazał zapisać krzyż legii honorowej dla dowódcy, stojącego na czele tej kompanii, co usłyszawszy tymczasowy dowódca, porucznik, przystąpił do cesarza i rzekł:

— „Sire, la récompense, que vous m'accordez ne m'appartient pas; c'est au capitaine, qui nous a commandé, qu'elle est due.“

Cesarz zdziwiony:

— „Et où est donc le capitaine?“

— „Blessé, à l'ambulance“.

Ten postępek porucznika (którego na nieszczęście nazwiska nie pamiętam), tak wzruszył obecnych, że generałowie, stojący za cesarzem, klasnęli w ręce. Sam Napoleon milczeniem zdradzał wzruszenie, a porucznik w skromnej i szlachetnej postawie stał przed cesarzem, oczekując wyroku. Obadwaj zostali ozdobieni.

Od Smoleńska o 25 wiorst nieprzyjacieli się zatrzymał i zdawał się tu chcieć bronić drogi do Moskwy. Bitwa była krwawa, ale tylko częstkowa; większa część armii nie brała w niej udziału. Bitwa nie była stanowcza, jak powiadano, przez winę generała Ingrot (?). Straty z obu stron były znaczne, nadewszystko oplakiwana była śmierć generała dywizyi Gudin¹⁾. Armia postępowała potem wielką drogą ku Moskwie z mniej znaczącymi utarczkami.

Ja nie opisuję kampanii, jeno piszę pamiętniki: to, co mi się zdarzyło, lub czego naocznym byłem świadkiem; opuszczam więc wszystkie szczegóły, aż do chwili nas zajmującej.

Wojsko polskie pod dowództwem księcia Józefa maszerowało ciągle na prawem skrzydle, równając się zawsze z awangardą armii, dowodzoną przez Murata. Niepodobna sobie wystawić trudności, które spotykały co moment naszego wodza, księcia Józefa: marsz częstokroć bez śladu ludzkiego, przez błota i lasy; ani karty dobrej topograficznej, ani przewodnika, gdyż wszyscy mieszkańcy uciekali przed nami. Po większej części kierowaliśmy się tylko na głos dział, które prawie co rano i wieczór brzmiały w przedniej straży króla Joachima.—Rosyanie, ustępując, Francuzi, zajmując stanowiska, zawsze

¹⁾ 19 Sierpnia 1812.

zamieniali kilka strzałów armatnich i na tem się kończyło, a dla nas to była jedyna wskazówka, na jakiej wysokości i w jakim oddaleniu zatrzymać się mamy. Pochód zatem wojska naszego był niebezpieczny, trudny i głodny.

Zbliżyliśmy się nareszcie pod Borodino, wieś położoną na wielkiej drodze o milę od Możajska. Tam w korzystnym położeniu nieprzyjaciel stanął i postanowił przyjąć walną bitwę. D. 5-go września nasz korpus, postępując zawsze na prawem skrzydle na równi z awangardą, spotkał nieprzyjaciela. Atakowaliśmy natychmiast z natarczywością; nieprzyjaciel śpiesznie ustępował aż do krzaków, w których walka stała się uporczywszą i straty znaczne, większe przecież u nieprzyjaciela. Trwał bój po całej linii armii, aż do nocy. Skutkiem onego było opanowanie mamelonu osadzonego działami przed frontem nieprzyjaciela i zupełne odkrycie jego położenia. — Dnia 6-go września armie stały w cichości naprzeciw siebie i gotowały się wzajemnie do wielkiej walki, która nazajutrz, to jest 7-go, nieuchronnie nastąpić miała. Napoleon, objeżdżając swoje linie, gdy, przybył do naszej, stojącej na wczorajszym pobojowisku, widział wzgórze okryte trupami i zawołał:

— „On s'est bien battu ici!”

W rzeczy samej mieliśmy przeciwko sobie gwardye rosyjskie, a szczególnie strzelców i pułk Pawłowski, które bardzo wiele straciły. Nie mogę tu nie wspomnieć o jednym z najświetniejszych zdarzeń w bitwie wczorajszej. Dywizya kirysyerów rosyjskich wpadła ze strasznym szturmem na dwa słabe pułki jazdy z korpusu króla neapolitańskiego. Te nie wytrzymały ataku i pierzchnęły; goniąc za nimi cała dywizya wpadła w środku obszernego pola na jedną kompanię grenadyerską pułku 16-go, komenderowaną przez swego kapitana Skrzyneckiego (znanego później naczelnego wodza). Nieustraszeni grenadyerowie uformowali się w kłęb i tak dzielnie się bronili, że zrobiwszy sobie przedpiersie z kirysyerów różno-kołnierzowych, zmusili ich do odstąpienia, nie straciwszy sami prawie ani jednego człowieka. Gdy, jako szef sztabu, troskliwy o los tej kompanii, nie wiedząc co się z nią stać mogło w tem zamieszaniu, wyjechałem na rzeczone pole, wszyscy oficerowie pułku francuskiego lekkiej piechoty, stojącego opodal w krzakach, wybiegli naprzeciw mnie, jednogłośnie wołając:

— „Allez, commandant, faire au prince Poniatowski le rapport sur la conduite de cette invincible compagnie; c'est le plus brillant fait d'armes, qu'on puisse voir. Citez nous tous comme témoins oculaires“.

W rzeczy samej, gdym przyjechał do kompanii, stojącej jeszcze w swoim miejscu, znalazłem ją otoczoną poległymi kirysyerami, opatrzącą spokojnie broń swoją. Kapitan Skrzynecki został za ten czyn ozdobiony krzyżem legii honorowej. Pisarze francuscy, a szczególnie Ségur, na karcie 368 tomu 1-go, przeistoczyli to factum, nazywając kompanię batalionem, a Polaków Francuzami.

7-go września rozpoczęła się bitwa, najkrwawsza może od początku wojny rewolucyjnej. Nasze wojsko miało z ćwierć mili krzaków gęstych, wysokich i tak okrytych liśćmi, że nie tylko przez nie przedrzeć się, ale na krok przejrzeć było trudno. Jenerał Sebastiani, który komenderował dywizją polskiej jazdy, należąca do korpusu naszego, przyjechał do księcia Józefa przed rozpoczęciem naszego ruchu i oświadczył, że, ponieważ tu jazda działać wcale nie może, on chce pełnić służbę adjutanta przy księciu. Rzeczono krzaki były osadzone przez nieprzyjaciela, trzeba było zatem walczyć z zawiązaniem oczyma. Dywizja Zajączka otrzymała rozkaz maszerowania naprzód przez krzaki, za którymi było wysokie wzgórze (mamelon), cel wszystkich naszych usiłowań, gdyż zostawiona tam nasza artyleria była-by strychowała wzdłuż i z tyłu lewe skrzydło głównego frontu nieprzyjaciela, ale on, widząc niebezpieczeństwo tego położenia, wzmacniał coraz te krzaki, przeznaczając do ich obrony najlepsze swoje pułki. Gdyśmy się krwawo przebijali przez te gąszcze, ja jechałem z kilku sztabu naszego oficerami na prawem skrzydle pułku 16-go, a że dla gąszczu musiałem zwracać konia to wprawo to w lewo, oddaliłem się o kilka kroków od frontu na miejsca nieco rzadsze. W tem ujrzałem tuż przed sobą ze 20 grenadyerów Pawłowskich; poznałem ich po mosiężnych kaszkietach; nie dali mi się jednak rozpatrzyć, gdyż oficer komenderował natychmiast: ognia! — i wszyscy razem wystrzelili do mnie. Tak nadzwyczajnie blisko żadna kula nie powinna była mnie minąć, a przecież tylko jedną byłem ugodzony w prawe ramię, które zostało przeszyte. Utrzymałem się przecie na koniu, a postrzegłszy bagnety zbliżającego się naszego frontu, wołałem na Rosyan, aby się poddali, sądząc, że mogą być otoczeni, — lecz w tej chwili kula przeszła mi między lewym bokiem i łokciem, nie naruszywszy mnie, ale z taką siłą, że mię zrzuciła z konia i dała kontuzję. Józef Mieroszewski, kapitan z naszego sztabu, wpadł w tym momencie z kilku grenadyerami i kazał mnie w tył odprowadzić. Wojsko tymczasem postępowało dalej i nakoniec zdobyło owo ważne wzgórze, ale niedługo mogło się utrzymać, bo odnawiane coraz pułki rosyjskie nie dały się tam osadzić. Rychło też i noc nadeszła, a położywszy koniec walce, dała rosyanom cofnąć się spokojnie.

Nazajutrz rano już nie było nieprzyjaciela przed nami. Korzyści tej strasznej bitwy ograniczały się na kilku sztukach dział opuszczonych, kilkuset jeńcach i placu otrzymanym. Nie wynagradzało to ogromnej straty w wojsku, a nadewszystko tej demoralizacji, która pochodziła z opinii, że nieprzyjaciel, cofając się, wzmacnia swoje siły, a my, postępując, tracimy je coraz. Napoleon w tej bitwie był nadto przezorny; nie tu w nim nie było owego śmiałego wodza, który, ważąc wiele, zwyciężał stanowczo i świat zadziwiał. Sam cesarz dwa razy nie dał tej walce być stanowczą: pierwszy — gdy odmówił marszałkowi Davoust, który go błagał o pozwolenie, aby z korpusem i przybranem polskiem wojskiem obejść lewe skrzydło nieprzyjaciela, a tym sposobem odciąć mu wszelką możność cofnięcia się — i to marszałek łatwo mógł zrobić, gdyż nieprzyjaciel albo-by musiał przeciw niemu manewrować, albo trzymając front przeciw głównemu atakowi, dwa ognie znosić i być koniecznie zmieszanym. Ruch ten marszałka, łatwy i bezpieczny, wskazywały położenie i stara droga pocztowa do Możajska. Za śmiało to było dla cesarza, który jako generał na tyle się odważał. Drugi raz, kiedy wśród bitwy marszałek Ney, opanowawszy klucz pozycji nieprzyjaciela ze słabym swoim korpusem, przysłał z żądaniem jednej dywizji piechoty i zapewniał cesarza, że przełamanie nieprzyjaciela, Napoleon kazał ruszać dywizji polskiej Nadwiślańskiej, stojącej w rezerwie przy jego gwardyach, a w kwadrans później rozkazał ją odwołać na swoje miejsce. Tym sposobem usiłowania marszałków zostały zniweczone i bitwa skończyła się tylko na czczym tryumfie otrzymania placu. Nazajutrz ruszyliśmy w pochód za nieprzyjacielem, ale ten, ośmielony, już mocniejszą aryergardę przeciw nam rozwijał i porządnie się cofał.

Weszliśmy nakoniec do Moskwy. Artur Potocki i ja, jako ciężko ranni, zostaliśmy umieszczeni w szpitalu księcia Golicyna. Znaleźliśmy tam dużo rannych oficerów rosyjskich, którzy nas przyjęli z radością jako załogę bezpieczeństwa przeciw nadużyciom zwycięskiego wojska. Lecz że polski korpus przeszedł tylko przez przedmieście i zaraz odebrał rozkaz maszerowania po drodze ku Kałudze, książę Józef, nie sądząc bezpiecznem zostawiać nas w palącej się stolicy, posłał nazajutrz rano karetę swoją i Alfreda Potockiego (brata Artura), aby nas zabrał i wiozł za korpusem, a gdy w dalszym pochodzie bagaże zaczęły być napadane, wsiedliśmy na konie, maszerując z wojskiem, chociaż niewygodnie, ale bezpiecznie.

Zbliżywszy się pod Czurykowo, korpus nasz spotkał całą aryergardę Kutuzowa pod dowództwem gen. Miłoradowicza, który, będąc dwa razy mocniejszy od nas, zawzięcie nas atakował. Książę Józef zaś poczynił tak dobre dyspozycje i tak umiał natchnąć odwagą woj-

ska, że nieprzyjaciel, poniosłszy znaczną stratę, zmuszony był do odwrotu, poczem postąpiwszy na pozycję o pół mili przed Czurykowo, stanęliśmy obozem w miejscu, „pod Brzezina” zwanem. Za ten dzień, w którym byłem czynny, choć cierpiący jeszcze na ranę, zostałem ozdobiony stopniem oficera legii honorowej ¹⁾.

Staliśmy tu dni kilkanaście wskutek jakiegoś częściowego zawieszenia broni. Po naszej prawej zajął pozycję król neapolitański, a po lewej gen. Sebastiani z korpusem jazdy ciężkiej, tak, że formował kąt prawie prosty z naszą linią. Król Murat, objąwszy wtenczas główną komendę, objeżdżał codzień wszystkie przednie strażę; książe Józef często mu towarzyszył. Król rozmawiał z generałami rosyjskimi i ledwo nie był pewny, że już pokój mieć będziemy wskutek czynnych o tenże negocyacji. Orszaki obu naszych wodzów rozmawiały takoz z adjutantami Miłoradowicza, mając sobie polecone, aby nie mówić ani słowa o polityce, ani o obrotach wojennych. Rosyjscy oficerowie wszakże, mówiąc o obojętnych rzeczach, wciskali niekiedy uwagi niepokojące nas. Czas był nadzwyczaj pogodny i miły nadspodziewanie w tym kraju, ale w październiku przewidywano już złą porę roku. Był to największy postrach dla nas. Staliśmy tak pod Brzezina, jak powiedziałem, dni kilkanaście, bijąc się to z chłopami, to z wojskiem, o każdą garstkę owsa i każdą wiązkę siana; żywność dla wojska była tym sposobem nabywana. Bieda doszła do tego stopnia, że nakoniec musieliśmy posyłać o mil kilka jazdę i piechotę z armatami, ażeby coś zdobyć żywności. Straty mieliśmy codzienne, a łupy tak szczupłe, że konie zdychały z głodu, ludzie zaś nędznie żyli. Wszyscy musieliśmy myśleć o sobie; ja wówczas miałem jeszcze wszystkie swoje konie i ludzi, posyłałem więc z temi komendami moich dostarczycieli. Przemysł i śmiałość mojego poczciwego Johanna zawsze mi coś dostarczyły. Sam książe Józef miał tak szczupło, że oficerowie z jego sztabu szukali lepszego pożywienia, gdzie mogli. Artur Potocki przeniósł się zupełnie do mojej baraki,—razem jadałmy, co mój kucharz uwarzył.

Generał Sebastiani ze swoją wyborową jazdą przytykał do naszego lewego skrzydła i formował kąt z nami, jak powiedziałem, rozciągając swoją linię w tył. O półtoraśta kroków przed jego frontem zaczynał się głęboki las brzozowy, pełen wygodnych drózek od nieprzyjaciela. Jenerał jednak nie urządził potrzebnych ostrożności, warty jego stały przed samym obozem, a wedety w brzegu lasu. Artylerya tego korpusu jazdy (sztuk 36) stała pomiędzy wartami (gran-

¹⁾ P. annex №.

de garde); w przypadku więc ataku z lasu, ani straż, ani artylerya nie miały już czasu zerwać się do broni. Błąd generała był tem mniej wybaczony, że pokilkakrotnie kozacy w kilkadziesiąt koni wpadli na jego wedety, co wyraźnie dowodziło, że siły im tylko brakowało, aby uderzyć na cały front armii, prawie bez alarmu. Wielu oficerów przewidywało niebezpieczeństwo, a mianowicie pułkownik dowodzący artylerją, stary i okryty ranami wojak, powtarzał, że w długich przebytych wojnach jeszcze mu się nie zdarzyło być z działami w przedniej straży. Generał Zajączek, pozostały w Smoleńsku dla ciężkich ran niezupełnie zagojonych, opuścił wreszcie Smoleńsk i przybył do swojej dywizyi.

— Tam cierpią nasi, trzeba iść cierpieć z nimi — mówił do otaczających, ruszając w niebezpieczną podróż. Szczególnie szlachetny rycerski duch znamionował tego generała; jeżeli mu brakło talentów to miał w nagrodę odwagę, głębokie poczucie honoru i najdelikatniejszych obowiązków rycerza.

Nazajutrz po jego przybyciu do obozu (18 października) około 7-ej rano usłyszeliśmy kilka wystrzałów pistoletowych na linii gen. Sebastianiego. Szczęściem cała nasza piechota i jazda były pod bronią na swojej linii bojowej; wystąpiono do apelu, do którego wódz nasz kazał zawsze stawać jak do boju, z bronią i całym pakunkiem. Ta przezorność zbawiła nie tylko nas, ale i korpus króla, stojący po naszej prawej. Przez napad 12,000 jazdy rosyjskiej z rzeczonego lasu, korpus Sebastianiego był zupełnie starty, bez obrony, bez jednego wystrzału działowego. Karabinierów i kirysyerów brał nieprzyjaciel w barakach, a znaczna część Rosyan, przebiegłszy zniszczoną linię, wpadła nam w tyły i na bagaże, które stały zaprzęzione, gotowe do ruchu, stosownie do wyrzeczonego rozkazu. Kiedy nieprzyjaciel uganiał się za bagażami, które biegały w kółko, jak mogły, gen. Zajączek wysłał ze swojej dywizyi kilka kompanii woltyżerów. Te odbiły bagaże, ubiły nieco Dońców i wzięły w niewolę kilkudziesięciu starych, ozdobionych po większej części krzyżami, należących do tych 40,000 nowoprzybyłych z Donu, którymi nam Rosyanie grozili. Pułkownik Blumer z dwoma batalionami swojego pułku cofnął się dzielnie z pośród nieprzyjaciela ze swojego posterunku o ćwierć mili przed naszym frontem. Król Murat przypadł do nas właśnie wtenczas, kiedy książę Poniatowski odmienił front dywizyi 16-ej lewem skrzydłem w tył, aby stawić czoło nieprzyjacielowi, który, po rozbiciu korpusu Sebastianiego, wzmocniony piechotą, postępował prosto na nasze lewe. Ten manewr księcia uratował resztę wojska od klęski. Murat, którego prawe skrzydło, to jest właściwy korpus jego, i lewe, czyli korpus Sebastianiego, pierwsze w nieładzie, a drugie

zupełnie zniesione, pozbawiły nawet nadziei ratowania reszty, znalazłszy korpus środkowy, t. j. księcia Poniatowskiego, w największym porządku mężnie odpierający nieprzyjaciela, odetchnął. Cała nasza piechota, gdy się nieprzyjaciel zatrzymał, zwinęła się w kolumny pułkami, gdyż bardzo liczna jazda rosyjska ukazała się na naszej lewej, ale nie śmiała nic przedsięwziąć, chociaż groziła ruchami przygotowawczymi. Tak staliśmy naprzeciw siebie aż do zmroku, poczem cofnęliśmy się spokojnie aż do Woronowa. W tej bitwie dywizya 18-a utraciła wielu oficerów, a szczególnie pułk 12-y. Gen. Zajączek został znowu lekko ranny kulą ręczną w lewy bok i to był tylko dodatek do cierpień, które mu niezgojone jeszcze rany z pod Smoleńska sprawiały. Generał Fiszer poległ w tej bitwie śmiercią bohaterską. Będąc obok księcia, miał najprzód rękę strzaskaną kulą karabinową, a gdy mu książę kazał cofnąć się i ranę opatrzyć, odpowiedział, że jeszcze może siedzieć na koniu. W tem druga kula ugodziła go w samo czoło i położyła koniec jego cnemu życiu. Gen. Fiszer był żalowany przez wojsko, bo się odznaczał odwagą, poczciwością i czynnością niezmordowaną.

Od tego dnia zaczęło się cofanie nasze ku granicom polskim i owé klęski, których opisać niepodobna. Napoleon poszedł z gwardyami i korpusem wice-króla Eugeniusza i Davoust'a ku Małojarosławcowi na drodze ku Kałudze, a reszta wojska i my w tym tłumie tąż samą, którą przyszlismy, drogą na Możajsk, Wiazmę ku Smoleńskowi. Pod Małojarosławcem była krwawa bitwa przez dwa dni, oba wojska straciły mnóstwo ludzi, ale chociaż zwycięstwo zostało przy Napoleonie, już było zapóźno: nie miał czem dokonać klęski nieprzyjaciela. Zwrócił zatem z resztą gwardyi i korpusów ku naszej drodze i połączył się pod Wiazmą. Już się wszczęły mrozy, śniegi i zawieruchy: porządek coraz się rozprzegał. Ludzie i konie, maszerując o głodzie, zaczęli padać po drodze; widocznie topniały szeregi; szczęśliwy pułk, który jeszcze nieco żołnierzy utrzymywał przy orłach. Gwardye najdłużej się trzymały; reszta szła pomieszana, różnobarwną hordą, rzucając broń i wszystko, co tylko ciążyło; konie żywe i zdechłe były jedynym pokarmem. Łatwo się pojmie ten stan, skoro się przypomni, żeśmy wracali tąż wielką drogą, którąśmy przyszlizli. Same zgłiszczą po drodze, a zniszczenie zupełne na kilka mil po prawej i po lewej; magazynów nigdzie nie znajdowano, a może i nie założono, a jeżeli w pewnych punktach coś przysposobiono, to tylko resztkę gwardyi się dostawało. Z podziwieniem naszym, w tym nieładzie płynęliśmy spokojnie; sądziliśmy, że nieprzyjaciel, wśród swego kraju jest zaopatrzony we wszystko, że ani na broni, ani na amunicji zbywać mu nie może, a przecież nic nie przedsiębrał. Przeko-

naliśmy się później, że i jego wojska stan był opłakany, co śmiało przypisać można złej jego administracyi. We wszystkich wojnach Rosyi zła administracya albo hamowała, albo zrządała klęski. Armia rosyjska, posuwając się obok z nami, mogła nam w wielu punktach zastąpić drogę i znieść nas ostatecznie, nas prawie bezbronnym, ale nie śmiała. Tentowała parę razy, ale tak słabo, że zawsze była ze stratą spędzona przez resztki naszego wojska, które jeszcze mogły jako tako czoło stawić. Przyszliśmy nareszcie do Smoleńska, gdzie znaleźliśmy resztki naszych rannych w bitwie pod miastem z dnia 17 i 18 grudnia. Pułk konnych strzelców dowództwa pułkownika Przebendowskiego odznaczał się swoją porządną jeszcze postawą, chociaż wychodził z najtrudniejszej i najniebezpieczniejszej wyprawy z korpusem marszałka Ney, który, oddzielony od armii z 6000 piechoty i 300 konnicy Przebendowskiego przebił się przez 80-tysięczną armię Kutuzowa i połączył się z główną kwaterą. Czyn ten marszałka Ney był podziwieniem całej armii.

Stąd cofaliśmy się ku Borysowowi. Przyszedszy pod to miasto, zatrzymani byliśmy przez most spalony na Berezynie i generała Czyczagowa z 30,000 przybyłymi z Wołynia, zajmującego korzystne stanowisko na przeciwnym brzegu. Napoleon wahał się między różnemi zdaniem, jak tę trudność zwyciężyć, albo jej uniknąć. W tem znalazł się jakiś krajowiec, może naszej sprawie przychylny, który wskazał o milę od Borysowa najmniej trudną przeprawę, która podług podobieństwa miała być broniona przez Czyczagowa. Działo się to około 4-ej godziny. Wojsko, zebrane przeciw Borysowowi, szykowało się i przybierało pozór jakoby w tem miejscu przebić się zamysłano; skoro zaś zmierzchno, ruszyło wszystko, co było pod bronią, z porządkiem i cichością zadziwiającą ku robiącemu się mostowi. Przybywszy tam równo ze dniem pierwsze korpusy zaczęły przechodzić. Dziwnie prędko zrobiono mosty, chociaż jakie takie, ale co więcej dziwiło, to że zdołano ugacić drogę od mostów do brzegu górnego przez wielką przestrzeń trzęsawicy.

Wojsko przechodziło w porządku: nic niefrontowego nie puszczano: sam cesarz z marszałkami stał przy moście i pilnował, przekonany zawsze, że Czyczagow będzie atakował. Ataku przecież nie było: generał rosyjski dał się omamić, a może i nie śmiał? któż wie? A tak było łatwo zatrzymać wojsko, idące po gaci z chrustu świeżo ułożonego, zwłaszcza broniąc suchego i wysokiego brzegu. Całe na koniec wojsko przeszło i trochę uporządkowane, z artyleryą, zajęło pozycję w stronę Borysowa. W tem zdarzeniu ja, będąc ubrany w szpencer kolorowy i okryty tylko kołnierzem od płaszcza, z czarną czapką na głowie, byłem wzięty przez marszałka Lefebvre za niefron-

towego i ledwo nie odpędzony od mostu, ale szczęściem, gdy przemówił, marszałek mnie poznał i przepuścił. Scena była okropna po przejściu wojska, kiedy reszta niefrontowa, bezbronna, dwa razy liczniejsza jak wojsko, wszystkie wozy skarbowe i prywatne, zaczęły się cisnąć na most, a wtem jazda rosyjska przybiegła z działami z tyłu i zaczęła rzucać granaty pomiędzy tę masę, — scena, której okropności opisać niepodobna. Zbytecznym natłokiem most złamano i wszystko, co się nie utopiło w rzece, było wytępione przez ogień nieprzyjacielski. Ścisano się tak gwałtownie, że studnia, która się znajdowała we środku, była zapełniona zepchniętymi ludźmi. Patrzyliśmy z daleka na tych nieszczęśliwych, nie mogąc im nieść żadnej pomocy; odwracaliśmy oczy od tego widoku z tem zimnem odrętwieniem, którego już nawet egoizmem nazwać nie można, gdyż nieszczęścia ogólne i indywidualne cierpienia własne nie dopuszczały ani uczucia do serca, ani łzy do oka. — „Daleka jeszcze droga — mówiono — wszystkich nas to czeka“.

Gen. Dąbrowski z resztą swojej dywizji, po obronie Bobrujska cofnięty na nasz brzeg, połączył się z korpusem naszym. Po przebyciu tej strasznej przeprawy marszałek Ney objął ze swoim korpusem i korpusem księcia Poniatowskiego dowództwo tylnej straży. Reszta dążyła drogą ku Oszmianie. Staliśmy na pozycji nazajutrz dzień cały; mróz i zawierucha z obfitym śniegiem gorzko nas trapiły. Brzezina dostarczała wprawdzie drew, ale te mokre palić się nie chciały. Trzeciego dnia na koniec Czyczagow ośmielił się nas atakować; odparty przez rzeczoną tylną straż zostawił na placu wiele zabitych i rannych i kilka tysięcy jeńców, z którymi nie wiedziano co począć. Marszałek Ney, swoim bohaterskim zwyczajem zawsze na czele, zachęcał przykładem przemarzłych żołnierzy. Nasi trzech generałowie dywizji byli wszyscy ranni: Dąbrowski miał rękę przestrzeloną, Kniaziewicz silną kontuzję dostał w nogę od kuli armatniej, a Zajączek miał nogę potrzaskaną w kolanie. Pierwsi byli opatrzeni naprędce, a Zajączek był odniesiony w tył, gdzie Larrai, naczelnny chirurg armii, zrobił amputację nogi wobec Napoleona. Ile człowiek znieść może! dość było widzieć tego starca zniszczonego, bez życia prawie, cierpiącego na niezagojone jeszcze rany, operowanego pod gołym niebem w mróz i zawieruchę, męczzonego potem przez nieprzyjaciela nielitościwą podróżą z Wilna do Połtawy. Duch niezłomny utrzymywał ciało!

Odtąd maszerowaliśmy wolni już od ważniejszych napaści, zawsze w stanie nieładu. Oprócz garstek żołnierzy, którzy pod wodzą swoich oficerów maszerowali około czczonych orłów, reszta płynęła jak potok, bez szyku, ani broni. Księżę Józef, z powodu że mu koń

padł na zmarzniętej grudzie i przycisnął nogę, musiał jechać w powozie. Ja zawsze na koniu, na którego mnie wsadzano, gdyż rana w ramieniu nie dozwalała mi samemu wsiąść, nie mając innego okrycia jak kołnierz od płaszcza, barankami podszyty, postępowałem razem z wojskiem, nocując zawsze na zagonie, w mrozy od 25 do 28°.

Zbliżając się do Wilna spotykaliśmy oddziały to jazdy, to piechoty, które szły z tego miasta w celu zasłonięcia naszej rejterady, ale to wszystko odrętwiałe od mrozu i przerażone naszym stanem, łączyło się z nami i topniało w rzece płynącego tłumu. Cesarz ruszył już z Oszmiany naprzód, zostawiwszy dowództwo Muratowi; ten zostawił je vice-królowi Engeniuszowi, wreszcie niewiadomó komu, gdyż już nic się w oddziały formować nie dało. Przybyliśmy nareszcie pod Wilno.

Spodziewając się tam znaleźć kogoś znajomego, pośpieszyłem do miasta i nie zawiodłem się: znalazłem tam wiele znajomych oficerów, którzy, należąc do pułków nowo-formowanych w Litwie, wygodnie pędzili życie, nie domysłając się naszych cierpień. Na widok naszej nędzy biegli wszyscy na pomoc. Ja zaś znalazłem w Wilnie brata mego, Sołtana, i zaraz do niego kazałem się zaprowadzić. Tu byłem otoczony najtkliwszem staraniem. Krewne nasze, panie Mirska i Szumska, przysłały natychmiast materace i poduszki, sądząc, że wygodny wypoczynek będzie mi najkorzystniejszy. Brata mego nie było jeszcze w domu, gdyż, nieuwiadomiony o mojem przybyciu, wrócił dopiero wieczorem. Służący, pewien że jestem zgłodniały, zastał mi zaraz parę pieczonych kuropatw i butelkę wina; ja sam sądziłem, że tego będzie zamało, ale ledwom zjadł jedno skrzydło i wypił kieliszek wina, już więcej przełknąć nie mogłem, tak mało było siły w znędzionych wnętrznościach. Spieszyłem położyć się do łóżka, ale, rozebrawszy się raz pierwszy po kilku miesiącach, takich dostałem kurczów po całym ciele, a szczególnie w nogach, że musiałem znowu się ubrać w moje zużyte odzienie i tak się położyć na dywanie, na ziemi; tym dopiero sposobem spocząłem godzin parę snem po-silnym.

Wilno jeszcze nie było zagrożone przez nieprzyjaciela, aleśmy wiedzieli, że to wkrótce nastąpić musi; przeto mimo fatygi i osłabienia śpieszyliśmy opuścić to miasto. Brat mój dał mi wygodne sanki, zaprężone parą tęgich koni. Miałem ukontentowanie ofiarować w swoich saniach miejsc adjutantowi księcia, Kickiemu (później generałowi brygady; zginął pod Ostrołęką), który nie znalazł w Wilnie brata, jak ja. Stąd już jechaliśmy wygodnie do Warszawy; najuboższa chałupka, byle ciepła, zdawała się nam nieporównanym noclegiem.

Przybyliśmy nareszcie do Warszawy, okropnie zmieszanej naszym widokiem, a zwłaszcza przewidywaniem klęsk, jakie ją czekały. Każdy śpieszył do domu własnego, krewnych lub przyjaciół, często niepoznany od swoich, tak nędza, mrozy i ubiór obszarpany nas odmieniał. Ja, nie mając nikogo z krewnych, udałem się prosto do gen. Wielhorskiego, ministra wojny, który mnie oddawna przyjaźnią zaszczycał. Skorom wszedł i zapytał sług, czy państwo w domu, lokaje zadziwieni, że taki brudas pyta z pewnym tonem zaufania, zatrzymali mnie w przedpokoju, nie śpiesząc nawet z zameldowaniem. Wtem przechodzi sama generałowa przez przedpokój, a postrzegisz mnie, zapytuje lokaja, co by to był za jeden? — „A to jakiś, odpowiedzieli, Bóg tam święty wie.“ Zabawiło mnie to, a że byłem pewny dobrego przyjęcia, pozwoliłem trwać tej scenie. Gdy więc generałowa, wracając przez przedpokój, rzekła: — „Niech-że mi da pokój ten człowiek“, a lokaj już mi chciał drzwi pokazać, przemówiłem zwyczajnym głosem, a generałowa, uderzona znajomym dźwiękiem, zbliżyła się:

— Co to jest? kto to być może?

A poznawszy mnie, po długim rozpatrywaniu, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do generała. Zostałem otoczony najczulszem staraniem; oczyszczenie, ubranie od stóp do głów było pierwszą rzeczą: garderoba generała wszystkiego dostarczyła i w jego surducie chodziłem, póki nie sprawiłem sobie własnego.

Wkrótce nadeszły resztki wojska naszego. Nieliczni oficerowie i żołnierze otaczali orły, z których żaden nie był stracony. Artylerya prowadziła swoje działa; utraciliśmy sami tylko jedną 12-funtową sztukę, zdemontowaną pod Tarutyną, Francuzi zaś stracili nam całą jedną baterię, to jest sztuk sześć, które dostarczyliśmy w miejsce ich potraconych dział. Warszawa witała serdecznie, ale ze łzami te resztki walecznych. Gen. Izydor Krasieński był na czele tych szczątków. Po przejściu przez Wilno wojska rozdzieliły się na trakty: francuskie poszły na Prusy, a polskie i saskie do Warszawy.

Tu wszczęły się pod Blachą u księcia Józefa ważne rozprawy, co dalej robić? Regnier (?), generał francuski, komenderujący korpusem Saksonów, przybył z Wołynia dość porządnie; książę Józef widział możliwość utworzenia jeszcze nieco polskiego wojska z resztek załóg, które w kraju pozostały i z ochotników. Generał Dendels (?), dowódca Modlina, obowiązywał się bronić tej twierdzy do ostatka. Ci trzej zatem generałowie (?) byli zdania, że można bronić Wisły, ułatwić cesarzowi reorganizację jego wojska i przytłumić nieco tym śmiałym krokiem duch niespokojny w Niemczech, który się tam już powszechnie objawiał. Lecz te wielkie cele zostały zniszczone przez

oświadczenie korpusu saskiego, że ma rozkaz wracać do kraju. A tak wódz i wojsko, przez niechęć tych Niemców, zostali pozbawieni świetnej sławy. Bronić się na własnej ziemi, w obliczu swojej stolicy!— i sił i męstwa-by nie zbrakło. Ale powie ktoś, że cesarz Aleksander z całą potęgą postępował ku nam—niech weźmie na uwagę, że wojsko jego nie było w lepszym stanie, jak nasze, że parę miesięcy musiało się zbierać i organizować nad naszymi granicami, że najmniejszy opór był-by znaczne przyniósł korzyści, że Prusacy byli-by się pewnie dłużej namyślali nad oświadczeniem odszczepienia, że наконец marszałek Macdonald ze swoim pięknym i liczny korpusem nie był-by zmuszony cofać się tak nagle, bo, pociągnąwszy nieco w górę Wisły, znalazł-by oparcie o nas. W tem położeniu możebyśmy Wisłę obro-nili, a przynajmniej z pewnością do wiosny utrzymali. To przedsię-wzięcie wywarło-by wielki wpływ na całą spiknioną Europę i obu-dziło-by energię francuską. Postępek wojska saskiego mało nas za-dziwił: doświadczyliśmy już bowiem z jaką skwapliwością 1809 r. po bitwie Raszyńskiej nas opuściło, nie przewidując tak świetnych wy-padków owej kampanii. Później w bitwie pod Lipskiem, przechodząc nagle z naszych szeregów do nieprzyjaciela, położyło ostateczne piętno swojej złej wiary i nikczemności. Prusacy wynagrodzili im tę predylekcyę zaborem połowy prawie ich kraju, najżyźniejszych i przemysłowych prowincyi.

Gdy postępkiem Sasów zniszczone były zamiary nasze, księżę Józef, dokonatowawszy swoje pułki zakładami i przysposobionym przez nie żołnierzem, oraz zabrawszy wszystko, co przybyło z orga-nizowanych pułków litewskich, urządził odwrót ku Krakowowi i wkrótce pochód rozpoczął. Nieprzyjaciel, ośmielony naszym odwrotem i widząc kraj zupełnie opuszczony przez siłę zbrojną, zaraz się wcisnął w nasze granice, nie nacierając jednak na nasze tylne strażę.

Napoleon w ciągu kampanii 1812 r. był w ręku zdradzieckich lub niezdolnych swoich dyplomatów. Kiedy ostrzegano księcia Bas-sano, że oddzielnie działający 30-tysięczny korpus austriacki porozu-miał się z nieprzyjacielem, księżę na to z uśmiechem odpowiedział:

— Le prince Schwarzenberg, commandant ce corps, est l'homme de l'Empereur.

Kiedy nasz sejm w Warszawie, pod laską księcia Czartoryskie-go, sądził potrzebnem ogłosić pospolite ruszenie, dla zabezpieczenia tyłów wielkiej armii, będącej pod Moskwą, książdz Pradt, komisarz cesarski, oponował się temu całemi siłami. Gdyby jednak to się zro-biło wczas, wielka armia nie była-by może wcale zmuszona do od-wrotu, a przynajmniej niezawodnie Dniepru była-by nie opuściła.

Nie trzeba być ani dyplomata, ani wojownikiem, aby pojąć, jaki wpływ ten krok był-by wywarł na wszystkie strony. Cóż robi biedny dyplomata Pradt? Zrywa się nagle, kiedy już kraj był prawie zajęty przez nieprzyjaciela, wydaje najgorętsze odezwy, wzywające do powstania, obiecując rychły powrót cesarza zwycięzcy. Powstało parę województw i co mogły, dostarczyły, ale już było po czasie i liczba ofiar tylko się powiększyła.

AD ASTRA.¹⁾

DWUGŁOS

przez ELIZĘ ORZESZKOWĄ i JULIUSZA ROMSKIEGO.

V.

Interlaken.

Wzgardziła więc Pani naszym alpejskim rajem, wzgardziła blaskiem helweckich lodowców i srebrną wrzawą, z którą młode strumienie żegnają swe kolebki, staczając się w przepaść. Wrzawa ta byłaby krzykiem trwogi przed długim i płaskim życiem na nizinach, gdzie wypadnie im ze zgodną biernością splatać się w prądy coraz potężniejsze i szerokimi wstęgami rzek splawnych dążyć przez rozłogi Europy na północ?

Szkoda wielka, że nie przyjedzie pani do Szwajcaryi, bo pragnął-bym szczerze poznać tę, której wizerunkowi, znajdującemu się u pani Idalii, przypatruję się często i—pozwolę sobie wyznać—coraz częściej. Jest z tem tak, jak bywa z widokami natury: są takie, które dość nam raz jeden z podziwem obejrzyć, i takie, do których radzi-byśmy powracać ciągle. Dziś zaś, widok pewnego potoku szczególnie nasuwał mi myśl o Pani.

Odbyliśmy w towarzystwie licznem wycieczkę do Lauterbrunen, w celu obejrzenia tamtejszych kaskad; jest tam potok pewien, który po urwistych, prostopadłych skałach murreńskich spada wprost w dolinę.

Tam w górze, w skalnem swem łózysku, szumiąc falą spienioną i śnieżną, po ogromnym upadku, odradza się on u stóp naszych żyłą

¹⁾ Patrz zeszyt poździennikowy, str. 1.

wody niepozorną i oniemiałą, smutną, mętną, aż wlewa się opodal do rzeczki Lutchiny, ginąc w niej bez śladu, jak mnóstwo innych, mniej pięknych, mniej świetnych strumyków. A najpiękniejszym jest na miejscu katastrofy, w momencie upadku. W momencie tym bystre jego fale, nagle tracąc pod sobą piedestał góry rodzinnej, łamią się ze zgiełkiem wielkim w szafirowy słup powietrza i rozpryskują na miarydy pereł. Perły sypią się w powietrzu deszczem koronkowym, splatają się w festony rosy kryształowej, w pył rozbite tu i owdzie kłębami znów w górę się wznoszą, a w ten zamęt wody miesza się słońce, przemienia każdą kroplę na lotną iskierkę, i rozpala w ich ruchomych festonach latające tęcze, jaskrawe a znikome, porywane prądem, darte płynnymi iskrami, drgające lazurem i srebrem.

Otóż ten dramatyczny i wspaniały przełom w życiu górskiego potoku przypominał mi Panią i wszystko, co przez parę dni ostatnich o pani myślałem.

Jest wielka analogia pomiędzy górną i szumną młodością strumieni na urwistych Alpach, a górną i szumną młodością myśli ludzkich w podniebnej krainie lotów fantastycznych. Są w tych lotach śmiałe wytryski sił bujnych, są dumne wiary w kometową gwiazdę przyszłości, są brylantowe złudzenia, że niebosiężne posady, ku którym pycha młodzieńcza stokrotną tęczą kolorów i głosów wyrzuca z siebie nadmiar energii, to nie twór wyobraźni, lecz poziom rzeczywistego życia, poczem poczem z wrzającej czary życia ubywa stopniowo coraz więcej iskier i szumów, życie samo przez się obniża młodociane loty, aż uskrzydłone dusze orle, lub sokole, przemieni niepostrzeżenie w ptaki, zgoła odmienne, które, gnieźdząc się na nizinach, z prochów ich wygrzebują chleb powszedni tak spokojnie, jak gdyby młodości wzlotnej nigdy za nimi nie było.

Niekiedy jednak zdarzyć się może młodościom szczególnie wyniosłym i szczególnie pięknym, że jakiś cios losu, albo grom poznania nagle obala cały ich piedestał i ciska je w przepaść, jak skały mureńskie, nagle usuwając się prostopadłymi ścianami, zrzucając z siebie rozpędzone źródła. Jest wówczas wielkie zatoczenie się duszy, brzęk gwiazdzistych lamp na obalonych rusztowaniach i starganie wszystkich akordów w hymnie ufności i wiary. A potem już następuje noc jednostajna, głucha, ciemna. Tego rodzaju katastrofa, podobnie jak grzmot padającego w przepaść wodospadu, jest widowiskiem wspaniale pięknym i dla obojętnego świadka w wysokim stopniu zajmującym. Ale taki obojętny świadek, to chyba słońce, zawieszone na wysokim niebie, gdy w łzawych koronkach kaskady igra gamami barw,

a perlistych okrzyków grozy, bijących z niej w szklane powietrze — nie słyszy.

Gdyby Pani bawiła teraz tu, w Szwajcaryi, i jeździła z nami do Luaterbrunen, zrozumiała-by zapewne wiele rzeczy, które, jako słuzebnik wiedzy, wyjaśniał-bym chętnie..... Ale czemuż jest ta moja wiedza? Niedolężnem formułowaniem prawd, których istotę, głosem daleko mędrszym, głębszym, wyklada każdy wodospad, każda fala, każdy powiew wiatru, szelest każdego liścia. Więc rolę tłumaczów tych prawd, będących ze swej strony jedynie tylko wykładnikami innej, największej prawdy, wzięły-by tu na siebie przerozmaite obrazy alpejskiej natury. A Pani zrozumiała-by najpewniej ich wymowę elementarną, lecz mocy pełną, bo oczy Pani są otwarte na zjawiska natury i chciwe ich piękności.

Spostrzega Pani listek przez wiatr strącony i podziwia subtelny rysunek żyłek jego, albo błyszczące na nim perełki rosy; lecz tego, co ten liść, co te perełki opowiadają, nie słucha, lub słuchać nie chce. To prawda, że mowa tych drobnych pyłków jest, mimo ich odrębności, równie potężną, jak głęboki szum Aaru, lub hymn purpurowy, który o zachodzie słońca śpiewają lodowce Jungfrau; lecz cóż, skoro Pani jej nie słucha i woli przysłuchiwać się melodyi własnych myśli, zaludnionych przez bóstwa dawnych mitologii, przez mistyczne postacie ludowej poezyi! Pani słyszy szelest skrzydeł anioła, zwiewającego z drzew liście pod jej stopy, a nie słyszy głosu przepotężnego, który brzmi po wszechświecie, po wszechczasie i niekiedy przemawia do człowieka językiem umarłego liścia. Winne temu są zapewne legendy, opowiadane i śpiewane dziecięciu przez matkę, albo piasunkę, winne temu korany rozmaite, wyznawane przez otaczające Panią społeczeństwo, winna może skromność i nieopatrzność umysłu dziewczęcego, który nie śmiał zrazu sięgnąć poza domowe opłotki, a później, gdy zmęźniał i ożywił się porywami młodości, upiękzył sobie podwórko jak mógł i umiał, byleby tylko módz wytrwać w niem i przy niem.

Upiększał sobie umysł ten podwórko ciasne, wyklejał je połączanemi kulisami, ozdabiał figurynkami domowych cnót i domowej przeszłości, rozświeślał gwiazdkami domowych ideałów, aż pewnego dnia, gdy już wszystko było gotowe, wystrojone, woniami anielskimi skropione, spostrzegł, że mu ciasno, duszno, nudno, i zawołał na takiego krunąbrnego, jak ja, apostatę.

Dlaczego to uczynił? Jak się zdaje, dla tego, że przedstawiam sobą także pewien rodzaj domowej figurynki; lecz pewnem jest to, że uczynił dobrze, i że mu za to wdzięczny jestem, bo taki ciepły stru-

myk, to doprawdy miła niespodzianka — w lodowni stosunków ludzkich.

Przytem, majaczy mi przed oczyma coś nakształt skrzydeł rozłożystych, które w mgłę szarej rozpinają się do lotu, zrywają się do wyzwolenia i powstaje we mnie pragnienie dopomożenia tym biednym skrzydłom w pracy wyswabdzania się z oplątującej je szarej i starej przędzy pajęczej. Żle Pani czyni, nie chcąc stron swych kiedy niekiedy przynajmniej opuszczać.

To słowo „źle“ wypowiadam nie bez dłuższego namysłu. Gdy, zaszczycony wezwaniem, przemawiałem do Pani po raz pierwszy, nie zdawałem sobie jeszcze jasnej sprawy z indywidualności, z którą nieoczekiwane zdarzenie życia łączyć mię zaczynało nicią niespodzianą; to też wół żartem ostrzegałem Panią przed chłodem i grozą mych własnych słońc; bo dla osób przeciętnych jest rzeczą najpożądanszą nie wznosić głów ponad linię zakreśloną przez codzienne potrzeby i uciechy. Ale dla pewnych doskonalszych i obszerniejszych organizacyi umysłowych musi być stanem wprost niegodnym ich miary trwanie w bezruchu, choćby ruch i odrodzenie w proch rozbić miały wszystkie ich dawne świętości. Co do Pani, to przypuszczam, że gdyby gromy poznania i nowych wrażeń, uderzając o jej duszę, strąciły z piedestału dotychczasowe duszy tej bożyszczą, znalazło-by się w niej dosyć sił i woli, aby odważnie spojrzeć na horyzonty nowe, оголоcone z tego, co stanowi teraz cel i treść jej życia, niemniej wszakże rozległe i bezmierne.

Po części od ojca, po części od p. Idalii, w której, mimo kilkoletniej rozłąki, posiada Pani zawsze jednostajnie gorącą wielbicielkę, dowiedziałem się o rodzinie i osobie Pani wielu szczegółów, ilustrujących żywo genezę zapatrywań, jako też kierunku życia i działalności Pani. Stary wasz ród należał zawsze do tych, które nietylko szlachectwem pochodzenia stały na czele społeczeństwa, lecz, przodując mu także myślą i czynem, wznosiły wysoko sztandar ideałów epoki ubiegłej. Historia brata Pani i jego smutne koleje wzruszyły mię do głębi, z pewnem też zawstydzeniem wyznaję, że nie wiem... czy mam go nazwać nieszczęsną, albo szczęśliwą ofiarą odziedziczonych uczuć i dążeń.

Otóż los brata Pani staje mi przed oczyma w postaci tem tragiczniejszej, iż to płomień, w które się rzucił, posiadając istotnie moce rozegzaltowywania strun uczuciowych, ze stanowiska pozytywnego musiało być z góry skazanem na wypalenie się w próżni, na zgaśnięcie bez śladów innych — jak bolesne zgłiszczą i karkołomne otchłanie. Że przykład takiego męstwa i męczeństwa mógł i musiał wywrzeć na Panią wpływ ogromny, może decydujący, pojmuję w zu-

pełności. Podczas gdy wysoka sfera społeczna, do której Pani należy, wielokrotnej już na swój sposób dokonała ewolucyi, Pani, pod wpływem tego przykładu i tego ciosu, postanowiła widocznie pozostać arystokratką nie tylko z rodu, ale i z ducha, w znaczeniu dźwignia kosztu wszelkim tradycyi, przejętych od przodków, od rodziców i brata, i służenia tym tradycjom kosztem wszelkim. I dotąd niezachwianie idzie Pani tą drogą swoją, nie dbając w głębi swej ojcowizny o miłe próżności tego świata, lecz zarazem tracąc z oczu ów ruch postępowy, który nas wszystkich i świat cały prowadzi naprzód, z jednej epoki w drugą, z dawnych pojęć w nowe.

Pani Idalia opowiadała mi cuda o filantropijnej i społecznej działalności, którą Pani w swych dobrach na najszerszą możliwie skalę rozwija i której cały zasób swej, podziwienia godnej, energii, całą młodość swą i — czy nie za wiele powiem? — swe osobiste szczęście poświęca.

Otóż, posiadając niejaką biegłość w analizie różnych procesów i stanów rozwojowych, mogę, na podstawie zasłyszanych szczegółów i własnych słów Pani, wejść poniekąd w sposób myślenia Pani i uzmysłowić sobie powstały z niego pogląd na całość życia. Pogląd ten dzisiejszy trzeźwy ogół nazwał-by egzaltacją, a powierzchowny sąd ten umysłów tuzinkowych o tyle nie był-by bez racyi, że wskazywał-by na zmieszanie się u podstaw rzeczywistych interesów życiowych z fantastyczną przędzą kultów i idei, należących do wymarzonego świata poezyi. Zmieszanie jest tak zupełne, delikatne niteczki historycznej przeszłości i wewnętrznych uniesień tak gęstą siecią przeniknęły i oplątały pasmo bytu osobistego, że dwoistości tych obu pierwiastków już chyba niepotrafiła-by dziś Pani należycie rozeznąć, ani granic pomiędzy tem, co istnieje na zewnątrz, a tem, co w Pani tylko sercu i wyobraźni przebywa, odszukać. Niech Pani nie wnosi ze słów tych, że jestem wrogiem poezyi. Owszem. Jakkolwiek bezpośrednio czasu swego jej nie poświęcam i nie był-bym w możności skłecenia najnędrniejszego rymu, wysławiam nie mniej kult piękna, jako jedną z najcenniejszych własności ukształconego człowieczeństwa.

Poczytuję atoli za rzecz szkodliwą i zgubną stałe otaczanie się mgłą wyśnionych urojeń i przebrzmiałych hasel, gdyż do zwycięstwa w zawilej walce o byt potrzeba koniecznie trzeźwości. Ten też błąd zasadniczy wskazać Pani poczytuję sobie za powinność, skoro pomiędzy mną i Panią zaniosło się na tę rozmowę dziwną i — niech Pani dodać pozwoli — posiadającą dla mnie urok jakichś dalekości, spostrzeganych w mgle jakby różanej baśni.

Bo Pani przebywa w wyśnionej krainie baśni...

Coś, co uznała Pani za swoje hasło, co nazwała Pani obowiązkiem, nakazuje Pani żyć w puszczy, strzedz gniazda praojców, jak bojowej placówki, opiekować się jej pierwotnymi mieszkańcami i poświęcać się dla ich dobra. A że dla duszy młodej to sam na sam, z pustkowiem beznadziejnem, wśród ludzi, których instynkty nie mogą mieć z nią spójni żadnej, mogło-by się uczynić rozpaczliwie smutnem, oświeciła je Pani sobie barwną grą widziadeł zaświatowych, poetycznych, fantastycznych, wprost z dziedziny mytów wywołanych. A cały ten czarnoksięski świat Pani nurza się w falach prądu, leci na skrzydłach powiewu, których źródłem jest miłość.

Czemże jest ze stanowiska rozumowego Miłość? Jest ona pewnym stanem organizmu ludzkiego, pewnym rozkwitem jego uczuć, który niekiedy bywa tak silnym, że gdy trafi na pierś marzyciela, to ją rozsadza, i gdy trafi na mózg marzycielski, to strugą niewidzialną przenika dla niego wszystko, co tylko istnieje pod słońcem i poza słońcem. Doskonale pojmuję, że w stanie takim człowiek nurzać się może, jak w oceanie ciepła i słodyczy, lecz to ciepło i tę słodycz, czyli, powiedzmy, tę rozkosz, drogo, bo całą trzeźwością i jędrnością swego umysłu okupywać musi, nie wiedząc już dobrze, czy żyje, czy śni, czy sam jest twórcą tej fali, która go unosi, albo czy się jej biernie poddaje i dokąd go ona zanieśie i co w niej jest rzeczywistością, a co złudzeniem, co prawdą, co bajką.

Szczególnie i najpotężniej cechy te posiadają miłości, płynące nie od zjawisk konkretnych, zmysłowych, jakim jest na przykład jednostka ludzka, lecz od tych bezmiarów abstrakcyjnych, po których błękicie, z zagłami przez czas haftowanemi w coraz inne gwiazdy i konstelacye, przepływają idee coraz inne.

Pani uwierzyła w Miłość, płynącą od bezmiarów abstrakcyi, i nie chce odwrócić oczu od związanej z nią nierozdzielnie, lecz z oczu świata znikającej—jeżeli już nie znikłej—gwiazdy obowiązku. Żyje Pani w krainie baśni.

Wierzy Pani w wieczność idei, w skuteczność miłości, w świętość obowiązku, w jakąś dobroć, która sprzyja dobrem, w jakieś Anioły, które zbierają lzy i ofiary, aby je kędyś rzucić na szalę zasług i odkupień... Żyje Pani w krainie baśni.

I gdybyż ten stan, wydobyty przez rozniepokojoną duszę z porywów mistycznych, przynosił Pani zadowolenie rzeczywiste i serce napełniał nektarem szczęścia, można-by jeszcze na tę złudną ekstazę zgodzić się z łatwością, bo głos, którym przemawia cała natura, upominając się o nasycenie i zadowolenie, byłby usłuchanym, kardynalne prawo jej byłoby spełnionem.

Ale niech mi Pani pozwoli być otwartym; proszę o to ze stanowiska uprzywilejowanego, którem mię Pani na mocy mego dorobku naukowego obdarzyć raczyła. Ja wiem, że tak nie jest, że jest nawet wprost przeciwnie. Wspólna krewna nasza, pani Idalia, serdecznie Pani sprzyjająca, ze łzami szczerego żalu w oczach, napomynała mi o tem, co Pani zaraz u progu życia złożyła w ofierze swym mistycznym ideałom. Wczoraj o tem usłyszałem, a dziś przemawiam do Pani tak długo i — może zuchwale, jednak z ufnością w pobłażliwość „anioła ziemskiego“, jak się o Pani wyraża pani Idalia, i ze świadomością tego, do czego zdolnym jest niezwykle u „aniołów ziemskich“ umysł Pani, nasuwam, przypominam, że są pewniki niewzruszone, które dla człowieka chcącego rozumieć świat i życie, biją z całej przyrody i z każdego drgnięcia jego własnego wnętrza, a biją na świadectwo odwiecznemu prawu bytu i ruchu, że to prawo jest jedno dla staczającego się po pochyłości kamienia i dla myśli ludzkiej, szukającej sobie dróg w mgławicy abstrakcyi; że na koniec poza tem prawem, a raczej poza tem pojęciem prawa, nie ma już nic i nigdy nie będzie nic, czego-by się myśl ludzka uchwycić mogła.

A skoro niema nadto nic, skoro oprócz ruchu cząstek, w taki a taki sposób skoordynowanych, niema poza niemi żadnych miłości i żadnych nienawiści, żadnych zawikłań ani celów, jeżeli te wszystkie miłości, nienawiści, zawikłania i cele, które sobie ludzkość w biedzie swej wyroiła, nie są czem innem jeno fantazmagoryą tchniętą w organiczną powłokę ziemi, — jeżeli zatem ofiara i cierpienie spalają się na ołtarzu złudy, tak samo, jak słowa modlitwy padają w próżnię — to pocóż modlić się ofiarą czy słowami? Poco cierpieć?

Idzie więc tylko o energię, o odwagę wzięcia rozbratu z resztami mniej oświeconych czasów. Wiem, że nie przychodzi to z łatwością, bo oprócz przeszkód innych stawia tu także opór duma osobista, broniąca się przed uznaniem bezcelowości dotychczasowych działań, branych poważnie.

Wielką przeszkodą jest także nieprzerwany wpływ otoczenia i ta dekoracya niezmienna, z którą dotychczasowa kanwa myśli i uczuć, jak z wyszytymi na niej wzorami, ściśle się spoiła. Wobec tak potężnych przeciwników słowa moje czy się przydadzą na cokolwiek, zwłaszcza, gdy ich nie wesprą żywiołowe kaznodziejstwem swem Alpy Szwajcarskie?

Lecz jeżeli pozytywna trzeźwość, a z nią wiedza i prawda odniosą zwycięstwo nad marami ofiary, zasługi itp., wtedy rozmowa nasza przyniesie dla Pani istotnie „trójliść dobrej wróżby“; dla Pani,

bo dla mnie wróżby złe ani dobre nie istnieją, ponieważ ja nic utracić nie mogę, ani też nie spodziewam się niczego. Po tem zwycięstwie zależeć będzie tylko od woli Pani wybór pomiędzy opuszczeniem twierdzy zdemolowanej, a trwaniem w niej już nie z przekonania, lecz... dla sportu i, tak jak dotąd, zaludnianie jej na pociechę korowodami anielskimi, skoro stać Panią na taki zbytek. Niech w takim razie jasne hufce Auszry staczają i nadal malownicze i—bezsłuteczne walki ze o zgrają Majtaszanów, lecących na słońce, aby wyžerać jego blask i ciepło*, a w nagrodę za to, niech tarcza słoneczna, wszechwiedoma i wszechobecna, oświeclając i ogrzewając wszelkie istoty dobrej woli, nie skąpi Pani swego bladego, smutnego, samotnego, północnego światła i ciepła!

Co do mnie, obywat się bez wszelkich sztucznych pozłot. Patrząc na lesiste góry i na strzelające pod niebo lodowcowe szczyty, słuchając szumu wicherów, które im z zimnego czoła zrywają śnieżne dyademy, nie widzę i nie słyszę nic więcej nad ruch i symfonię cząstek powszechnego i niezmaczonego nigdy w prawach swych mechanizmu, mechanizmu, na którego poznanie i obliczenie wysiła się myśl moja.

Pomimo to, Szwajcarya daje mi wszystko, co tylko turyście dać może. Pomimo to, z utęsknieniem śpieszę co roku albo pod stopy alpejskich olbrzymów, albo nad morza bezbrzeżne, i pomimo to umiem ocenić piękno tętniące w symfonii przyrody i oceniam je może dokładniej od wielu, wielu bardzo lirycznie nastrojonych turystów, a już najpewniej szczerzej od szanownego grona, któremu miałem zaszczyt towarzyszyć dziś do Lauterbrunnem.

Ojciec mój prawie nieustannie rozmawiał tam ze swym ministerjalnym kolegą o sanacyi austriackich, wiecznie zawikłanych, stosunków wewnętrznych i tylko przy kaskadzie, o której wspominałem, gdyśmy właśnie stanęli w samym jej szumie i brylantowym deszczu, zwrócił się do mnie z zapytaniem o jej wysokość, wyrażoną w cyfrach.

Pani Idalia zachwycała się, i deszczem, i szumem, i tęczkami w sposób nader chwalebny, lecz potem dwoma psiakami bernardzkiej rasy przy drodze wystawionemi na sprzedaż zachwyliła się tak samo, lub jeszcze więcej, bo wogóle jest do zachwylić skłonna. Z reszty zaś towarzystwa, złożonego z pięciu czy sześciu osób, obchodzić-by mi mogła chyba jedna tylko para aksamitnych oczu, wobec których pani Idalia widocznie mię proteguje, bo zabrała mię do jednego z niemi powozu.

Ale te oczy tyle już widziały, i tak lubią być same celem ludzkich wzroków, że u kryształowej, brylantowej, szumem

i grzmiotem rozpaczającej kaskady, zaczęły się bardzo rychło nudzić, tak niezwalczenie nudzić, że ja również zaraziłem się tem chwilowo i podczas powrotu, zamiast patrzeć w tę piękną istotnie parę czarnych dyamentów, myślałem o tem, że gdyby tu była z nami tajemnicza, daleka pustelnica z Krasowiec, nie nudził-bym się z pewnością.

Jednak dodać muszę, że ten niesmak, uczuty do otoczenia swego, i do czarnych dyamentów, które zbyt wiele na świecie oglądały i oglądane były, i może do wielu, a wielu składników świata i życia, nie ma nic wspólnego z tą kroplą wyciśniętej z burzanów północnych goryczy, która, zdaniem Pani, w kolebce jeszcze od przodków spadła mi na usta, a teraz przesącza się przez życie i nawet poglądy moje na naukę piołunem zaprawia. Dzielnym byłby ze mnie myśliciel, gdyby jakakolwiek kropla piołunu zmącić mogła moje poglądy, krytyki i analizy.

Całym dążeniem mojem jest właśnie wnosić w tę sferę obojętność zupełną i zupełną niepamięć goryczy i słodyczy. Wszakże analiza i krytyka, to zaczarowane koło, którego my, pracownicy myśli, nie opuszczamy nigdy.

A stąd jeszcze jedno. Gdyby Pani kiedyś, po otrząśnięciu się z pyłu przeszłości, zapragnęła poświęcić swe siły tej pracy umysłowej, od której przyszło ku Pani wyzwolenie, i przestąpić miała próg warowni, czy samotni, której nam pracownikom myśli opuszczać nie wolno,—niech już Pani lepiej pozostanie przy swych użnójonych zniwiarzach i złudnych ekstazach.

VI.

Krasowec.

Zaczynam dziś od Ludwika XIV-go. Kiedyś, w jakichś pamiętnikach francuskich wyczytałam, że pewna mieszcza paryska bardzo piękna, zwróciła na siebie tkliwy wzrok króla-słońca i przez wszechwładną wolę jego do zebrań dworskich wprowadzona, siłą wdzięków swych ufając, w obecności dworu temi słowy do króla przemówiła: „Permettez, Sire, que pour la commodité de la conversation, je vous nomme: Monsieur“! Zdaje się nic, a dla dworaków, dla tych wielkich panów, którzy z lokajskimi serwetami na ramionach, stali za krzesłem władcy, było to przyczyną oburzenia i zgromy. Zaś ukoronowany

wielbiciel pięknej małżonki mera paryskiego, zwracając się do dworzan swych zauważył: „Voici une petite femme à laquelle on n'a pas fait sa leçon!”

Tyle z pamiętników. A teraz ponieważ nie znajdujemy się na dworze królewskim i nie mamy do czynienia z etykietą dworską de sa Majesté l'Etat c'est moi, więc pewna jestem, że nie spotka mię podobna powyższej odpowiedź, druzgocąca, gdy zwrócę się do Pana ze słowami: Permettez, Monsieur... niech Pan pozwoli, abyśmy odtąd zamiast Pan i Pani, mówili sobie kuzynie i kuzynko. Nie będzie w tem fałszu, bośmy istotnie spokrewnieni, a z mowy usunie grude, pozwoli myślom nie przypominać niczem „lodowni stosunków ludzkich”. Czy zgadza się Pan na to? Tworzę hipotezę nader zuchwałą, że o czemkolwiek w świecie mieć możemy zdanie jednostajne i zaczynam—od potopu.

Przed gankiem krasowieckiego domu, przed takim dużym, głębokim gankiem na potężnych filarach, z których teraz patrzą setki szeroko otwartych oczu powojowych, siadłam na swój mały wózek polowy, wysoki, lekki, do koszyka na kwiaty podobny i, wzięwszy do rąk lejce, zawołałam: leć, Avisiel!—Avis to mój ulubiony koń.

Sportsmanką nie jestem. Nie miałam nigdy czasu ani ochoty do ćwiczenia się w sztukach zręczności fizycznej; konno nawet nie jeżdżę i tylko—powozić umiem, ale te już czynię z maestrią, która-by mię przed najpierwszym w świecie sportsmanem na wstyd nie wystawiła. Szczególniej umiem i lubię powozić samą siebie, swoim Avisem.

Mój Avis, to zwierzę piękne i rozumne, pół-krwi anglik złotogniady, tak domnie przywiązany, że gdy mię zdala zobaczy, z radości parska, a gdy u wózka bieży, kieruję go nie lejcami, lecz słowami, nawet skalą głosu, którym je wymawiam.

„Leć, Avisiel!” Biedz zaczyna szybko i równo, równo, ze szczupłym ciałem wydłużonem i z łagodnym półkolem wdzięcznie zgiętej szyi. „Prędzaj, Avisiel!” Podwaja biegu i, jak naciągnięta struna wydłużony, zda się, że ziemi nie dotyka, leci, ale tak lekko, że pod kopytami żaden kamyk nie stuknie i tylko zioła przydrożne, jakby napa-dem hołdu zdjęte, kłaniają się nam rozkwitłemi głowy. „Stój, Avisiel!” Staje jak Tryton z brązu wykuty i gdy odchodzę, ściga mię oczyma, które w biegu ogniem zaszły, rozwiera szeroko nozdrza, z których ogień buchać się zdaje i, choć długo nie wracam, stoi wciąż, aby, zdala mię wracającą ujrzawszy, zadrgać na całej skórze, uszyna zastrzydz, uprzążą zadzwonić i wdzięcznie zgiętem kopytem parę razy na znak radości głośno o ziemię uderzyć.

Dla czego na imię mu: Avis? Dawna to historia. Dawno temu, —o, tęskne i święte wspomnienie!— gdy niedoroslą jeszcze dziewczynką, z bratem dużo starszym, w ogrodzie krasowieckim lub w zaciszach puszczy, książki rozmaite czytywałam, zdarzyło się, że oboje, ja i mój brat, zakochaliśmy się — w Marku Aureliusz. Byli już wówczas tacy, którzy utrzymywali, że miłość to niebezpieczna, ku „zakretnym szlakom ducha“ i „błękitom abstrakcyi“ wiodąca. Były już i wówczas w gronie krewnych i znajomych umysły trzeźwe, które ojca naszego ostrzegały przed oplatającą nas fantastyczną przędzą „kultów i idei“. Lecz zdarzyło się, że ojciec nasz sam uderzał czołem przed tą cnotą rzymską, która u Appijskiej drogi, na grobowcu Trajuszowego rodu, wyrzyła napis: „Woleli żyć krótko, niż sromotnie“. Więc pobłażliwie słuchając ostrzeżeń, dłonie na głowach naszych składał, nie tylko na miłość naszą dla cnotliwego stoika pozwalając, lecz ten kierunek, który młode serca brały, błogosławiąc. Otóż ja i mój brat bez przeszkody kochaliśmy się w Marku Aureliusz, a Marek Aureliusz miał wierzchowca ulubionego, z imieniem Avis. Imię to daliśmy lotnonogiemu zwierzęciu, na którym w jakąś noc księżycową, srebrzystą i wonną, Adaś od ganku krasowieckiego odjeżdżał, aby nie powrócić nigdy. — A teraz ja mam Avisę—ptaka.

Ja i mój Avis lecieliśmy w pole, w gładkie, jasne, wolne pole, z jednej strony półokręgiem lasu, jak wyzębioną ścianą twierdzy objęte, a z innych bezbrzeżne łożysko rozkładające pod rześiste deszcze kłosów. Co półkolistą błyskawicę stalowe sierpy wyrzuca, to posypia się na łożysko deszcze kłosów zmieszanych z kwiatami, a w powietrzu szeroko rozlewa się szeleszczący szmer upadającej na ziemię słomy. Jakby pokorna i miłosna rozmowa kłosów i kwiatów z ziemią.

Ja i Avis lecimy przez te pola wielkie, przez gorąco słoneczne, przez deszcze kwieciste i szmery kłosiste, z drogi na drogę, z łąnu na łąn, tu i ówdzie stając, rozmawiając i znówu dalej, dalej, w złoście, w pogodzie, w swobodzie. Gorąco aż piecze, skry sypią się z powietrza, z nieba kapie żar. „Do lasu, Avisie!“ O, jak on wyborne rozumie, co to znaczy i którędy z każdego punktu najbliżej! Do koła łąnu Budników, brzegiem Dąbrowy Dobrzyńskich... Ależ prawda! nie masz przecie, kuzynie, ani cienia pojęcia o tem, co to takiego: Budnicy i kto to taki: Dobrzyńscy. Opowiem kiedykolwiek, a tymczasem wyobraź sobie tylko, że jest to taka ameba społeczna, szczególna i zawiła, bo złożona z mnóstwa dusz najautentyczniej ludzkich, a przez usta moje prosząc cię, kuzynie, o równouprawnienie z tą amebą, która stanowi przedmiot twoich przyrodniczych badań. Ale o tem tylko en passant.

Łan Budników okrążając, mówię do Avisa: „Wolniej!” i głośno wołam: Boże dopomóż! bo z nad kłosistej gęstwiny prostują się wysmukłe dziewczęta mazurskie i, w silnych rękach wznosząc nad głowy naręcza zżętych kłosów, obracają ku mnie twarze, rozkwitające perłami szerokich uśmiechów.

Po łanie, razem z szelestem słomy, toczy się cichym grzmotem chóralna odpowiedź: „Boże zapłać!” tu i owdzie brzmią chromatyczne gamy śmiechów, a z cienia gruszy, rosnącej na miedzy, wychyla się ku mnie twarz przedziwna, drobna, okrągła twarz starca, z głębokich jak otchłanie orbit patrząca oczyma, nalanemi stuletnią mądrością i dwudziestoletnim blaskiem. Pomiędzy mną zwolna jadącą, a tą twarzą wychylającą się z cienia gruszy, powstaje rozmowa, z której, kuzynie, ani słowa nie zrozumiesz, którą jednak dosłownie powtarzam tu, w kształcie—rebusa.

Głos z pod gruszy, stary, lecz silny, woła:—„Dokąd to Bóg prowadzi?”—„Na Zameczysko!” odpowiadam.—„Cha, cha, cha! kunigasów zobaczyć?”—„I Bojarosów także!”—„A może i króle polskie?”—„Najwięcej! ale co tam u Wołodkiewiczów słychać?”—„Febra ich jeszcze martwi”—„Pan doktor z Narwi mówił, że wyzdrowieją!”—„Nie wiedzą prorocy, co w boskiej mocy!”—„Niech pan Dobrzyński w cień się chowa, bo spieka!”—„Niech panią Bóg prowadził!”

Leć, Avisiel Brzegiem, brzegiem Dąbrowy Dobrzyńskich ja i mój Avis poddajemy czoła pasmom cieni, spływającym od dębów—królów, których majestaty pozwalają mijającym je wzrokom bujać po wesołych, majowych murawach, aż nagle czyni się nam zupełnie cienisto, bardzo świeżo i łagodnie wonno. Wpadliśmy w pełny las, ostąpiły nas drzewa gatunków rozmaitych, opłynęła zieloność odcieni niezliczonych, owionęła sama jedna woń żywicy, która, soplami bursztynowymi wieszając się po sosnach, do milczenia zmusza nawet grad malin rubinowy, usiewający to dalej, to bliżej gęstwiny, to jasne, to ciemne.

Coraz gęściej, coraz ciasniej, coraz mroczniej... Czy na błękitach prawie niewidzialnych słońce przygasło? Nie: tylko niedawno przeleciał tędy wicher rozhukany i tyle postaci wyniosłych naprzelamywał u góry, że powspierały się wzajem na sobie, poobejmowały się ramionami i potworzyły w górze łuki, mosty, baldachimy, balustrady, wdrażenia, aż dół tego pałacu ze stropem fantastycznym zaległ gruby zmierzch. W zmierzchu zleniwiały ręce kopyta Avisa i, oplątywane pełzającymi bez końca węzami widłaków, klute pieszczelami pomarłych gałęzi, jak po krwawem trzęsawisku brnące po bajrakach rozsypanych w czerwone próchno, zwolniły biegu.

„Stój, Avisiel!” Zostawiłam go za sobą i — jakby cały świat rzeczywiście zostawiając za sobą, wstąpiłam — w krainę baśni.

Baśń, — może nie baśń, — istota fantastyczna, która z łona wieków przybywa na wieczornice zimowe i u ognisk zasiada w sukni z mrozu i szronu, opowiada, że tu, gdzie nocami borsuki, pracując nad wykopywaniem sobie schronisk podziemnych i znoszeniem do nich owoców leśnych, wyrzucają z ziemi odłamy cegieł, ciosane kamienie, szczątki metali, ukruchy ozdób architektonicznych, wznosiło się niegdyś zamczysko kunigasów, czyli książąt, dumnych, możnych, walecznych, którzy z wezwaniem Pramżinasa, ukrytego w najgłębszych głębiach niebieskich Boga nad bogami, szczęk zwycięskiego oręża roznosili od migdałowych gajów nadnieprzańskich do usianych bursztynem wybrzeży Bałtyku. Ilekroć orężem nie szczękali, polowali na wielkiego zwierza w puszczech takich, jak ta, polowali też w tej, i teraz jeszcze, gdy w wioskach Budnicznych koguty zapieją na zbliżającą się północ, z oplecionych widłakami, z porytych przez borsuki i dziki gruzowisk Zamczyska, wypuszczają się i w las pędzą widmowe orszaki myśliwskie.

Zgiełk tu wtedy, blask, ruch, gwar. Za Kunigasem swoim, jaśniejącym w ciemności śniegiem gronostajów, jadą na postrojonych koniach Bojarosy — rycerze w kołpakach rysich, z dzidami, które w blaskach pochodni pobłyskują, gdy wielki łowczy z garbem torby borsuczej na plecach, pobudkę myśliwską w długą trąbę dmie, sfory ogarów na różne głosy grają, a figlarne „kaukie” w czerwonych kapтурkach, gromadą pomocniczą za ogarami biegną... Wtedy, po chatach Budników dzieci otwierają ze snu oczy i w ciemności zapytują matki: czy to puszcza z takim szumem na wioski idzie? A matki odśzeptują: „śpijcie spokojnie! To tylko Kunigasy wyjeżdżają z Zamczyska na łowy”. Są zaś takie, które mówią: „króle polskie”!

Teraz było tu cicho, pusto, gęsto, mroczno. Z ziemi wciąż rytej przez borsuki i dziki dobył się kamień ciosany, może niegdyś ozdoba książęcego i królewskiego krużganku. Smutny świerk nad nim stoi i w pobliżu puste legowisko sarny srebrzy się we wklęsłości liściem opadłym z sokora. Siadając na kamieniu, myślałam o wczorajszych słowach twych, kuzynie. Myśląc czułam jak w jednym oku zasiadał mi Majtaszan żalu, w drugim Majtaszan gniewu i — nie wiedziałam sama, które oko boli mnie silniej.

Bo nie myśl, aby mi obce były te insolacje gniewne, któremi płoną błękity abstrakcyi, ilekroć je obrazi ręka Apostaty. Lecz są natury, dla których gniew, to ból.

Więc na kamieniu kunigasowego Zamczyska, pod smutnym świerkiem, zakryłam oczy dłońmi i duchem wpatrzyłam się w te gęste

mroki, któremi duszę twoją, kuzynie, złe mocę życia napełniły, gdy uczułam, że coś miękko, lekko dotyka mego ramienia.

Czy kiedykolwiek czytałeś Plutarcha? Ja czytałam go z bratem i oboje zazdrościliśmy Sertoryuszywi tej łani białej, która w momentach przełomowych lub tragicznych przybiegała do niego od bogów, aby mu na ucho szeptać o woli bogów i o dalekich, dalekich Wyspach Błogosławionych. Kiedy zaś ku nam z kolei przybył moment przełomowy i tragiczny, ujrzelśmy sami łanię białą. Zmrok nalewać zaczął gęstwiny, z których wybiegła i, gibką szyję na ramieniu Adasia złożywszy, szeptać mu poczęła o rozkazach Boga i o tem, że most do Wysp Błogosławionych nabijany być musi, jak gwoździami, sercami ludzi dobrej woli. Odtąd widuję ją czasem. Przybywa i szepce mi do ucha rzeczy srogie niekiedy, ale zawsze cudne. I teraz także z gęstwiny zielonej wychylona, łani biała dotknęła mego ramienia i uważnemi oczyma głęboko spojrzała mi w oczy. Ucho miałam pełne puchowego szelestu jej śnieżnej sierści...

Wtedy Majtaszan gniewu znikł bez śladu i pozostał tylko ten, który przez obszary Europy jak z brylantu patrzy na ciebie, kuzynie, z braterskiej, czy—jeśli wolisz—z siostrzanej lzy.

Jeżeli w świecie minerałów żaden kryształ nie jest tak dokładnie wykształconym, aby wszystkie jego ściany posiadały wymiary równe, jeżeli po złocistem lub spiżowem tle niektórych metalów natura przeciąga rysy ciemne; coż dziwnego, że w duszy człowieka, tak zawiślanej, tak różnorodnym wpływom poddanej, istnieć mogą asymetrie i skazy?

W duszy twojej, kuzynie, panuje asymetria i złociste tło jej przerzyna skaza, do rany cięciem ostrza zadanej podobna. Dziwna ta dusza z dreszczem grozy i zachwyty wsłuchuje się w grzmiące rozpacz kaskad, ściga pod niebem wierzchy lodowców, bierze w siebie z łona królowej Alp pożarne szkarłaty zachodu,—a wyśmiewa te inne szumy, szczyty, ognie, które zawiera w sobie świat ducha, niewidzialny wprawdzie, lecz nie mniej pewny, owszem, pewniejszy, bo jedyne, niezachwiane świadectwo składający temu, że jesteśmy. Ale wzgarda to jest pozorna; językiem jej przemawia bunt uczucia i wiary przeciw krytyce i analizie, które po nich depeą. Językiem szyderstwa przemawia w tej duszy ból, że nie umie ona, czy nie pozwala sobie, kochać i czuć.

W duszy tej pierwiastki jedne z despotyzmem tyrańskim panować usiłują nad innemi, które poddają się, lecz cierpią i kipią głuchym buntem. Dziwna ta dusza, dzierżąc z pozoru wszystko, co świat

ze skarbnicy swojej młodemu życiu dać jest zdolny, czuje, że nie utracić nie może i u początku drogi, ścielącej się blaskami i kwiatami, nie spodziewa się już niczego. Woła ona do innej duszy: pójdź, aby żyć życiem mojem! i zaraz ostrzega: zdala pozostań od głównej osnowy, od najwznioślejszego składnika tego życia.

Ku czemu wzywasz mię, kuzynie? Skoro mam obcą pozostać temu, co w świecie wskazywanym jest najwyższe i najczystsze, skoro w nim, jak od złego smoka, mam trzymać się zdala od pracy umysłowej i wiedzy, ku czemu mię wzywasz? Wszakże prace i czyny społeczne nie mają w tobie, jak się zdaje, wielbiciela i propagatora; nie potrafiła-bym zresztą spełniać ich na ziemiach obcych, ani też tam szukać spełniania ich potrzebuję. Więc ku czemu mię wzywasz? ku sukniom szeleszczącym i zgrabnemu podnoszeniu ich nad brukiem ulicznym? ku rozmowom pustym i postawom sztucznym, na fotelach stylowych? ku błyszczeniu dowcipem, talentem, wdziękami i rękawiczkami na czternaście guzików zapinanemi? To wprost niewarte zachodu przenosin.

Ale jest jeszcze owo prawo... Nie nazwałeś go, kuzynie, po imieniu; rozumiem dla czego. Otóż, „opłotki“, wśród których wzrosła i mieszka myśl moja, są dość szerokie i widne, abym posiadała umiętność i śmiałość wyręczenia cię i powiedzenia jasno: jest to prawo dążenia ku nasyceniu i zadowoleniu, ku sytości i radości życia. Wiem o niem. Jest to prawo, którego wyraz najwyłączniejszy i najgrubszy rządzi lisem, gdy chyłkiem zaczaja się na młode sarnię, i stadem wilków, gdy oczyma, jak gromnicami, nad śniegiem świecąc, wyciem wściekłych głodów napełniają gromniczne noce! Jest to prawo użycia i sobkowstwa, w które zaprzęga szyje takie mnóstwo służebników, że pocóż werbować nowych?

I bez tego następują tam sobie na nogi, tłoczą się aż do wzajemnego zgruchotania klatek piersiowych. Tam-to, kuzynie, zamiast na krasawieckich polach, upatruj gmin, masę czarną, która grube swe instynkty perfumuje, frzyzuje, tresuje i wypuszcza w świat jak stada wilków, ubranych w jedwab i połyskujące rękawiczki.

Ale ja wiem, że przywołując mię do posłuszeństwa temu prawu, miałeś, kuzynie, na myśli pewien tylko najpoetyczniejszy jego paragraf, ten paragraf, który w koronie kwiatu, na skrzydłach motyli, w tęsknych oczach gołębic, w śpiewie słowiczym, w westchnieniu piersi ludzkiej, natura wypisuje dwoma słowami: on i ona. To prawda, natura dwoma słowami wypisuje ten paragraf na każdym z tworów swoich, ale człowiek z głową myśli pełną buntuje się przeciw lako-

nizmowi jej stylu i rozszerza go, pogłębia, przyozdabia w sposób sobie właściwy.

Bywają natury górne, które śnią o wiązaniu dwóch tych wyrazów: on i ona, u samych szczytów duchowych spoidłami bardzo subtelными; które nie chcą być jako pary borsucze zgodnie kopiące jamy na sny leniwe i wygodne, lecz jako pary nadczłowiecze, zgodnie, bądź w łzach lub uśmiechach, bądź w znoju lub rozkoszy, przebywające wspólną drogę miłości, pracy, dążenia...

Jeżeli tak głośna teraz teoria o nadludziach może otrzymać urzeczywistnienie, to tylko w takich parach ludzkich i przez ich pośrednictwo pomiędzy pokoleniami. Tymczasem zaś, gdy dobór ich jest trudny, rzadki, są serca, które, mogąc uderzać szczęściem tylko na łonie spokojnych sumień, nigdy niem nie uderzają. One odrzucają, one odrzucają to, co zbyt mało harmonizuje z muzyką ich ducha, aby mogło nie stać się wkrótce zgrzytem, co jest zbyt małe, zbyt niskie, zbyt ciasne, aby mogło nie stać się wkrótce wstydem.

Lecz odrzucając ponętę, która-by musiała zmniejszyć i zubożyć jego ducha, człowiek prawami natury nie poniewiera, owszem, spełnia właśnie prawo jej kardynalne, na każdej stronicy jej księgi zapisane, prawo doskonalenia się.

Jako przyrodoznawca, musisz, kuzynie, stokroć lepiej ode mnie wiedzieć, od jak drobnych początków natura prowadzi twory swoje do wielkości olbrzymich, z jak grubych albo ubogich wątków wysnuwa na rozłogach czasu swe najbogatsze i najsubtelniejsze przędze. Masa materji kosmicznej, chaotyczny zbiór cząstek bez czucia i świadomości błędzący po przestworzach, przez szereg ruchów i wstrząśnień, wpływów i przemian, staje się globem, którego ostygłą skorupę zalega, w różnaitości niezmierna, w bogactwie niezgłębiona, w piękności nieopisana, scena życia.

Z małej zołędzi wyrasta dąb, którego podchmurne czoło usiewa ziemię tysiącem zołędzi. Z troglodyty, który jak równy z równym mocuje się z niedźwiedziem i surowy szpik wysysa z kości zwyciężonego zwierzęcia, przez długie koleje czasu czyni się Newton, podpatrujący ruchy ciał niebieskich, Rafael, zaklinający na płótnie piękność niebiańską, Petrarka, przedziwną muzyką słów opiewający kobietę, której ręki nigdy nie dotknął i—jeżeli chcesz—Petroniusz, arbiter elegantiarum, umiejący żyć i umierać pięknie. Jako przyrodoznawca, stokroć lepiej ode mnie wiedzieć musisz, kuzynie, że natura w wiekniestej swej pracy twórczej, nie od bogactwa i różnaitości ku ubóstwu i ujednastajnieniu postępuje, lecz, że wcale przeciwnie, ramiona jej dźwigają małość, ubóstwo, jednostajność i nieświadomość

ku potędze, bogactwu, zróżnicowaniu i temu szczeblowi uświadczenia się nie tylko ciała, lecz i ducha, na którym, królując ogólnemu poziomowi sceny ziemskiej, stoją wieszcz, mędracy, bohaterowie ludzkości—nadmudzie.

Dla człowieka to prawo doskonalenia się, jak dąb w żółędzi, jak glob życiem kipiący w bryle materii ślepej i głuchej, zamknięte jest w tem właśnie, w co tak wzgardliwie zdajesz się nie wierzyć: w miłość i obowiązek. Daremnie szukalibyśmy siły, która-by, od tych dwóch odosobniona, małość, złość i nieszczęście człowieka podnosić mogła do stanu wielkości, dobroci i szczęścia; nawet rozum i wiedza, pierwiastki szczytowe, tylko w skojarzeniu z niemi i przez nie natchnione, mogą spełnić to najtrudniejsze z zadań wszystkich, na jakie patrzy słońce ziemskie.

Czy zauważyłeś kiedy, kuzynie, jak powszechnie rzeczy największe są zarazem najprostszymi? Obowiązek, to linia niezmiernie długa, lecz zarazem prosta. Winnam, więc płacę; wzięłam, więc zwracam. Ciało moje, z ziemi tej, z jej powietrza, kłosów, owoców, ze słońca, które nad nią świeci. Duch mój ze zbiornika duchowego, który z trudem i bólem, bez miary, ni cyfry, zgromadziły pomarłe pokolenia narodu mego. Jak sznur żórawi w oddal, tak płynęły one w górę ku dobru i światłu; temu zawdzięczam, że barbarzyństwo nie gnie mi karku do ziemi, a oczom wznosić się nie przeszkadza ku mlecznym szlakom wysokich pociech i uciech. Z kolei, jestem wspólnie z pokoleniem rówieśnem żórawiem lecącym w dal jeszcze dalszą, w wyż jeszcze wyższą. Mogę zwinąć skrzydła dla tego, aby osiąść nad żerem obfitszym? Nie byłże-by to wstyd? Nie byłże-by żal? Wstyd zjadać za darmo plon, wydobyty z pod ciężkiej tłoczni życia przez mnóstwo serc i woli! Żal rozstać się z tymi, którzy lecą i walczą, gdyż bodaj dla tego tylko żyć warto, aby z nimi razem lecieć i walczyć!

Ale to jeszcze nic. Te jeszcze chłodne, oschłe, niemocne. Wtem jeszcze musi być coś, co obowiązkowi, jak ogień żelazu, nadaje ciągliwość i sprężystość, co, jak żyła kruszcowa skałę, przerzyna go tęczą blasków, co z niego, jak stal z krzemienia, krzesze iskry. Musi być w tem jeszcze prawdziwe *nervus rerum*, ta najwyższa racja ludzkich czynów, którą ty, kuzynie, nazywasz — baśnią.

Długo, długo, na kamieniu kunigasowego zamczyska siedząc, myślałam: sąż baśnią te wielkie, przeczyste pola, po których zakrętnych drogach unosił mnie dziś mój Avis? Sąż baśnią szumy kłosów, deszcze kwiatów, potoki światła i woni? Jestże baśnią mrowisko lu-

dzi, którzy z grzbietami zgiętymi ku ziemi, w upałach lata i znoju, za całą resztę ludzkości spełniają robotę jej—najpokorniejszą? Jestże baśnią pokora przeznaczeń tych ludzi tak przedziwnie sprzędziona z podstawową ważnością pełnionej przez nich czynności? Sąż baśnią ich żywe serca, pomarszczone twarze, uśmiechy, którymi witają nadzieję, i westchnienia, którymi ją żegnają? Sąż baśnią ich dzieci niewinne, starce siwowłose, znikomość istnień ich i niezawodność śmiertelnych godzin?

Więc może baśnią są te jądra prawdy historycznej, które poezya owija przędzą podań i pieśni, napełniając nimi, jak motylami podzwrotnikowemi, niskie chaty i głębokie lasy? Sąż baśnią wspomnienia? Czy jest baśnią nic, wiążąca w ciągłość pokolenia i wieki? Baśnią są chwały, w snach zjawiające się upokorzonym? Jestże baśnią nieszczęście, przed którym głowa chyli się nisko, jak przed żalobnym ołtarzem?

Jeżeli to wszystko baśń, cóż jest prawdą? Suknie szeleszczące? Rękawiczki do ramion długie? Wesołe zabawy, wśród których, przy tonach muzyki balowej, pary ludzkie zbiegają się tempem walcowem, aby paragraf prawa natury z napisem: on i ona, wykonać z lakonizmem jej przedczłowieczego stylu? Tak, niezawodnie, są to również realności niezaprzeczone, lecz pomiędzy realnościami jest hierarchia i dla każdego wybór wolny. Ja wolę tamte. Dla mnie w tem, co baśniami nazywasz, nawet baśń nie jest baśnią, ani mitologia zbiorem tylko baśni, bo wypala się w niej ogniwo, wiążące ludzi z ziemią i z przeszłością, świecąc jak nieśmiertelna lampa boża, rozpostarta po stuleciach ludzkiej doli i niedoli. Powiem po prostu: ja baśń tę kocham nad życie i więcej jeszcze, bo nad szczęście, bez którego życie jest bardzo trudnem.

Kocham ją w zapachu świeżo zoranej ziemi i w śpiewie skowronka, w szeleście kłosów, w szumie lasów, w mgłach nad łąkami, w kamieniach i krzyżach przydrożnych, w białych całunach śniegu, w czerwonych żarach zachodu, w świtach sinych i gwiazdzistych nocach.

Kocham ją w chmurach budujących posępne sklepienia nad jesienią gorejącą bronzem i szkarłatem, w gniazdach i falach, we wrzoscach i różach, obłokach i echach, w tajemniczem piśmie drobnych zmarszczek, którymi wichry okrywają rozłogi białych piasków i w tej bardziej jeszcze tajemniczej sieci, którą żywe korzenie cisów dawno zmarłych oplatają głębokie spody mojej rodzinnej puszczy.

Kocham ją — tę baśń — w ludzkich łzach, nadziejach, myślach, czynach, snach złotych i kamiennych dolach, w rozpromienianiu się i przygasaniu jej chwały, w jej bohaterach, myślicielach i poetach, w tem co było i co będzie, a nadewszystko, najsilniej, najwierniej, najdumniej, najrzewniej, kocham ją w jej nieszcześciu...

Kocham i powinnam. Tylko. W tem tylko całe to uczucie i cała ta idea, których imienia nie wymówię... lecz w słowach, które wymówiłam niech mieści się odpowiedź na zapytanie „po co cierpieć“?

Po co! Możnaż dokładnie i od początku do końca ściagać wiedzę koleje, przemiany, pożytki wszystkiego, co na ziemi powstaje i znika, dla zmysłów naszych znika, ale nie ginie. Nic nie ginie. Stokroć pewniej ode mnie wiesz o tem, że w świecie materji nic nie ginie. Z ziarna żyta dziś zżętego uczyni się może atom masy mózgowej w czaszce myśliciela, molekula arniki, uwiędłej wśród ciemnych jałowców, może wstąpi w złoty włos piękności, tryumfującej na sali balowej. Tak samo w świecie ducha panują przemiany nieskończone, jest bezprzestanne krążenie życia, to wiekuiste *Kreislauf des Lebens*, z formy w formę, z łona do łona, z bytu w byt, a nikt powiedzieć mi nie zdoła, gdzie początek i gdzie koniec mojej łązy. W pierwszym zarodzie swym powstała może z tęsknego spojrzenia ku górze którego z przodków moich, odbije się w którymś sercu mnie rówiesnem tęczą nadziei, a z niego do piersi innej przejdzie drobiną szlachetnej woli, która z kolei wejdzie w skład dobrego czynu i do innych jeszcze oczu przeniknie promieniem radości. Nikt nie odgadnie i nikt nie opowie czynów bólu mego i kresów ostatecznych, dla których został stworzon.—I to tylko jest pewnem, że akt duchowy, który wziął początek w pokładach duszy czystych i gorących, tworząc po wiekuistej swej drodze czystość i ciepło, rozszerza płynący światem ich strumień i chwilę przybliża, w której stanie się on morzem. Cierpię, ponieważ kocham, cierpię, ponieważ powinnam, a reszta — w ręku Boga.

Tak schodzą się i rozchodzą, ujmują się i roztrącają myśli nasze, ale pomimo to, mówmy z sobą.

Miałam niegdyś brata. Ach! z jakimże trudem ciężkim i długim serce musi odwykać od słowa: bracie! Czy źle odgaduję, że w duszy twej palą się tu i owdzie lampki grobowe nad pogrzebanymi — i poruszającami się czasem w mogiłach „błękitami abstrakcyi“? Ja palę swoją nad grobami istot kochanych, na, jeden z nich tylko tęsknotę palącą posyłając.

Jakże prawdziwym jest, że gwoździami z serc ludzkich zbitym być musi most, wiodący do Wysp Błogosławionych. Mówmy z sobą o tych wyspach i o wszystkim, co po drodze, obszernie i ufnie. A tymczasem niech wre i kipi na wyżynach górskich, w otchłaniach nie ginąc, potok Twej młodości, i niech lekkimi ci będą „oczy aksamitne,” które, „przywykły być celem dla wielu wzroków”, zapewne też same dla siebie są gwiazdami!

NASZE POTRZEBY I ŚRODKI NAUKOWE.

Stan nasz umysłowy nie przedstawia się pomyślnie. Komuś, zapatrzonemu jedynie w swojskie widnokreśli, zdawać się może, iż jest to pogląd zbyt pesymistyczny, ale każdy, kto przywykł obcować z życiem umysłowym Europy, otarł się o jej zasoby nauki, niewątpliwie przyzna nam słuszność. Braki literatury naszej naukowej są tak wielkie, że już nie tylko poszczególne zagadnienia, lecz całe nauki, posiadające za granicą swe czasopisma, obfitą literaturę, rozporządzające licznym zasobem sił naukowych, niekiedy nie mają u nas ani jednej książki, lub co najwyżej mogą poszczycić się kilku zaledwie lichymi robotami, daleko od dzisiejszej wiedzy odbiegającymi. Z przykrością stwierdzić wypada, że wogóle nasza literatura naukowa nie reprezentuje dzisiejszego stanu nauki, a nawet nieraz jej stanu z przed lat kilkunastu. Pod względem umysłowym — bądźmy szczerzy — żyjemy tem, czem obczyzna nas obdarza. Ale, niestety, chwytamy stamtąd skwapliwie każdą efektowną nowinkę i zachwycamy się każdym fajerwerkiem, który wystrzeli w górę nad widnokreślami umysłowymi Europy, a rzadko bierzemy światło z wielkiego ogniska, które tam płonie statecznem światłem. Ogniki błędne lub błyskotliwe paradoksy nęcą nas bardziej, niż poważne rzeczy. Podobają nam się Brunetière, bo doktrynami swemi zwalnia od przysiadu fałdów nad nauką, choć niewątpliwie sam je przysiaduje porządnie. Nietzsche zachwycił nas, gdyż za jego sprawą bez zachodów zostajemy posunięci na wyższy szczybel — nadczłowieka. Każdy z modnych paradoksów grasuje kilka miesięcy, niekiedy kilka lat i znika z naszych widnokreśli, jak dym, który skłębił się nad łąką i niebawem się rozproszył, nic po sobie nie pozostawiając, krom okopconych liści. A jeśli zabłąka się coś poważniejszego — mniejsza o kierunek, to pędzi również żywot chwilowy, znana jest raczej etykieta, aniżeli treść tego, co pod nią się ukrywa. Pozytywizm pokutował u nas dziesiątki lat i nie znalazł się ani jeden jego wielbiciel, który-by przyswoił Com-

te'a naszemu piśmiennictwu lub przynajmniej dał go w sumiennem opracowaniu. Niekiedy ukazują się w przekładzie arcydzieła myśli naukowej europejskiej, ale dziwnie spóźnione, w lat wiele po swoim zjawieniu się w ojczyźnie, kiedy niemal przełożono je na wszystkie już języki europejskie. Tylora rzecz. wartości pierwszorzędnej, a mianowicie „Cywilizacya pierwotna“, wyszła w oryginale w 1871, spolszczono ją zaś dopiero w r. 1896; Ruskina dzieła doczekały się tłómaczenia w parę dziesiątków lat; Maine, badacz, który w ciągu dwudziestu lat wywierał wpływ na naukę zachodnią, dopiero niedawno został zapowiedziany w przekładzie polskim. Tak bywa w większości wypadków, a raczej bywa gorzej, bo najczęściej nawet spóźnionych tłómaczeń doczekać się nie możemy. Jesteśmy ubodzy, a z ubóstwa swego bodaj zrobiliśmy cnotę i nawet wytwarzamy teorię uświęcającą nasze nieuctwo. Jeszcze przed laty kilku istniał zastęp erudytów, przeważnie profesorów byłej Szkoły Głównej. Wypadło mi niejednokrotnie spierać się z nimi, a jednak dzisiaj żałuję, że ich nie ma. Zeszli bez zastępców w wielu dziedzinach wiedzy, pozostawiając zupełną pustkę. W codziennej wrzawie zapominamy, że przepaść pomiędzy nami a przodującymi krajami cywilizacyi zwiększa się, że nie zapełnią jej sporadycznie ukazujące się a zwykle liche tłómaczenia rzeczy drugorzędnych, a nawet trzeciorzędnych pod względem naukowym, że kroplą wody w morzu są nasze samodzielne przyczynki naukowe.

Ubóstwo to nasze jest tem boleśniesz, iż daje się spostrzedz w naszym społeczeństwie zapotrzebowanie na pokarm poważniejszy. Wszak nie przypadek to zrządził, iż „Ziarno“, pismo czytane przez warstwy uboższe, co miesiąc dołącza dodatek „naukowy“, zawierający wykład tej lub owej nauki, że wychodzi „Biblioteka dla samouków“, że księgarnia Arcta wydaje drobne rzeczy treści jedynie poważniejszej. Działalność księgarzy może w takich przypadkach służyć za wskazówkę wzrastającego popytu na rzeczy naukowe. Rozwija się u nas prąd zgoła nowy a niezmiernie obiecujący—samouctwo a z niem potrzeby umysłowe, dotychczas u nas zgoła nieznane.

Zanim pomówimy o tych potrzebach, winniśmy słów parę powiedzieć o samouctwie. Utało się u nas ciasne i niewłaściwe pojmowanie tego terminu. Na samouka patrzymy jako na człowieka, który nie mógł uczęszczać do szkół i zaledwie własnymi siłami przyswoił sobie w wieku późniejszym początkowe wiadomości z nauk. Między innemi z powodu „Poradnika dla samouków“ dały się słyszeć głosy, iż niewiedomo poco zamieszcza on tak zwane szczeble wyższe i udziela wskazówek co do dzieł w obcych językach—przecież chyba żaden samouk nie zajdzie tak daleko w swoich studyach! W Anglii, a zwła-

szcza w Ameryce, w tej ojczyźnie of self made men, pojmują ten termin głębiej i rozleglej. Samoukami tam są Bancroft i Draper, Faraday, Lubbock i Spencer, że biorę parę nazwisk bardziej u nas znanych — tj. są ludźmi, którzy, upodobawszy sobie pewien przedmiot, bez pomocy nauczyciela opanowali go zupełnie. Samouctwo w znaczeniu, w jakim używamy tego terminu, ogarnia zarówno rzemieślnika, który samodzielnie nauczył się geometryi, jako i uczonego, który jął się studyów, jak Helmholtz, polegając na własnem przygotowaniu. Samoukiem może być i jest często każdy z nas. Otóż samouctwo, w taki rozległy sposób pojęte, wymaga przedewszystkiem podręczników, i to podręczników specjalnego rodzaju oraz paru stopni, uwzględniających przygotowanie kształczącego się. Specjalnego rodzaju — bo książki, jakie bierze do ręki samouk, muszą być wolne od jałowej pedanteryi, wziąć rozbrat z suchą i nadmierną erudycją, dawać jasne pojęcie o zasadach danej gałęzi nauki, o tem, co stanowi jej rdzeń najistotniejszy. Nie o faki i tam powinno chodzić, ale o fakty; nie o czcze niekiedy określenia i słownictwo, jeno o zgrab nauki. Powtóre; w każdej gałęzi nauki muszą istnieć podręczniki różnego szczebla, z chemią np. zapragnąć może zaznajomić się nietylko rzemieślnik, ale i student prawa.

Istnieje u nas zapotrzebowanie, kielkuje ruch, któremu możemy życzyć jaknajwiększego rozwoju. Nastręcza się pytanie: o ile nasze środki naukowe, — w danym razie istniejący zasób książek, — zdołają uczynić zadość objawiającym się potrzebom. Aby rozjaśnić tę kwestyę należycie, musimy dokonać szczegółowego obrachunku, korzystając z obfitego materiału, jakiego dostarczają nam tomy „Poradnika dla samouków“, zawierające ocenę całego naszego dobytku naukowego.

Zaczynamy od matematyki:

Zdaje się, że matematyka należy u nas do działów lepiej uposażonych. Ale i tu spotykamy liczne luki. Dowiadujemy się od p. S. Dicksteina, iż „do teorii niezmienników czyli teorii form, stanowiących ważny dział algebry nowoczesnej, nie posiadamy dotąd oryginalnego dzieła polskiego“; że „do teorii liczb, czyli arytmetyki wyższej, nie mamy dotąd osobnego dzieła polskiego“, a kto pragnie zapoznać się z tym działem matematyki, musi korzystać z dzieł w obcych językach; że „do geometryi rzutowej nie posiadamy dotąd podręcznika w naszej literaturze i dla tego chcący studyować tę gałąź nauki muszą zwrócić się do literatury obcej“; że „dzieła historycznego, obejmującego w sobie całość rozwoju nauk matematycznych, w literaturze polskiej dotąd nie posiadamy;“ wreszcie, że literatura na-

sza dość jest niezasobna w tablice" (logarytmowe i inne bardzo liczne).

W dziale fizyki i mechaniki autorowie powstrzymywali się od zaznaczenia braków, chociaż są one widoczne, zwłaszcza na wyższym szczeblu. Uwydatnia się to w ocenie polecanych książek w obcych językach: „dzieło to osobliwie samonkom polecić można”; „prześliczne dzieło, które można zaliczyć do klasycznych w literaturze fizycznej”; „każdy, studyjujący poważnie fizykę, książki te przeczytać powinien”; wychodzi to na jaw, iż gdy mowa o historii fizyki, o podręcznikach do doświadczeń, znajdujemy jedynie tytuły w językach obcych nieraz z dodatkiem: „podręcznik niezbędny”. W dziale mechaniki, opracowanym przez prof. Wł. Natansona, obok dwóch dzieł w języku polskim znajdujemy aż 11 obcych, niekiedy polecanych jako „pożądane uzupełnienie”.

O chemii dowiadujemy się od p. L. Marchlewskiego, że „literatura polska jest nader uboga w dzieła specjalne, traktujące o chemii ogólnej, posiadamy zaledwie kilka podręczników starszej daty, które nie mogą już teraz uczynić zadosć wymaganiom. Tymczasem posługiwać się nam wypadnie z małemi wyjątkami szeregiem dzieł literatury obcej.”

Co do astronomii, w szczeblu trzecim mamy podane w polskim języku tylko dwa dzieła, dotyczące przytem specjalnych zagadnień. Autor, p. S. Kramsztyk, zaznaczwszy, iż piśmiennictwo astronomiczne w językach obcych jest tak obfite, że niepodobna tu wymienić choćby najwybitniejszych tylko książek, podaje kilkanaście tytułów niemieckich i francuskich (że już nie mówimy o historii astronomii), zaopatrując je uwagami: „wyborny wykład popularny astronomii,” „słynne wykłady”. Podobno dzieje się jeszcze gorzej z meteorologią, nauką, która posiada i znaczenie praktyczne dla ziemian, dzisiaj karmiących się pseudo-naukowemi wyrobami Falba. Nie dziw, że „z powodu ubóstwa piśmiennictwa naszego w zakresie meteorologii,” są polecane dzieła w języku niemieckim!

Mineralogię i geologię opracował p. J. Morozewicz. Posępne-
mi barwami kreśli on stan tych nauk u nas.

„Literatura podręcznikowa polska w dziedzinie nauk geologiczno-mineralnych jest bezprzykładnie uboga. Z wyjątkiem mineralogii, która w r. z. doczekała się tłómaczenia książki profesora Czer-maka (stopień wyższy), inne, zaliczające się tutaj dyscypliny, jak kry-stalografia, petrografia i geologia, dla czytelnika polskiego, pragnącego nieco głębiej sięgać w ich istotę, są zgoła niedostępne. Brak poważniejszego i rzeczy polskie uwzględniającego podręcznika geologii—nauki tak nieskończenie ważnej pod względem filozoficznym

i praktycznym—uważam wprost za anomalię społeczną... Co się tyczy krytalografii w szczególności, to nie posiadamy o niej ani jednego podręcznika, lub jakiegokolwiek innej książki zawierającej dokładne i wierne wiadomości o rozwoju dzisiejszym tej nauki. Te bowiem oderwane i luźne urywki, jakie zwykle pod mianem krytalografii podawane są we wstępie do podręczników mineralogii, w najlepszym razie ograniczają się tylko do czysto zewnętrznej, formalnej i terminologicznej strony tej ciekawej i pełnej znaczenia filozoficznego umiejętności... Wydanie dobrego podręcznika krytalografii uważał-bym za rzecz równie ważną, jak pilną... „Nadzwyczaj bujny, lub nawet wprost wyjątkowy rozwój petrografii w ostatnich 30 latach nie znalazł dotąd również oddźwięku w naszej literaturze!”

W dziale geografii spotykamy niemal wyłącznie tytuły polskie w szczeblach niższych. Ale gdy pan Andrzej Świętochowski zwraca się do strony metodycznej, która w każdej nauce przedstawia istotę rzeczy, przeważają dzieła obce, swojskie są zaś zaopatrzone w różne uwagi krytyczne, albo należą do liczby drobnych rozpraw. Wreszcie w dziale najwyższym znajdujemy tylko obce tytuły z zaznaczeniem, że są dzieła gruntowne, z których korzystają zwykle specjaliści i nauczyciele — zdanie, na które przystać nie możemy, bo znamy uczniów wyższych klas, którzy pochłaniali Reclusa „Ziemię” i sądzą, że wzięli-by się do innych, „ze wszech miar godnych czytania” dzieł, jakie polecono. O atlasach nie mówimy, ubóstwo nasze pod tym względem jest znane. Zwrócimy jedynie uwagę na dział podróży. „Dział podróży i opisów, pomimo poczytności, jaką się cieszy, należy do nader ubogich w naszej literaturze!” A tymczasem tego rodzaju książki nie tylko że kształcą, ale nadto znajdują u nas licznych czytelników, może po powieści najliczniejszych. Należy jeszcze uwzględnić, że nie mamy dzieł, które-by były poświęcone ogólnemu zarysowi naszego kraju, a stały na poziomie naszych wymagań naukowych, istniejąca zaś praca W. Nałkowskiego jest tylko rzutem, co do którego mamy nadzieję, iż autor kiedyś go rozszerzy.

W botanice w niższych działach o naszej zamożności trudno wyrobić sobie pojęcie z przytoczonych tam tytułów—uwaga, którą powinniśmy wygłaszać przy rozpatrywaniu każdego działu. Co do wyższego szczebla p. E. Strumpf zapewnia nas, że „obszerniejszego kursu botaniki dotychczas w języku naszym jeszcze nie posiadamy.” Ale to gołosłowne oświadczenie nie odpowiada istotnemu stanowi rzeczy, który jest daleko gorszy. W dziale systematyki spotykamy np. jeszcze polskie tytuły; w zakresie morfologii i geografii roślin,

ani jednej, w anatomii jedną tłumaczoną pracę, w fizyologii jedną tłumaczoną i artykuły rozproszone po czasopismach, w paleontologii i historii rozwoju roślin tylko obce tytuły prócz drobnych artykułów w specjalnych czasopismach—inne słowa nic nie mamy...

W zoologii znacznie niższe mogą pochwalić się jeszcze sporą wiązką tytułów, chociaż większość nie wykracza poza poziom pospolitego starej daty podręcznika. A gdy zwracamy się do szczybla III-ego, na parę dziesiątków obcych tytułów znajdujemy zaledwie parę polskich, a przytem są tam działy, nie mające ani jednej książki, oryginalnej lub tłumaczonej, w języku polskim; np. o paleozoologii (paleontologii) p. J. Eismond oświadcza, że w naszej literaturze nie ma żadnego odpowiedniego podręcznika, że „wykaz prac zoologicznych, które kwalifikują się do rychłego spolszczenia ze względu na ich wysoką wartość naukową i pedagogiczną, jakoteż—zupełny brak podobnych dzieł w literaturze polskiej, obejmował-by dość długi szereg książek... W ostatnich czasach studia nad morfologią i histologią komórki przybrały wielkie rozmiary, powstała stąd prawie specjalna gałąź biologii, zwana cytologią... Niestety, w naszej literaturze prócz kilku luźnych i zbyt specjalnych rozpraw nie ma odpowiedniego podręcznika”. Biologię ogólną opracował prof. J. Nussbaum. I tutaj w stopniu wyższym powtarza się ta sama historia. Opuszczamy inne działy wyspecjalizowane nauk biologicznych oraz ich zastosowań, poprzestając na przytoczeniu paru głosów specjalistów:

„Dotychczas literatura nasza nie posiadała dzieła, które-by stało na wysokości stanu nauki tej gałęzi anatomii (anatomii patologicznej). Obecnie jest w przygotowaniu oryginalnie pisana anatomia patologiczna, która niezawodnie zapełni tę lukę” (dr. W. Świątecki).

„Zaznaczyć winniśmy, iż nie istnieją w języku polskim specjalne podręczniki, poświęcone anatomii i fizyologii ustroju nerwowego. Piśmiennictwo zagraniczne posiada wielką ilość bardzo dobrych podręczników anatomii ustroju nerwowego” (dr E. Flatau).

„Piśmiennictwo polskie w dziedzinie fizyologii okazuje bardzo znaczne braki” (A. Kuczyński).

Niemniej dotkliwe ubóstwo oczekuje nas w dziale antropologii. Istniejące przyczynki zaledwie zaznajamiają nasz ogół z niektórymi zdobyczami tego działu nauki, a przytem są przeznaczone dla osób średniego wykształcenia. Czytelnik z małym przygotowaniem, a tembardziej osoba, pragnąca się wyspecjalizować w tym przedmiocie, w swojskiej literaturze nie znajdzie potrzebnych podręczników. Piśmiennictwo nasze nie posiada nawet artykułów w czasopismach, które-by zdołały dać czytelnikowi dokładny obraz nauki antropologicz-

nej i zastąpiły brak dzieł odpowiednich. Nie posiadamy zgoła żadnej pracy, która-by zaznajomiła nas z wynikami antropologii zoologicznej lub dostarczyła wykładu antropologii ogólnej.

Archeologia przedhistoryczna jest jedną z dziedzin nauki, w której nasza działalność może wydać przyczynki, posiadające doniosłość powszechną. Tembardziej razić musi zupełny brak jakichkolwiek podręczników o tym przedmiocie w naszym języku, tłumaczonych lub oryginalnych.

Co do psychologii, poprzestaniemy na przytoczeniu zdania p. A. Mahrburga:

„Polskie piśmiennictwo psychologiczne jest nader ubogie. Prac oryginalnych, a zwłaszcza wartościowych, nie posiadamy wcale, natomiast posiadamy przekłady z języków obcych. O tych przekładach dzieł naukowych dało-by się dużo powiedzieć, tu jednak musimy poprzestać na treściwych uwagach, dotyczących nadto wyłącznie przekładów dzieł psychologicznych. Tłumacze nasi najczęściej nie bywają psychologami z zawodu, na czem szwankuje wybór dzieł tłumaczonych oraz samo wykonanie czyli wartość przekładu. Tłumacz, który się nie rozgląda należycie w piśmiennictwie psychologicznem, nie wybiera dzieła ze względu na jego największą wartość, lecz przypadkowo zatrzymuje się na danem dziele dla tego, że mu wpadło do rąk, że napisane jest w dostępnym języku, że imię autora cieszy się powagą, rozgłosem, że zajęło go treścią swoją, z którą się tu po raz pierwszy zapoznał, że zdołał dlań zjednać nakładcę. W całym szeregu względów brak jednego, który-by przedewszystkiem powinien rozstrzygać o wyborze, mianowicie, że tłumaczone dzieło w rzeczy samej jest najlepsze w swoim rodzaju pośród istniejących“.

Przechodzimy do nauk historycznych. Po drodze należało-by nam nieco zatrzymać się na lingwistyce, wystarczy jednak uwaga, że i tu znaleźlibyśmy takie same braki, jak i w innych gałęziach naszej literatury naukowej. Również w zakresie nauk historycznych powtarza się obraz, jaki dotychczas mieliśmy przed sobą. Działy poświęcone historii rozwoju społecznego, historii nauk i filozofii, podają niemal jedynie tytuły w językach obcych, niekiedy tylko zabląka się tam nagłówek w języku polskim, a niestety rzadko to bywa praca głębszej wartości naukowej. Historia rozwoju społecznego, tj. urządzeń, właściwych życiu gromadnemu, jest stosunkowo świeżą gałęzią nauki, ale rozrastającą się z dniem każdym. Ogarnia ona tak różnorodne strony życia, rozstrzeliła się na tyle niezależnych poniekąd specjalności, iż piśmiennictwo nasze naukowe w tym względzie przedstawia się nad wszelki wyraz ubogo. Dzieł Maine'a, Posta, Wilkena, nie przyswoiliśmy sobie dotychczas, chociaż Maine został bodaj przełożo-

ny na wszystkie języki. W ostatnich dopiero paru latach daje się spostrzegać zwrot ku lepszemu: ukazały się w przekładzie polskim prace Gomme'a i Tylora, zapowiedziane jest wydanie Maine'a i Büchera. Ale próby te bynajmniej nie zapełnią braków, jakie na polu historii rozwoju społecznego dają się odczuwać w naszym piśmiennictwie naukowym. Ażeby dostarczyć kształcącemu się ogółowi polskiemu niezbędnych środków pracy umysłowej, trzeba-by wydać cały szereg dzieł zasadniczych. Co do historii nauki, „polskie piśmiennictwo w dziedzinie tej jest bardzo ubogie, nie mówiąc już w prace oryginalne, ale nawet w przekłady.“ I w historii filozofii spotyka nas ten sam widok: „Musimy tu z góry zaznaczyć zupełny brak w języku polskim podręcznika historii filozofii, bądź oryginalnego, bądź tłumaczonego, który-by chociaż w przybliżeniu czynił zadość potrzebom pierwszego stopnia wykształcenia, a zarazem odpowiadał obecnemu stanowi wiedzy“ (A. Mahrburg). Braki te jeszcze można zrozumieć, ale dziwniej wygląda ubóstwo nasze w dziale historii powszechnej. O ile wiemy z doświadczenia, historia pociąga ku sobie wielu czytelników. Jeśli weźmiemy działalność kursów ludowych imienia A. Mickiewicza w Krakowie, to okazuje się, iż największą liczbę słuchaczy ściągają wykłady historyczne. W bibliotekach ludowych miasta Berlina, po usunięciu powieści itd., wśród czytelnictwa poważniejszego historia z geografją zajmują pierwsze miejsce. Dane statystyczne co do czytelnictwa u nas, zebrane przez p. St. Michalskiego, wykazują, iż wówczas, gdy na dzieła poważne prócz historii przypada 15% ogółu wypożyczanych książek, to na historię 8%. Zapotrzebowanie więc istnieje. Niegdyś ukazywało się sporo przekładów dzieł tego zakresu, pojawiały się kompilacje swojskie. Dzisiaj ruch ten wydawniczy ustał. Rozpatrując szczebel trzeci, oglądamy prawie jedynie obce tytuły, niekiedy zaopatrzone niezmiernymi pochwałami, jak np. prace Ed. Meyera o świetle starożytnem, R. Pohlmann'a o klasycznej starożytności, Fustel de Coulanges'a o początkach feudalizmu, Lipperta o społecznym rozwoju Czech. Wreszcie takie wydawnictwa, jak Onckena itd., zwiastują nowy okres w wydawnictwach historycznych. Ważnych tych prac, ukazujących przeszłość w nowym oświeceniu, wcale w języku naszym nie mamy. Jeden z samouków skarży się na to w liście do redakcyi „Poradnika“: „Podajecie nam głodnym sute menu zamiast obiadu!“ Zwłaszcza razi brak historycznych monografii o ostatnich dwu stuleciach—książek, które niewątpliwie znalazły-by licznych czytelników.

Przechodząc do nauk prawnych i społecznych, widzimy znowu brak rzeczy zasadniczych. Weźmy choćby ekonomię polityczną. Nasze piśmiennictwo ekonomiczne w zakresie wymagań stopnia drugiego (o trzecim nie wspominamy, gdyż niemal odpowiednia literatura

nie istnieje) odznacza się niezmierną jednostronnością. Posiadamy stosunkowo wiele podręczników ekonomii, niektóre z nich są bardzo dobre, ale na tem kończy się cały nasz majątek piśmienniczy. Dział historyczny i opisowy są niemal zupełnie zaniedbane; samouk, który pragnął-by zaznajomić się z rozwojem instytucji ekonomicznych, prócz lichego przekładu Laveleye'a, książki dzisiaj już mocno przestarzałej, nie znajdzie ani jednego dzieła w języku polskim nie napotka on także prawie żadnych prac przedstawiających obraz czynności i działania obecnych nowotworów życia ekonomicznego. O jakimkolwiek już nie wyczerpaniu, ale chociaż-by dokładniejszym opracowaniu różnych „kwestyi” (rolnej, dobroczynnej, kooperacyjnej itd.), nie może być nawet mowy: na tem polu panuje zupełna posucha. Dla wskazania istniejących luk musielibyśmy przytaczać całą listę dzieł, które-by należało przetłómaczyć lub opracować oryginalnie. Nie możemy jednak pominąć milczeniem trzech punktów:

1) Zupełnej nieobecności w naszym języku przekładu wybitnych ekonomistów, zaczynając od A. Smitha, a kończąc na obecnym kierunku psychologicznym. Należało-by wydać ich chociaż-by w skróceniu, stwarzając biblioteczkę w rodzaju wydanej przez Guillauma w Paryżu: w pojedynczych tomach, poświęconych każdy innemu ekonomistcie, streszczono tam części podrzędniejsze, a w całości podano ustępy zasadnicze poglądów Smitha, Ricarda i innych. Między innemi potrzebną jest monografia, poświęcona przedstawieniu dziejów ekonomii politycznej w naszym kraju. Prócz przyczynków p. Gargasa i J. B. Marchlewskiego kompletnie nic nie posiadamy pod tym względem.

2) Braku jakiegokolwiek dzieła, przedstawiającego dzieje rozwoju ekonomicznego kraju naszego w przeszłości. „Rys dziejów gospodarstwa krajowego” przez A. J. (Kraków 1893) nie zadawała nawet skromnych wymagań nauki obecnej. Dopiero świeża praca p. Szelażowskiego wypełnia częściowo tę lukę.

3) Braku dzieł, dotyczących naszego obecnego stanu ekonomicznego. W ostatnich latach ukazało się parę poważniejszych prac, dotyczących rozwoju przemysłu w Królestwie. Ale zbywa nam na książkach, które-by zaznajomiły nas z położeniem naszego rzemiosła, włościaństwa itd., i to nie tylko na dziełach podających ogólny obraz naszych stosunków, ale nawet na monografiach. Piśmiennictwo niemieckie utworowało drogę, z której i nam należało-by skorzystać, wydając rezultaty wspaniałych ankiet, przedsięwziętych przez Verein der Sozialpolitiker.

Co do nauk prawno politycznych poprzestaniemy na przytoczeniu głosu jednego ze specjalistów:

„Literatura nasza na całym obszarze umiejętności społecznych jest niezmiernie ubogą. Nie będziemy doszukiwali się na tem miejscu przyczyn tego smutnego faktu; wystarczy, że zaznaczymy tę faktalność. Nie szliśmy nigdy w jednym szeregu z nauką europejską, włączyliśmy się raczej jako ciury obozowe w pewnem oddaleniu od taboru głównej nauki. Gdy tam staczano walne bitwy teoretyczne, milczeliśmy i zazwyczaj, gdy te walki ucichały, przedostawało się do nas spóźnione ledwie żywe ich echo...

W literaturze polskiej niema ani jednej książki, ani jednej broszury, która-by przypominała wyliczone tutaj (nauki prawne, szczególnie pierwszy) tytuły. Nie znaczy to bynajmniej, aby nie istniały potrzeby ogłaszania podobnych wydawnictw. Czas to już wielki, aby o tem pomyślano! (S. Posner).

Nie będziemy w drobiazgowy sposób zastanawiali się nad innemi działami nauki. Dla scharakteryzowania istniejącego stanu rzeczy poprzestaniemy na przytoczeniu kilku głosów.

„Etyka polska jest bardzo uboga i składa się przeważnie z odbić myśli obcych“... (A. Świętochowski).

„Obfitość dobrych książek (w językach obcych), w dziale piśmiennictwa logicznego sprawia zakłopotanie. Niestety, jednak nie dotyczy się to zakłopotanie piśmiennictwa polskiego... Książek polskich z logiki formalnej, teorii poznania i metodologii, właściwych szczególnie średniemu wykształcenia, mamy bardzo mało, takich zaś, któreby można stanowczo polecić jako podręczniki, wcale nie posiadamy... Co się dotyczy kompedyów obszernych, fachowo wyczerpujących materiały logiki formalnej, teorii poznania i metodologii, jakkolwiek jest ich dużo i znakomitych — w polskim jednak języku nie posiadamy żadnego ani oryginalnego, ani w przekładzie, prócz logiki Baina, streszczenia logiki Milla i logiki Wundta“ (A. Mahrburg).

Praca ta (na polu filozofii współczesnej) jednak bez znajomości języków obcych, a przedewszystkiem niemieckiego, jest niemożliwą w obecnych warunkach“ (A. Mahrburg).

„Studia nad metodyką są u nas utrudnione skutkiem ubóstwa literatury w tej dziedzinie. W języku polskim nie posiadamy metodyki ogólnej gruntownie i wyczerpująco opracowanej; nieliczne są też monografie poświęcone metodyce poszczególnych przedmiotów. W drobniejszych zaś studiach i rozprawach spotykamy ogromne luki; są to przedmioty, które kilkakrotnie były poruszane przez rozmaitych autorów, lecz są też ważne kwestye, których u nas nikt jeszcze nie roztrząsał. Znający obce języki muszą sobie te braki dopełniać, korzystając z ogólnej literatury pedagogicznej; z tego powodu zmu-

szeni jesteśmy podać pewną liczbę tytułów niemieckich, francuskich, angielskich" (A. Szye).

Pozostaje jeszcze jeden dział — dział przyczynków naukowych do znajomości własnego języka, własnej historii. I tutaj nawet dają się spostrzedz braki, na które gorzko utyskują specjaliści. Pan St. Mieczysławski oświadcza, że potrzebne są przedewszystkiem dobrze napisane: stylistyka w stopniu średnim, uwzględniająca wymagania szkoły i nauczania prywatnego, oraz stylistyka w szerszym zakresie, pomocna dla nauczycieli i wogóle ludzi wykształconych.

W dziale języka polskiego p. A. A. Kryński zaznacza, iż pożądane były-by: do opracowania:

„1) Głosownia (fonetyka) języka polskiego, opracowana historycznie z uwzględnieniem dzisiejszego stanu fonetyki indoeuropejskiej i słowiańskiej. 2) Słoworód czyli etymologia języka polskiego, obejmująca naukę o sposobach tworzenia się wyrazów, wykład o pierwiastkach, czyli pniach, o osnowach wyrazów, pierwiastkach itd. 3) Historia języka, przedstawiająca w sposób systematyczny od czasów najdawniejszych zmiany kolejne języka polskiego w obrębie jego głosowni, w zakresie tworzenia się wyrazów i ich odmianach, jako też w ich znaczeniu i w wysłowieniu. Tu winny być wskazane: a) te czynniki wewnętrzne, psychiczne, których działaniem zmiany językowe były wywołane; b) wszelkie wpływy zewnętrzne i przymieszki, i nabytki obce, które język w rozwoju swym różnemi czasami przejmował i do dziś zatrzymał". Prof. J. Baudouin de Courtenay zaznacza konieczność napisania dzieła, dającego psychologiczną charakterystykę języka polskiego. P. Chmielowski kładzie nacisk na konieczności napisania historii krytyki literackiej u nas. Wł. Smoleński wskazuje na to, że historycy polscy nie zdobyli się dotychczas na wykład popularny dziejów, ewolucji życia narodowego w organicznej pełni jego objawów.

„Nie mamy książki historycznej, która-by przedstawiała, jeśli nie pełnię objawów życia narodowego, to przynajmniej strony jego najznamienniejsze. Należało-by zdobyć się na ujęcie ogółu zjawisk życia, tj. obok losów państwa i organizacji społecznej przedstawić rozwój narodu umysłowy, moralny i materyalny, stworzyć to, co nazywają dziejami kultury. Jeśli obecny stan wiedzy nie pozwala na napisanie całkowitych dziejów kultury polskiej, to wypadło-by przynajmniej wciągnąć do wykładów popularnych te pomijane strony życia, które już zbadane zostały gruntowniej“.

St. Karpowicz oświadcza, że uważa za najpotrzebniejsze opracowanie historii głównych zasad wychowania w Polsce, z uwzględnieniem dziejów szkolnictwa o tyle tylko, ile to jest koniecznem dla

wykazania popularności i wpływu danej zasady pedagogicznej, oraz dalszego jej rozwoju. Historia taka winna być skreślona nie po kronikarsku, lecz ze stanowiska rozwoju najnowszych i najogólniejszych ideałów i dążeń pedagogicznych.

Zbiór tych faktów sprawia przygnębiające wrażenie. Z przykrością winniśmy dodać, iż posępnoscią swoją bodaj jeszcze nie dorósł rzeczywistości. Istnieją całe gałęzie nauk, w których nie posiadamy ani jednego podręcznika: antropologia ogólna, archeologia przedhistoryczna, paleontologia, różne działy nauk biologicznych, krystalografia itd. A braki te bolą tembardziej, iż niekiedy są to właśnie zakresy nauk, w których swojski pracownik zdołał-by obyć się częściowo bez muzeów i bibliotek, a jednak posuwać wiedzę u nas i świadczyć o naszym istnieniu kulturalnem w międzynarodowej świątyni nauki. Taką jest np. antropologia. Stosunki antropologiczne naszego kraju dotychczas nie zostały wyświetlone, choć tego wymaga nie tylko zgola naturalne zainteresowanie, właściwe każdemu z nas, ale także postęp na polu antropologii wogóle. Dla tej ostatniej obszar nasz etnograficzny na odpowiedniej mapie przedstawia białą plamę, jak serce Afryki w atlasach geograficznych. Jeżeli my sami nie podejmiemy podobnej pracy, nikt nas w niej nie wyręczy. A tymczasem lekarz prowincjonalny i niejednen obywatel ziemski, obeznany z naukami przyrodniczymi, mógł-by zająć się tego rodzaju zbieraniem surowego materiału. Ale potrzebne są dla nich podręczniki, uzdolniające do podjęcia samodzielnej pracy, a więc przede wszystkim podręczniki pomiarów, tablice barwy i t. d. Z doświadczenia własnego wiem, o ile brak ten wpływa ujemnie. Niejednokrotnie zwracano się do mnie z prośbą o wskazanie takich książek, ale, niestety, mogłem jedynie polecić dzieła w językach obcych, na co mi odpowiadano, że dla braku znajomości tych właśnie języków wskazane źródła są niedostępne.

Jeszcze parę cyfr dla uzupełnienia obrazu.

Porównyując produkcję roczną naukową w Niemczech i u nas, każdy z nas będzie niemiłe dotknięty istniejącą nieproporcjonalnością. U nas w roku 1900 na 24,000 osób przypada wydanie jednej książki poważnej treści, w Niemczech na 2,900! Powinniśmy pod tym względem w miarę możliwości brać przykład od Włochów, którzy gorączkowo usiłują wynagrodzić sobie wieki zastoju. Wydawali oni w roku 1900 jedną książkę naukową na 3,600 mieszkańców, a stosunek dzieł naukowych do ogółu wydawnictw wynosi 86.9%, wówczas gdy w Niemczech dosięga 64.4%, u nas zaś spada do 38.6%! Specjalnie co do ogółu książek, w całej liczbie książek, wydanych u nas od 1895 do

1900 stanowią one część trzecią, z tej liczby tylko 15% polecono w „Poradniku“, jako zasługujące na to, ażeby znalazły się w ręku samouka, co stanowi 6% ogółu wydanych w tym czasie książek. Ponieważ opuszczono zbyt specjalne monografie, przeto ilość dobrych książek jest większa od tej cyfry, ale w każdym razie tandeta pseudonaukowa wynosi prawdopodobnie 50% ogółu wydawnictw poważnych. Wśród tej skromnej produkcji książek naukowych, dziwnie upośledzony jest dział książek popularnych naukowych dla ludu. W ogólnej sumie wynoszą one za okres czasu 1848—1893 zaledwie 0.4%. K. Krzeczkowski, we wstępie do czwartego tomu „Poradnika“ przytacza jeszcze inne cyfry, niemniej niepomyślne. Przypominamy, iż wykazując nasze braki zastanawialiśmy się niemal wyłącznie nad szczeblem najwyższym studiów samodzielnych. Otóż okazuje się, iż jest to szczebel jeszcze najlepiej uposażony, bo ogółem zawiera 1,367 dzieł poleconych w języku polskim, mniejsza czy tłómaczonych, czy oryginalnych. Szczebel drugi, posiadający daleko wyższą liczbę przedstawicieli, pragnących uzupełnić luki w swoim wykształceniu, może posługiwać się zaledwie 467 dziełami poleconemi, najniższy zaś tylko 298... Jest to strona ilościowa nasza ruchu wydawniczego na polu naukowym, o jakościowej zaś dostarczyła nam pojęcia ta okoliczność, że „Poradnik“ mógł zalecić jedynie 15% książek naukowych, wydanych w latach 1895—1900. Stan dzisiejszy ruchu wydawniczego u nas jest obrazem zamętu i nieładu—na rynku wydawniczym panuje całkowicie przypadkowość, niezorganizowanie zupełne sił wydawniczych. Ukazują się miernoty, efemerydy literackie, częstokroć w kilku miejscach wydane, tymczasem dzieła klasyczne, pomnikowe, albo wcale nie bywają przekładane, albo po wielu bardzo latach (często nawet, gdy już utraciły swe znaczenie) lub też niezmiernie długo czekają zmiłowania wydawców w rękopisie. W popularnych wydawnictwach panuje tandeta.

Mam pod ręką parę świeżych wydawnictw. W podręczniku zoologii jest mowa, iż oko posiada w sobie „otwór“, w którym ciecz się znajduje! W innym—streszczeniu słynnej mitologii Langa—znajduje kompletnie dziwolągi, jeszcze inny był-by pięknym nabytkiem, gdyby autor nie zapomniał o tem, iż ów podręcznik jest przeznaczony nie dla Botokudów, jak o nim wyraził się w rozmowie ze mną p. St. Kramsztyk, ale dla Polaków; jeszcze inny zapełniły błędy takie, że autor musiał protestować przeciw własnej książce! Zwłaszcza przekłady szwankują. Oto np. książka nosi tytuł w języku francuskim „Science et conscience“ to jest „nauka i świadomość“, ale tłómacz polski ostatni wyraz przetłómaczył przez „sumienie“, które grzeszy

w książce od pierwszej stronicy do ostatniej. Takie rzeczy zdarzają się często. Tłómacze nasi nie dość uświadamiają sobie to, że dla porządnego przekładu prócz znajomości języka, z którego książkę zapożyczono, i języka, na który ją przełożono, trzeba jeszcze znać sam przedmiot. Nadto można zrobić zarzut wygłoszony przez tłumacza „Szkiców astronomicznych” Fisseranda w dołączonej do przekładu przedmowie: „Jedną z najbardziej powszechnych wad tak zwanych książek popularnych jest, że podają one przeważnie gołe wyniki badań naukowych, że nie wprowadzają czytelnika do warsztatu pracy naukowej, nie roztaczają przed nim żywego obrazu nauki wiecznie się rozwijającej i nigdy nieskończonej, lecz ostatecznymi zdobyczami jej każą się zachwycać.

Dogmatyczny taki wykład pozostawia wprawdzie w pamięci czytelnika garść faktów, ale umysłu nie kształci prawdziwie, do samodzielnego myślenia nie zaprawia”. Wogóle rysem znamionym naszego ruchu wydawniczego jest zupełna bezplanowość, która sprawia przeładowanie rynku książkowego makulaturą i wywołuje złudzenie, że książek mamy wbród, że raczej więcej jest książek niż za potrzebowań na nie. Dochodzimy jednak do zupełnie odmiennego wniosku, rozejrzawszy się w podanych cyfrach.

Wysuwa się więc tutaj na plan pierwszy potrzeba planowej akcji wydawniczej, podjętej ze stanowiska wymagań szerokiego ogółu samouków.

Tak się przedstawia ów zasób źródeł nauki, jakim rozporządza nasze społeczeństwo! Ubóstwo jest tem dotkliwsze, że dotyczy jednej z doniosłych dźwigni naszego rozwoju, naszej przyszłości. Wiek XIX zszedł do grobu, pozostawiając swemu następcy nowe a rozleglejsze wymagania. Przed laty kilkunastu jeszcze wolno było mierzyć poziom cywilizacji pewnego ludu liczbą osób umiejących czytać i pisać. Ale ostatni dziesięć lat sprawił przewrót w tym względzie. Okazało się, iż umiejętność czytania była w społeczeństwach przodujących jedynie szczeblem do wstępowania na wyższy poziom aspiracji. Ludność umiejąca czytać zażądała poważniejszej strawy, a następstwem tego domagania się jest dziś tak głośno rozbrzmiewające hasło „demokratyzacji nauk”, gromadzące około ludowych wszechnic dziesiątki tysięcy słuchaczy. Wykładający w ciągu kilku lub kilkunastu wykładów winien zaznajomić swoje audytoryum ze stanem pewnej gałęzi wiedzy. Niema tam miejsca na błagę, bo górnik angielski, który po całodzienniej pracy w kopalniach robi dziesięć mil angielskich do miasteczka, aby zapisywać wykład chemii, a potem powtarza go towarzyszom, jest zbyt poważnym słuchaczem, ażeby pro-

fesor hawił go anegdotkami lub zbywał byle czem. Pod wpływem za-
potrzebowania ze strony życia tworzy się tam obfita literatura nau-
kowo-popularna,—popularna nie dla tego, że podaje naukę w kwieci-
stej formie, ale ponieważ odznacza się stylem prostym, zwięzłym,
a przejrzystym. Literatura ta wzięła rozbrat z popisowywaniem się eru-
dycją i chociaż niemal każdy wiersz znajduje się na wysokości nau-
ki, unika ona przeładowywania wykładu drugorzędnymi szczegółami,
nie zna jałowych definicji i odwołuje się do faktów. Nie zapomina-
no tam również o bibliotekach, tych szkołach dla dorosłych, jak wy-
raził się lord Bulwer. Słowem, rozwinęto olbrzymią a pożyteczną
działalność,—~~organiczną pracę w dodatniem znaczeniu. Za lat kil-~~
kadziesiąt przekształci ona niewątpliwie postać szczęśliwych społe-
czeństwi zamiast dawnych probierzy cywilizacji—ilości zużytego my-
dła i liczby osób umiejących czytać—wydobędzie nowe: liczby słu-
chaczy popularnych uniwersytetów. Czem może poszczycić się na-
sze społeczeństwo w obliczu tej wielkiej a mrówczej pracy, która na-
wet filantropii nadała inny kierunek: miliardrzy amerykańscy pod
wpływem tego doniosłego prądu zapisują legaty lub sypią hojną, że
tak powiem, amerykańską dłoń na oświatę, a więc zakładają biblio-
teki, stwarzają wszechnice, zapładniają ruch wydawniczy?

Żądza czytelnictwa istnieje u nas, zwłaszcza niektóre działy
przyrodoznawstwa i historia powszechna znajdują chętnych czytel-
ników, a tymczasem nie posiadamy nawet popularnych książek, któ-
reby mogły służyć za źródło oświaty, nie mamy nowoczesnych podrę-
czników, z których zdołało-by się kształcić grono poważniejszej mło-
dzieży i nabierać ochoty do pracy naukowej, niema nawet zastępu
osób, które-by w całym obrębie tak licznych specjalności reprezento-
wały obecny stan nauki, a nawet zwykłych erudytów, którzy-by po-
wstrzymywali nieuctwo niejednokrotnie strojące się w piórka powa-
gi i znajomości. A jednak musimy posiadać to wszystko, powinniśmy
zaopatrzyć się w rynsztunek cywilizacyjny, w którym wielkie ludy wal-
czą o swój byt w dalszych pokoleniach. Ludy dążą w nieznaną przy-
szłość, a każdy z nich dobrze rozumie lub przeczuwa trafnie, iż sto-
pień jego kultury, poziom jego oświaty rozstrzygnie o jego losach
przyszłych.

Pomijamy tutaj sztukę systematycznie, bynajmniej nie myśli-
my przeciw niej występować, owszem niechaj się coraz potężniej roz-
wija byle-by nie zapomniano, iż istnieje nauka, która bodaj przed-
stawia donioślejszy czynnik wielkości ludów, jest strawą, gdy sztuka
jest przedewszystkiem odpoczynkiem. Ażeby godnie uczestniczyć
w chórze cywilizacyjnym, musimy rozporządzać poważnem gronem

specjalistów, chociaż-by dla postawienia ich na straży naszego rozwoju umysłowego; musimy posiadać obfity zasób podręczników poważnych i książek naukowych, przygotowujących nowe siły; musimy stworzyć bogate piśmiennictwo naukowe we wszystkich gałęziach wiedzy, piśmiennictwo tanie, a czyniące zadość potrzebom samouków różnego stopnia, od prostego rzemieślnika do specjalisty, pragnącego poinformować się o rozwoju mniej znanej sobie gałęzi wiedzy. Piśmiennictwo to musi być nawet obfitsze niż gdzieindziej, bo zbywa nam na dostępnych pracowniach, muzeach, bibliotekach, odczytach, wykładach popularnych. „Więcej światła“, słowa przypisywane umierającemu Goethemu, muszą się stać naszym hasłem, a przyłożenie ręki do tego zadania—naszym obowiązkiem obywatelskim.

Tutaj następuje się parę pytań. Jedno: jakim sposobem możemy stworzyć piśmiennictwo naukowe, drugie— za jakie środki. Jakim sposobem mamy stworzyć bogate piśmiennictwo naukowe, dostarczające żądanym kształcenia się, materiału do studyów?

Przedewszystkiem powinno nam chodzić o pozyskanie dobrych podręczników i wogóle książek, dających obraz tego, czego dokonano w różnych gałęziach nauki, książek różnego stopnia popularności i powagi, stosownie do niejednakowego poziomu umysłowego samouków. Pod tym względem mamy niewyczerpaną kopalnię dzieł w językach obcych. Prawdopodobnie znajdzie się pewna liczba pracowników swoich na polu nauki, ale z góry powinniśmy być na to przygotowani, że podolają oni zaledwie drobnej części potrzeb, zwłaszcza, iż są całe zakresy wiedzy leżące u nas odłogiem. W kraju, w którym niektóre gałęzie zgoła nie są uprawiane, trudno zapłacić braki tylko własnymi siłami! Zresztą wiele zależy na pośpiesznej działalności, a pośpiech jest możliwy jedynie na drodze przyswojenia arcydzieł nauki europejskiej. Pod tym względem nie może być zdań różnych. Tę konieczność dokładnie skreślił jeden z samouków w liście przytoczonym w IV tomie „Poradnika“.

„Samoukowi chodzi o to, czy rzecz napisana pedagogicznie, czy stoi na wysokości nauki, a czy rzecz jest kompilacją, czy plagiatem nawet, czy też najoryginalniejszym utworem, to ma znaczenie zupełnie podrzędne“. To domaganie się środków nauki, energiczne, gorące, pozwala mniemać, iż gdyby znalazły się źródła, obdarzające nas systematycznie porządnymi książkami naukowymi, życie umysłowe popłynęłoby szerokim łózyskiem. Potrzebujemy tłumaczeń dokonywanych ze świadomością celów i znajomością przedmiotu, a więc pod kierunkiem, lub przez samych specjalistów we wszystkich gałęziach wiedzy. Zdajemy sobie jasno sprawę z tego, że przekłady nie mogą być uwa-

zane za wyłączny i jedynie skuteczny środek leczniczy na nasze nie-domagania naukowe — oczekiwać jednak od nich można i należy, że, otwierając nowe i szersze widnokreśli, stwarzając nowe potrzeby i pożądania, obudzą żywszy i rzetelniejszy ruch umysłowy, a tem samem przyczynią się do wzmożenia rozwoju rodzimej myśli i piśmiennictwa. Nie może tu być kwestyi spornej, skoro idzie o żywe dzisiejsze potrzeby szerokiego ogółu „głodomorów umysłowych“, których pracy i wysiłków nie mamy prawa lekceważyć; niema racyi dostatecznej, żeby zaspokojenie tych potrzeb odkładać do czasu zjawienia się dzieł oryginalnych. Podobna wyłączość wiodła-by nas tylko do szybszego obniżenia poziomu naszego życia kulturalnego; dla opanowanych gorączką poznania bowiem jest rzeczą obojętną, czy dane dzieło w szacie polskiej jest wytworem rodzimym, czy obcym.

Tłómaczenia nie powstrzymają wzrostu liczby samodzielnych pracowników u nas na polu nauki, ani też nie zabiorą im rynku, owszem przyspieszą wzmocnienie naszej myśli naukowej. Stworzywszy bowiem piśmiennictwo naukowe, damy społeczeństwu środki wydobywania z pośród szarej masy żądnych pracy naukowej umysłów, dostarczymy swojskiej glebie mierzwy, za którą odpłaci się nam sowitym plonem. Stwarzając bogatą literaturę, stajemy, jak gdyby na gruncie pospolitego ruszenia: zamiast do nielicznych, odwołujemy się do rzesz, każdemu a przynajmniej bardzo wielu umożliwiamy otrzymanie oręża.

I zresztą kto wie, na jakie tory pchną naszą umysłowość siły wywołane z ukrycia, dzisiaj zaś trujące się tandetą, albo nie rozporządzające najpotrzebniejszymi środkami gruntownego wykształcenia. Dobre książki, które przypadkowo trafiły do ręki prostaka, wydobyły z nizin Faradaya, wydobywały i wydobywają licznych pracowników w Anglii i Ameryce. Samoucy bez słuchania kursów na wszechnicach zapisują coraz liczniej nazwiska swoje na stronicach historii myśli ludzkiej. Nie widzę przyczyn, dla czego mielibyśmy być gorsi. Działajmy energicznie na polu rozpowszechniania poważnej nauki, dajmy społeczeństwu nie zdawkową frazeologię i nie błyskotliwe paradoksy, ale zapal ku wielkiej pracy naukowej, który kiedyś rozmachem swoim wykroczyć musi poza pierwotne swe szranki i przyczyni się dzielnie do rozwoju naszej własnej pracy, własnej myśli, własnej nauki i własnej przyszłości kulturalnej.

Trudniejsza rzecz znalezienie środków.

Nasze żądania przewyższają zarówno siły, jak i zdolności księgarzy. Mieli tyle lat w swych rękach wydawnictwa naukowe, a jednak

o ile istnieją lepsze rzeczy u nas, zostały wydane nakładem czasopism lub inicjatywy nie księgarskiej. Nieudolność swoją wykazali w zakresie przekładów, o których charakterze wspominaliśmy w odpowiednim miejscu. Księgarze są przedsiębiorcami i niczem innym być nie mogą. I nawet wolelibyśmy, ażeby nimi pozostali, bo wtedy stosunek ich do publiczności pozostaje jasnym. Wiemy, że ich wydawnictwa są i muszą być drogie, wszak przedsiębiorca wydaje nie po to kapitał, ażeby pobierać małe odsetki. Wprawdzie niekiedy zapowiadają oni tanie wydawnictwa, ale przy bliższem wejrzaniu okazuje się, iż są one bardzo drogie, a w naszym niezamożnem społeczeństwie książka musi być tania. Podjąć wydawnictwa, o jakie marzymy, może tylko grono osób dobrej woli, które zadowolą się małemi odsetkami od włożonego kapitału, a przytem z góry weźmie za zasadę, iż rozejście się jednych książek będzie pokrywało małe powodzenie innych. Że swoją drogą ale będą to z punktu handlowego pieniądze stracone, o tem świadczy wyczerpanie prawie wszystkich lepszych rzeczy naukowych, które u nas ukazały się w ostatniem dziesięcioleciu. Czyżby tacy ludzie nie znaleźli się? Przekonano się niedawno, iż powieść może u nas rachować na dziesiątki tysięcy nabywców, chociaż księgarze stale o tem wątpili. Sądzę iż jest miejsce dla nowego pioniera, który-by dokonał podobnego doświadczenia w zakresie nauki.

Może ktoś na to odpowiedzieć, iż istnieją u nas Kasa Mianowskiego i Towarzystwo lwowskie. Ale każda z tych instytucji ma własne, jasno wytknięte cele: udzielania pomocy ludziom nauki, którzy u nas nie mogą pochwalić się obfitością środków, ani nie grzeszą zamożnością. Zadanie to jest nie mniej doniosłe, niż rzucenie rzeczom obfitej strawy kształcącej. A tymczasem zwalwszy na barki wspomnianych instytucji obowiązki nowe, możemy dopiąć tylko jednego, a mianowicie, iż dawne zadania ich będą upośledzone, nowe zaś niedostatecznie dokonane. Niech więc pozostaną przy dawnych swych obowiązkach, a my natomiast postarajmy się o nową wydawniczą instytucję lub spółkę.

Zatrzymałem się nad jedną tylko stroną naszych potrzeb umysłowych, gdyż wskazane tu braki uważam za najważniejsze, a przytem za najłatwiejsze do usunięcia. Jeszcze raz zaznaczam z naciskiem konieczność szeroko podjętej i poważnie obmyślanej akcji wydawniczej naukowej. Poetka utyskuje, iż

„Ludy się kędyś prą falą mętą,
Szumem ich wzbiera dziejowe tętno...

A nam tymczasem młynek na strudze
Obraca plewy swojskie i cudze“.

Otóż jeżeli z konieczności jesteśmy skazani na mielenie z cudzego ziarna pokarmu dla siebie, to postarajmy się przynajmniej brać dobre ziarna, nie zaś plewy „wulgaryzacyi“ i tandety, naukowej.

L. Krzywicki.

O BOHDANIE ZALESKIM.

„Na śpiewanie, latanie w niebo
stworzon jestem”.

I.

Jeżeli o jakimkolwiek poecie trudno jest mówić z tak zwanego ogólnego stanowiska poezji, tedy o Bohdanie Zaleskim prawie niepodobna. Jest bowiem w tej duszy śpiewaczkiej coś, co się cofa od biegu wielkiej, tysiącem żywych źródeł spotężniałej rzeki natchnionego słowa; coś, co przeciw jej prądowi wstecz idzie, aż do źródeł samych. Jest w duszy tej coś, co się nie zlewa, nie może zlać z ogromnym ciekim wód, niosących pieśń naszą do oceanu wszechludzkiego piękna.

Coś, co przyzostaje i trzyma się u jej pierwszego wybuchu. A jeśli się i rozstrumieni, rozłęczuje przebystrym ruczajem, to tylko na czas i na ściśle zakresloną przestrzeń. Których gdy domierzy, rzuca się skroś ziemi, przepływa niewidzialne, zatajone żyły i znów u świeżych, u najświeższych źródlisk pieśni pierwotnym wytryskiem uderza. A czyni tak nie raz, nie dwa, ale przez cały ciąg żywota swego i zgoła niezależnie od miejsc, w jakich pieśniarz przebywa, i zgoła bez względu na czas, w jakim żyje, albo na ogrom skoku, choćby ten był od samego nieba i przez wszystkie światy.

I czyni tak bez obliczeń, bez zamierzonego planu, mocą natury swojej i nieprzepartego instynktu, tą mocą nieukróconą, która sama sobie panuje i sprawia, iż coś jest, bo jest.

Na nic tu tedy krytykowi służy i tamy ogólnych poetyckich reguł, w których każdy wiosenny wylew świeżego natchnienia tyle czyni szkód i wylomów. Na nic mu piony i sznury miernicze, któremi próbuje głębi i wartkości prądów. Na nic mu nadewszystko naładowane przemożnemi porównaniami stare i trzeszczące promy, które, przeciągane mozolnie od brzegu różnic do brzegu podobieństw na

zwijanej i rozwijanej skrzypiącą korbą linewce, udają, że płyną naprzód swoim własnym ruchem.

Ta bowiem pieśń pomija wszelkie i tamy i służy, przeskakuje, lub podpływa sznury, a tak bardzo jest w sobie osobna, iż również zawodną rzeczą było-by wskazywać jej różność, jak i jej podobieństwo z innemi.

Gdy jednak—a wiemy o tem wszyscy—Bohdan Zaleski silną indywidualnością poetycką nie był; gdy nie miał tej dużej ręki, co to piętno swoje na wszystkim, czego tknie, wyciska; gdy ani w tem, co było jego słabością, ani w tem, co było jego siłą, pęd twórczości samodzielnym nie jest — powstaje pytanie: czem się to dzieje, że pieśń jego nie łączy się, nie zlewa w jedność z ogólnym prądem naszej poezyi, i że się oku patrzącemu za drzeniem i skrzeniem prądu tego, ani właściwie ująć, ani ocenić nie daje?

Mniemam, iż najistotniejszym powodem tego zjawiska jest potężna indywidualność ukraińskiej ziemi, która poetę wydała. Indywidualność potężna nie tylko w porównaniu do innych owoczesnych dzielnic kraju, ale—i to jest sam rdzeń tej kwestyi—przeważająca nieskończenie odrębność i siłę osobowości samego poety. A to w takiej mierze, iż poeta nie wyzwolił się nigdy ze stosunku bezpośredniej przynależności duchowej do swojej Ukrainy; że duch jego nigdy nie wyszedł ze stadium współzycia z jej przyrodą, współczucia i myślenia z jej dziejami; że nigdy nie tylko nie dorósł do podmiotowej pełnoletności, że się tak wyrażę, ale nie osiągnął tego nawet stopnia usamowolnienia, na którym dziecię odłącza się od matczynej piersi.

Jakoż, jakakolwiek pomiecie nim fala, jakiegokolwiek próby poda mu życie i jakiegokolwiek zgotuje gorycze, zawsze on odwróci się od nich do tej piersi, która go przez cały wiek jego przykarmiać będzie „mlekiem dum i mleczem kwiecia“, najpierw w żywej rzeczywistości Zujowego futoru w „śnie na jawie“ i w „śnie złotym“, a później w jego tęczowych, coraz bledszych a bledszych odcieniach.

Bo ten pokarm mistyczny nie wysechł nigdy dla Bohdana. Bywała dusza jego w spiekocie obcego nieba, a rzeźwił ją; bywała w upragnieniu i suchości wewnętrznej, a poił ją. Zaprawdę, żaden z pieśniarzy naszych nie był tak biernie, tak dziecięco przytulony do tej piersi karmicielki, jak był do niej przytulony Bohdan. Bo inni pieśniarze, rosnąc duchem na różną wysokość, zawsze jednak wyrastali tak, iż czas im było zerwać się z kolan matki-ziemi w lot własny, w świat własny, szeroki. A czynili tak nawet ci, których dola nie gnała precz od niej.

Ale Bohdan nigdy takiego własnego lotu i własnego osobnego świata ducha, poza Ukrainą nie miał. On, który się i na zaśmielski żywot przymawiał o nią Bogu.

Bo inni pieśniarze miłowali ziemię-rodzicielkę, jak miłuje matkę syn-mąż, syn-człowiek, który, choć sercem poczuwa się do niej, choć się zastawia za nią pieśnią i ramieniem, przecież i poza nią ma „takie rzeczy, w których mu być trzeba”. Zaczem przychodzi chwila, że odłącza się od niej i przyzostaje w świątyni ducha swego, i mówi onej zafrasowanej, onej szukającej: „Niewiasto, co mnie i tobie?”.

Ale Bohdan, jakiegokolwiek „prazniki” życia szły, i do jakiegokolwiek wędrował Jeruzalem, zawsze się pilno wzorzystych ranuchów Ukrainy trzymał, a „rzeczy, w których-by mu być trzeba,” nie uznawał zgola.

Kiedy więc inni ogarniali ziemię pieśnią i porywali ją ku sobie, Bohdan sam był ogarnięty Ukrainą swoją i sam w jej słodkiem jeństwie pieśń swoją ku niej wyśpiewał.

I kiedy inni ukochali w ziemi rodzinnej—ojczyznę, Bohdan ukochał w niej—matkę. Ojczyzną była mu Polska, którą chętnie z ukraińska „Polszczą”, albo „Laszą” zwał; ale Ukraina — matką.

Rzec-by można, iż dlatego tylko miał je obie, aby w pieśni jego rozbrzmieć mogły conajmniejszych, najśłodsze, najpieściwsze tony na rzecz Ukrainy właśnie. Tomy, jakich Polska, ze swoim owoczesnem burzliwym i pociemniałem obliczem, nie natchnęła nigdy temu śpiewakowi szerokiej ciszy i wodnej pogody.

I rzec-by można, iż dola dlatego tylko osierociła Bohdana w samym progu życia, iżby serce jego umiłowac mogło bez podziału jedno tylko — matkę-Ukrainę.

A stosunek ten jest obustronnie całkiem wyjątkowy.

Bo i Ukraina, nietylko że wydała pieśniarza swego, jak wydaje trawy stepowe i stepowe kwiecie, ale i zhodowała go tak samo, jak one hoduje, w najtkliwszem przytuleniu, wprost na swoim łonie.

Ten futor Zuja Znachora, ta miodna a wonna pasieka, to tylko zamówka, żeby pacholę jak najbliżej przy sobie zatrzymać. Jakoż nakryła je burzanami tak, że ani ono świata, ani świat jego długi czas nie widział. I póty nie puściła, póty nie powierzyła „Laszy”, póki go na amen nie zaczarowała. Póki go nie zaczarowała tak, że stał się wskroś jej obrazem, jej dźwiękiem, jej echem.

Śmiało rzec można, iż żaden z naszych poetów nie miał duszy tak zupełnie roztopionej w rosach, tak pachnącej kwieciami, tak strumieniującej potokami, tak ufnie oddającej siebie ziemi-rodzicielce, bez innego pragnienia nad rozplyniecie się w niej, zagubienie, zatracenie.

Jakoż, wsłuchawszy się w Bohdanowe pieśni, słyszymy w nich bezpośrednio prawie głosy przyrody ukraińskiej, tak, jakbyśmy słuchali szumu wiatru, szeptu traw, furkotu skrzydeł ptasich, huku wód Dnieprowych, lub szerokiego uciszenia stepu.

Stąd muzyczność pieśni tych wibrująca, rozstrzenna, falista, wyprzedzająca w swoim czasie wszelką teoretyczną zasadę takiego właśnie tworzenia. Stąd ich rozlewność prześpiewna, ich dopełnianie się westchnieniami jakby, temi charakterystycznymi „och” i „ach” Bohdana, które, jeśli nie zawsze odpowiadają istotnej potrzebie czytelnego wiersza, znajdują za to nieomylnie swe usprawiedliwienie w potrzebie chwycenia tchu, lub wyrzucenia tchu z rozśpiewanej piersi.

Stąd ich gubienie się, rozśpiewanie w echach różnogłosych, podawanych do wtóru od nieba do ziemi. Stąd i to czarodziejstwo, które sprawia, iż jedno zamierzenie się głosu, jeden dech pieśniowy rzuca nas w jakieś bezbrzeża, w jakieś nieobjęte, nieprzejrane dale.

Spróbujmy-no głosem, zaciągnijmy-no piersią:

Hej, step mój ojciec, sicz moja matka,
Orłowie ci — rodzina.

a otoczy nas, widomie niemal, taka siność powietrzna, takie morze wolnych, szerokich błękitów, że tylko skrzydła na nie kłaść — i lecieć, lecieć, lecieć...

Ale i plastyka Bohdana ma w sobie coś muzycznego. Ma rytm i ton linii, jaki tylko przyroda sama z dzieł swoich dobywa.

Ton — jest półtonem raczej. Nigdy nie zabrzmiał surowym, twardym, bezwzględnie odgraniczeniem się od wielkiej, przepływnie zharmonizowanej całości.

Linia — określa zjawisko w najwyższym stopniu zmienne, rozlotne, jednochwilowe, ledwo że wzbudzone, a tuż wsiąkające w ogromne tło wiecznego stawania się.

Rytm — nie znajduje sam w sobie skończoności swojej. Domaga się on koniecznie współwzbijania się i współspadania jakiej wielkiej, żywej, ciągle pracującej fali wszechkształtu, wszechbytu, wszechruchu.

Stąd przedziwna miękkość tej plastyki, która wprost nie może utrwalić się i stwardnieć, zalewana ciągle muzycznością własną tak, że o sile jakiegoś rysu nie stanowi u Bohdana uderzenie dłuta, ale — napięcie tonu. A to w takiej mierze, iż postacię jego oglądamy za-

wsze w pierwszym narzucie gliny, a nigdy w spiżu, i nigdy w marmurze. On je lepi i śpiewa. A gdzie się w śpiewie silniej pierś zaniesie, tam i rzut ręki silniejszy, a gdzie pierś mdleje i opada, tam i kształt zaciera się, gaśnie.

Stąd żadna z tych postaci nie jest i nie może być posągami, ale każda ma coś żywego, ma coś drgającego w sobie. Coś, co nie zdołało, zda się, ostygnąć jeszcze po dotknięciu ręki poety. Otóż ta muzyczność Bohdanowych pieśni, nie tylko z rytmu tonu, ale i z rytmu linii płynąca, nadaje pieśniom tym szczególnie świeżą i pierwotną krasę, której czynników próżno-by szukać w rozmyśle artystycznym poety.

W tym rozmyśle, który z całego mnóstwa barw, linii, światła, wybiera i grupuje obrazy wedle własnego planu i własnego rozumienia piękna. Zgola!

W pieśni Bohdanowej czynnik refleksji jest niezaprzeczenie najsłabszym czynnikiem twórczym, co się odbija zarówno w niedoskonałej budowie jego większych poematów, jak i w cudownie rozkwitających wonią i blaskiem „Dumkach”. Za czem idzie, że w pieśni Bohdana widzimy Ukrainę nie w poetyckim ładzie i układzie, i nie w poetyckiej rozmaitości skończonych i odrębnych momentów, ale w ruchomej, wibrującej, bardzo żywej i bardzo rozlewnej przypadkowości zmiennego w formie, a przecież jednolitego w treści podłoża momentów takich. Widzimy w pieśni tej Ukrainę, nie odtworzoną rytmami, ale wprost biernie odbitą.

Jak się to stało? Czyja w tem była sprawa? Jaki udział miały w tem księżycowe „na młodziku” noce, a jaki Dniepr, Iwanhora, trudno to dziś orzec. Od tego ma Ukraina swoje „sen-ziele”, i swoje rusałczane czary, żeby czarowała. Owe pierwsze „chwilki latka” pozostaną też na zawsze, — nawet dla samego poety, — „uwikłaną w cud zagadką”, — a wpływ ich uczuciowy syntetycznie i z wielką wyrazistością w całej Bohdanowej pieśni, może nigdy szczegółowej analizie poddać się nie zechce, i może zawsze „leżeć będzie pod pieczęcią”.

To pewna, że niemalym cudu owego i owej zagadki czynnikiem była ogromna i skroś zwierciadłaca płynność, rozlewność, niemal bezosobowość duszy samego poety, w której pełne żywej, silnej kraszy oblicze „matki-Ukrainy” odbiło się z taką jasnością i mocą, iż mu po latach i aż na samym skraju wieku swego, dość oczy zamknąć, żeby za górami, za rzekami oglądać oblicze to, jak żywe.

Bo nie trzeba składać wszystkiego na okoliczności.

Prawda, sam poeta potwierdził nieraz wagę faktu, iż z ust teorbisty słyszał „żywą dumę”. On mówił nawet, iż dumę „połknął”; wziął w siebie. Prawda, iż rzeczy składały się tak, iż z dzieciństwa

zaraz i przed wszelkiem doświadczeniem życiowem postawiony był pod czarem stepu, pod strażą mogił, pod mocą podań, pod urokiem bezpośredniego odczuwania z przebujałą przyrodą i fantazyą ludu. A i to prawda, że wypadki krajowe pomiotły poetę, jak liściem, w pierw, niżby zażywiony mógł być i pchnięty współczesnym sobie kierunkiem serc i umysłów.

Ale przeciw tej prawdzie staje inna, bardzo jasna i bardzo prosta prawda. Nigdy owa żywa дума nie była-by uderzyła z taką mocą w serce Bohdana, gdyby to serce nie było w jakiś szczególny sposób otwarte na jej przyjęcie. Nigdy poeta nie był-by wyżył samem „mlekiem dum i mleczem kwiecia“, gdyby jego organizm duchowy wymagał innego, cięższego pokarmu.

Nigdy też czar mogił i urok podań nie chwycił-by z taką siłą tej duszy chłopięcej, gdyby dusza ta sama w sobie nie była w najwyższym stopniu echową, i na czar taki cudownie wrażliwą, gdyby się sama ku niemu nie rwała. Ale się rwie, ale go szuka, ale się oddaje pod władzę jego całkiem instynktownie. Jest w tym stosunku coś mistycznego, coś fatalnego prawie. Jest jakieś wzajemne przyciąganie się, jakaś moc wyroczna.

Ta ziemia chce przemówić, chce dostać głosu. Jest ciężka od „niewyspiewanej dumy“. Ten step chce mieć swojego pieśniarza. „Słowik dawnych lat“, Bojan, zamilkł, rozechwiał się w szerokich błękitach, nie budzi już echa.

Trzeba Ukrainie „Bojanicza“ choćby. Trzeba jej takiego pieśniarza, którego „całe wnętrze“ było-by „ostrunione“ na gęśl czarodziejską, iżby ta ziemia sama siebie wygrać na niej mogła. Swoją krasę, swoją tęskność i swoje wesele. „Step szumi sieroco...“. Oto niepokój, odpowiadający tej żądzy matki-Ukrainy, nurtuje duszę pacholęcia i gna ją precz z Zujowego futoru, na pagóry mogił, na bezdroże stepu, na instynktowne szukanie swej śpiewaczej doli.

Trzy dni błąka się „Lasze-ptaszę“ po rucianem wybrzeżu Si-niuchy, po konwaliowym łągu Taśminy, i słucha sierocego stepowego szumu. Trzy dni idzie naprzeciw przeznaczeniu swemu, aż po „Wał Żmii“, co step na dwoje przecina. Trzy dni błądzi „trzema szlachy“, tym zlocistym, bursztynowym od słonecznej starej chwały; tym koralowym od krwi, co tu wsiąkła niegdyś w ziemię, a teraz w bodziakach odkwita; tym sinym, od zanoszącej się, nieukojojonej, bezbrzeżnej zadumy stepowej.

Trzy noce nocuje na mogiłach stepowych, pod wróźebnym blaskiem gwiazd ukraińskich, przytulony piersią do szepczących podmogilnych prochów, zapatrzony w wielki, czerwony, ukraiński księżyc. A nad nim siwy orzeł kracze, a przed nim trzy sokoły lecą, a za nim

szum stepowy płynie. Aż dostaje kwiat cudu, rusańczany kwiat paproci, co wyrósł pod pałacem się mistycznymi blaski „Sen-Drzewem“.

A wtedy uczuwa nagle, że mu pióra u barków się łuszczą, widzi wszędzie, słyszy wszędzie, rozumie, co śpiewa kwiat węzelki i ziolo. Cały ten cudny obraz, niemal że równający się Dantejskiemu:

Mi ritrosai per una selva oscura,
Che la diritta via era smarrita.

cały ten obraz uległ w świeżo wydanej księdze o Zaleskim niewczesnej krytyce. Ubolewa mianowicie biograf ¹⁾, że niema w nim tej żywej prawdy, jaka jest w opisie chaty Zuja znachora, że niema w nim rzeczywistości. A tu właśnie jest najżywsza prawda i najrealniejsza rzeczywistość psychiczna! Bo ten krok za próg futuru, to błaganie się trzydniowe w stepie, to było wyższe wtajemniczenie poety w ukraińskie czary. W takie czary, których dusza dostać nie może przez świat ludzki, pośrednio; po które musi nie tylko sama ku przyrodzie żywej iść, ale, owszem, musi się w niej zagubić, zatracić, musi się obłąkać w jej dziwach.

A wtedy dopiero dostaje cudowny kwiat - pieśni. Dostaje go nie z ręki człowieka, choćby też znachora, ale od wędrownego żórawia, od „latawca za morza“, za bajeczne morza czarodziejskiej fantazyi. Poczem natychmiast uczuwa moc lotu, słyszy i rozumie wszystkie głosy ziemi. Widzi wszędzie. Wielka pieśń stepu przenika mu duszę i ostrunia ją sobie na zawsze. Otrzymuje wysokie poetyckie święcenie, otrzymuje chryzmat prawdziwej poezyi: ezucie całości, syntetyczne czucie przyrody. Oto jest to wierne, to bardzo realne w psychicznej prawdzie swojej odtworzenie momentu inicjacji w tajemnicę pieśni. Wszelako sam wiek pacholęcy, równie jak instynktowność tęsknoty, nie wyrwa momentu tego czynnie z biernego stosunku poety do przyrody. Jakoż pacholę ulega prącemu je za futor niepokojowi całkiem instynktownie. Ani drogi obranej, ani wytkniętego celu nie ma przed sobą. Idzie, nie wie gdzie i nie wie, po co.

„Chodzi, brodzi“, jak we śnie, za szumem stepu, za orłowym skwierem. Cała czynna inicjatywa jest właśnie po stronie stepu, który chce mieć śpiewaka swojego. Cudownego kwiatu paproci też pacholę nie zdobywa, nie znajduje nawet, ale ma go w sobie samym. A tak cały

¹⁾ St. Zdziański: „Bohdan Zaleski“, Lwów, 1902.

ten epizod nie usamowalnia duszy jego w najważniejszej chwili, w chwili poczucia siły lotu, nie wyzwala jej ze stanu biernej zależności od czarów Ukrainy; nie jest też aktem świadomej siebie woli i nie zaznacza żadnym energicznym rysem duchowej indywidualności poety.

II.

Ale jeżeli w stosunku do przyrody dusza Bohdana Zaleskiego była niemal ze dalszym jej ciągiem; jeśli była tylko odbiciem Ukrainy, to, w stosunku do ludzkiego świata, miała swój indywidualizm.

Tu była granica jej bierności i tu się zaczynał jej stan czynny.

Ten stan czynny tam się przedewszystkiem objawił, że z ludzkiego i współczesnego sobie świata czerpał Zaleski znacznie mniej, niż jakkolwiek poeta.

Przeciwstawił on, owszem, bieżącym wpływom chwili i ludzi, nieobszerny może, lecz zwarty i pełny w sobie całokształt uczuć i pojęć, które powstały z innego wątku i na zupełnie różnym postawie zasnowane były.

Miał w tem Bohdan czucie odrębności swojej bardzo żywe, bardzo wybitne i bardzo zdecydowane.

Miał w tem konserwatyzm prawdziwie ludowy. Nie rozumował, czy coś jest lepiej, czy gorzej, ale niemylnem czuciem oceniał, że jest „inaczej” — i zaraz stawał sztórcem. U nas „inaczej”, to była u Bohdana nie tylko poetycka przyspiewka; to był wyraz bardzo istotnego odgródnienia i bardzo stanowczego zastrzeżenia się przed wszystkim, coby tę inszość, tę różność, zetrzeć i osłabić mogło. Okoliczności złożyły się tak, iż życie tułaczce zacieśniło jeszcze tę sferę wyłączności, przez brak odpowiedniego środowiska, którego czynniki mogłyby działać na nią rozkładowo. Gdy wszystko, co nas otacza, jest cudze, dusza zamyka się tembardziej w sobie, i zwija, i tuli, żeby nie uронić nic z tej treści, którą nosi w sobie, a która na obczyźnie jest właśnie tym szczupłym zasobem powietrza, jakim oddycha nurek, zapuszczony w morze.

Ale dusza, która się zamyka szczelnie, iżby z siebie nic nie uронić, jest szczelnie także zamknięta na wszystko, coby jej z zewnątrz przybyć mogło. Jakoż istotnie, Bohdanowi prawie że nic z zewnątrz nie przybywa, jako przyrost duszy. Czem ona rośnie, to wszystko ma sama w sobie i z siebie tylko siły swe dobywa.

Prąd emigranckiego żywota potraça Bohdana zblizka, i twardo potraça; ale go nie unosi z sobą. Owszem, cofa się od niego poeta w głębokiem, nieomylnem czuciu, że do żadnej z fal prądu tego przylgnąć nie potrafi. Nie jest ani „Demokratą“, ani „Centralistą“, ani „Czartoryszczykiem“. Jest wprost — Ukraińcem. Ma swoją wybitną indywidualność, nie psychofizyczną, którą świat ludzki dopełnia rozwija, ale psychoetnograficzną, że się tak wyrażę. Zawierucha opinii, niezgód, zawiści, zostawia go chłodnym. Bardzo przezornie, a także trochę obojętnie trzyma się od nich Bohdan na uboczu, oddalony od wrzątku emigracyjnego nie tylko tą odległością, jaka dzieli Paryż od Fontainebleau, ale tą, znacznie większą, i jak się okazało, prawie nie do przebycia, jaka dzieli jego stepową, zadumaną naturę kozaczą od burzliwej „Laszy“.

Mickiewicza nazywa „wieńconośnym Adamem“, „Namaszczeńcem“ i „Słowomocarzem“. Gdy jednak przychodzi zetrzeć się na dusze, nie idzie za nim w progi nowego kościoła, nie poddaje się wpływowi jego biernie; owszem, przeciwstawia mu niezwykłą energię, najpierw odporną, a potem nawet zaczepną. Prosty i daleki od subtelności, zamyka się w takiej niezdobyczej twierdzy, w jakiej żaden filozofujący umysł zamknąć-by się nie potrafił.

Kiedy Mickiewicz wyzywa go — słowiczka swego — na lot, na pieśń „wysnionym snom“, „minionym łzom“, Bohdan w lot się nie zrywa i w śpiew nie uderza, ale wychyla głowę z gęstwy stepowych burzanów, w których się dusza jego kryje, i zupełnie jakby to uczynił kozak, na czatach stojący, rozgląda się ostrożnie i pyta:

— „Kto? Z jakich stron?“.

A to: „z jakich stron?“ pokazuje wyraźnie tę etnograficzną domieszkę do psychicznej natury Bohdana. Owszem, etnograficzną w naturze tej przewagę.

Więc choć zaraz spostrzega, że to „bliźni duch“, spostrzega zarazem, że strony — nie swoje. A jak strony nie swoje, to tam i robić co niema. Chociaż tedy wezwanie ono „niewoli słuch“, nie niewoli duszy. Jakoż wstrzymuje się od pieśni i lotu, Towiańszczyźnie przystępu nie daje do siebie.

Poleca się wprawdzie w liście, do Mickiewicza pisanym, „opiece Izraelskiego Dawidowego ducha“, bo widzi w nim tę mądrość i powagę, o jakich się innym, mniejszym duchom, nie śni, ale widzenie to ma z Kochanowskiego Jana, ma z Dawidowego Psalterza, a nie z Towiańszczyzny.

W stosunku do Towiańszczyzny jest wyczekujący, podejrzliwy, chytry. Jest podejrzliwy i chytry nawet w stosunku do „wieńconośnego Adama“. On, który „Księgi Narodu“ i „Księgi Pielgrzymstwa“

na kolanach czytał, i Ewangelią je zwał, trzyma się teraz prosto, twardo, lęka się spaść „między poronieńce”.

Owszem, od taktyki odpornej przechodzi wkrótce do zaczepnej. Bierze Mickiewicza na spytki, na próby. Żąda, aby przystąpił do spowiedzi, aby odbył rekolekcyę. Odczynia mu — że tak powiem — Towiańskiego, jak na Ukrainie odczyniają zły urok. A gdy Mickiewicz i rekolekcyę odbywa, i do spowiedzi przystępuje, znów mu tego nie dość.

Jeżeli Towiański ma istotnie wysokie posłannictwo do spełnienia, to niech je „znakami poprze”. Chce znaku. Chce widomego objawienia. Chce — a jakie to przedziwnie ludowe! — chce cudu.

Niema cudu, niema wiary. Takie sobie ultimatum stawia. I to nie jakiegos opowiadanego cudu chce; takiego dostarczała-by mu wstrząsająca opowieść Mickiewicza o uzdrowieniu żony; ale widzianego naocznie, doznanego bezpośrednio, własnymi zmysłami. Jeśli zresztą czyni ustępstwo, to tylko z naoczności i zmysłów, nigdy z bezpośredniości i osobistego przeświadczenia. Narzucić sobie nic nikomu nie da; ale niech ma jakieś wewnętrzne objawienie, jakieś wstrząśnienie, jakieś olśnienie Szawłowe w drodze do Damaszku, jakąś, jak miecz przeszywającą piersi, błyskawicę prawdy, to — zobaczy.

Nie argumentuje, nie dysputuje — czeka. Ma w sobie niemyślne czucie własnych dróg duszy i własnego świata duszy. Na niebie Bóg, a na ziemi ksiądz, — oto jej autorytety.

— „Nie wiesz, czy to herezya? — pisze do Witwickiego w sprawie Towiańszczyzny — spytaj księdza”.

A jakie to znowu przedziwnie ludowe!

Niech tylko nie mniema nikt, że wszystko to szło na zimno i bez żadnej walki. Owszem, była walka. Samo już owo czekanie to na cud, to na znak, to na objawienie wewnętrzne, walką być musiało. Bo jeśli czekał, to przypuszczał, że jednak coś przyjść może. Coś, czemu nawet „spytanie księdza” zaradzić nie zdoła. A jeśli tak, to uznać trzeba, iż tam, w tej duszy jego, o której sam mówił, że ma w sobie „coś z kantyczek i coś z wiary gminu”, musiało się porządnie burzyć.

A potem, żeby przeciw tej fali Towiańszczyzny iść, potrzebował użyć dużego wysiłku, bo z nią — szli najmils. Jakoż jest „blady i drżący”, gdy na pamiętnem zebraniu Batignolskiem, wykluczającym Towiańczyków z prawa nauczania w szkole, przeciw „gromadzie” staje. Ale jednak — staje. Taką ma w sobie twardość tą przepływną, tą bierną i echową w stosunku do przyrody duszą, kiedy jej przyjdzie uderzyć się o świat ludzki, choćby bardzo blizki. A iż z tem drzeniem i z tą błądzącością żyć mu niepodobna, puszcza się do Rzymu,

aby tam, jak chłop Bożej Męki, chwycić się Piotrowej opoki, i prze-trwać wichurę. Taka była ta próba, z której, bądź co bądź, wyszedł cało ze swoją prostą, ukraińską duszą; próba prawdziwie ogniowa, bo mu w sercu zostawiła znaczne popielisko.

A gdy ją przeżył, gdy się od zmory ostatecznie odzegał, gdy „księdza spytał“ i o Adamie powiedział sobie: „Herezya i obłąkanie zupełne“, uczyniło mu się dużo wprawdzie puściej na świecie, lecz dusza jego wydała ten dzwon, jakiego się w niej dosłuchiwał za-wsze, dzwon prostej, ludowej wiary.

Ale indywidualność Bohdana w stosunku do ludzkiego świata objawia się i w tem, że pieśń jego nie ulegała, albo prawie nie ulegała wpływom współczesnych pieśni.

Inaczej też być nie mogło. Bo właśnie fakt, że tak pieśń, jak i du-sza Bohdana, była biernem odbiciem matki-Ukrainy, że, owszem, już w zaraniu dni swoich pieśniarz polknął żywcem zasłyszana z Iwan-hory dumę stepową, fakt ten musiał mieć i miał istotnie swój odpo-wiednik w tem, że cała silna i w najwyższym stopniu oryginalna in-dywiduałność Ukrainy stanowić będzie o bardzo wybitnej indywi-duałności pieśni, która ją odbiła — biernie, to raz. A drugi raz: że w pieśni tej, wypełnionej po ostatni rozbrzęk tonów ową, żywcem polkniętą, ukraińską dumą, na nic obcego, innego, miejsca już nie będzie.

Powiada nam biograf o znacznym wpływie Brodzińskiego na twórczość Bohdana. Ale to powiedzenie istotnemu stanowi rzeczy mało odpowiada.

Bo jeśli dostrzedz można w kilku słabszych utworach Zaleskie-go, jak na przykład „Ludmiła“, „Śpiew Tarły“, „Tryolety“, te same braki, co i w pokrewnych utworach Brodzińskiego, a mianowicie to samo przepieszczenie i przesłodzenie, jakby zostawiające w słu-chacz-u uczucie cikliwości, to pochodzą one niewątpliwie z tej jeszcze epoki, o której Bohdan mówi, że jego Duch-ptak porastał dopiero „w puch i w pałki“, i nie śpiewał, lecz „piszczał“ załedwie.

Co stosuje się także i do powiedzenia Michała Grabowskiego, który upatrywał w Bohdanowej pieśni pewne podobieństwo do sielanek Karpińskiego. Jakoż ani Karpiński, ani Brodziński nie wy-warł na Bohdana żadnego decydującego wpływu.

I nie dla tego, że to był talent pieśniarski, bez porównania wyż-szy od nich obu, ale przedewszystkiem dla tego, że był inny.

On do ludowej pieśni nie przez teorię i nie przez ducha czasu szedł; on w niej i z niej wyrósł i ta pieśń była przyrodzonym twór-czości jego żywiołem.

Jemu nie trzeba było Herdera ani Lessinga, żeby mu pokazali drogę. On ją znał instynktem, przeczuciem, mocą natury swojej tak, jak zna drogę ptak do swego gniazda.

On był w poezyi naszej tak różny i tak osobny, — i tu dotaczamy kręgu do pierwotnego założenia naszego, — jak różną i osobną od reszty ziem polskich była Ukraina. A różność ta, warująca się samą istotą swoją przeciw obcym wpływom, które, jeśli działają, to działają zawsze na mocy podobieństw, na mocy pokrewności jawnej, lub ukrytej, — różność pieśni tej przetrwa nie tylko krótkie i wypadkowe zetknięcie się z Brodzińskim, ale nawet zetknięcie się ze „Słowomocartem” Mickiewiczem, jakkolwiek ściślejsze, bezpośredniejsze i długi szereg lat trwające.

Ona się nie da ni ludziom — geniuszom nawet, — ni czasem, złym, czy dobrym, ni miejscom, blizkim, czy dalekim.

Ona tak samo brzmieć będzie ukraińską nutą w Fontainebleau, w Molsheim, w Endoume, jak brzmiała nad Rosją, Rasawą. Ona zawsze będzie pełna Dnieprowego szumu i zadumy stepowych kurhanów.

Ale jeżeli tak jest, nie należy zgęślać dziwić się pewnej ograniczoneści sfery, w której grało natchnienie Bohdana. Dał on w pieśni cały swój świat, a więcej, niż swój świat, żaden poeta dać nie może.

Świat ten może być ogromny, niebosiężny, docierający do granic stworzenia, może być światem Danta i Improvizacyi Kenrada, i może być mały, szczupły w swym zakresie. Jest wszakże zawsze pełny w sobie, jeżeli jest własny.

Ta wrzekoma przestrzenność, a nawet bezkresność, w jaką się przyoblekają pomniejsze dusze śpiewacze, nie tyle idzie z ich rozprężliwości, ile z braku kotwicy mocnego czucia, którą-by w jakiś drogi sobie, własny grunt zatknąć byli zdolni. Unoszą się oni na falach pieśni szeroko, daleko, ale obojętnie. Zaraz też poznać można, iż czucie ich przestrzeni tych nie wypełnia sobą i dna ich nie sięga. Że mają serca mniejsze, niżeli na objęcie ich było-by trzeba. Bo mówić można o wszystkim, ale śpiewać tylko o tem, co serce płomieniem miłości swojej wypełnić jest zdolne.

I właśnie granice przesiegania płomienia tego są światem, są ojczyzną twórczości poety. Ilekroć rzuci się on poza nie, dla jakiegokolwiek względów, ekspatryuje pieśń swoją i swoje natchnienie.

III.

Lira Bohdana Zaleskiego nie była wielostrunną lirą. Był to ten stary tetrakord, przy którym śpiewywały aoidy greckie jeszcze, a który mógł dać wyraz tylko prostym a natchnionym duszom.

Mówi wprawdzie Zaleski, że gęśl jego ma strun pięć i pięciorakie dźwięki. „Bóg, świat, słowiaństwo, Polszcza, Ukraina“, ale dodaje zaraz, że właściwy ton pieśni podają dwie skrajne, Bóg i Ukraina, trzy zaś środkowe są tylko jej wtórem.

Jakoż przysłuchując się tej gęśli baczniej, przekonywamy się, że dźwięki jej istotnie są nierównomierne i do owej „kwinty“ nie dochodzą jakoś.

Przedewszystkiem dwie pierwsze struny: Bóg i świat, pokrywają się wzajem niemal całkowicie.

Bóg uwidomia się pocie przez świat, a świat pojmuje on tylko w Bogu.

Bóg, „Duch duchów“, „Słońce słońc“, źródło, rdzeń i wszechsprawca światów. Z niego moc, z niego ruch, z niego wszechżycie, wszechprawo.

Bóg, to nie materya do filozofowania; to nawet nie materya do dogmatyzowania. To jest materya do hymnu, śpiewanego na klęczkach, z ukorzonem czołem.

— „Bóg! — Na wiek wieków cześć Jemu i chwał!“.

Przyroda, świat, to widome objawienie się Boga. To „przeczyste zwierciadło, w którym się odbija jego „jarzące oblicze“.

„Świat“, to „Niezmierzony dwór Boga“, „Przestworze, milionami uiskrzone bryłek“, to „Nieskończoność“. To także nie materya do filozofowania, lecz do uwielbiania.

Jakoż „Na kolanach i w bieli, jak pokorni anieli“, wpatruje się poeta w przyrodę, w tę „złotą powierzchnię“, zwierciadlącą w sobie oblicze Boga, którego „jarzenia się“ nie zniósł-by twarzą w twarz i bez miłościwej osłony wszechzjawisk.

To wpatrywanie się na klęczkach w przyrodę jest wszakże nie tylko hymnem; jest ono także źródłem wszelkiego poznania. Bo przyroda, to i cud, i także — prawda.

„Wszelki kwiat, wszelkie ziółko, trawa“, ma swoją „wewnętrzną prawdę“. „Wszystko to służki są Bożego prawa“ i „myśli Bożej

odbicie": „Ptak, co w niebo leci" i „kwiat, co wonią wieje". „Cud Boży i ład Boży w źdźble każdym widomy".

Stąd owo zadumanie się głębokie, to oczarowanie w przyrodzie; stąd żądza, żeby w niej zagubić i zatracić siebie. „Człowiek chciał-by zawiekować w cudzie".

Poznanie wszakże ładu Bożego i myśli Bożej w przyrodzie nie ma nic wspólnego z owym ludzkim poznawaniem, co to wpierw cud rozłoży, zniszczy, zabije, zanim go określić zdoła. Nie jest też rezultatem ludzkich dociekań, które oną „złotą powierzchnię" „okopcić" tylko i zaciemnić mogą.

To jest wprost objawienie się widome Boga, to jest przeświète „jarzenie się oblicza jego" bezpośrednio w ukorzoną przed cudem tym duszę.

Bo między Bogiem a przyrodą jest dusza. Dusza — „dech Ducha, tchnienie to Boga" „z głębin wieczności tchnione w glinę i na żywot krótki".

Dusza — „Skra słońc", przyćmiona gliną, w której się „szamota". „Dusza senliwa", śniąca na ziemi jakiś sen na jawie, ma w sobie cudowne zapamiętanie inszego żywota, cudowne czucie swojej przepłynności „przez Czasy - Rozstrzenie". Im prostsza, im głębiej w sobie rozrzewniona, tem silniej pałająca w swej ziemskiej lepiance ku niebu, gdzie miała „żywot czysty i skrzydlaty", „pierworodny swój początek".

Bóg, przyroda i człowiek, oto troiste widzenie „Ducha". W jego istocie i pełni, w jego „jarzecem" odbiciu, i w jego tchu, skrze, cząsteczce, oczarowanej, natchnionej odbiciem onem, ową miarą Boga, jaką znieść może w swej glinie, a wybuchającej tęsknotą ku nieokończzonej pełni, ku nieobjętej istocie Ducha.

Oto jest „widzenie Ezechielowo" i „Księga genezy"—Bohdana. Oto jest ten „błyskawicowy jeden promień prawdy", co mu „przeraził du-żę nawskroś i nazawdy". Oto jego wiara i wiedza zarazem. Oto ta przedziwna metafizyka serca, która mu tłómaczy wszelkie tajemnice. Oto ten punkt najgórniejszy, z którego poeta rozgląda się po świecie i po zaświecie; ten prawdziwy dział wód, strumieniących jego pieśni, które stąd „wiały w niebo, w ziemię wiały". Czy była to filozofia? Nie sędzę.

Ten całokształt pojęć o Bogu, świecie i człowieku, jako troistym aspekcie Ducha duchów, Słońca słońc, nie opiera się na żadnej spekulacji myślowej. Jest to raczej ogromna uczuciowa synteza, zrodzona z nieprzepartej potrzeby patrzenia w wieczność i w świat zjawisk, nie strony człowieka, lecz od strony Boga.

Jakoż nie nazywa nigdy Bohdan Zaleski tego całokształtu pojęć swoich — filozofią.

Nazywa go „prawdą, którą ma po Chrystusie“, „mądrością, którą ma po Salomonie“.

Wiemy już, że „prawda“ jest łaską, udarowaniem, objawieniem, jest błyskawicą, która „przeraza duszę, nawskroś i nazawdy“.

Co do „mądrości“, to jest ona przedewszystkiem prostotą i otwzystością duszy na przyjęcie błyskawicowego promienia prawdy.

Powstaje też jako ciche, pogodne światło w głębi zadumanego w przyrodzie i ukorzonego przed jej pięknem ducha. Jest oraz słodkim owocem gorzkości serca, a „nie ma jej ten, kto nie pożywał we łzach swego chleba“.

Ta mądrość królewska jest mądrością prostaczków i proroków razem. Jest mądrością tych, którzy „nie nadymają się światową pychą, lecz „po anielsku biją Panu czołem“. Nie można jej nabyć u żadnych mędrców, na żadnem miejscu świata i za żadne skarby. Tak właśnie, jak za czasów Salomona, który wiedział, że próżno jej szukać jako perły, albo ją chcieć kupić jako bisior drogi, albo wyprawiać się po nią za najdalsze morza. Stanowczo też odróżnia ją poeta od „mądrości świata“, której służą „zmysły-mędrki, nasze wrogi“, rozumiejące „cud po cudzie“, i z którą, tylko „do trzeciego nieba dostać się można“, ale — nie wyżej.

Tę dopiero mądrość filozofią zowie.

Filozof, to ten „wieczny lunatyk“, który „drze się w otchłanie, zachciewa na wieże“, a nie miarkuje tej najprostszej jawy, że „człowiek tutaj stoi nisko, a Pan Bóg wysoko“.

Filozofia?.. Chuda to macierz i nie karmi ducha.

„Filozof znajdzie czasem ziarno zboża w plewie, lecz do pełnego brogu, biedak, drogi nie wie“.

Filozofia — to marny ogarek, którym ludzie „okopčili to zwierciadło, kędy jarzył Bóg obliczem“.

Wybranem naczyniem mądrości Bożej i prawdy jest wieszcz, pieśniarz, „Pan z Pana i namiestnik Boży“.

Poeta, chociaż sam „maluczki zawdy, cichy, prosty zawdy“, wie, że „wyhodowan został na proroka“. Wie, że jest „oźwierciedlony promieniami łaski“. Wie, że „sam Pan wewnątrz jego ostrunił na lutnię“, że na rzeczy ziemskie i niebieskie „dał mu przecudowne oko“. Wie, że mu wcale nie potrzeba „wyswabadzać ducha, bo w nim inszy pierwiastek, niebieski — przemaga“.

Ma on nieźmiernie żywe „zapamiętanie“, „pierworodnego początku“ swego, gdzie wiódł „życie czyste i skrzydlaty“. Czuje, iż

w duszy jego jest „wiedza pierworodna, wszechmogąca, co naukę w lot wyprzedza“.

Czuje, że ma wzrok, co strzela „to wskroś - niebie, to wskroś - ziemie, niby odbłask słońce tysiąca“; co „jednym rzutem wieczność zwiedza, i w kończyźnie światów trąca“.

Czuje, że duch jego „mocen jest cud sprawić“.

A czucie to jest tak silnie „oparte o Boga“, iż nigdy i nigdzie nie staje się aktem pychy, tam nawet, gdzie poeta woła: „Est Deus in nobis!“ Że owszem, tak samo potem zawołaniu, jak i przed nim, ma on prawo powiedzieć o sobie:

Maluczki zawdy, cichy, prosty zawdy,
Nie chwały ludzkiej szukałem — lecz prawdy.

Pieśniarz-poeta śpiewa o Bogu, o świecie.

Tylko ta treść „Dawidzkiego hymnu“ godną jest śpiewaka-ducha. On śpiewa „Wieczną pieśń naszego łona“.

Jakąkolwiek potrąci strunę, gdzie się nie zaniesie głosem, wszędzie Bóg i wszędzie „Nieźmierny dwór jego“. Mało która pieśń była tak pełna Boga w sobie, jako pieśń Bohdana.

A nie mówię tu o jego tak zwanych „poezyach religijnych“, lub „półreligijnych“, bo i taki już podział zrobiono ¹⁾. Mówię tu o tym wielkim, szerokim wiewie ducha, który przewiewa wskroś pieśń Bohdanową, czy ona mówi o Bogu, czy nie mówi o Nim. Bo i wtedy, gdy o Nim nie mówi, jest jak „ptak, co leci, i jak kwiat, co wieje wonią w niebo“. Owszem, wonniej wieje, chyżej leci, gdy jest modlitwą mi-mowolną, nieświadomą siebie. Gdy brzmi w całej swojej prześwieżej i przedwiecznej mowie, jako jeden z głosów przyrody, i w chórze z nią samą. Gdy „nie bada prawdy Bożej w sobie“, lecz kwieci się i woni, „jak lubystek i jak macierzanka“. Kiedy jest hymnem nie z zamiaru, lecz z istoty i z natury swojej. Z tego, po prostu, że gdy uderzy w skrzydła, nigdzie indziej, tylko w niebo ulatywać musi. I wtedy jest najsilniejszą w brzmieniu swoim i locie, kiedy ją ponosi „duch-dech, dusza niewidoma“, więc nie manifestująca się żadnym, z góry powziętym zamiarem. Kiedy, owszem, wbrew wszelkiemu zamiarowi, pełna jest „czegoś z nieba, czegoś, czegoś, co nie słucha“, i tak prze-

1) St. Zdziarski: „Bohdan Zaleski“.

świeca Bogiem, jak na pogodę cicha okolica prześwieca złotem, szerokiem łyskaniem.

Bo śpiewać o Bogu z zamiarem opiewania go, może tylko duch potężny, wielki. Nieskończenie potężniejszy i większy niżeli był duch Bohdana.

Wyzywał wprawdzie Mickiewicz Zaleskiego na taki „Hymn Dawidzki”, ale Zaleski wyzwaniu temu nie odpowiedział hymnem. Nie miał orlego „Zołotoszponu”, którym-by trącić mógł w struny Dawidzkiej harfy.

Nie był też „wyhodowan na proroka”, choć była chwila, w której się co do tego łudził.

Pieśń jego nie mogła „proroczyć o Bogu”, mogła nim tylko dyseć i dźwięczeć. Bóg—nie mógł być jej treścią; mógł tylko być jej tonem, jej barwą, jej blaskiem.

A jest to zjawisko bardzo logiczne i bardzo ściśle związane z naturą tej duszy przepłyennej, echowej, iż w niej tak samo, jak w przyrodzie, której była biernem odbiciem, Bóg objawia się „jarzeniem” tylko.

Jakoż, ilekroć poeta wbrew tej bierności, temu mimowolnemu jakby przeblyskiwaniu pieśni swojej Bogiem, świadomie o nim śpiewać zamierzy; ilekroć ten wyraz Bóg—(„Na wieki wieków cześć jemu i chwała”), zamierzy rozłożyć na głoski; tylekroć weźmie ton niższy, „złotą powierzchnię” pieśni swojej zatrze, zachucha, tylekroć owo żywiołowe jarzenie się jej Bogiem przyćmi i przygasi. I nie może być inaczej.

Wielka uczuciowa synteza: Bóg wyłącza wszelkie rozdrobnienie i na równe składniki żadną miarą rozłożyć się nie da. Natychmiast bowiem i za każdym pokuszeniem o to, na miejsce syntezy, która jest bezpośrednią niemal sprawą ducha, wstępuje analiza, sprawa zmysłów, „gliny”, a na miejsce dynamicznej siły czucia wstępuje siła statyczna—słowo. A tak niema już wybuchu, niema pędu, błysku, gromu, niema rozjęcia skrzydeł przez wszystkie otchłanie i rzucenia się w nieskończoność, niema poezyi—jest wiersz.

Dowodem tego są wszystkie utwory tak zwane „religijne” Bohdana, jego „Hymny”, „Modlitwy”, „Wniebogłosy”, które mogą niezawodnie wypełnić kościół po kopułę samą, ale wypełnić otchłani pomiędzy „Tchem Ducha, a Duchem-Duchów”,—nie mogą. Wszystkie one bowiem niosą w sobie i z sobą dużo, dużo ziemi. Wszystkie niosą z sobą i w sobie jakiś pierwiastek kultu, obrzędu, dogmatu, zwyczaju, czegoś, co Boga tłómaczy na język człowieczy. Może nawet na anielski, ale bezpośredniem czuciem się w Bogu nie jest. Gdyby było, nie stało-by tam miejsca ani na skrucę, ani na żal, ani na

rozważanie swojej słabości, ani na skargę, ani na nadzieję, ani na prośbę o to, lub o owo.

Wszystko bowiem było-by światłem, dźwiękiem, biciem fal wieczności.

Było-by czuciem się cząsteczki w całości takiej, że poza nią nic ani do żądania, ani do otrzymania—już niema.

Było-by czuciem się „skry-słońc” w „słońcu-słońc”. Skry rozpalonej do bezkolorowej i nierozkładalnej bieli, o którą powietrze ziemskie już nie trąca i żadnymi jej nie tęczyje barwy.

Było-by właśnie tem, co lud „zachwyceniem” zowie.

Toż samo da się powiedzieć i o tych utworach Bohdana, które krytyk i biograf poety „półreligijnymi” nazywa, dla tego zapewne, że są mniej kościelne od poprzedzających. I one także, lubo przebijają kopułę i nad wieże kościelne wylatują znacznie, do Boga przecież dolecieć nie mają siły.

Jakoż zawsze wzięte są, jak Adam, z ziemi i jak on — ulepione z gliny.

Nie poczynają się z płomienia samorzutnie gorejącej duszy, ale mają swój rodowód ziemski, pewny, wyraźnie i kategorycznie określony; mają swój stan cywilny, zapisany w księdze takich to a takich okoliczności, miejsca i czasu, takich to a takich pobudzeń zewnętrznych. Słowem, wszędzie pokazują przyczynowy związek między momentem a utworem, to znaczy: pokazują mechanizm poruszający duszę, ale nie wyjaśniają i nie udzielają natchnienia.

Najlepsze jeszcze w tych „religijnych” i „półreligijnych” utworach są nieliczne strofy, bardzo proste i bardzo pierwotne, w których czuć „coś z kantyczek, i coś z pieśni gminnej”.

Ten na przykład „Chór” w „Stella Maris” oparty na paru tylko tonach, na kilku wyrazach, z których każdy jest ślepo rzucanym w niebo, ekstatycznym krzykiem; ten chór, w którym słyhać znojne zanoszenie się i ogromny wybuch chłopskich głosów, rozpierających wprost kościelne ściany; ten chór, który o nic nie prosi i na nic się nie skarża, a przecież bije z takim gwałtem i z takim uporem; ten chór w którego prawie że tępej jednostajności, jest nietylko żywiołowe, instynktowne rwanie się i szamotanie dusz, na głucho w glinę zakutych, ale jakaś niesłychana, bezwiedna strzelistość; ta suplikacya bez suplikowania jest niezawodnie bliższa owego stanu „zachwycenia”, zagubienia się w niebie, niż cały szereg i „Hymnów” i „Modlitw”. A chociaż nie nazwana przez poetę „Wniebogłosem” jest nim z natury swojej, której istotą jest krzyk, jest wołanie, jest bicie „ostrzem” duszy od ziemi do nieba.

Niewątpliwie też stanął poeta w owym małym chórze ludowym na tym samym punkcie, na którym wyrzekł był—mianując pierwszą ze strun swojej lutni:

„Bóg!—Na wiek wieków cześć Jemu i chwała!”

Ale jest to właśnie punkt, z którego już teraz nawskroś przejść można, iż materya ta nie nadaje się w żadnym swoim momencie i pod żadną formą na przedmiot sielanki, czy epopei, i że—co za tem idzie—ani „Przenajświętsza Rodzina“, ani „Duch od stepu“ udać się poecie nie mogły. Nie mogły przez pomieszanie spraw ziemskich ze sprawami niebieskimi, które się na jednym i tem samym polu znajdować nie mogą.

Jakoż nie udały się.

IV.

Wiemy wszyscy, że w „Przenajświętszej Rodzinie“ jest ogromne pomniejszenie tych właśnie rzeczy, których wielkość i boskość chciał nam poeta pokazać.

Że wszystko [tam] jest przewdzięczone, a od prostego, surowego piękna bardzo dalekie; że każdy wiersz gasi coś z zaświatowego mżenia tajemnicy; że nie wzrok, nie duch nasz został porwany ku sprawom górnym i wysokim, ale, że właśnie samym tym sprawom górnosc ich i wysokość odjętą została. I to nie na rzecz prostoty, ale na rzecz ckliwości.

Bo—dobrze! Niechby to były jasełka, ledwo że zastrugane kozikiem. Każdy odnalazł-by w sobie coś, co drży przypomnieniem dziecięcych serdecznych wzruszeń. Ale to nie są jasełka.

To jest takie sobie „teatrum“, w którym użyto dekoracyi, do innej zgola należących sceny, i wyprowadzono osoby mówiące słowa, do zgola innego należące dramatu. I gdyby nie cudowna własność duszy samego poety, która skroś fałszywie ustawionych kulis i nie w czas podpowiadanych wyrazów tchnie konwaliowe wonie z nad Taśminy, mży gwiazdzistym nadstepowym zmierzchem, cały ten poemat byłby bez krzty poezyi. Tylko, że, aby do tej poezyi się dobrać, trzeba sobie powiedzieć tak: Nie wracamy z żadnego Jeruzalem; nie idziemy do żadnej Kany, ani do Nazaretu, ani do Kafarnaum; nie koczujemy pod figowym gajem z żadnym Nadjordanowym ludem, tylko oto,

gdzieś u Rosi, Rasawy, świętujemy gromadą wiosenne rozkwiecione świętki.

A co w tych świętkach jest nieba i Boga, to „jarzy się” wprost z przejrzystości tej majowej nocy.

.

Ale jeżeli w „Przenajświętszej Rodzinie” religijna sielanka nie udało się Bohdanowi Zaleskiemu, w „Duchu od Stepu” religijna epopea także mu chybiła.

Bo miała to być istotnie epopea.

Kiedy 1837, w wierszu „Nieskończoność,” pisanym na Śródziemnym morzu, zapowiada nam poeta, że we „wrotki pieśni lat przenieździeje” i „huknie cudowną wielką Epopeję, której tłem wieczność, a Bóg — bohaterem”, — nie mówi tu o zamiarze poetyckim, który mógł się spełnić, albo nie spełnić. On wypowiada w tem nazwaniu istotne chrześciane imię poematu, od roku już istniejącego, lubo niewydanego jeszcze.

Kwalifikując wszakże poemat ów, jako „epopeję”, mylił się poeta zupełnie.

Jakoż „Duch od stepu” nie jest niczem innem, jak próbą historyzoficznego poematu, w którym poeta usiłował zamknąć pewien pogląd na stosunek spraw ziemskich do spraw niebieskich. Pogląd nie swój zresztą i nie nowy, gdyż u samych już źródeł swoich wypływający z biblijnych podań, które ziemię i niebo stawiały w takim stosunku, że człowiek — od Adama poczynawszy, — bywał zbuntowanym rąbą, a Bóg — panem karzącym i mściwym. Pod którym aspektem, gdy na ogólne dzieje narodów spojrzano, okazało się, jako ten punkt widzenia zarówno dobrze służy ku wyjaśnieniu nieszczęść ludzkiego rodzaju, jak i ku celom pedagogii ludów.

Jakoż, pogląd ten, uznający trzy zasadnicze momenty w stosunku Stwórcy i stworzenia: nadane z góry prawo; bunt przeciw prawu temu; oraz karę w ślad za buntem idącą, z tak potężną, wprost gromową siłą, rozwiniętą w Pięcioksięgu, a tak obszernie stosowany w średniowiecznych kronikach, występuje z dawną wagą i powagą skroś czasów i dziejów zawsze, ilekroć naród jaki, przygnięciony przemożną klęską, utracił bronie ziemskie i za niebieskimi oglądać się poczynął.

Albo Bohdan Zaleski ani do tragicznych głębin nie zstąpił, ani na marmurową ciszę współpracy z wiekami się nie zdobył, ani na gromowe szczyty pożądania cudu wzbić się nie miał siły. I on wprawdzie Mesyanizmowi hołduje. I on woła: „Jest Odkupiciel”, ale do ostatecznych tajemnic duchem nie dociera.

On stoi na tej ich syntezie, której widowym znakiem jest—krzyż. Krzyż ten, wysoko wzniesiony po nad ziemskie sprawy, stanowi nie tylko granicę dociekań Bohdana, ale jest punktem oryentacyjnym, z którego poeta przedmiot swój rozważa.

Był bunt, była kara, lecz po karze przyszło miłosierdzie. A kiedy przyszło raz, 'przyjąć należy za nieomylną zasadę, iż przyjdzie znowu, gdy się kara i pokuta dopełni.

Jest to punkt widzenia, ukazujący z jednej strony jehowiczne oblicze zagniewanego Boga, a z drugiej miłościwy błękit odkupienia przez Krzyż Chrystusowy.

Ale już samo postawienie zasady łaski, zasady miłosierdzia, na miejsce odkupujących czynników cierpienia, oraz na miejsce wywołanej reakcji sprawiedliwości dziejowej, to samo już usunąć musiało i usunęło istotnie z horyzontu rozważań poety te tajemnicze głębie Mesyanizmu, które Słowacki, Krasiński i Mickiewicz oglądali w duchu.

Bohdan Zaleski coś nie coś z głębin tych przeczuwa.

Wie nawet niewątpliwie, iż jest jakaś „okolica nocna bytu naszego, pełna cudów i tajemnic, skąd dzieje ludzkie i dzieje człowieka, niby od systemu słonecznego Ducha, jak mnogie koła przecinają się od wielkiej średnicy“ ¹⁾. Owszem, wyznaje, że ile „dusz czystych, rzewnych zaznał w życiu, każda biegała ostrzem w te mroczne strony“ ²⁾.

Sam nawet Krzyż wydaje mu się tajemnicą wieków senną. To też zamierzał odrazu dać poematowi swemu tło „mistyczne, nieco niewyraźne“ ³⁾. Nie dla tego, aby uznawał konieczny, organiczny związek między tłem takim a obrazem samym poematu, ale że w takich marzeniach kochali się i kochają najznamienitsi mężowie“ ⁴⁾.

Cały więc zamiar ma w sobie coś pośredniego, coś zewnętrznego, coś, co wynika nie z organizacji duchowej samego twórcy, ani z natury samego dzieła, ale jest kierunkiem, obranym naśladowczo i dla pewnych z góry wypowiedzianych względów przyjętym.

To wszakże, iż jest przyjętym, nie znaczy, iż wykonany został.

Jakoż, cały ów plan naśladowczej „metafizyki“ [pozostał w sferze zamiaru, wbrew któremu, właściwości duchowe poety wystąpiły

¹⁾ Koresp. B. Zaleskiego, I.

²⁾ Tamże.

³⁾ Tamże.

⁴⁾ Tamże.

tak czynnie, tak decydująco, że plan ów pierwotny zatarły sobą w dziele całkowicie.

Przedewszystkiem uderza stosunek, w jakim poeta stanął do przedmiotu swego.

Otóż charakterystycznem jest, że poeta, zabierając się do rozpatrzenia raz jeszcze aktów sprawy pomiędzy niebem a ziemią,—wyzbywa się niejako człowieczeństwa swego, wyzwala z materii ducha, ducha tego czyni ptakiem wzbitym w „okolicę błękitną, astralną, promieniującą się na wsze strony kreacją Boga“, i stamtąd dopiero przedmiot swój rozpatrywać zaczyna.

Nie wnosi zatem w rozpatrywanie owo ani bezpośredniego i namiętnego czucia, ani potęgi jasnowidztwa i geniuszu;—nie wnosi żadnego z czynników walki, bólu, pragnień, nadziei, rozpacz, które właśnie tworzą owo „ostrze“, jakim duch ludzki uderza w „okolicę pełną tajemnic“.

Ostrze to bowiem nie wpierw uderzyć tam może, aż przebije pierś ludzką żywą i obróci się — krwawe — w żywym ludzkim sercu.

Ale Bohdan Zaleski zrywa cały głęboki, współzuciowy związek między sobą a przedmiotem swoim i wprost uniemożliwia sobie wniknięcie w sam rdzeń dramatu dziejów rodzaju ludzkiego, obrawszy stanowisko ducha.

I to nie tego Ducha, który przebija się przez materię gwałtem własnej męki; nie tego, który wyrzuca się burzą „za gwiazd kołowroty“, nie tego, który siada na grobowcach i w ciszy katakumbowego zatajenia żywota liczy ziarenka piasku, toczące się w wieczność; ale Ducha niedotkliwego, bujającego lekko, swobodnie, wysoko nad ziemią. Ducha, który odkłął się nie tylko z ludzkiej cierpiącej własny gwałt natury, ale i z ludzkiej, postaci, który nie jest już Duchem-człowiekiem, ale Duchem-ptakiem. „Jakoż właściwa materia poematu zaczyna się od chwili, kiedy poecie, „odzianemu w piór oblaski“, wiatr „wiekuiste tchnienie boże“, wkoło ramion wzdyma puchy“, a on, skrzydłem prawem, skrzydłem lewem mierząc światy, za powiewem coraz wyżej mknie w błękity“.

Poeta chwilę tę nazywa „chwilą łaski“, „uroczystą wielką chwilą.“ A zatem, chwilą podniesienia i rozplomienienia ducha, chwilą poczucia się na szczytach twórczej siły, chwilą natchnienia, chwilą wzbicia się nad samego siebie. Ale to wzbicie się nad siebie było oraz wzbiciem się nad ludzkie czucie męki i tryumfu, gniewu i buntu, miłości i nienawiści, rozpacz i nadziei, a zatem nad wszystkie czynniki dramatycznego konfliktu pomiędzy niebem a ziemią.

To było wzbicie się w sferę kontemplacji ufnej, pogodnej i zrezygnowanej.

To był zarazem stan „błogości“, ogarniający tego, „kto pamięta pierwotny swój początek, żywot czysty i skrzydlaty“; stan krańcowo różny od namiętnego gwałtu uczuć, w jakim znajdowały się wieszczące duchy, „biegnące ostrzem w okolicę mroczną bytu naszego.“

Jakoż, zamiast niej, otacza poetę, dawniej już marzona „okolica błękitna, astralna, promieniejąca na wsze strony kreacją Boga“, gdzie wszystko uczyniło mu się prostem, jasnym, koniecznym, i gdzie obaczył, iż „sam Pan kłębek czasów mota“. Fakt wszakże, iż to obaczył odrazu, i z góry, mocą samego uskrzydlenia swego, mocą „chwili łaski“, fakt ten obrócić się musiał, i w rzeczysamej obrócił się na słabość i ułomność dzieła. Jest to bowiem właśnie ten punkt widzenia opatrnościowy i predestynacyjny, na którym stanąwszy, znalazł się poeta absolutnie na zewnątrz dramatycznych czynników przedmiotu, a zarazem na takiej wysokości, iż dzieje ludzkiego rodzaju mógł oglądać istotnie z lotu ptaka.

Jakoż wpatrzywszy się w budowę poematu, spostrzegamy jak gdyby wielką jakąś drogę, widzianą z góry, podzieloną słupami na etapy pochodzenia ludzkości.

Na słupach napisy: Raj, Ziemia, Potop, Judea, Grecya, Rzym, Chrześcijaństwo, Hunny i Wandalę, Rycerstwo, Krucjaty, Reformacya, Rewolucya francuska itd. Ale już to jedno wyjawia nam, że wbrew zamierzeniu samego poety, tłem poematu nie jest żadną miarą i nie może być — Wieczność, to głuche, niepodzielne, kołychające się samo w sobie bezczasie; że owszem tłem owem będzie właśnie czas, rządnie podzielony na dziejowe doby. Że, co ważniejsza, nie poeta, jak to zapowiadał wiersz „Nieskończoność“, pisany na morzu Śródziemnem, ale tenże sam czas, „Czas bezbrzeżny, czas w rozstrzeni“, śpiewać będzie „wielką epopeę“.

Spostrzegamy nadto, że — również wbrew zamierzeniu poety — nie będzie to żadna „metafizyka“ dziejów, nic „mistycznego i niewyraźnego“, nic, coby wymagało owej „pierworodnej, wszechmogącej wiedzy“, „co naukę w lot wyprzedza.“ Że owszem, wszystko będzie tu realne, dziejoworzeczywiste, cofnięte w przeszłość ziemską, wszystkim wiadome, oparte na dokumentach autentycznych, lub za takowe powszechnie przyjętych, i że nie będzie wymagało zgoła pocucia czy „zapamiętania innego żywota“ ku wyjaśnieniu swemu.

Jakoż istotnie „Duch od stepu“, ze względu na faktyczną treść swoją, jest jak gdyby skorowidzowym przeglądem dziejów ludzkości

—skroś Biblii zrazu, a potem—skroś Historii, co znowu zaznaczają owe naczelne, jak gdyby słupami oznaczone, momenty.

Ale patrzmy dalej: Przy słupach coś się dzieje.

Rusza się przy nich jakieś mrowie ludzkie, do głosu przychodzą kolejno: Mojżesz, Herodot, Liwiusz, Tacyt, Apostołowie, Tamerlan, Cyryl i Metodysz, Truvery, Luter itd.

Z tej wszakże wysokości, na której trzyma nas poeta, słyszymy tylko oderwane zdania i wyrazy, czasem tylko hasła i okrzyki, jak: „Sion! Sion!” albo: „Roma! Roma!” albo jeszcze: „Do Panonii! Do Panonii!” O uczuciach, o pobudkach, które zrodziły te hasła, nie może tu być mowy. Jest zbyt daleko. Ale i z ruchów tego ludzkiego mrowia trudno nam sobie zdać sprawę. Głębsze ich mianowicie, psychiczne, podniety zostają prawie że zupełnie poza sferą naszej świadomości.

Te bowiem błyskawicznie rzucane na pole widzenia naszego obrazy, jakimi poeta przedmiot swój interpretuje, dotyczą przeważnie zewnętrznej strony faktów i ukazują nam kulminacyjne ich punkty, a zatem widome skutki owych niewidomych podniety.

Na drodze mgła. Może mgła czasów, — rzecz zaczyna się od stworzenia świata—a może tuman duchów, wypełniających przestrzeń pomiędzy słupami pożądaniem, wysiłkiem, nadzieją i męką. Ale to wszystko jest prawie że nie dotkliwem dla oka i ucha poety.

Już i tak wiele, że dosłyszał „brzęk jakiś, cichy, złoty brzęk lutni” prorockiej. Już i tak dziwo, iż dojrzał, iż „Wódz-posąg” walącej na Romę czerni nigdy i przed nikim nie cofa wzroku, „bo ma w czoło wrosnięte powieki”.

Ale takie bystre, dosadne, rozgarniające mrok czasów, prawdziwie epickie momenty są rzadkie.

Przeważnie dzieje się tak, że poeta spostrzega skroś mgły jakąś dziejową zmianę i woła: „Widzę!”

Widzenie wszakże owo nigdy jasnowidztwem nie jest, do głębin zmiany nie dociera, stanowiąc raczej zapowiedź nowej dekoracji na dziejowej scenie.

Co wszakże zadziwia, to, że mimo gęstych zmian owych dekoracji, droga ciągnąca się skroś czasów i wieków, nie jest drogą postępu ludzkości. Że nie jest drogą wypracowywania się jej ku coraz wyższemu, coraz doskonalszemu formom bytu. Owszem, każdy krok, każdy etap zaznaczony jest jako upadek rodu człowieczego, po którym to upadku przychodzi nieodzownie kara.

Jakoż wszystkie tryumfy i zdobycze ludzkości uznane są za buntownicze wyzwalanie się rozumu, „liczego służki duszy,” „wszyst-

kie zaś straty i klęski za środek opatrnościowy, mający bunt ten stłumić i ukarać.

Jakoż, od samych wrót Raju, aż do naszych czasów słysząc skroś mgły dziejowej głos:

„Może człowiek się ukorzy?”

I biją młoty dziejów pale męki rodu człowieczego, biją nie w ziemię jakby, ale w żywe serca.

I widać szereg coraz dalszych słupów.

A przed każdym owo zwiastujące nową klęskę pytanie:

„Może człowiek się ukorzy?”

A po każdym krzyk goryczy pełen:

„Gdzie tam! Z wieku na wiek gorzej!”

Stajemy się niespokojni:

Jakto? Gorzej, mimo, że

„Sam Pan klębek czasów mota?”

I natychmiast budzi się w nas reakcja.

Tak nie jest! Tak z pewnością być nie może.

Owa „jutrznia”, wyglądana przez ludzkość, nie może być błyskiem „gilotyny” tylko. Ów krzyk nadziei narodów:

„Świtać, świtać już zaczyna.”

nie może zwiastować tylko—pożaru.

I uczuwamy, że jest to jakieś nieporozumienie, jakieś niedopatrzenie głębokiej istoty, żywej duszy dziejów. Ze wszystkiemu winien tu punkt widzenia, jaki poeta obrał w stosunku do przedmiotu swego, owo przeniesienie środka ciężkości spraw ziemskich człowieka w sferę pozaziemską, owo wzbicie się Ducha-ptaka na taką wysokość—nie czucia, lecz lotu,—iż dzieje rodzaju ludzkiego uczyniły mu się z niej pomniejszone jakby i ze zwierzchniej tylko strony widne.

Jakoż nie mylimy się.

Nieporozumienie to wszakże ma głębokie przyczyny, w samej naturze psychicznej poety leżące.

On nie mógł—a powracamy tu do założenia swego, — nie mógł inaczej patrzeć na świat, jak—od strony Boga.

Jego historyozofia mieściła się w wierze jego cała—i bez reszty; wiara zaś jego nie znosiła żadnych subtelności, była wiarą prostą, ludową.

W takim stanie rzeczy motyw winy i kary, motyw obejmujący najpierwotniejsze pojęcie stosunku ziemi do nieba, musiał stać się naczelnym i zasadniczo wytkniętym skroś dziejów motywem. Musiał on zachować całą bezpośredniość obu składających go momentów, to jest takie ich ustosunkowanie, jakie odpowiada prostej ludowej wierze. Stąd poszło zakreszenie poematu — od stworzenia świata.

Tylko bowiem na takich klasycznych momentach, jak Raj, grzech, potop, wieża Babel itd., ekspozycja motywu mogła stać się od razu jasną i niezbitą, zyskiwała od razu stan cywilny, o autorytety oparty, i ten niezmiernie ważny atut, iż—tak było zawsze.

Czego niezawodnie osiągnąć by się nie dało poza momentami temi z równą jasnością i mocą, zwłaszcza, iż na kłębek dziejów poczęły się wć coraz bardziej poplątane i coraz liczniejsze nici, a stosunki życiowe komplikowały się tak fatalnie, iż winą często mogła się wydawać bezkarną, a kara niesłuszną.

Ale raz uzyskana i o powagę momentów owych oparta zasada koniecznego i przymusowego ich związku natychmiast komplikacje takie usuwa, zawilości wyjaśnia, plątaninę zjawisk upraszcza, i skroś największego zamętu spraw boskich i ludzkich niechybnie motyw winy i kary odkrywa, a stosunek ich do siebie ubezwłaszcza tak, że biją nam w oczy—jak błysk i grom—razem.

A tak rozpusta Rzymu i waląca się na niego „gens barbara,” druk i rewolucja francuska, okazują się tak samo od siebie zależne, i w tymże genetycznym związku do siebie stojące, co budowa wieży Babel i pomieszanie języków.

Rzecz prosta, iż o indywidualnem oświeceniu dziejów przez poetę mowy tu być nie może.

Owszem poeta sam wyraźnie zrzeka się zadania tego; bo:

„Ktoż ogarnie, któż wypowie,
Choćby promyk w bożem słowie?”

On abdykuje ze stanowiska czynnego w tej sprawie. Abdykuje z ogromnej roli—świadka dziejów.

Z roli, jaką podjęli i tak potężnie odegrali: Irydyon, Król-Duch i Konrad.

On poprzestaje — a biorę to głębokie rozróżnienie z Wiktora Hugo—poprzestaje na roli—w i d z a d z i e j ó w.

Znaczy to, że na tych zawitych rokach pomiędzy niebem a ziemią, nie stanie zaprzysięgły na własną swą duszę; że nie będzie świadczył sobą własnej swojej prawdzie; że nie będzie wywalczał na nadziemskich potęgach żadnego wyroku—na śmierć, lub na życie.

On przypomni „pierworodny swój początek“, i — Duch-ptak — „niebieskich duchów bliźni“, nderzy w pióra i zerwie się „w górę od poziomu“, jakby uciec chciał do domu“, i ważył się będzie coraz wyżej, a wyżej, coraz dalej, a dalej, od ziemi, aż tam, gdzie:

„Sam Pan kłębek czasów mota.“

A pod nim, ledwo że widzialne, przemijać będą z tragicznym szumem fale rodu człowieczego, a on patrzeć na nie będzie:

„W śnieniu ducha lekkim, miłym,
Niecielesnem ducha okiem“.

Dopiero kiedy w tym szumie dosłyszysz huk Dniepru, kiedy z wznoszących się dojrzy

„Ukochane, wielkie plemię.“

Wtedy dopiero uderzy mu w słuch ogromny głos budzącego Anioła:

„Syn ty ziemi! Syn ty ziemi?“

I ocknie i opadnie ku niej tak, jak utęskniony gołąb na gniazdo opada, i rozpierzy oba skrzydła, i nakryje niemi umiłowaną ziemię, i zgłuchnie w nich złowróżbne, jastrzębie krakanie

„Z wieku na wiek coraz gorzej“

i zakwitną mu w piersiach stubarwne nadzieje.

A wtedy ujrzy ogromne tłumy duchów idące z mgieł i mroków pod jakąś wielką jasną zorzę, pod słup przez dzieje nie nazwany jaszczem. I usłyszysz przed tłumami idący brzęk złoty, złoty brzęk wróżebnej, bojanowej gęśli. Nowy ich Bojan, „słowik dawnych lat“, w nowe lata wiedzie duchy pieśnią.

I ozwą się na to, i uderzą echem wszystkie tony, w ostrunionej piersi poety zamknięte, a dzieło jego stanie się naprawdę „przygrywką do nowej poezyi“—żywota.

Ale to nie będzie już historyzofia, to będzie—Ukraina.

.

Jeżeli uwagi nad „Duchem od stepu“ zajmują więcej miejsca, niżby to z ogólnych propozycji studium tego wyniknąć mogło, to dwa są ku temu powody.

Pierwszy ten, że „Duch od stepu“ uważany jest powszechnie, a błędnie, za utwór mistyczny i niezrozumiały; drugi, że równie błędnie i równie powszechnie uznawany jest za koronne dzieło Zaleskiego. Tymczasem bliższy rozbiór obu tych momentów nie usprawiedliwia żadnej z obu tych opinii. Jakoż ze względu na treść swoją jest poemat ten szeregiem pośpiesznie na wyobraźnię naszą rzucanych obrazów, które ilustrują wszystkim dobrze znane fakty. zaczerpnięte z Biblii, oraz z Historji narodów, a to w takim faktów tych zestawieniu i ugrupowaniu, iż całe dzieje ludzkości, od progu Raju, aż do naszych czasów, są wskroś przeświecone, przeniknięte, biblijnem światłem i biblijnym duchem, motywu winy i kary.

Otóż światło to, do którego oczy nasze przy czytaniu świeckich dziejopisów przywykłe nie są,—nie mniej, jak pewne uogólnienia i niedomówienia, zatapiające w mroku kontury wywołanych przed oczy nasze obrazów, sprawiają ono złudzenie czegoś mistycznego, czegoś niezrozumiałego w samej treści dzieła. Zupełnie tak, jak kiedy do znanej nam dobrze komnaty przeniknie księżycowa poświata, i wszystko nam w niej jak gdyby obcem i dziwnem uczyni.

Poświata owa jednak nie bije na nas wprost z piersi poety; nie jest światłem indywidualnem, ze zderzenia ducha poety z duchem dziejów ludzkości skrzesanem; światłem, które-by on nieświadomie jakby, a przecież koniecznie, w gmach dziejów (nych z sobą unosił przesączaając z niem razem mistycyzm jakiejś własnej doktryny historyzoficznej.

Owszem, jest światłem zapożyczonem, nazewnątrz tak ducha poety, jak ducha przeważnego odłamu dziejów stojącym; światłem, którego źródło, wszystkim znane i dostępne, zasilane jest żywym prądem tego jedyne go w swoim rodzaju religijnego racjonalizmu, jaki bije z Ksiąg Mojżeszowych. Z tych Ksiąg, zdumiewających jasnością wprost pozytywną swoich transcendentalnych koncepcji; tłómaczących najzawilsze stosunki pomiędzy niebem a ziemią na język praktycznych konsekwencji i codziennych zastosowań; z tych Ksiąg, które metafizykę przekuły wprost i bez aliażu na prawodawstwo narodowe, a przyrodzoną rozlewność ducha ludzkiego ujęły w kamienne łoże i skanalizowały je tak, że wszystko, co jest aspiracją i [polotem w zaświat, obróconem zostało, jako motor, ku celom użyteczności powszechnej.

Z Ksiąg, które tyle mówią o Bogu i w tak naoczny pokazują go sposób, iż wszelkie marzenie o Nim uczyniły zbytecznem, niedorzecznem nawet; tych Ksiąg jedynych, które tłómacząc nam Boga, obywateli się bez słowa: miłość, i które, z żelazną logiką uznając Stwórcę —Panem, a nie Ojcem, przecinają od razu, bez rekursu wszelkie pretensye rodzaju ludzkiego do praw synowstwa, a stan jego cywilny z niezachwianą pewnością na prochu ziemnym palcem Mojżeszowym piszą.

Z Ksiąg niepożytych, których mocy duch ludzki nie przetrawi nigdy, nigdy się jej nie oprze i nigdy nie zbędzie, a których potęgą, pośrednio, albo bezpośrednio, panować będzie—nie nad duszami—bo te, z wieku na wiek, ulatują we własne swoje światy,—ale nad umysłowością społeczeństw, filtrując w wizyi tę dziwną mieszaninę twierdzenia i przeczenia razem, która bodaj że jest substancją, w jakiej rodzaj człowieczy zawsze smakować będzie i nigdy podobno łaknąć jej nie przestanie.

Ale jeżeli tak jest, jeżeli ten religijny racjonalizm, krańcowo wszelkiemu mistycyzmowi przeciwny, stanowi najogólniejszą i zarazem najistotniejszą cechę Pięcioksięgu, ze szczególną precyzją i jasnością występuje on w motywie winy i kary, o który poeta nasz oparł dzieło swoje. Bo jest to właśnie motyw regulujący stosunki życia najprostsze i najrealniejsze; owszem, będący ze względu na zasadnicze pojęcie przyczynowości, które je tworzy, nietylko ziarnem rozrodczem, ale zarazem koroną i kwintesencją owego racjonalizmu. Każdy inny motyw snadniej zniósł-by jakąś przymieszkę mistyki; ten jeden nie zniósł-by żadnej. Dowodem czego fakt, że nawet w rękę Mesyanisty, który woła:

„Jest odkupiciel“, motyw ten, zastosowany, jako probierz dziejów ludzkiego rodzaju, nie traci nic ze swej twardości, ze swej nad-

zwyczajnej spójności i nieprzenikalności, a to tak samo do czasu wybiecia godziny panowania krzyża, jak i po niej także.

Więcej powiem. Motyw ten jest tak nieugięty, tak arbitralny, tak imperatywny, iż miesza i niweczy sobą cały poetycki zamiar.

Jakoż wszystko w „Duchu od stepu“ dzieje się na opak, i wbrew zamiarowi temu.

On to sprawia, iż tłem poematu nie będzie wieczność, jak chciał i jak nam to już zapowiedział poeta, ale czas, jak wymagała logika motywu winy i kary.

On sprawia, iż dzieło, zamiast być „cudowną wielką epopeją“, —bo to zapowiedział nam poeta — staje się przewlekłym, przez wszystkie instancje wieków ciągnącym się od stworzenia świata procesem pomiędzy niebem a ziemią.

On wreszcie ruguje i wytrzebia z dzieła — i także wbrew zapowiedzeniu poety — wszelki mistycyzm, aż do najłżejszego powiewu i najulotniejszej woni, tak, że wszystkie momenty poematu stają przed nami w jednostajnem, nużącym świetle kazuistyki, chłodne, nagie, skostniałe, rozodzielane nie tylko z mesyanicznej, ale i z poetyckiej fantazyi.

A tak, ze względu na treść swoją, „Duch od stepu“ nie usprawiedliwia mniemania, iż jest mistycznym i niezrozumiałym.

Wszakże i forma poematu nie uzasadnia tej opinii jego. To bowiem, że poeta czuje się w nim uskrzydłonym i wysoko nad ziemią wzbitym duchem, duchem-ptakiem, nie jest u Zaleskiego ani nową, ani wyłącznie do materii metafizycznych stosowaną koncepcją.

Tę formę bytowania jego znamy dobrze i znamy oddawna.

I nie u jednego Zaleskiego ją znamy, ale także u innych poetów.

Tylko, że to, co u innych jest czuciem chwilowem i przygodnem, u Bohdana jest ciągle obecną, jasną świadomością przyrodzonego jakby pokrewieństwa ze skrzydlatym światem.‡

„Na śpiewanie, latanie w niebo stworzon jestem“ — mówi Bohdan, dając nam w słowach tych nie tylko najpiękniejszą syntezę swego poetyckiego talentu, ale zakreślając niemi oraz ściśle granice tak swojej siły, jak swojej niemocy.

Jakoż czuje się poeta zrazu „pisklęciem w puchach i pałkach.“ Czarodziejka Ukraina „przeczuwa na plemiona jego napowietrzne życie“ i wróży mu „powołanie ptasie.“ Pierwszą inicjacją poety w świat pieśni jest zrozumienie tego „co śpiewają ptaki“; poczem zasam czuje, jak mu z barków pióra się łuszczą“ i zaczyna „pośpiewywać słowiczo w sobie“. W pieśni swojej „podrzeźnia ptaszętom po rosie“, tak, że „dużo ptaszego zostaje w jej głosie“.

O pieśniach swoich mówi, że są „krasnopióre,” i „mają różny polot ptasi, polot w górę”. Wie też, iż pieśni jego „ludzi nęcą osobną barwą i wrzawą ptaszęcą”.

Zaczem „długo muska w słońcu piórka”, „aż wyleciał ptakiem złotym”.

I leci, i buja, i śpiewa, i czuje, że mu „skrzydła u ramion i wieją i kwitną”.

„Aż gdy „Matka Ukraina”,
skrzydlatego swego syna,
wypuściła w świat szeroki,”

„zakrakał dumę, jak brat orzeł”, gdy pieśń stepową „na kurhanie kracze”.

I tęskni „do gniazda swego”, „jeży i strzępi pióra złote”, „ptak daleki”, i „w oman zórawi” się zrywa, on „tułacz, hej zóraw na świecie”. Aż zwija w „fontaineblowskich lasach” „gniazdo pelikanie” i pozostaje na czużynie „ptak obcy, daleki”.

A „wrzawa pieśni wiosennej cichnie na okół”, a „pożegnani druhowie skrzydlaci odlatują po jednemu „gdzieś na wieczną wiosnę.”

A duch jego, „górny latawiec, zatrzaśnięty w klatce, w ciele” szamocące się i wniebogłosy śpiewa „pieśń łabędzią”.

„Czas w cieplie, „czas”!

Zaczem przychodzi chwila wyzwolenia, i ulatuje „na wieczne wyraje” „ptak skrzydlały”.

Ale to, co tu przywodzę, nie wyczerpuje nawet w drobnej cząstce materyału, jaki zebrać można ze słów samego poety.

Prawda, latami całemi składało się w obraz to, co tutaj oglądamy w skrócie.

Ale właśnie fakt, że się składało latami, że całe życie, we wszystkich momentach swoich, mogło dodawać rys po rysie do obrazu tego, dowodzi, że rysy owe tkwiły głęboko w samej istocie poety, i że miał on cudowne widzenie natury własnej swojej przedźwicznej, uskrzydłonej duszy, gdy wyrzekł:

„Na śpiewanie, latanie w niebo stworzon jestem”.

Śpiewać i latać, to jak już nieraz znaczyło u Bohdana, żyć pełnią ducha, być w napięciu wszystkich jego władz twórczych, być — w natchnieniu.

I tu więc, w „Duchu od stepu“, gdy chodziło o wybranie formy dla zamierzonego dzieła, forma przecież owa narzuciła się poecie sama, i na drodze najnaturalniejszej asocjacji czuciowej, jako wzbicie się uskrzydlonego ducha w niebo i oglądanie dziejów ludzkości—jakby „mapki poetyckich krain“¹⁾—widzianej z lotu ptaka.

Ale obrawszy tak nawet przejrzyście, tak poufałą sobie, a nam tak dobrze jeszcze znaną, z wcześniejszych swoich utworów transfigurację, poeta niepokoi się jeszcze. Nie chce być jakimś zagadkowym duchem, o którego—skąd się wziął—miałby ktoś łamać głowę.

On od razu legitymuje się. Jest—„Duchem od stepu“.

A tak mu na sercu leży, aby tu nie było żadnych zawiłości i żadnego nieporozumienia, iż raz jeszcze—tak, jak to uczynił już nieraz—roztacza przed nami wszystkie oczarowania i wszystkie klęski swego życia, wyprowadzając duchowny swój rodowód od chwili, w której jako „iskierka“ zleciał „do otchłani“, skroś przez cudowne latka dziecięce, stepowe, przez burze młodości, gorycze tułactwa i osamotnienia, odjawszy im wszakże tym razem całą cielesność jakby, całą dotkliwość materii, a uczyniwszy z nich przemijające przed okiem ducha obrazy własnych jego dziejów. Co uczynił nie dla uwikłania nas w jakowyś mistycyzm, ale właśnie dla wywikłania nas z niego; dla wyjaśnienia na osobistych, powielekroć opowiedzianych nam już swoich sprawach, jaką to metodą, jakim kształtem i porządkiem rozwinął się w dzieło sprawy świata.

Jakoż w rzeczy samej, pierwsze fragmenty poematu to nietylko legitymacja „Ducha od stepu“, tłómacząca nam kto zacz i skąd się tu wziął, nietylko poetyckie „generalia“ jego, że tak powiem, to także jak gdyby próba metody tworzenia, coś jak puszczenie palców po strunach własnych dziejów, za nim przyjdzie czas na struny dziejów rodzaju ludzkiego; coś, jakby strojenie instrumentów na dobrze znanym leitmotywie sieroctwa, Zujowego futoru i pielgrzymiej doli gęślarza, zanim seraficzne harfy rozebrzmia pierwszym rozciągniętym akordem epickim:

„Widzę! Ziemia zwie się rajem“

A tak całe to odczłowieczenie się poety, to jego rozodzia-
nie się z ludzkiej postaci, to przeczarowanie się w „Ducha-ptaka“, nie

¹⁾ Bohdan Zaleski, Korespondencya.

stało się czynnikiem mistycyzmu w dziele, a forma nie otchnęła treści poematu cudowną wonią rzeczy zaświatowych. Nie stworzyła też pomiędzy słuchaczami a pieśniarzem tego tajemniczego a żywego prądu, który jest jak gdyby przelewaniem się duszy w duszę, a który powstaje nie na mocy zewnętrznych przeistoczeń, ale na mocy wewnętrznych właściwości ducha poety.

Mistycyzm nie leży bowiem ani w rzeczach, ani w stosunkach życiowych, ani—choćby też największem—oddaleniu od ziemi i tego co ziemskie; on leży w duszy samego poety i, z niej promieniejąc na zjawiska, użycza im swego zaziemskiego światła.

Zaprawdę, Dante jako człowiek do piekieł szedł; owszem, w codziennej, pospolitej, dobrze wszystkim znanej odzieży Florentczyka swego wieku.—A przecież woń mistycyzmu owiewa ślady jego od pierwszego kroku, i towarzyszy mu skroś najrealniejszych obrazów mąk potępieńczych, a to mimo całej aktualności pojęć, faktów, nazwisk, osób, któremi posługiwał się przy tem „altissimo poeta”.

Stwierdza biograf Zaleskiego ¹⁾, iż „Duch od stepu” przyjęty był obojętnie, wbrew temu uniesieniu, z jakim, mało co przedtem, przyjęto Mickiewiczowskie „Księgi”, którym poemat ów pokrewnym być mniema. Ale inaczej wcale być nie mogło. Bo Mickiewiczowskie „Księgi”, obejmujące zakres dziejów jednego, umiłowanego ludu, mogły zachować i zachowały istotnie cały żar czucia, całą gorącość natchnienia, całą moc bezpośredniości, która sama jedna dusze porывa i własny swój gwałt im narzuca. Ale „Duch od stepu”, obejmując dzieje wszystkich ludów ziemi i prowadząc rzecz swoją na całej przestrzeni wieków, od stworzenia świata, już przez sam zakres swój zubożył dla nas materję swoją i uczynił ją nam czemś obcem i czemś dalekiem. A nie tylko nam, ale i samemu poecie.

Ratuje się on wprawdzie od chłodu tego przez ograniczenie psychicznej sfery poematu do zjawisk buntu i kary, które go—a nie zominajmy, że patrzy na świat ludzki z punktu Cherubów, śpiewających „Chwała! Chwała!”—najżywiej, owszem jedynie, obchodzą. Ale właśnie najbliższy skutek jest ten, że zamiast żywego postrzału miłości, skruchy, wiary w odkupienie, jakim „Księgi” w piersi nasze godzą, grotem u serca ich twórcy napiętym, „Duch od stepu” ma za jedyny oręż ów tępy, chłodny dydaktyzm dziejowy, który ani ran nie zadaje, ani ich leczy. A tak i ta „metafizyka dziejowa”, i to „we-

¹⁾ St. Zdziarski „Bohdan Zaleski.”

zwanie do odrodzenia" ¹⁾, chybiły. Chybiła próba zamknięcia w poemacie historyzoficznego poglądu. Dzieło nie wypromieniło z siebie świeżej, żywotnej i na zasilenie życia idącej filozofii dziejów. Ono się oparło o doktrynę starą i skostniałą i nazewnątrz siebie stojącą, o doktrynę, która mu niezawsze oczekiwanej podpory użyczyć była zdolna, a poetyckiej piękności dzieła przyniosła szkody niepowetowane.

Miewał Bohdan Zaleski w głębi swej uczuciowości daleko śmielsze i jaśniejsze błyski, skroś czasów, i ziemi, i nieba. Miewał cudowne wizye, cudowne intencye wzajemnej zależności i wzajemnego oddziaływania na siebie rzeczy ziemskich i niebieskich. W „Duchu od stepu” wszakże obrał drogę o wiele łatwiejszą, niż rozkrycie własnych tajemniczych głębin. Obrał w nim drogę—doktryny. I stało się, że po tej szeroko otwartej drodze nie przyszły wizye wielkie, jasne. Przyszły tylko—reminiscencye. A i to jeszcze się stało, iż dzieło, mające być—jak to zapowiadał poeta— „summą dźwięków opery” jego, zapowiedzeniu temu nie dotrwało.

Jakoż struna „Bóg” zgłuszyła i pokryła zupełnie swem brzmieniem strunę „świat”.

MARTA KONOPNICKA.

¹⁾ St. Zdziański „Bohdan Zaleski.”

Ochrona własności polnej.

W programie gubernialnych komitetów rolnych, obradujących współcześnie nad poprawą rolnictwa, obok pierwszorzędnych zagadnień: służebności, szachownic polnych i środków komunikacyjnych, znajduję zasługujący na bliższą uwagę punkt o ochronie własności rolnej od złej woli ludzkiej, więc przede wszystkim od szkód polnych i worywań.

Oczywiście, że zasiadający w komitetach tych ziemianie usilnie wnosić będą o corychlejszą regulację przymusową szachownic i służebności, o rdzenną zmianę trybu szafowania funduszami drogowymi, i w tych materyach z doświadczenia własnego będą aż nadto dokładnie poinformowani, a u pozostałych kolegów urzędowych przychylny posłuch znajdą, boć każdy naprzykład z panów komisarzy włościańskich przekonywał się naocznie, jak nieźmiernie szybko wzrasta dobrobyt w wioskach po uregulowaniu służebności, zwłaszcza połączeniem z komasacją gruntów, jak prędko „hołota“ o wątpliwej wartości moralnej zmienia się w statecznych gospodarzy, — niejeden zaś z panów tych sam pamięta, ile w ciągu trzech lat zrobiły przed czterdziestu laty komitety drogowe obywatelskie i widzi, co i jak robiono przez następne lat czterdzieści po ich zwinieniu¹⁾. Są to rzeczy, znane aż nadto, o ile idzie o włościan i dziedziców, choć słabiej już zaznaczane co do szlachty zagonowej podlaskiej i mazowieckiej, tudzież drobnych mieszczan-rolników, z którymi urzędy komisarskie obu instancji rzadko miewają do czynienia.

Póki w tych trzech dziedzinach: służebności, szachownic polnych i dróg publicznych nie nastąpi stanowcza a słuszna reforma, póty nie może być mowy o naprawie srosunków rolnych, bo ani podniesienie

⁴⁾ Komitety obywatelskie powołano w roku 1859 i zniesione w roku 1870. Faktycznie czynne były do roku 1863.

cen zbożowych, ani organizacya szkół rolnych, ani dostępny kredyt krótki i długi (na melioracye, na nabywanie ziemi) nie wyrwie z nędzy tych, którzy: 1) nie wiedzą dokładnie, co posiadają; 2) gospodarują na skrawkach ziemi parolokciowej szerokości, długich na wiorsty, porozrzucanych w kilkunastu miejscach o pół mili (i więcej) jeden od drugiego; 3) cały zysk producenta umarzają kosztami dostawy. Acz i szkodnictwo polne płynie przeważnie z serwitutów i szachownic, to przecież nie możemy czekać, aż usuniętem będzie to główne jego źródło, gdy załatwienie kwestyi powyższych, przy najlepszych chęciach, energii i znajomości rzeczy, dziesiątków lat wymaga. Sprawa szkód polnych wszelkiej postaci ma jedną dostępną stronę: może być znakomicie złagodzona w drodze gabinetowych uzupełnień przepisów prawnych i lepszego tych przepisów wykonania. A że szkody polne są nader dokuczliwe i tamują postęp w gospodarstwie, z drugiej zaś strony są wstępem do kradzieży, dowodzić zbyteczna.

Przypatrzmy się przedmiotowi temu ze strony prawnej, licząc, że większość ziemian, uczestniczących w komitetach, nie studyowała prawa i praktyki sądowej. Nieposzanowanie cudzej własności jest zjawiskiem powszechnem tak w szerokich masach ludności, jak w klasach wyższych, niby wspomnienie z epoki prastarych instynktów bezspołecznych, i zanika w miarę wzmagania się kultury: im dalej na Wschód, tem się wyraźniej zaznacza. Represya prawa pisanego, ten najpewniejszy hamulec wybryków swawoli, osłabła znacznie w kraju naszym po zmianach różnych w drugiej połowie zeszłego wieku, — jak zobaczymy następnie.

Na wsi szkodnictwo polne widzimy głównie w postaci swawoli, jak wypasanie cudzych łąk i pól, niszczenie drzew przy drogach i granicach, wydeptywanie ścieżek, przejazdu po cudzej ziemi, przyorywanie miedzi, następnie, gruntów sąsiedzkich. Najmniej jeszcze cierpią na tem dwory, posiadające zazwyczaj zwarte przestrzenie, okopcowane i otoczone rowami granicznymi (choć i z kopcami, i rowami też umieją sobie radzić pomysłowi chłopci), utrzymujące jaki taki dozór przez polowych i stróży. Dokuczają im, raczej, szkody z serwitutów. Rzecz w tem, że szkodnik polny i leśny, skoro się zasłania przywilejem służebności, nie ulega sądom, lecz komisarzom, którzy władzy karzącej nie mają, i stanowiąc faktycznie potęgę przeciw dworowi, mało posiadają środków przeciwko włościaninowi. Wszelkie wykroczenie na tle służebności ze strony włościanina uważane jest w zasadzie za pomyłkę, pociągającą jeno obowiązek odszkodowania albo pieniędzmi, albo przez zarachowanie (w szkodach leśnych) na serwitut w roku następnym, co w wykonaniu snadnie się redukuje do zera. Trafiają się też dziwne pomyłki rąbania lokciowych dębów, zamiast

zbierania suszu, wpędzania bydła w łąki sztuczne, zamiast na ugory. Od lat paru jednakże, mniej więcej od roku 1895, komisarze skłonniejsi są upatrywać w wykroczeniach nie ciemnotę włościan, jak ongi bywało, lecz złą wolę, i z mniejszym pietyzmem traktują nadania z tabeli likwidacyjnej.

W roku 1892 ogólne zgromadzenie departamentów senatu orzekło ¹⁾, że powołanie się oskarżonego o defraudację leśną na serwitut w procesie sądowym, acz-by niczem więcej poparte nie było, znosi kompetencję sądu aż do orzeczenia komisarza, — jakowe orzeczenie sądy stosują powszechnie i do szkód polnych. — Komisarze, w braku wyraźnych przepisów, co jest sporem o służebność, a co wykroczeniem zwykłym, trzymają się praktyki najrozmaitszej, w każdym zaś razie wymiar sprawiedliwości, skuteczny o ile jest szybki, ulega odroczeniu na czas nieograniczony, bo od decyzji komisarza służy odwołanie się do komisji włościańskiej, a potem do senatu, a tymczasem upada sześciomiesięczny, lub roczny termin do skargi karnej. Że przecież włościanin nasz ukazów senatu nie czyta, i więcej dba o samą słusność, niż o formę, — bo inaczej z lasów i zasiewów dworskich zostawił-by tylko ziemię, więc jaka taka straż leśna i polna dworowi wystarcza. Zdarzają się, oczywiście, wypadki, że właściciel, pilnujący mienia od szkody, zyskuje guzy i plastry, albo nawet życiem czujność przypłaca, w takich razach mamy do czynienia z uporem ciemnej masy, podżeganej przez doradców pokątnych (co jest skutkiem braku zorganizowanej adwokatury), ale działający stanowczo w dobrej wierze, w przekonaniu, że bronią swojego, jak umieją, — namiętności zaś w masach wybuchają, jak siły żywiołowe. Na szczęście, wypadki podobne są nadspodziewanie rzadkim wyjątkiem.

W gorszem położeniu jest mniejsza własność wiejska, zwłaszcza przy obfitości miedzi, po których się pasa bydło na powrozie, — ale każdy zwykle wie, kto szkody narobił i rachunki też wzajemnością wyrównać nie trudno. Drzewek chłop nie sadi, woli zniszczyć nawet istniejące.

Najprzykrej daje się szkodnictwo we znaki drobnym rolnikom po miastach i miasteczkach, bo tu już rozwinął się po roku 1876 system formalnego rabunku. Są okolice, w których nie można sadzić rzepy, brukwi, marchwi, siać grochu, bo miejscy botanicy zniszczą je z kretesem; wyprawy czynią po nocach z płachtami i workami na takie niwy, a koniczyne, lub seradełę wypasą bydlęm w biały dzień Wyrobnicy, piaskarze, przekupnie kupują na wiosnę krowy i konie

¹⁾ № 15 urzęd. rocznika za rok 1892.

a ziemi albo wcale nie mają (własnej, czy dzierżawionej), albo zaledwie kilkanaście, lub kilkadziesiąt prętów. Z góry wiadomo, że taki inwentarz żywi się „manną niebieską”. Koń pracuje, naprzykład, przez cały dzień, a w nocy wyprowadza się go gdzieś na pożywienie. W takich poglądach gospodarsko-etycznych wychowują się dzieci proletariatu miejskiego i biorą czynny udział w wykroczeniach rodziców przeciw cudzemu mieniu. Jeżeli na wsi gospodarz rolny całe lato spędza na niwie i wciąż swego przez to dozoruje, to w miasteczkach jest całkiem przed szkodnikami bezbronny i bezradny: grunty tak daleko od mieszkania i porozrzucane na takiej przestrzeni, że nie sposób ich dopilnować.

Złe jest o tyle dokuczliwe, że w niektórych osadach zebrania gminne z własnej inicjatywy (rzecz wogóle niesłychana, by gromada podejmowała inicjatywę) próbowały ukrócić szkodnictwo przez ustanowienie stałych stróży z pensją określoną, lecz nie zdarzyło się, aby te usiłowania na co się zdały: albo stanowiono uchwały chybione w podstawie, niewykonalne, nieprowadzące do celu, powierzając na przykład stróżowi mandat rzecznika, gdy może być jedynie świadkiem w sprawie o szkody, — co, zresztą, łatwo zrozumieć, skoro w uchwałach inteligencya wogóle udziału nie bierze, lub głosu na nich nie ma, a do takich robót potrzebny jest prawnik, obyty z praktycznem stosowaniem prawa; albo też nikt na wykonanie uchwały nie nalegał, i chętnych do płacenia składki na pensję stróża nie było, nie brakło zaś oponentów z interesu przeciw dozorowi.

Na przeszkodzie stoją też pewne utarte mniemania. Po sprzęcie zboża i siana, na jesień, pola i łąki uważane są przez ogromną większość za wspólne pastwisko. Wiadomo, że rzadki nakład opłaca się w tym stopniu, co kultura łąk. Tymczasem wpuszczenie bydła na miękkie łąki, albo świeżo niwelowane i nasypywane, choćby nastąpiło późną jesienią, niszczy kosztowny zachód gospodarza.

Zacząć należy od dozoru, więc od ustanowienia polowych gromadzkich, — jako niezbędnych oficyalistów, istniejących z mocy ustawy. Dochodzenie szkód w porządku cywilnym, czy karnym, winno być powierzone stałemu rzecznikowi, upoważnionemu uchwałą gromady (czy magistratu), chyba-by poszkodowany wolał sam dochodzenie rozpocząć, — a stróże wobec sądu pełnić rolę świadków. W Cesarstwie (o czem niżej) stróże polni uważani są za urzędników gminnych, zatwierdzani w swem powołaniu przez władzę i otoczeni pewną opieką prawną tak samo, jak borowi. Przepisy odpowiednie w Królestwie nie obowiązują.

W dzienniku praw Królestwa Polskiego nie masz śladu, by prawodawca zajmował się ochroną od szkód polnych, co, oczywiście, do

roku 1874, póki trwała władza patrymonialna dziedziców i póki jurzdykcyja w drobnych wykroczeniach należała do nich, było zbyteczne, szkodnictwem zaś żaden dziedzic nigdy się nie trudnił. Dopiero ukaz z roku 1864 o urządzeniu gmin w paragrafie jedenastym nadmienia:

„Administracyę gminy składają: a) zebranie gminy b) wójt gminy; c) sołtysi i d) sąd gminy z ławnikami. Oprócz tego, w razie uznanej potrzeby, gminy mogą mieć osobnych pisarzy gminnych, poborców podatków, inspektorów szkółek i szpitali, gajowych, stróżów polnych i innych ekonomicznych oficyalistów“.

Widzimy, że sprawy poszły torem nieco odmiennym: pisarze gminni z szeregu dodatkowych oficyalistów zajęli miejsce przed wójtami, inspektorowie szkół całkiem nie należą do dawnych kolegów z ukazu, a stróży polnych wcale niema, i nic też więcej o nich ukaz, lub rozporządzenie jakieś następne, naprzykład komitetu urządzającego, nie wspomina. Dochodzenie szkód pozostawione jest troskliwości każdego interesowanego w porządku cywilnym i karnym, do woli.

Zaczynam od trybu karnego. Za samowolne wypasanie cudzych gruntów, łąk i lasów, grozi kara pieniężna do rubli dziesięciu na rzecz kapitału więziennego, zamieniana dla niezamożnych, lub płacić nie chcących, na areszt przy urzędzie gminnym (ewent. magistracie) do dni trzech; za spór przy zajęciu zwierząt ze szkody ta sama kara, w zbiegu obu wykroczeń też ta sama ¹⁾. Grzywnom powyższym ulega winny nietylko za czyn pojedynczy, ale i za cały szereg takich czynów, przed wyrokiem popełnionych. O paszeniu w zasiewach, w łąkach sztucznych, w ogrodach warzywnych, po nocy i gromadą, często z rozstawieniem czat, nie ustawa oddzielnie nie wspomina, jak również nie mówi o oporze kwalifikowanym, gdy zajęcie licznej gromady, dozorowanej „od nieszczęścia“ przez wyrostków i dorosłych, opatrzonych w dębczaki, niebezpieczne jest dla pokrzywdzonego rolnika, i opór taki zasługuje na wyższą karę. Lecz zbyt łagodna kara za zuchwałe szkodnictwo jest jeszcze rzeczą podrzędną. Wiemy, że represya skutkuje, o ile następuje szybko, sprawiedliwie i nie pomija winnego, że nadto ostre kary chybiają celu, bo ludzki sędzia, jakich mamy większość, woli uniewinnić, niż wymierzać karę za surową.

¹⁾ 148 i 151 ust. karnej.

Otóż zdarza się rzadko, aby dochodzenie karne o szkody polne wydało skutek. Pasaniem inwentarzy trudnią się zwykle dzieci od lat siedmiu. Ponieważ przed prawem karnem odpowiada każdy za siebie, wypada tedy skarżyć do sądu dzieciaka, a nie rodziców i gospodarzy, chyba że posiadamy dowód, iż kazali dzieciakowi paść w szkodzi. Dając takie polecenie, rodzice i starsi unikają świadków, nic im przeto dowieść nie można. Dość, zresztą, jeśli nie zabraniają, dość, jeśli tolerują wykroczenie, i tak się też dzieje zazwyczaj; dowodem ich winy mogą być tylko domniemania, bo o szkodzie wiedzieć mogli, gdyby chcieli, albo wiedząc, nie przeszkadzali. Tymczasem sądy wymagają dowodu bezpośredniego, uboczny za niewystarczający uważają. Znam wypadki, że chłopiec paść bydło na cudzej ziemi w oczach matki, a przecież matkę uwolniono w obu instancjach. Jeżeli ustawa karna nakłada grzywny za niedbalstwo w razie wyrządzenia krzywdy osobistej komukolwiek przez zwierzęta, mogła-by z tej samej zasady karać i za krzywdy majątkowe, również z niedbalstwa płynące.

Proces karny przeciwko nieletnim dzieciakom jest zawsze nonsensem. Dorośli wieśniacy nie wiele sobie robią z aresztu gminnego, bo na niego też składki płacą, grzywny zaś wolno zawsze odsiedzieć; przyzwyczajając nieletnich do parodniowego próżnowania w kozie, oswajając ich zawczasu z aresztem, jest wprost szkodliwem. Tu pomogła-by bodaj odrzucona przedwcześnie reguła: różdżką Duch Święty dziecięcki bić radzi..., albo jakaś przymusowa praca, dla pożytku ogólnego nakazana.

W roku 1897 wyszła nowela prawodawcza o nieletnich przestępcach. Według niej, dzieci do lat czternastu nie ulegają karze, w zasadzie; dzieci od lat czternastu do siedemnastu, uznane za winne, mogą być od kary uwalniane. Natomiast oddane będą pod dozór rodzicom, opiekunom, pracodawcom, chyba by wykazywały kompletne zepsucie, a wtedy mogą być oddawane do zakładów poprawczych. Nadto, nieletni nie może być sądzony bez wezwania na rozprawę ojca, albo opiekuna. Jeżeli nieletni, oddany pod dozór, popełni nowy występki, dozorca (ojciec, opiekun, majster) ulega grzywnom do rubli stu, albo i aresztowi do miesiąca.

Następstwa reformy zawiodły myśl prawodawcy. Asystencja rodziców w procesie nowo zgorszenie sieje, powodując uporczywe zapieranie się oskarżonych malców. Ojciec, lub opiekun, słusznie rozumie, że za występki dziecka sam winien być karany, jako moralny sprawca w przeważnej ilości wypadków; że idzie tu o niego samego, bo sąd może odesłać chłopca do przytułku poprawczego, a tu w gospodarstwie potrzebny pastuszek. Zdarzało się poprzednio, że nieletni

winowajca, gdy mu sędzia sumienie roztrząsał, o spowiedzi przypominał, — uderzał w pokorę, przyznawał się do winy, przepraszał i poprawę obiecywał, — od czasu jednak noweli z roku 1897 mamy w takich razach jeno szereg potęgowanego kłamu: kłamie, jak najęty, ojciec oskarżonego, by uwolnić malca, kłamie za nim w te pędy oskarżony dzieciak: „nie wiem, to nie ja, nie widziałem“, a potem obaj zarzucają fałsz świadkom, i co za tryumf, że się skończyło na niczem! Gromada dzieciaków naprzykład narwała wieczorem buraków i w płachtach przyniosła do domu, rzecz prosta, że z wolą rodziców. Na sądzie żaden z nich o niczem nie wiedział, a najmniej rodzice, którzy nawet udowadniali kłamliwie, że znalezione u nich buraki pochodziły z własnego pola.

Należało-by stosować jak najszerzej deportację do przytułków poprawczych. Mamy ich razem dwa: w Studzieńcu dla chłopców, w Puszczy dla dziewcząt. Jest to mniej, niż nie dosyć, a co gorsza jeszcze w nich bywają wakanse, pomimo szczupłej ilości miejsc. W pracy, tak doniosłej, winny społeczeństwu pomagać żywo sądy, właściwie cały stan sędziowski osobiście, aby każdy sędzia był członkiem Towarzystwa osad rolnych i szczerze zadanie ich popierał.

Przekazanie kandydata osadom jest utrudnione wielu warunkami: wiek odpowiedni (do lat szesnastu), ambaras znaczny z korespondencją uprzednią i następną, z odstawieniem skazańca i t. d. Jeszcze sądy gminne, goręcej rzecz biorące, od czasu do czasu wyprawia tam delinkwenta, lecz sędziowie pokoju wolą albo uniewinnić, czy też przekazać pod dozór rodzicom, albo skazać do więzienia, bo to o wiele mniejszy zachód i formalnie jest także w porządku. A jednak Zarząd osad rolnych i przytułków wciąż walczy z niedoborem, wydatki są, a wpływów niewiele, składki członkowskie zalegają z roku na rok.

W „Dzienniku Warszawskim“ czytamy:

„Został zatrzymany na kradzieży nieletni. Oddają go pod sąd oskarżenie udowodniono, gdyż małego złodzieja schwytano na gorącym uczynku. W rezultacie następuje wyrok sądu, skazujący nieletniego na oddanie go dla poprawy rodzicom. Po upływie kilku dni nieletni powtarza swoją „robotę“ w przeświadczeniu, że jest w porządku wobec prawa. Przecież sąd oddał go pod opiekę rodziców, a ci właśnie posyłają malca na „przemyśl“. Niema co siedzieć w domu bez zajęcia, więc kochający ojczulek naucza syna: kradnij, ale nie daj się złapać i nie trudź rodziców włóceniem się po sądach. Słowem, wyrok sądu pozostaje tylko czczym wyrazem, a było-by wręcz inaczej, gdyby nieletniego przestępcę można było oddać do kolonii poprawczej, ale dostać się do niej jest rzeczą prawie niemożliwą. Kolonii popraw-

czych mamy załedwie na cały kraj dwie: jedną dla chłopców, drugą dla dziewcząt; obie są przepełnione (nie zawsze, zwłaszcza Studzieniec—p. a.), a środków na ich rozszerzenie zupełny brak. W ten sposób znajdujemy się w dziwnej sytuacji: mamy prawo humanitarne, ale stosować go nie możemy, gdyż nie mamy pieniędzy na urządzenie dostatecznej ilości kolonii poprawczych. Sądowi pozostaje jeszcze dawny sposób: oddać nieletniego złodzieja do więzienia i rzec się nadziei, że się poprawi kiedykolwiek.

„A skądże mamy zdobyć środki na rozszerzenie kolonii poprawczych? Kolonie obecnie utrzymywane są z ofiar dobroczyńców, ale było-by zupełnie słusznem, aby w urzędzeniu (chyba: w utrzymaniu?) kolonii brały udział, po pierwsze: zarząd więzień, a po drugie — zarządy miejskie i gminne. Udział zarządu więziennego był-by tylko wykonaniem ciężącego na nim zadania. Wspierając kolonie poprawcze, zarząd więzienny ułatwił-by sobie w ten sposób utrzymanie więzień dla dorosłych, gdyż przez to wpływał-by na zmniejszenie liczby kandydatów do więzienia“.

Zarząd więzień udziela, co prawda, zasiłków Towarzystwu osad rolnych, ale w stopniu tak nieznacznym (po kilka rubli na cały czas pobytu skazańca w osadach), że słusznie „Warszawski Dniownik“ o pomocy tej zamilcza.

Otóż, jeżeli takie utyskiwanie i życzenie głosi „Dniownik Warszawski“, to i my możemy wnosić o naprawę porządku w procesie karnym, dotyczącym nieletnich złodziei, bo ci karyerę zaczynają od szkód i rabunków polnych. Wyprowadzenie do osad od czasu do czasu jakiegoś „niewiniątka“ z gminy, lub miasteczka, znakomicie uruchomiłoby czujność rodziców, dotąd nie wiedzących nic a nic o psich figlach swych latorośli. Oddawanie dzieci na poprawę rodzicom winno być stosowane tylko wtedy, gdy sędzia, czy sąd jest pewien skuteczności tego środka, to jest gdy wie, że rodzice boćkowskiego nie pożałują.

Wracam do bliższego tematu.

Z zasady, że wina karna szkodnika polnego polega nie na niedbalstwie, lecz na czynie wyraźnym, wypływa, że puszczanie bydła samopas, choćby w cudze zboże poszło, nie jest występkiem karnym. Szkodnik doskonale wie, że bydełko przełoży łąkę, lub jarzynę, nad jałowe piaski, i z góry wie, gdzie tego bydełka ma szukać następnie. W złym razie atoli spędzi winę na niezdarność pastucha, na niedbałe baby, na przypadek — i uchodzi mu bezkarnie. Potrzebna zatem kara za brak należytego dozoru.

Przypuśćmy, co też się przytrafia, że schwytano na szkodzie polnej samego gospodarza, więc już go teraz kara nie minie. Ale prze-

prorowadzenie procesu, upadającego dla niestawiennictwa poszkodowanego, nie warte jest skutku. Oskarżony puszcza zaocznie, zakłada opozycję, podaje nowych świadków i bagatelna sprawa ma parę terminów, ciągnie się dwa miesiące, naraża pokrzywdzonego na mitręgę i wydatki; to się świadek nie stawiał, to komuś sołtys nie doręczył pozwówki na czas i t. d. Kosztów w procesie karnym prawo rosyjskie nie uznaje, choćbyś jeździł pięć razy o dwie mile, jedynie przysądza wynagrodzenie świadkom, o ile mieszkają dalej, niż o wiorst piętnaście (podług projektu nowej ustawy o wiorst dwadzieścia pięć), licząc po kopiejek sześć za wiorstę i kopiejek dwadzieścia pięć za dobę. Ostatecznie ukarani są próżnem chodzeniem do sądu świadkowie, że szkodę widzieli, i skarżący, że szkodę miał. Winowajca skazany zostaje na rubla, czy pięć grzywien, co się wyklada odrazu: posiedzi dzionek w kozie, właściwie zaś prześpi noc w kozie, a w dzień wójtowi, lub pisarzowi drzewa urąbie, za co dadzą mu jeść i kieliszek wódki. Kto raz spróbował, drugi raz skarżyć się nie będzie drogą karną o wypasy.

Bywa wszelako i inaczej. Zniecierpliwiony właściciel potrącił pastucha i udzielił mu zrozumiałej admonicyi, nie wyrządziwszy żadnej szkody na zdrowiu. Otóż zniewaga czynna nieletniego uważana jest za gwałt na osobie (§ 142 ust.) i karana tak samo, jak zniewaga czynna kobiety: aresztem od czterech dni do trzech miesięcy. Tak tedy szkodnik pójdzie na poprawę do rodziców, albo do kozy na dzień, najwięcej do dni trzech, a właściciel spasionego zboża do aresztu najmniej na dni cztery za „napaść“ i sprawiedliwość zostanie zaspokojona.

Co się tyczy drzew przy drogach, to jedynie dobremu sercu szkodników przypisać trzeba, że jeszcze gdzieś istnieją. Przedewszystkiem nie sposób orzec, kto jest ich właścicielem: czy ten, kto sadził, więc najczęściej właściciel sąsiedniego gruntu, czy skarb, gmina, lub wieś, — z tego zaś tytułu, nie wiadomo, kto się niemi ma prawo opiekować i kto ma dochodzić sądownie ich niszczenia. Sołtys i wójt do tego się nie poczuwają; obaj, jako włościanie, traktują niechętnie rosnącą drzewinę i pobłażliwie patrzą na psoty: sami zetną ładne drzewko na biczysko, a większe na dyszel, zresztą, zbyt energicznych „prokuratorów“ gromada nadal nie wybierze. Sądy też psucia drzew nie biorą bardzo do serca, mając ważniejsze sprawy do osądzenia, a wyborcom nikt nie lubi się narażać. Zdarzają się ludzie cierpliwi, którzy latami wysadzają drogi co wiosna, nawet owocowemi, i w końcu na swoim postawią. Ale na to trzeba czasu i kosztu bardzo wiele. Najwięcej szkód w drzewach robią furmani. Dotąd nie mamy przepisów, normujących jeżdżenie drogami, jak jest na całym Zachodzie. Furmani najjeżdżają na siebie, przebijają dyszlami konie, ła-

nią wozy, wpędzają jeden drugiego w rów, — dobrze, jeżeli umyślnie drzew nie łamią, tylko „wyładkiem“.

Na drzewa przydrożne zwrócono u nas pilną uwagę za czasów Królestwa konstytucyjnego. W roku 1816 zobowiązano właścicieli przyległych gruntów wysadzić trakty drzewami, a w roku 1822 nakazano oddzielnie obsadzić wszystkie drogi bite. Następnie polecono miastom na gruntach wolnych pozakładać szkółki drzew dzikich do obsadzania dróg. Przepisy te do dziś mocy nie straciły, a przecież można przejechać parę mil szosą (naprzykład w gubernii Kieleckiej, Piotrkowskiej) i jednego drzewa przy drodze nie spotkać. Jeszcze najwięcej dbałości widzimy w gubernii Kaliskiej. Wśród przepisów tych jest też jeden chybiony i właśnie przestrzegany pilnie: nie wolno wyciąć własnego drzewa przy drodze, jeno za pozwoleniem zwierzchności gubernialnej i po udatnem zasadzeniu młodego drzewka obok. Chodzi o to, że młode drzewko obok starego nie chce rosnąć i przyjmuje się nader opornie, a wyjednywanie pozwolenia w gubernii każdorazowo na ścięcie drzewa jest za kłopotliwe. Stąd wynika, że nikt nie chce na gruncie przy drodze sadzić drzewka, którem nie będzie mógł do woli rozporządzać, że stare drzewa lepiej wycinać pokryjomu. Tak samo niedobrze jest sadzić drzewka nad granicą, przy miedzach i rowach, choćby za zgodą sąsiada; jak drzewo wyrośnie, to się ku granicy własną grubością posunie, choćby sąsiad granicy ku niemu nie „kierował“, — i gotowy spór z sąsiadem o drzewo. Tymczasem do wysadzań nadają się właśnie drogi i granice. Dalej, niszczenie drzew nad granicą zawsze się da pozorować sporem granicznym, lub wspólną własnością, więc uchodzi bezkarnie.

Widzimy tedy, że ustawa karna z przewlekłą procedurą i pobłażliwą praktyką sądową nie zabezpiecza naszych pól, łąk i drzew na nich od swawoli. Pozostaje drugi typ obrony: droga dochodzenia cywilnego.

Artykuł 1382 i następne kodeksu cywilnego Napoleońskiego nakazują wynagrodzić wszelką szkodę, umyślną, czy mimowolną, zrządzoną czynem, lub niedbalstwem, tak własnem, jak osób podwładnych, z pewnemi tylko wyjątkami. Kodeks wpada nawet w krańcowość: jeżeli mój furman upije się w drodze na swoją rękę i wywróci latarnię uliczną, muszę za latarnię zapłacić; konie, wystraszone nagłem uderzeniem w dzwony, poniosły i poturbowały przechodnia: odpowiadam za szkodę, jako zwierzchnik furmana i właściciel koni.

Tu już rodzice nieletnich szkodników i właściciele puszczonego samopas inwentarza żadnem kłamstwem się nie zastonią i tym sposobem wyrokiem skazani będą na koszty sądowe dla powoda, istnieje

nawet taksa kosztów sądowych. Więc i za szkodę mi zapłacą i koszty sądowe zwrócą, i za fatygę wynagrodzą.

To jest jednakże dopiero teoria na papierze. Zazwyczaj szkodę pełną powoduje kilku winnych łącznie, choćby i nie równocześnie. Do roku 1890 utrzymywała się powszechnie zasada, wspólna prawodawstwom na gruncie kodeksu francuskiego wyrosłym, lub jego wpływem dotkniętym, że szkodnicy odpowiadają solidarnie, inaczej, że za wszystkich płaci schwytny i przekonany. W roku 1890 senat petersburski wypowiedział przeciwny pogląd: ponieważ kodeks Napoleoński w Królestwie zabrania domniemywać się solidarności, a dla współwinnych szkód i strat jej nie stanowi, przeto wszyscy odpowiadają w równym stosunku, każdy za siebie, chyba który wykaże, iż mniej szkody spowodował (wyr. № 114 za rok 1890). Pogląd ten, płynący z dążności do ujednolajnienia norm prawnych Królestwa i Cesarstwa, znalazł uzasadnienie i rozwinięcie w orzeczeniu ogólnego zgromadzenia senatu z roku 1892 za № 45. Przytaczam w streszczeniu tę znamioną argumentację. Stosowanie solidarności prawo miejscowe Królestwa określa wyraźnie tylko co do stosunków umownych (artykuł 1,202 kodeksu cywilnego), wymienia kilka wypadków, w których sama ustawa powołuje solidarność, lecz nie wspomina o niej, normując odpowiedzialność za występki i jako-występki, i wbrew nagłówkowi rozdziału, traktując jedynie o jako-występkach, to jest czynach, ustawą karną nie zagrożonych. Przepisy o odpowiedzialności cywilnej uczestników występków zawierał kodeks karny francuski, który stanowił właśnie solidarność. Gdy atoli kodeks karny francuski nie ma mocy w Królestwie, lecz kodeks rosyjski, trzeba się więc udać po rozwiązanie kwestyi do kodeksu karnego rosyjskiego, a ten, w uwadze do artykułu 64 odsyła do praw cywilnych. W prawach zaś cywilnych (rosyjskich), mianowicie w artykułach 648 — 652 tomu X-go części I-szej znajdują się ściśle przepisy o odpowiedzialności cywilnej uczestników zbrodni, lub występków, tudzież wskazane są wypadki odpowiedzialności solidarnej za następstwa łącznego czynu karnego. Ponieważ w uwadze do artykułu 64 kodeksu karnego niema wyjątku dla Królestwa, w kodeksie zaś Napoleońskim brak wszelkich wskazówek co do rzeczonyj odpowiedzialności, przeto artykuł 648 i następne tomu X-go praw Cesarstwa winny być stosowane i w Królestwie, jak gdyby mieściły się w samym kodeksie karnym, rozciągniętym i na Królestwo Polskie.

Pomijając już, że wywody powyższe oparte są na bardzo wątpliej podstawie, widzimy wyraźnie, że kwestyę odpowiedzialności za jako-występki, to jest czyny (lub opuszczenia), ustawą karną nieobjętą, teoria ta pomija zupełnie, bo i prawo rosyjskie o niej nie mówi.

Zachodzi kardynalna różnica w obu prawodawstwach. Kodeks Napoleona jest całością skończoną i zharmonizowaną, jako dzieło nauki; unika drobiazgów, a daje zasadnicze linie wytyczne, tak, że wypadek nieprzewidziany za pomocą logiki i poczucia słuszności da się zawsze pod normę podciągnąć i zdecydować, jeno trzeba kodeks rozumieć. Prawo rosyjskie powstawało chronologicznie od końca wieku XVII-go z pojedynczych rozporządzeń, dziś bodaj przestarzałych ¹⁾, ogólnych zaś i przewodnich myśli i zasad nie zawiera. Stąd odpowiedzialność cywilną rozumie tylko z wykroczenia przeciwko wyraźnemu zakazowi, z czynu zabronionego pod karą, nie przypuszczając, że wykroczenie przeciw regule: nie czyni drugiemu, co tobie nie miłe, może pociągać obowiązek wynagrodzenia za szkodę, choćby żaden regulamin policyjny obrażony nie był. Ponieważ za czyn karny odpowiada każdy w miarę winy, więc i do następstw cywilnych prawo rosyjskie tę samą zasadę stosuje, wyjąwszy czyny zabronione, dokonane za uprzednią zgodą, wtedy bowiem uczestnicy porozumienia odpowiadają wzajemnie za wypłacalność, to jest każdy-obowiązany do całości, o ile inni nie będą do płacenia zdolni, co też jeszcze nie jest rzeczywistą solidarnością. Wobec takiej interpretacji prawa nie warto się trudzić do sądu po zasądzenie wynagrodzenia za szkodę polną. Winny odpowiada jeno za to, co mu udowodnimy. Kilku winowajców pasło na mojej łące konie, bydło, owce i gęsi; chwytam owce Macieja, więc Maciej odpowiada tylko za swoje owce. Jak obliczyć, ile szkody zrobiły przez czas, kiedy je tam widziano? A Maciej powołuje się na udział w szkodzie inwentarza całej gromady, żąda nowych oszacowań i sprawę ciągnie jeszcze dłużej, niż w przewodzie karnym. Weźmy wypadek mniej zawily: mam do czynienia wyłącznie z inwentarzem Macieja,—i jednakże nie wiele wskóram dla ciężkiej kwestyi szacunku straty. Nie umiając po większej części radzić sobie z przepisem ustawy, żądającej zdania biegłych, jako informacyi, lecz uznającej sędziego za najwyższego i ostatecznego rzeczoznawcę, sądy gminne, pokoju i zjazdowe przesłuchują biegłych, podanych od obu stron, sumują cyfry podane i dzielą przez ilość biegłych, niby meteorolog, obliczający średnią temperaturę dni, redukując szeroką sferę światła i roztropność sędziego, zagwarantowaną w ustawie, do umiejętności dwu działań arytmetycznych. Pozwany wysłuchuje opinii biegłych powoda i podaje od siebie takich, którzy obniżą pierwotne cyfry na przykład do $\frac{1}{10}$ części, a sąd już sam zredukuje pretensję do normy

¹⁾ Naprzykład: rodzice nie mogą dowolnie rozporządzać życiem dzieci i za zabójstwo karani będą (artykuł 170, część I, tom X).

przeciętnej, czyli do części piątej. Bywa i odwrotnie: powód występuje z żądaniem odszkodowania parokrotnie przesadzonym, podaje biegłych odpowiednio roli wyuczonych, a sąd, gdy przeciwnik bronić się nie umie, przysądza cyfry, w które sam nie wierzy, — jeno że traf taki nigdy nie spotyka zawodowych szkodników: ci nieźle znają się na środkach obrony. Zwykle kończy się na tem, że poszkodowany po wygraniu sprawy i doliczeniu przysądzonych kosztów (w kopiejkach) jeszcze dołożył do procesu.

Jedynem, zdaje się, lekarstwem, było-by stosowanie taryfy, ułożonej i ogłoszonej przez odnośną władzę wzorem przepisów o defraudacyach leśnych, bez względu na niezgodność takiego środka ze ścisłą sprawiedliwością. Jeśli za szkodę leśną (byle nie kradzież gotowego materiału z sążnia i ze składu) ustawa nakłada grzywny w podwójnej i potrójnej wysokości ceny drzewa, podanej ze średnicy pnia, z zasady, że szkodnik prawdopodobnie broił poprzednio, lecz nie został wtedy schwytany; to skąd czułość dla szkodnika polnego i dbałość, by go nie przeciążyć? Dlaczego nie dbać raczej o poszkodowanego? Wymiar sprawiedliwości nie jest matematyką i z drobiazgami zbytnio liczyć się nie powinien, bo przecedzanie komarów prowadzi do połknięcia wielbłądów. Na pojedyncze wypadki konieczna jest taryfa, na szkody zaś łączne — odpowiedzialność solidarna wszystkich uczestników swawoli, bądź niedbalstwa. W roku bieżącym senat rządzący wrócił do zapatrywań wyłącznie prawnych, zaniechawszy tendencyjnej interpretacji kodeksu przez prawo cywilne Cesarstwa, — jakowy tryb prowadził wyraźnie na manowce: dość sędziemu, zamiast studyować nieznaną mu ustawę Napoleońską, powołać się na brak (w jego mniemaniu) odpowiedniego przepisu tej ustawy i stosować obce stosunkom tutejszym prawo cywilne Cesarstwa, a nastąpi zmiana prawodawcza bez woli prawodawcy.

Ze nowe wyrokovanie senatu i z innych względów ma doniosłość niepospolitą, a nawet sądom mało jest znane, przytaczam je w streszczeniu: „Przepisy ogólne (artykuły 1,382—1,385 kodeksu cywilnego), ustalając odpowiedzialność za szkody, zrzędzone przez występki cywilny (*délit civil*), o solidarności nie wspominają. Pomimo to wpływa ona z istoty zasadniczego artykułu 1,382“ ¹⁾.

W myśl artykułu tego każdy obowiązany jest wynagrodzić całą szkodę, spowodowaną z jego winy przez czyn nie-

¹⁾ Artykuł 1,382-gi: Każdy jakikolwiek czyn człowieka, który wyrządza drugiemu szkodę, obowiązuje tego, z czyjej winy nastąpiła, do jej wynagrodzenia.

właściwy. Niewątpliwie, jeżeli szkodę wyrządziły oddzielne czyny kilku osób, każda z nich odpowiada jedynie w stosunku do szkody, z jej winy wyrządzonej. Gdy przecież szkoda jest wynikiem jednego i tego samego czynu łącznego kilku osób, które działały w zмовie łączn*ie*, skoro winy tej dzielić na części niepodobna, każda z nich w rzeczywistości uważaną być musi za winną całego występk*u* cywilnego (*unusquisque particeps fraudis actor est*) i, na zasadzie powołanego artykułu 1,382, powinna wynagrodzić całą szkodę. Innemi słowy: wszyscy odpowiadają solidarnie.

Pogląd ten, ustalony w nauce i w praktyce francuskiego sądu kasacyjnego, podzielił również b. IX (warszawski) departament senatu (zbiór wyr. Kapuścińskiego, str. 718). „Znajduje on uzasadnienie tak w genezie historycznej przepisu, jak i w urzędowych motywach tego przepisu”. Wykazując następnie źródło artykułu 1,382 w prawie rzymskiem i przejście tej samej zasady do prawodawstw nowożytnych (włoskiego, austriackiego, szwajcarskiego, nadbaltyckiego), prócz jedynie rosyjskiego, stwierdza senat rządzący, iż kodeks Napoleona *stano*wi** solidarność ze szkodą z czynu łącznego ¹⁾, i z tej racji senat odpiera, jako błędne, poprzednie swe orzeczenia w ten sposób: „Teorya przeciwna, głosząca częściową odpowiedzialność uczestników czynu szkodliwego (wyrok senatu z roku 1890, № 114) nie odpowiada wymaganiom słuszności, z którą, przeciwnie, zgodne jest przytoczone tu zapatrywanie. Istotnie, z zasady podzielności wypływa, że niewypłacalność niektórych uczestników pogarsza pozycję poszkodowanego, bez żadnej winy z jego strony, polepsza zaś pozycję wypłacalnego współwinowajcy, jakby w nagrodę za zмовę z innymi. Tymczasem ujemne skutki niewypłacalności winny spadać, w imię słuszności, na współsprawców szkody, lecz nie na poszkodowanego, który, bądź co bądź, ma prawo do całkowitego wynagrodzenia, bez względu, czy mu ją wyrządziła jedna osoba, czy też kilka, działających wspólnie, co daje się osiągnąć przez odpowiedzialność solidarną współwinnych. Z tych pobudek senat odstępuje od pierwotnego zdania, wypowiedzianego w wyroku № 114 z roku 1890”.

Chodziło o szkodę polną z samowolnego wypasu całej wioski.

¹⁾ Godne uwagi, że senat rządzący w tym samym wyroku odrzucił milcząco oryginalną maksymę, wygłoszoną w roku 1891 (zob. wyrok № 62, depart. cywil.), że sędziemu nie wolno oglądać się w razach wątpliwych na „tak zwaną teorię prawa”, na prawodawstwa rzymskie i cudzoziemskie, na dzieła uczonych komentatorów.

Ale orzeczenie powyższe, zapadłe 26 marca roku bieżącego w departamencie cywilnym, jeszcze nie jest prawem i może być odwołane przez ten sam departament w innej sprawie, albo przez ogólne zgromadzenie departamentów, interes zaś rolników naszych wymaga, aby teoria solidarności była zagwarantowana przez literę prawa.

Co uważać należy za szkodę, łącznie zrzządzoną, czyli, co ma być czynem jednoczesnym: pozostawione być musi w każdym wypadku światłu i roztropności sędziego.

Wspomniałem wyżej o potrzebie stałej taksy, czyli taryfy szkód polnych, wzorem taksy leśnej. Taką właśnie taksę, raczej szkic jej najpierwotniejszy, ułożył i ogłosił komitet urządzający w roku 1837 ¹⁾, stosując się do porządku, istniejącego w Cesarstwie, jako pierwsze usiłowanie przeniesienia całego systemu ochrony polnej Cesarstwa nad Wisłę. Nadano jej moc prawa nadal, gdyż „służyć ma za wskazówkę i dla władz sądowych przy oznaczeniu przez nie strat wynikłych” (artykuł 4 uchwały Komisji Urządzającej w Królestwie Polskiem z dnia 11 (23) lipca roku 1867); to znaczy, że taryfa ta obowiązuje i dziś jeszcze, acz sądy słusznie pozwalają wysokości szkody dowodzić przez biegłych, pomijając taryfę.

Treść jej jest następująca.

Gdy zwierzę napotkane zostało na zasianem polu, w ogrodzie lub szkółce, chmielniku, winnicy, na łakach sztucznych, na pastwiskach, nie użytkowanych jeszcze przez samego gospodarza, lub ogrodzonych, albo na groblach, lub w lasach, — w tych razach odszkodowanie wynosi: 1) od koni i bydła rogatego po kop. 20 od sztuki, a od stada nad 30 sztuk rub. 6; 2) od innych zwierząt i młodzieży do 2 lat po kop. 10, a od stada nad 60 sztuk rub. 5; 3) od ptactwa domowego po 2 kop., a od stada nad 50 sztuk rubel jeden. — Gdy zwierzę napotkane zostało w innych użytkach wiejskich, opłata zmniejsza się do $\frac{1}{4}$. Rzecz prosta, że taksa powyższa jest niedostateczną, że na przykład świnia w klombach róż, albo w inspektach, więcej szkody robi, niż za 10 kop., i na pastwisku dworskiem więcej, niż za 2 $\frac{1}{2}$ kopiejek.

Zastosowanie jej atoli wywołało mnóstwo nieporozumień. Niektóre z komisji gubernialnych włościańskich, idąc w myśl zasad Komitetu urządzającego, jęły, wzorem Cesarstwa, co trzy lata pierwotną taksę przerabiać, odpowiednio do wzrastających cen ziemi i ziemio-

¹⁾ Dziennik praw Królestwa Polskiego, tom 67, str. 371.

plodów, do rozwoju gospodarstwa rolnego, tudzież uzupełnia pozycję. Inicytywa nadeszła od czasowej Komisji do spraw włościańskich Królestwa Polskiego w Petersburgu w roku 1880, która okólnikiem wezwała podwładne sobie komisye gubernialne do ułożenia słusznych taks za szkody polne i leśne, oraz przeglądania i poprawiania ich co trzy lata, podawszy równocześnie wskazówki, jakim warunkom taksy odpowiadać mają. Jedne komisye wykonały polecenie, inne wykonały tylko częściowo co do szkód leśnych. W gubernii Kaliskiej do dnia dzisiejszego taksy nie wydano, obowiązuje przeto dawna, parę razy przestarzała, taryfa z roku 1867, jakby się nic nie zmieniło w ciągu trzydziestu pięciu lat. Taryfa gubernii Łomżyńskiej z roku 1881 obejmuje już dwadzieścia pozycji użytków gospodarczych (zamiast pierwotnych dwóch) i ośm gatunków zwierząt (zamiast pierwotnych trzech), wysokość zaś szkód podnosi znakomicie: z kop. 20 na rub. 1 kop. 75 (koń w pszenicy i życie), na rub. 1 kop. 50 (koń w koniczynie), z kop. 10 na rub. 1 kop. 50 (świnie w ogrodzie, lub w sadzie), na rub. 1 kop. 75 (świnie w kartoflach), z 2 $\frac{1}{2}$ kop. 5 na rub. 1 kop. 75, to jest w siedmdziesiąt razy, za świnie w zagajniku liściastym.—Taryfa gubernii Suwalskiej z roku 1883 ustanawia jedenaście kategorii użytków i sześć kategorii zwierząt, normy zaś z roku 1867 podnosi przeważnie czterokrotnie.

Dzięki wysokim taksom, rozpoczął się proceder odwrotny: znaleźli się gorliwi kandydaci na poszkodowanych, jeśli nawet podstępnie zwabiać cudzy inwentarz na swe pole, aby wystąpić potem o święte odszkodowanie z taryfy. Wszystkie taksy (o ile je oczywiście wydawano) pominęły kwestyę trwania szkody. Stąd urobił się pogląd, że taksa obejmuje każdy oddzielny wypadek, a najwyżej dzień. Tym trybem odszkodowanie za parę sztuk bydła przez jesień po ścierniskach, albo przez lato po ugorach, przenosiło wartość ziemi i „szkodnego” bydła. Właściciel pozwolił naprzykład pastuszkowi sąsiada puszczać i na swoje pastwisko, ale świadka przy pozwoleniu nie było, a potem żądał bająskich sum na mocy taksy polnej za tyle a tyle dni.

Prowadziło to do takich nonsensów, że senat rządzący postanowił przeciąć pieniactwo. Wypowiedziawszy się w roku 1897 ¹⁾, że taksa polna stosowana być winna w każdym wypadku, gdy się na nią powołuje skarżący, orzekł następnie, że pozycye taksy obejmują wynagrodzenie za cały czas szkody w ciągu roku; tą drogą sąsiad, wpuszczający nierogaciznę przez całe lato sąsiadowi w szparagi, zapłacił-by

¹⁾ Wyr. kar. cyw. №№ 29 i 30.

od sztuki po kop. 10 w gubernii Kaliskiej, a 2 i pół kop. za to samo w lesie, — co już znaczy całkiem tanie pastwisko.

Widoczna jest, że senat wobec dylematu próbował półśrodka, opierając się na motywach kryminalnych („przestępstwo ciągle jest jednym przestępstwem“). Ale tym sposobem pieniactwa nie zatamował, bo co przeszkadza wnosić nie jedną skargę na jesień, po upływie lata, lecz szereg skarg co dni parę? Nim pierwszą osądzą i pozwany się spostrzeże, iż pada ofiarą rabulistyki prawnej, upływa 2 — 3 tygodnie i za czas ten można wnieść kilkanaście spraw naprzykład po rublu od sztuki od inwentarza.

Zaznaczyć muszę zasadnicze orzeczenie ogólnego zgromadzenia departamentów senatu administracyjnego i kasacyjnych z roku 1896, na które stanowczo powoływać się możemy, żądając wydania taks polnych od tych komisji włościańskich, które dotąd polecenia komisji czasowej z roku 1880 nie spełniły, — a to tem snadniej, że komisjom włościańskim i komitetom obecnym gubernialnym przewodniczy ta sama osoba.

„Senat rządzący stanowi: 1) z mocy uwagi do artykułu 152-go ustawy karnej winni samowolnych wypasów obowiązani są do uiszczenia odszkodowania podług ustawy instytucji włościańskich gubernialnych i powiatowych (Część III specjalnego dodatku do tomu IX praw stanu, uwaga 1 do artykułu 31); 2) gdy w Królestwie Polskiem niema instytucji powiatowych do spraw włościańskich, obowiązek sporządzania taks, tak co do szkód polnych, jako i leśnych, ciąży komisye włościańskie gubernialne, które zatwierdzają ostatecznie (w Cesarstwie—*p. a.*) rzeczzone taksy; 3) sądy pokoju i gminne w Królestwie Polskiem, rozpatrując sprawy o szkody (artykuły 145 — 152 ustawy karnej) w procesie karnym, lub cywilnym, z mocy uwagi do artykułu 152 ustawy karnej winny kierować się taksami, wydanymi w powyższym trybie“ (orzeczenie z dnia 7 (19) października roku 1896, № 42) ¹⁾.

Można-by nie jedno zarzucić tej argumentacji, bo przecież uwaga do ustawy karnej nie może regulować stosunków cywilnych, opartych na zasadach, prawodawstwu tejże ustawy karnej i dodatkowi do niej obcych. Wniosek atoli, dążący do poskromienia anarchii polnej, uznać musimy za pożądany i żądać usilnie, aby wszystkie komisye

¹⁾ Uwaga do artykułu 152 ustawy karnej głosi: „Niezależnie od grzywien z artykułów 145 — 152. winni obowiązani są uścić właścicielowi niszczonego mienia wynagrodzenie, określone w ustawie instytucji włościańskich gubernialnych i powiatowych“.

włościańskie do niego się ściśle stosowały, zwłaszcza te, które dotąd od roku 1867 taksy szkód nie układały.

Mamy nawet okolice, gdzie sądy gminne i zjazdowe ledwie ze słyszenia, z przypomnień w wyrokach senatu, coś wiedzą o taksach polnych, bo ich odpowiednie komisye włościańskie nie ogłaszają, a postanowienia Komitetu urządzającego w tej materji na oczy nie widziały.

Wobec tendencji unifikacyjnej w prawodawstwie nie od rzeczy będzie przypatrzeć się systemowi ochrony własności rolnej, istniejącemu w Cesarstwie, o ile że o przedmiocie tym zapewne będzie mowa w komitetach gubernialnych.

Wynagrodzenie za szkody polne w Cesarstwie nie należy do sądów, lecz do administracyi wiejskiej i komisarzy włościańskich („mirowyje posredniki“). Stosowne przepisy zawiera dodatek do uwagi I pod art. 31 części III oddzielnego dodatku do tomu IX praw stanowych. Poszkodowany, jego zastępcy, domownicy, służba, robotnicy mają prawo aresztować zwierzęta, spotkane w szkodzie. Jeżeli pomiędzy stronami nie nastąpi porozumienie, właściciel zwierząt obowiązany jest uiścić odszkodowanie podług taksy polnej, albo podług oszacowania, tudzież zwrócić koszty żywienia zwierząt, którym fantujący musi dać jeść. Taksę szkód układa peryodycznie zjazd powiatowy komisarzy, a zatwierdza komisya gubernialna włościańska, w guberniach zaś samorządnych — władze ziemskie. Za opór, stawiony przy fantowaniu, o ile nie popełniono cięższego wykroczenia (pobicie, rany i t. p.), komisarz nakłada grzywny do rubli dziesięciu. Po zafantowaniu poszkodowany najpóźniej nazajutrz winien zawiadomić o szkodzie policję wiejską, to jest sołtysa, bo straż ziemskiej Cesarstwo jeszcze nie zna, i podać żądanie odszkodowania z taryfy, lub z oszacowania, o czem sołtys zawiadamia właściciela zwierząt. Jeżeli ten nie jest wiadomy, następują ogłoszenia po sąsiednich wioskach. Szkodę szacuje sołtys w ciągu 48 godzin w obecności stron, o ile się stawia, i świadków. Gdyby sołtys odmówił, wolno do oszacowania wezwać dwu uczciwych gospodarzy, a na sołtysa podać zażalenie do komisarza w tym celu, aby opieszały zapłacił grzywny na rzecz poszkodowanego. Sumę odszkodowania i koszty żywienia zwierząt, na żądanie poszkodowanego, przysądza sąd wiejski (wołosny), lub komisarz, o ile jedna ze stron nie ulega kompetencji tego sądu. Po zapłaceniu sumy zasądzonej, następuje zwrot fantowanych zwierząt, lub ptactwa. W jakim czasie atoli należy wnieść skargę przed sąd, czy komisarza, ustawa nie wspomina, ani też nie mówi, w jakim terminie władze te mają dać decyzję. Gdy właściciel zwierząt nie płaci, sprzedane będą (wszystkie?) z licytacyi w urzędzie gminnym w ciągu dui

dziesięciu na polecenie władzy, która przysądziła wynagrodzenie. Resztę pieniędzy po zaspokojeniu pretensyi za szkodę odbiera właściciel zwierząt, zgłaszający się w przeciągu sześciu miesięcy, poczem pieniądze te przechodzą na miejscowe cele użyteczności publicznej.

Ten sam tryb i warunek niezwłocznego zawiadamiania sołtysa o szkodzie obowiązuje, jeżeli zwierząt nie aresztowano. Odszkodowanie egzekwuje wtedy policya wiejska, jak dług zwyczajny. Skargi o wykoszenie zboża i łąk, uszkodzenie rowów, płotów, drzew przydrożnych, przejazdy po obsianych, lub zaoranych polach (jeździć po ugorach, ścierniskach i cudzych łąkach po spręcie ustawa ros. nie wzbrania), o zabieraniu zboża, siana i ziemiopłodów, nawet złożonych w brogach, stogach i szopach, ulegają kompetencji sądów wiejskich, lub komisarzy włościańskich.

Właściciele ziemscy i gromady wiejskie mogą mianować stróży polnych, których w tej godności zatwierdza komisarz włościański i wydaje im odpowiednie znaki urzędowania, w formie, zatwierdzonej przez ministra spraw wewnętrznych. Co do pozycyi i przywilejów urzędowania, stróże polni przyrównani są do sędziów wiejskich i sołtysów. Za nieposłuszeństwo ich rozkazom grozi kara pieniężna do rubli dziesięciu w drodze administracyjnej i kara sądowa (do rubli piętnastu), a za ublżenie, lub zniewagę czynną (bez ujmy na ciele i zdrowiu) areszt od dni czterech do miesięcy trzech. Czynność stróży polnych polega na dozorowaniu pól od wszelkich szkód, czy przez zwierzęta, czy przez ludzi powodowanych, — na fantowaniu i, co najważniejsza, świadczeniu przed sołtysem, sądem i komisarzem. Ustawa zastrzega, że za fałszywe świadczenie grozi im kara z kodeksu karnego (od więzy prostej do ciężkich robót i dożywotniej deportacyi na Syberyę) i złożenie z urzędu. Przepisy o ochronie pól obowiązują bezwzględnie wszystkich, nawet i wojskowych, — jedynie koni wojskowych i skarbowych fantować nie wolno.

Cały porządek ten miał na myśli Komitet urządzający i dla tego ogłosił taryfę szkód polnych, analogicznie zaś powołano przedtem do życia w każdej gminie sąd włościański, mocno podobny do sądów wołosnych w Cesarstwie, poddany tak samo nieograniczonemu kierownictwu komisarza. Po latach przecież dziesięciu wypadło zrzec się pomysłu włościańskiej sprawiedliwości.

Zastosowanie systemu powyższego ochrony polnej do Królestwa w punktach zasadniczych, przekazanie drobnych sporów o szkody sołtysowi i wójtowi przy równoczesnem zastąpieniu komisarza przez sąd gminny, ustanowienie stałych stróży polnych o pewnych prerogatywach było-by bardzo pożądane. Od woli poszkodowanego zależeć winno dochodzenie szkody w drodze administracyjnej, albo zwyczajnej są-

dowej. Soltys, sprawdzwszy fakt, w razie potrzeby oszacowawszy szkodę, wyda na gotowym druku świadectwo do wojta, ten obliczy sumę należną i, albo przystępuje do egzekucyi, albo, na żądanie którejkolwiek ze stron, odsyła wprost od siebie spór do sądu gminnego, czy też wniesienie go do sądu pozostawia stronie pilniejszej, sąd zaś w ciągu tygodnia wyda wyrok ostateczny, bez zaocznosci, ulegający jedynie odwołaniu kasacyjnemu, o ile spór nie przenosi rubli dwudziestu, w sporach ważniejszych wyrok winien być wydany z rygorem wykonalności bezzwłocznej. Soltysowi za czynność należy wyznaczyć honorarium, płatne z góry przez powoda, a zwracane temuż przez winowajcę.

Przypuszczać się godzi, że wtedy szkody polne ograniczą się do nieuniknionych wypadków. Stały dozór, stała taryfa i szybka procedura będą radykalnem lekarstwem. Oczywiście, opracowanie przepisów specjalnych w granicach obecnego prawodawstwa, wykazanie i zredagowanie pewnych, drobnych zresztą, zmian w ustawach. należy do biegłych prawników.

W kwestyi drzew przydrożnych, obok dozoru i represyi, trzeba działać na dobrą wolę i rozsądek ludności, trzeba zachęcać ją do wysadzania dróg i przekazać jej owoce tej pracy. Przedewszystkiem wypadało-by położyć nacisk na wykonanie starych rozporządzeń z epoki Królestwa Kongresowego, nakazujących wysadzanie wszystkich traktów bitych i powiatowych (drugorzędnych, według przepisów drogowych z roku 1870); dalej, konieczne jest zniesienie rozporządzenia, że właściciel drzewa przydrożnego nie może go wyciąć, póki innego obok nie zasadzi i pozwolenia na wycięcie od rządu gubernialnego nie uzyska; drzewami na drodze, przed rowem, niech rozporządza administracya powiatowa, czy gminna, odpowiednio do kategorii traktu, drzewa zaś za rowem, więc na burcie, lub w gruncie, niech należą do właściciela przyległego gruntu,—w żadnym zaś razie administracya, w myśl artykułu 671 kodeksu cywilnego, nie powinna sadzić drzew za rowem, z wyraźną krzywdą gruntu sąsiedniego.

Nie prędko będziemy mogli obsadzać drogi drzewami owocowymi, choć i takie miejscowości trafiają się (naprzykład głośnie Piekary pod Piątkiem), musimy tedy zaczynać od dzikich: brzoź, olch, akacyi, a choćby nawet topoli i wierzb. Wszystkie drogi publiczne, od wiejskich począwszy, trzeba wysadzić w dwa rzędy, a trakty nadmiernie szerokie w cztery rzędy, kosztem publicznym, to jest z funduszków drogowych i gminnych. Że na cel ten wolno użyć szarwarku, przeto koszt redukuje się do nabycia sadzonek i wyniesie do dwóch rubli za tysiąc, a topolę i wierzbę można mieć prawie darmo. Za wyciętą starą topolę, próchniejącą od środka, na trakcie, można kupić sadzonek na parę

wiorst. Wysadzone gęsto drogi należy objąć formalnym planem gospodarstwa leśnego o kolei 30—40-letniej, rok rocznie porębę ciąć i zadrzewiać, a otrzymamy poważne nadspodziewanie źródło stałego dochodu, które, wobec rosnących cen drzewa i obfitości kamienia polnego, wystarczy na stopniowe wyźwirowanie i należyte utrzymanie dróg w całym kraju, pod warunkiem, rzecz prosta, że system antreprzyz żydowskich, ogólnie dziś do zwirówek stosowany, będzie zupełnie usunięty, a budowa i naprawa dróg odbywać się będzie w rdzenie zmienionych warunkach co do szafowania i kontroli funduszków. Przy wysadzaniu dróg stanowczo głos i udział trzeba zapewnić duchowieństwu wiejskiemu, jeżeli robota nie ma być marnowaniem czasu i sadzonek. Dało-by się wiele zrobić w tym kierunku; można-by obsadzić drogi, rowy, strumyki, rzeki, zadrzewiać liczne pustki po wioskach — i tym właśnie trybem, szczepiąc zamiłowanie do kultury drzew, znacznie wykształcić poszanowanie cudzej własności. Widząc wyraźną korzyść własną, ludność przestanie niszczyć drzewiny, a następnie z gospodarstwa leśnego po drogach przyjdziemy do gospodarstwa owocowego, wysadzając drogi szczepami szlachetnymi.

Nie zdarzyło mi się dotąd spotkać nigdzie wzmianki o użyciu dróg pod lasy, acz nieraz słyszy się utyskiwania, dla czego za granicą drogi są obsadzone jabłoniami i dają pokaźny dochód, a u nas nie podobnego niema. Nie święci garnki lepią, jeno zaczynać trzeba według okoliczności, co widocznie rozumiały nasze komisye, nakazujące jeszcze w roku 1816 wysadzić wszystkie trakty dzikimi drzewami, choćby najmniej odpowiednią topolimą.

Pozostaje mi jeszcze jeden ważny dział szkodnictwa, wytwarzający trwałą waśń i pieniactwo pomiędzy sąsiadami: niszczenie znaków granicznych, jak miedze, rowy i kopce, dla „rozszerzenia“ posiadłości. Spory graniczne ciągną się w nieskończoność i każdą ze stron kosztują więcej, niż warta sporna przestrzeń. Zdawało-by się, że kopiec pozostaje stale, jako świadek granicy,—aliści sąsiad podoruje go z jednej, a podsypuje z drugiej strony, i cała granica płynie w suchem morzu. Każdy dbać musi o swoje granice i w ciągu półroczu występować przed sąd gminny, lub pokoju, w razie wzruszenia granicy przez sąsiada. Właściciel nie zawsze jest na miejscu, zastępca (dzierzawca, opiekun nieletnich) nie dba o cudze mienie, a po roku i dłużej już wypada prawować się przed sądem okręgowym i izbą sądową, co bardzo kosztuje. Sąsiad przyoruje tak niewiele, pół skiby tu i owdzie na zimę, że gdy się spostrzeżesz, już termin dawno upłynął, i ani sposób dojść, kiedy i ile przyorał. Granic, szczególnie pod panowaniem szachownic, moc wielką; w polu czasem skrawek parocalowy udaje miedzę, czasem brózda udaje granicę, w łąkach zaś jakiś krzaczek, kamień, albo dołek zarosły graniczy, a najczęściej żadnego znaku nie-

ma. Rów, jeżeli był, to zarósł bez śladu, bo drobny właściciel uważa go za psucie ziemi, skoro zbytnią wodę słońce wypija. W sporach włościańskich decyduje komisarz i z zasady, nie uznając przedawnienia z kodeksu cywilnego, szuka granicy w dacie uwłaszczenia (rok 1864) na podstawie zeznań świadków, a świadkowie, kumotry i przyjaciele stron, kłamią, albo płaczą bez ładu. Gdzie przeprowadzono odgraniczenie gruntów włościańskich na mocy prawa z roku 1881, — a takich wiosek mamy zaledwie część trzecią, tam prawnie można powołać się na mapę urzędową i żądać sprawdzenia. Powagę bezwzględnią mają te mapy w sporach różnych wiosek, ale dla sąsiadów z tej samej wsi są dowodem, jak każdy inny, albo i żadnym. I tutaj granicę zazwyczaj ustalają świadkowie, albo domniemania komisarza. Po ustaleniu granicy po paru miesiącach ani znaku z komisarskich paliaków i kopczyków; strony znowu się skarżą i znowu zjeżdża komisarz...

Za niszczenie znaków komisarskich grozi więź, lub grzywny (do rubli pięciuset!), ale proces karny w sądzie okręgowym i izbie sądowej trwa długo, do trzech lat, świadkowie obu stron dają zeznania tak sprzeczne, więc represya karna słabo broni granic. Znacznie wszelako gorzej jest z własnością nieukazową, hypoteczną. Tu bodaj niewiedomo, jak swego dochodzić po upływie paru lat od przywłaszczenia i czem się bronić, skoro mapy prywatne nie są dowodem urzędowym, a nie każda własność jeszcze je posiada. Skoro na dolegliwość jakąś w sferze ekonomiczno-prawnej rolnej wypadnie szukać rady, najpewniej zwrócić się do dziennika praw Królestwa Polskiego:

W tomie IV-ym tegoż dziennika pod dniem 4 (16) kwietnia roku 1818, znajduję:

„Wszem wobec i każdemu... Obywatelom Królestwa Naszego Polskiego wiadomo czynimy, iż Izba senatorska i Izba Poselska... uchwaliły co następuje: prawo o normalnem rozgraniczeniu dóbr wszelkich nieruchomości gruntowych w kraju Królestwa Polskiego“.

Prawo to o 55 artykułach nakazuje dokonać rozgraniczenia wszystkich dóbr bez wyjątku w ciągu lat trzynastu od zaprowadzenia organizacyi konstytucyjnego sądownictwa pod kierunkiem sądów ziemskich i zjazdowych, tak co do granic spornych, jak i niespornych, przepisując szczegółowo przyspieszony sposób postępowania. Protokół rozgraniczenia, lub wyrok sądowy, ustalający granicę, z dokładną mapą, sporządzoną przez patentowanego geometrę, poświadczoną przez strony i delegowanego sędziego, ma być złożony w kopiach wie-

rzytelnych do księgi hipotecznej, oryginały zaś w archiwum sądu ziemskiego zachowane. Granice oznacza na gruncie gieometra pod dozorem sędziego i w obecności stron, na załamach i w węglach sypie kopce przepisanej miary (dwanaście łokci w obwodzie), w środek kopców kładzie niewielki przedmiot trwały: cegłę, szkło, butelkę metalową. Na bagniskach i w lotnych piaskach, zamiast kopca, mają być słupy kamienne, albo murowane, w ostateczności mocne drewniane. Miedze winny trzymać obowiązkowo cztery łokcie szerokości, zarówno w polach ornych, jak w lasach i łąkach. Paragraf końcowy głosi:

„Miedze i znaki graniczne, przez strony rozgraniczone starannie w najlepszym stanie utrzymywane będą, odnawianie ich urzędowe co lat dwadzieścia pięć ma następować, którego gdyby jakiegobądź posiadłości właściciel zażądać w czasie przyzwoitym zaniedbał, karze pięćset złotych ulegnie“.

Zapowiedziane sądy ziemskie i zjazdowe do skutku nie przyszły, przed upływem lat trzynastu od daty prawa nastąpiły lata 1830 i 1831, a potem inne czasy przyszły. Trybunały cywilne, zorganizowane samorządnie przez dawne sądy, bez rozkazu prawodawczego, dokonywały rozgraniczeń spornych na żądanie strony pilniejszej, kierując się prawem sejmowym z roku 1818, ale ogólnego rozgraniczenia dotąd nie mamy.

W roku 1900 departament cywilny senatu powołał się na rzezione prawo, jako na przepis obowiązujący ¹⁾. Rozumieć tedy wolno, że całe prawo to, skoro nie było cofnięte, mocy nie utraciło, że należy jeno sąd ziemski i zjazdowy zastąpić sądem okręgowym, a w całej pełni winno znaleźć zastosowanie. Niewątpliwie, ustalenie granic w sposobie ustawy z roku 1818 i obowiązkowe odnawianie kopców co lat dwadzieścia pięć przecięło-by stanowczo przywłaszczania sąsiedzkie i płynące z nich pieniactwo. Już to na zbawiennych pomysłach nie zbywało nam, tylko wykonanie nie odpowiadało zamiarom.

A wniosek praktyczny?

Niech interesowani ziemianie, uczestnicy komitetów gubernialnych, wnoszą o wykonanie dawniej obowiązującego prawa z przekazaniem sporów o odnowienie miedz i kopców sądom gminnym.

JÓZEF BIAŁOKUR.

¹⁾ Wyroku № 19 z roku 1900.

Pogadanka artystyczna.

Z Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych: Druga wystawa Krakowskiego
Towarzystwa sztuki stosowanej.

Lekka i rzewna, w rzewności zalotna i wesola—od wieków płynęła po ziemi naszej pieśń ludu polskiego; płynęła pod falą wiślaną i z falą, płynęła po jej dopływach — Narwi, Bugu, Wieprzu, Pili-cy, Nidzie i Sanie; objiała się o pnie borów odwiecznych na równinach Mazowsza, o knieje wzgórz Krzyża - Świętego, zabiegała ku Podha-lu, a Wartą żółtonurtną witała echa swoje na niwach Polski Wielkiej.

Od wieków głos fujarki rozlewny powtarzał ją na łąkach i pastwiskach, od wieków grzmiały po chatach powłóczyście oberki mazurskie i harde krakowiaki, a po dworach szły dźwięki poloneza.

I oto wszystkie melodie tej pieśni, śpiewane głosami ludzkimi, fletnią, cymbałami, basetlą, skrzypką i bębniem warczącym, rodzime, błakające się długo po obszarach czasu i miejsca, utkwily wreszcie w duszy jednego człowieka, a rozpięknione jego ku nim miłością, w jego muzyce przelały się w dźwięki przedziwne. Zrodzone na po-lach i pod strzechami — dziś, jak głos nieśmiertelności, odzywają się z sanktuarium przybytków sztuki wielkiej...

To muzyka Chopina.

Niby dekoracyę dla tych melodyi stworzył lud zdobnictwo swo-je: szczerotę rodzimych dźwięków przetransponował na barw tony; tę samą zalotność włożył w stroje, tą samą radością życia i prostotą uczuć i myśli nacechował motywy poszczególne. Do dziś żyły one ży-ciem rodzimem, jak melodie ludu przed Chopinem; niejedne zapew-ne zginęły, na ich miejsce powstały nowe, z nowych pojęć cywiliza-cyjnych zrodzone; opieka nauki otacza je już oddawna, tylko Chopin sztuki plastycznej jeszcze się dla nich nie zjawił. Czy się wogó-le zjawi, czy w jednej osobie, czy w siłach zbiorowych, to przyszłość pokaże.

*

*

*

Podstawą jej są wystawy takie, jak obecna. Składa się ona z dwóch części. Pierwszą stanowi materiał, zatytułowany: „Sztuka ludowa i zabytki budownictwa”, oraz „pasy polskie”; druga obejmuje przedmioty usiłowań współczesnych, dążących do wytworzenia na tle motywów ludowych sztuki o charakterze narodowym.

Część pierwsza ilością eksponatów znacznie, bo w dwójnasób, przewyższa drugą — i słusznie. Im więcej bowiem uda się zebrać materiału i im więcej uprzystępni się go pragnącym korzystać z niego, tem pewniejsze i obfitsze będą rezultaty usiłowań.

Z natury rzeczy należy rozpocząć przegląd wystawy od działu sztuki ludowej, jako materiału.

Dwie zawierające ją sale spotkały się z dość powszechnym zarzutem, że mają charakter wystawy etnograficznej. Po części jest to uwaga słuszną. Podobieństwo wystawy sztuki ludowej z etnograficzną jest istotnie blizkie, lecz niezupełnie; różnica, jaka zachodzi między niemi, jest tak jasna, że mówić o niej było-by zbyt bezcelnem. Podobieństwa zaś nie można było uniknąć. Poczucie estetyczne ludu, oraz potrzeba wypowiedzenia się z niego zwykły ujawniać się zawsze i wszędzie przedewszystkiem w przedmiotach użytku codziennego, a więc w ubiorach, sprzętach, naczyniach i narzędziach, z konieczności przeto przedmioty te musiały się znaleźć na wystawie. Wprawdzie pozoru owego uniknąć-by można, przedstawiając bądź przedmiot potrzebny, bądź jego ozdobę w rysunkach, lub fotografiach: zważywszy jednak, że reprodukowanie ręczne, mimo wysiłków reprodukującego, zatracą często charakter rzeczy właściwy, następnie, że reagowanie artysty, oglądającego go w celu czerpania z niego bezpośrednio, musi być silniejsze, niż poznawanie go z reprodukcji, i że zarówno mniej pewne reprodukowanie ręczne, jak ściślejsze mechaniczne tej ilości przedmiotów pociągnęło-by za sobą koszt znacznie większy, niż ugrupowanie ich,—łatwo pojąć, iż pozór ów muzealno - etnograficzny wystawy był nieunikniony. Nie przeszkadza on atoli w osiągnięciu wrażeń czysto estetycznych, gdy się wystawę oglądać będzie z właściwego punktu widzenia i z właściwem wniknięciem w istotę jej wartości.

Główną jej cechą jest różnorodność sposobów zdobienia, oraz motywów ornamentacyjnych, ożywionych nie tylko swą urodą rodzimą, szczerością i weselem, lecz i logicznym związkiem rozwojowym i pewną psychiką ornamentu. Ozdoby *snycerskie*, w większości wypadków o charakterze więcej rytowniczym, niż rzeźbiarskim, *wycinanie* z papieru deseni barwnych, *malowanie* i *haft* składają się na różnorodność sposobów zdobienia; różnorodność zaś motywów zdobniczych stanowią linie wszelkich postaci: proste, krzywe, łamane, układane w kratki, kółka, romby, gwiazdy i t. p., nacinane na przedmiotach z drzewa, lub malowane na pisankach, niejednokrotnie przypominające podobne ozdoby na wykopaliskach z epoki człowieka pierwotnego, bogatsze atoli od nich, logiczniej związane i z większym poczuciem zastosowania do przestrzeni. Ozdoby te pokrywają zakończenia od kądzieli i kijanki żmudzkich, łyżniki, oraz czerpaki zakopiańskie i śląskie, łącząc się często z *motywami roślinnymi* bądź o zupełnie prymitywnej formie, bądź uszlachetnione, jakby stylizowane, jak na przykład na przedmiotach zakopiańskich. Należy tu zaznaczyć, że wyroby żmudzkie, zebrane w pięknej kolecey p. Brensztejna, w rysunkach, i w przedmiotach łaskawie przezeń na wystawę nadesłane, posiadają wielkie powinowactwo motywów z zakopiańskimi. Cechę charakterystyczną, im tylko właściwą, stanowią fantastyczne jakieś, o węzłowych formach, ornamenty, powtarzające się na krzyżach i zakończeniach kądzieli.

Najmniej liczne są *motywy zwierzęce*; tam zaś, gdzie ręka jakaś odważyła się na odtworzenie zwierzęcia, jak na przykład na jednej z kijanek żmudzkich, lub na czerpaku zakopiańskim, — z ogólnych, nieudolnych jeszcze zarysów widać atoli umiejętność szczerego wypowiedzenia się z myśli przewodniej. Na pierwszej (kijance) szeroką przestrzeń grzbietu doskonale wypełnia naiwnie pojęty obraz, przedstawiający jakieś drzewko, wyrastające z doniczki, na którym siedzi ptak; ku niemu z dołu chciwie spoglądają jakieś dwa zwierzęta żarłoczne, siedzące u podstawy drzewka. Ucho znów czerpaka wspomnianego wyobraża postać wspinającej się łasicy, pragnącej zajrzeć do środka naczynia. Zarówno pierwszy, jak i drugi pomysł, są zastosowane tak trafnie i tak są odrębne w charakterze jako ozdoby, że śmiało wejść mogą w skład stałych motywów sztuki zdobniczej.

Prawdziwie chlubnym dowodem ewolucji artysty ludowego są tak zwane „wycinanki”, świadczące nie tylko o wybitnym poczuciu kolorystyczności, lecz i o pomysłowości w tworzeniu istotnie artystycznie skomponowanych dekoracji. Wełniaki, zwłaszcza wyrabiane przez włóścian w Księstwie Łowickiem, są bez wątpienia jednym z bardzo silnych dowodów istnienia u ludu poczucia pewnych kombi-

nacy barw, w których jedna, postawiona obok drugiej, żywość jej podbija. Ze względu jednak na monotonność deseni ich, mimowolnie przypominających długie a wąskie działki pól chłopskich, leżące jedne obok drugich na niezamąconej niczem płaszczyźnie, oraz na pewną wypadkowość, zależną często od posiadania przez wieśniaków tych, lub owych barwników, wełniaki w porównaniu z wycinankami są słabszym dowodem owego poczucia. Te bowiem, robione z materiału gotowego, obfitującego w różnaitość barw, jakie każdy dowolnie wybrać może, wypadkowości żadnej pod względem koloru nie dopuszczają, nadto bogata wzorzystość ich zadanie wypowiedzenia się znacznie utrudnia. Wycinanki przedstawiają kilka typów ozdób, doskonale dla białych, monotonnych ścian izby wieśniaczej pomysłanych, mianowicie: jako rozety, fryzy, szarfy i paterki. Rozety są zawsze jednobarwne i zdobią zwykle suity; największą ilość ich posiada wystawa z okolic Nałęczowa. Typy pozostałe bogato reprezentuje zbiór L. Stroynowskiego, artysty-malarza, zgromadzony w Księstwie Łowickiem. Zbiór ten jest tem cenniejszy, że wszystkie jego okazy są nabyte wprost ze ścian izb, często pożółkłe, wykonane dla potrzeby własnej, a nie na zamówienie przybysza, które zwykle podniecać ambicję wykonawczyń (wykonują je bowiem zwykle dziewczyny), wobec czego niezupełnie można być pewnym szczerości i oryginalności pomysłu. Wycinanki w postaci szarf bywają umieszczane między obrazami Świętych; na wstęgach ich widać szlaki kwiatów, układanych i nalepianych z listków, wyciętych z papieru, z zastosowaniem różnorodności barw poszczególnie dla łodyg gałązek, liści, środka kwiatu i jego brzegów; wstęgi łączy u góry karkada, zwykle z bibulek kolorowych złożona. Jako fryzy — są one pasami z tłem jasnym, ozdobionymi motywami roślinnymi; niezwykle zaś oryginalną odmianę ich stanowią te, które wyobrażają bądź sceny z życia i zatrudnień ludu, jak orkę, lub pochód na jarmark, naprzykład z nierogatym dobytkiem, bądź też obrządki uroczyste, jak naprzykład wesele. Sceny te, pomimo form nieudolnych, ujawniają duszę chłopca tak doskonale, tak silnie wyrażają wiarę radosną w ważność tego, co z życiem jego jest związane, a nadto, zestawione, tworzą tak doskonałą koncepcję ciągłości fryzu, że wobec nich mimowolnie na myśl przychodzi uroczystość Panatenejska fryzu Partenńskiego. Jako paterki wreszcie, wycinanki mają kształty krążków; tło białe zdobią naklejone kwiaty i liście kolorowe. U ludu zwą się one podobno „talerzami“.

Ozdoby malowane znajdujemy jedynie na kilku skrzyniach (z Krakowskiego i Kujaw), oraz na szafce, kredensie chłopskim. Główny wysiłek zdobniczy jest tu skierowany na przednie najwi-

doczniejsze ściany skrzyń, pokryte, rzec można bez przesady, istnemi dywanami kwiecistemi, podzielonemi na pola i wypełnionemi symetrycznie ułożonemi bukietami. Pomijając jaskrawość, a nawet surowość ich kolorów, przedstawiają one materiał, pod względem układu i motywów tem obfitszy, że obok skrzyń in natura, zbiory akwarel pp. Udzieli i Warchałowskiego, oraz Muzeum Narodowego i Towarzystwa sztuki stosowanej, zawierają liczne wzory skrzyń podobnych, z najrozmaitszych okolic zebranych.

To samo, co skrzynie, rodzime poczucie malowniczości, spokojniejsze atoli i milsze, ujawniają malowidła ściennie w domu chłopca z Bronowic Wielkich pod Krakowem, niejakiego Czepca. Zamieszczone na wystawie kopie ich wykonał z natury artysta-malarz Józef Czajkowski, autorkami zaś oryginałów są córki tego gospodarza. Ozdoby wewnętrzne obiegają ściany w postaci fryzu, naśladowane na wystawie na ścianie papierowej, służącej za tło dla skrzyń. Linie fałiste, między nimi wijąca się latorośl, u spodu tarcze okrągłe, serca i wianuszki, obramione zwieszonemi gałązkami, są ich motywami, nie pozbawionemi wyrazu pewnej stylowości. Między malowidłami zewnętrznymi na szczególniejszą uwagę zasługują ozdoby, otaczające okno. Najnie to sadzą się dziewczęta wiejskie z powodu, że wiąże się z niemi znaczenie symboliczne: są one znakiem dla przechodnia, że w domu jest panna na wydaniu.

Wzywając się w wystawę i wnikając w charakter jej eksponatów, między którymi znajdują się gdzieśniedzie jakieś okazy pojedyncze, a piękne i oryginalne, obok zadowolenia, z jakim się je „odkrywa“, rodzą się wnioski, że są one może jakimś szczupłym tylko dziedzictwem dawnej, bogatej majetności artystycznej ludu, zdobywanej prawdopodobnie dziesiątkami lat, a dziś zaprzepaszczonej. Do takich samotników należą bardzo oryginalne w pomyśle i wykonaniu ozdoby bez nazwy, pochodzące z powiatu Włocławskiego (Katalog, № 176). Są to rozetki, w postaci krążków, złożonych z drobnych kwiatków papierowych, połączonych podstawą wspólną krążka teksturowego. Rozetki te łączy sznurek w jeden łańcuch, który, zawieszony na ścianie tworzy z nich efektowny feston, zdobiący ścianę zarówno wypukłością girlandy rzeźbionej, jak i barwnością, na każdy bowiem krążek inne składają się barwy i formy rozmaite.

Pokrewne pod względem charakteru, odmienne atoli formą i przeznaczeniem, są tak zwane „pająki“, ozdoby, zawieszane u powała, w kształcie niezupełnie miarowej półkuli. Konstrukcja ich jest podobna do wyżej wspomnianych rozet festonowych; spójnią zaś kwiatków, wykonanych z piórek drobnych, lub listków papierowych, zatkniętych w otwory doborowych, grubych słomek, jakby w łodygi,

coraz dłuższe ku wierzchołkowi, a coraz krótsze w kierunku brzegów półkuli, jest kawałek gliny, lub misternie splecione związanie. Jeden z pajaków jest ujęty w podstawę wiklinową, w kształcie koszyka. Obiedwie te ozdoby, feston i pajak, nastroczają formy gotowe, podatne do przyszłego eksploatowania ich nawet jako architektoniczne motywy zdobnicze.

*

*

*

Przechodząc od działu materiału do działu usiłowań w społecznych, spotykamy się z pasami polskimi, jako z materiałem, który w kilku przedmiotach został zużytkowany. Że pasy polskie są źródłem motywów niezmiernie bogatym, by się przekonać o tem, dość jest przyjrzeć się im uważniej; ze względu jednak, że pas taki, nie bacząc na to, czy jest lity, lub nie, cennosć swoją zawdzięcza niezwyklej misterności tkaniny, że cały wdzięk danego deseni jest ściśle związany z misternością wykonania samej tkaniny, za główne i pierwsze należy postawić sobie zadanie, aby motyw każdy, przeniesiony z pasa do tkaniny innej, tak był przez nią przyjęty, by na tem nic ze swego wdzięku nie tracił, jeśli zaś coś niecoś musi utracić, winna mu to powetować bądź nowosć formy jego, bądź zastosowania. Wzór kwiatu z pasa polskiego został zastosowany przez F. Bruzdowicza, jako motyw ornamentacyjny do projektu na kilim, wykonany w dwóch egzemplarzach w warsztatach p. Pohlmana ¹⁾. O ile wybór motywu nie podlega żadnemu zarzutowi, o tyle wywołują go, po pierwsze: użycie przez p. Pohlmana za grubego dla niego postawu, który przy najstaranniejszem wykonaniu nie może dać tej subtelności, czystości i ciągłości okonturowań, jakie były-by w tkaninie z postawem drobniejszym, i powtóre: że sam motyw, taki bogaty w swem otoczeniu na pasie i taki „pański” w połyskliwości jedwabiu, tu stał się za ubogim. Sądzę, że wytworzenie z tego motywu całego szlaku, lub deseni więcej złożonego z jakimś uzupełnieniem, dałoby wynik lepszy. Ponieważ jednak jest to kwestya osobistego przekonania, której gołosłownie dowieść nie można, wstawiam ją przeto w nawias, śmiem zaś natomiast twierdzić, iż było-by dobrze, gdyby

¹⁾ P. W. Pohlman przed rokiem założył w Lipnicy, w gubernii Kieleckiej, powiecie Jędrzejowskim, warsztaty tkackie, w których zatrudnia kilkadziesiąt chłopców i dziewczyn wiejskich.

w dziale „usiłowań“, obok przedmiotu, wykonanego na warsztacie specjalisty, znajdował się wzór, zaprojektowany przez artystę. Odnoszę to nie tylko do wypadku danego, lecz do wszystkich rzeczy, których wykonanie było poprzedzone projektem rysowanym, a zwłaszcza kolorowym. Nie chodzi tu oczywiście o względy krytyczne, o przyznanie zalet, lub wytknięcie wad poszczególnie utworowi projektodawcy, lub wykonawcy, są one bowiem w danym razie drugorzędne, lecz o pożytek, jaki z zestawienia tego może wyniknąć. Ze względu, że usiłowania te są dopiero początkiem nagięcia fantazji artystycznej w kierunku danym, i że jeśli w sztuce czystej, wolnej od wszelkiej zależności, talentowi wiele pomaga doświadczenie techniczne, to tem więcej potrzeba go w sztuce tak rozciągłej i tak obfitującej w tajemnice wykonawcze różnych specjalności, jak sztuka zdobnicza. Zestawienie takie daje korzyści poważne: odkrywa ono obustronnie wszelkie niedociągnięcia wykonania do wzoru i wszelkie niedostosowania się wzoru do środków wykonawczych.

Zatrzymując się poszczególnie nad przedmiotami i wymieniając nazwiska autorów ich, winienem się tu zastrzedz, iż pragnę być dalekim od krytyki w ścisłym znaczeniu tego słowa, zwłaszcza zaś od krytyki, rozumianej jako negacja wartości wyszczególnionych przedmiotów, a to z uwagi, najpierw — że są to pionierskie prace dla idei, mogące podlegać nie krytyce, lecz omawianiu wspólnemu, powtóre, że kilka zamówień, poczynionych na kilimy, nie tylko mnie nie dziwią, lecz są mi osobiście miłymi. To samo zaś, co powiedziałem o kilimie, wyżej wymienionym, odniósł-bym z pewnemi małemi modyfikacyami zarówno do innych kilimów, jak i do innych przedmiotów. Wrażenie ogólne, jakie się otrzymuje, jest, że w „usiłowaniach“ tych widać silne niewolnicze trzymanie się pierwowzorów, jak gdyby pewną obawę pójścia dalej w kierunku rozwoju ich, w dążeniu do zmniejszenia charakteru prymitywności na coś doskonalszego, odpowiadającego gustowi, wyrobionemu już na kulturach rozwiniętych. Gwoli lepszemu oświeceniu rzeczy, zestawmy jedyny przedmiot, jaki się z pod tej uwagi usuwa, model willi, projektowanej przez Witkiewicza, z cennym, jako materiał porównawczy, kartonem budowniczego Jabłońskiego, przedstawiającym typ chaty zakopiańskiej. Z prymitywnego, lecz malowniczego i charakterystycznego konstruowania, kształtem ogólnym i ozdobami, typu chaty Witkiewicz drogą przetwarzania, poddania kulturze czucia własnego, stworzył typ willi wytworny, odpowiadający wymaganiom jednostki, przyzwyczajonej do wygód i do otoczenia, zadawalniającego jej wyrobione poczucie estetyczne.

Pokrewieństwo bliźniacze obydwóch sióstr, chaty i willi, pozostało, kultura jednak postać tej drugiej zmieniła, unormowawszy jej proporcye, urozmaiciwszy przestrzenie jej ścian i płaszczyzn, w chacie wyglądające ślepo i nudno, i trafnem użyciem dobrze wybranych ozdób. Czystość i staranność wykonania odgrywa tu oczywiście ważną, choć ostatnią rolę. Słowem, w tym wypadku prymitywność charakteru motywu zniknęła, pozostało zaś tylko jego piękno. Tymczasem prymitywność ta istnieje zarówno w oryginalnych i silnych ekspresyach malowniczości projektach dekoracji kościelnych Wyszyńskiego, jak w łóżku Tichego i innych przedmiotach. Ze szkiców Wyszyńskiego trudno zdać sobie sprawę, jak wyglądały-by dekoracje w formie skończonej, w tej bowiem, syntetycznej, obliczonej na efekt ogólny, formie, bez wnikania w szczegóły, pomimo wielkich zalet malarskich, czynią wrażenie projektów do kościoła drewnianego wiejskiego, jak gdyby specjalnie uwzględniających tak zwaną „toporną” robotę cieśli wiejskiego, krzywiznami swemi i niedokładnościami dla oka malarza wyglądającą ponętnie, lecz nie odpowiadającą wymaganiom wyrobionej sztuki architektonicznej.

Nie mniej oryginalne i śmiałe w pomysle, jak projekty Wyszyńskiego, łóżko Tichego, wykonane kosztem Towarzystwa sztuki stosowanej, jest jedynym na wystawie przedmiotem, jaki powstał całkowicie z pomysłu autora, bez posługiwania się z jego strony jakimibądź wzorami, lub motywami. Obok łóżka wielkości naturalnej, znajduje się jego model mały. Łóżko „wielkie” jest za ciężkie. Grubość nadmierna jego części składowych nie tłumaczy się żadną przyczyną, ani koniecznością. Ponieważ jest ono podobno ściśle pięć razy powiększonym modelem, który wygląda dobrze i harmonijnie, powstaje stąd wniosek praktyczny, że proporcye dobre w modelu małym nie zawsze mogą być powtórzone bez zmian przy wykonywaniu przedmiotu w wielkości wymaganej. Fakt ten, jak i jego przyczyny są analogiczne z faktami, jakie zachodzą przy reprodukcji rysunku, lub obrazu w formacie zmniejszonym, w którym chybień wszelkie giną dla oka łatwiej, niż w formacie większym.

Zważywszy tedy, że z jednej strony projektodawcami ogólnie są tu artyści, już skądinąd znani w sztuce, i że — z drugiej — owa prymitywność wyrobu ludowego przebiega się we wszystkich niemal przedmiotach, pomimo przeznaczenia ich dla sfery nie-ludowej, samo przez się rodzi się pytanie, czy powstała ona z woli i rozmysłu autorów, czy też jest czemś wypadkowo koniecznem. Przeglądając się baczniej produkcjom poszczególnym, dochodzi się do wniosku, że źródło jej leży w osobistym poglądzie autorów na sprawę rozwoju stylu swojego. U jednych (jak na przykład u Tetmajera, projekt sypialni) wi-

dać przekonanie, że motywy, będące właściwością pewnych tylko przedmiotów, używanych przez lud, jak na przykład skrzyń i t. p., należy się starać zastosować do każdego przedmiotu naszego użytku domowego, stosując doń tę, lub inną ozdobę i wyszukując dlań kształtu, charakterem, o ile można, najwięcej zbliżonego do sprzętu, używanego przez lud. U innych prymitywność tłumaczyć należy obawą, aby, dążąc do nadania przedmiotowi projektowanemu odrębności bezwzględnej przy pomocy motywów, gotowych wprowadzić, lecz wyosobnionych z jakiejś całości, przy urabianiu ich i zastosowaniu nie wpaść w reminiscencye stylów, jakimi każdy z nas w znacznej mierze przesiał na mocy przyzwyczajenia i siły sugestyonującej, właściwej wszystkiemu, co się całkowicie i skończenie wypowiedziało. W tym wypadku pozostają przeto dwie alternatywy: albo dać się powodować zdobyczom kultur dawnych i obcych i do pnia jednej z nich przyczepić szczep nowy, lub też z ziarna nasienne, jakim jest motyw rodzimy sztuki ludowej, wyprodukować pień samodzielny sztuki narodowej. W zaraniu przeto nowopodjętych usiłowań widzimy różnorodność kierunków świadomych i umotywowanych, z których ostatni jest wprawdzie najtrudniejszy, wymaga czasu dla wypowiedzenia się najdłuższego, biorąc jednak rzecz najgłębiej, jest najpewniejszy.

Szlachetna porcelana — jako materiał, Sèvres — jako marka fabryczna, Witkiewicz — jako projektodawca, — wszystko to samo już sprawia, że serwis do kawy ¹⁾ jest jednym z tak zwanych „clous“ wystawy. I słusznie. Wygląda on jak herold, zwiastujący zwycięstwo usiłowań, zmierzonych ku wprowadzeniu do skarbnic domowych, wypełnianych dotąd produkcjami obcemi, czegoś, co jeśli nie materiałnie, jak w tym wypadku, to przynajmniej moralnie jest prawdziwym i niezawisłym artystycznym dobytkiem narodowym. Jest w nim atoli szczegół jeden, z którym serwis istnieć może, lecz który zasadniczo nie zgadza się z wyrobem porcelanowym. Wszystkie przedmioty tego serwisu powstały, mniej lub więcej zależnie, z drewnianego czerpaka zakopiańskiego. Bardzo piękne i oryginalne w swej formie ucho jego daje się istotnie doskonale zastosować do naczyń, wykonanych z każdego innego materiału; w przenoszeniu go jednak z przedmiotu drewnianego na wyrób porcelanowy należy zwrócić uwagę na to, że nie każdy szczegół jego jest ornamentem. Nacięcie, którem uszko czerpaka chwyta za krawędź jego otworu, jest usprawiedliwionym i koniecznym środkiem konstrukcyi drewnianej, *dzięki* której ucho

¹⁾ Wykonany za staraniem d-ra K. Benniego.

trzyma się naczynia, i *skutkiem* której sięga do jego wnętrza. W porcelanie konieczność ta upada: wysunięcie części uszka do środka naczynia nie usprawiedliwia się niczem, z charakteru swego ozdobą nie jest, a nadto w pewnej mierze utrudnia czyszczenie przedmiotu, zwłaszcza w dany sposób używalnego. To też jest to zapewne dziełem specjalisty-wykonawcy, że grubość występujących części uszek nie w każdym naczyniu jest jednakowa, jak gdyby dążąc do nieistnienia zupełnego. Uwaga powyższa ma na celu poruszenie sprawy zasadniczej, której pominięcie w wypadkach innych ważniejsze, niż w danym, może mieć znaczenie, mianowicie—konieczności odróżniania środków konstrukcyjnych od motywów ornamentacyjnych. Całą zaś doniosłość tej zasady zrozumie każdy, kto zapragnie naprzykład wzorów budownictwa drewnianego, obficie zgromadzonych na wystawie, użyć za źródło motywów wykonalnych z cegły, lub kamienia.

*

*

*

Poczytać to należy za objaw, rokujący dobre nadzieje, że sprawa sztuki zdobniczej żywo zainteresowała koła szersze, a zwłaszcza rzemieślnicze. Znamiennymi są tu fakty konkursów, byłego, ogłoszonego siłami wspólnymi trzech zakładów: stolarskiego, pozłotniczego, i tapicerskiego (pp. Adamiak, Sapięha i Wędrychowski), i nowego na inicjały i ozdoby, którego warunków ułożenie firma „Laskauer i Babicki“ powierzyła Towarzystwu sztuki stosowanej. Znamiennym również jest głos jednego ze współpracowników „Gazety Rzemieślniczej“, który w zbyt ostrym może tonie dopomina się o prawa dla każdego, kto w ruchu tym uczestniczyć pragnie. Dobre atoli chęci są dopiero w połowie rękojmą powodzenia sprawy, reszta zaś zależy od dobrej woli zrozumienia i uznania konieczności warunków, bez których rozwój jej istnieć nie może.

Sztuka „stosowana“ ze swego tytułu nie jest u nas nowością. Tysiące pater, stolików, stołków, ekranów i t. d., wypalanych i malowanych z najędźniejszych wzorków niemieckich, mrowiem rozchodziły się z rąk całych legionów niepowołanych producentów i producentek. To właśnie nazywało się sztuką stosowaną. Wyroby jej przez czas długi siały między ogół deprawację gustu. Wszelkie zaś zakłady, wyrabiające tak zwane przedmioty zbytku, posługiwały się bądź gotowemi szablonami obcemi, bądź wzorami, umyślnie zamawia-

nemi za granicą. Żadnej dążności wytworzenia czegoś własnego, żadnych usiłowań nie było, a najlepszym tego dowodem stawała się każda wystawa powszechna. Myśl przeto, podjęta przez Towarzystwo krakowskie, nadania sprawie organizacyi i postawienia jej na gruncie należytem, jest dla nas społecznie doniosłą, a ustanowienie sądu, kwalifikującego projekty do wykonania, przedmioty zaś wykonane do nazwy artystycznych, słusznie stało się pierwszym założeniem wszelkich innych postanowień. Sądowi temu podlega przeto tak projektodawca, jak i wykonawca. Sztuki zdobniczej nie może robić każdy, lecz ten tylko, kto ma dane po temu, ani bowiem kwalifikacye doskonałego malarza, ani doskonałego specjalisty rzemieślnika nie wystarczają do stworzenia projektu dobrego na sprzęt artystyczny, naczynie i t. p.

Jednym z najważniejszych warunków przyszłego rozwoju sztuki zdobniczej jest unormowanie stosunku wzajemnego między artystami, dającymi projekty, a rzemieślnikami, wykonywującymi je. Zapanaować tu musi porozumienie się zupełne, — na przykładzie przedstawi się to następująco. Artysta zjawia się u rzemieślnika z projektem, dla którego wykonania żąda sposobu, lub środka, odmiennego od zwykle praktykowanego. Ponieważ żądanie to nie zgadza się ze „szkołą“ danego fachu, rzemieślnik, przekonany, może zresztą najśluszej, o swej wiedzy, proponuje jedynie sposób, zgodny z zasadami jego specjalności, żądania zaś uwzględnić nie może, gdyż go nie rozumie. Zważywszy zaś, że sztuka zdobnicza, powstając na motywach nowych, dotychczas nieopracowanych, pociągnąć musi za sobą próby niejednokrotne, odstępujące od przyjętych sposobów rutyny fachu danego, i że skutkiem tego często zdarzyć się może, iż artysta, szukając nowej jakiejś formy, zupełnie racjonalnie nie zadowolni się znajomością specjalności rzemieślnika, i zażąda wyszukania dla siebie jakichś środków nowych, w takim wypadku rzemieślnik musi zespolić się duchowo w eksperymentatorskiej idei i chętnie podjąć próbę, od niego bowiem tylko zależeć będzie rozwiązanie zadania pomyślne. Z drugiej strony projektodawca, chcąc żądać od wykonawcy bądź środków nowych, bądź specjalnego zastosowania dawnych, sam je musi poznać dokładnie, teoretycznie, zaznajomić się musi z tajemnicami warsztatu: dając projekt na dywan, winien znać cały proces tkacki, projektując meble — winien umieć swobodnie porozumieć się ze stolarzem. Sądził-bym, iż jest to nie mniej ważne, jak znajomość samych motywów zdobniczych.

Wracając raz jeszcze do motywów, należy nadmienić, że ponieważ z chwilą zwijania każdorazowego wystaw materyał ich znika dla ogółu, powracając do właścicieli, przeto Towarzystwo sztuki sto-

sowanej postanowiło wydawać zeszytami reprodukcje z motywów poszczególnych. Pierwszy zeszyt tego wydawnictwa ma się ukazać niebawem.

Nie przesądzając przeto rzeczy na przyszłość, obecnie stwierdzić trzeba, że sprawa sztuki zdobniczej stoi na dobrze, racjonalnie obranym gruncie. Wobec częstych głosów, żeśmy nie stworzyli sztuki o charakterze odrębnym, ściśle narodowym, należy przypomnieć, że archeologia i historia sztuki dowodzą, iż wszędzie, gdzie powstała tak zwana wielka sztuka narodowa, rodziła się ona z zarodków sztuki ludowej. Jest-li to pewnik? Zobaczymy.

KAZIMIERZ BRONIEWSKI.

ROZMAITOŚCI.

LISTY KS. JÓZEFA PONIATOWSKIEGO.

Ks. Józef Poniatowski, bardzo wielbiony, bardzo kochany, pozostał jednak po dziś dzień bardzo mało znany. Postać jego rozplywała się w mętnych dymach taniego, ogólnikowego kadzidla; nie została ujęta w kruszec czynu i czucia własnej jego indywidualności, tak oryginalnej, tak wyrazistej w swoich konturach dziejowych i ludzkich. Tem dziwniejsze to zaniedbanie, im powszechniejsze są honory, oddawane jego imieniu przez swoich i obcych zarówno. Jeśli w burzliwym jego życiu nie brakło pewnych rozdźwięków, przecież uciły one wszystkie nad ciałem topielca z Elstery. Jego stratę oplakiwała Europa pospołu z Polską; Kiedy wdzięczność narodowa zapragnęła uczcić cienie straconego wodza, cesarz i król, Aleksander I, idąc za szlachetnym popędem serca, sam pośpieszył z hojnym datkiem stanąć na czele zapisów publicznych. Wznosi się też obecnie, jak wiadomo, fundowany ze składek publicznych klasyczny Thorwaldsenowski posąg Poniatowskiego na esplanadzie pałacu ks. Paskiewicza — Warszawskiego w Homlu. Jednakowoż, nie jest to zapewne całkiem wystarczające. Należy się chyba pamięci Poniatowskiego inny, pewniejszy od przenośnych śpizowych, niewzruszony pomnik dziejopisar-ski. Gdyby książę był Francuzem, Niemcem, albo Anglikiem, gdyby się nazywał Condé, Marlborough, albo chociażby Blücher, napewno

taki pomnik wystawiło-by mu już oddawna piśmiennictwo ojczyście. On się lepiej od tamtych nazywa, i czystsze od tamtych imion, szlachetniejsze ma brzmienie imię księcia Józefa: z tem wszystkiem, po rycerskim Bayardzie polskim, który był-by zaszczytem każdego narodu, u nas wciąż jeno puste kołace się echo. A jednak pozostały po nim wieloliczne dotykane ślady, wymowne świadectwa pisemne, rozproszone bądź w kraju, bądź na obczyźnie, a które tylko czekają, aby je na jaw wydobyć, zgromadzić, uporządkować, i na nich oprzeć monument, naprawdę godny Poniatowskiego. Lecz nikt dotychczas nie pomyślał na seryo podjąć się tego trudu.

Podjęła się go nareszcie wierna i zbożna ręka młodego historyka, p. Adama Skalkowskiego. Z niezrównaną pracowitością i pietyzmem zbierając od dłuższego już czasu źródła do żywota Dąbrowskiego, natrafił on, podczas mozolnych swoich poszukiwań w Archiwach rządowych paryskich (*Archives Nationales, Archives du ministère des affaires étrangères, Archives de la guerre*), także na całą skarbnicę nieoszacowanych pamiątek po Poniatowskim. W ten sposób zebrał już paręset listów własnoręcznych ks. Józefa. Jest to dopiero piękny początek; dalszego ciągu powinny dostarczyć prywatne archiwa krajowe: a żywym przekonanie, że dzielnej inicjatywie, podjętej z taką energią i poświęceniem przez p. Skalkowskiego, przyjdzie wszelka należna pomoc z tej strony, na której z tytułu powinowactwa, a nawet z tytułu sukcesyi, spoczywają najbliższe obowiązki względem wielkiej pamięci ks. Józefa.

Na razie ze zgromadzonego materiału ofiarujemy czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej“ kilka listów próbnych z ostatniego, najczynniejszego, przedśmiertnego okresu służby krajowej Poniatowskiego:

- I. z Nowogródka, jest jak gdyby przypisem do „Pana Tadeusza“.
- II. ilustruje kłopoty wojska polskiego i drażliwe położenie Poniatowskiego, wnet po wkroczeniu na Litwę;
- III. odsłania dwuznaczną rolę korpusu posiłkowego austriackiego;

- IV i V. oświeclają tragizm walk beznadziejnych po odwrócie z Moskwy;
VI. wyobraża najpóźniejszą pamiątkę po Poniatowskim, kreślony na dni kilka zaledwie przed zgonem.

SZYMON ASKENAZY.

I.

PONIATOWSKI DO HIERONIMA, KRÓLA
WESTFALSKIEGO.

Nowogródek le 9 Juillet 1812 ¹⁾.

„J'ai l'honneur d'annoncer à Votre Majesté qu'aucune des divisions du 5-me corps n'est encore arrivée, la 16-e prendra position, à ce que je suppose, vers les 6 heures du matin, les autres divisions ne pourront rentrer au camp que vers onze heures, ainsi je ne peux m'attendre à voir mon corps rassemblé et toute l'artillerie réunie que vers les 2 heures. V. M. daignera juger Elle même que si Elle voulait faire marcher le 5-me corps demain, il ne pourrait se mettre en mouvement que vers le soir et ce serait probablement sans avoir mangé, car la ville, ne pouvant rien fournir au delà de ce qui est nécessaire au quartier général de Votre Majesté, et toutes les voitures avec les vivres, se trouvant arrêtées par la difficulté du passage au delà du pont sur le Niemen, peuvent être regardées comme perdues, surtout si le 8-me corps suit le mouvement du 5-me. J'attendrai les ordres de

¹⁾ *Nowogródek, 19 lipca 1812 roku.*

„Mam zaszczyt donieść W. Kr. M., że żadna dywizya 5-go korpusu jeszcze nie nadeszła; 16-a, jak przypuszczam, stanie w pozycji około godziny 6-ej zrana, inne dywizye zdążą dopiero na godzinę 11-a, nie będę zatem mógł zebrać mego korpusu wraz z całą artyleryą przed 2-gą po południu. W. K. Mość sam osądzisz z tego, że gdybyś chciał już na jutro wyznaczyć wymaszerowanie korpusu, nie mógł-by on wyruszyć przed wieczorem, i zapewne bez posiłku, gdyż Nowogródek nie może dostarczyć żadnego proviantu ponad potrzeby kwatery głównej W. K. M., zaś wozy z żywnością, zatrzymane skutkiem trudności przeprawy przez Niemen, można uważać za

Votre Majesté avant de donner les ordres de marche. Le camp sera placé au delà de Nowogrodek à cheval sur les deux routes conduisantes à Mir ayant toute la cavalerie sur sa gauche".

II.

DO MARSZAŁKA BERTHIERA.

Au quartier général à Mir le 12 Juillet 1812 ¹⁾.

"Je viens de recevoir la lettre que V. A. S. m'a fait l'honneur de m'écrire en date du 9 d. c. Les reproches qu'Elle y fait à l'armée polonaise au nom de l'Empereur du mauvais esprit qui doit y régner parceque j'ai fait mention des privations qu'elle éprouvait, seraient bien cruelles si chaque jour, chaque heure n'offrait point la preuve constante de son entier dévouement; jamais le soldat n'a murmuré, jamais il n'a témoigné que de l'ardeur et du dévouement; je ne parlerai plus de ses besoins puisque telle est la volonté de l'Empereur, mais j'avais cru qu'il était de mon devoir, tout en soutenant son énergie et son ardeur, de le rappeler pour ses besoins à Celui dont la sollicitude paternelle aime à s'entendre sur tous ses soldats. Nous sommes arrivés ici ce soir et nous repartons cette nuit pour aller coucher demain à Nieśwież, où l'arrière-garde du prince Bagration doit se trouver".

stracone, zwłaszcza, jeśli korpus 8-y idzie śladem 5-o. Będę oczekiwał rozkazów W. K. M., zanim wydam rozkaz do wymarszu. Obóz rozłożony będzie pod Nowogródkiem, na rozstaju dwóch dróg, prowadzących do Mira, mając kawalerję na lewem skrzydle".

¹⁾ *W kwaterze głównej w Mirze, 12 lipca 1812 roku.*

"Odebrałem pismo W. Ks. M. z dnia 9 b. m. Wyrzuty, jakie w nim czynisz, w imieniu Cesarza, wojsku polskiemu z powodu złego ducha, który rzekomo w niem panuje, ponieważ wzmiankowałem o doświadczanym przez nie niedostatku, były-by nader dotkliwe, gdyby każdy dzień, każda godzina nie przynosiły dobitnych dowodów zupełnego poświęcenia, jakim to wojsko jest ożywione. Nigdy żołnierz nie żalił się, zawsze okazywał zapał i poświęcenie. Nie będę więcej mówił o jego potrzebach, skoro taka jest wola Cesarza, ale uważałem za swój obowiązek, podtrzymując zapał i energię wojska, przypominać równocześnie jego potrzeby Temu, który ma we zwyczaju rozciągać na wszystkich żołnierzy swoich ojcowską swoją troskliwość. Przybyliśmy tutaj wieczorem, wymaszerujemy nocą i jutro spoczniemy w Nieświeżu, gdzie powinna znajdować się straż tylna ks. Bagrationa".

III.

DO BERTHIERA.

Au quartier général à Mohylow le 29 Juillet 1812 ¹⁾.

„J'espérais pouvoir mettre aujourd'hui sous les yeux de V. A. S. la situation du V-e corps; mais les régiments qui en font partie ayant marché sans s'arrêter sur Mohylów, où la 16-e division n'est point encore arrivée, ce n'est guère que dans deux jours que je me trouverai à même de la Lui faire parvenir. V. A. S. trouvera les régiments très affaiblis et j'avouerai que j'en suis; moi même effrayé en comparant leur effectif actuel avec celui dans lequel ils ont quitté le pays. Cependant l'étonnement, qu'une telle diminution occasionne, doit cesser lorsqu'on sait les ravages, que le scorbut, engendré par les travaux forcés, auxquels l'armée du Duché a été employée jusque dans l'arrière saison de l'année dernière, y a exercés. Si l'on joint à cette circonstance qu'un tiers de la force des régiments était composé de conscrits nouveaux qui, n'étant au service que depuis quelques semaines, n'avaient encore aucune habitude de la fatigue, on se convaincra alors, que l'armée polonaise, continuellement en mouvement depuis

¹⁾ *W kwaterze głównej w Mohylowie, 29 lipca 1812 roku.*

„Spodziewałem się, że będę mógł złożyć dziś W. Ks. M. raport o stanie czynnym V-go korpusu; gdy jednak pułki, należące do tego korpusu, pomazzerowały wprost do Mohylowa, gdzie nie stanęła jeszcze dywizya 16-a, zatem dopiero za dwa dni będę mógł to uczynić. W. Ks. M. dostrzeże znaczne osłabienie regimentów, i wyznaję, że sam jestem tem przerażony, gdy ich stan czynny, w chwili wyruszenia w pole, porównywan z obecnym. Jednakowoż niepodobna się dziwić takiej stracie, jeśli uwzględnić spustoszenia, wyrządzone przez szkorbut, skutkiem ciężkich robót ziemnych, do jakich używana była armia Księstwa aż do późnej jesieni roku zeszłego. W dodatku, jedna trzecia szeregów zapełniona została przez świeżego rekruta, który, od kilku ledwie tygodni będąc w służbie czynnej, nieprzyzwyczajony jest do trudów wojennych. Łatwo więc zrozumieć, że armia polska, od blisko dwóch miesięcy w ustawicznym ruchu, często pośród okolic zgoła wycieńczonych, musiała stopniowo przerzedzać się nader raptownie, zwłaszcza podczas ostatnich marszów forsowych w drodze do Mohylowa. Skutkiem tego stan czynny V-o korpusu tak został zredukowany, że, jeśli okoliczności nie pozwolą ściągnąć oddziałów, rozłożonych bądź w Grodnie, bądź przy kawalerji gen. Latour-Maubourga, bądź na innych punktach w bliskości Mohylowa, obawiać się muszę, iż korpus V-ty, mimo najlepszą swoją wolę, mógł-by w potrzebie bojowej okazać się nierównie mniej pożytecznym, aniżeli wypadało oczekiwać.

environ 2 mois et souvent au milieu d'une disette presque entière, a dû s'affaiblir successivement d'une manière très rapide, surtout dans les marches forcées qu'elle a fait dans les dernières jours, qui ont précédé son arrivée à Mohylów. L'effectif du V-e corps est par là tellement réduit, que si les circonstances ne permettent pas de faire rentrer bientôt les détachements qui se trouvent tant à Grodno qu'avec le général Latour Maubourg et sur d'autres points plus rapprochés de Mohylów, je crains qu'un jour d'affaire le V-e corps ne soit malgré toute sa bonne volonté bien moins utile qu'on aurait pu s'en flatter. J'espère qu'une partie des hommes restés en arrière par manque de forces, rentrera encore aux régiments, mais en tout cas il était de mon devoir de mettre sous les yeux de V. A. S. les détails ci-dessus..

„...Le prince de Schwarzenberg auquel j'avais écrit pour l'engager à se porter sur Minsk, et qui d'après ce que m'a fait connaître V. A. S., aurait dû arriver avec son corps à Nieśwież le 24 de ce mois, m'écrit que s'étant arrêté à Pruzanna jusqu' au 18, il ne pourra y être que le 28. Je lui ai réitéré encore la demande d'accélérer le plus qu'il pourra son mouvement sur Minsk. J'ai eu avec le colonel comte de Latour, employé à l'état major du prince de Schwarzenberg et qui m'apporte ses dépêches, une conversation trop remarquable, pour que je n'en rende pas compte à V. A. S. En causant avec moi,

Spodziewam się, że część ludzi, pozostałych w tyle skutkiem wyczerpania, wróci jeszcze do szeregów; lecz w każdym razie uważałem za swój obowiązek przedstawić szczegóły powyższe przed oczy W. Ks. M....

„...Ks. Schwarzenberg, do którego pisałem, zachęcając go do marszu na Mińsk, i który, według wskazówek W. Ks. M., powinien był ze swoim korpusem stanąć w Nieświeżu dnia 24 b. m., pisze mi, że zatrzymał się w Pruzanach aż do 18-go, że więc stanie w Mińsku dopiero 28-go. Zwróciłem się do niego z ponownem naleganiem, aby przyspieszył swój marsz na Mińsk. Z pułkownikiem hr. Latourem ze sztabu ks. Schwarzenberga, który mi przywiózł jego depesze, miałem rozmowę tak niezwykłą, że muszę zdać z niej sprawę W. Ks. M. Rozmawiając ze mną o naleganiach, jakie czynię ks. Schwarzenbergowi, zauważył pułkownik, że, według intencji Cesarza, korpus austriacki, podobnie jak i saski, był przeznaczony do osłony Księstwa, że tymczasem Księstwo, pozostawione własnym siłom skutkiem (wymaganych) poruszeń wojsk austriackich, było by zbyt słabe, aby trzymać w szachu korpus Tormasowa *). Odpowiedziałem, że może to i prawda; lecz że zapewne operacye Wielkiej Armii wezmą niebawem obrót dość korzystny, aby odebrać Rosyanom chęć do inwazyi (do Księstwa), lub też aby uzdolnić Cesarza do użycia liczniejszych wojsk z tamtej strony. Dodałem, że wyobrażam sobie, iż w razie nagłego niebezpieczeństwa dla Księstwa, austriacki korpus rezerwo-

*) To znaczy, że z czulej troskliwości o Księstwo, Austriacy radzi-by ze swoim korpusem stać beczynnie na miejscu, zamiast maszerować z armią w głąb Rosyi. (*Przyp. wyd.*).

sur ce qu'on demande au prince de Schwarzenberg, il fit l'observation que comme d'après l'intention de S. M. l'Empereur le corps autrichien avait été, ainsi que celui du général Reynier, destiné à couvrir le Duché, ce dernier abandonné à lui même par le mouvement que feraient les troupes autrichiennes, se trouverait trop faible pour remplir ce but, en tenant en échec le corps de Tormassow. Je lui répondis que cela pouvait être vrai; mais que probablement les opérations de la Grande Armée prendraient sous peu une tournure assez favorable, pour faire perdre aux Russes l'idée d'une invasion, ou permettre à l'Empereur d'employer plus de troupes de ce côté. J'ajoutais, que j'imaginai que, dans le cas d'un danger pressant pour le Duché, le corps de réserve autrichien sous les ordres du prince de Hohenlohe ne resterait pas oisif à la vue des progrès que, faute de défense, les Russes pourraient faire de ce côté. Le comte de Latour me dit alors, que je n'ignorais certainement pas qu'aux termes du traité avec la France, l'Autriche ne s'était engagée à fournir contre la Russie qu'un corps de 30 mille hommes, et que celui du prince de Schwarzenberg étant bien positivement de cette force, le reste des troupes de cette puissance ne coopérerait en aucune manière dans cette guerre; que la destination du corps de réserve en Galicie se bornait à couvrir cette

wy pod rozkazami ks. Hohenlohego nie pozostał-by bezczynnym świadkiem postępów, jakie Rosyanie z tej strony niebronnej mogli-by uczynić. Hr. Latour odparł mi na to, że chyba nie jest mi niewiadomem, iż, według wyraźnego brzmienia traktatu z Francją, Austria zobowiązała się jedynie do dostarczenia przeciw Rosyi korpusu 30-tysięcznego; gdy zaś korpus ks. Schwarzenberga właśnie odpowiada tej liczbie, przeto żadne inne wojska austriackie nie będą żadną miarą brały udziału w tej wojnie; że rezerwa galicyjska przeznaczona jest wyłącznie do osłony tej części posiadłości austriackich, i że takie przeznaczenie rzeczony rezerwy jest dobrze wiadomem *nawet generalom rosyjskim*; że generał Kamenskoj dość długo miał na swoich tyłach korpus ks. Hohenlohego, lecz, oczywiście, nie żywił z tego powodu najmniejszych obaw dla swojej pozycji.

„Zdumiony podobną taktyką, pragnącą pogodzić najsprzeczniejsze interesy, chciałem przekonać się, jak daleko ona sięga, i zapytałem p. Latourco uczynił-by ks. Hohenlohe w takim wypadku, gdyby, będąc w takiej bliskości ks. Schwarzenberga, że mógł-by pośpieszyć mu z pomocą, ujrzał go w niebezpieczeństwie zgniecenia przez przemagające siły rosyjskie, które przecie mógł-by zniweczyć, łącząc się ze Schwarzenbergiem? Czy też pozostał-by biernym świadkiem porażki korpusu austriackiego, nie czyniąc nic, co mogło-by temu zapobiedz? Hr. Latour odrzekł, że był-by to w rzeczy samej wypadek ambarasujący; że on jednak przypuszcza, iż nawet wobec podobnej hipotezy nie pozwolono-by działać innym wojskom, oprócz przydanych już Wielkiej Armii.

„Na tem zakończyła się nasza rozmowa, dość niezwykła w swoim rodzaju. Ponieważ dobrze jest wiedzieć, na co liczyć można w takim wypadku, przeto podaję do wiadomości W. Ks. M. powyższą informację, która doszła mnie przypadkiem, a która świadczy o stopniu zainteresowania, jakie żywi Austria dla sprawy, która powinna była zostać własną jej sprawą...”

partie des états autrichiens, et que cette destination était si bien connue *même aux généraux russes*, que le général Kamenskoy avait eu pendant assez longtemps sur ses derrières le corps du prince de Hohenlohe, sans avoir eu visiblement la moindre inquiétude sur sa position.

„Etonné d'une semblable manière de concilier des intérêts opposés, je voulus voir jusqu' où elle allait, et je demandais à mr. de Latour, ce que ferait le prince de Hohenlohe dans le cas où, se trouvant assez rapproché du prince de Schwarzenberg pour pouvoir le secourir, il le voyait en danger d'être écrasé par des forces supérieures, qu'il pourrait détruire en se joignant à lui? et s'il resterait tranquille spectateur de la défaite d'un corps autrichien sans rien faire pour l'empêcher? Le comte de Latour me répondit que le cas serait effectivement très embarrassant; mais qu'il présumait que, même dans cette hypothèse, on ne ferait point agir d'autres troupes que celles qui sont déjà à la Grande Armée.

„Ici se termina notre conversation, assez extraordinaire dans son genre. Comme il peut être bien de savoir à quoi s'en tenir en pareil cas, je n'ai pas voulu manquer de faire part à V. A. S. de ces données, que le hasard me procure, sur le degré d'intérêt que l'Autriche apporte au succès d'une cause qui devrait être devenue la sienne...“.

IV.

DO NAPOLEONA.

(Janvier, 1813) ¹⁾.

„Sire! Fort de mon devoir et de ma conscience, c'est à ces titres que j'ose adresser directement cette lettre à Votre Majesté. L'esprit de la Nation Polonaise et surtout de l'armée est toujours le même; elles voient toujours dans V. M. leur Dieu, leur Protecteur. Mais la pénurie, l'extrême misère, le dénûment absolu, sont des ennemis bien difficiles à combattre; d'autant plus qu'il ne manque pas d'intrigants et de

¹⁾ (Warszawa, styczeń 1813).

„Najjaśniejszy Panie, powodowany obowiązkiem swoim i sumieniem śmiem zwrócić się z pismem niniejszem wprost do W. C. M. Duch narodu polskiego, a zwłaszcza wojska, wciąż jest niezmienny; w osobie W. C. M. wciąż widzą swoje bóstwo opiekuńcze. Lecz niedostatek, ostateczna nędza, zupełne zbiedzenie, oto są nieprzyjaciele, z którymi nader trudno sobie pora-

mauvais esprits qui cherchent à profiter de cette situation pour faire naître le découragement dans l'esprit des citoyens. Jusqu'à présent tous les efforts de la malveillance ont été impuissants et tout cède à l'ascendant de V. M. et de l'attachement qu'on Lui porte personnellement; mais l'on gémit de l'impossibilité où l'on est de faire ce qu'on désirerait par l'insuffisance des moyens qu'on peut employer et la difficulté de jour en jour croissante des circonstances. Daignez, Sire, au milieu de Vos vastes conceptions, Vous arrêter une seconde sur ce malheureux pays, accordez lui les secours prompts, tels que Votre grande âme les conçoit; c'est leur promptitude qui en augmentera le prix. Songez, Sire, que chaque instant perdu peut être non seulement une perte irréparable pour les ressources que peuvent encore offrir les restes de ce pays, mais même anéantir l'effet de Vos premiers bienfaits. Il faut de l'argent promptement disponible pour donner de la vie et de l'activité à toutes les branches de l'administration militaire, et quelques moyens pour venir au secours des officiers qui, ruinés dans leur fortune, sans paye, ayant perdu tous leurs équipages, se voient réduits à la dernière misère et dans l'impuissance absolue de servir de la manière dont leur dévouement leur fait une loi.

„Daignez, Sire, me pardonner cette démarche: elle part du principe le plus pur, du dévouement le plus entier, n'ayant pour but et pour ambition que de servir V. M. le mieux possible“.

dzić; tem bardziej, iż nie brak intrygantów i ludzi źle myślących, którzy pragną skorzystać z takiego położenia rzeczy, aby wywołać zniechęcenie pośród obywateli. Dotychczas wszelakie wysiłki niechętnych pozostały bez skutku; ogół wciąż daje się pociągać kierownictwu W. C. M. i trwa w przywiązaniu dla Jego osoby. Jednak powszechnie opłakiwane jest istotne niepowodzenie należytego działania, zarówno skutkiem braku środków, jako też z winy coraz trudniejszych z dnia na dzień okoliczności. N. Panie, pośrodku obszernych Twoich widoków, racz przez jedną bodaj chwilę zatrzymać się nad tym nieszczęsnym krajem i udzielić mu rychłej pomocy wedle wskazań wspaniałej Twojej duszy; im śpieszniej przyjdzie ta pomoc, tem będzie szacowniejsza. Zważ, N. Panie, że każda stracona chwila może nie tylko wyrządzić niepowetowaną szkodę pozostałym jeszcze zasobom krajowym, lecz nawet zniweczyć skutki pierwotnych Twoich dobrodziejstw. Trzeba corychlej pieniędzy do dyspozycji dla ożywienia i wprowadzenia w ruch wszystkich gałęzi administracji wojskowej; są też potrzebne pewne fundusze dla udzielenia wsparcia oficerom, którzy, zrujnowani majątkowo, bez płacy, potraciwszy cały swój rynsztunek, znajdują się w zupełnej nędzy i niemożności pełnienia służby w miarę istotnej gorliwości swojej.

„Racz, N. Panie, wybaczyć mi krok mój niniejszy: ma on pobudkę najczystsza, wypływa z najżywszej gorliwości i z tego jedynie dążenia i ambicyi, żeby jak najlepiej służyć W. C. M. Przyjm, N. Panie, hołd głębokiego mego szacunku“.

V.

DO KS. BASSANO.

Austerlitz le 29 Mai 1813 ¹⁾.

„Monseigneur! Je ne saurais laisser partir mr Grabowski envoyé par le major général pour nous porter la nouvelle et les détails de la bataille de Hochkirch, sans profiter de cette occasion pour me rappeler au souvenir de V. E. Je n'ai pas besoin de Lui dire toute la joie que ces victoires suivies de l'Empereur ont excitée parmi nous: l'esprit des troupes polonaises quoique bien jeunes encore est encore tel qu'Elle l'a vu dans toutes les circonstances. Mais plus leur dévouement envers leur Auguste Protecteur est sincère, plus nous regrettons que des procédés qu'il ne m'appartient pas de juger, en nous forçant de prendre une direction si peu d'accord avec nos désirs, nous privent pendant si longtemps de l'avantage de prendre part aux succès de la Grande Armée et de mériter encore la bienveillance de l'Empereur. Accoutumé par les sentiments d'amitié que V. E. a de tout temps bien voulu me témoigner, à Lui parler librement de ce que je sens, je ne puis Lui cacher, que de toutes les situations pénibles dans lesquelles je me suis si souvent trouvé dans le cours de ma vie, aucune n'a été pour moi aussi accablante que celle, dans laquelle je me suis vu placé depuis près de deux mois, et j'avouerai à V. A. que l'inutilité de tous les efforts que j'ai faits pour m'en tirer et pouvoir

¹⁾ *Austerlitz, 29 maja 1813 roku.*

„Mości Książę! Korzystam z wyjazdu p. Grabowskiego, przysłanego do nas od Berthiera z wiadomością i szczegółami o bitwie pod Hochkirchem, dla przypomnienia się przy tej okazji pamięci W. E. Zbytecznem było-by zapewnić o radości, jaką sprawiła w naszych szeregach wieść o ustawicznych zwycięstwach Cesarza: duch, panujący w wojsku polskim, choć bardzo młodem obecnie, jest zawsze ten sam, jaki widziałeś w nim śród najróżniejszych okoliczności. Im szerszem atoli jest przywiązanie nasze dla Wysokiego Protektora naszego, tem bardziej ubolewać nam przychodzi, że skutkiem zarządzeń, o których sąd nie do mnie należy, zmuszeni obrać kierunek, niezgodny z życzeniem naszym, jesteśmy tak długo pozbawieni możności uczestniczenia w sukcesach Wielkiej Armii i zasłużenia sobie na życzliwość Cesarza. Uczucia przyjacielskie, stale okazywane mi przez W. E., przyzwyczyły mnie mówić Mu z całą otwartością wszystko, co czuję. Owóż, nie mogę przed Nim ukrywać, że ze wszystkich trudnych sytuacji, w jakich tak często znajdowałem się w mojem życiu, żadna nie była dla mnie tak przygnębiająca, jak obecna, w której trwam już od dwóch blisko miesięcy; i muszę wyznać W. E., że

agir pour le bien de notre cause et d'après les intentions de l'Empereur, m'a souvent réduit à un état voisin du désespoir. Mais au moins, si je n'ai pu parvenir à amener des résultats conformes à mes désirs, ma conscience me laissera-t-elle toujours le témoignage, de n'avoir rien négligé pour tirer le meilleur parti possible des circonstances dans lesquelles je me suis trouvé; et ma correspondance tant avec le prince vice-roi et le major général qu'avec mr. de Narbonne pourra servir de preuve que j'ai depuis bien longtemps prévu ce qui est arrivé depuis de ce côté et que j'ai fait tout ce qui dépendait de moi pour l'empêcher.

„Mais puisque le sort n'a point permis que les troupes polonaises prissent part aux premières victoires de l'Empereur, au moins serait-il convenable de profiter de cet intervalle d'inaction pour les mettre en état d'être dès leur entrée en campagne aussi utiles qu'elles peuvent le devenir. Instruit de leur dénuement S. M. l'Empereur a généreusement alloué les sommes nécessaires pour les en tirer; mais vu l'extrême lenteur des formes administratives où d'autres raisons dont je ne puis juger, une très petite partie seulement de ces secours nous est réellement parvenue et tous les progrès de la réorganisation de ces troupes et surtout de la cavalerie se trouvent arrêtés. Persuadé, que l'intérêt que V. E. met à l'exécution des vues de Son Auguste Souverain et celui qu'Elle veut bien porter à notre nation, La porteront également à contribuer dans cette occasion au bien de l'armée, j'ose, en réclamant sous ces deux rapports Ses bons offices, La supplier de vouloir bien faire hâter l'envoi des fonds qui nous sont promis et dont il est si urgent de faire usage.

„V. E. me permettra encore de Lui parler d'un objet relatif aux troupes polonaises. Depuis que la division qui est sous les ordres du

bezowocność wszelkich wysiłków, jakie czyniłem, by wydobyć się z tego położenia i móż działać dla dobra sprawy naszej i wedle intencji Cesarza, częstokrotnie doprowadzała mnie do stanu, graniczącego z rozpaczą. Jeśli jednak nie mogłem osiągnąć rezultatów, jakich pożądałem, to przynajmniej mogę świadczyć się sumieniem, że nie zaniedbałem niczego w celu jak najlepszego wyzyskania okoliczności; i korespondencya moja zarówno z wicekrólem Eugeniuszem i Berthierem, jako też z p. Narbonnem, dostarcza dowodu, że przewidziałem oddawna wszystko, co następnie zaszło z tej strony i że zrobiłem wszystko, co zależało ode mnie, dla zapobieżenia złemu.

„Gdy jednak los nie pozwolił wojskom polskim wziąć udziału w pierwszych zwycięstwach Cesarza, należało-by przynajmniej skorzystać z tego okresu bezczynności dla postawienia tych wojsk w jak najlepszym stanie na czas rozpoczęcia przez nie kampanii. Powiadomiony o ich niedostatku J. C. Mość wyznaczył im wspaniałomyślnie sumy niezbędne; lecz na skutek bądź to nadmiernej powolności manipulacyi administracyjnej, bądź też innych przyczyn, o których sąd nie do mnie należy, została nam wypłacona nader drobna tylko część sum rzeczonych, tak, że wszelkie postępy reorganizacyi wojsk polskich, a zwłaszcza kawalerji, zostały powstrzymane. W przekonaniu, że gorliwość W. E. względem wypełnienia widoków J. C. M., oraz życzliwość Jego dla narodu naszego, w równej mierze pobudzą Go w tym wypadku do

général Dąbrowski est séparée de moi, j'ignore absolument ce qu'elle devient, et j'apprends seulement de temps à autre quelques nominations auxquelles je n'ai point eu part. Comme une marche semblable en 1806 et 1807 a occasionné beaucoup d'inconvénients, auxquels j'ai été longtemps sans pouvoir remédier, et qu'elle a même eu une influence défavorable sur l'esprit des troupes, j'ose prier V. E. de vouloir bien faire en sorte que cette division se mette en relation avec moi, et que je sois consulté pour les nominations qu'on propose. J'espère qu'Elle me connaît assez pour ne voir dans ma demande que le désir de maintenir l'ordre dans toutes les parties de l'armée. Veuillez bien Mgr. excuser la liberté que je prends d'importuner V. E. de ces détails et agréez..." i t. d.

VI.

DO NAPOLEONA.

Rohda, 8 Octobre 1813 ¹⁾.

„Sire! J'ai reçu la lettre que V. M. m'a fait l'honneur de m'adresser aujourd'hui. Je m'empresse de mettre ci joint sous Ses yeux le rapport de l'affaire qui a eu lieu à la suite de mon mouvement sur

wstawienia się za armią, ośmielałam się, w imię obu tych pobudek, dopraszać się Jego poparcia w sprawie cośpieszniejszego nadesłania obiecanych nam, a tak nagląco potrzebnych, funduszków.

„W. E. pozwolisz mi jeszcze poruszyć jedną sprawę, dotyczącą wojsk polskich. Odkąd dywizya, będąca pod rozkazami gen. Dąbrowskiego, została ode mnie oddzieloną, zupełnie nic nie wiem, co się z nią dzieje, i tylko od czasu do czasu dowiaduję się o niektórych nominacyach, dokonywanych całkiem bez mego udziału. Podobne postępowanie w 1806 i 1807 roku było powodem licznych niedogodności, którym długo zapobiegać nie byłem w stanie, a nawet wtedy odbiło się niepomyślnie na duchu armii; śmiem przeto prosić W. E. o przedsięwzięcie stanowczych kroków, ażeby dywizya rzeczona weszła w styczność ze mną, oraz, ażeby zasięgano mej rady względem zamierzanych nominacyi. Mam nadzieję, że znasz mnie zbyt dawno, by nie dopatrzeć się w tej prośbie żadnej innej intencji, jak tylko chęci utrzymania porządku we wszystkich częściach armii. Racz wybaczyć, Księżu, że pozwalam sobie niepokoić Cię temi szczegółami i przyjm i t. d.“

¹⁾ *Rohda, 8 października 1813 roku.*

„Najjaśniejszy Paniel Odebrałem pismo, krórem W. C. M. zaszczycił mnie dzisiaj. Spieszę złożyć Mu w załączeniu raport o potyczce, która miała miejsce na skutek mego poruszenia w kierunku Frohburga. Kazałem mojej

Frohburg. J'ai fait occuper la ville (par) mon avantgarde. Je désirerai être à même de pouvoir, comme le souhaite V. M., me rendre également maître d'Altenbourg; mais l'ennemi ayant montré aujourd'hui 2,000 chevaux ici et ayant très vraisemblablement des forces plus considérables sur ce point, éloigné de 4 lieues de Frohburg, il m'est, pour le moment, impossible de tenter cette entreprise avec le peu de troupes dont je pourrais disposer pour cet effet, sans les exposer à un échec probable. Je vais cependant faire pousser de suite des reconnaissances sur Altenbourg pour avoir des renseignements sur les forces que l'ennemi y a portées.

„La conjecture que V. M. a énoncée sur les cosaques que Son aide de camp a vus du côté de Penig, est on ne saurait plus juste et elle se trouve confirmée par tous les renseignements qui me sont parvenus...”.

Podał ADAM SKALKOWSKI.

awangardzie zająć miasto. Będę usiłował również wziąć Altenburg, stosownie do życzenia W. C. M.; lecz nieprzyjaciel pokazał się dziś tutaj w 2,000 koni, najprawdopodobniej w Altenburgu, na odległości czterech mil od Frohburga, posiada nierównie znaczniejsze siły; obecnie przeto jest dla mnie niepodobieństwem podjąć się tej wyprawy ze szczupłymi siłami, jakimi rozporządzam, bez narażenia się na prawdopodobną porażkę. Będę jednak natychmiast posuwał rekonesanse w kierunku Altenburga dla ściągnięcia wiadomości o zgromadzonych tam siłach nieprzyjacielskich.

„Przypuszczenia W. C. M. względem Kozaków, widzianych przez Jego adjutanta po drugiej stronie rzeki, są całkiem trafne i zostały potwierdzone przez wszystkie, dochodzące mnie, raporty...”.

PIŚMIENNICTWO.

Kraszewski: „Polska w czasie trzech rozbiorów 1772 — 1799“. Studium do historii ducha i obyczajów z przedmową prof. Askenazego. Tom I, 1772 do 1787 r.

Od czasu, gdy się powyższe dzieło Kraszewskiego ukazało po raz pierwszy w druku, upłynęło prawie lat trzydzieści. Doba ta nie przeszła bez korzyści dla epoki badanej i ukazało się bowiem sporo przyczynków pod postacią systematycznych studyów lub publikacji nieznanych dotąd źródeł, nie mówiąc już o cennej pracy prof. Korzona, pod tytułem „Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława-Augusta,“ która dorzuciła sporo nowego światła do badanych czasów. Z tem wszystkiem dzieło Kraszewskiego nie straciło po dziś dzień na wartości i dla historii ducha i obyczaju polskiego posiada sporo cennych spostrzeżeń, ujętych w prawdziwie artystyczny obraz.

Dzieło Kraszewskiego poprzedził prof. Askenazy przedmową, wykazującą doniosłość uniwersalno-historyczną faktu rozbiorów Polski. Autor przedmowy zauważył, iż cały wiek XVIII wypełniony jest po brzegi nieprzerwaną koleją tłoczących się obok siebie, krzyżujących się z sobą, prześcigających się nawzajem planów i robót podziałowych. Są one snute i wprowadzane w wykonanie jednym nieustannym ciągiem w najrozleglejszym zakresie i w najrozmaitszym kierunku. Ogarniają swoją siecią wszystkie niemal ziemię i ludy europejskie, daleko nawet przekraczając poza granice ładu stałego tej części świata. Wszystkie te roboty i plany podziałowe, nie tylko były obmyślane i formułowane, lecz wszystkie bez żadnego wyjątku,

w mniejszym lub większym stopniu, były wcielone w czyn realny w ciągu XVIII wieku. W podziałowej pracy znajdowały się obiedwie najmłodsze i najruchliwsze, rozrastające się najśpieszniej i najprzestronniej mocarstwowe potęgi—Rosya i Prusy. Szczególniej w obszarach Rzeczypospolitej polskiej zbiegły się najżywotniejsze interesy ekspansywne: pruskie i rosyjskie. Rolę strony trzeciej, pomocniczej, musiała odegrać Austria, występująca w czynności podziałowej jako mimowolne, powszednie narzędzie, przykładające się skutecznie do przyspieszenia, udoskonalenia, a nawet umożliwienia trudnej operacji podziałowej.

Wyjątkowo chyżemu i zupełnemu przebiegowi rozbiórów Polski, współdziałał w znacznej mierze doniosły współczynnik, a mianowicie niedostateczna odporność Rzeczypospolitej. Obadwa najważniejsze narządy państwowo polskie znajdowały się w XVIII wieku w stanie zupełnego zwyrodnienia. Była to okoliczność tembardziej decydująca, że obydwa te narządy w dwóch kierowniczych państwach podziałowych uległy w tym czasie właśnie potężnej reorganizacji. Pogarszały wreszcie położenie polityczne upadającej Rzeczypospolitej niepomyślne warunki społeczne, które w przeważnej mierze były wspólne Polsce owoczesnej z całą owoczesną Europą. Uciemnienie ludu włościańskiego, poníženie stanu średniego, uprzywilejowane stanowisko szlachty, nietolerancja religijna, ogólny upadek przywilejów, to były chorobliwe objawy, które występowały we wszystkich społeczeństwach XVIII wieku i doprowadziły je też do straszliwych przesileń, w jednym tylko polskim wypadku doprowadzając do katastrofy podziałowej.

W przedmowie oświecił prof. Askenazy zatem fakt rozbiórów Rzeczypospolitej historyzoficznie, wskazał szereg przyczyn i powodów, które wpływały z ustroju i położenia politycznego mocarstw sąsiednich. Wytknął jednocześnie i te powody, które tkwiły w organizmie schorzałym Rzeczypospolitej. Co się tycze powodów pierwszego rodzaju to jest tych, które pochodziły z ekspansywności młodych potęg ościennych, to trudno cośkolwiek dodać do przekonywających wywodów autora. Jako dewizę pracy podziałowej, można zamieścić własne słowa Fryderyka II: *nous communierons du même corps eucharistique qui est la Pologne*, w których przebija się dokładnie dążność i etyka polityczna twórczej podziałowej roboty. Co się jednak dotyczy powodów, które tkwiły w samej Rzeczypospolitej, to sądziłbym, że słaba jej odporność sięga nieco dalej, to jest poza skarb i wojsko. Elekcyjna monarchia i konstytucja oparta na *liberum ve-*

to, oraz konfederacjach, nie tylko że zapobiegały utworzeniu skarbu i wojska raz na zawsze, ale wpływały na zwyrodnienie politycznego obyczaju, niszczyły wszelkie poczucie porządku, szczepiąc natomiast skwapliwie pierwiastki wiekuistej anarchii. Fryderyk II rozpoczął też podziałową robotę, zaraz po wstąpieniu na tron Stanisława-Augusta, niedopuszczaniem żadnych reform konstytucyjnych i podtrzymywaniem tak nazwanej: złotej wolności. Dzięki jego przenikliwości wszelkie dążenia do uporządkowania skarbu i podniesienia wojską mogły być w zarodzie niszczone i złota wolność służyła za osłonę zupełnej bezsilności.

Kraszewski w przedmowie do swego dzieła wystąpił przeciwko Freitagowi, utrzymując, że dzieje można opracować zawsze na nowo stosownie do potrzeb chwili. Historia podług Kraszewskiego, może i powinna być w coraz nowy sposób pojmowana i pisana, gdy postęp rozjaśnia jej horyzonty, nowe światło rzuca, zmienia sceny, bo zmienia nowemi badaniami podstawy, na których się one opierały. W imię też prawdy, a nie potrzeby chwilowej, zamierzał Kraszewski skreślić dzieje ostatnich lat bytu Rzeczypospolitej— ducha i obyczaju Polski. Prawdy szukał autor w poznaniu szczególnie wewnętrznych stosunków kraju, a dzieło jego z uczucia obowiązku powstało i zrodziło się w boleściach. Goryczą zapływało nieraz serce przy pisaniu, pisze Kraszewski, oczy łzami, czoło rumieńcem, stokroć pióro z rąk wypadało, mus jakiś wewnętrzny kazał dokonać, co było poczętem. Zdało się autorowi w sumieniu jego, że ta prawda dziś właśnie będzie nam pożyteczną, jakkolwiek musi być przykrą, że my dziś zacerpniemy nie zwątpienie ale naukę. Epoka ta zawiera cały szereg błędów i win naszych, których się skrywać nie godzi, ale obok nich i czystych poświęceń, i szlachetnych a wzniosłych charakterów wiele. Nie ludzi my się wcale, powiada w końcu Kraszewski, ażebyśmy w tych studyach dokonali nawet tego, cośmy sobie zakładali. Skromna to zaledwie praca, która sobie nie rości prawa do innego, nad ten, tytułu.

We wstępie Kraszewski określa posłannictwo Polski w następujący sposób. Niezaprzeczenie powołaniem jej było cywilizacye zachodu na wschód przenosić; charakteryzując zaś społeczeństwo staropolskie, autor świat szlachecki widział takim, jakim go żywcem Pasek opisywał. „Byli to z koni zsadzeni rycerze z ową fantazyą starą, z ową butą królewiał, z sercem najpocziwszem, z głową rozmarzoną, choć często pustą. Serce ich wiodło, uczucie im torowało. W gniewie zabić gotowi, umiłowawszy, na śmierć szli sami. Opo-

wieść historyczną rozpoczyna Kraszewski od 1764 r. to jest od wstąpienia na tron Stanisława-Augusta. Króla sądzi on bardzo surowo, a wypadki przedrozbiorowe odtwarza pobieżnie, trzymając się przeważnie pamiętników Essena. Nie podobna nawet streszczać pracy Kraszewskiego na tem miejscu; zaledwie zaznaczyć można, że dzieło powyższe ujął autor w w szereg bardzo poważnych oraz interesujących obrazów. Historyoficzne sądy Kraszewskiego grzeszą pobieżną ogólnikowością. Poglądy autora na konstytucję starej Rzeczypospolitej, na warunki ekomiczne i społeczne kraju nie są wyczerpującemi, a nawet dostatecznemi wobec stanu źródeł, jaki był dostępnym swego czasu Kraszewskiemu. Nie można też powiedzieć ażeby autor korzystał zawsze w należytych stopniu z odpowiedniego materiału. Czerpał np. Kraszewski dużo z Essena, a pominął ważny Protokół zaszytych czynności na delegacyi od stanów Rzeczypospolitej na sejmie ekstraordynaryjnym warszawskim do zawarcia traktatów z dworami: wiedeńskim, petersburskim i berlińskim d. 13 maja 1773 wyznaczonej, a dnia 19 marca 1775 roku zakończonej itd. Protokół ów kilkotomowy—czy, w rzeczywistości, dyaryusz, przekonują jednak dokładnie, że już wówczas następowało ogólne otrzeźwienie, i że naród przychodził do świadomości fatalnego swego położenia.

Nie tylko pod względem politycznym i prawnym spotykać się dają niedostatki w dziele Kraszewskiego. Tak samo pod względem społecznym jest ono niewyczerpującem i to z punktu widzenia przed laty trzydziestu. W rozdziałach o Tyzenhauzie i kanclerzu Zamoyskim znajdujemy wiele szczegółów interesujących, ale ogólnikowych a z toku opowieści przekonujemy się, że autor, Kodeksu, czyli Zbioru praw sądowych Zamoyskiego nie studyował uważnie, a tem samem nie scharakteryzował dokładnie reformy włościańskiej, którą krajowi zapowiadała. Kraszewskiemu pozostały też obcemi drukowane naówczas krytyki na kodeks Zamoyskiego (Zdania na Zbiór praw sądowych) które wyraźnie wskazują, co w tym zbiorze uważała szlachta za niebezpieczne, i czego najwięcej się obawiała. Również prywatne reformy włościańskie z drugiej połowy XVIII wieku, które tak dokładnie i umiejętnie przedstawił ks. Tadeusz Lubomirski w swej „Ludności rolniczej“, zostały pobieżnie i niewystarczająco uwzględnionemi. O Komissyach Boni Ordinis (dobrego porządku), które od początku panowania Stanisława-Augusta pracowały gorliwie nad uporządkowaniem gospodarstwa municypalnego, niema ani słowa wzmianki,

Stanowi obyczajowemu szlachty poświęcił Kraszewski część dużą swej pracy. Upadek moralności, zwyrodnienie sumienia obywatelskiego zostały przedstawione w szeregu obrazów, które wstrząsają i wzruszają czytelnika; ale stan ów obyczajów epoki dotyczy jedynie magnatów i karmazynów, szare spóółstwo szlachty, zwłaszcza drobna szlachta, nie posiadająca chłopówi będąca prawie w poddaństwie biskupów i magnatów, nie została nawet pod względem obyczajowym uwzględnioną należycie i pozostaje dla nas zawsze tłumem prawie nieznanym. Obyczajowość mieszczan i wólcian pozostała Kraszewskiemu również obcą, a jednakże ks. Tadeusz Lubomirski potrafił nam opowiedzieć tyle ciekawych szczegółów o typach dzielnicowych wólcian polskich, o ich przymiotach i przywarach, o ich wytrwałości w pracy i przywiązaniu do ziemi.

Choć-byśmy jednak wyszukali całe szeregi zarzutów, odnoszących się do pracy Kraszewskiego, sąd ogólny o niej będzie dodatni i poczytuję to za zasługę wydawcom, że dzieło powyższe przedrukowali. Studium bowiem obszerne, rozbiorów Rzeczypospolitej dotyczące, pisał Kraszewski bez żadnej ubocznej tendencji, w szczerem umiłowaniu historycznej prawdy. Ta myśl przewodnia i to przewodnie dążenie sprawiły, że czytelnik ma przed sobą produkt naukowy dobrej wiary i owoc gruntownego rozmyślenia i refleksyi. Kraszewski nie skrywa objawów najbardziej upokarzających, a nie skrywał ich rozmyślnie dla tego, żeby z ich ujawnienia i poznania wypłynęła zdrowa, trzeźwa nauka. Pochlebstwo wogóle, a schlebianie narodowym słabostkom w szczególności uważał on za niegodne poważnego historyka i dlatego-to jego praca przedstawia po dziś dzień rzetelny interes i mieści się w niej niejedna poważna nauka.

A. R.

Des syndicus der Stadt Danzig Gottfried Lengnich, Jus publicum civitatis Gedanensis oder der Stadt Danzig Verfassung und Rechte. Nach der Originalhandschrift des Danziger Stadtarchivs herausgegeben von dr Otto Günther htdtbbibliothekar zu Danzig. 1900. (Quellen und Darstellungen zur Geschichte Westpreussens).

Dr Otto Günther, bibliotekarz miejskiej biblioteki Gdańska, sprawił nam miłą niespodziankę, drukując rękopiśmienne dzieło Lengniicha, p. t.: „Konstytucya Gdańska i jego prawa”. Manuskrypt znajdo-

wał się w archiwum miejskiem Gdańska, wydrukowany też został po niemiecku, to jest w języku, w jakim Lengnich dzieło napisał. Dr Günther poprzedził pracę krótkim rysem biograficznym, opartym na notatkach, w rodzaju testamentu, który Lengnich po sobie pozostawił. Z nich dowiadujemy się, że Lengnich do 85 roku życia wytrwale pracował, pozostając niezmiennie wiernym i przywiązanym poddanym Rzeczypospolitej polskiej. W sali gdańskiej obrad, ówczesny sekretarz miasta, Fryderyk Wahl, zamieścił także wiersz, upamiętniający cześć, jaką dla niego miasto Gdańsk żywiło. Wiersz ten przypomina: *Publica iura cadunt, cadit et Lengnichius ipse—Multum pro patria, patrio pro jure laborans, — Scriptis et meritis vir clarus plenus et annis.* W krótkiej przedmowie Godfried Lengnich daje treściwy przegląd wszelkich manuskryptów, które przeważnie historii praw miasta Gdańska poświęcone były. Tym sposobem podaną nam została przedmiotowa krytyka źródeł historycznych Gdańska, a na czele zamieścił autor dedykację, poświęcającą całą pracę: *dulcissimae patriae.*

Kto tylko przeglądał dzieło Lengnicha, prawu państwowemu Królestwa polskiego poświęcone, ten niewątpliwie w konstytucyi Gdańska i jego prawach doszuka się tejże samej systematyczności, tejże samej zdumiewającej erudycji, która wszystkie, dotychczas wydane jego prace znamionowała. Lengnich w monografii, wydanej przez d-ra Günthera, przedstawił historię praw i zwyczajów miasta Gdańska w takiej pełni i z taką ścisłością, że istotnie trudno-by się doszukać szczegółów z organizacyi, lub zarządu miasta, który-by pod względem zrozumienia, lub historycznego przebiegu, mógł pozostawiać jakie poważniejsze wątpliwości. Powstanie municipium, przywileje za rządów krzyżackich i doba należenia do Hanzy, wszystkie te ważne momenta zostały uwzględnione z wzorową starannością i nadzwyczaj szczegółowo. Stosunek Gdańska do Królestwa Polskiego został scharakteryzowany, jako węzeł poddańczy municipium, czyli miasta względem króla. Rzeczpospolita polska nie miała udziału w zwierzchnictwie i, logicznie rozumując, Gdańsk należał do Królestwa Polskiego, ale nie należał do Rzeczypospolitej polskiej, i sejmy walne nie o prawach i przywilejach miasta Gdańska stanowić nie mogły.

Rozdziały pracy Lengnicha, traktujące o królu i jego prawach, są bardzo interesującemi i roświecającemi wątpliwości, które historyczny stosunek miasta Gdańska do Rzeczypospolitej przedstawiał. Nie brakło bowiem w ciągu wieków usiłowań ze strony sejmów i kan-

clerzy, ażeby Gdańsk poddać zwierzchnictwu Rzeczypospolitej. Wszystkie owe dążenia, skryte, czy jawne, rozbiły się o niezłomną stałość stanów miejskich, zwanych zwykle porządkami (ordines). Lengnich stoi na stanowisku prawnem, wyrażonem stale przez reprezentantów miasta. Pomimo całej lojalności, jaką królom polskim okazywał, i pomimo, że zawsze chwalił wierność miasta dla swych monarchów, oraz ofiarności, jaką okazywało Królestwu i Rzeczypospolitej, wyznawał jednak zasadę autonomii municypalnej, podług której (Gdańsk sam sobie nadawał i zmieniał prawa, przy małym bardzo współudziale monarchy. Interwencja władzy królewskiej miała wszakże bezpośrednio pewien praktyczny skutek za Jana III, Augusta II i Augusta III. Zasady autonomicznej nie doprowadzano więc w rzeczywistości do ostatecznych konsekwencji; w teorii jednakże broniono jej uporczywie i wytrwale.

Wiadomo, jaki opór stawiało swego czasu miasto Gdańsk monarsze, który najmniej ze wszystkich elektów miał kwalifikacyi na króla malowanego. Zdawało-by się więc, że miasto, posiadające tak silnie rozwinięte poczucie autonomicznej i separatystycznej siły, nie da się żywiołowi szlacheckiemu wyprzeć z elekcyi królów, ani z sejmów ordynaryjnych Rzeczypospolitej. Stało się i jedno, i drugie, choć może nie z tych powodów, jakich należało się spodziewać w powyższym wypadku. Miasto Gdańsk posiadało niewątpliwie przywilej wysyłania swych reprezentantów na elekcyę królów. Podczas elekcyi Henryka, miasto Gdańsk głosowało za arcyksięciem austriackim, Ernestem, a na elekcyi Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza, Gdańszczanie brali udział w wybieraniu króla. Dopiero od elekcyi Michała miasto Gdańsk zaniechało czynnego udziału, i to bynajmniej nie dla tego, żeby prawo wyraźne, przysługujące mu oddawna, miało być cofniętem, lub zaniechanem. Prymas, tak samo, jak to zwykł czynić na poprzednich elekcyach, zapraszał wszystkie wielkie miasta pruskie na elekcyę. Zwyczaj ów utrzymał się do końca, i wszystkie miasta wielkie pruskie otrzymały zaproszenie prymasowskie na elekcyę Stanisława Augusta.

Rezultaty aktu elekcyi nie były miastu obojętnymi. Lengnich przytacza ciekawy szczegół, że w roku 1575 stany, czyli porządku miasta Gdańska zapytywały deputowanych rady, jak się zapatrują na elekcyę cara moskiewskiego, a przytem trzeci porządek pragnął, ażeby ze wszystkich kazalnicy odbyły się publiczne modły za zgodną elekcyę, i ażeby na niej miasta pruskie nie oddzieliły się od Ziemi Pruskiej. Drugi porządek pragnął, ażeby wybór padł na arcyksięcia Ernesta, na co

rada municypalna odpowiedziała, iż posłom swoim da odpowiednie instrukcje i nad dobrem miasta czuwać nie przestanie. Na zapytanie rady: czy na elekcyę należy posłać szczególnych posłów, odpowiedziały wszystkie trzy porządki miasta potakująco, czując ważność chwili dla całego Gdańska. W roku 1587 zawiadamia rada porządki miasta, że wysyła posłów na pole elekcyjne, zapytując przytem, czy porządki dyskutować będą nad instrukcyami dla posłów, czy też, jak było dawniej, pozostawia tę kwestyę samej racie municypalnej. Porządki pozostawiają instrukcje radzie municypalnej, a trzeci porządek wyraża życzenie, aby we wszystkich kościołach odbyły się modły za zgodną elekcyę. Po skończonej elekcyi, porządkom miasta zdano sprawę z jej przebiegu i zakomunikowano, iż posłowie miasta, zgodnie z instrukcją, głosowali na szwedzkiego księcia.

W roku 1632, ponieważ trzeci porządek zebrał się w niedostatecznym komplecie, rada municypalna, bez porozumienia się uprzedniego z porządkami, wysłała posłów z odpowiednimi instrukcyami na elekcyę, i później dopiero zawiadomiła porządki, iż poleciła posłom głosować na księcia Władysława, z czego porządki miasta okazały się zadowolone. W roku 1660 zapytuje rada porządki miasta, czy na elekcyę mają być wysłani posłowie na koszt rady, przytem prosi o wyznaczenie z łona porządków tajnej deputacyi, ażeby się z nią mogli porozumieć co do tego, coby się na elekcyi dla dobra miasta uzyskać dało. Trzeci porządek był za dawnym zwyczajem, to jest, aby rada wysyłała posłów na elekcyę i odpowiednimi instrukcyami ich obdarzała. Co się zaś tyczy tajemnej deputacyi, to trzeci porządek był zdania, aby kwestye ważniejsze nie w tajnych deputacyach, lecz na ogólnem zebraniu były dyskutowane. Ponieważ jednak co do tego porządki zgodzić się nie mogły, przeto rada zaniedbała wysłania posłów na elekcyę.

Przywilej inkorporacyjny zapewnił również Gdańskowi bytność na koronacyi królewskiej i sejmie, który się w owym czasie odbywał. Jednakże posłowie gdańscy, pomimo, iż byli listem królewskim na koronacyę zapraszani, przybywali później dopiero, na następny sejm, ażeby uzyskać potwierdzenie monarsze dla przywilejów miejskich, albo też załatwić inną ważną sprawę, obchodzącą miasto. Na koronacyi Augusta II-go i Augusta III-go, posłowie jednak dla tego znajdować się nie mogli, że miasto uznało dopiero po koronacyi powyższych elektów za swoich monarchów. Na koronacyę Stanisława Augusta przybył wprawdzie jeden członek rady municypalnej, ale wyłącznie dla uzyskania potwierdzenia przywilejów miasta, a nie dla asystowania przy ceremoniach.

Jakkolwiek miasto Gdańsk nie wysyłało na późniejsze elekcyje królów, poczynawszy od Michała Korybuta, swoich posłów, jednakże nie zaniedbywało innych środków, aby zapobiedz temu, ażeby na tychże elekcyach nie uchwalono czegoś, co by mogło być dla Prus, lub Gdańska specyalnie, szkodliwem. Na elekcyi Michała Korybuta znajdowało się dwóch sekretarzy gdańskich, nie noszących charakteru poselskiego; na elekcyi Jana III znajdował się podszyndyk Gdańska i jeden sekretarz; na elekcyi Augusta II sekretarz, który wkrótce potem został syndykiem; a na elekcyi Augusta III znajdował się sekretarz gdański w Warszawie, który oddalił się z miejsca elekcyi i nie miał żadnej wspólności z tymi, którzy go wybierali, ponieważ miasto Gdańsk uznało Stanisława Leszczyńskiego, który poprzednio wybranym został. Wreszcie i podczas elekcyi Stanisława Augusta znajdował się jeden sekretarz gdański w Warszawie, który się wcale do spraw elekcyjnych nie mieszał i pilnował jedynie tego, co dotyczyło Gdańska i pożytków miejskich.

Zazwyczaj po szczęśliwie dokonanym obiorze króla, posłowie miasta, a wrazie ich nieobecności sekretarze, lub podszyndycy składali nowemu elektowi ustne życzenia. Niekiedy miasto przesyłało wkrótce potem życzenia piśmienne, ale uroczystości w samem mieście miały tylko wtedy miejsce, jeżeli elekcyja wypadła jednomyślnie. Jeżeli wybrano dwóch elektów, wówczas miasto Gdańsk nie oświadczało się za żadnym z nich i wyczekiwało spokojnie koronacyi. Po śmierci Jana III, ponieważ elektor saski został ukoronowanym, miasto nie wpuściło księcia Conti, który z flotą przybył za późno dla przeprowadzenia swej kandydatury. Jedynie w następным bezkrólewiu odstąpiło miasto Gdańsk od swych dawnych tradycyi. Po niezgodnej elekcyi nie czekano bowiem na to, co uczynią opozycyjni senatorowie i panowie, ale przesłano Leszczyńskiemu powinszowania i zarządzono w kościołach zwykle dziękczynne uroczystości. Prawdopodobnie miasto nie uczyniłoby tego, gdyby otrzymało wieści, które mu poczta w cztery dni przyniosła. Pośpiech bowiem w tym wypadku naraził miasto na poważne straty materyalne i szkody, jakie z długiego oblężenia wynikły. Później trzeci porządek czynił zarzuty radzie municypalnej, iż samowolnie w sprawie Leszczyńskiego sobie postąpiła, i nalegał, ażeby w przyszłości nie postępowano w podobnych wypadkach zbyt pośpiesznie bez poradzenia się porządków miasta.

Z równą dokładnością opisuje Lengnich zachowanie się monarchy względem miasta po koronacyi; następnie trojakie potwierdzenie

przywilejów miasta, oraz hołd publiczny, jaki miasto swym monarchom składało. Udział miasta Gdańska w sejmach Rzeczypospolitej został tak samo przedstawiony szczegółowo w historycznym rozwoju. Lengnich wykazuje z niepospolitym zasobem erudycji, że szlachta nie wyrugowała samowolnie posłów miejskich z ordynaryjnych sejmów, ale że zarówno Gdańsk, jak i inne większe miasta pruskie, zaniechały przysługującego im zwyczaju wysyłania deputowanych, jako nie mającego wielkiego znaczenia, a starały się natomiast wysłaćami do monarchy, lub do potężniejszych dygnitarzy, załatwić poza sejmem sprawy, które przedewszystkiem miastu leżały na sercu. Stanowisku Gdańska wśród stanów pruskich poświęcił Lengnich osobny rozdział tak, że możemy się z jego pracy poinformować jak najdokładniej o stanowisku miasta Gdańska w Prusach zachodnich i w Rzeczypospolitej polskiej.

Prawie jeszcze szczegółowiej opisał Lengnich organizację wewnętrzną miasta Gdańska, kreśląc w przebiegu historycznym ustrój municypalny, zakres władzy i stosunek wzajemny porządków miasta. Zarząd wewnętrzny i nieporozumienia specjalnej natury, jakie przeważnie pomiędzy kupiectwem a rękodzielnikami powstawały, odtworzył Lengnich wzorowo i z takim interesem, że trudno uwierzyć, że praca jego prawie pół wieku spoczywała w manuskrypcie. Najdrobniejsze zadanie administracji municypalnej gdańskiej nie zostało przez Lengnicha pominiętem, lub niedostatecznie uwzględnionem. Wszystkie interesy, czy to prawnopañstwowej, czy ekonomicznej, lub społecznej natury zostały odtworzonemi w pełnym historycznym obrazie, przyczem zanotowano starannie każdy anormalny wypadek i wytłómaczono dokładnie powody owej wyjątkowości. Dzieło Lengnicha, konstytucyi i prawom Gdańska poświęcone, zostanie cennem w literaturze naszej i łącznie z historią prawa państwowego i pospolitego przypominać będzie wiecznie społeczeństwu polskiemu ząną i lojalną postać przywiązanego do Gdańska i Rzeczypospolitej polskiej — Gottfrieda Lengnicha.

A. R.

Salka Goldmann: Danziger Verfassungskämpfe unter polnischer Herrschaft. 1891.

Na podstawie źródeł archiwalnych gdańskich i drezdeńskich, oraz przy pomocy pracy Lengnicha i licznych rozpraw, drukowanych w różnych czasopiśmie niemieckich, wydrukowała autorka studium, przedstawiające gdańskie spory konstytucyjne za czasów polskiego panowania. W pracy powyższej uwzględniono treściwie przeszłość Gdańska za rządów zakonu krzyżackiego i zaznaczono wyraźnie, że już w XIV wieku miasto Gdańsk osiągnęło wysoki stopień rozwoju ekonomicznego na podstawie swobód, jakie jej prawo magdeburskie zapewniało. Pomiedzy Gdańskiem a Zakonem krzyżackim istniało jednak współzawodnictwo handlowe, przybierające niekiedy zaostrzony i wrogi charakter. Municipium potrafiło jednakże zwalczyć wszelkie trudności i przeszkody. Mimo wyzyskiwań i ograniczeń przez Zakon krzyżowy, którym się Gdańsk z konieczności poddawać musiał, zdołał się on jednakże wybić na przodowe stanowisko handlowe wśród wszystkich miast, pozostających pod jego zwierzchnictwem.

Ustrój władz miejskich, składający się z rady i ławy, ułatwiał Zakonowi krzyżackiemu wpływ na sprawy municypalne. Rada miejska dzieliła się wówczas na zasiadającą (die Sitzenden, sedentes) i ogólną (vacantes). Podobne odróżnienia istniały także w ustroju municypalnym Bremy, Lubeki i Hamburga. Rada zasiadająca liczyła zaledwie dwunastu członków, i dopóki zarząd miasta spoczywał w rękach szczupłego kolegium, uzupełniającego się przez kooptację, Zakon krzyżowy mógł łatwiej wywierać stanowczy wpływ na kierunek spraw municypalnych, aniżeli w czasach, gdy władza przeszła do liczniejszej rady, w której przeważał pierwiastek miejscowego i niepodległego patrycyatu. Już w końcu XIV wieku, a mianowicie w latach 1382 — 1411, rada ogólna, liczniejsza w składzie, czyli owi vacantes, przychodzą w Gdańsku do większego znaczenia. W tym-to czasie wzrasta się również prąd demokratyczny w społeczeństwie miejskiem wraz z dążeniem do niezależności od Zakonu. Po bitwie pod Grunwaldem Gdańsk pozwolił sobie nawet wypowiedzieć wierność Zakonowi i niechętnie powrócił pod jego rządy. Fakt ten spowodował nawet naprężone stosunki, które jednak potrafił z surową bez-

względnością utrzymać mistrz Zakonu, Henryk v. Plauen. Po jego śmierci, gdy rządy Zakonu przeszły w nieudolniejsze ręce, rada zarządzająca Gdańska musiała przenieść swą władzę radzie ogólnej, a w r. 1457 obie rady zlewają się w jedną rządzącą korporację. Skutkiem owej reformy, noszącej rewolucyjny charakter, rada municypalna składała się z dwudziestu czterech rajców, między którymi było czterech burmistrzów. Kupcy gdańscy mieli na przyszłość dostarczać czterem radców, a rękodzielnicy czterech, jednakże najważniejszą było inowacją, że rada municypalna obowiązana była składać rachunki ze swej czynności przed komitetem z 36 osób, wybranym z pośród obywatelstwa miejskiego. Na początku wieku XVI-go, gdy walka z Zakonem przestała podniecać prądy demokratyczne w społeczeństwie gdańskim, żywioły arystokratyczne w radzie przychodzą znowu do znaczenia. W radzie municypalnej zasiadają tylko nieliczne rody miejscowego patrycyatu, a odpowiedzialność rady przed komitetem obywatelskim ogranicza się jedynie do tego, że reprezentantów gminy miejskiej wzywano tylko wtedy, gdy miasto obarczano nowymi podatkami.

Stanowisko, jakie Gdańsk zajmował po złączeniu się z państwem polskim, dążenia ekonomiczne do wyosobnienia się w organizmie Rzeczypospolitej, jakie podtrzymywane były nawet z wielką stanowczością i ofiarnością przeciw Stefanowi Batoremu, skreśliła autorka barwnie i dość wyczerpująco. Gdańsk, łącząc się z państwem przeważnie rolniczym, które się przedstawiało oku jako jeden niezmierny łąk, falujący zbożem, musiał zapobiegać temu, aby polityka agrarna izby poselskiej, stając się coraz bardziej potężną i wpływową, nie zaabsorbowała wszystkich innych potrzeb przemysłowo-handlowych i nie wyzyskała ich na swą korzyść. Muncypalni mężowie stanu Gdańska zorientowali się szybko, że w państwie o charakterze agrarnym, gdzie gospodarstwo pieniężne znajduje się w niskim stopniu rozwoju, miasto tak bogate, jak Gdańsk, stanie się skarbnikiem, a raczej bankierem państwowym w krytycznych chwilach, i za to wyjątkowe stanowisko zbawcy i dobroczyńcy ma prawo wymagać od monarchów uprzywilejowanego raz na zawsze stanowiska, a w dodatku zabezpieczonego trwale od wszelkich zamachów rycerstwa, a i izby poselskiej.

Od samego początku zespolenia się z organizmem państwa polskiego, to jest od aktu inkorporacyjnego, Gdańsk uważał się za poddanego, czyli uznawał zwierzchnictwo króla polskiego, ale bynajmniej nie Rzeczypospolitej polskiej. Aktem inkorporacyjnym królo-

wie polscy obdarzyli Gdańsk prawdziwie królewską władzą i swobodą. Miasto uzyskało prawo nakładania podatków na gminę, a na rzecz króla ustanowiło bardzo nieznaczne opłaty. Przywilejów, raz nadanych, król nie mógł zmieniać bez zgody miasta. Gdańsk więc zachowywał w Rzeczypospolitej odrębne zupełnie stanowisko, niedopuszczające do obrębu miasta prawodawczej władzy sejmów ordynaryjnych, i nie uznające kompetencji trybunałów koronnych, którym uleść musiało rycerstwo Ziemi Pruskiej. Wrazie, gdyby królowie pragnęli w ustroju miasta przeprowadzić pewne zmiany, aby swój wpływ na sprawy miejscowe powiększyć, wtedy wchodzili z radą w pertraktację i zwykle rzecz się załatwiała pieniężnie. Miasto Gdańsk nie ustępowało zazwyczaj nic z dziedziny swojego samorządu, który ze sfery administracyjnej przeniósł się na sferę polityczną, ale, wchodząc w potrzeby pieniężne monarchy, zaopatrywało skarb królewski w poważniejszą sumę. Pod tym względem Gdańsk był prawie niewyczerpanym w ofiarności, ale od stałego powiększenia podatków na rzecz króla stronił uporczywie, okazując się zawsze konsekwentnym w powyższej polityce.

Wszystkie miasta pruskie, z Gdańskiem na czele, kierowały się polityką ekonomiczną, dyktowaną ich położeniem szczególnem oraz interesami przemysłowo - handlowymi. Gdańsk, zarówno jak i inne większe miasta pruskie, pragnął w sposób monopolistyczny zostać wyłącznym odbiorcą produktów rolnych, dostarczanych przez Polskę, a prócz tego, być wyłącznym dostawcą tych artykułów zagranicznych, które szlachta nabywała za pieniądze, otrzymane w zamian za produkta rolne. Pod tym względem dążenia ekonomiczne Gdańska były niezmiernymi i wytrwałymi. Gdańsk opierał się roszczeniom szlachty pruskiej, domagającej się prawa urządzania składów w mieście i sprzedawania swego zboża bezpośrednio kupcom zagranicznym. Na skargi szlachty polskiej, że Gdańsk sprowadza sól francuską do Rzeczypospolitej ze szkodą salin krajowych i skarbu królewskiego, miasto odpowiedziało, że w razie zakazu sprowadzania soli musiało-by zaprzestać dostarczania win francuskich, co by dwór królewski niemiłe dotknęło. Gdańsk chronił się troskliwie od uznawania władzy konstytucyjnej sejmowych nad sobą; tym sposobem unikał ograniczeń, jakie polityka agrarna sejmów polskich narzuciła miastom królewskim w Koronie i na Litwie.

Jakkolwiek Gdańsk uznawał zawsze w uroczysty sposób zwierzchnictwo królów polskich nad sobą i okazywał im rzeczywiście w krytycznych chwilach wiele ofiarności i przywiązania, to jednakże bacz-

nie czuwał nad tem, aby nie rozszerzali zakresu swej władzy w mieście, i wszelkie próby w tym kierunku unicestwiali wytrwale, a nawet zuchwałą opornością. W XVI wieku wysłana została komisya królewska do Gdańska w celu unormowania stosunków miasta do władzy królewskiej. Na czele komisji stał biskup Karnkowski i przedtem, w Elblągu, komisya rozpoczęła reformatorskie dzieło od destytucji całej rady municypalnej. Gdańsk, nie zachwycony ani zastraszonej takiem postępowaniem, zamknął przed komisją bramy miasta i nie wpuścił jej do środka, pomimo długiego oczekiwania. W odwecie za tak niesforne postępowanie, na sejmie w Lublinie w 1569 roku pozbawiono wolności reprezentantów Gdańska, i tym sposobem wymuszono otworenie bram miasta dla Karnkowskiej komisji. Pomimo to jednakże, iż komisarze królewscy uciekali się do podburzania trzeciego porządku przeciwko radzie i że zaszczepieniem wąsni w społeczeństwie miejskiem chcieli utorować drogę władzy królewskiej. Na nic się nin zdała cała ich przebiegła i polityczna polityka. Karnkowskiego konstytucye nie zostały nigdy przez miasto uznane, i nawet Stefan Batory nie zdołał uratować ich powagi. Modyfikacye, jakie w konstytucyi municypalnej Gdańska zaprowadzone zostały za czasów Jana III, Augusta II i Augusta III były drobniejszej doniosłości, nosiły charakter ustępstwa dobrowolnego Gdańska na rzecz monarchy. Wszelkie mieszanie się królów polskich do spraw gdańskich były w gruncie rzeczy operacją pieniężną, nie wyłączając nawet zbrojnego wystąpienia Stefana Batorego. Jan III wraz z małżonką potrafił nawet w ciągu kilkumiesięcznego pobytu wcale niezgorzej swój skarb zaopatrzyć i pobytowi swojemu wogóle nadawał więcej charakteru prywatnego, niż publicznego.

Rozwojowi konstytucji wewnętrznej miasta Gdańska i rosnącemu wpływowi stanu, czyli porządku trzeciego, poświęciła autorka pilną uwagę. Nie pominęła również i starć socyalnych, w które historya miasta Gdańska, na równi z innemi większemi gminami municypalnemi, uposażoną została. Wogóle, praca pani Goldmann przedstawia się interesująco. Przy ocenie stosunków gdańskich nie brakło autorce poglądu porównawczego; rozumie ona przeciwieństwa, jakie się musiały wytworzyć w polityce ekonomicznej Gdańska, połączonego z państwem o charakterze przeważnie agrarnym, a nastosunek Gdańska do królów i państwa polskiego umie się zapatrywać bezstronnie i przedmiotowo. Jedynie pisownia nazwisk polskich jest błędna, lecz widocznie zaniedbanie powyższe nie płynie z niechęci, albowiem mylnie zostało wydrukowaniem i francuskie nazwisko żony

Jana Sobieskiego. Autorka nie poszła tym razem za przykładem wydawców dzieła Lengnicha, poświęconego prawom i zwyczajom Gdańska. W pracy powyższej wydrukowano nazwiska osób, czy miejscowości bez zarzutu, a autorka, która pracę Lengnicha знаła i wielokrotnie się nią posilkowała, dopuściła się pod tym względem zupełnego zaniedbania. W każdym razie zaznaczyć jeszcze raz wypada, że spokojny i przedmiotowy ton, jaki w studium pani Goldmann panuje i brak skłonności do tendencyjnego przekręcenia faktów, czyni je dla naszego społeczeństwa miłą niespodzianką, której pewnej wartości naukowej odmówić niepodobna.

A. R.

Bronisława Ostrowska (Edma Mierz): „Odale”. Jan Fiszer, Warszawa, 1902.

„Ktoś ty?” — pyta mistyczny Starzec poetki w utworze „Pieśń”, — „dlaczego nie jesteś tam, „kiedy rosną zboża złociste na glebie, a dziewczki plotą wieńce w słońcu a w weselu?”. — „Ja pieśnią jestem, — odpowiada ona — a z nizin pieśń nie wzlata skrzydłami jasnymi do lazurowych bram... ja jestem ciszą, a ciszę nizin mącą brzęczącym szelestem świerszcze... nad nizinami leży szara mgła, a moja pieśń nad mgłami hen w przestworzu lka“...

W tych wyrazach poetka dała wierny obraz swej duszy i swej pieśni. Jej poezya stoi cała zdala od „nizin”, inaczej mówiąc, od świata rzeczywistego, i lka hen, „nad mgłami”, w przestworze; rzeczywistość, płaska, powszednia, pospolita rzeczywistość ni jednym echem, ni jednym cieniem nie wkrada się na te wyżyny.

Pieśni p. Ostrowskiej są wszystkie z ducha jej wzięte, nie ze świata otaczającego, w którym snadź tak niewiele znaleźć można podniosłego, poetycznego, godnego natchnienia. Jej utwory, to szereg podmiotowych wizyi, które ze światem realnym częstokroć bardzo niewiele mają wspólnego.

Obrazy jej nie są zawidziane na ziemi, lecz wymarzone we śnie, mają w sobie urok piękna nieziemskiego, nie tego, co krwią rumieńca płonie i stąpa ciężko po grudach życia, lecz tego, co jaśniej w łagodnym świetle w mistycznych krainach pozaświata. W poezyi jej nie błyska, nie grzmi, nie zrywa się do lotów prometejskich, nie

bije skrzydłami o zawarte bramy odwiecznych zagadek świata; niema w niej nic z szału, burzy, rozterki. Panuje tu cmentarna cisza smutku, niewidna niemal lza melancholii, to, co mogli-byśmy nazwać „błękitnem zadumaniem“, gdybyśmy się nie bali nadużywać wytartych liczmanów myśli i słowa. Skąd płynie ten smutek? gdzie jego źródło? Nie wiedzieć. Ale wyraz jego czarowny. I te utwory, gdzie poetka daje ujście swemu nastrojowi, który ją tak zbliża do wielkiego mistrza, pieśniarza „Grobu Agamemnona“, najpiękniejsze, jak „Melancholia“, „Cmentarz“, „Żórawie“ i inne.

I nie masz tu nigdzie wybuchu. Poetka lubuje się w barwach, że tak powiemy, matowych: ni dźwięku głośniejszego, ni żywszego błysku; ale przyznać należy, że te subtelne, nieuchwytne prawie tony w naturze umie podpatrzeć i oddać z prawdziwym urokiem. Te „letnich nocy modre błyskawice“, po których pozostaje „błękitne olśnienie“, te „bezgłośnie lazurowe błyski“, te gwiazdy, co spadają na ziemię, niby „lzy nocy bezgłośnie i sennie“, podczas gdy „białe narcyzy nikle i więdnące w gasnące gwiazdy patrzą białym okiem“, te gwiazdy promienne, co w innym znów wierszu („Rusalki“) pławią się w jeziorze, a pod ich blaskiem „toń modleniem harfianem w krąg brzęczy“, wszystkie te obrazy o nikłych barwach czynią wrażenie nie rzeczywistości, lecz jakiejś mglistej fata-morgany.

Czasem tylko fantazyja poetki muśnie w przelocie szorstkie kształty rzeczywistości, ale chyba takie jedynie, co najmniej mają ostrych krawędzi, najbardziej zbliżają się do nastroju poetki: ciszy i smutku.

Przytoczmy tylko jedną zwrotkę z utworu pod tytułem: „Cmentarz“:

Kiedy się cisza z mrokiem zaplotą w uścisku,
Szare lelki zmierzchnice bezszelestną zgrają
Na jednym opuszczonem dawno cmentarzysku
Ponad groby zapadłe, jak widma, latają...
Czasem skrzydło ich jaki krzyż pochyły muśnie,
Że stary krzyż się zbudzi, skrzypnie i znów usnie.

Ten skrzyp zbudzonego krzyża, drzemiącego ze starości weterana, jakież to obraz subtelnie odczuty! a zarazem jest to najgłośniejszy dźwięk w tej krainie milczenia.

A obrazów takich jest więcej. Czasem dotkną one ziemi, i wtedy „marzą się” poetce „ściernisk krąg” i „pożółkła zieleń łąk pod zachodową zorzą”, i „białe rzędy chat”, i „smukłych topól sznury”. Innym znów razem ziemskość odezwie się w jej poezji dźwiękiem nie potężnym wprawdzie, lecz wysoce melodyjnym i taki da obraz plastyczny:

Gdzie pieśń skowrończa o poranku dzwoni,
A rosa perli zasluchane kwiaty;
Gdzie wiosną w sadach kwieć a trześć się kloni,
Gałąź czeremchy puka w okno chaty
I dziewczki kwitną, by róże majowe,
Krwia rozigrane, wonne i różowe.

Ale częściej pieśń uleci tak daleko nad poziomy, że ani jeden odgłos rzeczywistości pogonić za nią nie zdoła; a wtedy mamy jakieś egzotyczne obrazy, dla których niema miejsca na tej ziemi:

Były tam chore kwiaty cieplarniane,
Jak żyrandole w balowych salach płożące,
I takie, jak błyskawice nawalnych chmur,
I takie, jak gwiazdy spadające...
I takie, jak luna na pogodnym błękiecie,
I takie, jak gromnice
Zapalone w zaduszny dzień na cmentarzu,
I takie, jak warkocze złowróżbnej komety,
I takie, jak źrenice namiętnej kobiety,
I takie, jak lampka na oltarzu.

I były tam „tęczowe tulipany” i „płomieniste liany bez końca, by jakiś polip krwawy, wysysający blaski z kwiatowych kielichów”, i „białe lilie mistyczne” i „palmy wybujałe wysoko, ascetyczne, niby klasztorne rozelkane psalmy wybladłych mnichów”, i „trawy, pełzające, jak żywe, rude włosy” (!)...

Szczyściem, tego rodzaju prób w „Opalach” bardzo niewiele. Szczytem zaś doskonałości są te utwory, w których poetka trzyma

się drogi pośredniej, zdala i od dławiającej nudą i pustką rzeczywistości, i od sztucznie niedbałych zygzaków fantazyi. Wtedy jest najszczerza, wypowiada się najlepiej i najgłębsze wywiera wrażenie.

Do takich należy naprzykład dłuższy urywek pod tytułem: „Miłowanie“, gdzie wizye pól i łąk mistycznych owiane są czarem tęsknoty i marzycielskiego piękna:

Obok przez mlecznych gościńców krynice,
Niby łabędzie, co wielką gromadą
Płynąc przez wirów obłądne ciemnice,
Czarne swe skrzydła na bujny wiatr kładą,
Płynęły łodzie we mgle żałobnice...
A za łodziami, jak mew białych stado,
Stado słów moich zbłąkane w bezdrożu
I mrące w locie na bezkresnem morzu.

Jakże czarownym jest obraz tej matki-jesieni, co „słodyczą z niebios się uśmiecha, ogromnie jasna i ogromnie wielka“,

I słucha letnich snów i szalów echa,
Niby spowiedzi dziecka rodzicielka,
Co w swojej cichej i dobrej zadumie
Wszystko przebacza i wszystko rozumie.

W opalowych blaskach pieśni p. Ostrowskiej i śmierć przestaje być straszną i brzydką: przedstawia się dwukrotnie, w innej za każdym razem, lecz jednakowo pięknej postaci. Raz w utworze: „Po kwiatach“ zbliża się ku nam po jakiejs łące „zielonej i cichej“, gdy „lilii polnych szepcą kielichy“, zbliża się

...o skrzydłach z łkających opali,
Błada, jak tęczy na wodzie odbicie,
Zbliża się ku mnie z oddali... z oddali...
Złożyła skrzydła bezszelestne, błada,
I gdzieś przez kwiaty wlecze je za sobą,
Jak pył swój wlecze płacząca kaskada,

I wieje od niej tą wielką żalobą,
Co na mogiłach opuszczonych siada.

Drugi raz poetka kreśli śmierć na tle nocy jesiennej, kiedy „nocleżnicy ogień palą“, a „czołgający płomyk rudy, w jakiejś brózdzie przyczajony, w mgłach rozgorzeć się nie może, dymi jeno przez zagony“ i kreśli ją, jako starą, nędzną pątniczkę wiejską:

A po brózdach czarnych wszecz
Przez ugorńy drętwy ścież
Śmierć wędruje do ogniska,
W długi całun szarych chust
Zakutała sobie głowę...
I wędruje, precz, wędruje...
Śmierć wędruje po ugorze,
Zakutana w szare chusty,
Z wędrowniczym kijem w dłoni,
A zdrętwiały ugór pusty,
Gdzie się wzdyma mgła, jak morze,
Ręce brózd wyciąga do Niej.

Tych dwu przykładów wystarczy, by zobrazować talent p. Ostrowskiej, talent, niewątpliwie niepośledni.

HENRYK GALLE.

KRONIKA MIESIĘCZNA

Miesiąc ubiegły był miesiącem wystaw. Kamieniec Podolski, Winnica, Berdyczów i Wilno miały wystawy rolnicze, Warszawa—dwie naraz wystawy: kucharsko-spożywczą i wystawę gier i zabawek. Tej ostatniej pragniemy poświęcić słów kilka.

Już sam cel jej—przyjście z pomocą humanitarnemu Towarzystwu opieki nad umysłowo i nerwowo chorymi—czynił ją sympatyczną. Poza tem zwracała ona na siebie uwagę nowością, nowy bowiem na gruncie naszym był pomysł zgrupowania i pokazania szerszej publiczności tych wszystkich wytworów przemysłu, które służą ku zabawie i kształceniu dzieci. Niestety, okazało się, że w tym kierunku, jak i w wielu innych, zwłaszcza jeżeli mieć na względzie produkcję krajową, jesteśmy bardzo ubodzy. Przeważnie jeszcze posilkujemy się towarem zagranicznym, a i to nawet, co wytwarza się w kraju, oparte jest na wzorach, czerpanych skądinąd. Pod tym względem wystawa była bardzo pouczająca i wskazała na dwa duże braki—na brak inwencji pedagogiki narodowej i na ospałość przemysłu krajowego w dziedzinie zabawkarstwa. I jedno i drugie—to szerokie pole do działania, społecznie i ekonomicznie pożytecznego.

Zabawka nie jest takim drobiazgiem błahym i bez znaczenia, za jaki ją powszechnie uważamy. Ma ona swój cel wyraźny i wysoki, służy bowiem jako jeden z najpierwszych środków ku rozwijaniu umysłu dziecka.

Każda nowa rzecz w ręku malca, zaczynającego dopiero rozglądać się w otaczającym go świecie, to przypływ nowych pojęć do jego duszy, to materyał, z którego powoli urobi się świadomość istnienia i świadomość świata przedmiotowego. Dla tego też rodzice, którzy w wychowaniu dzieci trzymają się jakiejś zasady przewodniej i w imię tej zasady stopniowo uwzględniają rozmaite czynniki wychowawcze, są nieraz w prawdziwym kłopotcie tam, gdzie idzie o dobór i wybór

zabawek. Przedewszystkiem spotykają szablon, a potem brak tego, co w jakikolwiekby sposób uwzględniło-by odrębność duszy polskiej i liczyło się z jej skłonnościami i upodobaniami. Pokost kosmopolityzmu pociąga wszystkie nasze zabawki, nie posiadamy nic, co miało-by charakter specjalny, co specjalnie było-by dla polskiego dziecka przeznaczone. Że jednak w tym właśnie kierunku można wytwarzać, i że żądanie podobne ma rację bytu, świadczy próba uczyniona przez komitet wystawy. Dotyczy ona tylko lalek, ale wypadła tak pomyślnie, że nasi wytwórcy powinni to rozszerzyć i na inne przedmioty, z życiem miejscowem związek mające. Mówimy tu o zgrupowaniu kostiumów ludowych z całego prawie kraju. Kto oglądał przybrane w stroje ludowe lalki na wystawie, kto widział te pary państwa młodych z Podlasia, z powiatu Stopnickiego, tych włóścian z pod Chełma, Częstochowy, Wilanowa, z gub. Suwalskiej, z pod Sandomierza, z pod Lublina itd., te druchny z Kaliskiego, tych Kurpiów z pod Ostrołęki, tę wyborną dziewczynę z ks. Łowickiego i przepysznych Litwinów z okolic Olity, ten powziął niewątpliwie postanowienie obdarzania na przyszłość swoich dzieci tylko takimi lalkami. Była to kolekcya bardzo pouczająca dla starszych. Cóż dopiero mówić o dzieciach, którym stopniowo, bez trudu żadnego, można utrwalić w pamięci bogactwo etnograficzne kraju, przesuując im przed oczyma mieszkańców rozmaitych okolic i opowiadając przy tem o każdej z nich to, co stanowi jej cechę odrębną, własną. Szkoda jeszcze, że nie były tam uwzględnione kostiumy historyczne i że porcelanowe główki lalek, mimo czupryn konopiastych, przyprawianych wąsów i barwnych chust, wiązanych misternie, miały jeszcze charakter międzynarodowy.

Drugi moment pouczającego znaczenia wystawy gier i zabawek — to, jak już powiedzieliśmy, ekonomiczna strona kwestyi. Idzie tu o miliony rubli, które wysyłamy za granicę kraju, podczas kiedy moglibyśmy doskonale trzy czwarte tego zatrzymać u siebie. Zabawka — to artykuł codziennej potrzeby, nabywany przez wszystkie niemal warstwy ludności — od najbogatszych, które wydają na to setki rubli rocznie, do najuboższych, zadawalających się mizerną „dmuchawką“ glinianą, karykaturalnym kogutkiem odpustowym i kukiełką z gałganków. Na zbyt więc zawsze liczyć można, trzeba tylko wytwarzać.

Tymczasem wytwórczość nasza w tym kierunku jest niezmieranie skromna, zaczątkowa ledwie. Wszystko, co jest przedniejsze, sprowadzamy z zagranicy, a dostawcami są Francuzi i Niemcy, którzy

robią na tem doskonale interesy. U siebie wyrabiamy zaledwie nieznaczną część zabawek o średniej wartości. Ograniczyć te zewnętrzne stosunki do minimum, podnieść natomiast wytwórczość krajową do tego poziomu, jakiego wymaga od niej popyt na zabawki, wzrastający w miarę rozszerzania się kultury na szersze warstwy i w miarę podnoszenia się skali ogólnego dobrobytu—oto wniosek, jaki wystawa nastręczyć musiała każdemu, kto spostrzegł, że obecnie eksponentami były raczej sklepy, a nie fabryki.

Pokazano nam niewątpliwie dużo rzeczy ciekawych, wiele zajmujących i pożytecznych, ułatwiono zorientowanie się w tem, co na polu przemysłu zabawkarskiego jest do osiągnięcia, ale pokazano zarazem, jak jesteśmy ubodzy jeszcze w wytwory własne, jak nieśmiało dopiero kroki przemysł ten stawia u nas i w jakiej zależności jesteśmy od obcych. Oby wystawa następna, co do której nie wątpimy, że kiedyś się odbędzie, czy to samoistnie, czy jako dział wystawy powszechnej, miała już charakter odmienny i była wystawą gier i zabawek, dostarczonych przez przemysł krajowy.

Dni 18 i 19 października zapisały się w pamięci Krakowa. Były to dni uroczystego obchodu jubileuszu Maryi Konopnickiej. Zgottały go „wszystkie warstwy i stany“, jak to zaznaczył w przemówieniu swoim prezes komitetu jubileuszowego, Kazimierz Bartoszewicz, a brały w nim duchowy współudział, poza obrębem przedstawicieli, delegatów i gości obecnych — wszystkie prowincje polskie: zewsząd biegły życzenia, wyrazy czci i hołdu, wszędzie miano na ustach i w myśli imię poetki. A tam szły tymczasem korowody, kołysały się tłumy, huczały sale od oklasków i wiwatów, płynęła pieśń podniosła i zrywały się słowa górne ku chwale talentu i ku podniesieniu zasługi, na pracy i miłości budowanej...

Zaczęły się uroczystości w sobotę dnia 18-go. Po oficjalnem przywitaniu jubilatki, odbyło się wieczorem przedstawienie w teatrze miejskim, gdzie wystawiono dwie sztuki, przerobione z nowel Konopnickiej: „Miłosierdzie ludzkie“ i „Bociany“, potem szły deklamacje, potem — wspaniały raut w kole literacko-artystycznym.

Dzień następny rozpoczęto od nabożeństwa w starej świątyni Maryackiej. Po nabożeństwie składano jubilatce życzenia i dary

w barwnie przybranej sali „Sokoła”. Najprzód powitał przybyłą polonez Żeleńskiego, a po nim zabrzmiała uroczysta kantata Galla do słów Jerzego Żuławskiego. Kiedy umilkły już tony muzyki, a wśród zebranej publiczności zapanował jednolity i skupiony nastrój, zabrał głos Bartoszewicz, aby w treściwym i podniosłym przemówieniu określić charakter jubileuszu. Po nim mówił prezydent miasta Krakowa Friedlein, witając jubilatkę imieniem miasta. Z kolei rzeczy dano miejsce przedstawicielom dwóch najpoważniejszych instytucji naukowych polskich: prof. Morawskiemu, delegatowi Akademii Umiejętności i prof. Tretiakowi, występującemu z ramienia Wszechnicy Jagiellońskiej. Obie instytucje złożyły jubilatce adresy, zaś Uniwersytet ofiarował nadto swoją „Historyę”, jako „symbol pokrewieństwa pomiędzy poezją a nauką”. Następnie zabrała głos p. Marya Maternowa, wysłanniczka kobiet czeskich, i w gorących przemówiwszy słowach, wręczyła adres od literatek i artystek czeskich. I tak szły dalej delegacya za delegacyą: z Poznańskiego, z całej Galicyi, aż oto na estradę wchodzi deputacya ludu wiejskiego w sukmanach, prowadzona przez Włodzimierza Tetmajera i Lucyana Rydla.

„Czcigodna Pani,—mówił Tetmajer,—przynieśliśmy Ci imieniem polskiego ludu skromną skrzynkę chłopską, prostą chłopską skrzynkę. Ta skrzynia nie zawiera skarbów Golkondy, ale jest symbolem tego, co zawiera serce chłopa, bo tam, w tej skrzyni, spoczywa klejnot, o którym Pani nieraz śpiewałaś...”

A potem znów szły delegacye, adresy, życzenia. Niepodobieństwem było-by tu wszystko wymienić, każdemu momentowi obchodu dać wyraz i oświetlenie należyte. Poprzestaniemy więc tylko na wskazaniu ogólnego przebiegu uroczystości. Po przyjęciu w sali „Sokoła”, Konopnicka odwiedziła oba teatry, miejski, gdzie w serdecznych słowach przemówił do niej poseł Bojko, i ludowy, gdzie witał ją p. Knake-Zawadzki. Wieczorem odbył się bankiet w obszerniej sali hotelu saskiego, gdzie odczytano mnóstwo przybyłych depeesz i listów, i gdzie w biesiadnym ordynku spędzono czas do późnej nocy, wznosząc toasty, na które poetka odpowiedziała wspaniałą improwizacyą.

Jeszcze przedtem, dziękując za zgotowane jej przyjęcie, za to, „żeśmy tu wszyscy razem” — tak mówiła Konopnicka:

„Patrzę w pracę mego życia, patrzę w odpłatę, jaką mi niesiecie, i czuję się powstydzoną, bo mi tu nadpłacono sto- i tysiącrotnie, bo praca była uboga i drobna — odpłata była wielka i królewska”.

A przecież mimo tych słów pięknych — nie tak było. Bo to nie była „odpłata”, ale uzewnętrznienie stosunku, który istniał już zdaw-

na. Ona — śpiewając, jedną rękę trzymała na lutni, a drugą na sercu zbiorowem swego społeczeństwa, i to serce było jej pieśnią, nie dziw więc, że odezwało się jednolitem tętnem w dzień święta swojej poetki. Taki charakter duchowy miał jubileusz.

Rok minął od czasu, kiedy na tem miejscu pisaliśmy o Towarzystwie osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. Obecnie mamy znów przed sobą rocznik sprawozdawczy tej instytucji, która niewątpliwie należy do najpożyteczniejszych w kraju. Powinna być także najpopularniejszą i w szerokim stopniu korzystać z opieki społeczeństwa. Niestety jednak i w tym roku zaraz na wstępie spotykamy skargę na członków, zalegających z 6 rublowemi składkami, które w roku sprawozdawczym przyniosły o 700 rb. mniej nad zamierzenie. „Rzecz to istotnie pożałowania godna — czytamy na str. 11 — owo zaleganie przez członków Towarzystwa osad rolnych w płaceniu składek, stojące w rażącej sprzeczności z rosnącemi potrzebami Towarzystwa i zwiększoną a zróżniczkowaną pracą organów jego, gdy się uwzględni zwłaszcza działalność patronażu i ciężące na T-wie z tego tytułu wydatki“. Bolesna to skarga i wyrzut poważny.

Co do działalności Towarzystwa, to rozszerza się ona stopniowo. Weźmy chociaż-by liczbę samych wychowalców Studzieńca. Z końcem roku 1900 było ich 126, w roku 1901 ubyło po ukończeniu lat osiemnastu — 22, uwolniono warunkowo 11 w ciągu roku zaś przybyło 75. W dniu pierwszym stycznia 1902 roku było więc wychowalców 156, czyli o 30 więcej w porównaniu z rokiem 1900. Obecnie cyfra ta wzrosła już do 168.

Z pomiędzy 75 nowoprzybyłych wychowalców okazało się nieumiejących nic, czyli analfabetów 41 (55%). Jaskrawe to świadectwo ogólnej ciemnoty naszego ludu! Ten ogromny zastęp chłopców analfabetów dostaje się corocznie do Studzieńca, jako materiał surowy, który dopiero po kilkoletniej mozolnej pracy powraca do społeczeństwa obrobionym, podniesionym umysłowo i zaprawionym do pracy.

W zakładzie dla dziewcząt — w Puszczy — ruch jest mniejszy. Ustawa przewiduje tam 50 wychowanek, w rzeczywistości znajduje się ich tylko 17, co głównie wypływa z braku środków materialnych.

Opieka i moralne przewodnictwo nad wychowancami obojej płci nie kończą się z chwilą opuszczenia przez nich zakładu. Rozciągają się one i na dalsze ich życie, aż do osiągnięcia pełnoletności cywilnej. Tu już mamy do czynienia z instytucją tak zwanego *patronażu*, który przez naukę współczesną uznany został jako czynnik niezbędny i dopełnienie konieczne wszelkich zakładów karno-poprawczych.

Towarzystwo zadania swoje w tym względzie pojmuje bardzo wysoko. Kto się dotknie *patronażu*—mówi p. W. Janowski, przewodniczący w zarządzie, ten odczuwa od razu wielką, na razie niepokonaną prawie trudność w wykonywaniu opieki nad młodzieżą naszą, wykołejoną, nieraz bardzo zepsutą i pozostawioną wyłącznie samej sobie, bo większość naszych pupilów, to chłopcy bezdomni, rzućni losom w środek mrowiska ludzkiego, nad którym panuje nędza materialna, ciemnota i zanik najelementarniejszych pojęć moralnych. W tych warunkach, my, sprawiający nad nimi opiekę, nie łudzimy się na chwilę, że posiadamy nad nimi moc inną jakąś lub władzę, aniżeli wpływy czysto moralne. W tem tkwi bezsilność nasza, ale zarazem i moc wielka, bo kto w tych warunkach zapanuje duchowo nad umysłem i sercem pupilów, komu się uda w końcu choć kilku z pomiędzy nich przykuć na zawsze do rydwanu życia uczciwego, do obowiązków chrześcianina i obywatela kraju, ten z dumą powiedzieć sobie może, że opiekę swoją wykonał dobrze.

Gdyby nas zapytano — czytamy w innem miejscu, gdzie jest klucz do tych młodych, rozwichrzonych umysłów, do tych serc nieraz jakby zakrzepłych do walki i niedoli wszelkiej i w czym się wyraża niejako synteza opieki, odpowiemy bez wahania—w miłości i tylko w miłości. Gdy się zważy, jak ta niedola ludzka nawet w wieku młodzieńczym, bywa nieraz wstrętną w przejawach swoich na zewnątrz, odpychającą brakiem delikatności i wdzięczności za doznane dobrodziejstwa, często nawet brutalną i trudną do zapanowania, to się dopiero przekonywa, że tylko miłość czysta, podniosła, na wskroś chrześciańska miłość bliźniego, zdolna jest podnieść i uszlachetnić wzajemny stosunek stron obu do siebie, opiekunom zaś wskazać najlepsze sposoby i drogi do oddziaływania na umysł i serce nieszczęśliwego zbłąkanego młodzieńca.

Nie dziw, że przy stosowaniu tych zasad osiągnięto rezultaty pomyślne.

W roku sprawozdawczym pod opieką i kontrolą Zarządu pozostało osób 138 (z tych b. wychowanek Puszczy 7). Z tej liczby:

uwolnionych warunkowo chłopców 29, dziewcząt 3; uwolnionych po dojściu do lat 18: chłopców 98, dziewcząt 4; chłopców zbiegłych z Osady — 4.

Z pomiędzy przytoczonych liczby 138 wykreślono z opieki 3 osoby, pozostawało więc na opiece przygodnej osób 21 (w tem 1 była wychowanka Puszczy) i na opiece stałej osób 114 (byłych wychowanek Puszczy 6). O sprawowaniu się osób 17 nie miano w ciągu roku pewnych wiadomości, zaś o 10 osobach, jako nowo przybyłych, wszelkie wnioski były-by przedwczesne, zatem materiał obserwacyjny dotyczy tylko osób 108.

Z tej liczby sprawowanie było bardzo dobre u osób 38, nienagane u osób 33, niepewne u 24 i złe u 13. Do grupy pierwszej zaliczono tych, którzy ani razu nie objawiali najmniejszego wahania się w kierunku moralnym przez czas trwania nad nimi opieki, i u których postęp moralny szedł niejako współrzędnie z rozwojem umysłowym i fizycznym. Do grupy drugiej zaliczono spory zastęp pupilów, którym, jakkolwiek żadnych obecnie zarzutów pod względem sprawowania się uczynić nie można, i którzy zatem w większości mogliby być zaliczeni do kategorii 1-ej, ale pod względem już to temperamentu, już to nie dość jeszcze wyrobionej woli, nie dają zupełnej rękojmi bezpieczeństwa na przyszłość. Jest to więc kategoria względnie pracowita dla patronażu, wymagająca wielkiej i ustawicznej czujności nad sobą: są to po większej części chłopcy o naturach krewkich, wrażliwych na wpływy zewnętrzne dobre i złe, a których prowadzić trzeba dłonią mocną, pewną i wprawną. Do grupy trzeciej zaliczono tych, na których jakkolwiek żadne grawamina nie ciąży, ale co do których opieka ma wątpliwości, albo też walczyć musi z wadami ujawnionemi.

W liczbach procentowych statystyka patronażu przedstawia się jak następuje: sprawiających się bardzo dobrze było 35%, nienagannie 30%, niepewnie 22%, złe 12%, łącząc zaś dwie pierwsze kategorie w jedną, co śmiało uczynić można, otrzymamy dla sprawiających się dobrze cyfrę 71 osób, czyli 65%.

W tej cyfrze tkwi odpowiedź stanowcza na wszelkie wątpliwości, co do użyteczności i konieczności patronażu iłożonych nań znacznych kosztów ze strony komitetu i poszczególnych ofiarodawców.

Czynnikiem nieźmiernie ważnym i ułatwiającym poniekąd trudne zadanie patronażowi, jest praca. Opieka wytęży przeto wszystkie siły w tym kierunku, aby żaden chłopiec po wyjściu z zakładu nie pozostawał beczynnym.

I w samej rzeczy: z pomiędzy 130 chłopców, będących na opiece czynnej patronaży, zaledwie mała garstka nie ma stałego zajęcia, a nie ma, bo nie chce — są to recydywiści albo zgoła niepewni. Na razie chłopiec nie może się zorientować, mówi p. Janowski, dla czego opieka tak stanowczo wymaga od niego pracy, powoli jednak poddaje się temu rygorowi zrazu niechętnie, pod przymusem niejako, a następnie tak się zaloguje do zajęcia, że musowe świętowanie kilkodniowe uważa za klęskę dla siebie. Praca jest najlepszym i najpewniejszym sprzymierzeńcem patronaży, jej to właśnie zawdzięczać należy stanowczą poprawę i postęp u wielu wychowanców. Wszak jeszcze Spinoza powiedział, że popędy należy zwalczać popędami, że złe instynkty u człowieka dla tego bywają silnemi, że nie znajdują w duszy przeciwwagi w popędach i instynktach dobrych, zaś Arystoteles upatrywał godność człowieka nie w braku w nim wszelkich namiętności, ale w złotej pomiędzy temiż równowadze. Owóż środkiem, przywracającym tę równowagę sprzecznych ze sobą skłonności i popędów, jest niewątpliwie zalogowanie do pracy. Zresztą każdy chłopiec po kilku już miesiącach wykonywania nad nim opieki, zaczyna już sam oceniać wartość niejako wymienną swojej pracy.

Żałujemy, że nie możemy tu przytoczyć szczegółów, zawartych w sprawozdaniu z działalności patronaży, a dotyczących tak zwanych recydywistów. Zajęło-by to nam zbyt wiele miejsca. Zwracamy jednak na to uwagę czytelników, interesujących się prawem karnem i psychologią przestępców. Na tem miejscu chcielibyśmy tylko podkreślić owocną działalność patronaży, o którym, poza obrębem oddanych duszą sprawom Towarzystwa jego opiekunów i przewodników, mówi się u nas mało, stanowczo zbyt mało, jak na doniosłość sprawy, o której ogół powinien wiedzieć, i którą powinien się interesować.

Zainteresowanie się to jest nawet konieczne ze względu na to, iż nienuknione zwiększanie się zastępu pupilów Towarzystwa, stopniowo rozszerzać będzie zadania patronaży, którym niezawodnie zarząd Towarzystwa, sprawujący obecnie tę opiekę, nie będzie mógł podołać. Zbraknie mu nie tylko środków materialnych, ale i osób, mogących sprawować opiekę czynną nad wychowancami. W obydwu tych kierunkach otwiera się więc szerokie pole dla filantropii społecznej.

Wzmianka należy się jeszcze części drugiej Rocznika, gdzie zamieszczone zostało sprawozdanie Rady, zawiadującej zapisem hr.

Kickiego. Z zapisu tego, jak wiadomo, utrzymywane są dwie instytucje: stacya doświadczalna i niższa szkoła rolnicza w Sobieszynie. Pracownia chemiczna stacyi Sobieszynskiej powoli, ale stale rozszerza swoją działalność. Ten powolny postęp przypisać należy niedostatecznemu przejściu się rolników potrzebą badań chemicznych w gospodarstwie. Co zaś szczególnie uderza, to małe zapotrzebowanie rozbiorów przez nasze Syndykaty i Towarzystwa rolnicze.

Szkoła rolnicza mieści się na folwarku Brzozowa w powiecie Garwolińskim. Celem jej jest przygotowanie niższych oficyalistów rolnych za pomocą osobistej pracy przy gospodarstwie i wykładów z dziedziny rolnictwa.

Kurs nauki trwa lat 5.

Uczniów było w roku sprawozdawczym 93, w tem szlachty i synów urzędników 36, mieszczan 23, włościan 30 i 4 cudzoziemców(!), z wyjątkiem jednego protestanta sami katolicy. Gospodarstwa rolnego uczą się chłopcy w obrębie folwarku obejmującego 260 morgów. Przy szkole jest pasieka, szkółka drzewek morwowych, wreszcie warsztaty: stolarski, kowalski i ślusarski, w których uczniowie w obecności majstrów wykonywają różne roboty, wchodzące w zakres gospodarstwa wiejskiego.

Na tem kończymy przegląd działalności Towarzystwa, raz jeszcze podkreślając potrzebę zainteresowania się jego sprawami szerszych kół naszego społeczeństwa.

Z dniem 1 listopada r. b. otwarte zostało w Zakopanem „Sanatorium dla chorych piersiowych“, pierwszy tego rodzaju zakład w kraju, postawiony na stopie europejskiej i na szeroką pomyślaną skalę.

Sanatorium położone jest na uboczu o 3 klm. od samego Zakopanego, w miejscowości zacisznej, wolnej od kurzu i wrzawy. Prowadzi doń droga bita, stanowiąca wyłączną własność Towarzystwa sanatoryjnego, wskutek czego Zakładowi nie może grozić niebezpieczeństwo wytworzenia się w jego bezpośrednim sąsiedztwie gęstej osady, co by pociągnęło za sobą pogorszenie warunków zdrowotnych.

Sama posiadłość Sanatorium wynosi 14 morgów austr., czego połowę stanowi piękny las świerkowy, otaczający od wschodu i zachodu rozległą polanę, na której wznosi się zakład. Południową granicę stanowią strome stoki z potokiem w dole.

Sanatorium stoi na wysokości 1050 m. Wielki czteropiętrowy gmach zwrócony jest na południe, boczne zaś skrzydła (dla ochrony od wiatrów) zwrócone są na pp. wschód i pp. zachód. W gmachu uwzględnione są aż do najdrobniejszych szczegółów najnowsze wymagania t. zw. „stylu sanatoryjnego”. Budynek zawiera więc tylko jeden szereg słonecznych frontowych pokoi dla chorych, od strony północnej zaś tylko szeroki, widny korytarz. Z dużych okien pokoiów mieszkalnych roztacza się wspaniały widok na cały łańcuch Tatr. Szerokie, wygodne schody, oraz elektryczna osobowa winda—wszystko ogrzewane—zapewniają wygodną komunikację między poszczególnymi piętrami. Winda do potraw, zatrzymująca się na każdym piętrze, pozwala otrzymywać gorące potrawy wprost z kuchni dla chorych, leżących w łóżku. Na parterze znajdują się: wielki przedsionek, szatnie, biura, mieszkania dla urzędników i służby. Pokoje, przeznaczone dla chorych, umieszczone są na I, II, III i IV piętrze. Jest ich 70. Z nich kilkanaście na dwie osoby. Te ostatnie mają od 100—120 m. sześć. pojemności, jednoosobowe zaś 55—70. Każdy pokój posiada oddzielną wentylację z kanałem odprowadzającym, wychodzącym pod sam dach. Rogi i kąty pokoiów są zaokrąglone, by ułatwić oczyszczanie i krążenie powietrza. Ze względu na spokój chorych, pokoje mają podwójne drzwi. Całe umeblowanie wykonane jest według umyślnych wzorów i nadaje się do radykalnej dezynfekcji. Ogrzewanie wszędzie centralne za pomocą pary o niskim ciśnieniu.

Gmach posiada własną kanalizację, wodociągi z zimną i gorącą wodą na wszystkich piętrach, dzwonki elektryczne, wewnętrzne telefony i tuby.

Oprócz pokoiów mieszkalnych ma wielki salon do zebrań, salę fortepianową, bibliotekę z czytelnią, poczekalnię dla chorych, gabinet lekarza, laboratorium chemiczno-bakteryologiczne, podręczną aptekę, salę operacyjną, pięknie urządzone łazienki i tusze. W oddzielnym pawilonie gospodarczym znajdują się: kuchnie, kredensy, wspaniała 2 piętrowa sala jadalna, długa na 15 metr., dwie mniejsze salki jadalne, wreszcie wielka i piękna kaplica. Przed gmachem znajdują się obszerna leżalnia w stylu zakopiańskim, zaopatrzona w wygodne szezlongi, stoliki, lampy i dzwonki elektryczne. Story pozwalają zabezpieczyć ją od słońca, deszczu lub wiatru. Aby pacjenci, używający

na niej kuracyi klimatycznej nie byli narażeni na kurz, droga zakładowa kończy się zajazdem nie z frontu, lecz z tyłu gmachu sanatoryjnego.

Sanatorium przeznaczone jest na uzdrowisko w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie przyjmuje zatem takich chorych, u których już nie można spodziewać co najmniej znacznej poprawy zdrowia. Zakład przyjmuje więc chorych na gruźlicę w pierwszych jej okresach, następnie t. zw. profilaktyków tj. osoby, usposobione dziedzicznie lub skłonne do gruźlicy, dalej osoby, dotknięte przewlekłym nieżytem oskrzelowym, mierną rozedmą płuc, wreszcie rekonwalescentów po zapaleniach płuc i opłucnej, oraz po operacjach, będących następstwem gruźlicy miejscowej (gruczoły, kości, stawy). Co do kosztów utrzymania w Sanatorium, to są one dosyć skromne w stosunku do wygód i opieki, chorym zapewnionej. I tak całkowite utrzymanie, z wyjątkiem mieszkania, kosztuje w zakładzie 9 koron dziennie t. j. 3 rb. 60 kop. Ceny pokoiów wynoszą 2—8 koron (80 kop.—3 rb. 20 kop.). Cena utrzymania obejmuje wszakże i koszty kuracyi, a zatem stałą opiekę lekarską, analizy, kąpiele, nacierania i natryski. Jest to opłata umiarkowana, co snadnie widać przy porównaniu z cenami w pierwszym lepszym hotelu za granicą. Śniadanie pierwsze kosztuje tam 1 fr.—1 fr. 50 ct., śniadanie mięsne o 1-ej od 2.50—3 fr., obiad o 7-ej od 3—4 fr. Tak więc całodziennie utrzymanie wynosi od 6—8 fr. od osoby, w zakładzie zaś 9 koron, co czyni mniej więcej 9 franków, ale zakład daje za to opiekę lekarską, kąpiele, natryski etc. Również nie są wygórowane ceny pokoiów, jeżeli się uwzględni wysokie wogóle ceny w pensjonatach i hotelach zakopiańskich, które nie dają ani $\frac{1}{10}$ części tych wygód, jakie zapewnia pacjentom swoim zakład, budowany specjalnie na ten cel i uposażony we wszystko, czego żąda higiena nowoczesna. Zresztą podkreślić należy fakt, że zakład, nie będąc przedsiębiorstwem filantropijnem, nie jest także przedsiębiorstwem kapitalistycznym, ale zrodził się i powstał z myśli obywatelskiej i z silnego odczucia potrzeby społecznej w tym kierunku, nie może więc mieć i nie ma na widoku jedynie i przede wszystkim zysku materialnego. Dowodzi tego chociaż-by samo kosztowne i przenoszące kalkulacje zwykłego „interesu“, budowanie i uposażenie gmachu, który śmiało równać się może z najlepszymi tego rodzaju zakładami za granicą, a ma nad wieloma z nich tę wyższość, że, wzniesiony na podstawie dokładnie i rozumnie obmyślanych planów i wykończony we wszystkich detalach, nie ma „załatanych“ chwilowo braków, które gdzieindziej z biegiem czasu dopiero usuwano.

Na czele Sanatorium, jak wiadomo, stoi doktor Kazimierz Dłuski, lekarz, pod którego światłem kierownictwem zakład niewątpliwie pomyślnie się rozwinie.

P. St. Dzierzbicki w № 279 „Kuryera Warszawskiego“ z dnia 9 października r. b., zamieścił artykuł w bardzo ważnej sprawie, która oddawna stanowi przedmiot narzekań i utyskiwań ekonomistów, tych zwłaszcza, którzy oddają się studjom nad kwestyą agrarną. Artykuł ten zasługuje na bliższą uwagę naszej inteligencji prowincjonalnej i sfer ziemiańskich, którym nastęrcza pole do pożytecznej pracy. Idzie w nim mianowicie o opracowywanie monografii gmin wiejskich. Monografie takie w poważniejszej zebrane liczbie, dostarczyły-by wiele ciekawego materiału do wniosków w najżywotniejszych sprawach, dotyczących naszych potrzeb i oceny stosunków wiejskich—wniosków, dziś niezwykle utrudnionych z powodu braku szczegółowych danych statystycznych w wielu kierunkach.

Brak ten, zdaniem p. Dzierzbickiego, odczuwają bardzo silnie rolnicy, obradujący obecnie w gubernialnych komitetach rolniczych, utrudnia on bowiem ściśle uzasadnienie przeprowadzanych i zwalczanie błędnych, lecz utartych poglądów. Uznana np. przez ogół naszych ziemian potrzeba zorganizowania włościańskiego kredytu długoterminowego i konieczność dozwolenia zakładania dla wsi naszych kas pożyczkowo-oszczędnościowych i Towarzystw kredytowych, wzorowanych na ustawach normalnych z r. 1895, spotyka się z utartym poglądem, że kredyt długoterminowy dla włościan w zasadzie jest zbyteczny i jedynie mógł-by się wyjątkowo okazać potrzebnym na spłatę współspadkobierców, i że potrzebom kredytu krótkoterminowego w zupełności czynią zadość istniejące kasy gminne. Że tak nie jest, o tem aż nadto dobrze wiedzą ziemianie, znający bliżej życie włościańskie, brak im jednak dowodów liczbowych na poparcie twierdzenia, że włościanie korzystają i dzisiaj z kredytu długoterminowego, a nie mogąc otrzymać go w dogodnej formie amortyzacyjnej, często wpadają w szpony lichwy, oraz, że istniejące kasy gminne nie mogą z wielu bardzo względów uczynić zadość potrzebom kapitału obrotowego u włościan, bez którego niemożliwe jest rolnictwo intensywne.

„Oczywiście, potrzebnych nam danych statystycznych, mówi p. Dzierzbicki, dotyczących całego Królestwa, nie stworzymy na poczekaniu, zebranie ich wymaga wiele czasu i szerokiej organizacyi, możliwej jedynie dla władz państwowych. Działalność nasza, a szczególnie Towarzystw rolniczych w tym kierunku z konieczności ograniczyć się musi wykonaniem pewnych potrzeb, pewnych kierunków pracy statystycznej i jej współdziałaniem. Ale, jeżeli praca statystyczna, pojęta w szerokim zakresie, nie jest dla nas dostępna, to pozostaje nam możność zdobycia bardzo cennych, nieuchwytnych dla statystyki urzędowej danych — metodą monografii, stosowaną tak szeroko przez Le - Playa. Zbadanie wszechstronne jednej lub kilku gmin w każdej gubernii, przedstawienie działalności kas gminnych, stosunków ekonomiczno-finansowych wsi i osad, w skład gminy wchodzących, stanu gospodarstw i ich potrzeb, rzuciło-by promień światła na wiele spraw spornych”.

Nawołując do opracowywania takich monografii, p. Dzierzbicki nie poprzestał na uzasadnieniu ich pożytku, ale do artykułu swego dołączył schemat, według którego monografie takie powinny być opracowywane.

Do schematu tego odsyłamy bliżej sprawą zainteresowanych. Znajdą tam oni wskazówki bardzo szczegółowe i pytania, rozmieszczone umiejętnie w trzech grupach, według których pracę podzielić należy, oczywiście z zupełną swobodą co do rozszerzenia jej ram i uzupełnienia pewnych działów własnymi uwagami.

Zima się zbliża, idą długie wieczory, idą dni słotne, a z niemi razem wszechwładna pani naszych dworów wiejskich — Nuda. Wypłoszą ją jednak z gabinetów swoich ci, którzy, idąc za radą pana Dzierzbickiego, z wolnego korzystając czasu, zaczną rozglądać się baczniej w gospodarce własnej gminy i zbierać materiały do jej opracowania, a następnie, według materiałów tych rzecz wyczerpująco zechcą przedstawić. Niepostrzeżenie wtedy czas im zbiegnie, a skorzysta na tem nauka i społeczeństwo, które w nauce tylko może i powinno szukać odpowiedzi na pytania o kierunkach dróg swoich.

Od czasu, kiedy ruch wydawniczy wzmógł się u nas, chromać zaczęła korekta wielu wydawnictw. Publiczność czytająca coraz częściej narzeka na wielkie w tym względzie niedbalstwo. Nie chodzi tu o wydawnictwa peryodyczne, o dzienniki, redagowane z gorączkowym pośpiechem, bo tu nawał pracy i termin, oznaczony ściśle godziną wyjścia numeru, mogą usprawiedliwić pewne niedopatrzenia; ale chodzi o książki, wydawane nieraz kosztownie, a tak niestarczanie, że na każdej niemal stronicy znaleźć w nich można kilka rażących błędów. To już nie da się wytłumaczyć brakiem czasu. Nikomu przecież nie zależało na tem, aby jubileuszowe wydanie „Krzyżaków” Sienkiewicza, ukazało się tego, a nie innego dnia, a przecież wypuszczono je w świat z błędami, podobnie, jak obecnie pomnikowe wydanie „Quo Vadis” z ilustracyami Stachiewicza. Oczywiście w obu tych wydawnictwach błędy nie są liczne, bo, bądź co bądź, na przeprowadzenie korekty zwrócono uwagę, ale już sam fakt istnienia błędów, zwłaszcza w „Quo Vadis”, któremu dano tak artystyczną szatę, boli i obniża estetyczną wartość książki. A cóż dopiero mówić o tych zwyczajnych, szarych książkach, które za tanie pieniądze idą między rzeszę, nieść rozrywkę, albo naukę? Tam już roi się od błędów i nie są to zwykłe omyłki drukarskie, ale wypaczenia myśli, zmiany terminów naukowych, nazwiska o fałszywym brzmieniu i cały szereg dodatków samowolnych i opuszczeń, świadczących o tem, że albo o korektę nie dba się zupełnie, albo powierza się ją ludziom, nieprzygotowanym do tego.

Publicznie skarżył się na to niedawno p. Jerzy Żuławski, któremu złą korektą zeszepecono do niepoznania jego książkę o Spinozie. Oskarżenie to da się bez przesady rozszerzyć na cały szereg innych książek, zwłaszcza naukowych. Dostarczają ich głównie nakłady firm warszawskich, nie wyłączając tyle zasłużonego już dla nauki „Przeglądu filozoficznego”, który w dodatkach swoich pod względem korekty ubiega się o lepsze z „Biblioteką dzieł wyborowych”. Nie chcemy bynajmniej tych dwóch wydawnictw piętnować, owszem każdemu z nich przyznajemy pożytek i zasługę w swoim kierunku, ale nie możemy wybaczyć im korekty, która, prowadzona niedbale, wyrządza potrójną krzywdę: nauce, literaturze i czytającemu ogółowi, który drukowanemu słowu ufa bezwzględnie i z dobrą wiarą przyjmuje podawane mu skażenia języka i stylu.

Zdaje się, że główna przyczyna złego, któremu stanowczo wypowiedzieć należy walkę, tkwi w tem, że większość wydawców mnie-
ma, iż korekta jest byle jakim zajęciem, które byle komu powierzyć
można i byle jak wynagrodzić, mniejszość zaś, która rozumie jej zna-
czenie — nie ma funduszków na opłacenie dobrego korektora - sty-
listy.

Od korektora nie wymaga się u nas innych kwalifikacyi, prócz
jakiej takiej znajomości ortografii, a że samo zajęcie z natury rzeczy
jest mechaniczne, więc korektor-ortograf powoli przyzwyczaja się do
automatycznego pełnienia swych czynności. Błąd ortograficzny znaj-
dzie i usunie go, ale nie zwróci natomiast uwagi na fałszywie odczy-
tany przez zecera wyraz i na to, że wyraz ten zmienia treść zdania.
Bardzo często, zwłaszcza tam, gdzie korektę pełnią kobiety, stoi na
przeszkodzie brak wykształcenia. Poprawiając książkę w zupełnie
obcej sobie dziedzinie i nie rozumiejąc ani usiłując zrozumieć przed-
miotu pracy, korektorka puszcza wodze swej domyslności, która tak
często zawodzi. Oczywiście, autor potem poznać własnej książki, jak
to było z p. Żuławskim, nie zdoła i wyjść nie może z podziwu, że mu
takie figle popłatano, jakie tylko rozmyślniej złej woli przypisać
można.

Inaczej było-by niewątpliwie, gdyby korektę powierzano lu-
dziom wykształconym, przy obecnej wszakże normie wynagrodzenia
jest to niemożliwe. Korekta, która jest zajęciem uciążliwym, wyma-
gającym dużo czasu i ciągłego napięcia uwagi, jest tak źle płatna, że
jako zawód traktowana być może tylko przez tych, którzy już na innem
polu pracy znaleźć nie mogli. Korektorzy są w dodatku przeciążeni
pracą tak, że nie mają zwykle czasu na dopełnienie t. zw. rewizyi,
która niejednokrotnie wykrywa pozostawienie przez zecerów błędów,
już raz poprawionych.

Dla dobra literatury sprawa ta wymagała-by uregulowania.
Z jednej strony należy bezwarunkowo dążyć do zmiany warunków
pracy korektorskiej i wynagradzać pracę tę tak, jak na to zasługuje,
z drugiej — wymagać od korektorów przynajmniej średniego wy-
kształcenia, to jest takiego poziomu umysłowego, na którym można już
odróżnić sens od nonsensu i wyczuć zgrzyt, domagający się usunięcia.
Dopóki to nie nastąpi i dopóki pp. wydawcy, którzy robią na literatu-
rze majątki, nie będą się poczuwali do żadnych względem niej obowiąz-
ków, a goniąc za taniością rąk i umysłów roboczych, nie zdecydują
się ponieść na korektę wydatków większych, dopóty będziemy mieli
wydawnictwa, które hynajmniej nie przynoszą zaszczytu wydruko-

wanym na ich okładkach i tytułowych kartach firmom. Czas na to zwrócić uwagę dzisiaj, kiedy od pewnego czasu znacznie poprawiła się zewnętrzna strona wydawanych książek i kiedy pewien artyzm, po długich latach nieobecności, znów zawitał do przybytków sztuki drukarskiej. Niechże z nim w parze idzie i dbałość większa o korektę.

Przed niedawnym czasem prof. Łopaciński z Lublina zamieścił w „Gazecie Radomskiej” artykuł, w którym zwrócił uwagę na zupełne zaniedbanie u nas dziejów przemysłu artystycznego. Artykuł ten został opatrzony przez redakcję „Gazety” przypiskiem, który uważamy za stosowne przytoczyć tu w całości ze względu, że sprawa poruszona w nim! zasługuje na bliższą uwagę wszystkich, zajmujących się przeszłością wogóle, a historią sztuki rodzimej w szczególności.

„Korzystając z cennego przyczynku sz. prof. Łopacińskiego, oraz z zachęty, wyrażonej w liście, pisanym do nas prywatnie, do opracowania historii fabryk ceramicznych w gub. Radomskiej i Kieleckiej, zwracamy się—mówi p. Szczęsny Jastrzębowski, redaktor „Gazety”—do wszystkich czytelników pism polskich z uprzejmą prośbą o łaskawe nadsyłanie do redakcji naszej wszystkich chociażby najdrobniejszych wiadomości o zakładach i wyrobach ceramicznych, które istnieją lub istniały w gub. Radomskiej i Kieleckiej.

Znane nam są szczegóły, dotyczące fabryki w Ćmielowie i Ilży, wiemy zaś, że istniały fabryki podobne: w Staszowie, w Denkowie, w powiecie Opatowskim i w Jedlni, w powiecie Kozienickim. W tej ostatniej przyjezdny Czech, Mach, znalazł glinę, którą uznał za zdatną na fajans i skłonił donataryusza ówczesnego do założenia fabryki, istniejącej z przerwami do r. 1873, w którym się spaliła. Prof. Łopaciński, posiada półmisek z napisem: „Wyroby z Jedlni Magnuszewskiego”, żadnych jednak wiadomości i szczegółów o fabryce tej nie mamy i w literaturze nie spotkaliśmy. Brak ich nam również o wyrobach ze Staszowa i Denkowa; o szczegóły więc te jeszcze raz najgoręcej upraszamy, a również o wiadomości: czy, oprócz powyżej wymienionych, istniały w gub. Radomskiej i Kieleckiej i inne fabryki ceramiczne (szczegóły historyczne założenia i upadku); czy posiadał lub widział kto i gdzie wyroby z tych fabryk i jakie noszą marki lub napisy?”

Wszystkie przyczynki wysyłać należy pod adresem redakcji „Gazety Radomskiej.”

Sądzymy, że ci z pośród czytelników naszych, którzy mogą w tym względzie jakiekolwiek informacje posiadać, chętnie prześlą je pod wskazanym adresem, ażeby przyczynić się do wyświetlenia rzeczywiście bardzo zaniedbanej sprawy, a dla dziejów kultury naszej nieobojętnej.

Dnia 12 sierpnia r. b. zmarł w Zakopanem ś. p. dr. Władysław Florkiewicz, lekarz. Cały swój majątek zmarły przeznaczył na cele publiczne, a mianowicie: nieruchomość w Zakopanem tudzież kapitał, wynoszący 40,000 rb. zapisał na własność Galicyi z tem przeznaczeniem, aby władze tego kraju z powyższego legatu utworzyły w Zakopanem najrychlej szkołę sanatoryjną, której program nauki odpowiadał-by albo tamtejszym klasycznym, albo realnym szkołom średnim. Fundusz pozwoli na utworzenie w pierwszych latach tylko niższych klas, z czasem jednak szkoła będzie mogła rozszerzyć zakres swego działania przez utworzenie klas wyższych. Przeznaczeniem tej szkoły będzie udzielanie nauki, jako uczniom przychodnim, chłopcom, których stan zdrowia, stwierdzony badaniem lekarskiem, wymaga tego wzmocnienia, i uodpornienie ustroju, jakie zwykł dawać dłuższy pobyt na czystym powietrzu górskim. Utworzyć się mający zakład naukowy nosić ma nazwę „Szkoły sanatoryjnej św. Ładysława z Gielniowa.” Zgodnie z życzeniem zapisodawcy w szkole tej pobierać mają naukę przedewszystkiem synowie mieszkańców dalszych miast i wsi polskich, oraz synowie Polaków, zamieszkujących wielkie miasta zagraniczne; chłopcy z Zakopanego i sąsiednich miejscowości, których stan zdrowia odpowiada sanatoryjnym zadaniom szkoły mają być uważani na równi z poprzednio wymienionymi, tacy zaś, którzy są zdrowi i silnie zbudowani, będą przyjmowani w braku właściwych kandydatów. Za udzielaną w szkole naukę pobierana ma być opłata, zwolnieni od niej istotnie będą tylko niezamożni. Władza krajowa jednak mocna będzie wprowadzić w zastosowanie lub pominąć powyższe życzenia zapisodawcy.

Gdyby kraj, któremu zapis ten uczyniono, zrzekł się go i odmówił przyjęcia, to nieruchomość w Zakopanem i kapitał 40,000 rubli, przejdą na własność zupełną Akademii umiejętności w Krakowie, której przysługiwać będzie prawo sprzedania nieruchomości i utworzenia kapitału żelaznego ze zlania obu pomienionych źródeł.

Taż sama Akademia otrzymała zapis w kwocie 18,000 rb., z warunkiem, że procent od tego będzie zużytkowywała według swego uznania.

Gdyby zaś kiedykolwiek Akademia miała przestać istnieć, to ostatni jej prezes z sekretarzem stałym i z 3 powołanymi do tego przez nich członkami Akademii, będą mieli prawo i obowiązek sumienia rozporządzić całym zapisem i postanowić, w jaki sposób i przez kogo będzie on w przyszłości użytkowany, wyłącznie jednak i jedynie na cele krzewienia umiejętności i nauki polskiej.

W dalszym ciągu 5,000 rb. otrzymało warszawskie Towarzystwo lekarskie z tem przeznaczeniem, ażeby kapitał ten stanowił fundusz żelazny, od którego procenty będzie zarząd T-wa tego udzielał corocznie jako stypendyum studentowi uniwersytetu warszawskiego, Polakowi, wyznania rzymsko-katolickiego, odznaczającemu się pilnością w naukach i moralnem prowadzeniem. Kandydaci wybierani będą kolejno i naprzemian z wydziałów: lekarskiego i matematyczno-przyrodniczego.

Również 5,000 rb. otrzymał uniwersytet jagielloński w Krakowie na także stypendyum.

Wszystkie te zapisy wejdą w życie po śmierci siostry zapisodawcy, która jest dożywotniczką wyszczególnionego tu majątku. Bezpośrednio zaś po śmierci zapisodawcy otrzymały: 3,000 rb. kasa wsparcia podupadłych lekarzy, wdów i sierot po lekarzach, 3,000 rb. Towarzystwo pomocy naukowej im. d-ra Karola Marcinkowskiego w Poznaniu i 2,000 rubli Muzeum Tatrzańskie im. d-ra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem.

Zapisy te są wymownem świadectwem obywatelskich uczuć zmarłego i przekazują pamięć jego społeczeństwu na długie lata.

Dnia 20 października r. b. zmarła w Warszawie ś. p. Władysława z Rogozińskich Izdebska, zasłużona autorka na niwie pedagogicznej.

Ś. p. Izdebska urodziła się w Warszawie w r. 1829 z ojca Antoniego Rogozińskiego i Salomei z Magnuszewskich (siostry poety Dominika). Wykształcona starannie, czytana i obdarzona wrodzoną zdolnością do pióra, od r. 1860 zaczęła występować na widowni literackiej, zyskując sobie powoli uznanie i popularność. Do celniejszych jej utworów należą: powieść dla młodzieży p. t. „Wieczory z babunią” (1863); „Wianek”, czyli zbiór powiastek, wspomnień historycznych i komedijek (1871); powieść „Naszyjnik babuni” (1875); „Praca bogactwem” (1877), oraz zbiór komedijek p. t. „Teatrzyk dla młodzieży” (1878).

Zmarła była także autorką pracy, nagrodzonej na konkursie naszej „Biblioteki“ w r. 1876 p. t. „Wiano macierzyńskie“, gdzie wypowiadała poglądy swoje na wychowanie dziewcząt. Na konkursie Bredkrajcza w Poznaniu uzyskała odznaczenie dramat jej p. t. „Nałęcz i Grzymalici“. Nagrodzoną była wreszcie na konkursie Sikorskiej praca Izdebskiej p. t. „Dzienniczek Elżuni“.

Drobne utwory ś. p. Izdebskiej, wśród których nie brakowało i poezyi ulotnych, zamieszczały: „Opiekun domowy“, „Przyjaciel dzieci“, „Świat“, „Biesiada Literacka“ i „Wieczory rodzinne.“

W ostatnich czasach zasłużona autorka pracowała nad szerzej zakrojonem dziełem p. t. „Kobieta w pochodzie wieków“, śmierć jednak już nie pozwoliła jej pracy tej wykończyć.

W Berlinie zmarł w 33 roku życia jeden z więcej uzdolnionych publicystów młodszego pokolenia, Henryk Forszteter (Hafor). Zmarły urodził się w Lublinie, gdzie też ukończył gimnazjum. Studya uniwersyteckie odbył w Warszawie na wydziale prawnym, a uzupełnił je, głównie w kierunku ekonomiczno-społecznym w Berlinie, skąd przez szereg lat pisywał korespondenckie do „Prawdy“, i „Przeglądu tygodniowego“, pod ogólnym tytułem „Listy z Niemiec.“ Roczniki wspomnianych czasopism zawierają nadto liczne artykuły zmarłego z dziedziny ekonomii i polityki ekonomicznej, pisane pod kątem doktryny socjalistycznej, ale nacechowane dużą znajomością przedmiotu i rozległą erudycją, a obok tego jasne i proste w wykładzie.

Dnia 22 października r. b. dzwony żałobne obwieściły mieszkańcom Cieszyna zgon zacnego przewodnika i obrońcy ludu polskiego na Śląsku Austryackim.—Umarł ks. Ignacy Świeży, długoletni poseł na sejm krajowy i do Rady Państwa, prezes Towarzystwa Macierzy Szkolnej dla Ks. Cieszyńskiego i T-wa bł. Sarkandra.

Nazwisko jego i zasługi na polu odrodzenia narodowego prastarej dzielnicy piastowskiej dobrze są znane ogółowi polskiemu. Był to wytrawny mąż stanu, niezmordowany bojownik „dobrej sprawy“, siewca plennego na przyszłość ziarna na licznych zagonach pracy, które uprawiał. Ludowi poświęcił całe życie swoje, bronił go przed naporem fali germanizacyjnej, dźwigał na wyższe stopnie oświaty,

przywracał mu skarb utracony—język ojczysty. Pracował w uznaniu, ale i owoców swej pracy doczekał na niejednej grzędzie.

Nie tu miejsce na ocenę całej działalności zmarłego kapłana i posła—ocena taka należy do historii, która w swoim czasie sąd wyda o jego zasługach i błędach, o jego taktyce narodowej i politycznej, tak utrudnionej przez rozłam wyznaniowy ludności Śląska i przez zaostrzenie się stosunków z Czechami. To pewna wszakże, że sąd ten będzie brzmiał nad mogiłą prawego człowieka i obywatela wielkiej miary, który zawsze i wszędzie dobro ogólne i przyszłość swojego ludu miał na pamięci.

Cześć jego pracy, jego ideałom, jego głębokiemu uczuciu dla ziemi, której był synem miłującym!

BIBLIOGRAFIA.

F I L O Z O F I A.

Oskar Altemberg: Zagadnienia praktyczne z psychologii wychowawczej. Dodatek do „Przeglądu Pedagogicznego w roku 1901. Warszawa. 1901, str. 91.

W. James: Pogadanki psychologiczne dla nauczycieli. Dodatek do „Przeglądu Pedagogicznego“ w roku 1901, str. 159.

Jan Mastelski: Filozofia przyrody w zarysach. Część trzecia. Warszawa (E. Wende i Sp.), 1902, str. 189.

H. de Raaf: Psychologia elementarna. Dodatek do „Przeglądu Pedagogicznego. Warszawa, 1902, str. 176.

Jerzy Simmel: Zagadnienia filozofii dziejów. (Badanie z zakresu teorii poznania). Warszawa, str. 168.

Dr Maurycy Straszewski: Propedeutyka filozoficzna w naszych gimnazyach. W Krakowie, 1902. Księgarnia D. E. Friedleina, stron 57.

W. Windelband: Platon. Przełożył z niemieckiego Stanisław Bouffał. Warszawa, 1902, stron 263. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“.

PRZYRODA. — ANTROPOLOGIA. — MEDYCyna.

Edmund Clodd: Człowiek pierwotny. Z 36-ma rysunkami. Przełożył z angielskiego Feliks Werwiński. Warszawa. Wydawnictwo „Poradnika dla czytających książki“, 1902, str. 201.

Dr Aleksander Kwiatkowski: O nieprawidłowej kurczliwości mięśni prątkowanych i leczeniu jej masażem. Cena kop. 20. Warszawa, Skład główny w księgarni E. Wende i Sp., 1903, str. 13.

Tenże: Badania nad mechanizmem żołądka i kiszek i nad znaczeniem leczniczym masażu. Cena kop. 60. E. Wende i Sp. 1903, stron 51.

Dr Wacław Męczkowski: O udawaniu (symulacji) objawów nerwowych, oraz kilka uwag o badaniu i świadectwach lekarskich w przypadkach cierpień urazowych. E. Wende i Sp. Cena rub. 1. Warszawa, 1903. Stron 178 + VII.

Dr L. Sonderegger: Podstawy ochrony zdrowia. W przekładzie i z przedmową d-ra E. Biernackiego. Część pierwsza, stron 124. „Biblioteka dzieł wyborowych“, № 250. Warszawa, 1902. Część II, stron 158.

W. Weresajew: Spowiedź lekarza. Z upoważnienia autora spolszczył Roman Gutowski. Warszawa, 1902. Skład główny w księgarni Jana Fiszera, Nowy Świat 9. str. 163.

POEZYJE. — DRAMATY. — POWIEŚCI.

H. Orlicz-Garliowska: Nie-komediantka. Historia teatralna. Warszawa, Jan Fiszera, 1903, stron 174.

Jan Kasprovicz: Moja pieśń wieczorna. Poezye. Lwów. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka. 1902, stron 131. Z portretem i fac-simile poety. (Photogravure *Unie*).

Tegoż: Salve Regina, hymn ś-go Franciszka z Assyżu. — Judasz. — Marya Egipczyanka. — Poezye. Lwów. Nakładem księgarni Polskiej. Warszawa. E. Wende i Sp., 1902, stron 84.

Sigismond Krasiński: Comédie non divine. Traduit du polonais par M-me Anna Leska. Lausanne. Imprimerie Georges Bridel et Comp., 1902, stron 102.

Antoni Miecznik: Na odajach stepowych. Powieść. Warszawa, 1902, stron 146. Skład główny w księgarni Jana Fiszera.

Jan Neruda: Pieśni kosmiczne i inne. Tłumaczył Konrad Zaleski. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1902, stron 77 + II.

Adolf Neuwert-Nowaczyński: Małpie zwierciadło. Satyry. Odbito w roku 1902 w Krakowie, stron 325. Księgarnia Polska we Lwowie. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Edgar Allan Poe: Morderstwo na rue Morgue. Z oryginału przełożył Wojciech Szukiewicz. Lwów. Nakładem księgarni Polskiej. Warszawa, E. Wende i S-ka, 1902, stron 267.

Wacław Sieroszewski: Powieści chińskie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1903, stron 387.

HISTORIA LITERATURY.

Charakterystyki literackie: „Stefan Żeromski“. napisał Tadeusz Gałicki. „Stanisław Przybyszewski“, napisał Zygmunt Bytkowski. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i S-ka, 1903, stron 101.

Jul. Ad. Świecicki: Historia literatury powszechnej. Z ilustracyami. Tom V, część II. *Literatura perska*. Warszawa, 1902 („Biblioteka dzieł wyborowych“), stron 237.

Stanisław Zdziański: Szkice literackie. 1902. Lwów. Księgarnia Polska. Warszawa, E. Wende i Sp., stron XIII + 311. *Treść*. Od autora. — Klonowicz a pamflet przeciw Jezuitom. Dwie notatki do pism Mickiewicza. — Maurycy Gosławski. — Witwicki i Żukowski. — Kilka notatek do pism Słowackiego: 1) Hugo. 2) Mnich. 3) Żmija. 4) Eoljon z „Wacława“. Chronologia z młodocianych utworów Zaleskiego. — Mickiewicz i Lermontow.

PISMA ZBIOROWE.

Księga pamiątkowa wystaw lubelskich. Praca zbiorowa, wydana staraniem Zarządu lubelskiej wystawy rolniczo-przemysłowej w 1904 roku. Warszawa. Druk „Gazety Rolniczej”, Złota 24. — 1902, stron 94+98+20+ Gazeta Rolnicza, № 25, stron 395—450 i ogłoszenia.

Wisła, miesięcznik, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu. Tom XVI. Zeszyt 5. Październik, 1902. *Treść*: I. Radliński: Apokryfy judaistyczno-chrześcijańskie. — Z. Staniszevska: Wieś Studzianki. — R. Lilientalowa: Pieśni ludowe żydowskie. — J. Milewska: Śpiewy dożynkowe z Rembówka. — M. Zaborowski: Słowianie pod względem rasy. — Poszukiwania. — Sprawozdania i krytyka. — Przegląd czasopism. — Ryciny.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

ADAM hr. KRASIŃSKI.

K O N K U R S.

Akademia Umiejętności w Krakowie

przedłuża niniejszem konkurs

imienia ks. ADAMA JAKUBOWSKIEGO,

na następujące dwa temata:

- a) Monografia wsi jakiegokolwiek na terytorium dawnej Polski w XIX stuleciu. Pożądany wstęp historyczny.
- b) Monografia którego z opactw benedyktyńskich, lub cysterskich w Wielkopolsce, w epoce średniowiecznej.

Nagroda 1,400 koron zostanie ewentualnie rozdzieloną na dwie, których wysokość będzie po rozstrzygnięciu konkursu oznaczoną stosownie do objętości nagrodzonych prac.

Termin konkursu 31 grudnia 1902 roku.

Na powyższy konkurs nadsyłać należy prace konkursowe do Akademii Umiejętności w Krakowie, bezimiennie, pod godłem, wybranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, mieszczącej wewnątrz nazwisko autora, a tem samem godłem zaopatrzonej.

Według § 18 Regulaminu Akademii wypłata wszelkich nagród konkursowych następuje dopiero po ogłoszeniu pracy, uwieńczonej nagrodą.

W Krakowie, dnia 23 lipca 1902 roku.

Z Zarządu Akademii Umiejętności.

Prof. B. Ulanowski,
za Sekretarza Generalnego

W przededniu katastrofy.¹⁾

GALICJA W ROKU 1846.

II.

Literatura polityczna, nietylko polska, lecz wogóle austriacka, w najszerszym tego wyrazu znaczeniu, obejmującym wszystkie narodowości, w skład Austrii wchodzące, wzniosła w ciągu obecnej ery konstytucyjnej staro-austriackiej biurokracyi taki pomnik historyczny, jakiego pewnie nie posiada biurokracya innych krajów. Pomnik ten składa się z ciężkich głazów potępienia i przekleństwa, rzuconych na jej grób, da Bóg, na zawsze zamknięty. Nie skończyło się jeszcze to kamienowanie pamięci staro-austriackiej biurokracyi, bo na jej rachunek zapisała już i dalej zapisuje historia współczesna wszystkie katastrofy, jakie w drugiej połowie XIX wieku dotknęły Austrię, wraz ze wszystkimi, jeszcze nieprzebytymi całkowicie, następstwami tych katastrof, bo, co ważniejsza, upiór tej dawnej biurokracyi przywiduje się dotąd ludom austriackim w każdym cięższym przesileniu konstytucyjnym i niejako wyzywa do powtarzania wszystkich złorzeczeń i przekleństw. Może dopiero przyszłe pokolenie, które nie będzie już słyszało głosów naocznych świadków staro-austriackiego systemu rządowego, i przekona się o niemożliwości jego wskrzeszenia, zamknie ostatecznie rachunek polityczny ze staro-austriacką biurokracyą według maksymy: *De mortuis nil*, skoro *bone* nikt pewnie odezwąć się nie może.

Katastrofa galicyjska z roku 1846 idzie także na historyczny rachunek staro-austriackiej biurokracyi, która wtedy zapuściła swoje gęste sieci w mętne wody anarchii, wywołanej w niemałej części całem jej postępowaniem. Że bowiem anarchia odgrywała tutaj główną rolę, na to wymowną wskazówką jest fakt, iż w najdrastyczniej-

¹⁾ Patrz zeszyt majowy, str. 213 i czerwcowy, str. 429.

szych nawet przedstawieniach całej grozy rzezi galicyjskiej i odpowiedzialności wszystkich czynników, które zawiniły bądź to bezpośrednio, bądź pośrednio, z góry bywają wypuszczane, lub w najgorszym razie traktowane tylko jako w błąd wprowadzone ofiary perfidy biurokratycznej dwie osobistości historyczne, przeciw którym, jako dzierżycielom całej władzy w państwie i w Galicyi, z natury rzeczy głównie przecież powinna-by się zwracać cała gorycz, to jest: cesarz Ferdynand, „dobrotliwym“ przez Wiedeńczyków nazwany i za takiego wszędzie uważany, a obok niego arcyksiążę Ferdynand d'Este, generał-gubernator Galicyi, również dobrotliwy, a przytem przejęty duchem szczerej pobożności. Historia nie zmieniła bynajmniej tej opinii współczesnej o powyższych osobistościach, lecz, owszem, utwierdza ją jeszcze więcej najświeższymi źródłowemi publikacyami o stosunkach Austrii przed rokiem 1848. W obrazie tych stosunków, oświeconym już dziś dokumentami, zupełnie zrozumiałem jest to, co w pierwszej chwili po lutym 1846 roku wydawać się mogło trudnem do zrozumienia, nawet wprost niepojętem, to jest fakt, że poza plecami monarchy, jeżeli nie zupełnie bez jego wiedzy, to już z pewnością bez świadomości prawdziwego stanu rzeczy i stanowczo wbrew jego dobrotliwemu charakterowi, wzdrygającemu się na samą myśl rozlew krwi, nawet w chwili tak krytycznej, jak 13 marca 1848 roku, gdy zrewoltowany tłum wiedeński wyruszał ku pałacowi wiedeńskiemu, z zamiarem wymuszenia swobód konstytucyjnych,—w Wiedniu książe Metternich, do spółki z szefem policyi, hr. Sedlnitzkym, i najwyższym kanclerzem (szefem kancelaryi nadwornej), hr. Inzaghim, a w Galicyi starostowie, jak Breinl w Tarnowie, Bernd w Bochni i t. p., pod faktycznemi rządami prezydenta gubernialnego, Kriega, wywołali, lub co najmniej tolerowali krwawą orgię, na której wspomnienie, jeszcze po upływie lat pięćdziesięciu z okładem, krew się w żyłach ścina.

Dziś trudno pojąć, jak w połowie XIX wieku, w cywilizowanym państwie europejskiem urosć mogła do takiej potęgi kasta ludzi (biurokratów), nieprzodujących bynajmniej otoczeniu swojemu wyższemi pojęciami o zadaniach państwa i potrzebach społeczeństwa, uważających, owszem, państwo tylko za szeroką arenę dla pościgu za osobistą karierą, wreszcie nieprzyświecających wyższą siłą moralną, lecz tylko dbających o własny interes, i dla tego interesu o wszystkim zresztą zapominających. W polskich publikacyach o roku 1846 i wogóle o przedkonstytucyjnych rządach austriackich, kwestya powyższa traktowana bywa tylko mimochodem, jako niewymagająca bliższego objaśnienia. Najczęściej sprawa ta bywa tak przedstawiana, jak gdyby to położyć należało na karb faktu, że w owych czasach w Galicyi między służbą rządową a świadomością obowiązków obywatelskich

zachodziła sprzeczność rażąca, wskutek czego urzędy galicyjskie wypełniać się musiały zbieraniną z innych prowincyi, i to zbieraniną najpośledniejszą, wrogą, albo w najlepszym razie obojętną dla kraju. W takim objaśnieniu niezawodnie wiele jest racyi, bo było to właśnie nieszczęście dla Galicji, że nie przynęcała do siebie lepszych żywiołów świata biurokratycznego, a wskutek tego otrzymywała i znosić musiała u siebie wybiórki z innych prowincyi. Ale właśnie fakt, że nawet w ręku tak poślednich reprezentantów staro-austriackiej biurokracyi leżała taka potęga, taka siła demoniczna, jaka się w roku 1846 w Galicji ujawniła, naprowadza na wniosek, iż źródła tego stanu szukać należy głębiej, mianowicie w całym ustroju państwa i kraju w tej dobie. Przypatrzmy się bliżej temu ustrojowi, a to, cośmy powyżej nazwali trudnem do pojęcia, przedstawi się, jako naturalne następstwo stosunków.

Cała austriacka maszynerya rządowa, cały system absolutny rządów był już zupełnie rozstrojny i blizki bankructwa na długi czas przed katastrofą roku 1846. System ten bowiem nie posiadał w Austrii ówczesnej żadnego z tych dwóch czynników, które w innych państwach stanowiły jego podpórę, to jest ani monarchy, który-by umiał i zdołał działać pod wyniosłem hasłem *l'état c'est moi*, ani dobrane i jednolicie zorganizowanego aparatu administracyjnego, wykonawczego wogóle. Cesarz Józef II, przedstawiany przez historyków i publicystów austriacko-niemieckich jako typ takiego monarchy absolutnego, który nie tylko mógł podtrzymać system absolutny, lecz nadto uczynić go nawet do pewnego stopnia popularnym, posiadał niezawodnie wiele przymiotów, uprawniających go do takiej roli; ale działalność jego, kierowana głównie dążnością centralizacyjno-germanizatorską i wysilająca się przytem na awanturniczą w całym przebiegu swoim misję reformatorską, była raczej tylko jedną fazą w rozstroju państwowym. Jak po jego misji reformatorskiej na polu społecznem, tak i po organizacyjnych zabiegach około maszyny rządowej, pozostało zamieszanie. Organa administracyi przedstawiały razem taką chaotyczną w rozdziale agend strukturę, że częstokroć przypadek rozstrzygał, do której czeluści biurokratycznej pewna sprawa wpaść miała. Bardzo często sprawy pokrewne z treści i ze wszystkich akcesoryów bywały rozmaicie traktowane i załatwiane z powodu ich rozrzucenia pomiędzy różne władze centralne. Za rządów następnych próbowano niejedno zmienić i naprawić, ale próby te nie osiągnęły celu pożądanego.

W takim składzie rzeczy, system absolutny w Austrii potrzebował do utrwalenia swojego wobec nowych prądów politycznych, coraz śmielej docierających od Zachodu ku środkowej Europie, już

nietylko monarchy, który-by w wyższym umyśle umiał objąć i samodzielnie inicjatywą forytować całość zadań państwowych, niedostępną dla ścieśnionego widnokregu biurokracyi; lecz nadto centralnego organu przybocznego, który-by z jednej strony był motorem i regulatorem wszystkich funkcji skomplikowanego aparatu administracyjnego, a z drugiej strony czuwał bacznie nad utrzymaniem tego aparatu w stanie dobrym, zabezpieczonym przed osadzaniem się rdzy przedajności i śniedzi bezmyślnej pedanteryi na poszczególnych kołach i kółkach. Tych warunków nie posiadała Austria absolutna w okresie, poprzedzającym wypadki lat 1846—1848. W tych czasach bowiem cesarz Franciszek ograniczał swoją ambicję do ześrodkowania w swojej gabinetowej kancelaryi spraw administracyi wewnętrznej tak, ażeby w tym zakresie zachować sobie wszystkie pozory samodzielności i niezależności. Sam lubił chwalić się tem, że mógł-by być bardzo użytecznym „hofratem“, i niezawodnie należał mu się tytuł najwyższego i najpracowitszego „hofrata“ w całej Austrii. Rzecz naturalna, że taki monarcha-biurokrata musiał nietylko opóźniać w nieskończoność ostateczne załatwienie wielu spraw, sobie zastrzeżonych, lecz nadto, wobec fizycznej niemożności wglądania we wszystkie szczegóły, pozostawić w końcu biurokracyi szerokie pole, na którym ona czuła się już zupełnie wyjętą z pod kontroli. Doniosłość tej konsekwencyi maleje w oczach dzisiejszego pokolenia społeczeństwa polskiego w Galicyi, oswojonego już z widokiem urzędników-obywateli, stojących poza sferą hierarchicznej odpowiedzialności pod podwójną ścisłą kontrolą własnego sumienia obywatelskiego i opinii współobywateli. Ale takie wyjęcie biurokracyi z pod kontroli, o jakiem powyżej mówiliśmy, znaczyło dla pokolenia polskiego ze schyłku pierwszej połowy XIX-go stulecia niemal tyle, co wyjęcie z pod prawa i wydanie na łup samowoli licznej, ale wspólnością interesów ściśle z sobą połączonej i przewrotnym *esprit du corps* na tle tych interesów od dołu do góry ożywionej, armii indywiduów obcych krajowi i przejętych zawistnemi uprzedzeniami.

Jedynie dobrą — ale nie w znaczeniu bezwzględnem, lecz tylko w porównaniu ze stanem późniejszym — stroną rządów cesarza Franciszka było to, że książę Metternich trzymany był zdala od spraw administracyi wewnętrznej, nie tyle z zasadniczych powodów, jak raczej dzięki tej zazdrości, z jaką cesarz warował wszystkie pozory samodzielności monarszej w tym właśnie zakresie agend.

Wszystko zmieniło się na gorsze z chwilą wstąpienia na tron cesarza Ferdynanda. W niedołąźnie skombinowanym, a bardzo skomplikowanym aparacie biurokratycznym absolutnej Austrii główny czynnik, ten właśnie, który wszystko jednoczyć i do jednego tonu

dostrajać winien, był obezwładniony. Cesarz Ferdynand, z przymiotów serca jako dobrotliwy znany i tak już stale w historii nazywany, dotknięty był ciężką a nieuleczalną chorobą nerwową, epilepsją. Często ponawiające się silne ataki epileptyczne nie tylko czyniły go niezdolnym do takiej systematycznej pracy, jaką cesarz Franciszek, mimo drobiazgowego pedantyzmu, jeszcze jako tako zapewniał regularne funkcyonowanie maszyny rządowej, lecz nadto, wskutek ujemnego wpływu na funkcyje intelektualne monarchy, mianowicie wskutek postępującego słabnięcia jego pamięci i siły woli, nasuwały sferom dworskim coraz więcej potrzebę ustanowienia bodaj cichej regencji, która-by zapobiegała zupełnemu zastojowi w rządach przez zanik tej siły rozpędowej, jaką za poprzednich monarchów stanowiła ich indywidualność wybitna i zdeklarowana wola.

Była to sytuacja, świetna dla wybitnego męża stanu, który w roli wszechwładnego ministra mógł-by był ustrój państwowy zreformować na trwałej podstawie i okryć się w historii Austrii niepozbytą sławą. Ale równie świetną była ta sytuacja dla takiego demona politycznego, jakim był w tej dobie książę Metternich, już nie młody pod względem wieku, ale pełen młodzieńczej siły woli i pomysłowości w tem, co sobie jako zadanie główne postawił: w tamowaniu, a jeżeli można, nawet w brutalnem krępowaniu wszelkich aspiracji wolnościowych, wszelkich porywów reformatorskich, wogóle wszelkiego odstępstwa od maksymy ówczesnego systemu absolutnego, według której „ograniczony rozum poddanych“ skazany jest wobec powagi i przewagi „ojcowskiego rządu“ na wieczne milczenie i ślepą potulność. Że aż do śmieszności posuwano przestrzeganie tej maksymy, na to najlepszem świadectwem fakt historyczny, na pozór małej wagi, ale co do istoty swojej wielce charakterystyczny. Kiedy raz deputacja ze świata literacko-naukowego i księgarskiego zdobyła się na krok śmiały na ówczesne stosunki i wręczyła kanclerzowi bardzo pokorną petycję o złagodzenie nieznosnego a niedorzecznego przytem ucisku cenzuralnego, tamującego wszelki rozwój, wogóle wszelki ruch w zakresie pracy duchowej, Metternich odprawił ją oświadczeniem, że deputacja tym krokiem właśnie uniemożliwiła oddawna już przezzeń z własnej inicjatywy zamierzoną reformę cenzury, gdyż rząd nie może teraz tego uczynić, aby uniknąć wszelkiego pozoru ulegania naciskowi od dołu.

Siła wypadków i całej sytuacji ówczesnej wciskała niejako całą władzę w ręce Metternicha. To też na dworze cesarskim powstała obawa, żeby ten potentat nie urósł wszystkim ponad głowę. Skoro niemożliwem było zepchnięcie Metternicha ze stanowiska przewagi, niemożliwem najpierw z powodu jego niezaprzeczonej wyższości nad

całem otoczeniem politycznem i dworskiem, a powtórę, z powodu jego wielkiej powagi wobec całej Europy, nie pozostawało czynnikom, dbałym o powagę dynastyczną, a tem samem poniekąd zawistnym Metternichowi, nic innego, jak tylko utworzenie pewnego kollegium regencyjnego, w którem kanclerz państwa odgrywał-by, bo odgrywać musiał, główną rolę, które jednak ścieśniało-by, przynajmniej na pozór, jego wszechwładztwo. W ten sposób powstała konferencya stanu, która miała zastępować cesarza w razie choroby, a w rzeczywistości wyręczała go stale. Członkami stałymi tej konferencyi byli: arcyksiążę Franciszek Karol, ojciec dzisiejszego cesarza, Franciszka Józefa I, arcyksiążę Ludwik, oraz ministrowie: ks. Metternich i hr. Kolowrat. Do udziału w obradach, ale nie stale, lecz tylko w miarę potrzeby, jeżeli mianowicie tego prawne sprawy wymagały, mogli być powoływani także inni ministrowie, prezydenci najwyższych dekanatów, oraz szefowie sekcji i rady stanu. Ponieważ członkowie ostatniej kategorii byli tylko referentami, a arcyksiążę Franciszek Karol pozostał wogóle w całej działalności swojej biernym, więc ostatecznie rządy spoczęły w rękach tryumwiratu, to jest arcyksięcia Ludwika, ks. Metternicha i hr. Kolowrata. Taka organizacya naczelnego i centralnego kierownictwa maszyny rządowej nie mogła, oczywiście, dawać rękojmi jednolitej i sprężystej akcji, zwłaszcza w chwili nacisku nadzwyczajnych wypadków i wśród wyjątkowej sytuacji. Jeżeliż tedy z taką organizacyą łączyła się jeszcze niezgoda w łonie tryumwiratu, to nie dziwnego, że w danym razie brak harmonii u góry musiał pociągnąć za sobą na niższych szczeblach administracyi formalny rozstrój, a wśród takich nadzwyczajnych wydarzeń, jakie zaszły na początku roku 1846, nawet anarchiczne rozprężenie.

Że w łonie tego tryumwiratu panowała istotnie niezgoda, tego domyślano się w swoim czasie, a dziś są już na to niezbite dowody, zawarte w wielkim zbiorze pism po ks. Metternichu i ogłoszonych przed dwudziestu laty¹⁾. Takim dowodem jest najpierw memoriał, znaleziony pomiędzy temi pismami, a napisany, jeżeli nie przez samego kanclerza Metternicha, to w każdym razie przez osobistość, nietylko wtajemniczoną w cały tok spraw rządowych, lecz nadto postawioną tak blisko kanclerza, że wiadome jej były jego skryte żale i dławione podejrzenia. „Niezgoda i sprzeczność między zapatrywaniem i dążeniami obu kierujących ministrów (tj. ks. Metternicha i hr. Kolo-

¹⁾ „Aus Metternich's nachgelassen Papieren“, — Wien, 1883 — Część II, tom 5.

wrata), z każdym dniem staje się coraz więcej publiczną tajemnicą. Ani w postępowaniu z ludźmi, ani w załatwianiu spraw nie widać stałego kierunku. Opóźnienia, wywoływane nie ściśłością, lecz niejasnością zamiaru, albo brakiem decyzji, doprowadzają najczęściej do zaniechania koniecznych kroków lub do połowicznych zarządzeń, a nie raz do przedwczesnych dyspozycji. Instytucje w najwyższej sferze tracą na sile i kredycie... Dla jasno patrzących nie jest to żadna tajemnica, że absolutyzmem ministerstwa gabinetowego (tj. hr. Kolowrata), nie kieruje pewna konsekwentna i stanowcza dążność ku jasno pojętemu wielkiemu celowi państwowemu, lecz kapryśne starania o zaspokojenie drobiazgowych aspiracji i próżności, że opiera się nie na samodzielnej, silnej i imponującej indywidualności, lecz raczej na najzupełniejszej zależności od kilku intrygantów i egoistów". W dalszym ciągu memoriału już bez wszelkich ogródek i bez oszczędzania osób (hr. Kolowrata i arcyksięcia Ludwika) przedstawiony jest stan rzeczy w taki sposób, że tok memoriałowy zmienia się wprost w oskarżycielski.

Jeszcze jaśniej określił anarchiczny ustrój maszyny rządowej ówczesnej Austrii sam ks. Metternich, już po upadku swoim, w piśmie do swojego następcy w ministerstwie spraw zagranicznych, hr. Ficquelmonta z 30 marca 1848. „Znasz pan przeszłość—pisze były kanclerz austriacki—i wiesz, czego pożądałem, nie mogąc celu osiągnąć. W ciągu lat, które upłynęły od nastania ogólnego pokoju, żądałem przede wszystkim stworzenia władzy rządowej (*création d'une force gouvernementale*), bez której niema państwa. Moje usiłowania były daremne; nie zrozumiano mnie, a stąd wyniknąć musiały następstwa, które uważać należy za konsekwencję tego faktu. Moje ministerstwo, a także moja indywidualność reprezentowała potęgę Austrii na zewnątrz, a tymczasem wewnątrz powstała próżnia. W ten sposób stałem się (na co wzdyga się moja świadomość moralna) fantasmagoryą, istotą fantastyczną, duchem bez ciała, przedstawicielem tego, co powinno być istnieć, a czego wcale nie było. Oto historia a nie powieść". A na innem znowu miejscu w autobiograficznych zapiskach mówi były kanclerz: „O ile rozległym był mój osobisty zakres działania na polu politycznem, o tyle ograniczonym był on w zakresie wewnętrznych stosunków rządu. W leniwym toku spraw środki rządowe wtedy dopiero dochodziły do mojej wiadomości, gdy przeszły już wszystkie niższe stadya i dojrzały do ostatecznej decyzji i wymagały jej z powodu swojej nagłości lub ważności. Najpłodniejszym w skutki błędem w sytuacji cesarstwa austriackiego przed r. 1848 było wciągnięcie w zakres rządu spraw, które należały do zakresu administra-

cyi. Przez to maszyna państwowa była w swoim ruchu tamowana, najwyższe sfery zaprzętano rozmaitemi sprawami, a odpowiedzialność niższych władz została uchylona.

To ostatecznie otwarte przyznanie, że w funkcjach władzy państwowej panował rozstrój anarchiczny, wyjaśnia trudną do pojęcia ospałość, prawie bierność centralnych organów wobec Galicji w 1846, mianowicie w chwili, gdy z całego ruchu powstańczego śladu już nie było, a bandy chłopskie w zachodnich obwodach długi jeszcze czas w sposób rozbójniczy grasowały po dworach pod okiem organów cyrkularnych, z jednej strony już wtedy bezsilnych wskutek poprzednio z temi bandami milczącego zawartego sojuszu, a z drugiej strony zasłoniętych przed odpowiedzialnością przez to, że pospolite mordy i rozbój chłopskie wyjęto w Wiedniu z zakresu administracji i przeniesiono w zakres rządu, tj. traktowano nie jako zbrodnie, lecz jako akta lojalnej kontr-rewolucyi, a więc jako akta polityczne.

W takich sprawach polityki wewnętrznej, w których interesa polityki zagranicznej w grę wcale nie wchodziły, hr. Kolowrat czasem zdołał wobec kanclerza utrzymać się ze swojemi odmiennymi zapatrywaniami. Faktem jest np., że kierunek germanizacyjny, wytknięty przez cesarza Józefa, za wpływem hr. Kolowrata zwolnił w czasie, gdy przewaga ks. Metternicha na pozór wydawała się nienaruszalną. M. Bach, którego najświeższa historia rewolucyi wiedeńskiej z r. 1848¹⁾ napisana została już widocznie pod wrażeniem współczesnych zawikłań i przesileń politycznych w Austrii, na tle antagonizmów narodowych i sporów językowych, wprost obwinia hr. Kolowrata, że, sam będąc Czechem, zwolennikiem dążeń czeskich, pod wielu względami popierał Czechów, forytował ich w służbie państwowej, a przede wszystkim zapewnił im spokój i wolność w pracy narodowej.

Być może, że także żywioł polski posiadał w hr. Kolowracie, jeżeli nie takiego przyjaciela, jak żywioł czeski, to przynajmniej wyrozumiałego świadka swojej niedoli ówczesnej i wysiłku ku wydobyciu się z tej niedoli. S. Barzykowski wymienia w swojej „Historji powstania listopadowego“ hr. Kolowrata obok ówczesnego gubernatora, księcia Lobkowitza, jako jedynie w ówczesnym urzędowym świecie austriackim życzliwych mężów stanu, którzy wysłannikom rządu warszawskiego okazali wiele współczucia i gotowości do życzliwej interwencji, jak wiadomo, daremnej wśród danych stosunków poli-

¹⁾ Maksymilian Bach „Geschichte der Wiener Revolution im Jahre 1848,“ Wien 1893.

tycznych. W samej Galicyi zaszedł właśnie w tych czasach widoczny, choć krótko trwający, zwrot we wrogim dotąd dla polskości systemie rządowym. Zwrot ten objawił się w najdrażliwszej właśnie sprawie, w traktowaniu stosunków pańszczyźnianych z mniejszem uprzedzeniem ku szlachcie, z większą dbałością o jej prawa wobec poddanych, którzy, uzuchwaleni poprzedniem jednostronnem forytowaniem swoich pretensyi i zachceń, posuwali się aż do napastliwości. Namiestnik, ks. Lobkowitz, okazywał na zewnątrz w sposób ostentacyjny swoją przychylność dla polskiej szlachty.

W 1846 jednak w Wiedniu, w łonie rządu centralnego, nie mógł się żaden głos ująć za Galicyą. Kierunek germanizacyjny bowiem w sojuszu z rygiorem systemu absolutnego zaciężył właśnie na Galicyi z całą siłą, tak, jak gdyby sobie tutaj powetować miał osłabienie rozpędu w innych krajach koronnych, mianowicie w Czechach, zasłanianych przez hr. Kolowrata. Było nienniknioną konsekwencyą tego fatalnego zbiegu okoliczności, że właśnie wtedy, gdy ks. Metternich uważany był w całej środkowej Europie za strażnika jej cmentarnej ciszy politycznej wobec dobywających się z zachodu prądów wolnościowych, Galicya za sprawą spiskowców, a przede wszystkim paryskich emisaryuszy i wersalskich związków konspiracyjnych, uchodzących za najniebezpieczniejszą inkarnacyę tych prądów, uchodziła obok włoskich prowincyi Austrii za klasyczne pole knozań i przygotowań rewolucyjnych europejskiej doniosłości, więc za niepodzielną domenę wszechwładztwa Metternichowskiego.

Rzecz naturalna, że na tępienie tych knozań i na śledzenie emisaryuszy wysilała się administracya państwowa tak, jakgdyby w tem koncentrowały się w danej chwili wszystkie jej zadania. Akcya organów rządowych w tym zakresie stanowiła niejako generalne pole wyścigowe dla wszystkich karyerowiczów a zarazem i dla wszystkich bandytów biurokratycznych ówczesnej epoki, którzy urząd swój i władzę z niego czerpaną uważali zarazem za środek przysporzenia sobie ubocznych dochodów, polepszenia bytu, wreszcie nawet wzbogacenia się kosztem ofiar teroryzowanych i wyzyskiwanych. Kiedy takie twierdzenie ożwie się ze strony polskiej, niemieccy publicyści w Austrii i dziś jeszcze mają na to gotową odpowiedź, że jest to oszczerca przesada. Niechżeż więc rozprawią się teraz z własnym kolegą, M. Bachem, który, kreśląc w dziele powyżej przytoczonem charakterystykę świata urzędniczego z epoki Metternichowskiej, jego zwartą organizacyę kastową, nizki poziom inteligencyi i nędzne położenie materialne, kończy temi słowy: „Ten świat urzędniczy jest przede wszystkim sprzedajny, można-by nawet powiedzieć: słusznie sprzedaj-

ny". A Bach brał miarę oczywiście z innych prowincyi austriackich, najmniej może myśląc o Galicyi, gdzie było n. jgorzej!

W takim składzie rzeczy na Galicyi szczególnie zaciążyć musiała w tej dobie prawa ręka Metternicha w tropieniu i gnębieniu wszelkich związków z najjaskrawszymi aspiracyami wolnościowemi, szef najwyższej władzy policyjnej, faktyczny minister policyi hr. Sedlnitzky. Jako generalissimus całej armii tajnych agentów, szpiegów i tak zwanych konfidentów różnego stanu i zawodu, po całej zachodniej Europie zajętych tropieniem planów spiskowych, był on wtajemniczony we wszystkie zamysły swojego ministra i nawzajem wtajemniczając go we wszystkie tajniki swoich zdobyczy informacyjnych, mógł się uważać za współkierownika polityki i rządów Austrii. Za wpływem Sedlnitzkiego i wskutek istotnego związku pomiędzy akcją polskich emissaryuszy, a ogniskami rewolucyjnymi zachodniej Europy, władze austriackie wogóle, a szczególnie galicyjskie, stały się niejako międzynarodowymi agencjami policyjnymi. Między Sedlnitzkym, a władzami pruskimi istniał rodzaj konwencyi policyjnej, której celem była wzajemna wymiana wszystkich zdobyczy śledczych. W miarę, jak akcja spiskowa we wszystkich dzielnicach polskich ożywała się i rozgałęziała, wypadło uprościć i przyspieszyć tę wymianę. To też na wniosek Sedlnitzkiego zapadło 16 stycznia 1846 postanowienie cesarskie, że władze galicyjskie mają wprost władzom pruskim komunikować wszystkie znane sobie daty i fakta o spiskowych związkach polskich, a za to także wprost od władz pruskich odbierać będą podobne komunikaty. Odtąd toczy się już bez przerwy aż do r. 1848 taka serdeczna otwarta korespondencya między szefem policyi poznańskiej, br. Minutollim, a Lwowskiem gubernium, jak gdyby chodziło o interesa jednego i tego samego państwa. Br. Minutolli zasypuje gubernium galicyjskie nieustannie donosami i w bogactwie szczegółów ma taką przewagę nad tem gubernium, że krzyżacka wyższość już w tej ponurej epoce święci tryumfy. W gorliwości swojej posunął się br. Minutolli tak daleko, że władzy galicyjskiej zakomunikował nawet tajny memoriał słynnego Flottwella o środkach przyspieszenia germanizacyi W. Ks. Poznańskiego.

Trzeci uczestnik powyżej wspomnianej trójcy wiedeńskiej, która tak krwawo zapisała się w r. 1846 w historyi Galicyi, hr. Inzarchi, najwyższy kanclerz, to jest szef zjednoczonej kancelaryi nadwornej w Wiedniu, powinien-by, jako naczelnik władzy z agendami dzisiejszego ministra spraw wewnętrznych, zajmować miejsce naczelne. Że jednak tak nie jest, że należy mu się dopiero miejsce trzecie, bo wysuwa się na pierwszy plan i to z najmniejszym stosunkowo, chociaż

zawsze złowrogim dla Galicyi, wpływem, dopiero wtedy, gdy przyszła kolej na konsekwencye chybionego ruchu, mianowicie na uregulowanie albo raczej na fatalne dla szlachty powikłanie nieszczęsnej sprawy pańszczyźnianej, to świadczy wprawdzie przedewszystkiem o małym znaczeniu osobistem hr. Inzaghięgo w ówczesnych kołach kierujących, ale stanowi przytem także szczegół charakterystyczny dla obrazu ówczesnych stosunków. Ponad wszystkim górowała polityczno-policyjna strona akcji rządowej, a cała administracya wewnętrzna ze wszystkimi dla dobra ludności najżywotniejszymi interesami leżała odłogiem, upośledzona, lekceważona, w danej chwili niemal ignorowana.

Kiedy w Wiedniu grono faktycznych chociaż nie autoryzowanych regentów tak opanowało sytuację, że na chorego cesarza Ferdynanda oglądano się tylko o tyle, o ile dla sfinalizowania danej kwestyi potrzebne było ujęcie przygotowanej już decyzyi w sakramentalną formułę „najwyższego postanowienia“ i opatrzenie aktu podpisem cesarskim, we Lwowie poza plecyma wprawdzie nie tak apatycznego, jak cesarz Ferdynand, ale wcale nieprzenikliwego, ani bystrego, a poza sferą aktów religijności i dobroczynności, ani zdolnego, ani skorego do inicjatywy lub samodzielności, generał - gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, rozpanoszyła się zgraja biurokratów - karyerowiczów, dla których administracya była najlepszem polem, a Galicya najwięcej obiecującą placówką w dziedzinie do egoistycznych celów promocyjnych i do zaspokojenia prostej chciwości. Właściwym kierownikiem administracyjnym był prezydent gubernialny, Franciszek baron Krieg von Hochfelden, przybłęda z Wirtembergii, którego skrytem marzeniem było zajęcie pozycyi gubernatorskiej po arcyksięciu Ferdynandzie. Br. Krieg za młodu kolegował i łobuzował po koleżeńsku z br. Hauerem, który został gubernatorem Galicyi i karierą swoją wzbudził w dawnym towarzyszu wesołego życia tę skrytą ambicję. Była ona już zresztą dość bliską urzeczywistnienia, gdyby nie fakt, że w chwili, gdy arcyksiążę Ferdynand ustąpił ze swojego stanowiska zaraz po krwawem stłumieniu ruchu w r. 1846, postępowanie gubernium Galicyjskiego i wogóle biurokratów galicyjskich rzuciło, mimo wszelkich wysiłen rehabilitacyjnych w organach rządowych i półrządowych, krajowych i zagranicznych, taki cień na rząd austriacki w oczach zachodniej Europy, że o podobnem wywyższeniu barona Kriega bez prowakacyi opinii już nie można było myśleć.

Dobranym towarzyszem br. Kriega był wice-prezydent gubernialny, Leopold baron Lazanzky, dla którego także samo tropienie każdego ruchu wolnościowego i żywszego poczucia narodowe-

go w społeczeństwie polskiem stanowiło główne zadanie administracyi, a zarazem pole popisowe w zabiegach o karierę. Był on o tyle szczęśliwszym od br. Kriega, że działalnością swoją w Galicyi dobił się wysokiego stanowiska w państwowej hierarchii biurokratycznej, mianowicie został w rok po krwawych przejściach galicyjskich naczelnikiem rządu krajowego na Morawie. Jak głęboko przejęty był swoją misją galicyjską świadczy fakt, że nawet później, na nowem stanowisku swoim poza Galicyą, nie przestał z amatorstwem tropić wszelkich podejrzanych objawów w społeczeństwie polskiem. Nieproszony, niewzywany, a nawet ze stanowiska formalności kompetencyjnych wcale niepowołany, narzucał się w trzy lata później ówczesnemu gubernatorowi Galicyi, Agenorowi hr. Gołuchowskiemu, w listach prywatnych i w pismach urzędowych, z doniesieniami o wrzekomych związkach tajnych, rozszerzających swoją akcyę z Poznańskiego na Kraków, Warszawę i Lwów.

Poza temi głównemi figurami pozostawało w cieniu całe ówczesne gremium radzców gubernialnych. Jeden z nich, Agenor hr. Gołuchowski, który w trzy lata później miał stanąć na czele rządu krajowego, jako gubernator, znosić musiał wtedy wprost upakarzające lekceważenie, na co w aktach ówczesnych znajduje się dowód wielce charakterystyczny. Już po rzezi tarnowskiej wdowa po jednej z najtragiczniejszych jej ofiar, obywatelu z emskim, Karolu Kotarskim, pragnęła wyjechać do Wiednia, aby stracić z oczu widownię swojego nieszczęścia. Celem uzyskania paszportu zwróciła się za pośrednictwem swojej krewnej, br. Konopkowej, do hr. Gołuchowskiego o pośrednictwo. W normalnych stosunkach powinno-by było wystarczyć ustne wstawienie się radcy gubernialnego. Hr. Gołuchowski, przewidując trudności, zwrócił się do tej władzy, której był radcą, z pisemną uмотywowaną prośbą i otrzymał rezolucyę odmowną, na referacie przez samego br. Kriega w tym duchu poprawionym.

Za to prawdziwymi potentatami byli starostowie ówcześni, to jest naczelnicy obwodów, na które, we współczesnej urzędowej i późniejszej historycznej nomenklaturze utarła się nazwa cyrkulów. Galicya z dzisiejszemi 78 powiatami i tyluż starostwami, podzielona była w r. 1846 na 18 cyrkulów. Sprawował tedy starosta cyrkulowy administracyę na terytoryum przeszło cztery razy rozleglejszem, aniżeli starosta dzisiejszy, a wyższość jego co do zakresu władzy nad dzisiejszym starostą prześcigała nieskończenie nawet powyższy stosunek terytoryalny. W tych 18 urzędach cyrkularnych, które-by nazwać można blokhauzami pozakładanemi dla osaczenia i poskromienia żywiołu polskiego w kraju, panowała najgorsza kategoria biurokracyi, właśnie ta, która przygotowała najpierw anarchię w stosunkach spo-

lecznych i administracyjnych, a później, gdy na tem tle rozwinęła się krwawa akcja czerni chłopskiej, ujrzała się bezsilną, popadła nawet w zupełną zależność od swoich występnych narzędzi.

O szykanach, podstępach, krętowniach, zdzierstwach itp. biurokracyi, która z takich blokhauzów cyrkularnych rozwijała działalność swoją po całym kraju, a przedewszystkiem po dworach szlacheckich, współczesne pamiętniki i późniejsze prace historyczne o wypadkach w r. 1846 zawierają mnóstwo szczegółów tak drastycznych, że już dzisiejsze pokolenia polskie w Galicyi mogły-by je uważać za nieprawdopodobne, lub co najmniej bardzo zaprawione przesadą, gdyby powaga obywatelska pamiętnikarzy i autentyczność innych źródeł nie uchylały wszelkiej wątpliwości pod tym względem. Nie myślimy z tej kolekcji szczegółów przytaczać nawet najdrastyczniejszych, ani wzbogacać jej nowemi, co by dziś jeszcze było możliwem. Jak w całym traktowaniu rzezi galicyjskiej z r. 1846 w tych szkicach nie chodzi nam o wypełnianie obrazu krwawych scen nowemi rysami i szczegółami, lecz o przedstawienie tła wypadków, głównych czynników katastrofy i przyczyn tego anarchicznego zamętu, jaki w Galicyi w r. 1846 zapanował, tak też i w określeniu roli biurokracyi cyrkulowej z 1846 nie zależy nam na ilustracji tej roli w sposób anegdotyczny, lecz głównie na wyjaśnieniu tego, bądź co bądź, trudnego już dziś do pojęcia faktu, że jeszcze przed niespełną sześćdziesięciu laty w Austrii cały kraj koronny, i to jeden z największych, mógł być oddany na pastwę kaście, pojmującej zadanie swoje, zadanie administracyi wogóle, w sposób najezdniczy.

Przedewszystkiem weźmy na uwagę materyał, z jakiego powstała ówczesna biurokracya w Galicyi. W urzędowych schematyzmach tej smutnej doby nie braknie wprawdzie nazwisk polskich, ale fakt ten nie ma znaczenia, bo najpierw nazwiska takie gubią się w tłumie obcych, a powtórę, indywidua, noszące te nazwiska, nie poczuwały się do łączności ze społeczeństwem polskiem w jego aspiracyach narodowych, umiały dostrajać się i istotnie zupełnie dostrajały się do tonu w urzędach panującego. Największego kontyngensu biurokratów dostarczały Galicyi prowincye niemiecko-słowiańskie, bo kandydaci, stamtąd pochodzący, nadawali się najlepiej do roli, jaka ich czekała. Z jednej strony od biedy pokonać mogli trudności językowe, skoro władali jednym z narzeczy słowiańskich, a z drugiej strony można było zaufać im zupełnie, że w Galicyi wierni pozostaną niemieckości i służyć będą dążnościom germanizacyjnym rządu. W tych czasach bowiem poczucie narodowe, więc i poczucie tej wspólności plemiennej, które wydobyło się z żywiołową siłą dopiero w dwa lata później (1848) z pod gruzów obalonego systemu Metternichowskiego, a po przebyciu późniejszej porewolucyjnej represyi wzmogło się i dziś roz-

strzygającą odgrywa rolę w wewnętrznej polityce Austrii, znajdowało się w jej niemiecko-słowiańskich prowincjach w stanie zupełnego odrętwienia, w prawdziwym letargu. W dwóch tylko prowincjach Austrii: we Włoszech (Lombardyi i Wenecyi) i w Galicyi poczucie narodowe było żywe, ale uchodziło w ówczesnych pojęciach rządowych i w politycznej nomenklaturze systemu Metternichowskiego za synonim antypaństwowej spiskowej dążności, której tępienie wszelkimi środkami prewencyjnymi i represyjnymi poczytywano za pierwszy artykuł racyi stanu. Z tym mandatem wysyłano do obu prowincyi legiony biurokratów, a najgorszych nie do Włoch, lecz właśnie do Galicyi, która uchodziła za kraj kulturalnie najniższy w państwie, za teren jałowy, który dopiero pod kulturą austriacko-niemiecką uprawić należało. Ponieważ inkarnację spiskowej polskości widziano w szlachcie, a zatem w dworach szlacheckich ogniska antypaństwowych knowań, przeto mandat powyższy łączył się najściślej ze starą, jak Austria absolutna, maksymą rządową: *divide et impera!* Wytworzyć między dworem a ludem wiejskim przepaść na tle pańszczyźnianem, pogłębiać przepaść tę coraz więcej na ogólnem tle stosunków społecznych, a potem wyzyskać ją politycznie przez wpojenie w lud wiejski przekonania, że szlachcie polski, uciskający go pańszczyzną, jest zarazem niepoprawnym spiskowcem przeciw państwu i cesarzowi, że zatem ucisk pańszczyźniany i spiskowość idą w parze, a wobec obu tych dążeń jedynie w biurokracyi znaleźć można siłę odporną i obronną — oto dyrektywa, z którą już jechał do Galicyi każdy, świeżo tam odkomenderowany, biurokrata.

Że tak przedstawiała się ówczesna sytuacja nietylko w kołach polskich, lecz także przebywającym w kraju naszym Niemcom, którzy z blizka i bez uprzedzeń patrzyli na stosunki, a z lekkości, lub serwilizmu, zdania swojego nie ukrywali, na to kiedyś pewnie znajdą się dowody w niedostępnych dziś jeszcze dla historyka aktach centralnych władz wiedeńskich z roku 1846. Na jeden taki dowód natrafiłszy w zbiorach zakładu narodowego imienia Ossolińskich we Lwowie. Są to autentyczne odpisy memoriałów, które na wiosnę roku 1846, zaraz po rzezi, wystosował do centralnej władzy policyjnej, do ministra hr. Kolowrata, do kanclerza hr. Inzaghięgo i nawet do arcyksięcia Ludwika Niemiec, w Galicyi osiadły od lat kilkunastu, Ferdynand Hosch, właściciel dóbr ziemskich a zarazem pocztmistrz w Grybowie ¹⁾.

¹⁾ Szczegółowe sprawozdanie z tych memoriałów podał autor we lwowskim „Przewodniku naukowo-literackim” z roku 1902 (pod tytułem: „Głos niemiecki z roku i o roku 1846”).

Hosch musiał posiadać opinię bardzo dobrego patryoty austriackiego, skoro wprost z Wiednia i do tego z centralnej władzy policyjnej otrzymał wezwanie do przedstawienia swoich spostrzeżeń i uwag o wypadkach współczesnych. Na opinię tę Hosch niezawodnie zasługiwał, gdyż jego memoriały stanowią niemal entuzjastyczną afirmację tego patryotyzmu, poczucia niemieckości i uwielbienia dla dynastji habsburskiej. Ale Hosch był człowiekiem prawym i wrażliwym na niegodziwość. To też w memoriałach swoich, a jak się z luźnych uwag pokazuje, także i w rozmowie z arcyksięciem Ludwikiem na wyznaczonej sobie audyencji, oparty na własnej kilkonastoletniej obserwacji i na własnych smutnych przeżyciach, gdy 21 lutego 1846 roku wśród zamieci śnieżnej uciekać musiał z całą rodziną z Galicyi ku granicy węgierskiej, wystąpił z formalnem oskarżeniem władz cywilnych i wojskowych, których postępowanie przed wybuchem i wśród rzezi wprost niepojętem mu się wydało. Hosch z godną podziwu odwagą nie tylko wystąpił przytem w obronie szlachty, lecz nadto oskarżył Breinla o forytowanie rzezi, na co przytoczył szereg bardzo ciężkich poszlak. Tak stanowczem było wystąpienie Hoscha w tym kierunku, że, jak sam zaznacza w jednym z memoriałów, popadł w posądzenie, iż, ujęty przez szlachtę polską, stał się jej stronnikiem i propagatorem jej wrzekomo oszczerczych zarzutów.

Nie chcemy odbiegać od tematu, więc po tej ogólnej uwadze o memoriałach Hoscha, jako klasycznego świadka z r. 1846, ograniczymy się tylko przytoczeniem ustępu, specjalnie biurokracyi poświęconego, a bardzo trafnie objaśniającego jej wrogię dla kraju stanowisko.

„Więcej i ciężiej—pisze Hosch—niż szlachta innych prowincji, uczuwa szlachta galicyjska nieustannie podsycane uprzedzenie, zazdrość i nienawiść ze strony poszczególnych urzędników. Nie ujmuję się za szlachtą, do której sam nie należę, ale mam na uwadze prawo i wiem, że co dla jednego jest prawem, to i dla drugiego jest słusznem. Jeżeli głos zabieram, to czynię to z najgłębszem przekonaniem, że prawdę mówię... Było to i pozostanie urojeniem, doktryną szkół niemieckich, że szlachta polska żyje głównie ze zdzierstwa poddanych, że ich uciska i gnębi, aby wydusić środki dla swoich potrzeb wykwinnych. To urojenie nabrało w niemieckim narodzie przysłowiowej pewności; ciągle jest podtrzymywane. Ja sam nawet, wychowany w niemieckich zakładach szkolnych, przyswoiłem sobie to urojenie i uważałem je za fakt tak samo, jak Niemcy po największej części jeszcze niedawno Galicyę i wogóle Polskę błędnie uważali za niezmierny obszar moczarów, lasów i bagien, na którym wilki i niedź-

wiedzie całemi stadami się snują i drogi niebezpiecznemi czynią. Dziś jeszcze niejeden niemiecki urzędnik rozpoczyna praktykę w Galicyi z tem urojeniem, i znajduje je zazwyczaj zakorzenionem w największej części personelu rozmaitych urzędów. Urojenie takie zmienia się w przesąd, którego wyplenić nie można, a przesąd ten znowu staje się dyrektywą dla wszystkich urzędowych rozpraw i zarządzeń. Przesąd taki staje się nawet zabarwieniem ogólnem, tłem dla relacji i opinii, wskutek czego najwyższe władze, nie mając tak potrzebnego dla ścisłości bezstronnego przedstawienia stanu, często muszą być w błąd wprowadzone. Przesąd ten wreszcie wytworzył wzajemną nieufność między czynnikami, w grę wchodzącemi, podsyca i podnieca zazdrość i nienawiść“.

Powtarzamy, że jest to głos Niemca, zaznaczającego na samym wstępie memoriału w sposób demonstracyjny swoje poczucie narodowe i swój gorący patryotyzm austriacki, głos, oparty na kilkonastoletniej własnej obserwacji i w dalszym toku memoriału objaśniony całym szeregiem wymownych, częstokroć nawet drastycznych faktów. W swoim czasie sfery wiedeńskie uważały głos ten za wynurzenia ekscentryka, którego sobie szlachta polska ująć zdołała. Ale wtedy w tych sferach także o rozbójniczych bandach chłopskich panowała opinia, że są to przejęte duchem patryotycznym rzesze dobrowolnych bojowników za sprawę państwa i cesarza. Dziś sumienny historyk niemiecki nie podejmie się pewnie obrony tej ostatniej opinii, a natomiast w Hoschu widzieć musi nie ekscentryka, lecz świadka klasycznego.

Sposób, w jaki wysłani do Galicyi obaj biurokraci postępować mieli, aby dokonać misji sobie wytkniętej, był już poprzednią długą praktyką tak utorowany, że każdy nowy przybłęda odrazu mógł się w sytuacji zorientować.

Ks. Waleryan Kalinka wykazał (w dziele: „Galicya i Kraków pod panowaniem austriackiem“) z wszelką ścisłością historyczną i jak najdokładniejszą znajomością stosunków prawnych i administracyjnych, że sprawa pańszczyźniana była od zaboru Galicyi osią polityki, obliczonej na zgładzenie polskości w jej głównych ogniskach, w dworach szlacheckich. W tym celu patenty i dekrety wiedeńskie stopniowo a kousekwentnie zmierzały do zmiany pierwotnej, patryarchalnej, na wzajemności świadczeń i korzyści opartej, natury stosunku poddańczego przez nadanie mu wszelkich pozorów arbitralnego władztwa, wobec którego lud przed bezwzględnością i uciskiem tylko w cyrkulach znaleźć może sprawiedliwość i opiekę. Przy takiej dążności i dyrektywie administracyjnej, systematyczne podkopywanie materyalnej siły i moralnej powagi szlachty obok równie systema-

tycznego rozgoryczenia ludności wiejskiej ku „panom”, stanowiło zadanie łatwe i wdzięczne dla aspiracji karyerowiczowskiej. A spełniało je z tem większą skwapliwością, ile że w ten sposób każdy taki przybłęda biurokratyczny zaspokajał także głęboką, zawiśłą, jaką zwykle przejmował się ku szlachcie, nie z samych tylko politycznych, lecz także i ze społecznych pobudek. Taki przybłęda bowiem miał wygórowane poczucie swojej władzy arbitralnej i swojej urojonej misji cywilizatorskiej wobec zacofanej w jego wyobrażeniu Galicji, a tymczasem przy bliższym zetknięciu się ze szlachtą dotkliwie uczuwał na każdym kroku swoją niższość kulturalną pod każdym względem, zaczawszy od wykształcenia, a skończywszy na formach towarzyskiego pożycia. Starał się więc tę upokarzającą u niższość powetować sobie prostacką, wprost brutalną wyniosłością w zakresie czynności urzędowych, zwłaszcza wtedy, gdy miał przed sobą szlachcica w roli strony, szukającej wymiaru sprawiedliwości wobec poddanych występujących chociażby z najdzikszymi uroszczeniami.

Z tą zawiścią do szlachty nie kryli się biurokraci, lecz, owszem, jawnie przyznawali się do niej, niemal w sposób chępliwy, jak gdyby w tem koncentrować się miał cały rozum stanu, cały patryotyzm austriacki. I tak na przykład komisarz cyrkularny w Przemyślu, Tobiaszek, w sposób natarczywy tak perorował do chłopów: Nie dam spokoju tym dumnym panom, dopóki ostatnia hrabina nie będzie służyć za kucharkę u mojej żony, dopóki dziedzic, jeżdżący czterema końmi, o lasce chodzić nie będzie.

Jak rzadkiemi były dobre wyjątki, o tem świadczy fakt, aktami urzędowemi stwierdzony. Wkrótce po rzezi tarnowskiej umarł w Jasle tamtejszy komisarz cyrkularny, Banhölzel, którego nazwisko chłopów powszechnie przekrećali, niewiadomo, czy bezmyślnie, lub złośliwie, na Panhycel. Podczas pogrzebu Banhölzla, szlachta z okolicy, licznie zgromadzona, wzięła trumnę na barki i niosła ją aż do grobu. Fakt ten sprawił tak wielką sensację w świecie biurokratycznym, że gubernium Lwowskie, dowiedziawszy się o nim, zarządziło dochodzenie, i pewnem było, iż wyjdą na jaw dowody, jeżeli nie wprost zbrodniczego zachowania się Banhölzla w niedawnych wypadkach, to przynajmniej nielojalnego zastaniania przestępców politycznych z grona szlachty. Badano więc urzędownie wszystko i wszystkich, zbierano zewsząd informacye o działalności urzędowej zmarłego komisarza, i pokazało się, że wszystkie powyższe przypuszczenia i posądzania nie miały najmniejszej podstawy. Banhölzel był urzędnikiem nietylko loalnym, lecz nawet gorliwym, ale przytem i — sprawiedliwym, pełniącym swoje funkcye bez uprzedzeń i szykany. Jeżeli zaś Banhölzel był osobliwością w świecie urzędniczym, jeżeli sama

uczciwość, okazana nie wśród wyjątkowych stosunków w sposób heroiczny, lecz w codziennym toku spraw i w sposób tak normalny, że za regułę uchodzić powinna, wywołała aż demonstracyjne objawy czci i żalu; to sytuacja musiała być nad wyraz smutną. Ten jeden fakt charakteryzuje ją może lepiej, aniżeli cały szereg nadużyć.

Postępując w ten sposób wobec szlachty przed rokiem 1846, system rządowy w Galicyi tem samem formalnie propagował anarchię, podkopując wszelką powagę władzy u dołu, w gminach, więc wobec całej masy ludności. W ówczesnym bowiem pa'rimonialnym ustroju dominia sprawowały administracyę na jej najniższym szczeblu, a jakąż powagę mogła mieć ta władza, jeżeli dziedzica, od którego zależnym był, jako oficyalista, widomy organ tej władzy, mandatarz, lada jaki urzędnik cyrkularny, traktował w sposób tak zawistny i lekceważący, jak to powyżej wskazaliśmy? A do tego w ciągłym pościgu za rzeczywistymi i urojonymi emisaryuszami i spiskowcami władza rządowa, zwracając się bezpośrednio do chłopów o pomoc w czuwaniu i zapobieganiu, przedstawiała nie samych tylko dziedziców i zależnych od nich mandataryuszy, lecz także proboszczów, wogóle księży, więc także czynniki ładu i porządku, jako wrogów państwa i rządu, spiskujących na jego zgubę, przygotowujących rzeź urzędników cesarskich po miastach, a chłopów po wsiach, o ileby w danej chwili nie chcieli połączyć się ze spiskowcami. Ponieważ równocześnie skrajne żywioły, mianowicie emisaryusze, z samobójczem zaślepieniem wyjawiali swoje szalone plany bezpośrednio przed chłopem, już poprzednio w cyrkulach do roli hajdamackiej nastrojowym, przyrzekając mu za uczestnictwo w planach spiskowych te samo, co mu przedtem komisarze cyrkulowi przyrzekali, jako nagrodę za wierność dla rządu, to jest ulżenie, a nawet zdjęcie całego ciężaru pańszczyźnianego; przeto z dwóch stron równocześnie było tlejące w duszy ciemnego ludu zarzewie instynktów anarchicznych, żądz, pokus i nienawiści klasowej. Podsycali to zarzewie jeszcze i inne fatalne okoliczności, mianowicie wyjątkowy niedostatek po wsiach, jako następstwo nienuradzenia i ciężkich klęsk elementarnych, oraz rozchodzące się wszędzie potworne wieści o krwiożerczych wobec ludu zamysłach spiskowców, wieści tak alarmujące, że już samym ich wpływem nawet bez zbrojnego wybuchu ówo zarzewie musiało-by wystrzelić słupem piekielnych płomieni mordu i pożogi. Jeżeli przed kilku laty, więc w pół wieku po tej smutnej dobie, w kilku powiatach zachodnio - galicyjskich, chłop, za wpływem wieści niedorzecznych, w oczach władzy i wojska aż do zaprowadzenia sądów doraźnych rzucał się na żydów, plądrował karczmy i kramy żydowskie, święcie o tem przekonany, że według rozpowszechnionych wieści jest na to pozwole-

nie cesarskie z aprobatą papieską; to jakżeż dziwił się, że w r. 1846 chłop, nieskończenie niższy od dzisiejszego pod względem ogólnej oświaty, a do tego społecznie i politycznie zdemoralizowany przez niegodziwych podlegaczy z firmą cyrkularną, przebrał wszelką miarę w pofolgowaniu swoim dzikim instynktom?

Że zaś przed katastrofą r. 1846, bądź to wprost z cyrkulów wychodziły, bądź tam milcząco tolerowane były wieści o blizkiem wkroczeniu zbrojnych oddziałów powstańczych dla wymordowania urzędników cesarskich i chłopów z nimi trzymających, o zniesieniu dzieściorga przykazań boskich itp.; to wszędzie w swoim czasie uchodziło za fakt niewątpliwy, a władze wcale nie starały się dochodzić źródła tych wieści, chociaż w rok później z oskarżeniem śmiało wystąpili w tej mierze niektórzy obywatele (Aleksander Fredro, Franciszek Trzeciecki i inni) przed objeżdżającym Galicję, nadzwyczajnym komisarzem cesarskim, Rudolfem hr. Stadionem, bratem późniejszego gubernatora galicyjskiego, Franciszka hr. Stadiona. Jeden z tych oskarżycieli, Franciszek Trzeciecki, nie wahał się pisemnie, w memoryale wręczonym temu komisarzowi cesarskiemu, obwinąć funkcjonariuszy cyrkulowych o rozpowszechnianie powyższych wieści, żądając śledztwa i surowego ukarania winnych. Memoryał ten ugrzązł w aktach, a jego autora nie ścigano wcale za oszczerstwo.

Jeżeli się skombinuje wszystkie te czynniki rozstroju, które w przededniu katastrofy z r. 1846 zawichrzyły sytuację w Galicji, to trzeba-by cofnąć się daleko wstecz, a w każdym razie poza wiek XIX, aby znaleźć równie podatny grunt dla anarchicznego posiewu. Jeszcze dalej wstecz wypadło-by się cofnąć, żeby znaleźć taki straszny plon, jaki z posiewu tego urósł na gruncie galicyjskim w 1846 roku, taki dziki tłum, zbrojny w cepy, widły i kosy, żądny krwi i rabunku, świadomy swojej bezkarności, liczący nawet na nagrodę za swoje krwawe dzieło. Dzisiejsi socyologowie, kreślący fizyologię i psychologię tłumu, zgodni są w tem, tak na analizie rzeczowej, jak i na historycznej obserwacji opartem, twierdzeniu, że tłum wiejski jest daleko groźniejszy od miejskiego. Kiedy bowiem tłum miejski szybko się tworzy, ale i szybko rozprzega, jakby tuman kurzu wzbijający się za silniejszym podmuchem wiatru na ulicy i razem z tym podmucha znikający; tłum wiejski zbiera się powoli i trudniej, ale skoro raz się zbierze, nabiera zaraz takiej siły odpornej, że nie rozbije się wobec pierwszej lepszej zapory, jak kapryśny z natury swojej tłum miejski, lecz łamie i druzgocze, jakby nieokiełzana siła żywiołowa, wszystko, co mu w drodze stanie. Jak w sile swojej, tak i w srogości, tłum wiejski prześciga tłum miejski, bo kapryśna natura drugiego jest przystępniejsza dla refleksyi i uczuć, kiedy tymczasem

pierwszy upija się poczuciem brutalnej siły swojej i ślepo za nią idzie.

A siła zbrojna? Była ona w r. 1846 w Galicyi wcale wystarczająca, aby nie tylko stłumić w zarodzie wszelki wybuch zbrojny, lecz nadto w razie wybuchu nie dopuścić band chłopskich do krwawego rozgospodarowania się po dworach. Ale na czele tej siły stali w zachodniej Galicyi niedołężni wodzowie, jak generałowie Collin i Csollich, z których pierwszy po chwilowem zajęciu Krakowa, zaalarmowany wieścią o zbliżaniu się wielkich oddziałów powstańczych, drapnął jakby pobity i rozbity, aż ku Wadowicom, a drugi zamknął się w Tarnowie i tak drżał na fałszywą wieść o zbliżaniu się wielkich oddziałów powstańczych, że nawet wśród najstraszniejszych rzezi nie chciał wysłać asystencyi zbrojnej do wsi okolicznych. Nic lepiej nie charakteryzuje bezradności i niedołęstwa tych generałów, jak fakt, że kiedy w pierwszych dniach rzezi przybył na miejsce ze Lwowa podpułkownik Benedek, mógł chwilowo zauzurpować sobie komendę naczelną nad garstką żołnierzy i wielką czernią chłopską, z którą zmasakrował pod Gdowem nieliczny oddział powstańców. I takie zwycięstwo wystarczyło, aby opromienić smutnego bohatera aureolą, nie tylko w swoim czasie przez sfery wojskowe z poklaskiem uznane, lecz i później ciągle odświeżane przez autorów oszczerczych niemieckich pamfletów o wypadkach galicyjskich z 1846.

Siłę zbrojną to tylko do pewnego stopnia tłómaczy, że pozostawiona była bez potrzebnych dyspozycji. Nie wydano ich we Lwowie w porę, bo istny fatalizm zrządził, że tam w otoczeniu gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda, i w gubernium, zapanowało niepojęte optymistyczne zaślepienie właśnie w chwili krytycznej, gdy sytuacja wymagała przyspieszenia środków zaradczych. Optymiści powoływali się na prezydenta gubernialnego, br. Kriega, który na sesyi jesiennej sejmiku stanowego w r. 1845 obywateli poważnych, zwracających jego uwagę na niepokojące zachowanie się chłopstwa wobec szlachty z powodu obiegających wieści spiskowych i innych, uspakał mniej więcej temi słowy, że chociażby przyjsć miało do jakiegoś rozruchu, to skończy się on po kilku dniach, a potem kraj będzie kilkadziesiąt lat zażywał zupełnego spokoju! Od jesieni r. 1845 niepokojące symptomy stawały się coraz liczniejsze i dobitniejsze, tak, że może optymizm br. Kriega byłby się zachwiał, zwłaszcza wobec faktu, iż relacye, otrzymane w styczniu 1846 roku od niektórych starostów cyrkulowych, ujawniały niepokój nawet w prowincjonalnych kołach biurokratycznych. Że jeszcze mimo to i wtedy optymizm przeważał w otoczeniu br. Kriega, tego dziś pojąć nie można. Prawie narzuca się podejrzenie, że br. Krieg, marzący o zajęciu stanowiska,

gubernatorskiego, w duchu chętnie przyczyniał się do wszystkiego co mogło arcyksięcia Ferdynanda utrzymać w złudzeniu, a potem sprowadzić na drogę, wiodącą do skompromitowania się, więc w dalszej niechybnej konsekwencji do ustąpienia ze stanowiska gubernatorskiego. Jak dalece łudził się arcyksiążę Ferdynand co do stanu kraju, najlepszym dowodem fakt, że 18 stycznia 1846 r., a więc na miesiąc przed rzezią, odeszła ze Lwowa do Wiednia jego relacja, której treść temi słowy została zapisana w protokóle prezydyalnym: „Przypomnienie ¹⁾, że zbrodnicze plany rewolucyjnej propagandy, zmierzające do zakłócenia spokoju publicznego w Galicyi przez powstanie ludowe na teraz spełzły na niczem, i że co do spokoju i porządku w tej prowincyi obecnie nie zachodzi żadna obawa”. W Wiedniu relacji tej uwierzono zapewne z tych samych powodów, które we Lwowie, zamiast pobudzić do środków prewencyjnych, podsyły tylko gnuśny optymizm. Rząd pruski bowiem, który wpadł na trop akcji spiskowej w Poznańskiem i wczesnem uwięzieniem osób podejrzanych pokrzyżował jej plany, o wszystkim doniósł zaraz rządowi austriackiemu. Widocznie uważano akcyę galicyjską za tak nierozdzielnie połączoną z akcyą poznańską, że udaremnienie ostatniej uchodziło za rękojmię spokoju.

Tak więc w chwili, gdy na widnokręgu krajowym zbierały się dokoła czarne chmury, zwiastujące niechybną burzę, a na powierzchni życia publicznego już golem okiem dopatrzeć się dawały niepokojące zmarszczki i fałdy, które niebawem spiętrzyć się miały w straszne fale anarchii, sterownicy nawy krajowej wydali niejako hasło: *vogue la galère!*

DR BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

¹⁾ Wyraz ten stanowi w języku biurowym sygnaturę dla aktów z własnej inicjatywy władzy wychodzących. (Przyp. aut.).

Wychodztwo polskie w Niemczech.¹⁾

Gdy weźmiemy mapę Prus wraz z Westfalią i prowincjami nadreńskimi, zauważymy mniej więcej w punkcie, gdzie stykają się ze sobą obwody regencyjne: Arnsberg, Dysseldorf i Monaster (Münster), niezwykle zgęszczenie sieci kolejowej, świadczące o niezmiernie ożywionym przemyśle.

Widzimy tam w bezpośrednim sąsiedztwie obok siebie miasta Ruhrort, Recklinghausen, Essen, Gelsenkirchen, Dortmund, Bochum Duisburg, Elberfeld, Dysseldorf...

Wszystkie znane każdemu ze szkolnych podręczników geografii, jako siedziby niemieckiego przemysłu.

I w tej oto okolicy, gęsto usianej kominami fabrycznymi, poprzerywanej kolejami, jak żadna okolica w całych Niemczech, zasnu-
tej gęstą mgłą dymu, zaludnionej pięć razy gęściej niż przeciętne za-
ludnienie w całym państwie niemieckim, — w okolicy w obrębie naj-
wyżej 35 mil kwadratowych zamieszkuje obecnie 180 tysięcy Po-
laków.

W zbitych masach znajdują się oni w następujących powiatach: Recklinghausen, Hamm, Dortmund, Ruhrort, Gelsenkirchen, Bochum, Hörde, Hagen, Schwelm, Hattingen, Essen, Duisburg, Mülheim, Elberfeld i Dysseldorf. Kolonie polskie sięgają z jednej strony poza obręb tych powiatów — w powiat monastyrski, a z drugiej — do Remscheid, Solingen, aż po Kolonię nad Renem.

Aby mieć pojęcie o rozmiarach tego wychodztwa, dość nadmienić, że np. w okręgu Gelsenkirchen górnicy Polacy stanowią więcej niż połowę wszystkich tam zatrudnionych górników wogóle. W innych okręgach, jak np. w Recklinghausen, Herne, Essen, Watten-scheid, liczba Polaków między górnikami przewyższa 40%.

¹⁾ Patrz zeszyt październikowy, str. 66.

Są szyby nazywane krótko „polskimi” dla wielkiej liczby pracujących w nich Polaków. Szybów tych jest 19. Z pomiędzy nich szyb „Pluto” w okręgu Gelsenkirchen posiada przeszło 70 proc. Polaków, a szyb „Eward” w okręgu Recklinghausen—przeszło 80 procent Polaków.

Na wyjątkowy ten napływ górników polskich do niektórych szybów składają się rozmaite okoliczności. Powyższe dwa wymienione już przez samą potężną liczbę górników polskich zyskują wyjątkową siłę atrakcyjną dla nadpływających świeżych sił roboczych polskich. W innych znowu szybach dopływ robotników Polaków zawdzięczać należy bezpośrednio szybkiemu rozwojowi kopalni, dzięki napotkaniu niezwykle obfitych pokładów. W ten sposób wytłómaczyć sobie można, dla czego oddawna istniejące kopalnie w południowych powiatach okręgu przemysłowego mniej liczą Polaków, niż położone na północo - wschód, których nagły rozwój datuje się od niedawna.

Zdarza się, że po otworzeniu nowego szybu w miejscowości dotychczas niezaludnionej polskimi wychodzcami, jak z pod ziemi wystają całe zwarte osady polskie.

Wogóle wychodztwo polskie potrafiło niektórym miastom i osadom nadać pewien odrębny charakter, który występuje najjaskrawiej przy zmianie szczyt, lub naturalnie w święta, gdy górnicy nie pracują w kopalniach.

Po nabożeństwie lub w porze południowej, gdy zbliżają się nieśpory, wśród licznych gromadek, uwijających się po ulicy lub starym zwyczajem zbierających się przed kościołem, słychać prawie wyłącznie polską mowę i na chwilę ulega się złudzeniu, że to wcale nie Westfalia, lecz jakieś miasteczko w Księstwie. W małych miasteczkach, liczących po parę tysięcy mieszkańców, mieszka nieraz przeszło tysiąc górników polskich z rodzinami: w Buer—1952 górników Polaków; w Bottrop—1,971; a w okolicy najbliższej po wsiach i koloniach ze trzy tysiące; w Bickern—1890; w Baukau — przeszło tysiąc, w Bruchu Polacy stanowią więcej niż połowę parafian katolików; w Dortmundzie naliczyć ich można do tysiąca, a w najbliższych osadach i koloniach podmiejskich mieszka dwa razy tyle, w Eickel, Herne, Hortshausen, Herten, Katernberg, Oberhausen, Röhlingshausen, Schalke, Ueckendorf, Wattenscheid, Werne—mieszka przeszło po tysiąc górników z rodzinami.

Wymienione miejscowości należą do rzędu osad miast, jak np. Essen, gdzie ludność polska, aczkolwiek liczna (w Essen i najbliż-

szej okolicy, w obrębie parafii, — 3,000 górników) znika wobec przeważającego stosunku liczebnego Niemców. Ale trzeba zajrzeć do statystyki specjalnej, aby zliczyć te wszystkie małe osady i wioseczki, które — licząc ogółem do tysiąca mieszkańców, a nawet mniej, mieszczą po 200—300 rodzin polskich górników.

Zarówno większe, wymienione powyżej osady, jak i mniejsze kolonie robotnicze, zawdzięczając powstanie swe nagłemu rozwojowi przemysłu, noszą już na swej powierzchowności wyraźne znamię celów, dla których mają służyć. Szeregi niezbyt wysokich dwupiętrowych kamienic z czerwonej nietynkowanej cegły ciągną się równoległymi liniami, nużąc swą jednostajnością oko. Na ścianach domu zalega powłoka gęstego, czarnego kurzu i pyłu, która ścieka czarnymi smugami do rynsztoków, gdy ją deszcz spłócze. Przed domami bardzo często brak trotuarów. Na chodnikach i na środku ulicy jednokowy niewyszukany bruk. Wychwalana pruska czystość nie istnieje. Z okien domów padają różne śmiecie na ulicę.

Ruchu ulicznego niema, chyba o pewnych porach, gdy odbywają się donośne świstawki fabryczne, zwołujące robotników do pracy i w wieczór oznajmujące im koniec roboty. O tych dwóch porach na ulicy rojno i gwarno. Jeszcze szaro, lub zupełnie jeszcze ciemno na dworze, gdy po domach zaczynają się ukazywać światła w oknach a po chwili szybkim krokiem pośpieszają z rozmaitych stron robotnicy, w jednym i tym samym kierunku, ku wejściu do szybu, gdzie się odbywa kontrola przychodzących do pracy, gdzie każdy górnik bierze swoją latarkę, i gdzie oczekuje robotników winda, aby ich zanieść w podziemia.

Przez dzień cały, prócz rozgadanych kumoszek i sąsiadek wadzących się lub znoszących sobie plotki, i prócz dzieci bawiących się całymi godzinami na ulicy, obok cuchnących rynsztoków, nie znać żadnego ruchu.

Potem znów rozlega się głos świstawki po ukończeniu pracy, ta sama winda wywozi na powierzchnię górników, gdzie się myją i przebierają w ubrania, w których przyszedli rano.

W bramach i sieniach domów oczekują wracających żony. Następuje kolacja, która dla ojca rodziny jest najczęściej obiadem. Potem wieczór wolny, który zmęczeni całodzienną pracą najchętniej przepędzają w domu.

Wypłata odbywa się co miesiąc od 20—26. Pomiędzy 9—11 wydaje kasa zaliczki, sięgające połowy zarobku.

Sobota jest uprzywilejowanym dniem zabawy, pijatyki, bójek, i awantur. Żony wiedzą, że znaleźć można spażniących się mężów w szynkowniach. Gdy matka rodziny chora, lub z innych przyczyn męża szukać nie może, zjawia się nieraz w szynku chłopiątko lub dziewczynka, zaledwie odrosła od ziemi.

— Ociec, chodźta do matki! — woła chłopiec i ciągnie ojca za rękaw.

— A dać mu tam „glas“ śnapsa, niech sobacza nie przeszkadza! — mówi który z towarzyszków.

Aż wreszcie 8—10 letnie dziecko prowadzi do domu ojca, który się tacza i opiera się na dziecku, aż biedactwo w pałąk się zgina.

Sobotnie pijatyki nie rzadko kończą się bójkami, w których rolę używany tu „Hampelmann“ — krótki gruby pręt z twardej gumy, z wprawionym wewnątrz kawałkiem żelaza. Jest to broń, za pomocą której przetrąca się kości, a w najgorszym razie zabija. Dla tego też bójki sobotnie mają często epilog — w więzieniu.

W zawodzie górniczym rozróżnić należy trzy rodzaje zajęcia. Oprócz właściwych górników, jest w każdej kopalni węgla cała armia pracujących na powierzchni robotników i rzemieślników, zajętych sortowaniem węgla, przesiewaniem mialu, ładowaniem itd. Osobny dział stanowi — będąca oczywiście na powierzchni — koksownia i fabryka chemiczna.

Robotnicy i rzemieślnicy zarabiają rozmaicie, według swej roboty, poczynawszy od 3 marek dziennie. Są to — obok robotników — mularze, cieśle, stolarze, ślusarze, kowale itd.

Górnicy przy szachcie na powierzchni pracują 8 godzin dziennie, w głębi kopalni też po 8 godzin, natomiast zwykli robotnicy pracują po 12 godzin.

W koksowni są rozmaite rodzaje zajęcia i odpowiednio do tego unormowane płace, poczynawszy od dwóch marek 80 fenigów aż do 4 marek. W chemicznej fabryce skala robotników ta sama. Co do górników we właściwym tego słowa znaczeniu — to dzielą się oni na trzy klasy.

Pierwszy stopień zajmują hajerzy i ich pomocnicy (Lehrhauer, zwani lerhajerami).

Ci wykuwają węgiel kilofami i pobierają wynagrodzenie akordowe „Gedinge“ — od każdego wózka węgla, którego dostarczają. Zarobek przeciętny dosięga 5 marek na dzień, przy szczególnej pracy wy-

nosi 6 marek, a nierzadko w razie sprzyjających warunków (łatwość odłupywania węgla), dosięgnie i siedmiu marek. Ale potrzeba do tego mieć, jak mówią górnicy — „szczęście górnicze”. Przy wynagrodzeniu nie na akord zarobek wynosi 3.5—4.5 marek.

Oprócz tych hajerów są jeszcze hajerzy i ich pomocnicy w reparatorze, oraz hajerzy „w kamieniu”. Jest to drugi stopień pracy górniczej. Hajerzy pracujący w reparatorze budują rusztowania, umocowują słupy podtrzymujące sklepienia i ściany przechodów i ulic, poprawiają nadwątlone słupy — jednym słowem zastosowują się zupełnie w swej pracy do potrzeb pracujących w zakładach węglowych hajerów.

Inny wymieniony powyżej rodzaj hajerów „w kamieniu” ma pracę najniebezpieczniejszą, ale też najwydatniejszą. Poszukują oni miejsc obfitujących w węgiel, nowe w pokładach węgla ryją przejścia, kruzganki i przecznice. Ci zarabiają najwięcej — bo 5 marek 50 fen. do 6 marek 50 fen., a w niektórych kopalniach więcej. Pracują 6 godzin.

Jak widzieliśmy, wszystkie rodzaje hajerów — i tych od węgla lub kamienia, i tych niższego rzędu, z reparatoru, — mają pomocników. Czas trwania praktyki obliczony jest na trzy lata, z których rok ostatni przypada na pracę pod bezpośrednim dozorem hajera. Dostają oni 3 marki 50 fenigów do 4 marek 50 fenigów, gdzieudziej i akord.

Z zarobku tych pomocników fabryka potrąca 20%, które płyną do rozmaitych specjalnych funduszków.

Trzeci, najniższy rodzaj pracy górników mają szleperzy i „koniarki”, tj. poganiacze koni przy wózkach górników. Ci ładują węgiel i kamień na wózki i odwożą do windy, która wydobywa je na powierzchnię.

Wszyscy pracują z wypowiedzeniem na 15-go każdego miesiąca.

Poganiacze koni rozpoczynają pracę od lat 16 zarobkiem 1 mar. 80 fen. dziennie, który wzrasta do 2 marek 80 fen.

Podawacze pobierają 2 m. 50 fen. do 3 m. 50 fen. stosownie do pracy i fizycznego uzdolnienia.

Naturalnie, że wychodzący polscy rozpoczynają pracę w kopalniach od tych najniższych stopni. Są koniarzami i szleperami pod ziemią, na powierzchni zaś ładują i przesiewają węgiel, przystosowują deski i pale do potrzeb i według wskazówek hajerów.

Prawie we wszystkich kopalniach westfalskich zarządy kopalni budują dla robotników—przeważnie dla przybyszów z Polski—szeregi domów mieszkalnych, czasami nawet wręcz osobne kolonie. Koszta wynajmu są niewielkie. Za jeden pokój na parterze płaci się 4 m., za takiż pokój na pierwszym piętrze—3 m. 50 fen., na drugim 3 m. Do tego należy chlew lub komórka na podwórzu, piwnica i ogródek, a raczej mała działka kwadratowa z kilku drzewami i miejscem na altankę i parę zagonów.

Rodziny polskie o ile nie są bardzo liczne, wynajmują 3 lub 4 pokoje, niektóre zaś mają 5 tj. 4 pokoje i kuchnię. Domy tak są zbudowane, aby dla każdego lokatora było osobne wejście z sieni. Wodociąg i zlew mieści się oczywiście w kuchni albo przy jednej lub dwóch izbach mieszkalnych—w sieni.

Stosunki pomiędzy górnikami Polakami a Niemcami nie są co prawda naprężone, ale nie należą do najlepszych. Już sama ta okoliczność, że przychodzić Polak, dopóki się nie obezna z położeniem, inaczej, a mianowicie bardziej patryarchalnie zapatruje się na swój stosunek do pracodawcy, źle usposabia dla Polaka jego niemieckich towarzyszy. Uważając siebie za pewnego rodzaju arystokrację robotniczą, Niemcy skłonni są widzieć w swych polskich towarzyszach barbarzyńców, stojących na daleko niższym stopniu kultury społecznej. Głęboka religijność, cechująca polskiego wychodzcę w Westfalii, obojętność wobec ruchu socjalno-demokratycznego, zacieśniony horyzont pojęć, którego, podług wyobrażeń Niemca, nie rozszerza należenie do polskiego towarzystwa, wszystkie te okoliczności składają się na to, aby kolegę Polaka—skoro już jest istotnie niezbędny wobec braku sił roboczych,—uważać przynajmniej za niższy jakiś rodzaj, przeznaczony do podrzędnych i gorzej wynagradzanych prac zawodowych. Górnik Polak wprawdzie nie psuje cen pracy i przez dobrowolne obniżenie wysokości zarobków nie szkodzi kolegom Niemcom, ale jednak robi im w tem znaczeniu konkurencję, że nieraz z uszczerbkiem dla zdrowia pracuje sumiennie wśród najtrudniejszych warunków, które Niemców powodują do ustąpienia; przytem górnicy niemieccy są przekonani, że, gdyby nie Polacy, wysokość zarobków jeszcze bardziej-by się podniosła, jak to było np. w r. 1870.

Wszystkie te okoliczności, do których doliczyć należy i nieznaną jomość języka niemieckiego u Polaków, przez to trudność porozumienia się z Niemcami poza pracę,—wszystkie te, okoliczności razem wzięte wytworzyły pewien antagonizm.

Jak się zdaje, antagonizm ten w połączeniu z ogólnym prądem anty-polskim doprowadził w r. 1899 do wydania policyjnych przepisów dla mówiących obcym językiem górników. W myśl tych przepisów robotnicy, nie władający wystarczająco językiem niemieckim w mowie, w czytaniu i piśmie, nie mogą być zatrudnieni w pewnych, wyszczególnionych w rozporządzeniu policyjnym, rodzajach pracy. Rodzaje te naturalnie należą do najlepiej płatnych.

Na wielkim wiecu górników polskich, który się odbył dnia 5 marca 1899 r. w Bochum, zaprotestowali Polacy przeciw temu wyłączeniu ich z lepszych rodzajów zajęcia. Padły tedy ze strony polskich mówców słowa, świadczące, że górnik polski w Westfalii nie na darmo przeszedł pół Europy za chlebem i rozszerzył swój widnokrąg. Powiedziano tam: „Jeśli kto z nas istotnie będzie musiał opuścić swe miejsce wskutek policyjnego rozporządzenia, to stoją przed nami otworem kopalnie w Anglii, w Niderlandach, w Ameryce. Czy mieszkamy na obczyźnie w Prusach, czy za obrębem Prus — to wielkiej różnicy nie stanowi, o ile wogóle musimy mieszkać poza granicami kraju. Przed nami stoi świat otworem.“

Jak się zdaje, przepis policyjny, zagrażający w znacznej części interesom przedsiębiorców, żadnych doniosłych skutków nie wywołał.

Rząd już poprzednio kilkakrotnie próbował za pomocą policyjnych przepisów utrudnić Polakom pobyt w kopalniach westfalskich, jednak zawsze bezskutecznie.

W r. 1892 egzaminowano Polaków z języka niemieckiego w kilku kopalniach. Ale ekonomiczna konieczność, jednakowo silnie przemawiająca i w robotniku polskim, poszukującym pracy, i we właścicielach kopalni, poszukujących robotników, nie dała się ująć w żadne formułki i paragrafy policyjnych zakazów.

Wiec polskich górników zakończył się żądaniem, żeby ważniejsze przepisy zarządy kopalni ogłaszały i po polsku, oraz życzeniem, aby więcej inteligentnych Polaków obierało zawód górniczy i uczęszczało do akademii górniczej, co doprowadzić-by musiało do tego, że i wśród dyrygujących robotami kopalni urzędników znalazł-by się procent Polaków, odpowiadający ich procentowi wśród prostych robotników górniczych.

Przejsie stosunku robotnika do pracodawcy, z prawie patryarchalnego w kraju, do fabrycznego — w Westfalii, dokonało się w polskim robotniku zbyt nagle, przeskok jest zbyt silny, aby nie

miał, obok stron dobrych, wywołać i bardzo ujemnych. Widzieliśmy powyżej te dobre; widzieliśmy, jak rozszerzył się widnokrąg robotnika polskiego; z jaką pewnością siebie on mówi: świat stoi przede mną, otworem.

Pójdźmy w tym kierunku o krok dalej, a napotkamy strony ujemne. To przekonanie, że „świat stoi przed nim otworem“ napęłnia robotnika polskiego zbyt wielką pewnością siebie, nieraz lekceważeniem miejsca i sprowadza niepożądane dla przedsiębiorstw fluktuacje robotniczych drużyn. Są górnicy, którzy z amatorstwem chyba co parę miesięcy wędrują od jednej kopalni do drugiej, robiąc sobie rodzaj sportu z częstej zmiany miejsca, lekceważąc pracę wszędzie.

Pod względem pijaństwa i świętowania poniedziałków Polacy nie ustępują Niemcom, aczkolwiek ich w tem nie przewyższają.

Świętowanie poniedziałków (t. zw. Blaumontag), jest w tak powszechnem użyciu u Polaków i u Niemców, że zarządy kopalni mają co poniedziałki poważne kłopoty.

Wyprawienie hucznego wesela i połączonej z niem pijatyki uważaniem jest za punkt honoru młodego małżeństwa, choćby w tydzień po ślubie musiało się ono zadłużać u kupców „na książkę“. Największa rozkosz, jeśli na wesele można dostać dudy. Wtedy zabawa trwa hucznie, rojno, przez całą dobę.

Dzięki nawoływaniu prasy polskiej i dzięki wyrobionemu przez towarzystwa polskie na cbczyźnie przekonaniu, że Polak pod żadnym pozorem nie powinien zawierać małżeństwa z Niemką, liczba małżeństw mieszanych jest stosunkowo nieznaczna, jeśli się zważy, że emigrująca ludność polska należy w większej części do klasy młodzieży w okresie zawierania związków małżeńskich. W okręgu górniczym dortmundzkim, w którym liczbę Polaków górników na podstawie niemieckich źródeł obliczyliśmy na 42,000, liczba żonatych z Niemkami wynosi najmniej 15%, najwięcej zaś 22%, a więc około 10,000.

Jak wiadomości z ostatnich miesięcy zgodnie potwierdzają, liczba wychodzców stale wzrasta.

Na ten objaw składają się najrozmaitsze przyczyny.

Obok wysokiej skali zarobkowej, wyższego poziomu życia i wygód, oraz wywierającego na wychodzców magiczną siłę przyciągającą poczucia niezależności ekonomicznej, jednym z powodów masowego napływu ludu polskiego do westfalskich kopalni jest krótkość trwania pracy. T. zw. szychty ośmiogodzinne wymagają wprawdzie większego natężenia sił w czasie trwania pracy, ale za to pozwalają robo-

tnikowi na staranne umycie i ubranie się, gdy pracę skończy, dają w zwiększonym stosunku możność korzystania z wygod życia rodzinnego, pozostawiając czas na zajęcie się wychowaniem dzieci.

To są wszystko momenty niezmiernie ważne, które decydują w większości wypadków o wyemigrowaniu z kraju.

Jakkolwiek poważna większość wychodźców polskich, którzy przebywają w prowincjach nadreńskich, trudni się pracą w kopalniach, to wszakże niemało ich znajduje zarobek i w rozmaitych fabrykach, przeważnie wyrobów żelaznych, i w lejarniach, których w tej niezwykle ożywionej prowincyi Niemiec nie brak.

Praca w fabrykach trwa 12 godzin, tj. od 6 rana do 6 wieczór. Co do wysokości zarobku, to naturalnie nie da się on przeciętnie obliczyć, są bowiem z natury rzeczy rozmaite rodzaje zajęcia, a zatem i rozmaite skale zarobków. Za regułę jednak uchodzi, że praca w fabryce nie przynosi mniej od 3 marek, a więcej niż 5 m. na dzień. Po większej części praca w fabrykach należy do najcięższych i wymaga nie tylko przygotowania fachowego, ale i sił fizycznych połączonych z wytrwałością.

Zarobek w fabrykach nadreńskich wynosi dla początkujących najmniej 12 m. tygodniowo i dochodzi do 25 m.

I tu przeprowadzoną jest różnica pomiędzy zarobkiem akordowym a dzienną płacą. Na akord robotnik w fabrykach żelaznych zarabia 6 m. do 6.50 fen. dziennie, zaś płaca nie akordowa wynosi 3 m., najwyżej 4 m.

Wogolności wychodźcy nasi najwięcej pracują w kopalniach i w przemyśle fabrycznym górniczym. Następnie postawić można hutę, fabryki mozaik, betonów i smołowcowych tektur na dachy.

Bije jednak odrazu w oczy, że w przemyśle tkackim stosunkowo bardzo nieliczni wychodźcy znajdują zatrudnienie. Przypisać to należy zapewne tej okoliczności, że przybywający ze stron polskich wychodźcy poszukują takich rodzajów zatrudnienia, które niejako nazajutrz już po przyjeździe dać im mogą utrzymanie, tkactwo zaś wymaga praktyki i fachowego oboznania się, którego przybyśże nie mają możliwości nabyć. Powtóre zaś przemysł górniczy, hutniczy lub żelazny, cierpi na brak sił roboczych, to zaś w tak znacznych rozmiarach nie daje się uczuć w tkackim przemyśle.

Znaczna liczba Polaków w prowincjach nadreńskich pracuje przy t. zw. robotach ziemnych, t. j. kładzeniu rur wodociągowych, przeprowadzaniu ulic, kanałów itd. Jest to praca bardzo ciężka i niezdrowa. Zarobek wynosi od 15 do 27 m. na tydzień.

W nadreńskich prowincjach przy tych robotach napotyka się prawie samych tylko Polaków i Włochów. Niemców chyba tylko jako dozorców. Praca trwa w lecie od 5 rano do 10 w wieczór, a często i do 12 w nocy. W tych razach praca liczy się na godziny i wynosi 25—30 fen. za godzinę. W niedzielę i święta przerwy w pracy niema.

Znaczna liczba też pracuje w cegielniach. Zarobek wynosi 25—30 fen. za godzinę. Praca ta zupełnie rujnuje zdrowie. Biorą się do niej tacy, którzy w danych zawodach chwilowo miejsca znaleźć nie mogli.

Pogląd na wychodztwo polskie w Westfalii i Nadrenii nie byłby zupełny, gdybyśmy pominęli fakt zasługujący na uwagę, jako nadzwyczajnie znamienity, a mianowicie, że aż do Westfalii dochodzą zagony, które zapuszcza wychodztwo sezonowe rolne.

W okolicach Paderbornu po wszystkich niemal dworach pracują polskie dziewczuchy wiejskie i polscy parobcy. Dochodzą tu aż galicyjscy wychodźcy i nieświadomi stosunków (bo dopiero zaczynają sobie drogi torować), nierzadko narażają się na kłopoty z policją i stratę czasu i pieniędzy.

Fakt, że wychodźcy sezonowi zachodzą aż do Westfalii, świadczy, że wzmagający się ruch przemysłowy absorbuje ludność niemiecką w produkcji fabrycznej, każąc jej posługiwać się przy roli ludnością przychodnią. Taka sytuacja każe naturalnie przypuszczać, że ruch ten coraz bardziej wzmacniać się będzie, podsycając też i napływ osiadających na stałe wychodźców.

V.

Wychodźcy polscy w środkowych Niemczech.

(Saksonia, Prowincja Saska, Brunświk, Hanower, Anhalt).

Źródeł do statystyki Polaków, rozsianych po Niemczech,—niema. Dla Westfalii, która wykazuje zbite masy polskich przybyszów, przeprowadzenie takiej statystyki było rzeczą niezbyt trudną, zarówno z powodu jednakowego sposobu zarabkowania, jak i dzięki stosunkowo małemu terytorjum. W innych prowincjach Niemiec Polacy

nie osiedlają się w tak zwartych masach, lecz rozproszeni są po całej olbrzymiej przestrzeni; dziesiątki tysięcy ich nikną bez śladu wśród milionów niemieckiej ludności; nie oddają się jednemu i temu samemu zawodowi, lecz pracują we wszystkich działach produkcji ekonomicznej. Przedstawiają sobą przytem dwa zasadnicze typy i trzeci — pośredni.

Typ pierwszy—to robotnik fabryczny, kupiec lub rzemieślnik, który stale przebywa na obczyźnie w miejscu swej produkcji.

Typ drugi—to robotnik sezonowy rolny (obieżysas), który przebywa na wiosnę wobce strony, a w jesieni wraca do kraju. Zdawałoby się, że typ ten dość dużo posiada kontrastów w stosunku do emigracyi stałej, aby go można pominąć, a raczej wyosobnić, gdy mowa o emigracyi stałej miejskiej. A jednak tak nie jest. Obieżysas, mając sposobność przyjrzeć się na obczyźnie innym gałęziom produkcji, nierzadko przechodzi od roli do przemysłu, lub szuka zajęcia wogóle w mieście. Nośnienie ciężarów, wyładowywanie i naładowywanie berlinek, roboty kanalizacyjne i ziemne, wreszcie zajęcia fabryczne, do których nie trzeba specjalnego uzdolnienia, oto teren jego nowej działalności. Ale przechodząc od roli do tych innych gałęzi przemysłu, wychodząca ten w większości wypadków zachowuje swój dawny rys charakterystyczny i zasadniczy—pobyt sezonowy. W jesieni wraca do kraju. Roboty ziemne mają też swój sezon, niemniej jak budowanie domów i fabrykacja cegieł, nawet fabryki wyrobów żelaznych itp., są w pewnych gałęziach produkcji zależne od pory roku. Po sezonie następuje zimowa cisza i czasowe ograniczenie produkcji. Mamy więc oprócz ludności stałej z jednej, a obieżysasów z drugiej strony—jeszcze trzeci, pośredni typ: robotnika fabrycznego miejskiego, który co rok powraca do kraju. Tak jest w całej Saksonii i w Prowincyi Saskiej Prus.

Oczywiście przysparza to niezmiernie trudności w jakichkolwiek obliczeniach statystycznych i wszelką dokładność czyni zupełnie iluzoryczną, wprowadzając do obliczeń czynnik niestały, podległy ciągłym wahaniom i fluktuacyom. W obliczeniach liczby ludności trzeba było polegać z jednej strony na informacjach przygodnych korespondentów, uzupełniając, lub kontrolując podane przez nich liczby za pomocą dedukcyi z liczby członków towarzystwa polskiego, które w danej miejscowości istnieje.

Z powodów podanych już poprzednio, a popartych spostrzeżeniami z praktyki, oznaczyliśmy wykładnik odnośny nie na 1.10, jak w Westfalii, lecz na 1.20.

Na tej kruchej zresztą podstawie obliczając, dochodzimy do wniosku, że liczba ludności polskiej w Saksonii, Brunświku, Hanowe-

rzo, w Księstwie Anhalckiem, Prowincji Saskiej i innych częściach Prus (z wyjątkiem wielkich miast i Westfalii), wynosi około 150 tysięcy głów.

Rozpatrując kwestyę wychodztwa polskiego w tych prowincjach, pamiętać na każdym kroku winniśmy, że sezonowy robotnik rolny z prowincji polskich jest wszędzie, w każdej niemal miejscowości, zjawiskiem codziennem i że on stanowi niejako tło, jest społecznym podkładem wychodztwa polskiego, na stałe osiadłego w miastach i osadach. Zdaje się też, że ten robotnik rolny, w wielkiej masie przebywający wszędzie, jest w pewnej mierze przyczyną niezmiernie niskiej skali zarobkowej w innych działach produkcji, mianowicie w fabrykach i kopalniach. Przedewszystkiem do środkowych Niemiec zastosować można niezmiernie charakterystyczne słowa, w jakich zamknął swe spostrzeżenia jeden z korespondentów z Prowincji Saskiej: „Na wszystkie strony pełno tutaj fabryk, a wszędzie Polaka, jak żyda wiecznego tułacza, znaleźć można, zarówno w fabrykach, jak i przy sezonowej pracy na roli”.

Przyjrzyjmy się teraz ekonomicznym warunkom bytu naszych wychodzców, pracujących w przemyśle górniczym i fabrycznym w Prowincji Saskiej i Saksonii.

Wielki ruch przemysłowy grupuje się na linii: Magdeburg-Bernburg i Köthen, Lipsk i Merseburg, aż po Chemnitz (Kamienicę) i Zwickau, a potem w bok wzdłuż czeskiej granicy, Freiburg, Drezno, Budziszyn (Bautzen).

Na tym obszernym terenie przemysłowym rozgościły się nie tylko rozmaite gałęzie przemysłu fabrycznego, ale i przemysł górniczy. Jedna obok drugiej leżą osady fabryczne, koncentrując robotniczą ludność. W całym tym rejonie napotykamy w bogatych zakładach przemysłowych i pierwszorzędných fabrykach koszarowy system utrzymania robotników.

Robotnik nieposiadający jeszcze żadnych zawodowych kwalifikacyi zarabia 2 marki 20 fen. do 2 marek 50 fen. dziennie. Majstrzy i wogóle wykwalifikowani robotnicy pobierają 3 marki 50 fen. do 3 m. 75 fen.

Jeżeli robotnik mieszka w koszarach fabrycznych, to płaci za utrzymanie 60 fen., a w mieście, jako lokator, innych robotników płaci 1 m.

W koszarach za 60 fenigów dziennie dostaje łóżko żelazne z siennikiem, dwie dery do przykrycia, ręcznik, szafę wojskową na rzeczy, mydło, ciepłą i zimną wodę, dwa razy na tydzień sposobność do kąpieli w łaźni, oraz pożywienie według następującego regulaminu:

Dzwonek budzi wszystkich rano kwadrans przed piątą. O piątej zwołuje dzwonek na pierwsze śniadanie, które się składa z dwóch filiżanek kawy i mlecznej bułki. Robota zaczyna się o w pół do szóstej i trwa do ósmej. O ósmej rano drugie śniadanie — kawa gorąca i chleb w dowolnych porcjach. O w pół do dziewiątej zaczyna się znów robota i trwa do 12.

Na obiad dostają robotnicy w niedzielę, wtorek i czwartek $\frac{1}{4}$ funta mięsa z kartoflami, z kapustą i grochem i t. d., w inne dnię potrawy z samych jarzyn, jak groch, ryż, soczewica, groch strączkowy itd. O czwartej po południu kawa i chleb, o w pół do piątej rozpoczyna się znów robota i trwa do w pół do siódmej. O w pół do siódmej kolacya, składająca się w niedzielę, wtorek i czwartek z $\frac{1}{4}$ funta kiełbasy oraz chleba, w inne dnię — ze śledzia z kartoflami lub kartofli z olejem. Oprócz tego robotnik lub robotnica dostaje na tydzień $\frac{1}{4}$ funta smalcu i $\frac{1}{4}$ funta margaryny.

Regulamin powyższy, wzięty z fabryki płyt majolikowych w Zahna, naturalnie nie we wszystkich szczegółach może być uważany za typowy, lecz tylko w głównym zarysie. Gdziekolwiek, zwłaszcza w wielkich miastach system koszarowy nie da się przeprowadzić tak łatwo i z obustroną korzyścią, jak w mniejszych osadach. Wtedy naturalnie spotykamy nieco wyższą skalę płacy.

Przy systemie koszarowym i tak niskiej opłacie za utrzymanie, robotnik, po odciągnięciu kosztów utrzymania, składki inwalidowej i polisy na wypadek nieudolności do pracy, otrzymuje co dwa tygodnie (wypłata odbywa się co dwa tygodnie) około 20 marek do dyspozycji.

Są przytem zazwyczaj dwie kasy chorych: jedna powiatowa rządowa, a druga fabryczna. Do każdej musi robotnik co dwa tygodnie uiszczać 20 fenigów przymusowej składki. W razie choroby, poświadczonej przez doktora fabrycznego, dostaje, począwszy od 3-go dnia, 75 fenigów dziennie z każdej kasy, razem więc 1 marka 50 fenigów.

Robota jest po większej części maszynowa.

W fabrykach tkackich, żelaznych, chemicznych i t. d. panują powszechnie podobne warunki bytu i pracy, oraz zbliżona skala zarobkowa.

Przy wielkiej oszczędności małe mający potrzeby wychodzą polski jest w stanie uciąć trochę grosza. Korespondenci też zgodnie donoszą, że pomimo ogólnych skarg na niskie płace, rok rocznie wraca niejeden w strony rodzinne, zebrawszy sobie przez ciąg dwuletniego, lub trzyletniego pobytu, fundusik wystarczający na spła-

tę długów lub udziału, obciążającego przeciętne gospodarstwo włościańskie.

Natomiast w hutach szklanych i cegielniach, gdzie pracują w Saksonii tysiące Polaków, zarobki są nędzne i warunki pracy zazwyczaj bardzo przykre. Zwłaszcza praca w cegielniach nadwiera za niesłychanie siły i zdrowie wychodźców. W lecie praca rozpoczyna się o 5 rano i trwa do 8 w wieczór. Jeden robotnik polski obsłużyć musi zazwyczaj dwóch tak zwanych strycharzy, tj. dostarczać im gliny, piasku i wody. Strycharze niemieccy zarabiają dziennie po 9—10 m., a dają robotnikowi 1.50 m. tj. 3 m. dziennie. Rzadko który wytrzyma przy tej pracy dłużej, jak miesiąc jeden. W kopalniach są warunki pracy nieco lepsze. Na szychcie wynoszącą 13 godzin, zarabia robotnik do 3.50 m. dziennie, a nawet 4 m., ale to zdrowiem przypłaca.

Co do pochodzenia wychodźców polskich w tym przemysłowym rejonie, to stosunkowo więcej niż w Westfalii znaleźć tu można wychodźców z Królestwa i z Galicji, naturalnie pomiędzy stałą ludnością fabryczną.

Przeważnie jednak Księstwo, jak tam, tak i tu, dostarcza przede wszystkim emigrantów. Procent z Prus Zachodnich i ze Śląska jest mniejszy niż w Westfalii.

Nie brak też i Mazurów-ewangelików. Podczas, gdy w Westfalii, będąc w wielkiej liczbie tworzą oni odrębną organizację, mało mają styczności z katolikami Polakami i mają pastoryzację w polskim języku, w Saksonii i Saskiej Prowincji Prus zupełnie się wcielają do ogółu wychodźstwa polskiego. Korespondent z pewnej małej fabrycznej osady w Saksonii podaje taki charakterystyczny przykład:

„Mamy tu też kilku Mazurów ewangelickiego wyznania, którzy ani słowa po niemiecku nie rozumieją. W jedną niedzielę poszli też do Wittenbergu do swego kościoła (osada nie ma kościoła), lecz ogromnie się na Niemców oburzyli, bo ani słowa po polsku nie usłyszeli w owym luterskim kościele. W następną niedzielę przyszli do naszego kościoła, gdzie, gdy usłyszeli ewangelię po polsku czytaną, dwaj mazurzyśka aż się pobeczeli z rozrzewnienia i radości. Jeden z nich wyraził się do nas: Tutaj można przynajmniej słowo po mazursku usłyszeć, a tam to jeden wlażł na ambonę i gada, jakby miał kluskę w gębie, albo co—i człek ani słowa nie rozumie.

Chodzą tedy do kościoła razem z nami, a my ich przygarnęli, jako braci“.

Charakterystyczną cechą wychodźstwa polskiego do tych przemysłowych okolic jest znaczny procent dziewcząt polskich, których zapotrzebowanie, zwłaszcza w fabrykach tkackich i w fabrykach pa-

piaru, złoceni i skórzanych wyrobów, wzrasta z dniem każdym. Warunki pracy równie złe jak opisane powyżej w Westfalskich i nadreńskich fabrykach.

Stosunki pomiędzy robotniczą ludnością polską a niemiecką w tych okolicach nie są dobre. Często dochodzi do bójek, zatargi osobiste rozgrywają się najczęściej na tle ogólnego antagonizmu narodowo-klasowego.

Dość trudno zgłębić przyczyny tego antagonizmu. Zapewne się nie pomylimy, gdy i tu, jak w Westfalii, na pierwszym miejscu postawimy zawiść konkurencyjną, i fałszywe zresztą wyrachowanie Niemców, że gdyby nie napływ robotników polskich—z pewnością ceny pracy by się podniósł.

Dalej występuje z niemuiejszą siłą drugi czynnik — mianowicie fakt, że oddana zasadom socjalno-demokratycznym robotnicza klasa niemiecka ma w Polakach żywioł, który programowi socjalno-demokratycznemu nie daje się okiełznać, lecz idzie swemi drogami. „Robotnik niemiecki dziś w nic nie wierzy oprócz w siłę solidarnego działania socjalnej demokracji przeciw kapitalistom”, — pisze do mnie o tej kwestyi jeden ze światłych majstrów fabrycznych Polaków, — „a Polak właśnie dlatego, że chodzi do kościoła i modli się, uważany jest przez niemieckich kolegów za głupiego, bo mu się cała sprawa, podług pojęć niemieckiego robotnika jeszcze nie rozjaśniła. Nie poznał że „ksiądz, jak mówią, jest księdzem kapitalistycznej gospodarki, mającym na celu utrzymanie robotnika w pokorze i posłuszeństwie.” I dla tego Polaków nie cierpią”.

Ten psychologiczny motyw wydaje mi się dla objaśnienia istniejących antagonizmów zupełnie uzasadniony. Dodajmy do tego jeszcze i różnice wynikające z narodowości, i mniejszą skalę potrzeb robotnika Polaka, na którego z pogardą spogląda niemiecki robotnik — a będziemy mieli wytłumaczenie antagonizmów.

Im dalej na północ, tem bardziej wychodztwo polskie przybiera charakter rolniczy.

W zdwojonej liczbie napotykamy wędrownych wychodzców polskich w Brunświku i Hanowerze, znajdujemy ich też i na Pomorzu. Osiedla tu stale ludność polska pracuje przy najprostszych zatrudnieniach i skarży się na bardzo liche zarobki.

W Brunświku ruch wychodzców polskich koncentruje się w okolicach samego miasta Brunświku, oraz Helmstedtu, jako dwóch punktów ogniskujących uprawę buraków.

W Hanowerze ruch wychodzców koncentruje się w okolicach Hildesheimu, w których kwitnie uprawa buraków.

Sezonowi robotnicy rolni pracują tu, jak i w Brunświku, po folwarkach i dworach kompaniami 20—30 ludzi, bez specjalnego dozorczy—Polaka.

W Meklemburgu i Oldenburgu znajdujemy same prawie tylko kolonie rolnicze. Niemieccy właściciele ziemscy starają się mianowicie zaprowadzić system osiedlania wychodźców polskich na stałe, dają im rodzaj pańszczyzny: małe działki z domkami, do których posiadania przywiązana jest pewna ilość dni roboczych w lecie.

VII.

Wielkie miasta.

Trzecią grupę stanowią „wielkie miasta“ z koloniami polskimi. Są to miasta: Berlin, Hamburg, Brema, Wrocław, i t. d.

Cech wspólnych, odróżniających je od wychodźstwa polskiego w Westfalii lub środkowych Niemczech, mają kolonie w wielkich miastach dużo: wymieniliśmy je zresztą w dawniejszym artykule o kolonii Berlińskiej i motywując w niniejszym szkicu podział wychodźstwa na grupy.

Jednak ta różnorodność warunków bytu i charakteru tych kolonii jest tak znaczna, że trudno jest rozpatrywać je inaczej, jak każdą z osobna.

Liczą one razem ze 100 tysięcy Polaków.

Ogółem więc wychodźstwo w Niemczech w roku 1901 wykazuje 400 — 450 tysięcy Polaków. Liczba ta szybko wzrasta i nie ulega wątpliwości, że zanim te uwagi ukążą się w druku, liczba Polaków w Niemczech wynosić będzie przynajmniej pół miliona.

Dodać tu wreszcie trzeba, żeśmy wcale nie uwzględnili Bawarii, Wirtembergii, Badonii, Alzacyi i Lotaryngii.

Jakkolwiek w tych krajach liczba Polaków wielką na ogół być nie może, w żadnej bowiem miejscowości nie spotykamy godnej wzmianki liczby Polaków, to wszakże, gdy się wszystko razem zliczy — i z tych krajów z parą tysięcy na korzyść ogólnej liczby przypadnie.

VIII.

A więc prawie pół miliona Polaków — w Niemczech. Jest to liczba tak znaczna, że przedstawia sobą niejako odrębną dzielnicę, której losy powinny społeczeństwo polskie obchodzić.

To półmilionowe wychodztwo z prowincyi, które ogółem liczą najwyżej 3 i pół miliona ludzi, jest czemś niesłychanem w historii nowożytnej. To rana, wciąż krwawiąca się, na organizmie polskiego społeczeństwa pod panowaniem pruskim. Od lat 20 ruch ten się wzmacnia, potęguje i dziesiątkuje ludność polską, gorzej, niż najgorsza epidemia. Końca tego ruchu nie widać.

Gdy terminu nadejścia radykalnej zmiany przewidzieć nie można, należy użyć tych zapobiegawczych środków, jakie są dziś dostępne.

Są to: powrót do kraju i przeciwdziałanie germanizacyi na obczyźnie.

Powrót do kraju — jest to idea, której urzeczywistnienie możliwe jest dla niektórych tylko, wyjątkowych jednostek wśród wychodźców, dla ogółu jednak prawie że nieziszczalne.

Jedną z najważniejszych przeszkód powrotu do kraju jest obawa wychodźców przed zmianą znośnych warunków bytu na obczyźnie na gorsze w kraju.

Wychodźcy polscy bardzo często, dobiwszy się grosza na obczyźnie, wracają z całą rodziną do kraju, w nadziei, że potrafią się utrzymać, tembardziej, jeśli na obczyźnie utrzymać się zdołali, pomimo konkurencyi w swym zawodzie. Lecz czeka ich zbyt często bolesny zawód, bo o pracę trudno, handel i przemysł zmonopolizowany w rękach przedsiębiorców-wyzyskiwaczy, warunki bytu znacznie gorsze. Doznawszy takiego rozczarowania „na łonie ojczyzny“, biedacy, ubożsi o kosztą podwójnej podróży i przeprowadzki, wracają z rodzinami na miejsca upatrzone na emigracyi, gdzie czeka ich praca pewna i dobry zarobek i gdzie tęsknią do kraju zdaleka.

Lecz nie tylko obawa pogorszenia bytu materialnego powstrzymuje wychodźców od powrotu do kraju; znalazło-by się dużo takich, którzy-by nawet i niższym zarobkiem w kraju się zadowolnili, ale powstrzymuje ich obawa przed złem obchodzeniem się pracodawców. „W tym roku — pisze mi jeden z korespondentów — przyjechał do Zgorzelic z Krakowa pewien agent, szukając robotników Polaków dla pewnej fabryki maszyn w Krakowie. Warunki dawał wyborne

podróż III klasą do Krakowa dla całej rodziny robotnika, na miejscu w Krakowie ta sama płaca co i w Zgorzelicach, a w razie gdyby się komu w Krakowie nie podobało, po pół roku powrót III klasą na koszt fabryki.

Pomimo to agent ten pośród Polaków nie znalazł ani jednego robotnika, jakkolwiek w fabrykach nas tu bardzo wielu pracuje. A to dlatego, że każdy się bał, że w kraju pracodawca lub pierwszy lepszy urzędnik gospodarczy będzie nim pomiatał, jak rządca parobkiem. Obawa ta przed większym ograniczeniem osobistej wolności w stosunku do pracodawcy jest jednym z motywów, które najczęściej powstrzymują wychodzącą od powrotu do kraju.

Te więc przyczyny paraliżują w większości wypadków myśl powrotu do kraju.

A teraz pytanie: czy wychodztwo polskie może prowadzić skuteczną walkę z germanizacją?—Sądzimy że tak.

Trzeba przede wszystkim staranniejszego wychowania narodowego w kraju.

Nasz emigrant, wychodząc na obczyznę, powinien już być narodowo uświadomiony i rozbudzony, aby, dostając się do kolonii polskiej jako młody człowiek w wieku 25—30, już sam potrafił pracować nad osiadłymi tam dawniej emigrantami.

W kraju, niestety, dotychczas za mało się troszczy o narodowe wychowanie emigrantów naszych. Chłop lub robotnik w kraju dotychczas jest pozostawiony samemu sobie pod względem narodowym; gazet polskich czyta za mało; zamiłowania do książek nie zdołano w nim rozbudzić; pojęcie narodowości miesza z pojęciami wyznania; nie posiada pojęcia o przeszłości i teraźniejszości swego społeczeństwa—a wskutek tego nie ma należytego pojęcia o obowiązkach obywatelskich.

Wykształcenie polityczne i to budzenie świadomości narodowej, jakie dziś jest we zwyczaju w Poznańskim i w Zachodnich Prusach, do pewnego stopnia może wystarczyć dla kraju, lecz nie dla emigracji, a to dla tego, że w kraju rozbudza się narodowość przede wszystkim wyborców, a więc ludzi którzy zbliżają się do trzydziestki.

Natomiast doświadczenie wykazuje, że wychodzą z kraju na obczyznę młodzi ludzie w wieku około dwudziestu lat. Ci idą na emigrację, jak dziczki, zanim zapoznali się z gazetami polskimi, a gdy im zaczyna brakować opieki „dobrodzieja” — tj. księdza proboszcza, który zachęcał ich do wstępowania do towarzystw polskich, to całe ich poczucie narodowe znika. I potrzeba dopiero ciężkich trudów, aby na obczyźnie w niektórych z nich obudzić poczucie narodowe.

Gdyby nie to więc, że kraj za mało dba o opuszczającą strony rodzinne młodzież, germanizacya nie czyniła-by takich postępów, jakie czyni, nie napotykając prawie żadnego oporu.

Tej tylko okoliczności przypisać należy masową germanizacyę, że emigrująca z kraju młodzież nie przynosi żadnych prawie zasobów poczucia narodowego.

Towarzystwa polskie na obczyźnie przedstawiają dziś dobry materiał, przy którego pomocy przez nadanie mu pewnej usystematyzowanej formy można-by wszystkie rozstrzelone usiłowania obrony przed germanizacyą zebrać do jednego mianownika.

Tylko przez organizacyę towarzystw dało-by się system jakiś wprowadzić w usiłowaniach na polu:

- 1) Uzyskania lepszej opieki duchownej.
- 2) Zwolywania wieców.
- 3) Urządzania i zaopatrywania bibliotek polskich.
- 4) Szerzenia elementarzy polskich, oraz śpiewników.

Wreszcie jedną jeszcze gwałtowną potrzebę można-by zaspokoić przez celową organizacyę: potrzebę odczytów i referatów na wiecach.

Jedynie związek wszystkich towarzystw mógł-by znaleźć i wydelegować wędrownych mówców, którzy-by się trudnili wyłącznie wygłaszaniem odczytów i mów, zwolywaniem wieców w okolicach, gdzie niema towarzystw, oraz zakładaniem towarzystw, gdzie ich potrzeba.

Ten program zorganizowanej obrony przed germanizacyą dotyczy jednak wyłącznie starszego pokolenia.—Sprawa polskiego wychowania dzieci — to istna syzyfowa praca dla wychodztwa polskiego w Niemczech — to *in ponderabile* w pełnem znaczeniu tego słowa.

A jeśli dzieci wychować po polsku się nie da, to jakąż wartość mieć może walka z germanizacyą. — To pytanie zadawał sobie niejeden.

Odpowiedź uświadomionych jednostek wśród wychodzców brzmi tak: „Jesteśmy tu na obczyźnie po to, aby wśród obcego społeczeństwa, bardziej rozwiniętego społecznie i ekonomicznie, niż nasze społeczeństwo, poznać w praktyce nieznaną jeszcze u nas organizacyę pracy, aby zaznajomić się z postępem wiedzy praktycznej, rozszerzyć widnokrąg myśli i wrócić do kraju, a tam w przemyśle i w handlu zwalczać niemiecką konkurencyę za pomocą naszych tu nabytych sposobów, których w kraju nie znają; a dalej, w życiu towarzyskiem i społecznem dawać przykład, że i rzemieślnik w dzisiejszych czasach może mieć — i mieć powinien — samodzielność poglądów, że powi-

nien być obywatelem, jakim jest w społeczeństwie zachodnio-europejskim, ale nie u nas;—że wreszcie powinien odegrać po powrocie między swymi rolę zaczynu, który-by przyspieszył proces wewnętrznych społecznych przekształceń, których ostatecznym celem jest przeniesienie politycznego i społecznego punktu ciężkości ku klasie średniej“.

Rozumowanie powyższe opiera się na trafnem zrozumieniu ekonomicznych i społecznych potrzeb kraju, niemniej zaś na trafnej ocenie tego, co wychodztwo krajowi dać może. Może ono dać krajowi przedewszystkiem jednostki wysoko wykwalifikowane w rozmaitych działach przemysłu i rzemiosła.

Wszak w innych społeczeństwach rzemieślnikom dają stypendya na wyjazd za granicę, aby mieli możność wykształcenia się w swym zawodzie, a ci tylko czekają na sposobność, aby do kraju powrócić. W Poznańskim takich ludzi potrzeba i potrzeba ich będzie coraz więcej. Potrzeba ich też w Królestwie i w Galicyi.

Walka z germanizacją staje się już celową, staje się środkiem do dalszych dążeń, a chęć zdobycia zamożności przestaje być materyalistycznie zabarwionem dążeniem, skoro zostaje nagięta do celów wyższych, do powrotu do kraju. Większa część wychodzców zginie zupełnie dla kraju, rozplynie się gdzieś bez śladu w morzu niemieckiem; ale gdy żywioły zdolniejsze zorganizują się i dojdą do przekonania, że powrót do kraju nie jest mrzonką, kraj na tem skorzysta. Ludzie ci bowiem nabyli na obcym gruncie, wśród obcego otoczenia, tej samodzielności poglądów, tej przedsiębiorczości, tej inicjatywy, której warstwowi mieszczańskiemu w prowincjach polskich brak zupełnie.

I pod tym więc względem będą oni dla kraju pionierami postępu.

DR KAZIMIERZ RAKOWSKI.

AD ASTRA¹⁾

DWUGŁOS

przez ELIZĘ ORZESZKOWĄ i JULIUSZA ROMSKIEGO.

VII.

Interlaken.

Dziękuję za serdeczną otwartość, za szczerą chęć pogodzenia się ze mną, za tę dobrą wolę, która z każdego słowa twego, kuzynko, przebija.

Pragnąc skłonić mnie do apostazyi prawdy na rzecz złudzeń swoich, wywiodłaś w pole walki mnóstwo rzeczy z pod słońca i z ponad słońca, szeroki przestwór ten okrasiałaś czarem dźwięcznego słowa i rozgrzałaś ciepłem kobiecego serca. Jest w tem bogactwo poetyckiego natchnienia i są rozległe horyzonty myśli, zdumiewającej mnie pomimo wszystko, co już podziwienia godnego o tobie słyszałem.

Olśniony jestem, ale nie przekonany. Jednak, ażeby walkę podjąć i ją rzeczywiście stoczyć, musiał-bym rozporządzać temi samemi sposobami walczenia. Musiał-bym być złotoustym i w sercu mieć płomień. Tymczasem, armatura moja jest wcale innego rzędu. Umiejętnie obracane ostrze karnej myśli, oto jedyny mój oręż, prosty a tak potężny, iż nie potrzeba mi tamtych, błyskotliwych rynsztunków. Tak jest on potężnym, że cały zresztą świat staje przed nami, pionierami myśli, bezbronny.

Natchnienie i ogień uczuć, to dla serca skarby, lecz dla rozumu zero. Cokolwiek-by z dziedziny legend tęczyowych i gorących ukochań wyprowadzono do boju z ujarzmioną myślą, chociażby zasypiano ją

¹⁾ Patrz zeszyt październikowy, str. 1; — listopadowy, str. 253.

milionem najwspanialszych i najjaskrawszych zjawisk, na jakie wysilić się zdoła rozkołysana wyobraźnia, choćby próbowano olśnić ją milionem fajerwerków, spalonych z chwilowych prawd i plemiennych interesów wszystkich narodów i czasów, ona nie zadrży, bo hartowne łańcuchy jej pancerza sprzęgnięte są stalową koniecznością tych matematycznych prawideł, które jedynie byt świata stanowią i światem kierują, bez względu na wszczepiony w jego treść pyłek, zwany ludzkością, bez względu na miniaturowe jego sprawy, czucia i natchnienia.

Z drugiej strony, i to wątpliwości nie podlega, że w odniesieniu do ciebie, kuzynko, cała potęga mojej myśli musiała-by pójść w kął wobec przekonywającej siły wywodów naprzykład starej piastunki twojej, o której opowiadała mi pani Idalia, i która nawet ojcemu memu utkwiała w pamięci z czasów wypraw myśliwskich w waszej puszczy. Wyzszość starej „niani“ nade mną leży właśnie w tem, że ona, jak sędziwy Akim w tragedji Tołstoja, na rozumowaniu się nie zna, ani nawet pojęła-by znaczenia tego wyrazu, ale pradawną upornością kilku wyobrażeń, zaledwie w kryształ zajękliwego słowa ściętych, uderza jednostajnie i nieustrudzenie w serce, podczas kiedy ja, z aparatem umiejętnych pojęć i słów ścisłych, nie przywykłem zwracać się do serc ludzkich i chyba niczyjego serca nim nie otworzę.

A zatem, kuzynko. należymy do dwu światów odrębnych i spotkanie nasze było-by walką myśli z sercem. Ja jestem rozum, tyś królowa uczuć. Powiedział-bym, że ty nietylko kochasz, cierpisz, pragniesz, lecz także myślisz i rozumujesz sercem. Po wszystkiem, com ci poprzednio powiedział, w duchu twym nie zrodził się nawet cień, choćby ślad cienia powątpiewania o prawdziwości twych koranów; natomiast w jedną połowę twej duszy wtargnął demon gniewu na bluźniercę, a drugą owładnął geniusz miłosierdzia nad jego sercem obłąkanem. Gdybym miał wewnętrzne życie twoje określić w sposób ogólny i zwięzły, powiedział-bym, że jest ono snem, ujawnionym na tle uczuciowem serca.

Jednakże wszystko to zajmuje mię i zastanawia. Jakiemże musi być życie na tym gruncie waszym, skoro, mimo najcięższych ciosów rodzinnych i przejść, bardziej jeszcze osobistych, których gryzący jad wytrawił się w dogmat rezygnacyi z osobistego szczęścia, skoro, mimo tych ciosów i zawodów, żadna z mar, wplecionych w koło marzycielskiego życia, nie pierzchała?

Jakież jutrzeńkowe kolory przywdziewają ziemia i niebo dla Psychy, która, na widok prawdy, ukazywanej z zasłon Saiskich, ma tylko uśmiech niedowierzania, albo łzę litości? Jakże błękitnym musi wydawać się świat, odbity w kielichu takiej błękitnej duszy?

Dusza taka rozcina świat na dwie połowy: ziemię i niebiosa. Niebo, pełne gwiazd srebrnych i płomiennych, wzdęte opalową zamiecią księżyców, komet, meteorów, przemierzone skrzyżowaniami szlakami dróg mlecznych, to niebo jest tłem wspaniałem, rozesłanem dla jednej tylko gwiazdy, dla ziemskiej gwiazdy, wybranej, gdyż na niej mieszka ludzkość. Z tego zaś globu, świecącego stubarwnym puchem kwiecia na dolinach, a perłową emalią śniegów na górskich wierzchołkach, z ziemi, spowitej w różowe obłoki świtów i zachodów, lub w złote blaski południa, ulatują eteryczną strugą wonie modlitwy i glorie hymnów rozśpiewanej i rozmodlonej ludzkości, czekającej ufnie na przyszłość jeszcze piękniejszą. Czekać i ufać może ona spokojnie, bo w każdym atomie eterów spotyka ją czujne oko dobrotliwej opatrności, bo w wędrówce przez ogniska słońc i brylanty gwiazd prowadzi ją korowód tkliwych aniołów, którzy z upadłymi płaczą, ze smutnymi mają nadzieję, z wielkim szelestem cherubowych skrzydeł bronią przystępu hufcom duchów ciemnych.

Tak młode i wielkie serce two ogarnia sobą i krąg ziemi, i firmament gwiazdzisty, i to, co nad gwiazdami.

Serce, tak pełne stworzenia, powinno tworzyć.

Powinnaś kochaniom swoim dawać życie i kształty, natenczas serce two mogło-by i na dawnym gruncie być szczęśliwem; przemieniać je w barwy i dźwięki. Przemień więc serce swe w eolską harfę pustyni mitycznych; weź do rąk harfę. Zwróć się ku sztuce, lecz w wiedzy nie szukaj dla siebie niczego...

Ja cię, kuzynko, w szeregi nasze nie wzywam dla tego, że jak świat twój różni się od świata istotnego, tak samo bardzo różnić się musi twój ideał uczoneści — jeżeli go masz — od wiedzy prawdziwej. Chciałem nasunąć uwadze twojej pewne jej czynniki, które mogły-by dla ciebie być korzyścią i ratunkiem, ponieważ z całej mocy życzę ci dobrze, ponieważ wewnętrzna istota twoja rozwinęła się tak wspaniale, ponieważ nie jestem wyznawcą zdania: błogosławieni ubodzy w duchu, i nakoniec, ponieważ uważam za stan niegodny ukształconego ducha giąć się z fanatyczną pokorą przed postrachem bożyszczy, wyrzeźbionych biegiem wieków dla nieświadomionego gminu, który nie potrafił-by żyć bez pokłonów, ani iść bez drogowskazów. Wszakże można pozytywne wyniki wiedzy uwzględniać i żyć zgodnie z prawami natury, a nie poświęcać się ich odkrywaniu. Czyż tłum wierzących, czyż tłum maluczkich, ubogich w duchu, poddaje analizie słowa swych augurów? Więc niema w tem sprzeczności najmniejszej, jeżeli Cię pragnę wyswobodzić z więzów ułudy, a mimo to, przed dziedziną Wielkiej Wiedzy ostrzegam.

A dlaczego ostrzegam? Posłuchaj. Każda normalna jednostka ludzka ma prawo do życia i żyć powinna; my zaś, ludzie tylko uczeni, nie stanowimy w zbiorowym życiu żadnego ogniwa. Żyjemy tylko myślą i tylko dla myśli, bo żeby tę myśl wykształcić i nią pracować, nie mamy po prostu czasu żyć i jesteśmy poniekąd ciężarem świata, który nas biernych wyżywić musi. Jesteśmy więc zbytkiem, na jaki jedynie bardzo potężne i bardzo zasobne społeczeństwo może sobie pozwolić. Jesteśmy hyperprodukcją ludzkości. W gospodarce społecznej stoimy,—rzec-by można,—poza nawiasem. Możnaż więc komu doradzać: umrzyj dla tego, aby żyć myślał!

Przed laty dziesięciu, gdy wiedziony instynktem złym, czy dobrym, chciwemi usty piłem ze źródeł mądrości, sam nie przypuszczałem, że potok życia mego w tak martwym popłynie kierunku. Dziś, patrząc na alpejskie kaskady, myślałem o sobie: czy w przeciągu mego umysłowego rozwoju był jaki zwrot równie gwałtowny, jak spad wody z müreńskiej terasy? Nie wiem i wątpię. Pamiętam chwile, gdy po wielkiem wysileniu zdobywania zawikłanego rozdziału nauki, albo po przejęciu się stałym teorematem wielkiego myśliciela, w pojęciach moich powstawały nagle niby ogniem wypalone wyręby, ukazujące jakieś nieznane, groźne niemal przestworza, i jak wtedy niszczały i rozsypywały się w popiół całe systemy dotychczasowych moich wiar i pewników. Nie mniej, nie spotykam we wspomnieniach żadnej takiej katastrofy, czy skały, o której-by powiedzieć można:

„Na tem miejscu serce jego pękło“.

Ale to znowu pewne, że wypłynął już dawno z niespokojnych rozdwojeń psychicznych fermentów i utonął w Lutchinie teoretycznej pracy. Dla indywidualności znaczy to tyle, co noc głucha i ciemna. W dziedzinie bowiem i pod władaniem Wielkiej Wiedzy bojuje myśl ludzka jako tako, lecz o indywidualności ludzkiej tam nie chodzi. Wszystko jedno, kto patrzy w mgłę problematów. Jednych po drugich porywa nas śmierć, lub życie ze strażnic nauki, lecz mimo to, placówki nie opuszcza żrenica, patrząca w zagadkową treść bytu... .

Kto ścigać ma myślą treść wiekuistej myśli, ten z trwogą liczy krótkie godziny żywota i nie wolno mu tracić ich na pieśń serca. Wkrótce zresztą bląhą wyda się mu ta pieśń. Im potężniejszą staje się myśl jego, im wszechwładniej się rozeskrzydla, tem bardziej serce mu maleje. Świat obchodzi go jedynie jako podłoże, na którem myśl opiera swoje transcendentalne rachuby. Obchodzi on go jako funkcya działających współmiernie praw natury, a przypadkowa treść jego kalejdoskopowych obrazów jest mu obojętną. Wzrok jego zatrzymuje się na historii ludzi, na ich kołyskach i grobach, z jedno-

stajną zawsze przedmiotową trzeźwością. Z jednaką indulgencją spogląda on na grę instynktów, na cnoty, jak na zbrodnie, na aureliuszowych stoików, lubujących się w szczytnych zgonach, jak na hedonistów, zażywających wszelakiej innej uciechy. [Niema dla niego ani tragedyi żubrów, wymierających resztką diluwjalną w matecznikach północnych borów, ani tragedyi wymierających narodów, którym odejęte zostały nieodzowne warunki istnienia, ani tragedyi Alp, którym każdy moment, krusząc i zwiewając granit, umniejsza wzrostu, aż legną kiedyś w prochu czół własnych na dnie przyszłych oceanów. Na wszystko to daje myśliciel baczenie, bo zewsząd wydzielić może jakąś cyfrę, potrzebną do abstrakcyjnych obliczeń. Ale jest to widz bezstronny i niemy, podobny słońcu, co świeci ziemskim nędzom i tryumfom, wszechwidome i wszechobojętne.

Spokojny i bezchmurny, nie czuje on żadnych gwiazd ani w sobie, ani nad sobą, a jeśli mu kiedy płomień jaki w oczach zaświeci, to bywa nim tylko przelotny błysk dumy. Jest w tym spokoju coś z lodu i majestatu śmierci. I rzeczywiście pracownicy myśli przebywają w sferze bytu, ogółowi obcej i odrębnej. Stoją po stronie życia dla profana zakrytej i badają materyał kulis, wśród których rozgrywa się teatr świata, należąc poniekąd do reżyserów, znających motory, które w każdym dramacie są czynne. Kładą oni dłonie na odwieczne sprężyny, zaś tłum, napędlający scenę, zna tylko każdorazowy ich efekt.

I ciebie również, kuzynko, znajduję na zmiennej arenie świata, wraz z plejadą twych ideałów, bo wszystkie one są owych sprężyn efektem znikomym. Wchłonęłaś w siebie blaski z otaczających cię kulis, więc mniemasz, że w sercu masz słońce i Boga, i mnie samemu prorokujesz lepszą przyszłość, jeśli świat sercem ogarnę, i masz dla mnie łzę żalu, że dusza moja gorzka... Ależ ja prawie czuję się sam współtwórcą świata i dźierzę w rękę wszystkie niemal siły, które, posłane w świat, wykrystalizowują się na kanwie jego przyrody iskrami łez, albo perłami uśmiechów.

I jeszcze innym mógł-bym się posłużyć obrazem: że łódź myśli naszej przesuwa się wzdłuż pstrych i wzorzystych ogrodów życia, ale nie zatrzymuje się nigdzie, i my sami nie wysiadamy nigdzie na spoczynek.

Płynąc tak wzdłuż rozwiniętej daleko wstęgi panoramy, chciał-bym cię odnaleźć na jakiejś łące lazuruwej i różanej, gdzie widział-bym, że ci jest dobrze, jakimkolwiek łudziła-byś się zatrudnieniem, gdzie nie poniosła-byś szkody, bawiąc się bądź w ofarną filantropię, bądź w chwiejną ekonomię socyalną, czy też w kojarzenie duchów w znaczeniu chrześcijańskiego braterstwa. I chciał-bym, abyś z owej

kwietnej oazy pożegnała zyczliwem spojrzeniem zasuważącą się w coraz gęstsze cienie nawę apostaty...

Jednak i to było-by dla mnie już zbytciem. Żadnych nici pomiędzy nawą myśli, a przemijającymi etapami życia wiązać nam nie należy, bo, płacząc się niepotrzebnie, stają się uciążliwym hamulcem, a zaczepione o serce, mogły-by ból sprawiać.

Ilekoć na horyzontach naszych zdarzyły się jakie tragedye, powód istniał zawsze w tem, że pionier nie zabrał z sobą w świat myśli serca, zupełnie pustego. Nie szkodzi to zwykłym rzemieślnikom wiedzy, którzy dziewięć dziesiątych licznego cechu uczonych składają, lecz dla szermierzy prawdziwych połowiczność taka staje się nie-szczęściem.

Mówiłaś mi, że istnieją piaski jałowe, pustynie bezludne, na których straszą Sfinksy, blade od żywiołowych zadumań. O! znam ja zadumę tych Sfinksów! Skłębiona fala życia sięga aż pod ich trony, ale one dalekie są od życia na całą odległość abstrakcyi. Z fal życia dolatuje ku nim gwar jednodniowych hasła i popędów, ale na białych ich rysach skamieniała niezgłębiona powaga oglądanej wieczności. One słyszą, jak nad zgiełkliwą falą szerokiem tchnieniem przelatuje nieskończoność czasu, i dla nich jednych czas ten nie płynie, bo z nieskończoności snuje się nieskończoność.

Tkwią one samotnie w nieskończoności, lecz na samotność się nie skarżą. Niema dla nich żadnych szczególnych zagadnień, bo analiza zaprowadziła ich od pytań doczesnych do jednej jedynej zagadki: pierwotności stworzenia. Fala życia, mącąca się u ich stóp, wie także o tej zagadce i zwie ją Bogiem, a niezdolna wznieść się ponad ubogi świat zmysłów, czyni ją podobną sobie. Ale w oczach tych bladawców jest ten pierwiastek pierwszy i ostatni, na całą odległość abstrakcyi większym od Boga ludzkości. Nie jest on tak ułomny, aby czuć rzeczy z człowiekiem, aby kochać i nienawidzić. Jest on brakiem początku i brakiem końca. Jest bytem samym w sobie, na całą odległość abstrakcyi bardziej nieskończonym od ziemskich, wiekuiszych piekieł i rajów. W niego wpatrzone Sfinksy nauczyły się samotności i nie znają w niej smutku i, kamienne jak Masynisa, nie chowają na dnie duszy żadnych pogrzebanych błękitów... Nie znają młodości ni starości, za niczem nie płaczą i niczego nie pragną, a dążą tylko do przyjęcia w najwyższym jej wyrazie prawdy swego Boga. Szukając wykładników tej prawdy, liczą ruchy atomów, wnikają w życie dusz na ziemi, mierzą zazębienia olbrzymich kołowrotów, na których wiruje świat.

I kiedy tak piorunami myśli chcą przemódz chaos zjawisk, rozwidniają się czasem przed nieruchomą ich żrenicą, w nagrodę za tru-

dy, tajemne bezmiary poezji nowej, wyższej, gigantycznej, na całą odległość abstrakcyi, większej od maluczkiej poezji człowieka. Z poezją taką, zanieconą w środowisku nieskończoności bytów, mocują się harde duchy Sfinksów, których skroni nie zaćmiła trwoga, a ust nie zhańbiła skarga....

Mam lat trzydzieści, a zdarzają mi się już chwile, w których odmyka się przede mną Walhalla poezji.

Tak „wre i kipi na wyżynach górskich potok mej młodości“ .

.....
Czy pożalowała-bys, kuzynko, dla mej biednej młodości, na kilka dni letnich, jednej pary aksamitnych oczu?

VIII.

Interlaken

Piovel I nasza wybrana dolina zapłynęła łzami. Jupiter Pluvius przykrył nas gęstym całunem chmur obfitych, wełnianych, pełzających tak nisko nad ziemią, że na ostrzach hotelowych wieżyczek zdają się odzierać ich sinawe szmaty. Z ziemi zaś dobywają się ustawiczne kłęby oparów i toczą się leniwie po łąkach, albo powolnym wzlotem nad szczyty drzew się wznoszą, gdzie wsiąkają w pułap deszczowych chmur. Alpy zniknęły bez śladu i nawet Mały Rugen zaledwie niewyraźną plamą za siatką deszczowych pyłów majaczy.

Z tem wszystkiem Interlaken wcale nie wygląda ponuro. Światło dzienne, chociaż przyćmione słotą, ma pozór raczej błękitny niż szary, a aleję ożywia zwykły ruch przyjezdnych turystów, którzy, oszukani w nadziei ujrzenia Jungfrau, wynagradzają sobie ten zawód widokiem wystaw sklepowych i wielojęzycznym tumultem.

Mieliśmy dziś jechać w góry. Wprawdzie przez nasyczone wilgocią powietrze dochodzi mię forsowny oddech lokomotyw, drapiących się zębatymi kołami na szczyty po stromem zboczu Schinige-Platte, atoli w gronie naszym nie znalazł się ani jeden tak gorący zwolennik podniebnej jazdy, aby nie dał się odstraszyć chłodem, deszczem i mgłami. Rozbiło się więc towarzystwo i każdy zapełnia czas, dzielący poranek od lunch'u, a luncheon od obiadu, jak umie najlepiej. Widziałem kilka pań naszych, uchodzących z głównej sali, wprost do smoking-roomu, i słyszałem od ojca, że mimożpory stosunkowo wczesnej, zapytywano go już o mnie. Ale zamarł dziś jakoś we mnie

cywilizacyjny appetitus societatis, stwierdzony, jak wiadomo, w naturze ludzkiej już przez Hugona Grocyusza, i zamiast słuchania szelestu wytwornych toalet, woląłem pozostać na mym balkonie, w bezpiecznym schronieniu przed nieprzyjemnościami słoty, aby skorzystać z nabytego prawa i znów chwil parę porozmawiać — z Białowieżą.

Jestem też dzisiaj w takim, dla wielu osób bardzo zwyczajnem, a dla mnie bardzo szczególnem, usposobieniu, że z kimś zaufanym albo życzliwym pomówić chciałbym o tem, co odczuwam i w czasach podobnego, jak obecne, otium, sobie uświadamiam. Sposobność do tego rodzaju rozmowy nie często się nadarza. Nie zawsze mamy przy sobie kogoś, z kim o wewnętrznych, uczuciowych drobnostkach mówićby można, nie zawsze też mamy ochotę. Dzisiejszą sposobność zawdzięczam serdecznemu ciepłu, które razem z głosem twoim dolatuje mnie z Krasowiec.

Otóż powiedzieć radbym przedewszystkiem, jak dalece miłym był mi twój pomysł, kuzynko, zbliżenia się do mnie.

Ucieszył mię i zaciekał ten fakt dziwny i niespodziewany, że kędyś, w okolicy świata tak odległej, ktoś osobiście mi nieznanym, a przytem tak wybitny i niezwykle świetny, jak Ty, Pani, interesował się mną i myślał o mnie również nieznanym i chyba tylko w Sfiukso-wem znaczeniu wzmianki godnym.

Więc kiedy ja, w zamknięciu pracowni swojej, pochłonięty gorączkową pracą myśli, starałem się z doświadczeń swych wydobyć kruszec poznania; tam na północy, w zaciszu leśnem, subtelny, a wielki umysł kobiecy towarzyszył mi niekiedy wyobraźnią w mrozach pracy i z przyjaźnem zajęciem śledził jej skutki, kruszec dobyty oglądał i życzył mi powodzenia... Więc mimo olbrzymiej różnicy naszych osobistych natur, naszych pojęć i pragnień, działalności i interesów, mimo największej różnicy, jaką kiedykolwiek umysł męski i kobiecy wykazać mogły, mimo też skrajnie odmiennych warunków życia i otoczenia, istniała pomiędzy nami jakaś niewidzialna spójnia i most napowietrzny łączył dwa przeciwne bieguny.

Tak, dwa przeciwne bieguny! Bo my dwoje uosobiamy je daleko wielostronniej, niż świat Krasowiecki i świat Granowskich, świat zachowawczej symbiozy z ludem na gruzach ojcowizny i błyskotliwy świat użycia, który—nie wiem dlaczego—czynisz światem moim. Oba te światy, choć w powierzchownych szczegółach odrębne, są całą siecią życiowych momentów powiązane z sobą i leżą obok siebie po jednej stronie bytu, podczas, gdy ja usunąłem się w hemisferę bezcielesnej myśli, jakkolwiek otaczają mię zwykle jedwabne szelesty sukien i chociaż sam używam rękawiczek. Nie idzie za tem, abym wezwa-

nia twego do dalszej rozmowy nie przyjął radośnie? Przeciwnie, mimo dzielących nas rozbieżności, chętnie zaieśniam ogniwo naszej przyjaźni; czuję bowiem w tej przyjaźni, wraz z tchnieniem ciepła twoich leśnych ostępów, kroplę tej rosy ożywczej, której mi życie nie daje za wiele; i dalej jeszcze idąc, chętnie czynił-bym z tej przyjaźni stosunek coraz zażywszy i więcej braterski, gdyby istota do mnie podobna zdolną była wogóle stać się komukolwiek bratem. Więc chętnie i wdzięcznie otwieram serce przed braterskiem „ty,” którego względem siebie używać mi pozwalasz.

Widzę na twarzy twej uśmiech szydery... „Otwieram serce...” Więc... serce! Tak; w godzinie szczerości,—nie pojmuję skąd przybyłej,—nasunął mi się ten wyraz niezuany w mowie Sfinksów, które serc nie znają, i nasunął mi się właśnie przy myśli o wielkim paragrafie istnienia, którem jest kochanie!

Słów napisanych nie przekreślam i, zbywając się wszelkiej dumnej oschłości, przyznam ci się w godzinie braterskiego zaufania, że na torach swego zawodu mam do walczenia z wadą, dziedziczną może i bezwinną, lecz znaczną, którą nieściśle i nieumiejętnie, raczej niejasno i po dyletancku określić-bym mógł jednym wyrazem „serce”.

Jeżeli chodzi tu rzeczywiście o wadę odziedziczoną, to otrzymałem ją chyba w spadku po matce. Jest to bezwątpienia stygmat znamienny naszego rodu. Jest on prawdopodobnie tą kroplą piołunu, o której twierdzisz, że w niemowlęctwie do warg naszych przysycha, a z warg przesącza się do duszy i życie nam zaprawia niesforeną gorczyzą. Byłby to zarazem jedyny punkt styczny, który mię po dziś dzień z wami łączy i po dziś dzień nie daje się usunąć.

W okresach pracy, gdy ogarnięty tworzeniem tonę cały w konstrukcyi metafizycznych wywodów, wzbijam się łatwo w pychę zawczesną i ludzę się przeświadczeniem, że się na szczytach myśli wywyżbił dawnej wady, i że zaczynam już rosnąć w prawdziwą wielkość. A później, niestety, najbliższe otium idące po pracy, najbliższe, przypadkowo doznane wrażenie, przekonywa mię ponownie o nieuleczalnej ułomności. Niechętnie o tem myślę i kryję się z tem przed światem, ale dziś, wyjątkowo, próbuję nie tać się z tą kresą, psującą mi jednolitość ducha i skarżę się przed tobą. I oto przykład jaskrawy! Czyż to, że się skarżę i że dobrowolnie ukracam przed tobą swój wzrost duchowy, nie dowodzi najsilniej tego dziedzicznego błędu?

Nie umiem nawet powiedzieć, jak mię to niedokształcenie psychiczne gniewa, jak mi przekadza, ile mi odkrada myśli, ile marnuje energii! Chwilami tracę zaufanie w hart własnej woli i mniemam, że ideału, ku któremu zmierzam, nie dosięgnę nigdy. Jakże inną powinna być młodość Sfinksów, mających chłodem rozumu zgłębić to,

co im się ustóp mąci odmętami bytu! Młodość dla pionków ludzkości, to huczne, farysowe loty w piekło Chamsinów lub kryształ eterów, z manekinami kochanek w ramionach, z gwiazdą melancholii na rozwianych włosach; lecz dla Sfinksów, to pora największej sprężystości władz poznawania i najobfitszej w plon pracy. W pamięci też ich młodość powinna pozostać li tylko nazwą tego okresu, w którym myśl najgłębiej rozświeca chaos ciemności.

Nie taką jest moja młodość! Na tle jej czernieją plamy szkodliwych rozprzężeń.

Wada serca czyni w abstrakcyjnych robotach niczem nie zapełnione wyręby. Wprowadza ona w zeszeregowane myśli niekarność i chciała-by je węzłem rozkoszy, tęsknoty, czy żalu przywiązać do znikomej ziemi. Jakże boleśnie śmiesznym byłby Sfinks, gdyby przy sprawdzaniu podwalin i początków swej wiedzy, natrafiwszy na okres nazywany młodością, westchnął za nim z tęsknotą, jak Silvio Pellico w swej cierpkiej elegii:

„Lamento sui fuggiti anni primieri...”

Jestem lichym uczonym. Mam duszę pełną fajerwerków. Wybuchają z niej one częstokroć tak ognistą strugą, że świeżo zdobyte horyzonty gasną w grubych cieniach, a na arenę życia rzucają takie blaski mamiące, że serce chciało-by opaść na jej kwiaty, i przyłgnąć do nich, i kochać...

Trzeba ją nieraz odrywać przemocą, krępować i wiązać; a wysiłki takie męczą i drażnią nieźmiernie. Złamawszy wreszcie bunt serca, pogrążam się znowu w pracy, aż do zupełnego wyczerpania, zaś wysiłki te, bunty i wysiłki umysłu do ostatecznych granic składają się na jedną ogólną barwę, cechującą mię w stosunkach ze światem, bardzo zbliżoną do apatii...

.

W tej chwili spostrzegam, że w czasie, gdy mówiłem do ciebie, kuzynko, pogoda polepszyła się znacznie.

Deszcz prawie ustał, mgły na łąkach gdzieś się rozpierzchnęły, lub przejrzyściemi paśemkami tu i owdzie, jak pajęczyna, snują się po murawie, w ołowianym całunie nieba porobiły się liczne wyrwy, przez które błękit oczyszczony przeziiera, a naprzeciw mego stanowiska, w tem właśnie miejscu, gdzie wznosi się piramida śnieżno białej Jung-

fran, o dwie boczne kondygnacye gór oparła się tryumfalnym łukiem tęcza, „na wyplakanej rozwieszona chmurze“.

Dostrzegam nawet wśród kotłujących na horyzoncie coraz jaśniejszych oparów miejsca bielsze jeszcze i jeszcze świetniej jasne: są to fragmenty odkrytych lodowców. Jawią się one tak wysoko, że zdawać-by się mogło rzeczą nieprawdopodobną, aby do tych wysokości wznosiły się istotnie ciężkie granity ziemskie i oko bierze nieraz ściany zamczysk spiętrzonych z lodu za fantastyczny sztafaż atmosfery.

Spotrzegam jednocześnie, że w alei czyni się coraz gwarniej i weselej, bo przez otwory w wyplakanych chmurach wpadają ukośne snopy słonecznych promieni, a słońce, tak samo, jak serce, potrzebne jest ludziom do zadowolenia i do rzeźwości.

Ten ruch powszechny, blaski letniej pogody, klójące się z niedobitkami liliowych obłoków, plamy słoneczne, połamane w deszcz złoty na osypanej rosą zieleni, świeżość bijąca z trawników i z puszystych lasów, co dymią kłębamii pary na stokach, ta mieszanina prądów, światła, linii i żywiołów wypełnia nową i czarownie piękną treścią rozwiniętą przede mną krajobraz. Zachwyca on każdego i każdy zachwyca się nim inaczej. Większość widzów zwraca się oczywiście ku wypływającym z mglistej topieli lodowcom, gdyż one stanowią największą lokalną sensację i w czerwonych książkach napisać jest, że one są najpiękniejsze.

Co do mnie, widziałem już tyle śniegów i lodów, skalnych i podniebnych, w srebrze księżycy i w rumieńcach zachodu, w szafirach południa i zorzach północy, że oczy moje zatrzymują się dziś chętniej na skromniejszym widoku pól w części już zżętych i łąk świeżo skoszonych, na niskim terenie, rozciągającym się u podnóża góry, od płaskich brzegów Bryenckiego jeziora, aż ku Wilderswyl, wioski przypartej do skały i wylotu lauterbruńskiej doliny. Tam w bezpośrednim sąsiedztwie z przepychem międzynarodowych hoteli, odbywają się sprawy maluczkich pracowników ziemi. Na łąkach odciętych od nas wąską linią kolejowego toru, pstrzą się postacie szwajcarskich wieśniaków i pachnie mokre siano, rozwieszane na gałęzistych żerdziach...

.

Apatya moja była-by skończenie poprawną, gdyby była apatyą zupełną, to znaczy, gdyby była wyrazem obojętności przedmiotowej dla zjawisk świata. Ale tak wcale nie jest. Ma ona silną przymieszkę

jakiegoś niesmaku i zniechęcenia, prowadzącą do uczucia tęsknoty za jakimś stanem bytu odmiennym, przedewszystkiem odmiennym i prostym.

Nie wiem dla czego teraz właśnie, kiedy znajduję się na balkonie pałacu o kilkuset pokojach, pragnął-bym oprzeć się o wiązkę soczystego siana i przymknąć oczy, a obok mnie, zamiast strojnej, o zalotnie zharmonizowanych barwach sukien i uperfumowanej skórze, niechby przechodziła świeża, niewinna, biała, jak narcyz, dziewczeczka z Soplicowego dworu, z tklivością w oczach. Wokoło musiał-by być spokój, a w powietrzu zapach narcyzów, ściętego siana i wilgotnej ziemi.

Pragnę w tej chwili jędrnej prostoty życia. Daleki widok łąk skoszonych nęci mnie zapachem poznaczonym niegdyś w dzieciństwie i tyle w tej chwili marzę, niejasno i głucho tęsknię, że gdybym kiedyś, w dalekiej przyszłości, znalazł się znów na tej hotelowej tarasie i popatrzał na szmaragdowe łąki, rozesłane płaskim kobiercem między szybą jeziora a domkami Wilderswylu, uczuł-bym ochotę powtórzyć tęskne słowa Zaleskiego:

„Młodości moja, niegdyś bujna trawo,
Jakże zapachłaś mi dziś zwiędłym sianem!”

.

Jak z tego widzisz, kuzynko, nietylko miewam czasem sielankowe gusta, ale popierać je nawet umiem cytatami z naszego Parnasu, który przechowuję w komplecie jako pamiątkę po matce. W formie takich nastrojów objawia się żywotność zawartych w organizmie ludzkim pierwotnych instynktów. Są one składnikami materyjalnej natury człowieka, ociągają myśli nasze ku ziemi, ołowiem ciążą na lotności ducha i przykuwają nas do paragrafu kodeksu, którego interpretacją najszerszą i nieskończoną są ruchy atomów i ruchy brył kosmicznych. Właściwie składa się kodeks bytu z jednego tylko paragrafu, a jest nim sama chęć bytu, popęd samozachowawczy. Rzadko się zdarza, że pęd geniuszu ściiera się z nim zwycięsko i depce po nim jak zaświatowy archanioł, przecząc jego istnieniu. „Jakże-by istnieć mogła chęć bytu?—wołał z samotności swej Zarathustra;—to, czego niema, nie może bytu pożądać, a to co już jest, skądże-by brało ochotę trwać jeszcze dłużej?” Mimo to paragraf bytu istnieje i w lakoniźmie swym

jest może jedyną realnością wypełniającą świat od brzegu do brzegu. Posłuszną jest mu kometa śpiesząca w wieczność po nieskończonych parabolach, podlega mu zawieszona w kropli wilgoci ameba, której drobina jest tak samo konieczną, jak pióropusz lecący przez wszechświat komety, i świadczy o nim człowiek, jako najbardziej zawila wiązka atomów.

Odpowiednio do swej zawilej budowy świadczy o nim człowiek w sposób zawilszy i rozmaitszy aniżeli ameba; rozszczepił go w głębi duszy na tysiąc chromatycznych błysków i każdy z tych błysków ochrzcił osobnem imieniem. Mówi więc o miłości ku rodzicom, ku przodkom, ku przeszłości, o miłości braterskiej i szczepowej, o miłości z wyborn, którą wielbi pieśnią nad pieśniami, stwarza sobie pojęcia władztw potężnych, przed którymi się korzy, wyznaje kulty śmiertelnych bohaterów i bóstw nieśmiertelnych, a wszystko to są środki mające być jego na ziemi utrwalić. I dopiero na najwyższym stopniu historycznego i indywidualnego rozwoju dochodzi duch jego do uświadomienia tej epokowej prawdy, że miłości jego, bóstwai wiary, to klębki owych nici, po których być wysnuł się z łona przedbytu; poznawszy zaś w nich nic żywiołową, która nas sprzęga z całokształtem świata i wolę naszą zniża do niewolniczego ruchu wtrąconych w ruch chaosów, pragnie się wyzwolić z więzów, zapanować nad biernym chaosem i własną potęgą ruchy jego rozmierzać.

Jeżeliś mię pytała: czy można wiedzą rozmierzyć świat od końca do końca i ścigać nią przemiany, koleje i pożytki wszystkiego, co na ziemi powstaje i znika, to znaleźć możesz odpowiedź w tem najwyższem prawie duchowego dążenia. Jeszcze nam do wytknięcia tej mety trudno i daleko. Czyżbyśmy się mieli jej dla tego wyrzekać? Ten geniuszowy rozmach należy do przyszłości; kiedy nie będzie już, jak Faros, palić się na samotnych cyplach myśli, ale z psychicznych ognisk garstki wybrańców przeleje się na tłumy. A dzisiaj? Czy jest on szaleństwem? Zaprawdę nie, bo w najtajniejszej swej naturze zawiera w sobie również wyraz wszechświatowej zachowawczej idei, rozprężającej się tu przed siebie i przez siebie w wieczność.

Tak ideę tę rozumiem, tak ją znam i taką ją w sobie czuję. Nie mogę więc giąć się pod jarzmo popędów, które człowiek w walce o byt na ziemi sam w sobie i sam dla siebie wyhodował, jeżeli mam nad przeszłością i nad przyszłością tego rozwoju, nad jego alfą i omegą zapanować. Niewolno mi czuć, jak tłumy, skoro nie pojmuję, jak tłumy. Gdybym, ulegając znużeniu, wziął naręcz siana pod głowę, myśl z czoła spędził i żyć spróbował, jak żyli przodkowie, gdybym wszystkimi siłami duszy przyrósł do ich gleby, zespolił się z pracownicą, którą mi ta gleba wydała, i świecił wszystko przeszłe

i przyszłe, co z tą glebą się wiąże, ażeby terażniejszości i potomności posiadanie jej zapewnić, gdybym zgasił w duszy zapalone pochodnie, oświetlające mi drogę na szczyty, czyżbym, poczynając tak sobie, nie zdradził tamtych ideałów o cały wszechświat większych i nie stał się hamulcem postępu, który mógł-by być we mnie uczynić nowy krok naprzód?

Na tym niskim, więc naturalnym i bardzo ludzkim, ale niskim poziomie rozwojowych instynktów, pleniących się w posłusznej naturze w myśl wszechwładnego paragrafu istnienia, stoisz i ty, kuzynko, na podobieństwo rośliny, która rozkorzenia się głęboko w gruncie rodzinnym, i jak twór każdy trzymasz się swego uroczyska, aby nie stracić gotowych pokarmów bytu. Nie zachwiała twych instynktów ani otwarta księga historii, pełna epokowych doświadczeń, ani stos książek różnych, którym poświęciłaś na próżno tyle pięknych godzin młodości. Z nich wynikła twoja zwięzła religia, streszczająca się w dwu krótkich, z fanatycznym uniesieniem powtarzanych słowach: kocham i powinnam. To znaczy: obowiązek i serce. Dwie cnoty, dwie lzy, dwie nadzieje, po całej ziemi od wieków rozgłaszane, a ja miałbym ochotę dodać, że to, zaiste, niewiele.

Jako kobiecie, dostało ci się w myśl kodeksu istnienia serce wielkie i gorące, wraz z ogromną potrzebą kochania. Kiedy zaś torę twego życia tak się jakoś zgmatwały, że kochać prawdziwie nie dałaś mu, czy nie mogłaś, wtedy otwartym kielichem zwróciło się biedne serce ku wszystkiemu, co miałaś najbliżej: po miłość i słodycz ofiary. Był tam najbliżej dom własny, gdzie echowem wspomnieniem rozlegał się głos czczonego ojca, którego nie stało, i kochanego brata, co odszedł i nie powrócił; był lud, związany z domem osobami piastunki, domowników i sąsiadów; była ziemia, przesłonią mgłą smutków niezgłębionych; była jej przeszłość obfita w złote glo-rye, w krwawe płacze i pieśni rapsodów; była wreszcie przyszłość tej ziemi nieznana, bo w zupełności zakryta kirem. To wszystko wetchnęło serce twoje w kielich daremnej tęsknoty i, oszołomione napojem, uwierzyło w dogmat miłości i obowiązku. Kocha więc, poświęca się, płonie ofiarą i -- uwodzi się złudzeniem szczęścia. Weź w rękę harfę i tonami jej opiewaj swe złudne eklogi! Weź harfę — śpiewaj!

Dom, kraj, lud, przeszłość i wiara w niebo, czyli w przyszłość, taka jest mniej więcej geneza miłości i obowiązku, wypełniających dotąd twoje życie. Działalność, która z tych pierwiastków wypływa, da się podciągnąć pod różne kategorie altruizmu, filantropii, pracy społecznej i wszelakich jej odmian. Pojęcia te cenione są powszechnie bardzo wysoko, jako dodatnie czynniki w ogólnej naszej symbio-

zie i wiele już powiedzieli i napisali o nich politycy, kapłani i wszyscy ci, którzy nie opuścili dotychczas doktryn, uważających człowieka za cel i koronę świata.

Z poziomu tego stanowiska rzuciłaś, kuzynko, uwagę, że nie jestem prawdopodobnie propagatorem prac społecznych; jeżeli masz pod tym względem jakiekolwiek wątpliwości, to gotów jestem dać ci bezpośrednią odpowiedź, że w rzeczy samej osobiście nie jestem ich propagatorem. Znam pewne stopnie czasu i rozstrzeni, wobec których ludzkość, mrowiąca się przez czas pewien na globie i wszystkie interesy jej bytu maleją do takich iskierok martwych i bladych, że w płomiennych jutrzniach poznania giną mi z oczu bez śladu. Znam zagadnienia tak olbrzymiej miary, że elementarny problemat Budników, ścinających białowieskie sosny i zbierających zboże na krasowickich polach, przestaje dla mnie być problematem.

Jakże-by mógł zastanawiać mię istotą swoją litewski zagrodnik, drzemiący w cieniu dębowym, jeżeli w twojej prześlicznej duszy czytam, jak w rozwarłej karcie, obdzieram po kolei wszystkie warstwy smętnego palimpsestu i znam go prawie już do dna? I widzę na tem dnie harfę złotą, operloną łożami! Weź do rąk harfę, śpiewaj!

A zresztą, altruizm twój ma, nawet na ziemską miarę, nader ciasną granicę, jak to przyznałaś sama. Granicą jest mu rodzinna niwa. Przyznałaś sama, że na obcej ziemi nie zdołała-byś z takim samym zapalem oddawać się pracom społecznym, które prowadzisz przez obowiązek i serce. I jest w tem słuszność. W tej właściwości rozumiem cię również aż do dna. Czujesz i działasz w myśl bezpośrednich, samozachowawczych popędów, których jesteś biernym wykładnikiem. Ciasny interes lokalny i plemienny każe nam trzymać się odziedziczonego terenu i zajmować się nim całkowicie w odosobnieniu i wyłączości od innych.

Jest to konkurencya miejsca i chleba, które w formie hasel idealnych i górnych niosą na swych sztandarach wszystkie narody i które znają wszystkie ziemskie stworzenia.

Ten sam instynkt kieruje lisem, gdy wypiera współzawodników z wąwozu, gdzie wykopał swą jamę, ludem sosen, gdy zwartą falangą zagarnia coraz dalsze ugory, trując gradem igieł słabsze, też życia spragnione, roślinki. Różnica pomiędzy ekskluzywnością narodów, a ekskluzywnością roślin i zwierząt zachodzi w tem tylko, że w państwie niższych tworów chęć bytu wypowiada się przed uchem myśliciela z całą lapidarnością pierwotnego stylu, a w życiu narodów przystraja się migotliwym kramem dodatków i wyobrażeń, które charakteryzują człowieka, jako *animal poeticum* i *religiosum*. Najwybitniejszą

rolę wśród tych upiększeń gra wspomniana już miłość przeszłości miejscowej i plemiennej. Duch przecież silny nie obraca twarzy na przeszłość, ale patrzy w przyszłość, dokąd rozwój go wiedzie, i otrząsa z siebie brzemie dawnych pyłów, aby mu stóp nie obciążały. Duch silny nie dba o przeszłość, z której wyszedł, lecz obejmuje ją dalej wstecz, niżeli na kilkadziesiąt lub kilkaset pokoleń, stanowiących historię jego narodu, i wie, że węzły pokrewieństwa łączą go nie tylko z hordami Azji, od których pochodzi, ale i z ludem sosen, zarastających puszcze zwartą falangą, i z jądrem granitów, które skamieniały w urwistą falę Alp, wyrzuconą nad chmury.

Podobnie, jak nimbem rozokolonym nad mogiłą czasów ubiegłych, krzepi się człowiek, w bycie swym terazniejszym zagrożony, snami o szczęściu, które jego, lub jego potomków czeka w przyszłości. Nadzieja zgromienia wrogów gromem sprawiedliwości i dojścia do upragnionych celów podwaja siły jego w zapasach z losem, pomnaża odporność i utrzymuje w cnocie, hartującej mu organizm. Nieprzewyciężona chęć bytu umożliwia mu wiarę w mistykę zaświatowej pomocy i służy zarówno skutecznie, jak orłom szpony, lub jak głęboki korzeń roślinie, zwłaszcza jeżeli z pomocą pośpieszy siostrzyca poezya.

Ona także wyłoniła się z zamierchów przez kombinację sił biernych i martwych, jako potężna dźwignia zachowawcza, bo umieszczając zjawiska świata wśród ogni czarnoksięskich, budzi nadzieję i pokrzepia siły. W magicznych jej blaskach błękit przyszłości staje się coraz błękitniejszym, a pokolenia narodu nabierają podobieństwa do stad żórawich, roztopiających się w coraz dalszych i czystszych jutrzenkach.

I ty, Pani, karmisz się chlebem mistyki i poezyi; idziesz na ofiarę i chciała byś być żórawiem ulatującym z wyciągniętą szyją w lazury; lecz czemuż, tęskniąc za lotnością ptaków i wznosząc ręce ku rozwiniętym na niebie ich girlandom, nie pytasz: „gdzie wy lecicie, mewy?” Dokąd zmierzają mewy, łabędzie, żórawie jednostek i pokoleń? kędy ich cel i koniec? Spróbuj zastanowić się nad tem. Sam mówiąc do ciebie nazwałem się apostatą. Lecz na czymże apostazya moja polega? Oto na tem, że nie mogę ci wskazać żadnych Wysp Błogosławionych, o których czytałaś w Plutarchu, ani żadnego świata gwiazdowego, w którym-by mogło odżyć to, co rozbiło się na ziemi, a opowiadać umiem tylko o żelaznej konieczności bytu, która drży w falach eteru, a nas ludzi wychowała drogą przypadku i martwej selekcji w ten sposób, że z tęcz i dźwięków, odbitych w nas przez zmysły, budujemy sobie fantomy cnót i prawd, bóstw i obowiązków.

Łatwo zrozumieć, że za cnotę uważa etyka każdy czyn w zbiorowej walce o byt pożyteczny, a za grzech uznaje każdy czyn w walce zachowawczej szkodliwy; a że w każdym okresie i u każdego ludu w miarę zmiany stosunków muszą się i zasady utylitarne zmieniać, więc w każdym okresie i u każdego narodu co innego uchodzi za cnotę, co innego za grzech.

Jednakże ludzie tak są zwykle pochłonięci ważną sprawą życia, że wzrok ich staje się krótki i nie są w stanie ocenić należycie owej względności swych etycznych przykazań. Dają oni swym ideałom użyteczności byt nieśmiertelny, dają im głos sumienia i w imię ich ścierają się ze sobą słowem i orężem. Despotyzm natury działa tu tak silnie, że w poszczególnych wypadkach rozmija się pozornie ze swym celem, gdyż jednostki najuporniejsze cenią owe baśnie „wyżej nad szczęście“ i w obronie ich oddają chętnie życie. Egoizm tego popędu jest tak potężny, że niekiedy śmierć przybiera dla nich postać najwyszukańszej rozkoszy.

Flagelanci krwawią swe ciało biczami, męczennik modli się do Boga o śmierć z ręki kata, Leonidas umarł-by ze wstydu, gdyby mu nie było danem paść trupem pod Termopilami w obronie ojczyzny. I nikomu z was, fanatyków zaparcia i ofiary, na myśl nie przychodzi, że nurzacie się w najwyłączniejszym egoizmie stworzenia, dla którego istnieje jedno tylko prawo: utrzymanie rodu swego na ziemi.

Nie żałuję słów ostrych, ani obrazów skrajnych, aby ci tę niewzruszoną prawdę przywieść przed oczy, że ty, apostołka miłości i obowiązku, i świat, który się bawi i błyszczy, że ty samotnie cierpiąca i smutna, i sfera uperfumowanych wilków,—jak uprzejmie tutajszych moich znajomych nazywasz—jednym jesteście posłuszni instynktom i na jednym stoicie biegunie.

O tej prawdzie pragnął-bym przekonać cię koniecznie i nie zamknę swej apostrofy, nie zwróciwszy jeszcze uwagi na błędne pojęcia twe o rozwojowym postępie ludzkości. Powiadasz, że ona idzie naprzód, że wstępuje na szczeble coraz wyższe, coraz bliższe boskiego pierwowzoru. Nie umiał-bym na razie rozstrzygnąć stanowczo, czy ludzkość idzie jeszcze naprzód, albo też na niebosklonie istnienia zakreśla już łuk zachodni? Prawdopodobnie zdąży jeszcze do swego zenitu. Lecz jakkolwiekby się ta rzecz miała, traci ten szczegół wszelkie znaczenie, jeżeli go umieścimy wobec ogromu ewolucji powszechnej. Byt realizuje się w rytmach nieskończonych, przejawia ruchem wzdymającej się i opadającej fali. Wielkość fal bywa różną: są fale strumieni, rzek, oceanów, narodów, ludzkości i światów. Na nocnem niebie możemy owe największe fale oglądać bezpośrednio.

Wśród drogi mlecznej rozsiane są plamki mgieł sinych, z których wyjdą systemy nowych słońc i trabantów. Widzimy bryły materii, miotane jeszcze chaosem dziewiczych pożarów, widzimy planety ostygłe, owiane tchem atmosfery, jak ziemia nasza, i mamy tuż obok siebie księżyc — wypalony, umarły i cichy.

Patrz na księżyc! Miał on swój zenit, przeżył tragedię zachodu, jest teraz w momencie spokoju. Ten sam los, gwoli symetrii kosmicznych ruchów, spotka i nas na ziemi, a kiedy? Za miliard stuleci, czy za godzinę, to wobec kosmicznych wymiarów szczególnie błahy i obojętny. Wiemy, że ziemia wymrze. Wiemy, że naprzód zetrze z niej palec czasu pleśń, która się zwie ludzkością, a później pleśni niższe i najniższe, te na ostatku, co zróżnicowały się pierwsze z wiatrów, gliny i wody.

I gdyby cię ktoś w tej odległej przyszłości wskrzesił i powrócił na biegun, do którego wy, ziemianie, przyrośliście umysłem i sercem, jakież punkty oparcia dla myśli i woli znalazła-byś na jego księżycowej ruinie? Byłabyś, jak Faustowski Euforyon, dziecię ziemskiego piękna, o którym nawet ciemna Forkyada musiała przyznać, że krążyły mu w żyłach anielskie melodie; unicestwiła-by cię realność ostateczna bytu i tylko jakiś twój strzępek jutrenkowy zamigotał-by przez moment na nieżywym słońcu. Albo rozwiała-byś się jak ukraiński Eolion, o którym nawet łabędzie nie umiały wyśpiewać, kiedy wraz z harfą swoją popłynął.

Biegun, na którym stanęła myśl moja, leży gdzieindziej. Biegun mój wyższy jest nad początki, rozkwity i zgony. Napęnia go melodia, w której każdy rytm i akord składają falowe rozbłyski światów. Czyż znalazł-bym w języku śmiertelnych Euforyonów dość środków do opisania horyzontów, wśród jakich melodie te rozlegać się mogą? Nie trzeba zresztą określać ich ubogim językiem ludzkim, aby zrozumieć, że kto raz spojrzał w tę zamieć gwiazd roziskrzonych, tego myśl nie znajdzie już spokoju na ziemi i wiecznie wydierać się będzie — ad astral

Jeżeli naturę i wielkość tych gwiazd najwyższych pojmujesz, a jeżeli nie pojmujesz, to przynajmniej przeczuwasz, nie będziesz się dziwiła, że nic mię tu na waszym świecie zatrzymywać naprawdę i na długo nie może i niepowinno. Zrozumiesz chyba, że słaby duch ludzki, wycze pujać się niekiedy na sam widok takich horyzontów prawie aż do omdlenia, dbać musi o każdy promień swej siły, i zrozumiesz jak złe są dla niego wszystkie manowce upodobań i nastrojów. A jestem do nich skory. Ciągłe i ciągle otwiera mi się serce na ziemskie barwy i głosy, i chociaż nic nie kocham prawdziwie, co-

raz bardziej lękać się zaczynam, że nigdy nie oduczę się — pragnąć kochania.

Drobnostka to jest, ale świeżo doświadczyłem w tym kierunku nieznosnej dla mnie rozterki, której sam objaw już mię zaniepokoił. Miałem wczoraj podczas wieczornego koncertu w kursaalu spotkanie, które poruszyło mię w sposób niespodziany. Znalazłem się w sąsiedztwie młodziutkiej Angielki, przypatrującej się w gronie kilku osób rulecie, a powodem nagłego wrażenia było wielkie podobieństwo jej do pewnej, młodziutkiej także, Polki, którą poznałem w Szwajcaryi zeszłego lata. Spędziłem z nią niedaleko stąd, bo w Giesbach, nad Bryenckiem jeziorem, u stóp wspaniałego wodospadu, parę tygodni i znajomość tę usiłowałem pogrzebać w piasku zapomnienia, gdy oto wczoraj, zmylony podobieństwem, o mało rąk ku niej ruchem instyktowym nie wyciągnąłem, i potrzebowałem dopiero pewnego zebrania myśli, aby sobie uprzytomnić, że nie mogła to być ona... Angielkę rychło straciłem w tłumie z oczu, ale wrażenie tego spotkania trwa jeszcze i ustawicznie powraca mi na myśl Giesbach... Otóż są ekloga i elegia, pnące się na sfinksowy tron apostaty!..

Kto wie, czy gdybym poznał Krasowce, nie począł-bym potem tęsknić do tamtejszych lip i świerków, szelestów zbóż i szumów sosen, nawet do zagrobników, drzemiących w dębowych cieniach? Na razie, przesyłam pozdrowienie wszystkiemu, co wzrasta, kwitnie, myśli, cierpi w Krasowcach, a mimo grożącego niebezpieczeństwa nowej eklogi, proszę o rychłe echo z tych dalekich samotni, o echo, które na tle interlackiego sezonu i jego poliglotycznej pstrocizny wydaje mi się czemś prawie legendowem... O! weź do rąk harfę!

IX.

Krasowce.

Przyjmuję harfę, którą mi podajesz, i w dłoniach wzniesionych wystawiam ją na wiatry, na te wiatry lekkie, szemrzące i wonne, które od korony do korony kwiatu i od kielicha do kielicha serca, roznoszą po świecie rozpylone brylanty i winne grona! Niech zagrają na niej te skrzydlate posły, co, jak podczaszowie uczt starożytnych, jak owi paziowie, oblani woniami i złotemi włosy, nalewają czary biesiadników bytu, ogniem z Falernu i miodem z Hymetu! Niech na

te struny, które mi podałeś, opadną gibkie gałęzie grabowe, niech posypią się na nie granaty dojrzałych jeżyn, niech je obejmie upał lipcowego południa....

Tam, gdzie z różowych margli wyrasta las najobfitszy w liście, na bogatych w liść najrozmaitszy *Hrudac*!, upalnie dziś było, sennie, duszno, potno na drzewach od roztopiających się wonności, a na trawach od wysypujących się z dojrzałych wymion roślinnych nasion perłowych i srebrnych. Na niskich krzakach połyskiwały granaty jeżynowych jagód, gromadami kwitnące epilobie brunatność pni plamiły fioletową purpurą—i tylko te kolory, wraz z wyekscytowaniami od gorąca woniami czuwały, igrając ze światłem słońca, rozbitem na miliardy migotliwych drobin. Zresztą, wszystko było sennie, albo i uśpione.

Sennie z gałęzi zwieszały się liście nieruchome i w kolistą utkaną pomiędzy gałęzmi pajęczynie spał pająk, złotym punktem spinając promienie srebrnego koła. W podniebnych gniazdach, na morzu zieleni, z powieką, na krwawe źrenice spuszczoną, usnęły krogulce; posnęły wiewiórki w dziuplach drzew i sarny wdzięcznie wyciągnęły się na wrzosach. Usnęły w porosty drzew uplatane gąsienice wełniste i spały do wiotkich trzmielin uczepione motyle ze złożonemi jak do pacierza skrzydły. Za ścianami, zbudowanemi z unerwionych tkanek roślinnych, stały wstrzymane w locie wiatry i, głowy szemrzące do szczelin przykładając, podsłuchiwały, czy porusza się cokolwiek w świątyni upału i milczenia? Czy cokolwiek tam mówi, oddycha? Nic nie poruszało się, nic nie mówiło, nawet nie szeptało, nawet nie zdawało się oddychać. Tylko rozszalałe wonie lały się w par spocony i rozproszone kolory tańczyły z rozpylonemi blaskami.

Czyś kiedykolwiek zanurzył, jak długie gałęzie grabu z trzcinową giętkością kładną się na sąsiednie drzewa, przed krokami przechodnia splatając zapory sprężyste i odporne? Rozgarnęłam gałęzie grabu sprężyste, długie, pełne wielkiego, chłodnego liścia, i zaledwie wyjrzałam przez nie — stanęłam. Stałam w jeżynach i chmielach, które miliardem swych niewidzialnych haczyków oczepiły mię aż do ramion, i tylko nad głową podnosząc feston ciężkiej kotary — patrzałam.

Polana nieduża, okrągłuteńka, obramowana ciemnym lasem, leżała pod płachtą słonecznego światła w gęstej sierści dojrzałego żyta—i na las otwierała się szczeliną wąskiej drogi, pomiędzy dwiema ścianami niebotycznymi wyciągniętej linią prościuteńką, w nieścignioną dal. U brzegu żyta stała para ludzi: wiejski parobczak i wiejska dziewczyna, do kolan w bujnych ziołach, tak, jak ja byłam do ramion w jeżynach i chmielach. Poznałam ich: prawnuki tych kolonis-

tów-pionierów, których przed półtora stuleciem w bezludnych podówczas prągęstwiach osiedlił śmiały reformator finansista, aby potężnymi ramiony czynili w nich wyręby dla publicznego przemysłu i bogactwa.

Stali niedaleko mnie, bardzo blisko siebie, i łatwo było odgadnąć, że, spotkawszy się w drodze do pracy, ze spotkania tego uczynili sobie krótkie, promienne święto. Ona jedną ręką opuszczając sierp na jaskrawą odzież, palcami drugiej dotykała wysokiego kłosa żyta; on, z suchymi liniami grabi nad ramieniem splótł ręce na ich drzewcu, i tak stali, nie mówiąc nic, nie czyniąc poruszenia najmniejszego, a tylko oczy w oczach sobie zatapiając. Na poważnie złożonych ich wargach nie było uśmiechów, po czołach gładkich nie przebiegało żadne drgnienie i nieruchome postacie te, z nieruchomymi profilami, tylko magnesem od źrenic do źrenic przeciągniętym skute, uwypuklały się na tle złotego żyta i ciemnego lasu, jak posagi, wyobrażające czysty i uroczysty moment szczęścia. Biła od nich uroczystość zaręczyn, dokonywanych na łonie natury gorącym i cichym; byli, jak ona, gorący i cisi, a nad nimi, nad skamieniałymi w złotym skwarze drzewami, kłosami, ziołami, zdawało się unosić echo sabeistycznej pieśni o słońcu:

Cicho, cicho jechał Bóg przez góry i doliny,
Nie zadrzało przed nim ani żyto w kwiecie,
Ani oblicze oracza...

Zadrzały w wewnętrznym słońcu usta dziewczyny i jak koralowa muszla rozchyliły się nad rzędem pereł. Wtedy i on uśmiechnął się także, zdjął z żyta jej rękę i, trzymając się za ręce, poszli żytem, po miedzy, na wąską, prostą drogę, pomiędzy niebotycznymi ścianami, wśród których długo jeszcze stalowa iskra sierpu pobłyskiwała na tle czerwonej odzieży to silniej, to słabiej, aż w odległości zgasła...

Nigdy jeszcze mój lotnonogi Avis nie szedł tak powoli, tak powoli, jak gdy szeroką, sklepioną nawą leśną, powracałam z *Hrud*, bogatych w liście... „Wolniej, Avisie, wolniej! prosiłam i marzyłam o jakiejś łodzi tak cichej, jak widmo, która-by mię po jakiejś toni, tak świetlanej, jak księżycowe promienie, niosła powoli, powoli, bez ruchu wiosel i bez plusku fali, ku jakimś nieznanym zaświatom, do jakichś „ogrodów kwietnych“, „grót lazurowych i różanych“....

Ach! Te ogrody kwietne! Ach, te groty lazurowe i różane! Z ironicznym zgrzytem rzeczywistość żelazna ociera się o księżycowe srebro marzeń! Fata morgany przewlekają się po ziemi, aby sto-

pom pracowników podrzucać kamienie obraży! Uludy, które niekiedy sprawdzają się pośród Budników, lecz im wyżej, im wyżej leci duch człowieka, tem szybciej pierzchają one od niego, daleko, aż przepadają na mglistych cmentarzach niesprawdzonych snów

Jakże dumnym jesteś, kuzynie! Gdyby sto Pelionów na stu Ossach postawić, jeszcze-by ich wysokość nie dorównała twojej dumie! Więc mniemasz, że znajdujesz się poza ludzkością, ponad ludzkością, rozwiązany ze ślubów braterstwa, któremi wiązuje ludzi krwawa stula wspólnych cierpień i złota obrączka wspólnych wysokich przeznaczeń? To mię zadziwia. Jam zawsze mniemała, że im w większych wielkościach człowiek tkwi wzrokiem i duszą, tem czuje się mniejszym, że im uporczywiej siły swe wspinają ku słońcom nieśmiertelnym, tem jaśniej spostrzega, że sam jest przed niemi jako cień, jako sługa i jako pokorny czciciel.

I niepotrzebnie wysmiewasz zdanie: „błogosławieni ubodzy w duchu“, bo pospolicie jest ono tylko tłómaczonem opacznie. W rozumieniu jego istotnem „ubogim w duchu“ nie jest ten, któremu brak wszelkiej skarbnicy duchowej, ale ten, który, jakimkolwiek było-by jego bogactwo, samego siebie nie poczytuje za drogocenny klejnot w skarbnicy świata. Być „ubogim w duchu“ wszakże to znaczy czuć się małym wobec rozpoznanych poza sobą wielkości i czuć się małym razem z małymi, bez uwagi na choćby nieźmierną nad nimi wyższość swego wzrostu. To nietylko wzniosłe, ale i bardzo rozsądne, bo, do prawdy, jakaż to jest ta nasza wielkość, choćby największa, i jakież to są te nasze bogactwa, choćby najwspanialsze, w obliczu tych mąk, tych nędz i tych znikomości, których nieskończoność każdy z nas sam w sobie nosi?

Ty, kuzynie, patrzysz oko w oko w nieskończoność materyi, a co czynisz z duchem? Bo te wszystkie słońca, gwiazdy, meteory, komety, mleczne drogi, te wszystkie wiązki atomów, które od ameby, zawieszanej w kropli wilgoci, do światowej elegantki, kołyszącej się w takt muzyki na ramionach światowego eleganta, rządzące się jedynem prawem bytu i jego sytości, to tylko bryły materyi w różne formy i wielkości urobione na niepojętym warsztacie wszechświata. A gdzież jest druga strona obrazu, ta, na której duch po nieskończonych przeobrażeniach i gradacyach dosięga kartezjuszowego: „Myślę więc jestem“, lub Chrystusowego: „Pójdźcie do mnie, wy, którzy cierpicie!“.

Gdzież na widnogręgach swoich umieściłeś to, co nawet w młodej parze Budników sprawia, że, oblani żarem, ciekącym z prawa bytu, nie rzucają się ku sobie z krzykiem wścieklej radości, jak wilk

i wilczyca, lecz stoją naprzeciw siebie w skromnej i zadumanej ciszy, w pieśni serc, która poprzedza uniesienia ciała i jest dla tych uniesień poezją i odkupieniem?

Któż to jest ta młoda Polka, spotkana w Giesbach, której obraz tak trwale odbił się na tle twojej pamięci? Jak wygląda? Jakie jest jej imię? Gdzie znajduje się obecnie? Obraz, odbity w pamięci, musi być jeszcze bardzo kolorowym i wypukłym, skoro pod jego wpływem Sfinks, ze szczytu stu Oss i stu Pelionów spoglądający w nieskończoność materii, zdobył się na pokorę wyznania, że posiada w sobie ten oddech ducha, którym jest serce! Opowiedz mi cokolwiek o młodej bohaterce eklogi w Giesbach

. . . Czy zbyt śmiała popełnię metaforę, jeżeli powiem, że na gruntach dusz ludzkich miłość wyrasta w tylu różnych postaciach i odmianach, ile ich posiadają rośliny, wyrastające z różnych gruntów puszczy. Dziwią się ludzie, że miłość „jej i jego“ nieraz, bardzo często, zapowiadając zrazu cud i raj, szybko przemienia się w gminność i piekło. Lecz któż spostrzega, że pary ludzkie miłość swoją pospolicie przez wrota życia przenoszą w sercach tak lekkich i pustych, jakby z nią razem wstępowały na salę z na wieki wylustrzoną posadzką, z na wieki roznieconymi snopami światła, z na wieki wesołym tańcem rozbrzmiałą muzyką, na salę słowem, w której odbyć się ma wiekuis-ty ku ich uczczeniu i uraczeniu bankiet.

Serca, w których pary zakochane miłość swoją we wrota życia wnoszą, są pustyniami, nad którymi ptak żądy sam jeden leci ku jednemu słońcu rozkoszy. Cóż dziwnego, że gdy niezbędną koleją rzeczy ludzkich słońce to przygasa, ptak zapada w ciemność, albo na skrzydłach spragnionych ulatuje ku biesiadom innym, a w bankietowej sali nie pozostaje nic, krom odrobiny krwi wyciekłej z poranionych serc i skrzydeł, krom unoszących się w ciemnościach woni zwierzęcego wina, uwiedzionych pomarańcz i rozpylonego pieprzu?

Cóż? Chcąc nie chcąc, muszę znowu rysować te słupy, które na twojej mapie geograficznej oznaczają etap ludzkiego rozwoju, oddawna już przebyty, a na moim obrazie świata wznoszą się jako wiecznotrwałe kolumny, podpierające stropy wszystkich Panteonów i Partenonów, wszystkich wieżyc i skarbców ludzkości.

Dwie dusze, nawzajem za siebie odpowiedzialne i nad sobą czuwające, a w niewzruszonym zjednoczeniu łamiące się z sobą twar- dym chlebem ziemskiej pracy, z jednego kielicha pijące hyzopy ziemskich bólów, na jednych skrzydłach wzlatujące w niebo upojeń

rajskich; dwie dusze, które z żądzy ideału ukuwają sobie puklerze przeciw złemu i lemiesz do orania gruntów pod zasiewy Dobra; dwie dusze, które z pożądań własnych umieją na ołtarzach całopalenia czynić, a w krwi serdecznej, oblewającej ofiarę, jeszcze znajdować sobie czarne perły szczęścia; dwie dusze, zaludnione chórem postaci nieskazitelnych, nieśmiertelnych, które wstępującą w ich koło miłość „jej i jego“, skazitelną i śmiertelną, poją światłem wysokich natchnień, miodem ukojeń i eliksirem wiecznego życia, jeżeli kiedykolwiek widziałeś takie dwu dusz połączenie, widziałeś miłość, odlaną w formę najdrogocenniejszą i najrzadszą. Niesłuchanie rzadką jest, bo któż trudni się kunsztem, dla powstawania jej koniecznym? Kunszt to jest rozróżniania głosów materji od głosów ducha i prowadzenia wszystkich nici życia od ziemi do nieba.

Czy pamiętasz ten moment wędrówki Alighierego po sferach niebieskich, gdy razem z Beatryczą ujrzał się on zamkniętym w perle, która przyjęła ich do łona, jak kropla wody przyjmuje promień słońca, a była gwiazdą, mającą na sobie znaki ciemne. Beatryx, z okiem, utkwionem w wiekuiste kręgi, tak ziemskiemu oblubieńcowi niebieskie rzeczy tłómaczyła:

Niebo, co gwiazdy zdobią je tak mnogie,
 Głębokiej myśli, która w krąg je toczy,
 Przybiera obraz,...
 A jako dusza na rozliczne członki
 Tam w prochu waszym niewidomie spływa,
 Podobnie Dobro swoje rozmnożone
 Najwyższa Miłość zlewa na gwiazd krocie.
 Ona unosi ogień do księżycy,
 Ona porusza śmiertelników serca,
 Ona ziemię ściska i w całość jednoczy,
 Ona, płonąc, tak się iskrzy,
 Że wieczne Piękno roztacza dokoła,
 Od niej-to idzie światła rozmaitość.

A gdy na twarzy Alighierego rozlewał się wciąż smutek niedokończonych rozpoznań, Beatryx, z takimi uśmiechy, że, patrząc na nie, „człowiek wśród tortur czuł-by się szczęśliwym“, mówiła jeszcze:

Jeśli blask rzucam w miłości zapale
Większy, niż widzieć go można na ziemi,
Taki, że siłę twych oczu przemaga,
Nie dziw się wcale, bowiem to wynika
Z doskonałego poznania...

Nie jedna droga wiedzie do poznania. Czasem, poeci, przez najwyższy rzut uczucia, wzbijają się ku emiprejskim wysokościami i dostrzegają ten punkt środkowy, z którego na Wszechbytu „leje się światła rozmaitość”. Czasem, poeci—to właśnie zdobywają poznanie najtrudniejsze, bo sami są najgłębszymi łożyskami lejących się z góry światła, najwyższym wyrazem skupienia i natężenia siły uczuciowej. Bo nad ziemią, obok rozświetlającego ziemskie noce księżycą rozumu, goreje ożywiające wszystko, co żyje, słońce uczucia, a ktokolwiek od tego słońca się oddala, tego życie zakreślać musi łuk nocny.

Klucze do wszystkich zagadnień ludzkiego życia tkwią w stosunku żyjących do tej najwyższej Myśli i Miłości, którą Beatryx wskazywała Dantemu z łona perły, będącej gwiazdą. Te złote żyły, które duszę naszą przebiegają: wiara, wiedza, sztuka, ludzkość, ojczyzna, miłość „jej i jego”, to drabina z tylu szczeblami, ile tęsknot ku celom wielkim goreje w piersiach ludzkich. A każdy z tych szczebli, im mocniejszymi niemi połączony ze środkowym punktem Wszechbytu, z najwyższą Myślą i Miłością—Bogiem, tem więcej forma jego jest z wolą Mistrza zgodną, tem mniej materya zostaje na odpowiedź wołaniom ducha głuchą...

Taką staje przede mną miłość „jej i jego”, ...lecz wnet pierzcha i znika, na cmentarzach nieziszczonych snów.

A teraz ekloga druga i razem z nią może krótka strofa eposu.

Zaczyna się jak w bajce.

Był żył raz w pobliżu tej puszczy mąż ręki mocnej i wielkiego serca, który doświadczył objawienia, że pod strop zamczyska, runięciem grozący, podstawiać ma kolumny i ściany jego, okrywające się białością śmierci, zabarwiać rumianym hematytem życia. Doznawszy objawienia, wieszczącego mu czyny i znoje, naprzód pokornie rzekł: „Dobrze. o Pani! rozkaz Twój pełnić będę”, a potem spojrzeniem szeroko zatoczył, szukając po widnokręgu marmurów na kolumny, żelaza i purpury na hematyt życia. Spojrzeniem tem spotkał się z ciemną, głęboką, tajemnic pełną Puszczą, skrzydłem orlem

o nią uderzył i zawołał: „otwórz się!” Na imię temu mężowi było: Antoni Tyzenhauz. Imię cudzoziemsko brzmiało, lecz ten, kto je nosił, był synem zamczyska rodzonym i dobrym.

Rozpoczął tedy otwieranie skarbnicy. Z sąsiedniej krainy mazowieckiej przywoławszy ludzi wolnych, noszących szlacheckie nazwiska Dobrzyńskich, Młodnickich, Wołodkiewiczów itp., oddał zaczerowane klucze odważnym i silnym ich rękami. Wyludnił się podówczas na Mazowszu nie jeden zaścianek, który, według poety: „słynął szeroko z męstwa szlachciców, z piękności szlachcianek”, lecz w zamian Puszcza zawrzała życiem ludzkim.

I przedtem już nieraz wrzało tu życie ludzkie. Przy muzyce trąb myśliwskich, Jagiellońskie orszaki kładły trupem tysiące żubrów i łosi, mających żywić rycerskie hufy grunwaldzkich zwycięzców; kiedyindziej, o niebotyczne sklepienia lip i modrzewi, w wiwatach tryumfalnych uderzało kochane imię Zygmunta Augusta; a w innym jeszcze, zniknionym na oceanie czasu momencie, mostem nad Lsną zawieszonym, mądry Siedmiogrodzianin przejeżdżał w królewskiej swej chwale i, jedno z uroczysk purpurą myśliwskich namiotów okrywszy, związał z niem na zawsze imię Batorego. Lecz były to momenty krótkie, po których znowu dno zielonego morza zalegały cisze bezdenne, toczące w sobie tylko szumy Boru-Lady i łoskoty lub szmery zwierzęcych walk, gonitw, miłości i gniewów.

Teraz, powstało tu nie takie życie, jakie ze szczytów zamczysk jaśnieje hełmami przepychu i sławy, lecz takie, jakie u podstaw ich migocze stałą toporów i temi iskrami, które skwarne słońca i blade księżycy rozniecają w kroplach ludzkich znojów. Lud wolny, mężny, silny, wiedzący co czyni, rozmachał topory, ogniem napełnił paszcze smolarni, zębami pił zazgrzytał po ciałach olbrzymów leśnych, a w ścianach hutniczych z materii roztopionych ukręcać począł płomienne węże. I niewiadomo, czy dla tego, że smolarnie i huty wznoszone były w kształcie bud stogowatych i okrągłych, czy, że odgłosy wezbranego życia zrywały z legowisk nocnych żubry posępne i łanie płochliwe, a w przepastnych lasu głębinach echa przez wieki śpiące budziły, lud ten otrzymał nazwę Budników.

Było to już dawno temu, dawno. Na zegarze czasu wskazówki posunęły się odtąd o dwie niemal godziny, które w języku ludzkim noszą nazwę stuleci. Jeszcze wówczas tabuny dzikich koni tententem kopyt i wesołym rżeniem napełniały polany i łąki; niedźwiedzie, a wierzchołków lip spokojnie rozsiadłe, z pomrukami rozkoszy ograżały z miodu nieprzeliczone roje pszczelne; rysie nocami zapalały po drzewach iluminacje święcących oczu; nad Lsną, Narewką, Białą, Jelonką, Krynicą, Gwoźną, wszędy, gdziekolwiek woda płynęła, na-

rody bobrów z rześnistym płaczem budowały kunsztowne swe wsie i gródki.

Jeszcze wówczas, krom tych ludzi odważnych i tęgich, którzy na wezwanie męża z wielkiem sercem świat gwarny i widny rzucili a w ciszach i cieniach tutejszych osiedli, nie było tu nikogo.

Z pod ich-to rąk sosny białowieskie, w postaci masztów o nieporównanej wysokości i sile, wypływały na dalekie morza i szeroko po świecie rozlewały się rzeki miodowe. Z pod ich rąk, po świątyniach i salach tanecznych, snopy światła wytryskiwały z woskowych pochodni, a z wiecznotrwałych desek wznosiły się ściany dworów i świątyń. Ich-to ręce owijały dokoła ciał wykwintnych futra niedźwiedzie, bobrowe lub wilcze, pod uśpione członki wojowników rozciągały skóry łosiowe, a stoły rodzinne, biesiadne, osypywały deszczami połysków szklanych.

Wiedząc co czynili, żądali dla siebie praw, czynom równych, a że rodem szli od tych, którzy po zaściankach rodzinnych mieswali wedle poety: „klamki, ćwieki, haki albo ucięte albo noszące szabel znaki“, więc działy się tu czasem rzeczy dziwne, posępne i straszne. Gdy lud ten tak wolny, jak żyjące z nim obok tabuny dzikich koni, a tak hartowny, jak żelazo toporów, któremi sosny w złoto przekuwał, murem przeciwko czemukolwiek stanął, to mur ten obalić było tak prawie trudno, jak w palcach przełamać jeden z tych dębów, w którego wydrążonem wnętrzu koń z jeźdźcem swobodnie obrócić się może. Codziennie smoła, a w święto walki krew z pod rąk mu ciekla. Na codzień, jak mazowieckie równiny i jak ta puszcza, cicho zadumany, do walki miał kły, rogi i świecące oczy puszczych żubrów, odyńców i rysiów. Na tych gruntach, które wzrosty rzucają pod obłoki, rósł wysoki i wysmukły, pod woalami cieniów, któremi las przysłaniał mu skwary słoneczne, bielał na twarzach, w głębokich nawach dróg leśnych pogłębiał w sobie duszę i scena życia jego niejednokrotnie na tle kulis leśnych napelniała się odgłosami tragedii ponurych, idyli lirycznych, albo eposów niepokonanego męstwa... Aż wszystko ucichło i szumny żywioł, wylewający na rozległe samotnie fale dzikiej, lub bohaterskiej poezji, popłynął ciasnem, sennem, monotonnie wytkniętem korytem, nad którym już tylko sama jedna wieszczka natury potężnej i wolnej bezprzestannie rozwiesza czarowne swe płótna.

Lecz trwają wspomnienia. Jest w miejscu pewnem okopisko, młoda dębina porośłe, z kopcem wysokim i długim pośrodku.

Tam, wśród cienkich dąbków, różanem światłem zachodu obłany, siwy Dobrzyński opowiada czasem, czyje to ręce wznosiły ten wał obozowy i kto snem wiecznym usypia pod kopcem, na którym blysz-

czę gwiazdy nieśmiertelników i powiewają z wysokich lodyg lilijowe dzwonki. Gdy opowiada, oczy z głębokich zapadlin goreją mu czasem naksztalt czarnych żużli, a gdy zmrok go tam znajdzie i nad okopisko przypłylnie odgłos dzwonu, który rozlega się od podziemnego miasta, to wtedy zwiędłe usta starca razem z liśćmi młodych dębów, z przygasającymi gwiazdami nieśmiertelników i chwiejącymi się zwolna kielichami dzwonek, szepcą nad okopiskiem: „a światłość wiekni — sta niechaj im świeci, Panie, o! Panie!”

Przed kilku dniami, Avis mój zaniósł mię do jednej z najbliższych osad budniczych; na obejściu Dobrzyńskich, czystem, zielonem, bukiet brzoź mającem u wrót, otwierających się na szerokie błonie, półkolem lasu otoczone, siedziałam pod gruszą, która gałęzisty parasol rozpina tak szeroko, że zachodzące słońce nie dosięgało nawet rąbka mojej sukni i tylko u stóp moich rozkładało na murawie sieć ze złotych nici. Nie byłam samą i nie panowała cisza wkoło mnie. Przeciwnie; nad głową miałam wielki gwar ptactwa, a dokoła siebie szezebiot mnóstwa dzieci.

Było ich mnóstwo. Patrząc na nie, myślałam, że gdybyś mógł je widzieć... O, gdybyś widział te kądziele lniane nad czołami, które pocałunki słońca okryły czerstwą śniadością, z pod czoł tych świecący rój gwiazdek błękitnych lub piwnych, czerwone wargi rozedrgane śmiechem, gdy tymczasem w drobnych zębach, jak orzeszki u wieiórek, chrupały karmelki, a rączyny, jak gałązki przez wiatr miotane, wyciągały się ku błyszczącym krzyżykom i jaskrawym literom elementarzy; gdybyś widział, jak potem, między rozwartymi rąbkami koszułin, krzyżyki srebrną rosą rozsypały się po piersiach dziecięcych i jak ich połyski ścięgały się o lepsze z błyskami gwiazdek błękitnych i piwnych, — gdybyś to wszystko mógł widzieć, pewna jestem, o! pewna, że oczy twe z rozkoszą utonęły-by, tak, jak tonęły moje, w tej mlecznej drodze niewinności i radosnego wdzięku!

Wtem, młoda Dobrzyńska, mazurka wysmukła i zgrabna, z ciężkim warkoczem za głową, wyszła za wrota obejścia i widziałam, jak chodziła wzdłuż grzedy aster, które przed oknami świetlicy rozkwitły teraz w pełnej swej chwale, różnobarwne, wysokie, ogromne.

Przyglądała się kwiatom, wybierała, wahająca się i z żadnego nie dość zadowolona, aż wreszcie zerwała jeden, szybko przeszła podwórko i, śnieżny kwiat na długiej lodydze mnie podając, z uśmiechem rzekła: „Najpiękniejszy!”

Powieki przytem spuściła, rzęsy rzuciły cień na drobne rysy, po których obłokiem różowym przeplynał rumieniec. Przypięłam astrę do stanika i dziwnie lekko poczęło mi bić serce pod tem podziękowaniem

matki za radość jej dzieci. Była to w śnieżnym kwiecie zaklęta kropla słodczy, o, jakże potrzebna tej sprężynie ludzkiego życia i tej ranie ludzkiej piersi, którą jest serce człowieka!

Potem wynieśli mi pod gruszę mleko pienne, chleb woniejący skibą ziemi i klonowym liściem, ów także miód białowieski, w którym więzną wszystkie aromaty lasu, i którego słodkość przenikliwa zostawia na podniebieniu goryczkę, wziętą u mięt i ajerów.

A potem, na obejściu Dobrzyńskich zapanowała cisza; wszyscy rozproszyli się, rozbiegli; słońce kędyś za błoniem spłynęło pod widnokrąg, a ciepły wieczór sytać zaczął na las i wioskę szare mroki, wśród których szyby domostw ozłociły się blaskami roznieconych ognisk. Młoda Dobrzyńska, która dała mi astrę, nuciła u ogniska i snuta smętnej piosnki dolatywała pod parasol gruszy, w którego ażurach pobłyskiwać zaczęły drobne gwiazdy.

Stary Dobrzyński siedział obok mnie w cieniu tak głębokim, że przerzynał go tylko linią czarną i cienką. Pomimo, że czoło mał on nawskroś zorane głębokimi pręgami i gdy przyjeżdżam, prawnuka woła, aby Avisa mego w wygodny kąt obejścia uprowadził, wysoki jest, ma plecy proste i gładkie, a mówi chętnie i wiele.

— Bo są na świecie ludzie nader silni, — mówił — od wszelakiego złego silniejsi, którzy, żeby nie wiedzieć jaka przeszkoda przed nimi stanęła, każdą jak piórko z drogi swej zmiotą. Było raz tak. Legł pośród drogi, którą ludzie chodzili, kamień wielkości tak okrutnej, że ani przejść, ani przejechać nikomu nie dawał. Jednym się koła u wozów o niego potrzaskały, inisi, zaczepiwszy oń, śmiertelnych upadków doświadczyli, inisi go daleko wokół objeżdżać byli zmuszeni. Skąd się głaz ten wziął? nie wiadomo; ziemia go pewnie sama na utrapienie ludzkie wydała, bo każdy wie, że, karmicielką będąc, czasem i trapiicielką srogą dla człowieka być ona umie. Dość, że ilu tylko ludzi na całą Puszcę i jej okoliczność było, wszyscy od głazu okrutnego frasunku i biedy, a czasem nawet nieszczęścia cierpieli. Aż nakoniec przebrała się ludzka cierpliwość i razu jednego, kto żyw do kupy przybiegł i hej! wszyscy razem przeciwko spólnemu nieprzyjacielowi. Jako gałęzie przestępu naokoło pnia dębowego, tak ręce co najsilniejsze opłotły się naokoło głazu i hej! ho! w górę! Silniej! Dłużej! Jeszcze raz! jeszcze raz! Nic. A niechże go jasne pioruny! Jak leżał, tak leży, i z pośród mchu brunatnego, co go obrósł, białe zęby wyszczerza z pośmiewiskiem.

Stanęli tedy z popuszczanemi rękoma, w zasmuceniu wielkiem, aż widzą, że ktośś na koniu drogą nadjeżdża, a ponieważ droga leśna była, tedy co wyblśnie z pośród drzew promień słoneczny, to mu nad głowę w hełmie wysokim niby gwiazdę złotą, niby brylant tę-

czą świecący zapali. Pan nie pan; rycerz nie rycerz; chyba rycerz, bo hełm ma na głowie i odzież gdzieniegdzie od stali błyszczącą. Oblicze zaś jego jaśniało taką dobrocią i pięknoscią, że wszyscy odrazu wielką śmiałość i ufność ku niemu poczuli, a gdy przybliżył się i, konia wstrzymawszy, rozpytywać się jął, czego-by tu zgromadzili się w liczbie tak wielkiej i z tak zasmuconemi twarzami, oni zaraz opowiedzieli mu swoją biedę. Tak i tak, jasnie wielmożny panie, opowiadają, tak i tak; aż tu patrzą, że na jasne oblicze rycerza litość występuje i że z konia zsiadać on zamierza. „Ja wam, — mówi — kamień ten z drogi odrzucę”. Oni na to z podziwieniem: „Gdzież-by jasnie wielmożny pan dla nas taką fátygę ponosił!” A on im na to z cudnym uśmiechem: „W tym celu po świecie jeżdżę, aby niewinnych i ukrzywdzonych ratować”. Oni znów na to z wątpliwością: „Nie wystarczy tu żadna siła, choćby największa!” A on im znów z oczyma błyszczącemi, jako gwiazdy: „Moja wystarczy, bo ją z żalu nad wami czerpię!” Głaz okrutny rękoma opasał, zatrząsł nim, aż ziemia stęknęła, i odrzucił go daleko w las, kędy zagrzmiało w powietrzu i z trzaskiem złamało się kilka młodych świerków. Droga leżała gładka i równa, a po twarzach ludzkich, wprzód zasmuconych, skrzydło anielskie wypisywało litery radości. Rycerz zaś na konia znowu siadł i, pięknie ukloniwszy się, pojechał dalej niewinnych i ukrzywdzonych ratować.“

Tak opowiadał stary Dobrzyński; taka wśród milczeń i gwarów tej puszczy krąży legenda o mężu nad wszelkie zło silniejszym. Czy słyszysz załatujące od tej gminnej powieści echo stąpań Rosinanty, na której jeździł po świecie szlachetny rycerz z Lamanszy, echo wspaniałomyślnych, rycerskich uczuć i dziejów? Sam król Artur chętnie, jak przypuszczam, posadził-by u Okrągłego Stołu towarzysza tego, który, ze złotą gwiazdą na hełmie i cudnym uśmiechem na ustach zabląkał się na białowieskie drogi.

Ściemniło się. Gwiazdy nie rozpraszały ciemności, w której rozlewała się cichość taka, że można-by dosłyszeć mały wystrzał balsaminowydzikiej, gdy, potracona skrzydłem nocnego motyla, ziarna swe na trawę rosne wyrzuca.

Kiedy, myśląc o odjeździe, ze słowem pożegnania stanęłam w progu świetlicy, oskoczyły mię dzieci i młoda Dobrzyńska głośno uderzyła w dłoń.

— Jechać chcecie! Jakże to? tak samej jednej... nocą!

Poczęła zapraszać i namawiać.

— Ostańcie, bądźcie łaskawi, przenocujcie! Jutro raniusko, jeżeli wam pilno, pojedziecie, a obaczycie, jak tutaj zrana światłości różne

cudnie po drzewach grają i jak sarenki biegną przez błonie, aby napoić się w Jelonce...

Pomyślałam, że ciężko istotnie bywa nieraz tym, którzy sami jedni idą nocą, nocą... i wdzięczna byłam tej chłopce, że gdy nikt się nie troszczy, ona się zatroszczyła...

Nazajutrz, kiedy bardzo wcześnie opuszczałam budniczą osadę, światła jutrzniowe cudnie grały na drzewach, stado sarn biegło przez zielone błonie i dwa jelenie głowy z potężnymi karkami wychylały z lasu, nad którego półkolem razchwiewał się po błękitach gasnący rumieniec Auszry.

Nad drzewami wsi, to wyżej, to niżej, rysowały się na różowym niebie ciemne sylwetki stojących po gniazdach bocianów.

O matomanach w astronomii.

I.

Równoległe z postępem wiedzy, oraz pomnażaniem środków jej popularyzacyi pośród najszerszych warstw społecznych, coraz wybitniej występuje objaw chorobliwy, który można określić mianem matomanii. Matomanami nazywamy ludzi, którzy, nie posiadając dostatecznego przygotowania naukowego, stają w otwartej opozycji względem najsilniej ugruntowanych poglądów naukowych, i tworzą na ich miejsce teorye własne, niczem nieuzasadnione, a często tak dziwaczne i niedorzeczne, że tylko zboczeniu umysłowemu autorów powstawanie ich przypisać można.

Medycyna oddawna zapewne zwrócić musiała uwagę na ten rodzaj obłądu, który uważać można za pewną odmianę manii wielkości. Z punktu widzenia medycznego jest to zresztą prawdopodobnie choroba bardzo niewinna, albowiem ludzie, jej podlegający, poza tem niczem nie wyróżniają się od przeciętnego ogółu; tem szkodliwszą jest ona z punktu widzenia społecznego, szczególnie gdy zaczyna posługiwać się drukiem. Nie można wymagać od szerokich mas krytycyzmu naukowego; w początkowych fazach rozwoju umysłowego najsumieniejszy popularyzator nie jest w stanie uniknąć pewnej dogmatyczności w przedstawianiu teoryi naukowych. To też masy są równie skłonne do przyjęcia poglądów ściśle naukowych, jak do uznania w dobrej wierze fantastycznych mżonek matomanów. Zależnie od książki, jaką przeciętny czytelnik dostaje do ręki, kształtują się jego zapatrywania na kwestye, w książce tej poruszane.

Do zajęcia się kwestyą matomanii w tym artykule skłonił mię zauważony fakt, że z książek treści astronomicznej, które w ostatnich dziesięciu latach wydane zostały w języku polskim, przynajmniej połowę zaliczyć trzeba do płodów obłądu naukowego. A przecież astronomia nie jest bynajmniej jedyną nauką, w której matomani doniosły podnoszą głos, działalność ich wre i kipi na wszystkich po-

lach myśli ludzkiej. W warunkach społecznych i biologicznych aż się roi od najokropniejszych pomysłów, kwestye lingwistyczne i gramatyczne są ulubionym tematem dyskusyi ludzi, najmniej do tego powołanych, specyjalna matomania grafomanii jest utrapieniem redaktorów czasopism literackich, a nie mniej głów może trzodzi się nad różnemi „wynalazkami“, pośród których perpetuum mobile wciąż jeszcze poczesne zajmuje miejsce.

Do wytwarzania się matomanów w znacznej mierze niewątpliwie przyczynia się popularyzacja wiedzy. Świadczą o tem wykłady popularne, po których do prelegentów napływają różne głosy opozycyjne, świadczą instytucye, specyjalnie popularyzacyi wiedzy poświęcone, do których bez przerwy zgłaszają się ludzie z rozmaitemi pomysłami i teoryami. Takim ulubionym miejscem wynurzeń matomanów była naprzykład przez długi czas Urania berlińska, dopóki bezwzględniejszem traktowaniem nie odstręczyła ich od siebie.

Nie chcę przez to powiedzieć, aby popularyzacja wiedzy miała być szkodliwą. Plamy są nawet na słońcu, a przecież świeci ono i grzeje. Popularyzacja jest nietylko pożyteczną, ale w dzisiejszych czasach wprost niezbędną; szkodliwą staje się ona tylko wtedy, gdy rozsiewa błędne poglądy, a, niestety, zdarza się to zbyt często.

Pomijając wszelkie korzyści praktyczne, które człowiekowi przynosi wiedza, za najgłówniejszy cel popularyzacyi należy uważać rozszerzanie poglądów na świat i życie, zbliżanie ludzi do siebie przez usuwanie przepaści, dzielącej pojęcia ludzi wykształconych od pojęć tłumu. Jak dalece wykształcenie dzieli i zbliża, widzimy stąd, iż łatwiej często przychodzi nam zawiązać bliższy stosunek z wykształconym Włochem, lub Japończykiem, aniżeli z ciemnym naszym rodakiem, pomimo tylu łączących nas z nim węzłów.

Z drugiej strony, posunięta w naszych czasach do wysokiego stopnia specyjalizacya, która stała się koniecznym warunkiem postępu w poszczególnych gałęziach nauki, sprawia, że nawet ludzie wykształceni, ale w innych dziedzinach wiedzy pracujący, nie są zdolni się porozumieć w kwestyach, najbardziej ich obchodzących. Popularyzacya winna dążyć do tego, aby każdego — choćby tylko w najogólniejszych zarysach — pouczać o podstawach różnych gałęzi wiedzy, oraz o najważniejszych, dokonywanych w niej, odkryciach.

Często żartujemy sobie z dyletantów, którzy zajmują się wszystkim po trochu, a nic nie umieją porządnie. Ale jeżeli nazwiemy dyletantem człowieka, który posiadał najogólniejsze wiadomości z najróżniejszych dziedzin pracy kulturalnej, to wistocie rzeczy głównym celem popularyzacyi winno być rozwijanie tak rozumianego dyletantyzmu.

Dążenie tego rodzaju uważanem być może za objaw analogiczny do dążeń społecznych, mających na celu sprawiedliwy podział dóbr materialnych pomiędzy ludźmi. Ale gdy już te dążenia napotykają na swej drodze liczne przeszkody, to trudności wzrastają o wiele bardziej, gdy chodzi o równomierniejszy podział zdobyczy umysłowych.

Żądza życia i użycia jest w człowieku tak silną, iż wytwarza w nim dostateczne zasoby energii do pracy, lub walki. Tak samo wrodzoną jest człowiekowi żądza poznania, ale objawia się ona znacznie łagodniej i zazwyczaj dość łatwo da się zaspokoić. Bardzo nieliczni są ludzie, w których żądza wiedzy góruje ponad wszystkimi innymi potrzebami życia — ci zawsze znajdują drogę do zaspokojenia ciekawości, o ile to wogóle jest możliwem. Ogół wymaga podnieci, zachęty, ułatwień, a wszystko to do pewnego stopnia może mu dać dobra i rozumna popularyzacya. Owocem jej powinien być dyletantyzm, jako objaw prawdziwie kulturalny, jako wyraz dążeń ludzkości do prawdy, światła i sprawiedliwości.

Gdy sobie wszakże uprzytomnimy, jakie znaczenie dziś ogólnie nadaje się wyrazowi „dyletantyzm“, w którym mieści się i lekceważenie, i odcień ironii, znaczenie, które się wytworzyło na podstawie obserwacji i praktyki życiowej, trudno nie dojść do wniosku, że ujemne strony dyletantyzmu praktycznego odebrały mu piętno zdrowego objawu kulturalnego. O tych stronach ujemnych, które wiążą się ściśle z główną treścią tego artykułu, musimy pomówić nieco obszerniej.

II.

Każdy specjalista, pracujący naukowo w jakiejkolwiek dziedzinie wiedzy, wie, że jest to niezgłębione morze, po którym z wielkim trudem żeglować trzeba; bez nadziei, że kiedyś dopłyne się do portu. Rozumie on, na jak olbrzymim materiale, bez przerwy z najróżnorodniejszymi trudnościami gromadzonem i krytycznie sprawdzanym, musi on opierać każde swe twierdzenie, które ma naukę zubożać, z jaką ostrożnością musi wyciągać wnioski, aby nie popaść w sprzeczności z mnóstwem innych faktów, których całokształt zawsze musi brać pod uwagę. Nauka nie znosi lekkomyślności i zapomnienia; każdy grzech, w tym kierunku popełniony, mści się dotkliwie: powoduje zamęt, opóźnia postęp i zniesławia winowajcę.

Błędne pojęcie w nauce można porównać z chorobą w organizmie, musi ona być uleczoną, jeżeli organizm ma się rozwijać normalnie.

Nigdzie może lekkomyślność taka nie pociąga za sobą skutków tak wyraźnych, jak w naukach ścisłych. W innych naukach istnieje zawsze pewna elastyczność i rozciągliwość pojęć, probierze prawdy mają charakter bardziej przypadkowy i zmienny, względność prawd naukowych występuje jaskrawiej. Inaczej w naukach ścisłych; tam określenia nie dopuszczają żadnej dwuznaczności, te same działania prowadzić muszą zawsze do tych samych wyników, wszystko tam tworzyć musi budynek, w którego kształcie i rozkładzie żadnej nie może być dowolności. We wszystkich jego częściach istnieje ścisły, nierozzerwalny związek, a jedna cegła, wyjęta z fundamentu, albo zastąpiona inną, może spowodować runięcie, albo zupełną przemianę całego gmachu. Dziś, naturalnie, wielka część tego gmachu stoi na podstawach niewzruszonych, katastrofom, lub zmianom ulegać mogą tylko wyższe, budujące się właśnie piętra.

To, cośmy powiedzieli o naukach ścisłych wogóle, dotyczy też w szczególności astronomii, która, aczkolwiek ze względu na cel i przedmiot badań zalicza się do nauk przyrodniczych, jest jednocześnie nauką ścisłą, ze względu na sposoby i środki badania.

Podstawą badań astronomicznych są prawdy, stwierdzone spostrzeżeniem, lub doświadczeniem, oraz hipotezy, które, chociaż głębszego uzasadnienia nie posiadają, nie stoją w sprzeczności z doświadczeniem i obserwacją. Wszelkie wnioski teoretyczne, opierające się na tych podstawach, zgadzać się muszą ze sprawdzalną rzeczywistością; z chwilą, gdy spostrzegamy sprzeczność, hipoteza musi być odrzuconą. Pojęcie prawdy, naturalnie, i tu jest względne, ale o tyle tylko, o ile względniemi są same zjawiska w postaci, w jakiej się nam uświadamiają, o ile względna jest logika ludzka. Za prawdę naukową w astronomii uważa się to, co wnioskowaniem logicznem da się sprowadzić do pewników doświadczalnych.

Kto wie, czy nie do najważniejszych rzeczy w wykształceniu naukowem należy zdobycie jasnego poglądu na to, co w nauce jest prawdą, a co hipotezą. Niektóre bowiem hipotezy, skutkiem wielowiekowego stosowania i ciągłej zgodności wyciąganych z nich wniosków z obserwacją i doświadczeniem, zatraciły prawie swój charakter hypotetyczny, a przecież nie mamy prawa zapominać, że są to hipotezy i nic więcej; inne znowu, chociaż jako hipotezy do nauki wprowadzone, z biegiem czasu w istocie być niemi przestały—przeobraziły się w prawdy naukowe. Hipotezą pierwszego rodzaju jest naprzykład wzajemne przyciąganie się mas. Obserwacja mówi nam tylko tyle, że ciała niebieskie poruszają się w swoich drogach tak, jak gdyby

się one wzajemnie w określony sposób przyciągały — i to jest niezbitą prawdą; w praktyce natomiast często owo przyciąganie uważamy za fakt, a nieumiejętna pedagogia nie mało przyczynia się do rozszerzenia tego błędnego zapatrywania. Prawdą natomiast, której obalenie jest niemożliwe, jest ruch ziemi dokoła osi, oraz ruch ziemi i innych planet dokoła słońca — chociaż prawda ta przez Kopernika wypowiedzianą została tylko w formie hipotezy naukowej. Inna rzecz, jak zapatrywał się na ową hipotezę sam Kopernik; nie ulega wątpliwości, że przekonany był on o rzeczywistym istnieniu tych ruchów, ale rozumiał dobrze, że prostota teorii jego nie mogła być dostatecznym dowodem jej prawdziwości. Na dowody nauka czekać musiała dość długo.

Jeżeli uważamy za właściwe reformować naukę, to powinniśmy rozumieć i pamiętać, że polem takiej działalności reformatorskiej mogą być tylko hipotezy. Gdy zaś zechcemy obalać prawdy naukowe, to damy tem tylko dowód nieznanomości rzeczy, naukowej niepoczytalności. Dwa wyżej przytoczone przykłady zostały umyślnie wybrane, albowiem hipoteza Newtona i układ Kopernika są przedmiotami, najbardziej narażonemi na ataki matomanów. Pomijając całą niedorzeczność rozumowań, wybór tematów świadczy, iż nie rozumieją oni, że prawdy naukowe w istocie istnieją, i że nie rozróżniają prawd od hipotez.

Wytłómaczenie tych różnic, a przynajmniej zwracanie na nie uwagi w wykładach popularnych, mogło-by zapobiedz wielu nieporozumieniom. Ale przyznać trzeba, że danie jasnego pojęcia o tych różnicach ludziom, należycie do tego nieprzygotowanym, nie należy do zadań łatwych, a, niestety, zbyt często się zdarza, że sami popularyzatorzy nie zdają sobie z nich dokładnie sprawy. Oczywiście, nieznanomość rzeczy odbija się na całej formie wykładu i uwydatnia się zawsze — nawet wtedy, gdy bezpośrednio zasadniczych kwestyi się nie porusza. Wszelka niejasność, lub chwiejność daje powód do wątpliwości, do których usuwania znajdują się zawsze ludzie, nie wiedzący, że przystępują do walki z wiatrakami.

W wykształceniu dyletanckiem spozurzegamy zazwyczaj brak zrozumienia najbardziej zasadniczych podstaw naukowych, a co za tem idzie, brak zaufania do wyników nauki. Na tle tem wytwarza się rodzaj eklektyzmu, zasadzającego się na chwytaniu wiadomości, najbardziej przemawiających do przekonania danemu indywiduum, a co do znaczenia i uzasadnienia naukowego bardzo niewspółmiernych, które tylko wytwarzają w umyśle zamęt, a bynajmniej nie są zdolne przyczynić się do rozszerzenia horyzontów myślowych.

Że dokładne wyjaśnienie zasadniczych pojęć naukowych powinno być wstępem do wszelkich wywodów bardziej szczegółowych, wynika to z konieczności oparcia nauki na podstawach realnych. W najdalszych konsekwencyach nie możemy tracić z oczu owej realnej, doświadczalnej rzeczywistości, gdyż ona tylko jest tym drogowskazem, który nas ustrzedz może od błędzenia po manowcach. Gdzie kończy się rzeczywistość, tam zaczyna się fantazyja, a fantazyja nie jest nauką.

Ale gdzie kończy się rzeczywistość? Jest to rzecz względna i ściśle zależna od stopnia poznania rzeczywistości. Dla analfabety stronicie elementarza są już krainą fantastyczną; może on snuć najrozmaitsze myśli na temat szeregów nieznanych mu znaków, gdy umiejący czytać złoży z nich tylko pewne określone wyrazy.

Dla każdego człowieka poza granicą jego wiedzy zaczyna się kraina fantazyi. Gdy zgłębiliśmy dokładnie jakąś naukę, to stanowi ona dla nas pewien obszar znanej rzeczywistości, ktoś inny będzie mógł bujać po tym samym obszarze tylko na skrzydłach wyobraźni. Jeżeli chcemy kogoś pouczyć, to zamiast obrazów fantastycznych, mamy mu dać rzeczywistość. Nie znaczy to, aby zadaniem nauki było zabijać fantazyę; ale jej obowiązkiem jest dążyć do rozszerzania prawdy. Wolno uczonemu poza granicami poznanego obszaru unosić się wyobraźnią jak najdalej, ale nie wolno mu obrazów fantastycznych, które w gruncie rzeczy najczęściej są tylko niendolnym zlepkiem kawałków rzeczywistości, nazywać rzeczywistością. Ale niekiedy wyobrażenie naukowe nawet w umysłach najpotężniejszych tak ściśle łączy się z prawdą naukową, że wielka zachodzi trudność w poprowadzeniu właściwej granicy. Rozstrzygać tu może tylko poważna krytyka naukowa. Można ją przekonywać, można ją zwalczać, ale lekceważyć jej nie można, bo orzeczenia wszelkich innych sądów, choćby całego świata, w sprawach nauki nie mają żadnego znaczenia.

Nie ulega kwestyi, że łatwiej do przekonania szerokich mas można trafić, rozsnuwając przed niemi rozmaite fantazyje naukowe, aniżeli wykładając im niczem nie zabarwioną prawdę. To też popularyzatorowie często nadużywają tej słabości ogółu dla zdobycia jego uznania z uszczerbkiem dla wiedzy. Zdarzają się niekiedy i uczeni, którzy nietylko wobec tłumów wygłaszają nieuzasadnione swoje hipotezy, jako prawdy naukowe, ale, co gorsza, od wyroków krytyki naukowej odwołują się do sądu szerokiej opinii, która zadawała się bląhem, a więcej do uczucia, niż do rozumu, przemawiającemi, argumentami. Takie świadome szerzenie błędów dla dogodzenia osobistym ambicyom jest czynem wysoce nieetycznym.

Jako przykład, przytoczyć możemy Flammariona, który, mając za sobą pewne zasługi naukowe, był zdolny spopularyzować ideę zamieszkalności ciał niebieskich. Powagą swej uczoności opancerzył fantazyę—i puścił ją na wszystkie rynki świata, gdzie znalazła imponujące powodzenie, a z nią i inne utwory autora! Idea zamieszkalności światów nie wymagała zbyt przekonujących argumentów, ażeby przeniknąć do tłumów. W książce „Wielość światów zamieszkalnych“, tłómaczonej też na język polski, argumentami są tylko cytaty, a obalanie zarzutów w rodzaju tego, że niemożliwym jest, ażeby Zbawiciel miał się rodzić na każdej gwiazdzie w celu zbawienia jej ludzkości, zajmuje w tej książce poczesne miejsce,—a przecie dla szerokich warstw publiczności argumenty takie były dostateczne. Później, gdy przez Schiaparellego odkryte zostały kanały na Marsie, a jednocześnie powstała spirytystyczna teoria zjawisk medyumistycznych, zaludnienie Marsa oraz wędrówka dusz z gwiazdy na gwiazdę znalazły we Flammarionie wymownego rzecznika. Przeważną część utworów Flammariona, traktująca te kwestye, w charakterze książek „popularno-naukowych“, przedostała się i do literatury polskiej. Skutki są wiadome: rzadko kogo dziś interesuje u nas astronomia, jako nauka o budowie wszechświata i prawach w nim rządzących, natomiast kwestya zaludnienia Marsa wszystkich bardzo zajmuje; czasami ma się wrażenie, iż niektórzy uważają astronomię za naukę, zajmującą się specjalnie szukaniem ludzi na Marsie.

Nie wiemy dobrze, jak się zapatrywać na motywa postępowania Flammariona. Jeżeli na podstawie dotychczasowych danych zdobył on przeświadczenie o zamieszkalności światów, w takim razie zaliczyć go trzeba do matomanów w tej dziedzinie, która go uczyniła głośnym. Takie zapatrywanie mniej uwłacza jego honorowi, aniżeli zarzut świadomego reklamowania błędnych zapatrywań. Jako matomana, należy Flammariona zaliczyć do najszkodliwszych, ponieważ jest on jednocześnie „sławnym“ astronomem, do tego astronomem francuskim, i posiada wybitny talent literacki.

Nie wszystkie jednakże teorie, stojące w sprzeczności z naukowo stwierdzonym faktem, są pomysłami matomanów. Obok matomanii, błędzkiej w dobrej wierze, istnieje też całkiem świadoma szarlataneria naukowa, wyzyskująca łatwowierność tłumów dla korzyści materyalnych. Wpływ jej na kształtowanie pojęć jest nawet szkodliwym, albowiem unika ona zwykle tematów czysto naukowych, jako mniej popularnych i często dla szerokiego ogółu obojętnych, a wybiera przedmioty, mające bardziej bezpośredni związek z życiem praktycznym. Matoman tylko bardzo rzadko staje się popularnym,

szarlatan zwykle zdobywa szeroki rozgłos; na szczęście, szarlataneria jest zjawiskiem, o wiele rzadszem, aniżeli matomania.

Do szarlatanów naukowych nie wahamy się naprzykład zaliczyć na cały świat głośnego Falba. Niema chyba na świecie przedmiotu bardziej popularnego, jak stan pogody, interesuje on tak samo człowieka kulturalnego, jak i dzikiego mieszkańca najdalszych zakątków ziemi. Jakże uproszczonem i mniej narażonem było-by życie ludzkie, gdyby stan pogody był wiadomy na długi czas naprzód. Ludzkość domaga się dokładnej prognozy, a, niestety, trudność zadania jest tak wielka, że nauka jej podolać nie może. To, na co nauka przy największych wysiłkach umysłowych i materyalnych dzisiaj zdobyć się może, jest zbyt mało w porównaniu z tem, czego się żąda. To też ogół, zrążony do powściągliwej i w swych przewidywaniach chwiejnej nauki, zwraca się tam, gdzie znajduje śmielsze słowo, większą pewność siebie i dalej sięgające odpowiedzi. W krytykę teorii się nie wdaje, nie ma na to ani czasu, ani zdolności, ale czeka i sprawdza.

Jak wiadomo, prognozy Falba podawane są zawsze w formie bardzo nieokreślonej, miejsce nigdy prawie nie bywa w nich podawane, a czas w dość rozległych granicach. Jeżeli taka prognoza się sprawdzi, a gdzieś na ziemi sprawdzić się musi, to mieszkańcy, naturalnie, przekonani są o trafności przepowiedni; a charakterystyczną jest pobłażliwość mas, dzięki której jedna przepowiednia sprawdzona każe im zapominać o całym szeregu chybionych.

Świat chce być oszukiwanym. Więc chociaż tyle razy zwracano uwagę na elastyczność przepowiedni Falba, chociaż tylekroć wykazywano, iż podstawy ich nie mają żadnego uzasadnienia w ogromnym materyale spostrzeżeń meteorologicznych, chociaż w zasadzie przyznano słuszność wszelkim krytykom naukowym; to przecież dni krytyczne Falba skrupulatnie są podawane co miesiąc w wielu czasopismach, a kalendarze jego rozchodzą się po całym świecie w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Nie ulega kwestyi, że Falb nie wierzy w swoje dni krytyczne, ale ludzie domagają się jego kalendarzy, a on ich dostarcza, zdobywając sobie w ten sposób bez wielkiego trudu środki do życia.

Na rozgłosie, który zdobyły sobie przepowiednie Falba, oparła też swoje rachunki spekulacya. Jej-to zawdzięczyć należy, że do nader ubogiej naszej literatury naukowej przemyciono tłómaczenie dziełek Falba, pod tytułem: „Przewroty we wszechświecie“, oraz „Gwiazdy i ludzie“, pozbawionych wszelkiej wartości naukowej, w których objawy matomanii natomiast występują nader wybitnie. A przecież tyle jest dzieł znakomitych w literaturach obcych, o których tłómaczeniu na język polski nikt nie pomyślał nawet, ponieważ nie znała-

zły-by one u nas nakładcy, choć może-by się nawet i znaleźli czytelnicy.

Wiadomości dyletanta opierają się zazwyczaj na wykładach popularnych, albo na przeczytaniu kilku dziełek popularnych. Tak wykłady, jak i dziełka tego rodzaju, jak zaznaczyliśmy, zamało uwydatniają różnice pomiędzy znanem a nieznanem, a posługują się często fantazyą tam, gdzie nauka prawdziwa milczy. Jeżeli dodamy, że pośród owych dziełek niektóre są wprost zwierciadłami nieuctwa, lub świadectwami matomanii, to możemy pojąć, jak małą w ogólności wartość posiadać musi wykształcenie dyletanckie.

III.

Scharakteryzowaliśmy poprzednio stosunek badacza do nauki. Pomijając stronę utylitarną badań naukowych, powiedzieć można, że postęp naukowy w gruncie rzeczy polega na tem, iż odkrywają się zagadki i niepewności tam, gdzie ich poprzednio nie spostrzegano. Dzięki temu postępowi uświadamiamy sobie coraz bardziej, że otaczający nas świat jest zjawiskiem, o wiele cudowniejszem, aniżeli się to nam przedtem zdawało, że człowiek, który się mianuje często panem stworzenia, jest wobec zjawisk przyrody tylko igraszką, a złudzenie potęgi jest wynikiem zarozumiałości. Im bardziej człowiek postępuje naukowo i zbliża się do sokratesowego: „wiem, że nic nie wiem“, tem czuje się mniejszym, staje się skromniejszym i cichszym.

Wykształcenie powierzchowne do wręcz przeciwnych prowadzi wyników. Pośród dyletantów rzadko spotkamy człowieka skromnego, natomiast nader wybujała zarozumiałość jest wśród nich zjawiskiem pospolitem. Dyletant mierzy całą wiedzę miarą własnych wiadomości, im mniej sam umie, tem bardziej całokształt wiedzy w jego pojęciu się kurczy. Wie on, że jest tam coś poza tem, co podają autorzy przeczytanych przez niego książek, ale są to, oczywiście, rzeczy drugorzędnego znaczenia, o których im pisać się nie opłacało. Reszty można się domyślać, albo po swojemu dopełnić. Tego rodzaju dyletanci stają się często matomanami.

Działalność „naukową“ matomani rozpoczynają zwykle w ten sposób, iż w wypracowaniach piśmiennych komunikują swoje pomysły najbardziej w danej dziedzinie głośnym uczonym. Wskazówki i wyjaśnienia otrzymane uważają matomani za obronę, i rozpoczynają

listowną polemikę. Po pewnym czasie przestają otrzymywać odpowiedzi, co wyjaśniają sobie w ten sposób, że uczonemu zabrakło już argumentów do obrony, ale do błędów swych przyznać się nie chce w obawie o swoje stanowisko i połączone z niem różnorodne korzyści. Wtedy postanawiają pomysły swe ogłosić drukiem.

Dzieła matomanów posiadają wiele cech wspólnych, a tak charakterystycznych, że kto z niemi częściej miał do czynienia, rozpoznaje je zazwyczaj po kilku przeczytanych zdaniach. Więc przede wszystkim nie brakuje prawie nigdy wstępu, w którym autor określa swój stosunek do nauki. Tutaj autor wyraża swoje votum nieufności uczonym, albowiem ci, ucząc się, zatracić musieli wszelki przyrodzony krytycyzm, i rzeczy tylko tak pojmować mogą, jak ich uczono, jak napisano w książkach. Nie są oni zdolni wytworzyć sobie samodzielnego poglądu na kwestye naukowe, ani pojąć innych, którzy w poglądach swoich od utartych i uświęconych przez naukę błędów nazbyt się oddalają. A jeżeli nawet pośród uczonych jakiś jaśniejszy i samodzielniejszy umysł zdarzyć się może, to przecież nie ma on odwagi wystąpić otwarcie, gdyż wystąpienie takie miało-by znaczenie zerwania z kastą, która umiała sobie wyrobić poczesne stanowisko w społeczeństwie, biernie pozwalającem się wyzyskiwać. Wobec takiego stanu rzeczy, dla prawdy i prawdziwej nauki, zrobić coś może tylko człowiek, który niczego się nie uczył i nie pragnie z nauki czerpać jakichkolwiek korzyści. Sąd cechu uczonych dla takiego intruza, oczywiście, zawsze wypaść musi niekorzystnie, starają się go ośmieszyć, lub zabić milczeniem; ale nie jest on wyrazem ich przekonania, lecz tylko aktem samoobrony przed grożącym niebezpieczeństwem. To też nie do uczonych zwraca się on ze swoim dziełem, ale do myślącego, niezależnego ogółu. Przez wzgląd na swych czytelników, podaje on swe zapatrywania w sposób dla każdego dostępny, nie tak, jak uczeni, którzy umyślnie tak piszą, aby ich nikt nie mógł zrozumieć. Nie wyczerpał on w swej pracy wszystkich swych poglądów, nie umotywwował on też wszystkich wniosków należycie, są to drobne braki, które myślący czytelnik sam wypełnić zdola. Jemu, autorowi, bardziej chodziło o myśl zasadniczą; motywa i szczegóły są to drobiazgi, dobre dla zakrzepłych w rutynie uczonych, którzy, zajmując się szczegółami, zatracają pogląd na całość.

Niekiedy w przedmowach tych zawarte są szczegóły biograficzne z życia autora (często naprzykład znajdujemy wzmiankę o przebytej chorobie, po której jasnowidzenie na autora spłynęło), dokładna bibliografia, oraz ocena wydanych dawniej prac, przyczem przytoczone bywa nazwisko jakiegoś jedyne go rozumnego uczonego (o którym

zwykle nauka nic nie słyszała), który o pomysłach autora wyraził się przychylnie. U polskich matomanów często napotyka się też patryotyczne życzenie, aż-by dalszego opracowania i rozwinięcia ich pomysłów podjęli się Polacy i nie dali sobie wydrzeć tej zasługi Niemcom, lub Francuzom, którzy tylko czyhają na to, aby przywłaszczać sobie cudze pomysły, i napisali-by całe tomy o książce autora, gdyby ją był napisał po niemiecku, lub francusku.

Jak widzimy, matomani w swych przedmowach uderzają w struny, na które masy są bardzo czułe. Jest rzeczą, godną uwagi, że pogarda dla nauki zawodowej, którą otwarcie w swych wypracowaniach głoszą matomani, jest tylko spotęgowaniem tych uczuć, które żywi dla nauki ogół. Masy nie lubią uczonych, lekceważą pracę, której namacalnych skutków nie widzą, a znaczenia nie pojmują. Nauka zraża sobie ogół swą niedostępnością, swem usuwaniem się od szerokiego życia tłumów, które się błędnie tłómaczy: w skromności widzi się pogardę, albo niedołęstwo, w pracy ideowej — śmieszne dziwactwo. O wiele łatwiej poszanowanie ogółu zdobywają ludzie, którzy zbliżają się do niego choćby tylko z pozorami uczoności, ale mówią mu o tej swej uczoności, dają jej dowody, choćby w rzeczach bardzo błahych, ale z powagą, godną rzeczy najmądrzejszych. Artykuł, napisany w ciągu godziny, a zamieszczony w jakimś rozpowszechnionem piśmie codziennem, czyni autora głośniejszym i większą mu zjednywa powagę u ogółu, aniżeli mądre rozprawy, ogłaszane w w czasopismach specjalnych, lub rocznikach Akademii Umiejętności, a będące owocem wieloletniej wyczerpującej pracy umysłowej.

I dlatego ogół traktuje pobłażliwiej matomanów, z łatwością solidaryzuje się z ich opinią o uczonych, jako ciasnych i zazdrosnych egoistach, pozbawionych fantazyi molach książkowych, i jeżeli nie okazuje bezwzględnego zaufania do wywodów naukowych matomanów, to przecież z całym liberalizmem uznaje ich równouprawnienie naukowe, przyznając, że nauka zawsze była wrogo usposobioną dla wszelkich nowych i przewrotami grożących idei.

Historya, mistrzyni życia, ma być dowodem, że wszelkie nowe idee znajdowały zawziętych przeciwników w przedstawicielach oficjalnej nauki, i tylko z wielkim trudem zdołały sobie wywalczyć przynależne im stanowisko. Mniemanie to jest zupełnie błędne, a opiera się na nieznamomości zadań i dążeń nauki. Najwspanialsza idea, wyrażona w formie abstrakcyjnej bez konkretnego uzasadnienia, nie posiada dla wiedzy żadnej wartości. Każdemu wolno tworzyć swoje idee i wierzyć w to, co mu się podoba, ale nauka różni się od wiary tem właśnie, że ona nie wierzy, ona musi wiedzieć, ona chce być prze-

konaną. Dlatego-to naprzykład, chociaż w ciągu tysiącleci wielokrotnie wygłaszana była myśl o podwójnym ruchu ziemi, nie mogła ona być uważaną za zdobycz wiedzy, dopóki nie znaleźli się ludzie, którzy umieli myśl tę uzasadnić i oprzeć ją na faktach konkretnych. Pierwszy krok w tym kierunku uczynił Kopernik, który umiał przewidzieć wszystkie konsekwencje geometryczne tej idei, to jest skonstruować obraz zmian, jaki musiał-by spostrzegać na niebie obserwator ze stanowiska, zmieniającego w sposób określony swe miejsce w układzie innych, poruszających się analogicznie, ciał niebieskich. Na podstawie tej konstrukcyi wykazał Kopernik zgodność owych zmian z temi, które w istocie obserwujemy, — i w ten sposób dopiero odwieczna idea układu heliocentrycznego z dziedziny fantazyi przeniesioną została na realny grunt naukowy w postaci hipotezy.

Wiemy, jak olbrzymi przewrót wywołało dzieło Kopernika, a wywołało go nie dlatego, że wygłosił on jakąś wielką nową ideę, ale dlatego, że starodawną ideę, na której zwolenników w swojej książce się powołuje, uzasadnił w sposób naukowy. A sława, która imię Kopernika otacza i zawsze otaczać będzie, jest najlepszym dowodem, że zadanie, które on rozwiązał, było wielkiem, na które zdobyć się nie mógł żaden z zapomnianych ojców samej idei.

Ale, jak powiedzieliśmy, Kopernik uczynił tylko krok pierwszy w tym kierunku, ażeby układ heliocentryczny wprowadzić do nauki, on tylko uzasadnił jego prawdopodobieństwo. Czyż można się dziwić, że znalazł licznych przeciwników, którzy zwalczali jego pogląd, jako zbyt mało uzasadniony? Nauce nie wolno burzyć lekkomyślnie budowanych przez wieki gmachów, nie wolno jej iść za pierwszym lepszym płomykiem, ukazującym się w dali, ona się musi przekonać, czy jest to błędny ogień, czy wschodzące słońce. I nie jest winą Kopernika, i nie zmniejsza to jego sławy, że nie posiadał sposobów przekonania swoich przeciwników. Dał on nie tylko to wszystko, co w jego epoce dać było można, ale umiał się wznieść genialnym umysłem ponad epokę, umiał przewidzieć zarzuty, jakie przeciw jego teorii podniesione być mogły, oraz wskazać sposoby, za pomocą których przyszłe pokolenia mogły wykazać jej prawdziwość. A gdy odkrycia Keplera, Newtona, Bradleya i Bessa usunęły wszelką wątpliwość co do prawdziwości heliocentrycznego układu, wtedy prawda ta nie mogła już mieć przeciwników w nauce, i mieć ich nie może. Oczywiście, nie mówimy tu o całych legionach przeciwników, do których dowody naukowe nie mają przystępu, przeciwstawiających prawdom naukowym pewne fikcje umysłowe, lub przekonania, oparte na uczuciu. Za nich nauka odpowiadać nie może.

Ażeby całkiem wyraźnie określić stosunek nauki do nowych idei, weźmy pod uwagę jeszcze jeden przykład, mianowicie ideę zamieszkalności ciał niebieskich. Mówiąc nawiasem, nie jest to wcale taka wielka idea, jak sobie niektórzy wyobrażają, i bynajmniej nie jest nowa. Musiała ona się narzucić sama przez się każdemu myślącemu człowiekowi, z chwilą, gdy się dowiedziano, że stanowisko ziemi w układzie słonecznym wcale nie jest wyjątkowem, że jest ona tylko jedną z szeregu planet, niczem specjalnem od nich się nie wyróżnia, a warunki życia, według naszych zapatrywań, na innych planetach pod pewnemi względami mogą być lepsze. I od chwili pojawienia się dzieła Kopernika, idea ta była tematem mniej lub więcej fantastycznych utworów, a genialny Herschel umieścił nawet istoty żyjące na słońcu, które uważał za prawdziwy raj świata. I nie należy bynajmniej przypuszczać, że nauka dla tej idei jest wrogo usposobiona; ona przyjęła ją do wiadomości, ale nie ma wcale powodu entuzjazmować się nią, albowiem nie posiadamy dzisiaj – jak i dawniej – żadnych danych, które mogły-by uzasadnić nadzieję, iż kwestya zamieszkalności ciał niebieskich będzie kiedykolwiek rozstrzygnięta. A gdyby kiedy narodził się geniusz, który-by znalazł prowadzące ku temu sposoby, to nie żaden ze zwolenników tej idei, nie Flammarion, który ją bardzo głośno reklamował, ale tylko ten, kto umiał fantazyi dać podkład naukowy i uczynić z niej zdobycz wiedzy, zyska sobie sławę i uznanie. Dodamy jeszcze, że nietyłe istnienie ludzi na Marsie, lub innej planecie, było-by w tym razie źródłem dumy naukowej, ile sam fakt, że tak trudne zagadnienie umysł ludzki rozwiązać potrafił. Z punktu widzenia astronomicznego sama kwestya zamieszkalności światów zaziemskich nie posiada wielkiego znaczenia. Zapewne, gdyby się udało stwierdzić, że na Marsie na przykład żyją jakieś istoty rozumne, to hipoteza, według której kanały na Marsie są ich dziełem, znalazła-by pewne poparcie, co zresztą – dopóki nie było-by pewności – nie zwolniło-by badaczy od szukania czysto przyrodniczych przyczyn dla wyjaśnienia tego zjawiska. Zajęcie, które ta kwestya budzi, nie posiada wcale podkładu naukowego, jest ono tylko wynikiem wrodzonej umysłowi ludzkiemu potrzeby rojeń fantastycznych, do których kwestya ta znakomicie się nadaje.

IV.

Tolerancja nauki zresztą nie jest bezgraniczną. Przestaje ona być wyrozumiałą i pobłażliwą w jednym wypadku, mianowicie, gdy wygłoszona idea znajduje się w sprzeczności z dowiedzionymi prawdami naukowymi. Wtedy wykazuje jej niedorzeczność i raz na zawsze ruguje z nauki.

Takie wyrugowane idee zazwyczaj odnajdujemy w książkach matomanów, z najróżniejszymi wariantami. Nie przedstawiają one nic nowego, często znajdujemy te same argumenty, świadczące o nieznanym najpierwszych elementarnych podstaw nauki. Gdy na przykład obalają układ Kopernika, to opierają się na rozumowaniu mniej więcej następującem.

Przez kilkanaście stuleci dzieło Ptolemeusza było ewangelią astronomii, nikt nie wątpił o prawdziwości zawartej w niem nauki; znajdowało się ono w zgodzie z obserwacjami astronomicznymi i z ludzkim bezpośrednim patrzeniem na rzeczy.

Przyszedł Kopernik, umieścił słońce w środku, zredukował ziemię do roli planety i kazał jej biedz dokoła słońca; znalazł on obrońców i popularyzatorów swej teorii, którą wreszcie i nauka oficjalna po długim opieraniu się uznała za prawdziwą. Dziś nauka tak samo konserwatywnie a bezkrytycznie trzyma się teorii Kopernika, jak dawniej ślepo ufała powadze Ptolemeusza. Tymczasem z biegiem czasu zdołano wykazać mnóstwo błędów w układzie Kopernika, obalono np. główną zasadę tej nauki—nieruchomość słońca—a wobec tego ruchy planet po kołach lub elipsach są zupełnie niemożliwe. Jakkolwiek bądź, jasne jest, że nauka, która mogła odrzucić układ Ptolemeusza, tak samo z biegiem czasu może zmienić i układ Kopernika na jakiś inny, który znajdzie dosyć energicznych obrońców i zwolenników.

Takie zapatrywania słyszy się zresztą dość często wygłaszane przez ludzi normalnych, lecz posiadających tylko powierzchowne wiadomości astronomiczne. Może więc nie będzie zbytecznem wyjaśnienie istotnego stanu rzeczy. Otóż to, co nauka dziś jeszcze nazywa układem Kopernika, w rzeczywistości od prawdziwego układu Kopernika różni się w znacznej mierze. Ale trzy zasadnicze punkty teorii Kopernika pozostały nienaruszone: 1) Ziemia w ciągu doby raz obraca się naokoło swej osi, 2) ziemia jest planetą i wraz z inne-

mi planetami krąży dookoła słońca, które jest bryłą centralną układu, 3) oś ziemi zakreśla powierzchnię stożkową dookoła osi ekliptyki, powodując cofanie się punktów równonocnych. Poza tem oddaliliśmy się bardzo od zapatrywań Kopernika, ale też układ dzisiejszy nie jest już tylko konstrukcją geometryczno-mechaniczną, lecz całością, w której wszystkie ruchy, o wiele bardziej skomplikowane, niż przypuszczał Kopernik, a nawet Kepler, związane są jednym wspólnym prawem, prawem Newtona. W tym układzie w istocie już nie słońce jest centralnym punktem, ale inny punkt idealny, zwany środkiem ciężkości, dokoła którego krążą nie tylko planety, ale i samo słońce. Tylko wielkości swej masy w porównaniu z masami planet zawdzięcza słońce swoje dominujące stanowisko w układzie; dzięki tej masie środek ciężkości układu znajduje się w bliskości środka słońca, a więc ruchy słońca są małe i w przybliżeniu można je uważać za nieruchome w układzie. W gruncie rzeczy każda bryła układu słonecznego jest źródłem analogicznego działania na inne, jest ciałem centralnem dla wszystkich innych, a ruch każdej z nich jest wypadkowy ze wszystkich ruchów, do których je zmusza każdy oddzielny środek siły. Słońce, dzięki swej największej masie, decyduje o ogólnym charakterze dróg innych ciał układu, wpływ innych mas występuje tylko deformująco w postaci t. zw. perturbacji, których istnienie jest koniecznym wynikiem prawa Newtona.

Inaczej na te sprawy zapatruje się matoman. Powiada on, że układ Kopernika i prawo Newtona, już oddawna z obserwacją są w niezgodzie, ale uczeni, przyzwyczajawszy się do nich, jako do wygodnego środka w swoich obliczeniach, nie mają chęci się ich pozbywać, a gdy spostrzegą niezgodność, łatają widoczne braki za pomocą różnych perturbacji, precesyi itp., które nie są niczem lepszem od niezliczonych epicyklów, któremi usuwano niezgodności z prawdą w układzie Ptolemeusza. Ale jakże mu wyjaśnić, że epicykle, któremi łatanano układ Ptolemeusza, nie miały uzasadnienia przyrodniczego, lecz przedstawiały tylko coraz drobniejsze wyrazy w szeregu przybliżeń o charakterze czysto liczbowym? jakże wyjaśnić, że najprostsze prawa w kombinacjach swoich prowadzą do bardzo złożonych zjawisk, że właśnie owe atakowane „perturbacje i precesye“ są najbardziej decydującym dowodem prawdziwości przyjmowanych w nauce zasad?

Nie dla każdego dostępne są dowody naukowe. Aby mógł się przekonać na przykład o prawdziwości twierdzenia Pytagorasa, konieczne trzeba znać początki geometrii elementarnej; kto tych początków nie posiada, nie zrozumie dowodu i może o prawdziwości twierdzenia wątpić. O wiele dalej w rozumowaniu naukowem posuniętym być trzeba, ażeby utwierdzić się w przekonaniu, że układ

słoneczny jest w istocie takim, jaki nauka przyjmuje, że prawo Newtona w istocie zdaje sprawę ze wszystkich ruchów, jakie w układzie planetarnym zachodzą—ale dowody są nie mniej ścisłe, jak dowód pierwszego lepszego twierdzenia z geometrii elementarnej. Utrzymują niektórzy, że każdy dowód jest względny, że umysł ludzki uleść może takiej zmianie, iż prawdą stanie się $2+2=5$. Otóż układ słoneczny w postaci dzisiaj przyjmowanej jest prawdziwy, tak samo, jak to, że $2+2=4$. Jakim on jest niezależnie od człowieka, nie wchodzi to już w zakres badań astronomicznych.

Są ludzie, którzy nie uznają trudno zrozumiałych prawd. Zaprzeczają im wprost, bojąc się wysiłków umysłu, albo też noszą się z fikcją o prostocie zjawisk przyrody, a nie mogą zrozumieć, że własna nasza psychika najprostsze nawet zjawiska w nierozwiązalne węzły poplątać może. Czyż można sobie wyobrazić coś prostszego, jak wyrażenie matematyczne prawa Newtona, a przecież już ruchy trzech ciał, działających wzajem na siebie według tego prawa, są tak złożone, że umysł ludzki napróżno dotychczas się wysiła, ażeby sobie obraz tych ruchów uprzytomnić. Matoman w swoich zapatrywaniach idzie jeszcze dalej. Jest on nie tylko z góry przekonany o fałszywości dowodów naukowych, ale zarzuca uczonym wprost, że kłamią świadomie, oplątując swoje wywody siecią pozornych trudności, aby oszołomić i odstraszyć tych, którzy chcieli-by owe kłamstwa zdemaskować. Wydawszy taki wyrok, można już snuć teorie własne, nie oglądając się na sprzeczności z nauką oficjalną—owszem nawet musi się z nią być w sprzeczności, jeżeli się szczerze i sumiennie dąży do prawdy.

V.

Podejmowanie przez matomanów kwestyi trudnych, które zresztą nauka, całkując pracę całych wieków, ostatecznie rozwiązała, opiera się, jak wspomnieliśmy, na podawaniu w wątpliwość dobrej wiary uczonych. Obok tego istnieją kwestye naukowe, usuwające się wprost z pod ścisłej kontroli doświadczenia i rozumowania, do których zabierało się tylu ludzi niepowołanych, iż powstały całe stopy prac, w których niekiedy znajdzie się jakieś zdrowe ziarno, ale którego wyszukanie przedstawiłoby trud tak olbrzymi i niewdzięczny, że rzadko komu chce się go podejmować. Do takich zdyskredytowa-

nych tematów w astronomii należą naprzykład wszelkie kwestye kosmogoniczne, teorya budowy słońca i t. p. Żaden uczony, świadomy środków, jakimi nauka dziś rozporządza, nie podejmie się wyjaśnienia, w jaki sposób powstał widzialny wszechświat, żaden olbrzym wiedzy, który ma pojęcie o nieźmiernym materyaie obserwacyjnym, dotyczącym zjawisk na słońcu, odbywających się w warunkach, których na ziemi wytworzyć, a więc też wyobrazić sobie nie można, nie odważy się dzisiaj budować zupełnej teoryi słońca. Dzisiaj kosmogoniczne teorye może budować tylko ten, kto nie zdolen jest do kontroli matematycznej swoich wniosków, a teorye słońca—tylko ten, kto nie obserwował słońca przez spektroskop, kto nie może sobie uprzytomnić ogromu traconej przez słońce energii, kto jest w stanie skurczyć olbrzymie, cudowne zjawisko przyrody do rozmiarów, które się dadzą wtłoczyć w sferę nieudolnego ludzkiego pojmowania rzeczy. I dlatego w kosmogonii nauka stoi na gruncie wspaniałej koncepcyi Laplace'a, modyfikowanej w szczegółach w miarę postępu krytyki i nauki, a w poglądach swych na słońce poszła tak daleko, że odrzuciła wszelkie ogólne teorye słońca i zadawała się tem, gdy wyjaśnienie jakiegoś szczegółu da się sprowadzić do analogii ze zjawiskami, zachodzącymi na ziemi.

Trudność i nieuchwytność zadań wyżej przytoczonych sprawia, że nauka z góry z podejrzliwością i sceptycyzmem przyjmuje każdego, kto wystąpi z nową teoryą kosmogoniczną, albo nową teoryą budowy słońca. Pomimo to, a może właśnie dla tego, teorye takie pojawiają się bez przerwy, a lwia część produkcji w tym kierunku odpada na rachunek matomanów, którzy chętnie szukają odznaczenia i sławy w tych dziedzinach, gdzie nauka otwarcie wyznaje swą bezsilność.

Najzawilsze kwestye matomani rozwiązują z największą łatwością ku zupełnemu swemu zadowoleniu. Do czego zdolni są uczeni, jeżeli nie mogą sobie dać rady z najprostszymi kwestyami; na co oni właściwie istnieją, jeżeli człowiek, który nie obrał sobie nauki za zawód życia, jedynie dzięki odrobinie zdrowej, samodzielnej logiki, ma im torować drogę pośród niepokonanych dla nich trudności?

Jakie idee w swoich dziełach wygłaszają matomani, w jaki sposób je uzasadniają, jak kwestye naukowe rozwiązują, nie można tego ogólnie scharakteryzować, tembardziej, że niema tematu w nauce, który-by nie znalazł swego matomana. Na podstawie kilku przykładów, które pozwolę sobie przytoczyć, czytelnik sam o pracach matomanów zdoła sobie wyrobić pojęcie.

Weźmy naprzykład pod uwagę książkę Henryka Ówiklińskiego p. t. „Najciekawsze tajemnice astronomii“, a mianowicie zawartą

w tej książce teorię kosmogoniczną autora. Podstawą tej teorii są t. zw. pozorne nicości, któremi są na przykład próżnia i cień. Nie są to, zdaniem autora, nicości rzeczywiste, albowiem w każdej z nich tkwi ukryta siła. „Próżnia wciąga nam język i usta w szyję flaszki, gdy wyśsiemy z niej powietrze“, a siła, która zawarta jest w cieniu, udziela się zmęczonemu wędrowcowi, gdy w cieniu spocznie, „cień też wytwarza różne rodzaje pleśni, mchów i grzybów“. Otóż we wszechświecie była na początku ciemność i próżnia, ciemność wytworzyła „potworne chmury pleśni“, a próżnia ścigała je i utworzyła kule światów. Na tej zasadniczej idei autor, operując coraz nowemi „pozornemi nicościami“, buduje swój świat.

W książce d-ra J. Weinberga, p. t. „Geografia powstania i rozwoju kuli ziemskiej,“ znajdujemy następujące poglądy. Świat składa się z trzech gatunków komet: słonecznych, planetarnych i księżycowych, z których utworzyły się słońca, planety i komety. Komety takie ciągle odrywają się od mgławic i przyciągane są przez odpowiadające ich naturze ciała niebieskie. Skutkiem tego masa naszego układu wciąż się powiększa, dla otrzymania równowagi w układzie, każdej komecie słonecznej, przyciąganej przez słońce, musi odpowiadać kometa planetarna. Komety słoneczne łączą się ze słońcem, wywołując na jego powierzchni różne zaburzenia, które obserwujemy w postaci plam, protuberancyi itp., komety planetarne są to np. małe planety między Marsem a Jowiszem. Nie są one tylko odkrywane, jak astronomowie sądzą, ale w istocie przybywają. Tak samo nie było dawniej w układzie słonecznym Neptuna, dopiero w 1845 dla równowagi został do niego wciągnięty i naturalnie natychmiast spostrzeżonym. Dalsze szczegóły pomijamy.

W książce Fr. Wodeckiego p. t. „Księga wszechświata i sposób jej czytania,“ oraz w broszurce p. t. „A jednak się nie porusza,“ której autor ukrył się pod pseudonimem 44, występuje myśl przewodnia, że ciała niebieskie są ożywione i mają zupełną świadomość swoich czynów. Poza tą wspólną ideą, w szczegółach znajdujemy znaczne różnice. Według pierwszego z autorów każde słońce, każda planeta przedstawiają skończone indywiduum, przyczem słońce jest to indywiduum męskie, planety indywidua żeńskie. Zgodnie z pojęciami Kopernika, słońce znajduje się w spokoju, a planety się poruszają—ale nie skutkiem ciężenia mas, jak przypuszczał Newton, lecz z własnej, nieprzymuszonej woli. Celem tego ruchu, jest umożliwienie stosunku płciowego pomiędzy słońcem a planetami, które stanowią, jakoby jego harem. Życie na planetach jest wynikiem owego obcowania płciowego, a narodzenie się pierwszego człowieka z matki zie-

mi, oraz pierwsze jego dni życia, autor opisuje ze wszelkimi szczegółami. Celem głównym tej pracy jest obalenie prawa Newtona.

Drugi z wymienionych autorów głównie zwraca się przeciw Kopernikowi. Według niego, cały wszechświat jest jednym wielkim organizmem, a oddzielne ciała niebieskie, chociaż posiadają zupełną świadomość siebie, są w stosunku do całego organizmu czemś w rodzaju komórek organizmu zwierzęcego, albo kulek krwi. Zaprzecza on istnieniu słońca, uważając je za odbicie wewnętrznego ognia ziemi od wklęsłego, realnego, sklepienia niebieskiego. Nie może więc ziemia krążyć dookoła słońca, którego wcale niema, a zresztą ziemia, jako świadoma siebie i rozumna istota, cierpiąca przytem na chorobę skórą (rolę grzybków i bakterii odgrywają tu rośliny, zwierzęta i ludzie), nie będzie się kręciła bez potrzeby, skoro może pozostawać w spoczynku.

Nie będę mnożył przykładów. Takie poglądy reformatorskie znajdujemy po owych wstępach, pełnych wycieczek przeciw uczonym, wygłaszanych z niezmierną pewnością siebie, z ciągle zaznaczaniem przekonaniem, iż od tych teorii rozpocznie się nowa era w nauce. I gdyby się nie miało co chwila dowodów zupełnej dobrej wiary autorów, gdyby się nie widziało i nie doświadczało, że są ludzie, którzy nawet takie idee traktują poważnie, albo też wyniki nauki uważają za podobne urojenie, gdyby się nie miało przeświadczenia, że się ma do czynienia z płodami zboczenia umysłowego, można-by wywody matomanów traktować czasami, jako niezrównaną w pomysłach humorystykę. Tracimy wszakże ochotę do śmiechu, kiedy uświadomimy sobie prawdziwy stan rzeczy.

Gdybyśmy wszakże dla ostrzeżenia czytających chcieli dać choćby spis bibliograficzny prac matomanów w astronomii, znaleźlibyśmy się w niemałym kłopotcie. Trudno bowiem niekiedy wydać stanowczy wyrok co do tego, czy mamy do czynienia z objawem matomanii, czy tylko z płodem wybujałej dyalektyki. Niestety, obok zdań i poglądów zupełnie rozsądnych, spotykamy naraz tak krzyczącą niedorzeczność, iż trudno wierzyć przychodzi, aby wszystko to z jednej głowy pochodzić mogło. Nie chcąc być zbyt surowym, nie można zaliczać do obłąkanych tych wszystkich, którzy wygłaszają poglądy niedorzeczne—ta niedorzeczność musi przechodzić pewne granice, ale gdzie jest ta granica, tego określić ściśle nie można. Bądź co bądź, pobłażliwość krytyki nie powinna przechodzić pewnych granic i nie sądzę, ażeby była pożyteczną zbyt wielką względność dla autorów prac poronionych, podyktowana współczuciem dla ich twórców.

Tę uwagę nasuwa zaś niezbyt dawno ogłoszona w „Kuryerze Warszawskim“ ocea książki p. t. „Pogląd na ustrój przyrody“, na-

pisanej przez Przyrodnika. Recenzja ta pochodzi ze strony bardzo poważnej, a jest nadzwyczaj dla owego dzieła pochlebną. Kiedy mi ta książka przed dwoma laty wpadła do ręki, uważałem ją za dzieło matomana. Dzisiaj nie chcę się przy takim zapatrywaniu upierać, chociaż wiele przemawia za jego słuszością. Ale i dziś odmawiam tej książce wszelkiej wartości, a dla uświadomienia mego sądu pozwolę sobie podać w krótkości jej treść oraz kilka uwag krytycznych.

Z treści książki widać, że autor posiada znaczne czytanie filozoficzne i przyrodnicze. Cytaty z dzieł filozoficznych i przyrodniczych zajmują większą połowę książki, można je czytać z zajęciem, jak i niektóre uwagi autora o charakterze ogólniejszym. Celem wszakże autora jest ugruntować całe przyrodoznawstwo na mocnych fundamentach, których mu dzisiaj brak — i w tem dążeniu, niestety, występuje cała opaczność jego rozumowania i daltizm umysłowy w stosunku do własnej osoby, stanowiący jedną z cech charakterystycznych matomanów. Zresztą nie brak w jego książce żadnej z owych cech charakterystycznych.

We wstępie p. t. „Słówko do myślących“ znajdujemy nieuniknioną śpiewkę o rutynie uczonych, która każe im bronić uparcie nawet mylnych poglądów, i o bierności ogółu przyrodników, którzy z obawy narażenia się autorytetom, nie odważają się na żadną opozycję. Dalej autor wzywa myślących, aby odważyli się myśleć samodzielnie, aby nie importowali gotowych idei z zagranicy, która oślepia nas mnóstwem sławnych nazwisk, lecz, aby na miejscu budowali gmach nauki, do którego podstawy znajdą w książce autora. To wezwanie zwraca się nie tylko do przyrodników, ale do całego myślącego ogółu, szczególnie do młodzieży, niezakrzepłej w rutynie, do duchowieństwa, prawników, publicystów. Zaznaczywszy wreszcie, że robota jego jest tylko szkicową, w szczegółach niewykończoną, że w gruncie rzeczy chodziło mu tylko o przedstawienie idei zasadniczej, dalsze jej rozwinięcie i opracowanie pozostawia innym.

Według autora, chwiejność poglądów przyrodniczych jest skutkiem zupełnej bezkrytyczności uczonych, którzy zaniedbali poznanie zasadniczych podstaw nauki, jakimi są materya i prawo przyczyny, a bez tych podstaw nie można marzyć o zdobyciu jakichkolwiek trwałych wiadomości. Więc też pierwszym zadaniem autora jest krytyczne wyjaśnienie istoty materii i związku przyczynowego zjawisk.

Otóż wiadomo każdemu przyrodnikowi i filozofowi, że te kwestye, które autor chce rozwiązać na samym początku, należą do bardzo trudnych i rozwiązanie ich prawie przerasta siły umysłu ludzkiego. Ale trudność tych zadań staje się widoczną właśnie dopiero

przez zastosowanie bardzo głębokiego krytycyzmu naukowego, umysł bezkrytyczny z łatwością zadania te rozwiąże, ale rozwiązanie to uczonych nie zadowoli. Czyż cała fizyka, mechanika, chemia itd., nie prowadzą nas do coraz głębszego poznania własności materji, oraz odkrywania coraz ściślejszego związku pomiędzy zjawiskami, pozornie całkiem odmiennymi, a poznanie istoty materji, oraz istoty t zw. przyczynowości czyż nie jest tym ostatecznym ideałem, do którego owe badania dążą?

Takie odwrotne postawienie kwestji świadczy o niezrozumieniu trudności, z którymi nauka walczy. Ale zobaczymy w jaki sposób autor tę trudność rozwiązuje.

Otóż przede wszystkim chodzi mu o rozstrzygnięcie, czy atomy mają być realny, czy nie. Cytuje na dużych 16 stronach najrozmaitsze w tym względzie zapatrywania uczonych, a wreszcie zatrzymuje się na „niedorzecznym“ argumencie, że nie można sobie wyobrazić drobiny tak malej, aby już dalej była niepodzielna. „Krytyczne“ rozwiązanie kwestji przez autora jest takie, że przecież drobina nie może się już dzielić, skoro osiągnęła swą minimalną wielkość — i na tej podstawie oświadcza się za atomistyczną budowę materji. Pomimo tej atomistycznej budowy, uważa, że materja napenia przestrzeń w sposób ciągły.

Znacznie więcej miejsca poświęca autor samej materji, przyczem polemizuje z zapalem z najrozmaitszemi filozofami i przyrodnikami, których poglądy uważa niekiedy za graniczące z objawami patologicznymi. Czytamy z zainteresowaniem, w nadziei, że autor zdobędzie się po tak druzgocącej krytyce na jakiś pogląd głębszy i oryginalny, i w końcu znajdujemy „krytyczny“ wniosek autora, że materja istotnie jest materjalną i wszelka substancja materjalna nazywa się materją!

Nie lepiej załatwia się autor z prawem przyczyny, nie mówi tu już nawet o jego istocie, lecz zadawała się wykazaniem jego ważności nie porzucając ostrego tonu polemicznego, jak gdyby w istocie znajdowali się ludzie mający inne pod tym względem zdanie.

Nie jest mojem zadaniem wyliczać wszystkie sprzeczności i niedorzeczności, jakie spotyka się na każdej stronicy, zwrócę tylko jeszcze uwagę w kilku słowach na główną ideję autora. Otóż głównym jego celem jest wyrugowanie z nauki pojęcia eteru. Właściwie zaś nie ruguje samego pojęcia, tylko jego nazwę — bo na jego miejscu kładzie „normozę.“

Owa normoza jest połączeniem równych ilości elektryczności dodatniej i ujemnej, i wypełnia wszechświat w sposób ciągły. Nie

ma na to autor żadnych dowodów, ale wymaga tego rozsądek natury i prawo rozumnej konsekwencji". Elektryczność jest materią najdzielniejszą ze wszystkich (rozmaitych), jest płynem, przezroczystym i sprężystym, jest ciałem jednolitem, a jednocześnie złożonem z różnych specyficznych pierwiastków, obok tego bezatomowem i niepodzielnem, a pomimo to przenikliwem i włóknistem. Trudno pojąć, w jaki sposób krytyczny autor był w stanie w jednym ciele umieścić tak biegunowo sprzeczne z sobą własności. Niestety, nie podaje on już tu argumentów, lecz wzywa młodych uczonych, ażeby podjęli się tej pracy, na którą jemu brak sił i czasu. Sam zaś płacze się w chaosie niedorzeczności, w których oryentować się nie łatwo, z którego kilka wyłowionych zdań przytaczamy: światło i ciepło słoneczne jest wyrazem wpływu elektryczności słonecznej na powierzchnię ziemi, „przypisywanie słońcu wysokiej temperatury, sięgającej ciepłotą aż do kuli ziemskiej, jest przypuszczeniem błędnem i z prawami natury niezgodnem”; przypiływy i odpływy morskie są następstwem „indukcyjnego wiązania się elektryczności ziemi, księżyca i słońca; widmo słoneczne jest rozkładem normozy na jej specyficzne pierwiastki itp."

Po tym najgłówniejszym rozdziale książki musimy przyjść do wniosku, że autora trzeba zaliczyć do matomanów. Jednakowoż w końcu książki dodaje autor „Dopełnienie", w którym znajdujemy znowu sporo myśli całkiem rozumnych, ale też mniejszą pewność siebie i objawy braku zaufania do poglądów, poprzednio wygłoszonych. Wprawdzie jeszcze na samym końcu autor odmawia wszystkim obliczeniom astronomicznym, opartym na stosowaniu prawa Newtona, wszelkiej wartości, ale tu już bez wahania powiedzieć możemy, że zarzuty oparte są tylko na nieporozumieniu oraz na błędach, zawartych w niektórych podręcznikach szkolnych, a nie są wynikiem matomanii. Taki wniosek wszakże nie upoważnia jeszcze do tego, ażeby zachęcać kogośkolwiek do czytania książki, w której z każdej strony wieje duch negacyi, opartej tylko na urojeniach, a to, co ma być pracą pozytywną autora, jest gorączkowem majaczeniem.

Może za wiele miejsca poświęciłem książce, z którą załatwić można-by się było krótko, gdyby nie było tak wielkiej różnicy poglądów na jej wartość. Ale możliwość takiej różnicy sama świadczy dostatecznie, jak odmienne są sądy ludzkie, i nie ulega wątpliwości, że w szerokich masach nawet typowe książki matomanów znajdują mogą licznych zwolenników.

Artykuł swój oparłem na faktach, wziętych z jednej tylko dziedziny wiedzy. Jestem przekonany, że fakta takie znalazł-by każdy specjalista w swej własnej dziedzinie, ale może za mało wogółności

zwraca się na nie uwagi i zbyt pobłażliwie toleruje. Tymczasem szkoda, którą takim tolerowaniem się wyrządza, jest większa, aniżeli się wydaje, gdyż z pewnością walka z ciemnotą jest o wiele łatwiejszą, aniżeli walka ze spaczonymi pojęciami. A zapobiedz rozszerzaniu się takiego stanu rzeczy może tylko ścisła i sumienna kontrola produkcyi książkowej.

M. ERNST.

EMIL ZOLA.

„Członkowie rady municypalnej zamierzają wystąpić z wnioskiem wzniesienia pomnika Emilowi Zoli, nazwania jednej z ulic Paryża jego nazwiskiem, a wreszcie złożenia zwłok jego na wieczny spoczynek w Panteonie.“

W tych słowach zapowiedziała niedawno depesza Paryżowi, Francji, światu całemu epilog jedyne w swoim rodzaju widowiska, do którego osobliwszych motywów dostarczył rozpętanym namiętnościom „stolicy-światła“ pogrzeb twórcy „Rougon-Macquartów.“ Czy i jak odegra się ten epilog; o ile Panteon będzie gościnniejszym od Akademii—nad tem dzisiaj niema powodu rozmyślać. Prawdopodobnie spoczną tam popioły Zoli; od rzeczypospolitej, zdobywającej szturmem klasztory i szkoły kongregacyjne, zbrojącej się w cały aparat militarny do walki z kobietami i dziećmi, należy się to pisarzowi, który z takim przerażeniem patrzył na wzbierającą około siebie falę idealizmu, który przed dziesięciu laty z taką trwogą pisał do najwytrwalszego z pośród zrzedniałej falangi swoich wielbicieli, do p. Van Santen Kolff: „wytwarza się teraz reakcja przeciwko wiedzy, nie dotrzymującej swych obietnic. Cała dzisiejsza ludzkość wydaje mi się jak chora, która, zdjęta niesmakiem do nauki a spragniona ulgi, rzuca się w objęcia wiary.“

Będzie więc republikańska beatyfikacya Zoli rodzajem ostatniego zwornika, zamykającego nad ogromnym trójgrodem: „Lourdes“, „Rzym“, „Paryż“ sklepienie kopuły Panteonu, gdzie znajdzie apoteozę duch, znużony przewodniczeniem tej „chorej ludzkości“ po ciężkiej drodze, wiodącej od „zabobonu“, przez „religię“ ku „wiedzy“; będzie tam uczczona jego „Płodność“ i „Praca“ w oczekiwaniu na „Prawdę“ i „Sprawiedliwość“, które jeszcze ostatniego słowa nie wypowiedziały. Nim to nastąpi, oderwijmy się na chwilę od symbolu czterech ewangelii Emila Zoli, spróbujmy poprostu schara-

kteryzować co jego płodność, jego praca przyniosły literaturze i za stanówmy się nad tem, co o tem wyrzec mogą. prawda i sprawiedliwość.

I.

Przedewszystkiem muszą go sobie przypomnieć,—bo im w ostatnich czasach zupełnie wyszedł z pamięci, której nie odświeżały nawet zjawiające się od czasu do czasu książki. Człowiek żył, pisarz umarł o wiele wcześniej; książki zaś owe wyglądały, jakby widzenia z innego świata, gdzie potomstwo „zwierzęcia ludzkiego,“ jakimś cudem przeanielone, zwiastować zaczęło niespodzianie erę rajskiej szczęśliwości. Przed czterema laty Karol Récolin nazwał był Emila Zolę *un survivant du naturalisme*; naprawdę jednak autor cyklu „trzech miast“ i prorok „czterech ewangelii“ sprawiał już wtedy wrażenie raczej upioru literackiego, niż żywej siły twórczej, której ostatni wysiłek „Doktor Pascal“ był na tem miejscu przedmiotem szczegółowej oceny.

Wysiłek spełnił się, jak to dawniej jeszcze w „Bibliotece“ z powodu „Pogromu“ zaakcentowałem, w charakterystycznym bardzo odosobnieniu. Emil Zola, wczorajszy dogmatyk i teoretyk, pogromca literatur poprzednich, zwiastun literatury przyszłości, twórca formuł, propagator metod, bicz na starych, apostoł młodych — stał sam, bez przyjaciół, bez uczniów, bez naśladowców, bez towarzyszków walki, którzy tak się rozproszyli po różnych szlakach literackich i nieliterackich, a tak pozbaczali ze wskazanej przez mistrza drogi, że już ich nic z tej rozsypki napowrót około niego nie zgromadziło. Pozorami panowania ludził się może jeszcze historyk „rodziny z czasów cesarstwa“, ale rządzić już nie mógł—i gdyby było doszło do skutku omawiane wówczas żywo przyjęcie Zoli do grona „nieśmiertelnych“, współczesnym przedstawił-by się oryginalny widok pisarza naturalisty, reprezentującego na fotelu akademickim literaturę, która nie chciała być naturalistyczną.

„Doktor Pascal“ miał więc w tej dobie symboliczne, pod wielu względami, znaczenie: symbol bowiem ogarniał nie tylko dzieło, ale i autora znamionami literackiego marazmu; a kiedy z odległości dzieściulecia spojrzymy na ten „koniec epopei“, giuie nam z przed oczu odpychający romans sześćdziesięcioletniego mężczyzny z dwudziestoletnią dziewczyną i występuje natomiast ideowy podkład tej „sie-

lanki*, w której dopatrywano się „próby ożenienia realizmu z pewnemi aspiracyami do ideału“, a który wywierał raczej wrażenie starczego umizgu naturalizmu do młodej, dręczonej niepokojącą tęsknotą, literatury.

Osobliwszy to był umizg, co próbował tragicznym grymasem pesymizmu, zapatrzonego w najmroczniejsze otchłanie natury ludzkiej, obudzić pragnienie życia, i z obrazów obłędu, choroby, śmierci wydobyć moc rozrodczą do stworzenia w ostatnim, przedśmiertnym uścisku generacji epigonów. W perspektywie oddalenia wszystko w tym wysiłku nabiera pozorów intencji myślowej, począwszy od miejsca, które było jego widownią, od owego Plassans, gdzie grudniowy zamach stanu stał się początkiem świetności Rougonów i gdzie dokonywa się końcowa w ich dziejach ewolucja, aż do słynnego drzewa genealogicznego, rozgałęziającego poglądowo plugawe nieprawości „rodziny z czasów cesarstwa“. Zdawało-by się, że Pascal-Zola, pragnąc ostatnim rzutem oka objąć całość swego dzieła, przypomina, jak w owych przewodnikach po Wagnerowskim teatrze, wszystkie *leit-motywy* tego dramatu filisterskich Atrydów. Więc w „pamiętną noc,“ przy odgłosie grzmotów, z muzyką wyjącego wiatru, od którego wściekłych podmuchów drżą wylęknione świec płomyki, raz jeszcze w czarnoksiężskiej latarni przesuwają się w postaci chińskich cieni, rzuconych na tło teraźniejszości z odległości czasu i przestrzeni, pięć pokoleń neurasteników, psychopatów, alkoholików, erotomanów, hysteryczek i rozpustnic. I pozują w błyskawicach Rougon-Macaquarty do obrazów, wśród których przygody i katastrofy, cierpienia i uciechy, nędze i wspaniałości układają się w kolosalną syntezę oszustw, złodziejstw, morderstw, cudzołóstw, prostytucji, streszczającą w jednej rasie historię społeczeństwa, okres dziejów Francji, oświetlany z pokolenia na pokolenie tajemniczymi odbłyskami dziedziczności.

Nie będziemy w charakterystyce pisarza, reasumującej to, co już w „Bibliotece“ było o nim powiedziane, powracać do składników tej syntezy. Wiemy co warta rzekomo naukowa, doświadczalna jej podstawa, co trzymać zarówno o owych „prawach“ dziedziczności, stosowanych przez Zolę z naiwną pewnością dyletanta wszędzie, gdzie nauka waha się lub obwarowywa zastrzeżeniami, jak i o jego eksperymentach, dokonywanych na materyale, nie z „natury“ dobytym, lecz w wyobraźni zapóźnionego romantyka poczętym. Wiemy, że na takim-to chwiejnym, grząskim gruncie urodziła się grupa indywiduów, przekazujących sobie w fizjologicznej spuściźnie temperamenty, poddawane z rozmysłem działaniom sztucznie zgrupowanego środowiska, gdzie najważniejszą, decydującą niemal, rolę odgrywały rzeczy martwe, obdarzone przez autora duszą, którą odebrał człowiekowi. Po-

znaliśmy istotę i wpływ takiego materialnego determinizmu na ludzi, wijących się w konwulsjach pod brzemieniem zwierzęcej fatalności. I doznawaliśmy dziwnego na ten widok wrażenia, jak gdyby nas przeniesiono w świat szczególniejszy, który nie jest ani tworem fantazyi, ani odbiciem rzeczywistości, w świat hallucynacyi, gdzie uderza nie epickie tej rzeczywistości wyolbrzymienie, z zachowaniem względnych między rzeczami i ludźmi proporcji, ale deformacya, potworne wykrzywienie linii, kształtów, fizjonomii, w dławiającym nieustannie uścisku sennej zmory.

Nie powrócimy do tych wizji naturalisty, wynaturzającego naturę; ale powrócić nam wypadnie na chwilę jeszcze do ostatniej sceny romansu jego z poezją, bo ta właśnie scena, poprzedzająca śmierć nie tylko bohatera, ale i pisarza, jest genezą całego szeregu utworów, któreby właściwie pogrobowymi nazwać należało.

To co występuje na schyłku owej „nocy historycznej“, wypełnionej retrospektywną fantasmagorią Rougon-Macquartów i tajemnicami „drzewa genealogicznego“, da się streścić w tych mniej więcej słowach doktora Pascala do Klotyldy Saccard:

— Widzisz moje dziecko, wszystko, co ci przedstawiłem ohydnie wprawdzie wygląda, ale właśnie dla tego warto żyć na świecie. Więc skoro newropatyczna prababka mogła dać początek aż dwóm szeregom potomstwa, ślubnej linii Rougonów i nieprawych Macquartów; ponieważ piękna Klotylda była tak potężnego jak Eugeniusz Rugon, męża stanu, a Renée Saccard zażywała w oranżeryi męzowskiej kazirodczych z jego synem wczasów; kiedy Albina doprowadziła do grzechu księdza Moureta, a Helena Mouret rzuciła się na szyję wezwanemu nocą do córki lekarzowi i namiętnością swoją zabiła zazdrosne o matkę dziecko; jeżeli Gerwaza Macquart utrzymywała z mężem Coupeau i kochankiem Lantierem gospodarstwo we troje, a Seweryna zamordowała do wspólni z małżonkiem starca, który ją był do rozpusty wciągnął, aby następnie oszukać swego współnika z Jakóbem Lantierem; skoro Franciszka Macquart pomagała swemu mężowi do gwałtu na własnej siostrze, a Nana, obezwładniony nierządem cały Paryż, ułatwiła wrogom pogrom Francji — to ty bądź moją!

Że na tak przekonywające wezwanie młoda dziewczyna padła w objęcia starca, — temu dziwić się niema powodu, kiedy się wie jak wygląda miłość u Zoli, jak w tym zmysłowym akordzie nie brak nawet nuty znieprawionego pożądania, rozkoszującego się zetknięciem z rozkładem. Tylko tu bierze ochota odwrócić się od symbolu, albo nawrócenie idealistki do pozytywizmu, po „lekcji życia“, demonstrowanej w klinice newropatycznej na okazach szpitalnych, oddanie

się konającemu naturalizmowi młodej literatury pod hasłami wypisanemi na jego karcie pogrzebowej, uważać raczej za akt gwałtu, o wiele prawdopodobniejszy dla wszystkich, co pamiętają dawne jej z nieboszczykiem obrachunki.

II.

Zanim Zola doczekał się w postaci Doktora Pascala białych włosów, zdarzył się, jak wiadomo, fakt, z którego niecierpliwse umysły, wyglądające z utęsknieniem brzasków nowej literatury, wyprowadzały pośpieszny jeszcze naówczas wniosek, że gwiazdę Zoli zaczynają już przesłaniać mroki, posępne zwiastuny zupełnego zaćmienia. Grupa literatów, mieniących się uczniami historyka Rougonów, zaprotestowała „w imię artystycznego sumienia“, w imię „miłości i szacunku dla sztuki“, przeciwko kałuży, w której nurzał się ostatni wtedy romans Zoli, „Ziemia“. Wódz naturalistycznego zastępu odpowiedział, że tych panów zupełnie nie zna, „że nie siadali za jego stołem“, więc protest ich nic go nie obchodzi.

Gdyby doniosłość owej protestacyi miała być zależną od wrażenia, jakie wywarła na Zoli, można-by cały ten literacki epizod w dziejach naturalizmu uważać za objaw bez znaczenia. Ale nie idzie tu bynajmniej o to, czy wystąpienie panów Bonnetain, Rosny, Descaves, Margueritte i Guiches dotknęło mniej lub więcej autora *Asso-moire'a*, albo czy nazwiska tych panów nadawały ich manifestacyi dostateczną powagę; owszem—im mniej protestujący należeli-by do cechu literackiego, im bliżej byli-by sfery czytelników, tem bardziej na seryo wypadalo traktować taki symptom, zwłaszcza, że jednocześnie, o miedzę, w Niemczech występował w tej samej sferze objaw biegunowo przeciwny. Podobnie jak różne artykuły mody, Zola zaczynał wśród narodu idealistów rozgłosnej zażywać popularności, właśnie w chwili, kiedy ten rozgłos we Francyi zdawał się przycichać. Krytycy niemieccy ścigali się w studyowaniu różnych zwrotów twórczości „ojca naturalizmu“, a w tem wszystkiem rej wiodła także grupa młodych pisarzów, marzących o urzeczywistnieniu w swej ojczyźnie przewrotu literackiego, który był-by powtórzeniem wielkiego okresu „burzy i wrzenia“.

„Księżą, która ze wstrząsającą powagą uderza w każdy nerw syna naszych czasów“, — pisał najśmielszy z pośród tych rewolucyo-

nistów, — jest *Germinal* Zoli, wielka allegorya nowożytnego społeczeństwa i jego stosunku do praw żelaznej konieczności; dzieło męskiej twórczości, wobec którego kamienieją z przerażenia, niby przed wizerunkiem w Sais, wszystkie obojej płci kobiety. „Weltschmerz” z epoki politycznych przewrotów wyraził się w *Werterse*, w *Renem*, w *Child Haroldzie*, bóle wszechświata dzisiejszej żelaznej doby znalazły sobie wieczną w *Germinalu* formułę—a to najwyższy szczyt do jakiego poeta osiągnąć może. Że Zola jest wielkim poetą, o tem wie każdy, kto zachował w sobie szczyptę zdrowego rozsądku, a potrafi zrozumieć błyskawiczne oświecenie otchłani duszy i przytłaczające brzemień sytuacji „*Germinala*”. Ale Zola jest czemś więcej. Pogardzając utartymi kolejami, któredy mkną gładko konwencyonalni poeci, wyższy nawet od twórców, snujących z siebie nową przedzę, piętnuje swoje indywidualne tworzywo znamieniem wieczystej prawdy i, kojarząc energię poety z siłą myśliciela, nadając prawdziwej po wszystkie czasy idei oryginalną, artystyczną formę, jest, w pewnych zaciętych granicach, „jedynym po Byronie wszechświatowym poetą”.

A teraz, zestawmy te dwa wyroki, oba wydane przez młodzież, przysięgającą na te same hasła, garnącą się pod ten sam sztandar: gdzie prawda: czy w proteście Francuzów, czy w dytyrambie Niemców? kędy szukać Zoli takiego, jakim istotnie był: czy w cuchnącem bagnisku owej wyklętej „Ziemi”, czy też w jej mrocznych przepaściach, gdzie badacz życia górników zdawał się tajemnice pierwotnych natur podpatrywać w działaniu elementarnych sił przyrody? Albo może między tą tragedią podziemnej niedoli, rzuconą impulsem posępnego talentu na tło dantejskiego piekła, a poronionym płodem doktrynera, kreślącego, jak opiewa protest, „retorycznych pajaców i potworne sylwetki”, istnieje twór, który-by nam lepiej wytłómaczył indywidualność Zoli, rolę, jaką talent jego w minionym literackim okresie odgrywał, wreszcie reakcję, wywołaną przeciw doktrynie fanatyzmem jej apostoła?

Istotnie—twór taki egzystuje; ma tytuł bardzo szeroki: „Dzieło” (*L'oeuvre*) i więcej, jak sądzę, przyczynić się może do rozjaśnienia psychologii naturalizmu od wszystkich pism, w których Zola wyklada jego teorię. Właściwie „Moje nienawiści”, „Romans doświadczalny”, „Romansopisarze naturalistyczni”, „Naturalizm w teatrze”, „Nasi autorowie dramatyczni”, „Dokumenty literackie”, — wszystko to stanowi arsenał polemiczny, w którym, z pod ciężkiego rynsztunku argumentów odporno-zaczepnych niedość wyrażnie widać człowieka i pisarza. Człowiek i pisarz wyszli dopiero na jaw w książce, odtwarzającej ze spokojnych obserwacji stosunki literacko-artystyczne ówczesnej doby pod formą powieści, której dwoistym bohaterem, —

wątpić o tem nie można, przeczytawszy cały ów krytyczny materiał, — był sam Zola.

Dwoistym? — nieinaczej.

Świadomie, przedstawił się autor w osobie romansopisarza Sandoza, którego dopełniał, zapewne już bez wiedzy Zoli, malarz, Klaudyusz Lantier; we dwóch dopiero (dopóki „uczony” Pascal nie dopełnił trójcy) streścili formułę współczesnej twórczości literackiej.

— Studyować człowieka takiego, jakim jest, — mówi Sandoz w „Dziele”, — nie pajaca metafizycznego, ale istotę fizyologiczną, działającą w pełni wszystkich swoich organów, co ty na to powiesz, Klaudyuszu? Czyż to nie farsa prawdziwa, owe studia wyłączne nad funkcjami mózgowemi, pod pozorem, że mózg jest organem szlachetnym. Myśl, myśl, — ależ do pioruna myśl jest wytworem całego ciała. Zróbże, żeby mózg sam myślał, i patrz, co się dzieje z jego szlachetnością, kiedy cię brzuch zaboli. Jakto, my, pozytywiści, ewolucyoniści, mieli-byśmy zatrzymać tego literackiego manekina z czasów klasycznych? Kto mówi o psychologii, jest zdrajcą wobec prawdy. Zresztą psychologia, fizjologia, to wyrazy bez znaczenia; jedna przeniknęła drugą, obie składają się na mechanizm człowieka, na całkowitą sumę jego funkcji. I to jest właśnie formuła, a nasza nowożytna rewolucja taką, a nie inną ma podstawę: głosi ona śmierć konieczną staremu społeczeństwu, narodziny nowej społeczności i nieodwołalny rozkwit nowej sztuki na tym nowym gruncie. Tak, — wkrótce może świat zobaczy literaturę, która zakiełkuje w przyszłym stuleciu na glebie wiedzy i demokracji!”.

Pominąwszy banalność ostatnich proroczych frazesów i dziwnie amatorskie pomieszanie pojęć o psychologii i metafizyce, znajdziemy, po odrzuceniu tej grubej łupiny, dość drobne ziarno: obserwowanie zmysłami wrażeń i sensacji człowieka zmysłowego, zewnętrznego, w atmosferze, oddziaływającej nań tylko widomemi, namacalnymi wpływami; opisywanie przedmiotu żywego, o ile go można zobaczyć, usłyszeć, powąchać i dotknąć w otoczeniu przedmiotów martwych, o ile je można zobaczyć, usłyszeć, powąchać i dotknąć. Wobec tej wyłącznej troski o odtworzenie powierzchni życia, nic dziwnego, że sztuki plastyczne tak natarczywie wciskały się do literatury, jak gdyby mszcząc się za to, że literatura tak długo pośród nich gospodarowała; nic dziwnego, że narrator nie mógł ruszyć się bez kolorysty i snycerza, zapożyczając od nich ustawicznie efektów pędzla i dłuta, że kiedy przyszło do tworzenia bohaterów i męczenników dzisiejszej sztuki, Zola skojarzył powieściopisarza i malarza ścisłym stosunkiem, który w intencji autora ma być tylko harmonią pokrewnych usposobień, w rzeczywistości jest dualizmem, rozpoławiającym naturę ówczesnego artysty.

Klaudyusz Lantier pozornie tylko występuje jako wyłączny bohater powieści; w najkrytyczniejszych chwilach towarzyszy mu nieodstępnie Sandoz; właściwie, jeden bez drugiego był-by niekompletnym, bo obu potrzeba do sformułowania owej słynnej naturalistycznej doktryny: „dzieło sztuki jest częstką natury, widzianą przez pryzmat temperamentu artysty“; obaj muszą się złożyć na owo osobliwsze przykazanie naturalizmu, „ażeby utwór artystyczny jednocześnie oddawał jak najobiektywniejszą prawdę i uderzał jak najbardziej osobistą nutą artysty“. Otóż w „Dziele“, Sandoz, powieściopisarz, przedstawia spokój i pracowitość obserwacji przedmiotowej; Klaudyusz jest temperamentem, który spostrzeżenia zabarwia kolorytem „osobistym“, dramat zaś powieściowy polega w gruncie rzeczy nie na indywidualnych dziejach jednego lub drugiego, lecz przedstawia raczej historię rozdźwięku między tymi dwoma ludźmi, z których każdy miewa w procesie twórczości swoje momenty omdlenia i zwycięstwa.

Taką rozterkę dostrzega się w talencie Zoli, czytając uważnie jego cykl powieściowy; Sandoz walczy w nim bezustannie z Lantierem, a chwilowa przewaga któregokolwiek z nich stanowi o większej, lub mniejszej wartości tego, co do wspólki tworzyli. Systematyczny filister, podszyty namiętnym kolorystą—oto Zola, wydobyty z autobiograficznych i antykrytycznych obsłon „Dzieła“. Pierwszy patrzy uważnie, zbiera porządkie, gatunkuje spostrzeżenia, z pedanterią referenta spisuje inwentarz z rzeczy, protokół z ludzi, a gdy już zbiór dokumentów gotowy, wtedy z tego, co nagromadził Zola-Sandoz, maluje obraz Zola-Lantier, materiał obserwacyjny dostaje się do spożytkowania nieokiełznanemu niczem temperamentowi. Nie poznał-by nikt filistra, taki w niego wstępuje demon; nie poznał-by nikt „dokumentów“, takie w nich dziwne zaczyna krążyć życie.

W atmosferze, otaczającej bohatera, przebiegają jakieś tajemnicze dreszcze; schody domu, sprzęty mieszkania, asfalt ulicy, drzewa parku dyszą zmysłowemi żądzami; między ludźmi a rzeczami powstaje związek nie myślowy, lecz fizyologiczny; artysta wrażeń materialnych, Zola, dopuszcza się tego, czego nie może darować romantyk: daje naturze fizyognomię, odpowiadającą stanowi nerwów człowieka, obdarza ją namiętnościami swoich bohaterów, robi krajobraz współdrgającym powiernikiem nie smutków, tęsknot, boleści, tylko instynktów i apetytów ludzkich: tworzy sławny ogród w *La faute de l'abbé Mouret*, lub rozgłosną cieplarnię w *La curée*,—daje się porwać romantyzmowi sensacyi.

Wśród takiego świata zewnętrznego występuje człowiek, popychany zwykle jakimś specjalnym fizyologicznym bodźcem, który,

w miarę rozwoju powieści, rośnie w potężną siłę, wzmagającą się pod działaniem spikniętych na bohatera żywiołów całej jego atmosfery. Wzajemne reagowanie tych wpływów wytwarza wreszcie rodzaj gorączki, przeradzającej się następnie w wizyonerską malignę, która ogarnia stopniowo wszystko i wszystkich: przedmioty, ludzi, wypadki, sytuacje, — wreszcie... czytelnika. Wtedy promień, rzucony przez malarza pod pewnym kątem na tło obrazu, wydaje się jedynie możliwym jego oświetleniem; odosobniony objaw z dziedziny fizjologii przywłaszcza sobie rolę *fatum*, zawieszającego nad aktorami zmysłowego dramatu nieubłaganą grozę; można-by, czytając książkę w takim nastroju, przysiąc, że Teresa Raquin *musiała* w nocy czuć na swoim ciele trupie dotknięcie zamordowanego przez siebie męża; że erotyczny fatalizm pierwszej miłosnej sensacji *musi* znów popchnąć Magdalenę Ferrat w objęcia pierwszego kochanka; że działają tu prawa, stwierdzone metodą doświadczalną, że znajdujemy się wobec prawdy, dobytej z najtajniejszych kryjówek natury.

Skąd się bierze to złudzenie?

Wywołał je już nie obserwator, lecz twórca, który, zupełnie tak samo, jak pierwszy lepszy romantyk, nie może obejść się bez kompozycji, a komponując, goni równie rozpaczliwie za wymykającą mu się z przed oczów ciała przedmiotową prawdą, jak tamten usiłował ująć unoszący się przed oczami jego duszy oderwany ideał doskonałości. I z tego szamotania się powstaje albo arcytwór, jak „Germinal“, albo dziwoląg, którego tragiczne losy, opowiedane w „Dziele“, zostawiają wrażenie złowieszczej przepowiedni.

Klaudyszus Lantier jest reformatorem w malarstwie; od niego datuje szkoła *otwartego powietrza*, wstręt do pracowni zamkniętych i do fałszywego w nich światła; wysiłki oka, obojętnego na linie a odkradającego w lot samej naturze efekty oświetlenia, niedostępne dla nikogo kombinacje i rozkłady barw, zmienne z każdą chwilą dnia i nocy tajemnice kolorytu. „Widzisz, — mówi Lantier, — trzeba innego słońca, innego powietrza; trzeba malowania jasnego i młodego, w świetle, jakie pada na nasze dzisiejsze, młode oczy. Przedmiot obrazu, — to rzecz podrzędna; kształty i kontur — głupstwo; piękność, brzydota — akademickie przesady, zabobony szkoły; barwa i światło — to życie, które trzeba tak oddawać, jak się je widzi. Pęczek marchwi oryginalny, studyowany bezpośrednio, malowany naiwnie, w tonie osobistym, może być początkiem wielkiej w sztuce rewolucji“.

Męczeńskie boje owej rewolucji wypełniają stronic „Dzieła“.

Achl te mokoły tworzenia, ten krwawy wysiłek, ta walka z rzeczywistością, niedostępną jak ideał, przypominająca borykanie się z biblijnym Aniołem, — ileż to wszystko kosztowało Klaudyusza i jak

było do konania podobnem! Mocował się z pragnieniem ogarnięcia całej natury na płótnie, padał, wycieńczony fizycznemi bólami porodu, a geniusz jego nie mógł ujrzeć światła dziennego; wreszcie kiedy rozpacz wypędzała go z pracowni, kiedy uciekał od samego dzieła, unosił z sobą myśl fatalnej niendolności, która mu jęczała w czaszce odgłosem pogrzebowego dzwonu. Potem przyszły majaczenia wzroku; pierwotna, oryginalna, jasna, drgająca notacja efektów słonecznych, zamącona teoryami naukowemi o barwach, wyrodziła się w manię, obalającą wszystkie nawyknięcia oka; sine ciała rozpościerały się na płótnie pod trójkolorowem niebem, wstrętne niebyszałym, potwornym kolorytem. Lantier malował „tak, jak widział“; tragiczną zaś stroną tej twórczości maniaka było nietylko to, że przeciętny filister, uosabiający w sobie pogardzaną publiczność, nie chciał, nie mógł widzieć tak, jak on, ale że „osobistą nutę“ Klaudysza przestali oceniać, nawet rozumieć, przyjaciele i wyznawcy. Powoli rozszerzała się koło nieszczęśliwego próżnia; ci, którzy z nim razem marzyli o przewrocie w sztuce, odeszli, wzruszając ramionami; rozpacz zatapiała coraz głębiej szpony w mózg, w serce artysty, dopóki chwila obłędu nie popchnęła go do samobójstwa. Zawisł na drabinie przed swoim dziełem: zabiła go halucynacja fizyologiczna, przyobleczona na obrazie... w ciało kobiety.

Jaka była natura tej egzaltacji, która Lantierowi stryczek do ręki wcisnęła? Czy uniesienie czysto artystyczne? Takby można mniemać, pamiętając, jak dalece nagość była zawsze motywem malarzkim.

„Wiedz o tem, — pisze Benvenuto Cellini, — że pięć żeber fałszywych tworzy, gdy tors pochyla się naprzód, lub w tył, mnóstwo wypukłości i wklęsłości, które liczą się do głównych piękności ciała ludzkiego. Kręgi będziesz rysował z przyjemnością, bo są wspaniałe. Najważniejszym punktem w sztuce rysunku jest dobrze nakreślić męczyzną nagiego, lub nagą kobietę“.

Posłuchajmy teraz Lantiera w pracowni:

— Niema co! Pyszna rzecz ta nagość! Jaką ci to daje nutę na każdym tle! A jakim życiem drgał! Zdaje się, że widzisz krew, krążącą w mięśniach. Ach! mięsień dzielnie, w pełni światła namalowany! Czy jest co potężniejszego? Jaby klęczał przed tem całe życie... A szczególnie egzaltował mnie zawsze brzuch. To się tak pięknie maluje... istne słońce z ciała.

Niby to samo... jednak czuć w tych słowach przestrzeń paru przeżytych cywilizacji. Tam zachwyt silnej organizacyi, lubującej się przedewszystkiem linią anatomiczną, kształtami plastyki — tu ekstaza nad światłem i barwą, które nagiemu ciału użyczają drgań

fizyologicznego życia, uniesienie, niepodobne nawet do szerokiej, mabaszej zmysłowości Flamandów, ale mające źródło w nerwach, targanych i podniecanych przez wyobraźnię w jednym wyłącznym kierunku. W tem wyrażeniu „istne słońce z ciała“, jest coś nieledwie mistycznego i na drogę też zmysłowej mistyki skierował się kult kobiecego ciała u Klaudyusza Lantier. Narzucał go wszystkim bez ustanku z całą gwałtownością namiętnego temperamentu, z całą bezwzględnością opętanego jednym motywem malarza, a na wszelkie dyskretnie, lekkie zastrzeżenia towarzyszków, przykro zdziwionych tem natarczywem wdzieraniem się nagości w każde ramy, na każde tło, do każdego otoczenia, wbrew najluźniejszej kompozytorskiej logice, jedną miał odpowiedź: „widzicie, ja tego potrzebuję... mnie to podnieca“.

I Lantier nie znał już innej podniety,

Widział ją zawsze i wszędzie. Zawładnęła mózgiem, każdym nerwem jego, przeniknęła do każdej kropelki krwi, wcieliła w siebie całe malarstwo, całą sztukę, zmysł jego artystyczny pędziła śladem fizyologicznej sensacji, wyobraźnię zaludniła fantasmagoryami, które rzucał na płótno, jakby w przystępach wizyi. Przyszło do tego, że owa straszna, jak opętanie szaleńca, naga kobieta przybierała postać jakiegoś potwornego bożka. Pędził, prowadzony ręką lunatyka, wydobywał kombinacje barw, strojących lędzwie i żywot migotliwymi odbłyskami złota i drogich kamieni, niby tajemniczy ołtarz, w którym zawarł się symbol żądz nienasyconych. Rozpaczliwy wysiłek ujęcia samej natury wyrzucił artystę poza jej granice, tam, skąd się już nigdy do rzeczywistości nie wraca.

Musiało się skończyć tragicznie; ale, nim się skończyło, ileż męczarni, a wśród nich jakże krwawa ta dezercja towarzyszków broni z rewolucyjnych szeregów! Rzadko w literaturze powieściowej spotyka się sytuację, równie przejmującą w swej prostocie, jak ostatni obiad u Sandoza przed samobójstwem Lantiera. Wszystkie złe instynkty natur zawistnych, bez szlachetności, wychodzą na jaw wobec stwierdzonego już upadku talentu, który mógł być geniuszem. Wszystkie nici przyjaźni, koleżeństwa, wspólności aspiracji, pokrewieństwa ideałów, rwą się jedna po drugiej między dawnymi współwyznawcami, zasiadającymi „u jednego stołu“; chłód, wiejący w tej sali jadalnej, gdzie dotąd paliły się mózgi i serca żarem artystycznych zapragnień, zdaje się zalatać z grobu, otwartego już dla Lantiera. Niestety, Klaudyuszowi przeznaczonem było przeżyć przed śmiercią jedną jeszcze straszną chwilę.

Artysta miał żonę.

Historia poznania się przypadkowego z ową Krystyną, nosabiającą „wstydliwą zmysłowość“, dzieje stosunku, związanego dzięki trafowi, który z niej robi mimowolną modelkę malarza, a zakończonemu małżeństwem, wzbogacają „Dzieło“ pierwszorzędnymi pięknosciami. Geneza miłości w tajonem przez Klandyusza, a odgadniętem przez Krystynę pragnieniu przeniesienia jej kształtów na płótno jest mistrzowskim rozdziałem psycho-fizjologii, a jedyna w ich pożyciu scena małżeńska, poprzedzająca bezpośrednio śmierć Lantiera, wstrząsa tragiczną grozą.

Miłość, poczęta z plastycznych zachwytów artysty, długo trwać nie mogła. Klandyusz nie sprzeniewierza się wprowadzić żonie dla jakiejś innej kochanki, ale ją zaniedbuje dla swojej sztuki, która nie mniej jest niebezpieczną, przybrawszy na siebie postać owej złowrogiej, nagiej kobiety. Krystyna cierpi niewypowiedzianie; krwawi się w niej serce, zranione obojętnością ukochanego; protestuje duma żony, uważanej tylko za modelkę, a zazdrość pożera kobietę, która na to jedynie ciało swoje oddaje mężowi, żeby mógł pieścić się na obrazie niedołącznem jej kształtów odbiciem. I wybucha w fatalną godzinę, kiedy w mózgu oszalałego malarza dojrzuje już myśl o śmierci; wybucha, zobaczywszy go w nocy na drabinie z Łojówką w jednej ręce, z pędzlem w drugiej, nachylonego nad przekłętym malowidłem, tak, że cień jego, padający na postać nagiej kobiety, sprawia wrażenie monstrualnego uścisku.

Na widok tej zniechęconej rywalki, Krystyna wskakuje na drabinę, wyrывa mu świecę i, oświetlając nią naokoło malowidło, mówi:

— Ależ patrz nareszcie, zobacz, do czego zszedłeś! Wszakże to ohydne, śmieszne, wstrętne! Trzeba, żebyś zrozumiał, dla jakiej potwory mnie odpychasz. Uciekasz ode mnie, — do kogo?, do czego?... do odrobinki pyłu, farby na płótnie. Więc się jej przyjrzyj jeszcze raz, tej swojej kobiecie... patrz, jakie w szaleństwie monstrum z niej zrobiłeś! Czy jest kto tak zbudowany? Czy ma kto uda ze złota i kwiaty na brzuchu? Obudź się... otwórz oczy... powróć do rzeczywistości.

Klandyusz, posłuszny nakazującemu gestowi Krystyny, spojrzawszy otrzeźwionym chwilowo wzrokiem. Łojówka, postawiona na platformie drabiny, oświetlała kobietę, niby gromnica, żółtym płomykiem, majaczącym wśród zupełnej ciemności pracowni, — i malarz osłupiał, odskoczył, zląkł się własnego dzieła.

— A teraz, — rzekła, odchodząc parę kroków i obnażając się wspaniałym ruchem, — patrz!.. porównaj. Nie pomogą nic klejnoty, które mi inkrustowałeś jej skórę... ona jest zwiędła, jak suchy liść, a ja mam zawsze osiemnaście lat — bo cię kocham.

Jest w tej imponującej scenie dwoisty dramat: skarży się w nim kochająca kobieta mężczyźnie, który ją opuścił, i mówi artyście straszną prawdę: Natura, zwieważona jego szaleństwem. Miał ją przecie, tę naturę, taką, jakiej pragnął, wagą i imponującą nagiemi kształty; oddała mu się cała, bez żadnych zastrzeżeń. I cóż stąd... patrzył i nie widział nawet, że jest piękną... tworzył niby według niej i nie czuł tego, że tworzy potworności! Mężczyzna mógł się jeszcze zdobyć na chwilę przedśmiertnego uniesienia dla kobiety, artysta musiał umrzeć.

Umarł... i z pośród całej falangi rewolucjonistów odprowadził go tylko jeden Sandoz na nowy cmentarz, szary, smutny, pod linię wyciągnięty, miejsce spoczynku stolic demokratycznych, gdzie umarli, zamieszkawszy na pięcioletniem komornem, zdają się spać w ponumerowanym archiwum administracyjnem. Powieściopisarz nie opuścił malarza ani na chwilę; kochał go stale i wiernie, cieszył się jego genialnemi zapędami, ubolewał nad każdym omdleniem talentu, współczuł nawet jego obłędowi i zapłakał nad jego grobem, bo mnóstwo węzłów łączyło go ze zgasłym artystą, bo losy współczesnej z nim literatury powieściowej, to istna historia Klaudyusza Lantiera, a obraz belletrystyki z tego okresu wydać się być kopią jego ostatniego dzieła. Ta sama namiętność „prawdy“, posunięta aż do „naukowej“ analizy, a spożytkowana na tysiące szczegółów, których odmet ma tylko służyć za dekorację dla Niej, dla nagiej kobiety, uzmysławiającej królowanie w literaturze Fizjologii na jednym wyłącznie tronie, u którego stóp, czy w chłopskim alkierzu, czy w pałacowej alkowie, odgrywa się wszędzie jeden i ten sam dramat rozszalałych zmysłów.

Zastrzeżenia Sandoza w rozmowie z Lantierem, lękliwe jego, niby opozycyjne argumenty, nikogo w błąd nie wprowadzą. Czyż nie on-to marzy o odtworzeniu w książce życia uniwersalnego, przebiegając od jednego końca do drugiego „drabinę zwierzęcości, bez szczytów, ani nizin, bez piękności, ani brzydoty“; czyż nie on pragnie „wydobyć sprawy płciowe ze wstydliwego ukrycia, w jakim są więzione, na chwałę jasności słonecznej“? Czyż ta apoteoza nie warta apoteozy nagiej kobiety Lantiera? Nie,—niema między nimi zasadniczej rozłaki; są tylko dwie połowy jednej, nowożytnej, twórczej natury, przemawiającej raz głosem gderliwego zbieracza dokumentów, drugi raz liryzmem zwaryowanego artysty; w tym filistrze-powieściopisarzu jest zawsze materyał na maniaka, w jego dziełach snuje się zawsze galerya obrazów Lantiera. Z pozoru trudno się tej dwoistości domyślić; dom Sandoza czaruje urokiem rodzinnych uczuć, czystością atmosfery moralnej, odpowiadającej zupełnie życiu goś-

podarza. Sandoz-Zola jest czystym w czynach, w mowie, — ale nie w wyobraźni. Spostrzeżenia jego przeniknione są wstrętem, pogardą dla brndu, która zdaje się nieraz zakłócać pogodę obiektywizmu pisarza, ale tylko dopóty, dopóki nim nie owładnie temperament malarza. Wtedy, przykładny, wierny swej żonie mieszczuch, zamknięty w pracowni, wygląda, pisząc, jak gdyby się wykradał na jakąś wiarołomną orgię. Im bardziej się gniewał, jako obserwator, tem gniew jego silniejszą się staje podpałką do rozniecenia halucynacyjnych żarów artysty. Pióro, przekształcone namiętym talentem na pędzel, nie zna granic plastyki, czasem sięga poza nie, tam, gdzie nietylko słowo, ale paleta i dłuto odmawiają posłuszeństwa, gdzie ustaje artyzm i rozpoczyna się potworność.

Jest-że to obłuda zepsutego w gruncie filistra, czy też, jak zdradliwie insynnują protestujący uczniowie, psychopatia na gruncie płciowym? Ani jedno, ani drugie — tylko zabobonna jakaś trwoga przed złowrogą potęgą kobiety, trwoga, którą, mimo swój zdrowy, praktyczny umysł, wyraził był już Dumas syn, mówiąc o nowem wcieleniu kobiety w potworę, szukającą odwetu na mężczyźnie przez jego zmysły, za tysiąc lat niewoli i bezsilności. Jest w tej trwodze wszystko: i tchórzowstwo wycieńczonego newrozą społeczeństwa, i pochlebstwo wobec przypuszczalnej, niezwanej siły, i pogarda, która-by chciała dowieść niezawisłości, energii, — a najwięcej może znajduje się bezwiednego bałwochwalstwa dla tajemniczej władzy, do której słaby wzdycha, mimo, że jej nienawidzi. Ta choroba przerabia Sandozów na Lantierów, a literaturę na szpital histeryczek i maniaków.

— Skąd się ma wziąć jasne na świat spojrzenie, równowaga w mózgu, — mówi Sandoz na pogrzebie przyjaciela, — kiedy podobne fantasmagorye błakają się pod czaszką? Po pokoleniu romantycznym, nasza generacya za głęboko jeszcze brnie w liryzmie, ażeby mogła zostawić zdrowe dzieła. Przejdzie jedno, przeminie może dwa pokolenia, zanim się zacznie malować i pisać logicznie, z wzniosłą i czystą prostotą. My jesteśmy świadkami i aktorami bankructwa stulecia. Zbytek działalności i dumy ze zdobytej wiedzy musiał nas przerzucić w zwątpienie; ten wiek, który tyle rozlał światła, musiał skończyć się pod grozą nowej fali ciemności. Pessimizm pożera wnętrzości, mistycyzm zasnuł mgłą mózgi. Jesteśmy nie zakończeniem, lecz przejściem, początkiem czego innego... To jedno mię też uspakaja, że zdążamy ku czemuś rozumnemu i trwałemu.

Zamilkł na chwilę; potem skończył głosem, drżącym od wzruszenia:

— Jeżeli tylko szaleństwo nie popchnie nas w mrok, jeżeli wszystkich nie zdławi ideał, jak tego biedaka, który tam spi w czterech deskach.

III.

Fundament pod coś „rozumnego i trwałego“ w literaturze miał, jak widzieliśmy, założyć „uczony“ doktor Pascal, kolekcyonujący stare gazety i studyjący w świecie papierowym kwestye dziedziczności na drukowanych dokumentach ludzkich. Umarł wprawdzie, nie spożytkowawszy cennego archiwum, które stało się pastwą ciemnoty, ale zostawił dziecię, zrodzone z nieugiętego naturalisty i nawróconej idealistki. Matka odsłoniła zapewne synowi, gdy doszedł do lat, tajemnicę swego nawrócenia; kiedy jednak nastąpiła literacka tego syna pełnoletność, i do którego z „przejściowych pokoleń“ zaliczyć by go wypadało,—dochodzić ani kombinować nie będziemy. W dziejach twórczości historyka Rougon-Macquartów, gdzie czas i przestrzeń, jak wszystko zresztą, jest symbolem, gdzie twórca sam w ciągu tworzenia przestał się oryentować: co właściwie było dlań przeszłością, a co teraźniejszością, dość będzie liczyć się z faktem, że potomstwo duchowe Pascala-Zoli egzystuje, i dość będzie—nie troszcząc się zbyt o jego metrykę—zaznaczyć charakterystyczne tego faktu znamiona. Jest ich kilka, a wszystkie oddają pogrobową generację pod władzę jakiejś mściwej Nemezydy. W duszy tego pokolenia odbywa się zacięta walka ojcowskich z matczynymi ideałami, które w potomstwie z martwych powstają w widmowych kształtach, z fizyognomią ludzaco do rodzica podobną, choć go się z przekleństwem wypierają. Wszystko zdaje się różnić dzieci od życiodawców i wszystko ich zarazem zbliża; tylko gra różnic i podobieństw odbywa się na gruncie osobliwszych transpozycji motywów, osłaniających zmysły duchową maską, a duszę zmysłową larwą. W całej „historii naturalnej rodziny z czasów cesarstwa“ dziedziczność nie objawiła się może z taką mocą, jak w tej czekającej na historję rodziny literackiej z czasów Rzeczypospolitej, i cały tragizm sytuacji na tem właśnie polega, że spadkobiercy, odrzucając z głośnem oburzeniem dziedzictwo, uginają się pod brzemieniem tej schedy, odrzekając się od pochodzenia, piętno jego nosząc na swoim obliczu.

Zestawmy dwa obrazy: z jednej strony, na ostatnich kartach „Doktora Pascala” odmładzającą się ustawicznie ludzkość w postaci Klotyldy, uśmiechniętej do zawieszzonego u jej łona niemowlęcia, które będzie może jutrzejszym geniuszem „messyaszem, przeznaczonym do wydobycia ludów z ich wątpli i cierpień”, które, ssąc pierś rodzielki, „trzyma rączkę do góry, wyprostowaną jak sztandar wzywający do życia”; — z drugiej, przeciągający we współczesnej literaturze orszak czarno zakapturzonych karawaniarzy, którzy niosą do grobu trupa ludzkości. Trudno o jaskrawszy kontrast; jednak ci karawaniarze wyrosli z tamtego niemowlęcia i całun ich śmiertelny z tego samego co ów sztandar życia utkany jest materiału. Życie zasnuwane jest dla synów, podobnie jak dla ojca, równie gęstą mgłą cmentarnego pesymizmu, z którego wynurza się jednakowy zawsze dla spokrewnionych z sobą pokoleń symbol kobiety, wcielającej „siłę kosmiczną”, która tworzy i niszczy. Idealizm tego symbolu, przepływający przez przypadkowe, zmienne formy bytu od niezbadanych tajemnic pra-początków, aż gdzieś w „bezkresy” nieskończoności, nie oszuka nikogo; każdy, kto umie i chce patrzeć, zobaczy pod tą mistyczną falą bagniste łożysko naturalizmu; każdy pozna w mętnych wizjach, parujących z przepaścistej głębi tego dna, znane sobie dobrze erotyczne halucynacje. Fizyognomia symbolu zmieniła się tylko zewnętrznie. Zoologiczna kobieta - samica Zoli straciła pełnię kształtów, podniętą bujnego kwiatu, kryjącego zawiązek owocu; postać jej, wyszczuploną, wydłużoną, urzeczywistnia ideał *dekadentów*: piękność niedojrzałą dziecka, obiecującą uroki kobiety; kształty, chwiejące się między chudością szkieletu, fa silną muskulaturą chłopięcia; formy o płaskiej piersi i nikłych biodrach; idealną mieszaninę wdzięku z siłą, smukłości niewieścich linii z energią męskich konturów, słowem ostatnie marzenie odwołującej swój zgon cywilizacyi, — *androgynię* — istotę dwupłciową, potęgującą zapędy rozpustnej wyobraźni mężczyzny. Otoczona tajemnicą zaświata, przystrojona w te same klejnoty, któremi nieszczęśliwy Lantier ozdobił łono swego gorączkowego widziadła, dźwignęła się na wyżyny nieledwie abstrakcyjne, gdzie, jak sfinks nowożytny, chłonie każdego, kto nie rozwiąże stawianych przez jej znieprawioną wyobraźnię zagadek nowych, nieznanych pragnień. Miłość jej, zrodzona z uścisku nieletnich bohaterów Zoli, Silvera i Mietty, na pustkowiu po starym cmentarzu, w zakątku użyźnionym zgnilizną, ma w swoich wybuchach tchnienie grobu, w swoich zakłękach szepty zmarłych, w swoich pieszczotach dreszcze konania. Namiętności tańczą naokoło niej „sarabandę” śmierci; ale nie jest to bynajmniej „taniec szkieletów”. Owszem — nie brak tam ciała, szalczące-

go w maskaradowym stroju mistycyzmu bardzo realnie, bardzo plastycznie, z całym naturalistycznym przyborem, z całym rozwichrzeniem świata zmysłów, który chce żyć i rozkosznie żyć, zanim się stanie igraszką sił kosmicznych. Tę samą co dawniej orgię żądz i instynktów osobiwszy idealizm oderwał od stosunków społecznych i przeniósł do indywidualnej duszy, zaludniając literaturę anarchistami myśli i uczucia o licach psychopatów płciowych, wykrzywionych poetycznym grymasem. Jest to odwet Klotyldy Saccard na Pascalu Rougon za gwałt, którego się na niej dopuścił: potomkowie ich pod kłatwą naturalizmu tworzyli poematy metafizycznej deprawacy, i sami zamroczeni pesymizmem, któremu, jak wiadomo, *omne animal* podlega, rozsnuwali z tego mroku nad duszą współczesną oponę „mistycznych ciemności.” A gdy bliską już zdawała się przewidywana przez powieściopisarza Sandoza chwila, kiedy szaleństwo mogło się z tych ciemności wynurzyć, gdy wszystkich mógł zdławić ideał Lantiera, kiedy literatura zaczęła być podobną do owej opisanej w powieści Pelladana operetki wagnerowskiej, przedstawiającej wędrówkę opętańców Namietności do świątyni Chimery, — skąd miał się wziąć „messyas, przeznaczony do wydzwignięcia ludów z ich zwątpień i cierpień”; na jakiej drodze dokonać się miało to wybawienie ludzkości?

Zola odpowiedział na te pytania w tryptyku powieściowym „Lourdes”, „Rzym” i „Paryż”: symbolem wybawcy będzie ksiądz, który zrzuci z siebie suknię duchowną; środkiem ocalenia będzie — ktoby się tego spodziewał! — nowa religia. Rzecz prosta, że cud taki stanie się nie odrazu; poprzedzić go muszą majaczenia ludzkości, „chorej na mistycyzm”, inne naturalnie w Lourdes, inne w Rzymie, ale jedno zawsze mające źródło: niczem nieugaszzone pragnienie ideału. Choroba jest chroniczna, rozpościera się szeroko i symptomata jej rozproszone dopatrywał wszędzie historyk rodziny z czasów cesarstwa; ale choroba miewa swoje objawy ostre, zapalne — takie właśnie są przedmiotem dyagnozy Zoli w „Lourdes” i w „Rzymie”.

IV.

Obserwował je już Doktor Pascal i z tych może spostrzeżeń urodził się pomysł nowego utworu, a raczej seryi utworów, w wyobraźni Emila Zoli, która ma ustrój symboliczno-cykliczny. Nić powieścio-

wa nie wiąże się już w tym tryptyku z dziejami Rougon-Macquartów; studia nad rzeczywistością materialną mają ustąpić studiom nad rzeczywistością moralną. „Wiesz pan, pisze twórca figury, przezwanej Chrystusem w „Ziemi“, do wspomnianego już przyjaciela p. Van Saunten Kolff,—że punktem wyjścia w moim nowym romansie jest zbada- nie dzisiejszej sytuacji religijnej“. Ale odmienny przedmiot nie od- mieni takiego, jak Zola, pisarza, raz dla tego, że talent jego ciężki, masywny, twardy, skostniawszy w raz wyrobionych formach, do in- nych się nie nagina, a powtórę, że, dyletant we wszystkim, nie zda- je sobie nawet sprawy, gdzie, w czym i jak głęboko tkwi ta odmien- ność motywów. Więc też „bada“ sytuację wiary religijnej tak, jak badał koleje żelazne, giełdę, kopalnie, lub magazyny wielkiego prze- myśłu. Opisowa część miejsca pobożnych pielgrzymek, nużąca dro- biazgową dokładnością, w której nie brak nawet rozkładów jazdy, mogła-by posłużyć za przewodnik dla turystów i świadczy o obfitości zebranych dokumentów rzeczowych. Niemniej bogata jest kolekcja „dokumentów ludzkich“, spożytkowana do charakterystyki pątników, zdążających do Lourdes, po cudowne wyzdrowienie. Że zaś ta cha- rakterystyka ogranicza się do malowania pacjentów: rakowatych, su- chotników, paralityków, owrzodzonych, cuchnących, ropiejących; że cała ta nieszczęśliwa gromada, natłoczona w pociągu, wraca z Lourdes z temi samemi kalectwami, jakie tam była zawiozła, zostawiwszy tyl- ko trochę nieżywych na miejscowym cmentarzu; że Zola stworzył symbol „chorej“ ludzkości z tego, co dlań było najdosłowniejszem, z cierpienia fizycznego,—to wynika wprost z natury obserwatora, wyczuwającego w ludzkości uderzenia cielesnych tylko pulsów.

To też nie trzeba żądać od pisarza więcej, aniżeli dać potrafi, choć- by się nawet w tak pięknej formie żądać miało, jak to czyni p. T. de Wyzewa. Zapewne, że do studyowania reakcyi mistycznej nowszych czasów Lourdes nie jest tłem szczęśliwie wybranem; zapewne, że nie tam dokonywa się jeden ze znamiennejszych zwrotów w duszach ludzkich; zapewne, że nie u pątników z Lourdes objawiają się w stop- niu najwyższego napięcia, a zwłaszcza z natężeniem najbardziej zajmu- jącym, „odraza do wiedzy i zwrot ku wierze.“ Ten, czy ów symbol nie tu nie stanowi; w każdym obniża się znaczenie, nie docenia się doniosło- ści obecnego w umysłach i sercach przesilenia, jeżeli mu się daje, ja- ko jedyny wyraz, pielgrzymkę chorych do cudownych źródeł. Nie- tylko suchotnicy i paralitycy „spragnieni ulgi odwracają się od wie- dzy i rzucają się objęcia wiary“; i z większem zainteresowaniem, niż nawróceniom zawsze nieco interesowanym, tych dogorywających kaleków, przyglądalibyśmy się nawróceniom dusz, które w wie- rze szukają lekarstwa nie na rany cielesne, lecz na wstręt do życia,

na śmiertelne myśli znużenie. Są dusze nawracające się od wiedzy do wiary, nie dla tego, że wiedza na tym lub owym punkcie nie dopisała, ale dla tego, że we wszystkim, co je otacza, odczuły pierwiastek wymykający się z pod kontroli wiedzy, że świat cały wydał im się jednym niezmiernym cudem; nie dla tego, słowem, że stwierdziły rzeczywistość tego, co nadprzyrodzone, ale że zgłębiły nicość tego, co rzeczywiste. To prawda, — tylko czy mógł w taką sytuację wniknąć, czy mógł odtworzyć ją pisarz, dla którego „mistyccyzmem“ jest wszystko, co człowieka wypycha poza opłotki „historii naturalnej rodu ludzkiego“, który wrażenie przenikające głębiej niż pod sensacyjny naskórek, myśl wymykającą się z więzów zmysłowej percepcji, uczucie wycieczające z temperamentowych instynktów, wolę nieskrępowaną determinizmem; sumienie indywidualizujące osobnika; miłość niezależną od żądz; solidarność społeczną, zadającą fałsz walce o byt; wiarę kapłana, egzaltację poety, aspirację artysty, wzloty filozofa, syntezę historyka, wysiłki ducha unoszącego się ponad „zwierzę w człowieku“, wszelkie niematerialne czynniki cywilizacji, wytwarzające wielkie idee, wzniosłe hipotezy — całą poezję kultury zawarł, ze sceptycznym ramion wzruszeniem, w rozciągłym określeniu „la soif de l'au delà?“

Nie mógł, — i trudno orzec, czy chciał, tak dalece, przy pozorach poszanowania dla wierzeń, których nie uznaje, Zola waha się na stanowisku przedmiotowego spostrzegacza i ujawnia na każdym kroku przeciwieństwa między „filozofią“ osobistą, a wybranym do powieści przedmiotem, między swoim umysłem, który nie zmienił się ani na jotę, a imaginacją, która go wciągała w kompromitujące awantury. Co natomiast chciał i mógł z całą właściwą swemu talentowi plastyką przedstawić — to zwrot od religii do wiedzy w osobie księdza Froment, bohatera nowego cyklu, reprezentanta rozumu, wobec wiary, noszonej w postaci młodziutkiej dziewczyny, Maryi de Guersaint, nieśczęśliwej kaleki, przywiezionej do Lourdes w męczéniskiej skrzyni, gdzie bezwładna od siedmiu lat wegetowała. Ksiądz nie wierzy, przywdział bowiem sukienkę duchowną jedynie na życzenie ukochanej matki i ciasno mu w niej coraz bardziej. Straszne przesilenie moralne pozostawiło go złamanym, ale niezdolnym do odepchnięcia sugestji zbuntowanej myśli, postępy zaś odszczepieństwa śledzimy na gruncie sielanki miłosnej, sięgającej jeszcze dziecięcych lat Piotra i Maryi, którzy kochali się oddawna, nic sobie o tem nie mówiąc, a w Lourdes oczekują oboje uleczenia: ona ciała, on duszy. Jedno przyszło, drugie chybiło. Marya Guersaint dzwignęła się z niemocy w Lourdes i podwójnie jest szczęśliwą w przekonaniu, że ten sam cud, który jej zdrowie przywrócił, jemu powróci wiarę; ale Piotr pamięta

prognozę lekarzy, przewidujących możliwość wyrwania chorej z bezwładu wielkiem wstrząśnieniem egzaltacyi. Dla niego ziściła się tylko prognoza; dla niej niech to będzie cud; złudzenia, dającego ukochanej tyle radości, on nie rozproszy, byłby to gwałt zadany duszy. Sam, tymczasem, zawiedziony w nadziei odzyskania naiwności pobożnego dziecka, z poczuciem próżni naokoło siebie wśród mroźnej pustyni swej intelligencji, z tęsknotą po utraconym raju ubogich duchem zamyka idyllę osobistego szczęścia pożegnaniem Maryi, która w jasnowidzeniu kochającej kobiety, osładza mu gorycz rozłąki ofiarą dziewictwa swego Najświętszej Pannie za cud wyzdrowienia. Zdało-by się, że zostawiwszy wiarę słabym umysłem, kobietom i dzieciom, Zola ma w zanadrzu dla mocnych duchem gotową, na podwalinach wiedzy silnie ugruntowaną, filozofię. Otóż nie. Ksiądz Froment nie jest jeszcze dojrzały do najwyższej inicjacyi; musi przejść przez próbę „nowej religii”—i po nią pojedzie do Rzymu.

Rzym! Ktokolwiek zna dobrze Zolę, ten ma już przed oczyma całkowitą dekorację tego drugiego etapu ludzkości na drodze do rozumowego uświadomienia. Rzym pogański, Rzym chrześcijański, Rzym papieski, Rzym nowoczesny, dwa wieki monarchii, pięć stuleci rzeczypospolitej, pięć wieków cesarstwa; 262 papieżów do Leona XIII-go włącznie; opisy ceremonii, ubiorów, uczt, spraw, zabiegów w labiryncie Watykańskim, na tle wszystkich pomników, wszystkich grobowców, wszystkich wodotrysków, wszystkich obrazów, wszystkich posągów, wszystkich pałaców, wszystkich kościołów,—niczego tam nie brak w tej cyklopowej kombinacji Ampère'a z Baedekerem—niczego, prócz duszy Rzymu.

Skąd-by się wziąć mogła? Co miała wspólnego wielka religia i wielka sztuka z malarzem życia materialnego i cierpień fizycznych, zbliżających człowieka do zwierzęcia? Co mógł sobowtór Jakóba Lantiera wyczytać z architektury, rzeźby, malarstwa, w których zakrzepła wiekowa historia ducha ludzkiego, wypowiadająca w świątyniach, posągach, obrazach... *la soif de l'un delà*? Więc też klasyczne pomniki, „pierwotni“, *cinquecento*, renesans, wszystko to służy reżyserowi, rozmiłowanemu w wystawie, za kulisy, przystawki, pratikable, za przybór sceniczny do dwóch luźno splecionych akcji, do epizodycznej idylli Daria i Benedetty i do kapitalnej intrygi przeciwko księdzu Froment. Spostrzeżenia Zoli nad rasą włoską nie głębiej sięgają od poglądów jego na sztukę. Przyrodzone jakoby cechy Włochów: lubieżność i bezwstyd uznał za dostateczne podłoże fizjologiczne do „tragicznej sielanki“ nowożytnych rzymskich kochanków, nad której śmiesznem zakończeniem czytelnik nie ma na szczęście czasu zastanawiać się zbyt długo, śledząc ową historję nowej religii, głoszonej

przez bohatera z Lourdes. Młody apostoł napisał o niej dzieło za-
bronione w Rzymie przez kongregację Indeksu i zdaje mu się, że je-
dno posłuchanie u Leona XIII-go, jedna długa, bardzo długa tyrada,
wypowiedziana na klęczkach przed Ojcem świętym, a pełna zaklęć
o zrzeczenie się władzy świeckiej, o powrót do prostoty pierwot-
nego chrześcijaństwa, wystarczy, ażeby zjednać Papieża, zrewolucyo-
nizować Kościół, ocalić książkę i zbawić papieństwo. Kto tu jest naiw-
niejszym: czy ksiądz Froment, owładnięty gorączką reformatorstwa, czy
sufler jego, Zola, który widocznie nie domyśla się nawet historyzoficz-
nej roli Kościoła w dziejach cywilizacji powszechnej? Zamiast kusić
się o rozstrzygnięcie tej wątpliwości, która zresztą jest krytyką utwo-
ru, przypomnijmy sobie raczej istotę naiwności Zoli: jest nią, jak wiadomo,
niewzruszona pewność siebie i ona to wydaje w Rzymie wyrok
bez apelacji: bankructwo katolicyzmu, wobec czego przyszłość świa-
ta trzeba powierzyć innej jakiejś potędze—a tę oczywiście znaleźć
można tylko w „Paryżu“.

Rzecz prosta, że „nową religią“ w tem „ognisku światła“ mo-
że być jedynie wiedza, która, jakby to z pierwszego ogniwa cy-
klu wnosić należało, zbankrutowała w Lourdes jeszcze przed ban-
kructwem katolicyzmu. [Na niej jednak ufunduje Zola, jako przeciw-
stawienie zgnilemu do szpiku kości mieszczańskiemu społeczeń-
stwu, związek nowej społeczności w rodzinie „spokojnych i po-
godnych ateuszów“, złączonych z sobą węzłami niewypowiedzia-
nej miłości“ i w jedną tylko wierzących trójcę: w „pracę, naukę
i w płodność“. Kontrasty dwóch światów stanowią o budowie powie-
ści, rozpadającej się naturalnie na satyrę i sielankę. Satyra ogarula
jaskrawem, krzyczącym światłem wszystkie warstwy towarzyskie,
wśród których, w celach miłosierdzia, uwijać się musi ksiądz Fro-
ment, stwierdzając wszędzie zgniliznę egoizmu, stopniowanego w wy-
razie od pospolitego filisterskiego sobkostwa, aż do intelektual-
nego samolubstwa, które na szczytach społecznych przybiera deka-
denckie pozy. Zola jest tu u siebie; znalazł się wśród krewniaków
Rougonów i Macquartów i do tej drapieżnej zgrai spekulantów, gieldo-
wiczów, aferzystów, parlamentaryuszów, kabotynów i komeďyantek,
udzielających sobie wzajemnie gangreny moralnej w kombinacjach
obludy, wyzysku, rozpusty, cynizmu, może stosować ulubione swoje
sposoby symbolicznych wyolbrzymień i grubego patosu. Że naturalista
nie żałował sobie barw z tej palety, temu nikt dziwić się nie będzie;
niespodzianką natomiast jest konkluzja, wydobyta z obrazu przez
„filozofa“: że miłosierdzie przeżyło się, że skoro, mimo setek instytu-
cji filantropijnych, otaczających opieką niedołęstwo, starość i kalec-
two, dbających coraz troskliwiej o dolę niezdolnego do pracy robo-
tnika, egoizm nie dopuszcza do zagojenia wszystkich ran społecznych

-tedy miłosierdzie należy uważać za ostatnie tchnienie konającego chrześcijaństwa.

Bo chrześcijaństwo kona, skonało, — zapewnia nas Emil Zola, wielkim głosem Nietzscheisty, stwierdzając trzecie już z kolei bankructwo. „Ewangelia, zamknąwszy swą naukę w granicach czasu i miejsca, tak od nas odległych, nie może mieć pretensyi do narzucenia swoich zasad społeczeństwu wszystkich czasów. Chrystus jest burzycielem wszelkiego porządku, wszelkiej pracy, wszelkiego życia; sponiewierał kobietę, ziemię, naturę, wieczystą płodność stworzeń; religia jego, ze strasznym pesymizmem grzechu pierworodnego, podtrzymującym dziedziczność win, jest religią despotyzmu i śmierci. Dość mamy chrześcijaństwa i jego bajki o raju, którą ludzili się dotąd biedacy. Czas już żeby zasługi każdego wynagradzane były tu na ziemi (o karach za winy milczy się dyskretnie); czas żeby wieczyste życie stało się bóstwem dobroczyńcem; żeby kobieta płodna odzyskała cześć jej należną i żeby niedorzeczna zmora piekła ustąpiła miejsca gloryi natury, nieustającej w pracy ciągłego porodu.“ — Co powiedziałwszy, autor nowej religii rozgrzesza swego bohatera z jego apostazy, przebiera go w emancypacyjną marynarkę i rewolucyjne spodnie, sadowi na rowerze w towarzystwie młodej „spokojnej, pogodnej ateuszki“ i daje obojgu błogosławieństwo na miłość, niekępowaną żadnymi formami, co do której ksiądz Froment miał już widocznie wyrobione poniekąd pojęcie, skoro byliśmy świadkami, jak w Lourdes pobłogosławił spotkaną przypadkiem na korytarzu hotelowym mężatkę, wychodzącą z numeru, gdzie rok rocznie w dniach pielgrzymki do świętego miejsca zamykała się ze swoim kochankiem.

Trzebaż wdawać się w wykazywanie śmieszności tego katechizmu „nowej religii“, w którym zakamieniały determinista, — że to już tylko podkreślimy — wyrzuca Chrystusowi pesymizm grzechu pierworodnego? Krytyka i dyskusja w tej materii nie do nas należy; naszem zadaniem może być chyba tylko ogólna charakterystyka zarówno filozofii, jak filozofa — a ta w krótkich zawrze się wyrazach: zupełna u Zoli niezdolność odczucia kultury, zagłębiającej się daleką perspektywą w odległości historyczne. Chrześcijaństwo, jako czynnik cywilizacyjny, który tworzył dzieje, był tak niedostępnym dla Zoli, jak niezrozumiałą była dlań idea starożytności, dusza średniowieczna, ideały Odrodzenia, rola papieństwa, i wszystko, co stuleciami składało się na wszechświatową kulturę. Ten filister o krótkowzrocznem spojrzeniu, utkwionem uparcie w teraźniejszość, ten umysł ciasny, z największą trudnością wydostający się poza granice najbliższej, dotykanej rzeczywistości i stojący bezradnie wobec każdej oderwanej

myśli, przypomina w zetknięciu z objawami duchowego życia, p. Homais z jego aptekarską analizą moralnych pierwiastków cywilizacji. Jak zaś dalece brakuje Zoli syntetycznego zmysłu wszędzie, gdzie mu dotykalna powszedniość nie daje bezpiecznej, faktycznej podstawy, świadczy banalność symbolów dodatnich, nie z krytyki, lecz z twórczości zrodzonych. Przypatrzmy się tylko, jak wygląda bóstwo „nowej religii”, wiedza, w symbolicznych obrazach. Uczeń i czciiciel Klaudyusza Bernarda, który genialnym rzutem oka umiał wdzierać się w hypotetyczne sfery, nosabia całą wiedzę najprzód w archiwiscie, porządkującym akta dziedziczności, potem w chemiku, fabrykującym materje wybuchowe. Około jednego i drugiego jedna i ta sama ciasnota widnokręgów, ten sam mieszczański utylitaryzm i ta sama mdła, bezbarwna, banalna „sielanka”. Idyllę doktora Pascala znamy; nad eklogą w rodzinie „spokojnych ateuszów” nie zatrzymamy się dłużej, bo rozszerzoną, rozwodnioną znajdziemy w dwóch ewangeliach: w „Płodności” i w „Pracy”.

V.

W ostatnich rozdziałach „Paryża”, Marya, żona Piotra Froment (pobrali się na bicyklach), stojąc na wzgórzu Montmartre, podnosi w obu rękach gestem entuzjastycznym syna swego i ofiaruje go miastu, „inicjatorowi, cywilizatorowi, oswobodzicielowi ludów”, grodowi, „w którym posiew światła dojrzewa w przyszły plon posteru”.

— Patrz, Janie! patrz, dziecko! — mówi do chłopca, — to ty zbierzesz to wszystko i zwieziesz do stodoły.

Jan miał być bohaterem „Sprawiedliwości”, i ziścić to marzenie, rozpoczynając erę powszechnej między ludźmi solidarności. Ale w pochodzie swoim po przez wieki ludzkość przebywa pierwaj trzy jeszcze etapy: rodzinę, społeczeństwo i ojczyznę. O tem pamiętając, dał Zola Piotrowi trzech jeszcze po Janie synów: Matusza, Łukasza i Marka. Łukasz w „Pracy”, Marek w „Prawdzie”, głoszą każdy swoją ewangelię, pierwszy społeczeństwa, drugi ojczyzny, zanim pierworodny Piotra zakończy w „Sprawiedliwości” tetralogię, której początkowe ogniwo, „Płodność”, ma za przedmiot rodzinę.

Zola nazwał to naczelne ogniwo „pierwszą pieśnią poematu”. Poemat!.. Czemu nie?.. gdyby wzlot poety w przyszłość, obraz wymarza-

nego raju, który nowa religia stworzy na tej ziemi, miał coś z poezją wspólnego. Ale wiemy przecie z kim mamy do czynienia: ani ta wybieczka nie jest wzlotem, autor bowiem wraz z bohaterami „Pracy” siada po prostu do wagonu elektrycznego i, jak właściciel urządzonego własnym przemysłem majątku, zwiedza ów Eden, gdzie wszystkim, nawet duszami, rządzi elektryczność: ani Zola jest poetą jutrzejszych ideałów, bo, podobnie jak wobec horyzontów tego, co było, wyobraźnia jego przestaje być twórczą u progu widnokręgów tego, co będzie; wreszcie kraina, w którą się zapędził, nie jest przyszłością, bo tuż obok jesteśmy w trzęsawisku ohydnej teraźniejszości, mięszającej wszelkie kombinacje czasu i przestrzeni. Może korzystać z tego naturalistyczny romansopisarz, lubiący teatralne przeciwstawienia, ale poeta, a zwłaszcza „filozof”, bardzo nieszczególnie w oświeceniu tych efektów wygląda.

Skąd się biorą wszystkie te pogodne „sielanki”, sąsiadujące bezpośrednio z temi krwawymi satyrami; jaką siłą przerwana została dla jednych posępna nic determinizmu, oplątująca o miedzę innych swemi tragicznymi splotami; gdzie źródło występującej odrazu wolnej woli jednostki, przed którą, ni stąd ni zowąd, pierzchła niewola „dziedziczości”? Jaka potęga wytwarza na oceanie występków, zbrodni, Zła, odosobnione jakieś wysepki cnót, szlachetności, Dobra? Czy doktryna Rousseau’a o przyrodzonej dobroci natury ludzkiej, znieprawionej fałszywą cywilizacją? Ależ cała twórczość Zoli zaprzeczyła tej doktrynie, obciążwszy ową naturę klątwą dzikiej, drapieżnej zwierzęcości. Więc siła moralna? Może... ale jaki jej początek, w imię czego działa i dlaczego nie działała w cyklu Rougon-Macquartów, a zaczyna działać w cyklu „Trzech miast” i w ewangelicznej trylogii, skoro obie te ostatnie serye mają wspólny z pierwszą grunt „historii naturalnej” człowieka?

Na wszystkie te pytania, kompromitujące jego filozofię społeczną, odpowiada Zola obrazami, które tem mniej mogą czegokolwiek dowieść, że są nad wyraz blade, że je autor oprował w symbole, niczem już nie różniące się od szablonów. Wystawmy sobie „romanse przyszłości” Bellamy’ego, skombinowane z „romansami naukowymi” Juliusza Verne’a, a będziemy mieli pojęcie o ideałach nowoczesnych ewangelistów. Najwięcej realnego gruntu ma z natury rzeczy ewangelia płodności. Wyobraźnia autora znajduje się tu, oczywiście, w swoiow żywiole; z jednej strony przerabia w powiększającym przyrządzie imaginacji aktualną klęskę Francyi, bezpłodność kobiet, uplastyczniając, bez żadnej osłony, przyczyny tego groźnego objawu, w scenach, których dekoracje zmieniają się ustawicznie, od twornych sypialni zacząwszy, skończywszy na norach, gdzie odby-

wa się dzieciobójcza praktyka; z drugiej, lubuje się widokiem rodziny, normalnie powiększającej się co parę lat, dzięki „wstydlivej zmysłowości“ kobiety i „świętemu płomieniowi żądzy“ mężczyzny, i rozwinętej w nowedrzewo genealogiczne, którego nie toczy już (nie wiadomo zresztą, dla czego) robak dziedziczności. Liryzm tych zachwyków, przypominający chwilami bramińską Kama-Soutrę Indusów i przeplatany zwycięskimi argumentami przeciwko teorii Malthusa, dawno już zwyciężonej, wypełnia książkę, utrzymującą czytelnika jeszcze jako tako w zetknięciu ze światem rzeczywistym.

Inaczej z „Pracą“. Tu satyryczny rozpęd zatrzymać się musiał dość prędko na ruinach kapitalizmu, który zburzył w tragicznej katastrofie, grzebiąc pod materyalnemi i moralnemi gruzami typ mieszczańskiej, zdeprawowanej rodziny, wraz z dotychczasową, na wyzysku opartą, organizacją pracy. I od tej chwili zabrakło już dla analizy materyału, a przyszła kolej na twórczość, ta zaś miała na usługi tylko dyletantyzm ekonomiczny i przyrodniczy, śpiewający w tonie roztkliwionego optymizmu hymn na cześć elektryczności, która reguluje wszystkie stosunki, znosi odległości zarówno między rzeczami jak i między ludźmi, i jako wszechpotężny motor porusza fizyczny i duchowy organizm nowożytnego falansteru. Wszystkie złe skłonności człowieka wypalił bez śladu ten dobroczynny żarowy płomień; wszystkie ciemne strony natury ludzkiej rozproszyły się, niewiadomo dokąd, w zetknięciu z tem błogosławionem światłem. Promienie słoneczne w dzień, a lampy łukowe w nocy rozlewają o każdej porze jasność nieustannej pogody nad tym błogo uśmiechniętym światem, przycisając dyskretnie wtedy tylko, gdy półcień pobłażliwy, lub półmrok usłużny stają się współnikami innych elektrycznych prądów, kojarzących młode pary. Wtedy, wśród gęstych szpalerów rozległego parku, otaczającego olbrzymie królestwo metalurgii, słychać ciche nawoływania, szepty stłumione i namiętne pocałunki. Nie lękajmy się... niema tam już kobiety z obliczem Cyrcei i Meduzy, zamieniającej zakochanych w trzodę chlewną, lub w głązy bez czucia; niema mężczyzny, szukającego odbicia nieba w kałużach rozpusty — jest miłość wolna, wolną tworząca rodzinę, która, opłotłszy familiami węzłami cały ten fabryczny mikrokosmos, stanie się w dalszym swoim rozroście solidarnem społeczeństwem, zwartą ojczyzną i zbrataną ludzkością.

Każdy ma prawo tworzyć utopię; czy jednak mógł z tego prawa korzystać w „Czterech ewangeliach“ historyk Rougon-Macquartów; czy mógł czego innego, prócz uśmiechu sceptycyzmu, spodziewać się od czytelnika prorok przyszłości, snujący optymistyczne marzenia z tego samego motowidła, które mu dostarczało pesymistycz-

nej przędzy; czy nie musiał się spotkać z zapytaniem: „a gdzież-to jest ten tajemniczy warsztat, w którym przerobiła się do gruntu natura ludzka, i dlaczego nie pokazano go nam nigdzie?”.

To zapytanie, a zwłaszcza ten uśmiech, mają swoją dojmującą ironię i wyrażają poniekąd wrażenie, jakiego się doznaje dzisiaj wobec całości dzieł Emila Zoli. Czytelnik, czując się między dwoma symbolami wynaturzenia, na biało i na czarno, odwraca się z nieufnością od człowieka dobrego, który mu tylko przypomina słowa protestującej młodzieży o „retorycznych pajacach”, a skłania się ku człowiekowi złemu, bo mu jego retoryka silniej na zmysły, na nerwy działała. Nie wierzy zresztą ani w jednego, ani w drugiego — i jakże ma wierzyć, skoro ukochana towarzyszka naturalizmu, za przykładem żony Lantiera, zawołała w końcu głosem Nemezydy:

— Coś ze mną zrobił, ty, któremu z takim oddaniem się służyłam? Nie umiesz już nawet patrzeć na mnie i wykrzywasz mi oblicze własnymi grymasami. Nie chcę cię znać więcej.

I odeszła.

Tą towarzyszką była Prawda.

VI.

A Sprawiedliwość?

Ta zapewne powie:

Temperament, przez którego pryzmat Zola patrzył i tworzył, — to był jego talent. A ten talent dla niego tak głębokie piętno wyrył na współczesnej literaturze, dla tego tak imponował nawet przeciwnikom swoim, że przyszedł na świat o właściwej godzinie, że pisarz, więcej jeszcze od własnych bohaterów, był wytworem swego środowiska, a nadewszystko, że stanął na tym samym co jego pokolenie poziomie umysłowym i moralnym. Wydatne tej doby indywidualności, jak Taine, Renan, unosiły się szerokimi wznosami ponad swoją generacją; Zola był jej rzecznikiem od dnia powszedniego i reprezentował w powieści z wytrwałością pracowitego mieszczanina filozofię życiową swego otoczenia, które nazywało się „pozytywnem” dla tego, że było materialistycznym i krótkowidzącym, któremu się zdawało, że może bezkarnie przeczyć wszystkiemu, co nie podpada pod zmysły; które ideały swoje umieściło bardzo blisko, bardzo nisko, tuż pod ręką; które, odrzuciwszy mnóstwo zagadnień, było silnie przekon-

nane, że je rozwiązało. W takiej wyrosłszy atmosferze społecznej, w której unosiły się atomy materyalizmu naukowego, wniósł Zola do romansu naturalistycznego swój niezwykle istotnie temperament. Nerwowo, jak Goncourtowie, pierwsi heroldowie hasła „dokumentów ludzkich”; burzliwy i namiętny, jak Balzac; obdarzony, jak Flaubert, wielkim darem uplastyczniania świata zewnętrznego; podniecany, jak Wiktor Hugo, manią egzaltowania wszystkiego,—stał się, on, epigon naturalizmu, nominalnym jego prawodawcą. I gdy inni samorzutnie szli za własnym instynktem i za przyrodzoną swoją w malowidłach realistycznych fantazyą, Zola usadowił się solidnie na zasadach racjonalnych, które, popychany ciasną i upartą logiką, do ostatecznych granic doprowadził. I dla tego, nie zapoczątkowawszy nic nowego mógł być uznany za przywódcę szkoły, datującej właściwie od Balzaca i Flauberta; mógł jej nawet swoją formułę narzucić.

Formułę znamy; wiemy, że minęła wraz z generacją, której była wyrazem. Dziś można-by ją chyba odwrócić dla oceny tego, co stworzyła. „Krytyka—to sąd o dziele sztuki, wypowiedziany pod działaniem temperamentu czytającego”. Na takiej parafrazie formuły Zoli wyszedł-by najgorzej sam Zola, gdyby nie to, co ponad sądami zmieniających się w szeregu pokoleń „temperamentów” pozostało w literaturze po nawałnicy jego talentu.

Bo to była nawałnica. Powiedział ktoś o Zoli, że jest, w innym znaczeniu niż Dumas starszy, „siłą żywiołową”. Odróżnienie konieczne—Dumas tworzył, Zola burzył—ale odróżnienie nie wyłącza poezji, objawiającej się przecie i w elementarnej potędze zniszczenia. Burzył jako krytyk, polemista, burzył jako historyk, filozof społeczny i powieściopisarz; niszcząc jednak ujmował obrazy zniszczenia w syntezę, która jest jego poezją.

Z „gleby demokracji” wchłonał w siebie i tchnął w literaturę formuły demokratyczne, poczynawszy od środowiska, skończywszy na duszy swoich bohaterów. Już samo pojęcie środowiska, warunkującego czyny jednostki, spycha ją prawie na dalsze plany i nie pozwala jej na arystokrację psychologii, podnoszącej głowę ponad gromadę otoczenia. Już samo pojęcie „zwierzęcia ludzkiego” w człowieku, niwelujące różnice Psychy w osobnikach pod jeden materyalny strychulec, wyraża zasadę równości wobec zoologii. Odczuwał też Zola wrażliwiej życie mas nieosobistych, niż życie jednostki; stąd w plastyce tego życia coś masywnego, a w jego ruchach coś ciężkiego, druzgoczącego. Indywidua żyją tam z całą energią wtedy tylko, kiedy bodźcami swej natury zbliżają się do tłumów niepoczytalnych; im wyżej zaś oddalają się od nich po szczeblach drabiny społecznej, im bardziej komplikuje się w nich mechanizm intelektualny i moralny, tem mę-
 Digitized by Google

niejsze stają się ich rysy osobnicze, rozplynięte w zbiorowych symbolach całych warstw. Istny syn rasy łacińskiej, dawał Zola swoim bohaterom jedną wyłączną namiętność, oddając ich na pastwę ślepych sił i zewnętrznych czynników. Psychologia Zoli zstępuje nie do duszy indywidualnej, lecz w odmęt instynktów, i podobna jest do muzyki Wagnera, odbierającej najszlachetniejszemu instrumentowi, głosowi ludzkiemu, jego arystokratyczne znaczenie, ażeby go wpleść do orkiestry,—i dlatego tak jest u siebie w środowiskach, gdzie ludzkość objawia się w stanie pierwotnym, prawie chaotycznym, przerzucając się w żywiołowych rozpędach od dzikości do bohaterstwa; dlatego takie niezapomniane wrażenie wywierają ludowe epizody zamachu stanu w Plassans (*La fortune des Rougon*); dla tego arcydziełem literatury powszechnej zostanie „Germinal”, a „Pogrom” będzie na zawsze typowym tworem wielkiego talentu Zoli.

Typowym — bo jest jakaś przygniatająca analogia między tragicznym przedmiotem tego tworu, a naturą tego talentu; bo w żadnym ze swoich dzieł nie stanął Zola na tak wysokim szczeblu artyzmu, nigdzie nie jest takim Homerem rozkładu, i nigdy tak uparcie, jak przy czytaniu tej wstrząsającej książki, nie narzuca się zapytanie: czy życie, zapatrzone w literaturę, nie tworzy dalszego ciągu Rougon-Macquartów?

WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

Próbna pomoc lekarska dla ludu w gub. Płockiej.

Podstawowym czynnikiem bytu i rozwoju społeczeństw jest niezaprzeczenie zdrowotność mas narodowych. To też od zamierchłych czasów była ona przedmiotem szczególniejszej pieczy prawodawców. W mistycznej mądrości kapłanów egipskich nie brak przepisów higieny, a prawodawstwo Mojżesza nawskroś jest niemi przesiąknięte. Światowładny Rzym oblókł w ciało mądrość leczniczą Wschodu przez będące po dziś dzień przedmiotem podziwu urządzenia wodociągowe i kąpiele ludowe, na jakie nie zdobyło się nawet żadne ze społeczeństw współczesnych.

Z postępem wiedzy i rozwojem stosunków międzynarodowych, sfera higieny publicznej rozszerzała się coraz bardziej, zagarniając pod swą pieczę i władzę coraz to nowe dziedziny życia społecznego. Przepisy kwarantannowe, kontrola produktów spożywczych i przetworów przemysłu, przepisy o urządzeniach higienicznych miast, zakładów fabrycznych i szkół, aż do ochronnego szczepienia ospy najwymowniej świadczą o nieprzerwanym postępie i zabiegach celem utrzymania zdrowotności ogółu.

Wszystkie te tak różnolite zabiegi mają jednak wspólną cechę znamienne, iż są natury czysto zapobiegawczej. — Inicytywa społeczna poza te szranki przekraczała do ostatnich paru dziesiątków lat niechętnie i tylko w wyjątkowych wypadkach, to jest podczas wybuchów chorób epidemicznych, a i w tych nawet razach, właściwie powiedziawszy, tylko rozszerzała czasowo sferę opieki lekarskiej nad zdrowiem ludności niezamożnej.

Zabiegi natury leczniczej społeczeństwa do ostatnich czasów pozostawiały nie tylko inicytywie, lecz i środkom osób zainteresowanych. Szpitalnictwo, służąc przeważnie potrzebom biednych, nie narusza tej zasady, należąc z przeznaczenia swego bardziej do sfery instytucji dobroczynnych, niż do urządzeń zdrowotności publicznej.

Taki stan sprawy musiał jednak ulegć kardynalnym zmianom wobec przeistoczenia się w ciągu XIX wieku stosunków społecznych. Uwłaszczenie włościan i swoboda posiadania łącznie ze swobodą profesyi, oraz olbrzymi postęp w technice przemysłowej są to czynniki, które zróżniczkowały społeczeństwa cywilizowane na dwie klasy: posiadaczy i pozbawionych własności, robotników.—Materiałny byt sfer roboczych zawisł przede wszystkim od ich zdolności do pracy a ta ostatnia, *ceteris paribus*, głównie od zdrowia. Zarobki sfer roboczych wahają się stale około kosztów codziennego utrzymania, pozwalając ledwie na drobne oszczędności. Tak więc w razie losowych wypadków i dłuższej choroby powodującej nawet tylko przejściową niezdolność do pracy, koszty utrzymania sfer roboczych w całości musiały zaciążyć na budżecie ogółu, pod groźbą masowego w przeciwnym razie zwiększenia prole-taryatu. O wysokości tych ciężarów zrazu nie miano nawet przybliżonego pojęcia dla braku dat statystycznych.—Dopiero państwowe ubezpieczenie w Niemczech rzuciło na tę sprawę należyte światło, oceniwszy, na mocy realnych dat, zaczerpniętych ze swej statystyki, straty klas pracujących w Niemczech z powodu chorób w r. 1894 na 1 miliard marek.—Naturalnie, że tak olbrzymie straty nie mogły przejść bez śladu. Wobec braku wszelkich zasobów, wielu pracowników skutkiem dłuższej choroby musiało z konieczności upaść i pomimo woli zarekrutować się w szeregi proletaryatu, utrzymywanego kosztem ogółu.—Zjawisko to stale powtarza się we wszystkich społeczeństwach zachodnich, występując jaskrawo zwłaszcza w większych ogniskach pracy. Wzrastające szybko masy proletaryatu dały pochop do krańcowej krytyki obecnego ukształtowania stosunków warstw społecznych pod względem ekonomicznym, trzeźwo zaś patrzących mężów stanu skłoniło do przedsięwzięcia środków zaradczych.

Zasluga inicjatywy państwowej w pieczy o zabezpieczenie klas pracujących bezprzecznie należy się Niemcom, gdzie, poczynawszy od 1883 r., w drodze ustawodawczej wprowadzone zostały instytucje ubezpieczenia sfer roboczych w razie choroby, w nieszczęśliwych wypadkach, oraz w razie stałej niezdolności do pracy czyli inwalidyzmu i starości.

Chociaż prawodawstwo niemieckie bynajmniej nie przedstawia jeszcze całości zakończonej, pomimo to rezultaty już osiągnięte przedstawiają się imponująco. — Nie możemy dłużej zatrzymywać się nad temi rachubami, żeby jednak dać pojęcie o ich doniosłości, przytaczamy liczby odnośnych wydatków:

Marek

Ubezpieczenie na wypadek choroby od 1885 do 1899 włącznie	1,494,000,000
Ubezpieczenie w nieszczęśliwych wypadkach w tymże okresie czasu	517,500,000
Ubezpieczenia na wypadek trwałej niezdolności do pracy i w starości od 1891 do 1899 r. włącznie . . .	402,300,000

Dodajemy nadto, że obecnie, dzięki tym 3 rodzajom ubezpieczeń, klasy robocze w Niemczech otrzymują dziennie milion marek odszkodowania.

Mimo to, normy odszkodowania, udzielanego przez instytucje ubezpieczenia państwowego w Niemczech, w wypadkach nieszczęśliwych, są ledwie dostateczne, a renty dla niezdolnych do pracy stoją daleko niżej rzeczywistych potrzeb, nawet według opinii sfer rządowych.

Jeżeli zatem, mimo wydatków rocznych, wynoszących setki milionów, sfery robocze nie są dostatecznie zabezpieczone w Niemczech, jakież ogrom nieszczęścia spada na nie w tych społeczeństwach, gdzie instytucje zabezpieczenia wcale nie istnieją lub też znajdują się ledwie w okresie zaczątkowym. Prostem i nieodzownym skutkiem takiego stanu rzeczy jest szybki i stały wzrost proletariatu. Trzeźwy rozum stanu nakazuje zapobiegać wszelkimi sposobami temu groźnemu objawowi.

Przechodząc na grunt naszych krajowych stosunków, pod względem higieny ludowej prawdziwie opłakanych, należało oczekiwać, że inicjatywa urzędów pomocy lekarskiej dla ludu w Płockiem, podjęta w r. 1896 przez b. gubernatora płockiego, r. t. Janowicza, czyniąc zadość realnym potrzebom, spotka jak najgorętsze przyjęcie.

W Królestwie pomoc społeczna dla chorych do wprowadzenia w życie projektu r. t. Janowicza ograniczała się do:

- 1) Szpitali i ambulatoryów, podlegających radom dobroczynności publicznej.
- 2) Opieki lekarskiej dla robotników fabrycznych, udzielanej kosztem pracodawców, na mocy ustawy przemysłowej z dnia 3 (15) czerwca 1886 r. i noweli z dnia 8 (20) czerwca 1893 r.
- 3) Ubezpieczenia na wypadek choroby robotników według zasad ustawy z d. 27 stycznia 1895 r.

Te środki ochronne dla klas pracujących są ledwie zaczątkiem właściwej organizacji pomocy, tembardziej, że szpitalnictwo prawie w całości należy zaliczyć do instytucji dobroczynnych. Nadto nie-

zapominajmy, iż powyższe zarządzenia państwowe dotyczą tylko sfer roboczych przemysłowych, masa zaś bezrolnej ludności wiejskiej, przenoszącej obecnie u nas milion ludzi, pozostawała dotychczas bez wszelkiego uwzględnienia.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że gub. Płocka w Królestwie zajmuje naczelne miejsce pod względem ludności bezrolnej (około 20% ogółu ludności wiejskiej), pod względem zaś produkcji przemysłowej — ostatnie, to niewątpliwie organizacja pomocy lekarskiej najpilniejszą potrzebą była dla Płockiego i z góry zapewnione miała warunki powodzenia.

Mimo wszelkich sprzyjających okoliczności, wprowadzona przez rząd sposobem próby w końcu r. 1898 pomoc lekarska w Płockiem, po dwuletniem istnieniu spotkała się z surową krytyką nawet sfer rządowych i jako taka uznana została za wadliwą. — Gdyby pomoc lekarska w Płockiem była jedynie organizacją filantropijną, to i w tym razie, ze względów humanitarnych, należało-by fakt nieudania się jej poddać zbadaniu i po wyjaśnieniu wad starać się je co rychlej usunąć. — Zważmy jednak, że z powyżej przytoczonych względów pomoc lekarska w Płockiem bynajmniej nie może być zaliczona w poczet urządzeń filantropijnych, lecz wręcz przeciwnie, stanowi konieczność społeczną i jako taka winna być, po wszechstronnem zbadaniu, poddana gruntownej reformie celem przystosowania jej organizacji do realnych stosunków i potrzeb miejscowych. — Kierując się jedynie temi poglądami, rozpatrzmy zasady organizacji pomocy płockiej i postaramy się poddać ją, sine ira et studio, ocenie tak z punktu widzenia ekonomiki państwowej, jak i ściśle miejscowych potrzeb.

Najszerzej pomyślana pomoc lekarska istnieje w Niemczech. Objęła ona 9,230,000 pracowników, zapewniając im w ciągu 13 tygodni choroby bezpłatną poradę lekarską, środki lecznicze, oraz zasiłek pieniężny w stosunku $\frac{1}{2}$ zwykłego zarobku, lub też w pewnych razach kuracyi w domach zdrowia i $\frac{1}{4}$ zarobku na rzecz rodziny, utrzymywanej przez chorego. — Pomijając zasiłki pieniężne, jedynie koszty lecznicze wynoszą w Niemczech na ubezpieczonego 7 marek czyli 3 rb. Dodajmy, że z bezpłatnej porady lekarskiej wyłączono tam zupełnie rodziny ubezpieczonych, oraz, że po 13 tygodniowym okresie ciężar kuracyi ponosi sam zainteresowany lub też instytucje ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków i inwalidyzmu.

Gdy pomoc lekarska w Niemczech, kierując się względami ekonomiki, ściśle zakresliła sferę swej działalności, nie przekraczając granic nieodzownych potrzeb, pomoc płocka, wręcz przeciwnie, postawiła sobie za zadanie udzielanie każdemu bez wyjątku mieszkańcowi gubernii:

- 1) Bezpłatnej porady lekarskiej w ambulatoriach i w domu u chorych.
- 2) Bezpłatnego leczenia w szpitalach.
- 3) Środków leczniczych za opłatą 10 kop., bez względu na koszt.

Widzimy więc, że płocka pomoc objęła pod swą pieczę ogół ludności na cały przeciąg choroby; w Niemczech państwowa pomoc stosuje się tylko do $\frac{1}{6}$ ogółu zaludnienia, dotycząc jedynie pracowników, którzy zarabiają nie wyżej nad 2,000 marek rocznie z ograniczeniem pomocy do 13 tygodni.

Czy takie rozszerzenie sfery pomocy mogło spowodować zmniejszenie przeciętnych kosztów? — Bynajmniej. — Należy to do abecadła statystyki sanitarnej, że najczęstotliwszym i najdłuższym zachorowaniami ulegają: wiek dziecięcy i starczy, — oba wyłączone z ubezpieczenia niemieckiego.

Angielskie źródła określają okres trwania choroby podług Neisona:

W wieku 20 — 30 lat	8.4 tygodnia
" 30 — 40 "	10.6 "
" 40 — 50 "	15.5 "
" 50 — 60 "	27.8 "
" 60 — 70 "	64.4 "

W Niemczech wskutek tego, że do ubezpieczenia należą tylko osoby w sile wieku i pomoc trwa tylko do 13 tygodni, okres choroby średnio w ciągu 11 lat wynosi 2.35 tygodni rocznie.

Z powyższych dat widzimy, że średni roczny koszt pomocy lekarskiej, w Niemczech wynoszący 3 ruble na osobę, dla płockiego urządzenia okazał-by się stanowczo zbyt szczupłym. Gdyby jednak poprzestać na tej normie, to przy ludności 692,687 na gub. Płocką spadły-by koszty lecznicze w sumie przeszło 2 milionów rubli rocznie, wobec ciężarów państwowych, miejskich i gminnych wynoszących ogółem 1,220,000 rubli. — Tak więc widoczna, że, wobec rozszerzenia nadmiernego zakresu, pokryć kosztów pomocy lekarskiej dla Płockiego utartą drogą podwyższonego opodatkowania niepodobna. — W Niemczech, nawet wobec daleko skromniejszych rozmiarów pomocy — na środki składają się jedynie sfery bezpośrednio zainteresowane, tj. robotnicy i pracodawcy.

Nie kierowano się tam względami filantropii, lecz konieczności i sprawiedliwości społecznej. Te czynniki jedynie umożliwiają rocz-

ny ciężar zabezpieczenia na wypadek choroby w sumie 166 mł. marek. Na dwie trzecie tej sumy składają się sfery robocze—pozostała zaś $\frac{1}{3}$ kosztów ponoszą pracodawcy.

Płocka pomoc, pominąwszy zasadę wzajemności jedynie możliwą, chciała w całości oprzeć swój byt na ogólnem opodatkowaniu. — To jest geneza dysproporcji zamierzeń i środków. Naturalnie, że Rada Państwa, wychodząc z zasad ogólnej ekonomiki państwowej, mogła przychylić się tylko do nieznacznego podniesienia ciężarów podatkowych, tj. do podwyższenia o 5% pewnych ciężarów ogólnopństwowych dla własności ziemskiej i handlu i o 10% dla własności miejskiej. — Te źródła dały możność zamknąć budżet roczny pomocy sumą rubli 26,640, co wynosi niespełna 4 kop. na jednego mieszkańca gub. Płockiej.

Co za kolosalna różnica pomiędzy kosztem ograniczonej do 13 tygodni pomocy niemieckiej rb. 3 i płockiej, nie znającej żadnych ograniczeń—kop. 4 na głowę.

Projekt pomocy płockiej, jak widzimy, dopuścił się zasadniczego błędu, gdyż oparł rozwiązanie zagadnienia społecznego wielkiej doniosłości, z pominięciem zasad ekonomiki, na filantropii, kierującej się jedynie zasadami humanitaryzmu. — Niestety, gdyby to przewodnie hasła były w stanie coś więcej zdziałać nad zapobieżenie na razie złemu, mielibyśmy prawdziwy raj ziemski. -- Tak jednak nie jest, nawet w tych społeczeństwach, które, jak na przykład w Anglii, prócz dobrowolnych ofiar ponoszą stale ciężary gwoili uczuciom filantropii.

Zapewnić opiekę państwową całym klasom społecznym, bez ofiar materyalnych z ich strony, a jedynie kosztem pozostałych warstw społeczeństwa, niepodobna. Do takiej bezwzględnej opieki ma prawo tylko proletaryat, zaliczać zaś sfery pracujące masowo do proletaryatu nie nas nie upoważnia. — Taki ustrój społeczny nie mógł by istnieć, a nawet nie da się pomyśleć.

Po tych zasadniczych uwagach rozpatrzmy szczegóły organizacji pomocy lekarskiej w Płockiem.

Naturalnie, że rozporządzając sumą z góry określoną, należało przystosować się do tych ramek. Wobec tego zadanie opieki lekarskiej nad ogółem ludności (692,687) włożono na 8 lekarzy i tyluż felczerów i akuszerów — ogółem na 24 osoby, co wynosi 28,858 ludności na 1 osobę służby zdrowia. Nadto założono 8 szpitali o ogólnej liczbie 80 łóżek, co łącznie z istniejącymi szpitalami w Płockiem (7 szpitali o 189 łóżkach) daje jedno łóżko na 2,200 osób. — Te liczby jeszcze dosadniej malują skrajną niedostateczność środków, niż zestawienie kosztów w Niemczech i w Płockiem. — W państwach zachodnich,

gdzie niema dotychczas obowiązkowej pomocy lekarskiej dla ogółu ludności, jeden lekarz wypada w Niemczech—na 2,102, we Francyi—na 2,558, w Austrii—na 2,769 osób.—Niedostateczna ilość łóżek nie potrzebuje żadnych dowodów, ale, pominąwszy nawet tę kwestyę, należało-by życzyć, właśnie ze względów zdrowotności publicznej, nieureczywistniania się projektu szpitali o 10 łózkach. Zapewne, takie szpitale były-by niemal ideałem, gdyby nie żelazna konieczność rachowania się z kosztem utrzymania łóżek, który znacznie wzrasta, w miarę zmniejszenia się ilości.—Płockie nie rozporządzało takimi funduszami, a prosty stąd skutek, że chorzy zmieniali w szpitalach jedni drugich nawet bez kąpiei, gdyż w szpitalach nie było wanien.—W takich warunkach szpital, zamiast być instytucją zdrowotności publicznej, staje się rozsądnikiem chorób zaraźliwych.

Na lekarzu pomocy ciążą obowiązki prowadzenia i zarządu szpitala o 10 łózkach, 2-krotnych tygodniowo wyjazdów na całą dobę w punkty odległej porady ambulatoryjnej; porady chorym przychodnim w miejscu zamieszkania; wyjazdów w miarę potrzeby do obłożnie chorych w promieniu co najmniej 10 wiorst; ścisłego nadzoru nad ekspedycją lekarstw, która odbywa się jedynie przy pomocy felczera, i udziału w ogólnych naradach w Płocku.—Podolanie tyłu zadaniom naraz należy wprost do dziedziny nieprawdopodobieństwa. Jak można prowadzić szpital wobec stałych wyjazdów na całe doby, w jaki sposób przy 20-wiorstowych odległościach punktów ambulatoryjnych udzielić porady w ciągu paru godzin przeszło 100 chorym (według urzędowego sprawozdania, aż do 105) i jednocześnie dopilnować ekspedycyi dla nich lekarstw, dokonywanej przez osoby niefachowe—nikt chyba nie rozwiąże tego zagadnienia. Właściwie zaś powiedziawszy, odpowiedź może być tylko jedna: ponieważ wszystkie te zabiegi ma uskuteczniać jeden lekarz, to, mimo najlepszych chęci, nieodwołalnie muszą one być pobieżne, czyli nieracjonalne, a w większości wypadków—istnieją tylko na papierze.

Że pomoc nie odpowiada swojemu zadaniu nawet w najszerszym zakresie, nie jest to nasze osobiste zdanie. Sam twórca projektu, r. t. Janowicz, po 2-letniej próbie skierował do sfer miarodajnych memoriał, w którym obszernie uzasadnia nieodzowność podniesienia rocznego budżetu pomocy z 26,640 do 70,230 rubli, kończy zaś swój elaborat temi słowy: „W każdym razie stan sprawy przedstawia się tak, że, jeżeli obecna suma, wyznaczona na pomoc lekarską, nie będzie powiększona do wyżej wskazanych rozmiarów, to, dla braku środków, instytucye tejże pomocy nieodwołalnie należy zwinąć”.—Określenie aż nadto wymowne, lecz z wyżej przytoczonych względów niedostatecznie malujące położenie rzeczy.

Pomińmy sprawę funduszków, acz arcy ważną, lecz nie decydującą ostatecznie w danym razie.—Dotychczas nie poruszyliśmy wcale kwestyi ogólnej organizacyi pomocy.—W Niemczech, gdzie administracya działa z prawdziwie automatyczną ścisłością, pomimo to sfery rządzące przyznały, że zabezpieczenie pomocy lekarskiej nieodzownie należy zorganizować na zasadach wzajemności i zarząd tej organizacyi w całości powierzyć sferom zainteresowanym. Tylko w ten sposób uznano za możliwe osiągnięcie pożądaných rezultatów przy możliwej oszczędności. Szybkość i taniość są to dwa warunki, bez których skuteczna pomoc dla chorych niezamożnych pozostanie raz na zawsze uludną chimera.

Tak więc wszędzie wzorowa organizacya pomocy lekarskiej opiera się na współdziałaniu społeczeństwa z rządem, gdzie rola ogółu określona pracą i radą dodatnią, rząd zaś zastrzega sobie prawo zwierzchniego nadzoru nad należytem wykonaniem obowiązujących ustaw i ostateczne rozstrzyganie powstających kwestyi zasadniczych. W Cesarstwie sprawa pomocy lekarskiej, w ten sposób pojęta, spoczywa w rękach ziemstwa, to jest instytucyi samorządu. U nas, wobec innego ustroju władz, nie chodzi o wyłączność kierunku przez społeczeństwo, — próbną atoli pomoc lekarską, zorganizowaną tak, jak w gub. Płockiej rzecz tę podjęto, to jest wyłącznie przez organa administracyjne, jakimi są rady dobroczynności publicznej, gubernialna i powiatowa — musiała, naturalnym biegiem rzeczy, okazać się niewystarczającą i nieopowiedną.

Przez to, iż stosunku ściślejszego ze społeczeństwem od założenia nie było, że ograniczono się ogłoszeniem ustawy w miejscowych „Gubernskich Wied.“, i rozesłano jedynie do urzędów powiatowych i gminnych zawiadomienia odnośne, nie zainteresowano dostatecznie ogółu, który winien był przejąć się i współdziałać w tak ważnej a pilnej sprawie.

Bez powołania tego społeczeństwa w sprawie tak ważnej i w tak codziennej jego potrzebie, działalność organów administracyjnych nie uzyska tej skuteczności, o jaką wszystkim chodzi, i pozbawioną będzie istotnej treści, z wielką szkodą dla ogółu i państwa. Miejmy nadzieję, że niepomysłna próba pomocy lekarskiej w gub. Płockiej przekonanie o tem utwierdzi.

S. KRZECZKOWSKI.

NOWE PRACE O MALARZACH WŁOSKIEGO ODRODZENIA.

Bernhard Berenson: 1) *The Central Italian Painters of the Renaissance.*
2) *The Florentine Painters of the Renaissance. Second Edition revised. 1901.*

W żadnym może kierunku umysłowości angielskiej nie dokonał się przy końcu ubiegłego stulecia przełom tak stanowczy, jak w dziedzinie krytyki artystycznej. Pod wpływem Prerafaelitów z jednej, a teoretycznej i pedagogicznej działalności Ruskina z drugiej strony, pozbyła się sztuka angielska wielu cech swej rasowej odrębności, ale rozszerzył się jej horyzont i równocześnie rozbudził się w narodzie angielskim zapal do sztuki wogóle, mnożyć się zaczęły historyczne i krytyczne nad rozwojem sztuki badania, a zagadnienia estetyczne, ich właściwości i pobudki, coraz więcej zaprzatają umysły. Jeszcze lat kilka, a berło krytyki artystycznej, silną dłońią dzierżone dotąd przez Niemców, wyrwane im od czasu do czasu przez Francuzów, przejdzie w ręce angielskich historyków sztuki. Obok znamionującej ich na równi z Niemcami ścisłości, wnoszą oni do artystycznej krytyki właściwy im dar obserwacji psychologicznej, obniżający się u niemieckich uczonych w miarę, jak zanika w ich narodzie trzeźwość w sądzeniu samych siebie, a teutońska buta, wdzierająca się nawet w najidealniejsze sfery myśli, nie pozwala odstąpić od pewnych, zakorzenionych uprzedzeń.

Objawem tego artystycznego sądu, opartego na historycznych badaniach z jednej, a psychologicznej obserwacji z drugiej strony, są prace Bernarda Berensona o malarzach włoskiego Odrodzenia.

Biorąc te książki do ręki, mimo woli nasuwa się wątpliwość, czy znajdzie się w nich coś nowego o szkołach i mistrzach, którym najpoważniejsi krytycy i historycy poświęcili długie i mozolne badania, o których napisano setki wyczerpujących monografii, większych i mniejszych rozpraw, o których rokrocznie ukazują się jeszcze artykuły w różnych literackich i naukowych miesięcznikach?

Istotnie, w tych dwóch małych książeczkach, z których jedna liczy właściwie tylko 95, a druga 129 stron (reszta odpada na spis obrazów i miejscowości, w których się one znajdują), nowych i nieznanych nie spotykamy szczegółów. A przecież te książki sprawiają niezwykle wrażenie. Czytając, oderwać się od nich trudno, skończywszy, otwiera się je znowu, i czuje się, że poruszają one szeregi myśli, w wielu z nas tkwiących, ale nieskrystalizowanych, że rzucają więcej światła na naturę wrażeń, wywołanych w nas przez dzieła mistrzów, o których mowa, niż niejedna z dokładnie opracowanych monografii.

W czym tajemnica uroku Rafaela, lub Leonarda, dlaczego do pewnych pokoleń i ludzi lepiej przemawia ten, niż tamten z mistrzów Odrodzenia; dlaczego niektórzy z nich narzucają się uwielbieniu wszystkich, dlaczego jedni są i pozostaną nieśmiertelnymi, choćby się nawet zmienił charakter naszej europejskiej kultury, a drudzy wydają się typami epoki już zamkniętej? To są pytania, żywiej nas może obchodzące, niż koleje życia i historyczny związek utworów największych nawet artystycznych geniuszów.

Prace Bernarda Berensona, jakieśmy to już powyżej zaznaczyli, napisane są z punktu widzenia czysto psychologicznego; ten punkt widzenia sprawia, że nie tylko tak żywo uprzytomniają nam odniesione osobiste artystyczne wrażenia, ale nadto poruszają mnóstwo doniosłych, z faktem artystycznego używania powiązanych zagadnień.

Bernard Berenson zwraca już od lat kilku uwagę pięknymi i oryginalnymi pracami, jest on również autorem ciekawego szkicu o Lorenzu Lotto, oraz książki o malarzach weneckich, zdobnej w piękne fotografawiry, która w krótkim czasie już trzeciego doczekała się wydania. Nigdzie jednak wyraźniej nie zarysowało się stanowisko angielskiego krytyka, nigdzie szerszego nie miał pola do rozwinięcia całokształtu swych artystyczno-psychologicznych poglądów, jak w tych dwóch pracach, z których zdajemy sprawę. Oddzielić jedną od drugiej niepodobna. Uzupełniają się one wzajemnie, tak, jak w rzeczywistości uzupełniały się owe dwie szkoły włoskie, do których się odnoszą, a z których jedna wydała Rafaela, druga z działalnością Michała Anioła kulminacyjnego dosięgnęła punktu.

Jaką w historii Odrodzenia malarze Włoch środkowych odegrali rolę, co ich od szkół innych, mianowicie od weneckiej i florenckiej, wyróżnia, co im nadaje pewną jednolitość typu, od Duccia poczynawszy, a skończywszy na Rafaelu, oto pytanie, od którego Berenson pracę swoją zaczyna. „Zdarzają się — mówi — między nimi malarze, obdarzeni żywym poczuciem kolorytu, jak Gentile da Fabriano,

Perugino, Rafael, są tacy jak Signorelli, którzy nie ustępują malarzom florenckim w rozwiązywaniu największych trudności kształtów i ruchów; ale, wzięci zbiorowo, nie zasłynęli oni w dziejach sztuki ani jako rysownicy, ani jako koloryści. Dzięki czemuż zajęli miejsce, jeżeli nie obok najpotężniejszych, to obok najpopularniejszych imion?.

„Malarze Włoch środkowych—odpowiada w dalszym ciągu Berenson — są przedewszystkiem znakomitymi i typowymi Ilustratorami“.

Ażeby tę definicyę autora ocenić, trzeba zrozumieć, jakie to w utworze sztuki plastycznej, a mianowicie w utworze malarskim, wyróżnia składniki. Wszelki obraz, uwidoczniiony za pomocą linii i barw, ma bez względu na swoją artystyczną wartość i techniczne wykonanie to samo źródło, co wszelkie nasze pamięciowe obrazy: podrażnienie wyobraźni przez pewne zjawiska, odbywające się w świecie zewnętrznym. Zdolność tworzenia obrazów posiada każdy umysł, ale posiada ją w rozmaitym stopniu: u jednych pamięciowe obrazy są zaledwie cieniem odczutyh na razie podrażnień, przyczem większa ich część zaciera się zupełnie; u drugich przybierają wyraźniejsze i trwalsze kształty; u innych wreszcie zdolność obrazowania jest tak wybitna, że po upływie dłuższego czasu, jakiś fakt, jakaś scena z tą samą przedstawia się im wyrazistością, jak kiedy ją odczuwali na razie. Z chwilą, gdy ta zdolność obrazowania uwidocznia się na zewnątrz za pomocą linii i barw, mamy przed sobą utwór malarski. Gdyby nie istniała zdolność pamięciowego obrazowania, nie mieli-bysmy zapewne sztuki, ale gdyby wszystkie umysły posiadały tę zdolność w jednakowo doskonałym stopniu, żaden obraz, utrwalony na zewnątrz, nie sprawiał-by im należytego zadowolenia. Obraz bowiem każdy, ze względu na swoją treść, tem głównie uczucie zadowolenia wywołuje, że wyobraźni naszej pewną pomoc, a zarazem i podnetę przynosi. Otóż wszystko to, co w utworze artystycznym pociąga nas i zajmuje ze względu na znaczenie swej treści, podciąga autor pod miano *Ilustracyi*. Na to jednak, ażeby utwór malarski wywarł na nas prawdziwie artystyczne wrażenie, innych potrzeba jeszcze składników. Oprócz zdolności odtwarzania pamięciowych obrazów, potrzeba tego, co bezpośrednio podnieca i zadawalnia naszą dotykową wyobraźnię (*our tactile imagination*), a co Berenson, w przeciwstawieniu do *Ilustracyi* nazwą *Dekoracyi* oznacza.

Ilustracją są niezaprzeczenie ryciny, zdobiące szpalty czasopisma, ale Ilustracją są także freski Rafaela, o ile nie weźmiemy pod uwagę różnicy, zachodzącej między jednym a drugim, pod względem

strony dekoracyjnej, to jest jego ściśle artystycznych wartości, jakimi są kształty, ruch, układ lub koloryt.

Ponieważ zdolność pamięciowego obrazowania objawia się u wszystkich ludzi i we wszystkich epokach, przeto oczywistą jest rzeczą, że nawet w tych okresach, które zatraciły, lub nie wyrobiły sobie jeszcze poczucia kształtów, ruchów, układu i t. d., nawet w czasach niskiego wykształcenia technicznego, utwór malarski czynił za dość pewnym potrzebom wyobraźni. Podobnież i w epokach najbardziej rozwiniętego poczucia artystycznego znajdują się zawsze ludzie, którzy wartość obrazu upatrują w jego ilustracyi, to jest w tem, co on nam za pomocą linii i barw wyraża. Z tego punktu widzenia wynika, że jeżeli który składnik w dziele sztuki ulegać może pewnym fluktuacyom pojęć, jeżeli który odzwierciedla ideały, różniące jedne pokolenie od drugiego, to tylko ilustracya. Strona dekoracyjna, przeciwnie, odpowiadająca pewnym stałym i niezmiennym wymaganiom wyobraźni dotykowej, pozostaje poza wszelką fluktuacją kursujących wyobrażeń. Obraz, odznaczający się prawdziwie artystyczną wartością, jakakolwiekby była treść jego, nie straci tej wartości, choćby nastąpiła epoka zboczenia smaku estetycznego, jak to działo się za czasów Carraccich, Gwido Renich i t. p.

Cóż więc znajdujemy w tych czasach, w których brak środków technicznych, brak odpowiedniej metody w traktowaniu kształtów i ruchów, nie dozwalał artystom wydoskonalić strony dekoracyjnej utworu, a nigdy nie ustająca w pracy swej wyobraźnia siliła się głównie w kierunku uzmysłowienia sobie zajmujących ją ideałów? Oto widzimy, że w takich czasach wszystkie utwory malarstwa są przede wszystkim ilustracyami. Jeżeli ilustrator obdarzony jest wyjątkową zdolnością pamięciowego obrazowania, jeżeli krążące wśród jego otoczenia pojęcia w jego umyśle, a następnie pod jego ręką wyrażniej i potężniej się odbijają; to, pomimo braków, zachodzących w części dekoracyjnej jego utworów, ilustrator taki wywoła głębokie wrażenie i pozostanie zawsze ważnym, a nieraz i bardzo pociągającym wyrazem swej epoki.

Otóż cechą wybitną malarzów Włoch środkowych jest to, że są wszyscy przeważnie ilustratorami, nie przestaje bowiem być ilustratorem i tak genialny, jak Rafael, artysta, a to z tego powodu, że i dla niego celem wszystkich jego usiłowań jest wyrażenie tkwiącej w nim i jego otoczeniu idealnej treści.

Takim typowym, a do dziś dnia bardzo jeszcze pociągającym okazem ilustratora jest Duccio di Buoninsegna (1282 — 1339). Wszystko, czego wieki średnie żądały od malarza, to Duccio doskonale urzeczywistnia. Berenson przechodzi cały cykl jego obrazów, prze-

chowywanych dotąd w muzeum Sienneńskim. Zatrzymajmy się przed kilkoma z nich. Metaliczny ich blask, ich złoto, zlewające się z barwą zieloną, nadają im sztuczną wprawdzie, ale niezaprzeczoną cechę wspaniałości. A w oddaniu treści jakaż prostota, jasność i dokładność! Co więcej, scenom, które przedstawia, umie Duccio nadać całą tę wartość, całe to znaczenie, jakie w nich genialną wyobraźnią swoją odczuwa; umie w nich dopatrzeć się czegoś więcej ponadto, co by w nich zwykła wyobraźnia pochwycić zdołała, a tem samem działa na umysły podniecająco; „podnosi je do wysokości własnego umysłowego poziomu“. Oto mamy przed sobą Chrystusa Pana, przemawiającego do swych uczniów przed umyciem nóg. Staje przed nimi pełen majestatu, a oni patrzą na Niego tak, jak gdyby im się teraz dopiero w całym blasku swej doskonałości odsłonił. Zachwyt, wysilenie duszy, ażeby go pojąć, aby się dźwignąć ku niemu, wszystko tu uwydatnione i przeprowadzone przez całą skalę indywidualnej ekspresji. Idźmy dalej. Nastął dzień Zmartwychpowstania; jutrzeńka oblewa swem światłem ściany jaskini. Trzy Marye zbliżają się do grobu i zatrzymują, nagle olśnione widokiem Anioła. Tu już do dramatyczności wyrazów, do głębokości uczucia, do wspaniałości pomysłu, stanowiących główne zalety wielkiej ilustracji, przyłącza się czar oświetlenia. W zdradzie Judasza znajdujemy jeszcze inną zaletę, mianowicie rzadką zdolność artystycznego układu. Niekiedy schodzi Duccio z wyżyn dramatu i wsuwa nieznacznie wdzięczny, rodzajowy obrazek. A jednak, pomimo tych znakomitych zalet, dlaczego Duccio wydaje się raczej archeologicznym zabytkiem, dlaczego imię jego tak mało znane, podczas gdy współczesny jemu Giotto tak silnie przemawia do naszego artystycznego poczucia, a imię jego już od pięciuset lat nieśmiertelnym jaśnieje blaskiem? Posiadał widocznie Giotto jakiś talizman, jakiś sekret, do którego Duccio nie dotarł. Odpowiedź jest na to krótka: owym talizmanem nieśmiertelności jest życie samo, pulsujące w utworach Giotta. „Jeżeli—powiada Berenson—artysta potrafi zręcznie pochwycić ów pierwiastek życiowy i wcielić go w swoje utwory, natenczas może być pewnym, że dzieła jego żyć będą wiecznie. Ale owe życiodajne własności nie odnajdują się w samej treści obrazu, czyli w jego ilustracyjnym składniku, osiągnąć je można tylko przez właściwe oddanie kształtów, to jest wartości dotyków i ruchu“.

„Wyobraźmy sobie kogoś, przynoszącego nam jakąś nowinę, — tłumaczy obrazowo autor, — jakakolwiekby była osnowa jego poselstwa, jakiegokolwiek sprawiło-by nam ono na razie wrażenie, jeżeli ten, co nam go udzielił, prostym jest tylko posłańcem, myślimy o tem, co nam obwieścił; ale u niego i na sposób, w jaki to wyraził, nie zwa-

camy nawet uwagi. Niech to jednak będzie interesująca i pociągająca osobistość, a niebawem wiadomość, jaką nam przyniósł, o tyle już ma tylko dla nas znaczenie, o ile się stała zawiązkiem naszej przyjacielskiej zażyłości. To samo dzieje się z nami i w stosunku do artystycznego utworu. Choćbyśmy dawno wyczerpali treść jego, jeżeli posiada wartości dotykowe, jeżeli w nim jest ów pierwiastek życiowy, nie przestaje nas swym urokiem pociągać, bo, podobnie jak zalety naszego przyjaciela, ma on dar potęgowania i podniecania w nas bezpośrednio objawów życia.

Otóż w utworach Duccia postać ludzka ma znaczenie, jako aktor w dramacie, jako szczegół w kompozycji, ale nigdy nie jest owym czynnikiem, podniecającym naszą wyobraźnię dotykową i poczucie ruchu. Jego ciała nie mają odporności, ani wagi — one nie ciężą i nie naciskają, gdy siedzą — pchnięte, możeby się rozwiały, jak cienie, draperye nie czynią nigdy wrażenia, jakoby żywe okrywały kształty. Jeżeli wyzyskuje nasuwające się mu kształty i ruchy, czyni to po dyletancku, nie zdając sobie sprawy z ich właściwej roli; nigdy same przez się nie są dla niego celem, ale środkiem do podniesienia ilustracji.

Nie jest to naszym zadaniem przejść w szczegółach rozwój sztuki Włoch środkowych; chcieliśmy tylko pokazać, w jaki sposób, wyszedłszy z psychologicznego założenia, doszedł Berenson do określenia malarzy tej szkoły, jako typowych ilustratorów. Zaznaczamy więc pobieżnie, że jeżeli w Ducciu przeważa poczucie uroczystości i dramatyczności, to Simone Martini, uczeń Duccia, celuje pięknoscią, gracyą, a przytem świetnością kolorytu, ale i on jest tylko ilustratorem własnych i otoczenia swego wyobrażeń. Z dwoma Lorenzettimi, Piotrem i Ambrożym, poczucie kształtów, ruchu, kompozycji, schodzi już na ostatni plan, wszystko poświęcone wyrażeniu najbanalniejszych i najłatwiejszych wzruszeń.

Początkiem swej działalności sięgająca czasów, w których techniczne środki i metoda artystyczna nie były się jeszcze wykształciły, a obserwacja nie była się zwróciła w kierunku realnych, życiowych objawów, gałąź ta szkoły Włoch środkowych, odcięta dłużej, niż inne, od zewnętrznych wpływów, skostniała z czasem tak dalece, że późniejsze jej okazy czynią już całkiem archeologiczne wrażenie. Upadła szkoła Sienieńska, ponieważ jej malarze nigdy nie zwrócili obserwacji swej tam, skąd mogli zaczerpnąć nieśmiertelnego pierwiastku życia, woleli dorabiać ciała do swych marzeń i wywoływać pamięciowe wyobrażenia, pokutujące w ich umysłach. A tymczasem wkoło nich, w niedalekiem sąsiedztwie, dokonywał się przełom wyobrażeń. Co

przyczyniło się do zmiany? Przedewszystkiem ów niespożyty zapas energii, niepozwalający, jak się wyraża autor, spocząć bezczynnie w jakimkolwiek raju; dalej obudzenie się ducha obserwacyi naukowej i fakt nader pomyślny, że znaczny, jeżeli nie przeważny, zasób owej energii zwrócił się pierwiej ku sztuce, niż ku umiejętności. Wynikiem tego był naturalizm, który Berenson określa jako umiejętność, spożytkowującą sztukę do swoich celów. Wkrótce wyłoniło się przeświadczenie, że obiektywna wartość nie tkwiła w tego rodzaju sztuce, jaką dotychczas uprawiano. Człowiek, obdarzony niezwyklej samodzielnością, jakim był Donatello, oswobodził za jednym zamachem sztukę od całego balastu średniowiecznych wyobrażeń i zwrócił się z niebywałym zapalem do reprodukcji przedmiotów, jakie mu obserwacya nasuwała. Opanowany żądzą udzielenia jak najwięcej ruchu, ujawnienia jak najwięcej akcji, wyszczególniał z upodobaniem z pomiędzy niezliczonej ilości narzucających mu się form te, które najlepiej objawiały grę zwinnych i szybkich sił w przyrodzie. Tkwiło w tem poniekąd niebezpieczeństwo: dążność ta, zadaleko posunięta, utrzymuje Berenson, mogła nadać sztuce impuls, który-by ją był zbliżył więcej do kierunku japońskiego malarstwa, niż do naszego. Ale niebezpieczeństwo zostało zażegnane przez Masaccia wprowadzeniem takich kształtów, które potęgują w naszej wyobraźni wrażenie odporności i mocy. Potężnej wreszcie dostarczył umysłom podniety świat starożytny, zmartwychwstający z gruzów i odsłaniający stopniowo swoje poczucie życia i piękna w coraz ciekawszych i coraz liczniejszych fragmentach. Stworzony przez Donatella i Masaccia, sankcyonowany przez Humanistów nowy kanon figury ludzkiej uwidocznił ten nowy i niejako wzmocniony typ istoty ludzkiej, lepiej do walki życiowej zaopatrzonej, niż poprzedni, i typ ten wyrażać będzie nasz ideał człowieka, dopóki utrzyma się helleński charakter naszej europejskiej kultury. Pod działaniem tych czynników musiał się zmienić charakter wyobrażeń — co więcej, po pięciu wiekach ciągłego naśladowania i powtarzania rasa europejska stała się do typu, jaki jej nowy kanon dostarczył, podobniejszą, niż pokolenia, które go poprzedziły, „jest to bowiem niezaprzeczoną prawdą,—dowodzi autor,— że sztuka uczy nas, nietylko jak mamy patrzeć, ale także, jakimi być mamy“.

Z Donatellem i Masacciem zaglądaliśmy w podwoje florenckiej szkoły. Jeżeli uprzytomnimy sobie składniki, jakie Berenson w utworze artystycznym wyróżnia, to zrozumiemy odrazu, dla czego, zdaniem jego, artyści florency są w przeciwstawieniu do malarzy Włoch środkowych przedewszystkiem Dekoratorami. Jak dla tamtych treść duchowa najwyższe i niemal wyłączne miała znaczenie, tak

dla tych wszystkich to, co działa na dotykową wyobraźnię, staje się przedmiotem i celem głównym wszystkich umysłowych wysiłków, wszystkich zmian, wprowadzonych do artystycznej metody, wszystkich udoskonaleń technicznych. Ale, że umysł ludzki w rozeznawaniu czynników działających wznosi się od najprostszych do najzawilszych, więc w przebiegu sztuki florenckiej ujrzymy odpowiadające tym etapom rozeznawania także stopniowe opanowywanie dotykowych wartości. Najprostszą, ale też i najpierw na wyobraźnię działającą wartością są kształty; od obserwacji i reprodukcji onych rozpoczyna się działalność tej szkoły, a inicjatorem w tym kierunku, jakśmy to już nadmienili, był Giotto.

Zanim jednak pójdziemy w ślad za mistrzami florenckimi po coraz wyższych stopniach rozwoju sztuki, przypatrzmy się, o ile w innych ogniskach środkowych Włoch uwidoczni się ów typ Ilustratorów, który tak wybitnie i niemal wyłącznie odznaczał szkołę Sienńską.

Zdawało-by się, że trzech mistrzów stanowiący w tej tradycji uczyliło wyłom; Romania i najbardziej na Południe wysunięta część Toskanii są ich ojczyzną: Piero dei Franceschi, Luca Signorelli i Metozzo da Forlì, to na pierwszy rzut oka godni florenckich malarzy współzawodnicy. Do tych samych zdają się zmierzać celów, temi samymi kroczyć drogami. Już Piero, mistrz Signorellego i Metozza, ma także poczucie dotykowych wartości i taki dar uwydatnienia siły i ruchu, że nie ustępuje ani Masacciemu, ani Donatellemu, a jest niezaprzeczenie pierwszym, dla którego efektu światła mają same przez się urok i znaczenie. Obok tego jest to ilustrator pierwszorzędno go znaczenia, ilustrator, uprzytomniający nam odrębny świat pojęć, zapatrzony w pełen majestatu ideał, skłonny do uroczystej interpretacji. Zarzucić mu jednak można, — powiada Berenson, — że nie zawsze utrzymuje się na tej wysokości, że nieraz wydać się może za mało osobistym, nawet obojętnym. Tu następuje u Berensona pełna ciekawych szczegółów ocena tego, co pod nazwą obiektywności (impersonality) w sztuce rozumie. Szczupłe ramy niniejszego sprawozdania nie pozwalają iść w ślad za wszystkimi jego wywodami. Jakkolwiek daleki od akademickiego na sztukę poglądu, jednak w tej ocenie zarysowuje się Berenson jako stanowczy przeciwnik całego impresjonizmu, i na bezdroża schodzącego dekadentyzmu. O ile niezbitym jest fakt, że żaden artysta nie jest w możności oddania bądź zjawisk życia ludzkiego, bądź krajobrazu, takimi, jakimi są w istocie, ale tylko takimi, jakimi się w jego wyobraźni odbijają, o tyle wystrzegać się powinien przy odtwarzaniu swych pamięciowych obrazów zabarwiania ich czysto subiektywnym odczuciem. Redukując rzeczywiste zja-

wiska do ich najbardziej charakterystycznych znaków i sił sprawi to, „że patrzący wobec nich będzie reagować, jak on reagował, i czuć, jak on czuł”.

Spadek po Piotrze dei Franceschi obejmują dwaj genialni uczniowie, a idąc za impulsem własnego temperamentu, każdy na swój sposób wysokiego stopnia doskonałości dosięga. Melozzo ma potężniejszy temperament, Signorelli jest subtelniejszym i głębszym umysłem. W uroczyste kreacje swego mistrza wlewa Melozzo wyjątkową siłę uczucia; u niego figura nigdy nie jest nieczułą, nigdy też sama w sobie nie jest dla niego celem, ale zawsze wcieleniem wielkich wzruszeń. Wzruszenia te nietylko udzielają się patrzącemu, ale go porywają w jakiś świat wyższy, archanielski. Występuje zatem Melozzo w całej swej artystycznej działalności, jako genialny ilustrator.

Signorelli nie pali się tym ogniem, co Melozzo, — pisze Berenson, — ale i znaczenie treści poetycznym chwyta umysłem i równie dobrze panuje nad kształtami, jak Giotto, a nad ruchem, jak Piero, lub Masaccio. Wprawdzie w tym kierunku mistrzem więcej był mu jeszcze Pollainolo od Piotra. Wielkim artystą był-by się stał Signorelli z temi zaletami, ale te zalety były mu środkiem do celu, który sobie nadewszystko inne upodobał, a celem tym były nagie kształty: „Il nudo”. Dlaczego nagie kształty taką w sztukach plastycznych odgrywają rolę? dlaczego ku nim zwracać się będą uporczywie najgenialniejsi artyści? to nam już wyjaśniono nieraz, to nam jeszcze z psychologicznego punktu widzenia wyklada Berenson w swej pracy o malarzach florenckich. Oddanie nagich kształtów, o ile się uda i należycie było traktowane, jest ze wszystkich artystycznych tematów najwięcej życia udzielającym i najbardziej życie podniecającem, żaden bowiem przedmiot w takiej mierze nie pozwala uwydatnić i skontrolować wartości dotykowych, a szczególnie ruchu. Stąd owa uparta żądza opanowania nagich kształtów, wydarcia im wszystkich tajemnic życia, apoteozowania ich niemal, jaką znachodzimy u Michała Anioła. A jednak w tym kierunku współzawodniczy z nim nieraz Signorelli, a jeżeli czasem mylił się w swem zrozumieniu nagich kształtów, to dla tego, że i on jest wybitnym ilustratorem, że i on jest dzieckiem Włoch środkowych, ale, jako taki, Signorelli jest najrozumialszym dla nas ze wszystkich, dotąd omawianych ilustratorów. „On pierwszy — mówi autor — ilustruje nasz własny, nowożytny dom życia”. Ci trzej malarze zależnością swoją od florenckich wpływów, a tradycyjną skłonnością umysłów, stanowią pomost pomiędzy Florencją a środkowymi Włochami. Ale czas nam przypatrzeć

się wraz z autorem trzeciej tych szkół odnodze, wdzięcznym umbryjskim malarzom.

Szkoła Umbryjska stoi z początku pod bezpośrednim wpływem Sienneńskiej; pozostawiona jakiś czas samej sobie, nie wydaje ani jednego utworu, który-by na miano sztuki zasługiwał, ale szczęściem dla siebie wchodzi niebawem w bezpośrednie i pośrednie zetknięcie z Florencją. Zetknięciu temu zawdzięcza, że mogła wobec Odrodzenia podjąć to samo zadanie, jakie Sienna spełniła wobec wieków średnich: „wcielenia i utrwalenia tych wyobrażeń i wizyi, które w danej chwili mogły przynieść najwięcej ukojenia i radości, wytknięcia nowego kierunku aspiracyom serc ludzkich, przelania nowoodczutych piękności w odmłodzone kształty“. Temu posłannictwu, „kapłańskiemu raczej, niż artystycznemu“, Umbrya pozostała wierna. Pierwszym, który ją otrząsł z letargu, był Benozzo Gozzoli; obudziły się do życia uspięne talenty i odtąd nie przerwał się już nigdy duchowy z Florencją związek. Z jej obficie tryskającej krynicy czerpać nie przestaną umbryjscy artyści. Już Fiorenzo di Lorenzo wędruje jako młode pacholę do pracowni Pollainola i niejednego sekretu uczy się od Signorrellego. Skąpany w tych ożywczych wodach, opowiada swym pędzlem cuda świętego Bonawentury; czyni to z wdziękiem, właściwym Umbryjczykom, a z poczuciem linii i ruchu, jakie cechuje Florenczyków. Ale dłuższe zasiedzenie się w Umbryi wygasza w nim powoli płomień, jaki w nim roznieciła Florencya; wkrótce sława jego niknie, przyćmiona blaskiem, jakim świecą dwaj jego uczniowie: Pintoricchio i Perugino.

Wykształcenie artystyczne Pintoricchia jest powierzchownem i wadliwem—odbija się to we wszystkich jego utworach; ale uzdolnienie jego jest tak wielkie, że w Sykstyńskiej kaplicy, obok największych mistrzów, poczesne zajmuje miejsce, a w S-ta Maria del Popolo do dziś dnia czaruje nas wdziękiem swych kobiet i romantycznością krajobrazu. Ponad wszystko posiada jedną zaletę, wyróżniającą odtąd umbryjskich malarzy: poczucie przestrzennej kompozycji. Rzućmy okiem na freski z Libreria del Duomo w Siennie: z punktu widzenia malarzkiego, same źle namalowane figury, ale pod względem architektonicznej dekoracyi jakież nieporównane mistrzostwo! Dano mu pokój długi, onieszczególnych rozmiarach, ale czegoż on nie uczynił z tego pokoju! Wielkie łuki poniżej stropu otwierają się szeroko na rozległy, romantyczny krajobraz. „Jesteś pod dachem, a zdaje ci się, że na otwartem powietrzu pełnemi oddychasz płucami“. Powietrze to jakieś łagodne, harmonijne, dane ci w mierze, tak, że każde twoje odetchnienie jest muzyką. „Przez ten uroczy krajobraz, jak gdyby od niechcenia przeciągają procesye: patrzysz na nie wpółsen-

ny, jak gdybyś spoglądał na przeciągającą przed twemi oczyma bandę muzykantów w piękny wiosenny poranek, gdy wszystkie twe pulsy przyspieszonym biją tętnem“.

Jednem słowem z Pintoricchią zapisuje Berenson wielki dla sztuki nabytek: „poczucie przestrzennej kompozycji“. Nie możemy przytoczyć całego szeregu uwag angielskiego krytyka o znaczeniu tego, tak ważnego a subtelnego w utworach malarskich czynnika. Wykazawszy, że nie można przestrzennej kompozycji identyfikować ani z kompozycją wogóle, ani z architekturą malarską, ani z krajobrazem—że rozwiązanie trudności, jakie ona przedstawia, nie zależy ani od mozolnych studyów nad światło-cieniem, ani od subtelnego oddania atmosferycznych objawów, że, przeciwnie, słabo nawet skądinąd uzdolniony malarz, byleby miał z natury to poczucie, potrafi dodatnie wywołać efekt, — oświadcza wreszcie Berenson, — że poczucie to jest czemś, czego żadna wprawa, żadna umiejętność nauczyć nie potrafi, jest to poczucie, niektórym malarzom wrodzone.

W pojęciu Berensona, układ przestrzenny jest w utworze malarskim najsubtelniejszym, najbardziej duchowym, prawie że mistycznym momentem. On-to sprawia, że nas utwór malarski od siebie samych odrywa, a pozwala niejako rozplynać się w wyobrażonej nam przestrzeni. „Daje nam uczucie, — mówi autor, — jakobyśmy identyfikowali się z wszechświatem, stawali się jego duszą“. Jednem słowem, poczucia przestrzennej kompozycji nie można sobie wystawić bez pewnego uroczystego nastroju. Tem poczuciem przestrzeni, tak wysoko rozwiniętem, tłumaczy sobie Berenson wrażenie religijne, jakie utwory Perugina sprawiają, pomimo, że ten pierwszy nauczyciel Rafaela uchodził powszechnie za ateistę. Poczucie to, zdaniem autora, występuje tak wybitnie w tym artyście, że, podobnie jak u Pintoricchi maskowało nam jego artystyczne wady, tak u niego sprawia, że trudno orzec, o ile dodatnie strony jego utworów z innych także wypływają zalet. To pewnem jest jednak, że Perugino jest znowu typem wielkiego ilustratora, nie tylko znakomicie odzwierciedlającego wyobrażenia swej epoki, ale umiającego również odtwarzać i typy swego otoczenia; jest to portrecista, odznaczający się wielką subtelnością, a zarazem podziwienią godną obiektywnością.

Przechodząc stopień po stopniu rozwój sztuki umbryjskiej, zaprowadził nas wreszcie Berenson na ową wyniosłą i rozległą platformę, na której niepodzielnie króluje Rafaell Potężniejszy od niego bywali geniusze; on przez całe życie różnorodnym ulegał wpływom, od każdego ze współczesnych mistrzów coś przyjął, czegoś się nauczył; a jednak, choć wszystko pochłaniał i w sobie przetapiał, nawet w najświetniejszych swych freskach, jako kolorysta, nie dorównał Tycya-

nowi, a w oddaniu kształtów i ruchu — mistrzom florenckim. Bo też inne były jego cele i z innego względu przykuwa naszą uwagę. Żaden przed nim, żaden po nim artysta nie posiadał tak uporządkowanej, a zarazem tak lotnej wyobraźni. W tę nieocenioną uposażony zaletę, zjawia się w epoce już udoskonalonej formy, już ustalonych głównych. Odrodzenia ideałów. Filtrując i klarując wszystko, co przez retortę jego umysłu przechodziło na to, aby uczynić go tem, czem się stał, Rafael zakreśla sobie za zadanie obdarzenie świata nowożytnego całym szeregiem artystycznych kreacji, uwidoczniających po dziś dzień dla większości oświeconych ludzi całą treść duchową i umysłowe aspiracye nowego pokolenia. Doskonalszego tłumacza starożytności klasycznej sztuka nie wydała nigdy, i dopóki za tym światem tęsknić będziemy, dopóki będziemy się rozczynywali w greckich i rzymskich autorach, dopóty świat ten będzie nam się przedstawiał takim, jakim go Rafael wyobraził. Z drugiej strony, w swych Madonnach, w swej Dyspucie, jest również tłumaczem aspiracji chrześcijańskich, umie oddać całą głębię uczucia, całą nawet czysto ludzką podniosłość, na jaką tylko pod technieniem chrześcijaństwa dusza zdobyć się może. Rafael wreszcie odsłania nam nasz własny i dotąd niewyrugowany ideał piękności, zwłaszcza niewieściej. Co zadziwia, to to, że ten artysta, o temperamencie tak harmonijnym, o skłonnościach nieraz idylicznych, potrafi być obiektywnym, surowym, umie siebie wykluczyć, i dla tego portrety jego nie mają sobie równych co do prawdy, ani wyższych co do oddania zarazem duszy i ciała.

Ale czy na tem wyczerpały się zasługi Rafaela? Czy powiedziało się wszystko o tym geniuszu, przedstawivszy go, jako najdoskonalszego z ilustratorów? Wystawmy sobie, że przeżyła się nasza cywilizacya, że na jej miejscu rozpanoszyła się kultura Japońska, czyżby się wtedy utrzymało coś — nie z utworów, bo te mogły-by przeżyć, — ale z artystycznych zdobyczy Rafaela? Pojakichże-to cechach nowa ta ludzkość odróżniła-by Rafaela od innych artystów? Berenson nie waha się twierdzić, że zaletą, zapewniającą Rafaelowi wszędzie i po wszystkie czasy nieśmiertelność, było-by jego poczucie przestrzennej kompozycyi! Rafael — reasumuje w końcu Berenson — nie był wprawdzie artystą w tem znaczeniu, co Leonardo, Michał Anioł, Velasquez, Rembrandt, on był wielkim ilustratorem i wielkim kompozytorem przestrzennym. Atoli w tryumfach, jakie święcił, leżał już zaród jego zguby. Ostatnie jego prace noszą z małemi wyjątkami cechy pośpiechu; często dokończają je uczniowie. Wraz z Rafaelem dosięgnęła szkoła umbryjska swego zenitu, odtąd szybkim krokiem chyli się do upadku i z czasem wyradza się zupełnie.

Chcąc przedstawić całość poglądów Berensona na sztukę Odrodzenia i jej rozwój, musieliśmy czerpać równocześnie z obydwu jego prac. Omawiając w ślad za autorem dzieje szkoły Umbryjskiej, dotknęliśmy niejednokrotnie najważniejszych w rozwoju szkoły Florenckiej momentów; wysunęliśmy naprzód te typy, które już to przez swoje przeciwieństwo uwydatniają właściwości malarzy środkowych Włoch, już to te, które wpływem swoim ich dotknęły i do pewnej zmiany, jeśli nie w kierunku, to w metodzie, się przyczyniły.

Mówiąc o Ducciu, jako prototypie ilustratora, przeciwstawiamu Berenson Giotta, jako pierwszego dekoratora, jako tego, który inicjuje zwrot ku obserwacji i odtwarzaniu zjawisk życiowych.

Teraz pozostaje nam wykazać, czerpiąc z pracy o malarzach florenckich, jak spełnia się to stopniowe rozeznawanie i odtwarzanie dotykowych wartości. Ta, która się najpierw kontroli naszej dotykowej wyobraźni narzuca—to kształty. Oddanie kształtów tak, aby nam czyniło wrażenie rzeczywistych, ażeby nie tylko zadawałniało, ale i podniecało naszą dotykową wyobraźnię, jest myślą przewodnią Giotta i pozostaje naczelnym rysem szkoły florenckiej przez cały ciąg jej rozwoju.

Ażeby ocenić, jak wielki postęp zaznacza Giotto w metodzie malowania, potrzeba go porównać z Cimabuem. Typy, które obaj malują, są bardzo podobne, ale podczas, gdy u Cimabuego musimy cierpliwie rozeznawać linie i kolory, aby ująć w jeden obraz to, co nam chce przedstawić, wystarcza rzucić okiem na Giotta, ażeby natychmiast zrozumieć, o co mu chodzi, przyczem nasza wyobraźnia nie tylko uczucia zadowolenia, ale i silnej doznaje podniecy. Nie rozporządzając jeszcze wydoskonalonemi technicznemi środkami, Giotto ma ten przedziwny takt, że nie porywa się na skomplikowane efekta, ale za pomocą głównie funkcyonujących linii, za pomocą najprostszego rodzaju światła i cieniów oddaje te istotne każdej postaci rysy, które musimy sobie w naszej wyobraźni wydzielić, chcąc ową postać uprzytomnić. Nadto posiada Giotto nie tylko dar pochwycenia kształtów, ale zarazem uwydatnienia duchowych wartości przez wcielenie ich w takie kształty, które najlepiej znaczenie ich uzmysławiają. Jest to właśnie cecha wyróżniająca głęboki i przekonujący symbolizm Giotta od wyobrażenia treści duchowej jego poprzedników i współczesnych mu ilustratorów.

W sto lat później, wśród zmienionych już wyobrażeń, w nierównie korzystniejszych warunkach podaje Masaccio wytknięte przez

Giotto zadanie. „To Giotto odmłodzony i już w znakomite środki techniczne zasobny“. I dla niego oddanie życiowych kształtów jest celem wszystkich zabiegów, on ma dar uwydatniania za pomocą charakterystycznych rysów znaczenia tak materialnych wartości, jak moralnych właściwości. Wiemy już jak uzupełnia Donatellego, jak wraz z nim tworzy pierwszy nowożytny kanon ludzkiej postaci.

Pomiędzy Giottem jednak a Masacciem, wśród pewnego zastoju wyszczególniają się dwaj malarze: Orcagna i Fra Angelico. Ostatni zwłaszcza, ten artysta zapatrzony i wsłuchany w pienia anielskie, to, zdaniem Berensona, typowa postać przełomu. Źródłem jego uczuć: Wieki średnie—ale sposób, w jaki się temi uczuciami napawa i raduje, jest czysto nowożytny i nowożytnymi są też te środki, któremi się w wyobrażaniu tych uczuć posługuje.

Masaccio, umierając, zostawia sztukę w rękach dwóch dla dalszego postępu bardzo znaczących osobistości; są niemi Paolo Uccello i Andrea del Castagno.

Uccello ma niezaprzeczenie zmysł dotykowych wartości, ale to dla niego i dla Andrei środki do podniesienia i ilustrowania naukowych zagadnień.

Uccello to ojciec naturalizmu, który z punktu widzenia artystycznego jest właściwie odstępstwem; wszelako usiłowania tych dwóch artystów, a zwłaszcza Pawła, ażeby przedmioty przedstawić takimi, jakimi są, ich studia anatomiczne i perspektywiczne przygotowały grunt dla Leonarda. Teraz dopiero stało się możliwem zupełne opanowanie kształtów, skomplikowanej wartości życiowej, jaką jest ruch.

Tego, co Giotto i Masaccio spełnili wobec kształtów, dokonywa Pollainolo wobec zjawisk ruchu. Metoda jego polega na tem, ażeby pewien szczególny ruch oddać w taki sposób, iżby wyobrażenia uzupełnić go sobie mogła wszystkimi innemi ruchami, na jakie ta postać zdobyć-by się zdołała.

I tu nowe źródło zadowolenia i podniety dla dotykowej wyobraźni.

We wszystkim, co dotyczy ruchu, jest Verocchion uczniem Pollainola, ale w jednym kierunku jest innowatorem, mianowicie w krajobrazie. Jaka jest przyczyna naszego upodobania w krajobrazie i w jaki sposób pojęli pod tym względem swoje zadanie pierwsi florency malarze? zapytuje autor.—Idealem poprzedników była jaknajdoskonalsza reprodukcja konturów. „Gdyby przyjemność, jaką sprawia krajobraz, przychodziła nam wyłącznie przez oczy, możebyśmy uczęgo więcej nie żądali; ale w takim razie wszystkie stopniowania tonu, powietrze i to co się rozumie pod wyrazem plein-air, było-

by zbyt cennym! Zadanie malarza krajobrazów nie polega wyłącznie na oddaniu, o ile być może najdokładniejszym, wartości dotykowych przedmiotów, ale na wywoływaniu w sposób o wiele szybszy, niż to czyni natura, świadomości jakiegoś niezwyklego uczucia, upodobania i zadowolenia—*de bien-être*, jak mówią Francuzi. Dopiero najnowsze malarstwo podjęło na seryo to zadanie i może stoimy—dodaje autor—w przededniu sztuki, która w stosunku do dawniejszych krajobrazów będzie tem, czem jest dzisiejsza muzyka do greckiej. —Verocchio jest pierwszym, który czuł, że reprodukcja konturów nie jest jeszcze krajobrazem, że malowanie widoków natury jest czemś odrębnem od malowania figur.

Wszystko, co Giotto i Masaccio, ci pierwsi dekoratorowie, osiągnęli przy oddaniu dotykowych wartości, Fra Angelico przez pochwycenie najsubtelniejszych wrażeń duszy, Pollainolo przez opanowanie tajemnicy ruchu, Verocchio wreszcie w rozkładzie światła i cieniów, to Leonardo bez śladu jakiegoś wahania, jakiegoś widocznego wysiłku, nie tylko sobie przyswaja, ale w tem wszystkim ich przewyższa i prześciga.

„Leonardo jest jedyny, o którym można powiedzieć, że wszystko, czego się dotknął, zamieniało się w rzecz wieczyście piękną“.

Powiedziano już o nim wiele, ale całej tajemnicy jego uroku i potęgi nikt jeszcze nie zgłębił; tkwi ona zarówno w artyście, w uczonym i człowieku.

Szczupłe ramy niniejszego sprawozdania nie pozwalają nam wysledzić wraz z Berensonem wszystkich drobniejszych zdobyczy w kierunku opanowania coraz to subtelniejszych i coraz bardziej skomplikowanych składników życia. Nie możemy zatrzymywać się nad Filipem Lippim i Gozzotim, którzy wprowadzają do sztuki pierwiastek życiowy, jakoby idylliczny, tylko że u jednego rodzaj ten ma duszę, u drugiego ciało na celu. Mijamy Fra Bartolomea i Andree del Sarto, owego z pomiędzy Florentczyków jedyne może współzawodnika Tycjana i Giorgiona w kolorystyce, ale który już zatracą zmysł tego, co jest najważniejszym w sztuce: szczere poczucie dotykowych wartości, i poświęca je nieraz dla pozy i draperyi.

Stajemy wreszcie wobec tego, który, nie będąc niczym uczniem, jest wszystkich spadkobiercą, który czuje głęboko i potężnie to, co w innych było nieokreślonem przeczuciem, i znaczenie tego wszystkiego widział i oddał. „W nim—mówi Berenson, —ostatnim swojej rasy, ostatnim z wielkich dekoratorów, urodzonym w warunkach dla sztuki najpomyślniejszych, wszystkie energie duchowe skoncentrowały się niejako; w nim sztuka florencka osiągnęła swoje logiczne uwieńczenie“! Obdarzony wszystkimi zaletami swych po-

przedników widzi nadto tak jasno, jak nikt przed nim, że narzędziem, pozwalającym najlepiej uwydatnić wartości dotykowe, a szczególnie ruch, to nagie kształty. — „il nudo.“ Nagie kształty stają się same przez się dla niego celem, il nudo, jest dla niego, jak dla greckich rzeźbiarzy, synonimem sztuki. — Do tego uczucia materialnych wartości, do tej potęgi wywoływania ich w sztuce, łączy Buonarrotti ideał piękna i siły, jakieś widzenie doskonalszej ludzkości, z jakim się już nigdy nie spotkamy. Michał Anioł uzupełnia to, co zaczęli Masaccio i Donatello: stworzenie typu człowieka, powołanego do zapanowania nad ziemią. „a kto wie, czy nie nad czemś wyższem jeszcze niż ziemią“, dodaje autor.

Niestety, to życie artystyczne miało, jak to nieporównanie wykazał Klaczko, swoją wielką tragedję i z tej tragedji, z tego szamotania się wewnętrznego, z tych porywów przechodzących granice najwyższej nawet artystycznej potęgi, wypłynęły jego wady, zarodki jeżeli nie jego upadku, to zboczeń tych wszystkich, którzy go naśladować chcieli.

Na tem zamyka nasz autor studjum swoje o malarzach florenckich; jak w książce o szkołach Włoch Środkowych, tak i w tej pracy zarody upadku w kilku tylko zaznaczone słowach. Inaczej zapowiadają się u Rafaela, inaczej u Michała Anioła, ale tak u jednego, jak u drugiego, dadzą się łatwo wysledzić. Czyżby więc ci dwaj genialni współzawodnicy mieli ponosić całą odpowiedzialność za upadek sztuki odrodzenia? Czyżby geneza skrzywienia artystycznych pojęć była tem dostatecznie wyjaśniona? O taką jednostronność poglądu nie możemy Berensona posądzać. Gdyby mu przyszło, czego się po nim spodziewamy, omawiać dalsze malarstwa włoskiego koleje, to wciągnął-by w grę inne jeszcze współdziałające czynniki, uwzględnił-by również i wzmagające się rozprzężenie polityczne miast i państw włoskich, i przyczyny natury ogólnie dziejowej, a mianowicie ów nagły i tragiczny zwrot, jaki się pod wpływem Reformacji dokonał. Michał Anioł i Rafael mogli nosić w sobie zarody większych jeszcze wad, niż te, które im wytyka autor, a następne pokolenie artystów było-by zdolne wrócić do równowagi i od tych uwolnić się zboczeń, spalenie artystycznego smaku nie było-by się stało tak powszechnem, gdyby nie atmosfera duchowa, która już samego Michała Anioła owiała i nad całym późniejszym zaciężyła pokoleniem. Podmuchał to był lodowaty i zabójczy. Zabójczy nie tylko dla tego, że odrzucał wszelkie ze strony sztuki usługi, że kult Boży obdzierał ze wszystkiego, co przemawiało do wyobraźni i uczucia, ale zabójczym stał się i przez ducha reakcyi, jakiego w łonie samego kościoła wywołał. Nie czas już było lubować się w harmonijnych i pogodnych

wizjach, potrzeba było wstrząsnąć umysłami, stawić im przed oczy w najjaskrawszy sposób wszystko, co Chrystus za niewdzięczną i wiecznie buntującą się ludzkość wycierpiał, trzeba było opamiętać dusze wyobrażeniem sądu ostatecznego i strasznych mąk, jakie je czekały. Odpowiedzialność za upadek sztuki włoskiej spada jeszcze bardziej na Reformację, niż na Michała Anioła lub na Rafaela.

Reasumując wreszcie ogólnie z książek Berensona odniesione wrażenie, dochodzimy do przekonania, że jest to objaw tego psychologiczno-biologicznego kierunku, jaki myśl nowożytna coraz częściej i z coraz większem powodzeniem stosuje do różnych umysłowego życia objawów. Wyszedłszy z punktu widzenia psychologicznego, sztukę pojmuje on jako rozwijający się ciągle organizm, którego funkcyjne i rozmaite składniki mają odpowiadające im wartości w organizacji umysłu ludzkiego z jednej, a w otaczającej nas przyrodzie z drugiej strony.

To co nam podaje Berenson, to nie tyle dzieje sztuki Odrodzenia, ile psychologiczna analiza rozwoju sztuki wogóle, a włoskiej w szczególności, ilustrowana całą galeryą typów zasadę jej wcielających i udowadniających.

Jako taki a mało znany dotąd objaw, zasługiwał, aby z nim i polskich czytelników zapoznać.

M. T. S.

Pamiętnik generała Jana Weyssenhoffa.¹⁾

ROZDZIAŁ VII.

Kampania roku 1813. — Nominacya Weyssenhoffa na generała brygady. — Na czele brygady piechoty maszeruje do Krakowa. — Zatargi ze sprzymierzonym wojskiem austriackim. — Marsz do Saksonii. — Weyssenhoff prowadzi całą kolumnę. — Warunki przemarszu przez Czechy i Morawy i zachowanie się wojska austriackiego. — Przyjęcie u hrabiny Pachta, hr. Waldstein, hr. Haugwitz. — Przybycie do Zittau. — Zawieszenie broni. — Weyssenhoff przechodzi z piechoty do jazdy i otrzymuje brygadę jazdy. — Wypowiedzenie zawieszenia broni 10 sierpnia i pierwsze działania pod Zittau i Bautzen. — Brygada Weyssenhoffa oderwana od korpusu polskiego i przyłączona do korpusu hrabiego Lobau. — Marsz przez góry i Elbę pod Königstein do Hellendorf w Czechach. — Generał Dumonceau. — Bitwa pod Hellendorf i działanie w niej Weyssenhoffa. — Wzmianka w „Moniteur”. — Szarża brygady pod Peterswalde pod komendą Napoleona. — Bitwa pod Zahra. — Cofanie się do Drezna. — Weyssenhoff z brygadą swą osłania odwrót. — Utarczki z Kirgizami i Kozakami. — Utarczki pod Dreznem. — Krytyka działań marszałka Gouvion St. Cyr. — Kapitulacya Drezna 11 listopada. — Pasport i powrót do Krakowa. — Sprawy familijne 1814 roku.

Manewrując ku Krakowowi, przybyliśmy 1 lutego 1813 roku do Piotrkowa. Tu książę odebrał kuryera z Drezna od króla saskiego, który nigdy nie złożył berła księcia warszawskiego, wierny sprawie i przyjaźni Napoleona, mimo wrzaski całego kraju swojego. Odpowiadając na przedstawienia naszego wodza, Fryderyk August przesłał nominacye i patenta na generała dywizyi księciu Sulkowskiemu, na generałów brygad: muie, Rautenstrauchowi i Sierawskiemu. Zwołani

¹⁾ Patrz zeszyty: lipcowy, str. 1; — sierpniowy, str. 300; — październikowy, str. 24; — listopadowy, str. 234.

zaraz do wodza, odebraliśmy z rąk jego nasze patenta; poczucie jednak położenia naszego przytłumiało radość z tych nagród, bo cóż taka nagroda w obojętnych obcych krajach? Przypuszczaliśmy, że opuszczamy granice nasze na zawsze; mało było między nami szczęśliwie zaślepionych, którzy jeszcze obiecywali sobie odzyskanie utraconej sprawy. Awansowanie nasze w czasie pochodu dało nam nieco kłopotów, trzeba było przywdziać ubiór naszego stopnia, a możliwości żadnej sprawienia. Książę Sułkowski dał mi swoje dawne hafty, które do mojego munduru jako tako przyszyłem. Całe wojsko zatrzymało się dni parę w Piotrkowie i tam, po ogłoszeniu naszego awansu, wódz naczelny dopełnił organizacji: nowi generałowie otrzymali brygady. Mnie dano komendę nad brygadą, złożoną z 1-go i 16-go pułku piechoty. Poczem ruszyliśmy w dalszy pochód, zatrzymując się po kilka dni w różnych stanowiskach. Ja z moją brygadą spoczywałem 10 dni w Olkuszu. Tu przybyła do mnie żona z dzieckiem: Włodzimierz miał wówczas drugi rok. Ze smutkiem patrzyłem na te przedmioty rzewnej mojej miłości; myśl rozstania się z nimi może na zawsze, opuszczenia ich bez opieki, szarpała mnie, a obowiązek okazywania spokoju wśród towarzyszków dopełniał goryczy uczuć. Za przybyciem do Krakowa kazano mi iść za Wisłę na Podgórze i zająć stanowisko na Krzemionkach, wzgórzach, panujących nad tem przedmieściem. Rychło potem powiększono moje dowództwo batalionem Francuzów, zebranych z pozostałych po lazaretach; batalionem tym dowodził major francuski, człowiek światły i na wszystko gotowy.

Wojsko austriackie, niby przyjazne, usiłowało wszystko nam utrudnić. Generał ich, Bianchi, postanowił zająć Podgórze, a tym sposobem stanąć między nami a Krakowem. Jakoż wprowadził, nie ostrzegłszy nas, batalion grenadierów, do przedmieścia, między nami a miastem położonego. Nie odwołując się dalej, wysłałem sztabsoficera do tego batalionu z oświadczeniem, że to przedmieście do mnie należy, że jeżeli nie ustąpią natychmiast, to z nastawionym bagnetem uprzątnę sobie ten kwaterunek. Wymowne to oświadczenie skłoniło Austriaków do wymaszerowania bez zwłoki.

Tak rozłożone wojsko naokoło Krakowa i w mieście stało spokojnie aż do pierwszych dni maja. Smutne to było położenie, bośmy nie wiedzieli, jaki los nas czeka. Wódz naczelny oczekiwał rozkazów cesarza i wiedział na pewno, że te dojść muszą, gdyż Austria jeszcze nie zdeklarowała się przeciw niemu. Tymczasem organizowano i opatrywano pułki, w co było można. Z powstania krakowskiego uformowano szwadrony, później Krakusami zwane. Te nam wielką później oddały usługę; męstwo i wytrwałość, równie jak gorące przywiąza-

nie do kraju, znamionują wieśniaka krakowskiego, on lepiej zdaje się pojmować te szlachetne uczucia, niż reszta naszego ludu. W Wielkopolsce szlachta gorliwa, ale lud już obojętnością i flegmą niemiecką зараżony. Przeciwnie, szlachtę krakowską egoizm znamionuje, a po części i obojętność (nie bez wyjątku wszakże), a cały zapal narodowy jest w pospólstwie.

Odebraliśmy rozkaz ciągnięcia przez Morawy i Czechy do Saksonii, dla połączenia się z wielką armią francuską. Cesarz Napoleon otrzymał od teścia swego, cesarza austriackiego, swobodne przejście dla nas przez jego prowincye. Utworzywszy nowe armie po klęskach w Rosyi, z zadziwieniem całej Europy, korzystnie skończył kilka bitew i opanował Saksonię. Kondycjami przejścia były: spokojućność i porządek najcisłejsze, broń tylko podoficerom zostawiona, żołnierska zaś cała wieziona za wojskiem; wojsko, podzielone na pięć kolumn, co trzy dni po sobie następować miało. Wódz nasz wyznaczył generałów do każdej kolumny; ja z moją brygadą byłem w ostatniej, której dowódcą generał Izidor Krasieński miał zostać, lecz gdy ten jeszcze przed wyruszeniem zachorował, książę mnie powierzył dowództwo kolumny. W duchu przyjętych warunków przejścia przez terytoryum austriackie, potworzyliśmy oficerów bez miary dla zachowania największej ilości broni w szeregach. Żona moja odprowadziła mnie aż do pani Dembińskiej pod Kętami; tam spędziliśmy ostatni wieczór w domu przyjacielskim i gościnnym; nigdy nie doznałem tak boleśnie milczącego rozstania się, jak wówczas.

Pókiśmy ciągnęli przez Galicyę, obywatele, wystawiając się na prześladowania, zabiegali nam drogę: każdy chciał nas mieć u siebie w domu. Toasty za pomyślny i rychły nasz powrót do ojczyzny nie były do smaku urzędnikom austriackim, towarzyszącym każdej kolumnie dla rozpisywania kwater i potrzebnych transportów. Nim doszliśmy do Kęt, generał Sokolnicki, wysłany z Saksonii przez Napoleona, spotkał nas w drodze i, stanąwszy na swoim powozie, ogłaszał przechodzącemu wojsku nowe zwycięstwa pod Lutzen, Bautzen, Hochkirchen, odniesione przez wojska francuskie. Entuzjazm był niewypowiedziany: zdawało się nam, że już cesarz rozpoczął nowy szereg tryumfów; nie wąpiliśmy, że, złączwszy się z wielką armią, i my do żniwa nowych laurów należec będziemy. Nową zagrzani nadzieją, ciągnęliśmy przez Morawy i Czechy do Saksonii. Nie było nam tajemem, że znaczne wojsko austriackie postępuje obok nas w małym odstepie. Młodzi oficerowie z tego wojska grozili nam obskorzeniem i zabranie bezbronnym w niewolę; starsi nawet posuwali nierozsądek aż do zapowiadania tego w miastach, przez które przechod-

dzie mieliśmy, nie mając na to ani odwagi, ani rozkazów z góry, zwłaszcza, że cesarz austriacki, uwiadomiony o naszym porządkiem postępowaniu, chcąc zapewne ująć Napoleona, przysłał, ledwieśmy kilka marszów w Morawy postąpili, rozkaz, ażeby wrócono wojsku polskiemu całkowitą broń, „nie godzi się bowiem, — brzmiał rozkaz, — pozbawiać broni tak waleczne wojsko, kiedy ono porządkiem w marszu i obchodzeniem się z mieszkańcami na największą zasługuje pochwałą”. Odtąd, uzbrojeni zupełnie, maszerowaliśmy w najściślejszej zgodzie z obywatelami, gardząc pogrozkami wojska, które nas zdaleka eskortowało.

Uprzejmie nader nas przyjmowano. Cały kraj, uprzedzony przez czynnych nieprzyjaciół naszych, że jesteśmy barbarzyńcami i niesforną dziczą, a doświadczając przeciwnie najspokojniejszego naszego postępowania, nie mógł wyjść z podziwu, i powziął nas najkorzystniejszą opinię. W istocie żołnierz nasz, przyzwyczajony do niedostatku i niewygód, zadowolony tem, co znalazł u wieśniaka morawskiego, lub czeskiego, dziękował mu jeszcze za przyjęcie. Wkrótce po wejściu naszym w Morawy, przybyłem z kolumną moją do miasteczek Friedeck i Misteck, które dzieli mała rzeczka. Mimo woli mojej zrobił mi komisarz austriacki kwaterę w zamku hrabiny Pachta. Tam zostaliśmy dni sześć dla ułatwienia marszu kolumnom poprzedzającym. Hrabina przyjęła nas z niezwykłą grzecznością, ze zbytkiem prawie; kobieta przystojna, prawie półwieczna, ośwadczyła mi zaraz przy powitaniu, że życzy, aby mi było w jej domu jak najwygodniej i najswobodniej; wie dobrze, że mając liczny sztab przy sobie, miło mi będzie u siebie z nim obiadować, że jednak, gdyby to było przyjemnem, czekać nas będzie codziennie z wieczorem. Stosowałem się do tego: przy sztabie miałem Józefa Mieroszewskiego, znanego z dowcipu i talentu pisania wierszy, Stanisława Platę, biegłego w literaturze niemieckiej, Michała Walewskiego, dowcipnego i wesołego w towarzystwie, Wiktora Łuniewskiego etc. — wszystkich mówiących po francusku i po niemiecku, dobrze wychowanych młodych ludzi. Z orszakiem tym miło mi było prezentować się u hrabiny. W jej towarzystwie znaleźliśmy poetę Niemca, który nam czytał swoje wiersze, bujając zawsze w „Sonnenglantz“ i „Gestiernenstaub“. Między grzecznościami, które nam prawil, było i to, że dla sławy naszej koniecznیه było potrzeba przechodzić przez te obce kraje, gdyż złość, nie mogąc szkodzić opinii o naszym męstwie, rozsiewała niekorzystne wieści o naszej moralności i wychowaniu; uprzedzeni mieszkańcy byli-by przy tem pozostali, gdyby się naocznie przekonać nie mieli sposobności.

Po miłym kilkodziennym pobycie w tym zamku, maszerowaliśmy dalej przez Wischau, Austerlitz, Trebitsch, Iglau, Kolin, Jungbunzlau, Gabel, skąd już weszliśmy w granice Saksonii ku Zittau. W ciągu tego marszu częste miewaliśmy kłótnie z pojedynczymi oficerami, którzy odwiedzali nasze stanowiska; śmiało zapewnić mogę, że takowe niesnaski kończyły się zawsze z honorem dla naszych oficerów. Powołem były zawsze grube rodomontady oficerów austriackich, zapowiadających, bez względu na naszą obecność, zupełne zniszczenie armii francuskiej i wytepienie wszystkich Napoleonistów, do czego jednak męstwo ich mało się przyczyniło. Tu trzeba zauważyć, że wówczas cesarz i cały rząd austriacki nie był jeszcze przeciwny sprawie Napoleona, ale burzliwy zapal wojska, któremu nigdy nie zbywało na czczych przechwałkach, zmusił prawie później rząd i cesarza do zmiany opinii. Tak zrobiło i wojsko pruskie w 1805 roku, nagłąc swojego króla do wojny, która skończyła się czasowem wymazaniem Prus z rzędu niepodległych potencji. Austria, pod osłoną całej Europy, uniknęła tak smutnego końca.

W Trebitsch przyjął nas wspaniałe hrabia Waldstein. Żona jego, Rzewuska z domu, rodzona siostra Rzewuskiego, „Arabem“ zwanego, traktowała nas, jak ziomków, z zaufaniem: pokazała mi wszystkie swoje kosztowności i miejsca, gdzie były złożone, w celu, abym wiedział, co i gdzie mam bronić w przypadku, gdyby mnie zprowadził do Trebitsch los wojny, którą już ze strachem przewidywano. Później w zamku Namiest spotkał nas hrabia Haugwitz bardzo wspaniale. Nie zdarzyło mi się widzieć tak wypogodzonego i wesołego starca, jakim był ojciec dzisiejszego majorata, stary hr. Haugwitz, przedwieczny generał Maryi Teresy, lub przynajmniej Józefa II-go. Całe towarzystwo było ożywione jego dobrym humorem, a dwie bardzo przystojne wnuczki były mu wdzięczne za piękne słówka, które mi moi młodzi ludzie, ośmieleni przez staruszka, do nich przemawiali.

Stąd ciągnęliśmy przez Kolin do Gabel, ostatniego miasteczka czeskiego. Tu opuścili nas komisarze i inżynierowie austriaccy, a miejsce ich zastąpił tylko rotmistrz węgierski z kilku huzarami, gdyż nie mieliśmy, jak milę do granicy saskiej. Na granicy pożegnaliśmy go i już w Saksonii ciągnęliśmy swobodnie ku Zittau, gdzie się znajdował nasz wódz naczelny z po rzedzającymi kolumnami. Przyśłany z Drezna przez Napoleona generał-adjutant jego lustrował przybywające kolumny; w mojej najbardziej go zajęły trzy szwadrony Krakusów, dowodzonych przez oficerów z jazdy; mieli sukmany i czapki krakowskie, a za broń—lance; Krakowiak, pojętny i żwawy, zadziwiał swoją zręcznością w postawie zupełnie wiejskiej. Cesarz

kazał im później, gdyśmy się połączyli z wielką armią, deflować przed sobą w pełnym pędzie konia; niespodziewana siła małych koni, ogień i żwawość jeźdźców tak mu się podobały, że natychmiast kazał im dać dobre umundurowanie, nie zmieniając kroju, zastępując tylko ch sukmany szare, lub białe, granatowemi, i opatrując ich w resztę potrzebnych efektów. Całe nasze wojsko stało spokojnie pod Zittan, gdyż trwało zawieszenie broni, z którego miano nadzieję pokoju.

Wojsko nasze składało się ze starych polskich pułków, wzmocnionych, jak się wyżej powiedziało, swojemi zakładami, i pułków litewskich, które miały dużo oficerów, a bardzo mało żołnierzy. Postanowił zatem wódz nasz (zapewnie z wyższego rozkazu) zmniejszyć o połowę liczbę pułków i wszystkie litewskie wcielić do starszych polskich. Niektórzy litewscy oficerowie, szczególnie starsi, sarkali przeciw temu, mieniąc to krzywdą, nie bacząc jednak, iż bez tego, ze swoimi oficerami tylko, nie mogli-by służyć czynnie w następującej wojnie. Wszystkim zachowano jednak stopnie i dawność, oddając tylko dowództwo starszym i doświadczonym w kompaniach oficerom. Operacya tego przemieszczenia była powierzona mnie co do piechoty, a co do jazdy—generałowi Umińskiemu. Za rozkazem sztabu głównego wystąpiło w tym celu wojsko w całej sile, osobno piechota, osobno jazda. Wcielenie nowych do starych pułków, sporządzenie kontrol i ołmian wyszczególnienie zabrały czynność dnia całego na polu. Wojsko, odchodzące z placu, już przybrało postać uorganizowanego korpusu. Wódz nasz naczelny był zupełnie zadowolony, a miasto i obywatele przygotowali nam niespodziewaną ucztę wieczorną pod rozbitemi namiotami.

Po takowem urządzeniu podzielono dywizye i brygady między dowódców. Książę Sułkowski otrzymał komendę dywizyi jazdy, złożonej z brygad generała Umińskiego i mojej. Tu wymienić muszę, jakim sposobem przeszedłem z piechoty do jazdy. Brygada druga w dywizyi księcia Sułkowskiego nie miała jeszcze dowódcy; kilku generałów ubiegało się o nią, ale książę, wódz naczelny, nominował mnie jej dowódcą. Wyznam, że ten niespodziewany wybór zdawał mi się zrazu niedogodnym z przyczyny, że od początku byłem w piechocie, że szczegóły służby w jeździe były mi nieco obce, że nareszcie ból reumatyczny w lewej nodze nie pozwalał mi ręczyć na koniu pracować. Gdy jednak upatrywano coś zaszczytnego w tej preferencyi dla mnie, przyjąłem, a profitując z wolnego czasu, który nam jeszcze trwające armistycjum zostawiało, wzięłem się całemi siłami do wyczerpania się nowych obowiązków moich, co mi łatwo przyszło, gdyż wszyscy doświadczeni wojownicy wiedzą, że dobrze pojęta szkoła piechoty usposabia najlepszych oficerów jazdy.

Dokonawszy zupełnej organizacyi swego korpusu, wódz naczelny rozkazał, aby wojsko zostało wygodniej i obszerniej rozłożone po okolicach. Przysłany komisarz królewski z szefem sztabu głównego rozpisywali stanowiska. Dywizyi Sułkowskiego dostała się okolica Herrnhut; moja brygada stanęła naokoło samego miasteczka, tej stolicy Braci czeskich. Tu się pokazał przemysł pana komisarza, tak bowiem wystawił przełożonym tego związku nadużycia i złe obchodzenie się nasze, że ci obowiązali się płacić tygodniowo po kilkaset talarów, aby tylko miasteczko samo było uwolnione od kwaterunku; ale, przekonawszy się z doniesień wsi okolicznych, a między temi i swoich własnych, że to była potwarz, a że opłata była uciążliwa, udali się z prośbą do księcia, aby zrobiono kwaterunek w mieście i zwolniono ich z tej opłaty. Komisarz odpowiedział, że to nie może już być odmienione. Wszyscyśmy widzieli coś w tem nieczystego; powszechna opinia obwiniała podszefa sztabu, generała Rautenstraucha, o porozumienie się tajemne z komisarzem. Pozostający czas krótki do wypowiedzenia armistycyum poświęciliśmy ćwiczeniom i porządkowaniu wojska.

Tymczasem ciągnęły się negocyacye w Pradze. Sprzymierzeni, wsparci przystąpieniem cesarza austriackiego do wspólnej wojny przeciw jego zięciowi i zbliżaniem się nowych wojsk, a szczególnie Bernadotta ze Szwedami, zmienili ton konferencyi i podali ultimatum, którego Napoleon przyjąć nie mógł. Wypowiedziano zatem zawieszenie broni dnia 10 sierpnia, jak było w umowie, i kroki nieprzyjacielskie natychmiast się rozpoczęły. Korpus księcia Poniatowskiego odebrał rozkaz zebrania się na wzgórzach przed Zittau ku Czechom.

19 sierpnia cesarz przybył do korpusu. Ja z moją brygadą stałem na czele, formując niby przednią straż. Na rozkaz cesarza wysłałem pułk huzarów dla zlustrowania obszernego pola aż do lasu ku czeskiej granicy, dokąd przybywszy, pułk się zebrał i czekał obok drogi. Tymczasem cała piechota z artyleryą postępowała naprzód do lasu i przez las, moja brygada posunęła się naprzód i spędziła strzelców austriackich, rozsadzonych po rowach i zbożach, którzy zemknęli aż do Gabel i w tem mieście zdawali się chcieć bronić, ale kilka kul armatnich i widok rozwiniętej piechoty doradziły im, aby to miasto opuścili; jakoż bez oporu weszliśmy do miasta. Parę dni spokojnego posiadania tego punktu było dostateczną wskazówką, że znacznych sił nieprzyjaciela nie było przeciw nam; zostawiwszy zatem moją brygadę dla zajmowania tego punktu, korpus wrócił do Bautzen. Kilka ruchów korpusu ku granicom czeskim były tylko wielkimi zwiadami, ściągającemi się do ogólnego planu wojny. Wkrótce

i mnie z brygadą ściągnięto do Bautzen. Kiedy dywizya nasza była tylko o mil parę od obozu, wśród ciemnej nocy usłyszeliśmy pod Bautzen mocne strzelanie z ręcznej broni. Dowódzca nasz, książę Sułkowski, kazał ruszyć dywizyi wielkim kłusem, aby tam dobiedz; obiecywaliśmy sobie, że, wpadłszy niespodziewanie z tyłu na nieprzyjaciela, atakującego nasz obóz, będziemy mogli skutecznie bardzo korzystną dywersję. Zbliżywszy się, napotkaliśmy uchodzących ludzi, którzy nas zapewniali, że jazda rosyjska wpadła na nasz obóz. Strzelanie nie ustawało. Przybiegliśmy bez przeszkody do jednej bramy, ale ta była zamknięta i zatarasowana. Ruszyliśmy bokiem miasta, nie spotykając nigdzie obcego wojska, i pokazało się, że fałszywy alarm podniosły konie, które się pourywały i przewracały kozły z broni; z tych kilka wystrzeliło, upadając. Dzień już się zrobił: rozpatrzono się. Zamieszanie było jednak powszechne tak, że potrzeba było dnia całego, aby wrócić do porządku.

Tymczasem dywizya nasza postąpiła nieco naprzód i zasłaniała obóz szykujący się. Chcąc dowiedzieć się z pewnością o zapowiedzianym przez szpiegów nieprzyjaciela, wódz naczelny wysłał dwa silne wzwiady: generała Umińskiego z jego brygadą i kilku kompaniami piechoty w jedną, a mnie z moją brygadą i paru kompaniami wołyżerów w drugą stronę. Ja odebrałem rozkaz dotarcia aż o kilka marszów do obozu. Przybyłem tam, nie spotkawszy, jak tylko kilku huzarów węgierskich. Mając rozkaz oczekiwania w Rumburgu dalszych dyspozycji, stanąłem obozem przed miastem tak dla bezpieczeństwa, jako też dla zapobieżenia nadużyciom i rabunkom, zwłaszcza, że tu przyszła do mnie bateria artylerji konnej francuskiej; wiadomo, że ci nie oszczędzali mieszkańców. Rozstawiłem sztyldwachy około mego małego obozu i rozkazałem surowo, aby nikt nie ważył się iść samowolnie do miasta, dokąd posłałem komendanta placu z małym oddziałem, na co Francuzi bardzo sarkali. Zyskałem na tem, że władze miejskie, wdzięczne za wzorowy porządek w wybieraniu żywności i furazu, uwiadamiały nas wiernie o bliższych ruchach nieprzyjaciela.

Po kilku dniach nadszedł tu z całym korpusem książę Józef. Już były zapewne dyspozycje zbliżania się do Drezna, gdyż wkrótce ruszyliśmy ku Lobau. Dywizya Sułkowskiego i Krakusy formowały tylną straż. Hrabia Kellermanu już był objął dowództwo całej jazdy naszego korpusu. Po żwawej utarczce pod Lobau ciągnęliśmy do Drezna; dywizya Sułkowskiego ciągle w aryergardzie. Kiedyśmy się zbliżyli do Stolpen tak, że już widać było wśród płaszczyzny wznoszący się zamek na bazaltowej górze, huzarzy austriaccy zaczęli silnie nacierać na tylną straż. Hr. Kellermann kazał naszej dywizyi zatrzy-

mać się, rozwinąć i dać odpór huzarom. Skorośmy stanęli do boju i wsparli naszych flankierów, huzarzy natychmiast się zatrzymali i rozpoczęło się tylko mało znaczące flankierowanie, a korpus tymczasem maszerował ku Stolpen.

Wśród tego naszego harcowania odbieram bilet od hr. Kellermanna następującej treści:

„A la reception de la présente vous quittez avec votre brigade le champ de bataille et marchez par la plus courte à Hellendorf en Bohême pour y rejoindre le 1-er corps d'armée, commandée par le général comte de Lobau, dont vous recevrez les ordres ultérieurs. Vous passerez l'Elbe à Königstein. Vous ne négligerez pas de prévenir votre collègue le général Umiński de la teneur de cette disposition, afin qu'il prenne ses mesures”.

Żadnej wiadomości o dyrekcyi ani drogach powziąć nie można było: z wojskowych nikt nie wiedział, a mieszkańcy ze wsi pouciekali. Szczęściem, mieszkając cztery blisko lata w Saksonii, dość dobrze pamiętałem położenia i, nie namysławiając się, kazałem brygadzie zejść trzema w prawo i maszerować za mną polem bez drogi w dyrekcyi Königstein, jak miarkowałem. Pamiętając, że, ażeby dojść do Elby, trzeba było przebyć część gór skalistych, należących do tak zwanej Szwajcaryi Saskiej, przewidywałem wielkie trudności. Tam już niepodobna było instynktem się kierować. Zbliżywszy się do gór, spostrzegłem osadę, a że to było dość daleko od hałasu wojennego, dostałem we wsi przewodnika. Pokazało się, że maszerowałem dotąd w dobrej dyrekcyi. Przewodnik uprzedził mnie, że przebycie gór do Königstein będzie bardzo trudne, że tu niema drogi, są tylko ścieżki po skałach, urwiskach i strumieniach. Wyboru nie było: puściliśmy się w te bezdroża. Maszerowaliśmy resztę dnia i noc całą, najczęściej prowadząc konie w rękę i równo ze dniem stanęliśmy w Königstein, gdzie, przebywszy Elbę po moście, zatrzymałem się pod twierdzą dla nakarmienia ludzi i koni. Generał francuski, Mouton de Vernet. komenderował w twierdzy; na moją rekwizycję rozkazał mi natychmiast dostarczyć wszystkiego zadość. Twierdza ta, jak wiadomo, zdobyta być nie może, gdyż ze wszystkich stron jest niedostępna dla skały, więcej niż tysiąc stóp wysokiej, na której jest zbudowana. Głodem także zmuszona być nie może, gdyż nader mały potrzebny garnizon miał-by dostatek gruntu na przysposobienie sobie żywności; nadto doskonałe, w skale wykute kazamaty i magazyny stale są opatrzone na siedm lat we wszelkie potrzeby. Żołnierze garnizonu, siedząc z lulkami na parapetach twierdzy, patrzyli na nasze trudy, jak na zajmujące widowisko. Do godziny jedenastej popasłszy dostatecznie, ruszyłem w dalszy pochód. Znaczne oddalenie i bardzo złe drogi

skłoniły mnie do spędzenia nocy o milę od Hellendorf. Nazajutrz do południa byliśmy zatrudnieni czyszczeniem się, wchodząc bowiem do francuskiego obozu, chcieliśmy się korzystnie pokazać, a deszcze ustawiczne i drogi rozbłoczone nie dobrze na nasz pozór wpływały. Ruszywszy około pierwszej, stanąłem o godzinie piątej w głównej kwaterze hrabiego Lobau. Ten, przejrzawszy brygadę, kazał mi natychmiast maszerować do generała Dumonceau, którego dywizya formowała przednią straż o milę przed korpusem. Deszcz ulewny ze straszną burzą uczynił nam ten ostatni ruch bardzo nieprzyjemnym.

Przyczyną tak nagłego odesłania brygady do awangardy było, że generał Dumonceau miał tylko 20 koni jazdy, niedobitków pułku Wesfalskiego, a nieprzyjaciół, naprzeciw niemu stojący, miał liczny zbiór różnorodnej kawalerii. Gdy, stanąwszy na miejscu, wszedłem do baraki generała, jakież było nasze zdziwienie, kiedy, spojrzawszy po sobie, poznaliśmy się nawzajem. W czasie mojego podróżowania poznałem najprzód generała tego w Amsterdamie na obiedzie u bankiera Kuders, a potem przyjaźń jego z Kościuszką powodowała mnie do częstego odwiedzania go w tem mieście. Jego zasady i opinie nie podobały się Napoleonowi, i dlatego był zaniędywany, chociaż się bardzo odznaczył w poprzednich wojnach. Szczególnie kiedy książę York wylądował ze znacznem wojskiem angielskiem na brzegi Holandyi, śmiałe natarcie francuskie zmusiło go do schronienia się z wielką stratą na okręty i wrócenia do Anglii. Generał Dumonceau był bohaterem dnia tego. Przeszyty kulą przez piersi, leżał bez nadziei w pobliskiej chałupie; generał en chef Brienne przybył do niego z chorągwiami nieprzyjacielskimi, a złożwszy je u nóg jego, rzekł:

— Tobie się wszystkie należą, generale, tyś to sprawił.

Później, nadspodziewanie wyleczony, był znów użyty, zawsze niechętnie, przez Napoleona.

Po zwyczajnych powitaniach, przeczytawszy raport, który mu podałem, zawołał:

— Maintenant nous sommes grands garçons!

gdyż dotąd liczna jazda nieprzyjacielska dawała mu się we znaki: nie było ani wedetów, ani patroli innych, jak z piechoty, które ani obozu zabezpieczyć, ani nieprzyjaciela obserwować zblizka nie mogły. Wysłałem przeto natychmiast wielkie warty i placówki naprzód przed obóz. Było to już ku wieczorowi; ulewa ciągle nam dokuczała. Żołnierze ani konie nie mieli żywności, oprócz tej, którą ze sobą na siodłach przywieźli; sztab korpusu wcale nie pomyślał o tem, tak, jak i w ciągu całej kampanii. Nieprzyjaciół, uwiadomiony o przybyciu jazdy naszej, chciał się naocznie przekonać. Około jedenastej w nocy,

kiedyśmy wszyscy jakimikolwiek barakami zasłaniaли się przed deszczem, usłyszeliśmy okropne „hurra!” na całym froncie. Wściekły atak jazdy nieprzyjacielskiej, spędziwszy moje placówki, oparł się na wielkich wartach (*grandes gardes*), które nie ruszyły się z miejsca, i, po czymś hałasie wrócił do swego obozu. Spokojność u nas nie została naruszona. Generał Dumonceau powiedział mi:

— Hier cela pouvait être d'un grand danger.

Nazajutrz, około dziesiątej z rana, nieprzyjaciel ukazał się w całej sile z piechotą i działami, rozpoczął ogień i atak na całej linii. Moja brygada stała na lewym skrzydle; jazda nieprzyjacielska zaczęła nas z tej strony oskrzydlać, gdyż na wielkiej drodze, która szła przez środek obu wojsk, ogień nasz armatni nie dał jej rozwinąć się. Wypadli na mnie najprzód huzarzy rosyjscy, których natarłem, nie namyślając się, dwoma szwadronami pułku 16-go ułanów, z pułkownikiem Obuchowiczem na czele. Przewróciliśmy natychmiast tych huzarów, lecz mnogość jazdy nieprzyjacielskiej nie dała nam gonić i korzystać; napadnięci przez większą siłę, musieliśmy wrócić do frontu i całą brygadą ruszyć naprzód. Tak odparta nieprzyjacielska jazda już się więcej nie ukazała. Piechota nasza tymczasem cofała się nagle i prawie w nieporządku; pułki francuskie, poformowane z Holendrów, Belgów etc., już wówczas nie przypominały nawet męstwa dawnych wojsk. Ruszyłem z brygadą dla zasłonięcia nieladu, — wtem spostrzegłem działa opuszczone i woźniców, zabierających się do ucieczki pieszo. Kazałem ich łapać, zmuszać do wsiadania na zaprzężone konie, i tym sposobem ratowaliśmy opuszczone działa. Potem z całym korpusem cofnęliśmy się do ? i tam zajęli pozycję korzystną.

Hrabia Lobau, który był wszędzie obecny, dziękował nam i zapewniał, że cesarz będzie o tem uwiadomiony. Jakoż w rzeczy samej umieścił w raporcie swoim:

„Nous devons à la conduite de la brigade de cavallerie polonaise le salut du corps d'armée et moi celui de l'honneur”.

Słowa te były w buletynie, umieszczonym w „Moniteur”. Wkrótce przesłałem raport księciu Józefowi, wódz bowiem naczelny polski powinien był wiedzieć, co robią Polacy, chociaż do innych komend przyłączeni, — i odebrałem list własnoręczny, bardzo pochlebny. Odtąd uganiał się tylko nawzajem między Giesshübel i Peterswalde, zajmując stanowiska nieprzyjaciela, lub odstępując mu nasze.

Około połowy września postąpiliśmy naprzód aż za Peterswalde. Stanąwszy na szerokim i gładkim polu, ujrzelśmy na równoległym wzgórzu naprzeciwko nas wielką linię jazdy nieprzyjacielskiej.

Co począć? Moja brygada już nie liczyła nad 650 koni. Wtem przybył do nas sam Napoleon z kilku szwadronami jazdy gwardyi. Na lewem skrzydle mojem białe wzgórek, znacznie wyniesiony. Nagle stanął na nim cesarz, zsiadł z konia i długo obserwował linię nieprzyjacielską najprzód przez wielką perspektywę, kładąc ją na ramieniu jakiegoś generała, potem przez zwyczajną swoją ze słoniowej kości kieszonkową, — poczem, przechodząc się po wzgórku, ziewając, strudzony i znudzony ciągłemi przeciwnościami, zapytał, co to za jazda stoi na dole. Gdy mu odpowiedziano, że to brygada polska i że polski generał nią dowodzi, zawołał mnie. Pośpieszyłem na wzgórze. Trzeba sobie wystawić to solenne milczenie, które panowało około posepnego cesarza. Skoro stanąłem przed nim:

— C'est vous qui commandez cette troupe?

— Oui, Sire.

— Voyez-vous cette ligne? chargez la moi droit devant vous!

Poprawilem kapelusza i wróciłem pędem do brygady. Straszny to był wyrok, bo widziałem przed sobą dziesięć razy mocniejszego nieprzyjaciela; obserwacyi wszakże żadnej robić nie można było, zawołałem przeto do moich:

— Polączy! Napoleon patrzy!

I kazałem ruszyć stępą; uszedłszy nieco, zakomenderowałem kłusa. Wśród tego ruchu, adjutant mój, Łuniewski, ostrzegł mnie:

— Czy widzi generał, co nasz kapral robi? (w wojsku nazywano Napoleona „le petit caporal“).

Obejrzawszy się, spostrzegłem w tyle za mojami skrzydłami i zdaleka postępujące szwadrony gwardyi w kolumnach. Nowy zapął — „galopem!“, a zbliżywszy się: „nacieraj!“ ze spuszczonej lancy, a huzary z podniesionym pałaszem. Zdawało się zrazu, że jazda nieprzyjacielska zamysłała dotrzymać, ale skorośmy się bardzo zbliżyli, wszystko znikło i uciekało bez ładu. Po jakimś czasie jednak wstrzymał się nieprzyjaciół, uformował i szarżował na nas: wstrzymał nas, ale nie na długo.

W tej chwili kilku lancierów pruskich rzuciło się na mnie; byłem w niebezpieczeństwie, ale porucznik od huzarów, Porczyński, z kilku ludźmi przypadł i oswobodził mnie i mojego adjutanta, Michała Walewskiego, któremu koń się związał w gwałtownym ruchu.

Natychmiast komenderowałem nacieranie całą brygadą, która ruszyła, a nieprzyjaciół spędzony został ostatecznie do lasu. Między szwadronami gwardyi, które za nami postępowały, był jeden lancierów polskich szefa szwadronu Jankowskiego. Ten, korzystając z nieładu nieprzyjaciela, wpadł z boku i wziął w niewolę Blüchera, syna głównego generała. W tej bitwie wzięliśmy kilkuset jeńców; z na-

szej strony dzielny szef szwadronu, Radoński, był ranny dzidą w bok tak, że mu wyszły wnętrzności i ujęty został przez kozaków, ale siedział na koniu nadzwyczajnej chyżości, bo, mimo rany i dwóch kozaków, którzy go prowadzili, upatrzył moment i wrócił do swoich szeregów, żywy jeszcze, ale już niezdolny do służby. Chirurg królewski, Hedenius, wykurował go wprawdzie, ale już ani mocnego zdrowia, ani zwyczajnych sił nie wrócił.

Po ukończonej bitwie przybiegł do mnie generał Ornano, oświadczając mi, że cesarz był zadowolony ze sprawienia się brygady mojej w tym dniu. Tegoż dnia poszliśmy naprzód aż do wsi Zahra, nieco na lewo od traktu. Wieś ta położona na samym schyłku gór, nad doliną, która się rozciąga aż do Teplitz, w parowie ku dolinie. Moja brygada stanęła nade wsią, patrząc na dolinę, szwadron zaś lancierów Jankowskiego rozłożył się we wsi i, swoim zwyczajem, wygodnie rozkwaterował się po niej. Uważałem przeto ten szwadron jako w awangardzie. Z tem wszystkiem nie spuszczałem oka z doliny, którą całą widziałem ze swojego stanowiska. Sądziłem, że ten szwadron ma swoją wartość i placówki; nic z tego nie było, — oswojony z wojną sposobem francuskim, nie miał żadnej ostrożności. Ulica przez wieś, szeroka i prosta, kończyła się na dolinie. Dnia następującego spostrzegłem zrana ruch nieprzyjaciela na dole, a gdy siły jego coraz się powiększały, posyłałem co moment raporta o tem do sztabu korpusu. Nakoniec kazałem brygadzie mojej konie pokiełznać i stać przy koniach, nie ufając ostrożności szwadronu lancierów. Spostrzegłem wreszcie, że kilka pułków piechoty austriackiej rozwinęło się tuż przed nami, i że ustawiono 12 sztuk armat prosto w wieś i niedaleko od niej. O tem także posłałem pośpieszny raport. Od przybycia cesarza objął tym razem dowództwo jazdy generał Ornano. Czy te raporta dochodziły cesarza, lub nie — nie wiem; stało się tylko, że cesarz przebiegł galopem pomiędzy moimi szwadronami, wpadł do wsi i był już w drugim końcu, kiedy nieprzyjaciel, spostrzegłszy to, rozpoczął żywy bardzo ogień w ulicę, naprzeciw której działa swoje miał ustawione. Niebezpieczeństwo było wielkie: bocznego ujęcia żadnego nie było. Cesarz, zwróciwszy nagle konia, galopem wracał ulicą, po której go kule goniły. Szczęśliwie wszakże wyskoczył ze wsi i zaraz rzucił się na lewo, gdzie już był zasłonięty. Gniew jego, że nie był ostrzeżony o takiej bliskości nieprzyjaciela zaraz wywarł się na dowódcę jazdy, generała Ornano. Ten nie miał innej wymówki, jak zrzucić na mnie, że, będąc w przedniej straży, żadnego mu raportu o tem nie przesłał m. Tu była-by moja kolej być łajnym i tłómaczenia moje nie były-by mnie usprawiedliwiły, ale hr. Lobau ujął się z ogniem za swoim podkomendnym i oświadczył cesarzowi, że był

świadczeniem, jak raporta generała Weyssenhoffa były co kwadrans porysowane. Cały zatem gniew spadł na Ornano, a my tymczasem staliśmy wystawieni na okropny ogień armatni, a później i ręczny, kiedy strzelcy austriaccy lasem wpadli na nasze prawe. Tam brygada moja uczyła się i emulowała z dragonami gwardyi, jak stać spokojnie pod ciężkim ogniem armatnim. Kule nas raziły, ale sąsiedztwo tej niewzruszonej gwardyi było szlachetnym przykładem dla moich. Nadbiegła też artylerya piesza i chciała się postawić przed środkiem mojej brygady, ale w tym dymie i hałasie zabrała się do tego z takim roztargnieniem, że, zajeżdżając, wywrócili działo, a potem, otwierając kofret z lontem w rękę, wysadzili całą amunicję w powietrze. Aż nakoniec przybiegło kilka dział lekkiej artyleryi gwardyi, te natychmiast zgasiły ogień nieprzyjacielski i do cofania się zmusiły. Austriacy oddalili się zupełnie w kierunku Teplitz. Cesarz, pochwaliwszy nas, odjechał; my, przenocowawszy pod tą wsią, wróciliśmy nazajutrz na pozycję naszą pod Giesshübel. W tej potrzebie straciliśmy kilkadziesiąt ludzi; szczęściem dla nas, że kule dział, z dołu do góry strzelających, przenosiły. Szef szwadronu, Błędowski, był ciężko ranny w głowę kulą z ręcznej broni przez strzelców, którzy się ukazywali na naszej prawej.

Tu się skończyły z naszej strony wszelkie działania zaczepne. Korpus hr. Lobau był, jak powiedziałem, złożony z popisowych nowych departamentów; już ten wódz nieustraszony nic z nimi śmiałego przedsięwziąć nie mógł. Staliśmy tu zatem aż do 15 października, w którym-to dniu uwiadomiony dowódzca, że się zbliża do nas nieprzyjaciel w znacznej sile, postanowił cofać się ku Dreznowi, gdzie był marszałek Gouvion Saint-Cyr z korpusem. Rozkazawszy przeto mnie formować arriergardę i zostać na miejscu dwie dobre godziny po odejściu korpusu, sam z wojskiem pomaszerowałem w tył.

Miałem przed sobą równoległy wąwóz, stałem przeto poza nim z rozwiniętą brygadą. Deszcze ciągle w tym roku tak popsuky drogi, że artylerya doznawała największych trudności w postępowaniu. Z tej przyczyny widzieliśmy za wąwozem i blisko nas działa rosyjskie, które się ustawić chciały, ale uwięzły w głębokiej drodze i kroku naprzód ruszyć nie mogły. Zamyślałem wpaść na nie i, cofając się, uprowadzić, ale liczna jazda przybiegła na okrycie onych. Po wytrzymaniu tu nie dwóch, ale przeszło czterech godzin, kiedy korpus już ze dwie mile się oddalił, zacząłem się cofać od lewego, kolumnami, szwadronami, w całych odstępach. Mieliśmy za sobą równiny i obszerne pola; wielkie to było niebezpieczeństwo dla mojej szczupłej brygady, gdyż obszerne pole podawało wszystkie korzyści jeździe nieprzyjacielskiej, dziesięć razy liczniejszej. Cofałem się jednak

spokojnie aż do Pirny; tam dopiero ukazały się liczne hufce nieprzyjaciela, a na czele pułk huzarów pąsowych. Pułk ten rozwinął się zupełnie, skoro ja zatrzymałem brygadę i front odwróciłem. Sztabsoficierowie podjeżdżali bliżej i wołali, abyśmy próżno nie stawiali oporu, obiecując nam złote góry. Gdy się przekonali, że takowe exorty na nas żadnego skutku nie wywierały, zaszli plutonami w lewo i odmaszerowali zupełnie. Zostały tylko naprzeciw nas hordy baszkirów, kałmuków i kozaków, których nasze chorągiewki i lance trzymały zdaleka.

Po odejściu regularnej jazdy osądziłem, że mogę mój ruch dalej ciągnąć. Ledwom uszedł z ćwierć mili, aż się wszystkie hordy z przeraźliwym krzykiem rzuciły na nas. Zmuszony byłem stanąć i front odwrócić, ale zawsze w kolumnach, szwadronami i z odstępami—i ta hurma zatrzymała się także, oskrzydliwszy mnie prawie wkoło. Formacja moja w szwadrony czyniła mój szyk głęłokim i zabezpieczała boki i tył. Środek nieprzyjaciela, zbliżywszy się do mnie najdalej na dwieście kroków, zaczął się niejako szykować, poczem ujrzelśmy widowisko, dotąd nam nieznane: wyleciała z pomiędzy tego środka chmura strzał. Strzały te zaczęły pojedynczo spadać na nas i jednaście ludzi mi raniły mniej lub więcej mocno. Szef szwadronu ułanów, Mikoszewski, dostał strzałą blisko pięściowego stawu pomiędzy dwie kości; przeszła wskroś i ułamała się tak, że grot wyglądał z obu stron, a nie można było go z żadnej strony wydobyć; cierpiał nieźmiernie i długo się leczył. Druga strzała trafiła sztabstrębacza od huzarów, który z tej rany w kilka dni umarł. Reszta była lekko ranna. Po tym wybuchu wszystko spokojnie stało, a ja, obróciwszy trzema w tył, cofałem się jak najwolniej, bacząc zawsze na nieprzyjaciela. Skorom się zaczął cofać, hordy znowu z krzykiem na nas; kozaki tak docierały, że aż do frontu dobiegały pojedynczo, a jeden z nich ranił dzidą kapitana Linkiewicza, stojącego na skrzydle pierwszego plutonu ułanów. Porządek i spokój moich były jednak tak poważne, że te hordy naokoło nas biegały, ale natrzeć nie miały odwagi. Wtem upatrzywszy, że sporo ich wcisnęło się między moje prawe skrzydło, a przykopę bardzo wysoką, kazałem szwadronowi huzarów nagle rzucić się w bok i natrzeć gwałtownie. Kapitan Kuszal uskutecznił ten ruch tak trafnie, iż odciął tej kupie odwrot i, wparłszy na przykopę, straszną im zadał klęskę. Brygada, stojąc zawsze w porządku, patrzyła na to. Wojsko, jakiegośmy nigdy nie widzieli, uciekało, nie używając nawet broni. Widziałem wtenczas osobliwszych żołnierzy, bardzo zbliżka: kozuchy poprzewracane, kapelusze spiczaste białe, czerwone, błękitne, sahajdaki na plecach. Padła ich znaczna liczba, a ujęliśmy dwóch rotmistrzów, z którymi nikt rozmówić się

nie mógł, gdyż i po rosyjsku nie mówili,—i stu kilkudziesięciu jeźdźców. Po tym hałasie cała jazda nieprzyjacielska cofnęła się zupełnie, a my, przybywszy pod Pirnę, nocowaliśmy na polu.

Nazajutrz rano ruszyłem ku Dreznowi, trochę niepokojony z tyłu przez kozaków, ale bez starcia się. Pomyślność poprzedniego dnia byłem winien jedynie spokojowi i porządkowi brygady. Doświadczyłem, iż jedynie porządek w takich razach od wielkiej klęski uchronić może. Gdybym chciał z brygadą szarżować, przełamał-bym zapewne wszystko, ale taki nieprzyjaciół, co się salwuje ucieczką na wszystkie strony, aby się natychmiast znowu zebrać, korzysta z nieładu i nieprzezorności, okrąża zewsząd, nawzajem naciera i najczęściej tryumfuje. Groźny spokój jest w takim razie jedynym środkiem. Gdy już zbliżyłem się do Drezna, kozacy wpadli po mojej prawej na warty piechoty francuskiej. Pobiegłem natychmiast ze szwadronem huzarów w pomoc i ocaliłem je, już w nieładzie będące. Przed miastem stały w szyku i pozycyi poważne siły, gdyż korpus marszałka Saint-Cyr wystąpił na linię. Hrabia Lobau przybiegł do mnie i serdecznie mnie uściskał, mówiąc:

— Vos braves ont trop travaillé pour ne pas mériter un ample repos; l'Empereur aura connaissance de votre conduite.

A obracając się do jednego ze swoich generałów, rozkazał, aby moją brygadę zaprowadził w tył w bezpieczne i wygodne ogrody miejskie. Tu miałem wypadek, który mnie ledwo oka nie pozbawił: generał, prowadzący nas, jadąc przede mną pomiędzy owocowymi drzewami (było już dobrze szaro), zajął gałąź jabłoni, czego ja już widzieć nie mogłem; gałąź tak sprężyście odskoczyła, że, uderzywszy mnie po samych oczach, mocno mnie raniła. Mówię o tem dla tego, że już odtąd nie mogłem dowodzić moją brygadą. Hedenius chirurg, któremu mnie oddano, nie był pewien przez 24 godziny, czy oko odzyskam; staraniem jednak jego zostałem wyleczony i dość rychło. Marszałek Saint-Cyr, jako starszy, objął tu dowództwo ogólne. Dla kuracyi przenieśliśmy się do miasta. Wojsko rosyjskie, pod dowództwem generała Tołstoja, zajęło położenie od strony Grossgarten i ustawiło baterię pozycyjną na wzgórzu tak blisko, że mogło razić nie tylko nasze konie, ale i do miasta wygodnie strzelać. Marszałek uznał konieczność spędzenia tego nieprzyjaciela, zwłaszcza że wiedział, że oprócz artyleryi, cała komenda generała Tołstoja była złożona z nowych pułków. Uwiadomiony będąc o dyspozycjach w tym celu, zerwałem się i z zawiązanem okiem pośpieszyłem do brygady. Tam otrzymałem rozkaz, aby wprost przed baterią nieprzyjacielską jazda moja szwadronami rozstawiła się po polu. Piechota ruszyła, ciągnąc w prawo dla obejścia pozycyi atakowanej, a skoro już na

wzgórzu postępować zaczęła, przypuściłem atak wprost i od lewego; piechota nieprzyjacielska nie dotrzymała, opuściła swoją baterię i w nieładzie uchodziła. Działa zatem dostały się natychmiast w nasze ręce, a goniąc za piechotą, ujęliśmy jej kilkaset ludzi. Szwadrony moich huzarów, wpadłszy na cały batalion, do złożenia broni go zmusiły. Po tej pomyślnej wyprawie wróciliśmy na nasze miejsce pod miasto.

Tu się zaczęły już smutne okoliczności. Brygada moja, zmniejszona do stu kilkudziesięciu ludzi, zdolnych do boju, wszyscy prawie oficerowie ranni, lub polegli. Ja sam cierpiący na oko, posłałem grosmajora Wacława Gutakowskiego dla objęcia dowództwa nad resztą brygady, którą już kapitan komenderował, bo sztabs-oficerowie wszyscy byli ranni. Major Gutakowski tak był nieszczęśliwy, że ledwo stanął na czele, jakaś zabłąkana kula kozacka strzaskala mu rękę i ten wrócił do miasta. Odtąd też już nic z obu stron nie przedsiębrano.

Są plamy w życiu sławnych ludzi, które historia pokrywa, lub omija, dla uświetnienia pochwalnych obrazów; plamy te, objawione, całe-by świetne życie przyćmiły. Postępowania marszałka Saint-Cyr w tej epoce żaden historyk zapewne nie wykaże, oszczędzając jego poprzednie czyny. Niechęć ku Napoleonowi nie może go usprawiedliwić. W jego mocy było wielką zrobić dywersję na korzyść wielkiej armii, a przynajmniej ratować kilkadziesiąt tysięcy Francuzów. Twierdze Torgan, Wittenberg, Magdeburg — wszystkie nad Elbą w dół tej rzeki, w ręku naszym będące, czyniły nas panami obu brzegów i ułatwiały nasze połączenie się z marszałkiem Davoust'em pod Hamburgiem. Siły, któremi dowodził w Dreźnie Saint-Cyr, składały się z 20,000 piechoty, licznej artylerii, opatrzonej działami i amunicją dostateczną. Jazdy wprawdzie miał mało: resztę mojej brygady, cały pułk ułanów, doświadczonych w Hiszpanii, na teraz pod dowództwem pułkownika Tańskiego, i parę szwadronów dragonów francuskich. Te siły mogły być powiększone przez zebranie załóg z twierdz, które, oprócz Magdeburga, były już skazane na poddanie się. Ale Saint-Cyr nie widział tylko trudność tego długiego pochodu dla połączenia się z Davoust'em. Mijam przecież, że przy złej chęci na nie się odważyć nie chciał, chociaż go nic gorszego spotkać nie mogło, jak haniebna kapitulacja w Dreźnie; mijam, że, mimo wołania wszystkich swoich generałów, a hrabiego Lobau szczególnie, postanowił z tak znacznemi siłami zakończyć poddaniem się. Lecz czego ominąć nie mogę, to jego opieszałość i okrutną obojętność w opatrywaniu wojska, pod dowództwem jego będącego. Wojownicy francuscy błakali się po ulicach Drezna zgłodniałi; sam widziałem biedaka, zbiera-

jącego na śmietniku okrawki kartoflane i jedzącego je na miejscu. Ranni tak dalece nie mieli opieki, ani schronienia, że codziennie widziano po ulicach, dziedzińcach i bramach umarłych z nędzy i nieopatrzenia. Wychodząc raz z mojej kwatery w wilią kapitulacji, znalazłem w powozach, stojących przed bramą, czterech żołnierzy francuskich umarłych. Żadnego magazynu, żadnego lazaretu, a przecież marszałek stał spokojnie od niejakiego czasu w tem mieście i wiedział dobrze, że korpus hr. Lobau ma się tu połączyć z jego korpusem; stał w stolicy zamożnego kraju; ani na domach wygodnych na lazarety nie zbywało, ani o zapasy żywności i furazu nie było trudno. Oficerowie administracyjni, jak komisarze wojenni, lekarze etc., widocznie dzielili jego szkaradną obojętność, gdyż kiedy wojsko umierało z głodu, ran i niewygód, oni, świecąc haftowanymi mundurami, wyświeżeni, jak w największej pomyślności, jeździli kabrioletami na śniadania do siebie.

Stan taki był przygotowaniem do kapitulacji. Wszelako Saint-Cyr, chcąc jakiemiś formami usprawiedliwić krok ten nikczemny, rozkazał wysłać wzwiady w stronę ku Meissen wzdłuż Elby. To się działo w kilka dni po odebranej wiadomości o klęsce pod Lipskiem. Nieprzyjaciela mieliśmy tylko od strony przeciwnej, to jest od Grossgarten — hrabiego Tolszaj, dowodzącego samymi „opółczencami“, wojskiem, niezdolnem nam dotrzymać. Uskuteczniając powyższy rozkaz, hr. Lobau polecił mi wysłać pluton jazdy, co uczyniłem, wybierając ten oddział z reszty huzarów, i powierzyłem go kapitanowi, Ignacemu Kuszłowi, mężnemu i doświadczonemu oficerowi. Podjazd ten spotkał o pół mili od miasta kilkunastu huzarów węgierskich; z którymi starłszy się gorąco, spędził ich i doszedł spokojnie do Meissen, gdzie powziął pewną wiadomość, że w tej stronie i wzdłuż Elby nieprzyjaciela nie było. Kapitan Kuszal, rauny w nogę kulą karabinową, wrócił do Drezna z tą wiadomością, która, zamiast skłonić marszałka do cofania się wzdłuż rzeki od twierdzy do twierdzy, posłużyła mu tylko do ubarwienia jego przedsięwzięcia: wysłany patrol spotkał nieprzyjaciela — więc miasto było zewsząd otoczone.

Zatem kapitulacja została podpisana przez marszałka ¹⁾, a ze strony nieprzyjaciela przez hr. Klenau, generała en chef, przysłanego z wielkiej austriackiej armii. Warunki były, że wychodzące wojsko złoży broń i pójdzie spokojnie do Francji z obowiązkiem nie służenia przez rok cały przeciwko sprzymierzonym; wszystkie bagaże

¹⁾ Dnia 11 listopada 1813 roku.

oficerskie i żołnierskie nietknięte pójdą wraz z wojskiem; oficerowie zatrzymają swoją broń etc. etc. Skoro złożenie broni zostało uskutecznione, generał Klenau odebrał depesze od księcia Schwarzenberga, niepotwierdzające tej umowy i rozkazujące prowadzić wojsko francuskie w niewolę do Węgier. Rozbrojone wojsko musiało się poddać temu wyrokowi. Haniebny podstęp! Powstało powszechne mniemanie, że marszałek był uprzedzony i w porozumieniu. Nie umiem obwiniać go o tak niegodziwy postęp, ale wszystkie okoliczności zdawały się potwierdzać to mniemanie.

W pierwszej umowie było, iż pozostający chorzy i ranni będą następnie wyprawieni do Francyi w miarę przychodzenia do zdrowia; między tymi chorymi byłem i ja, cierpiący na oko od uderzenia, o którym wspominałem. Po oddaleniu się wojska naszego zostało ze mną dużo moich oficerów; jedni postanowili iść do niewoli węgierskiej, skoro będą mogli, drudzy, zrażeni oszustwami, powrócić do domu. Ja byłem z liczby ostatnich, zwłaszcza gdy hr. Tolstoj przysłał do mnie adjutanta swego, podpułkownika Buturlina, oświadczając, iż, gdybym chciał wrócić do kraju, wyda paszport mnie i moim sztabowym oficerom. Nie namyślałem się długo: widziałem wszystko stracone, niemożność służenia dalej naszej sprawie, długą tylko i nieużyteczną tułaczkę po obcych ziemiach, a z drugiej strony smutne położenie naszego kraju i opuszczoną żonę z dzieckiem, potrzebującą mojej obecności i pomocy w najkrytyczniejszych okolicznościach; nie wahałem się, mówię: przyjąłem paszport do Krakowa. Przedałem, jak mogłem, wszystkie wierzchowe konie dla udzielenia moim towarzyszom sposobności wrócenia i ruszyłem z kapitanem Mieroszewskim i Michałem Walewskim w podróż, inni pojechali osobno.

Bez trudności ani przygód przybyliśmy do Krakowa. Żona moja żyła tu w towarzystwie dawnych przyjaciółek, pani Walewskiej i pani Turno, jak najciszej i najskromniej. Nie opisuję jej radości, kiedy ujrzała mnie w domu; zdawało się, że wszystko złe już minęło. Mogłem się teraz oddać bez przeszkody staraniom około mojej rodziny. Znalazłem w mieście komendanta, niejakiego majora Awaryna, który się mniemał być królem Krakowa. Pan Wielogłowski, zastępca prefekta, człowiek niepospolitego charakteru, oparłszy się stanowczo jego rozkazom, dowiódł mu, że jego władza nie była nieograniczoną, a później przybyły z Francyi generał en chef, Jermołow, utarł do reszty rogów dumie tego dzikiego człowieka. Ja tymczasem udałem się do pana Józefa Niemojewskiego z prośbą o pożyczanie mi pewnej sumki do ukończenia procesu z Bobrowskimi. Jakoż nie odmówił mi i pożyczył 500 dukatów. Z tym zasiłkiem czekałem końca sprawy i myśleć zacząłem o dalszym zawodzie życia. Uradziliśmy z żoną

wziąć się do gospodarstwa wiejskiego, a że na kupienie ziemi funduszu jeszcześmy nie mieli, postanowiłem starać się choćby o dzierżawę. W tym celu badałem okolice Krakowa, nakoniec pisałem do księżnej marszałkowej Lubomirskiej do Wiednia, która natychmiast przysłała rozkaz do p. Drahe, plenipotentą swojego, aby mi wypuszczono jaki folwark z dóbr Staszowskich, ale nie mogłem się zdecydować. Tu wspomnę z wdzięcznością o niewzywanej przeze mnie troskliwości rodziny mojej. Kiedym się najmniej spodziewał, przybył do nas brat mój, Wincenty, z Infant, przywożąc mi 800 czerwonych złotych dla zaradzenia potrzebom naszym, sądził bowiem, żeśmy w najsmutniejszym położeniu po tak okropnej zmianie i utratach. Pomoc ta nie była w istocie zbyt cenna, zwłaszcza gdy w styczniu 1815 roku żona moja powiła córkę, Helenę, i wydatki nasze się powiększyły.

NB. Jako świadectwo o postępowaniu Weyssenhoffa i jego brygady w kampanii 1813 roku, porównaj listy do niego księcia Józefa Poniatowskiego i hrabiego Lobau w aneksach NN.

PIŚMIENNICTWO.

Józef Jeziorański: „Potrzeby stanu włościańskiego w Królestwie Polskiem.”
Warszawa, 1902.

Przed laty dwunastu autor umieścił w „Słowie” szereg prac, ujawniających potrzeby stanu włościańskiego. Od tego czasu sprawa mało się posunęła naprzód, tak, że powyższe studyanie prawie z żywotności swej nie straciły. Autor ogłosił więc je drukiem po raz drugi nie tylko dla tego, że dla wielu będą nowymi, lecz zwłaszcza, że mogą się przyczynić cokolwiek do rozbudzenia w czytelniku słusznego zajęcia się losem podstawowej, najliczniejszej, a niemogącej zaradzić potrzebom swoim, części społeczeństwa naszego. W pracy swej autor poświęcił bardzo mało miejsca przeszłości, dając tem samem do poznania, że cała jego uwaga skupioną jest na stan włościan teraźniejszych, to jest wytworzony ukazem uwłaszczającym z 1864 r. Autor uważał za stosowne uprzednio zaznaczyć, że nieuzasadnionemi są te zarzuty, iż opinia większych właścicieli nieprzychylną była uwłaszczeniu. Mamy wszelką podstawę utrzymywać, powiada on, że reforma z roku 1864 znalazła w umysłach grunt przygotowany. Niechęć, o jaką względem reformy pomawiano właścicieli, nie dotyczyła też nigdy głównej zasadniczej myśli uwłaszczenia. Odnosiła się ona do niektórych pojedynczych przepisów, więcej jeszcze do szczegółów wykonania, które niejednokrotnie surowszemi były od zamiarów prawodawcy, a głównie do niezupełnego załatwienia innych, z reformą jaknajściślej powiązanych, kwestyi.

Omawiając warunki ogólne, w jakich znaleźli się włościanie po roku 1864, autor zauważył, że tak w epoce reformy, jak i dzisiaj, dokładna separacya gruntów włościańskich i połączenie w całość każdej pojedynczej osady (komasacya), usunięcie wszelkich wspólnych

używalności i służebności, jak najmocniej jest pożądanem. Początk temu niejaki dało prawo z 1875 o separacyi. Doświadczenie wszystkich czasów i krajów z nieprzepartą siłą dowiodło, że wszystko to są warunki dla trwałego dobrobytu włościan nieodzowne. To też Prusy, kraj rządzący się we wszystkich krokach swoich przezornością, wyrachowaniem i oszczędnością, w polityce swojej wewnętrznej o los włościan tradycyjnie dbały, nie cofa się przed wyłożeniem ogromnych na powyższe cele kapitałów, o ile tych celów zaraz przy samem uwłaszczeniu nie załatwił. Własność włościańska, oparta na zasadzie indywidualności, potrzebuje niewątpliwie zaczerpnąć z tradycyi to, co w niej było dobroczynnego, a jednocześnie uszlachetniającego, mianowicie pojęcie łączności interesów gromadzkich. Lecz aby wydała owoc pożądaną, winna ona uprzednio stać się rzeczywiście indywidualną, a więc wolną od wszelkich wspólności pomiędzy włościanami a folwarkiem, od używalności pasania na gruncie każdej z pojedynczych osad, całej gromadzie przysługujących, gdyż wszystko to stanowi jedynie przeszkodę do prawdziwego rozwoju.

Oświecone klasy, zdaniem autora, żywo uczuwają i uznają potrzebę podniesienia stanu włościańskiego na wyższy stopień uspołecznienia, utrzymania onego, a nawet podźwignienia w dół robycie, umocnienia w świadomości praw jego i obowiązków. Aby warunki spełniania wymienionych zadań pod względem społecznym najżywotniejszych, oprzeć na gruncie praktycznym, autor przytoczył w dosłownych wyciągach zebrane z rozmaitych okolic kraju przez ludzi dobrej woli, a dotyczące stanu włościańskiego wiadomości. Z nich wypływają te nieprzeparte wnioski: 1) że właściciel osady 6 morgowej, w średniourodząjnych gruntach położonej, znajduje się u nas w warunkach ekonomicznych nierównie gorszych od parobka folwarcznego, głównie z powodu marnowania czasu i nie wychodzenia na zarobki; 2) że utrzymanie w niepodzielności osad mniejszych, nie mogących bez pobocznego zarobku utrzymać należycie właściciela, nie tylko za pożądane uważanem nie jest, ale poczytuje się ogólnie za nader szkodliwe, jako prowadzące do szybkiego mnożenia się proletariatu wiejskiego; 3) że natomiast utrzymanie klasy włościańskiej, jako niezależnych właścicieli ziemi, nie potrzebujących szukać pobocznego zarobku, uważanem jest ogólnie za rzecz pożądaną, lecz możliwą jedynie przy znacznej rozległości osady i utrzymaniu onej w niepodzielności; 4) że prawo zabraniające dzielenia osady na części mniejsze od 6 morgów bywa najczęściej przez włościan wymijane i nie osiąga celu, a wyradza w stosunkach majątkowych włościańskich stan nielegalny; 5) że we wsiach skolonizowanych, gdzie grunt każdej

z osobna osady nie jest rozrzucony w działkach, ale skupiony w jedną całość, wzrasta zamożność i osada przechodzi w ręce jednego spadkobiercy, gdy tymczasem większość wsi u nas posiada grunta orne w trzech odległych od siebie polach rozrzucone; 6) że należyte urządzenie gruntów włościańskich nie mogło-by nigdy nastąpić, gdyby na przeprowadzenie onego wymaganiem było w każdej wsi jednomyślne żądanie całej gromady; 7) że dla utrzymania osad w niepodzielności bardzo potrzebnym jest dla włościan kredyt długoterminowy i tani; 8) że wreszcie za najskuteczniejszy środek utrzymania osad w niepodzielności uważanem jest ogólnie— rozszerzenie wolności testamentowej włościan. Wnioski te wprost z życia wzięte uderzają zadziwiająco swoją zgodnością ze zdaniem najbieglejszych w tej materii ekonomistów, konkluzjami kongresów naukowych i rolniczych, wreszcie z kierunkiem, jaki w najnowszych czasach przybrały w ościennych krajach prawodawstwa. Dadzą się one ująć w dwa główne postulaty, których treść stanowią: 1-o ułatwienie dokładnej separacji gruntów włościańskich; 2-o ułatwienie przechodzenia niepodzielnego większych osad w ręce jednego spadkobiercy. Od ziszczenia tych celów zależy bezpieczna przyszłość stanu włościańskiego.

W osobnym rozdziale zastanawia się autor nad urządzeniem osad, wskazując przedewszystkiem cel i znaczenie komasacyi. Już w 1851 znajdujemy w rocznikach gospodarstwa krajowego rozprawę, w której szkodliwość gospodarcza i ekonomiczna uiedokładnej separacyi gruntów włościańskich przedstawiona jest wszechstronnie i wyczerpująco. Czterdziestoletni wpływ czasu nie osłabił doniosłości i trafności zawartych w tem źródle uwag. Autor posiłkuje się też niem, aby je w pamięci powszechnej odświeżyć. Według pojęć najogólniejszych, zdaniem autora, komasacya polega na połączeniu rozrzuconych gruntów całej miejscowości w jeden lub kilka możliwie najobszerniejszych foremnych działów, celem nowego, a dla dawnych posiadaczy jaknajkorzystniejszego tych gruntów między nich podziału. Czynność ta przedsięwzięta na żądanie wszystkich właścicieli lub też pewnej prawem oznaczonej części i wykonywa się przez właściwe urzędy, według ogólnych w tym celu wydanych przepisów. Szczegółowe przepisy, wprowadzające w czyn komasacyę, i dodatnie rezultaty, jakie z niej w Niemczech osiągnięto, przedstawił autor dokładnie i zajmująco, a następnie przechodząc do rezultatów komasacyi i sposobów wprowadzenia jej u nas oświadcza: że niezawodnie w każdej wsi znajdzie się u nas część włościan pragnąca urządzenia osad i część onemu przeciwna. Pierwsza, pomijając już względy ekonomiczne, ma ten tytuł za sobą, że, według obowiązującego prawa cy-

wilnego, nikogo do pozostawiania w niepodzielnosci zmuszać nie można; gospodarowanie zaś na rozrzuconych polach, podzielonych pomiędzy włościan na wąskie szmatki, zmusza każdego z nich do niewolniczego ze zmianowaniem, ugorowaniem, porą żniwa i uprawy, do sąsiadów stosowania się, słowem do służebności z natury rzeczy wynikającej. Z tych wszystkich względów nie należało-by wymagać, aby uchwała gromadzka, o potrzebie komasacyi stanowiąca, dopiero przy jednomyślności głosów stawała się obowiązującą, jak to ma miejsce obecnie. Nie należało-by żądać w tej materji nawet większości $\frac{2}{3}$ głosów, jak w innych sprawach gromadzkich, lecz z uwagi na wszechstronnie u nas i w innych krajach doświadczoną wielką pożyteczność należytego urządzenia osad, można-by zadawałniać się skromniejszą większością, a nadewszystko należało-by liczyć głosy nie podług ilości głów, lecz podług posiadanych przez nie przestrzeni.

Ponieważ jednak zdaniem osób dobrze z położeniem obznajomionych opierać się komasacyi będą u nas raczej zamożniejsi niż ubożsi włościanie, wypadało-by zatem postanowić, iż prosta większość głosów, tak samo na głowy, jak i na przestrzeń podług podatku liczona, jedna czy druga, czyni komasacyę dla ogółu wiejskiej gromady obowiązującą. W całym dziele komasacyi rzadzić się należy dokładną znajomością ekonomii gospodarczej, jasnem zrozumieniem potrzeb włościan i samego celu urządzenia, raczej niż literą przepisów. Połączenie gruntów rozrzuconych nieraz już nie w trzypolówce, ale w kilkunastu działkach po kilka w jedną całość, tak, aby gospodarstwo zyskało ekonomiczną swobodę, już będzie znakomitym postępem, a niekiedy zupełnem zadania rozwiązaniem.

Do nadającego swobodę ziemi należytego urządzania osad w naszym kraju wielce dopomódz może bank włościański, jeżeli wnabywanych za jego pomocą dobrach do urządzenia tego należytych da podniętę, a następnie, jeżeli nie odmówi kredytu wsiom, powstałym z uwłaszczenia, pragnącym za przykładem tamtych przejść na porządek kolonialny, co zwykle wymagać będzie przykupna gruntu, tak, że udzielenie kredytu tego zasadom ustawy bankowej, w artykule 1-ym, z roku 1882 wyluszczoneym, w niczem się nie sprzeciwi. Założeniom banku tak blisko odpowiada też udzielenie włościanom kredytu umiarkowanego na samo przeprowadzenie komasacyi, że uzyskanie Najwyższego w tym względzie zezwolenia wątpliwości ulegać nie może. W krajach, gdzie rząd popiera komasacyę, powszechnie, przed jej dokonaniem wszelkie usuwają się służebności. Zaniebdanie pod tym względem było-by w istocie wielce nielogicznym, następnie bowiem

w razie układu i pozyskania wzamian za służebności gruntów, było-by do wyboru: albo komasację, z wielkim mozołem i kosztem dokonaną, na nowo rozpoczynając, albo do rozrzucenia gruntów powrócić. Nie mogą też nastręczyć się warunki więcej sprzyjające usunięciu służebności na gruntach dworskich, jak przy urządzeniu osad, wtedy bowiem włościanie w widokach dogodniejszego skupienia gruntów nierównie do zawarcia układu o zamianę służebności będą skłonniejsi, gdyż zamiast skupywać grunta przedzielające ich własność, otrzymać je będą mogli z zamiany.

Następnie, autor zastanawia się nad kredytem dla włościan i przychodzi do przekonania, że kredyt na ziemi oparty winien wogóle odpowiadać następującym warunkom: 1-o dostępnym być każdego czasu z jaknajmniejszym dla biorącego kosztem; 2-o niewymagalnym, dopóki dłużnik opłaca procent; 3-o niskoprocentowym; 4-o umarzalnym w ratach; 5-o splacalnym na żądanie dłużnika każdego czasu, w całości lub części; 6-o nie przekraczającym wraz z amortyzacją i kosztami możliwości dochodowej ziemi. Niemal wszystkim tym warunkom odpowiadają pożyczki Towarzystwa Kredytowego ziemskiego. Gdy wszakże wypadki, w których wolno Towarzystwu udzielić kredytu na osadę włościańską, są bardzo nieliczne, a nadto, gdy koszt wzięcia pożyczki w Towarzystwie nader są znaczne, wypadało-by więc obmyślić oddzielną instytucję kredytową dla włościan. Podobną instytucję, w której pożyczka na osadę dochodzi do wysokości 22 razy wziętego dochodu kadastralnego, urządzono przy oddziale związku włościańskiego dla prowincji westfalskiej w roku 1877. Przez 10 lat istnienia instytucja ta wydała listów zastawnych nominalnie na 25 milionów marek, z których na 4 miliony w samym r. 1877.

Niema wątpliwości, że instytucja taka, przy nabytem u nas co do Towarzystw kredytowych doświadczeniu, przy staranności, zwróconej ku obniżeniu kosztów wzięcia pożyczki, miała-by wszelkie warunki powodzenia, a była-by bardzo pożyteczna zarówno dla spadkobiercy, utrzymującego się przy osadzie, jakoteż dla jego współspadkobierców, dla których jednorazowy odbiór spłaty wielkiem byłby dobrodziejstwem. Aby jednak przez zbytnie ułatwienie kredytu, nie doprowadzać włościan do wchodzenia w niepotrzebne długi, a co większa, aby nie wysuszać na cele drugorzędne źródła mogącego spełniać zadanie dla bytu włościańskiego najważniejsze, jakim jest ułatwienie działów spadkowych, wypadało-by ograniczyć operacje instytucji kredytowej ziemskiej dla włościan do samego tylko udzielania poży-

czek na spłatę współspadkobierców, obciążenie bowiem osady w tem ograniczeniu w zupełności odpowie niezbędnej potrzebie i sprawiedliwości. Bank włościański w Królestwie dobrze odpowie swemu założeniu, jeżeli zamożniejszym włościanom do powiększenia posiadanej przez nich przestrzeni dopomoże, a tembardziej, że w kraju naszym przeważa kategoria osad albo niżej 10 morgów, które na utrzymanie rodziny nie wystarczają, lub średnich, których połowa nie osiąga średnicy przeciętnej 14 morgów. Tę ostatnią kategorię stale zmniejszając, bank włościański dobrze zasłużył-by się przyszłości stanu włościańskiego, co wcale nie przeszkadza, że kredyt na kupno małych kawałków ziemi udzielony ludności bezrolnej, pragnącej własną mieć osiadłość, a na pobudowanie się nie pozbawionej zasobów, dobrze i właściwie będzie użyty. Przy gruntownem poznaniu potrzeb włościan, przy umiejętnem wzięciu się do rzeczy, bank włościański w zakończeniu sprawy uwłaszczenia, wyprowadzenia onej zesfery poprawek i przeróbek na drogę żywotną, organiczną, dla przyszłości płodną, oddać może nieocenione usługi, nierównie przewyższające samo geometryczne powiększenie włościańskiego obszaru.

Omawiając kredyt osobisty, autor utrzymuje, że rolnik jest niesłychanie zależny od wypadków losowych. Jeżeli pozostawiony będzie własnym siłom, upadek inwentarza, nieurodzaj, pogorzel, powódź, mogą przyprowadzić go o ruinę. Obmyślenie zatem dla drobnych właścicieli taniego kredytu osobistego koniecznem jest dla ich bezpieczeństwa. Skutecznie do tego zdąża rozgłosna organizacya kredytu Raiffeisenowska. Na początek u nas wielką korzyść oddać mogą fundusze istniejących kas pożyczkowo-wkładowych, które wogóle stanowią materiał bardzo przydatny dla założenia kas Raiffeisenowskich. W tym celu należało-by do zarządu każdego stowarzyszenia powołać między innemi osoby powszechnem cieszące się zaufaniem, a w następstwie niewątpliwie kasy pożyczkowe, rządząc się zasadami Raiffeisena, i u nas nie mniejszy niż gdzieindziej przyniosą pożytek. Od nadania właściwego kierunku kasom pożyczkowym zależy całkowicie ich użyteczność i rozwój. Rozwój zaś ich zależy od zaufania, jakie ku sobie wzbudzić potrafią, wtedy bowiem dla oprocentowania popłynie do nich każdy pieniądz, posiadaczowi od bezpośrednich potrzeb zbywający.

Zastanawiając się nad wolnością testamentową, autor zauważył, że prawodawstwa państw ościennych, od lat mniej więcej dwudziestu zmierzają do zapewnienia niepodzielności osad, drogą rozszerzenia wolności testamentowej, w tem przypuszczeniu, że przy pozostawie-

niu ludności wiejskiej większej swobody, a ułatwieniu jej dróg prowadzących do zapewnienia osadom niepodzielności, ludność ta, własnym kierowana pożytkiem, sama najwłaściwszy obierze kierunek. I rzeczywiście dobrze zrozumiany interes poprowadził włościan nie tylko na obczyźnie, ale i u nas, do zapisu całej osady na rzecz jednego spadkobiercy, z wyznaczeniem spłaty pozostałym. Właściciel osady z gruntami rozrzuconymi zwykle mało dba o pozostawienie onej w jednych rękach i taki rzadko kiedy z wolności testamentowej korzystał będzie. Ten dopiero, który posiada grunt w skupieniu i uzyskaną ma przez to swobodę dźwignięcia go pracą i zastanowieniem się na wyższy stopień kultury, dba o to, aby jego usiłowania, dla przyniesienia owocu długich lat potrzebujące, nie poszły na marne przez rozkalkowanie osady, aby z nich nie korzystał kto inny, tylko jego potomek. Rozszerzenie dla właścicieli osad większych wolności testamentowej w nierozzerwalnym jest związku z urządzeniem osad. Dopiero razem wzięte te dwa środki mogą krajowi zapewnić utrzymanie krzepkiego stanu włościańskiego, którego-by posiadłości, na równi ze spuścizną starych wierzeń i tradycji, przechodząc z ojca na syna niepodzielnie, stanowiły fundament dobrobytu i umoralnienia tej najliczniejszej, a tak ważnej dla społeczeństwa, klasy ludności.

W samym końcu poświęcił autor uwagę hipotekom włościańskim, zaznaczając, że jeżeli z obawą przeciążenia włościan długami liczyć się zaczniemy, wystąpią na jaw względy pierwszorzędne, które nam potrzebę hipoteki dla włościan uwidomią, a mianowicie: 1-o że zabezpieczy ona włościaninowi własność osady, spadkobiercom ich prawa, 2-o że dając kredyt jawny, przyczyni się do powstrzymania lichwy, 3-o że przez jawność umowy utrudni trzaskacze podstępne i rujnujące, 4-o że dla oszczędności włościańskich bezpieczne utworzy umieszczenie, wyprowadzając stopniowo z użycia zwykle między włościanami na zastaw gruntu pożyczki, dla dłużnika zgubne, 5- że przyczyni się do zmniejszenia u włościan pieniactwa, w niejasności stosunków majątkowych główne biorącego źródło, i wreszcie, 6-o że stanowić będzie podstawę dla publicznego włościan kredytu, który przez właściwie ułożone warunki wpływać może nader pożytecznie na dalsze kształtowanie się własności mniejszej. W dalszym ciągu nasuwają się autorowi następujące co do hipotek włościańskich postulaty: 1-o iż dla włościan odseparowanych oddawna powinna być hipoteka obowiązkową z terminem prekluzyjnym, przez prawo oznaczonym, dla pozostałych zaś włościan dowolną, 2-o iż w regulacji hipotek przymusowej władze włościańskie przez złożenie dokumentów czynny powinny wziąć udział, 3-o iż hipoteka dla włościan urządzona po-

winna być przy sądach pokoju, co nietyczyło-by gruntów z pomocą banku włościańskiego nabywanych, 4-o prowadzoną powinna być w księgach, nie zaś w aktach, 5-o prowadzoną dla każdej wsi w jednej wspólnej księdze z oddzielnym i całkowitym dla każdej księgi wykazem, 6-o niedopuszczającą aktów sporządzonych według art. 74 ustawy notaryalnej na podstawie samego domniemania o tożsamości osoby. W końcu autor oświadcza słusznie, że urządzenie hypotek zrówna włościan pod względem rzeczowym z innymi obywatelami kraju, z tą myślą ich oswoi, że sami o swoim własnym losie radzić winni; będzie więc w zakresie ustalenia własności wyjściem z epoki zmian i przeobrażeń ku zakończeniu organicznemu sprawy uwłaszczenia, czynnikiem niezbędnym dla pomyślnego stanu włościańskiego przyszłości, którego opóźnienie tylko szkodę wyrządzić, a żadnej nie może przynieść korzyści.

Studjum p. Józefa Jeziorańskiego, potrzebom stanu włościańskiego poświęcone, przedrukowanem zostało na czasie. Utworzone bowiem rady gubernialne rolnicze zajmą się niewątpliwie potrzebami gospodarstw włościańskich i zastanowią się nad sposobami ekonomicznego ich urządzenia i dzwignięcia. Uwłaszczenie włościan w Królestwie Polskiem pozostawiła nadal sprawę komasacyi i serwitutów niezalatwioną. Nowi właściciele włościanie nie zostali wsparci odpowiednim kredytem i stan ich ekonomiczny pogarszał się raczej z czasem niż polepszał. Prócz tego szachownice gruntowe i serwituty szkodziły większej własności ziemskiej, wytwarzając pragnienie zaradzenia złemu i wytworzenia takiego porządku, który-by i większą i drobną własność mógł doprowadzić do lepszego rozwoju. Autor w swej pracy dowiódł gruntownej znajomości przedmiotu i wniknął szczegółowo a wszechstronnie w potrzeby naszego stanu włościańskiego; właśnie jednak dla tego, że p. Jeziorański złożył dowody gruntownego, fachowego wykształcenia i praktycznego doświadczenia, można mieć żal do niego, że ograniczył się na przedrukowaniu swych dawnych studyów, a nie uzupełnił ich tem, co nauka i jego osobiste doświadczenie przyniosło w ciągu lat dwunastu.

Słusznie autor zauważył, że sprawa potrzeb ludu włościańskiego nie straciła dziś nic ze swej żywotności, a wogóle mało posunęła się naprzód. Ale choćby się jaknajmniej posunęła, w każdym razie należało w przedruku ową odrobinę postępu, czy doświadczenia, uwzględnić, czem-by się pracy własnej nadało więcej znaczenia i obudziło dla niej więcej interesu. Autor z wielką starannością wykazuje reformy, przeprowadzające komasację, czy uregulowanie serwitutów w państwach, które urządzenie stosunków włościańskich posunęły już znacznie naprzód. Sądziłbym jednak, że należało-by przede-

wszystkiem uwzględnić stan włościan w Księstwie Poznańskim, w Galicyi, ażeby z owego przeciwstawienia praw.dlowych czy niedokończonych urzędów można było dla stanu włościan w Królestwie wyprowadzić jaknajpraktyczniejsze wnioski i projekta. W roku 1898 ukazało się w Austrii wyborne dzieło Schiffa p. t. „Oesterreichs Agrarpolitik seit der Grundentlastung.“ W pracy owej przedstawiono szczegółowy obraz dążeń komasacyjnych, urzędów serwitutowych i melioracyjnych we wszystkich dzielnicach Austrii. Z przedstawienia powyższego łatwo się przekonać, jaki ekonomicznie i społecznie wywierają wpływ pomieszczone grunta (szachownice) i służebności i jak wytrwale trzeba dążyć do tego, aby usunąć złe, które zaciemnia pojęcia własności i wytwarza nieujawnioną, waśń społeczną. W r. 1900 ukazały się studia agrarne Krzyżanowskiego, w których prawdopodobnie autor znalazł by niejedną trafną uwagę. Jednem słowem, nie należało ubiegłych lat 12 puszczać w niepamięć, bo owe 12 lat przekonywały dobitnie, że nie wypada opóźniać reform stanu włościańskiego jeżeli się nie chce wyrządzać krzywdy całemu organizmowi społecznemu. Wszystko, co autor pisze o hypotekach włościańskich, jest trafnem, ale ażeby uwagi i wnioski jego miały więcej siły przekonywającej, należało dokładniej przedstawić niedokładności, wynikające z tabel likwidacyjnych, i wykazać nadużycia, jakie się w tym kierunku uwidoczniły. Autor pominął także rozprawę Feliksa Jeziorańskiego o hypotekach włościańskich, którą swego czasu drukowała Biblioteka Umiejętności Prawnych. Z tem wszystkiem, jeszcze raz zaznaczyć wypada, że autor w swem studyum dowiódł tak gruntownego wykształcenia i znajomości przedmiotu, iż życzyć-by należało, aby powrócił jeszcze do potrzeb stanu włościańskiego i niektóre przynajmniej kwestye uzupełniające rozważył. Jest to chwila, w której zmysł praktyczny i doświadczenie autora mogły-by samej sprawie oddać duże usługi.

A. R.

Jana Dantyszka poemat „De nostrorum temporum calamitatibus silva“ (z portretem Dantyszka i medalem wybitym na cześć jego r. 1529), wydał dr Zygmunt Celichowski (Przyczynki do dziejów panowania Zygmunta Starego, zeszyt 2), Poznań, nakładem Biblioteki Kórnickiej, 1902.

Niestrudzony bibliotekarz kórnicki, którego pracy edytorskiej zawdzięczamy już wiele ciekawych przyczynków do dziejów piśmiennictwa wieku XVI w Polsce (między innemi „Kupca“ Rejowego)

obecnie wydobył z zapomnienia poemat Dantyszka, napisany r. 1529, p. t. „De nostrorum temporum calamitatibus silva”. Poemat ten do-tychczas bardziej może znany był z tytułu, niż z treści.

P. Celichowski nie ograniczył się wydaniem tego pomnika na-szej poezji łacińskiej wieku XVI, lecz dodał jeszcze przedmowę, gdzie charakteryzuje poemat Dantyszka i kreśli tło dyplomatyczne, na którym utwór ten nabiera znaczenia czynu politycznego: chciał nim bowiem Dantyszek poprzeć u dworu Habsburgów zabiegi dyplo-macyi polskiej. Poemat ten w dziejach naszej literatury politycznej XVI—XVII wieku zajmuje miejsce poczesne: jest on bowiem pierw-szym z szeregu utworów, nawołujących do wypędzenia Muzułmanów z Europy, owych ód, elegii, świstków, mów, rozpraw, których tak wiele, prozą i wierszem, zaczęło wychodzić od owego czasu.

Prócz tego dr Celichowski podał jeszcze wiadomość i odbitkę dwu nieznanych prawie portretów Dantyszka: jeden z nich widzimy na medalu, wybitym na cześć poety-dyplomaty przez Karola V.

Wyobraża on męża w pełni wieku, w świeckim ubiorze, o wyra-zie twarzy surowym i niemiłym. Drugi, podany przez d-ra Celichow-skiego, portret Dantyszka, znajduje się w zamku biskupim we From-borku i przedstawia poetę, już jako biskupa warmińskiego, o rysach twarzy łagodnych i poważnych.

H. G.

Stanisław Przybyszewski: „Z gleby kujawskiej”. Warszawa, nakładem księgarni Borkowskiego, 1902, 4-o, str. 71.

Odczyt swój o Kasprowiczu p. t. „Syn ziemi”, wygłoszony nie-gdyś na jednej z konferencyi literackich, p. Przybyszewski obecnie rozszerzył, uzupełnił i przyodział w formę studyum literackiego, a ra-czej „impresyi”.

Przedewszystkiem wyznać należy, że książka nie wywiera ani połowy tego wrażenia, co odczyt. W druku wyszły na jaw wszystkie braki, wszystkie paradoksy, wszystkie frazesy przesadne, z dobrą wiarą podawane za prawdę najoczywistszą.

Kto rzecz swoją zaczyna od twierdzenia, że ludzie piszący dzielą się na dwie kategorie: na tych, którzy mają talent, a tymi są symbo-

liści, i na tych, którzy go nie mają, a więc realiści, ten poza błędne koło paradoksów niedaleko wyjdzie. P. Przybyszewski przyznaje wprawdzie paradoksalność tego twierdzenia, ale sam w dalszym ciągu swoich wywodów dopuszcza się podobnych błędów logicznych. „Człowiek, który jest w stanie świat w sobie od nowa w nowej potęgze i piękności odtworzyć, który poza przypadkową zjawą rzeczy widzi odwieczną ciągłość istoty bytu, ten jest twórca—a wszystko reszta to tylko literatura“. Zapytamy, czy p. Przybyszewski zalicza do tej wzgardzonej „literatury“ takich twórców, jak Homer, Szekspir, Byron, Goethe, Mickiewicz, którzy nie mogą przecież być zaliczeni do symbolistów?

I znowu kilka kart dalej: „ten, który umie odtworzyć każde pojęcie w obrazie, który umie odtworzyć uczuciowe związki pomiędzy pojedyńczymi pojęciami, który nie logicznie, ale wewnętrznie, uczuciowo łączy wszystkie pozywane i przez mózg postrzępione rzeczy świata zewnętrznego, ten jest twórca, i znowu: *et tout le reste c'est de la littérature*“.

Niepodobna w krótkim sprawozdaniu rozwodzić się nad słuszością lub niesłuszością tych określeń. To tylko zaznaczyć należy, że są one podobnie jednostronne, jak i przeciwne zdania, potępiające w czambuł nowe kierunki poezji.

Następuje najpiękniejsza część „Z gleby kujawskiej“: opis tego zakątka ziemi, z którego wyszedł Kasprowicz, a i sam Przybyszewski: „trójkąt obwodu kilku mil kwadratowych pomiędzy Inowrocławiem, Gniewkowem, a pramatką, kolebką ojców naszych—Kruszwicą“.

Niewypowiedziane uczucie smutku, melancholii, przygnębienia wyziera z tych kart. „Lasy wycięto—tak maluje p. Przybyszewski miejsce swoje rodzinne — Gopło opada coraz więcej, tworzy na miłą długie i szerokie bachorze, porośłe wysokiem zielskiem, w którym grzęźnie i płacze się noga, gdy się chce przez nie przedrzeć, krzewy ostu i pokrzyw ranią ręce, a nawet sięgają po szyję, a na miękkiej, bagnistej ziemi idzie się, jak po niezmiernie bogatym a głębokim kobiercu wschodnim. Czasem tam człowiek zapadnie, czasem koń po kark ugrzęźnie, że go i dziesięciu chłopów wydostać nie może, ale to nic. Pełno tu stawów i bagien — w ciemnych nocach przelatują tu duchy masonów, błędne ogniki prowadzą chłopów, wracających z odpustu lub karczmy, na najgłębsze zatory bagien—ale to nic. Po rowach i kanałach niema mostów, zaledwo jakaś krucha zmorszała belka służy za przejście dla ludu, raz po raz ktoś się zwali, skąpie się lub utonie w głębokim kanale; jedzie się bryczką, trzeba daleko objeżdżać i przy ujściu kanału przez Gopło broczyć—po nocach włóczyć się po ścieżkach wzdłuż głębokich kanałów, z których torf wykopano—lada.

chwila na łeb na szyję zaprzepaścić się można w otchłannej ich głębi — ale i to nie“.

Śmiało można powiedzieć, że te obrazy, z których wieje „niesłychany fatalizm życiowy, dziwna a smutna rezygnacya, co ręce roztwiera i na piersiach je krzyżuje“, należą do najcenniejszych kart autora „De profundis“. A dalej z podobną potęgą słowa maluje on lud kujawski, straszny w swej zaciętości i melancholii, i „biedną przykucniętą dolę Kujawiaka“, i ten nastrój dziwnego lęku, jaki widok ziemi kujawskiej wywołuje w duszy ludzkiej: „Głos zamiera, jakby go coś ogłuszało — czuje się coś przed sobą, co krzyczy za wyzwoleniem, a wyzwolić się nie może, coś co czatuje, co gotowe jest do skoku, a poza sobą jakieś ciche, powłóczyście kroki — tuż — tuż za plecami — już chwyta, już obejmuje kleszczami piersi i strach — strach!“

P. Przybyszewski nie ocenia całego dorobku literackiego Kasprowicza, ale wybiera dwa z pomiędzy jego utworów, najlepiej jakoby charakteryzujące autora: „Na wzgórzu śmierci“ i „Święty Boże, Święty Mocny“, a właściwie na tle tych poematów snuje przedzę własnych nastrojów. Wobec tego braku ścisłości naukowej niepodobna wywodów p. Przybyszewskiego poddawać drobiazgowemu rozbirowi.

Musimy tylko zaprotestować przeciw niektórym zbyt gorącym objawom entuzjazmu.

Czytając pełne superlatywów wysłownienia p. Przybyszewskiego, mamy nieraz takie wrażenie, jakgdyby przed Kasprowiczem nie było nic, co by zasługiwało na miano poezyi. „On pierwszy nadał ziemi, że tak powiem, jej metaforyczny charakter“ (str. 17), pisze w jednym miejscu p. Przybyszewski, a w drugim dodaje: „w całej literaturze, Kasprowicz jest jedyny autochton, Syn Ziemi“ (str. 18). Nie dość na tem: „on jeden — pisze dalej autor „Złotego runa“ — nie wyłączaając Mickiewicza w „Panu Tadeuszu“, powrócił ziemi jej metaforyczny charakter, wyczuł jej ból i niemiły żywioł, jej świętość jest jego religią — jej szal i rozpacz jego rozpacz“ (str. 32). I więcej jeszcze: „tak głęboko, tak silnie — czytamy kilka kart dalej — żaden z poetów nie odtworzył tego symbolu. Ani Byron, ani żaden z romantyków niemieckich, którzy przecież jeszcze najgłębiej wnikali w istotę zła (str. 39 — 40). A wreszcie: „w całej literaturze nie znam takiego akordu, który nabiera niesłychanej mocy przez zestawienie go z następnym ustępem“ (str. 54).

Nie wątpimy, że Kasprowicz z pomiędzy młodszych poetów naszych należy do najbardziej utalentowanych. Ale twierdzić, że przed nim nie było nic równie wielkiego i równie potężnego, wynosić go po-

nad Byrona i Mickiewicza—to wygląda nieco na przyjacielską usługę. Nie spostrzega p. Przybyszewski, że w ten sposób nie wynosi, lecz obniża w oczach czytelnika poetę rozważanego, gdyż kto jedno i drugie takie przesadzone określenie przeczyta, ten przestanie wierzyć wszystkim wywodom autora i zachwieje się w nim wiara w genialność, nawet w talent twórcy „Buntu Napierskiego.”

Podobne wrażenie wywrzeć muszą także frazesy szumne, które nie nie mówią: „w Kasprowiczu—powiada p. Przybyszewski—jest coś, co „łączy się z hypotetycznym czwartym wymiarem, jakiś nadświat i pozaświat, anamnesis Platona o stanach i cudach, jakie monada duszy kosztowała, kiedy jeszcze sniła w łonie prabytu i patrzyła w przyszłość, nagą istotą bytu” (str. 70).

Sens takich określeń jest równie hypotetyczny, jak czwarty wymiar.

H. GALLE.

Marya Rodziewiczówna, „Wrzos”, powieść. Warszawa, druk synów St. Niemiry, 1903, 8°, str. 392.

Ze wszystkich powieści, które ukazały się w druku w ciągu roku bieżącego, „Wrzos”, Rodziewiczówny. obudził najżywsze bodaj zajęcie; wpłynęła na to przed-wszystkiem ta okoliczność, że drukował się w poczytnym „Kuryerze Warszawskim”, a potem i sama osnowa powieści mogła przypaść do smaku szerokim warstwom czytelników.

Niewątpliwie, „Wrzos” jest nieskończenie wyższy od ostatnich utworów autorki „Szarego prochu,” jak np. „Nieoswojone ptaki,” „Magnat” i inne, tym podobne rozpędy nieokiełznanej fantazyi. „Wrzos” trzyma się bliżej ziemi: odtwarza lub usiłuje odtwarzać stosunki realne z bruku warszawskiego. Ale w głąb rzeczy nie wnika. Autorka używa tu swej, przestarzałej nieco metody: wymyśla bohatera czy bohaterkę, o wszelkich możliwych przymiotach umysłu, serca i charakteru, a dookoła roztawia kilkanaście powystrzyganych z kartonu figurek, których poziom duchowy nie sięga, oczywiście, nawet kolan tytułowego olbrzyma szlachetności, tężyzny i poświęcenia. We „Wrzosie” razi to mniej znacznie, niż w innych powieściach Rodziewiczówny; ale przyjrząwszy się bliżej, przekonamy się, że l u d z i tu wcale niema, są tylko wcielone i d e a ł y, lub ich przeciwień-

stwa. Że cierpi na tem prawdopodobieństwo i postaci, i sytuacji, o tem i mówić nie trzeba.

Pan Sanicki, bogaty i „ustosunkowany“ mecenas i obywatel warszawski, chce ożenić swego syna, szalawiłę, Andrzeja: duść ma już jego miłostek, z taką np. rozwódką, panią Celiną, a zresztą ożenić go trzeba, gdyż w takim tylko razie spadnie na Andrzeja scheda po matce. Godzi się na taką konieczność i Andrzej i razem z ojcem popelnia nikczemność: wybiera sobie na żonę młode, szlachetne dziewczę wiejskie, Kazię Szpanowską, którą poznał—w dniu zaręczyn; a pierwszą z nią rozmowę zaczął od wyznania, że kochać jej nigdy nie będzie, gdyż serce swe oddał już innej. Ale i ona u progu powieści popelnia czyn wcale nie bohaterski: godzi się na małżeństwo z Andrzejem, chociaż ma narzeczonego, którego losy zagnały daleko—może już gdzieś zginął wśród śniegów: dwa lata nie dał wcale znaku życia.

Dodać tu należy, że ów narieczony nie zginął, ukazuje się przy końcu powieści po to tylko, aby wymierzyć Kazi krwawy policzek pogardy. Wiarołomstwo bohaterki usprawiedliwia się chęcią dogodzenia ojcu, zapewnienia mu domowego spokoju ze strony macochy itp.—wszystko to wszakże ani dość zręczne, ani dość szlachetne, na taką zwłaszcza anielską istotę, jak Kazia. A i pan Sanicki, który wyszukuje na synową szlachcianeczkę z zapadłego kąta, co nigdy jeszcze nie była w Warszawie, nie ma na poparcie swego postęku żadnych pozorów logicznego rozumowania.

Na takich kruchych podstawach spoczywa intryga powieści; nie więc dziwnego, że i cała powieść obraca się w błędnem kole nieprawdopodobieństw życiowych i psychologicznych. Właściwie jednak mówiąc, intrygi niema tu wcale: od chwili, kiedy Kazia wysiada z wagonu kolei w Warszawie, w powieści już nic się nie dzieje. Przewijają się sceny jedna za drugą: wizyty, roznowy mniej lub więcej banalne, teatr, cyrk, wycieczka powozem do Wilanowa, poznajemy cały szereg ludzi, bądź szlachetnych, oddanych czynom altruizmu i miłosierdzia, jak Ramszycowa, doktor Downar, bądź płaskich i płytkich, pędzących życie na zabawach i plotkach: rozmaici Wolscy, Dąbscy, Dąbrowscy, Markhamowie, Radliczowie, Saniccy, Kołoccy itd., itd.

Ale to wszystko nie ludzie, lecz—pionki w szachach, te—białe, tamte czarne, wszystkie według jednego wzoru toczone. Doznaje się takiego wrażenia, jak wobec przeciągającego tłumu ludzi o obojętnych, świątecznych wyrazach twarzy: w końcu wzrok tak się nuży, że wszystko zlewa się w jedną szarą masę, w której przestaje się różnić oddzielne twarze.

Brak w powieści i wewnętrznej akcji. W stosunku Kazi do Andrzeja od początku do końca nie się nie zmienia: są małżeństwem tylko z tytułu, ona zawsze cierpliwa i łagodna, lecz zarazem pełna godności i majestatu; on obojętny, pogardliwy, często brutalny, co już takiemu, jak on, światowcu, wcale nie przystoi.

Cała różnaitość powieści polega na tem, że Warszawa, w owem odrębnem znaczeniu tout Varsovie, bierze Kazię na języki, snuje ploteczkę o miłostce z malarzem Radliczem, a ona, wysoko trzymając głowę ponad tą czeredą oszczerców, gardzi nimi w duszy, chociaż musi żyć z nimi i przyjmować ich w swoim domu.

I tu dopiero Kazia występuje, jako zbiór wszelkich cnót. W domu stara się dogodzić teściowi, który najwięcej ze wszystkich okazał jej serca, i nawet mężowi, ażeby dopełnić zawartej przed ślubem umowy.

Jest rządna, gospodarna, pracowita, energiczna, gdzie trzeba uległa, gdzie trzeba, wyniosła, zawsze pełna zaparcia się i poświęcenia. Poza domem cały czas, trud i oszczędności oddaje czynem miłosiernym, niesie pomoc, radę i pociechę w sutereny i na poddasza, co wreszcie życiem przypłaca: umiera, zaraziwszy się tyfusem od jakiejś biedoty. Sądzimy, że ta właśnie strona powieści zjednala jej najbardziej popularność: ci, którzy nie mogą strawić pewnych idei społecznych, podanych w ciężkiej dla przeciętnych umysłów formie w „Ludziach Bezdomych“, ci sami dadzą się unieść „pocziwej“, poprostu wyłożonej tendencji „Wrzосу“.

Nie dość na tem. Kazia dokonywa większych jeszcze cudów.

W jaki sposób ta dziewczyna wiejska, wychowana w klasztorze, zajęta od świtu do nocy – pilnowaniem ndoju, potrafi zachować się na pierwszych salonach warszawskich? Oto pytanie, które zadaje sobie myślący czytelnik na początku powieści, przypuszczając, że tu kryć się będzie jądro udręczeń kaziny, że ona, choć duchowo wyższa od „towarzystwa“ warszawskiego, kulturalnie będzie się czuła od niego niższą, upokorzoną, będzie popełniała tysiące śmieszności.

Próżna obawa! Kazia potrafi się ślizgać po posadzkach salonów tak zręcznie, jakgdyby od urodzenia noga jej nie dotknęła nigdy innej podłogi. Poprostu imponuje tym pałom z monoklami i tym pauiom w jedwabiacach! Trzeba posłuchać, jaką ta córka ekonoma daje ciętą odprawę umizgającemu się do niej głupio hrabiemu Kołockiemu, jak majestatycznie zachowuje się u siebie na przyjęciu, jak zawsze à propos używa francuszczyzny! I nikt jej pod tym względem nie ma nic do zarzucenia: wszyscy są oczarowani lub zazdrozczą.

To tylko jeden dowód, że postacie „Wrzосу” nie są przeniesione do powieści z życia, lecz zmyślone w wyobraźni twórczej autorki. Ale takich dowodów nastroczają się tysiące: przy każdej postaci, głównej czy epizodycznej, przy każdej niemal rozmowie, które grzeszą brakiem naturalności; tyle się ludzi widzi i słyszy w powieści, a żaden nie pozostaje w pamięci czytelnika. Wszystko to — słowa, słowa i jeszcze raz słowa.

Powodzenie „Wrzосу” jest jednym jeszcze dowodem niskiego poziomu wymagań estetycznych czytającego ogółu. Wierzyć się poprostu nie chce, aby rzecz taka, artystycznie słaba, życiowo banalna, społecznie mdła, mogła obudzić tak żywe zaciekawienie. Estetyka warszawska poprostu załapała się na tę powieść: nie jest to bowiem rzecz, której wady biją w oczy, ale utwór w całym znaczeniu tego wyrazu mierny. Nie dorośliśmy widocznie jeszcze do tego, aby odróżnić mierność od poprawności.

H. GALLE.

KRONIKA MIESIĘCZNA

Najważniejszym wydarzeniem ubiegłego miesiąca było otwarcie ruchu na nowej linii Warszawa Kalisz. Zewnętrznie — jest to fakt bardzo prosty. Rano o godzinie 8-ej w dniu 15 listopada na dworcu w Alejach Jerozolimskich zebrały się władze kolejowe, z prezesem, baronem Kronenbergiem na czele, przybyła publiczność, zaopatrzyła się w bilety, rozległy się syrenały, pióropusz dymu wyklębił się z lokomotywy i pociąg ruszył z miejsca, uwożąc garść podróżnych ku Kaliszowi. W gruncie rzeczy atoli jest to sprawa doniosła — kraj pozyskał nową arterję komunikacyjną, kultura nową drogę, handel i przemysł — poważny środek do swego rozwoju. Odtąd obszerny szmat ziemi, którego prawidłowy rozwój pod wielu względami był utrudniony i tamowany, pozyskał stałe połączenie ze światem, przecinająca go kolej stanie się dźwignią jego postępu, przyniesie dobrobyt tysiącom ludzi, zwiększy ich czucie z ośrodkami życia umysłowego, pobudzi do wytwórczości, rozszerzy im ciasny, zamknięty obręb lasów rodzinnej okolicy widnokrąg, będzie im bodźcem do pracy, nadzieją zdobycia sobie przyszłości lepszej, niezależnej. A gub. Kaliska przyszłość taką ma przed sobą, bo już dziś posiada poważne dane do rozwoju ekonomicznego.

Obszar jej wynosi 206.55 mil kwadratowych, podzielonych na 8 powiatów, 142 gminy, 220 parafii katolickich, 15 ewangelickich i 39 okręgów bożniczych. Na tej przestrzeni znajduje się 8 miast powiatowych, 5 miasteczek, 37 osad handlowo-fabrycznych, 2,041 wsi, 1,672 folwarki i z górą 2,000 kolonii. Przestrzeń gruntów uprawnych dosięga 2,000,000 morgów. W gubernii przeważa drobna własność, z górą $\frac{1}{3}$ część obszaru zajmują posiadłości, liczące od 5 włók do 6 morgów. Cena morga ziemi waha się między 180 do 350 rb. Rolnictwo stoi tu wysoko, produkcja w poważnej ilości zboża i rośliny okopowe. Z hodowli najwyższemu stoi owczarstwo, w powiatach zaś nadgranicznych, jak Kaliski, Wieluński, Słupecki, dzięki zapotrzebowaniu spo-

żywców i handlarzy niemieckich, rozwinął się, zwłaszcza wśród włościan, chów gęsi i trzody chlewnej.

Przemysł gub. Kaliskiej w r. 1896 (nowszych danych nie posiadamy) reprezentowało 1,803 fabryki czynne, zatrudniające do 10,000 robotników, z produkcją roczną przewyższającą 12,000,000 rubli. Co do ilości i wartości wyrobu pierwsze miejsce zajmuje dziś cukrownictwo (dawniej przodowało gorzelnictwo). Zbiersk, Młynów, Cielce, Leśmierz i Dzierżbin — oto ośrodki produkcji cukrowniczej. Obok cukrowni postawić należy browary i młyny parowe. Przemysł fabryczny miejski rozwija się głównie w dwóch kierunkach — tkackim i snukienniczym. Zaznaczyć jednak należy, że w Kaliszu istnieją dwie jedyne w swoim rodzaju na całe Królestwo, fabryki — koronkarska i fabryka lalek. Wyroby pierwszej cieszą się powszechnem i szerokiem uznaniem, druga — zaznajomiła nas ze swą produkcją na wystawie gier i zabawek. Obie mają dużą przed sobą przyszłość.

Z rękodzieł i rzemiosł największe mają powodzenie: szewstwo, białoskórnictwo i kaflarstwo.

Na życie umysłowe mieszkańców gub. Kaliskiej rzuca pewne światło fakt istnienia 12 księgarń w różnych punktach gubernii, 9 drukarni i kilku litografii, jak w Łęczycy, Koninie i Kole.

Największe dane do rozwoju posiada, oczywiście, sam Kalisz, ze względu na swe położenie w bliskości granicy. Wiele tu jednak zależy jeszcze od ostatecznego rozwiązania kwestyi stacyi przeładunkowej, o którą walka toczy się dotąd bez widoków na rychłe jej rozstrzygnięcie. Złośliwy upór władz pruskich, zachęcanych do tego przez Towarzystwo dr. żel. Włocławskiej, musi jednak w końcu uleść słusznemu roszczeniu Kaliszan i kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, która wzniosła już kosztowne budynki na stacyi kaliskiej dla użytku władz celnych.

W jakich dziedzinach kolej pobudzi produkcję miejscową, w jakich zaś ją wstrzyma, a może nawet i zniszczy, o tem dziś mówić byłoby zawcześnie. Dokona się to na mocy ogólnych praw ekonomicznych, to pewna wszakże, że podniesie się podstawa bytu ziemian kaliskich — rolnictwo, dotychczas bowiem miało ono ciężkie warunki istnienia z powodu trudnego wywozu.

Na tem kończymy wzmiankę o nowej kolei. Wrócimy zaś jeszcze do niej w przyszłości, skoro tylko ruch ustalony dostarczy materiału do wniosków i wskazówek do oceny tych przeobrażeń ekonomicznych, o których mówiliśmy wyżej. Nastąpi to jednak nie wcześniej, jak za lat kilka.

Kwestya „zwyrrodnienia“ naszego ludu była już poruszana niejednokrotnie. Przed laty toczył się nawet dość ostry spór o sprawiedliwość tego twierdzenia i o przyczyny fizycznego upadku rasy, której doskonale uposażenie przez przyrodę nie podlegało dotąd wątpliwości. Sprawa przycichła, starły się dwie teorye, prysnęło kilka iskier namiętnej polemiki, wniosków praktycznych wszakże nie było i nie uczyniono w kierunku rozpoczęcia akcji szerszej, zmierzającej ku wyświehleniu istotnego stanu rzeczy i wskazaniu środków przeciwdziałania złemu, gdyby to zło zostało stwierdzone. Stwierdził je, niestety, dopiero sam czas i dziś po latach kilkunastu kwestya, nieco już zapomniana, siłą swojej doniosłości wysnuwa się znów na czoło i domaga się wszechstronnego zbadania, nie na tle przebrzmiałego chłopomanstwa i taniego demokratyzmu, ale w ramach zdrowej myśli społecznej, zmierzającej ku jasnym i rozumnym programom działania na przyszłość. A jest to sprawa niezmiernej wagi, z nią bowiem wiąże się bezpośrednio ideał wszelkiej pracy społecznej—kulturalne i ekonomiczne podniesienie kraju i narodu.

Nie możemy tu szeroko traktować bogatego w tej dziedzinie materiału przyczynowego i faktycznego, wymagałoby to bowiem długiego aparatu cyfr i zmusiło-by nas do pisania studyum, wykraczającego poza granice zajmowanej przez nas placówki publicystycznej. Poprzestaniemy na podkreśleniu tego, co jest najjaskrawsze i najznamienniejsze i co powinno obudzić czujność społeczną. Za punkt wyjścia posłużą nam nie daty statystyczne z całego kraju, ale skromna korespondencya z Włoszczowy, w gub. Kieleckiej, niedawno temu wydrukowana w pismach codziennych. Dowiadujemy się stamtąd, że w powiecie Włoszczowskim na 1,000 popisowych zaledwie $\frac{1}{3}$ uznano za zdalnych do służby wojskowej, pozostałe zaś $\frac{2}{3}$ uwolniono, bądź z powodu małego wzrostu, bądź też skutkiem chorób i braków cielesnych, lub też udzielono im odroczenia, ażeby mieli czas zmężyć i wyleczyć się z choroby, część wreszcie wyprawiono do szpitala dla ściślejszego zbadania.

Nie przyjmujemy tego stosunku, wprost przerażającego, za normę dla całego obszaru Królestwa, sądzimy jednak, że wystarcza sam fakt, iż znajduje się w jego obrębie powiat, w którym na 1,000 młodych, liczących 21 lat wieku mężczyzn, zaledwie 300 kilunastu odpowiada wzrostem, pojemnością klatki piersiowej i ogólnym rozwojem fizycznym wymaganiom przepisów poborowych, które w państwie rosyjskiem są wogóle łagodniejsze, niżeli np. w Austrii lub Prusach,

600 kilkudziesięciu zaś — to prawie niedołęgi, do służby wojskowej niezdadni cherlacy. Fakt taki nie może obudzić różowych nadziei w nikim, ale pozwala przypuszczać, że chociaż tu i owdzie wyniki poboru mogły być znacznie lepsze, to przecież na ogół ze sprawą rozwoju fizycznego jest źle. I to za pewnik można uważać.

„Gazeta Polska“, cytując powołaną wyżej korespondencję wło-szczowską, dodaje do niej komentarz, segregujący kilka najważ-niejszych przyczyn fizycznego zwyrodnienia ludu. Przedewszyst-kiem więc wskazuje na złe odżywianie się, na co, zresztą, oddawna już zwracał uwagę baczną pewien odłam prasy warszawskiej z „Gło-sem“ na czele, a co niezwykle gruntownie zbadano i przedstawiono w doskonałej pracy „O żywieniu się ludu“. Jak wiadomo, głównym artykułem odżywczym mieszkańców wsi naszych są kartofle, z doda-niem zgotowanej na wodzie niewielkiej ilości kaszy jęczmiennej lub tatarczanej, kapusty, klusek z mąki i wody, i w homeopatycznej do-zie mleka. Chł-b stanowi u większości włościan dodatek bardzo skromny do tej chudej strawy. Oczywiście, że dzieci karmione tak w okresie szybkiego rozwoju i największej zdolności asymilowania pokarmów przez organizm, nie mogą wyrastać na tęgich i zdrowych młodzieńców. Jest to więc bardzo ważna przyczyna wyrodnienia ale nie jedyna. Obok niej postawić należy niechlujstwo większości wło-scian, tak często ujawniane przez superrewizję. Jest to niechlujstwo niesłychane, świadczące o zupełnem barbarzyństwie ludu pod wzglę-dem najpierwotniejszych potrzeb ciała. Zapytywani popisowi oświad-czają, iż w ciągu swego dwudziestoletniego życia nie używali ani razu łaźni, nie kąpali się w rzece, nawet szyi nigdy nie myli, nie mówiąc już o innych częściach ciała. Skóra takich osobników pokryta jest gru-bą warstwą stwardniałego, lśniącego brudu, zmieszanego z potem, i wydaje ostrą, odrażającą woń. Niekiedy zaś młode ciało smukłego zdrowego chłopaka bywa literalnie zjedzone przez żyjątko. Nogi po-niżej kolan u większości pokryte są swego rodzaju łuską ciemnobron-zowego koloru, rzadko który nie cierpi na świerzbę, egzemę skóry, parchy lub inną chorobę skórą. Do tego smutnego obrazu, który po-daje „Gazeta“, dodać trzeba, że w związku ze złem odżywianiem się i niechlujstwem idą w parze dwie klęski ludzkości współczesnej: alko-holizm i syfilis. Dzieci alk. holików, jak to już przez naukę zostało stwierdzone, rzadko kiedy rosną i rozwijają się należycie, a wieś na-sza na polu w-trzęmiężliwości nie wielkie jeszcze poczyniła postępy. Syfilis zaś, jak wiadomo, szerzy się u nas z większą mocą, niżeli gdzieindziej i do gorszych prowadzi skutków, ma bowiem dzielnych sprzymierzeńców w niechlujstwie i w ciemnocie i w dodatku rzadko kiedy jest prawidłowo i w czasie właściwym leczony.

Ograniczając się tylko temi czterema punktami, które wskazują na przyczyny najważniejsze zwyrodnienia, nie na podstawie ścisłej statystyki, ale kierując się żelazną logiką skutków, jakie przyczyny powyższe muszą wywołać, dojdziemy łatwo do wniosku, że położenie rzeczy jest groźne i że słynna rozrodczość naszej rasy nie jest w walce z upadkiem fizycznym bronią tak silną, aby można liczyć na zmócenie przy jej pomocy tych przeciwności, które prą nas ku zubożeniu.

Zresztą jest to sprawa, której należy przeciwdziałać zawczasu, a nie wtedy dopiero, kiedy upadek stanie się faktem dokonany, łatwiej bowiem do upadku nie dopuścić, niż z niego się podnieść; z drugiej zaś strony wszelkie środki, które tu mogą być stosowane, nie będą działały doraźnie, ale po szeregu, i to długim, dopiero lat, dadzą rezultaty mniej lub więcej pomyślne. I tak, wiadomo że sprzymierzeńcem najlepszym wszelkiego postępu są: dobrobyt i oświata, a przecież utopią byłoby żądać dzisiaj, aby przy pomocy tych dwóch środków sprawę zażegnać odrazu. Na wzmożenie się dobrobytu ludności włościańskiej potrzeba jeszcze licznych i wielkich ekonomicznych przeobrażeń kraju, które odbywają się powoli, drogą naturalnej ewolucji. Podobnież na podniesienie ogólnego poziomu oświaty składają się liczne warunki. Czekać zatem należy lata na urzeczywistnienie się tą drogą społecznego ideału świadomej walki ze zwyrodnieniem. Wszakże żyjąca w zupełnie dobrych warunkach pod obydwo ma względami inteligencja nasza tak mało jeszcze zwraca uwagi na fizyczną stronę wychowania młodych pokoleń, czegoż więc oczekiwać można od ludności włościańskiej za lat 10, 15 lub 20?

Z góry tedy wyrzec się musimy szybkich a pomyślnych zmian w położeniu rzeczy, i praca, którą rozwinąć należy, może być tylko przygotowawczo-zapobiegawczą. Przedewszystkiem — przygotować należy, zgrupować i opracować wszechstronnie cały materiał faktyczny, jaki w kwestyi zwyrodnienia nastrocza się już dzisiaj. Rozpatrzeć przyczyny tego zjawiska aż do najdrobniejszych i to rozpatrzeć gruntowniej, niż to publicystyka uczynić może. Pracy takiej wykonać jednostka nie zdoła — na to trzeba sił zbiorowych i przedewszystkiem istniejący przy Tow. higienicznem wydział higieny ludowej był-by do tego powołany.

Zgromadzony w ten sposób materiał nastroczyłby cały szereg wniosków, które stałyby się wytycznymi punktami programu działalności sanacyjnej, skierowanej ku zapobieganiu szerzenia się i wzrostu klęski, a więc ku walce z niechlujstwem przez szczepienie zamięłowania do czystości wśród ludu, chociażby przy pomocy rygoru prawnopolicyjnego, zmuszającego każdą wieś do utrzymywania łaźni, dalek ku

walce z chorobami skórnymi przez zapewnienie opieki lekarskiej włościanom, a nawet przez ustanowienie prawa, na mocy którego każdy chory na przymiot powinien-by być na koszt gminy odesłany do szpitala; wreszcie ku walce z pijaństwem przez zakładanie Towarzystw wstrzeźliwości, których u nas, seryo rzecz biorąc, dotąd niema, a które powinny się całą siecią po kraju rozpostrzeć. Takie towarzystwa, przypuśćmy, parafialne, z proboszczem, jako przewodniczącym, na czele, oddałyby ogromne usługi walce z alkoholizmem, która dziś nie wyszła jeszcze u nas z powijaków rozpraw teoretycznych. Gdzieindziej takie towarzystwa już istnieją, świeżo z inicjatywy prof. Lutosławskiego przy ich pomocy („Eleuteria“) rozpoczęła się już walka z pijaństwem w Galicyi—czas więc i na nas stanąć do apelu, na który odezwała się cała Europa czynem.

To wszystko dla tej części inteligencji, która ma wrażliwe sumienie społeczne i narodowe, a chętna jest do pracy dla ludu, jako dla rdzenia i podwaliny swego bytu, stanowi bogaty materiał do rozważań. Poruszone tu krótko i pobieżnie najważniejsze momenty koniecznej walki ze zwyrodnieniem mogą znaleźć wielorakie i zupełnie inne oświetlenie, tysiąc jeszcze rozmaitych kwestyi może się przy tem wyłonić, tyleż braków wyjść na jaw, niejedna piękna myśl i zdrowy projekt może się narodzić, trzeba tylko, aby opinia publiczna żywiej się tem zajęła, aby prasa zaczęła traktować sprawę tak, jak tego jej doniosłość wymaga, ażebyśmy w jej rozwiązaniu uznać chcieli dźwignię i rękojmię naszej przyszłości. Jak bowiem podniesie się nasze rolnictwo, jeśli mu zabraknie zdrowych i silnych rąk do pracy, jak rozwinie się nasz przemysł i jak wytrzyma współzawodnictwo z przemysłem obcym, jeżeli tam wydajność pracy jednego robotnika będzie dwa i trzy razy wyższa niżeli u nas, jak się wzmoże bogactwo narodowe, jakimi drogami pójdzie ogólny rozwój kraju i społeczeństwa, jeżeli zaledwie $\frac{1}{3}$ część jego będzie zdolna do normalnej pracy fizycznej, $\frac{2}{3}$ zaś będą wykonywały ją z nadmiernym wydatkiem energii, z wysiłkiem, przenoszącym ich zdolność mięśniową, aż staną się improduktywem, ciężarem i przeszkodą dla zdrowych? A któż powstrzyma tych słabych od rozmnażania się, od zwiększania nędzy i chłactwa, od tworzenia proletariatu, który będzie proletaryatem chorych i niedołężnych? Tak. Jeżeli więc nie chcemy mieć w przyszłości kraju, zabudowanego przytułkami dla żebraków i więzieniami, jeżeli nie chcemy mieć ludu, zajmującego ostatnie miejsce w szeregu innych narodów świata, ale jeżeli wyobrażamy sobie, że kiedyś dźwigną się po miastach i wsiach naszych liczne fabryki, że wytwórczość nasza wzrośnie, rolnictwo

zakwitnie, handel się rozwinie, dobrobyt zawita do chat wiejskich, a wieś będzie miała czyste domki murowane i przestronne, widne budynki szkolne, i jeżeli pragniemy tego szczerze, to w tę myśłą i starajmy się do zwyrodnienia ludu naszego nie dopuścić. Nie wszystko uczynić możemy, ale uczynimy to, co możemy! Szukajmy zawczasu dróg i środków do walki z najgorszym nieprzyjacielem naszym — z charłactwem fizycznym.

Od kilku miesięcy opinia publiczna zajmowała się u nas dość żywo sprawą uratowania Pieskowej Skąły, pięknego majątku w powiecie Olkuskim, prowadzonego przez rabunkową gospodarkę ku ruinie i, ostatnio, omal że niewydanego już na łup zupełnej dewastacyi. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, dzięki ludziom dobrej woli z d-r'em J. Zawadzkim i p. Wilczyńskim na czele, akcyą ratunkową przyobiekła się w formę, która pozwala wróżyć o pomyślnem i zdaje się, najpomyślniejszem, jakie mogło być, uwieńczeniu zabiegów, zmierzających ku zachowaniu tej miejscowości na przyszłość od zamachów niszczycielskich. Oto organizuje się w Warszawie spółka, która ma nabyć Pieskową Skąłę, doprowadzić ją do należytego porządku i uczynić z niej pierwszorzędne w kraju letnisko. Miejscowość nadaje się do tego znakomicie, wzniesienie jej bowiem nad poziom morza jest takie, jak wzniesienie Ojcowa. Pieskowa Skąła przewyższa nadto Ojców pod względem klimatycznym, dzięki dobrej osłonie od wiatrów i obfitości wody.

Na przeszkodzie dotychczasowemu rozwojowi Pieskowej Skąły w kierunku uczynienia z niej miejscowości letniczej, mówi d-r Zawadzki, omawiając zadania przyszłej spółki, stał przede wszystkim brak dobrej komunikacyi, jak wiadomo bowiem odległość Skąły od stacyi kolejowej w Olkuszu wynosi 2 mile. Należało więc przede wszystkim rozstrzygnąć pytanie, jaki rodzaj komunikacyi przy danym terenie byłby najdogodniejszy i najtańszy? Pytanie długo wahało się między urządzeniem kolejki a szosą. Z uwagi jednak na stosunkowo duże spadki, krótkotrwałość sezonu i koszta wielkie, musiano odstąpić od zamiaru przeprowadzenia kolejki parowej lub nawet tramwaju konnego i postanowiono urządzić szosę. Po nowozbudowanej szosie prywatnej, która prowadzić będzie z Olkusza na Kosmołów i Sroszowę i będzie miała około 14 w. długości, spółka wypuści samochody.

Skoro najgłówniejsza z przyczyn dotychczasowych słabego rozwoju letniska usunięta zostanie, wypadnie z kolei zająć się gruntowną restauracją zamku i należących do niego budynków, co da się uskutecznić kosztem 25,000—35,000 rb. Zamek, wzniesiony na skale wysokiej, z pionowymi od południa ścianami, składa się z budynku głównego i oficyny. W budynku głównym, zaopatrzonym w trzy klatki schodowe, na 1-em piętrze mieści się 9 olbrzymich sal, odpowiednio budowanych na sale stołowe, salony, bibliotekę i t. p.; na 2-iem piętrze jest pięć spalonych pokoiów, kaplica oraz 6 dużych pokoiów mieszkalnych i ogródek na skale, zwanej Dorotką; na parterze jest kilka dużych sal sklepionych, które mogą być przerobione na pokoje mieszkalne. W oficynie dwupiętrowej, na parterze mieszczą się ubikacje gospodarcze, na 1-em piętrze jest trzy pokoje z przedpokojem i kuchnią, na 2-iem piętrze obszerna jadalnia, gabinet, a w końcu 4 pokoje, przedpokój i kuchnia. Oprócz zamku do dyspozycji spółki będą jeszcze następujące domki dla letników: „Na Parnasie” — trzy mieszkania po 2 pokoje z kuchnią, „Czworak” (2 pokoje z kuchnią), „Murowaniec” (sala balowa z kuchnią, 6 pokoiów, stajnie i piwnice), hotel pod „Palką Herkulesa” (12 pokoiów), „Podzamecze” (2 mieszkania po 3 pokoje z kuchnią) i „Pod Rusałką” (takież pomieszczenie). Nadto nieopodal zamku są w niezłym jeszcze stanie budynki gospodarskie i dla służby, stodoły, spichlerz, stajnia, wozownia, chata dla gajowego itp.

Po odpowiedniej przeróbce zamku, która nie zatarła-by ani pamiątek, ani charakterystycznych cech budowli, da się niewątpliwie z mocnego dotąd budynku utworzyć coś w rodzaju kursalu z salą balową, czytelnią, pokojami hotelowymi, oraz mieszkaniami większemi. Kursal ten byłby środkiem ciężkości nowego letniska i wokoło niego, wśród lasu, głównie na wzgórzach, budowano-by domki, na 2 do 4 rodzin, rozrzucone na dużej, bo 300 morgowej przestrzeni. Szczególniej do tego celu nadaje się las poza zamkiem i folwarkiem, suchy, dobrze poszyty, urządzony wzorowo. Stojące już dziś budynki, po nieznacznym przeróbkach, także doskonale użytkować można, są bowiem w dobrym stanie, a co najważniejsza, umieszczone są w zupełnie odpowiednich miejscach.

Nie będzie też wcale trudną rzeczą zaopatrzenie terenu letniska w wodę, wobec jej obfitości i siły prądu w Prądniku, również i kanalizacja nie będzie zbyt trudna wobec spadków naturalnych, a siła Prądnika, który niesie na sobie kilka młynów i tartaków, pozwolić może w przyszłości na oświetlenie elektryczne całego terenu.

Kwestya finansowa przedsięwzięcia, według obliczeń d-ra Zawadzkiego, przedstawia się jak następuje:

Nabycie Piaskowej Skały wraz z kosztami wyniesie około 65 tysięcy rb., przeprowadzenie szosy 30,000 rb., wybudowanie w pierwszych latach 3—5 willi po 3,000 rb.—9,000—15,000 rb., przebudowanie zamku 35,000 rb., kupno samochodów 10,000 rb., całość zatem wydatków wyniesie około 150,000 rubli, a ponieważ kapitał zakładowy spółki oznaczono na 300,000 rubli w 500 rublowych udziałach, pozostanie zatem do rozporządzenia jeszcze 150,000 rubli, za co wybudować będzie można większą ilość domków, urządzić je, zaprowadzić kanalizację i wodociągi.

Przypuszczalny zaś dochód spółki oprze się na takich pozycjach, jak: wynajem 50 pokoiów w zamku, 22 mieszkań w domkach istniejących i w 30 nowo wybudowanych—co przyniesie, licząc za pokój po 75 kop. dziennie przez 100 dni—10,500 rubli; przewóz 2,000 osób da 4000 rb.; dochód z restauracji, sprzedaży produktów, z koncertów, reunio-nów, taksy zdrojowej itd. niewątpliwie przyniesie przy dużej frekwencji po 6,000 rubli miesięcznie, czyli razem około 18,000 rb., dochodu zatem brutto już w pierwszym roku powinno być 10% od kapitału zakładowego. Jeżeli od tego odciągniemy wydatki na administrację, które nie powinny przenieść 4%, to otrzymamy jeszcze wcale nie najgorszy zysk czysty, zapewniający udziałowcom normalny procent od włożonych kapitałów.

Dr Zawadzki, gorący apostoł całej tej sprawy, nie wątpi też, że znajdują się chętni do nabywania udziałów spółki, zwłaszcza, że dom bankierski, Pilawitz & Wilczyński, aż do chwili ukonstytuowania się spółki, której sfinansowaniem zajął się gorliwie, będzie płacił według deklaracji po 5% na rzecz składającego pieniądze, a po utworzeniu się spółki po 6% na rzecz nowej spółki od znajdujących się kasie pieniędzy. Biuro bankowe pp. Pilawitza i Wilczyńskiego udziela też wszelkich wskazówek i objaśnień interesowanym, posiadając szczegółowe dane o całym przedsiębiorstwie.

Jeżeli pod względem finansowym—mówi w zakończeniu autor cytowanego tu artykułu—spółka wytrzymuje wcale nie iluzoryczny rachunek, to z drugiej strony społeczeństwo zyska na utworzeniu się spółki dwojako: na zachowaniu pamiętki, oraz na nowej, po europejsku urządzonej, miejscowości letniej w najpiękniejszej okolicy kraju naszego. Nie zapominajmy bowiem, że Pieskowa Skała to początek całej przepięknej doliny Prądnika, że tuż koło niej leży prastara pustelnia błogosławionej Salomei—Grodzisko, o milę Ojców, a w promieniu dwóch mil przyroda nagromadziła tu takie skarby, jak dwa wodospady Będkowieckie, jak grotę mamurową i sto grot innych, zbadanych i niezbadanych dotąd, a zawierających skarby dla badania

naszej prakultury, że opodal mamy Rabsztyn i cały szereg miejscowości, uświęconych przez historię, legendy i podania."

Wszystko to są niewątpliwie atuty w ręku przedsiębiorców, którzy mogą bezwarunkowo liczyć na powodzenie, jeżeli tylko nie poskąpią kapitałów na początek i uczynią z Pieskowej Skały istotnie po europejsku urządzoną miejscowość, a miejscowość taka jest nam bardzo potrzebna, dla tych zwłaszcza, co tak chętnie wywożą pieniądze za granicę, tłómacząc się, że w kraju nie otrzymają nigdzie tego, co tam otrzymują — komfortu, czystości, dobrej kuchni, wyćwiczonej obsługi, i — na wypadek choroby poważniejszej — troskliwej i czulej opieki lekarza. Obok nich wszakże i dla sfer średnio zamożnych, komfort i wygoda są już oddawna pożądane, pierwotne bowiem domki letniskowe coraz mniej mają zwolenników. Ogólny poziom kultury podnosi się u nas stopniowo i na coraz szersze warstwy się rozlewa, wymagania i potrzeby rosną, kto więc im zadość uczynić potrafi — ten zyska na tem z pewnością.

Niedawno temu J. E. ks. biskup Ruszkiewicz poświęcił nowo zbudowane schronisko dla nauczycielek w Zielonce pod Wołominem. Instytucja ta, dzwignięta dobrą wolą jednostek i ofiarnością społecznionego ogółu, na bliższą zasługuje uwagę.

Początek jej moralny — to idea ś. p. Agnieszki Helwich, zasłużonej nauczycielki, która w roku 1880 zwróciła się do ks. rektora Chełmickiego z prośbą o opiekę nad sprawą schronienia, którego potrzeby odczuwała sama, będąc już w wieku podeszłym i nie mając sił do dalszej pracy. Inicytorka ofiarowała jednocześnie na ten cel skromny, zebrany drogą długoletniej oszczędności, fundusz, wynoszący 500 rubli. Ta drobna kwota stała się jądrem materyalnem dzieła, uwieńczonego obecnie wzniesieniem trwałego, przestronnego i pięknego budynku, w którym znajdzie przytułek na starość kilkadziesiąt kobiet inteligentnych, ciężką pracą całego życia zmęczonych i spragnionych cichego i spokojnego kąta na ostatek dni swoich.

Nie odrazu wszakże można było zdobyć się na to. Powolny i trudny był początkowo rozwój instytucji. Jak każda rzecz nowa, musiała ona walczyć z obojętnością ludzką i zdobywać sobie krok za krokiem prawo do bytu i do uznania. Dzięki jednak opiece i przewodnictwu ks. Chełmickiego, tudzież pań Emilii Blochowej i Maryi Wrotnowskiej, skromny przytułek przy ulicy Żórawiej, gdzie znala-

zło początkowo schronienie 6 tylko pensyonarek, stopniowo rozszerzał się, przysparzając coraz większą ilość potrzebujących pomocy staruszek. Przeniesiony na ulicę Kruczą, potem do Królikarni, następnie na ulicę Zielną, doczekał się on wreszcie poparcia, na które oddawna zasługiwał. Środki materyalne rosły odtąd z dniem każdym, a więzy, krępujące swobodny rozwój instytucyi, rozluźniały się powoli.

Wszakże hojne dopiero zapisy Czabana (10,000 rb.) i ś. p. J. G. Blocha (8,000 rubli), oraz dary pań: Blochowej (3,000 rubli), Sikorskiej (10,000 rb.), Roeslerowej (1,000 rb.) i jednego z kapłanów (9,000 rb.), umożliwiły zarządowi nabycie 12 morgów gruntu w Zielonce i rozpoczęcie budowy własnego gmachu. Stało się to w sierpniu 1901. Roboty postępowały szybko i oto d. 26 października r. b. zakład został uroczyście poświęcony i oddany na użytek 34 pensyonarkom.

Miejsce wybrano dobre. Gmach, wzniesiony podług planów budowniczego Szyllera, stoi na górze okolonej świerkami, powietrze tu czyste, przestrzeni dużo, urządzenie skromne, proste, ale wzorowe. Budowa jednak, acz prowadzona bardzo oszczędnie, pochłonęła wszystkie środki, zgromadzone dotąd. Nie starczyło ich nawet na wykończenie gmachu w szczegółach i na zapewnienie siedzibie wielu koniecznych udogodnień. Brak jeszcze poważnej kwoty 24,000 rb. Kierownicy instytucyi, dla zapewnienia pokrycia tego braku postanowili wprowadzić zwyczaj tworzenia stypendyów wieczystych. W ten sposób, posiadając pewien fundusz, będzie można „kupić“ za sumę 4,000 rb. miejsce w schronieniu dla jednej osoby, a za 6,000 dla dwóch osób. Fundusze w tym celu wniesione będą nosiły nazwę stypendyum imienia ofiarodawców. Nie wątpimy, że znajdą się ludzie zamożni, którzy chętnie w ten sposób zechcą pamięć swoją utrwalić. Było-by jednak pożądané, aby i z innych źródeł instytucya mogła czerpać, i to stale i niezawodnie, potrzeby jej bowiem niewątpliwie wzrosną z biegiem czasu i dotychczasowe oparcie materyalne okaże się za słabe i nie wystarczające w przyszłości.

W tym celu, przedewszystkiem, należało-by wprowadzić w zwyczaj, aby chlebobawcy, bez względu na to, czy są nimi osoby prywatne, czy też zakłady naukowe, wnosili na rzecz schronienia pewną stałą opłatę, przypuśćmy przy zawieraniu umowy, lub przy jej rozwiązaniu. Nauczycielek jest w samej Warszawie liczba znaczna, obok nich zaś wziąć należy w rachubę cały zastęp tych, które nauczają po dworach wiejskich i po miastach prowincjonalnych, gdyby więc nawet opłata taka nie przenosiła 1-go rubla od każdej umowy, to już tą drogą można-by zebrać wcale poważny fundusz.

Drugie źródło stałego dochodu dla instytucji mogły-by stworzyć ofary uczennic. Wiadomo, że w żeńskich zakładach naukowych istnieje zwyczaj składania zbiorowych prezentów nauczycielkom w dniu ich imienin i w rozmaitych innych okolicznościach. Gdyby więc panie przełożone pensjonatów z jednej strony, a same nauczycielki z drugiej starały się zwyczaj ten zastąpić innym, mianowicie zamiast prezentów postawić ofiary pieniężne na rzecz schronienia, to z ofiar takich przytułek miał-by także pewien stały dochód roczny.

Trzecia wreszcie droga do zwiększenia funduszków instytucji—to budzenie uczucia wdzięczności w pokoleniu już dorosłym dla przewodniczek dzieciństwa i lat młodych.

Kobiety uczucia tego mają mało i o ile wśród mężczyzn zdarza się nieraz, że stosunek ucznia do nauczyciela w wieku dojrzałym przeradza się w przyjaźń, o tyle wśród kobiet jest rzeczą niezmiernie rzadką, aby uczennica utrzymywała z nauczycielką stosunek bliższy i serdeczniejszy w kilka lub kilkanaście lat po ukończeniu pensyi. Gdyby jednak wychowawczynie zwróciły na to wcześniej uwagę i starały szczepić w młodych duszach przywiązanie i miłość, budowane na trwałych podstawach, to z pewnością takie uczennice, wspominając dawne lata, w miarę środków starały-by się pomagać zakładowi, w którym może ich dawne nauczycielki schronienie znalazły. Wkracza to zresztą już w sferę moralnego oddziaływania na otoczenie tych sfer, dla których przytułek powstał, a które jego rozwój i dalsze losy powinny gorąco wziąć do serca. Podkreślamy więc tylko raz jeszcze, że instytucja potrzebuje prócz ofiar jednorazowych, stałej i ciągłej pomocy.

Przed czterema mniej więcej laty podniesiono u nas myśl założenia „Towarzystwa przyjaciół astronomii“, które, grupując dokoła siebie z jednej strony ludzi, posiadających wiedzę specjalną, z drugiej tę część inteligentnego ogółu, która z tej wiedzy pragnie korzystać, stałoby się promieniującym szerzej ogniskiem tej nauki, tak u nas zaniedbanej przez wszystkich, wyjąwszy szczupłe koło fachowców, których Warszawa posiada kilku, a całe społeczeństwo polskie—kilkunastu.

Jakie były-by bliższe zadania i cele takiej instytucji—tego na ówczas nie określono. Jedni pragnęli uczynić ją dostępną dla jaknajszerszych mas i zorganizować na podobieństwo „Uranii“ berlińskiej.

skiej, drudzy — popularyzowanie zdobyczy naukowych uważali za mniej pilne, cały nacisk kładąc na potrzebę pracy cichej, skupionej, zamkniętej w nielicznym kółku prawdziwych miłośników, a mającej za cel główny — zaznaczanie obecności polskiej w tej dziedzinie usiłowań ludzkich. Za wzór stawiono tu ś. p. Jędrzejewicza, autora doskonałej „Kosmografii”, który, jako prawdziwy miłośnik, z takim pożytkiem dla nauki pracował w swoim zaciszu płońskim i, rozporządzając tylko skromnymi funduszami lekarza prowincjonalnego, potrafił założyć za nie obserwatorium astronomiczne, jak na nasz kraj i na nasze stosunki wcale dobrze uposażone.

Projekt, bez względu na popularny, czy też ściśle naukowy charakter Towarzystwa, o ile nam wiadomo, powitany był przychylnie, nawet radośnie, przez nielicznych, ale prawdziwych „przyjaciół astronomii”. Niestety jednak od owej pory minęło już wiele czasu, a sprawy nie tylko, że z miejsca nikt nie trącił, ale przycichła ona do tego stopnia, że wogóle niewiadomo, co się z projektem stało? Czy rozbił się on o obojętność szerszych kół dla nauki astronomii i; wskutek braku kandydatów na członków, stowarzyszenie się nie zawiązało, czy inicjatorowie po głębszej rozwadze doszli do wniosku, że na Towarzystwo takie u nas jest zawczasie, czy inne jeszcze względy stanęły na przeszkodzie, tego nie wiemy, dość, że koło „przyjaciół astronomii” nie dało dotąd najmniejszego znaku życia.

A szkoda, bo Towarzystwo takie mogło by poważnie i z dużym pożytkiem pracować, krzewiąc światło nie tylko wśród mas, ale wśród inteligencji, astronomia bowiem jest nauką, o której u nas nawet ludzie wykształceni mają bardzo mgliste pojęcie. Jesteśmy tak przyciśnięci do ziemi, tak wirum jej interesów przemijających porwani, że niezmiernie rzadko odrywamy się myślą od spraw codziennych i wznosimy w bezmiary wszechświata. Nie lubimy operować pojęciami „wieczność” i „nieskończoność”, niema w nas ciekawości do poznawania tego, co dzieje się w przestrzeni, nieznającej granic. Zadawalamy się popularnem wyłożeniem teorii kosmogonicznej Kanta, Laplace’a, poprzestajemy na krótkim, suchym wykładzie kosmografii, którą przechodzimy w ostatniej klasie gimnazjum na gwałt, bez żadnego systemu, bez dobrania się do jądra tej nauki, byle zbyć ten przedmiot „drugorzędny” i przy egzaminach nieobowiązujący. Oddajemy się potem w uniwersytecie studjom specjalnym i, przygotowani do pracy zawodowej, wchodzimy w życie, posiadając zawstydzająco małe, chwiejne, a częstokroć fałszywe wiadomości o niebie, systemach planetarnych, kometach, odległościach gwiazd, ich wielkości itd. Nierzadki to przecież wypadek, że człowiek z patentem uniwersyteckim nie umie nazwać ani jednego gwiazdozbioru, nie wskaże na

niebie najświetniej błyszczących planet, jak Venus i Jowisz, a nawet pomiesza z sobą fazy księżyca. Cóż dopiero mówić o gruntowniejszym, naukowym poglądzie na wszechświat, o tych postępach olbrzymich, które nauka astronomii uczyniła w ostatnich latach kilkudziesięciu, od czasu wynalezienia refraktorów achromatycznych i zastosowania do badań spektroskopu i kamery fotograficznej? Tu już panuje niewiedza zupełna i prawie powszechna wśród elity naszej inteligencji, bez względu na to, że, jak zaznacza pięknie w przedmowie do swej „Astronomii gwiazd stałych,” dr Ernst — „żadna nauka nie jest w stanie w równym stopniu zadziwić człowieka, pokazując mu wielkość jego ducha”. Tymczasem — ta właśnie nauka, tak wspaniała i tak wielka, spotyka się z ogólną u nas obojętnością.

A cóż dopiero mówić o szerszych masach, wśród których do dnia dzisiejszego utrzymać się potrafił zabobon o złowróżbnej roli komet, które deszcz gwiazdzisty Leonidów uważają za omen, zwiastujący koniec świata, które nie zdołają sobie wytłómaczyć takiego zjawiska, jak zaćmienie słońca, nie znają przyczyn zmiany pór roku, a gwiazdy uważają za ćwieki, które Bóg skiepienie ponabijał niebieskie po to ażeby w nocy było widniej!

Ileż tu jeszcze światła trzeba, ile pracy, aby od szerokiego strumienia wiedzy prawdziwej boczne poprowadzić ramiona dla użyczenia tych nizin umysłowości, zamkniętej w ramach pierwotnego pojmowania świata i jego tajemnic.

Ta wielka rola nauczania i uświadamiania, prostowania mylnych pojęć i tępienia przesądów, podnoszenia myśli ku wyżynom i zapoznawania jej z Prawdą, spadła-by niewątpliwie na barki „Towarzystwu przyjaciół astronomii”, otwierając przed niem szerokie pole do działalności. Dla tego też Towarzystwo takie jest potrzebne, jest niezbędne nawet i oby powstało jaknajrychlej. Może nie zapomnieli o niem jeszcze inicjatorowie i na te słowa przypomnienia czynem się odezwą, bo prawdziwa byłaby szkoda, gdyby piękny projekt utonąć miał w archiwum „dobrych chęci”, gdzie już tyle pożytecznych spraw spoczęło.

„Dobłą“ dla społeczeństwa polskiego „nowiną“ był ogłoszony pod datą 27-go października roku bieżącego list d-ra Benniego. Oto jego treść:

„Przy inauguracji nowego gmachu Sztuk pięknych w Warszawie, osoby następujące zobowiązały się przez lat 5 płacić corocznie na powiększenie zbiorów Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem: po rubli 1,000—p. Emilia Blochowa, Izidor hr. Colonna-Czosnowski z małżonką, Leopold hr. Kronenberg, Konstanty hr. Potocki, Hipolit Wawelberg i ordynat Maurycy hr. Zamoyski; po rb. 150 corocznie p. Julian Fraget; po rubli 100 rocznie: pp. Wincenty Brokl, p. M. Classen, Feliks hr. Czacki, Włodzimierz ks. Czetwertyński, p. Władysław Czosnowski, p. Jakób Erlich, p. Józef Gardowski, p. Franciszek Karpiński, p. Tadeusz Kowalski i Jan br. Lesser; od rubli 25 do 100 przez lat pięć: p. Aleksander Feist, p. Feliks Jasieński, p. Reych i synowie, p. Zabokrzęcki i Spółka; poniżej rubli 25 przez lat pięć: p. Józef Głogowski z córką, p. Julian Simon; jednorazowo złożyli: Tadeusz Łapiński rubli 400, p. Leonowa Pouchetowa z Paryża rubli 187, dr Mikołaj Reichman rubli 100, p. Antoni Górski rubli 25, p. Józef Polczyński rubli 10 p. Eleonora Sommerowa rb. 6, p. Feinkindowa rb. 5, p. L. Goldberg rb. 5, p. Julianowa Maszyńska rb. 5, p. Stanisław Młodzianowski rb. 5 i p. Hipolit Królikowski rubli 3.

Z sum w ten sposób zebranych powstał fundusz, powiększony jednorazowem wpłaceniem pięcioletniej składki przez p. Blochową, czteroletniej przez hr. Kronenberga i trzyletniej przez Konstantego hr. Potockiego, oraz ofiarą 3,000 rb. przez Amelię Rozenblumową i po 500 rb. przez jej dzieci: p. Gabryelę Gutmanową i pp. Arnolda i Gustawa Rozenblumów.

Z funduszu tego zakupiono w dniu dzisiejszym na mocy aktu notaryalnego. przed rejentem Wasiutyńskim zawartego, dzieło Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem“ od spadkobierców ś p. Karola Rozenbluma. Nabycie tego obrazu zostało umożliwione przez zniesienie ceny pierwotnej 40 tysięcy rubli (bo takie było honorarium Matejki) do 25 tysięcy rubli, którą to sumę w dniu dzisiejszym przy akcie wyplacono.

Jedno z największych arcydzieł Matejki pozostanie więc na zawsze w Warszawie, jako najcenniejsza ozdoba naszej galeryi“.

Tyle prostych słów listu człowieka, który nie szczędził starań, ani sił własnych, ażeby piękną myśl doprowadzić do końca i obraz, który ma nie tylko znaczenie wielkie dla sztuki narodowej i stanowi najwyższy wyraz polskiego malarstwa historycznego, ale przedstawia zarazem wspaniały moment dziejowy i przemawia do widzów ideą, potężną, jak ten spór odwieczny, który początek swój bierze w zamierzchłej przeszłości i krwawą nicią wije się przez dzierżawę Piastowiczów i Jagiellonidów, przez całe stulecia Polski, odbijającej

o swą pierś zapędy fali germanizacyjnej—aż do czasów najnowszych, do Wrześni i milionów komisji kolonizacyjnej, ażeby ten obraz, nawskroś rycerski i nawskroś nasz, uczynić własnością społeczeństwa. Nazwisko d-ra Benniego ukrywa się tu za szeregiem imion tych, co z hojnemi pospieszyli ofiarami i materyalnie przyczynili się do nabywania dzieła, tak królewski stanowiącego dar dla ubogiej dotąd galeryi własnej Towarzystwa. Sprawcą jednak moralnym tej gotowości ofiarodawców, dobrym duchem, który im podszeptał, że w tę, a nie w inną stronę zwrócić można i trzeba pieniąż na cel publiczny przeznaczony, zabiegliwym agitatore i pełnym poświęcenia stróżem myśli raz podjętej, aż do chwili, kiedy się ona stała faktem dokonanym, był dr Benni.

Jego uczuciom obywatelskim, jego miłości dla sztuki rodzimej i jego energii, tylekroć ujawnionej, w każdej pracy publicznej, której się jał, w każdym przedsięwzięciu, w którym brał udział, we wszystkim, czego się dotknął, zawdzięczać należy, że obraz, do którego Warszawa już się przywiązała, oglądając go wielokroć na wystawie Towarzystwa zachęty, pozostanie tam na zawsze.

Dając w zeszłym miesiącu notatkę o jubileuszu Maryi Konopnickiej, nie mogliśmy już, ze względu na termin wyjścia zeszytu, uzupełnić jej sprawozdaniem z uroczystości lwowskich, które odbyły się w tydzień później. Uroczystości te miały charakter równie piękny, jak w Krakowie, a różniły się od nich jeszcze więcej skupionym i jednolitym nastrojem, brali w nich bowiem udział nie tylko przedstawiciele instytucji społecznych, naukowych i literackich, nie tylko szerokie warstwy ludności stolicy galicyjskiej, ale obok nich i najwyższe władze państwowe i autonomiczne kraju, w osobach J. E. Namieśnika hr. Pinińskiego i marszała sejmu Andrzeja hr. Potockiego. Świetny korowód deputacji przewinął się przed oczyma jubilatki na scenie teatru miejskiego, świetne były przemowy, z którymi wybitni przedstawiciele literatury zwracali się do siedzącej na złocistym fotelu „królowej pieśni“, do której stóp spadały kwiaty, rzucane z łóż i krzeseł przez rozentuzjastwowaną publiczność.

Jan Kasprówicz przemawiał najwznioslej. W imieniu poetów polskich witał ją i wieńczył girlandą żywego słowa, mieniącego się przepychem barw, czarującego brzemieniem podniosłem i górnem.

„Nas, pokolenie nieco młodsze—mówił między innemi,—którzyśmy nie brali bezpośredniego udziału w walce o prawa poezji, którzy

jednak pamiętamy jeszcze echa pocisków, rzuconych na tę najpotężniejszą, najwspanialszą emanację ducha, nie tylko radością napełnia widok spieszącego ku tobie z oznakami hołdu społeczeństwa, ale budzi w nas wiarę, że mniemanie, jakoby poeta była szkodnikiem narodu, bo go wrzekomo odciąga od myśli o potrzebach t. zw. realnych, bezpowrotnie minęło. I nie może być inaczej, jeżeli pieśń, jak twoja, nie stwarzając żadnych przemijających wskazań i kodeksów politycznych czy społecznych, będzie wyobrazicielką najwewnętrzniejszych, dla zwykłego oka niejednokrotnie utajonych, pożądań, pragnień i tęsknot duszy zbiorowej; jeżeli twórca, jak ty, rozumiejący płomienistą mowę biblijnego krzaka, wielką, bezwzględną miłością ogarnia wszystko i wszystkich; jeżeli wygłosiwszy zasadę, iż szczęśliwym staje się człowiek przez to, że ukocha, miłość tę uczyni najistotniejszą treścią swej pieśni“.

Kończąc zaś tę piękną mowę swoją, zaznaczył i podkreślił mówca, że Konopnicka, jako poetka, była „istotnym twórcą“, bo odczuwała „związek duszy swej nie tylko z duszą otaczających ją ludzi, ale z duszą wszystkiego, co jest, co z Bożego rodzi się źródła: z mgławym oddechem świeżo zoranej gleby, z szumem liści jesiennych, z krwawieniem w zorzy wieczornej, z połyskiem świtami oblanymi jezior i rzek, z dalekim wrzaskiem pieśni pastuszej, z mistycznym pobrzmiewaniem zamilkłych, a jednak głośniejszych echa przeszłości“.

Były w tem przemówieniu nie tylko moc i piękno słowa, ale nadzwyczaj trafna i głęboka charakterystyka literacka poetki, przenikliwe zgłębienie twórczych pokładów jej duszy. Nie wiele też po Kasprzowiczu powiedzieć mógł przedstawiciel Towarzystwa dziennikarzy polskich, autor „Szarego Wilka“, Adam Krechowicki, ani tembardziej p. Kazimierz Skrzyński, witający ją w imieniu koła literacko-artystycznego.

Dziś, kiedy przebrzmiały już ostatnie echa uroczystości jubileuszowych, a życie, wymagające pracy i ofiar od tych, którym dano jest hetmanić duchowi narodu, i od tych, co szare tworzą szeregi, zwykłą swoją popłynęło falą, niech wolno nam będzie w zamknięciu tej kroniki i tego roku wyrazić nadzieję, że społeczeństwo, które, urządzając jubileusz poetce, złożyło dowód głębokiego zrozumienia i odczucia idei przewodnich, zawartych w pieśni Konopnickiej, potrafi także te idee wcielić w życie i służyć im wytrwale.

Dnia 26 listopada r. b. zmarł w Sejnach dostojnik kościoła, sędziwy i zasłużony pasterz, J. E. ks. Antoni Baranowski, biskup Sejneński i Augustowski.

J. E. ś. p. ks. biskup Baranowski urodził się dnia 17 stycznia r. 1835, w gub. Kowieńskiej. Ukończywszy seminaryum duchowne w Worniach, kształcił się następnie w akademii duchownej w Petersburgu, którą w 1860 opuścił w stopniu magistra św. Teologii.

Wyświęcony na kapłana w r. 1862, wszedł na zwykłą drogę posług parafialnych. Z drogi tej w r. 1865 sprowadziły go obowiązki bibliotekarza, kapelana i profesora w Akademii petersburskiej. Powołany następnie przez ś. p. biskupa Wołonczewskiego na profesora seminaryum duchownego w Kownie, na tem stanowisku rozwinął zmarły szerszą i płodną działalność, wznosząc się zarazem szybko w hierarchii kościelnej. I tak w r. 1879 widzimy go już w godności kanonika gremialnego kapituły żmudzkiej, w r. 1883 zostaje prałatem-scholastykiem, a następnie biskupem tytularnym tespańskim i sufraganem żmudzkim.

Po śmierci ś. p. biskupa Piotra Wierzbowskiego, mianowany w z. 1897 biskupem Sejneńskim i Augustowskim, sprawował ks. Baranowski do chwili ostatniej trudne swe obowiązki z taktem, rozważą i z całkowitem oddaniem się sprawom kościoła. Miłością, dobrocią i rozumem zjednał sobie powszechny szacunek i uznanie, śmierć jego odbija się też żalobnem echem szeroko poza granicami osieroconej diecezji.

Pracując w wolnych chwilach nad językiem litewskim, którym władał doskonale w mowie i piśmie, ś. p. ks. biskup pozostawił po sobie cenną pracę „O języku i słowniku litewskim“, a nadto napisał po litewsku cały szereg pieśni religijnych i ulotnych poezji, wzbogacając tem ubogą skarbnicę literatury litewskiej. Zmarły był także autorem niedawno wydanej pracy „O progresyi transcendentalnej oraz o sile i siłach umysłu ludzkiego“.

Cześć jego żywotowi bogobojnemu, jego pracy i zasługom, jego pamięci czystej i prawdziwie chrześcijańskiej.

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE

I BIBLIOGRAFICZNE.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. — Na posiedzeniu *Wydziału Filologicznego* dnia 10 listopada bieżącego roku, członek profesor L. Sternbach przedstawił swoje dwie prace: a) „Czas powstania Melissy gnomicznej Antoniosa“, b) „O poemacie moralnym Manassesa“. Dr Tadeusz Grabowski przedstawił swoją pracę pod tytułem: „O poezji polskiej po roku 1863. Część II“.

Ukazał się *Rocznik Akademii Umiejętności w Krakowie*, zdający sprawę z działalności tej najpoważniejszej u nas instytucji naukowej z roku 1901/2. Ze sprawozdania sekretarza generalnego dowiadujemy się o liście nowych członków, ich życiu i pracach naukowych. A ponieważ w maju roku bieżącego upłynęło lat trzydzieści od założenia Akademii, przytoczmy ciekawsze szczegóły. Z pierwszego zawiązku pozostało w składzie Akademii dwu członków tylko (Dunajewski i Estreicher), z kooptowanych wówczas również dwu (Klaczko, Małecki). Przechodząc do najnowszej doby, zaznaczyć należy, że czterech członków Akademii zasiadło po kolei w radzie Korony, jeden dziś rządzi krajem, drugi archidiecezyą lwowską. Kapitały, służące na cele wydawnictw badań naukowych, wynosiły w roku 1873 dwa tysiące pięćset zlr., obecnie zaś 156,500 zł. w. a.; funduszu nagród w roku 1873 nie było, dziś wynosi on 100,826 zlr. i 5,400 rubli. Na ten fundusz złożyły się przeważnie ofiary i zapisy z Królestwa i Litwy. Liczba tomów, wydanych od założenia Akademii, dosięgła obecnie cyfry 472: średnio wypada na rok 14 — 15 tomów; był szereg lat, w których produkcja roczna przekraczała dwadzieścia tomów. W przyszłości cyfra ta musi się zmniejszać, gdyż wzrost środków materialnych nie będzie w żadnym stosunku do wzrostu kosztów pracy badawczej i techniki wydawniczej. Liczba instytucyj, z którymi teraz łączy Akademię stałe stosunki wymiany publikacyi, doszła do poważnej cyfry 660. Sekretarz generalny

kończy swe sprawozdanie temi słowy: „Niechże wszędzie, dokąd publikacje nasze dochodzą, utwierdza się przekonanie, że każde dzieło, na którem wybite godło polskiej Akademii, to, albo w całym tego słowa znaczeniu monumentalne wydawnictwo, albo mu niedaleko do tej linii granicznej. To przysporzy poszanowania imieniu polskiemu, to spłaci dług, należny nauce powszechnej, to podniesie zarazem poziom wszelkich usiłowań polskiej nauki poza Akademią”.

NOWE KSIĄŻKI.—Zapowiedziane od ukazania się niemieckiej książki o literaturze polskiej prof. Brücknera (ob. „Bibl. Warsz.”, 1902, t. I, str. 499) wychodzą obecnie w zeszytach tegoż *Dzieje literatury polskiej*. (Nakład Gebethnera i Wolffa). Tekst polski nie jest ani tłumaczeniem, ani przerobieniem tekstu niemieckiego, który przeznaczony był dla cudzoziemców, a tem samem musiał być zastosowanym do znajomości rzeczy polskich u obcych. Dzieło polskie zapowiada się jako treściwe ujęcie najbardziej typowych i charakterystycznych objawów myśli polskiej i ducha polskiego. O wy-czerpaniu szczegółów prof. Brückner nie myślał. Przeznaczwszy dzieło swe dla szerszej publiczności, nie obciążał autor tekstu aparatem bibliograficznym i cytatami. Zadanie książki jest bardzo pięknie określone na okładce zeszytu: „Dać poznać tok dziejów literackich, związek ich z europejskimi, samorodność w różnych objawach, głębokość pomysłów, piękność wykonania, zalety myśli i stylu, a przez nie przyczynić się do uświadomienia przeszłych zasług i przyszłych zadań”. Dzieło prof. A. Brücknera zawarte będzie w dwu tomach, z których pierwszy poświęcony jest dawniejszym czasom, drugi zaś wiekowi dziewiętnastemu. Tomy te wyjdą w sześciu zeszytach dziesięcio-arkuszowych. Ukazały się już dwa pierwsze zeszyty, doprowadzające nas do Morsztynów. Po wyjściu całości podamy obszerną ocenę tego ważnego dzieła.

— Jan Kaspr ow i c z wydał dwie bardzo ozdobne książki, z których jedna ma tytuł: „Moja pieśń wieczorna—poezye”; druga, pod zbiorowym tytułem: „Salve Regina”, oprócz pieśni na cześć „Pani świata”, zawiera „Hymn św. Franciszka z Assyżu”, monolog: „Judasza”, w końcu pieśń „Maryi Egipcjanki”. Dwie te ostatnie poezye pełne są przejrzystych, indywidualnych aluzyj. Tom ze zbiorowym tytułem: „Moja pieśń wieczorna”, ozdobiony jest doskonałym portretem poety (photogravure). Mamy tu następujące poezye: „Na wzgórzu śmierci”, „Moja pieśń wieczorna”, „Święty Boże, Święty mocny”, „Dies irae” i „Salome”. Ocenę obu tych tomów zamieścimy wkrótce; tutaj zaznaczamy tylko, że są one wspaniale wydane. Druk i papier przynoszą prawdziwy zaszczyt firmie lwowskiej B. Połonieckiego. Kiedyż-to doczekamy się w Warszawie tak gustownie wydawanych dzieł.

— Komitet jubileuszu Maryi Konopnickiej wydał w Krakowie *Wybór jej pism*, przystępny dla warstw najszerszych, z piękną przemową

Lucyana *Rydl*a. Dwa tomiki, razem oprawne, z rysunkami St. Wyspiańskiego i prześliczną okładką ozdobną Wincentego Wodzinowskiego, kosztują zaledwie 35 centów. Do „Wyboru“ dołączono udatny portret Jubilatki.

— Z niwy poetyckiej mamy jeszcze do zanotowania „Strofy jesienne“, miniaturową książeczkę autora „Tytana“ i „Strof“, poświęconą „duszą bratnim“. Są tam rzewne, przeważnie melancholijne dwustrofki, pisane bez pretensyi pod bolesnem wrażeniem doby bieżącej, na przykład hałkaty wielkopolskiej.

— Na polu historii literatury polskiej, obok wielkiego dzieła Brücknera, ukazało się kilka prac następujących:

Docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr Stanisław Windakiewicz, ogłosił studjum swe pod tytułem: „Teatr ludowy w dawnej Polsce“. (Obecne odbicie z Rozpraw Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie, tom XXXVI, str. 1—231). Znajdujemy tu szczegółową historję teatrów naszych w XVI i XVII wieku, dzieje misteryów i cyklów wielkanocnych w porównaniu z misteryami zagranicznymi, genezę intermedjów, w końcu rzecz o błaznach, frantach, tudzież o sztukach rybaltów.

Książka d-ra Windakiewicza doczekała się zaraz po wyjściu surowej krytyki prof. Brücknera w „Przeglądzie Polskim“, na którą autor umieścił tamże swą replikę. Polemika toczy się głównie o mylnie, zdaniem Brücknera, pojęcie „ludowego“ teatru. Niebawem ukaże się nowa praca d-ra Windakiewicza, pod tytułem: „Dramat liturgiczny“.

— Niezwykle pracowitym jest p. Stanisław Zdziański. W krótkich odstępach czasu wydał on wielką książkę o „Pierwiastku ludowym w poezyi polskiej XIX-go wieku“, spory tom o „Bohdanie Zaleskim“, a teraz mamy przed sobą jego „Szkice literackie“ i przyczynki do filozofii życia, pod tytułem: „Z menażeryi ludzkiej“. „Szkice literackie“ są zbiorem prac, drukowanych luźnie przedtem w różnych pismach. I tak: pierwsze studjum, pod tytułem: „Klonowicz a pamflet przeciw Jezuitom“, znane jest czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej“ (1900, tom drugi). Podobnie studjum o „Chronologii młodocianych utworów Zaleskiego“ zamieściła „Biblioteka Warszawska“ w roku ubiegłym. Sporą część tomu wypełnia studjum o Maurycym Gosławskim. W artykule pod tytułem: „Witwicki i Żukowski“, rozbraja autor wyczerpująco stosunek ballady Witwickiego: „Wieczór świętego Andrzeja“, i wykazał, że jest to przeróbka „Świetłany“ Żukowskiego. Bardzo interesujące są dalej „Notatki do pism Słowackiego“. Mamy tu analizę młodocianych utworów Słowackiego (Hugo — Mnich — Żmija) i wykazanie wpływów Mickiewicza, Byrona, Beauplana i Goszczyńskiego. Na postać Eoliona w „Wacławie“ wpłynąć miał, zdaniem autora, Orcio z Nieboskiej Ko-

medyi. W szkicu pod tytułem: „Mickiewicz i Lermontow“, zastanawia się autor nad możliwością wpływu Wallenroda na Izmail-Beja, a wogóle nad stosunkiem poezyi Mickiewicza do twórczości Lermontowa. Cały tom „Szkiców“ St. Zdziarskiego ma treść obfitą, a wydany jest bardzo ładnie, jak wszystko, co wychodzi staraniem Księgarni Polskiej we Lwowie. Tegoż autora rzecz pod tytułem: „*Z menażeryi ludzkiej*“ jest spowiedzią młodego pisarza z przebytych rozczarowań i błędów. „Jeśli kiedy bryznąłem jadłem goryczy, jeśli czasem podniesie się z kart tej książki krzyk oburzenia, lub rozpacz, niechaj mi nie będzie poczytany za złe, bo jest to ból człowieka, co całem sercem chciał by przychylić społeczeństwu szczęścia, wiele go tylko dać można“. Jest tam szczery krzyk przeciw obłudzie publicznej i prywatnej, wychowaniu młodzieży bez zasad moralności, przyczem silnie oddziałał na autora artykuł A. Wysloucha, drukowany w „Krytyce lekarskiej“ i Weresajewa „Zwierzenia lekarza“. Książeczka ta zawiera kilka drastycznych ustępów, które nie pozwalają na umieszczenie jej w bibliotekach pensjonatów żeńskich. Nastroj cały jest pesymistyczny, ale tendencya najszlachetniejsza.

— Studya historyczno-literackie mnożą się ostatnimi czasy. Są to nie-raz drobne na pozór cegiełki, które jednak wypełniają dotkliwie odczuwane braki, i są trwałymi nabytkami dla historii naszej literatury. Dr Wiktor Hahn ogłosił „Zapomniane utwory łacińskie Szymona Szymonowicza“ (Lwów, 1902, str. 39). Mamy tu wiadomości o pięciu utworach łacińskich Szymonowicza, zupełnie zapomnianych. — Ignacy Chrzanowski ogłosił drukiem studjum: „O satyrach Naruszewicza“ (Lwów, 1902, stron 44). Jest to pierwsza próba dokładnego rozbioru satyr Naruszewicza! praca ta pod względem metodycznego traktowania przedmiotu może służyć za wzór. Szczegółowe zestawienie satyr Naruszewicza z satyrami Boileau'a, pozostanie trwałym nabytkiem w literaturze. — Profesor Józef Tretiak wydał i wstępem opatrzył „Wspomnienia młodości“ *Brodzińskiego*, zaradzając w ten sposób potrzebie, odczuwanej już od pół wieku przeszło. „Wspomnienia“ te były zagrzebane w dawnych, mało komu przystępnych, czasopismach — a przecież, jak słusznie twierdzi wydawca, w całej literaturze polskiej niema pomnika autobiograficznego, kreślonego ręką poety, który-by był równie zajmującym, posiadał tyle wdzięków szczerości i prostoty, i tak się nadawał na lekturę powszechną. „Wspomnienia“ te nigdy nie były wydane ani w zbiorach utworów poety, ani w osobnej broszurze. Razem z temi cennemi „Wspomnieniami“ ogłosił prof. J. Tretiak urywki z dziennika Brodzińskiego z roku 1813 i urzędową tegoż autobiografią z roku 1823.

— Tak długo odłogiem u nas leżąca historia sztuki, zaczyna się budzić do życia, dzięki Akademii Umiejętności. Po pięknych studiach

Maryana Sokolowskiego, Jerzego Mycielskiego, F. Kopery i innych, nadechdździ pora systematycznego opracowania naszych zabytków sztuki. Ogłoszone świeżo w Rozprawach Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności (tom XXXV): „Studia do historii sztuki i kultury wieku XVIII-go w Polsce“, przez Emanuela Świeykowskiego, zapowiadają nam cały szereg monograficznych opisów znamiennych zabytków wieku XVIII-go. Wychodzić one będą w systematycznym porządku, tak, że wszystkie razem stworzą jednolite opracowanie przedmiotu. Zamierzone przez p. Świeykowskiego monografie obejmą: Kościół i Klasztor warowny w Berdyczowie, Zamek książąt Lubomirskich w Równem, Rydzynę ks. Sułkowskich, Białystok, rezydencją hetm. Branickiego, niektóre pałace warszawskie, Biłłowski, Błękitny, Krasińskich, pałac królewski w Łazienkach i t. d. Obecnie ukazała się wyczerpująca Monografia Dukli z fototypiami pałacu, jego ozdób, kościoła (fotografii), nagrobków, kraty ozdobnej, ołtarzy, grobowca Maryi Amalii Mniszchowej, fasady klasztoru Bernardynów i t. d. Praca p. Świeykowskiego odznacza się wielką erudycją w danym zakresie i metodycznem traktowaniem przedmiotu. Na pole powszechnej historii sztuki przenosi nas rozprawa d-ra Jerzego Kieszkowskiego, pod tytułem: „Appartamento Borgia“ (Kraków, Spółka Wydawnicza Polska), ozdobiona pięknymi fototypiami fresków Pinturicchia, które, zdaniem autora, doskonale streszczają całą kulturę wieków średnich. Do bieżących spraw, związanych z pojęciami i zasadami malarstwa wprowadza nas polemiczna broszura pana Ludomira Benedyktowicza pod tytułem: „Stanisław Witkiewicz jako krytyk“ (Kraków, Spółka wydawnicza polska, 1902). Zadanie swe określił autor w słowach następujących: „Czas wielki zrobić obrażunek z książką p. Witkiewicza („Sztuka i krytyka u nas“), i rozdzieliwszy kwiaty od ostów wyłączyć z powodzi utarczek polemicznych to, co ona wniosła dobrego do sztuki“, P. Benedyktowicz „nie czyni tego z próżnej chęci wywołania nowej polemiki z p. Witkiewiczem“, ale dlatego, aby spełnić ciężący mu na sercu obowiązek wypowiedzenia prawdy z miłości dla sztuki polskiej, którą pragnął-by widzieć „w królewskich szatach piękna chodzącą, a nie w łachmanach żebraka, lub strzępach obłąkańca“.

— Przegląd nowych książek zamykamy wiadomością, bardzo dobrze świadczącą o budzącym się u nas zamiłowaniu do dzieł filozoficznych. Oto „Wstęp krytyczny do filozofii“ prof. H. Struvego ukazał się w trzecim wydaniu w ciągu lat siedmiu. Zapewne, cena przystępna (trzy ruble za ośmset stron bitego druku!) przyczyniła się niemało do rozpowszechnienia tak doskonałego podręcznika, nie mniej sam fakt, że książka tej treści doczekała się tak rychło trzech wydań, jest bardzo pociesającym dla umysłowości naszej faktem. Trzecie to wydanie nie jest tylko przedrukiem, jest ono wszechstronnie przejrane i dopełnione w głównym tekście dzieła.

— Bardzo pożądanym i cennym dla historii naszej nabytkiem jest rozprawa polskiego uczonego, d-ra Augusta Rodakiewicza, pod tytułem: „Die galizischen Bauern unter der polnischen Republik. Eine Agrarpolitische Untersuchung von August Rodakiewicz. Brunn, bei R. M. Rohrer, 1902. Wykazuje ta praca, jakim był los wieśniaka polskiego w porównaniu z tem, co się działo zwłaszcza w krajach niemieckich, i dowodzi, że nigdy los chłopów w Polsce nie był tak ciężki, jak w państwach ościennych. Dowodzi tego na przykład fakt, że chłopci z Saksonii, Meklemburga i Pomorza nieustannie uciekali do Polski. Ważne szczegóły podaje autor z XVIII wieku o Chreptowiczu, Andrzeju Zamoyskim, księżnej Annie Jabłonowskiej, P. Ks. Brzostowskim i in. Obecnie pracuje p. Rodakiewicz nad uzupełnieniem swego dzieła, i zamierza skreślić dzieje włościan galicyjskich pod panowaniem austriackiem.

— Akta grodzkie i ziemskie. Z fundacyi Aleksandra hr. Stadnickiego, przeznaczonej na wydawnictwo aktów grodzkich i ziemskich, wydano siedmnaście tomów tychże aktów. Obecnie przygotowany już został do druku tom XVIII; Wydział krajowy postanowił zwołać ustanowioną dla tego wydawnictwa komisję, w celu ocenienia przygotowanego manuskryptu i powzięcia decyzji. Do komisji należą pp.: dr Antoni Malecki, dr Wojciech Kętrzyński, dr Aleksander Hirschberg, dr Tadeusz Wojciechowski, dr Antoni Prochaska, ks. kan. Petruszewicz i dr Oswald Balcer. Należał do komisji także ś. p. Szaraniewicz; zapewne powoła Wydział krajowy w jego miejsce innego uczonego.

BIBLIOGRAFIA.

F I L O Z O F I A.

W. Heinrich: Teoria i wyniki badań psychologicznych. Część pierwsza. Badania wrażeń zmysłowych. (Wydane z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego. Cena rub. 1 kop. 80. Warszawa. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego”. (E. Wende i S-ka), 1902. Stron VIII + 307.

Henryk Struve: Wstęp historyczny do Filozofii. Wydanie trzecie. Warszawa, 1903. Cena trzy ruble. (E. Wende i Spółka, stron XXIV + 779.

Dr Mściśław Wartenberg, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego: *Obrona Metafizyki. Krytyczny wstęp do metafizyki*. Kraków. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. Warszawa, E. Wende i S-ka, 1902. (Adamowi Mironowskiemu). str. 158.

SPRAWY SPOŁECZNE.

J. Dallemagno: *Zbrodnia w świetle teorii współczesnych*, przełożył Zygmunt Poznański, Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa. Księgarnia E. Wendingo i Spółki. 1902. Stron 202.

Pismo Dyrekcyi Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, wystosowane do Delegatów na Ogólne Zgromadzenie Towarzystwa, jako odpowiedź na zarzuty, zawarte w broszurce pod tytułem: *Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie i obecny jego Zarząd w świetle prawdy przez poinformowanego*. Kraków. Nakładem Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, 1902. Stron 52 i tabela.

M. Kowalewski: *Zarys początków i rozwoju rodziny i własności*. (Wykłady w Uniwersytecie Sztokholmskim). Przekład z francuskiego Maryi Gomolińskiej. Warszawa. Skład główny w Księgarni Naukowej, Krucza 44. 1903. Stron 238.

S. Posner: *Nad otchłanią*. (W sprawie handlu żywym towarem). Część pierwsza. Warszawa. Nakładem Księgarni Naukowej. 1903. Stron XI + 95.

Stanisław Zdziański: *Z menażeryi ludzkiej. Przyczynki do filozofii życia*. Z winietą tytułową rysunku Stanisława Dębickiego. 1903. Lwów. Księgarnia Polska. Warszawa, E. Wende i S-ka, stron 87.

Bilans handlowy gubernij Królestwa Polskiego, opracował Władysław Zukowski, przy współpracownictwie pp. Chruszczyńskiego i Czerniawskiego. Warszawa. Nakładem „Słowa”, 1902, stron 86.

NAUKI ŚCISŁE. — MEDYCYNĄ.

Prace matematyczno-fizyczne, wydawane przez Dicksteina, Wł. Gosiewskiego, Wł. Natanson, A. Witkowskiego i K. Żórawskiego. Tom XIII. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa, 1902. Stron 395, 2 nl. *Treść*: Prace Denizota, J. Zawidzkiego, K. Żórawskiego, G. A. Millera, A. Przeborskiego, Korespondencya Kochańskiego i Leibniza przez S. Dicksteina, Studya R. Mereckiego, M. P. Rudzkiego, K. E. Böttchera.

Dr. J. Szaniawski: *Rozpoznawanie i leczenie bractwizmu*. Warszawa. Druk Laskauera i Sp., 1902, stron 96.

HISTORIA.

Justyn Feliks Gajsler: *Dzieje Węgier w zarysie*. Tom III. Warszawa. E. Wende i S-ka, 1902. Cena 75 kop. Stron 211.

Czesław Jankowski: *Sześćset lat stosunków polsko-pruskich. Z przydanymi głosami w sprawach polsko-pruskich Henryka Sienkiewicza*,

Bolesława Prusa i Tadeusza Smarzewskiego. Wilno. Nakładem księgarni Józefa Zawadzkiego, 1903. Fototypie obrazów Matejki, Bitwa pod Grunwaldem i Hold pruski; portrety Fryderyka Wilhelma, wielkiego Kurfürsta i Bismarcka, stron 100.

Maciej Loret: Między Jeną a Tylzą (1806 — 1807). (Monografia w zakresie dziejów nowożytnych. tom II). Z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego. Warszawa, 1902, stron XV + 165. (Przedmowa Szymona Askenazego).

Dr W. W. Tomek: Historia Królestwa Czeskiego. Wedle jubileuszowego wydania przełożyła z upoważnienia autora H. Strażyńska. Tom I. Stron 271. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie, 1902.

Ludwik Woltmann: Teoria Darwina i demokracja społeczna. Przekład I. Moszczeńskiej. Warszawa. Wydawnictwo „Poradnika dla czytających książki”, 1902, stron 256 (dwie części).

HISTORIA LITERATURY. — SZTUKA.

Kazimierza Brodzińskiego: „Wspomnienia mojej młodości” i inne urywki autobiograficzne wydał i wstępem opatrzył prof. Józef Treliak. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie, 1901, stron 88.

Wł. Jabłonowski: Emil Zola. (Charakterystyka twórczości). Warszawa, G. Sennewald, 1903, stron 31.

Dr Jerzy Kieszkowski: Appartamento Borgia. Kraków, 1901. Spółka Wydawnicza Polska). Stron 76. (Ośm fototypii z fresków Pinturicchia).

Antoni Potocki: Marya Konopnicka. Szkic literacki. Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. 1902, stron 94.

Tegoż: Stanisław Wyspiański. Studium literackie. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie. 1902, stron 150,

Maria Rygiel: Maria Konopnicka nel suo giubileo. (Dalla *Nuova Antologia* 1-o novembre 1902). Roma. Direzione della Nuova Antologia Corso Umberto I, 131. — 1902, stron 12.

X. Wacław z Sulgostowa, Kapucyn: O cudownych obrazach Przenajświętszej Matki Bożej. Wiadomości historyczne, bibliograficzne i ikonograficzne. Kraków. Nakład autora. Druk W. L. Anczyca i S-ki, 1902, stron 846. Cena 23 koron.

POEZYJE. — DRAMATY. — POWIEŚCI.

J. Barbey d'Aureville: Kawaler des Touches. Przekład *Lucyana Rydla*. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie, 1901, stron 228.

W. Dzierżanowski: Poezye. Warszawa. Skład główny w księgarni S. Dembego. 1903. Stron 153 + 2 nl. Okładka i winiety podług rysunku Teodora Ziomka.

Kazimierz Gliński: Poezye. (Biblioteka dzieł wyborowych, № 251). Warszawa, 1902, stron 160.

Stanisław Graybner: Marszałek. Powieść. Warszawa, 1903. Nakładem księgarni A. G. Dubowskiego. Stron 176.

(A. K.): Strofy jesienne. Kraków, G. Gebethner i S-ka. (Dusze bratnim poświęcam), stron 130.

Maryan Manteuffel: Statysci. Szkic. Warszawa. (Biblioteka dzieł wyborowych, № 254). 1902. Str. 141.

Antoni Miecznik: Mistrz Twardowski—bytu ludzkiego misteryum. Warszawa, 1903, Jan Fiszler, stron 99.

Jan Nowacki: Pieśń. W Krakowie. 1903. Księgarnia Gebethnera i S-ki. Stron 44.

Fr. Reinstein: Humoreski. Warszawa. (Biblioteka dzieł wyborowych, № 243). Stron 134.

Henryk Rzewuski: Zamek krakowski. Tom pierwszy, stron 87. *Biblioteka dla młodzieży*. (Wydawnictwo tygodniowe). Cena pojedynczego tomiku kop. 25.

Abgar Sołtan: Nea. Powieść współczesna. Spółka wydawnicza polska w Krakowie. 1901. Stron 300.

Ryszard Wagner: Walkirya. Pierwszy dzień z trylogii. Pierścień Nibelunga. Tłómaczył Teodor Mianowski. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej. Warszawa, E. Wende i S-ka, 1902. Stron 111 i XXVI. Dodatek muzyczny.

Jan Zacharyasiewicz: Tajemnica Stefanii. Powieść. Tom pierwszy, stron 186. Tom drugi, stron 174. Spółka Wydawnicza Polska, 1902. Kraków.

PISMA ZBIÓROWE.

Na Pogotowie Ratunkowe w Warszawie. Kalendarz informacyjno-encyklopedyczny na rok 1903. Wydawnictwa rok trzeci. Warszawa. Nakład Towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1903. Stron XVIII+LVI+652+CIV+84. Mapa Królestwa Polskiego. Plan miasta Warszawy. Oprawne w płótno. Cena rub. 1 kop. 20.

Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX-go. Warszawa. Nakład M. Chelmońskiej. Redakcja i skład główny: Wspólna 51 m. 2. Tom drugi. Zeszyt X—XII, stron 289—384. *Treść*: Józef Dietl (przez d-ra Józefa Grabowskiego), Hieronim Strojnowski (przez d-ra Władysława Zahorskiego), Karol Brzostowski (przez Zygmunta Głógera), Stanisław Jachowicz (przez Anielę Szycównę), Henryk Dembiński (przez Maryana Massoniusa), Michał Sokolnicki (przez M. Sokolnickiego), Teodor Morawski (przez W. Ossowskiego), Wincenty Pol (przez Piotra Chmielowskiego), Polikarp Girsztowt (przez d-ra J. Peszkego), Teofil Lenartowicz (przez Piotra Chmielowskiego), W. Korotyński (przez Zygmunta Głógera), Józef Supiński (przez Stanisława Kempnera), Ignacy Chodźko (przez Romana Plenkiewicza).

Zeszyt trzeci tomu szóstego Encyklopedyi wychowawczej obejmuje następujące artykuły: „Katechetyka” (dokończenie) — przez ks. Krukowskiego i S. K. Wesołowskiego; „Katecheza” — przez tychże; „Katechizm” — przez tychże; „Kazania dla uczniów” — przez ks. Jełowickiego; „Kapiele” — przez d-ra St. Kopeczyńskiego; „Kehr Karol” — przez R.; „Kłuk Krzysztof” — przez G. Ch. i R. P.; „Kłamstwo” — przez St. Karpowicza; „Knapski Grzegorz” — przez J. K.; „Kochański Adam-Adamanty” — przez S. Dicksteina; „Kolaborator” — przez L. Finkla; „Kolegia” — przez

d-rz A. Danyś; „Koleżeństwo” — przez J. Moszczeńską; „Kolekwa” — przez L. Finkla; „Kolonie akademickie” — przez Henryka Gallego; „Kolonie letnie” — przez St. Markiewicza; „Kołątaj Hugo” — przez Piotra Chmielowskiego; „Kołyska” — przez d-rz J. Brudzińskiego; „Komeński Jan” — przez A. Danyś.

Zeszyt 178-my Słownika Geograficznego zawiera dopełnienia do litery *K* od „Klechówka” do „Krasnosiółka”. Z większych opracowań pomieszczono tu: Kock, Koło, Koprzywnica, Kościelec i Kraków.

Zeszyt 179-ty zawiera dopełnienie do całego dzieła, począwszy od „Krasnosiółka” do „Lubasza”. Z ważniejszych opracowań mieści: Łąd, Łądek, Lelów.

Józefa Ungra Kalendarz Warszawski popularno-naukowy, ilustrowany, na rok 1963. Str. XXVI + 100 + 167,

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

ADAM hr. KRASIŃSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z ROKU 1902.

HISTORIA.

	Str.
PAMIĘTNIK GENERAŁA JANA WEYSENHOFFA (dalszy ciąg), — podał Józef Weyssenhoff	24, 234 i 565
W PRZEDEDNIU KATASTROFY. Galicya w roku 1846, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego	417

LITERATURA.

AD ASTRA, DWUGŁOS przez Elizę Orzeszkową i Juliu- sza Romskiego	1, 253 i 458
--	--------------

STUDYA I SZKICE LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

KRAJ LAT DZIECINNYCH, — przez prof. Józefa Kallen- bacha	47
Ks. GRACYAN PIOTROWSKI I JEGO „SATYR”. Przyczynek do historii satyry polskiej XVIII wieku (dokoń- czenie), — przez Ign. Chrzanowskiego	93
DRAMAT I OPERA, — przez Władysława Bogusław- skiego	121
O BOHDANIE ZALESKIM, — przez Maryę Konopnicką	292
POGADANKA ARTYSTYCZNA. Z Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych: Druga wystawa Krakowskiego Towa- rzystwa sztuki Stosowanej	349
NOWE PRACE O MALARZACH WŁOSKIEGO ODRODZENIA. Bernhard Berenson: 1) The Central Ita-	

II

SPIS RZECZY.

	lian Painters of the Renaissance; 2) The Florentine Painters of the Renaissance. Second Edition revised. 1901, — przez M. T. S. . .	548
EMIL ZOLA, — przez Władysława Bogusławskiego .		512

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE
i EKONOMICZNE.

WYCHODZTWO POLSKIE W NIEMCZECH, — przez d-ra Kazimierza Rakowskiego	66 i 438
NASZE POTRZEBY I ŚRODKI NAUKOWE, — przez L. Krzywickiego	273
LUDWIK GÓRSKI, — przez Adama Krasińskiego	209
OCHRONA WŁASNOŚCI POLNEJ, — przez Józefa Białokura	326
PRÓBNA POMOC LEKARSKA DLA LUDU W GUBERNII PŁOCKIEJ, — przez S. Krzeczковского .	540

NAUKI PRZYRODNICZE.

O MATOMANACH W ASTRONOMII, — przez M. Ernsta . . .	489
--	-----

ROZMAITOŚCI.

Dyaryusze sejmów Księstwa Warszawskiego, — przez Henryka Konica	140
Listy ks. Józefa Poniatowskiego, — podał Adam Skalkowski .	361

KRYTYKA.

<i>Klemens Kolaczkowski</i> , generał. Wspomnienia. Księga V od końca lipca do 22 listopada 1831 roku, — przez A. R.	145
<i>Julian Adolf Święcicki</i> : „Historia literatury powszechnej”. Warszawa, bez daty wydania tomy (I — IV), — przez Kazimierza Kaszewskiego	153
<i>Jerzy Żulawski</i> : „Benedykt Spinoza”. Człowiek i dzieło. Dwa tomy, w ósemce, stron w obu tomach 189. Warszawa. Wydawnictwo „Poradnika dla czytających książki”, 1902, — przez Maryana Massoniusa	163
<i>Wł. St. Reymont</i> : „Przed świtem. — Pewnego dnia. — Sprawiedliwie.” Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kra-	

ków, G. Gebethner i Spółka, 1902, 8-o, stron 253, — przez Henryka Gallego . . .	167
„Z nad brzegów Narwi“. Jednodniówka. Na dochód Łomżyńskiego Towarzystwa Dobroczynności. Warszawa, 1902, — przez Z. D.	170
Józef Ignacy Kraszewski: „Polska w czasie trzech rozbiorów 1772 — 1799“. Studium do historii ducha i obyczajów z przedmową profesora Askenazego. Tom pierwszy, 1772 do 1787 roku, — przez A. R.	374
Des syndicus der Stadt Danzig Gottfried Lengnich, Jus publicum civitatis Gedanensi oder der Stadt Danzig Verfassung und Rechte. Nach der Originalhandschrift des Danziger Stadtarchivs herausgegeben von dr Otto Günther, Stadtbibliotheker zu Danzig, 1900. (Quellen und Darstellungen zur Geschichte Westpreussens), — przez A. R.	377
Salka Goldmann: „Danziger Verfassungskämpfe unter polnischer Herrschaft“, 1891, — przez A. R.	384
Bronisława Ostrowska (Edma Miersz.): „Opale“. Jan Fiszer, Warszawa, 1902, — przez Henryka Gallego	388
Józef Jędrorński: „Potrzeby stanu włościańskiego w Króleswie Polskiem“. Warszawa, 1902, — przez A. R.	584
Jana Dantyszka poemat: „De nostrorum temporum calamitatibus silvia“ (z portretem Dantyszka i medalem, wybitym na cześć jego w roku 1529), wydał dr Zygmunt Celichowski. (Przyczynek do dziejów panowania Zygmunta Starego, zeszyt drugi). Poznań. Nakładem Biblioteki Kórnickiej, 1902, — przez Henryka Gallego	593
Stanisław Przybyszewski: „Z gleby kujawskiej“. Warszawa. Nakładem księgarni Borkowskiego, 1902, 4-o, stron 71, — przez Henryka Gallego	594
Marya Rodziewiczówna: „Wrzós“. Powieść. Warszawa. Druk synów S. Niemiry, 8-o, stron 392, — przez Henryka Gallego	597

KRONIKA MIESIĘCZNA.

PAŹDZIERNIK:

Sprawa „syonizmu“ i jej doniosłość społeczna. — Rozstrzygnięcie sporu o Morskie Oko. — Okólnik ministerium oświaty, dotyczący uregulowania zajęć szkolnych, oraz rozszerzenia zakresu ćwiczeń fizycznych w szkole średniej. — Tandeta podręczników szkolnych. — Wydział górniczy w Politechnice warszawskiej. — Park publiczny

IV

SPIS RZECZY.

	Str.
w Wierzbnie. — Sprawa uczczenia pamięci Adolfa Dygasińskiego. — S. p. Sokrates Starynkiewicz. — Ś. p. Franciszek Szały Lo- wental	172
LISTOPAD:	
Kilka uwag z powodu wystawy gier i zabawek. — Jubileusz Ma- ryi Konopnickiej. — Rocznik Towarzystwa osad rolnych i działalności patronaży. — Sanatorium w Zakopanem. — Monografia gmin. — Korekta i korektorzy. — Zaniedbanie dziejów przemysłu artystycznego. — Zapis ś. p. d-ra Władysława Florkiewicza. — Ś. p. Władysława z Rogoziń- skiej Izdebska. — Ś. p. Henryk Foszteter. — Ś. p. Książ Ignacy Świeży.	393
GRUDZIEŃ:	
Kolej Kaliska. — W sprawie zwyrodnienia fizycznego naszego ludu. — Pieskowa Skała, jako wzorowe let- nisko. — Zakład schronienia dla nauczycielek w Zielonce. — Co się dzieje z „Towarzystwem przyjaciół astronomii”? — „Bitwa pod Grun- waldem” Matejki. — Echo jubileuszu Konop- nickiej — Ś. p. ks. biskup Antoni Baranowski	601

**WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE
I BIBLIOGRAFICZNE.**

PAŹDZIERNIK	197
LISTOPAD	413
GRUDZIEŃ	619

